# ORZEŁ BIAŁY

## TYGODNIK

## ROCZNIK PIERWSZY

za rok

**1 9 2 5.**

W drukarni pod „Orłem Białym" w Bychawie.

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W ORLE BIAŁYM ZA ROK 1925.


Stronica

Doczekaliśmy . . . . . . . 1
Czas i praca . 2, 6, 10, 15, 18, 22, 27, 31, 37, 43, 52, 61, 70, 79, 97.
Rok święty . . . . . . . 3
Dziewięćsetna rocznica . . . . . 4
Na szkołę . . . . . . . . 5
Wyjątek z kazań ks. Skargi . . . . 6
Kopalnia złota . . . . . . . 9
Zakłady w rękach polskich i żydowskich. . 11
Już oni spełnili . . . . . . . 13
Sposób najpewniejszy . . . . . 14
Książe Józef Poniatowski . . . . . 17
Zatarg . . . . . . . . 19
Adam Mickiewicz . . . . . . 21
Rocznica . . . . . . . . 25
Ś. p. Tadeusz Prószyński . . . . . 29
Weźmy się! . . . . . . . 30
Głos nauczycieli abstynentów. . , . 33
Popielec . . . . . . . . 36
Kto z kim przestaje . . . . , . 42
Zygmunt Krasiński . . . . . . 47
Ludność Gdańska . . . . . . 49
Co to będzie? . . . . . . . 51
Stanisław Moniuszko . . . . . . 55
Polityka . . . . . . . . 57
Z życia stow. młodzieży w Hrubieszowie 60
Z Woli Gałęzowskiej . . . . . . 61
Jan Karol Chodkiewicz . . . . . 63
Dwa głosy do „Orła Białego" z Piask . . 69
Koło młodzieży w Wincentówku . . . 71
Ś. p. ks. Arcybiskup K. Ruszkiewicz . . 73
Grób Pański . . . . . . . 78
Nowy minister oświaty . . . . . 82
Bitwa pod Racławicami . . . . . 85
Nawet dzieci, panny i kobiety . . . . 87
Papież Pius Jedenasty . . . . . 91
Konkordat . . . . . . . . 94
Pielgrzymka młodzieży polskiej w Rzymie . 96
Wskazania ministra oświaty . . . . . 97
Ksiądz Stanisław Konarski . . . . . 99
Dobrowolni nędzarze . . . . . . 103
Święto Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej 108
Oni tak, a my jak? . . . . . . 110
Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei . 116
Czego chcą oni? . . . . . . . 119
Uroczystość 3 maja . . . . . . 124
Kultura chrześcijańska . . . . . 132
Samoobrona . . . . . . . 337
Dla Twego szczęścia, Narodzie . . . . 140
Znaczenie morza . . . . . 143, 150
Cześć Wam Strażacy . . . . . . 144
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie . . 147
Wspomnienia o Bolesławie Chrobrym . . 151
Zacznijmy w tym Roku Jublieuszowym . . 152
Polska . . . . . . . . 156
Zasługi Bolesława Chrobrego . . . . 157

Stronica

Oni mogli, a my nie? . . . . . . 160
Godzien pochwały i naśladowania . . 164
Z pielgrzymki do Rzymu . . . . . 169
Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej . . 171
Pomnik dla Bolesława Chrobrego . . . . 177
Czy oni troszczą się o nas? . . . . 180
A jednak musimy . . . . . . 184
Pan Prezydent na Pomorzu . . . . 186
Rodacy, odzyskaliśmy jedno, odzyskajmy drugie! 187
Pan Prezydent w Liskowie . . . . . 194
My i oni . . . . . . . . 194
Powinniśmy uczyć się całe życie . . 203
Mądrzy bądźmy przed szkodą! . . . 212
Kościół w Dubience . . . . . . 219
Pytanie i odpowiedź . . . . . . 220
Polscy żeglarze u Ojca św. . . . . 226
Z Kujaw . . . . . . . . 226
To jest niezbędne . . . . . . 228
Jakiemi drogami . . . . . . 236
Siła narodu . . . . . . . 244
Pies . . . . . . . . . 251
Rolnicy, uczyńcie to zaraz . . . . 251
O nowy hymn polski . . . . . . 253
Bogactwa przyrodzone Polski . . . 253
Kwiaty i ludzie . . . . . . . 254
Henryk Sienkiewicz . . . . . . 260
Szyba matowa i skrzypce nienastrojone . . 280
Kto ja, wróg twój, czy przyjaciel? . . . 276
Komu?—sobie i swoim . . . . . 284
Uroczystość w Gnieznie . . . . . 282
Rosną siły nasze . . . . . . 293
Prawdziwie uczynek dobry . . . . 295
Myślmy o swej przyszłości . . . . 300
U nas, a nie dla nas . . . . . . 306
Ziarnko do ziarnka . . . . . . 311
Szkolne kasy oszczędności . . . . 312
Sam sobie . . . . . . . . 314
Międzyrzecz Podlaski . . . . . . 317
Naród poległym bohaterom . . . . 318
Czy nie znany? . . . . . . . 322
Co może młodzieniec . . . . . . 323
Na drogę życia . . . . . . . 326
Doktór Jan Sawicki . . . . . . 327
Henryk Sienkiewicz o niemcach . . . 333
Cóżem dalej czynić miał, mój Panie? . . 344
Ś. p. Ks. biskup Fr. Jaczewski . . . 350
Ważność wychowania . . . . . . 353
Jedenastoletni bohater . . . . . 353
Wartość wojska podczas pokoju . . . 354
Od Redakcji . . . . . . . 355
Walka człowieka z powietrzem . . . 357
Czego szukają? . . . . . . . 360
Tylko tyle! . . . . . . . . 361
Miłość i mądrość dla ojczyzny . . . 362
Boże Narodzenie . . . . . . 363
Ś. p. Władysław Reymont. . . . . . 364

# WIERSZE.


| | Stronica |
|---|---|
| Wiara napisał Kuraś | 19 |
| Dam ci radę n. Kuraś | 23 |
| Myśl n. Bukowiński | 31 |
| Akt wiary n. Ujejski | 35 |
| Pójdźcie pod Krzyż n. Bystrzycki | 41 |
| Ojczyzno droga n. Mączka | 57 |
| Spadek n. Mączka | 60 |
| Ojczyzno moja! n. Relidzyński | 68 |
| Bądź silnym n. Konopnicka | 77 |
| Skon n. Bystrzycki | 79 |
| Na Zmartwychwstanie Pańskie n. Pług | 81 |
| Kościuszko n. Bogusławski | 86 |
| Wiara, Nadzieja, Miłość n. Oppman | 94 |
| Marzenia matki n. Waterman | 96 |
| Kto silniejszy? n. Czerwieński | 103 |
| Bogarodzico! n. ks. Nowak | 107 |
| Do Królowej Niebios n. Kuraś | 109 |
| Hymn n. Rokicki | 113 |
| Nie tędy n. Kuraś | 118 |
| Matka Boska Częstochowska | 123 |
| To go raduje i krzepi n. Szymański | 129 |
| Anioł Pański n. Ujejski | 131 |
| Mam wiarę n. Wojczyński | 136 |
| Mój zmarły przyjacielu n. Relidzyński | 143 |
| Bolesław Chrobry n. Niemcewicz | 150 |
| Ucz się chłopcze! n. Bełza | 163 |
| Do młodej przyjaciółki n. Rogowski | 169 |
| Wiersz n. Wieniawski | 177 |
| Modlitwa n. Witwicki | 179 |
| W kole młodzieży n. Mickiewicz | 184 |
| Przeklęci n. Ujejski | 195 |
| Dzwon n. Daniłowski | 211 |
| Ofiarowanie siebie ojczyźnie n. Oppman | 236 |
| Odsłonięcie pomnika księcia Józefa n. Oppman | 243 |
| Pieśń litewskich borów n. Sienkiewicz | 250 |
| Kto Ciebie chciał, ten wierzył n. Słoński | 267 |
| Wierzę n. Grudziński | 275 |
| Dwa anioły n. Asnyk | 282 |
| Na warcie n. Relidzyński | 299 |
| Za co ty walczysz, polski żołnierzu n. Oppman | 305 |
| Kochaj żołnierza! n. Oppman | 318 |
| Pobudka n. Ligocki | 321 |
| Śmierć Legjonisty n. Relidzyński | 321 |
| Młodemu n. Mirski | 325 |
| Piotr Skarga n. Kondratowicz | 343 |
| Z rozmyślań n. Relidzyński | 359 |
| Listy z Bychawy | 7, 23. 120, 226 |

Rok I. Lublin, 4 stycznia 1925 r. № 1.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Doczekaliśmy.

> Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
> I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
> A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
> Jak kamień, przez Boga rzucany na szaniec.
>
> Z „Testamentu" J. Słowackiego.

„Nowa Jutrzenka", czasopismo nasze, zaczęła wychodzić jeszcze podczas niewoli rosyjskiej. Mienkin, ówczesny gubernator lubelski, udzielił nam pozwolenia na jej wydawanie, lecz pierwej bardzo pilnie zbadał tytuł: „Nowa Jutrzenka", czy przypadkiem nie kryje w sobie jakichś „niebłahonadiożnych namierenji".

Po namyśle dał gubernator „razrjeszenje" i „N. Jutrzenka" zaczęła wychodzić.

Wielkie to szczęście nasze, że Pan Bóg prawdziwej jutrzence na niebie kazał zapowiadać wschód słońca, — więc i naszą „Nową Jutrzenkę" spotkało to szczęście, że po latach niewielu na niebie Polski wysiłkiem bohaterskim narodu, błogosławionym przez Chrystusa, miłościwego dla niego, wytoczyło się prześliczne, pogodne słońce wolności, a w jego promieniach ukazał się już wolny od kajdan Orzeł Biały, niepokalanie czysty, ptak ukochany przez cały naród polski, zdawna przyjęty jako godło zaszczytne, jako sztandar najchwalebniejszy, przy którym my, wszyscy polacy, skupiamy się, złączeni jedną miłością ojczyzny!

Kiedy więc słońce wolności wzeszło nad Polską, już wypadało „N. Jutrzence" zgasnąć, ale nie natychmiast, bo przecież i prawdziwa jutrzenka stopniowo tonie w zorzy wschodzącego słońca, przeto i nasza „N. Jutrzenka" gasła powoli, w miarę, jak rosły za drukowanie jej ceny drożyzniane.

Ta drożyzna, utrudniając nam prawidłowe wydawanie „N. Jutrzenki", stała się znakiem, że już „Orzeł Biały", który w myślach naszych unosił się swobodny w promieniach niepodległej Polski, musi wychodzić tylko z drukarni własnej.

I tak się stało!

„Nowa Jutrzenka" utonęła w jasności nieskazitelnej „Orła Białego". I odtąd już „Orzeł Biały" z drukarni własnej co tydzień podążać będzie do swoich Czytelników łaskawych.

A po co? Z jakiem słowem?

Z wieściami rozmaitemi, jakich obfitość zawsze sieje twarde życie codzienne.

A ze słowami, pochodzącemi z serca, rozumu, nauki i prawdy!...

A przedewszystkiem: „nam się uczyć trzeba", byśmy odmienili bolesne przysłowie: „mądry polak po szkodzie".

Tak pilnie, tak ustawicznie uczyć się musimy, aż wszyscy staniemy się **„mądrzy przed szkodą"**!

I to się stać musi, jeśli chcemy, jako naród, nietylko mieć Polskę niepodległą, ale i sami być w Polsce wolnej prawdziwemi gospodarzami, niezależnemi od gości — przybyszów, którzy chcą nas pocichu, podstępnie wziąć za czub, zgiąć nam kark i nałożyć swoją obrożę, uczynić znowu niewolnikami.

Nie damy się! Polskę wyzwoliły wielkie ofiary męczenników-bohaterów: Kościuszków, Poniatowskich, Jasińskich, Dąbrowskich, Łukasińskich, Skorupków i wielu — wielu innych, im podobnych, których jest legjon wielotysięczny, a których nieśmiertelne imiona zapisane są w Złotej Księdze Dziejów Narodu Polskiego!

Oni krwią swoją przepoili ziemię polską. Przez tę krew wsiąkniętą wołają do świata tak: „ziemia, którą całą zarumieniliśmy swoją ofiarą krwawą, należy nie-

podzielnie do narodu polskiego, tylko on jeden panem jej i gospodarzem być może!

Ale Panem i Gospodarzem nie po to jedynie, by wypoczywał ciągle, lub narzekał i bezczynnie spoglądał bądź w górę, bądź na tych sąsiadów blizkich i dalszych, którzy niby darzą go swoją przyjaźnią.

O, nie! Trzeba nam wszystkim bez wyjątku zakasać rękawy i zabrać się do pracy mozolnej, trudnej i nawet bardzo ofiarnej.

Praca ta musi być planowa, obmyślona przemądrze, kierowana zarówno sercem, jak i umysłem, bogatym w wiedzę i w oświatę rozległą, głęboką.

Otóż tu nastręcza się uwaga, przedniej wartości.

Bardzo wielu rodaków woła: „oświaty, oświaty nam trzeba„!

Słusznie. Ale gdy głodny woła: „chleba", zaraz przenikamy jego zamiary i charakter, — może on chce jedynie swój głód nasycić, a potem tylko baraszkować, spacerować, lub wzdychać i czekać, aż go znowu kto nakarmi chlebem?

Nie dajmy się omamić pożądaniem „oświaty". Bo już wiadomo, że niejeden bierze ją jedynie do swej głowy po to, by potem nadymać się, jak paw, mniemać o sobie górnie, wyniośle, gardzić innemi, jako niby ciemnemi, głupcami — i obracać ją tylko na swój użytek, dla dogodzenia swemu sobkowi! Ci traktują oświatę tak, jak bogacze swoję majętność — po sobkosku!

Oświatę trzeba brać nie tylko do głowy, ale i do serca.

Juljusz Słowacki w swoim „Testamencie" powiedział wprawdzie naprzód: „niech żywi przed narodem niosą oświaty kaganiec", lecz zaraz dodał: „**a kiedy trzeba**, niech na śmierć idą po kolei, jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec".

Co tedy ma uczynić oświata?

Uszlachetnić serca rodaków, pouczyć ich o obowiązkach obywatelskich i skłonić do spełniania tych obowiązków tak pilnie, tak nie po sobkosku, że nawet kiedy zajdzie potrzeba — a kiedyż jej niema? jest zawsze, — powinni oddać swe życie w ofierze dla dobra narodu, stać się „szańcem", broniącym wolności, pomyślności i chwały narodu całego!

Oświata ma w naszych sercach zabić sobka, a wykrzesać w niem umiłowanie **całego narodu!**

Ma przytem nauczyć nas pracy mądrej i bardzo pożytecznej, nigdy nie spuszczającej z oka rzetelnego dobra narodu, tak, żebyśmy wszyscy polacy razem i każdy z nas zosobna, godnie i słusznie mogli swój ideał obywatelski wyrazić słowami Mickiewicza:

„Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu, do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
**Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,**
**Chcę nim cały świat zadziwić!"**

Taką usługę chce także spełnić „Orzeł Biały".

Więc podążaj, „Orle Biały" do naszych Rodaków, służ im wiernie, poczciwie i pożytecznie.

W tem jest szczęście nasze, bo przecież w „szczęściu wszystkiego są wszystkich cele".

**REDAKCJA.**

„Religja Chrystusa czyni z patrjotyzmu prawo: nie może być doskonałym chrześcijaninem, kto nie jest doskonałym patrjotą".

Kardynał **Mercier.**

„Niech nas darmo nie przestrasza, że dziś podłość górą wszędzie! Z wiary waszej wola wasza, z woli waszej czyn wasz będzie! Nie powróci stara klęska, — duchom, duchom triumf dan! Oto idzie moc zwycięska, panujący idzie Pan „Dość już długo, — dość już długo brzmiał na strunach wieszczów żal! Czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal!".

**Zygmunt Krasiński.**

# Czas i praca.

Rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 15 listopada 1924 r. podało wszystkim obywatelom do wiadomości, które święta, prócz niedziel, obowiązują w całem Państwie, mianowicie:

Nowy Rok (1 stycznia), Trzech Króli (6 stycznia), Trzeciego Maja, Wniebowstąpienie Pańskie, Boże Ciało, Świętych Apostołów: Piotra i Pawła (29 czerwca), Wniebowzięcie Najświętszej Marji Panny (15 sierpnia), Wszystkich Świętych (1 listopada), Niepokalane Poczęcie Najświętszej Marji Panny (8 grudnia), Boże Narodzenie (25 grudnia).

Z tego ogłoszenia wynika, że Kościół Katolicki pozwolił wszystkim polakom-katolikom pracować zarobkowo w tych dniach świątecznych, które zostały pominięte w powyższem obwieszczeniu, obowiązującem od 1 stycznia 1925 r.

*

Święta są niezbędne.

Wszakże człowiek musi odpowiednio uczcić tajemnice wiary św., musi wziąć w siebie łaskę Ofiary niekrwawej, pokrzepić ducha swego modlitwą zbiorową, słowem bożem i radosnem uczestniczeniem w obchodach uroczystości religijnych.

Duszy ludzkiej należy stać się wielką podług miary Bożej, powinna stopniowo osiągać coraz wyrazistszą i wytrwalszą szlachetność, oraz zdolność do czynów poczciwych. Dlatego musi brać potrzebne rady, zachęty i pokrzepienie, co najpewniej dawane jej będzie w świątyni.

Stąd ludzie Stwórcy swemu, tajemnicom wiary św. i prawdom Bożym wznieśli kościoły wspaniałe!

Nieraz tu i owdzie patrząc na olbrzymie świątynie, przepięknie ozdobione sztuką i bogactwami, zrozumiałem, czemu genjusz ludzki i majątek wysilały się na stworzenie dzieł takich. One są nietylko potwierdzeniem znanej pobudki: „z Twoich darów, Tobie Boże", lecz duch ludzki nadto postarał się usilnie stworzyć najpiękniejszą oprawę, jak gdyby ramę olbrzymią i przecudną, w której umieszcza Zbawiciela Utajonego, naukę Jego i sakramenta...

Godzi się uczynić Bogu na ziemi przybytek najpiękniejszy, przewyższający wszystko, co zdziałały ręce ludzkie.

I człowiek w tym bożym przybytku, obcując z Bogiem, pokrzepia się łaską, modlitwą i prawdami wiecznemi.

Najsnadniej w dzień świąteczny odwiedza przy-

bytek Pański, bo w innym czasie niezawsze to uczynić może.

Dlatego dnie świąteczne są niezbędne.

A ile ma ich być?

Dawniej powiadano: jaknajwięcej.

Im kto pobożniejszy, tem częściej chodzi do kościoła. Lecz na to niekoniecznie trzeba mieć świąt wiele. Kościół przecież dnia każdego jest otwarty na rozcież od samego rana; kto więc idzie do roboty, lub do szkoły, a mieszka blisko świątyni, może codziennie wstąpić do niej, bodaj na paciorek.

Wielkie uroczystości religijne zjednały sobie dużo czasu, bo po kilka dni świątecznych, gdyż serca wiernych, wezbrane wdzięcznością, chciały najsolenniej dziękować Niebu za takie akty, jak Boże Narodzenie, Zmartwychwstanie i Zesłanie Ducha św.

Niekiedy jednak bywało nadużycie, raczej zaniedbywanie świąt i kościoła. Oto dla niejednego święta dogodną stawały się okazją tylko do pijatyki, hulanki, rozleniwienia duchowego i fizycznego, a gdy święta minęły, już on ociągał się do roboty, chciałby jaknajdłużej świętować!..

Trzeba tedy, by wierni godnie i pożytecznie korzystali z kościoła i dni świątecznych.

Dziś, niestety, sporo katolików nietylko w święta, ale nawet w niedzielę zgoła nie uczęszczają do kościoła. Tacy głośno i zuchwale powiadają, że kościół im nie potrzebny, chleba im nie da, obiadu nie sprawi. I tacy pierwsi głosują za skasowaniem dni świątecznych. Oni też gotowi pozbyć się niedzieli!

Teraz, istotnie, czas dość ciężki u nas w Polsce.

Niektóre narody pracują u siebie bardzo pilnie, nawet są takie między niemi, co pracują dziewięć godzin dziennie! I u nas, w Polsce, próbowano chwycić się tego sposobu gwoli powiększeniu produkcji kopalń, fabryk i warsztatów, lecz byli tacy, co sprzeciwili się temu, mówiąc: pierwej skasujcie pewną ilość dni świątecznych.

Kościół Katolicki, uwzględniając życzenie władzy państwowej, uznał, że niektóre dnie świąteczne mogą być przeznaczone do pracy zarobkowej.

Taką przysługą Kościół Katolicki, jako Matka narodów, przyszedł z pomocą tym polakom-katolikom, którzy obecnie znaleźli się w trudnych warunkach życiowych: niech pracują na swe utrzymanie!

Święta są niezbędne, lecz i chlebuś niezbędny. Przeto jeśli niektórzy polacy zamało obecnie mają czasu do pracy, godzi się przysporzyć im tego czasu, niech pracują dłużej, byle praca uczciwa zapewniała im utrzymanie dostateczne!

Lecz teraz nastręcza się uwaga, chyba nader właściwa: oto czy samo przysporzenie czasu do pracy, dajmy na to przez skasowanie niektórych dni świątecznych, uczyni ludzi pracowitszemi i zdolniejszemi do większej wytwórczości i przedsiębiorczości?

Na to pytanie damy odpowiedź za tydzień.

---

Miejmy odwagę! nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową,
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.
Miejmy odwagę! nie tę tchnącą szałem,
Która na oślep leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem,
Przeciwne losy stałością zwycięża.

**Adam Asnyk.**

---

**Z OKAZJI NOWEGO ROKU 1925**

wszystkim Przyjaciołom i Czytelnikom „Orła Białego" serdeczne życzenia pomyślności składamy.

A nadewszystko wiary, zapału i czynów pożytecznych! Bo przecież wiadomo, że w znacznym stopniu własny los od nas zależy. Pracujmy, a Bóg dopomoże. W górę serca!

REDAKCJA!

# „ROK ŚWIĘTY".

Kościół Katolicki obchodzi od 24 grudnia 1924 r. do 24 grudnia 1925 r. „Rok święty", czyli Rok jubileuszowy, bo co 25 lat ponawiany.

Uroczystości „Roku Świętego" rozpoczynają się odmurowaniem drzwi, tak zwanych „świętych, w czterech największych kościołach Rzymu. Gdy „Rok święty" się kończy, drzwi znowu zamurowują.

W kościele św. Piotra sam Ojciec św. daje znak do odmurowania drzwi świętych, będących w tej świątyni. Papież złotym młotkiem uderza trzykrotnie w drzwi zamurowane. Następnie puka dwa razy w te drzwi kardynał Penitencjarjusz, poczem robotnicy szybko odrzucają cegły. Natychmiast po skończeniu ceremonji, gdy Ojciec św. z otoczeniem swojem udaje się do ołtarza, ludność, obecna na uroczystości, rzuca się na mur w drzwiach świętych i rozchwytuje cegły, które chowa na pamiątkę.

Obecnie już jest rozpoczęty „Rok święty". Dnia 24 grudnia 1924 roku Papież, Pius XI, bardzo uroczyście dał znak do rozbiórki drzwi świętych. Zgromadziły się na ten obrzęd niezliczone tłumy, które witały Ojca św. serdecznie i głośno.

Odpusty i łaski, które Kościół przyznaje odwiedzającym Rzym w czasie „Roku świętego", zachęcają mnóstwo katolików we wszystkich krajach do odbycia pielgrzymki do Stolicy Apostolskiej.

Przewidywany jest w tym roku do Rzymu napływ niezmiernie liczny pielgrzymów. Już zawczasu zarówno Stolica Apostolska, jak i rząd włoski, oraz zwierzchność miasta Rzymu, przygotowali mnóstwo hoteli, noclegów, jadłodajni, przewodników, nadzorców, sanitarjuszów i nawet wózków i tramwajów. Na brak wygód niezbędnych nikt z pielgrzymów zpewnością się nie uskarży, bo dozna w Rzymie podczas całego swego pobytu opieki i ułatwień życzliwych, a niedrogich.

Oczywiście, dużo polaków uda się w pielgrzymce do Stolicy Apostolskiej na ten „Rok święty". Pociągnie ich tam przywiązanie mocne i wierne do Kościoła Katolickiego i zarazem szczególniejsze ukochanie obecnego Papieża, Piusa XI, który jest wielkim przyjacielem Polski.

Ojciec św. w bulli ogłaszającej jubileusz wskazał trzy intencje dla modlących się pielgrzymów:

„Pokój wśród narodów, — pokój wśród braci, — pokój w umysłach i sercach ludzkich. Niepewna jest przyszłość, czy badamy ją z punktu zewnętrznych,

czy wewnętrznych stosunków każdego państwa i narodu, a jednak nie upadajmy na duchu i nie traćmy serca! Czy nie wiemy, jako katolicy, że jesteśmy podróżnikami, płynącemi na tym „statku, co pochyla się pod naporem wichrów, ale nigdy nie zatonie, gdyż sam Chrystus jest u jego steru“? Bądźmy bardziej szczeremi katolikami, a odnowimy prawdziwy pokój, opierający się na nieśmiertelnych wskazaniach Jezusa Chrystusa!

„Pragniemy, — tak dalej przemawia Papież,— aby wszyscy mieszkańcy Rzymu i pielgrzymi, przybywający z powodu jubileuszu, powierzali usilnie Miłosierdziu Boskiemu dwie inne sprawy, które napełniają nas troską i niepokojem, a posiadają poważne dla religji katolickiej znaczenie: powrót do prawdziwego Kościoła Chrystusowego tych wszyskich, co nie są katolikami — i tyle upragnione załatwienie sytuacji Palestyny zgodnie z świętemi prawami katolicyzmu“.

# Dziewięćsetna rocznica.

W Boże Narodzenie 1924 roku upłynęło dziewięćset lat, jak Bolesław Chrobry został ukoronowany, jako pierwszy król polski.

Obecnie w całej Polsce radośnie wspomniane jest to wydarzenie, jako chluba i zarazem nauka dobra na przyszłość dla narodu polskiego.

Bolesław, dla swej waleczności zwany Chrobrym, najstarszy syn księcia polskiego, Mieszka I-go, rządził Polską lat 33 (od 992 do 1025 roku).

Zaraz w początkach swoich rządów Bolesław Chrobry opanował wszystkie dzielnice Lechji, zdobył na Pomorzanach ważne miasto Gdańsk przy ujściu Wisły (994 r.), a tym sposobem—pisze Tadeusz Korzon, uczony historyk polski—posunął państwo swoie do brzegu Bałtyku, potem zwrócił się na południe, zdobył chrobacki Kraków (999 r.) z przyległą krainą górzystą, leśną, która otrzymała nazwę Małej Polski i zabrał Czechom resztę Śląska.

Okazując gorliwość swą dla wiary chrześcijańskiej, posłał raz oddział swojego wojska przeciwko pogańskim Obotrytom (995 r.), z czcią głęboką przyjął św. Wojciecha, a gdy ten poniósł śmierć męczeńską od Prusaków, wykupił ciało jego na wagę złota i umieści w Gnieznie; wysłał też pierwsze poselstwo polskie do Stolicy Apostolskiej (999 r.).

W roku 1000 odwiedził Bolesława Chrobrego w Polsce cesarz Otton III-ci, pragnąc uczcić w Gnieznie grób męczennika za wiarę, św. Wojciecha.

Przyjęcie dostojnego gościa było niezwykle wspaniałe: stały szeregi licznego rycerstwa, ulice Gniezna przystrojono kobiercami, drogę zaś do kościoła wysłano suknem; przez trzy dni trwały uczty, a wszystkie naczynia srebrne i złote za stołów oddawano orszakowi cesarskiemu.

Ujęty hojną gościnnością Otton—pisze ten sam historyk—mianował Bolesława Chrobrego przyjacielem i sprzymierzeńcem cesarstwa, dał mu włócznię św. Maurycego, cudowne godło zwycięstwa i władzy, zwolnił ziemie jego od daniny.

W tym czasie Bolesław założył arcybiskupstwo gnieźnieńskie i odtąd już Polska w sprawach kościelnych zależała bezpośrednio od Stolicy Apostolskiej.

Po śmierci Ottona Chrobry udał się w długą i pomyślną dla siebie wojnę z Niemcami. I z Rusią wojował szczęśliwie. Wjeżdżając do zdobytego miasta Kijowa, ciął w Złotą bramę mieczem, który się wyszczerbił i później tym „szczerbcem“ opasywali się królowie polscy przy koronacji. Bawił na Rusi 11 miesięcy i wracając, zostawił tam swoje załogi! Odtąd książęta ruscy często udają się o pomoc do Polski, a Bolesławowi ulegają plemiona zawiślańskie i Ruś Czerwona. Jako władca całego Mazowsza, Bolesław chciał je ubezpieczyć od Prusaków; nastraszył więc ich napadem niszczącym (1014 r.) i spaleniem świętego ich lasu, Romowe, a granicę wytknął na rzece Osie, bijąc słupy żelazne.

Jakimże sposobem mógł Bolesław tak daleko roznosić postrach swojego oręża, a szczególnie oprzeć sie największej w owym czasie potędze cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego.

Oto dla obrony kraju swojego budował grody i zamki, czyli kasztele (castellum), a w każdym ustanawiał kasztelana, czyli komesa, który zarządzał okolicznym ludem. W razie napadu nieprzyjacielskiego zapalano smołę na wzgórzach i otwartych polach dla powołania wojowników. Do wypraw wojennych starał się mieć jak najliczniejsze wojsko nietylko w lekkiem uzbrojeniu z tarczami, ale też i w żelaznych koszulkach. Główna siła jego skupiała się w czterech obozowiskach, a nadto miał załogi w grodach. Całe wojsko jego składało się z 20.000 wojaków. Była to na owe czasy siła wielka.

W swojem państwie Bolesław rządził dzielnie, stanowczo, ale i sprawiedliwie. Nie pozwalał krzywdzić chociażby najubuższego wieśniaka; każdą skargę wysłuchał i winowajców sprawiedliwie karał (czasem własnoręcznie „sprawiał łaźnię“, t. j. obił, zaprosiwszy winnego do łaźni swojej). Do narad w sprawach ważnych i tajemnych miał zawsze przy sobie dwunastu zaufanych dostojników.

Podbiwszy wiele ludów słowiańskich i nie bojąc się nikogo, Bolesław pod koniec życia swego okazał światu, że jest niezależnym władcą Polski i dlatego zarządził ukoronowanie siebie na króla polskiego.

Stało się to bardzo uroczyście w Boże Narodzenie 1024 r. Niespełna w pół roku potem, bo 14 czerwca 1025 roku Bolesław umarł. Przez cały rok żałobny nie słyszano w Polsce muzyki po gospodach, ani głosu wesela na ulicach grodów, ani piosenki dziewiczej po wsiach, bo czuł naród cały, że utracił wielkiego męża, który zjednał polakom poczesne miejsce w gronie narodów cywilizowanych i uzdolnił ich do pracy dziejowej na przyszłość.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1. zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 11 stycznia 1925 r. № 2.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Na szkołę.

Na krótko przed świętami Bożego Narodzenia, bo 22 grudnia 1924 r. przeczytałem w jednej z gazet warszawskich wiadomość z Ameryki Północnej o hojnej ofiarze bogacza amerykańskiego, Jamesa Duka, na szkoły i szpitale miejscowe.

Ofiarował aż 40 miljonów dolarów. Z tej sumy 6 mil. dol. przeznaczył na założenie uniwersytetu w mieście Durham, w stanie północnej Karoliny — i ten uniwersytet ma nosić nazwisko ofiarodawcy. Resztę sumy obrócił na zapomogi dla innych szkół wyższych i szpitali w południowych stanach Ameryki Północnej.

W tym samym czasie inny bogacz amerykański, Eastman, ofiarował 6 mil. dol. na potrzeby uniwersytetu w Rochester, a 4.500.000 dolarów dla Instytutu technologicznego w stanie Massachusetts; nadto jeszcze dał po miljonie dolarów Instytutowi w Hampton i uniwersytetowi w Tuskegee.

Takie podarki świąteczne na gwiazdkę, czyli na kolendę, dwaj bogacze amerykańscy dali swemu społeczeństwu.

Co zacz są ci ofiarodawcy tak szczodrzy?

Jeden z nich, James Duka, — to fabrykant papierosów, „król tytoniowy",—a drugi, Eastman, — to fabrykant aparatów fotograficznych.

Oni w dziecinnych swoich latach ukończyli zaledwo szkołę elementarną, bo wnet, jako dzieci ubogich rodziców, musieli oddać się pracy fabrycznej.

A że odznaczali się dzielnością charakteru i umysłu, więc po pewnym czasie potrafili w sposób uczciwy i rozumy założyć własne fabryki, które stopniowo rosły do rozmiarów niemal olbrzymich, co, oczywiście, uczyniło ich wielkiemi bogaczami.

Jednak, już będąc miljonerami, nie zasklepili się w sobkostwie, nie zatracili żywej, serdecznej łączności ze swojem społeczeństwem i ojczyzną! Rozumieją swoje obowiązki wdzięczności dla własnego narodu — i w sposób najlepszy zadość uczynili tym obowiązkom, bo dużą część swego mienia oddali na szkoły!..

Jaka myśl przewodniczyła im w spełnianiu tej ofiary?

Sami, jakkolwiek słabe otrzymali początki nauki szkolnej, w dalszych latach swoich, żądni wiedzy, sposobem samouczkowym, długo w chwilach wolnych pracowicie zdobywali niezbędne wiadomości naukowe, bo dowodnie przekonali się, że każdemu pracownikowi poprostu niezbędna jest nauka! Owszem, kto więcej posiada nauki, a przytem odznacza się charakterem ładnym, — ten, niewątpliwie, sam sobie zgotuje pomyślność i narodowi swemu przysporzy nielada pożytku!

Tem przeświadczeniem powodowami ci dwaj fabrykanci bogaci, złożyli hojne datki na szkoły, ażeby ich rodacy młodsi mogli w sposób łatwy zawczasu dużo wiedzy potrzebnej zdobywać przy pomocy biegłych profesorów i w szkołach obficie zaopatrzonych w najdoskonalsze pomoce naukowe.

Tak młodzież amerykańska po skończeniu wyższej szkoły stanie się sposobniejszą do wykonywania trudnych prac przemysłowych, handlowych i kulturalnych, któremi niezawodnie przyczyni się do podniesienia potęgi swego narodu.

Jeden szczegół w powyższych wiadomościach zpewnością nastręczy naszemu czytelnikowi takie pytanie: Czy Stany Zjednoczone Ameryki Północne tak są ubogie, że aż poszczególni bogacze tamtejs muszą hojnemi ofiarami swemi zakładać nowe i wspomagać dawne szkoły?

Toć powszechnie wiadomo, jak potężnem i bogatem państwem są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej! — Naród amerykański jest bardzo zasobny, zaradny i niezmiernie zabiegliwy w każdej dziedzinie pracy ekonomicznej i kulturalnej, lecz należy nam baczną zwrócić uwagę na to, że tam w Stanach Zjednoczonych nie rząd jedynie troszczy się o zaspokajanie wszelkich potrzeb narodu.

Owszem, sam naród amerykański przedewszystkiem dba pilnie o rozwój swojej pomyślności duchowej, materjalnej i politycznej! Naród amerykański nie ogląda się na pomoc swego rządu, lecz sam sobie dopomaga, bo wysoko ceni cnotę samopomocy społecznej. Nawet każdy poszczególny amerykanin stara się nadewszystko sam sobie pomagać, najmniej liczyć na pomoc postronną. Sam woli innym wiele uczynności świadczyć, aniżeli od innych wiele dla siebie przysług wymagać.

Co powinno być zrobione prędko, dobrze i hojnie dla pomyślności wielu, — to właśnie naród amerykański sam sobie czyni, jak dobry i dbały gospodarz, bez oglądania się na pomoc i zasiłki swego rządu.

Amerykanie oddawna zrozumieli, że dobra szkoła, zarówno wyższa, jak niższa, stanowi czynnik błogosławiony, który daje rodakom wiedzę, rozwija w nich umysł, kształci charakter, wychowuje moralnie, pielęgnuje cnoty obywatelskie. Przy pomocy dobrej szkoły naród staje się światłym, uczciwym, zdolnym do każdej pracy zawodowej i najdzielniejszym obrońcą własnej niepodległości.

Nic przeto dziwnego, że w Stanach Zjednoczonych bogacze i nawet niebogacze najskwapliwiej i najszczodrzej tworzą i wspierają szkoły, bo wszakże w taki sposób wielkie dobrodziejstwo czynią swemu narodowi. A o to im chodzi, by mogli przysłużyć się swemu narodowi jak najpożyteczniej!

Takie ofiary na swoje szkoły naród amerykański przyjmuje od swoich rodaków wdzięcznem sercem, a imiona ich zapisuje w złotej księdze najlepszych obywateli kraju.

Bo istotnie, co zapewniło narodowi amerykańskiemu potęgę polityczną, przemysłową i pieniężną? Czy to, że ma on mocne pięście, zapał do pracy, wielką ruchliwość przedsiębiorczą i olbrzymie przestrzenie ziemi urodzajnej? — Nie, lecz potęgę swoją zawdzięcza przedewszystkiem dobrej szkole, która dała mu znaczną sumę wiedzy pożytecznej, wypielęgnowała w nim dobre zalety charakteru, uszlachetniła serce i umysł, nauczyła go wysoko cenić własne dostojeństwo narodowe, natchnęła go czcią dla Boga, życzliwością dla bliźnich i mocną wolą do wykonywania starannie i ofiarnie wszystkich swoich obowiązków obywatelskich.

---

Miłujcie tę ojczyznę swoją i to Jeruzalem swoje, to jest koronę tę i Rzeczpospolitą, a mówcie tak z serca z Dawidem: „Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki mojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę". O jakie zaklinanie, którem się wiązać macie, abyście nic sobie tak miłego, tak wesołego nie mieli, jako dobro Jerozolimy swojej, to jest Rzeczypospolitej i ojczyzny swojej, życząc sobie onego w psalmie błogosławieństwa: „Błogosław ci Bóg, abyś patrzył na dobro Jerozolimy po wszystkie dni wieku twego".

Jako najmilszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, wyposażyła, wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty kto zasmuca matkę swoją. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? która gniazdem jest matek wszystkich i powinowactw wszystkich i koroną dóbr waszych wszystkich? „Jeruzalem, matka nasza, — mówi apostoł — nad wszystkie matki czci i szanowania godna".

**Ks. Piotr Skarga**

---

# Czas i praca.

Niektóre narody cywilizowane, np. francuzi, anglicy, niemcy, amerykanie mają u siebie dni świątecznych znacznie mniej od nas. Ale nie z tego powodu nazywamy ich pracowitszemi. Bo również my, polacy, nie staliśmy się zaraz od 1 stycznia 1925 r. pracowitsi tylko dlatego, że właśnie od tego terminu weszło w życie nowe prawo, zezwalające nam pracować w niektóre dnie, dotychczas świąteczne.

Owszem, przybyło nam w taki sposób więcej dni roboczych, ale w nas przez to odrazu nie spotężniały zalety: pracowitości, ruchliwości, zabiegliwości i przedsiębiorczości.

Przez to nowe prawo zaliczamy się już do grupy narodów, mających mało dni świątecznych, a dużo dni roboczych, — lecz jeszcze przez to tylko jedno niepodobna nam porównywać się z narodami najpracowitszemi.

Pewna część rodaków pomnożyła swoje zarobki, bo teraz więcej mają dni powszednich, — ale jeśli chcemy w całym narodzie wzmódz pracowitość, zaradność i zapał do różnych robót pożytecznych, musi każdy z nas przedewszystkiem inny, chyba lepszy, ład zaprowadzić w duszy swojej.

Zapewne, to co teraz oświadczę, wyda się może niejednemu przykrem, ale, trudno, godzi się wyznać, że u nas, doprawdy, dość jeszcze powszechnie, bardzo góruje próżniactwo duchowe i fizyczne.

Wprawdzie w krajach obcych różni chlebodawcy chwalą pracowitość naszych rodaków, wygnanych z kraju niedostatkiem. I nawet tu, w Polsce, podczas wojny ostatniej obcy wojacy podziwiali tych naszych wieśniaków, którzy niemal tuż obok okopów bojowych wytrwale orali swoje zagony, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo nie zagrażało ich jutru.

Lecz te objawy jeszcze nie świadczą o cnocie pracowitości. To tylko mus, troska o nasycenie swego głodu Ten i ów robi, bo musi, bo lęka się widma nędzy! A pracowity robi, bo chce, bo łaknie roboty ustawicznie, przemyślnie, zabiegliwie, natrętnie, z zapałem, gorliwie!..

A teraz chcecie dowodów dość powszechnego u nas próżniactwa?

Naprzód rzuca się w oczy smutny stan dróg naszych... Drogi pełne wyboi, kałuż, a nieraz prawie sadzawek. Podczas roztopów, lub cokolwiek dłuższego deszczu wozy jadą nie drogą, bo niemożliwa, ale polami, po zasiewach... Albo gdy zimową porą śniegu wiatr nasypie na drogi w wąwozach i nizach, już

tam na nich konie i furmani mają udręki coniemiara.

Czemu tak się dzieje? Chyb to świadczy tylko o nieżyczliwości mieszkańców okolicznych dla wszystkich bliźnich?

Nie, jeno brak nam ochoty do pracy, jeszcze nie szukamy roboty najpilniejszej, pożytecznej wszystkim! Gdyby każdy gospodarz, a zwłaszcza synek jego młodzieńczy, wyszedł kiedy-niekiedy z łopatą na swój kawałek drogi, naprawił go starannie i chętnie, już napewno cała droga zawsze byłaby w niezgorszym stanie. Albo gdyby każdy w stosownej porze rozgarniał śnieg na gościńcu, przejazd nigdy nie byłby zatamowany, lub utrudniony.

Lecz, niestety, jeszcze wielki niechciej w nas siedzi!

Dalej, czemuż nie mamy drzew przy drogach? Stare drogi dworskie zdawna widzimy obsadzone topolami, świerkami, akacjami i kasztanami.

A no, bo dwory dawniej kazały swojej służbie obsadzać, więc rozkaz bywał wykonany. A dziś nikomu się nie chce trudzić, bo to połączone z niejakim wysiłkiem; trzeba przecież poszukać w okolicznym lesie drzewek młodych, wykopać je, przynieść, lub przywieść, posadzić, opalikować może, a potem jeszcze niekiedy doglądać, żeby bydło nie obaliło, albo jaki podróżny nie wyrwał, lub złamał na kijasek dla siebie, bo i temu przechodniowi nie chce się iść do lasu, poszukać kijka lub biczyska, ale sięga łatwo po gotowe, posadzone przy drodze! Taki jest nietylko szkodnikiem, ale i leniuchem!

Jeszcze inne pytanie: A czemuż u nas po wsiach tak mało jest sadów? A znowu w wielu sadach drzewiny zaniedbane i gatunki nieosobliwe, lub nawet nieodpowiednie do jakości gruntu. Dlaczego tak jest? Czy brak nam tanich i jasnych wskazówek? Bynajmniej! Każdemu są dostępne książeczki Jankowskiego, pouczające o sposobach zakładania sadów, pielęgnowaniu drzew i urządzania szkółek owocowych. Zdaje się, nic łatwiejszego nad zrobienie we wsi jednej szkółki owocowej dla wszystkich gospodarzy. Jakaż byłaby dla wsi wygoda, korzyść i chluba, gdyby miała u siebie umiejętnie prowadzoną szkółkę owocową, zaopatrzoną w szczepki doborowe i zastosowane do gruntu miejscowego!

A czemuż wieś takiej szkółki nie posiada? Czy niema komu tem zająć się? Owszem, młodzieńców jest sporo i nawet są między niemi zdatni do takiej roboty. Mieliby i zajęcie i dochodzik z tego pokaźniejszy. Może czasu nie mają? — O, aż nadto! Toć najczęściej tylko wałęsają się z kąta w kąt, hulają, psocą, zbytkują, że nieraz trudno wytrzymać z niemi. Ale o założeniu szkółki owocowej nie chcą nawet słyszeć, bo leniuszek w nich siedzi. Musieliby przecież przeczytać książki, pracować, pilnować, pielęgnować szczepki. Taki trud jest im nie wsmak, bo lenistwo w nich góruje!

Wreszcie zapytajmy: czemuż u nas tak ospale i częstokroć niepomyślnie działają różne organizacje społeczne: kółka rolnicze, stowarzyszenia spożywcze i inne tym podobne spółki?

Zazwyczaj usłyszymy jedną odpowiedź: nie mamy ludzi uczciwych.

O, nie to jest głównym powodem niepowodzenia, lecz tylko lenistwo nasze!

Tak. Tu i owdzie jeden kradnie, oszukuje, bo niema kto go dopilnować, w porę sprawdzić, zapobiedz nadużyciu.

To jest przecież oczywiste że niedozor psuje ludzi. Gdzie gospodarz niedbały, tam służba wprędce dopuści się złodziejstwa. Takim niedbałym gospodarzem bywają częstokroć zarządy w różnych stowarzyszeniach naszych. Jeden członek pracuje, a inni mało, lub nic nie robią. Ten jeden stopniowo zniechęca się, zaniedbuje, a służba, zostawiona bez należytego dozoru, czyni sama, co jej się żywnie podoba, więc garnie do siebie, a spółce gotuje upadek niechybny!

Zatem, jak nam należy postąpić żeby lepszy ład zaprowadzić w duszy naszej, żeby w niej urosła i górę wzięła pracowitość wielka i umiłowana?

Pytanie ciekawe!

Jeden z rodaków takiej udzielił odpowiedzi:

Przyswojenie sobie i umiłowanie pracowitości nabywa się trzema sposobami: ambicją, życzliwością dla narodu i obowiązkowością.

Ambicja chce wykonać robót najwięcej i najlepiej.

Życzliwość dla narodu gorąco pragnie przysporzyć rodakom pomyślności, dlatego ochoczo podejmuje się prac pożytecznych.

A zaś wskutek swej obowiązkowości rodak gotowy jest podjąć się każdej pracy, byle spełnić mógł swoje powinności obywatelskie, zawodowe, rodzinne i chrześcijańskie.

Kto ma serdeczne upodobanie w swoich obowiązkach, ten zpewnością miłuje każdą pracę, związaną z niemi.

Niech każdy dużo dobrego czyni ludziom bodaj wszystkim! Takie jest hasło obowiązków obywatelskich i chrześcijańskich

A na pytanie: czemu bogactwa ojczyzny naszej dotychczas bodaj jedynie znajdują się w rękach obcych, — odpowiemy za tydzień.

---

Ten tylko osiągnie powodzenie w swej pracy, kto ją kocha.

**Edward Bok.**

---

# List do „Orła Białego".

z Bychawy.

Dnia 26 grudnia r. z. nauczycielstwo miejscowe urządziło dla dziatwy szkolnej choinkę, urozmaiconą śpiewami i deklamacjami, wykonanemi przez dzieci.

Zabawa ta odbyła się w domu ludowym. Wejście bezpłatne. Sala została wypełniona po brzegi. Rodzice pragnęli widzieć swe dzieci, bardzo uradowane zabawą. A istotnie nauczycielstwo zrobiło wiele, bo wcześniej, przed zabawą, zebrało od życzliwych osób sporą sumkę ofiar: 79 złotych i nadto pewną ilość materjału na sukienki dla dzieci. Za te ofiarki komitet nauczycielski nabył podarki, które właśnie podczas choinki zostały rozdane ubogiej dziatwie szkolnej. Aż czterdzieściorgu dzieciom udzielono na gwiazdkę pożyteczne upominki, więc rozdano 12 sukienek, 6 ubranek, 3 kurtki, 1 parę butów, 5 czapek, 2 płaszcze, 1 koszulę, 1 sweterek, 1 fartuszek, 4 pary pończoch, 1 spodenki, 1 chusteczkę, 8 książek, 1 parę rękawiczek. Nadto każdemu dziecku dano bułeczkę i dwa jabłuszka.

Uciecha była ogromna! Na te wszystkie podarki wydano 93 złote, więc o 14 złotych więcej, niż zebrano z ofiar dobrowolnych. Brakującą sumę komitet nauczycielski pokrył z dochodu Jasełek, które zostały pomyślnie i ładnie odegrane dnia 4 stycznia r. b. w tymże domu ludowym i również staraniem nauczycielstwa miejscowego.

Należy się serdeczna podzięka temu nauczycielstwu za mozolną pracę, podjętą dla urządzenia choinki i Jasełek. Nie wymieniamy nazwisk nauczycieli i nauczycielek, bo wszyscy równo gorliwie, usilnie przyczynili się do stworzenia całości miłej i pożytecznej.

Dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze!

Miejscowa policja państwowa ze swoim komendantem na czele, ruchliwym p. Barszczewskim, urządziła wspaniałą rozrywkę mieszkańcom Bychawy i okolicy. Oto dnia 6 stycznia r. b. w domu ludowym odbył się koncert muzyczny i śpiewaczy.

Koncert muzyczny wykonała bardzo ładnie orkiestra policji państwowej, umyślnie przybyła z Lublina do Bychawy. Zespół orkiestry, składający się z 25 osób, przyjechał z sympatycznym swoim dyrygentem, a zagrał wspaniale, artystycznie.

Sala była poprostu zapchana publicznością, która uważnie wysłuchała gry, darząc wykonawców hucznemi oklaskami, zasłużonemi w zupełności.

Ale i chór śpiewaczy pod sprawnym kierunkiem swego dyrektora, p. Wincentego Onuszkiewicza, wywiązał się z trudnego zadania swego bardzo dobrze. Życzymy chórowi serdecznie powodzenia, pragniemy słyszeć go częściej w domu ludowym, bo dostrzegliśmy w chórze i dyrygencie poważną siłę, która może podjąć się i wykonać bardzo ładne utwory koncertowe. A warto rozpowszechnić piękno pleśni polskiej, obudzić w sercach polskich gorącą miłość dla niej!

Jak również bardzo życzliwie zapraszamy uprzejmą orkiestrę lubelską policji państwowej, aby znowu, możliwie w niedługim czasie, zawitała do Bychawy i jeszcze uradowała nas tak pięknie wykonanemi utworami!

Oczywiście, dobrze jest łączyć piękno z pożytkiem. Orkiestra i chór urządzili koncert miły d. 6 stycznia dla powiększenia dochodu na świetlicę policyjną w Lublinie. Dochód był pokaźny. A teraz warto by w niedługim czasie urządzić w Bychawie podobny koncert na odnowienie miejscowego szpitala „Samarytanin".

Zatem i szanownej orkiestrze lubelskiej pragniemy powiedzieć: dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze!

---

Trzy najtrudniejsze rzeczy w życiu — to: dotrzymać tajemnicy, wybaczyć krzywdę i zrobić dobry użytek z wolnego czasu.

**Chilon.**

---

# Nowiny z Polski.

**Warszawa.** Pan Prezydent Rzeczypospolitej w dniu 1 stycznia r. b. przyjmował życzenia noworoczne na zamku.

Po wysłuchaniu mszy św. w kaplicy zamkowej P. Prezydent, otoczony ministrami, przeszedł do sali marmurowej i tam przyjmował życzenia od wielu osób, zajmujących najwyższe stanowiska w kraju, a więc od księdza kardynała Kakowskiego, od marszałka Senatu i od prezesa ministrów, Grabskiego.

Następnie P. Prezydent udał się do sali rycerskiej, gdzie już oczekiwali na niego zgromadzeni ambasadorowie i posłowie państw obcych. Gdy zbliżył się do nich P. Prezydent, wówczas nuncjusz apostolski, jako przedstawiciel Ojca św., ksiądz arcybiskup Lauri, przemówił życzliwie w imieniu wszystkich zebranych.

Przytaczamy tu tylko niektóre wyjątki z jego mowy: „Panie Prezydencie! Członkowie korpusu dyplomatycznego, przebywający w tej słynnej stolicy w której bije serce całego narodu polskiego, są szczęśliwi, iż mogą u świtu Nowego Roku złożyć Panu w swojem imieniu, oraz w imieniu swoich monarchów i naczelników państw, których mają zaszczyt reprezentować, najlepsze życzenia szczęścia osobistego dla Pana, Panie Prezydencie, oraz życzenia wielkości dla jego ojczyzny. Jestem głęboko przeświadczony, że tylko przyjazne porozumienie, z którego wynikają dobre stosunki, jest najpoważniejszą rękojmią pokoju światowego, do którego dążą wszystkie wzniosłe umysły, ponieważ rozumieją, iż bez niego niemasz prawdziwego postępu między ludźmi ani szczęścia między obywatelami poszczególnych krajów. Oby Opatrzność Boska spełniła te życzenia, pozwalając Polsce przysłużyć się czynnie sprawie pokoju w świecie".

Pan Prezydent zaraz odpowiedział. Z jego mowy przytaczamy tu wyjątek: „Wielkie dni i uroczyste doroczne święta, które dokoła ognisk domowych gromadzą rodziny, są jakby symbolem tej zgody i jedności, jaka powinna zapanować między ludźmi, a do której dąży też cała wielka rodzina narodów. Piękny zwyczaj dozwala również w życiu politycznem przez wymianę życzeń noworocznych między przedstawicielami wszystkich narodów objawiać uczucia braterskie, jakie powinny kierować ludźmi. Z radością widzę w zwyczaju tym obraz szczęśliwej i jasnej przyszłości, którą wspólnym wysiłkiem pragniemy światu zapewnić. Polska pragnie być zawsze czynnikiem twórczym tego wielkiego pokojowego dzieła, które jest najpiękniejszą rękojmią szczęścia ludzkości a które niewątpliwie zostanie osiągnięte dzięki coraz to owocniejszej współpracy wszystkich państw".

W trzeciej sali P. Prezydent przyjąwszy życzenia od przedstawicieli różnych stanów społeczeństwa, tak przemówił:

„Rok ubiegły dał nam dwie wielkie zdobycze: równowagę budżetu i dobry pieniądz godny nazwy polskiej. Dziś na progu nowego roku pragnę podkreślić potrzebę jaknajbardziej wytężonej pracy dla wzmożenia tętna naszego życia gospodarczego. Praca—to największe bogactwo Polski, a dobra jej organizacja i umiejętne kierownictwo w atmosferze pokoju są w naszych czasach, wraz z szerzeniem oświaty, nieodzownemi warunkami zbudowania takiej Polski, dla której żyli i umierali nasi najlepsi poprzednicy. Oby Opatrzność Boska otaczała nas nadal dobrą opieką dla zaszczytnego wywiązania się z wielkich obowiązków, jakie naszemu pokoleniu przypadły w udziale dla osiągnięcia najwyższego dobra Rzeczypospolitej".

**Cena prenumeraty:** Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr. Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2.** — — — — — — **Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 18 stycznia 1925 r. № 3.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Kopalnia złota.

Nigdy nawet na myśl nie przyszłoby tobie, czytelniku, że w Polsce istnieje kopalnia złota! A jednak widocznie istnieje, bo najwyraźniej **ogłoszenie publiczne** zapowiedziało, a więc nie na kpiny, sprzedaż „**kopalni złota** w mieście powiatowem na Pomorzu“, to jest w tej części Polski, która leży opodal morza Bałtyckiego, a która niedawno wyzwoliła się z pod katowskiej przemocy prusaków.

Ogłoszenie takie zostało wydrukowane w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 19 grudnia 1924 r., to znaczy akurat miesiąc temu.

Doprawdy, chyba w każdym, bodaj narazie, musi ono zbudzić wielkie zdziwienie, gdyż, czy podobna, by w Polsce, nawet na Pomorzu, znaleźć się mogła kopalnia złota! Przecież na falach morskich Bałtyku do nas przybywają tylko dolary amerykańskie razem z naszemi rodakami poczciwemi, ale nie złoto, choćby kalifornijskie! O, nie! Amerykanie złota swego darmo nie puszczą do Polski, więc skądżeż wzięła się aż cała kopalnia jego na Pomorzu?

Ależ ogłoszenie wzmiankowane podało do wiadowości sprzedaż nie kopalni prawdziwej, jeno interesu przemysłowo-kupieckiego, tak obfite dającego bogactwa swemu właścicielowi, jakich zwykła dostarczać kopalnia złota, dopiero napoczęta!..

A jakiż to interes przemysłowo - kupiecki może być trafnie porównany z kopalnią złota?

Czy będziesz długo namyślał się, szanowny czytelniku, jaką dać odpowiedź?

Chyba nie! Więc niemal przewidująco, a stanowczo zawołasz:

— O, tam napewno jest mowa o trunkach!

Zgadłeś! Ogłoszenie to bowiem, istotnie, pod nagłówkiem: „kopalnia złota“ taką wieść podaje: „Dobrze zaprowadzona **fabryka wódek i likierow,** założona w r. 1874, oraz **fabryka wód mineralnych,** połączona z **restauracją** i **interes kolonjalny** w powiatowym mieście na Pomorzu, jest natychmiast do sprzedania“.

Czemuż jednak aż cztery interesy razem istniejące obok siebie i razem objęte wspólnem porównaniem z kopalnią złota, wystawione są na sprzedaż?

Domyślność czytelnika takie daje wyjaśnienie prawdopodobne:

Kopalnią złota jest „fabryka wódek i likierów“, a wejściem do niej i ułatwieniem: „restauracja i interes kolonjalny“, pomocnikiem zaś „fabryka wód mineralnych“.

Toć „fabryka wód mineralnych“ potrzebna przy „fabryce wódek i likierów“, gdyż kto przebierze miarę w piciu trunków, musi do porządku swój organizm przyprowadzić użyciem wody sodowej, salcerskiej, albo innej orzeźwiającej, lub przeczyszczającej. A restauracja nawet bardzo pożyteczna przy „fabryce wódek i likierów“, gdyż nie każdy zechce pić trunki na ulicy. Taki niełądny zwyczaj mają tylko niektórzy jarmarkowicze w Bychawie, a na Pomorzu nie jest przyjęty, więc tam restauracja jest niezbędna.

I „interes kolonjalny“ również się przyda przy „fabryce wódek i likierów“, bo w „interesie kolonjalnym“ są napewno sprzedawane różne wina, koniaki, piwo i porter, jest tam też kawa niemielona gwoździki, soda w proszku. Tego wszystkiego właśnie często pożądaja trunkowcy. Oni w restauracji jedzą, bo przecież trzeba coś-niecoś przekąsić, żeby potem gładko popić, a znowuż tylko poprzestawać na wódce i likierach nie każdy zechce. Ten i ów lubi przepłatać winem, piwem i porterem, a żeby

domownicy, gdy wróci do domu, nie odgadli po zapachu jego oddechu, jakich używał trunków, w drodze z restauracji gryzie ziarnka kawy, lub gwoździki korzenne, które też nabywa przezornie w „interesie kolonjalnym"...

Tak tedy cały garnitur „kopalni złota" został wystawiony na sprzedaż przez bardzo sprytnego właściciela. Nietylko wiedział on, jak nazwać swoje interesy przemysłowo-handlowe i w jaki sposób najpewniej zachęcić fachowców do kupna, lecz nadto chciał szczerze i jawnie, bo publicznie, porównać swoje interesy dochodowe z „kopalnią złota"!

Jednak my w tej szczerości jego dopatrujemy sie okrutnej drwiny, nawet naigrawania się z tych wszystkich, którzy używają trunków!

Bo przecież chyba każdemu wiadomo, że kopalnia złota nie znajduje się w butelkach, napełnionych trunkami, jeno

**w kieszeniach trunkowców!**

Nikt złota nie wyleje nawet z butelki najprzedniejszego gatunku wódki, likieru, koniaku, wina i piwa! Ustawmy na półkach sklepu tysiące butelek z trunkami i następnie zamknijmy sklep na klucz, — czy taki sklep, szczelnie zamknięty, będzie dostarczać złota, jak kopalnia?

Nie!

Dopiero gdy do sklepu otwartego wejdą trunkowcy i płacić będą za każdy łyk trunku, wówczas, istotnie, z ich kieszeni znacznie przypływać strumień złota do kieszeni właściciela trunków. I on wtedy trafnie powie: w kieszeniach moich gości, płacących mi za moje trunki, mam obfitą, niewyczerpaną kopalnię złota!

Przeto dla fabrykanta wódek kopalnią złota są nie jego fabryki i interesy, lecz tylko

**kieszenie trunkowców!**

Im więcej pieniędzy wydają oni na trunki, tem trafniej właściciel swoją fabrykę może nazwać „kopalnią złota".

Wszelakoż ogół słusznie oburza się na takiego fabrykanta, który niemal szyderczo nazywa swoją fabrykę „kopalnią złota".

Lecz i trunkowcy zasługują na wielką naganę, bo niosą swoje ciężko zapracowane grosze i złote do otchłannej kieszeni fabrykanta trunków!

W domu trunkowca głodno i chłodno, dobytek jego marnieje, mienie szczupleje, nawet doszczętnie przepada!

Iluż trunkowców musi niezmiernie dużo stracić pieniędzy swoich na trunki, ażeby fabrykant tych trunków mógł, uśmiechając się zadowolony, nazwać swoją fabrykę „kopalnią złota"!

Trunkowcy marnują ogromnie dużu pieniędzy, zdrowie, czas, szczęście rodzinne i własne, nadto dobre imię swoje, — a wzamian za to co zyskują?

**Tylko udrękę i hańbę!..**

A fabrykant „wódek i likierów", osiągając dla siebie w kieszeniach trunkowców kopalnię złota, co zdobywa?

Złoto, z którego płyną łzy rodzin nieszczęśliwych i echa występków, zbrodni, upodlenia,

**popełnionych przez trunkowców!..**

Przeto „fabryka wódek i likierów" nie jest kopalnią złota, jak ją szumnie nazwał właściciel jej ukontentowany wielkością dochodu z niej, lecz otchłanią, mającą najściślejszy, bo przyczynowy związek z niedolą, nędzą i występkami bardzo wielu trunkowców!..

To jest nader smutne, lecz i prawdziwe, jakie ujawniają się dochody olbrzymie, czerpane tylko z kieszeni nałogowców nieszczęśliwych.

Niechżeż raz dowiedzą się oni, że ich kieszenie są kopalnią złota dla „fabrykantów wódek i likierów"..

# Czas i praca.

Kazimierz Kulwieć w swej książce: „Polska" wyszczególnia jakie i gdzie nasza ojczyzna ma swe skarby węgla kamiennego i brunatnego, torfu, nafty, wosku ziemnego, soli, rudy żelaznej, cynku, srebra, ołowiu, miedzi, siarki, fosforytu, bursztynu, wapieni kwarcytu, piaskowca, glinki, gipsu, nawet granitu.

Inny uczony polski, St. Bukowiecki, w swej książce: „Polityka Polski niepodległej" tak pisze „Polska posiada nieprzebrane bogactwa kopalne. Badania geologiczne wskazują, iż nietknięte dotąd zasoby węgla są w Polsce bogatsze, aniżeli w innych krajach węglonośnych i wskutek tego w dalszej przyszłości przewaga Polski pod tym względem będzie wydatniejszą, niż dotąd. Fakt posiadania tych wielkich zasobów naturalnych, będąc czynnikiem niezmiernie ułatwiającym zadanie uprzemysłowienia, jest wielką naszą korzyścią. Słowa pieśni: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie", mogą być do tych zasobów zastosowane. Istotnie, otrzymaliśmy w darze niezmiernie wiele, więc naszym obywatelskim obowiązkiem jest to, co otrzymaliśmy, należycie dla dobra narodu spożytkować". (str. 197)

Mamy w Polsce niemało miast przeważnie fabrycznych: Łódź, Pabjanice, Zgierz, Częstochowę, Żyrardów. Chlubimy się wielkiemi przestrzeniami ziemi bardzo urodzajnej, łąkami, lasami, rzekami i stawami zarybionemi, sadami...

Wszystko to prawda!.. A jednak to nas dziś jeszcze nie cieszy! Czemu? Bo niemal to wszystko jeszcze nie w polskich rękach!.

Czemuż nie ujęliśmy tych skarbów w swoje ręce? Czy brak nam czasu, albo nauki, albo pieniędzy?

Nie! — Tylko pracowitości zabiegliwej i wytrwałej nie mamy jeszcze w sobie!

Zaraz przekonam:

Oto boleśnie rzuca się w oczy każdemu w naszych miastach i miasteczkach okropne świadectwo o naszem próżniactwie, — a to świadectwo wystawiły nam domy i sklepy żydowskie.

Toć miasta i handel w Polsce niemal całkowicie jeszcze należą do żydów.

A dlaczego? Czy brak nam na to czasu? Czy żydzi mocniejsi od nas? Czy bogatsi? Albóż im pieniądze gotowe spadają z chmur?

Nie mówmy, że oni są chytrzejsi, podstępni,

przewrotni, natarczywi. Nie! Bo nie wskutek tego zagarnęli oni nasze miasta, a handel bodaj całkowicie ujęli w swoje ręce!

Z innego powodu to się stało.

Oto rzec muszę, iż oni są od nas **pracowitsi**! Dziwnie to brzmi, prawda? Bo przecież u nas utarło się zgoła inne mniemanie, że właśnie żydzi są leniwi, próżniacy, darmozjady! Tak ich ci i owi rodacy nasi nazywają. A ja innnego jestem zdania.

Żyd nie doje, nie dośpi, zdaje sie, jest nigdy nie zmęczony i nie zniechęcony, kiedy tego wymaga interes! Dla niego niema złej pogody, złej drogi i tej wymówki: „nie mogę".

— Co to znaczy „nie mogę"? — powiada żyd, rozgorączkowany nadzieją zrobienia korzystnego interesu. — Kiedy trzeba, to wszystko musi się znaleźć i pieniądze i czas i pozwolenie i różne sposoby inne! Ojej, nasz żydek nigdy się nie poleni, jeżeli ma jakąś myśl, że gdy podrepce koło interesu, odrobinę zysku znajdzie!..

Naszemu zaś rodakowi trudno wstać raniutko, niedojeść, niewypocząć, biegać długo, wielokrotnie ponawiać próby, pukać, szukać, doznawać niepewności i niepowodzeń.

— O, aż tyle zachodów! — woła przerażony przewidywanym trudem. I tak się lęka mozołu większego, że woli raczej głodować, cierpieć niedostatek, aniżeli narazić się na różne niewygody, kłopoty i trudy!,.

Poniższa tabelka dostatecznie nas o tem przekona. Pierwej dam wyjaśnienie, skąd się ona wzięła.

Oto jest u nas prawo, że każdy interes przemysłowy i handlowy nowozałożony musi być zameldowany w swoim sądzie okręgowym i następnie ogłoszony w miejscowym dzienniku. Otóż Lubelski sąd okręg. podaje takie meldunki do „Głosu Lubelsk."

Wpadło mi w rękę tylko pięć numerów „Głosu Lubelskiego" z tego rodzaju ogłoszeniami i z nich właśnie ułożyłem tabelkę. Nadmieniam jednak, że ogłoszenia podobne stale co czas pewien bywają drukowane w „Gło. Lubel." Kto więc ciekawy, może je w dalszym ciągu rozpatrywać i wysnuwać wnioski pouczające naszych rodaków.

| Nazwa zakładu | Ile polskich? | Ile żydowskich? |
|---|---|---|
| Towary łokciowe | — | 33 |
| Chustki | — | 2 |
| Galanterja | 5 | 1 |
| Skóry | — | 5 |
| Młyn | 2 | 5 |
| Wiatrak | 3 | — |
| Drzewo | — | 4 |
| Spożywcze | 17 | 30 |
| Tartak | — | 1 |
| Mąka | — | 1 |
| Garnki | — | 1 |
| Księgarnia | — | 2 |
| Siano | — | 1 |
| Zboże | — | 24 |
| Czapki, kapelusze | — | 3 |
| Konie | — | 3 |
| Bydło | — | 1 |
| Krawiec | — | 1 |
| Powrozy, rymarstwo | — | 2 |
| Blacharz | — | 1 |
| Szmaty, stare żelazo | — | 1 |
| Żelazo | — | 2 |
| Ubrania gotowe | — | 9 |
| Herbaciarnia | 3 | 2 |
| Masarnia | 5 | — |
| Rzeźnik | 1 | 2 |
| Dom noclegowy | — | 1 |
| Papier | — | 1 |
| Kolonjalne | — | 3 |
| Restauracje | — | 1 |
| Piwiarnie | 2 | — |
| Wódka | 7 | — |
| Tytoń | 1 | — |
| Przybory kuchenne | — | 2 |
| Obuwie | — | 6 |
| Konfekcja | — | 2 |
| Piekarnia | — | 7 |
| Węgiel | — | 1 |
| Owocarnia | — | 1 |
| Woda sodowa | — | 1 |
| Drobiazgi | 3 | 23 |
| Drób, jaja, cielęta | 1 | 17 |
| Pieczywo | — | 1 |
| Nafta i sól | — | 1 |
| Fabryka gwozdzi | 1 | — |
| Cukiernia | 1 | — |
| Handel artykułami budowlanemi | 1 | — |
| Starzyzna | 1 | — |
| Nierogacizna | 1 | — |
| Szewc | 1 | — |
| Trumny | 1 | — |
| Biuro techniczne | 1 | — |
| Apteka | 1 | — |
| Szczotki, mydło | 1 | — |
| Kożuchy | 1 | — |
| Cegielnia spółkowa | 1 | — |
| Zakład przemysłowy | 1 | — |
| Koszykarstwo | 1 | — |
| Razem | 64 | 205 |

Już porównanie ilości zakładów polskich z ilością żydowskich, wykazuje ogromną przewagę żydowskich, a wszakże w Polsce jest dużo mniej żydów, aniżeli nas, polaków!

Łatwo też daje się zauważyć szczegół dla nas niemiły. Oto rodacy nasi otwierają zakłady wymagające najmniej trudu i ryzyka. Najwięcej mają sklepów spożywczych — i z wódką.

A już napewno zawstydzają nas mocno liczby handlarzy zbożem, końmi, cielętami, drobiem i jajami.

Żydów-handlarzy zbożem jest aż 24, a polaka ani jednego! Drobiem, jajami i cielętami handluje żydów aż 17, a polak tylko jeden!

Jeszcze warto zauważyć, że jak pokazuje tabelka, żydzi handlują łokciowizną, gotowemi ubraniami, czapkami, obuwiem, skórami, drzewem, żelazem, mąką, garnkami, nawet sianem i utrzymują piekarnie, a o polakach niemasz tam żadnej wzmianki, jak gdyby ich tego rodzaju handel nic nie obchodził!

Dlaczego tak jest — rozważymy za tydzień.

---

Niema nic niemożliwego dla człowieka, który umie chcieć.

**Mirabeau.**

---

Sprawy tego świata ani trochę nie posuną sie naprzód, póki nie znajdzie się ktoś, kto je popchnie

**Garfield.**

# Nowiny z Polski.

— W ubiegły poniedziałek, w nocy dn. 12 stycznia, niemal nagle zmarł redaktor „Gazety Świątecznej“, ś. p. Tadeusz Prószyński, syn Konrada i Wandy z Korzonów. Urodził się w Warszawie 1873 r., gdzie ukończył gimnazjum, a potem instytut rolniczy w Puławach. Za gorliwą pracę oświatową władze rosyjskie więziły go w cytadeli, a następnie wysłały na wygnanie do Archangielska. Po kilku latach wrócił stamtąd do kraju i odtąd już stale a dzielnie ojcu swemu, ś. p. Konradowi (znanemu powszechnie pod przybranem nazwiskiem Kazimierza Promyka), założycielowi i pierwszemu redaktorowi „Gazety Świątecznej“, dopomagał w pracach pisarskich. A gdy ojciec umarł, objął po nim, jako dziedzictwo duchowe, stanowisko redaktora „Gazety Świątecznej“ i zaszczytnie wytrwał na niem aż do zgonu!

Ś. p. Tadeusz, również jak ojciec jego ś. p. Konrad, włożył całą duszę swoją w ukochaną „Gazetę Świąteczną“, redagował ją pieknie, a zawsze zgodnie z zasadami wiary Chrystusowej i z dobrem narodu.

„Gazeta Świąteczna“ nigdy nie sprzeniewierzyła się tym dwum przewodnim ideałom — dlatego zawsze była mile witana przez bardzo liczny zastęp czytelników i przyjaciół, którzy żałobną wieść o przedwczesnej śmierci swego redaktora zpewnością przyjmą ze smutkiem.

Szkoda zacnego pracownika na niwie oświatowej!

Ś. p. Tadeusz był też posłem na sejm i wiceprezesem Towarzystwa literatów i dziennikarzy. To świadczy, że miał duże zaufanie u społeczeństwa polskiego.

Dobrze zapisał swe imię w sercu narodu!

— Urządzeniem pielgrzymki do Stolicy Apostolskiej w tym roku jubileuszowym, czyli świętym, zajął się ksiądz Tomaka w Przemyślu. Już u niego zapisało się zgórą 5 tysięcy osób. Wszyscy odrazu nie będą mogli wyruszyć z kraju, więc partjami po 500 lub 600 osób co dni kilkanaście udadzą się ze swemi przewodnikami do Rzymu, o czem każdy w swojej porze zawiadomiony będzie, tak, że nikt nie dozna zawodu. O cenie i terminie jeszcze niewiadomo. Pierwszy wyjazd przewidywany jest nie wcześniej, niż około 27 kwietnia.

— Grono księży w Warszawie z księdzem Hilchenem na czele (ulica Jezuicka Nr. 6) podjęło myśl, godną usilnego poparcia, urządzenia z samej tylko młodzieży wycieczki do Rzymu. „Ojciec święty, przyjąwszy dnia 30 grudnia 1924 r. na posłuchaniu prywatnem przewodniczącego komitetu pielgrzymki młodzieży, ks. prefekta Hilchena, wyraził się, że „dzień, gdy będziemy mogli przyjąć u siebie i pobłogosławić młodzież polską z okazji odbycia przez nią pielgrzymki jubileuszowej, będzie dla nas dniem radości i serdecznego zadowolenia. Powiedz, — mówił dalej Namiestnik Chrystusowy — że młodzieży polskiej oczekuje Papież, jak ojciec swych ukochanych dzieci niech młodzież ta przybędzie, abyśmy ją mogli widzieć i cieszyć się nią. Tobie, komitetowi, rodzicom i wszystkim dzieciom polskim z serca błogosławię“

Niechże katolickie polskie społeczeństwo sprawi swemu Ojcu tę radość, której się spodziewa!

Pielgrzymkę młodzieży poprowadzi osobiście ks kardynał Kakowski.

# Rozmaitości.

— Sławny podróżnik angielski, Grettir Algarsson podjął się odbyć trzecią podróż okrętem do bieguna północnego. Pomoc ma zapewnioną, bo ludzie uczeni pragną zbadać w sposób naukowy całą okolicę bieguna pónocnego. Juz przygotowano mu odpowiedni okręt mocny, wytrwały na ścieranie się z pływającemi lodami. Algarsson zamierza nawet tam, gdzie już okręt zostanie zatrzymany lodami, dalszą podróż odbywać samo'otem.

— W San Antonio (stan Texas Ameryki Północnej) zmarł w grudniu 1924 r. Samuel Gompers, prezydent amerykańskiej Federacji (związku) pracy, mając lat 74.

Gompers urodził się w Londynie 1850 roku, a do Stanów Zjednoczonych przybył, jako trzynastoletni chłopiec. W 1881 roku zorganizował Federację pracy, jako stowarzyszenie unji (jedności) robotniczych i aż do dnia swej śmierci piastował najwyższe w tej organizacji stanowisko. A jest ta organizacja wielką bo liczy, przeszło trzy tysiące zorganizowanych robotników.

Zycie i praca Gompersa dawały wymowne świadectwo poświęceń dla umiłowanej przez siebie idei: polepszenia bytu robotnika, uspołeczniania go i oświecania. Gompers rozumiał, że szumne frazesy walki z kapitałem są mydlanemi bańkami i do końca swego życia był zaciętym wrogiem radykalizmu. Rozumiał on, iż tylko zgodna współpraca obu czynników: kapitału i pracy, może wytworzyć dobrobyt, że walka o polepszenie warunków robotnika nie oznacza bynajmniej zagadnienia ustrojowego, lecz wytworzenie takiej sytuacji, w które ogólny dobrobyt stałby się udziałem wszystkich obywateli.

Był czynnym na międzynarodowym kongresie robotniczym w Paryżu, gdzie uchwalono: 1) ustalenie normy płacy 2) praca nie jest towarem; 3) ogólno światowy ośmiogodzinny dzień roboczy; 4) zakaz zatrudniania dzieci w przemyśle; 5) równa płaca za jednakową pracę dla mężczyzn i kobiet.

Nietylko jako wódz, któremu bezgranicznie wierzyli robotnicy, ale i jako człowiek ogromnej wiedzy, był on osobistym przyjacielem pięciu prezydentów Stanów Zjednoczonych. Rad jego często zasięgali przezydenci: Mac Kinley, Roosevelt, Taft, Wilson i Harding, co miało dobroczynny wpływ na załagodzenie wielu poważnych przesileń przemysłowych.

Gompers, warunkami, w jakich obecnie znajdują się robotnicy amerykańscy i metodami, jakiemi do tego dochodzono, dowiódł, że nienawiść klasowa jest rzeczą z gruntu złą i niepotrzebną. Dowiódł, iż można wywalczyć i zapewnić byt robotnikowi bez uciekania się do metod wywrotowych. Dlatego też Gompers nie był w zgodzie z obozem socjalistycznym i był zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu.

Po za sprawami, związanemi bezpośrednio ze sprawą robotniczą, Gompers interesował się wszystkiem, co tyczyło się jego ojczyzny, Stanów Zjednoczonych i ogólnej polityki światowej.

W polityce wewnętrznej prowadził działalność mądrą, gdyż nie wiążąc się ani z demokratami, ani z republikanami i pozostawiając swym zwolennikom głosowanie według ich woli i przekonań, umiał, mimo to, przy każdych wyborach uzyskać coś dla sprawy robotniczej.

Gomperson zawsze trzymał się traktatu wersalskiego, obciążał odpowiedzialnością za wojnę ostatnią niemców i był za przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do Ligi narodów.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1. zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 25 stycznia 1925 r. № 4.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Już oni spełnili.

Zpewnością nieraz czytelnikowi naszemu zdarzyło się spotkać w gazetach i tygodnikach wiadomości, a nawet obrazki, jak tu i owdzie na świecie pewne osoby złożyły swoje wieńce **na mogile „nieznanego żołnierza**".

Weźmy do ręki choćby illustrowany dodatek do „Hasła Narodowego" (Nr. 2), widzimy tam na obrazku gromadę studentów belgijskich, składających podczas swego pobytu w Paryżu wieniec na grobie „Nieznanego Żołnierza".

Ten sam zwyczaj i sposób wyrażania się już u nas w Polsce wchodzi w modę.

Dajmy na to, każdemu wolno tak czynić i mówić, jak mu się żywnie podoba, — ale żeby stąd ogół nie poniósł szkody.

Tymczasem ów nowy sposób niezwykły składania wieńca **na mogile „Nieznanego Żołnierza"**, doprawdy, zapowiada szkody moralne i narodowe bardzo niebezpieczne dla ogółu polskiego.

Dlatego zwracamy na ten nowy objaw uwagę naszych rodaków.

Przedewszystkiem trzeba w czynach ludzkich szukać sensu. A więc co to znaczy: mogiła **„nieznanego żołnierza"?**

I my mamy w Polsce dużo takich mogił na polach naszych, lecz jakkolwiek ludność okoliczna nie zna nazwisk pochowanych tam nieszczęsnych żołnierzy austrjackich, rosyjskich i niemieckich, wśród których jest mnóstwo polaków, wszelakoż zawsze potrafią odpowiednie władze wojskowe bodaj bez omyłki wyszczególnić z imienia i nazwiska wszystkich wojaków, tam poległych!

Przeto nawet o tych mogiłach nie można rzec, że kryją „nieznanego żołnierza".

Takie wyjaśnienie jest niezbędne, zadowalnia ono wymagania serc ludzkich i czyni zadość sprawiedliwości powszechnej.

Bo czy podobna uczcić tych, których wcale **nie znamy?**

Już w tem tkwi... brak sensu...

Jeśli nie znamy, to za co składamy hołd?

Dziś, zapewne, stało się modą mówić o „mogile nieznanego żołnierza", lecz my, polacy, taką modę odstąpmy modnisiom i już bez jej wskazówek wszędzie tam, gdzie zostali pochowani ci, co spełnili wielką, czcigodną ofiarę krwi i życia swego w obronie najświętszych praw ojczyzny i narodu, uczcijmy ich, jako drogich nam i **doskonale znanych** bohaterów narodowych!

Wszyscy oni bez wyjątku wybornie znani są narodowi! Przecież oni najlepsze dzieci ojczyzny! Najlepsze, bo swoję do niej miłość stwierdzili nie słowami, lub gestami, ale własną ofiarą życia: krwią i śmiercią, nieraz bardzo męczeńską!..

Znani są, bo wszakże każdego z nich imię i nazwisko niejednokrotnie zapisane jest w księgach chrztu szkoły, pułku i wreszcie na kartach historji długich lat niewoli i ciężkich bojów o wolność narodu.

Czy o tych pięknych postaciach godzi się mówić półgębkiem, lub tajemniczo, jako niby o **nieznanym żołnierzu?**

Po wszystkie czasy w narodzie nigdy nie wygaśnie dla nich cześć i wdzięczność. Oni zawsze żyją w pamięci narodu, imiona ich powtarzają podania i historja!

Wiemy kto walczył i poległ na polach Maciejowic,... potem Ostrołęki,... Grochowa,... potem Grabowa, Iłży,... potem Warszawy, Otwocka, Płocka,... zresztą

wszędzie, w całej Polsce! Słusznie przeto mówi Komar w swoim wierszu o powstańcach z r. 1863: „O, nie wsiąka w ziemię marno krew ta, co za wolność płynie. Taka krew jest krwią ofiarną. **Nie umiera, kto tak ginie!..** (A więc nie zginie pamięć o nim w narodzie!).... O czem wy, polegli, tam w trumnach śnicie? Mówcie: czy z krwawego dzieła waszego będzie co? Ha, wy mówicie przez swe rany: „Nie zginęła!“..'

Niejako bez przerwy w ciągu długich lat niewoli szli ci nasi rodacy-bohaterowie do nierównej walki z mocarnemi wrogami ojczyzny. I zdawało się, że nie dadzą im rady, a jednak zczasem przemogli ich!

Rwali się do bojów iście z zapałem bohaterskim. W nich płonęła gorąca miłość ku Polsce, w nich nawet już świtał początek zmartwychwstania Polski! Bo przecież bez nich nie zmartwychwstałaby ona!

I dopóki takich synów ma Polska, dopóty istnieje ona wolna, bezpieczna, niezwyciężona!

Żywy naród polski wszystkim rodakom swoim, poległym po bohatersku w obronie Polski, zawdzięcza wolność swoję!

Czy więc godzi się mówić o nich, jako tylko o „nieznanym żołnierzu“?

Takiem mianem niezawodnie pokrzywdzonoby wielkie ich zasługi i rozgoryczonoby żyjących rodaków, zawsze gotowych spieszyć z ratunkiem ojczyźnie zagrożonej.

Ten i ów rodak zpewnością wystąpiłby z wymówką taką: Kiedy idę do wojska, lub jako ochotnik wchodzę w szeregi obrońców ojczyzny, wtedy zna mnie naród cały, uwielbia, darzy kwiatami i słodyczami! A gdy polegnę na szańcach Polski, — już staję się nieznanym? Gdzie się podziało moje nazwisko? Tak prędko zapomniano o niem? A wszakże jest ono zapisane w kościołku, gdzie mnie ochrzczono, potem zapisał je nauczyciel w szkółce, wreszcie zaciągną je w kancelarji pułkowej, a potem wygłoszą uroczyście, kiedy zasłużę na order!

Kiedy będę szedł na wojenkę, zawołam do moich: a nie zapomnijcie o mnie! daję krew swoją za wolność waszą, wy dajcie mi wzamian za to serdeczną o mnie pamięć, wspomnijcie choć przy pacierzu i wówczas także kiedy wam się będzie dobrze działo!

Tymczasem teraz na co się zanosi? Oto niektórzy, sami mając krótką pamięć, doradzają narodowi, by wszystkich swoich poległych rodaków-bohaterów nakrył jednem mianem: „nieznanego żołnierza“!... Już go dziś nie znają, a kiedy żył, to znali?...

Taką niepamięcią pokrzywdzonoby olbrzymie zasługi poległych i zarazem rozgoryczonoby żyjących rodaków, zawsze troskliwych o pomyslność i bezpieczeństwo ojczyzny!

Co więcej, wyrazy: ,,nieznanemu żołnierzowi“ jak gdyby przecinają serdeczny węzeł, łączący żywy naród z rodakami, poległemi w obronie jego niepodległości.

Trwa przecież między nami i niemi jedno zobowiązanie nieustanne. Oni do nas wołają: Nie zmarnujcie owocu naszej krwi przelanej, szanujcie niepodległość ojczyzny i przekażcie ją nieuszczuploną dalszym pokoleniom **naszym!** Myśmy już spełnili swój święty obowiązek narodowy. A wy, żywi, czuwajcie i za naszym przykładem nie mniej gorliwie, po bohatersku, spełnijcie go, gdy od was tego zażąda Polska w niebezpieczeństwie!

I właśnie takiej łączności serdecznej i zobowiązania mocnego między nami i niemi znakiem widomym musi być pomnik wspaniały i olbrzymi, jak wspaniałą i olbrzymią **jest ofiara rodaków, poległych za wolność ojczyzny.**

Naród musi wznieść taki pomnik swoim dobrodziejom najlepszym: synom, ojcom i dziadom, którzy pracą krwi swojej wydobyli z grobu niewoli Polskę niepodległą.

I naród cały nie poskąpi na taki pomnik swoich ofiarek obfitych, bo z serca pochodzących, lecz na tym pomniku nie może być wyryte proponowane miano: ,,Nieznanemu Żołnierzowi'', bo ono tam stałoby się bluźnierstwem!

Naród bowiem zna doskonale swoich czcigodnych bohaterów i zawsze jest z niemi w spójni najmocniejszej.

Przeto na pomniku muszą być wykute słowa złote:

**„Wdzięczny Naród wszystkim swoim Rodakom, poległym w obronie Ojczyzny“.**

Ten pomnik wiecznie stać będzie na straży dobra narodu polskiego.

Każde pokolenie polskie, patrząc na ten pomnik, powie sobie jedno hasło święte i niezmienne, przechodzące z ust do ust, od pokolenia do pokolenia: Ci, co zasłużyli sobie u narodu na ten pomnik, już wiernie i po bohatersku spełnili swój obowiązek narodowy. — I my bądźmy zawsze gotowi pójść na szańce za ich przykładem, także nie szczędząc jak oni, swego mienia, krwi i życia w obronie Ojczyzny!

# Sposób najpewniejszy.

Kiedy już około roku 1750 najrozumniejsi polacy zauważyli wielkie niebezpieczeństwo, grożące narodowi polskiemu utratą niepodległości, gorliwie jęli szukać sposobów odwrócenia od niego tej strasznej klęski. I wprędce doszli do przeświadczenia, że tylko dobre wychowanie da narodowi dużo dzielnych ludzi, a ci już uratują ojczyznę i cały naród od zguby.

Niestety, cokolwiek zapóźno przyszła im do głowy ta myśl szczęśliwa i zbawienna!

Pod wpływem tej myśli najlepsi synowie Polski wykonali dzieło przepiękne i najchwalebniejsze, bo założyli w r. 1773 tak zwaną Komisję Edukacji Narodowej, która wnet zajęła się zakładaniem szkół w całym kraju, przygotowywaniem dla nich nauczycieli i książek, a nadto opracowała program nauk szkolnych i sposoby nauczania, oraz wychowywania młodego pokolenia.

Ci mężowie najświatlejsi, którzy rękę swoją przyłożyli do stworzenia Komisji Edukacyjnej, bardzo wiele uczynili, bo zdążyli otworzyć wiele szkół i dać im mnóstwo wskazówek mądrych, — ale, niestety, już

nie zdołali zapobiedz upadkowi Polski, rozebranej przez wrogów zewnętrzych przy pomocy wrogów domowych. Jednak ich prace oświatowe, wskazania wychowawcze, rady, zasady nie przepadły!

Dziś naród polski nietylko wdzięcznie o ich pracach wspomina, ale czerpie z nich dla siebie obfitość nauki pożytecznej.

Komisja Edukacyjna wówczas już nie mogła ocalić Polski, ale napewno obecnie bardzo przyczyni się do wpojenia w naród polski przeświadczenia, że jeśli chce on zapewnić sobie przyszłość pomyślną, przedewszystkiem musi zatroszczyć się o dobre wychowanie swojej młodzieży.

Więcej nawet uczyniła Komisja Edukacyjna, bo dostatecznie wyświetliła, jakiemi przymiotami ma się odznaczać wychowanie, jeśli ma być dobre.

Te właśnie wskazówki Komisji Edukacyjnej w dalszych numerach bardzo często podawać nie omieszkamy!

# Czas i praca.

Doprawdy, boleję niezmiernie nad memi rodakami. Widzę u bardzo wielu niedostatek, a rozumię, że dałoby się jemu zapobiedz, — jednak jakoś nikt z miejsca nie rusza! Jesteśmy podobni do wozu, który ugrzązł w głębokiem błocisku i nagle ono błoto zamarzło. Nie ruszy wozu żadna siła. Trzeba czekać roztopów. O, to zadługo!

Pomówmy teraz wyraźnie.

Wysoce mnie dziwi, nawet oburza i chyba nietylko mnie, ten szczegół zawstydzający nas wszystkich, że my, polacy, naród przeważnie rolniczy, oddaliśmy w ręce żydowskie cały handel **naszem** zbożem, drzewem, bydłem, końmi, cielętami, jajami, drobiem.

Od lat kilkunastu rozpoznaję sprawę polskiego handlu zbożowego dość wnikliwie. Rozmawiałem o tym handlu z wieloma osobami, nawet wpływowemi, mieszkającemi w różnych stronach kraju, a mogącemi dużo zrobić dla tego handlu. I jednak ciągle stoimy niemal w tem samem miejscu, jak ów nieszczęśliwy wóz w błocku zmarzniętem!

Dlaczego tak się dzieje? Słyszę różne wyjaśnienia, wymówki i usprawiedliwienia. Wszystko to być może, lecz ja te wykręty „między bajki włożę". Wszystkie one bowiem niby mają zapach prawdy, ale tylko zapach, bo, po za potokiem słów gładkich, dostrzegam tego samego robaka strasznego, toczącego dusze bardzo wielu rodaków naszych, — robaka, który nosi brzydkie imię: **leń**!

Prezes kooperatywy rolnej w Warszawie, p. S. dość dawno upewniał mnie kilkakrotnie, że lada chwila powstanie polska organizacja handlu zbożem i obejmie kraj cały. Upłynęło wiele miesięcy i—figa! Potem udałem się również w Warszawie do dyrektora spółdzielni rolniczej, p. Ch. i ten mi oświadczył, że przez ministerstwo wojskowe uda się wyjednać dostawy zboża na potrzeby wojska. Miałem zamiar natychmiast być samemu w tej sprawie u ministra wojskowego, lecz pan Ch. odwiódł mnie od tej myśli, mówiąc, że oni sami to przeprowadzą łatwo. I znowuż po wielu-wielu czasach nasz wóz stoi w tem samem miejscu zamarzniętem!

Następnie zwracałem się do bardzo poważnej firmy w Lublinie, potem do paru banków, które obiecywały (gruszki na wierzbie) dać większą pożyczkę gromadzie wieśniaków, chcących u siebie, w swojej okolicy, zapoczątkować handel polskiem zbożem. Niestety, banki takiej pożyczki dać nie mogły, czy nie chciały, a gromadka wieśniaków może sama nawet zdołałaby u siebie między sobą zrobić chwalebny początek nowej pracy pożytecznej, lecz zabrakło jej na to.... czego?

Zgadnij, czytelniku! — Już ci dopomogę domyśleć się, — oto zabrakło jej niby... zaufania wzajemnego. Ale to tylko wybieg, bo po za niem kryje się stary **leń!..**

Po co mamy skrywać prawdę w tak niesłychanie ważnej sprawie! Przecież musimy raz rozrąbać błocisko zmarznięte i wydobyć z niego nasz wóz, który będzie nas wiózł drogą usilnej i samodzielnej, a mądrej pracy do lepszej, pomyślnej przyszłości nie tylko dla nas, dziś żyjących, ale i dla naszych dzieci których nie chcemy zostawić w niewoli kieszonkowej u żydów. Dość oni z nas korzystali, dość nas trzymali w ciemnościach handlarskich, wodzili za nos, jak baranów, płacili, co chcieli, a my naszą krwawicę na swoich plecach dźwigaliśmy do ich szpichrzów i magazynów. Musimy rzec prawdę nie tylko im, ale i sobie! Oni nas obełgiwali, a myśmy im wierzyli! Otumaniali nas nie dlatego, że jakoby jesteśmy mniej od nich biegli, mniej zdolni, bo tak nie jest, ale tylko dlatego, że jesteśmy mniej pracowici.

**Stary leń w nas jeszcze siedzi!**

Chcielibyśmy po dawnemu jeno gwarzyć pod piecem, fajkę palić i na luby jarmareczek od czasu do czasu wywozić miarkę zboża, trochę jaj, kurzynę, albo cielątko, a żydzina wygodny kupi to wszystko i zapłaci podług swej kalkulacji.

Już dość tej naszej gospodarki niedołężnej! Ona jest na rękę tylko tym, którzy dla siebie czerpią z naszej pracy chlebusia po uszy, a z nas drwią okrutnie i podstawiają nam nogę, gdzie tylko mogą, ażeby nas obalić, zdeptać i zająć po nas miejsce. Odgrzewamy żmiję, która nas truje swym jadem.

Wielki czas opamiętać się!

Niektórzy rodacy, nagabywani przezemnie, odpowiadają, że teraz pora niedogodna do rozpoczęcia handlu zbożem. A ja im na to: kiedyż ta pora nastanie?

Nie potrafili mi odpowiedzieć. Bo dla leniuchów każda pora niestosowna. Ale ten, „kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie"... „Dla chcącego, nic trudnego"! „Tylko trzeba chcieć, a wszystko dobre można mieć".

A nam, czy nie chce się chcieć?

O, już minął czas próżniactwa! Hej, do roboty, a raźno!

W każdej dobrej sprawie nigdy nie używajmy słowa „nie mogę". Ale przeciwnie, mówmy serdecznie i mocno: „wszystko dobre mogę z Tym, który mnie umacnia — z Jezusem Chrystusem".

Tak przecież powiedział św. Paweł, apostoł, po

to, żeby każdego, imającego się dobrej roboty, ożywiała krzepiąca nadzieja pomocy z Nieba. Stąd też powszechne przysłowie zachęca nas, mówiąc: „pracujcie, a Bóg wam dopomoże i niechybnie wykonacie dobre dzieło pomyślnie"!

Ostateczne myśli o handlu zbożem podamy za tydzień.

# Nowiny z Polski.

— Znowu podać musimy wieść smutną o nagłej śmierci ś. p. Lucjana Zarzeckiego, uczonego nauczyciela wyższej szkoły w Warszawie. Zmarł dnia 14 stycznia r. b., mając lat 52.

Urodzony w ziemi chełmskiej, przeniósł się do Smoleńska. Następnie kształcił się w uniwersytecie petersburskim, gdzie ukończył wydział fizyczno-matematyczny. Gdy wrócił do Polski, obrał sobie zawód pedagogiczny nie jako środek do życia, ale jako cel życia.

Wykładał matematykę i fizykę, jako swoje przedmioty. Jednak nie zasklepił się w swojej specjalności. Miał umysł filozoficzny, skłonny do rozmyślań. Przytem miłował młodzież, pragnął nastręczyć jej piękne i zacne ideały na drogę życia. A że miłował ojczyznę, więc starał się wychowywać młodzież polską na dobrych obywateli.

Nie poprzestawał na wykładaniu nauk w szkole średniej, a potem wyższej, czyli w uniwersytecie, lecz nadto pisywał artykuły naukowe do różnych czasopism polskich i układał książki bardzo ciekawe i pożyteczne.

Niektóre tu wyszczególnimy: „O charakterze ze stanowiska wychowawczego". — „O idei naczelnej polskiego wychowania". — „Charakter i wychowanie". Ta ostatnia książka jest niezmiernie bogata w myśli pierwszorzędnej wartości. W dalszym czasie postaramy się naszych czytelników bliżej zapoznać z treścią jego książek.

Wykształcony gruntownie, obeznany z najlepszemi książkami francuskiemi, niemieckiemi i angielskiemi, pouczającemi o sposobach wychowania młodzieży, sam zalecał „umiejętne prowadzenie młodzieży ku poznawaniu i ocenie obowiązków ludzkich, narodowych i społecznych. Naczelnym jego ideałem był dzielny człowiek, dobry polak i świadomy swoich obowiązków i celów obywatel budującego się państwa polskiego.

„Przeciwnik wszelkiej nieszczerości, zmierzał on prostą drogą do wytkniętego celu z głębokiem przekonaniem i wiarą, iż „Bóg narodami pisze dzieje świata", że przeto „wychowanie narodowe" jest jedynem właściwem wychowaniem, które musi przeciwstawić się stanowczo i silnie wszelkim „międzynarodowym mrzonkom", czyli urojeniom.

Z wielką stratą dla narodu i dla nauki o wychowaniu, przedwcześnie odszedł od nas ś. p. Lucjan Zarzecki, zacny polak, mądry myśliciel i dobry wychowawca młodzieży naszej.

— Prezydenci miast: Lublina, Częstochowy, Piotrkowa i Radomia podpisali u rejenta akt pożyczki, na którego podstawie firma amerykańska „Ulen et Co" przeprowadzi w tych czterech miastach kanalizację i wodociągi, w Lublinie zaś wybuduje nadto rzeźnię i halę targową, a w Radomiu rzeźnię. Roboty rozpoczną się na wiosnę.

— W Warszawie na głównym dworcu już podjeżdżał do stacji pociąg, ale jeszcze był w biegu i wtedy wyskoczył z wagonu szesnastoletni Tadeusz Wójcik, uczeń, który codziennie przyjeżdżał z Pruszkowa do szkoły w Warszawie. Wyskoczył zawcześnie, sięgał już ziemi, ale pęd pociągu porwał mu nogę pod koła, które zmiażdżyły ją powyżej kolana. Ratunek dano mu szybki, lecz wielki upływ krwi spowodował śmierć jeszcze przed zawiezieniem go do szpitala. Takie to bywają skutki nierozważnego pośpiechu.

# Wiadomości polityczne.

— Przedstawiciele czterech państw: Polski, Estonji, Finlandji i Łotwy zebrali się w Helsingforsie na narady polityczne. Przyczyna, która przedewszystkiem zmusiła te państwa do obmyślenia sposobów pomocy wzajemnej, jest niebezpieczeństwo, grożące im ze strony Rosji sowieckiej, istnieją jednak i inne powody, skłaniające te cztery krainy do porozumienia się w sprawach narodowych, ekonomicznych i politycznych.

— W Niemczech utworzył się nowy zespół ministrów, rządzących państwem. Na czele ministrów stanął kanclerz Luter.

— We Włoszech Mussolini ma wprawdzie dużo przeciwników, ale jest za nim przeważająca część narodu i ta mu nie da zginąć. Mussolini ma wielki rozum i oględność, a przytem szczerą, bezinteresowną wolę bronienia Włoch przed wszelkiego rodzaju wywrotowcami, burzycielami i niedowiarkami. Mussolini chce przyczynić się do ugruntowania we Włoszech ładu, dostatku, poszanowania prawa i wiary Chrystusowej. Jakkolwiek wrogowie radziby go zgubić, — on jednak zwycięży, bo narodu i religji chrześcijańskiej nikt nie zdoła obalić.

— Rząd francuski zgodził się oddać Rosji sowieckiej okręty rosyjskie, przebywające w portach francuskich. Lecz rząd turecki zapowiedział, że tych okrętów nie przepuści przez swoje wody w Bosforze i Dardanelach.

— W Paryżu, stolicy Francji, przebywa poseł Rosji sowieckiej, Krasin. Rozmawiał on z francuskim prezesem ministrów, Herriotem, który mu rzekł, że Francja nie pozwoli u siebie szerzyć bolszewizmu i żąda od Rosji sowieckiej spłaty długów przedwojennych.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 1 lutego 1925 r. № 5.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Książe Józef Poniatowski



Urodził się 1763 roku. Od wczesnych lat służył w wojsku. Zawsze odznaczał się odwagą, szlachetnością i pilnością w wykonywaniu swoich powinności żołnierskich. Lubiany był powszechnie.

Kiedy król Stanisław August przeniewierzył się narodowi, przechodząc jawnie na stronę zdrajców, sprzyjających Rosji, wówczas książe Józef, zmartwiony tem odstępstwem króla, uwolnił się z wojska i wyjechał z kraju. Lecz gdy tam doszły go wieści o powstaniu Kościuszki przeciwko Rosji, zmierzającej do ostatniego rozbioru Polski, natychmiast wrócił do Polski i wspólnie z wiernemi synami ojczyzny walczył do ostatka o jej niepodległość.

Gdy zostało utworzone Księstwo Warszawskie, powołano go na ministra wojny. W r. 1809, na czele zorganizowanej przez siebie armji, pomyślnie walczył z Austrjakami pod Raszynem, następnie zajął Galicję razem z Krakowem.

Towarzyszył Napoleonowi w wielkiej wyprawie wojennej 1812 r. do Rosji, jako komendant prawego skrzydła armji. Mężnie bił się pod Borodinem. Daremne wszakże były ich wysiłki rycerskie. Ogólna przegrana zmuszała wszystkich do ustąpienia z Rosji.

A kiedy wobec niepowodzeń i klęsk Napoleona, bardzo wielu odstąpiło od niego, książe Józef trwał przy nim niezmiennie. Wrogowie Napoleona powabnemi obietnicami kusili księcia, by i on porzucił cesarza francuzów, jednak rozumny i szlachetny książe odrzucił pokusy, wykazując wielką siłę moralną ducha swego. Wierzył bowiem szczerze, iż trwając przy boku Napoleona, walczy nie za sprawę jego, ale jedynie za wyzwolenie Polski i za cześć wojska polskiego.

Wreszcie wziął udział w nieszczęśliwej bitwie pod Lipskiem , walcząc i tam, jak zawsze, po bohatersku. Dopiero tu, w ogniu strasznej bitwy, Napoleon, zapóźno oceniając zasługi księcia Józefa, mianował go marszałkiem Francji, najwyższą godnością wojskową.

Niestety i po tej przegranej, podczas odwrotu resztki armji Napoleona, książe Józef, kilka ran otrzymawszy, zamierzał konno przepłynąć rzekę Elsterę, ale już w rzece będąc, zsunął się z siodła i utonął, bardzo osłabiony krwi utratą! Stało się to 15 października 1813 roku.

Po pogrzebie księcia Józefa poeta polski, Juljan Niemcewicz, taki napisał wiersz:

Tulmy łzy nasze; już jesteś szczęśliwy:
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
Wieczystej chwały.
Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów:
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.
Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;
Ten napis twarde zachowają głazy:
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy“.

Spełniły się prorocze słowa poety. Naród polski, uznając piękne księcia Józefa cnoty miłości i ofiarności dla ojczyzny, wystawił mu niedawno pomnik wielki i wspaniały na placu Saskim w Warszawie.

Często też, istotnie, „posąg ten otacza lud mnogi“ i zpewnością wśród niego niejednemu rodakowi przychodzi myśl taka:

Godzi się każdemu polakowi za przykładem księcia Józefa „żyć bez skazy i za ojczyznę, kiedy znajdzie się w niebezpieczeństwie, walczyć bez trwogi“!..

---

Powodzenie dopisuje tym tylko, którzy spełniają swe obowiązki.

**Roosevelt.**

---

Kto w ciemności dla drugich światło zapala, sam sobie drogę oświeca.

**Auerbach.**

---

Najprzód zamieć przed własnym progiem, zanim zaczniesz zamiatać przed progiem sąsiada.

**Przysłowie szwedzkie.**

# Czas i praca.

„Sercem gryzę“! — Takiego użył wyrażenia nasz poeta, Słowacki, kiedy musiał rzec rodakom prawdę gorzką, a zasłużoną! Wskazał na serce swoje, jako pobudkę, które kazało mu przez prawdę ratować braci swoich od błędu, wiodącego ich niechybnie do zguby.

Śmiem naśladować w tem Słowackiego, bo, doprawdy, mam to szczęście, że miłuję szczerze mój naród i dlatego nieraz przychodzą mi na pamięć słowa innego poety, Mickiewicza, który rzekł serdecznie: „chcę mój naród uszczęśliwić i świat cały nim zadziwić“. A i on niejednokrotnie bolesną i bez żadnej osłonki mówił prawdę rodakom bądź bezpośrednio, bądź przez swoich bohaterów, jak np. w „Panu Tadeuszu“ przez Macieja, zwanego w zaścianku Dobrzyńskim „Królikiem“, który raz w przystępie szlachetnego oburzenia do swoich wielu sąsiadów, zgromadzonych u niego, a już wszczynających kłótnię tak otwarcie i mocno odezwał się:

„A, głupi! A, głupi! A, głupi wy! Na kim się zmleło — na was skrupi! To, póki o wskrzeszeniu Polski była rada, o dobru pospolitem, głupi, u was zwada? Nie można było, głupi, ani się rozmówić, głupi, ani porządku, ani postanowić wodza nad wami, głupi! A niech-no kto podda osobiste urazy, głupi— u was zgoda! Precz stąd!“..

Zresztą czy ktokolwiekbądź zdoła uszczęśliwić swój naród, prawiąc mu pochlebstwa niezasłużone? Toć nietylko dziecku potrzebne są prawdy, w które je zaopatrują rodzice na długą drogę życia. Owszem, nawet potrzebniejsze są starszym, bo dziecku dopiero później przyda się niejedna prawda, dziś mu podana, — a dorosłemu każda niemal natychmiast niezbędna. Przecież zwykliśmy mawiać: „im więcej umiesz, — tem lepiej tobie“...

Otóż dobrze zdaję sobie sprawę z tego, żem poprzednio napisał niejedną uwagę przykrą. Serce kazało mi podać moim gorzką prawdę, bo żywię mocne przeświadczenie, że niekiedy warto udzielić gorzkiego lekarstwa, byle ono moim rodakom pomogło odzyskać słodkie zdrowie ducha!

A że nawet w bardzo wielu rodakach naszych stary leń siedzi, na to nie trzeba wiele dowodów.

Wprawdzie niejeden przeciwko temu tak argumentuje:

— A kto tyle pól uprawia w ciężkim znoju? Kto zbiera tyle snopków, a potem je młóci? Nikt nam w tem nie pomaga, tylko my sami własnemi rękami wszystko zrobić musimy, zaiste, w pocie czoła! Gdy potem nasze ziarna **musimy** tylko żydom sprzedawać, to już w tem **nie nasza wina!** Potrzebujemy przecież pieniędzy. **Nikt inny do nas po zboże nie przychodzi, jeno żydy,** więc sprzedajemy pierwszemu lepszemu, bodaj Moszkowi, lub Abramkowi, bo oni chcą nabyć, a ile płacą? — to już nie nasza rzecz i siła zbadać tę tajemnicę kupiecką, bo gdy żydy zakręcą i zamotają, to i sam Salomon nie rozpłącze!...

Wszelakoż takiemi wymówkami dziecinnemi, doprawdy, chyba nikt się nie przejmie.

Na miły Bóg, nie mówmy, że pracą jest tylko trud rąk i nóg naszych, bo również niezbędny jest w pracy udział głowy. **Nawet ona musi mozolić się bardziej, ażeby potrafiła odpowiednio pokierować pracą rąk i nóg ludzkich.**

Otóż tu nastręcza się nadzwyczaj bolesna uwaga, że mnóstwo rodaków naszych dotychczas prawie nic nie wie o ważności i niezbędności pracy głowy.

A przecież już wielki czas wiedzieć o tem, że im doskonalsza praca głowy, tem korzystniejszą bywa robota jej rąk — i to napewno!..

Spójrzmy na sporą gromadkę robotników, zatrudnionych w którejkolwiek fabryce. Kto niemi kieruje? Uczony inżynier, który robi plany ogólne, potem daje poszczególne rysunki i wymiary, następnie dogląda robotników, wykonywających jego pomysły, wskazuje, poprawia....

Teraz porównajmy dzisiejszą fabrykę, dajmy na to, tkacką, lub żelazną, z takiemi fabrykami z przed stu laty! Jakaż olbrzymia różnica między niemi! W dzisiejszej maszyny są udoskonalone, co robotnikom pozwala wykonywać robotę szybciej, lepiej i lżej. A tego wszystkiego dawne fabryki nie posiadały!

Skąd się wzięły te zmiany na lepsze?

Dali je ci, co głową pracowali nad udoskonaleniem poszczególnych maszyn i narzędzi.

**Tak praca głowy musi zawsze i wszędzie przewodniczyć każdej robocie** ludzkiej - i maszynowej.

Właśnie żydzi pracą głowy prześcignęli bardzo wielu rodaków naszych!

Wreszcie należy zauważyć, czy w robotach rolnych nie dostrzegamy kierownictwa głowy pracującej?

O, w każdym szczególe widoczne są jej owoce doprawdy, błogosławione!

Porównajmyż nasze gospodarki dzisiejsze z dawnemi, choćby z przed laty czterdziestu. I znowu zawołamy: jaka różnica olbrzymia!

A co sprawiło tę odmianę korzystną?

Odpowiedź gotowa: Tylko praca głowy, medytującej nad tem, jak podnieść urodzajność ziemi udoskonalić narzędzia, potrzebne do robót polnych, jak ulepszyć hodowlę bydła? Na te i tym podobne pytania głowa zdatna, ale i pracowita stopniowo obmyślała sposoby coraz lepsze i korzystniejsze.

Dziś ty, rolniku szanowny, radujesz się obfitszemi zbiorami, dogodniejszemi narzędziami i piękniejszym inwentarzem żywym, — a komu lub czemu to wszystko, po Bogu, zawdzięczasz? Czy tylko pracy rąk i nóg własnych? Nie, lecz przedewszystkiem pracy tych głów, które potrafiły wprowadzić zmiany lepsze w narzędziach, w sposobie uprawy roli i w hodowli bydła.

Zapewne nie znasz tych głów, których nazwiska zapisane są w historji wynalazków, odkryć i ulepszeń w dziedzinie rolnictwa, lecz nawet ogólnie myśląc o tych głowach, czujesz chyba dla nich dużą wdzięczność, bo wszakże ich pracy zawdzięczasz w znacznym stopniu polepszenie swego bytu.

Tak każda robota, każdy zabieg, potrzebny do utrzymania ludzi, są ulepszane stopniowo trudem wielu głów zdolnych i pracowitych.

A czy sposób sprzedawania produktów gospodarki rolnej, jako osobna robota kupiecka, może obywać się bez udoskonalenia?

Nie może! Bo i ta czynność kupiecka, jest takim trudem, jak każdy inny zarobkowy, więc i ona już gdzieindziej, nietylko zagranicą, np. w Danji, ale i u nas, w kraju, np. w Wielkopolsce i na Pomorzu, znacznie została ulepszona.

Rolnik światły i zabiegliwy nie myśli wyzyskiwać innych, ale też sam nie chce być przez innych wyzyskiwany! Dlatego posuwa swoją ostrożność tak daleko, że nawet w zbywaniu produktów swej gospodarki stara się unikać pośredników.

Jak to jest niezbędne rolnikom polskim, wie o tem świat cały, a szczególniej francuzi i anglicy.

Niemal półtora roku temu, bo w sierpniu 1923 roku przybył w odwiedziny do Warszawy francuz, p. Merlot, dyrektor francuskiej izby handlowej w Paryżu, dla zapoznania się z polskiemi pracami kupieckiemi. Zabawił w Polsce dość długo, nawet wygłosił ciekawy odczyt „O wysiłku ekonomicznym Francji współczesnej“.

Otóż on, zetknąwszy się z większą gromadką polaków, taką między innemi dał im radę życzliwą:

**„Nie dość jest wytwarzać**—oświadczył p. Merlot - **trzeba jeszcze umieć sprzedawać swoje wytwory. Polacy, uczcie się sprzedawać bez pośredników!“...**

Dalsze ciekawe szczegóły podamy za tydzień.

# WIARA.

W którąbądź stronę powiodę wzrokiem:
Na niebo, ziemię, czy wodną toń,
W całem przestworzu świata szerokiem
Stwórcy oglądam wszechmocną dłoń.

W słońcu, co tonie we własnem złocie,
W gwiazdach, co błyszczą w pogodną noc,
W ciszy, pogodzie, burzy i grzmocie,
Boga uwielbiam cudowną moc.

Wielkiś jest, Panie Królu na niebie,
Któryś dóbr tyle mógł światu dać!
Wszystko, co żyje, uznaje Ciebie, —
Człowiek Cię tylko nie miałby znać?

Ciemni są ludzie i słabej woli,
Co się w zwiątpienia rzucają toń...
Poddaj mię, Panie, jakiej chcesz doli,
Lecz od niewiary me serce broń!

**Ferdynand Kuraś.**

# Zatarg.

Gdańsk, miasto bardzo stare, leży nad morzem Bałtyckiem przy ujściu naszej Wisły.

Od czasów najdawniejszych Gdańsk ma port, czyli przystań, tak dogodną, że nawet większe okręty mogą w niej zatrzymywać się dla przyjmowania towarów i wyładowywania przywiezionych. Zawsze też w ciągu całego roku, zimą i latem, przybywa do tej przystani mnóstwo okrętów z różnych stron świata, a przywożą one i odwożą bardzo dużo rozmaitych towarów i, oczywiście, nie mało podróżnych. Stąd w przystani gdańskiej stale bywa duży ruch towarowy i pasażerski. Miasto Gdańsk z tego ruchu ciągnie dla siebie korzyści ogromne. Jest więc ono zdawna bardzo bogate, a przy swoich bogactwach ma możność nabywania oświaty, nauki i znaczenia w świecie.

Wśród mieszkańców Gdańska znachodzi się dużo osób bogatych, zabiegliwych i pewnych siebie. Przeważnie są to niemcy, bardzo przychylnie usposobieni dla narodu i państwa niemieckiego. Przed wojną ostatnią Gdańsk należał do Niemiec. Dopiero po wojnie układy pokojowe odłączyły Gdańsk od Niemiec. I wtedy rządy, układające warunki pokoju, powinny były Gdańsk oddać Polsce, bo przecież dawniej, kiedy Polska jeszcze nie była rozćwiartowaną przez wrogich sąsiadów, Gdańsk należał do Polski, był jej bardzo potrzebny, jako z Wisły polskiej brama do morza, a więc do świata całego, lecz, niestety, niektóre rządy, nieprzychylnie usposobione do Polski, nie chciały Gdańska przyznać Polsce i wskutek tego uchwalono wówczas uczynić z Gdańska i z najbliższej okolicy jego jak gdyby osobne maleńkie państewko, ale pod nadzorem Polski i pod opieką Ligi narodów, w której imieniu stale przebywa w Gdańsku tak zwany „Komisarz wysoki“, a obecnie jest nim niejaki Makdonel, anglik, dość nam niechętny. A zaś w imieniu Polski ma w Gdańsku nadzór nad sprawami polskiemi, stale tam zamieszkały polski komisarz jeneralny, obecnie pan Strasburgier, polak, bardzo gorliwy o dobro i honor ojczyzny naszej.

W ostatnich czasach niemiecki zarząd miasta Gdańska jął coraz nieprzychylniej odnosić się do najpilniejszych spraw polskich. Niezawodnie rząd państwa niemieckiego skrycie podjudza niemców gdańskich do wyrządzania Polsce przykrości i utrudnień. Przypuszczenie to jest bodaj prawdziwe, bo Niemcy dość wyraźnie przebąkują o zagarnięciu Gdańska z powrotem pod swoją władzę. To im się nie uda! Ale przynajmniej starają się dokuczyć. W tym już nowym roku 1925, w początkach stycznia rząd polski przy pomocy swego komisarza, p. Strasburgiera, urządził w Gdańsku, w osobnym domu swoim urząd pocztowy polski dla wygody ludności polskiej, dość licznie przebywającej w Gdańsku. Nawet nasza tam poczta kilka skrzynek do listów umieściła w różnych punktach miasta. Niepodobało się to niektórym niemieckim rządzicielom gdańskim. Oni właśnie namówili kilku złej woli ludzi i ci w nocy 6 stycznia zamalowali orła białego i napis polski na tych nowych skrzynkach pocztowych.

Gdy się o tem dowiedział p. Strasburgier, zaraz, rozgniewany srodze, zażądał od władzy gdańskiej przeproszenia Polski, obrażonej za czyn występny obrażający Jej dostojeństwo i niepodległość.

Władza gdańska, zaskoczna surowem i groźnem żądaniem rządu polskiego, musiała głośno i uroczyście przeprosić Polskę, ale na tem nie kończy się zatarg, albowiem taż sama władza gdańska wygłasza zdanie, że Polska nie ma prawa zawieszać swoich

skrzynek pocztowych na ulicach Gdańska.

Narazie anglik, Magdonel, jako wysoki komisarz Ligi narodów, chciał wtrącić swoje trzy grosze w ten zatarg, rozumie się, na korzyść Gdańska, bo na Polskę patrzy pochmurnie, — ale go pan Strasburgier uśmierzył, przekonawszy, że do tego on prawa nie ma. Więc spór zostanie rozstrzygnięty dopiero na sesji Ligi narodów. A tymczasem trwa rozdrażnienie, podsycane skrycie i chytrze przez kusicieli niemieckich, przebywających w Niemczech.

Już wszyscy wiemy, o co im chodzi. Chcą wywoływać zatargi, niepokoje, żeby zczasem wynikło z tego coś jeszcze gorszego. Ale naród polski nie dopuści niemców do Gdańska, bo nam nie tyle chodzi o Gdańsk, jak raczej o morze. **Polska musi mieć wolny dostęp do swego morza.** A gdyby Niemcy zagarnęły Gdańsk, już przez to samo odgrodziłyby nas od morza. Oczywiście Niemcy chcą tego, bo w taki sposób chciałyby nas zabić politycznie, ale Polska nigdy nie pozwoli na to. Całą swoją potęgą trzymać się będzie swego brzegu morskiego. Bo Polska doskonale rozumie, że dotąd jest wolną, niepodległą i szczęśliwą, dopóki ma swoję własną bramę do morza.

# Nowiny z Polski.

— Nasz rząd pomyślnie postarał się w Stanach Zjednoczonych o zaciągnięcie pożyczki w sumie 50 miljonów dolarów na potrzeby przemysłu i rolnictwa polskiego. Pożyczka ma być niebawem uskuteczniona. Termin 20 letni, procent 8 od sta.

— Robotnicy na Górnym Śląsku, zatrudnieni w hutach, zgodzili się dobrowolnie dla poniesienia wytwórczości fabryk miejscowych pracować po 10 godzin dziennie.

— Na Kujawach cena ziemi znacznie spadła. Za włókę ziemi w dobrej kulturze razem z budynkami i inwentarzem płacą obecnie 13 do 15 tysięcy złotych. Wśród małorolnych za morgę ziemi cena waha się od 200 do 300 złotych.

— W tych dniach skarbiec Państwa wypuścił w obieg dużo nowych monet srebrnych wartości jednego złotego i dwu złotych. W taki sposób przybywa w obiegu nowych dziesięć miljonów złotych w srebrze.

—W biurze konsula amerykańskiego w Warszawie służył do posyłek osiemnastoletni Franciszek Pomianowski, który, naganną ciekawością wiedziony, pozwolił sobie otwierać listy, zanoszone na pocztę. W niektórych listach przeczytał przychylną wiadomość, od konsula przesyłaną pewnym interesantom, starającym się o paszport na wyjazd do Ameryki. Wtedy Pomianowskiemu przyszła do głowy myśl szelmowska: listy konsula z takiemi wiadomościami zatrzymać przy sobie, a interesantów od siebie niby sekretnie zawiadamiać, żeby przyjechali do niego, Pomianowskiego, a on ubocznemi drogami wyrobi im paszporty do Ameryki. Jak pomyślał, tak uczynił. Czy miał Pomianowski jakie korzyści z takich podstępów, narazie trudno dociec. Dopiero śledztwo wykaże To tylko jest pewne, że listy konsula, sam Pomianowski podstępnie otwierał, zatrzymywał przy sobie, a od siebie interesantów zawiadamiał prywatnie. Występek się ujawnił sposobem nieprzewidywanym przez młodzika. Bo oto jeden z jego listów, posłany do interesanta, został zwrócony Pomianowskiemu do biura konsula, gdyż Pomianowski, jako nadawca, podał adres biura konsulatu. Urzędnikowi konsula ten list zwrócony przez pocztę dostał się do reki i w taki sposób złe wyszło na jaw. I dziś Pomianowski za to, że otwierał cudze listy, został zamknięty w więzieniu. I niebawem będzie mu wytoczona sprawa kryminalna. Młodzik chciał szybko, łatwo i nieuczciwie zdobywać pieniądze,—a oto sam szybko a łatwo wpadł w otchłań hańby i bolesnej kary.

— W Ząbkowicach dnia 11 stycznia r. b. bawiąc się na cienkim lodzie jedenastoletni chłopiec, wpadł w wodę, gdyż lód załamał się pod nim. I byłby na pewno utonął, ale spostrzegł to będący na brzegu trzynastoletni Staś Domański. Natychmiast rzucił się w wodę i tonącego uratował. Staś umie pływać, bo jest harcerzem i, jako harcerz, wychowany jest w chrześcijańskiej uczynności dla dobra współbraci. Już stał się młodziutkim bohaterem.

Należy mu się za to serdeczna wdzięczność

# Wiadomości polityczne.

— Obecny rząd francuski ze swoim prezesem, Herriotem, na czele, przestał utrzymywać swego posła przy Stolicy Apostolskiej. Uczynił to nie dla oszczędności, lecz gwoli zerwania łączności z Głową Kościoła Katolickiego. Ci panowie dają do zrozumienia światu, że im stałe porozumienie ze Stolicą Apostolską jest niepotrzebne. Ale za to szukali przyjaźni z bolszewikami i nawet u siebie w Paryżu usadowili ich posła, Krasina. Niedaleki czas pokaże, ile zysku im przyniosą bolszewicy. A zaś na skasowanie poselstwa francuskiego w Watykanie świat katolicki patrzy z ubolewaniem i zgrozą. Aczkolwiek we Francji jest, być może, sporo przeciwników Kościoła, to jednak, najściślej trzymając się prawdy, rzec trzeba, że dziś naród francuski jest katolickim i nawet bardzo przywiązanym do Kościoła Katolickiego. Dlatego w tych dniach znowu Briand publicznie wytknął błąd rządu obecnego, domagając się przywrócenia poselstwa przy Stolicy Apostolskiej, które jest niezbędne dla załatwiania ważnych potrzeb religijnych narodu francuskiego i nawet kilku innych narodów, katolickich, liczebnie małych, nie mających posłów swoich przy Watykanie.

— Politycy, badając zamiary rządu niemieckiego domyślają się wznowienia monarchji. Kanclerz, Luter, zręcznie dobiera sobie pomocników, mających jedno na celu: umieścić na tronie cesarza, iżby on przywrócił państwu niemieckiemu dawną świetność, potęgę, obszar i nawet pierwszeństwo w świecie.

Niemcy wszelkiemi sposobami, a najwięcej przebiegłością, podstępem usiłują odzyskać to, co przez wojnę ostatnią utracili.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 8 lutego 1925 r. № 6.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Adam Mickiewicz.


A. Mickiewicz.

Urodził się 24 grudnia 1798 r. w Nowogródku, na Litwie, — a umarł w Konstantynopolu, stolicy Turcji, 26 listopada 1855 roku.

30 grudnia odbyła się eksportacja zwłok w Konstantynopolu do przystani morskiej, skąd je zabrał parostatek i dowiózł do Marsylji 8 stycznia 1856 r. Nazajutrz rano śmiertelne szczątki złożono w podziemiach kościoła św. Magdaleny w Paryżu, 21 stycznia, po odprawionem nabożeństwie żałobnem, poniosła młodzież polska ogromną trumnę ze zwłokami wieszcza do grobu na cmentarzu w Montmorency, gdzie spoczywać miały szczątki, drogie narodowi, przez lat trzydzieści kilka.

Aż 4 lipca 1890 r. otwarły się podwoje prastarej świątyni na Wawelu w Krakowie — i Naród polski oddał cześć królewską popiołom Wodza duchowego. Nad trumną Pielgrzyma w tym dniu stanęła cała Polska w żałobnych szatach i tam, gdzie inne ludy widzą tylko kształty trumny, — ujrzała symbol swej nieśmiertelnej siły i wiecznotrwałego życia.

Mickiewicz bowiem w swej duszy nieskazitelnej i genjalnej piastował miłość, piękność i wielkość duchową Polski, uzewnętrznił je w swoich pismach i czynach, dał je narodowi, jako niebiański posiłek do walki z przeciwnościami i jako nadzieję, że niechybnie zwycięży, Polska zmartwychwstanie i znowu stanie się miłą Bogu, a ludom zgnębionym bardzo usłużną.

Kiedy Mickiewicz pracował w Kownie, jako nauczyciel, dał hasło młodzieży: „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“—i że „nektar żywota“ wtedy tylko może być słodki, gdy się go podzieli z bliźnim,—sam odtąd nigdy nie sprzeniewierzył się temu hasłu. Samolubstwu, co, jak płaz w skorupie, samo sobie „sterem, żeglarzem, okrętem“ przeciwstawił raz na zawsze hasło etyczne: „miej serce i patrzaj w serce“! Odtąd program życia rysuje mu się jasno: wzlatywać na skrzydłach uczucia po nad poziomy instynktów brutalnych, uczuciem ogarniać i przenikać z końca do końca ludzkości całe ogromy...

Takiego hasła nie wydał przed nim nikt w poezji naszej, dlatego on ją odrodził, on tchnął w nią nowego ducha. Ale poezja nie była mu w sobie celem; była potężnym środkiem, wiodącym do celu wyższego: do odrodzenia Narodu. Nie o piękno formy poetyckiej mu szło, ale o piękno duszy polskiej, rozbitej, znękanej, ruiną rozbiorów przytłoczonej... Jakiego poczucia siły potrzeba było, aby się porwać na taki trud!...

Poeta chciał takiej władzy nad duszami rodaków, jaką miał nad rymami:

Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa.

Chciał duszami władać, jak artysta. I, oczywiście, pragnienie swoje w zupełności urzeczywistnił.

Mickiewicz nie zmienił się nigdy, lecz stale rozwijał z przędzy ducha swego jednę i tę samą tęczową nić: wiary, nadziei, miłości...

„Gdybym miał w kilku słowach wyrazić—pisze profesor Kallenbach—ogrom zasługi Mickiewicza, nazwałbym wieszcza naszego: męczennikiem miłości. On sam widział w miłości istotną treść swego ducha:

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród.—Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia....

Lecz miłość genjalna musi być rozumną, świadomą swego celu. Miłość Mickiewicza wsparta była niepospolitym rozumem, który nazwałbym jego zdrowiem moralnem, tęgością duchową: doskonalił się sam wewnętrznie i pragnął przykładem własnym pociągnąć za sobą rodaków. Rozumu bez serca

nie pojmował, owszem, przez całe życie jego rozum był w sercu jego i tylko przez serce działał. Tam było źródło jego poezji.

Mickiewicz w Wilnie ukończył uniwersytet. Razem z nim uczyło się tam wielu dzielnych młodzieńców, którzy, związani serdeczną przyjaźnią, utworzyli stowarzyszenie pod hasłem: „ojczyzna, nauka i cnota". Moskale od roku 1823 pod kierunkiem okrutnego Nowosilcowa jęli prześladować tę młodzież, więzić i skazywać na wygnanie. I Mickiewicz uległ temu losowi. Dnia 23 października 1823 roku został uwięziony i następnie skazany na wygnanie do Rosji. Tam przy pomocy przyjaciół uzyskał paszport na wyjazd zagranicę. Wreszcie 15 maja 1829 udało mu się opuścić Rosję. Odtąd rozpoczyna się przymusowa tułaczka po obczyźnie. Trwa ona aż do jego śmierci. Niewolno mu było wrócić do ojczyzny. Tak moskal nienawidził i lękał się Mickiewicza.

A co strasznego widział w nim wróg?—Oto widział wielki rozum i serce, gorąco miłujące Polskę. Lękał się moskal, by Mickiewicz swoim rozumem i sercem nie pogłębiał w narodzie polskim żalu, rozpaczy po utracie wolności, bo przecież mocna rozpacz gotowa z bronią w ręku mścić się na krzywdzicielu!.. Moskalowi zdawało się, że Mickiewicz stanie się mniej niebezpieczny zagranicą — i przerachował się, bo genjalny poeta i zdalekich stron obcych, z tułaczki nieszczęsnej, olbrzymi wpływ na swój naród wywierał. Stał się budzicielem ducha w narodzie, jego wodzem, nauczycielem, sumieniem, sercem i rozumem.

Po nad wielkim rozumem poety i gorącem jego uczuciem wznosi się dar niebios: wiara. Młodzieńcza jego wiara bezbrzeżna streszcza się w Hymnie na dzień Zwiastowania Najśw. Panny. Posiadał ufność w Dobroć Najwyższą i pomimo strasznego nieszczęścia, które dotknęło Polskę w r. 1831, nie widać w jego poezji zwątpienia i rozpaczy.

Zapłakał poeta po ziemi rodzinnej; po burzach życia zatęsknił do cichego zakątka litewskiego: rozum mówił mu, że tam wzrosło, krzepiło się wszystko, czem żył na obczyźnie, że stamtąd czerpał soki ożywcze swej duszy: uczucie, zawsze silne, spotęgowane jeszcze i rozkołysane tęsknotą, wezbrało taką miłością do kraju rodzinnego, jakiej wyrazu bodajże niema w żadnym poemacie świata; — w tej najpiękniejszej harmonji rozumu i serca napisał poeta dzieło: „Pan Tadeusz".

Ciężkie i bolesne warunki pobytu na obczyźnie, a przeważnie we Francji, którym poeta lata całe mężnie się opierał, nękały bohaterską duszę. Wiara i miłość broniły go długo, ale Mickiewicz ukochał najwięcej ich boską siostrzycę: Nadzieję!

Kochał Polskę od kolebki do mogiły i tę miłość, iście nadludzką, przekazał w duchowej spuściźnie najdalszym pokoleniom...

Polska była dla niego myślą Bożą i służbą Bożą na ziemi. Polska wolna — to był dla niego tryumf Krzyża Chrystusowego; toć nie dziw, że tryumfu tego pragnął i wyczekiwał. Dla przyspieszenia tego tryumfu nie szczędził ofiar. Siebie wznosił ku Bogu i naród swój pragnął ku Niemu podźwignąć.

Pieśnią swą nieśmiertelną wlewał, z pokolenia w pokolenie, w duszę narodu znękaną kordjał pokrzepienia, zagrzewał do wytrwałości i męstwa. Serce jego w miljonach rodaków bije nadal ku wszystkiemu, co wielkie, co szlachetne... To serce Mickiewicza obejmowało całą, jedną, niepodzielną Polskę i przekazało miłość całej Ojczyzny w najdalsze pokolenia. On nas naprzekór wszelkim rozbiorom zewnętrznym, a rozdarciom wewnętrznym, jednoczył, spajał w jeden, niepodzielny organizm narodowy.

W obliczu Boga chciał z nas pieśń żywą utworzyć; nie zapominajmy o tem nigdy!.. Wznośmy się stale i wytrwale na wyżyny przezeń wskazane. Naród polski musi duchowo dorastać Mickiewicza. On jest wzorem ducha i miarą serca, wskazaną od Boga.

# Czas i praca.

O anglikach da się to powiedzieć, że oni dla nas, być może, dość są przychylni, — lecz mimo to okazują nam jak gdyby lekceważenie... Przyczyną tego jest, jak sami napomykają o tem wcale niedwuznacznie, nasza bezsilność handlowa, która wyrobiła nam u świata opinję zgoła niechlubną: oto narody światłe, ale i ruchliwe, a w ich liczbie również anglicy, są o nas tego zdania, że jesteśmy jakoby niedołężni, niezaradni, nawet niedbali, bo poprostu nie troszczymy się o to, byśmy sami sobie wystarczali w zatrudnieniach najważniejszych, a ustawicznie potrzebujemy pomocy, ratunku, wyręki od żydów, posiadających tu, u nas, w Polsce, w swoich rękach niemal cały handel ziemiopłodami, miasta, banki, magazyny wielkie i nadto wpływ ogromny na rozmaite donioślejsze sprawy polskie!

O tem wszystkiem doskonale wiedzą nasi sąsiedzi bliżsi i dalsi.

I co oni muszą myśleć o nas?

Czy ich nie zadziwia, nawet nie oburza taka oczywista zależność nasza od żydów?

A przecież ta nasza zależność jest dobrowolna! My jej sami chcemy, sami oddajemy się w ręce żydów, sami używamy ich pomocy, wyręki, nawet wołamy ich do siebie,... ulegamy im chętnie,... swobodnie,... rozmyślnie!..

A teraz użyjmy porównania, wziętego z życia codziennego. Zechciejmyż przypomnieć sobie, co myślimy, patrząc na któregoś z naszych dziedziców, opanowanego przez żydów.

On bez nich — wiemy o tem — nic nie zrobi, używa ich pośrednictwa w każdem kupnie i w każdej sprzedaży. Oni są jego doradcami, informatorami, pomocnikami, nawet oni rządzą nim i w jego majątku są jedyną głową myślącą!.

Czy nie tak działo się i jeszcze, niestety, dzieje się w niejednym u nas folwarku?

I jak, my, polacy nazywamy takiego dziedzica?

— Niedołęgą, niedbaluchem, a nawet próżniakiem i marnotrawcą!

Słusznie!

Zatem nastrącza się wniosek bardzo bolesny:

Oto jak my swoi, nazywamy u siebie lekkoduchów-dziedziców, — tak obce narody światłe głośno i pocichu mówią o nas, polakach, patrząc badawczo jak my, jako naród, u siebie, w Polsce, dobrowolnie oddajemy wszelkie swoje prace, bogactwa i nawet losy swoje w ręce żydów, którzy skrzętnie i nienawistnie kopią nam grób!...

Te narody zpewnością tak o nas polakach, mówią — Polacy, to naród niedołężny, niedbały, leniwy a osobliwie zamało pracuje głową.

Czy naród, mający taką u świata opinję, zdoła zaskarbić sobie u obcych poszanowanie, zaufanie przyjaźń i pomoc, nie jak dla dziada, ale zaszczytną?

I znowu posłużmy się porównaniem:

A my kogo zwykliśmy szanować? Komu ufamy i kogo najchętniej darzymy swoją przyjaźnią i poparciem? Czy głupców, lekkoduchów, próżniaków, niedołęgów?

Nie!

Tak samo czynią narody światłe. Szanują i nawet ofiarują swoję przyjaźń i pomoc jedynie temu narodowi, który odznacza się nie tylko armją potężną i waleczną, lecz nadto słynie ze swej mądrości, zabiegliwości i pracowitości, niemal prześcigającej inne narody!

Prawda!

Niechżeż więc ta prawda będzie dla nas przestrogą, abyśmy się nie chełpili i nie uspokajali tem, że jest „kupa nas", że państwo nasze jest szóstem z rzędu mocarstwem! Bo wszakże historja najnowsza przekonała, że nie liczba stanowi potęgę, ale— głowa mądra a pracowita i charakter dzielny!...

Kiedy Rosja zaczynała wojnę z małą Japonją, moskaliki, zaufani w swej masie, wołali narazie zuchowato, że czapkami zasypią „japoncew". I jak się skończyły te przechwałki?—Oto mały Dawid pokonał wielkiego Goljata!

Czy nie to samo wydarzenie spełnia się u nas w Polsce?

Jest nas, polaków, bardzo dużo! Tak dużo, że już jakoby jest nam w Polsce zaciasno... A jednak w tej naszej Polsce zwycięża nas, **ma górę nad nami nieliczna garstka żydów!**

Toć my, doprawdy, moglibyśmy to samo powiedzieć o żydach, co ongi moskale o japończykach: że czapkami zasypiemy żydów!

A w rzeczywistości widzimy co innego: oto żydzi nas pokonywają haniebnie w oczach świata całego,—a pokonywają czem? Czy pieniędzmi? przekupstwem? chytrością? podstępem?

Nie!

Tylko pracowitością głów swoich!...

Oni głowami swemi pracują bardziej, niż my!

Wnikając w tę naszą bezwładność okropną, serdecznie oburzony woła Agnis Arman, rozumny autor „Dziwnej książki"!:

„Ach, psiakrew!... Jaka nuda wściekła! Jak to wszystko śpi, drzemie, żre i rodzi dzieci! A jeszcze zdaje im się, że „żyją". Spędzają jeno czas,—a czas znowu ich spędza i zabija!"...

A ja ośmielę się dodać, że nas nie czas zabija, lecz przeogromny niechciej, leń,... z którego skwapliwie korzystają żydy pracowite. Oni pospiesznie tu, u nas, w Polsce, bogatej, urodzajnej, obfitującej we wszelkie skarby, budują bardzo pracowicie mocne dla siebie fundamenty pod fortecę potężną, z której nie wystraszy ich nasze chrapanie...

O, tak! Przecież nie jesteśmy niezdolni, lub tępi!

Nie! Tylko siedzi w nas leń straszny!

Tak dalece nie chce się nam głową pracować, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo staliśmy się zależni od żydów i jak groźne dla nas nieszczęście **musi wyniknąć** z tej zależności naszej, jeśli my jaknajrychlej nie pozbędziemy się jej!

Nie dostrzegamy tego nieszczęścia, bo nie chcemy je widzieć, gdyż każdy wysiłek głowy jest nam niemiły. Ale obce narody wszystko wiedzą o nas i wyraźnie przepowiadają.

Ten sam pisarz, Agnis Arman, przytacza w swej „Dziwnej książce" słowa, które mu powiedział o nas pewien francuz nam życzliwy:

„Powiem panu szczerze co myślę: Jestem przekonany, że nie wystarczy zachować niepodległość polityczną, aby istnieć jako naród.

„Można mieć własne państwo,—a znajdować się w niewoli.

„Dziś wrogowie wasi zmienili sposoby pokonania was.

„Rozumiejąc, że państwa Zachodu nie dozwolą im zapanować politycznie nad Polską, — postanowili ją zagarnąć w inny sposób:—przez podbój gospodarczy i i duchowy...

„Odbywa się olbrzymia a skryta kampanja w tym kierunku.

„Wrogowie wasi szykują czwarty rozbiór Polski —przez zniszczenie waszej gospodarki i waszego ducha"... (str. 34 i 42)

Czy taki podbój nas udałby się wrogom naszym, **gdybyśmy rozumieli,** że nie dość pracować rękami i nogami, nie dość wytwarzać gotowe roboty, ale nadto trzeba ująć w swe ręce handel i pozbyć się u siebie obcych pośredników?

Bagatela! Trzeba to zrozumieć! Ale żeby **to zrozumieć, trzeba popracować swoją głową, a nie wyręczać się obcą!..**

Własna głowa nasza pracowita musi przewodniczyć w każdej pracy naszej, a więc nietylko w pracy wytwórczej, lecz i w pracy kupieckiej.

Przekonamy się o tem za tydzień.

# DAM CI RADĘ...

Dam ci radę, bracie młody:
Jeśli zdrowym pragniesz być
I złej ustrzedz się przygody:
Wystrzegaj się wódki pić!
Dam ci radę, przyjacielu,
Chcesz zapewnić sobie byt?
Pilną pracą dąż do celu,
Wstawaj ze snu skoro świt!
Dam ci radę, młody bracie:
Chcesz, aby cię cenił świat?
Ducha twego krzep w oświacie,
Nie trać marnie młodych lat!
Dam ci radę, druhu miły:
Jeśli spokój zyskać chcesz,
Sporów strzeż się z całej siły,
Z adwokaty wdać się strzeż!
Trzeźwość, praca i oświata,
Przytem zgoda z ludźmi wraz
Raj uczynią ci ze świata.—
Pomnij o tem w każdy czas!

**Ferdynand Kuraś.**

# List do Orła Białego

z Bychawy.

Tutejsze koło młodzieży miało 1 lutego uroczystość podwójną: gościło u siebie pana Gołąba, wizytatora, delegowanego przez lubelski sekretarjat jeneralny, — i urządziło przedstawienie teatralne, a po niem zabawę.

Pan Gołąb dnia 1 lutego dwukrotnie przemawiał w domu ludowym. A w poniedziałek, 2 lutego, raz jeszcze wygłosił pogadankę. Wszystkich przemówień jego słuchała licznie zebrana publiczność z natężoną uwagą, a potem dziękowała mu hucznemi oklaskami.

Mówił kolejno: o budowie Polski katolickiej i polskiej,— następnie: jakich ludzi potrzebuje Polska,—wreszcie o potrzebie pracy nad młodzieżą, o współpracy starszych dla dobra młodzieży, o stanie organizacii młodzieży w Polsce, o głównym warsztacie pracy—i o oświatowo-wychowawczym charakterze stowarzyszeń młodzieży.

Jak zwykle wszystkie przemówienia jego odznaczały się trafnością i zapalem, porywającym uwagę słuchaczów. Mówi

pięknie, serdecznie; wielu słuchałoby go bardzo długo, a gdy przestanie mówić, żałują, że to już koniec.

Witany był radośnie, a żegnany z żalem. Pobyt jego w Bychawie dał duży pożytek młodzieży tutejszej.

A znowu za przedstawienie teatralne nasze koło młodzieży zasłużyło na rzetelną pochwałę! Zagrało trudną a powabną sztukę trzyaktową Galasiewicza p. n. „Maciek Samson". W sztuce tej brało udział 25 osób, — wszystko młodzież nasza, a popisała się dzielnie!

Jednak należy gwoli sprawiedliwości, — co młodzież wzupełności uznaje, — wyróżnić pracę i staranność szczególniejszą niektórych osób grających.

Druh, Józef Zemszał, jako Maciek Samson, wywiązał się ze swego zadania doskonale. Druhna, Leokadja Malikowska, wybornie przedstawiła Weronikę, a Zemszałówna trafnie odtworzyła Agnieszkę.

I. Mierzwa, jako Boberek, a Trzciński, jako Wrzawa, wykonali swoje role znakomicie. Również bardzo dobrze zagrali: Mazur—Kubę, a Koronówna—Margosię.

I reszta osób grających,—mówiąc ogólnie,—spełniła swe role tak zręcznie, czujnie i właściwie, że zasłużyła tylko na piękne podziękowanie, co też publiczność, licznie zebrana w teatrze, wyraziła oklaskami i głośną pochwałą.

Dobrem zagraniem tej sztuki młodzież nasza sama się przekonała, że nie brak jej zdolności do wykonania sprawnie, nawet doskonale, ról trudnych, a ładnych. Takie przeświadczenie powinno być dla niej zachętą do dalszej pracy nad sobą.

Nie o to wszakże chodzi, by jedynie kształciła siebie na aktorki i aktorów. Jednak warto zauważyć, że każda i każdy młodzieniec przez przygotowywanie siebie do gry teatralnej zarazem rozwija w sobie zalety umysłu i charakteru, więc: pamięć, przytomność, odwagę, zręczność, panowanie nad sobą i uczynność społeczną, obywatelska. Przeto każda druhna i druh wiele korzyści duchowych osięgają dla siebie, gdy sposobią się starannie do odegrania dobrej i rozumnej sztuki teatralnej.

Lecz do takiej pracy, dość mozolnej i zmudnej, trzeba posiadać w sobie dużo dobrej woli— i korzystać z pomocy doskonałej.

Otóż młodzież nasza dała dowód, że nie zabrakło jej dobrej woli, bo wytrwale przygotowała się do odegrania sztuki. — I przytem szczęśliwie zaznała pomocy doskonałej od miejscowego organisty, p. W. Onuszkiewicza, który prawdziwie nie pożałował swej pracy mozolnej.

Jak mozolny i długotrwały był jego trud nad przygotowaniem młodzieży do odegrania sztuki, ten tylko wie, kto kiedykolwiek przypatrzył się licznym próbom teatralnym i urządzaniu sceny!..

Pan Onuszkiewicz wykazał wielką swoją zręczność, umiejętność, takt i cierpliwość... Potrafił zespół grających natchnąć zgodą, pilnością i wytrwałością. On był doskonałym kierownikiem,—a grający doskonałemi wykonawcami.

Wszyscy zasłużyli na serdeczną pochwałę. I zarazem dobrze jest oświadczyć im, by nie ustawali w pracy, by częściej urządzali przedstawienia teatralne piękne i pożyteczne, jako szlachetne rozrywki dla mieszkańców,—a przytem przysporzające funduszów na cele dobra powszechnego.

I to właśnie przedstawienie „Maciek Samson" odegrała młodzież nasza na odnowienie szpitala „Samarytanin" w Bychawie. Czystego zysku dał ten teatr 148 złotych i 73 grosze. Rachunki zostały sprawdzone przez Ignacego Dutkiewicza i Julję Regmontównę, — a pokwitowanie jako dowód, że sumę tę przelano do kasy szpitalnej i zapisano ją do księgi rachunkowej w szpitalu, podpisała sekretarka szpitala, Leokadja Luterkówna.

# Nowiny z Polski.

— W Konopnicy, pod Lublinem, dn. 27 stycznia r. b. zmarł proboszcz, ksiądz Jan Kureczko, mając lat 66.

Urodził się w Łęcznie 1859 roku. Po ukończeniu seminarjum odbył studja teologiczne w akademji duchownej. W r. 1883 otrzymał święcenia kapłańskie i zaraz został wikarjuszem przy katedrze lubelskiej, oraz profesorem w seminarjum duchownem. Po latach dziesięciu objął parafję Konopnicką i w niej pracował lat 32. Zbudował tam kościół murowany, plebanję i zatroszczył się o pomnożenie szkół powszechnych. Leżało mu na sercu szkolnictwo powszechne. W tej dziedzinie dużo zrobił. Społeczeństwo i władze uznając jego gorliwość i znajomość rzeczy, mianowały go prezesem Rady Szkolnej powiatu lubelskiego.

Jako światły kapłan pisywał artykuły naukowe do „Encyklopedji Kościelnej". Słynął też z wymowy pięknej. Ale i jako kapłan przejmował się sprawami Kościoła i potrzebami djecezjalnemi. Znaczne tu zasługi położył. Oceniając je Najprzewielebniejszy Pasterz Djecezji Lubelskiej, Ks. Biskup Fulman, obdarzył ś. p. księdza Jana godnością zaszczytną kanonika kapituły katedralnej, a następnie wyjednał mu tytuł prałata domowego Jego Świętobliwości, Papieża.

— Policja państwowa w powiecie dubieńskim na Wołyniu wpadła na trop i aresztowała kilku zbrodniarzy, którzy w r. 1920 podczas odwrotu naszego wojska z pod Kijowa zamordowali we wsi Kamienica w sposób okrutny dwuch żołnierzy polskich i następnie ciała ich utopili w rzece.

— Poczta polska w Gdańsku jest czynna i wielkie oddaje usługi ludności polskiej, zamieszkałe w Gdańsku. Ale niemcom gdańskim ona się nie podoba tak dalece, że niektórzy z nich nie chcą przyjmować listów, gdy je doręcza im poczta polska. Rozumie się pięknem za nadobne odpłacają się polacy bo i oni nie chcą brać do ręki listów, jeżeli który niemiec nadsyła im gdańską pocztą niemiecką I, oczywiście, wygrać musimy, bo przecież ci polacy którzy dają dochody niemcom gdańskim, mają prawo posługiwać się taką pocztą, jaka im się podoba a więc swoją, ojczystą. Tylko w taki sposób niemcy spokornieją. Trzeba tym niemaszkom przypomnieć przysłowie polskie: czyim wózkiem jedziesz, tego piosnkę śpiewaj,—więc: czyj chleb jesz, temu służ!.

— Na drzwiach kościoła Dzieciątka Jezus w Warszawie umieszczono taki napis: „Osobom w stroju obrażającym skromność i uczciwość chrześcijańską, wstęp do kościoła wzbroniony".

Istotnie, w ostatnich czasach niektóre osoby płci żeńskiej tak bezwstydnie odsłaniają swoję nagość, że budzą zgrozę na ulicy, a cóż dopiero w świątyni.

— Zarządy kolei polskich i zagranicznych porozumiały się w sprawie przewozu pielgrzymów jubileuszowych do Rzymu. Do chwili obecnej już zamówiono dla Polski 10 pociągów, dla Niemiec 10 pociągów, dla Austrji 6, dla Szwajcarji 1, dla Czech 1.

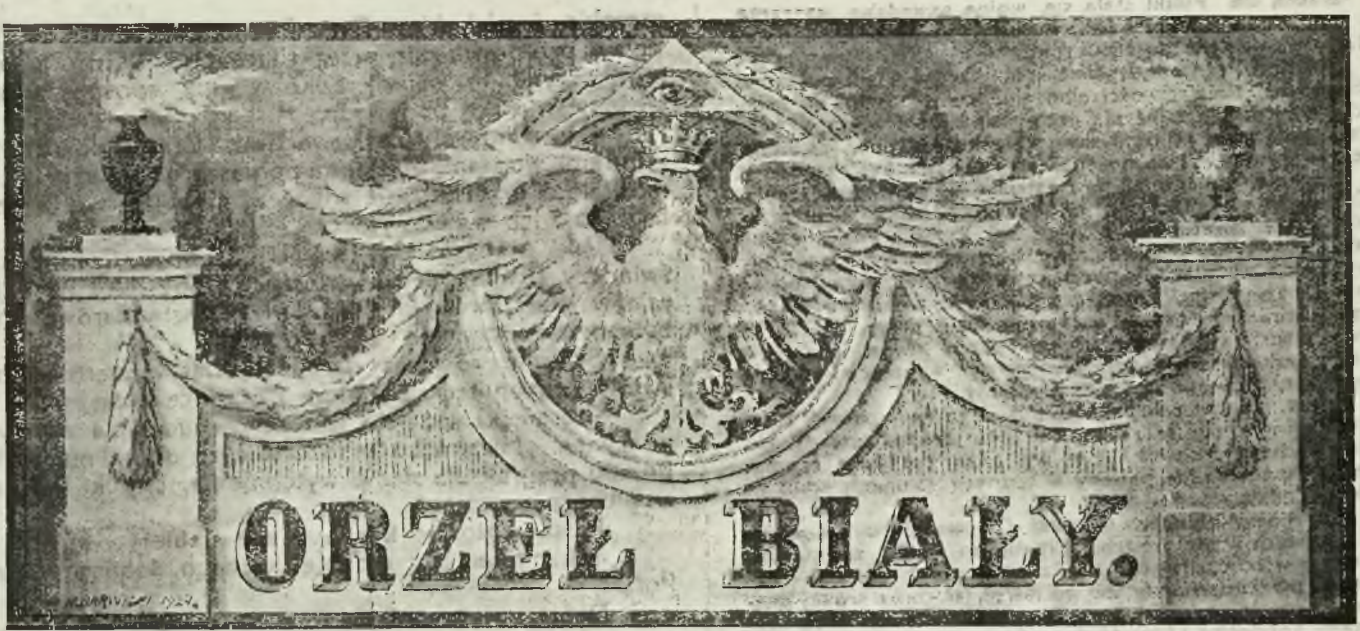
Pielgrzymi polscy będą jechali z Warszawy do Rzymu bez przesiadania.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 15 lutego 1925 r. № 7.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# ROCZNICA.

Dnia 5 lutego r. b. upłynęło 260 lat od śmierci **Stefana Czarnieckiego,** hetmana polnego koronnego.

Zasługi tego męża niestartemi zgłoskami zapisane są na kartach dziejów Polski. Zdobył sobie miejsce zaszczytne w pamięci i sercu narodu, a zdobył je wiernem, niepodzielnem oddaniem siebie ojczyznie, męztwem, odwagą i zdumiewającą śmiałością w pomysłach wojskowych.

Urodził się 1599 roku we wsi Zornawiu, w województwie sandomierskiem.

Wcześnie zaczął służyć w wojsku, ale dopiero w trzydziestym roku życia swego został porucznikiem w chorągwi Marcina Kazanowskiego. I w tym właśnie czasie wybuchły w Polsce naraz dwie wojny: moskiewska i turecka.

Czarnieckiemu wypadło pójść z wojskiem przeciwko moskalom. W tej wyprawie doznał powodzenia, tak, że król był z niego zadowolony i nawet obdarował go wioską pod Szeptowem, w powiecie starodubskim.

Wówczas królem był Władysław Czwarty (od 1632 do 1648 r.)

Król ten czas jakiś dzielny dawał odpór wrogom Polski. Wśród nich atoli jeden szczególniej stawał się coraz groźniejszym—Bogdan Chmielnicki, mający pod swemi rozkazami mnóstwo kozaków ukraińskich i tatarów srogich.

A na większe nieszczęście szlachta polska, zwłaszcza niektórzy jej wodzowie, albo niechętnie i niespiesznie podążała do bojów, albo okrucieństwami i niesprawiedliwością drażniła ludność ukraińską, co czyniło ją coraz przeciwniejszą Polsce.

Bitwy mniejsze i większe z kozakami i tatarami zdarzały się dość często. Ale w maju 1648 wypadło wojsku polskiemu stoczyć bój ciężki z niemi przy gliniastych jeziorach, zwanych Żółtemi wodami. Tam kozacy dopuścili się zdrady — i wojsku polskiemu zadali klęskę okropną. Wielu polaków poległo, sporo starszyzny dostało się do niewoli. Ten sam los spotkał Czarnieckiego. Dopiero po dwuch latach wrócił do kraju.

W tym samym czasie umarł król Władysław. Od maja do listopada trwało w Polsce bezkrólewie, co przyczyniło się do powiększenia niezgody wśród szlachty i do rozzuchwalenia się wrogów zewnętrznych. Wreszcie 20 listopada został ogłoszony królem Jan Kazimierz, brat zmarłego Władysława (od 1648 do 1668 r.)

Nieszczęśliwe dla Polski nastały czasy za tego króla! Spadały na nią niemal ze wszystkich stron wojny — i, co smutniejsza, nawet wielu polaków w sposób zdradziecki przechodziło na stronę wrogów ojczyzny!

Stefan Czarniecki nigdy nie przeniewierzył się Matce-Ojczyznie. Zawsze był wierny królowi polskiemu, dobru narodu i państwa.

Groźną dla Polski stała się wojna szwedzka, wszczęta przez króla szwedzkiego, Karola Dziesiątego Gustawa, a trwająca lat pięć, od 1655 do 1660 roku.

Król Karol potrafił zjednać sobie bardzo wielu polaków, schlebiając ich nieuczciwości albo głupocie. Doszło do tego, że król Jan Kazimierz, już nie czując się bezpiecznym w swoim kraju, bojaźliwie schronił się na Śląsku, w Opolu, co, oczywiście, nie wyszło Polsce na dobre, bo została bez rządu.

Tem niebezpieczniejsze nastąpiło w niej zamieszanie. Ale Czarniecki nie stracił ani na chwilę polskiej myśli przewodniej, — nie zbratał się z wrogami Polski. Nadal czynił wszystko, co czynić w takich razach powinien wierny syn ojczyzny: bronił jej niepodległości i chwały. Nie chciał oddać Krakowa, obleganego przez szwedów; zamknął się w nim z garstką żołnierzy i bronił go rozpaczliwie przez dni 23, aż wreszcie, zmuszony przeważającemi siłami wroga, oddał mu to miasto, jednak sam z oddziałem swoim wyszedł swobodnie i zaszczytnie, jako obrońca nieustraszony.

Potem szwedzi żałowali, że puścili go na wolność. wnet próbowali pochwycić, lecz nie dał się, umknął szczęśliwie. A potem niebawem dawał się im we znaki dotkliwie, czyniąc częste i niespodziewane napady w różnych stronach kraju na spotykane oddziały szwedzkie.

Pomyślne i chlubne utarczki Czarnieckiego ze szwedami, o których wieści rozchodziły się po kraju, zawstydziły zdrajców, a w tchórzliwych nareszcie obudziły odwagę. Naród zaczął przecierać oczy, bo go Karol jął coraz srożej gnębić podatkami na potrzeby swego wojska i nawet przerażać rabunkami kościołów i klasztorów, z których wielkie bogactwa wywoził do swojej Szwecji.

Toć ze zdobytego Krakowa nabrał mnóstwo cennych łupów. Wreszcie łakome swe chęci obrócił na Jasną Górę. I z niej spodziewał się pochwycić skarby nie małe! W tym celu posłał swe wojska dla zdobycia Częstochowy. Ale gorliwy ksiądz Kordecki, przeor ojców paulinów, zawczasu — jak pisze nasz historyk, Korzon, — zgromadził w ufortyfikowanym klasztorze 200 zbrojnych chłopów i trochę szlachty pod dowództwem Stefana Zamojskiego. I z tą garstką obrońców świętobliwy przeor śmiało stawił czoło wielkiej sile szwedzkiej. Wytrzymał niemal czterdziestodniową kanonadę z dużych armat i zwycięsko odparł szczególniej natarczywe szturmy 26 i 27 grudnia (1655 r.).

Teraz dopiero po cudownem ocaleniu Częstochowy poruszyły się do głębi serca ludu na okół. Jak niegdyś za Łokietka zeszli z Karpat górale i śmiało uderzyli na plądrujące oddziały szwedów.

Niebawem zaczęły tworzyć się większe oddziały wojsk polskich — i król Jan Kazimierz wrócił do kraju. Wtedy też musiał król wyróżnić szlachetną i pełną poświęcenia wierność Czarnieckiego. Na znak swego zadowolenia zamianował go regimentarzem, więc wodzem znacznej części wojska.

Karol, rozzuchwalony, wciąż dążył do opanowania Polski, napadł na Czarnieckiego pod Gołębiem przy ujściu Wieprza do Wisły i spędził go z pola 19 lutego 1656 r. Ale rychło nasz bohater oddał mu z czubem pod Jarosławiem — i odtąd już miał nad nim górę. Tak niespodziewanemi podjazdami nękał, bił Karola, że -jak opowiadają Korzon i Niemcewicz, —raz nawet Karol, uciekając gwałtownie przed Czarnieckim, stracił swoję szarfę, proporzec, srebro stołowe, dużo wozów i żołnierzy, co też skłoniło Karola do odwrotu, a już miał zamiar iść aż na Lwów.

Czarniecki stał się dla szwedów bardzo dokuczliwym, bo spadał na nich niespodziewanie. Nie wiedzieli kiedy i z której strony on ich rozgromi. Przebiegał ze swoją jazdą w krótkim czasie wielkie przestrzenie. Naprzykład w ciągu dwuch dni i jednej nocy potrafił przebyć 48 mil drogi pomiędzy Częstochową, Chojnicami i Gdańskiem, gromiąc szwedów i zarazem osłaniając podróż króla Jana Kazimierza i jego żony.

Dla Czarnieckiego niestraszne były nawet wody szerokie i głębokie. Raz dla rozgromienia wroga wpław przeprawił się przez Pilicę pod Wartą, a potem uczynił to samo, tylko w inny sposób, przez cieśninę morską pod wyspą Alsen.

Uporawszy się ze szwedami, Czarniecki razem z innemi wodzami polskiemi pomaszerował przeciwko moskalom, bo ci znowuż wiedli wojnę z Polską. Trzeba było i ich walecznym orężem poskromić.

Jak pomyślne i tam wiódł boje Czarniecki świadczy chwila, kiedy w czerwcu 1661 roku na sejmie w Warszawie złożył królowi 190 sztandarów, zdobytych na wrogach!

Słusznie wówczas naród widział w Czernieckim swego znakomitego bohatera i obrońcę ojczyzny!

Czarniecki wszakże jeszcze nie udał się na wypoczynek. Niestrudzony rozumiał, że dotąd nie wolno mu pragnąć dla siebie wytchnienia, dopóki Polska w niebezpieczeństwie.

Polskę ratować trzeba, a nie siebie!

Takie musi być zadanie każdego dobrego syna Polski.

Dobrym synem Polski był Czarniecki, więc znowu podążył na czele wojsk swoich bronić wschodniej granicy polskiej. Stoczył tam niejedną bitwę pomyślną. Wreszcie, przepłynąwszy na koniu Dniepr — pisze Korzon —wyrzucił z grobu prochy wielkiego wroga Polski, Chmielnickiego Bohdana w Subotowie, zburzył Steblów, zdobył po 15 dniowym oblężeniu Stawiszcze, zbudował fortecę w Białej Cerkwi: więc nakazał poszanowanie dla chorągwi polskiej; lecz od kuli kozackiej otrzymał ciężką ranę, która wkrótce spowodowała śmierć jego...

Kiedy już dogorywał Czarniecki, przybył do niego posłaniec królewski z dokumentem, nadającym mu godność hetmana polnego koronnego. Nagrodę spóźnioną przyjął, mówiąc: Przewidywałem, że wtenczas dadzą mi buławę, kiedy już ręka moja nie zdolna będzie do szabli.

Zmarł d. 5 lutego 1665 r. w miasteczku Sokołówce o milę od Brodów, gdzie wypadło schronić się przed zamiecią.

Czarniecki i dziś może nam służyć za wzór, bo jego ideał dobrego syna ojczyzny jest nieśmiertelny.

Ojczyzny w nieszczęściu nigdy nie opuszcza. Nie daje się skusić jej wrogom. Możnym nie schlebia. Nie ogląda się na nagrody, a przeciwności i czyjekolwiek niechęci nie zdolne są odwieść go od ofiarnego posługiwania ojczyznie.

W niepowodzeniu rąk nie opuszcza, nigdy nie traci dobrej nadziei. Surowy dla siebie, ale również surowy dla tych, co zaniedbali się w pełnieniu swoich powinności.

Zawsze u niego na pierwszem miejscu było dobro narodu, a nie dobro własne....

Kiedy zdobywał miasteczko Monasterzyszcze, został ranny w usta, więc żołnierze odnieśli go na strone. Tam po chwili, odzyskawszy przytomność, pierwsze pytanie zadał: Czy miasteczko wzięte?

Jako polak prawdziwy lubił konie. Na krótko przed zgonem, chciał jeszcze zobaczyć i pogłaskać swego ulubionego wierzchowca, przeto żołnierze przywiedli mu go do izby. Umierający wódz pogłaskał

wyciągniętą ku niemu głowę konia, a potem rzekł do otoczenia: „miejcie o nim dobre staranie“...

Czarniecki jest jednym z wojowników naszych, którego życie i czyny—tak pisze Niemcewicz — młodzież polska pilnie czytać i rozważać powinna. Znajdzie w nim męża, który nie urodzony w dostatkach, odwagą i zasługą wzniósł się do najpierwszych Rzeczypospolitej dostojeństw.

Ze wszystkich rodzajów sławy najpiękniejszym jest: własnym zasłużyć się rodakom.

Taką sławę zdobył Stefan Czarniecki.

Wiedział on, że i bez buławy można służyć ojczyznie i dobić się sławy.

# Czas i praca.

Nie wiem, jak komu, ale mnie zawsze wydaje się nawet hańbą i strasznem poniżeniem dla narodu naszego to, że żydy wszędzie u nas handlują naszem zbożem, lasem, bydłem, końmi! Przez ten handel oni zbogacają się, rozzuchwalają i drwią z nas tak okrutnie i głośno, że aż echo rozlega się po całym świecie!

Tak czynią nam niesławę! A my co na to?

Mój Boże, — myślę — jak my wobec świata całego wystawiamy sami sobie świadectwo nieładne o własnem lenistwie umysłowem i moralnem, kiedy powierzamy handel naszą pracą, naszemi bogactwami ludziom tak nam obcym i nieżyczliwym!

Czyżby handel zbożem, lasem, końmi, bydłem był jakąś zagmatwaną tajemnicą, lub filozofją poplątaną, a niedostępną dla rozumu polskiego?

Nie.

Głowa ludzka z coraz większem powodzeniem wnika w tajniki przyrody i wydobywa stamtąd przecudne wiadomości o zdumiewającej mocy i mądrości Boga, ale zarazem ta sama głowa ludzka stwierdza o sobie, jak duże ma zdolności, dane jej przez Tegoż Pana wszystkiego stworzenia!

Nauka przecież to dzieło pracowitej głowy ludzkiej. A jak już olbrzymie ta głowa poczyniła postępy w każdej gałęzi wiedzy, świadczy choćby dzisiejszy rozwój wspaniały medycyny, chemji, fizyki!

Czy naród polski może poszczycić się taką głową uczoną i pracowitą, przysparzającą wszechludzkiego dorobku naukowego?

Może, nawet wieloma.

Owszem, stać nasz naród na bardzo wielu znakomitych mężów uczonych, utalentowanych i genjalnych. I oni własną pracą usilną niejeden trudny a pożyteczny szczegół dołączyli do światowego skarbca nauki, sztuki, wynalazków i bohaterstwa moralnego.

Toć świat cały z czcią wymawia imiona naszych najlepszych rodaków: Kopernika, Śniadeckiego, Wróblewskiego, Skłodowskiej, Matejki, Mickiewicza, Kościuszki, Sienkiewicza i bardzo wielu innych, im podobnych!..

Ci wszyscy są istotną chlubą narodu polskiego. Ale jakżeż wobec tych przepięknych postaci polskich przedstawia się upośledzenie umysłowe i moralne tej większości rodaków, którzy nie chcą zatrudniać się handlem własnemi bogactwami, wolą je oddawać obcym przybyszom, a sami bardzo dużo czasu wolnego obracają na próżniactwo, zabawy i jarmarki, a przytem niejednokrotnie uskarżają się na brak pracy u siebie w kraju i, jak tułacze—nędzarze, wędrują za chlebem w dalekie strony świata: do Francji, Niemiec, Danji, nawet do Ameryki i tam pracują w pocie czoła na panów obcych!

Jak to wszystko musi boleśnie ranić każde serce polskie, miłujące swój naród!

Czy nas nie stać na zdolności do handlu? Czy my sami nie potrafimy sprzedawać tych wszystkich owoców swej pracy?

Owszem możemy, tylko nie chcemy!

Jakto, nie chcemy? A kiedyż pierwsi oddaliśmy te wyroby swoje do handlu żydom?

Kiedy? A, no, już bardzo dawno temu! Uczynili to wówczas nasi pradziadowie. Oni zaczęli, — a my ich grzechy—błędy w dalszym ciągu powtarzamy. **Ale czy powtarzać jesteśmy obowiązani?**

Nie!

Jak nie powtarzamy dziś u siebie starego, dawno zarzuconego sposobu gospodarowania na roli, bo obecnie mamy znakomite ulepszenia, wprowadzone przez głowy pracowite i mądre, — tak podobnież nie powtarzajmy niedorzecznego oddawania na handel żydom swego zboża, lasu, bydła, bo taka wyręka przynosi nam hańbę i wyrządza krzywdę, co już dawno potępiła każda rozumna i pracowita głowa zarówno polska, jak francuska, angielska i włoska.

Nie czyńmyż nic przeciwko radom i wskazówkom własnej głowy rozumnej i pracowitej.

Ale jak zacząć?—Tylko tak, jak zaczęli żydzi, bo i oni przecież od stworzenia świata nie prowadzili tego handlu w Polsce. Był czas, że ich u nas nie było. Potem zjawili się i nie zaraz otrzymali zboże nasze na sprzedaż. I oni musieli uczyć się tego handlu, zaczynać go z różnem powodzeniem. A z własnych błędów uczyli się jak mają ich w przyszłości unikać

Stopniowo zorganizowali ten swój handel w Polsce i dziś mają z niego korzyści obfite i stałe zatrudnienie dla mnóstwa swoich ludzi. Pewnego razu małego żydziaka, lat 14 mającego, spotykam na drodze wiejskiej. Wdałem się z nim w rozmowę: skąd, dokąd i po co idzie?

Wyznał mi prostotnie, że dostał od swego krewniaka trochę pieniędzy na tani procent, więc idzie na wieś kupić zboża parę ćwierci... Przydźwiga to zboże do miasteczka i sprzeda je większemu kupcowi. Już zarobi odrobinę. To będzie początek jego handlu zbożem. Później odda się na służbę, jako stały agent większego kupca zbożowego. Będzie wychodził na drogi wiejskie, łapał polskie furmanki ze zbożem i odprowadzał je do swego kupca. Za taką fatygę od każdego korca dostanie swój procent.

Ten większy kupiec zgromadzone u siebie zboże polskie odstawi do kolei, lub do magazynu. A jeszcze większy od niego kupiec, nabyte w całej okolicy zboże polskie zbierze w wielkim magazynie swoim i poczeka ze sprzedażą aż nastanie cena lepsza. Wtedy swój towar sprzeda hurtem i zarobi na nim bardzo grubo!..

To jest zupełnie prosty i jasny interes. W tem niema żadnej filozofji mglistej.

Na jesieni rolnicy muszą sprzedać swoje zboże,

bo na gwałt potrzebują pieniędzy. Wtedy żydy dają cenę małą. Skupują zboże, gromadzą je w szpichrzach swoich—i czekają. Nastaje głęboka zima, potem wiosna, przednowek... Robi się gwałt u głodnych, bo chcą jeść, więc muszą kupić chleba. Idą do żyda...

Owszem, żydzi właśnie powiadają, że mają zboże, ale teraz bardzo podrożało. Bo przecież sami kazali mu podrożeć. Jakto, alboż im się nie należy suty zarobek za to, że chowali polskie zboże w swoich magazynach? Oni właśnie po to je chowali, żeby na nim cena urosła.

Rolnik polski dla siebie chowa zboże w ziemi, po to, żeby z niego w lecie plon urósł obfity. A żyd znowu chowa zboże w swoim magazynie, żeby mu urosła w zimie cena! I częstokroć żyd lepiej wychodzi na swojem schowaniu. Bo przez zimę taka mu na zbożu urośnie cena w magazynie, że na każdym korcu więcej zarobi, niż rolnik, który musiał tęgo i długo napracować się nad wyprodukowaniem jego.

Oto jaka bywa różnica między zyskami z pracy rąk i nóg rolnika i z pracy głowy żydowskiej!

Już niektórzy nasi małorolnicy w maleńkich rozmiarach czynią to samo, ale czynią to, rozumie się, tylko zamożni i bardzo przezorni... Znam takich, którzy mieli u siebie swoje zboże dwuletnie. Woleli chować zboże, aniżeli pieniądze. Wartość zboża rosła, a wartość pieniędzy spadała. — I wygrali. Dziś sprzedali swoje zboże dwuletnie, grubo zarobili —i za to kupili ziemię!

Niedawno w „Głosie Lubelsk." z d. 1 lutego r. b. przeczytałem wiadomość z Warszawy tej treści: „Intendenturze wojskowej wydano polecenie, by nie czyniła żadnych zakupów zboża wewnątrz kraju, lecz by sprowadzała je na potrzeby wojska z zagranicy. W ten sposób zmniejszy się nieco popyt na ziarno, co powinno zahamować rosnącą groźnie drożyznę zboża"...

Aha, bardzo późno władze wojskowe poszły po rozum do głowy. Dziś i zagranica tanio swego zboża nie sprzeda. Czy nie byłoby właściwszem, gdyby nasze władze wojskowe miały swoje magazyny i zapełniały je zbożem w jesieni, nabywanem bezpośrednio u rolników polskich? Gdyby intendentura wojskowa nawet za pożyczane pieniądze kupowała zboże tylko u rolników naszych i w takim razie cena korca byłaby o wiele niższa, niż cena, dziś nabywanego za granicą, lub w kraju u żydów.

Już czas wielki, by władze wojskowe zajęły się bardzo skrzętnie sprawą zaopatrywania wojska polskiego w zboże polskie, kupowane przez intendenturę bezpośrednio u rolników polskich. — Tak nabywane zboże powinno być przechowywane w magazynach wojskowych, strzeżonych przez rzeszę urzędników uczciwych. Alboż nas nie stać na uczciwość?

Właśnie bardzo liczymy na to, że władze wojskowe stanowczo ułatwią naszym rolnikom zapoczątkowanie polskiego handlu ziemiopłodami polskiemi!

To samo uczynić powinien związek młynarzy polskich. I do nich rolnicy nasi chyba zwrócą się z propozycją nawiązania stałych, bezpośrednich stosunków kupieckich.

Im wcześniej to się stanie, zpewnością tem lepiej dla stron obu! A jak się to stać może—o tem pomówimy za tydzień.

# Nowiny z Polski.

— W Lublinie d. 29 stycznia umarł ś. p. ks. prałat Józef Pruszkowski, proboszcz parafji św. Pawła (pobernardyńskiej) mając lat 88. Był czas jakiś profesorem w seminarjum. Napisał ciekawą książkę o prześladowaniu unitów na Podlasiu.

— Dnia 1 lutego w Warszawie, w sali ratuszowej, przy licznym udziale mieszkańców odbył się uroczysty obchód dziewięćsetnej rocznicy koronacji króla Bolesława Chrobrego. Ten król ma u narodu zasługi wielkie, bo on pierwszy uczynił Polskę państwem krzepkiem, niezależnem od sąsiadów i nadał swemu państwu własną politykę samodzielną. Przy sposobności pomówimy o tem jeszcze. Wart bliższego poznania.

W Nałęczowie d. 2 lutego miejscowe nauczycielki szkoły powszechnej urządziły przedstawienie teatralne. Dziatwa tej szkoły zagrała „Jasełka" i „W lesie",—a zagrała bardzo dobrze. Czystego zysku z przedstawienia wpłynęło 111 złotych, przeznaczonych na powiększenie bibljoteki szkolnej. Nauczycielki tutejsze w godzinach poza szkolnych prowadzą kursa dokształcające dla młodzieży rzemieślniczej, nadto urządzają pogadanki dla starszych o znaczeniu szkoły i sposobach wychowania dzieci.

— W Bychawie 8 lutego miejscowe Koło młodzieży powtórzyło przedstawienie sztuki Galasiewicza „Maciek Samson". Młodzież doskonale zagrała, za co publiczność obdarzyła ją hucznemi a zasłużonemi oklaskami. Dochód i z tego przedstawienia został doręczony kasie szpitala „Samarytanin" w Bychawie.

— Dnia 12 lutego przypadła rocznica koronacji Ojca św., Piusa XI. W tym dniu we wszystkich kościołach zostały odprawione modły na intencję Papieża, tak serdecznie miłującego Polskę.

— Do Warszawy d. 9 lutego po południu pociągiem pośpiesznym przybyło czterech księży i kleryk z Rosji bolszewickiej. Zostali oni ze strasznych udręczeń zwolnieni na skutek usilnych starań rządu naszego. Są to: ks. Chodniewicz, profesor seminar. petersbur., skazany przez bolszewików na 10 lat katorgi,—ks. Niemiewicz, wikarjusz w Moskwie skazany na 3 lata wygnania nad morze Białe; ks. Rutkowski, wik. w Petersb. skazany na 3 lata więzienia, a już dwa odsiedział; ks. Stanisław Eysmontt, proboszcz w Peteresb., skazany na 10 lat więzienia. Dużo osób przybyło na dworzec warszawski dla powitania nieszczęśliwych rodaków—kapłanów. Powitanie było prawie nieme, bo łzy nie pozwalały mówić.

# Wiadomości polityczne.

Dnia 4 lutego wysoki komisarz Ligi narodów, przebywający w Gdańsku wydał nareszcie swoją opinję o zatargu między rządem polskim i senatem gdańskim w sprawie poczty polskiej w Gdańsku, rozumie się, nieprzychylną dla Polski. To było do przewidzenia, bo wysoki komisarz, jako anglik, przejęty jest polityką rządu angielskiego dość cierpką dla nas. Oczywiście, rząd nasz natychmiast posłał do Ligi narodów swój protest przeciwko orzeczeniu wys. komisarza. Sesja Ligi odbędzie się w marcu. Tam wypadnie usilnie bronić interesów i honoru Polski.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr, mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 22 lutego 1925 r. № 8.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Ś. p. Tadeusz Prószyński.



Urodził się roku 1873 w Warszawie jako najstarszy syn ś. p. Konrada Prószyńskiego (Promyka) z pierwszego jego małżeństwa ze ś. p. Cecylją z Puciatów. Życie w zaraniu skąpiło mu radości: matkę stracił bardzo wcześnie, a ojciec nie mógł otoczyć czworga sierotek dostatkiem, bo pracował jeszcze wtedy w bardzo ciężkich warunkach.

Szczęściem, warunki wkrótce zmieniły się na lepsze: Gazeta Świąteczna, zyskując coraz więcej czytelników, ujęła swemu Pisarzowi trochę troski o byt, sierotki zaś znalazły w drugiej żonie Promyka, Wandzie z Korzonów (córce uczonego historyka polskiego), opiekunkę całem sercem im oddaną.

Szkolną naukę przechodził ś. p. Tadeusz w Warszawie, w szkole Górskiego, a potem w Łowiczu, w istniejącej tam ówczas szkole realnej. Za radą ojca, jako przewidziany przez niego w przyszłości spółpracownik Gazety, poświęcił się następnie nauce rolnictwa w wyższej szkole w Puławach. Wtedy oddał się również z zapałem działalności oświatowej. Wiedział, co mu groziło w razie wyśledzenia tej działalności przez żandarmów moskiewskich: mógł się dostać do więzienia, na wygnanie, mógł sobie zwichnąć przyszłość. Ale to go nie powstrzymało· brał bardzo czynny udział w kółku młodzieży, które właśnie miało na celu pracę oświatową wśród okolicznych włościan.

Nie uszło mu to bezkarnie: wszak postępował wbrew dążeniom rządu moskiewskiego. W roku 1895 uwięziono go wraz z gromadką innych młodych działaczy i osadzono w cytadeli warszawskiej. Przesiedział tam siedemnaście miesięcy, a potem skazano go na wygnanie z kraju na północ Rosji, do miasta Archangielska nad morzem Białem.

W r. 1900 skończył się czas wygnania. Po powrocie do Warszawy ś. p. Tadeusz stanął do pracy w Gazecie i zwolna stała się ona treścią jego życia. Sposobił się do niej pilnie przez lat kilka pod czujnem okiem ojca a w r. 1908 po jego śmierci stanął na jego miejscu już jako wytrawny kierownik Gazety i przewodnik tysięcznych rzesz ludu.

Nie zasklepił się jednak w tej pracy każdą sprawę narodową i społeczną żywo brał do serca. W roku 1922 wybrany został na posła do sejmu. Wybór ten włożył na niego nowe obowiązki: wielotysięczne rzesze czytelników widziały w nim odtąd rzecznika swych spraw i w całych stosach listów wynurzały swe potrzeby i pragnienia. Same odczytywanie tych listów pochłaniało mnóstwo czasu, a wnikanie w przedstawiane w nich potrzeby usiłowanie przeprowadzenia w sejmie słusznych żądań wkładało rzeczywiście na Pisarza Gazety obowiązek, pod którego ciężarem najsilniejszy mógł upaść. A przytem ciągła praca w Gazecie, od której nigdy nie chciał się oderwać, lubo niejednokrotnie szkodziła zdrowiu jego. Wreszcie od nadmiaru pracy padł, jak oracz przy pługu, od którego do ostatniej chwili rąk nie odjał.

Nagle odwołał go Bóg dnia 12 stycznia w nocy, kiedy przy biurku swoim pracował.

Pogrzeb odbył się 17 stycznia, w sobotę. Kilka przemówień wygłoszono nad jego mogiłą.

Ks. Jan Langier tak między innemi powiedział:

„Patrzcie, oto grób jego otaczają liczne rzesze. Któżby z was nie chciał, aby waszą trumnę otoczył taki wieniec niezwiędły? — Jakiż wniosek od tej mogiły wynieść mamy? Oto, że do ludu trzeba iść z wiarą, z miłością, z prawdą i z poświęceniem. Lud nasz łaknie oświaty, ale nie burzącej, tylko budującej. Ś. p. Tadeusz Prószyński był niezwykłym mocarzem, bo wywierał potężny wpływ na niezliczone gromady, potrzebujące oświaty i tego wpływu z wielką rozwagą używał. Błogosławiony mąż, który idzie w Imię Pańskie z kagańcem oświaty w ręku, z miłością w sercu i z wiarą w duszy pod strzechy wieśniacze.

Przemówił też nad mogiłą czytelnik Gazety, J. Wrzosek,

jako delegat ze wsi, jako samouk, który nie przez szkołę, ale przez pracę ś. p. Tadeusza Prószyńskiego został nauczcny.

Wrzosek tak między innemi rzekł: Ojciec i syn, Konrad i Tadeusz, rozpoczęli walkę z ciemnotą; oni pierwsi zaszczepili światło wiedzy i nauki w ludzie wiejskim, w ludzie biednym. Oni przysposobili wieś do walki z ciemnotą.

A w sejmie marszałek Rataj dnia 20 stycznia takie między innemi wygłosił słowa:

Dnia 12 stycznia zmarł kolega nasz, ś. p. Tadeusz Prószyński. Życie jego było jednem pasmem rzetelnej; wytrwałej pracy obywatelskiej dla dobra ojczyzny. Rozpoczął ją na niwie oświatowej wcześnie, bo już w studenckich czasach i przypieczętował ją więzieniem i zesłaniem na wygnanie. Nie złamało go to, nie odwróciło z obranej drogi. Zahartował się. Przez 25 lat pełnił obowiązek pisarza Gazety ludowej, obowiązek trudny, pełnił go z całem oddaniem i najlepszą wolą. Od dwuch lat zasiadał z nami w tej sali. I w pracy sejmowej był wytrwałym pracownikiem. Posiadał jedną z najcenniejszych zalet: umiał kierować się względami na dobro sprawy. Ś. p. Tadeusz Prószyński prawością charakteru, umiejętnością spółżycia i spółpracy umiał pozyskać sobie nasz szacunek i nasze uznanie.

# Weźmy się!

D. 29 stycznia r. b. w „Kurjerze Warszawskim" p. Jaksa w artykule swoim „Do walki z ciemnotą" podał smutne wiadomości, uwagi słuszne i zachętę poczciwą.

Dowiadujemy się z niego, że „pobór rekruta w ostatnim roku (1924) wykazał w niektórych powiatach **80 procent analfabetów** (nieumiejących czytać). A w powiecie olkuskim (ziemia kielecka) wśród poborowych było **31 procent analfabetów powrotnych**, to jest takich, **którzy umieli dawniej czytać, lecz zapomnieli!...**

„Ogółem zaś mamy średnio z górą 50 procent nieumiejących czytać i pisać, **a umiarkowanie licząc, 75 procent obywateli, którzy wskutek swojego nizkiego rozwoju umysłowego nie umieją orjentować się w zagadnieniach społecznych i w wymaganiach kultury.**

„Co za podatny materjał — woła p. Jaksa — dla wszelkiego rodzaju niesumiennych agitatorów, idących pomiędzy te tłumy (o nizkim poziomie umysłowym) z żagwią nienawiści społecznej!

„Któż nie zdrętwieje, nie przerazi się w sobie na myśl o przyszłości Polski, gdyby pewnego dnia pękły stawidła zdrowego rozsądku u tych tłumów i gdyby dały się one poprowadzić czerwonym prowodyrom!...

„A jednak — dodaje p. Jaksa — społeczeństwo polskie najwidoczniej **nie zdaje sobie sprawy** z możliwych następstw takiego położenia"!

Dalej radzi on życzliwie, by rodacy światlejsi, a ożywieni dobrą wolą, natychmiast wzięli się do uczenia czytać i pisać tych swojaków, którzy tej sztuki jeszcze nie nabyli, lub wywietrzała im z pamięci!... Nawet doradza, by każdy tylko trzech analfabetów nauczył, a już wnet nie mielibyśmy wpośród siebie ani jednego nieuka!

Rada jego dobra. Lecz liczba nieumiętnych, podana przez niego, jest nad wyraz smutna, poprostu zatrważająca!

Już dawno nie spotykaliśmy się z wykazem rachunkowym o stania oświatowym ludności w tej dzielnicy Polski, zwanej Kongresówką, lub Królestwem Polskiem (bo o tej dzielnicy p. Jaksa mówi w powyższym artykule i my w tej chwili tylko tę dzielnicę mamy na uwadze), ale nawet nigdy nie przypuszczaliśmy, że tu jeszcze straszna ciemnota upośledza tak przeogromną liczbę młodzieży polskiej!..

„Połowa ludności jeszcze nie umie czytać"!

Toć to nie tylko kalectwo duchowe, ale nieszczęście, które nękać będzie **cały naród polski** tak długo, jak długo żyć będą ci upośledzeni...

Bo wszakże nieuctwo w czasach dzisiejszych, kiedy nietylko cnota i nauka, ale, niestety, również i przewrotność, nikczemność czynią wielkie postępy, najczęściej ściąga wiele klęsk na nieuka. A gdy on staje się wskutek tego nieszczęśliwy, już, doprawdy jego nieszczęście zaraz duże szkody wyrządza społeczeństwu.

— Nieuk — wszyscy mówimy zgoła słusznie — jest bardzo łatwowierny, niezdolny sądzić sprawiedliwie, zachować ostrożność, rozważnie rozstrząsać cudze zdania i rozmaite wydarzenia codzienne. Nie tylko brak jemu mnóstwa wiadomości pożytecznych, które nabywa się jedynie czytywaniem książek i gazet, ale nadto brak mu łatwości myślenia, a tę łatwość osięga się tylko przez częste wnikanie w cudze myśli rozumne i naukowe, czerpane obficie z książek i gazet, oczywiście dobrych.

Dla nieuka takie książki i gazety są niedostępne, zamknięte tak mocno, że on sam otworzyć je nie jest w możności — i właśnie z powodu swej bezsilności duchowej zasługuje na wielką litość!

On nieszczęśliwy, upośledzony, bo ciemny!

A on przecież nasz brat-rodak!

I mamyż obojętnie zachować się wobec wielkiej niedoli jego?

Niewolno! Zresztą serce polskie i chrześcijańskie już na samą myśl o tej niedoli jego zrywa się do czynu.

A co robić, żeby pokonać tak przeogromną ciemnotę?

Nam zdaje się, że nie dość jest nauczyć kogo czytać i pisać. Nawet odważę się oświadczyć, że jest coś niezbędniejszego od tej przysługi.

A co?

Oto **weźmy się** wszyscy razem do zakładania czytelni.

Mówią, że sam widok smacznego jadła budzi nagły w ludziach apetyt. Prawda. A znowuż wrodzoną jest u ludzi ciekawość. Gdy przeto w swojej wiosce zobaczą książki w czytelni zgromadzone pod opieką osoby światlejszej i życzliwej dla ogółu, a przeznaczone do pożyczania tym, którzy je czytać zechcą, już to napewno zachęci niejednego do zdobycia sztuki czytania, byle mógł sam bez obcej pomocy zapoznać się z ich treścią.

Ale nie o takich nieuków jedynie zatroszczyć się nam należy! Bo i o tych także, którzy już czytać umieją, ale zczasem, zapewne, zatracą ten nabytek (jak to się stało w olkuskiem i gdzieindziej), jeżeli nie będą mieli dość często w ręku książki i gazety.

Tych właśnie obsłużyć trzeba przedewszystkiem! Bo gdy oni czytywać będą, a nieraz czytywać głośno i mówić pochwalnie o przeczytanych książkach zajmujących, — już w ten sposób niechybnie pociągną do nauki czytania i te z otoczenia swego osoby, które jeszcze nie posiadają tej sztuki. — Bracie, naucz mnie czytać! — Tak zawoła niejeden młodzik do swego znajomka, gdy ten często czytuje książki, oraz gazety i niekiedy jemu coś z nich ciekawego opowie.

Rozpalona ciekawość nie daje spokoju nieukowi, dokucza mu, niecierpliwi go, bo chce bezpośrednio i do syta zadowolnić się nowinami i opowiadaniami, znajdującemi się w książkach i gazetach czytelni.

Tą drogą niewątpliwie najpewniej pobudzi się wątłych czytelników do zdobycia większej oświaty, a nieuków do nabycia sztuki czytania.

Dobrze jest wiedzieć, że jeśli chcemy podnieść ciemnych, musimy pierwej podnieść światlejszych... Bo przecież tylko światlejsi podźwigną ciemnych, a zechcą to uczynić wówczas dopiero, gdy należycie zrozumieją niezbędność oświaty, oraz szkody, jakie ciemni sobie i społeczeństwu wyrządzają.

Przeto, owszem, nauczmy czytać i pisać nieuków, — ale też bardzo pilnie weźmy się do zakładania czytelni, ażeby umiejący czytać nie stali się zczasem powrotnemi nieukami. A takich mamy wśród siebie jeszcze bardzo dużo, może nawet więcej, niż sami przypuszczamy....

---

Szlachetność nie na sile polega, lecz na tem, jaki z siły czynimy użytek: dobry, czy zły, piękny, czy szpetny.

**Beecher.**

---

Nieskazitelność jest więcej warta, niż najświetniejsze powodzenie.

**Emerson.**

---

# MYŚL.

Z mych przyjaciół wiernych grona
Najwierniejszą myśl ma była,
Czasem pieśnią rozmarzona
„Wiecznie naprzód dąż!“ mówiła.

Wskazywała wielkie cele
I do czynów zachęcała.
„Pragnij wiele, pracuj wiele!“
Wiecznie do mnie powtarzała.

Myśli moja, myśli złota!
Zawsze, wszędzie bądź ty ze mną,
Gdzie panuje mrok, ciemnota,
Ty rozwidniaj przestrzeń ciemną!

Unoś wiecznie mego ducha
W dal promienną, w dal tęczową
I powtarzaj wciąż do ucha
Czarodziejskie „naprzód“! słowo!

**Władysław Bukowiński**

# Czas i praca.

Jakkolwiek może nam się zdawać, że każdy poszczególny żydowski kupiec zbożowy prowadzi interes na swoję rękę, to jednak jest on w dużym stopniu zależny od olbrzymiej organizacji żydowskiej, prowadzącej spólnemi siłami ten handel.

Poszczególnemu kupcowi ta zależność wcale nie dokucza, owszem, ona mu jest bardzo pożyteczna, bo on tylko tej organizacji zawdzięcza pewność, że nigdy w swoim handlu nie straci, jeśli zawsze akuratnie stosować się będzie do wskazówek, których ona w każdej chwili mu nie poskąpi przez telefon lub depeszę.

Żydowska organizacja zbożowa ma swoję giełdę, czyli sekretne biuro do układania na każdy dzień osobnych cen za korzec pszenicy, żyta owsa, jęczmienia i t. d. Na czele tej organizacji stoi wielu doświadczonych żydów, kupców zbożowych. Oni biorą pod uwagę ceny zagraniczne, oraz urodzaj w Polsce i w tych krajach, skąd można do Polski sprowadzać zboże i znowu w tych, dokąd można wysyłać zboże tutejsze. Przewidują dość trafnie ilość zboża, która będzie w ruchu kupieckim — i podług tego przewidywania podają stosowne ceny na kupno i sprzedaż zboża wszystkim swoim kupcom poszczególnym. Ceny te nie są jednakowe w każdej okolicy kraju nawet jednego dnia, a nawet bywa tak, że inna jest cena rano, a inna po południu. Nic nie dzieje się bez przyczyny. **Tych zmian** bardzo starannie pilnują kupcy doświadczeni tam, na giełdzie. I dlatego poszczególny handlarz zbożowy nie może stracić.

Wprawdzie niekiedy płaci żyd w miasteczku lub na wsi niby drożej, bo nagle wlazł mu w drogę polski kupiec współzawodnik, — jednak żyd i przez tę nadwyżkę nic nie straci. Bo ta nadwyżka zwrócona będzie kupcowi, gdyż on swój procent od każdego korca swego otrzymać musi od tych kupców wielkich, którzy nabędą u niego wszystko zboże do swoich magazynów.

A więc żydowska giełda zbożowa dla całego kraju ustanawia każdodziennie osobną cenę, ile trzeba brać, lub płacić za korzec zboża. To się nazywa urzędowa, czyli publiczna, wszystkim wiadoma cena zboża. A sekretnie ta sama giełda pocichu rozsyła swoim kupcom poszczególnym zawczasu, nawet na dni kilka naprzód, wiadomości pewne ile mogą najwyżej zapłacić za korzec zboża.

Przeto poszczególni żydowscy kupcy zbożowi nigdy nie działają na ślepo, więc nie mogą się mylić, stąd też nie narażają się na straty.

Tak zarobek ich na polskich ziemiopłodach jest zupełnie pewny i bardzo obfity!

Jak obfity, świadczą wielkie fortuny poszczególnych żydów, kupców zbożowych. To żadna tajemnica. Nasi rolnicy przecież znają swoich kupców zbożowych, których zamożność rośnie ustawicznie! Ani orzą, ani sieją, a jednak tylko zboże, nabywane u polskich rolników, przynosi im olbrzymie dochody!

Niejeden z tych kupców podczas wojny był już niemal bankrutem. Po wojnie wrócił do swego handlu zbożowego, jako do złotego interesu, — a wrócił

nie sam lecz z całą swoją rodziną liczną. I, rozumie się, dziś już jest bogaczem wielkim on i jego dzieci.

Gdym kiedykolwiek zachęcał moich rodaków, by wzięli się do tego handlu, niektórzy z nich wręcz odpowiadali jakoś śmiało, jak gdyby mocno przeświadczeni o swej słuszności, że teraz (a bywała moja namowa w różnych czasach) pora nieodpowiednia do zapoczątkowania takiego handlu."

Tymczasem żydzi innego są zdania. Dla nich każda pora roku dobra do handlu zbożowego. I niemal zgóry są pewni, że nie stracą na nim. A że tak czynią żydzi, przekonają nas nowe ogłoszenia kupieckie, podane przez lubelski sąd okręgowy w dwuch numerach „Głosu Lubelskiego" z d. 14 stycznia i 16 lutego r. b., które tu przytaczam. I tak:

D. 6 października 1924 r. Icek Zycer otworzył handel zbożowy w Rejowcu (pow chełmski).

D. 6 października 1924 r. Aron Cukier wziął się do handlu zbożowego w Opolu (pow. puławski).

D. 3 października 1924 r. Moszek Winer i Aron Laks założyli handel zbożowy w Chrzanowie (pow. lubelski).

D. 16 grudnia 1924 r. Abram Jakób Rotlender podjął się handlu zbożowego w Lublinie, przy ulicy Ruskiej, 34.

D. 26 stycznia 1925 r. Judka Fuks zabrał się do handlu zbożowego w Trawnikach (pow. lubelski).

D. 30 stycznia 1925 r. Elo Wertman i spółka rozpoczęli „handel płodami rolnemi" w Lublinie, przy ulicy Powiatowej Nr. 1.

D. 2 lutego 1925 r. Dawid Himelblum przedsięwziął handel zbożem w Bychawie (pow. lubelski).

Ogłoszenia te chyba przekonały nas, jak żydom nie robi różnicy dzień i miesiąc, gdy chodzi o założenie handlu zbożowego. Oni gotowi w każdym czasie wziąć się do niego i pewni są powodzenia i zysków pokaźnych.

Gdyby powyżej przytoczone ogłoszenia przeczytał jaki cudzoziemiec, np. francuz, anglik, duńczyk, lub czech, napewno zadałby nam, polakom, dwa pytania. Jedno: ilu jest polskich kupców zbożowych, a ilu żydowskich i których więcej? chyba polskich, bo przecież ziemia orna w Polsce znachodzi się przeważnie w rękach polskich? A drugie pytanie: czy żydowscy kupcy zbożowi posiadają swoje folwarki na własność, albo w dzierżawie?

I, doprawdy, byłby cudzoziemiec mocno zdumiony, nawet podejrzewałby nas o złe chęci wprowadzenia go w błąd, gdyby usłyszał od nas odpowiedź, niestety, najprawdziwszą, że w całej Kongresówce, a, zapewne i w Małopolsce,—polskich kupców zbożowych **może** zdołamy naliczyć kilkunastu i to zaledwo drobnych, bojaźliwych i niesamodzielnych, a **żydowskich** na tych obszarach Polski niewątpliwie znajduje się **conajmniej kilkanaście tysięcy!..**

A i ta garstka polskich kupców zbożowych,—napewno rzec to można,—nawet nie potrafi prowadzić samodzielnych dostaw, lecz mniej lub więcej korzysta z pomocy i usług hurtowników i magazynierów żydowskich.

A i odpowiedź nasza na drugie pytanie wydałaby się cudzoziemcowi poprostu kpinkami z niego, gdyby usłyszał, że żydowscy kupcy zbożowi bynajmniej nie mają w posiadaniu folwarków, słowem, nie są rolnikami. Lecz jedynie rolnicy polscy dostarczają im swoje zboże na sprzedaż, bo sami nie życzą sobie własnej głowiny fatygować rachunkami i kłopotami kupieckiemi, więc skwapliwie i nawet wdzięcznie wyręczają się żydami. A żydom „na to, jak na lato",—najchętniej podejmują się tej usługi i dobrze na niej wychodzą, ale za to nasi rolnicy nie osobliwie. I nic dziwnego, bo wszakże powiada stare polskie przysłowie, że „przez posły wilk nie tyje"...

No tak, ale przecież nikt rolników naszych nie przymusza do wyręczania się w handlu zbożowym kupcami żydowskiemi.

Sami rolnicy polscy dobrowolnie idą do kupców żydowskich. I ta stała ich wędrówka do żydów, doprawdy, wydaje się cudzoziemcom poprostu trudną do zrozumienia, jak gdyby jakąś cudaczną łamigłówką.

Bo albo żydy,—tak cudzoziemcy przypuszczają, naszych rolników oczarowały, albo.... albo.... aż wstyd wyznać, lecz choć z krztuszeniem się jednak trzeba powtórzyć paskudne cudzoziemców zdanie o nas,... otóż... albo... polacy to straszne lenie!... podobni są do onego legendowego parobka leniwego, któremu gospodarz kazał zanieść worek zboża od roli do spożywcy, a ten parobek próżniak narazie chwacko niósł wielki wór zboża, jak gdyby piórko lekkie, —ale w połowie drogi już stracił ochotę, nie chciało mu się iść dalej, bo usłyszał skrzypki w karczmie i tupot tańczących, a przytem ktoś go wołał na jarmark, więc rzucił wór na drogę i rzekł do gospodarza: „Niech kto inny go zanosi do spożywcy, bo ja wolę wziąć od waju mniej za pracę, a nie opuszczę zabawy i jarmarku! Milsza mi zabawa, niż ciężkie harowanie".

Narazie nikogo nie było pod ręką, ktoby poniósł wór dalej, aż napatoczył się żyd i wtedy gospodarz kazał mu zająć się dostarczeniem tego worka spożywcy, za co miał otrzymać sutą nagrodę. Żyd bardzo gorliwie podjął się tej czynności, ale nie chciało mu się dźwigać tak wielkiego i ciężkiego worka.

Żyd ma „delikatne siły, a przytem bardzo ceni swe zdrowie". Od czego głowa jego? Zaraz też dowcipnie pomyślał, że „do dźwigania ciężkich worków i usługiwania żydom jest stworzony gruby, ordynarny chłop polski. Co on innego potrafi zrobić? Nic. Nim trzeba rządzić, kierować, jak tą grubą-nieociosaną pałką"... Więc żyd poszedł do karczmy, wywołał tego samego parobka leniucha, dał mu kilka groszy na papierosa i na kieliszek wódki, ażeby za to zaniósł mu ciężki wór zboża, leżący na drodze, aż do spożywcy, mieszkającego „niedaleko,.. o, zaraz na końcu miasteczka".... Parobek zgodził się, podjął wór i niósł dosyć długo, bo to „zaraz" okazało się żydowskiem, więc dość długiem. Parobek klął, ale niósł i doniósł, aż do spożywcy, bo żyd dał mu jeszcze papierosa dla udobruchania. Żyd otrzymał sutą nagrodę od gospodarza, który jednak bardzo rozgniewał się na parobka-leniucha i za karę skazał go na wieczne posługiwanie żydom!

Parobek wprawdzie klnie żydów, szydzi z nich, przezywa, ale trzyma się ich oburącz, ciężkie po-

sługi im spełnia, a oni wynagradzają go kilkoma groszami na papierosy i wódkę.

Tyle mówi dziwna i smutna legenda. Niestety, dostrzegamy w niej trochę podobieństwa do mnóstwa naszych rolników polskich i kupców żydowskich.

I nasi rolnicy nie chcą sami zanieść swego zboża do spożywcy, oddają je w połowie drogi żydom. I zdawaćby się mogło komu z boku patrzącemu, że nasi rolnicy bardzo niechętnie powierzają żydom swe zboże na sprzedaż, bo coraz przeklinają żydów, złoszczą się na nich, przezywają rozmaicie, a szpetnie; bo szachrajami, wyzyskiwaczami, posożytami i t. d.

Żydzi te przezwiska przyjmują spokojnie, nawet uśmiechają się pobłażliwie, bo zgóry wiedzą, że ci sami rolnicy, niby tak rozsierdzeni, niebawem przyjdą do nich dość pokorni, skuleni, nieśmiali, prosząc o zaliczkę na to zboże, które dopiero wydobywa się źdźbłami zielonemi z ziemi!...

Kupiec żydowski poufale pożartuje z polskim rolnikiem, okazuje mu się niby najlepszym przyjacielem,—ale w rachunku będzie tak zimny i twardy, jak kamień. Da zaliczki tyle tylko, ile przezorność każe i taki kwit weźmie, że rolnik odtąd już tak jest skrępowany, jak istny niewolnik, pracujący na żyda, jako pana swojego.

W głębi duszy niejeden rolnik serdecznie nienawidzi swego żyda-kupca zbożowego. A jednak, mimo to, uznaje w dziwnem zaślepieniu, że żydowski kupiec zbożowy jest najlepszym, najdogodniejszym dla naszych rolników.

Czemu?

Moja odpowiedź jest jedna ciągle: Tylko dlatego, że nasz rolnik ma głowę bardzo leniwą do myślenia i rachowania. Stąd zawsze rolnik obstaje przy swoich pochwałach dla żydowskiego kupca zbożowego.

Jakie on w nim upatruje zalety i czy myli się, nad tem zastanowimy się za tydzień i stąd wyprowadzimy wnioski, chyba nakazujące polskim rolnikom ująć handel zbożem w swoje ręce!

# GŁOS

## nauczycieli abstynentów w Poznaniu.

Według obliczeń przedwojennych wydawali polacy 500 miljonów marek rocznie na wódkę, piwo i wino. Dziś ta suma zapewne wzrosła. — Bogata, potężna, zwycięska Ameryka oszczędza, aby się jeszcze więcej zbogacić i jeszcze bardziej spotężnieć, my, polacy, ubodzy, słabi, niewolą wycieńczeni, pijemy, aby jeszcze bardziej zubożeć, jeszcze bardziej osłabnąć i popaść w niewolę jeszcze okropniejszą!

Dlatego pukamy do szlachetnych serc nauczycielstwa polskiego tak szkół powszechnych i wydziałowych, jak gimnazjów i uniwersytetów: koledzy, podajmy sobie bratnie dłonie do nieubłaganej walki z alkoholem, ratujmy dzieci, ratujmy młodzież, ratujmy naród!

---

Pijak unieszczęśliwia siebie i rodzinę, przepija rozum, pieniądze, czas i spokój domowy.

**Ks. Karol Antoniewicz.**

# Nowiny z Polski.

— Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej d. 4 lutego mianował wojewodą wołyńskim Dąbskiego Aleksandra, który dotychczas był starostą chełmskim.

— W dniu 31 stycznia r. b. liczba bezrobotnych wynosiła 123.593 osoby. W tem 78.731 osób ma prawo korzystać ze stałych zapomóg państwowych, dopóki nie znajdą dla siebie pracy zarobkowej.

— W Polsce jest samochodów 11.434.

— Kupcy w Warszawie wzięli się na dobry sposób. W ostatnich czasach coraz częściej złodzieje nocną porą zakradali się do sklepów i wynosili towary na pokaźne sumy bez żadnego hałasu; a szmer złodziejski nie potrafi obudzić śpiących mieszkańców. Otóż teraz kupcy w wielu sklepach na noc zamykają psów. A wiadomo, pies jest bardzo czujny i hałaśliwy. Niech sprobuje złodziej choćby najciszej podważać drzwi lub okno sklepowe, a napewno czworonogi stróż wnet narobi takiej wrzawy, że wszystkich mieszkańców w całej kamienicy powoła do obrony sklepu, napastowanego przez nocnych gości.

— W Łucku d. 14 lutego zarząd miasta założył miejską kasę oszczędności dla wygody mieszkańców. Ta kasa przyjmuje wkłady i udziela pożyczek na sposób bankowy.

— W Bychawie d. 15 lutego w domu ludowym miejscowe nauczycielstwo urządziło „Wieczór literacki". A więc p. Sójko wygłosił odczyt o Juljuszu Słowackim, następnie wypowiedział Improwizację z Kordjana. Potem dobrany zespół nauczycielstwa odegrał 4-y akt z Lilli Wenedy.

— Dnia 11 lutego sąd pokoju w Bychawie rozpatrywał sprawę bardzo smutną. Oto władze policyjne pociągnęły do odpowiedzialności młodziutkiego, bo zaledwo 18 lat mającego czeladnika kowalskiego, Zygmunta Środka, oskarżonego o pokaleczenie nożem w bójce niejakiego Antoniego Dysia. Sąd skazał winowajcę na 3 miesiące więzienia.

Występek straszny zasłużył na karę surową i sąd w imieniu sprawiedliwości—karę wymierzył. Ale społeczeństwo musi zastanowić się nad tym wypadkiem okropnym i zadać sobie pytanie: czy sama kara poprawi młodzieńca, a wszakże społeczeństwu przedewszystkiem chodzi o poprawę! Ten młodzieniec dostanie się do więzienia. I tam czy znajdzie pobudki i ułatwienia do poprawy swego charakteru zapalczywego, mściwego, gotowego w uniesieniu nawet źdźgnąć nożem swego przeciwnika?

Weźmy to pod uwagę! Czy społeczeństwo może zadowolnić się samym wymiarem kary? Nie. Ono jest bardzo zasmucone losem tego młodzianca nieszczęsnego! Co z niego będzie po wyjściu z więzienia? Czy wyjdzie z niego lepszym czy gorszym? Rozumiemy, że **musi być ukarany** za występek. Ale zaraz zapytajmy, czy **musi być zgubionym moralnie?** A co czyni społeczeństwo, żeby takiego skazańca uratować moralnie?

Może na to niejeden odpowie: jest kościół od tego! Prawda. Ale czy dziś właśnie ten kościół w pracy swojej nie doznaje przeszkód od dużej części

społeczeństwa? Dziś starsze pokolenie gorszy młodzież swemi mowami bluźnierczemi, szyderstwem bezbożnem, złośliwością języka swego! A ten jad niewiary, złości, nienawiści truje młodzieńcze serce, gasi w niem szlachetniejsze porywy, a natomiast budzi najgorsze popędy! Co społeczeństwo sieje, to zbiera!

— W Warszawie grono osób krząta się pilnie około urządzenia pielgrzymki młodzieży szkolnej do Rzymu. Ojciec św. tak pragnie zobaczyć u siebie polskie dzieci. Wprawdzie rok ten jest ciężki, ale przecież znajdzie się sporo tak zasobnych rodziców, którym starczy na wyprawienie swych dzieci z pielgrzymką do Głowy Kościoła Katolickiego. Niech nasza młodzież tam otrzyma błogosławieństwo na dobrą drogę życia swego, aby z niej ojczyzna miała wiele pożytku, a Kościół wiele chwały.

Przy tej sposobności warto nadmienić, że z Niemiec ludność katolicka co tydzień cały pociąg wysyła z pielgrzymką do Rzymu. A nawet z naszego Śląska katolicy przyłączają się do tych pielgrzymek niemieckich.

— W Imbramowicach, wsi (pow. olkuski), mieszkańcy miejscowi przerobili starą karczmę na szkołę. Świetnie! Oby wszędzie taki koniec spotkał karczmy, —a naród nasz wnet stałby się moralnie lepszym, mądrym i zasobnym. A dziś jeszcze, niestety, wskutek nadmiaru trunków—wiele mu brakuje w głowie, sercu i kieszeni. Tyle szkody wyrządza butelka, pomysł piekielny.

— W nocy z 9 na 10 lutego pod Kijanami na drodze znaleziono zabitego Szymona Warducha, fornala dworskiego.— Śledztwo wykazało, że Warduch, wracając furmanką ze stacji kolejowej, był pijany i wskutek tego widocznie źle pokierował końmi tak, że wóz spadł do rowu i na śmierć przygniótł pijaka. Zapewne Warduch zostawił żonę i drobne dzieci w nędzy. Sam miał dopiero 32 lata. Człowiek w sile wieku zginął marnie przez wódkę! A on w nią wierzył, jak i wszyscy wogóle trunkowcy, którym ciągle zdaje się, że ona uszczęśliwia. Niechże teraz trunkowcy udadzą się do wdowy po Warduchu i zadadzą jej pytanie, czy to prawda co mówią ludzie, że wódka przyczynia się do szczęścia. Napewno przekona ich o tem wdowa.

— Ostatnia wojna mnóstwo rodaków naszych, będących jeszcze w młodym wieku, uczyniła kalekami. Młodzi, zdrowi,—a niezdolni do pracy, bo albo bez nogi, albo bez ręki! Czy niema sposobu dla nich jakiego, ażeby mogli pracować, nie być ciężarem dla społeczeństwa? Owszem, serce i rozum dały tym nieszczęśliwym ratunek możliwie najlepszy. Oto pomysłowość ludzka, kierowana litością i rozumieniem wymagań godności ludzkiej, zbudowała sztuczne nogi i ręce tak misternie, że kaleka bez nóg może chodzić nogami sztucznemi — i kaleka bez rąk, zdolny jest pracować rękami sztucznemi.

U nas, w Polsce, już niejedna istnieje fabryka protez, to jest sztucznych nóg i rąk. A jak są już udoskonalone te protezy, niedawno, bo 30 stycznia r. b. publiczność warszawska przekonała się, zwiedzając w Warszawie wojskową fabrykę protez. Tam właśnie pokazano, jak młodzieniec bez obu rąk (jedna odjęta powyżej łokcia, a druga powyżej kiści) przy pomocy protez (sztucznych rąk) jest w stanie wiele prac trudnych wykonywać, bo nawet może pisać i łatwo wszelkie przedmioty przenosić z miejsca na miejsce. Takie protezy dziś nieoszacowanem są dobrodziejstwem dla naszych inwalidów.

## Rozmaitosci.

— Jeden uczony szwed, zajmujący się badaniem zjawisk powietrznych i zmian pogody na całym świecie, przekonał sie, że od 135 lat nie było w północnej i środkowej Europie grudnia tak ciepłego, jak ostatni, w roku 1924-ym. Dalej wykazał ów uczony, że w ciągu ubiegłych 155-ciu lat szesnaście zim odznaczało się niezwykłem ciepłem w listopadzie i grudniu. Ten uczony przepowiada, że w tym roku luty do końca i marzec będą łagodne, a wiosna przyjdzie wczesna i ciepła.

— Dnia 11 lutego w kopalni pod Dortmundem (w Westfalji) wskutek gazów wielu górników, zajętych pracą w głębi ziemi, postradało życie. Z wielkim trudem zdołano wydobyć 110 trupów, a 6-ciu górników narazie dawało słabe oznaki życia.

— Prezydentem Finlandji został obrany na lat 6 Ryti, dotychczasowy dyrektor Banku finlandzkiego. Urzędowanie swoje rozpocznie 1 marca.

## Wiadomości polityczne.

— Rząd Rosji bolszewickiej podał wiadomość o dymisji Trockiego ze stanowiska komisarza spraw wojskowych i przewodniczącego rewolucyjnej radzie wojennej. Na jego miejsce powołano Frunzego, który kilka dni temu w obecności 5.000 uczniów szkół wojskowych wygłosił mowę zapowiadającą, że rząd sowiecki ma na celu jedynie pracę pokojową.

— Stolica Apostolska zawarła umowę kościelną z rządem polskim. Umowa ta została uroczyście podpisana w Watykanie przez przedstawicieli rządu polskiego.

— Prezydent Francji, Doumergue i prezes ministrów francuskich, Herriot, wygłosili mowy polityczne, w których bardzo wyraźnie oświadczyli, że Francja nie może dowierzać Niemcom, gdyż one, jako państwo, powiększają wbrew umowie pokojowej, swoje uzbrojenie i liczbę wojska, co każe domyślać się, że zamyślają kiedykolwiek wszcząć wojnę, na co, rozumie się Francja i inne państwa, nigdy nie pozwolą.

— Niemcy rozzuchwalają się, bo biorą otuchę od Anglji, która niby chce pokoju, ale wyraźnie o tem nie mówi; wprawdzie przychylna jest Francji, lecz i ku Niemcom spogląda bez gniewu. Przeto niemcom zdaje się, że Anglja może nie przeszkodzi im wszcząć nowej wojny z sąsiadami. Dlatego coraz śmielej potrząsają szabelką.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłk: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 1 marca 1925 r. № 9.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.




# AKT WIARY.

I rzekł Jeremi: Słuchaj mnie, narodzie,
A nie patrz na mnie tak łzawo i smutnie;
Długom ja płakał w oliwnym ogrodzie.
Długo ja łzami rozdźwięczałem lutnię,
A teraz wstaję ciałem utrudzony.
Lecz duszą silny — wielki — namaszczony.

Oto się do was stało moje słowo,
Wy do mych kolan, jak dzieci przybiegli,
Otom was nakrył koroną cierniową,
A wy w pokorze w proch czołami legli:
Teraz powstańcie z koroną gwiaździstą
I oblekajcie szatę białą — czystą.

Ileż wy żółci nie pili kielichów!
I przeto pełni byliście obawy:
Gorycz żre duszę, lecz nie zmywa grzechów,
Teraz, narodzie, tyś przebył chrzest krwawy,
Tą krwią dopiero grzechyście spłukali,
A więc do światła występujcie — biali!

Ja was utwierdzić chcę w tej świętej wierze,
A więc bierzmuję wasze dusze jeszcze,
Pierś w archanielskie skuję wam pancerze,
Na pogląd w przyszłość dam wam oko wieszcze,
Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem...
Śpiewam ją!—a wy, idźcie za mną głosem:

## PIEŚŃ

Wierzymy, Panie, o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy, Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabemi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy, Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele i matła
Twą świętą wiarę, co, niepokalana,
Z trjumfem skończy z nim swe bojowanie...
Wierzymy, Panie!
Wierzymy, Panie, że synowie pychy
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze upniesz na łańcuchu,
Że ich tu płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy, Panie!
Wierzymy, Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać będą na nas, jak na słońce,
Że Ty nad nami weźmierz królowanie,
Wierzymy, Panie!

**Kornel Ujejski.**

# Popielec.

Kościół Katolicki bardzo pomaga duszy ludzkiej walczyć z własnemi namiętnościami, które potrafią stopniowo rozgrzewać się i nawet szaleć.

Zazwyczaj miłe bywają początki, lecz potem, niestety, nastaje koniec żałosny!

To tak pospolita prawda, wszystkim znana, że „daj kurze grzędy, a ona chce usiąść wyżej!" Raz dana komu swoboda, niebawem już mu nie wystarcza, chce jej posiąść coraz więcej, bez granic, aż do zdrożności.

Słowem, człowiek jest skłonny ciągle do popełniania przesady we wszystkiem. Gdy przesadza w dobrem, nazywamy to gorliwością. I wtedy on sam sobie jedynie szkodzi, lecz za to innym spełnia przysługi znaczne.

Gdy zaś dopuszcza się przesady w złem,—wówczas zarówno sobie, jak i innym staje się niebezpieczny.

Niech ktoś, dajmy na to, zacznie przesadzać w używaniu trunków, już wnet musi szkodzić sobie i innym.

Ach, gdyby wtedy, kiedy w kimkolwiek zaczyna wrzeć przesada w używaniu kieliszka, mógł ktoś, mając po temu władzę, krzyknąć na niego: „Hola, odrazu zaprzestań pić!"—i trunkowiec, posłuszny nakazowi, natychmiast odwraca się od butelki, nawet tłucze ją na znak, że do niej nie wróci,—już niechybnie w taki sposób został ocalony.

A gdyby jeszcze po tej przerwie nagłej ktoś życzliwy i rozumny jął mu tłumaczyć szkodliwość trunków, zwłaszcza obficiej używanych, już wolno przypuszczać, że w ocalonym trunkowcu utrwali się i nawet udoskonali przeświadczenie o zgubności pijaństwa.

Niestety, dla poszczególnych trunkowców niema Popielca!..

Szkoda.

Ale jest Popielec na przesadę w zabawach. A ta przesada bywa niemniej niebezpieczna od przesady w trunkach.

Dość popatrzeć na wielu młodzieńców, a nawet na podstarzałe fikalskie i fikalskich, kiedy w nich zacznie kipieć ochota do zabaw, ażeby przekonać się, do jak zgubnych postępków zdolni są ludzie, gdy w nich poprostu rozszaleją popędy szpetne!

Toć dużo jest takich młodzieńców, a i podstarzałych istot, którym w głowie tkwi jedna tylko myśl główna o zabawach. I o jakich zabawach?—najswywolniejszych, a więc o takich, które dają upust wszelkim zachciankom najlichszym.

Dziś niejedna zabawa, doprawdy, jest widowiskiem wstrętnem. Nagość ciał ukazuje się tam wyzywająco po to, żeby podniecać we wszystkich obecnych zmysłowe chuci i rozpęd do rozpusty...

Taka zabawa to rozmyślna okazja do urządzenia jawnej, publicznej rozpusty, pijaństwa, demoralizacji i próżniactwa!

Dajcie takim ludziom nieograniczoną i nigdy nie kończącą się swobodę, — a wnet świat cały zamienią w jeden kłęb ciał zdziczałych!

Na szczęście dla duszy ludzkiej Kościół każe nagle o północy uderzyć w dzwon! Tak woła chrześcijan do świątyni na Popielec. I tam, sypiąc na ich głowy popiół, budzi w nich opamiętanie, rozwagę, ucisza złe popędy, przypomina piękne i święte cele życia ludzkiego!

Życie krótkie. Śmierć już może jest bardzo blizko... Ciało zamieni się w popiół, — a dusza nieśmiertelna stanie przed Sędzią Sprawiedliwym. Tam przed Nim zda rachunek, jak używała życia na ziemi, jaki plon wydały jej siły i zdolności dobre?

Czem się u schyłku życia swego chlubić będziesz, człowieku? Ach, jaka wtedy bolesna gorycz cię przejmie,gdy zaczniesz wyrzucać sobie zmarnowanie sił swoich i czasu na zabawy bezecne, ohydne!..

O, droga młodzieży, niech cię myśl popielcowa odwróci raz na zawsze od zabaw takich, a ocalisz siebie moralnie i siły swoje, zdolności zużytkujesz szlachetnie na dobro własne i ojczyzny naszej, tak bardzo potrzebującej gorliwych i zacnych pracowników w każdym zawodzie pożytecznym.

Zakończmy te uwagi słowami poety Oppmana

Błogosławionaś ty, młodość,
Zapałem swoim święta;
W twem sercu iskra tkwi miłości
W niebiosach gdzieś poczęta.
Przeciwność — tylko sił ci doda
I bardziej z pracą zbrata,
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!
Tyś jest olbrzymem, który może
Tysiączne zwalczyć trudy,
Na chmurnem niebie zatlić zorzę
Marzone spełnić cudy!
Marnować czasu — trzykroć szkoda,
Gdy wiosna mknie skrzydlata!
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!
Idź, zrywaj kwiaty, lecz na Boga,
Pamiętaj zawsze o tem:
Że wiedzie w przyszłość twoja droga
Do jutrzni, lśniącej złotem!
Gdy czas ucieka gdyby woda,
Niech zapał nie odlata
I niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!
Ty jesteś ziarnem, które strzeli
Złocistym bujnym kłosem
I całą ziemię uweseli
I z lepszym zwiąże losem.

W tym wielkim celu twa nagroda
I pracy twej zapłata,
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!

Trudno nawet marzyć o lepszej doli, zanim nie wyrzeczemy się pijaństwa.

**Józef Chociszewski.**

Polska odzyska szacunek świata, gdy w niej zakwitną: trzeźwość, oświata.

**Ks. J. Janiszewski.**

# Czas i praca.

Gdy nasz rolnik zechce być szczery, wyjawi bardzo dużo ciekawych przyczyn, dlaczego tak zżył się z kupcem żydowskim i nawet niechętnie myśli o stworzeniu polskiego handlu zbożowego.

Przedewszystkiem rolnik przywykł zdawien-dawna mieć do czynienia tylko z żydem, kiedy idzie mu o zbyt zboża swego. Nigdy on nie widział innego kupca. Był jeszcze maleńki, a i wtedy ojciec jego także tylko z żydami prowadził handel zbożowy. Od innych też słyszał zawsze i wszędzie, że jedynie z żydami wszyscy rolnicy polscy handlują swojem zbożem. Więc widocznie tak być musi i tak jest najlepiej. Bo przecież gdyby to na złe wychodziło rolnikom, zpewnością jużby dawno chwycili się innego sposobu. Zresztą nie tylko chłopi trzymają się żyda-kupca, ale to samo czynią i panowie. I jacy panowie! Mądrzy, światli, bogaci. A oni wszakże najchętniej i tylko jedynie z Abramkami i Dawidkami trzymają się mocno za ręce w handlu zbożowym. Musi w tem być rzetelna korzyść rolników, kiedy tacy łebscy panowie nawet nie probują rozstać się ze swemi żydami-kupcami.

To szczere wynurzenie rolników ma dla nas bardzo ważne znaczenie.

Oto rolnicy nasi od czasów najdawniejszych **zżyli się** z kupcami żydami. Przyzwyczaili się tylko z żydami handlować. To przywyknienie stało się jak gdyby nałogiem bardzo starym!

A wiemy, co mówi przysłowie: „przyzwyczajenie jest drugą naturą".

Człowiekowi, mającemu swoje przyzwyczajenie, wydaje się ono dobrem, wygodnem, bo przyrosło do niego mocno, tak, że już z niem nie chce się rozstać.

Ale nadto rolnicy nasi więcej podają korzyści, które zapewniają sobie, jeżeli w handlu zbożowym posługują się żydami.

Jedną z najważniejszych korzyści — jest wielka łatwość zbytu i otrzymania zaliczki.

Kiedykowiek rolnik zamyśli o sprzedaży swego korczyka,—może to spełnić, bo żyd już gotowy nabyć go i zapłacić odrazu gotówką. A taki żyd-kupiec znajduje się wszędzie, nawet pod ręką, bo w niejednej wsi mieszka. A jeśli mieszka daleko, — to nieraz on sam zagląda do **swoich** rolników, zapytując usłużnie:

— Macieju, nie macie u siebie żyta, jęczmienia, owsa na sprzedaż,? Kupiłbym, a teraz cena poprawiła się, poszła w górę.

Czy warto rozstać się z tak wygodnym kupcem?

Nawet więcej jeszcze daje on wygód, bo rolnik może przyjść do niego w każdej porze dnia i nocy po zaliczkę, a żyd, bynajmniej, nie obrazi się, owszem, najchętniej pospieszy z przysługą, da naprzód ile trzeba bez wielkich targów. Rozumie się, przy tej uczynności swojej ani na chwilę nie zapomina o sobie, owszem, nawet swoją korzyść ma on przedewszystkiem na uwadze i tak się zabezpiecza, że stracić nie może, a jedynie jak najwięcej musi zyskać. I to jest dobrze wiadome rolnikowi, jednak rolnik rozumie, że żyd przecież nie może go darmo ratować.

— Niech zarobi na mnie — tak powiada rolnik, —Nie mam mu tego za złe. A owszem, tyle mam z niego wygody, tyle mi kłopotu ujmuje, że mogę do niego pójść w każdej chwili, jak do swego kasjera — i da mi, ile zażądam. A nieraz tak mi nawet zaufa, że da natychmiast i bez żadnego kwitka, o, i bez świadków! A czy mi kto inny tak napoczekaniu o każdej porze wygodzi? Po co więc mam szukać innego kupca, kiedy ten dla mnie całkiem dobry, i tak pasuje do mnie, jak najlepsza szkapa do dyszla!

To wszystko prawda! Rolnik polski może dużo pochwał powiedzieć o handlu, który prowadzi ze swoim stałym kupcem-żydem. Ale te pochwały mocno świadczą tylko o tem, że kupiec-żyd większe jeszcze korzyści ciągnie z pracy rolnika, aniżeli rolnik z usłużności żyda.

Proszę wziąć pod uwagę szczegół dobrze znany wszystkim: czy jest taki przyjaciel, którżby zechciał nam pomagać o każdej porze dnia i nocy bez żadnej swojej korzyści?

Odpowiadamy, że jest. Bo przecież są na świecie i ludzie bardzo dobrzy, ofiarni, usłużni.

Tak. Jeżeli kto ma takiego przyjaciela, to mówi o nim: on mnie miłuje szczerze, serdecznie i gotowy dla mnie uczynić niejedną ofiarę wielką. Jest moim przyjacielem, bo mnie kocha.

Teraz godzi się zapytać: a żyd-kupiec, czy usługuje nam w handlu zbożowym z przyjaźni ku nam? czy pomaga z serca?

Nie. Tylko z interesu swego.

Im on usłużniejszy dla nas, tem większe korzyści napewno spodziewa się z nas wydobyć **dla siebie.**

I nawet inaczej być nie może. Jeżeli kto obcy i obojętny usługuje nam gorliwie, nadskakująco, domyślamy się, że czyni to przedewszystkiem gwoli korzyści własnej.

Czemżeż są żydzi dla nas?

Mówmy otwarcie. Nikt nie powie, że oni są przyjaciele nasi. Nawet nie wymagamy tego od nich, bo rozumiemy, że to niemożliwe... Więc oni są dla nas tylko kupcami. A, jako kupcy, mają na oku jedynie swoje zyski. Przeto najgorliwiej usługują tym, z których—żyją, tyją i dorabiają się fortuny.

Że świadczą wszelakie wygody rolnikom naszym nie jako ich przyjaciele, jeno jako kupcy bardzo interesowni,—dowodem tego są szczegóły takie: dotąd oni nadskakują swoim rolnikom, dopóki spodziewają się coś na nich zarobić. Ale niechno tylko który rolnik zbankrutuje, albo krótko u niego, -oho! żydki

kupcy wtedy już poglądają na niego zgóry, już potrafią mu powiedzieć dość opryskliwie, szorstko, lub zgoła obojętnie:

— Ny, nie mam pieniędzy... Teraz nie mogę pożyczyć, bo sam potrzebuję...

Małoż dziedziców poszło z torbami ze swoich majątków? Kto na nich obłowił się najkorzystniej? Tylko żydzi. A czy na drogę do torby dziedzicowej wrzucili choć drobną sumkę ot tak, po przyjacielsku? —Gdzietam! Napewno, na pożegnanie zadrwili z niego grubo, okrutnie, jak z bankruta!

To nie nowina! I nasz potrafi szydzić z tego, który podupadł, a żyd tembardziej, bo nam obcy i wrogi.

Zgoda, bo chyba żaden z rolników nie myśli stawać w obronie żyda, jako niby przyjaciela swego, gdyż go za takiego nie uważa, ale radby powiedzieć, że jednak dotychczas bodaj tylko żyd był u nas wygodnym kupcem zbożowym, bośmy innego nie mieli.

A czemuż nie mieliśmy?

Bo nam się nie chciało!—Przecież potrafilibyśmy zrobić to samo, co żydzi, nawet lepiej i uczciwiej. — Ale jakoś schodziło. Żyd „zwąchał pismo nosem", zmiarkował, że nastręcza mu się „gratka nielada", więc chwytnął w swoje ręce interes złotodajny, a nam niby wygodził! Nie tak nam, jak raczej naszemu leniowi i przesądom niedorzecznym.

Toć panowie jęli mniemać, na wielką szkodę Polski, że im nie wypada zatrudniać się kupiectwem, a chłop nie próbował, bo brakło mu biegłości w myśleniu i rachunkach, zresztą miał już gotowego kupca-żyda, który panów obsługiwał i... skubał... Chłop rozumował naiwnie: Kiedy żyd dogadza panu, który ma zboża dużo, to chyba wystarczy i mnie, posiadającemu mało.

Obadwa: pan i chłop wówczas grubo szwankowali na rozsądku, nie potrafili bowiem zmiarkować, że dopuszczają do swego gospodarstwa szkodnika sroższego, niż myszy, wróble i robactwo! Bo te stworzonka nie każdego roku spadają plagą na ziemiopłody, a żyd-kupiec, gdy raz je opanował, już nie wypuszcza ze swej garści! Uczynił z nich poprostu raz na zawsze **swój towar i na nim robi interes świetny,** wzmacniając przez to ród Izraela w Polsce.

Tak samochcąc polacy z własnej pracy ukręcili na siebie powróz, który ich dusi!..

Wszyscy rolnicy muszą powiedzieć, że zboże jest owocem ich pracy, niemal krwawego ich potu! Czy oni są tacy bogacze, że mogą bez żadnego uszczerbku dla siebie oddawać wszystek plon w ręce obce na sprzedaż? Wszakże w taki sposób oddają bodaj połowę zarobku swego w obce ręce!.. Taki kęs chleba!...

To nie okruchy, spadające ze stołu bogacza, któremi pożywić się może ubogi żydzina. Nie! To nie okruchy, powtarzamy, lecz olbrzymi plon—zboże z całej Polski niemal—przechodzi w moc obcą, staje się towarem, zbogacającym obcych kupców, którzy ten sam chleb sprzedają nam, polakom, na pożywienie, a sprzedają bardzo drogo!

Numer 7 „Dzwonu Niedzielnego" podał podług rachunku ministerstwa rolnictwa we Francji porównanie cen chleba w kilku krainach. Dla łatwego zorjentowania się cenę chleba przedstawił we frankach francuskich; więc chleb w Polsce obecnie kosztuje 3 fr. 90 s., w Belgji 1 f. 70 s., we Włoszech 1 f. 80 s., a w Niemczech 3 fr.

Najdrożej u nas, jakkolwiek zboże polskie w ciągu długiego czasu było tanie, nawet bardzo tanie!

A dlaczego tak jest, rolnicy nasi zpewnością nie umieją wyjaśnić, bo oni — bardzo przepraszam, ale może się nie mylę — są tylko parobkami u żydów! Do rolników polskich przecież należy tylko wytwarzanie zboża, a zaś żydowska głowa w tem, jak i komu pracę ich sprzedawać, gdyż jakoby polscy rolnicy uczynić tego nie potrafią!

Czy ta smutna rzeczywistosc nie ściąga hańby na głowy polskie? A do czegoż są one? Czy jedynie do noszenia czapki, lub kapelusza?

Żydzi rozmyślnie otoczyli nieprzeniknioną tajemnicą **swój handel—zbożem polskiem..** Nie głupi są pouczać polaków, jak oni sami u siebie dla swej li tylko korzyści zorganizowali handel płodami polskiej ziemi!.. Nie głupi pokazywać nam drogę! Ale czy my sami nie potrafimy znaleźć jej dla siebie właściwej i korzystnej?

Jeżeli mówimy w przysłowiu: „kto chce psa uderzyć, kij znajdzie", — a za ewangelją: „kto puka będzie mu otworzone, kto szuka, ten znajdzie", to czy idąc za temi prawdami, nie powinniby zabrać się wszyscy razem rolnicy nasi do poszukania sposobu obywania się bez pośrednictwa żydów w sprzedawaniu zboża swego?

Czy do wykonania tego wynalazku nie skłania ich własny niedostatek i hańba zależności w sposób doprawdy, niezaszczytny od żydów, którzy tych naszych rolników nazywają w swoim żargonie „baranami" i „szczurami"?.

Obecnie przecież rolnicy polscy nawet bardzo głośno biadają na duży niedostatek, trapiący ich z powodu nieszczególnego urodzaju ostatniego i różnych wydatków nadzwyczajnych.

Czy do tych wydatków nie należałoby dodać dobrowolnej składki na... kupców żydowskich?

Jakaż to składka?

A no ta, którą płacą nasi rolnicy w naturze, kiedy wyręczają się kupcem żydowskim w sprzedaży swego zboża. Toć sami rolnicy wiedzą o tem i niby zgadzają się na to, że żydy przecież darmo nie wygodzą rolnikowi, biorąc od niego zboże na handel.

Ale jak duże wynagrodzenie sami sobie wyznaczają żydzi, to jest dla rolników tajemnicą. Tylko wolno domyślać się, że musi być znaczne, bo „coś sielmy żydy nieźle wychodzą na swoim handlu naszem zbożem"..

Naszemu rolnikowi bardzo ciężko, choć zboże produkuje, a żydowskiemu kupcowi zbożowemu łatwo rośnie fortuna i brzuszek, choć tylko cudzem zbożem handluje.

Musi być ten handel dla żyda bardzo korzystny!

Więc czemuż ty, rolniku polski, sam nie zatrudniasz się handlem zbożowym?

Czego ty, rolniku, nie czynisz u siebie bądź dla oszczędności, bądź dla pomnożenia dochodów swoich?

Oto sam uczysz się ciesielki i stolarki, byle bez obcego cieśli i stolarza zbudować sobie chatę. Sam uczysz się tkactwa, pszczelarstwa, sam spekulujesz, jakich używać nawozów sztucznych i zielonych dla podniesienia wydajności swego gruntu. Sam w gospodarskich robotach u siebie posługujesz się pomocą domową, byle jak najmniej wydać na obcych najemników,—a tylko w sprzedaży swoich plonów ciągle jeszcze jesteś na pasku żydowskim?

Czy to nie wstyd być takim niedołęgą i nawet niewolnikiem względem żyda? Czy ten żyd-kupiec lepszy i mędrszy od ciebie, rolniku polski? Czy ty sam nie potrafisz sprzedać korzystnie swego zboża tym, którzy go potrzebują dla siebie na posiłek?

Pomyśl o tem, rolniku polski, a napewno znajdziesz sto sposobów dobrych. Tylko pomyśl, a więc zacznij sam pracować głową swoją, bo dotychczas pracowałeś bodaj jedynie rękami i nogami, a za ciebie niestety, na wielką twoją szkodę myśleli żydzi i rozmaici agitatorowie-kusiciele, którzy mieli i maja na widoku nie twoje, ale jedynie swoje korzyści.

# Nowiny z Polski.

— D. 17 lutego r. b. Jan Gajewnik, lat 23 mający, mieszkaniec kolonji Dobra Wola, gminy Gułów, pow. łukowskiego, upiwszy się aż do utraty przytomności, zasnął w stodole — i już więcej się nie obudził. W tak młodym wieku zasnął twardo na śmierć! Jest to jeden dowód więcej, jak trunki pomagają do.. zmarnowania życia!

— I mimo to tak bardzo wielu zwolenników mają trunki! Nawet nie trzeba wysilać się na przekonywanie, ile złego one wyrządzają ludziom, bo przecież każdy niemal wszędzie i zawsze dokoła siebie widzi straszne spustoszenia moralne i materjalne, spowodowane li tylko przez nadużycie trunków.

Zresztą każda gazeta codzienna i tygodniowa niemal stale podaje do wiadomości smutne wydarzenia, kończące sie nagłą śmiercią, bójką, morderstwem, zniewagą—i więzieniem, których sprawcą jest ciągle jeden i ten sam szkodnik okrutny—trunek!

Czy podobna chwalić go za to? I czy godzi się zachęcać kogokolwiek do kupowania go, choćby przy tej sposobności nabywca dał zarazem jakąś ofiarkę pieniężną na potrzeby Polski?

Chyba nie godzi sie. A jednak był ktoś, kto pochwalił niejakiego Henryka Belcarza, właściciela składu wódek w Kowlu, który wpadł na pomysł taki: umówił się z kilku swojemi kolegami, posiadającemi takież same składy wódek i restauracje w Kowlu, żeby w czasie od 1 grudnia roku zeszłego do 15 stycznia r. b. urządzili u siebie, w swoich zakładach, zbiórkę ofiar na zakup samolotów dla armji polskiej. Zatem każdy gość, kupując u nich trunki w tym czasie, dawał zarazem jakąś nadwyżkę, przeznaczoną na sprawienie samolotu. Oczywiście nadwyżki były sumiennie zapisywane i kwitowane. Wpłynęła stąd suma pokaźna, bo aż **szesnaście tysięcy złotych!**

Ale czy niema w tej ofiarze na dnie utajonej goryczy moralnej dla nas, polaków? — Jest, nawet wielka. To nie przesada! Nie zatracajmy delikatności sumienia moralnego i obywatelskiego. Róbmy ofiary dla naszej czcigodnej Polski, — róbmy drobne, czy wielkie ofiary pieniężne, ale nigdy pzy kupowaniu trunków. Bo gość trunkowy da grosik Polsce, a zarazem wyrządzi Jej, być może, bardzo dotkliwą krzywdę i hańbę przez swoje nadużycie trunków. Jedną ręką wspomaga—a drugą krzywdzi... Na taką ofiarę naród musi patrzeć ze smutkiem i... z zawstydzeniem... Bo czy nas nie stać na inne sposoby przynoszenia ofiar narodowych dla dobra Polski?

— Na serdeczną pochwałę zasługują rzemieślnicy w Parczewie, które jest miastem sporem, ma bowiem 10.000 mieszkańców, a w tem połowę żydów. Otóż polscy rzemieślnicy parczewscy jeszcze w r. 1921 założyli Towarzystwo Rzemieślnicze, mające na celu dobro kulturalne swoich członków. Obecnie jest ich przeszło stu. Dość często zbierają się na wspólne narady. Teraz postanowili założyć szkołę wieczorową dla terminatorów, nadto powzięli zamiar urządzić u siebie cechy dla szewców, stolarzy i kowali. Dawniej było w Parczewie dość dużo garncarzy, lecz zczasem stali się niepotrzebni wobec rozpowszechnienia sie garnków i kubków metalowych. Jedno jest tylko smutne w Parczewie dla serc polskich — to, że tam jeszcze handel przeważnie znajduje się w rękach żydowskich, bo polskich zakładów kupieckich jest zaledwo pięć, a żydowskich aż dwieście. Lecz mamy nadzieję i to stać się musi wkrótce, że będzie odwrotnie:—mało żydowskich, a bardzo dużo polskich.

— W okolicy Parczewa, w majątku swoim, Siemieniu, zmarł ś. p. Jan Zaorski, wielki krzewiciel oświaty. Dzięki staraniom jego powstało w gminie miejscowej dziesięć szkół, o które troszczył się gorliwie i ofiarnie, sam nie żałując własnej pomocy i ofiary. Był przewodniczącym dozoru szkolnego — i na tem stanowisku dawał z siebie piękny przykład prawdziwego przyjaciela dzieci i szkoły. Gdy raz zabrakło mieszkania na szkołę i dla nauczyciela, zaraz odstąpił w swoim domu dwa odpowiednie pomieszczenia, rozumie się, bezpłatnie i nawet opał ofiarował. A jeżeli kiedy nastręczył się jaki wydatek, a kasa dozoru była pusta, sam z własnej kieszeni chętnie go załatwiał.

— Do „Gazety Świątecznej“ w tych dniach donieśli czytelnicy wieści szczególniejsze. Oto w okolicy Pyzdr (powiat słupecki, ziemia kaliska) już dnia 10 lutego wczesnym rankiem przeciągnęła burza z ulewnym deszczem i błyskawicami, a przytem dwa razy ciężko zagrzmiało. — I w okolicy wsi Dalkowa (pow. łęczycki) tego samego dnia były błyskawice z grzmotem.

— W polskiej części Górnego Ślązka znajduje się kopalnia srebra. W r. 1923 dobyto srebra 4072 kilogramy. A w r. 1924 już znacznie powiększyła się iloś wydobytego srebra, bo dosięgła niemal 10 tysięcy kilogramów.

— W Kamieńcu Litewskim jeszcze w lipcu roku zeszłego od pioruna zgorzał starożytny kościół drewniany. Zdołano uratować wiele cennych przed-

miotów. Jednak parafja miejscowa jest uboga i nie zdoła własnemi tylko siłami w prędszym czasie zbudować świątyni, tak bardzo tam potrzebnej. Zpewnością polacy katolicy w całym kraju, odczuwając niedolę parafjan w Kamieńcu L., pospieszą im z ofiarkami swemi na pomoc. Ofiary prosimy przesyłać na ręce ks. proboszcza W. Turgała, prezesa komitetu budowy.

— W roku 1924 było w Polsce całej szkół powszechnych 30,383. Z tej liczby przypaga szkół 4.398 w byłym zaborze pruskim,—18.950 w byłym zaborze rosyjskim,— 6.417 w byłym zaborze austrjackim, — a 618 w województwie śląskiem. Szkół powszechnych z ruskim językiem wykładowym jest przeszło 3.000,—z niemieckim 1549,—jest też parę szkół z językiem wykładowym białoruskim, litewskim i czeskim.

Seminarjów nauczycielskich jest w Polsce 130,— gimnazjów 225,—szkół i kursów zawodowych 586, — szkół wyższych (uniwersytetów i politechnik) 16.—Ponadto są szkoły prywatne: około 1000 ludowych,— 65 seminarjów nauczycielskich,— 485 gimnazjów, —2 szkoły wyższe.

Nauczycieli ma Polska w szkołach powszechnych 62.626,— w seminarjach 2.055,— w gimnazjach 12,500,— w szkołach zawodowych 900, — w szkołach wyższych 2000. Ponadto kilka tysięcy w szkołach prywatnych. Razem, liczba nauczycieli dochodzi do 90.000.

W roku szkolnym 1923|24 uczęszczało do szkół powszechnych około 3 i pół miljona dzieci,—do szkół średnich i zawodowych okrągło 400,000, — do szkół wyższych okrągło 40.000. Razem liczba młodzieży, uczęszczającej w Polsce do szkół, dobiega 4 miljonów. Około miljona dzieci nie korzystało jednak jeszcze z nauki z powodu braku szkół...

---

Dopóki w każdej chacie nie będzie uważnie czytana dobra gazeta, dopóty miljonowe rzesze polskiego ludu wiejskiego nie będą miały tej wartości w Ojczyźnie, jaka jest potrzebna dla potęgi Polski i dobrobytu wsi.

**Aleksander Niedbalski, poseł.**

---

# Rozmaitości.

— W kraju zakaukaskim, należącym do Rosji, z powodu niezwykłych mrozów, które tam w ostatnich czasach trwały, rośliny delikatne, nie znoszące zimna, zupełnie zostały zniszczone, a więc: krzewy cytryn, brzoskwiń, mandarynek, oraz plantacje imbiru i eukaliptusa.

— Gazety niemieckie podały wiadomości o rozruchach buntowniczych wśród robotników na Uralu w Rosji bolszewickiej. Z Moskwy udał się tam specjalny komisarz dla uśmierzenia. W nocy 19 lutego tajna policja sowiecka aresztowała członków rad fabrycznych, a następnej nocy rozstrzelano ich bez procesu. Ten postępek władzy tak wzburzył robotników, że miejscowe siły wojskowe nie mogą go opanować. Robotnicy rzucili się na policjantów i zabili ich 40-tu.

— I włościanie w wielu miejscowościach Rosji przeciwni są władzom sowieckim, tak, że nawet tu i owdzie w sposób niespodziewany zabijają komunistów i urzędników bolszewickich. Z tego powodu wynikły w ostatnich czasach procesy rządowe przeciwko włościanom w Prutkach, Narszugach, Mińsku, Charkowie, Odesie.

— D. 22 lutego z okazji siódmej rocznicy istnienia armji czerwonej odbyła się w Moskie na Czerwonym Placu parada wojskowa. 15.000 wojska przemaszerowało przed władzą sowiecką.

— Król angielski, Jerzy, zachorował Lekarze doradzili mu wyjechać z Anglji w strony ciepłe. Wkrótce król podejmie tę podróż, a na czas jego nieobecności zastąpi go w rządach specjalna komisja przewidziana przez konstytucję angielską.

— W Czechach katolicka partja ludowa odbyła z okazji rocznicy wyboru Papieża, Piusa Jedenastego zebranie, na którem arcybiskup Kordacz oświadczył że partja czuje się jednomyślną z katolikami całego świata. Papieżowi należy się hołd, jako obrońcy prawa międzynarodowego i prawdziwej wolności przeciw despotyzmowi od góry i anarchji od dołu. Biskup Podlaha przemówił do nuncjusza papieskiego, zaznaczając, że katolicy czescy i słowaccy wierni są hasłu „Zawsze wytrwamy przy Papieżu i Kościele". Na to nuncjusz Marmaggi oświadczył, że „Kościół prowadzi zwycięską walkę już dwa tysiące lat—i Bóg mu zawsze użycza sił!"

# Wiadomości polityczne.

— Sesja Ligi narodów rozpocznie się 10 marca Przedstawiciele państw będą na tych sesjach rozpatrywali kika spraw bardzo ważnych i niepokojących Między innemi ma być rozważony spór Gdańska i Polski o pocztę polską. Rząd polski nie zaniedba bronić swego prawa.

— Komisja kontrolująca, wysłana swego czasu przez mocarstwa zainteresowane do Niemiec dla zbadania na miejscu, jak też naród niemiecki przestrzega warunków umowy pokojowej odnośnie do rozbrojenia swoich wojsk i skasowania wielu fabryk, wytwarzających broń i naboje, — ukończyła swój objazd w różnych okolicach Niemiec i nawet opracowała sprawozdanie obszerne, a bardzo ciekawe, które prywatnie już politycy francuscy i angielscy zdążyli przeczytać i ono ich przekonało, że niemcy wbrew ugodzie pokojowej podstępnie, przebiegle a dość spiesznie czynią znaczne przygotowania wojskowe, więc zręcznie powiększają liczbę żołnierzy wyszkolonych puścili w ruch sporo fabryk, przygotowujących broń naboje, samoloty wojskowe. Z tego sprawozdania widać, że Niemcy jednak mają złe zamysły.

---

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 8 marca 1925 r. № 10.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Pójdźcie pod Krzyż!

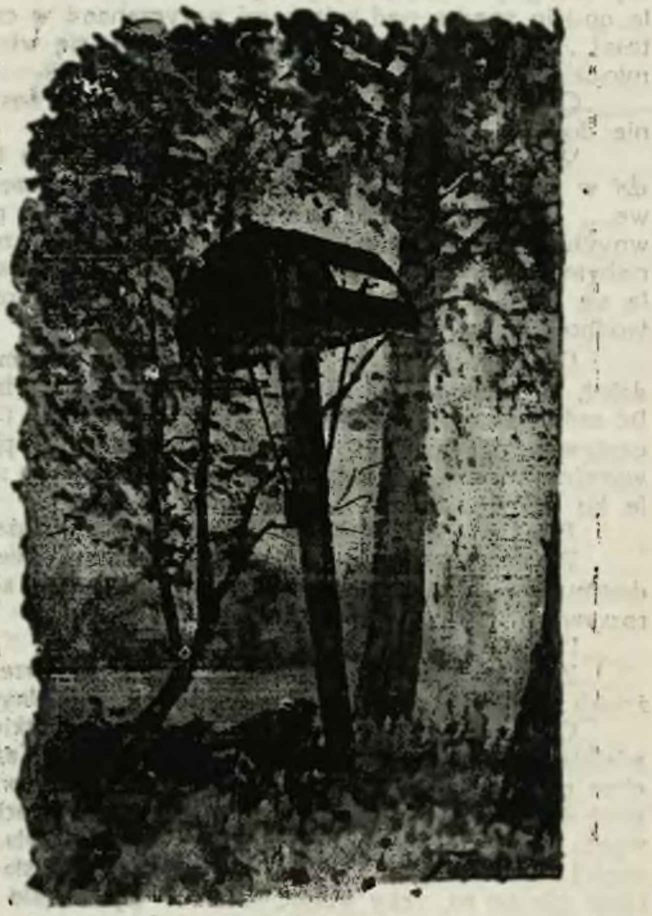
O, pójdźcie wy wszyscy, nędzarze na świecie!
O, pójdźcie wy wszyscy, co boleść was gniecie!
O, pójdźcie wy wszyscy — co rozpacz was targa,
O, pójdźcie i patrzcie: czem wasza jest skarga?
Czem wasza pogarda i kto was poniża,
Czem wasze boleści, — a czem jest ból krzyża?
Czem wasze cierpienia i cierpień tych czara,
A czem jest cierpienie — czem krzyża ofiara!

O, pójdźcie i patrzcie: Niewinny — wydany,
Bóg znosi plugawe obelgi i rany.
O, patrzcie: na męki skazany rad spieszy!

On Biały Baranek krwią świętą zbroczony
Na głowie ma ciernie — miast z złota korony.
Na krzyżu rozpięty żółć pije miast wody—
Umiera, co zbawiał i wskrzeszał narody!
Na krzyżu Dar życia dla świata rozpięty,
A świat Mu w nagrodę: „giń — woła — przeklęty!"
Na krzyżu Zdrój życia dla ludzi umiera,
Konając, — swym katom drzwi nieba roztwiera;
I usty drżącemi przebacza im zbrodnie, —
Bo w sercu swem pali miłości pochodnię!

Na krzyżu zawisnął Bóg - sprawca miłości!
Ten biednych obrońca, ten Ojciec ludzkości!
Ten lekarz niemocnych, ten głodnych karmiciel,
Ten ślepych przewodnik, umarłych wskrzesiciel.
Ten pychy, wyzysku, przemocy wróg srogi,
Co swojem przybyciem pogańskie w pył bogi
Obrócił i zniszczył, co groźny był tronom
Obłudy i fałszu, co burzę szaloną
Uśmierzył swą mocą... a jednak, o złości!
Coś dała ty Jemu za tyle miłości?!

A jednak ten Chrystus zwycięzcą jest piekła.
A jednak, choć krew Mu strugami pociekła
Po twarzy, w błazeńskie ubrali Go szaty,
Choć trzcinę — miast berła Mu dali, w szkarłaty
Oblekli na pośmiech, cierniowy Mu wieniec
Na skronie wtłoczyli, choć krwawy rumieniec
Na blade, zsiniałe wystąpił Mu lica, —
To jednak drży przed Nim piekielna stolica!
I chociaż mordercy ludzkości to Słońce
Zgasili na chwilę, to jednak tysiące



Choć lat już minęło, a ludzkość wydarta
Z okropnej niewoli cezarów i czarta —
Do Słońca — do Krzyża wyciąga swe ręce,
Bo w Krzyżu, jak w rannej, wschodzącej jutrzence
Świt widzi wolności....

Jerzy Bystrzycki.

# Kto z kim przestaje..

Zdanie dość pospolite, często, zwłaszcza przez rodziców wobec dzieci swoich, powtarzane: „kto z kim przestaje takim się staje“, uchodzi niemal powszechnie za prawdę niewątpliwą. Bo tak jest wistocie: swój lgnie do swego. Ta prawda jest nietylko polska, ale i światowa. Wszędzie bowiem tak się dzieje, że „podobny ma upodobanie w podobnym“...

Ale rozum i serce, przyjmując tę prawdę, nie poddają się jej niewolniczo. Dla dobra każdego człowieka poszczególnego trzeba powyższą prawdę ubiedz...

A więc niech każdy pierwej urabia w sobie upodobania rozumne i poczciwe, a dopiero potem dobiera dla siebie towarzystwo z ludzi odpowiednich.

Naprzód ty, bracie, zacznij być dobrym,—a niebawem sam poszukasz dla siebie ludzi, również jak ty, pragnących dobra i prawdy...

A już od wczesnych lat należy zacząć pracę nad polepszeniem swego gustu i smaku moralnego. I całkiem pomyślnie uda się ta praca przy pomocy książek..

Nie każdy jeszcze rozpoznał znaczenie książki. Niejednemu zdaje się, że każdą książkę bez żadnego wyboru warto czytać. I nawet niejeden ojciec cieszy się, gdy widzi, jak jego synek lub córeczka wiele godzin spędza nad książkami, pożyczanemi w czytelni. O, tak, już coraz częściej spotyka się wśród młodzieży chciwych pochłaniaczy książek.

Czytają bez wyboru, każdą, jaka im się dostanie do ręki, albo jakiej tytuł im się podobał.

W taki sposób bezwiednie młodzież sama budzi w sobie pewne upodobania, niezawsze szczęśliwe.... Jednak dopiero po dłuższem czytywaniu pewnych książek okazują się w niej już dość wyraźnie nabyte upodobania wcale nieosobliwe... Tak już stała się szkoda duchowa, którą potem bywa bardzo trudno naprawić.

Otóż, zachęcajmy wszystkich, zwłaszcza młodzież, do czytania książek. Ale powinnibyśmy udzielić rady przezornej, że jak do każdej pracy, tak i do czytywania książek, wypada pierwej ułożyć sobie plan wyraźny: rozumny i dobry moralnie, zmierzający stale ku jednemu celowi upatrzonemu.

A jakiż mamy obrać cel dla czytywania książek?

Pytanie właściwe, ale i bardzo ciekawe. Niejednemu zdaje się, że książka daje tylko albo naukę, albo rozrywkę.

Nic więcej?

Z książek czerpie czytelnik mnóstwo przeróżnych korzyści materjalnych, umysłowych i moralnych.

Oczywiście, dla każdego przedewszystkiem wielkie znaczenie mają korzyści materjalne. Każdy chce polepszyć swój byt—i w tem poprostu olbrzymiej doznaje pomocy od książek naukowych, fachowych, które nie skąpią mu rad, wskazówek, wiadomości niezawodnych. Nauka przecież rośnie ustawicznie nie po to, żeby wbijać ludzi w pychę, ale jedynie ma to na celu, ażeby dać ludziom sposoby coraz lepsze do walki z przeciwnościami—i ażeby ich prace stawały się coraz doskonalsze i dochodniejsze...

Ale człowiek nie samym chlebem żyje.

Owszem, niejeden inne rzeczy, zdaniem jego lepsze, nawet przekłada nad chleb smaczny. Woli, naprzykład, głodować, biedować, byle mógł za to stać się lepszym moralnie, zdobyć prawdę, przynieść większy pożytek ludziom, albo usłużyć ojczyznie!..

Warto wsłuchać się w różne tęsknoty i pragnienia niejednej duszy ludzkiej.

A bywają niektóre z nich bardzo piękne, godne wysłuchania i poparcia.

Ten i ów pragnie być duchowo-moralnie wgórę podniesiony! Dolegają mu, dajmy na to, kłopoty codzienne;—drobne, ale dokuczliwe utarczki z rozmaitemi ludźmi, może zanadto złośliwemi, szarpią jego duszę, męczą, nękają; już mu się chwilami życie przykrzy. Lecz oto chywyta w ręce swoje książkę dobrą, czyta z zaciekawieniem rosnącem—i ona dobroczynnie myśli jego i serce wprowadza w świat inny, lepszy, tchnący miłą szlachetnością i dostojeństwem moralnie pięknem.

Albo znowu ktoś zna siebie cokolwiek, a więcej domyśla się, że ma w swoim charakterze rozmaite braki, przywary. Radby je usunąć, a słabe zalety wzmocnić, udoskonalić. Narazie szuka pomocy w otoczeniu swojem. Ale jakoś tam nie znajduje pouczających, lub zachęcających przykładów. Może nawet są tam bardzo dobre, ale każdy zaprzątnięty różnemi sprawami swemi nie ma czasu i ochoty usłużyć jemu radą, zachętą, nauką przydłuższą. Bierze przeto sam do ręki książki odpowiednie. Pochłania je pilnie z rozwagą—i oto stopniowo stamtąd wydobywa dla siebie obfite pomoce pożądane.

Albo jeszcze ktoś inny doświadcza w sobie jak gdyby zastygania duszy swej; kurczą się myśli i uczucia, wola słabnie, chwieje się,.. zniechęcenie rośnie, a przytem wszystkiem, na nieszczęście, otoczenie jego jest sobkowate, drzemiące, szydercze, żarciu i groszoróbstwu całkiem oddane.

Ach, jak ciężkie życie mu upływa między takiemi ludźmi. Poprostu dusi się, duch jego usycha. Pożąda rychłego ratunku i oto znajduje go w książkach dobrych. Czyta je skwapliwie i one niemal odrazu wlewają w duszę jego zapał, a nadewszystko stopiowo wpajają w niego prawdy znakomite, że przecież każdy jest sam za siebie odpowiedzialny, więc każdy, nie oglądając się na innych musi być troskliwy o wypielęgnowanie w sobie dobrych myśli, uczuć i zalet, któreby mu ułatwiły wykonanie wszystkich powinności chrześcijańskich, obywatelskich i zawodowych...

Dobre książki w tem wszystkiem okazują mu pomoc nieoszacowaną! On, gdy je czyta wytrwale, często i uważnie, czerpie z nich dla siebie wielkie skarby duchowe, bo nie dość, że one go uczą, jak ma doskonalić swój umysł, serce i charakter, jak ma pełnić wszelkie swoje obowiązki, ale nadto krzepią w nim wiarę w Boga i prawdy wzniosłe, darzą go otuchą wielką i przeświadczeniem, że byle tylko chciał być pracowity, wytrwały i odważny, a niechybnie przezwycięży największe przeszkody i zdoła chwalebnie dokonać dzieła dobrego!

# Czas i praca.

W bardzo dawnych czasach sprawdzało się to, co mówi stara gadka: „sam Maciek zrobił — i sam Maciek zjadł“.

Od lepianki do odzieży, — od garnka do miski i łyżki wszystko człek jeden sam sobie zrobić potrafił. Zczasem dopiero nastał tak zwany „podział pracy“. Jeden zaczął robić tylko obuwie, inny odzież, a jeszcze inny pługi, inny wozy i t. d. Przy takim podziale pracy musiała powstać zamiana jednej rzeczy za drugą: kowal swoje wyroby dawał szewcowi i krawcowi za ich wyroby, których sam dla siebie i dla swej rodziny potrzebował. Ale gdy coraz więcej przybywało ludzi, już i taki sposób prostej zamiany stawał się niewygodny, a nawet niemożliwy.

Wypadało więc ludziom dla własnej dogodności stworzyć pieniądze—i odtąd już zginął handel zamienny, a nastał handel towarowy i pieniężny.

Z chwilą, gdy się pojawił w użyciu powszechnem pieniądz, zaraz przybył ludziom nowy fach: kupiectwo.

Kupiec w swoim sklepie, czy składzie posiada odpowiednie towary,—a potrzebujący przychodzą do jego sklepu, wybierają towar pożądany, umawiają się o cenę, nabywają i płacą gotówką.

Postęp taki dokonywa się nie w jednej tylko dziedzinie handlowej.

Owszem, dostrzegamy go w trzech dziedzinach troski o polepszenie bytu ludzkiego: w pracy zawodowej, w sposobach prowadzenia gospodarki i w stowarzyszeniach.

W pracy zawodowej ludzie poczynili postępy zdumiewające. W każdej robocie rzuca się to w oczy. Porównajmy choćby buty i trzewiki, zrobione, dajmy na to, przed stu laty z dzisiejszemi, albo roboty ślusarskie, tokarskie, stolarskie, drukarskie, introligatorskie. Wszędzie olbrzymia zmiana na lepsze. Naocznie o tem przekonać się można na wystawach, co czas pewien urządzanych w miastach wielkich, jak Warszawa, Lwów, Poznań, Wiedeń, Paryż, Londyn.

Już niektórzy rzemieślnicy polscy zrobili znaczne postępy, ale, niestety, wyrażając się ogólnie, rzemieślnicy francuzcy, niemieccy i angielscy dzięki swoim szkołom zawodowym i wzorom, których im dostarczają rządy miejscowe, potrafią wyroby swoje wykonywać doskonalej, piękniej i taniej!..

Otóż wszelkim fachowcom ogromną pomoc okazują szkoły zawodowe i maszyny, ciągle doskonalone i zastosowywane do coraz innej roboty, dotychczas tylko rękami wykonywanej.

Maszyny robią żniwo i młócą, — maszyny szyją odzież, robią buty, pończochy. Czegoż bo dziś ludzie maszynami nie wykonywają? Czytamy w sprawozdaniu z wycieczki roku 1924 do Danji, urządzonej przez gromadkę dzielnych polaków, żądnych wiedzy, że tam, w Danji, gospodarstwo na 60 hektarach trudni się głównie hodowlą bydła, ale też ubocznie karmi nierogaciznę w celach kupieckich na wywóz już poszlachtowaną.

Takie gospodarstwo sześćdziesięcio hektarowe zakupuje rok-rocznie duże ilości paszy treściwej i posiada stale u siebie mniej-więcej **350 sztuk nierogacizny, obsługiwanej przez dwoje ludzi.**

To też gospodarstwo to z samego chowu świń w roku 1923 miało czystego dochodu 28.000 koron duńskich, t. j. około 25.000 złotych. Czy jest gdzie się u nas, w Polsce, obszar dworski średniej wielkości, który mógłby się takim dochodem poszczycić? (Inżynier Leon Roniewicz).

Dwie osby zdołają obsłużyć 350 sztuk nierogacizny! W jaki sposób? Tylko przy pomocy maszyn, które przygotowują paszę, myją trzodę, a potem ją szlachtują i wyprawiają na boczki, hurtowo wysyłane do Anglji!

Szkoły zawodowe dziś dla fachowców stały się niezbędne, gdyż postęp w naukach (stosowanych w przemyśle i w rzemiosłach), wynalazkach i oświacie idzie wciąż, niemal codziennie, naprzód.

Gdyby jedynie majster prywatny przysposabiał do rzemiosła uczniów swoich, to uczyłby zawsze tylko tego i tak, czego i jak nauczono go, kiedy sam był jeszcze w terminie. A tymczasem szkoła zawodowa ma ustawicznie styczność z dokonywającym się postępem w zakresie jej fachu.

Przytem majster prywatny zazwyczaj uczy swoich terminatorów tylko tej roboty, która jemu dziś korzyść przynosi. A zaś szkoła zawodowa zawsze uczy tylko tego, co uczniom korzyść przyniesie w dalszem ich życiu.

Szkoła zawodowa codziennie otrzymuje z całego świata wiadomości o różnych ulepszeniach i wynalazkach najświeższych, nawet wczorajszych i zaraz o nich mówi uczniom swoim. Zresztą nie tylko mówi, lecz niemal natychmiast je sprowadza, ażeby uczniom pokazać i nauczyć, jak mają się niemi posługiwać.

A tego wszystkiego żaden majster prywatny nie czyni, bo ma przecież na widoku dobro własne, a nie uczniów swoich.

Szkoła zawodowa stale idzie krok w krok za postępem i zarazem w taki sposób wpaja w uczniów swoich zaciekawienie, nigdy nie słabnące do wszelkich ulepszeń i wynalazków w ich fachu czynionych w kraju i zagranicą.

Sposoby prowadzenia gospodarki bądź fabrycznej, bądź rolnej podobnież bywają coraz ulepszane. Dawniej nawet duża fabryka podejmowała się tylko jednej roboty, więc jeśli robiła wagony, to części drewniane, malarskie, rymarskie i tapicerskie zamawiała w postronnych fabrykach i warsztatach. Zczasem wszakże fabrykant wagonów uznał taki sposób za niedogodny i niekorzystny dla siebie, więc w obrębie swej fabryki wszystkie pomocnicze warsztaty zaprowadził. I odtą ma już pod ręką własnych giserów, kowali, ślusarzy, tokarzy, stolarzy, malarzy, tapicerów, powroźników, nawet szklarzy, dzięki temu sam u siebie wykonywa cały wagon odrazu gotowy do drogi!

Tak samo urządzają się dziś wszelkie inne większe fabryki samochodów, samolotów, powozów, bryczek, wozów, narzędzi rolniczych i nawet browary duże dziś mają swoich bednarzy,—a wielkie gorzelnie

i dystylarnie swoje huty szklane. I większe gospodarstwa rolne zczasem u siebie musiały zaprowadzić duże zmiany. Już nie mogły oddać się jedynie produkowaniu zboża, bo tem zatrudnieniem nie dostarczyłyby pożądanych dochodów, więc wypadało obok zboża produkować buraki dla cukrowni, kartofle dla krochmalni i gorzelni, len dla fabryk tkackich, nadto trzeba było wziąć się do hodowli koni, bydła, owiec i chlewni, nawet do plantacji roślin nasiennych, lub lekarskich.

A teraz myśl ciekawa zapytuje: wszelakie ulepszenia w kupiectwie, rzemiosłach i gospodarkach skąd się wzięły, gdzie mają swój początek? Czy zaspokoi nas odpowiedź jedna, że przecież znikądinąd powstały, jeno z postępu w naukach, wynalazkach i rozrostu oświaty?

Nie. Bo wnet jawi się nowe pytanie: a kto bywa sprawcą postępu?

Już na to nastręcza się odpowiedź właściwa: Tylko głowa zdolna, ciekawa i pracowita w myśleniu!

Głowa ludzka jest jakgdyby ciągle niespokojna, niezadowolona z tego, co ma. Ustawicznie chce czegoś lepszego,—więc szuka, bada, tworzy, pilnie i wytrwale, a jednak z powodzeniem i to ją zachęca do dalszych mozołów — i to ją napełnia ufnością i jak gdyby wiarą we własne zdolności i siły. Czyni przeto dalsze odkrycia, wynalazki, ulepszenia i rozrost wiedzy, oraz oświaty.

Ciągle idzie naprzód: doskonali siebie, więc pomnaża swoję naukę i rozwija wszelkie zdolności swoje, tak, że staje się coraz uczeńszą i sposobniejszą do tworzenia nowych pomysłów i lepszych od poprzednich...

Istnieje w głowie ludzkiej zdolność do tworzenia postępu!

Dzieło Boże, przecudne!...

Tylko niech ta głowa korzysta ze swoich zdolności pracowicie, rozumnie i poczciwie.

Otóż tu nasuwa się uwaga niezbędna, że zdolna głowa ludzka nie jest osamotnioną, nawet w ciągłej pracy swej, w dążeniu naprzód, ma ustawicznego sprzymierzeńca swego.

A tym sprzymierzeńcem głowy jest:

**— Serce! —**

Serce, ożywione miłością Boga i ludzi, prawdy, dobra i piękna!..

Głowa zdolna, światła, rozumna i pracowita tworzy postęp w każdej dziedzinie potrzeb ludzkich, lecz zawsze zgodnie z życzeniem serca dobrego, a nigdy naprzekór jemu!

Głowa chce wszystko ulepszać gwoli pomnożeniu pomyślności współbraci, bo takie zadanie wskazało jej serce.

Głowa pracuje podług stałych prawideł rozumu, prawdy, wiedzy, a cel ma przed sobą jeden: dobro, doradzone jej przez serce, które znowu w miłości swej wiernie stosuje się do głosu wiary i praw moralnych.

Tak współdziałanie głowy i serca niezawodnie dostarcza ludziom coraz pewniejszej pomyślności z ustawicznie rosnącego postępu w wynalazkach, naukach i oświacie, gdy ludzie z tego postępu korzystać będą wspólnie, zjednoczeni w stowarzyszenia kupieckie, zawodowe i kulturalne.

Człowiek bowiem jest stworzenie społeczne, więc pragnie żyć w gromadzie. Tylko w niej jest mu jakoś raźno, bezpiecznie i wygodnie!

Ma człek w naturze swej, od Stwórcy danej, skłonność do życzliwości i wzajemności. Chce innym pomagać i również łaknie dla siebie pomocy od innych, za co im się odwdzięczy swoją pomocą, nawet czubatą!

Sobek jest wrogiem zarówno gromady, jak i swoim. Z tych powodów gromada go nie lubi. Ma żal do niego, jako do szkódnika — i lekceważy go, jako głupca.

Im więcej sobków znajduje się w której gromadzie, tem uboższa, posępniejsza i mniej bezpieczna jest ona.

I przeciwnie: im więcej ma gromada niesobków, tem jest radośniejsza, mocniejsza i bezpieczniejsza...

To jest tak oczywiste i łatwe do zrozumienia! Owszem i sobek, jeśli ma trochę oleju w głowie, zgadza się na to, że gromada jest mu potrzebna, że bez niej byłoby mu źle na świecie, — ale on chce sam tylko z niej ciągnąć korzyści dla siebie, a do żadnej względem niej powinności i wzajemności nie rad się poczuwać!.. Chce od gromady brać dużo,— a wzamian nic jej dać nie myśli.

Otóż gromada ma jeden sposób do wywierania swego nacisku na sobków szkódnych i niemiłych, a tym sposobem jest tak zwana **opinja moralna ogółu** o każdym sobku poszczególnym.

Ta opinja okazuje wzgardę sobkowi, potępia go, wyrzuca mu jego nieuczynność, obojętność na potrzeby społeczne.

Gromada nie chce mieć sobków u siebie— i mieć ich nie powinna. Bo przecież wszelkie dobrodziejstwa postępu w handlu, w pracy zawodowej, w naukach, w oświacie i stowarzyszeniach o tyle tylko przyczyniają się do pomnożenia pomyślności powszechnej, o ile każdy członek gromady nie zatrzymuje tych dobrodziejstw tylko dla siebie, lecz dzieli się niemi z innemi osobami, a dzieli się chętnie, usłużnie, życzliwie i nawet ofiarnie.

Niech nam posłuży za przykład straż ogniowa. Obecnie już są bardzo udoskonalone sikawki, drabiny i inne narzędzia ratownicze. Ten postęp w udoskonaleniu tych narzędzi gotowy dawać duże dobrodziejstwo całemu społeczeństwu Lecz czy ziści się ono dobrodziejstwo, jeżeli sporo sobków nie zechce posługiwać się temi narzędziami?

O, tak, jest już olbrzymi postęp wszędzie, w każdej dziedzinie pracy ludzkiej! Ale, niestety, żadnej stąd pociechy nie osięga społeczeństwo, jeżeli ono ma u siebie dużo nieuków i sobków.

Owszem, piękny jest zwyczaj składania życzeń z okazji świąt dorocznych. Wtedy ludzie jedni drugim życzą pomyślności, szczęścia, lepszej doli w latach dalszych.

Albo znowu daje się słyszeć nierzadkie narzekanie na ciężkie czasy, na trudności wielkie, na niedostatek. Nawet mówią niektórzy, że byłoby dobrze, gdyby nastała wojna.

Ci zwolennicy wojny chcą zabić dużo ludzi, żeby

zostało im po wojnie więcej przestrzeni wolnej.

A kogoż zabija wojna, czy gorszych?

Nie. Tylko słabych. A czy mocniejsi, którzy zostaną przy życiu, są lepsi? Nie.

Więc jaka z wojny korzyść?

Mocniejsi znowu dążyć będą do wojny, bo, jako źli, zawsze będą niezadowoleni i nienasyceni. I tak bez końca! Czy obecnie znowuż nie zaczyna się to samo, co było przed wojną wielką i długą, bo cztery lata trwającą? A tyleż ludzie obiecywali sobie korzyści od wojny, która dopiero się zapowiadała!

Nareszcie przyszła upragniona, zmiotła mnóstwo ludzi nieszczęsnych, zniszczyła olbrzymie fortuny, narobiła moc biedaków—i kogóż ona uszczęśliwiła, lub zadowoliła? Oto znowu niemcy i moskale sposobią się do nowej wojny. I tak będzie bez końca, dopóki źli ludzie, wrogowie Boga, dobra, prawdy i praw moralnych, będą mieli w świecie przewagę, głos pierwszy i decydujący!

Ale ci źli nie zagłuszą głosu prawdy bożej, która obwieszcza światu, że wojna, nienawiść i siła pięści nigdy nie zapewnią poszczególnym ludziom i całym społeczeństwom pożądanego pokoju, dostatku i pomyślności!..

Zresztą dał Bóg ludziom inny, właściwy sposób do stworzenia wszystkim lepszych warunków bytu.

Nadmieniliśmy powyżej, że ludzie ludziom w pewne święta zwykli wzajemnie składać życzenia „wszystkiego najlepszego".

Skąd im to przyszło do głowy?

Ten zwyczaj chwalebny ma mocną i trwałą podstawę w powinności chrześcijańskiej, skłaniającej każdego chrześcijanina do troszczenia się o istotne dobro swoich współbraci, jednak troszczenie się nietylko myślą i mową, ale i uczynkiem!

**Jeśli przeto życzysz, bracie, swoim rodakom pomyślności, to i uczynnie im dopomagaj tak, ażeby istotnie przy twojej pomocy posiąść ją zdołali!**

Zatem, nie dość jest mówić: „pracuj a Bóg ci dopomoże", lecz dodać jeszcze trzeba: i rodacy tobie dopomogą, bo przecież do tego ich obowiązuje miłość bliźniego, miłość ojczyzny i narodu swego, oraz uczciwość chrześcijańska!

A ta pomoc, nawet współpraca, ma być powszechna, stała, gorliwa i bardzo uczciwa!...

Jakież miano nosi taka powszechna współpraca i co ona ma na celu?

Pospolicie nazywa się stowarzyszeniem,—a ma na celu:

rozpowszechniać owoce postępu w naukach, wynalazkach, oświacie i wygodach kulturalnych tak, iżby każdy bez wyjątku, nawet najuboższy człowiek, mógł niemi swoje życie upomyślnić.

Wszakże głowy i serca, pracując nad rozwojem nauk, oświaty, wynalazków i kultury materjalnej, oraz duchowej, zpewnością pragnęły przyczynić się do wzmożenia pomyślności **wszystkich ludzi bez wyjątku**!

Lecz, niestety, owoców ich pracy **nie każdy** jest w stanie posiąść sam własnemi tylko zabiegami!

Muszą mu w tem pomagać inni, również jak on zasłabi na to, ażeby każdy z nich osobno, bez pomocy postronnej, sam dla siebie potrafił przyswoić sobie naukę, oświatę, wynalazki i kulturę.

Tak oto mnóstwo ludzi, żądnych korzystać z dokonywanego w świecie postępu, łączy się w stowarzyszenia po to, ażeby wspólnie dopomagać sobie w niektórych pracach i zabiegach trudniejszych, a doskonalszych, **niezawodnie** przyczyniających każdemu z nich obfitsze korzyści i pewniejsze polepszenie bytu, i większą pomyślność!..

Dla osiągnięcia takich zdobyczy łączą się ludzie w stowarzyszenia odpowiednie.

A co ich znagla do łączenia się w stowarzyszenie, czy jedynie troska sobkoska o nabycie dla siebie korzyści większych?

Nietylko, lecz zarazem i życzliwość chrześcijańska, oraz uczciwość, pragnąca spełnić swój obowiązek chrześcijański wspomagania rozumnie, dobrze, rzetelnie swoich współbraci!

I dlatego właśnie do stowarzyszenia zazwyczaj wchodzą najchętniej ludzie nietylko rozumniejsi, ale i—lepsi moralnie!

Że tak jest, na to mamy dowody przekonywające, bo przecież najwięcej stowarzyszeń olbrzymich i pomyślnie gospodarujących znajduje się u narodów nie tylko najświatlejszych, ale i najmoralniejszych, a więc u belgów, duńczyków i anglików.

Ale o tych szczegółach, bardzo zajmujących, pomówimy za tydzień.

# Nowiny z Polski.

— Kraśnik spełnił swoje dzieło piękne i wielce pożyteczne, bo oto już ukończył budowę siedmioklasowej szkoły powszechnej u siebie. Jest to budynek piętrowy, murowany z cegły, okazały, w dogodnem postawiony miejscu, bo na wyniosłym placu z ładnym widokiem na okolicę.

Budową zajmował się bardzo gorliwie i ofiarnie dzielny komitet, na którego czele stał przezydent miasta, H. Mazurkiewicz, a współpracowali z nim pilnie: ks. kanonik Scipio del Campo, S. Pytlakowski, Nowak, Wolak i inni. Oczywiście, rząd bardzo sowicie dopomógł pieniężnie, a przytem i miejscowi mieszkańcy spieszyli z pomocą chętną i dostateczną.

Dzięki tak przyjaznym warunkom budynek został wykończony i w tych dniach uroczyście poświęcony. Na tę uroczystość przybyło sporo osób, które rozumieją doskonale, jak bardzo naród nasz potrzebuje do szczęścia swego szkół początkowych jak najwięcej, ale obszernych i zdrowych. Taką właśnie jest szkoła w Kraśniku. Bardzo nas raduje ten nabytek—i serdecznie życzymy mieszkańcom Kraśnika, ażeby dzieci ich, ucząc się doskonale w tej szkole, przygotowały się do pracy pożytecznej dla dobra ojczyzny naszej.

— Już chyba wszystkim wiadomo, że Ojciec św., Pius Jedenasty, zezwolił na wprowadzenie w Polsce święta Najświętszej Marji Panny, Królowej Korony Polskiej, które rok-rocznie będzie obchodzone 3 maja.

Tak przeto w tym dniu zawsze zbiegać się będą dwie uroczystości, jedna poświęcona Matce Bożej, a druga Ojczyźnie, bo przecież dzień trzeci maja został wybrany na polskie święto narodowe. Tak wszyscy polacy w dniu 3 maja, jako w dniu bardzo uroczystym, modlitwą serdeczną polecać będą Matce Bożej Polskę ukochaną — i zarazem poproszą Ją o błogosławieństwo dla siebie, ażeby dzielnie, rozumnie i ofiarnie pracować potrafili dla szczęścia i chwały ojczyzny swojej.

W tym roku dnia 3 maja pierwszy raz będzie obchodzona uroczystość Najświętszej Marji Panny, Królowej Korony Polskiej. Bardzo wielu rodaków pragnie uczcić tę uroczystość w sposób najwspanialszy. Dlatego powzięto zamiar urządzenia w dniu 3 maja wielkiego pochodu religijno - narodowego w Częstochowie na Jasną Górę. Otóż na ten dzień z różnych stron Polski wybiera się mnóstwo osób, które specjalnemi pociągami udadzą się do Częstochowy i wezmą udział w olbrzymim pochodzie na Jasną Górę, gdzie o godzinie 11-ej rozpocznie się suma z kazaniem, a po nabożeństwie nastąpi wbijanie w drzewce sztandarów gwoździ, ofiarowanych przez Ojca świętego. Na tę uroczystość powinnoby jaknajwięcej rodaków podążyć do Częstochowy.

— Trawniki, niedaleko od Lublina, rozrosły się jako miasteczko dzięki cukrowni, która tam od pewnego czasu istnieje, a ma dużo oficjalistów i więcej jeszcze różnych pracowników.

Miło podzielić się z czytelnikami dobremi wiadomościami z Trawnik. Bo tam dobrej woli rodacy zapoczątkowali sporo ognisk pożytecznych. Oto powstał tam „uniwersytet ludowy", w którym wykładane są nauki ciekawe z dziedziny historji, piśmiennictwa, przyrody. Słuchaczów bywa dużo. I o dziatwie nie zapomniano, bo założono dla niej ochronkę. W niej dzieci spędzają czas pożytecznię pod kierunkiem ochroniarki, p. Płużańskiej. W święta Bożego Narodzenia te dzieci z ochronki dwa razy odegrały „Jasełka". Zawiązano też „Koło Polek", do którego zapisały się miejscowe kobiety i p. Iwanicka wygłasza im ciekawe pogadanki. A p. Skrzetuski, miłośnik teatru, zorganizował stałą gromadkę amatorów, którzy co czas pewien dają przedstawienia teatralne. I p. inżynier Przedpelski stworzył orkiestrę, do której należy niemało osób starszych i młodszych. W wolnych chwilach ćwiczą się oni w muzyce pod kierunkiem rzemieślnika cukrowni, p. Madeńskiego.

— Biskupice, miasteczko w starostwie lubelskiem, może pochwalić się pracą społeczną miejscowych nauczycieli. P. Sroka, kierownik szkoły powszechnej w Biskupicach, bardzo gorliwie zainteresował się strażą ogniową; fundusze na jej potrzeby napływają z przedstawień teatralnych. I p. Joński nauczyciel we wsi Siostrzycowie pracuje dla miejscowego Koła młodzieży, uczy je śpiewać i urządza przedstawienia teatralne. Życzymy im powodzenia w dalszej pracy i prosimy jeszcze napisać do „Orła B." list o ciekawych pracach społecznych.

# Wiadomości polityczne.

— Nasz minister spraw zagranicznych, Skrzyński, miał trudne zadanie, kiedy wypadło mu w lutym na posiedzeniu sejmu wyrazić głośno, jak gdyby przed całym światem, zdanie swoje o politycznym stanie Polski. W wyrażeniach musiał być niezmiernie czujny; nie wolno mu było powiedzieć ani zadużo, ani zamało, a jednak musiał dać światu całemu do zrozumienia, że naród polski bardzo pilnie i troskliwie czuwa nad swoją Polską wolną i niepodległą! Naród polski nie da się ponownie zakuć w kajdany niewoli! Ani też nie dozwoli komukolwiek oderwać od Polski bodaj piędź ziemi. Nie chce niczyjego, ale swego nie da! A nie da, bo czuje się silny, wolny, szanuje siebie i swoje prawa do niepodległości a przytem kocha swoją ojczyznę, swój dorobek duchowy, mogiły swoich ojców, kościoły swej wiary świętej, wszystkich swoich rodaków i pragnie przysporzyć im szczęścia, a nie klęski wojny i jarzma obcego pana!..

Otóż minister Skrzyński, mając to wszystko na uwadze nadmienił jednak, że tu i owdzie w niektórych państwach zaczyna brać górę objaw niepokojący, głównie z powodu Niemiec. Niemcy przegrały wojnę, którą same wywołały i na której chciały grubo zarobić, ale zawiodły się, bo zamiast zarobku, doznały wielkiego okrojenia! Odpadło od nich dużo prowincji—i nadto jeszcze nałożono na nie wielkie opłaty dla innych narodów, poszkodowanych przez wojnę! To wszystko wydaje im się krzywdą, niesprawiedliwością. Udają więc zmartwienie, rozpacz, wielkie ubóstwo, lamentują i szukają przyjaciół, którzyby zechcieli je nietylko pocieszyć, ale i dopomóc z..

I zdaje się, że ich jakoby znajdują dla siebie w Rosji sowieckiej, w Anglji—i teraz jeszcze chcą ich znaleźć dla siebie we Francji bo już i tam kuszą...

Chytre Niemcy! Płaczą, chcąc dla siebie obudzić litość świata i zarazem dość wyraźnie wskazują na zachodnie granice Polski, że gdyby mogły coś stamtąd dostać zpowrotem, jużby doznały dostatecznej pociechy. Niektórzy politycy angielscy są dość wyraźnie przychylni Niemcom.

Zatem wyrozumieć można taki stan rzeczy: wszystko zależy od zachowania się Polski i Francji. Wrogowie radziby **wprowadzić narazie tylko pewne zmiany w wersalskiej ugodzie pokojowej.** Nabąkują o tem pytająco. Probują, a nuż się uda, a nuż nastraszą się niektóre narody i przystaną na zmianę!

Polska i Francja, odgadując te ich zamiary, głośno i dobitnie oświadczyły już, że **nie pozwolą na żadne zmiany!** Ale właśnie dotychczas Anglja **zwleka z odpowiedzią.** Jakoby namyśla się, czeka, ogląda się...

Jak to rozumieć? Czy można Anglję zmusić do odpowiedzi przychylnej na stronę ugody wersalskiej? Można, bo podpisała ją i nie powinna naruszać warunków, broniących pokoju powszechnego. Ale jest jeszcze inny sposób przestrogi dla Anglji. A tym jest siła i zgoda Polski i Francji. Francja ciągle mówi jedno, że nie pozwoli zmienić litery w ugodzie i stać ją na siłę wystarczającą. Teraz Polska głos taki sam zabiera. I Polska jest mocarna. A tę moc swoję czerpie w narodzie młodzieńczym, ożywionym zapałem, ukochaniem wolności, pracy, wiarą w opiekę i błogosławieństwo Boże. Więc nie damy się, tak nam dopomóż Bóg!

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym". Bychawa.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Zygmunt Krasiński.

Bóg i ojczyzna
Narodów sumienie.

Dnia 23 lutego r. b. upłynęło lat 66 od chwili śmierci Zygmunta Krasińskiego, jednego z największych poetów polskich. Zwykle bowiem bywa stawiany obok dwuch najpiękniejszych: Adama Mickiewicza i Julјusza Słowackiego.

Zygmunt Krasiński urodził się dnia 19 lutego 1812 roku, — a umarł d. 23 lutego 1859 roku. Rodzice jego byli bardzo zamożni. Wychowanie odebrał staranne, wykształcenie doskonalsze i już w młodzieńczych latach został przez ojca wysłany zagranicę, ażeby tam jeszcze uzupełniał swoję wiedzę. Nie brakło mu na to środków z kasy ojcowskiej.

Wart był pomocy, bo od najwcześniejszej młodości już bardzo wyróżniał się wielkiemi zdolnościami i darem pisarskim.

Wprędce, bo zaledwo mając lat 21, zasłynął jako znakomity poeta i myśliciel bystry, przenikliwy, przewidujący.

Dużo utworów napisał prozą i wierszem. A tyle w nich zawarł piękna, prawdy, bólu, ognia miłości, żalu, nadziei i wstrętu do podłości, że do póki ludzi ożywiać będzie umiłowanie porywów szlachetnych, wzniosłych i świętych, dotąd dzieła Krasińskiego będą czytywane skwapliwie

Życie Krasińskiego było z wielu powodów nieszczęśliwe. Widział Polskę w niewoli, a rodaków w niezgodzie, która niekiedy nawet stawała się nienawiścią straszną, dzielącą naród na partje, bardzo wrogo ku sobie nastrojone. I ta wrogość, niestety, nieraz pobudzała do bratobójstwa.

Rozumiał jednak, że niewola psuje w dużym stopniu dusze polskie, bo tak powiada w jednym wierszu:

Powiedz, orle! orle mój!
Białoskrzydlny, niezmazany,
Zkąd tych czarnych myśli rój?
One rosną — gdzie kajdany!
Ach, niewola sączy jad,

Co rozkłada Duchów skład!
Niczem Sybir, niczem knuty
I cielesnych tortur król!
Lecz narodu duch otruty —
To dopiero bólów ból!

Dalej upomina bratobójców, wołając:

Hajdamackie rzućcie noże,
Jeśli w głębi serca wiecie,
Że w planety tego dzieje
Pan wciąż z niebios myśl Swą sieje.
**— Nie przypadek rządzi w świecie —**
**Nikt nie stawia gmachu z błota,**
**I najwyższy rozum — cnota —**

Powyższe słowa poety zdałoby się przypomnieć tym naszym rodakom, którzy jakgdyby radzi są różnym nowinkom rewolucyjnym i bodaj nawet gotowi są przypisać działanie zbawcze nożom, pożarom i nienawiści!

Krasiński wpaja w dusze nasze przepiękne hasło, bo mówi:

być polakiem,
To żyć bosko i szlachetnie!

W innem miejscu głosi:

Lud martwy — to mało —
Ogrom leży, a bez czucia —
Jeszcze trzeba iskry z nieba,
A nie z ziemi do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma!

. . . . . . . . .

Jedyną tu koroną
Wylać ducha na miljony!
Ciałom wszystkim rozdać chleba —
Duszom wszystkim — myśli z nieba!
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie —
Tak Bóg czyni we wszechświecie!
**Bo cel świata — szlachetnienie!**

Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
Rwie się w górę z Bożej myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,
Kto inaczej świat swój kreśli!
..... nie wzniesie Ludu dalej, —
Bo wszechświata prawom wbrew
Sennych zbudzi nie na ludzi, —
Zbudzi sennych na zwierzęta!
Miasto świateł wielkiej burzy
Ujrzy ziemskiej dno kałuży
I w niej polską, spiekłą krew!
— To nie polskie będą święta!

Przewiduje jednak poeta, że u nas w Polsce złe góry nie weźmie i to Polskę uczyni czcigodną i szczęśliwą:

Polsko moja! Polsko święta!
Nad zwycięztwa stoisz progiem;
Kres to męki twój ostatni,
Niechaj tylko uwydatni,
Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem!—
Potem prysną śmierci pęta!

To znowu krzepi w rodakach dobrą wiarę i przekonywa, że, jeśli będą jej wierni, — zwyciężą chwalebnie,—bo powiada:

Niech nas darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal.

Ach, jak umie poeta gniewać się na ludzi nikczemnych, kusicieli, wichrzycieli. Oto woła tak do nich:

O, wy nizcy, o wy ciemni
I okrutni i nikczemni,
Wy, przewiędłe w nicość dusze!
Wy, szpiegowie i wy, katy
Z wypranemi od krwi szaty.
Nie znam na was hańby słowa!
Nie, że język mój ubogi,
Lecz, że boską ludzka mowa,
Nadto piękna — czysta, święta
Bo z anielskich krain wzięta,
By was nazwać po imieniu!

Często zachęca rodaków do dobrego i raz nawet mówi z zapałem:

Raczej umrzeć — niż żyć podle!

I w „Psalmie dobrej woli“ uczy nas tak prosić Boga:

Błagamy Ciebie: stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły z dusz wypień kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro—daj nam dobrą wolę!
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Każdemu potrzebna dobra wola do otrząśnienia się z przywar i doskonalenia w sobie mocy dobrej do pokonywania przeciwności i spełniania czynów dobrych.

Poeta umie się gniewać na złych, cieszyć nadzieją dobrych, wreszcie koić dusze smutne przecudnej piękności pieśniami. Lecz na tem nie poprzestaje poeta, — pisze profesor Henryk Galle, — bo jeszcze: „Idź i czyń!“ mówi do swego społeczeństwa. To nie bezczynne oczekiwanie cudu, to nie obojętność, lub nawet nieczułość na sprawy narodowe, to wielkie i trudne zadanie, które poeta każe nam wziąć na barki, jeżeli chcemy pracować nad przyszłem dobrem narodowem“.

Krasiński kochał Polskę, wierzył, że zmartwychwstanie, ale... nie prędko... Przewidywał, że nie doczeka tej chwili szczęśliwej i ta myśl napełniała go smutkiem... Raz, myśląc o tem, napisał te słowa piękne i smutne:

O, wiem, że Polska bój zwycięski toczy,

Że nie zginęła i nigdy nie zginie —
Lecz my czy ujrzym ją w chwały godzinie?
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy!...
My tak kochali, a pili truciznę,
My tak żyć chcieli, a żyli w zamroczy!
Inni, ah, będą oglądać Ojczyznę —
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy

„My o tyle szczęśliwi, żeśmy doczekali radosnego zmartwychwstania Polski.

Polska już jest wolna, ale czy szczęśliwa?

Kto ma ją uszczęśliwić? — Każdy z nas. I niezawodnie przyczynimy się do tego, jeżeli zawsze stosować się będziemy do hasła poety:

Być polakiem — to żyć bosko i szlachetnie!
A gdy wokół ciebie zło się pieni:
Ty nie zważaj przecie—
Sypnij z dłoni garść promieni
I znów jaśniej w świecie!

# Ludność Gdańska.

Tak chciała polityka europejska z górującym w niej głosem angielskim, przyjaznym niemcom, żeby Gdańsk, jako miasto portowe nad Bałtykiem, razem z najbliższą jego okolicą, wynoszącą ogółem (licząc w tem i obszar miasta) przestrzeni 1.888 kilometrów kwadratowych stanowił tak zwane odtąd „Wolne Miasto Gdańsk".

Gdy ugoda pokojowa, podpisana w Wersalu, stąd nazywana traktatem wersalskim, zaczęła od dnia 10 stycznia 1920 roku obowiązywać wszystkich, już władza nad miastem portowem Gdańskiem i jego okolicą, przyłączoną do niego, dostała się w ręce pięciu państw sprzymierzonych. Niemcy zrzekły się wszelkich praw do Gdańska i jego okolicy, uznały go odtąd jako osobne państewko, niby wolne, bo mające swój własny zarząd i policję, lecz stale zależne od Ligi Narodów.

Ostateczna decyzja —pisze profesor Kutrzeba— ustanowienia Wolnego Miasta Gdańska została powzięta przez pięć mocarstw głównych w Paryżu 27 października 1920 roku. I w tej decyzji określono granice tego państewka. Ostatecznie dnia 15 listopada 1920 roku już wykończono cały układ praw i urzędów dla Wolnego Miasta Gdańska. Od dnia tego zaczęło się ono rządzić samo, ale zawsze ma nad sobą z ramienia Ligi Narodów stałego „wysokiego komisarza", któremu jednak przysługuje rozległe prawo nadzoru nad prawidłowem działaniem władz gdańskich podług ustaw, uchwalonych przez państwa sprzymierzone.

Nosi przeto Gdańsk ze swoją okolicą nazwę „Wolnego Miasta", lecz, mówiąc ściśle, nie ma on wolności zupełnej. Jest niby niezależny politycznie i prawnie od Niemiec, Polski i innych krain, a jednak, doprawdy, zupełną wolnością, czyli niepodległością, tego położenia nazwać nie można!

Jest bowiem Wolne Miasto Gdańsk bądź co bądź bardzo skrępowane prawami, narzuconemi mu przez pięć mocarstw, które zrobiły z niego państewko wprawdzie osobne, ale zręcznie od nich zależne Jest więc w Gdańsku rząd miejscowy, są prawa swoje, obowiązujące ludność jego, —to prawda, ale nad to siedzi tam wysoki komisarz i góruje nad Wolnem Miastem! Ten wysoki komisarz nie zależy od Wolnego Miasta, a jednak siedzi tam mocno i głos ma pierwszy, nie doradczy jedynie, lecz przypominający wszystkim o Lidze Narodów, która właściwie w rękach swoich dzierży los Gdańska!

Teraz przypatrzmy się ludności Wolnego Miasta Gdańska.

Ilość mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska, —pisze Stefan Dziewulski, redaktor „Ekonomisty", wynosiła:

| | | | |
|---|---|---|---|
| w roku | 1910 | ludności | 318.099 |
| „ | 1919 | „ | 355.760 |
| „ | 1923 | „ | 364.380 |

W roku 1910 w ogólnej liczbie ludności gdańskiej znajdowało się polaków 10.913, — niemców 300.919, a żydów 2.590.

Czy w ostatnich latach powiększyła się liczba polaków, dociec trudno, bo, oczywiście, władze Gdańska, ciągle nam nieprzychylne, teraz już, dla zrozumiałych powodów, wcale nie prowadzą jawnego obrachunku ludności swojej podług narodów, tylko ogłaszają liczbę ogólną!...

Mimo te trudności udało się uczonemu ekonomiście, Dziewulskiemu, zebrać ścisłe obliczenia osobno ludności polskiej, osobno niemieckiej, w każdej miejscowości Wolnego Miasta Gdańska, ułożył z tych obrachunków tablice porównawcze i nawet podał ciekawą mapę, na której kolorami oznaczone są okolice, jaka w nich ludność przeważa, polska, czy niemiecka.

Wolne Miasto Gdańsk podzielone zostało pod względem administracyjnym na pięć powiatów.

Liczba ludności w każdym z tych powiatów tak się przedstawia:

| | | |
|---|---|---|
| 1) miasto Gdańsk w r. 1923 miało | 201,752 | mieszk. |
| 2) miasto Sopoty „ „ | 22,377 | „ |
| 3) p-t Gdańskie wyżyny „ „ | 63,068 | „ |
| 4) „ „ niziny „ „ | 30,650 | „ |
| 5) Żuławy Wielkie „ „ | 46,623 | „ |
| Razem | 364.470 | „ |

Jakim zawodom oddaje się ta ludność?

Rolnictwem i leśnictwem zatrudnia się 24 proc., to jest 24 osoby na każde sto osób.

Przemysłem 40 proc., —handlem 16 proc.

Z tego rachunku okazuje się, że największa część ludności oddaje się przemysłowi. Zatem w Wolnem Mieście Gdańsku góruje przemysł nad rolnictwem i handlem.

Miejskiej ludności jest tam 224.000 osób, a wiejskiej tylko 140.000 To jednak z wykazu zawodowego widoczne, że i na wsiach sporo ludności oddaje się raczej przemysłowi, aniżeli rolnictwu i leśnictwu

Interesuje nas pytanie, czy liczebnie rosnie ludność polska w obrębie Wolnego Miasta Gdańska?

Jakkolwiek senat gdański od dłuższego czasu unika podawania do wiadomości publicznej obrachunku ludności miejscowej podług jej narodowości, to jednak w przybliżeniu można posiąść liczbę polaków

w sposób inny. Oto z listy głosujących podczas wyborów do sejmu gdańskiego da się wydobyć ilość polaków, podających swe głosy.

Otóż:

| | W r. 1920 | W r. 1923 |
|---|---|---|
| w mieście Gdańsku głosowało polaków | 5815 | 4594 |
| „ Sopoty „ „ | 955 | 616 |
| w pow Gdańskie wyżyny „ „ | 2413 | 1867 |
| „ „ niziny „ „ | 55 | 17 |
| „ Żuławy wielkie „ „ | 83 | 118 |
| Razem | 9,321 | 7,212 |

Tablica powyższa przekonywa, że liczba głosujących polaków w ciągu trzech lat znacznie zmalała, bo z 9.312 osób w r. 1920 — aż na 7.212 osób w. r. 1923... Przeszło 2 tysiące osób ubyło w tak krótkim czasie!

A co jest przyczyną tego, nie trudno dociec, zważywszy, że senat gdański, przesiąknięty polityką nawskroś niemiecką, a więc bardzo niechętną polakom, nie nadaje praw obywatelstwa gdańskiego ludności polskiej, świeżo osiedlającej się w Gdańsku,— i nadto niemało polaków, już zdawna zamieszkałych w Gdańsku, będących przeto obywatelami gdańskiemi, doznając różnych i licznych przykrości od miejscowych władz niemieckich, wędruje z Gdańska w inne strony świata.

Słowem, polakom żyć coraz trudniej w Wolnem Mieście Gdańsku. Nie mogą w niem znaleźć dla siebie do życia stałego warunków pomyślnych, a nie mogą tylko z winy polityki niemieckiej, którą miejscowe władze kierują się w stosunku do ludności polskiej.

Zatem w Wolnem Mieście Gdańsku dużo wolności mają niemcy,—a dużo przykrości i ucisku polacy. A jednak Gdańsk najwięcej korzyści materjalnych osięga z polaków.

Najlepiej o tem przekona liczba osób przyjezdnych do Gdańska. Weźmy którąkolwiek porę. Dajmy na to od 15 do 21 czerwca roku zeszłego (1924) gazety gdańskie zanotowały taki wykaz przyjezdnych. Ogółem w tym krótkim czasie przyjechało do Gdańska 1.668 cudzoziemców; w tej liczbie 866 polaków, 636 niemców, 20 łotyszów, 18 duńczyków, 16 amerykanów, 14 austrjaków, 13 włochów, 12 litwinów, 11 anglików, 9 rosjan, 8 holendrów, 6 francuzów, 5 chińczyków, 5 ukraińców, 4 czecho-słowaków, 3 belgów, 3 szwedów, 2 norwegów i t. d.

Najwięcej tedy do Gdańska polaków przybywa czasowo dla załatwienia swoich interesów przemysłowo-handlowych.

Kiedyindziej podamy wykaz rachunków, stwierdzający, jak Gdańsk wielkie ciągnie zyski z Polski, tak, że głównie ona jest podstawą jego przemysłu i handlu,—a obecnie jeszcze przypatrzmy się rozmieszczeniu ludności polskiej na obszarach Wolnego Miasta Gdańska i wyciągnijmy stąd wnioski wiele mówiące nam o celu polityki niemieckiej.

Szkoda, że nie mogę tu pokazać mapy Dziewulskiego! Na niej odrazu rozpoznalibyśmy, w których punktach obszaru Wolnego Miasta Gdańska znaduje się **jeszcze** sporo polaków, a w których **już** bardzo mało.

Wolne Miasto Gdańsk ma 317 gmin. Z tej liczby w 230 gminach znajduje się mniej niż 2 procent polaków, a nawet jest sporo gmin w których są tylko sami niemcy.

A w 87 gminach tak się procentowo liczba ludności polskiej przedstawia:

| | | |
|---|---|---|
| w 49 gminach jest polaków | od 2 do 10 | procent |
| „ 14 „ „ „ | 10 — 20 | „ |
| „ 7 „ „ „ | 20 — 30 | „ |
| „ 4 „ „ „ | 30 — 40 | „ |
| „ 3 „ „ „ | 40 — 50 | „ |
| „ 3 „ „ „ | 50 — 60 | „ |
| „ 5 „ „ „ | 60 — 70 | „ |
| „ 2 „ „ „ | powyżej 70 | procent. |

Żadnej niema gminy, któraby posiadała wyłącznie ludność polską. W samem mieście portowem, Gdańsku, przebywa na stałe polaków zaledwo 2 procent, a w mieście Sopotach jest ich nieco więcej, bo niemal 10 procent.

Swoją mapą Dziewulski przemowi do rodaków gorzko, ostrzegawczo, bardzo pouczająco! Oto na obszarach Wolnego Miasta Gdańska, gdzie dawniej żyła tylko ludność pomorska a więc polska, dziś z niej zostały tylko kępki, jak małe wysepki na wielkiem morzu niemieckiem.

Już nawet tych wysepek polskich prawie niema na wschodniej połowie obszaru, bo zaledwo kilka tu i owdzie maleńkich, wątłych jeszcze wynurza się z potopu niemieckiego! Na zachodniej zaś połowie jest tych wysepek polskich około 20-tu

To i wszystko! Tyle tylko jeszcze zostało śladu po narodzie polskim, tam niegdyś, przed kilkuset laty, gospodarującym, jak pan w swojem gnieździe ojczystem!... Tak go tam masa niemiecka, rwąca się na ziemie nasze, zalała, zatopiła, lub wyrzuciła po za brzegi, hen, daleko, w obce światy!..

Straszne tu wyrywa się słowo: „narodzie, pamiętaj, jaki los czeka potęgę na kruchych nogach"...

Jak się to stać mogło?

Najzwyklej w świecie!

Jednak pytanie to sięga aż do sumienia polskiego!

Nie mówmy, że niemcy chytrzy, podstępni, przewrotni i dlatego sposobami najgorszemi zabrali nam Pomorze nasze!

Owszem, są oni bardzo przebiegli, występni, nieuczciwi! Wszystko to prawda Lecz to jedno jeszcze nie utorowałoby im drogi do opanowania Pomorza polskiego!

Przedewszystkiem my sami polacy, w ciągu wielu wieków ułatwialiśmy im stopniowe zalewanie Pomorza narzego. A ułatwialiśmy głównie własną lekkomyślnością, niedbalstwem, zbytniem zaufaniem do obcych i lekceważeniem handlu, oraz przemysłu.

A potem, gdy ci obcy, korzystając z naszych wad i grzechów, wyrządzili nam krzywdę okropną, my, zamiast się poprawić i udoskonalić, nadal jedynie pocieszamy się i odurzamy bądź potępianiem, bądź niedołężnem narzekaniem na tych obcych krzywdzicieli, jakoby jedynych sprawców naszych nieszczęść narodowych, moralnych i materjalnych.

Bardzo źle jest, gdy kto przyczyny swojej nie-

doli szuka tylko w obcej winie.. Taki ma kiepską głowę i złe sumienie.. Poszukaj, bracie, pierwej w sobie winy, a przekonasz się, **żeś ty z wrogiem swoim dospółki pracował nad zgotowaniem twojej zguby, która stała się jego zyskiem!...**

Tak bywa pono najczęściej!

Owszem, nie przeczymy, że i niemcy są bardzo winni, aleśmy z niemi współpracowali przy ściąganiu nad polskie głowy chmury z piorunami. Bo przecież ciągle jeszcze górują w nas straszne wady, wielce szkodliwe, nawet zgubne!

Azali to nieprawda?—A kto żydom sprzedawał i jeszcze sprzedaje ziemie w miastach, miasteczkach i wioskach? Kto stroni od handlu i przemysłu, oddając te źródła potęgi i zamożności w ręce żydowskie, niemieckie i angielskie?

Ciągle widzimy tylko jedną stronę prawdy, że niemcy i żydzi są podstępni, chytrzy, niegodziwi, najgorsi.

No, zgoda, bo tak bywa najczęściej.

Ale czy my bez winy w tem, że niemal ciągle kurczy się pod naszemi nogami ziemia ojczysta, że ustawicznie rośnie władza wrogów nad nami?

Corychlej spójrzmy w siebie surowem okiem sędziego, a dostrzeżemy nareszcie w sobie wady szpetne i szkodliwe; wyrwijmy je z korzeniem, jeśli nie chcemy, by nas tu spotkało to, co naszych rodaków na Pomorzu!

Bierzmy się spiesznie i pilnie do wyrzucenia z siebie przywar zgubnych, a gdy to nam się uda (a udać się musi przy dobrej i mocnej woli), wówczas niezawodnie wrogowie nasi, choćby najnikczemniejsi, nie potrafią nam zaszkodzić i wtedy nie tylko nie oddamy im nawet piędzi ziemi polskiej, jako matki naszej, i bogactw obfitych, spoczywających w łonie naszej ojczyzny i wszelkich robót korzystnych, —lecz nadto jeszcze napewno odbierzemy im zpowrotem i to, co nam ongi zabrali podstępem, lub przemocą, kiedy jeszcze korzystali z naszego zastarzałego niedbalstwa, lekkomyślności,—a i strasznego lenia!...

---

Nie to ci ubliża, że upadłeś, lecz to, że leżysz.

**E. Wance Cook.**

---

Wątpiącym klęska grozi, śmiałym sprzyja powodzenie.

**F. Lawrence Knowles.**

---

# Co to będzie?

Pod takim tytułem znajduje się w „Kurjerze Warszwskim" z dnia 2 marca r. b., artykuł, napisany przez profesora Edmunda Jankowskiego, uczonego ogrodnika, znanego w całej Polsce z wielu pożytecznych książek i artykułów o ogrodnictwie, umieszczanych w różnych czasopismach polskich.

Większych mrozów — słowa profesora Jankowskiego — już teraz przypuszczać nie należy, a musiałyby być znaczne, żeby powstrzymały w rozwoju roślinność. Przecież wiciokrzewy (Lonicera) mają już listki, niektóre bzy, zielone, wielkie pąki, gotowe lada dzień rozpęknąć.

Należy jednak, opierając się na dawnem doświadczeniu, wysnuć pewne wnioski. Więc, gdyby już mrozów nie było, zboża wcześnie będą kwitły, a żniwa mogą się odbyć pod Warszawą i w podobnych klimatach miejscowych już około połowy lipca. Urodzaj zapowiada się dobry, o ile zbóż nie zniszczą niezmiarka i inne szkodniki.

Oczywiście łąki prędko porosną zbiór siana wypadnie około połowy czerwca, lub nawet wcześniej. Skróciłoby to przednówek i dałoby krajowi chleb nowy o kilka tygodni wcześniej.

W polu pracowano przez całą zimę z małemi przerwami, zdążono zatem poraz pierwszy od czasu wojny uprawić ją w całości i z większem staraniem. Nawet lasy zaczęto sadzić w końcu lutego.

Ale zasoby wody, zwłaszcza zapasowej, w nieco głębszych warstwach nagromadzonej, są małe. Jeżeli wiosna nie będzie mokra, a taka bywa u nas rzadko, susza da się we znaki polom i ogrodom. Trzeba to przewidywać i ziemi na wiosnę nie wysuszać przez oranie, tylko ją wzruszać odpowiedniemi narzędziami, a gdzie można, jaknajczęściej poruszać jej powierzchnię, żeby niszcząc włoskowatą jej budowę, od wysychania obronić.

Jeżeli zaś spóźnione mrozy w marcu przyjdą, to o ile je poprzedzi śnieg, zboża nie ucierpią, ale suchy mróz, lub ostre, mroźne, wschodnie wiatry bardzo je osłabią.

Drzewa owocowe, dopóki pęki ich są zamknięte, zniosą nawet nieco większe mrozy (np. do—10⁰ C.), ale od silniejszych popękają, nadmarzną o ile nowe soki do tkanek napłyną. Największe zaś niebezpieczeństwo grozi im w porze kwitnienia, bo kwiaty mogą pomarznąć. Mówi się „kwiaty", właściwie jednak chodzi o same zawiązki; te, nawet w pąku jeszcze niezupełnie rozchylonym będąc, łatwo przemarzają i to dzieje się nawet z guzikami owocowemi jabłoni.

Ale można na to zaradzić. Niewiadomo kto pierwszy wymyślił dymienie, ale to pewne, że sto lat temu zastosował je w Niedźwiedzicu, w krakowskiem, ogrodnik hrabiego Wodzickiego, znakomitego miłośnika ogrodnictwa polskiego. Sposób polega na tem, że naokoło sadów, chmielników, lub innych upraw, które obronić chcemy od mrozów (aż do—4⁰ C.), wkładamy co 10 do 20 metrów kupki chróstu suchego i zapalamy je przed wschodem słońca w noc wypogodzoną i mroźną. Gdy się gałązki rozpalą, przysypujemy je zlekka ziemią, tak, żeby ogniska te nie gasły, ale wydawały dużo dymu.

Dym na pewnej wysokości rozwleka się, niby chmura, nad uprawami i broni je od wypromieniowania ciepła, a więc od zmarznięcia. O ile przymrozki powtarzają się, trzeba zapobiegać co rano.

Ten sposób jest znany tu i owdzie, ale zamało stosowany u nas. A gdyby wielu ognie paliło, możnaby całe połacie kraju, nawet i zboża, tak zabezpieczyć. Wszakże robią to dla winnic we Francji.

Takie są przewidywania odnośnie do roślin,

obchodzącycn ogór. Ale nie traćmy naaziei i nie biadajmy, że zimy nie było. Wszakże niema jej często w zachodniej i południowej Europie, a pomimo majowych przymrozków, które i tam nieraz się zdarzają, urodzaje średnie są częste, a głody rzadkie.

Dał nam Bóg ziemię równą, pól uprawnych i niw pełną, i dał klimat umiarkowany i **obdarza nas chlebem tak obficie zwykle, że go często udzielamy innym.** Ufajmy więc w Jego dobroć i uprawiajmy dalej ziemię naszą gorliwie i umiejętnie, potem ją swoim obficie zraszając, a urodzi napewno.

Do końcowych uwag szanownego Profesora dodac wypada jedną chyba słuszną przymówkę pod adresem naszych rolników.

Bóg im nie żałuje chleba, daje urodzaje niezgorsze, a oni znowu nie żałują swego chleba żydom i oddają go im na handel bardzo nieopatrznie, bo w taki sposób, samochcąc, pozbawiają się pokaźnych zysków, które handel zbożowy przynosi żydom, a przecież te zyski powinnyby zostawać w rękach polskich!

Czas wielki te dwie prawdy wziąć do serca i zapytać: dopókiż Bóg dawać będzie obfite dary polakom, — a oni te dary w znacznej mierze trwonić będą, marnotrawnie oddając część ich znaczną w obce, częstokroć wrogie ręce?

---

Co masz czynić, czyń zaraz i dobrze.

**J. Townsend Trowbridge.**

---

Nie pomyślność, lecz przeciwności kształcą człowieka; wśród burzy, nie wśród ciszy poznajesz dzielność żeglarza.

**Mekin L. Severy.**

---

# Czas i praca.

Naprzód wypada nam pomówić o duńczykach. Jak dzielny to naród, niech o nim świadczą same czyny jego.

Ale wprzód wypada rozejrzeć się po Danji i poznać jej rozległość i bodaj liczbę ludności duńskiej. Chyba to wielki kraj, a naród liczebnie mnogi, kiedy nawet poważny pisarz angielski, W. H. Wolff, w swojej książce znakomitej: „Współdzielczość w rolnictwie", nie waha się skromnie wyznać, iż niemcy, holendrzy, a nawet i anglicy w niektórych swoich pracach gospodarczych **są uczniami duńczyków.**

Tem wyznaniem uczony anglik wystawił duńczykom publicznie świadectwo bardzo zaszczytne.

Kto więc oni i jaka ich kraina?

Napewno każdy uczeń polskiej szkoły powszechnej pokaże na mapie Europy, na północnej granicy państwa niemieckiego, wysunięty dość wąski i nieforemny pas ziemi, który sobą rozdziela dwa morza: a więc na prawo, czyli na wschodniej stronie, ma morze Bałtyckie, a na lewo, czyli na stronie zachodniej ma morze Niemieckie, — a zaś wierzchołkiem swoim ów pas ziemi, od strony północnej widać na mapie, jak rozszczepił na dość znaczne przestrzeni dwie krainy: Norwegję od Szwecji, ale nie dotyka ich brzegów, bo między nim a niemi przepływają wody, łączące owe dwa morza: Bałtyckie z Niemieckiem.

Ten wązki pas ziemi, gdyby nie to, że urywa się wgórze opodal brzegów Norwegji i Szwecji, mógłby być wązką groblą miedzy Niemcami, a obu tamtemi krainami. Otóż ten pas ziemi, czyli urwana grobla, stanowi maleńki kraik osobny, Danję. I jeszcze warto zauważyć, że ten nieforemny pas wązki ma po obu swoich brzegach sporo wysp i wysepek. Na prawym brzegu, od strony morza Bałtyckiego, ma ich więcej i niektóre z nich są dośc duże. Tak się przedstawia Danja pod względem lądowym. A cały **jej obszar,** jak mówi znawca Danji, Stanisław Czekanowski, — rachunkowo tak się przedstawia: rozległością swoją nie większy od trzech guberni polskich: warszawskiej, kaliskiej i piotrkowskiej, nawet mniejszy od nich, bo mierzy 33.548 wiorst kwadratowych, gdy te trzy gubernie nasze mają przestrzeni 35.229 wiorst kwadratowych.

A i co do ilości zaludnienia, to w Danji mniej jest mieszkańców, niż u nas w tych trzech guberniach, bowiem wszystkich duńczyków Czekanowski naliczył trochę więcej nad półtrzecia miljona.

Jest więc Danja krainą małą, drobną, — a naród duński liczebnie niepokaźnym. A jednak ten narodek niespory, bo mniej go w całej Danji, niż mieszkańców w jednej tylko stolicy angielskiej, Londynie — ducha ma tak dzielnego, zabiegliwego, poczciwego i pracowitego, że potrafi być w niejednej pracy wzorem i nauczycielem dla anglików, niemców i holendrów, uchodzących przecież za najświatlejsze i najpracowitsze narody w świecie.

Te pochwały dla duńczyków budzą w nas zaciekawienie ogromne.

Warto przeto bliżej przypatrzeć się duńczykom, ażeby dowiedzieć się, czem oni zasłużyli na tak piękne świadectwo!

Część Danji, zwana Jutlandją, jeszcze przed sześćdziesięciu laty miała wielkie obszary piachu nieużytecznego, nawet szkodliwego, bo wiatry przenosiły go z miejsca na miejsce i niekiedy zasypywały niem przyległe ziemie urodzajne.

Na te wydmy zwrócił baczną uwagę inżynier, Henryk Dalgas. Przyszła mu myśl szczęśliwa zamienić wydmy w lasy i łąki.

Myśl niby zuchwała, lub nawet niedorzeczna!

Takby napozór zdawać się mogło. Ale czego nie dokaże praca, pokierowana rozumem! Zakłada w tym celu Dalgas 4 marca 1866 roku, więc akurat 59 lat temu, stowarzyszenie pod nazwą „Towarzystwo kultury jałowych równin jutlandzkich" i niemal odrazu zjednywa 800 członków, którzy zobowiązują się płacić składkę rocznie w wysokośc 4 koron. Tego funduszu wszelakoż było zamało na zakupno obszarów piaszczystych i na zadrzewienie ich, więc Dalgas zwraca się do bogatych duńczyków z prośbą o ofiary, które przecież wrócą się, gdy piaski zamienią się

w lasy i łąki. Rozumie się, wnet znaleźli się ofiarodawcy, chętnie i hojnie poparli śmiałe zamiary inżyniera. A on, posiadając już pomoc dostateczną, zabrał się czemprędzej do zadrzewienia nieużytków narazie na niedużej przestrzeni, ażeby rychło przekonać ogół, ile może w taki sposób wyciągnąć korzyści z rozległych obszarów martwego piasku.

Oczywiście, próba—pisze S. Posner—zaprowadzenia tam jodły górskiej (pinus montana) udała się znakomicie. Sosna austrjacka zwolna usychała, a jodła, przeciwnie, wychodziła zwycięsko na piaskach. I właśnie jodła umożliwiła plantację sosny. W żywym zagajniku jodłowym sosna udaje się dobrze. Sadzą też ją w tym zagajniku, następnie wycina się jodły, żeby sosny miały więcej dla siebie przestrzeni i słońca; jodły obalone, gniją na miejscu dla unawożenia piasku.

To powodzenie momentalnie zachęciło mnóstwo duńczyków do naśladowania. W ciągu lat niewielu w taki sposób zadrzewiono piasków cztery mile kwadratowe.

Włościanie jęli sami między sobą tworzyć spółki udziałowe i za wspólne pieniądze nabywać na własność drobne działki piasku, które, za przykładem Dalgasa i przy jego pomocy, bardzo pomyślnie zadrzewili.

Potem Dalgas nową myśl powziął. Korzystając z rzeczułek, tu i owdzie ciekących, przystąpił do rozprowadzenia z nich wody kanalikami sztucznemi po okolicznych piaskach i w taki sposób piaski te, otrzymawszy dość wilgoci, pokryły się bujną roślinnością.

I znowuż włościanie za przykładem Dalgasa i, rozumie się, przy jego pomocy, czynią to samo!

Towarzystwo, przez niego założone, istnieje ciągle, działa na swoję rękę, mając na własność znaczne przestrzenie piasków bądź zalesionych, bądź zamienionych w łąki, — i nadto ustawicznie dopomaga prywatnym gospodarzom i spółkom włościańskim w zadrzewianiu i nawodnianiu nowych obszarów wydm piaszczystych.

Pustynia—tak Posner kończy swoje uwagi o zasługach Dalgasa — po której hulał dawniej wicher, spalona od słońca, pozornie najzupełniej i wiekuiście jałowa, w znacznej części pokryła się lasami i łąkami! Praca zadrzewiania i nawodniania nie ustaje! Ciągle maleje przestrzeń martwa, a rozszerza się obszar urodzajny. I to wszystko zdziałała głowa nietylko uczona, ale i pracowicie, twórczo myśląca!

Na rozległej przestrzeni dawnych piasków jałowych, na których żadne nie istniały drogi, obecnie wybudowane są w różnych kierunkach linje kolejowe.

Ludność miejscowa, dawniej głodna, wędrująca za chlebem w strony dalekie, dziś u siebie, w swojej okolicy ma dosyć roboty, chleba i nawet dostatku.

Na jubileuszu dwudziestopięciolecia Towarzystwa jeden z włościan tak między innemi oświadczył: „Dawniej marliśmy z głodu. Obecnie mam 24 krowy i 5 koni. A ja i bracia moi zawdzięczamy swój dostatek Dalgasowi",

Gdy wreszcie Posner zapytuje, czy tylko Danja posiada piaski,—my, polacy, już mamy gotową dla niego odpowiedź, wskazując, każdy z nas, znane nam w swojej okolicy piaski, tu i owdzie nawet dość rozległe... Narazie bierze ochota wpomnieć choćby o wielkim nieużytku w sąsiedztwie Lublina,.. bo w Krężnicy, opodal Prawiednik, które też mają górki martwe, smutnie świadczące o niedbalstwie tamtejszej ludności.

Mój Boże, ile tam się marnuje ziemi, która, umiejętnie wyzyskana, mogłaby przecież rodzić drzewa pożyteczne i trawy na paszę dla inwentarza! Czy to wszystko nie marnotrawstwo naganne, przy tylu biedakach naszych, którzy muszą w obce strony wędrować za chlebem!?

Gorzej jeszcze przedstawia się biłgorajskie: Tam są wielkie przestrzenie ziemi bardzo ubożuchnej, piaszczystej, marne dającej plony. Stąd wielkie tam ubóstwo, niemal przysłowiowe.

A przy ubóstwie nieraz dzieją się rzeczy zdrożne, okropne!

Coraz właśnie gazety podają z tamtych stron wieści, potwierdzające znaną gadkę: że nędza bywa niedobrym doradcą.

Oto w tej chwili mamy pod ręką „Głos Lubelski" wczorajszy, z dnia 10 marca r. b., w którym czytamy o potyczce policji z hersztem szajki bandyckiej, Maciejem Fusem, mieszkańcem wsi Bukowina, gminy Biszcza, powiatu biłgorajskiego. Gdy zbój spostrzegł, że jest osaczony przez policjantów, chwycił swój karabin i już do któregoś z nich mierzył, ale oni widocznie byli i na to przygotowani, bo momentalnie uprzedzili herszta, celnym strzałem kładąc go trupem na miejscu!

„Znowu więc — dodaje „Głos Lub." od siebie — o jednego herszta—bandytę mniej w pow. biłgorajskim. Wątpię jednak, czy prędko skończą się te batalje w wspomnianym powiecie. **Bieda, powodowana nędzną glebą** i brakiem zakładów przemysłowych, szeregi bandyckie, niestety, szybko uzupełnia".

W powyższej uwadze publicysty tai się, doprawdy, straszny wyrzut, zwrócony do całego społeczeństwa polskiego. A wyrzut ten tak chyba trzeba rozumieć: dopóty nie zginie bandytyzm w biłgorajskiem, dopóki tam będzie nędzna gleba i brak zakładów przemysłowych.

A czy jest jaka na to rada?

— Jest, odpowiadamy, przytaczając bez wahania przykład inżyniera Dalgasa w Danji. On mógł tam, na wydmach piaszczystych, urządzić lasy i łąki, czemużby nie potrafili tego samego, nawet coś jeszcze lepszego, uczynić **doskonalsi** inżynierowie polscy? A doskonalsi nie dlatego, że polscy, bo byłaby to niedorzeczna pycha narodowa, lecz tylko z tej racji, że już po śmierci Dalgasa w ostatnich kilku dziesiątkach lat gleboznawstwo i inne z niem pokrewne nauki, duże poczyniły postępy, tak, że czego jeszcze nie znał Dalgas, już obecnie podobnym inżynierom więcej dały sposobów nauki doskonalsze!

Tylko wypadałoby zachęcić inżynierów polskich do naśladowania Dalgasa, a rodaków do tak chętnej współpracy i ofiarności, jakie okazali duńczycy swemu inżynierowi.

A więc może obok anglików, niemców i holendrów—również polacy zechcą być w pracy gospodarczej uczniami duńczyków?

Oby to się stało jaknajrychlej!

Przy tej sposobności radbym wynurzyć taką uwagę:

Od dłuższego czasu jest u nas w Polscę duże poruszenie umysłów tak zwaną reformą rolną. Chodzi o łatwą sprzedaż roli tym, którzy jej łakną. Zgoda.

Ale czy jest też w społeczeństwie naszem równa troska o nauczanie rolników pracy umiejętnej w gospodarce rolnej, ażeby z niej wydobywać mogli coraz obfitsze dochody?

A przecież sadownictwo u nas jeszcze nie ma nad sobą jednolitej opieki naukowej, która przy pomocy instruktorów okręgowych udzielałaby poszczególnym właścicielom sadów rad, wskazówek i nawet pomocy specjalnej.

Czekamy też dotychczas naprożno na pomoc czynną i prawną w obsadzaniu wszystkich dróg drzewkami.

Mamy wszakże nie oddzisiaj ministra rolnictwa i dóbr państwowych! Czy minister jeszcze nie zdążył w szkółkach lasów rządowych wypielęgnować drzewek przydrożnych? I czy nie postarał się o ułożenie ustawy prawnej, wymierzającej surowe kary na niszczycieli drzewek, rosnących przy drogach?

Wreszcie co minister rolnictwa przedsiębrał gwoli skasowania w Polsce nieużytków i użyźnienia gruntów piaszczystych? A wszakże jednych i drugich mamy jeszcze niezmiernie dużo i,.. doprawdy,.. widok ich przejmuje nas nietylko smutkiem, ale i... wstydem!.

Bo czy podobna, żeby u nas była jeszcze tak wielka nieczułość na straty olbrzymie, rokrocznie pochodzące z nieużytków i lichych gruntów, niedostatecznie uprawionych i zasilonych, jak np. w biłgorajskiem?

Czy można patrzeć obojętnie na krzywdy, jakich doznają poszczególni właściciele nieużytków i gruntów jałowych? Prawda, właściciele ubodzy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że dzieje się im krzywda, ale rodacy światli, rozumiejący i przy władzy będący, czy nie doznają wyrzutów, patrząc na te krzywdy i nic im nie zapobiegając?..

Żadną wymówką nie zdołają się usprawiedliwić! Już dość tego niedbalstwa i lenistwa obywatelskiego! Godzi się najspieszniej ustanowić przy każdym sejmiku insruktora, biegłego znawcę prac rolniczo-ogrodniczych, któryby podług wskazówek wiedzy fachowej i przy pomocy odpowiednich instrukcji, oraz ustaw, przyczyniał się do spiesznego usunięcia z naszej gospodarki rolniczo-ogrodniczej nieużytków, gruntów jałowych, marnych sadków przy chatach i braku porządnego zadrzewienia dróg publicznych, co wszystko razem, doprawdy, kładzie się szpetną plamą na duszy społeczeństwa polskiego, bo przecież tak nawet niepochlebnie mówi samo przysłowie stare: „jaki pan, taki kram!"

A teraz wróćmy do duńczyków, żeby przekonąc się czem głównie zasłużyli na pochwały anglika, Wolffa. Ale o tem już za tydzień!

---

Pijaństwo nas gubi, a żydów bogaci. Wódka jest największem naszego kraju nieszczęściem.

Jędrzej Śniadecki

---

# Nowiny z Polski.

— Polska ma dotychczas dopiero 20 handlowych parowców i motorówek o łącznej pojemności 11.247 tonn. A zaś Gdańsk ma 66 okrętów handlowych o pojemnści 100.966 tonn, czyli 9 razy więcej od Polski. Musimy więc zatroszczyć się o powiększenie własnej floty handlowej na morzu Bałtyckiem.

# Wiadomości polityczne.

— W Berlinie d. 28 lutego umarł prezydent państwa niemieckiego, Fryderyk Ebert, majac lat 54. Wybory na nowego prezydenta odbędą się 29 marca. Jest kilku kandydatów. Nawet były następca tronu niemieckiego podał się na kandydata. To nic że teraz go jeszcze nie wybiorą, ale już w tem jednem, że podał się, jest znak, że ten były sukcesor Wilhelma, marzy o odzyskaniu władzy monarszej w Niemczech i że liczy na swoich zwolenników, których liczba w narodzie niemieckim znowuż rośnie.

— D. 10 marca rozpoczęły się w Genewie narady Ligi Narodów. Zjechało się tam wielu głównych ministrów i polityków, jako przedstawicieli różnych państw europelskich. Teraz uszy całego świata nasłuchają, co tam politycy uradzą i postanowią.

— D. 7 marca prezydent państwa czeskiego, Masaryk, obchodził uroczyście siedemdziesiątą piątą rocznicę swoich urodzin. Naród czeski w dniu tym bardzo serdeczną wynurzył cześć swemu prezydentowi.

— W polityce niemieckiej nic nowego nie zaszło. Pisaliśmy o niej tydzień temu. A dziś wypada tylko potwierdzić to i uzupełnić, oczywiście, ciekawemi szczegółami. Bo jeszcze przed paru tygodniami były tylko domysły, że niemcy myślą o odwecie i pocichu, ale dość spiesznie, szykują się do nowej wojny. A teraz już jest to oczywista pewność. bo przecież rząd niemiecki przez swego przedstawiciela doręczył w Paryżu rządowi francuskiemu zręczne i chytre oświadczenie o tak zwanej gwarancji, czyli zabezpieczeniu granicy francuskiej od strony państwa niemieckiego, a natomiast proponuje poczynić pewne zmiany w granicy wschodniej od strony Polski,..

Niesłychane zuchwalstwo niemieckie! Nawet należałoby je nazwać drwinami z całej Europy. Ugodę, którą wszystkie państwa wojujące podpisały sześć lat temu, niemcy chcą bezczelnie unieważnić,—a zaczynają niby tylko od drobnej zmiany na granicy polskiej od strony Niemiec, chcą urwać tylko kawałek Polski.

Tylko kawałek. To byłby niezły początek dla niemców. Bo gdyby Europa zgodziła się na tak niby drobne naruszenie ugody pokojowej,—już tem samem upoważniłaby niemców do lekceważenia całej ugody. Bo co warta ugoda, którą można zmienić choćby tylko narazie w jednym szczególe?

---

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

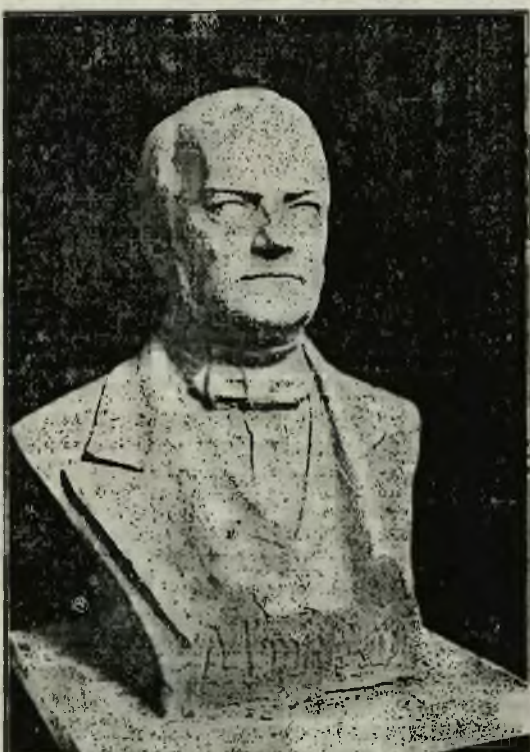
Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 22 marca 1925 r. № 12.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Stanisław Moniuszko.

Dnia 5 maja r. b. upłynie sto sześć lat od chwili, kiedy urodził się we wsi Ubiel, w ziemi mińskiej, na Litwie, Stanisław Moniuszko, twórca z Bożej łaski wielu przepięknych melodji polskich.

A więc dnia 5 maja 1819 roku przyszedł na świat z ojca Czesława i matki Elżbiety z Madżarskich, małżonków Moniuszków. Więcej dzieci nie mieli. Tylko jedynaka, Stasia.

Tak on sam o swojem dziecięctwie opowiada:

„Nie należałem wcale do dzieci, zwanych cudownemi, lecz od najmłodszych lat czułem nieprzeparty pociąg do muzyki, w którym się też bardzo wcześnie objawiło moje powołanie.

„Obdarzony od natury bystrym i delikatnym słuchem, zaledwiem zaczynał chodzić, już zatrzymywałem w pamięci niemal każdą nutę słyszanych piosenek i dziecięcym głosem powtarzałem je z łatwością.

„Matka moja, szczerze zamiłowana w muzyce, grała na klawikordzie, a częściej przygrywała sobie na tym instrumencie do pieśni, które z wielkiem uczuciem lubiła śpiewać wieczornemi godzinami. Ona też najpierwsza dostrzegła we mnie tę ujawniającą się iskierkę zdolności i jak tylko palce moje nabrały cokolwiek siły, sama zaczęła mnie uczyć początków ukochanej sztuki. Nigdy nie zapomnę z jak anielską cierpliwością mozoliła się nad układaniem mojej drobnej rączyny do klawikordu. Kilkoletniemu chłopcu gamy niekoniecznie smakowały, rwałem się do wygrywania ze słuchu śpiewek, do których lewą ręką dobierałem sobie, jak mogłem, akordy, lecz trudna rada! Dom nie zaczyna się budować od dachu, trzeba było przechodzić początki, uczyć się wartości nut, ślęczeć nad gamami i nabraniem biegłości.

„Nieoceniona moja nauczycielka miała jednak skuteczny sposób zachęcania mnie do cierpliwości. Coprawda, nie przekupywała mnie ani piernikiem, ani pierogiem, ani karmelkiem, lecz skoro przyrzekła, że po skończonej lekcji muzyki zaśpiewa mi piosenkę, byłem potulny, jak owieczka i z wielką troskliwością uważałem, aby przekładać w gamach właściwe palce

„Rozumie się, że natychmiast po lekcji domagałem się dotrzymania obietnicy. Matka z uśmiechem na ustach, słodyczą i miłością w spojrzeniu, siadała do klawikordu i najczęściej powtarzała który ze „Śpiewów" Niemcewicza, poczem moje dziecięce natręctwo napierało się drugiego i trzeciego „Śpiewu".. Trudno mi wypowiedzieć, z jakiem ją słuchałem upodobaniem!"

„Śpiewy historyczne" Niemcewicza, — pisze Aniela Kelerówna, — tak szczególnie drogie małemu artyście, za lat dziecięcych Moniuszki rozlegały się niemal po wszystkich dworach polskich. Dziś wyszły one wogóle z pamięci, pojawiły się pieśni inne i wyparły tamte, lecz w owe czasy krzepiły one serca i ducha polskiego. Uczono się z nich dziejów

ojczystych, czerpano otuchę i wiarę w przyszłość lepszą.

„Śpiewy historyczne“ napisał zasłużony dziejopis: poeta, Juljan Ursyn Niemcewicz. W tych pieśniach poeta wierszem opowiedział dzieje Piasta, Mieczysława Pierwszego, Bolesława Chrobrego i następnych królów polskich,—a znowu do tych pieśni dorobili miłe melodje różni muzycy polscy, jak Kurpiński, Leszek, Szymanowska i inni. Odtąd pieśni te obiegały całą Polskę, śpiewane z zapałem, szczególnie przez młodzież.

Grała je i śpiewała pani Moniuszkowa. A z matki na syna przeszło umiłowanie pieśni niemcewiczowskich. A syn nietylko słuchał chciwie śpiewu matki, lecz i sam śpiewał je z pamięci.

Lecz prócz pieśni Niemcewicza - dodaje Kelerówna—inna jeszcze muzyka poiła serce i duszę małego artysty. Muzyka pól i lasów. Grały mu lasy i pola odwieczną pieśń życia. Dziecko więc wybiegało w pole i wsłuchiwało się chciwie w poszum łąk, pól i borów litewskich, w szmer strumieni, w śpiew ptasząt, tych bożych śpiewaków i wchłaniało w duszę te skarby niewyczerpane przyrody, bogatej w dźwięki i tony.

Niemniej lubił Stasio przysłuchiwać się pieśniom żniwiarzy i śpiewom, rozlegającym się w niedzielę, lub podczas uroczystości wiejskich.

Te melodje ludowe, któremi poił młodą duszę, to wsłuchiwanie się w muzykę pól i lasów naszych, pozostawiły w duszy Moniuszki ślady niezatarte na całe życie, owszem, one miały wpływ wielki na późniejszą jego twórczość muzyczną. Stąd właśnie muzyka jego nabrała cech swojskich, narodowych, stąd w niej ta nuta rodzima, polska.

Moniuszko urodził się w domu, przepojonym obyczajami i podaniami polskiemi. Ojciec jego, Czesław, lubił opowiadać o dawnych dziejach, o rycerskich wyprawach, o dniach chwały oręża polskiego, o tak niedwnych wojnach napoleońskich, które wstrząsnęły dreszczem nadziei serca ówczesnych polaków.

Opowiadania ojca obudziły w duszy Stasia nutę rycerską, którą potem tak pięknie umiał włączyć w niejedną melodję, ułożoną przez siebie.

Również chciwie słuchał chłopiec dawnych baśni, legend tajemniczych. Lubił odwiedzać stary zamek książąt Ogińskich w Śmiłowicach, pilnowany przez starego sługę, który opowiadał chętnie o losach zamczyska.

Rodzice Stasia, widząc w nim rosnące zamiłowanie i nawet zdolności do muzyki, gwoli kształcenia go odpowiednio, opuścili wieś, a przenieśli się narazie do Warszawy, potem, dla oszczędności, do Mińska, gdzie Staś skończył nauki gimnazjalne i zarazem ciągle brał lekcje muzyki.

W 18-tym roku życia już nie Staś, ale Stanisław, po ukończeniu szkoły, miał sam decydować o wyborze dla siebie pracy zawodowej. Ojciec radził mu zostać urzędnikiem, bo to chleb pewniejszy, ale Stanisław poszedł za głosem serca, rozmiłowanego w muzyce. A zaś żeby jeszcze lepiej udoskonalić w sobie zrozumienie muzyki, jako sztuki i uzdolnić się do tworzenia nowych melodji, pojechał do wyższej szkoły muzycznej w Berlinie i tam przybywał w nim dwa lata.

Jak kochał muzykę, świadczy następujące wydarzenie: oto kiedy wracał z Berlina do kraju i zaledwo znalazł się na ziemi polskiej, zaraz wstąpił do pierwszego kościoła, napotkanego we wsi, a był wtedy dzień świąteczny, wbiegł na chór i, niewiele mówiąc, grzecznie usunął mocno zdziwionego organistę z ławeczki przed organami i nikomu tam nieznany sam na nich zagrał, a pragnął niejako popisać się wobec Boga, że niezmarnował tylu lat pracy i nie zgasił w sobie świetej iskierki natchnienia.

Wprędce po powrocie z Berlina, mając zaledwo 21 lat, ożenił się i osiadł w Wilnie. Tam został organistą przy kościele św. Jana. Nadto jeszcze dawał lekcje muzyki i nawet niekiedy urządzał koncert bądź w Wilnie, bądź w Petersburgu dla powiększenia swoich dochodów.

Walcząc sam z niedostatkiem — mówi o nim Kelerówna — czułym był na niedolę bliźnich i nieraz skromnym swym dobytkiem dzielił sie jeszcze z innemi. Zacnym charakterem, dobrocią i uprzejmością niezwykłą jednał sobie serca wszystkich. Skromnie bywało w domu Moniuszki, lecz za to skromne progi jego nawiedzali chętnie wszyscy, którzy umieli ocenić serce i charakter gospodarza domu.

Jedną z głównych cech duszy Moniuszki była szczerość do najwyższego stopnia posunięta; nigdy najmniejsze kłamstwo ust jego nie skalało. Wiarę zachował aż do śmierci taką, jaką miał w dzieciństwie.

Codziennie rano, powróciwszy z kościoła, zasiadał do pracy i prawie wszystkie kompozycje tworzył w tej porze. Reszta dnia przerywaną była rozmaitemi interesami, lekcjami i innemi obowiązkami. Tak o nim opowiada przyjaciel jego, Aleksander Walicki.

Jeśliś, czytelniku, nigdy jeszcze nie słyszał żadnej melodji, ułożonej przez Moniuszkę, poproś nauczyciela szkoły powszechnej, lub organistę, a każdy z nich zaśpiewa ci kilka jego peśni religijnych i świeckich. Gdy organista zagra i zaśpiewa je poprawnie, wsłuchaj się pilnie sercem swojem, a doznasz bardzo miłego wrażenia.

Tak przez każdą pieśń swoję działa ciągle żywa dusza Moniuszki, jako artysty z Bożej łaski.

Moniuszko umiał pieśniami swemi wyrazić najwznioślejsze myśli i uczucia: miłości Boga, wiary, nadziei, modlitwy, pokory, zapału, odwagi, zachwytu, podziwu, to znów trwogi, tęsknoty, żalu, rozpaczy, katuszy z powodu doznanej krzywdy, albo znowuż radości, wesela, pogody, szczęścia!..

Stworzył Moniuszko przeszło czterysta przeróżnych pieśni. Słowa tych pieśni ułożyli inni poeci, a on do tych obcych słów, zgodnie z ich osnową, dał od siebie swoje melodje przepiękne, które mową muzyczną przenikają do duszy słuchacza, wywołując w niej odpowiednie uczucia, myśli, nastroje, wzruszenia...

O, tak, przecudne bywa działanie muzyki pięknej! Skąd ona pochodzi?

Na chwilę bodaj musimy wniknąć w duszę artysty, bo tylko tam, w jej głębi, żyję i działa piękność

i siła uczuć i myśli... A właśnie tylko artysta muzyk potrafi piękność swoich uczuć i myśli wyrazić własną melodją...

Artystą muzykiem tylko ten jest, kto istotnie w duszy swej ma obfitość pięknych uczuć płomiennych i myśli najlepszych, oraz potrafi doskonalej, czarowniej odpowiednią melodją wyrazić te swoje uczucia i myśli... Ale nie każdy artysta-muzyk ma nadto jeszcze osobny dar tworzenia nowych melodji przecudnych. Nawet nie dość mieć taki dar, bo jeszcze musi ten artysta posiąść wyższe wykształcenie muzyczne, czyli osobne naukowe wskazówki o prawidłach muzyki doskonale pięknej.

Moniuszko te wszystkie cztery warunki posiadał. Bo duszę jego przepełniały gorące uczucia i myśli najlepsze,—umiał je w sposób porywający wyrażać melodją,—odznaczał się też bardzo bogatym darem tworzenia przeróżnych nowych zgoła melodji czarownych—i wreszcie zdobył wysokie wykształcenie muzyczne, więc poznał i przyswoił sobie doskonałe sposoby naukowe ujawniania piękności duchowej myzyką czystą, harmonijną.

Nie poprzestał Moniuszko na tworzeniu melodji dla poszczególnych pieśni. Ale czując się na siłach, przystąpił jeszcze do stworzenia wielu melodji dla całych litanji, mszy i sztuk teatralnych, więc zaopatrzył w swoje melodje wszystkie części mszy, oraz kilka oper, z których najpiękniejsze są: „Halka" „Straszny dwór" i „Hrabina".

Dość późno światlejsi polacy poznali się na wielkim talencie Moniuszki. Kiedy miał już lat 40 sprowadzili go z Wilna do Warszawy, uczynili go kapelmistrzem teatrów warszawskich, a następnie profesorem Instytutu muzycznego w Warszawie.

I wtedy nawet skromny Moniuszko jeszcze czuł potrzebę uzupełnienia swego wykształcenia muzycznego. W tym celu na czas jakiś pojechał do Paryża, stolicy Francji. A wróciwszy stamtąd, dopiero oddał się nauczaniu muzyki w Instytucie muzycznym. Tak stał się w kraju pożytecznym nauczycielem dla muzyków polskich i zarazem sam nareszcie otrzymał wystarczające wynagrodzenie, więc już nie doświadczał niedostatku, który dotychczas ustawicznie go trapił przez lat bardzo wiele!..

Niestety, przypóźno spotkał się z lepszym losem. Nadmierną pracą i kłopotami stargał swe zdrowie zbyt prędko, tak, że niemal nagle zaskoczyła go śmierć w 53 roku życia—4 czerwca 1872 roku.

Moniuszko dwojako przysłużył się narodowi swemu:

dał mu wiele swoich utworów muzycznych, których piękność nigdy nie zgaśnie, owszem, trwać będzie tak długo, jak długo ludzie nie zatracą umiłowania i zrozumienia piękna—i—temiż utworami swemi dowiódł światu, że dusza polska również zdolna jest wznieść się na najwyższe wyżyny piękna duchowego, potrafi stworzyć dzieła najpiękniejsze, **które po wszystkie czasy krzepić, koić i radować będą nietylko zdrowe dusze polskie, ale też dusze wszystkich innych narodów.**

To wyjaśnienie może być zarazem odpowiedzią na pytanie: jakiż jest pożytek z pieśni pięknych?

Wszakże to wszystko, co duchowo prawdziwie piękne, jest piękne nietylko dla polaków, lecz i dla wszystkich innych narodów kulturalnych, — i piękne nietylko dzisiaj, ale tak samo pięknem będzie za lat sto — tysiąc — zawsze!..

Moniuszko właśnie stworzył piękne utwory muzyczne, które po wszystkie czasy zachwycać będą polaków i inne narody.

Wszelakoż utwory jego, jakkolwiek są bardzo piękne, są zarazem polskie, bo mają w sobie zalety, właściwe tylko duszy polskiej... Stąd, lubo każdy, nawet cudzoziemiec, może radować się i krzepić niemi, jednak one należą tylko do skarbca duchowej kultury polskiej. Słusznie przeto Polska dziełami pięknemi Moniuszki zawsze chlubić się będzie.

Cześć Moniuszce za ten piękny dla duchowej kultury naszej dorobek, który on stworzył długim mozołem i talentami swemi.

Imię jego tak długo jaśnieć będzie w złotej księdze polaków zasłużonych, jak długo Polska istnieć będzie, a więc wiecznie!..

# Ojczyzno droga!

Przysiągłem tobie na cześć...
na honor — i na imię —
na honor... polskich żołnierzy!
We krwi i harmat dymie
życie mi trzeba nieść
i umrzeć, jako należy
za twoje imię!

Przysiągłem tobie na sławę —
na ojców pobojowiska
na zbroic relikwie rdzawe
i połamanych pałaszy —
na twe sztandary... zdobyte,
których szum w Kremlu wrogi łupem straszy
na zgliszcza i popieliska
z szubienicami krwawemi —
na te krwi krople, bagnetem przybite
do krzyża ziemi!

Przysiągłem tobie na królów koronę
i na łachmany zhańbionych nędzarzy,
co szli ku tobie w szkarłatach swej krwi,
że jako oni, do skończenia dni
bronić cię będę — cokolwiek się zdarzy...

Na matkę moję i na ojców cienie
i na łez onych dziewczęcych bezmiary,
że mnie nie złamią ni łzy, ni wspomnienie,
gdy przyjdzie krwawej dopełnić ofiary...
A iż nie spocznę na żywot bezpieczny,
przysiągłem tobie... na spoczynek wieczny!
I oto idę na śmierć — i na życie!

Przysiągłem tobie na anielski huf,
gwiazdy na niebie i słońce w błękicie...
przysiągłem tobie na duszę i Boga —
o ukochanie najczystsze mych snów,
Ojczyzno droga!

**Juljusz Mączka.**

# Polityka.

Propozycja rządu niemieckiego, zachęcająca rządy mocarstw europejskich do zbadania granicy Niemiec od strony Polski, czy została wytknięta prawidłowo, narazie może niejednemu wydać się jakoby

dość słuszną, a przynajmniej nikomu nie szkodliwą...

Lecz Sienkiewicz, gdyby żył, zpewnością tą propozycją niemiecką przerażony, zawołałby do świata całego:

— Hej! —miejcie się na baczności przed polityką potomków plemienia krzyżackiego!..

Niemcy przecież chytrze proponują tylko jakoby ponowne zbadanie miedzy niemiecko-polskiej. A gdy polacy i inne mocarstwa przyzwolą na to, już tem samem będą musieli poddać się wyrokowi, jaki wydadzą ci, co miedzę zbadali...

Niemcom właśnie tylko o to chodzi!

Tak się przedstawia przebiegle ułożone **życzenie** polityków niemieckich.

Już tak wcześnie,—bo zaledwo sześć lat upłynęło po ostatniej wojnie okrutnej,—niemcy odważyli się zrobić pierwszy krok polityczny naprzód!

Wyjawili swoje życzenia w formie dość śmiałej, a więc czują się na siłach.

Zwykle politycy nabierają większej odwagi i pewności siebie, o ile są przeświadczeni, że ich kraj rozporządza olbrzymią siłą bagnetów, ma skarb po brzegi napełniony złotem — i dużo ludzi zdolnych do największej przebiegłości, a więc gotowych dopuścić się wszelkiego oszustwa, krętactwa i zdrady.

A narodowi niemieckiemu chyba i dziś te trzy czynniki polityczne dopisują niezgorzej.

Zauważmy, w jakiem położeniu dziś znajdują się Niemcy, jako kraj i państwo:

Oto kraj niemiecki — pisze Jaksa — na swoich własnych terytorjach przez wojnę został nietknięty na całej swojej przestrzeni z wyjątkiem małego skrawka Prus Wschodnich, z którym, zresztą, **łaskawie** obszedł się jenerał Rennenkampf (niemiec, ale dowódca wojsk rosyjskich!); kraj niemiecki nie posiada ani jednego miasta ograbionego przez wojnę ostatnią, ani jednej wsi spalonej, ani jednej fabryki zrujnowanej; kraj ten jest czynny dzisiaj we wszystkich swoich warsztatach codziennej pracy, stale zwiększa wszystkie swoje produkcje, posiada pomimo pozornego rozbrojenia wcale pokaźną armję, wspomagany jest materjalnie przez Amerykę, a politycznie przez Anglję.

Jeszcze przytoczmy parę ciekawych wiadomości najświeższych:

Dnia 15 marca r. b. telegramy rozgłosiły światu, że „międzysojusznicza komisja kontroli wojskowej w Niemczech **wykryła** (a ile nie wykryła?) transport **wielu miljonów kul fosforyzujących,** które pozwalają na śledzenie biegu pocisków i na poprawianie strzałów nocnych kulomiotów przeciwsamolotowych. Transport był wysłany pod adresem doktora Neussama w Nadrenji".

Tak niemcy skrycie się zbroją i tak udoskonalają swoje narzędzia wojenne!

A pod datą 11 marca r. b. depesza z Nowego Jorku zawiadomiła świat cały, że „Federal Reserve Bank wysłał wczoraj do Reichsbanku w Berlinie **2 i pół miljona dolarów w złocie.** Suma ta jest tylko częścią większego transportu złota, zakupionego dla Reichsbanku".

Tak niemcy skrzętnie skarb swój napełniają złotem amerykańskiem, a mają i swego poddostatkiem, choć przed światem płaczą, że są wielcy nędzarze, że nie mają czem wynagradzać szkód, których tak dużo wyrządziły ich wojska, niszcząc i okradając po barbarzyńsku krainy nieszczęsne, przez te wojska napastowane!

Nigdy też nie brakło narodowi niemieckiemu polityków, zdolnych do popełnienia wszelakich krętactw, oszustwa, a nawet i zdrady. Mnóstwo na to dowodów dostarczają dzieje Krzyżaków, Prusaków, wreszcie smutna historja rozbiorów Polski, potem wojna francusko-pruska w r. 1870, — wreszcie prześladowanie naszych rodaków w poznańskiem i na Śląsku.

Jest więc naród niemiecki i nadal, pomimo wielkich, podczas wojny ostatniej poniesionych, strat w ludziach i pieniądzach, bardzo bogaty, doskonale zaopatrzony w przemysł, handel, żywność i wojsko, a więc dostatecznie mocny, światły, zdolny do wszystkiego w znaczeniu dobrem, ale niemniej i w złem.

Nic tedy dziwnego, że dość prędko po wojnie wygoił się i zapomniał o cięgach, które mu sprawiły narody, dotkliwie pokrzywdzone przez niego. Ależ on nie tylko zapomniał o tych cięgach, bo, owszem, przypomniał sobie starą swoję pychę i chciwość... Znowuż więc podług dawnego zwyczaju swego zamyśla krętacką polityką swoją wykierować na dudków narody sąsiednie i zagrabić ich ziemię zpowrotem, bo mu nietylko ciasno w domu, ale i niewygodnie, chce posiąść więcej przestrzeni dla siebie, a i dogodniejszych dróg do prowadzenia handlu, zwłaszcza z Rosją!

Mając te swoje potrzeby pilne na uwadze, naród niemiecki obecnie przez własnych polityków przebiegłych dał światu do zrozumienia, że jest niekontent z warunków ugody wersalskiej, że radby ją odmienić podług swoich zamiarów, zawsze jednakowych! A więc nanowo zamyśla powtórzyć starą historję swoję, to jest: przemocą dołączyć do swego państwa ziemię, zagrabioną u swoich sąsiadów.

Zaczyna starą sztukę złodziejską od sąsiada najsłabszego i zarazem będącego w położeniu najtrudniejszym,—zaczyna od Polski.

Oto jak teraźniejsza polityka niemiecka opowiada światu o swoich **niewinnych** zamiarach. Przytaczamy tu tylko jeden szczegół z wyjaśnienia niemieckiego ministra spraw zagranicznych, Stresemanna, ogłoszonego w gazecie „Kölnische Zeitung":

„Przegląd prasy angielskiej, jak również prasy innych krajów, wskazuje nam jednak, że nawet rządy tych krajów **nie są skłonne do uroczystego zagwarantowania granic wschodnich** Niemiec, **jakie stworzył traktat wersalski.** Żadna idea nie odegrała u sojuszników podczas wojny tak wybitniej roli, jak prawo stanowienia o sobie narodów. **W Niemczech niema ani jednej partji,** od hittlerowców do komunistów, **którąby przyznała w swojem sumieniu, że wschodnie granice Niemiec odpowiadają prawu narodów do samostanowienia o sobie.**

„Niemcy — dalej pisze minister niemiecki — **nie mają siły** (?), **ażeby spowodować zmiany**

**tych granic,** ani też **nie dążą w tym kierunku.** (?!) Jeżeli jednak artykuł 19 paktu Ligi narodów wyraźnie mówi, że traktaty, nie mogące być wykonywane, mogą uledz rewizji, to **nie można żądać od Niemiec, aby wyrzekły się nazawsze możności powołania się na ten artykuł, który jest ostatnią ucieczką dla przyszłego rozwoju Niemiec.**

„Niemcy, ożywione chęcią pokojowego współżycia ze wschodniemi sąsiadami, mogą sobie tylko życzyć, aby **istniejące z tej strony spory** (?) były rozstrzygnięte na drodze pokojowej, prowadzącej do wytworzenia stosunków wzajemnej przyjaźni (?), którą Niemcy gotowe są ofiarować (?) każdemu narodowi, żywiącemu takie same uczucia względem Niemiec".

Gdy powyższe słowa ministra niemieckiego uważnie odczyta polak, musi wytknąć w nich nawet wiele niegodziwości.

Przedewszystkiem prawny błąd popełnił minister niemiecki, mówiąc, że niektóre „kraje **nie są skłonne do uroczystego zagwarantowania granic** wschodnich Niemiec, **jakie stworzył** traktat wersalski".

A kto żąda od nich „uroczystego zagwarantowania" jeszcze raz? Przecież już raz **uroczyście zagwarantowały** wszystkie kraje, które położyły swe podpisy pod ugodą wersalską! Uczyniły to bardzo uroczyście — i więcej razy nie trzeba! Bo czy zdaje sobie Stresemann sprawę, że gdyby należało każdą ugodę coraz nanowo podpisywać uroczyście, to kiedyż naprawdę zaczęłaby ona obowiązywać wszystkich, pod nią podpisanych?

Nigdy! Bo każdy mógłby w pewnym momencie podług swoich widoków i korzyści okazać niezadowolenie — i oświadczyć: „już ja tej ugody **drugi raz** uroczyście nie podpiszę, więc przestaje mnie obowiązywać"...

Gdy raz została ugoda podpisana dobrowolnie, świadomie i po długich starannych rozprawach,—już ta ugoda stała się prawem stanowczem i nie może być obalona przez to lub owo państwo poszczególne.

Dopiero gdy wszyscy razem ponownie zgromadzą się upoważnieni przedstawiciele państw, podpisanych pod ugodą, i po wspólnem porozumieniu zniszczą tę ugodę, od tej chwili — ona już przestała obowiązywać.

A wszakże ugody wersalskiej nikt nie obalił, więc i te granice, czyli miedze, które ona „stworzyła" istnieć muszą bez żadnej zmiany. A zaś ktoby chciał samowolnie te granice zmieniać, ten nietylko depce powszechną ugodę, ale jest wrogiem narodów, pokoju i sprawiedliwości, gdyż ugoda wersalska tylko podług zasad sprawiedliwości została ułożona i podpisana. A i przedstawiciele państwa niemieckiego również podpisali się pod tą ugodą!

Po co ją wtedy podpisali? Czy po to, żeby dopiero po latach sześciu dostrzedz w tej ugodzie to, co zawiera w sobie od początku? Czy nie przeczytali jej przed podpisaniem? — Owszem, przeczytali, więc odrazu dowiedzieli się, jakie miedze tworzyła ona między Niemcami i Polską. A czemuż wtedy niemcy nic nie mówili o potrzebie ponownego, uroczystego zagwarantowania granic wschodnich Niemiec, jakie stworzył traktat wersalski"?

Czy wtedy bali się mówić, bo straszny Fosz gotów był ze swoją armją potężną iść na Berlin?

A dziś już przestali się bać?

Zapewne, tak, bo już zdążyli pocichu pewne porobić korzystne interesy z anglikami, więc już im się zdaje, że Fosz obecnie jest nie tak straszny, jak przed sześciu laty!

Rozumie się, nikt nie wątpi, że niemcy i wówczas, kiedy **musieli** podpisać ugodę wersalską, istotnie w skrytości mieli te same, co i dziś zamiary polityczne.

Pokój **musieli** podpisać, bo przecież o niego sami prosili, jako pobici.

Ugoda wersalska kazała im oddać wszystkie ziemie obce, które zagrabili w ciągu wielu stuleci! Niestety, już część ziemi polskiej bezpowrotnie przepadła dlatego, że niemcy naszych rodaków, na tej części ziemi zamieszkałych, zdążyli całkiem zniemczyć, lub wysiedlić, — dlatego już ta część ziemi przywarła nazawsze do państwa niemieckiego. Ale powinni byli niemcy oddać Polsce przynajmniej te dzielnice, w których jeszcze przeważa ludność polska.

Owszem, oddali je niemcy, — ale niechętnie, pod przymusem przegranej wojny, — oddali z zaciśniętemi rękami i w kułak zgiętemi palcami. Odrazu miało to oznaczać, że — niemcy przy podpisaniu ugody wersalskiej zgadzają się na wszystko,.. ale tylko do jakiegoś czasu... To jest dotąd, dopóki nie zagoją swoich ran różnych i dopóki nie osłabią choć cokolwiek przyjaźni angielsko-francuskiej...

Obecnie już mniemają niemcy, że taka chwila sposobna dla nich nadeszła, — więc zaczynają delikatnie odzyskiwać swoję śmiałość polityczną. Wybrali porę dogodną dla siebie, bo wiosnę — i sesję Ligi narodów w Genewie. Początek chcieli zrobić od **uporządkowania** granicy polskiej. Zdawało się niemcom, że ta robota uda się gładko, bo nikt nie zechce bronić Polski, a ona sama dość słaba z powodu zajadłych kłótni między partjami, — nadto z powodu dużej ilości żydów, którzy, jako skryci wrogowie Polski, wnet sprzyjać będą niemcom — i jeszcze nadto z powodu Bolszewji, gotowej w każdej chwili rzucić się na Polskę.

Aliści zaraz na wstępie niemcy doznali zawodu. Bo Francja wyraźnie i stanowczo stanęła w obronie Polski. Ale co najważniejsze i najpożądańsze to sam naród polski w całym kraju odrazu ujawnił swoje oburzenie na niemców! Zewsząd rozległy się protesty, pogróżki, oraz ślubowanie:

„Nie damy ziemi!"

Naród polski jest silny, potężny, młodzieńczy i zasobny, sam potrafi śmiało i walecznie stanąć do walki w obronie ojczyzny, zagrożonej przez niemca— odwiecznego jej wroga!

Grunwald—jest przestrogą dla niemców i zarazem hasłem, otuchą dla narodu polskiego, który, gdy go ożywia ukochanie niepodległości, potrafi sam zmiażdżyć hardą i przewrotną potęgę niemiecką!

Tak nam dopomóż, Bóg!

# SPADEK.

A to jest krwawy spadek Wasz
i krwią pisane ku Wam słowa:
Trzymajcie ziemi onej straż,
gdy przyjdzie zamieć piorunowa...
Nie dajcie szarpać ziemi łona,
gdyż krwią dziś świeżą poświęcona!...
Zaś którzy wyszli z pośród Was
i krew oddali swą serdeczną,
niech będą wartą Wam słoneczną
po wszystek czas — po wszystek czas —
I niechaj granic polskiej ziemi
duchami strzegą płomiennemi!...

**Józef Mączka.**

# Z życia Stowarzyszenia młodzieży polskiej w Hrubieszowie.

—o—

Z zachęty niezmordowanego pracownika na polu społecznem, a troskliwego opiekuna młodzieży, ks. prałata Melchiora Juścińskiego, w dniu 5 grudnia roku ubiegłego zostało zwołane przez ks. Jana Walczaka, wikarjusza tutejszego, zebranie organizacyjne, a raczej reorganizacyjne Stowarzyszenia młodzieży polskiej, gdyż ono istniało w Hrubieszowie jeszcze w maju 1921 r. Po pewnym czasie upadło i dziś zaledwo ślady w aktach Związku zostały, a pamięć niektórych osób nam je przekazała.

Z osób starszych na zebraniu byli obecni: ks. Jan Walczak i p. dyrektor Leon Markuszewski. Po odczycie p. dyrektora o potrzebie oświaty i organizacji, oraz wyjaśnieniu regulaminu Stowarzyszenia m. p. przez ks. Walczaka, zgromadzone dziewczynki w liczbie dziewietnastu, zgodziły się zawiązać Stowarzyszenie młodzieży polskiej.

Protektorem jego został ks. prałat Juściński, a patronem ks. Walczak.

Narazie było tak szczupłe grono naszego Stowarzyszenia, ale wnet zaczęło przybywać do niego coraz więcej druhen. Już 8 grudnia odbyło się ogólne zebranie, na którem druhny i wiele gości zaproszonych wysłuchało ciekawego referatu p. profesora Antoniego Wiatrowskiego o potrzebie tworzenia organizacji katolickich.

Na tem zebraniu przybyło nam 8 druhen. Liczba stowarzyszonych od tej pory ciągle wzrasta i obecnie możemy z radością wyznać, iż mamy już przeszło siedemdziesiąt druhen!

Oby na tej liczbie nie zatrzymał się rozrost naszego Stowarzyszenia! Ale niech ono ma ciągle rozwarte ramiona dla przyjmowania coraz więcej nowych druhen, aż obejmie węzłem przyjaznym wszystkie miejscowe i okoliczne dziewczątka polskie! Wówczas nasza organizacja stanie się potężną i dzielną! A gdy w niej ustali się ład, praca i posłuch, można być pewnym, że Stowarzyszenie nasze mieć będzie byt nietylko trwały, ale i coraz pomyślniejszy—i przyniesie zarówno stowarzyszonym, jak i społeczeństwu polskiemu niemały pożytek moralny, nawet ekonomiczny, bo nauczy porządku, robótek, oszczędności i zabiegliwości, nie lubiącej tracić czasu na puste rozmówki.

Dziś mamy w Stowarzyszeniu 10 zastępów. Każda zastępowa ma specjalną opiekę nad druhnami swego zastępu.

Zarząd sprężysty zatroszczył się o zjednanie sobie nawet pokaźnego grona członków wspierających Już ma ich obecnie przeszło czterdziestu.

Zebrania odbywają się często, a na każdem wygłaszane bywają referaty, deklamacje, gry i zabawy stosowne. Czas mile upływa i jednocześnie bardzo dużo korzyści przynosi nam każde zebranie. Dlatego zwykle każda z nas oczekuje go z upragnieniem i spieszy na nie radośnie.

Zarząd nasz wspólnie z ks. Patronem dokłada wszelkich starań, ażeby Stowarzyszenie nasze było zaopatrzone we wszelkie sprzęty niezbędne, a sala nasza, gdzie się zbieramy, żeby stała się powabnem Ogniskiem naszem. I takiem jest istotnie! Już mamy nawet oświetlenie elektryczne, ofiarowane nam bezpłatnie przez życzliwego p. dyrektora Antoniego Krzywickiego.

Szczęśliwą myśl podał ks. Prałat, a ks. Patron wykonał ją skrzętnie i gorliwie: oto urządził dla naszego Stowarzyszenia kurs kroju i szycia, oraz robót ręcznych ozdobnych. Kurs szycia prowadzi oddana nam p. Biedrzycka i p. Sawicka, a zaś roboty ręczne p. Pawłowiczowa i p. Gadenówna; p. Gierlecka nie szczędzi swej pracy i czasu, bo nie tylko nam pomaga przy robótkach, ale jeszcze zatrudnia się w sekcji teatralnej i nadto kieruje bibljoteką naszą, zaopatrując ją w książki dla nas odpowiednie.

Wyrazić tu trzeba serdeczną podziękę bardzo wielu osobom starszym, które widocznie cieszą się z istnienia w Hrubieszowie Stowarzyszenia młodzieży polskiej — i tak skwapliwie, ofiarnie przychodzą mu z pomocą w każdej potrzebie. Dość nadmienić, że p. Michalak, dyrektor miejscowej drukarni sejmikowej, zaopatruje nasze Stowarzyszenie w druki odpowiednie.

A znowu pani Dziuszato pożyczyła nam dwie maszyny do szycia. Inne panie, jak p. Wasiłowska, p. Kościńska, p. Sędzimirowa i p. Gierlecka zajęły się zorganizowaniem zabawy i „Jasełek".

Teraz nasze opiekunki przygotowują koncert na korzyść Stowarzyszenia. Mamy nadzieję, że społeczeństwo hrubieszowskie, tak życzliwie, nawet serdecznie odnoszące się do naszego Stowarzyszenia, napewno tłumnie przybędzie na koncert, ażeby doznać wspólnie z nami rozrywki miłej i nadto zasilić naszą kasę, którą obecnie czekają większe wydatki na prowadzenie kursów, tak bardzo pożytecznych!

Niedawno odbyły się nowe wybory, które powołały do zarządu nastepujące osoby: Przewodniczącą została St. Hukowska, zastępczynią Marja Hawlenówna, sekretarką M. Pietrusiewiczówna, skarbniczką M. Jaskorska, gospodynią M. Grabarczukówna, bibljotekarką zapobiegliwa i sprytna Leok. Krasnopolska

Nowy Zarząd już odbył parę posiedzeń. Sprawdzono bibljoteczkę, sekretarka przyprowadza do porządku księgi Stowarzyszenia, przewodnicząca pisywać będzie kroniki i sprawozdania, a skarbniczka

dzielnie wywiązuje się ze swego zadania, coraz jakąś sumkę do kasy naszej przynosi. Każda w zarządzie bierze się do pracy chętnie, nie idą w las wskazówki ks. Patrona, bo zlecone sprawy rychło są wykonywane!

Całem sercem oddane jesteśmy naszemu Stowarzyszeniu. W niem wspólnie pracujemy nad udoskonaleniem i uzdolnieniem siebie do lepszej pracy na chwałę Boga i pożytek Ojczyzny!

Hrubieszów, 27|2 1925 r.

**Felka z nad Huczwy.**

---

Szlachetne serce wzgardzi rozkoszą, która innym ból sprawia.

Anonim.

---

# Czas i praca.

Duńczycy zdołali usilną i umiejętną pracą u siebie olbrzymie obszary piaszczyste zczasem przerobić do niepoznania na łąki, lasy, a nawet i na niwy, zboża rodzące!

Ma wprawdzie Danja klimat łagodny i dość wilgotny, korzystniejszy dla rolnika, aniżeli w kraju naszym. Tam bowiem nastaje wiosna wczesna, nie przerywana przymrozkami, — lato bywa umiarkowane i wilgotne, — jesień długa, a zima łagodna! To wszystko sprzyja zbożom, szczególniej pszenicy, — a i ogromnie ułatwia rozwój gospodarstwa pastwiskowego, które też istotnie w Danji zostało znakomicie udoskonalone i po kupiecku najkorzystniej wyzyskane.

Ale godzi się zauważyć, że sam klimat, choćby najpomyślniejszy, jeszcze nie przerobi piasków na warstwę roślinodawczą, ani też nie urządzi gospodarki pastwiskowej.

Uczynić to potrafi tylko człowiek- nie byle jaki! Mało rzec: pracowity. Bo niejeden jest pracowity, haruje od rana do nocy, urabia, jak się to mówi, ręce po łokcie,— i z jego mozołów nie duża pociecha! Jest bardzo robotliwy, —mówią o nim sąsiedzi — ale nieradny, głowę ma śpiącą, bezmyślną, prawie głupkowatą!...

Otóż obok rąk zamaszystych do pracy i jak gdyby nigdy nie zmęczonych, potrzebna jest głowa tęga,—**głowa dobra,** jak to się zwykle mówi o człeku rozsądnym!

A jednak nawet **głowa dobra** jeszcze nie może wystarczyć. Musi też być z nią razem i zawsze to, co nazywamy pospolicie krótko:

**charakter moralny,**

który składa się z kilku zalet umysłowych i moralnych...

Duńczycy właśnie przeważnie odznaczają się nietylko pracowitością i rozsądkiem, ale nadto i dzielnym charakterem umysłowo-moralnym. I dlatego zdołali: skorzystać z dobrego u siebie klimatu, przerobić piaski na żyzne obszary, zaprowadzić gospodarkę pastwiskową i zręcznie, po kupiecku, wydobyć z niej ogromne dochody!

Ciekawe porównanie czyni polski znawca Danji, Stanisław Czekanowski. Piszę on tak:

— Około roku 1905 w Danji na tysiąc mieszkańców było rolników 435, a reszta, t. j. 565 osób, oddawała się innym zatrudnieniom. Danja jest krainą rolniczo-handlową. Wprawdzie, jadąc końmi, czy koleją, nader często spotykamy kominy fabryczne, — ale one właśnie należą do mleczarni parowych, których w całym kraju jest 1,544, — do 416 browarów i browarków, do 75 gorzelni i 7 cukrowni.

Duńczykom nie wystarczała własna pasza i zboże, więc z innych krain jeszcze dowozili do siebie kukurydzy, żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa i mąki za 20 przeszło miljonów rubli, — a zaś wywozili od siebie do innych krain (zwłaszcza do Anglji) swego masła za 44 miljony rubli, jaj kurzych za 5 miljonów, wieprzowiny za 22 miljony rubli. Zatem wywozili produktów zwierzęcych za 70 miljonów rubli i żywych zwierząt za 12 miljonów rubli.

Jak duńczycy zaopatrzeni są w żywy inwentarz, świadczą następujące liczby:

W r. 1898 w Danji liczono: bydła 1.743.000,— koni 449.264,—świń 1.178.514, — owiec 1.074.413,— a kur 8.750.000.

W tym samym roku 1898 w Królestwie Polskiem (Kongresówce) liczono: bydła 3.013.000,—koni 1.205.000,—świń 1.200.000, — owiec 3.051.000, a kur niewiadomo.

Porównanie tych liczb świadczy, że duńczycy u siebie przeważnie oddają się hodowli bydła, świń, owiec i kur.

Dużych gospodarstw u nich bardzo mało, najwięcej jest drobnych, kilkumorgowych. Bezrolnych na wsi prawie niema. Każdy posiada bodaj ogródek przy chacie.

Już tedy wiemy, co duńczycy u siebie produkują, i hodują,—ale jeszcze, dla nas zwłaszcza, będzie bardzo pożytecznem dowiedzieć się, **w jaki sposób** dokonywują produkcji i hodowli.

I w tym właśnie sposobie prowadzenia swojej gospodarki pastwiskowej ujawniają się piękne duńczyków zalety charakteru umysłowo-moralnego.

Nawet rzec trzeba, że tylko tym swoim zaletom umysłowo-moralnym duńczycy zawdzięczają obfite korzyści, czerpane z własnych gospodarstw pastwiskowych.

Ale o tych szczegółach, niesłychanie ważnych i ciekawych, pomówimy dopiero za tydzień.

# Z Woli Gałęzowskiej

(gmina Bychawa) piszą do nas:

Muszę podzielić się z czytelnikami „Orła Białego“ smutną wiadomością. Niedawno władza szkolna zabrała od nas nauczyciela tutejszej szkoły, p. Michała Zorja — i przeniosła go do jednoklasowej szkoły w Kolonji Gałęzowskiej.

Już kilka lat p. Zorja pracował w naszej szkole trzyklasowej, mieliśmy więc dosyć czasu i sposobnośc

do poznania charakteru jego. Jest on młody wprawdzie, ale bardzo zacny! Odznacza się paroma zaletami, które w dzisiejszych czasach, niestety, spotyka się bardzo rzadko! Oto jest on czystych obyczajów i — sumienny w pełnieniu swoich obowiązków nauczycielskich.

Wieś nasza poważała go, chlubiła się nim i była zadowolona, że taki nauczyciel wychowuje jej dzieci napewno na ludzi dobrych.

Stała się nam duża szkoda i wielka przykrość przez pozbawienie nas takiego nauczyciela.

Pożegnaliśmy go serdecznie i tu składamy dowód, jak piękne po sobie w naszych sercach zostawił wspomnienie.

**Aleksander Walczak.**

# Wiadomości polityczne.

— Ostatnie dwa tygodnie w świecie politycznym odznaczały się ruchem gorączkowym z powodu ścierania się zabiegów przeciwnych w kilku sprawach najważniejszych.

Nie mówmy, że w tych zabiegach musiał wygrać ten, po którego stronie była słuszność, bo, niestety, w życiu ludzkiem, a zwłaszcza w życiu narodów, nie zawsze tak bywa. Nierzadko w polityce wygrywa ten, kto jest najsilniejszy, najzuchwalszy i największy krętacz, a przytem wszystkiem jeszcze najzabiegliwszy, najzwinniejszy i zręcznie umiejący w porę wyzyskać dla siebie każdą sposobność. Tak nierzadko czynili niemcy, oraz anglicy i dlatego udało się im na swoję wyłącznie korzyść przeprowadzić nie jedną sztukę szelmowską, która innym narodom duże przyniosła straty i bóle. –

Otóż wypada dziś nadmienić na pociechę tych serc, które pragną zwycięstwa dla każdej sprawy dobrej, uczciwej, że właśnie w ostatnich dwuch tygodniach przy ścieraniu się zabiegów dobrych i złych, dobre wzięły górę, a zawdzięczać to trzeba nie samej li tylko słuszności sprawy, — nie! lecz nadzwyczajnie usilnym, pracowitym zabiegom naszego ministra spraw zagranicznych; Skrzyńskiego!

To nie tajemnica, ani też tylko pochwała dla naszego ministra. On przecież obowiązany był do tego, co uczynił. On tylko spełnił swoję powinności. A jeśli o tem tu wspominamy, to jedynie po to: żeby każdy polak rozumiał, że nie dość mieć słuszność, ale nieraz trzeba niesłychanie dużo popracować, żeby zapewnić tej słuszności zwycięstwo.

To właśnie było niezbędne w ciągu dwuch tygodni ostatnich. Tę potrzebę doskonale zrozumiał nasz minister i nie pożałował swej pracy, wysiłku, nawet nadzwyczajnej fatygi! Uczynił wszystko, co powinien był i co mógł uczynić— i na pociechę dodać trzeba, że mozoły jego nie poszły na marne!

Wiedział minister Skrzyński, że niemcy i anglicy pocichu puścili w ruch wszystkie swoje sposoby zdradzieckie, żeby grubo pokrzywdzić Polskę.

— Jeśli wy—pomyślał Skrzyński—nie żałujecie pracy dla wyrządzenia nam szkody,—to my tembardziej powinniśmy popracować dla popsucia wam szyków.

I dokazał tego. Wielokrotnie tedy min. Skrzyński prowadził długie rozmowy z wieloma politykami najznaczniejszemi, więc najczęściej z francuskim Herriotem i z angielskim Czemberlenem. To znowu jest w Paryżu, potem jedzie do Genewy. Czyni narady z różnemi posłami polskiemi i obcemi. Jest na bankiecie jakimś i tam wygłasza mowę, którą zaraz niemal wszystkie dzienniki zagraniczne powtarzają w druku, tak, że świat cały jego mowę czyta i dowiaduje się, komu i jak niemcy chcą wyrządzić krzywdę: dziś Polsce zadadzą cios śmiertelny, a gdy to im się uda wnet napadną z kolei i na inne państwa. Więc, baczność, narody, nie pozwólcie niemcom wrócić do starego ich sposobu bandyckiego!

Zawdzięczając zabiegom min. Skrzyńskiego, stało się to, że ostatnie depesze z dnia 17 marca przyniosły takie wiadomości:

„Punkt widzenia Polski zrozumiano nareszcie i nie jest wyłączone, że sporo materjału do zrozumienia tego dostarczyła niedzielna (15 marca) mowa min Skrzyńskiego (którą tu za tydzień podamy w streszczeniu), rozpowszechniona w całości przez gazety francuskie, oraz w obszernych wyciągach przez gazety angielskie.

„W mowie swej min. Skrzyński starał się, aby punkt widzenia rządu polskiego na zagadnienie bezpieczeństwa wystąpił tym razem z całą wyrazistością.

„Punktem centralnym mowy Skrzyńskiego było stwierdzenie zasady, że bezpieczeństwo musi być poręczone przez wszystkich, że bez gwarancji powszechnej byłoby tylko złudzenie, mamidło, a nie istotne, prawdziwe bezpieczeństwo. Minister dobitnie przekonał, że i granica francuska będzie w niebezpieczeństwie, jeżeli granicę polską oddacie zachciankom niemieckim.

„Otóż z ulgą należy oświadczyć, że nareszcie i Czemberlen dał się przekonać i tak się odezwał do przedstawicieli gazet francuskich, angielskich i amerykańskich:

Przytaczamy jego przemowienie dosłownie:

„Być może, imperjum brytańskie przywiązuje specjalną wagę do pewnej tylko granicy, niemniej jednak inne granice państw sprzymierzonych, należących do Ligi narodów, muszą także być zagwarantowane. Wielka Brytanja — dodał — bynajmniej nie myśli zastąpić dawne zobowiązania nowemi".

A francuski zaś minister Herriot ze swej strony oświadczył, że jest w zupełnej zgodzie z Czemberlenem, więc aby 1) Niemcy wstąpiły do Ligi narodów przed dyskusją nad paktem bezpieczeństwa—2) aby granice Polski były zagwarantowane w całej pełni i w stopniu, odpowiadającym bezpieczeństwu Polski.

Dnia 17 marca min. Skrzyński odwiedził prezydenta Francji, Doumerguea. Rozmawiał z nim blizko godzinę.

A Bertal, znakomity publicysta francuski, napisał w gazecie francuskiej te słowa: „Nic się nie stanie we Francji przeciw woli narodowej a wola narodowa Francji jest po stronie Polski".

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

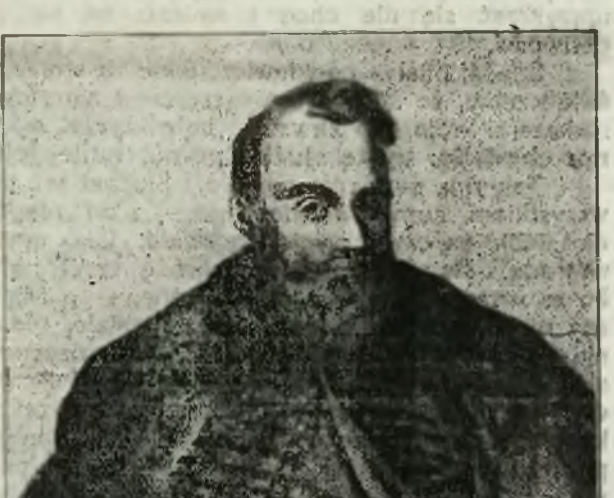
Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 29 marca 1925 r. № 13.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Jan Karol Chodkiewicz.

Wódz znakomity, a przytem nieustraszony, dzielny żołnierz i najlepszy syn Polski ukochanej, Jan Karol Chodkiewicz, urodził się na Litwie z ojca Jana i matki Krystyny ze Zborowskich w roku 1560, — a więc przed 365 laty.

Dawne to czasy, prawda! Lecz to, co dobre, nigdy się nie starzeje, zawsze jest jakgdyby świeże, dzisiejsze, bo, niby pokarm najlepszy, posila duszę ludzką, tak zawsze łaknącą nie tylko otuchy w nieszczęściu, ale i przykładu, zachęty, jak trzeba borykać się z przeciwnościami, co mieć ciągle przed oczami, co ukochać nadewszystko, przy czem trwać niezłomnie, serdecznie i pracowicie!

Najrozumniejsi ludzie nieraz zwykli powtarzać starą prawdę, że „historja jest nauczycielką życia". Ależ tak jest! Trudniej dzisiejszemu człowiekowi brać dla siebie wskazówki i przestrogi z życia chwili obecnej, bo jest on jak gdyby dość oszołomiony plotkami i zarzutami, które czynią rodacy jedni drugim, tak, iż chwilami zdawać mu się może, jakoby teraz otaczali go tylko najgorsi ludzie!...

Gdy w taki sposób bywa kto zniechęcany do ludzi dzisiejszych, doznaje stąd szkody wielorakiej, bo nietylko budzi się w nim nieufność wogóle do ludzi, nawet nienawiść, która, jak rdza, żre w duszy jego szlachetniejsze uczucia, ale nadto nie jest w stanie wypielęgnować w sobie pewnych myśli dobrych, a stałych, któreby w nim powinny przetrwać całe życie i ciągle wiernie wskazywać mu cel jeden,—oraz nie zdoła rozniecić w sobie ukochanie tego celu, ale ukochanie tak mocne i trwałe, żeby nawet ono mogło mu sprawiać w ciągu życia długiego prawdziwe szczęście, gdy coraz bardziej zbliżać się będzie do tego celu!

Dlatego niejeden rodak, dość zmęczony miałkością sporów dzisiejszych, zwraca swój wzrok tęskny w czasy dawne, sięga w głąb dziejów ojczystych i szuka tam, jak w morzu dobroczynnem, pereł prawdziwych! A gdy mu historja przedstawi wizerunek męża dobrego, nad którym już wieki całe swój sąd odbywając, rozpatrzyły czyny jego, myśli i charakter najstaranniej,—a wreszcie pochwaliły go, uznając bezsprzecznie za wzór piękny, godny naśladowania, — wówczas rodak dzisiejszy, uradowany, prawie szczęśliwy, lubuje się tym mężem, obcuje z nim długo, niemal wdaje się w rozmowę, bierze od niego dużo rad ciepłych, krzepiących, serdecznych, i stąd dusza jego niejako nabrzmiewa od ochoty do życia lepszego, do pracy, do czynów poczciwych, bo wstępuje w nią najpożądańsze przeświadczenie, że jednak, doprawdy, są dobrzy ludzie, którym najdroższe są sprawy święte, a więc Boże, ojczyste narodowe i dla poparcia onych zawsze gotowi są ofiarować swe mienie i życie!..

Tak więc, istotnie, historja jest nauczycielką życia. I dla tego dziś wpatrzymy się w charakter, życie i czyny hetmana Chodkiewicza!...

Już jako pacholę Karol odznaczał się dużemi zdolnościami do nauki szkolnej, ale zarazem objawiał wielkie upodobanie do ćwiczeń żołnierskich, oto w chwilach wolnych wybiegał z rówieśnikami w pole i tam wspólnie z niemi „sypał szańce, dobywał urojone zamki, staczał bitwy i, szalejąc na placu boju, czuł się dopiero w swoim żywiole".

Po ukończeniu nauk przygotowawczych, w domu rodzicielskim wysłany został wraz ze starszym swoim bratem, Aleksandrem, do Wilna—i tam kształcił się w wyższej szkole, mającej te same prawa, co akademja krakowska.

„Niesiecki (pisarz polski, żyjący w 18 stuleciu) powiada o młodziutkim Karolu, że zamiłowany był w naukach, a w historji, w krasomówstwie, w matematyce i znajomości obcych języków nikomu nie dał się wyprzedzić. Przytem wcześnie okazywał usposobienie wodza i zdobywcy.

W r. 1579 król Stefan Batory odwiedził Wilno, udając się na wojnę z Moskwą. Wtedy Chodkiewicz, jako uczeń akademji, w imieniu wszystkiej młodzieży akademickiej, powitał króla stosowną przemową.

Król Stefan, znawca ludzi, spojrzał żywo na młodzieńca i rzekł do otoczenia:

— Zaiste, ten będzie wielkim żołnierzem!

Sprawdziła się — pisze historyk polski, Artur Śliwiński, — przepowiednia Batorego: Chodkiewicz nie tylko został wielkim żołnierzem, ale jednym z największych wodzów, jakich wydały dzieje nowożytne.

Skończywszy akademję wileńską, na czas jakiś udał sie zagranicę jeszcze dla dalszego kształcenia się w niektórych naukach umiłowanych.

Przebywał naprzód w Ingolsztadzie, a potem w Padwie i — w r. 1590, a więc w 30-ym roku życia, wrócił do Polski, lecz jeszcze nie do domu, bo, ówczesnym zwyczajem magnatów, zatrzymał się na dworze króla polskiego, Zygmunta III, dla obeznania się z obyczajami dworskiemi i sprawami krajowemi. Wreszcie w r. 1593 mając lat 33 wstąpił w związek małżeński z Zofją, wdową po księciu Olelkiewiczu, a córką sławnego hetmana Mieleckiego. Doczekał się dwojga dzieci: syna, Heronima i—córki, Anny.

Chodkiewicz z powołania wstąpił do służby wojskowej. A że wówczas Polska częste musiała prowadzić wojny, więc Chodkiewicz przeważnie przebywał zdala od swego domu! Jednak zawsze pisywał listy do żony, a w tych listach okazywał się troskliwym mężem i ojcem.

Nieraz daje w listach upomnienia i rady synkowi swemu, pisząc do niego: „Historyków nie zaniechaj czytać. Nie trać czasu, ucz się!... Miło mi, kiedy się uczysz, posyłam ci konia białego, a wiesz pewnie, że niedarmo sierści takiej. Zdrów na nim jeźdź, a będziesz-li się lepiej uczył, postaram się o co grzeczniejszego".

W domu Chodkiewicza pobożność była wielka. Tę pobożność poniósł Chodkiewicz do obozu i na pola bitew, wojsku przed walką nakazywał modły a sam dla umartwienia grzbiet swój smagał kańczugiem i całe godziny umiał leżeć krzyżem... I na kościoły ofiar nie żałował, nawet własnym kosztem zbudował świątynię w Kretyndze. —Takie o nim daje świadectwo ten sam historyk, Śliwiński.

Jak był zdolnym i gorliwym wodzem przekonać mogą każdego dość szybkie promocje na coraz wyższe stanowiska. W r. 1600, więc w 40-ym życia swego został hetmanem polnym, — a w 1605-ym czyli 45-ym życia hetmanem wielkim litewskim. A nadto bywał też nagradzany państwowemi tytułami i majętnościami dochodowemi, ażeby w ten sposób uczynić go wyższym dostojnikiem w państwie i zasobniejszym w fortunę. Miałci więc Chodkiewicz dane mu godności: starosty żmudzkiego, a potem w r. 1616, — wojewody wileńskiego.

Być może, nawet otrzymałby więcej od króla i magnatów, mających wpływy, — ale dumny był, brzydził się pochlebstwem, nadskakiwaniem i wysługiwaniem się możnym tego świata. Nie był ich przeciwnikiem, ale też nie był ich służką. Gdy mu ktoś raz doradzał, by ubiegał się u króla o jakoweś nowe łaski-darowizny, miał tak rzec doradcy króla:

— Uniżenie waszmości dziękuje, ale ja już na takiej łasce jego królewskiej mości przestanę, na jakiej jestem postawiony. Ja jego królewskiej mości uprzykrzać się nie chcę i wnieść na się opinje chciwości.

Snadź miał Chodkiewicz takie o sobie przeświadczenie, że służy tylko ojczyźnie i narodowi pod rozkazami króla, **bo zawsze, całe życie, o jedno mu chodziło: by tę służbę pełnić najlepiej!..**

Tak mu sumienie mówiło. Słuchał też przede wszystkiem sumienia własnego — i od niego brał dla siebie za czyny swoje pochwałę, jako najmilszą nagrodę. Najwidoczniej tę nagrodę cenił najwyżej bo za wszelkie dzieła swoje wojenne, — a miał między niemi niektóre przedziwnie wspaniałe, niesłychanie trudne, a jednak najpomyślniej rozwiązane,—nie szukał pochwały u świata, newet u króla! O tych czynach swoich bohaterskich mówił sam krótko i tylko kiedy potrzeba tego wymagała, bez żadnej chełpliwości, skromnie, jak przystało na męża prawdziwie mądrego i cnotliwego. Rozumiał bowiem zawsze że spełnia tylko czyny powinne, a spełnia dla dobra ojczyzny i sławy narodu swego. Nic innego i nic ponadto, więc czy wypada samemu rozgłaszać je i szukać za nie oklasków?

Zaprawdę, najpewniejszy sąd wydała o Chodkiewiczu historja Polski, przyznając mu wielkie talenty wojskowe, mądrość i cnoty rzetelne, a tak mocne, wyraziste i jaśniejące, że przy nich jego wady, a miał je, nawet szpetne, nie pozbawiły go uroku w oczach narodu polskiego, który nim zawsze, po wszystkie czasy, szczycić się będzie, jako swoim bohaterem czcigodnym!

Jakież były wady jego? — Nadzwyczajna popędliwość, podejrzliwość i zawziętość, nawet mściwość, przewlekła!...

Ale choćby najsurowiej przyszło osądzić Chodkiewicza za te wady, — zawszeć nastręcza się uwaga,

jednająca mu u współczesnych i potomnych dużą wyrozumiałość, bo przecież te jego wady, jakkolwiek bardzo nieładne, były jak gdyby tylko prywatne, wyrządzały szkody i przykrości niektórym jeno osobom, —gdy tymczasem jego cnoty były publiczne, narodowe, bo przysługi olbrzymie wyświadczały całemu narodowi i ojczyźnie!

Bano się go, jak ognia; był surowy dla wszystkich, pochopny do gniewu strasznego. Winnym nie przebaczał; a ile razy chodziło o poszanowanie prawa i słuszności, stał przy nich twardo, wtedy nie ustąpił nawet królewiczowi Władysławowi; musiało się tak stać, jak wymagało dostojeństwo prawa, porządku i przykładu.

Rozumiał bowiem, że prawo jest dla wszystkich bez wyjątku. Prawo jest nad nami. Ono nie powinno zamilknąć nawet wobec grymasu królewicza. I królewicz Władysław przeprosił hetmana Chodkiewicza, bo musiał mu przyznać słuszność!

Wprawdzie częstokroć w gniewie swoim gwałtownym, a nieraz okrutnym, przebierał miarę, tym i owym dokuczył boleśnie, niekiedy nawet niesłusznie, jednak, rzecz godna podziwu, powszechnem cieszył się poszanowaniem i zaufaniem wielkiem! Lubiano go i nawet szczycono się niem, jako ozdobą narodu! A co upatrzono w niem takiego, co jednało mu cześć i ufność u wszystkich?

Oto miał w charakterze swoim perłę nieoszacowanej wartości, — a tą perłą było umiłowanie ojczyzny i narodu! W tym ukochaniu nikt go nie prześcignął!

A miarą jego miłości było nie to tylko, że nigdy nie żałował swego trudu i czasu, kiedy tego żądała od niego ojczyzna i naród. Owszem, on coś pokaźniejszego i cenniejszego ofiarował Polsce: siebie samego całkowicie, niepodzielnie!

Prawda, kochał rodzinę, a osobliwie synka swego, Heronima, — a jednak dał mnóstwo dowodów, bo niemal każdym swoim postępkiem przekonywał, że nad swoję rodzinę, a cóż dopiero nad fortunę, przekładał ojczyznę!.

Najtrafniej do hetmana Chodkiewicza dadzą się zastosować słowa współczesnego mu kaznodziei, Skargi, które wygłosił w kazaniu „O miłości ojczyzny": „Wszystkoś to porzucił i podeptał, woła Skarga, abyś ojczyznie i braci swej i Rzeczypospolitej służył. Wolałeś sam poniżonym być, aby ona głowę podniosła, wolałeś zostawać ubogim, aby ona zbogaciała. Darowałeś ojczyznie swej wszystkie pociechy swoje, wylałeś na nią wszystko szczęście swoje, w jej dobrem i powstaniu i pomnożeniu wszystkie dobra swe zamykając. Naśladujmy, a za nic sobie własnych pożytków nie ważmy, gdy ojczyzna tego potrzebuje".

Oczywiście, kaznodzieja Skarga, mówiąc te słowa swoje, nie miał na myśli Chodkiewicza, bo przecież w nauce swej ogólnie pouczał wszystkich rodaków o znaczeniu miłości ojczyzny i jaką ta miłość w rozmiarach swoich i postępkach i ofiarach być powinna. Ale przytoczyliśmy słowa Skargi po to, żeby każdy, znający historję życia hetmana, doprawdy, mógł wyznać bez przesady, że hetman tak miłował ojczyznę i oddał się jej niepodzielnie, jak pouczał kaznodzieja!

Bo nadmieńmy tu, bodaj pobieżnie, takie szczegóły: Miał hetman fortunę, nawet znaczną, sporo bowiem otrzymał po rodzicach swoich, następnie przyszło mu wiano żony, a wreszcie i król w nagrodę zasług dał kęs majętności. Był więc hetman bogaty. A przecież nierzadko bywało w życiu jego tak, że był bez grosza, chwilami nie miał przy sobie funduszu na najzbędniejsze potrzeby swoje, — bo wszystkie dochody swoje częstokroć oddawał na opłacanie żołdu wojsku swemu.

Skarb państwa bywał pusty, wówczas panowie i szlachta nieraz nic dać nie chcieli na prowadzenie wojny z wrogami Polski. A tę wojnę trzeba było prowadzić, bo wróg wdzierał się przemocą w granice Polski, chciał oderwać od niej duży szmat ziemi. Hetman doskonale rozumiał wołanie ojczyzny o ratunek przed wrogiem. Słyszał to jej wołanie sercem swojem. Płakał nad nieczułością braci swej, ale sam nie był nieczuły! Wojsko swoje trzymał w karności wielkiej, wymagał od niego bardzo wiele, prowadził je ciągle do bojów — i widział, jak ci żołnierze jego, posłuszni mu idą w ogień śmiało, ofiarnie i mężnie, oddając swe życie w obronie ojczyzny. Miałże nie uwzględniać ich potrzeb codziennych i słusznego prawa do wynagrodzenia?

Owszem, posyłał hetman coraz to swoich wysłanników do króla z listem błagalnym o pieniądze dla wojska. Król najczęściej przysyłał mu tylko obietnice, a najrzadziej pieniądze, bo w skarbie nic nie było. Martwiły, gnębiły hetmana te niedostatki rządu, — ale przecież nie chciał zostawić ojczyzny bez ratunku, więc słał ludzi do swoich majątków po pieniądze i kosztowności, które zastawiał, lub nawet sprzedawał. I tak bywało bardzo często w ciągu lat bardzo wielu!

Jednak i ta pomoc hetmańska nie zawsze wystaczała. Bo nieraz i sam z majątków swoich nic nie mógł wycisnąć. Toć niekiedy zdarzało się, że żona jego, w domu przebywająca, nie miała grosza przy sobie na potrzeby domowe. W listach żaliła się przed nim o tem, a on w odpowiedzi swej, dawał jej rady, żeby pożyczyła gdzie u jakiego pieniężnika...

Znali żołnierze swego hetmana, wiedzieli, jak jest ofiarny dla ojczyzny, więc ten przykład zachęcał ich także do cierpliwości. Ale nie mieli tej, co on miłości ojczyzny i tej co on mocy moralnej. Nieraz więc pod naciskiem niedostatku, wymykali się z obozu w okolice na rabunki. I nad tem bardzo bolał hetman. Niekiedy też głośno objawiali swe żale przeciwko hetmanowi, że trzyma ich, skazuje na męki, udręki głodu i pochodów dalekich, mozolnych!

A wszelakoż nigdy go nie opuścili całkowicie, trzymali się go wiernie i po żołniersku miłościwie. Bali się go, ale — czcili, wielbili, bo ciągle widzieli **jak on wszystkiego się był wyrzekł jedynie dla dobra ojczyzny!**

Był niby bogaty, — a z nich wszystkich najbiedniejszy, — miał rodzinę, a był daleko od niej, nawet ją ubożył, — był najzdolniejszy, znakomity wódz, uczony i mądry mąż, a dla siebie żadnej nie

żądał nagrody, nawet pochwały, — był zdrowia wątłego, a jednak żadnej nie szukał dla siebie wygody, na takiem samem jadle poprzestawał, jakiem karmiło się wszystko wojsko jego, sypiał na takiej samej pościeli, jak wszyscy. Dawał wszystkim przykład z siebie najlepszy, jak trzeba zaprzeć się siebie w momentach, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie!

Nic tedy dziwnego, że **takiego polaka** żołnierze polscy czcili, nawet wielbili, — a naród polski spoglądał na niego z podziwem i poważaniem!

W hetmanie Chodkiewiczu niejako skupiła się moc duchowa i moralna godność całego narodu polskiego! Bo co byłby wart naród bez takiego męża? Im więcej takich ma naród, — tem pomyślniejsza jego dola, — ale jeśli nie ma ani jednego takiego, —pożal się Boże, — musi naród coraz gorszej doznawać niedoli!...

Jeden tak dzielny, jak hetman Chodkiewicz, potrafił w tych momentach, kiedy Polsce groziło niebezpieczeństwo, stawiać z małą garstką swego wojska opór wrogom, wielekrotnie liczniejszym—i zwyciężyć!.. Toć tak właśnie bardzo często czynił podczas długiej wojny szwedzkiej i tego dokazał pod Chocimem!...

Prawda, był z niego wódz znakomity, nawet genjalny. Posiadał nadzwyczajne zdolności wojskowe, ale i wielką naukę wojenną, którą nabywał długo i pracowicie. A jak łaknął tej wiedzy i jak miłował sztukę wojenną, może każdego przekonać choćby ten szczegół, że już będąc hetmanem polnym, jeszcze w chwilach swobodnych rozczytywał się w księgach wojskowych i robił rozmaite plany bojów. To dowód, że nawet utalentowanym i najzdolniejszym ludziom nauka jest niezbędna. Owszem, im więcej posiedli jej, tem trudniejsze i korzystniejsze czyny wykonać potrafią.

To sprawdziło się na hetmanie Chodkiewiczu. Bardzo dużo stoczył bitew, zazwyczaj w warunkach najtrudniejszych.

Wyszczególnijmy tu najpobieżniej choćby dwie: pod Kircholmem i pod Parnawą, a dadzą nam one jakie-takie pojęcie o wielkich zdolnościach wodza i dzielności jego wojska szczupłego,

Oto hetman Chodkiewicz przewidywał, że wypadnie mu stoczyć bój z wojskiem szwedzkiem, bo król szwedzki pod Rygą już gromadził znaczne oddziały swoje. Hetman obmyślał plany wojenne dość długo, a wykonywał je bardzo przezornie z różnemi fortelami i szybko. Więc kiedy zdecydował się napaść na wojska szwedzkie, naprzód zaczął od modłów, bo hasło miał takie:

„Jedynna nadzieja — mówił — spoczywa w naszych rękach i pomocy Boga!"

Zarządził 40-godzinne nabożeństwo, a całemu wojsku, jakby w przeddzień śmierci, rozkazał spowiadać się i komunikować. Potem dał znak do marszu spiesznego — i w ciągu dwuch dni jazda i piechota przebywszy 80 kilometrów drogi, zatrzymały się pod Kircholmem, w Inflantach, bo chodziło o ich obronę przed najazdem szwedzkim.

Niebawem do tego samego miejsca nadciągnęły duże siły szwedzkie.

Sam król szwedzki, Karol, przy pomocy kilku najlepszych swoich wodzów przygotował swe oddziały do boju. A miał dużą siłę, bo 14,000 żołnierzy, w tem 11 tysięcy piechoty, 4 tysiące jazdy i 11 dział, a nasz hetman ustawił zaledwo garsteczkę swoich, liczącą wszystkiego 3.400 żołnierzy! W tem piechoty 1040 ludzi, a reszta konnica.

Szwedzi narazie wybrali dla siebie pozycję bardzo wygodną i, patrząc na garstkę naszych, pokpiwali zuchowato.

Hetman wcale tem nie dał się stropić. Już on nieraz bywał w gorszych opałach i dał sobie radę. Ufał, że i tym razem nie zginie. Tylko szukał w myślach sposobu do podniesienia w swojem wojsku ducha i do wywabienia szwedów z lepszej pozycji. Bogaty w pomysły hetman znalazł fortele Dali się szwedzi sprowadzić z pogórka w nizinę — i wtedy niby malutka garstka polaków jak wicher nie, jak huragan, rzuciła się na szwedów!

Bitwa trwałała dość długo. A koniec jej był taki, że — jak pisze historja — dziewięć tysięcy trupów nieprzyjacielskich legło na pobojowisku, w tem liczbie kilku wodzów szwedzkich, a w ręce polskie dostało się 11 dział, 60 chorągwi i kilkuset jeńców Król szwedzki, Karol, z pola bitwy uciekał bez kapelusza, wtem nasi zabili pod nim konia i wtedy byłby się dostał w nasze ręce, ale jeden z jego wojaków oddał mu swego konia, na którym król zdołał uciec, ale za to ów wojak, co ocalił swego króla, padł zaraz zabity szablami polskiemi.

Po stronie polskiej poległo do stu żołnierzy, za to wielu było rannych i wiele koni zginęło.

Tak 27 września (bo w tym dniu odbyła się ta pamiętna bitwa) 1605 roku zagrożone Inflanty polskie całkowicie uwolnione zostały od wroga!

O tej bitwie wnet król polski Zygmunt Trzeci i świat cały dowiedzieli się i sławili dzielność hetmana. A on mało i najskromniej mówił o tem.

Zaraz po otrzymaniu wieści, król polski, Zygmunt III, nakazał odprawić nabożeństwo dziękczynne za odniesione nad Karolem szwedzkim zwycięstwo pod Kircholmem. Podczas tego nabożeństwa znakomity kaznodzieja królewski, ks. Piotr Skarga, wygłosił kazanie, w którem tak wyraził się między innemi

„Dziękujemy tedy Panu Bogu, — mówi ks. Skarga — iż nam w tem małem wojsku naszem tak wiele cnych witeziów (rycerzy) i mężnych żołnierzów dać raczył, którzy wszystkie i inne towarzysze posilili i ochotą swoją na spisy i ostre żelaza i strzelby powiedli. A naprzód cnocie i wielkiemu męstwu hetmana naszego (Chodkiewicza) wydziwować się nie możem, który jako lew, wielkością i mocą nieprzyjaciół zastraszyć się nie dał. Możem go do owego Machabeusza przyrównać, który, ujrzawszy dwadzieścia tysięcy wojska, sam tylko trzy mając, gdy mu ustępować drudzy radzili, krzyknął na nie, mówiąc Nie daj, Boże, abyśmy uciekać mieli. Jeśli przyszedł nasz czas, umierajmy za bracią naszę mężnie, a nie czyńmy zelżywości sławie naszej".

W lutym 1609 roku postanowił Chodkiewicz zdobyć fortecę Parnawę, której broniły 104 działa i liczna załoga uzbrojona i czujna. Hetman z woj-

skiem swojem ukrył się w lasach poblizkich fortecy. Tam trzymał wojsko cały dzień w pogotowiu wojennem bez ognisk i bez posiłku ciepłego w największej cichości. Dopiero w nocy wypadł z lasu i chciał swoich żołnierzy podprowadzić pod mury fortecy. Niestety, załoga wcześnie zauważyła napad i zaczęła gęsto strzelać z wałów fortecznych do wojska hetmańskiego. Hetman kwaśny, zatrzymał swoich i cofnął się do boru. Ale nie myślał wyrzec się powziętego zamiaru. I znowu cały dzień stało wojsko o głodzie i chłodzie. Żołnierze dość głośno sarkali, klęli. Chodkiewicz słyszał to, ale trwał niezmiennie przy swojem. Gdy noc nadeszła, znowu wyprowadził swe wojsko, sam zsiadł z konia i swoim to samo uczynić rozkazał, wziął oręż do ręki i chciał pierwszy na czele swoich iść do szturmu, wtedy wojacy jego nie zezwolili na to, by się narażał, sami wysunęli się naprzód, runęli śmiało do bram fortecy, wysadzili je prochami—i fortecę zdobyli!

I znowuż hetman przekonał swój naród, że dla chcącego niema nic trudnego! Nawet garstka żołnierzy zdoła pokonać wroga mocnego i groźnego, gdy do boju wiedzie ją mąż o wielkich zdolnościach, mądry, miłujący ojczyznę, a w postanowieniach swoich niezłomny i bez żadnej trwogi wobec przeciwności, nawet największych!

Hetman Chodkiewicz stał się takim wodzem w Polsce.

Kiedy sułtan turecki, Osman, zapowiedział Polsce wojnę i zawczasu uprzedził, że sam stanie na czele czterystu tysięcy żołnierzy swoich, bo musi zniszczyć i opanować Polskę, — naród, na wieść o tem, znowu swe oczy obrócił na Chodkiewicza, jako najpewniejszego obrońcę ojczyzny.

Wojska polskie dość spiesznie zgromadziły się pod Chocimem i, mając na swojem czele Chodkiewicza, czekały na turków. Jakoż niebawem, 2 września 1621 roku, Osman przywiódł bądź cobądź potężną armję swoję, liczącą 160 tysięcy ludzi i 60 tysięcy tatarów, więc razem 220 tysięcy żołnierzy! A polskiego wojska było tam zaledwo 70 tysięcy!...

Zatem po stronie tureckiej przewaga liczebna była ogromna: trzech żołnierzy tureckich wypadało na jednego polskiego! Zawsze atoli trzeba pamiętać, że nie ilość zwycieża, jeno duch żołnierzy, ożywiony zapałem świetym! Dlatego właśnie Chodkiewicz, jak zawsze, pełen był nadziei najlepszej. Bo przecież widział po swojej stronie słuszność, więc zapewnione miał błogosławieństwo Boga, oraz sumienia i serca chrześcijańskiego, w każdym polaku, gotowego bronić ojczyzny, napadniętej przez wroga Polski i wiary Chrystusowej. Umiał też w sposób odpowiedni rozniecić w swem wojsku zapał, otuchę, a nawet ogień męstwa i natarczywości wojennej. Zresztą słowa hetmana padały w dusze żołnierzy dobrze usposobione, bo zdawna przecież pełne były wiary w niego, który powszechnie i najsłuszniej uchodził za niezwyciężonego!

Niebawem rozpoczęły się boje, staczane dość często, oczywiście, zawsze pomyślnie dla polaków. I byłby niezawodnie wróg wprędce i całkowicie pokonany, gdyby hetman nie zasłabł niebezpiecznie!

Był przecież niemłody, kopę lat dźwigał, a przytem tyle niewygód, kłopotów, mozołów bardzo nadwerężyło siły jego i nadto od dłuższego czasu cierpiał na dotkliwą chorobę z powodu kamienia. Dnia 23 września zrobiło mu się znacznie gorzej, tak, że starszyzna musiała go zabrać z obozu i powozem przewieźć do poblizkiego zamku.

I wówczas dopiero okazało się, jak żołnierze kochali i przywiązali się do swego wodza surowego! „Oto — powiada historyk Śliwiński — w tej chwili na widok pojazdu, uwożącego z obozu wielkiego wodza, żal ściskał najtwardsze serca i wzruszenie dławiło gardła. Cisnęli się do karety żołnierze, szli za nią, a szlochanie wstrząsało piersiami. Po całym obozie słychać było płacz!“...

Tak wojsko przeczuwało zgon wodza. Jakoż istotnie, nazajutrz, d. 24 września 1621 roku o godzinie 2-ej po południu, zmarł w zamku chocimskim niezwyciężony hetman Chodkiewicz.

Narazie zdawało się starszyznie potrzebnem taić przed wojskiem wieść o śmierci hetmana, żeby nie wywołać nią popłochu i upadku ducha. Ale zatrudno było ukrywać prawdę. Zresztą wojsko polskie, wychowane przez hetmana, rozumiało, że musi teraz już samo spełnić wolę zmarłego. On przecież po to tu przyszedł ze swem wojskiem, żeby zwyciężyć,—więc należy bądź co bądź śmierć jego upamiętnić wygraną!

I tak się stało!

Turcy ciągłych doznawali porażek, bo wojska nasze do ostatka spisywały się po bohatersku, jakkolwiek już zaczynało im brakować amunicji, a szczególniej prochu. Tak więc i w tej potrzebie wojennej magnaci i szlachta, a więc ówczesny naród, niedostatecznie, zasłabo, nawet niedołężnie popierali swoje wojska. Turek, oczywiście, nic o tych brakach nie wiedział. A że duże straty ponosił i nie spodziewał się dla siebie pomyślności, więc prosił o pokój i już dnia 9 października tegoż roku 1621 podpisał warunki, korzystne dla Polski.

Nasuwa się tu jednak uwaga właściwa: gdyby tam, pod Chocimem, wojsko nasze było lepiej zaopatrzone, zpewnością doszczętnie rozgromiłoby armję turecką tak, że potęga Turcji być może już pod Chocimem znalazłaby grób dla siebie! A przeto gdyby przy dzielnem wojsku był także i cały naród dzielny, dopiero wówczas Polska stałaby się tak mocna, że wrogowie jej nawet nie śmieliby zbliżyć się do jej granicy!...

Hetman Chodkiewicz do ostatniej chwili swego życia spełniał zaszczytnie swoję służbę u narodu. Żył, pracował ofiarnie, mozolnie z zupełnem wyrzeczeniem się siebie „tylko dla dobra ojczyzny i sławy narodu swego“, jak się o tem sam niekiedy wyrażał skromnie.... Umarł, jak wierny syn w obozie, bo niemal do zgonu swego potykał się z wrogami swej matki-ojczyzny!

Oddał jej w ofierze siebie samego niepodzielnie, bo swoje życie, swoje szczęście domowe, swój majątek, naukę i talenty!

To nic, że król i naród najczęściej niedostatecznie, bez należytego zrozumienia i gorliwości, popierali jego działania wojenne, tak ważne dla bezpie-

czeństwa Polski. To było winą tylko króla i narodu, a nie jego! On bowiem spełnił wszystko, co było w mocy i obowiązku jego. A spełnił bardzo dużo! Wysiłki jego nie poszły na marne! Gdyby jego tam nie było, gdzie walczył zwycięsko lat wiele, — napewno wrogowie wdarliby się do Polski i ciężkie zadaliby jej krzywdy. Że to się wówczas nie stało,— **zawdzięczać trzeba hetmanowi Chodkiewiczowi!..**

To jednak łatwe jest do przewidzenia, że byłby zdziałał dużo więcej dobrego dla narodu i ojczyzny, gdyby go naród cały hojnie i ochotnie popierał. Ale przecież przez swoje niedbalstwo i sobkostwo naród tylko sam sobie zgotował duże i straszne klęski, zakończone potem niewolą sromotną!...

Wszelakoż nieczułość rodaków bynajmniej nie zniechęcała cnotliwego hetmana!

Bo rządził się zawsze jednem zdaniem: każdy niech to czyni dla dobra ojczyzny i sławy narodu, co każe własne sumienie i mądrość poczciwa, a niech czyni nie dla zysków, nie dla przypodobania się komukolwiek, lub dla jakich innych widoków postronnych,—nie!—lecz dlatego, żeby dobremi czynami swemi istotnie przyczyniać się do polepszenia doli ojczyzny i narodu!

Taki jest sens i taki **nakaz** obwiązku moralnego, **pochodzący z sumienia obywatelskiego i z serca, szczerze czułego dla ojczyzny i narodu!**

Tak czynił hetman Chodkiewicz. Dowód na to jest bardzo wyraźny w powszechnym żalu wojska po stracie swego wodza. Ten powszechny płacz pochodził z przeświadczenia tych ludzi, codziennie przez lat wiele patrzących na postępowanie swego hetmana, że on słuchał nadewszystko własnego sumienia obywatelskiego i serca, całkowicie oddanego ojczyźnie!

Współcześni płakali po zgonie wielkiego hetmana,—a potomnym co przystoi uczynić, gdy rozważają piękne czyny jego? Czy mają poprzestać na zwykłej czci i uwielbieniu dla hetmana?—Zamało!.., Życie Chodkiewicza najściślej zespoliło się z historją narodu i Polski. Więc, jeśli historja ma być nauczycielką życia, jak twierdzi nauka, — a jest i nią być powinna dla każdego, — przeto niechże każdy rodak przyjmie do skarbca swego doświadczenia, jako bogaty owoc z rozważań historji Chodkiewicza, tę przestrogę:

Oto gdy naród chce, by jego najlepsi mężowie przyczynili mu pomyślności najwięcej, — niechże współpracuje z niemi ofiarnie, serdecznie, usilnie i zawsze!

Dobrze przecież rzekł hetman Chodkiewicz:

**„Jedyna nadzieja** — mówił — **spoczywa w rękach naszych i pomocy Boga".**

Jest to więc to samo prastare przysłowie: „Pracuj, a Bóg ci dopomoże!".. Narodzie, chcesz być szczęśliwy, mocny, bezpieczny, niepodległy? Owszem, dopniesz tego tylko przez usilną, ofiarną **pracę swoję, — a Bóg ci dopomoże!** Ale nie chciej być filutem! Więc nie żądaj dla siebie **gotowego** szczęścia tylko od niektórych swoich rodaków! Bo najlepsi, najgenialniejsi, najpracowitsi, nigdy nie będą wstanie uszęśliwić ciebie bez twojego udziału w ich pracy ofiarnej, pilnej i mądrej. Tę prawdę, jako wynik historji, wyraziła Konpnicka w pięknym i zarazem smutnym dla nas wierszu tak:

**Naród, co się sam nie zbawi,**
**Pozostać rabem musi!...**

# Oczyzno moja!

Ojczyzno moja! wczoraj męczennica,
powstajesz dzisiaj, zwycięska królowa! —
Jak słońce złote, jaśnieją twe lica;
przed którem mroku nietoperz się chowa,
u stóp twych leżą skrwawione sztandary,
niby pęk maków; dłoń twa dzierży berło,
w którem łza każda twoja lśni się perłą,
każda krwi kropla rubinem; z pod szarej,
pokutnej szaty, co z ramion twych zlata,
oblubienicy dziś bieleje szata!

Ojczyzno moja! niczem dziś już rany,
któremi, matki, piersi twe broczyły
niczem serdecznych łez potok przelany
i krzyże twoje i twoje mogiły, —
bo były one jak wiosenne deszcze
pod siew Przyszłości, bo były jak cegły,
co fundamentem pod budowę legły
domu twojego,... wskroś mroki złowieszcze
w męce wznosiła go ręka żylasta,
lecz oto w pałac z kryształów wyrasta!

Ojczyzno moja! oto wonną wiosną
twe ukochanie i święte mogiły
nieśmiertelników kwieciem wkrąg porosną,
by ogród dzieciom; ziemię, co poryły
działa, znów w pocie chłop polski zaorze,
nie rab już, z pieśnią wolnego człowieka...
Tym, co odeszli, zblizka i zdaleka,
pokój niech będzie! Jak anioły boże
niechaj nam świecą! Żal nam ust nie krzywi,—
niech śpią umarli, niech czuwają żywi!

Ojczyzno moja! nie pomiędzy trumny
brodzić nam dzisiaj, jako słabe cienie.
lecz stać nam w słońcu, jako te kolumny
z granitu kute; nie smętne westchnienie
pośród cyprysów ronić, ale młoty
nam porwać w dłonie i z wesela pieśnią
w stal sny przekuwać, co dziś się cieleśnią...
Hej! silne ramię młode mamy i ochoty
nam nie zabraknie, aż posąg ci w skale
młotem wykujem, my — Jutra kowale!

Ojczyno moja! ty, coś nie zginęła
i co nie zginiesz, bo, choć legjon legnie,
legjon powstanie i dokończy dzieła;
nie spocznie, póki skrwawione oręże
o Wolny próg twój nie oprze—wskroś Jutrznię,
która już świta na niebios błękicie,
na siew, na pracę, na walkę, na życie,
na łoskot młotów, co uderzą hucznie,
słońce, co młode wykrzeszą ramiona—
Ojczyzno moja! bądź mi pozdrowiona!

**Józef Relidzyński.**

Nauczyciel, który umiał wzbudzić odczucie dla jednego pięknego czynu, jednego pięknego poematu, więcej uczynił, niż ten, który pamięć napełnił całemi szeregami okazów przyrody, poklasyfikowanych według nazwy i kształtu.

**Gete.**

# Dwa głosy do „Orła Białego"

## z Piask pod Lublinem.

Chcąc udowodnić społeczeństwu, że ciągłe narzekania na bezczynność Rad gminnych nie zawsze są uzasadnione, proszę uprzejmie o umieszczenie na łamach „Orła Białego" treści uchwał Rady gminnej w Piaskach, powziętych na posiedzeniu w dniu 22 lutego.

I. Wszystkich inwalidów wojennych, oraz wdowy i sieroty po poległych wojskowych uwolnić całkowicie od płacenia samoistnych podatków gminnych: gminnej składki od gruntu, oraz handlu i przemysłu. Ulgi stosować do tych inwalidów, których niezdolność do pracy jest stwierdzona dowodami, bez względu na stopień niezdolności. Również zwolnić tychże inwalidów, wdowy i sieroty po poległych wojskowych od odbywania naturalnych powinności — szarwarkowych i podwodnych. Powyższe zastosować do wszystkich inwalidów, posiadających do 10 morgów ziemi.

II. Po wysłuchaniu odezwy T-wa „Drogi Wodne w Polsce" jednogłośnie uchwalono: nabyć dla gminy 25 akcji i dla miasteczka 10 akcji tego Towarzystwa. Upoważnić Zarząd gminny do wpłacenia przypadającej należności za te akcje.

III. Wobec utworzenia w miasteczku rynku targowego, i mając na względzie ulepszenie stosunków sanitarnych i rozwój handlu, Rada poleca wójtowi gminy, aby przy pomocy policji natychmiast przeniesiono z ulic i placów wszystkie budki ze sprzedażą mięsa, jak również stragany krawieckie, szewckie i t. p. na nowoutworzony rynek; zabronić rozstawiania na ulicach i placach straganów i stołów, wogóle cały handel skoncentrować na rynku; zabronić postoju furmanek na ulicach, placach i przed domami. I w końcu — na wniosek radnych miejskich — wyrażono podziekowanie komendantowi posterunku policji, p. Bronisławowi Rogulskiemu, oraz asygnowano dla rozdania podkomendnym zł. 100 z funduszów miasteczkowych tytułem nagrody za gorliwą pracę utrzymywaniu porządku podczas dni jarmarcznych w Piaskach.

Odpisy uchwał przesłano do władzy nadzorczej, która, jesteśmy pewni, uchwały te zaakceptuje, gdyż zawierają one zamierzenia, mające na celu dobro ogółu mieszkańców, jak gminy, tak i miasteczka!

Podobno „nasza mniejszość" zaprotestowała przeciwko uchwale w sprawie utworzenia rynku w odpowiedniem miejscu, widocznie wolałaby owa „mniejszość" to jest żydzi, aby wieśniacy nasi stale grzęzli w błocie i kałużach, zbywając plony swej pracy tym, którzy przyzwyczajeni są dzielić się z niemi dochodami, nie dzieląc się trudami!.. Do jakiego stopnia są żydzi rozzuchwaleni, niech posłuży fakt że już niemal od miesiąca „bojkotują" rynek w Piaskach, handlu na rynku nie prowadzą, natomiast wyjeżdżają na jarmarki do sąsiednich miasteczek.

Kiedyż nareszcie zrozumieją „oni, kto rządzi w Polsce?

**Włademski.**

Zniszczenia wojenne naszych miasteczek i miast podyktowały władzom nakreślenie odpowiednich planów regulacyjnych, według których ciasnota i bezplanowa rozbudowa bez zachowania względów zdrowotnych, pożarnych i innych ma ustąpić takiemu rozplanowaniu, które pod każdym względem będzie korzystne dla mieszkańców.

Należałoby się więc jedynie cieszyć z takiego obrotu spraw. Tymczasem są miejscowości, że jest przeciwnie. A jest tak w Piaskach. Oto część ludności Piask, mianowicie żydzi, wyraźnie bojkotują wszelkie poczynania w kierunku uzdrowotnienia gospodarki miasta. Przeciwstawiali się urządzeniu targowicy, przeciwstawiali się brukowaniu ulic, dziś bojkotują rynek. A więc nie tak ma być, jak nakazują względy porządnej rozbudowy i ładu, względy rozwoju miasteczka, lecz tak, jak się podoba żydom.

A w Piaskach i tak wszystkie place miejskie i dworskie są przez nich pozajmowane bezkarnie. W myśl żydowskich postanowień życzymy im jednak, aby jak najdłużej nie wychodzili z towarami na rynek, otworzy to wszystkim oczy, że na drodze dobrych poczynań żydzi są kulą u nogi ludności kraju. Przeciwdziałają oni każdej akcji społecznej, która ma na celu nie ich, ale ogólne interesy, czyli, że chcą specjalnych przywilejów w Polsce! Pasorzytowanie jest ich ulubioną cechą. Pamiętajmy o tem i nie pozwólmy panoszyć się przybyszom! Gospodarzami kraju jesteśmy my! Organizujmy spółdzielnie zbożowe, nabiałowe i inne w myśl hasła „Naród sobie!"

A gdy wszystkie gałęzie handlu nie będą nam obce, wówczas może żydzi nauczą się obywatelstwa i uspołecznienia krajowego! Dziś jest inaczej! Np. na brukowanie ulic znaczna część żydów zalega ze składką, tymczasem ludność chrześcijańska składkę wpłaciła i to do tego na wybrukowanie rynsztoków w ulicach, zajętych wyłącznie przez żydów!... Ile było z brukowaniem trudności wie najlepiej nasz były sekretarz, p. Józef Panecki, — za którego urzędowania w Piaskach została otwarta targowica i spisany akt wykupu placów podrynkowych, jaki służył za podstawę do dalszych umów.

Nie bacząc na trudności, raz ruszone życie miasteczka powoli idzie naprzód dzięki czujności księdza Boruckiego i samorządu gminnego w osobie komisji miejskiej i pana Matjaszewskiego.

Bieg spraw tamują tylko zaległości podatkowe które są, zawdzięczając niedbalstwu i słabemu uspołecznieniu wójta gminy. Zły stan finansów nie pozwala na przystąpienie do nieodzownej akcji budowy szkół w miasteczku i wsiach i w wielkim stopniu utrudnia gospodarkę gminną, czyli, że dzisiejszy wójt szkodzi gminie!

Wracając do rynku, okoliczni rzemieślnicy, przyjeżdżajcie do nas na nowy rynek, twórzcie swojski handel! Wiecie, że jarmarki u nas są w środy!

**K. N.**

---

Nigdy nie zapominajmy o tem, że najważniejszą dla nas rzeczą jest wychowanie i wykształcenie tych miljonów młodych istot, które niebawem staną obok nas do pracy na widowni życia codziennego!

**Jerzy T. Angell.**

---

# Czas i praca.

Duńczycy niemal wszystkie swoje prace zawodowe, a nawet i niektóre potrzeby kulturalne zwykli załatwiać przy pomocy stowarzyszeń odpowiednich. W Danji w każdej gminie znajduje się maślarnia kooperacyjna. W r. 1902 — pisze Ludwik Krzywicki — liczono 1056 takich spółek, a należało do nich 140.000 gospodarstw włościańskich, t. j. udój z 83 procent wszystkich krów duńskich był przerabiany na masło w zakładach kooperacyjnych.

Zrzeszenie mleczarskie stało się jak gdyby początkiem innych stowarzyszeń. A więc powstały liczne towarzystwa utrzymywania buhajów, oraz towarzystwa kontroli nad hodowlą krów; inspektor stowarzyszenia zwiedza dwa razy na miesiąc obory, bada wydajność krów i dawaną im paszę, udziela wskazówek, jakich sztuk gospodarz powinien się pozbyć.

Przy maślarniach założono kooperacyjne opasarnie trzody chlewnej. Pierwsza powstała w r. 1888, a przy opasarni niebawem okazało się potrzebnem stworzyć kooperacyjne rzeźnie. Istnieje ich obecnie 16 (pisał Krzywicki 1903 roku),—należy do nich 65.000 gospodarstw włościańskich. Około 60 procent nierogacizny w Danji szlachtują w rzeźniach kooperacyjnych.

Istnieje też organizacja wywozu jaj: podzielono Danję na 500 okręgów wywozowych. W zrzeszeniu znajduje się około 30.000 gospodarstw włościańskich. Każde jajo kurze ma na sobie odbity numer stowarzyszenia i udziałowca, co ułatwia kontrolę przy sprawdzaniu świeżości towaru w głównych zbiornicach.

Istnieją w Danji również stowarzyszenia oświatowe, ubezpieczeniowe i spożywcze. W roku 1902-im stowarzyszeń spożywczych było 900, do których należało 140.000 udziałowców.

Dajmy teraz głos innemu znawcy Danji, — Stanisławowi Dłużewskiemu. Tak on opowiada o mleczarniach spółkowych:

W Danji (w r. 1905) znajduje się pokaźna liczba mleczarń, mianowicie 1663. Z tych tylko 271 należy do pojedynczych właścicieli: Mleczarnie wyrabiają blizko 60 miljonów kilogramów masła—i kiedy wywóz tego produktu dosięgał w połowie zeszłego wieku (około 1850 roku) wartości ośmiu miljonów koron duńskich, — dziś (w r. 1905) Danja—pisze Dłużewski—wywozi masła do Anglji za przeszło sto miljonów koron (50 miljonów rubli). Masło duńskie jest najkorzystniej cenione na rynku londyńskim, dokąd 3 razy na tydzień bywa dostarczane.

To też mleczarnie spółkowe stały się konieczną potrzebą w Danji, liczba ich ciągle wzrasta, zaś zakładanie nowych niezmiernie jest ułatwione. Gdy tylko powstanie w pewnej gromadzie małorolników chęć założenia mleczarni spółkowej, kapitał na nią daje zwykle prywatna osoba, lub bank na 4 lub 5 procent przy dziesięcioletniej amortyzacji. Dający kapitał staje się jednocześnie udziałowcem mleczarni, fermerzy (małorolnicy) dają tylko gwarancję, każdy w stosunku 30 koron od krowy.

Przeciętnie wypada w Danji 800 krów na jedną mleczarnię, — oczywiście, cyfra ta tylko przeciętna, są bowiem o wiele większe, jak np. Trifolium, do której jest mleko dostarczane od siedmiu tysięcy krów, — jak i o wiele mniejsze.

Do mleczarni przeważnie należy tylko sam wyrób, czyli technika wyrobu. Zbyt zaś wyprodukowanego masła należy do towarzystw eksportowych (wywozowych), których jest kilka. One skrupulatnie badają towar, do nich przysyłany z mleczarni, one spieniężają go, posiadając w swem ręku możność regulowania zbytu i ujednostajnienia jakości towaru.

Do domów eksportowych (wywozowych) masło przywożą w faskach i beczkach. W beczkach przychodzi już solone w stosunku 4 procent,—w faskach nie solone. Z beczek masło jest brane odpowiedniemi, do tego celu służącemi, świdrami i badane, czyli sprawdzane,... masło zaś z fasek jest wyrzucane na duże wygniatacze i przerabiane z dodatkiem 1 procent soli; następnie funtowane podług wagi angielskiej, a często i opakowane w papier firm angielskich, zatrudniających się w Londynie sprzedażą masła duńskiego. Masło może zawierać conajmniej 14 procent wody.

W domu eksportowym odbywa się też sortowanie masła. Dawniej wysyłano trzy gatunki masła, obecnie tylko jeden gatunek (prima), czasami drugi gatunek, a trzeciego gatunku niema wcale. Próby masła są zachowywane w składach przez 14 dni. Masło funtowane składają w skrzynie po 54 sztuki — a w beczkach solone po 50 kilogramów. Najmniejsze uchybienie obniża wartość towaru: beczki więc i skrzynki są nadzwyczaj czyste, opakowanie wykwintne. Wszelki błąd w wyrobie zawsze łatwo zauważyć, winowajcę wyśledzić, stąd też i kara surowa nigdy nie minie! Ale to się zdarza tam niezmiernie rzadko!

Towarzystwa eksportowe (wywozowe) są utworzone przez mleczarnie związkowe. Pierwsze takie towarzystwo zostało założone w Kopenhadze przez 84 mleczarnie spółkowe w 1887 roku.

Każda mleczarnia wybiera jednego przedstawiciela, a ci z pomiędzy siebie zarząd towarzystwa. Tak więc pomiędzy towarzystwem eksportowem, a mleczarniami spółkowemi istnieje ścisły związek, polegający na wzajemnem zainteresowaniu i na wspólnych celach.

Jak więc widzimy, istnieje tu ścisły podział pracy: fermer (małorolnik) wytwarza w oborze swojej mleko, — spółkowa mleczarnia przerabia je na

masło, — a zaś towarzystwo eksportowe spienięża je i reguluje cały handel masłem.

Stanisław Czekanowski naliczował w Danji w roku 1899 **bez mała trzy tysiące towarzystw i stowarzyszeń, pracujących we wszystkich dziedzinach zawodowych i kulturalnych.**

Czekanowskiemu, gdy wyszczególnił tę liczbę, wyrwała się taka uwaga, zapewne skierowana do nas:...

**„Naród, który tak pracuje, — nie zginie!“...**

Co jednak skłoniło duńczyków do łączenia się w tak liczne i różnorodne stowarzyszenia? — O tem pomówimy za tydzień.

---

Nie dawajcie dzieciom ani wina, ani piwa, ani wódki!

---

## Z Koła Młodzieży w Wicentówku

(gmina Bychawa) piszą do nas:

Już rok minął, jak założyliśmy w swej wiosce Koło młodzieży, składające się zaledwo z kilkunastu druhów.

Zarząd naszego Koła składa się z następujących druhów:

Józef Mazurkiewicz — przewodniczącym, Aleksander Sprawka — zastępcą, Antoni Flis — sekretarzem, Józef Dutkiewicz — skarbnikiem, a Jan Kołacz — bibljotekarzem.

Przedewszystkiem zatroszczyliśmy się o utworzenie przy naszem Kole własnej bibljoteczki. Narazie zdobyliśmy się na niewielką ilość książek, nabytych bądź za własne pieniądze składkowe, bądź ofiarowanych nam przez osoby życzliwe.

W roku zeszłym urządziliśmy u siebie szkółkę drzewek owocowych na kawałku ziemi, pożyczonym naszemu Kółku przez dziś już nieżyjącego ś. p. Franciszka Rozwoda, starszego mieszkańca naszej wioski, który był dla wszystkich przychylny, a dla nas, młodzieży, nawet i ofiarny. Bo użyczył nam w dogodnem miejscu dostateczny zagonek, na którym zaraz rok temu posadziliśmy przeszło sto drzewek, przyniesionych z lasu — i, da Bóg, w tym roku już zamierzamy je okulizować.

Zaczynamy od małego, ale już nie zaniechamy tego działu pracy bardzo pożytecznej! Musimy stopniowo powiększać swoją szkółkę owocową, postaramy się o ziarnka w tym roku i podczas zimy przyszłej sposobem, doradzanym przez znakomitego ogrodnika polskiego, Jankowskiego, a podanym w jego książeczce „Sad przy chacie“, — sami zasiejemy je w piasku i, daj Boże, doczekać, na przyszłą wiosnę będziemy mieli z tych ziarnek mnóstwo dziczków własnych, doskonalszych, bo prosto, bez żadnej krzywizny strzelających w górę. A z takich dziczków zczasem, po latach kilku, już doczekamy się prostych, dorodnych szczepków. O zrazy z najlepszych i odpowiednich do naszej gleby gatunków postaramy się w naszej okolicy. Bo tu i owdzie już niektórzy małorolnicy mają niezgorsze sady. Ale, naogół, jeszcze u nas sadownictwo stoi dość nizko, prawie jest ono lekceważone!

A szkoda wielka! Wprawdzie już niemal przy każdej chacie jest choć parę drzewek. Ale to zrobione zostało jeno ze zwyczaju, lub dla wygody dzieci, żeby miały co zrywać dla siebie podczas lata. A mało który gospodarz zaprowadził u siebie trochę większy sadek z myślą właściwą, żeby z niego doczekać się lepszego i nawet pokaźniejszego dochodu.

My młodzi musimy koniecznie nadać wielki pęd do zakładania sadów wszędzie, ale sadów prawidłowych, więc umiejętnie i korzystnie urządzonych! Przykro dziś o tem tu wspominać. Ale przecież i my młodzi musimy sobie rzec prawdę gorzką! Oto zamało troszczymy się o zaprowadzenie u siebie sadów, które, istotnie, stanowią dobro bardzo cenne, dające dochody znaczne. Wstyd wyznać, że w dużej okolicy naszej jeszcze nie posiadamy ani jednej szkółki większej, prowadzonej ze znajomością rzeczy! Gdzież jest młodzież nasza — i co ona robi?

Toć prawie niema wioski, którąby nie miała swoich grajków, swywolników i hałaśników. Są i takie wioski, w których, może nawet dość często, bywają urządzane spółki butelkowe i kieliszkowe, — a jakoś trudno zrzeszyć się nam dla stworzenia kółek oświatowych, kupieckich i ogrodniczych! Przecież nam, młodym, takie zabiegi nawet najlepiej pasują do naszego wieku młodzieńczego.

Niech młodzi troszczą się o zapoczątkowanie w swej wiosce młodzieży owocowej, a nawet i dzikiej dla wysadzenia dróg niektórych, zwłaszcza dużych gościńców traktowych.

Nasze Koło właśnie w tym roku zamierza podjąć się obsadzenia drzewkami drogi, idącej przez nasze pola. Mamy nadzieję, że w tem dopomogą nam wszyscy i, w miarę swej możności, udzielą ze swoich zadrzewień po parę sztuk drzewek odpowiednich.

Weźmy się wszyscy młodzi za ręce! Wspólnie dopomagajmy sobie w dobrych poczynaniach. Zdaje nam się, że narazie dwie najpilniejsze potrzeby wołają do nas młodych:

**zakładajcie sady wszędzie ale sady porządne**

**i**

**urządzajcie w każdej wiosce straż ogniową!**

Sady! — sady! jeszcze raz sady! — wołamy — zakładajmy! Drzewina, to dar Boży, niezmiernie pożyteczny! Ale miejmy u siebie dobre gatunki; opiekujmy się drzewami bardzo starannie i zdatnie. A gdy już zaczną rodzić, nie oddawajmyż je w dzierżawę żydom. Bo to dla nas, doprawdy, wielka hańba! Jeżeli żyd żyje z naszego sadu, — to znak, że ten nasz sad dałby nam dochodzik sporawy, gdybyśmy tylko przyłożyli swej pracy. A więc sady będziemy mieli, nawet bardzo ładne, gdy my, młodzi, powiemy sobie, że już minął czas zabawy, — a nastał dla nas czas pracy wielkiej i mądrej! Szczęść nam, Boże!

**Antoni Flis** sekretarz. **Józef Mazurkiewicz** przewodniczący.

# Nowiny z Polski.

— Jeszcze w styczniu na szosie pod Kołbielą (powiat mazowiecko-miński) kilku zbójów zatrzymało dwie furmanki z podróżnemi. Było to w nocy. Zbóje grozili rewolwerami i świecili sobie latarką. Widocznie ktoś z podróżnych miał rewolwer, bo strzelił i ranił bandytę, — reszta bandytów jakoś stropiła się, a furmanki, korzystając z tego wydarzenia, ruszyły z miejsca żwawo. Bandyci lękali się ścigać, lecz zdaleka strzelali do jadących i nawet dwuch ranili. Ale policja, zaraz o wypadku zawiadomiona, rozpoczęła poszukiwania pilne i — ranionego bandytę, Franciszka Branickiego, znalazła ukrytego w stercie słomy. Został zaaresztowany, potem wygojony i już 4 marca stanął przed sądem doraźnym, który go skazał na rozstrzelanie. Jakoż niebawem wyrok został na nim wykonany.

— Bardzo bolesne wydarzenie podała do wiadomości „Gazeta Świąteczna". Gromadka gości, zaproszonych na wesele, zabierała się do wyjazdu z domu we wsi Wiśniewie, pod Zambrowem, w stronach łomżyńskich, dnia 17 lutego. Ci goście, niestety, już byli podchmieleni. Jeden z nich, drużba, Mianowski, dobrze już podpity, siedząc na furmance, chciał, gdy konie już ruszyły z miejsca, strzelić z rewolweru, ot tak z uciechy, że jedzie na weselisko! Ale że już miał ręce nieposłuszne, jak to bywa u pijanego, więc zamiast strzelić w górę, strzelił prosto przed siebie. A właśnie nawprost niego siedział rodzony ojciec jego. Kula utwiła w karku ojca. I oto taki był skutek wesołego początku, że niebawem nastąpił smutny pogrzeb. Ojciec z rąk synalka pijanego najniespodziewaniej przedwcześnie musiał ledz w grobie. Takie to bywają następstwa nadużycia trunków!

A tak duzo ludzi ogromnie sprzyja trunkom, widząc w nich dla siebie źródło mocy, zdrowia, radości, nawet pomyślności. A no, widzimy, jakie z tego źródła płyną dobrodziejstwa, ale nie dla pijanych, tylko dla sprzedających! Bo karczmarz tyje i ręce zaciera, klepiąc się po pękatej kieszeni, a ci, co jego trunki piją, krają się nożami na zabawach niby,.. albo zabijają własnych braci i ojców! Okropne zdziczenie i — ogłupienie!

# Rozmaitości.

— W Tokjo, stolicy Japonji, wybuchł pożar, który wprędce ogarnął dużą część miasta. Spaliło się 1730 domów.

— Strasznej zemsty dopuściło się w Wirginji kilku górników. Oto zniszczyli oni jedną kopalnię za to, że przyjęła do roboty pracowników, nie należących do związku. Nie dość, że zniszczyli kopalnię, a więc gotowy warsztat pracy, ale nadto zasypali gruzami kopalni 50 pracowników, zajętych robotą w jej głębinie. Co zawinili ci nieszczęśni? Mściwi złoczyńcy napewno wychowani byli tylko w nienawiści ku ludziom, — zgoła obce im uszlachetniające działanie kultury chrześcijańskiej.

— Dnia 19 marca około godziny drugiej po południu w Ameryce Północnej na dużej przestrzeni trzech wielkich okręgów (stanów) przeleciała niezwykła burza. Wicher był tak mocny, że obalił wiele domów. Od tej klęski postradało życie 1265 osób. Ta burza leciała pasem szerokim na 10 mil, — a przebiegła zgórą 55 mil. Trwała krótko, bo pędziła niezmiernie szybko. Wkrótkim czasie narobiła mnóstwo strat majątkowych i zgotowała bardzo wielu rodzinom żałobę i smutek, — śmierć i kalectwo!

# Wiadomości polityczne.

— Gromada posłów francuskich, którzy należą w sejmie paryskim do związku „przyjaciół Polski", uchwaliła domagać się od swego rządu, żeby oparł się stanowczo wszelkim próbom dokonania choćby najmniejszego zamachu na całość Polski, której nienaruszalność musi być uważana za główny warunek pokoju w Europie.

— Na posiedzeniu sejmu śląskiego w dniu 11 marca poseł Kempka w imieniu wszystkich klubów polskich uzasadnił następujący wniosek nagły: „Wobec ujawnienia niebezpieczeństwa, zagrażającego całości granic Polski, w szczególności wobec ujawnienia dążeń do oderwania Górnego Śląska od Polski a w ten sposób do unicestwienia wolności ludu śląskiego, uroczyście uznaje, że lud polski na Śląsku stać będzie wiernie przy sztandarze Rzeczypospolitej Polskiej i upoważnia rząd polski do zawiadomienia mocarstw zainteresowanych, że lud śląski jest zdecydowany siłą bronić się przeciw wszelkim zakusom naruszenia granic i że ufny w zwycięstwo dobrej sprawy, gotów jest tak samo złożyć ofiarę krwi na ołtarzu Ojczyzny, jak codzienną mrówczą pracą stara się utrwalić podwaliny jej bytu. Nagły wniosek został uchwalony jednomyślnie przez wszystkie stronnictwa polskie. Niemcy głosowali przeciwko wnioskowi.

# Odpowiedzi Redakcji.

— W. Ks. Kanonikowi Telatyckiemu w Opolu. Pieniądze otrzymaliśmy. Dziękujemy za słowa życzliwe.

— W. Ks. S. Witkowskiemu w Dysie. Pieniądze otrzymaliśmy.

— P. K. N. w Piaskach koło Lublina Umieściliśmy — i nadal prosimy o częste listy i artykuły!

— P. Wł. w Piaskach koło Lublina. Zaraz zużytkowaliśmy. Ale prosimy częściej brać pióro do ręki dla „Orła B." Życzenie spełniliśmy.

— Koło Młodzieży w Hrubieszowie. Początki bardzo dobre. Niech rośnie zapał do dalszej pracy pięknej w stowarzyszeniu! Bardzo prosimy pamiętać o „Orle B." — i dawać w nim głos o sobie! Cześć starszyznie i druhnom. Spełniamy życzenie Wasze natychmiast pocztą.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 5 kwietnia 1925 r. № 14.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



✝
Ś. P.

KSIĄDZ ARCYBISKUP

# KAZIMIERZ RUSZKIEWICZ.

Dnia 25 marca r. b. w Warszawie zmarł ks. arcybiskup Ruszkiewicz w wieku lat 89.

Urodził się 5 stycznia 1836 roku w Dzięciołowie, wsi, położonej w powiecie marjampolskim.

Szkołę ukoczył w Marjampolu w roku 1852 — i zaraz wstąpił do seminarjum w Sejnach. Następnie dwa lata uczęszczał do akademji duchownej.

W r. 1858 dnia 11 grudnia otrzymał święcenia kapłańskie w Warszawie z rąk biskupa Macieja Wołonczewskiego. Pracował początkowo na prowincji, — narazie jako wikarjusz parafji Augustów, następnie w Suwałkach. W r. 1862 został przyjęty do archidjecezji warszawskiej i wyjechał do Rzymu, gdzie w wyższej uczelni teologicznej w r. 1864 otrzymał stopień doktora św. teologji.

Po powrocie do kraju był profesorem i wiceregensem seminarjum św. Jana w Warszawie, a od roku 1867 do 1883, więc lat 16, regensem tegoż seminarjum. Na tem wysokiem i trudnem stanowisku położył zasług wiele. Wreszcie od roku 1883 aż do śmierci był proboszczem kościoła św. Krzyża w Warszawie.

W r. 1884 Ojciec św. uczynił go biskupem sufraganem archidjecezji warszawskiej, a sakrę biskupią otrzymał tegoż roku z rąk arcybiskupa Gintowta w Petersburgu. W ostatnich latach życia swego został podniesiony do godności arcybiskupa

Na krótko przed wojną rząd rosyjski wytoczył mu groźny proces z powodu marjawitów. Sąd skazał na kilka lat więzienia. Wojna go ocaliła.

Zawsze odznaczał się wielką pracowitością i serdeczną troską o dobro Kościoła i narodu polskiego. Jako uczony pisarz drukował wiele prac swoich w różnych czasopismach katolickich. Jako biskup odwiedzał pracowicie różne parafje.

Od lat kilku — pisze o nim ks. Szkopowski — złożony na pościel ciężką chorobą, zmożony wiekiem i pracą, znosił ten dopust z prawdziwie chrześcijańskiem poddaniem się woli bożej, oczekując końca sędziwego żywota. My starsi kapłani, stajemy ze łzą w oku nad grobem naszego patryarchy.

On nas zrodził dla kapłaństwa, z jego rąk otrzymaliśmy święcenia, — a wyświecił w ciągu swego biskupstwa 800 kapłanów, — w dniach niedoli udzielał nam rady i otuchy, prawdziwie młodzieńczą radością cieszył się z nami ze zmartwychwstania ojczyzny. Jak zbolałe dzieci rzucamy na jego trumnę grudkę polskiej ziemi, której jako dobry syn przez całe życie był wierny.

Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

# Siła i prawo.

Dawniej, kiedy Polska była w niewoli, każdy polak, czytując wiadomości polityczne w różnych gazetach, zawsze z łatwością zauważył, że rządy mocarstw, zwłaszcza większych, dbały nadewszystko o zapewnienie sobie siły możliwie olbrzymiej! Rozumował bowiem każdy z nich zwykle jednakowo w tym sensie: **im silniejszy będę, tem więcej korzyści dla siebie osiągnę, a już mniejsza o to, czy słusznie.**

Tak tedy przed wojną ostatnią częstokroć dawało się spostrzedz w politycznych działaniach niektórych mocarstw górowanie siły nad prawem. A więc siła miała przewagę, bo przy jej pomocy państwo zawsze mogło najpewniej przeprowadzić wszelkie swoje zamiary, choćby najlichsze!

Które mocarstwo miało w swem rozporządzeniu siłę najpotężniejszą, to zwykle potrafiło słabym ludom narzucić swoję wolę, nierzadko bardzo przeciwną odwiecznym prawom moralnym.

Złe rośnie ustawicznie,—tak mówi stara prawda.

Polityka siły stopniowo stawała się coraz zuchwalsza, przebieglejsza i — nigdy nie nasycona! Tak działo się w bardzo wielu państwach i w ciągu wielu stuleci. Dlatego każde państwo drapieżne ustawicznie najpilniej starało się o wzmożenie swej siły do stopnia najwyższego.

A gdy wreszcie któremu z nich udało się dzięki swej armji wielkiej, zabrać sąsiadowi kawał ziemi, a mieszkańców tamtejszych przerobić na swoich poddanych, już radowało się z takiego nabytku, uważało go za nagrodę swoich trudów i kosztów, wyłożonych na powiększenie własnej armji. Doznane powodzenie zachęcało to państwo do czynienia dalszych poszukiwań, czy gdzie u którego z sąsiadów słabszych, mniej zabiegliwych i niezbyt przezornych, nie da się jeszcze zagarnąć jakiej prowincji.

Takiemi podbojami, spełnianemi w różnych latach w ciągu wielu set lat, niejedno małe państewko urosło w olbrzymie mocarstwo!

Alboż nie w taki sposób właśnie urosły Prusy, Austrja, Turcja, Rosja i Anglja?

Te mocarstwa jak gdyby prześcigały się w pomnażaniu liczby wojska swego i w udoskonaleniu broni. Każde chciało być silniejsze od innych!

Silniejsze! Bo mniemało, że gdy stanie się silniejsze, już przez to samo będzie mu wolno czynić wszystko, co jeno zechce.

Silnemu wszystko wolno!

Takie zdanie utrwaliło się wśród polityków mocarstw silniejszych.

Ale innego zdania były narody słabsze, pokrzywdzone, bo one, przepojone zasadami wiary chrześcijańskiej, niezmiennie powoływały się na prawa moralne, którym z równą uległością powinni poddać się nawet najsilniejsi mocarze!

Prawda, powinni, ale kto ich skłoni do tego? I czy jest na to jaki sposób?

Te pytania zadawali sobie ludzie najlepsi w różnych czasach. Niektórzy z nich, odważniejsi, głośno upominali silnych mocarzy, jako krzywdzicieli, lecz ci drwili sobie z upominaczy bezsilnych!...

Zresztą silni mocarze chytrze osłonili się udaną gorliwością chrześcijańską. Toć przecież oni u siebie, w swoich państwach, bardzo pilnie jakoby opiekowali się religją chrześcijańską! Car rosyjski był głową cerkwi prawosławnej. Cesarz niemiecki zawiadywał w Niemczech religją protestancką. Król angielski uważany jest za zwierzchnika kościoła anglikańskiego. A cesarz austrjacki uchodził za bardzo gorliwego katolika.

I jednak oni wszyscy, jakkolwiek kazali u siebie swoim poddanym przestrzegać nauki Chrystusowej, — sami pierwsi w sprawach politycznych działali występnie przeciw prawom moralnym!

Przykazanie chrześcijańskie mówi: Nie kradnij —nie czyń innym tego, czego nie chcesz, aby tobie drudzy czynili. — A jak się wobec tego przykazania zachowywali mocarze silniejsi?

Oto, krótko mówiąc, ono dla nich nie istniało.

Jedyne prawo dla siebie mieli w swoich bagnetach i armatach.

Gdy chciwie pożądali cudzej ziemi, cudzych bogactw, bo zdawało im się, że przez zagarnięcie cudzej rozległej własności ich państwa staną się bogatsze, potężniejsze, — już starali się zadość uczynić swemu pożądaniu choćby w sposób najgorszy, zbrodniczy. I tego zabiegu swego nie poczytywali sobie za złe. Bynajmniej. Nazywali to przebiegle „działaniem politycznem dla dobra państwo", — „Interes państwa wymaga tego, więc musi to być zrobione! I to już jest dobre, bo z tego państwo skorzysta".

Tak usprawiedliwiali przewrotni mocarze silniejsi wszelkie swoje zabory cudzych krain. Każdy taki zabór był wszakże kradzieżą wielką, czynioną jawnie, publicznie, przy pomocy masy wojska, doskonale uzbrojonego.

Czy godzi się kraść dużo, — a tylko kradzież mała zabroniona jest przez prawo moralne?

Przeto, czy prawo moralne, uświęcone i utwierdzone przez boską naukę Chrystusa, ma granice? nie wszytkich obowiązuje? nie roztacza opieki nad własnością wielką, a tylko strzeże malutkiej? nie broni słabszych, upośledzonych, bezsilnych, lecz jedynie osłania potężnych, najmocniejszych?

Prawda i dobro muszą zwyciężyć! Zwycięstwo ich nastąpi nie nagle. Tak. Lecz musi urzeczywistnić się! Taka wiara i nadzieja żyją w sercach, miłujących prawdę i dobro.

A takich serc jest coraz więcej w świecie—i dlatego postęp moralny dokonywa się ustawicznie, rośnie, potężnieje i zczasem, może wkrótce, te serca wydadzą okrzyk radosny: Prawda i Dobro zwyciężyły całkowicie!

Gdy wojna wybuchła w r. 1914, Niemcom chodziło nie o obronę siebie, bo przecież nikt je nie napadał, —lecz o nowe zdobycze, o zagarnięcie dalszych przestrzeni obcych, sąsiadujących z niemi. Niemcom zdawało się, że nowa zdobycz dostanie sie im bardzo łatwo, bo zbroiły sią długo, nagromadziły olbrzymie zastępy wojska i przemyślnie udoskonaliły u siebie śmiercionośne narzędzia.

Jednak na szczęście dla świata, doznali zawodu grubego! Oto ostatnia wojna światowa od 1914 do 1918 r. odznaczyła się szczegółem niezwykłym, którego poprzednie wojny wcale nie miały, — bo w tej wojnie kilka państw sprzymierzonych wystąpiło przeciw Niemcom nie tylko w obronie własnej niepodległości, ale i ta jeszcze myśl im przyświecała, ażeby ostatecznie raz na zawsze odjąć Niemcom ochotę do grabienia cudzej własności, do opanowania świata i grożenia mu ciągle swoim kułakiem mocniejszym, najlepiej uzbrojonym!

Już czas wielki uśmierzyć w niemcach gorączkę wojskową i rozkrochmalić pychę żołdaka niemieckiego, opartego o swoję najtęższą armatę, którą zamierza z całego świata, za wyjątkiem niemieckiego faterlandu, zrobić gruzy!

Już więc tym państwom, sprzymierzonym przeciwko Niemcom, zachłanność niemiecka bardzo dotkliwie dała się we znaki. Już nareszcie aż nazbyt dostatecznie przekonały się, ile złego światu wyrządza to państwo, które wierzy tylko w siłę swoich bagnetów, a, pogardliwie depcąc prawa moralne, dogadza jedynie swojej chciwości i pysze!

Tak zachowujące się państwo, staje się strasznem dla sąsiadów, a przez swój przykład zgubnem dla świata całego.

Przeto trzeba raz koniec położyć zasadzie, przewodniczącej Niemcom: **siła przed prawem!**

Precz z taką zasadą!

A natomiast niech świat cały uszanuje

**prawa moralne**

i ulega im zawsze nietylko w życiu prywatnem, ale też i w życiu narodowem, więc i w swoich działaniach politycznych!

Taka myśl moralna zjednoczyła kilka mocarstw przeciwko Niemcom. Dość trudno było tym narodom pokonać niemców, bo przecież niemcy zbroili się bardzo długo, zdawna przygotowali się do wojny, podnieśli swoję siłę bojową do potęgi niezmiernej! Musiała przeto wojna z niemi być straszną, zaciekłą, rujnującą i bardzo przewlekłą. Jednak i na niemców, łaknących zagłady świata, znalazły się sposoby: oto na pomoc Europie pospieszyła Ameryka, a przytem wielce do obaleniaich przyczynił się genjusz wojskowy wodza francuskiego, Fosza.

Tak Niemcy zostały zwyciężone!

Dnia 5 października 1918 roku — pisze profesor Kutrzeba — zwróciły się Niemcy, Austrja i Turcja (skuszona do wojny przez niemców) do prezydenta Wilsona z prośbą o zawarcie pokoju, przyczem przyjęły warunki, określone w jego czternastu punktach z 8 stycznia 1918 roku i w dodatkowych późniejszych deklaracjach.

Warto w tej chwili, choć króciuchno, poznać myśl przewodnią Wilsona, który Europie, zagrożonej przez niemców, pospieszył z ratunkiem skutecznym.

Jest rzeczą bardzo niebezpieczną — pisze prezydent Wilson — opierać zagraniczną politykę narodu na warunkach interesu materjalnego... Nie myślę,.. że zagadnienia dzisiejsze są tylko zagadnieniami polityki i dyplomacji. Są one przeniknięte nawskroś pierwiastkami życia. **Nie wolno nam odchodzić od zasady, że moralność, a nie wzgląd na korzyści materjalne jest tem, co nas winno prowadzić...**

Złota zasada stała się teraz bardzo głośna, a nawet górująca!... Toć nie byle kto powołał się na nią, bo sam Wilson, głowa państwa wielkiego, bogatego i znakomitego, jakiem bezsprzecznie są Stany Zjednoczone!

Wilson nie dla zamydlenia oczu światu przypominał mu, co ma być przewodnią jego zasadą, co powinien uszanować i spełnić!..

Nie wolno **nam** (wszystkim, bez wyjątku) odchodzić od zasady, że **moralność jest tem, co nas** (wszystkich bez wyjątku) **winno prowadzić....** nietylko w życiu prywatnem, ale i państwowem,.. politycznem!...

Głosił tę zasadę złotą Wilson nie z bojaźni o swoje państwo, bo przecież stać je na siłę olbrzymią, która zmiażdżyłaby niejednego wroga! Głosił ją też nie obłudnie, bo dobrze wiadomo wszystkim, że Stany Zjednoczone u siebie staranniej, niż inne państwa, szanują prawa moralne w każdej dziedzinie życia swego.

Wilson, głosząc tę zasadę złotą, dodał odwagi wielu w Europie znakomitszym ludziom uczciwym, którzy odrazy skupili się koło tej zasady, uczynili ją swoim ideałem moralnym, głośnym, górującym, przewodnim!

Już dziś ten ideał moralny i w Europie wzbił się bardzo wysoko. Już sporo narodów spogląda na niego z czcią wielką, widząc w nim prawo boskie ratujące życie, godność, niepodległość i owoce pracy narodów, nawet najsłabszych!.

Już ten ideał nie zgaśnie! W jego obronie dziś stanie wiele narodów, bo on przecież osłania je przed każdym brutalnym czcicielem silniejszego kułaka!

Już ten ideał dziś zajął poczesne miejsce w polityce światowej. Jest on na ustach wielu najgłośniejszych polityków i najlepszych mężów, stojących na czele narodów krzepkich i światlejszych.

Dowód na to mamy zaraz bardzo przekonywający w prezydencie państwa czeskiego, Masaryku.

Tomasz Masaryk, dziś ma lat 75, a na przewodnika swego narodu czeskiego — tak o nim pisze Zdzisław Dębicki, redaktor „Tygodnika Illustrowanego",—urósł nie z przypadku, nie z „gwiazdy szczęśliwej", lecz z twardej pracy całego życia, z miłości dla swego celu, z bezgranicznego poświęcenia mu wszystkich swoich spraw osobistych.

Był sam kowalem swojego losu — on, syn ubogiego fornala wiejskiego, w chłopięcych latach uczeń ślusarski, w dojrzałych — profesor uniwersytetu, naprzód wiedeńskiego, potem praskiego (w Pradze, stolicy Czech), filozof i socjolog, znakomity pisarz i publicysta, którego dzieła są chlubą piśmiennictwa czeskiego.

Wojna zastała go już na stanowisku moralnego przewódcy narodu. Miał w Czechach powagę i posłuch, jakiego nie miał nikt inny. Skupiło sią dokoła niego całe niemal społeczeństwo czeskie. Poparły go wszystkie stronnictwa polityczne, wszystkie odłamy opinji. I młodzież przy nim stanęła. Jedynie

ci byli mu przeciwni, którzy i nadal chcieli stać wiernie przy Austrji.

Rozumie się, został przez Austrję uznany za zdrajcę, bo przecież chciał, korzystając z wojny, uczynić Czechy krainą niepodległą. Było to wówczas przedwczesne, bo jeszcze Niemcy i Austrja prowadziły wojnę dość pomyślnie, więc Masaryk, skazany przez sąd austrjacki na śmierć, musiał uciec z kraju rodzinnego. Ale i na tułaczce po obcych krajach nie przestał służyć sprawie swego narodu. Oto zwracał się do niektórych rządów i znakomitych polityków z przedłożeniami swemi, przekonywając o potrzebie podania ręki pomocnej narodowi czeskiemu, ażeby mógł wyzwolić się z niewoli austrjackiej.

Tak Masaryk **„budził sumienia ludzkie, rozgrzewał serca“**, iżby przestały czcić kułak silniejszy, natomiast posłusznie ulegały prawom moralnym, które niepodzielnie powinny roztaczać skuteczną opiekę nad życiem samoistnem każdego narodu, nawet najsłabszego.

Odwiedził podczas wojny wiele krain, rozmawiał z wieloma rządami, nawet trafił do Wilsona i jego przychylność zjednał dla swej ojczyzny. Dokazał swego. Czechy uzyskały niepodległość, a w nagrodę za to naród czeski jednomyślnie wybrał go na swego prezydenta.

Kto wie, — pisze dalej redaktor Dębicki, — czy działalność naukowa Masaryka nie była głównym fundamentem jego popularności zarówno w kraju rodzinnym, jak wśród obcych narodów.

Cóż bowiem Masaryk głosił, jako uczony?

Głosił cześć dla prawdy, prawa i sprawiedliwości.

Głosił szczery demokratyzm, oraz życzliwość, opartą na ideałach chrześcijańskich, a nadto głosił **potrzebę moralności w życiu prywatnem i w życiu publicznem.**

**Nie wierzył on w odrodzenie narodów bez moralnego odrodzenia każdego poszczególnego człowieka. Nie wierzył w powodzenie polityki, która kłamie i oszukuje. Żądał oparcia jej na podstawach moralnych. Był jednym z niewielu głosicieli moralnego stosunku narodu do narodu—i państwa do państwa,—wyższości porządku moralnego i praw sumienia nad interesem politycznym i gospodarczym.**

Był pod tym względem podobny do Wilsona.

Wprawdzie politycy czescy nie zawsze bywali wierni zasadom Masaryka, zwłaszcza w stosunku do zmartwychwstającej Polski, — wszelakoż, — dodaje od siebie redaktor Dębicki — nie umniejsza to w niczem wartości ideałów moralnych Masaryka, jako ideałów, czyli myśli przewodniej dla działalności politycznej każdego narodu, bo **te ideały wcześniej czy później na świecie muszą zwyciężyć!**

Za to — tak kończy Dębicki — że te ideały moralne głosił, że były i są one jego wiarą, że pod ich chorągwią stał wiernie przez całe życie i stoi dzisiaj, w 75-ą rocznicę swoich urodzin, za tę stałość charakteru i woli, za bezinteresowność jego służby ojczyźnie, którą miłował nadewszystko, pracując dla niej całą duszą, czcimy go narówni z Czechosłowakami.

Stosunki nasze z Czechosłowacją nie są jeszcze w tej chwili uregulowane, ale polepszyły się one już znacznie i niewątpliwie w dalszym ciągu polepszać się będą ku pożytkowi obu państw: Polski i Czechosłowacji, oraz obu narodów: polskiego i czechosłowackiego.

Jesteśmy pewni, że stanowi to troskę prezydenta Masaryka, należy on bowiem do tych niewielu czechów, którzy rozumieją, że **bez niepodległej Polski niema niepodległych Czech.**

I znowuż w tem ostatniem zdaniu odzywa się potrzeba wspólnej obrony przed silniejszym kułakiem, który gotowy jest słabsze krainy zagarnąć pod swoją władzę, a ich mieszkańców uczynić niewolnikami i wynarodowić bezlitośnie, jeśli te krainy nie zjednoczą się pod wspólnym ideałem moralnym, wyznawanym przez Wilsona, Masaryka, Fosza i bardzo wielu innych, im podobnych mężów znamienitych,—a wyrażającym się w zdaniu:

**Precz z kułakiem silniejszym! Nie on, lecz tylko prawa moralne powinny utrzymywać w należytych karbach życie każdego człowieka poszczególnego i życie wszystkich narodów bez wyjątku!**

Niektóre narody europejskie przedewszystkiem dla swego dobra już nie wyrzekną się tego ideału moralnego, owszem, niejako oburącz trzymać się go będą. I właśnie one od dłuższego czasu pracują po wspólnem porozumieniu się, nad ściślejszem zespoleniem się w polityczny związek narodów, który stać się musi potęgą wielką, zdolną którykolwiek naród, dość przewrotny, zbytnio sobkowaty, lubiący silniejszym kułakiem własnym grozić sąsiadom spokojnym, — zmusić do ustatkowania się i do uległości prawom moralnym!

Taki związek, dziś już bardzo mocny, zjednoczy Francję i Polskę.

Dwa tedy narody, francuski i polski, uroczyście i publicznie wobec świata całego sprzymierzyły się świadomie, mądrze i serdecznie po to, ażeby podług ideału moralnego, wyrażonego przez Wilsona, zapewnić prawom moralnym poszanowanie i posłuch w działaniach politycznych tych narodów przynajmniej, które zobowiązały się spełniać warunki wersalskiego traktatu pokojowego.

Skrzyński, polski minister spraw zagranicznych, przebywając chwilowo w Paryżu d. 15 marca wobec wielu słuchaczów tak się był wyraził między innemi: „Wierzę w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości i zasady solidarności ludzkości.“ A dalej tak powiedział: **„Niemożliwe jest osiągnięcie bezpieczeństwa bez poszanowania zasad sprawiedliwości, która jest przedewszystkiem równością wszystkich przed prawem moralnem“...** W końcu nadmienił: Oswobodzenie ludów z pod władzy kułaka mocniejszego nastąpi wówczas, kiedy sprawiedliwość, a więc prawa moralne wezmą górę nad siłą pięści!

Jednak do takiego triumfu sprawiedliwości niezawodnie przyczynią się tylko te narody, które solidarnie, to jest przyjaźnie i wspólnie, bronią praw moralnych.

A że i Francja tak samo myśli, mamy dowód w słowach, przez Herriota, francuskiego ministra

spraw zagranicznych, wyrzeczonych bardzo niedawno, bo 28 marca. Te słowa jego brzmią tak: „Rząd francuski rozważa jaknajtroskliwiej wysunięte zagadnienie (o bezpieczeństwie granic Polski od strony Niemiec), lecz **nie dopuści nigdy myśli zawarcia takiego paktu bezpieczeństwa, który mógłby zblizka, lub zdaleka naruszać prawa jej sprzymierzeńców. Co się tyczy Polski, to nigdy nikt nie myślał o tem, aby zaprzeczyć mocy obowiązującej terytorjalnego stanu posiadania Polski, lub choćby tylko czynić przedmiotem dyskusji ustalone traktatem wersalskim granice Polski**".

Inna depesza z tego samego dnia 28 marca donosi z Paryża takie słowa Herriota, powiedziane na wspólnem posiedzeniu komisji finansowej i spraw zagranicznych senatu francuskiego: **„Polska**—mówił Herriot—**nie powinna się niepokoić, Francja nie zamierza bynajmniej lekceważyć jej interesów"**.

Polska, jak każde inne dobrej woli państwo, pragnie dla siebie pokoju, więc nic innego nie żąda od każdego państwa, a przeto i od Francji, jak tylko poszanowania praw moralnych i stosowania się do nich wiernie zarówno w życiu prywatnem, jak i w działaniach politycznych. A tego właśnie niektóre państwa, jak np. Niemcy, nie myślą przestrzegać!

Niemcy mają na uwadze swoje korzyści i pożytki — i dla dogodzenia sobie w tem gotowe są pokrzywdzić sąsiada mniej mocnego, gotowe zabrać mu kawał ziemi i sporą ilość mieszkańców, a za całe usprawiedliwienie tej grabieży mają na podorędziu taką wymówkę: To mi się przyda, więc to wezmę, bom silniejszy od ciebie, bo mój kułak potężniejszy od twego!

Co się tedy wobec takiego rabunku jawnego stać musi ze sprawiedliwością powszechną? Kto bronić jej obowiązany?

Od czegóż są prawa moralne, jednakowe dla wszystkich ludzi bez wyjątku? A wszakże te prawa moralne stają na straży każdej cudzej własności,—na straży cudzych praw do życia niepodległ!

Czy jest więc jaki sposób do zmuszenia takich rabusiów politycznych, iżby i oni zawsze we wszelkich swoich działaniach, chcąc—nie—chcąc, trzymali się linji praw moralnych?

— Jest!

— Jaki?

— Oto niech narody dobrej woli, które same zobowiązały się niezmiennie przestrzegać praw moralnych, zjednoczą się w jeden wielki związek i przez to staną się silniejsze, potężniejsze! A wówczas dopiero będą w stanie każde inne państwo sobkoskie, przewrotne, **zmusić do poprzestania na swojem, a nie sięgania po cudze!**

Słowem, państwo, szanujące prawa moralne, musi być silniejsze od tego, które wierzy jedynie w swój zły kułak silny.

Sile rabusia trzeba przeciwstawić większą siłę obrońcy praw moralnych!

Zatem, nie dość być dobrym, ale nadto jeszcze trzeba być silnym po to, żeby złego trzymać w karbach praw moralnych, nie dopuścić go do pokrzywdzenia słabszych!

O, tak! I dobremu niezbędna jest siła olbrzymia!..

Każdy moralnie dobry jej potrzebuje tak samo, jak, dajmy na to, każdemu dobremu gospodarzowi, pracującemu na roli, przydadzą się niezgorsze płoty, mocne drzwi i tęgie, przemyślne zamki...

Nie dość być ostrożnym, ale zarazem trzeba być silnymi — Życie przeto daje przestrogę właściwą, wołając do każdego:

**— Bądź dobry, ale i silny, nawet silniejszy od złego, jeśli chcesz przyspieszyć triumf praw moralnych, a przegraną złej pięści!...**

# Bądź silnym!

Bądź silnym, bracie! Skrzydłami orlemi
Bij chmury, co ci grożą nawałnicą....
Nas dnie tak smutne, tak ciężkie zrodziły,
Że wielkiej ducha potrzeba jest siły,
By nie zagasnąć krwawą błyskawicą
U jakiej wczesnej, samotnej mogiły,
Lecz żyć na pełnej łez ziemi

Bądź silnym! Niech twe młodziencze ramiona
Podźwigną brzemię, uniesień twych godne....
Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy....
Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,
Póki choć jedno serce, prawdy głodne,
Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia:
Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
W ciszy własnego istnienia!

Bądź silnym! Życie swą wagą przygniata
Tych, co bez steru, bez woli, bez mocy,
Wśród tłumu zjawisk i sprzeczności świata
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk skróś nocy...

Ziemia się na nich nie wesprze, zaiste!
A ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy
Tych, co przed walką cofnąwszy się — giną
I po za duchów wytrwałych dziedziną
Tak znikną, jako ów cień tajemniczy,
Gdy wschodzi słońce przeczyste.

Bądź silnym! Ziemia pod stopą się chwieje...
Stać trzeba z męskiem wytrwaniem wśród burzy....
Ten, kto nieść będzie pochodnię—nadzieję
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim—ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała, —
Ten tylko miano „dzielnego" wysłuży
W nieśmiertelności błękitach.

**M. Konopnicka.**

---

Tylko wielkie serca rozumieją, jak chlubna i zaszczytną jest rzeczą być dobrym! Na to, żeby być dobrym, nie wystarcza bynajmniej mieć szczęśliwą naturę, wymaga to wielkiej siły moralnej, niekiedy bohaterstwa!..

**Juljusz Michelet.**

# Grób Pański.

Wielki Tydzień przenosi myśli nasze na Kalwarję i do Grobu Zbawiciela w Jerozolimie.

Obecnie atoli jeszcze inne powody zniewalają nas do pomyślenia o tych miejscach świętych. Oto przecież mamy teraz Rok Jubileuszowy — i właśnie Ojciec św., Pius XI, tym wszystkim katolikom, chcącym dostąpić odpustu jubileuszowego, wskazał dla modłów intencję między innemi taką:

**„aby sprawy Ziemi Świętej tak się ułożyły, jak tego wymagają najświętsze prawa katolickie".**

To znaczy:

**„aby Ziemia Święta, zroszona krwią Zbawiciela, nie została całkowicie oddana pod zarząd nieprzyjaciół Krzyża Świętego".**

A na to się zanosi w czasach ostatnich.

Wystarczy przytoczyć choćby jedną z najświeższych depesz zagranicznych. Naprzykład pod datą 1 kwietnia czytamy taką wiadomość telegraficzną z Paryża: **„Obecność Bolfoura** (ministra angielskiego) **na uroczystości otwarcia uniwersytetu żydowskiego w Jerozolimie jest nietylko dowodem uznania ze strony Anglji praw żydów do Palestyny, lecz również dowodem zawarcia układu, a może nawet tranzakcji handlowej. Anglja zyskała sobie wdzięczność, a może i posłuszeństwo u żydów. Zdobywanie obszarów w Palestynie przez judaizm jest olbrzymim triumfem ducha, dla Anglji zaś jest rzeczą korzystną brać udział w tym triumfie".**

Depesza ta świadczy, że świat głęboko i trafnie przenika zamiary Anglji, tak bardzo usilnie i przemożnie pomagającej żydom w opanowaniu przez nich Ziemi Świętej.

Anglja nic nie robi bez przyczyny! Jej nie chodzi o przypodobanie się żydom. Ona chce, jak wyraża się powyższa depesza, zapewnić sobie nie tylko wdzięczność, ale i **posłuszeństwo żydowskie.**

Toć wiadomo Anglji doskonale, że żydzi są „nieprzyjaciółmi Krzyża świętego". Czyżby więc Anglja chciała pod władzę tych nieprzyjaciół oddać Kalwarję, Grób Pański i inne miejsca tak święte i czczone przez cały świat chrześcijański?

Chyba niepodobna przypuszczać? A jednak, znając zachłanność i przewrotność żydów, spodziewać się tego po nich należy.

Czy Anglja chce tego? Widocznie, bo przecież świadomie i dobrowolnie ułatwia żydom opanowanie Palestyny.

Ale nietrudno zamiary Anglji odgadnąć, gdy zważy się tę okoliczność, że żydzi, jako naród słaby, dokoła otoczony, tam w Palestynie, przeważającą siłą Arabów, — sami nie potrafią ostać się przy władzy bez pomocy i ciągłej opieki Anglji. Zatem żydzi, żeby zawsze mieć zapewnioną sobie pomoc angielską, w niejednem będą bardzo posłuszni Anglji.

Otóż anglicy, jako chrześcijanie, zpewnością sami ograniczą władzę żydowską odnośnie do miejsc świętych w Palestynie, dla wszystkich chrześcijan tak bardzo drogich i czcigodnych! I w ten sposób naród angielski zmierza do zapewnienia sobie głównej, pierwszorzędnej opieki nad Kalwarją i Grobem Pańskim!

Słowem, Anglja chce być główną opiekunką Ziemi Świętej.

Znaczenie tych zamiarów angielskich stanie się zrozumiałem dla każdego katolika, który przeczytał bardzo ciekawą książkę księdza M. D'Herbiny'ego p. n. „Anglikanizm i prawosławie grecko-słowiańskie".

Najprawdopodobniej anglikom chodzi o to, żeby oni we wszystkich dziedzinach życia narodów cywilizowanych mieli przewagę w świecie stanowczą i mocną! Już biorą górę w polityce, mają pierwszeństwo w handlu, przemyśle, sile wojennej, — a teraz, posługując się żydami, sięgają po przewodnictwo dla siebie w sferze religijnej!

Ale to im się udać nie może! Anglicy przecież, jakkolwiek pocichu, ostrożnie, usiłują podkopać potęgę Kościoła Chrystusowego, rzymsko-katolickiego.

Przeto i nam, polakom, jako katolikom, nie mogą być obojętne zamiary Anglji, sięgające po główną opiekę nad Ziemią świętą. Tędy bowiem wiedzie droga do przewagi w świecie wiary...

Tak Kościół anglikański chciałby przodować wszystkim innym wyznaniom chrześcijańskim, a szczególniej radby uzależnić od siebie Kościół katolicki...

Drogą nam jest wiara nasza święta, rzymsko-katolicka, — przeto też drogą chwała Kościoła Katolickiego, jako prawdziwie Chrystusowego! Bo Zbawiciel tylko jeden Kościół swój zbudował **na opoce Piotrowej.**

Ta opoka Piotrowa tam, gdzie grób świętych Piotra i Pawła, — a więc w Rzymie.

Stolica Apostolska opiekuje się grobami świętych apostołów, Piotra i Pawła, a więc i grobem pierwszego Namiestnika Chrystusowego! Zatem i opieka nad Grobem Pańskim głównie powinna przysługiwać Stolicy Apostolskiej, — czyli Kościołowi Katolickiemu, który ziści te słowa Zbawiciela: „I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni; i one potrzeba, abym przywiódł: i słuchać będą głosu mego: i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz".

Grób Pański jest nietylko najdroższą dla wszystkich chrześcijan relikwią, lecz nadto stanowi jakby główny ołtarz Kościoła Katolickiego. Bo wszakże w Grobie spoczęło Ciało Chrystusa po spełnieniu Krwawej Ofiary na Krzyżu, — zatem odtąd Grób Pański uważany jest za symboliczny ołtarz, na którym sprawuje się Ofiara Niekrwawa Chrystusa za grzechy świata. I istotnie na tym Grobie odprawiana bywa Msza św.

Wygląd Grobu tak przedstawił ksiądz Wincenty Miś, który w r. 1909 odbył wspólnie z wielu rodakami pielgrzymkę do Ziemi św:

„Grób Pański jest małą grotą na 2 m. 7 cm. długą, — 1 m. 93 cm. szeroką i 2 m. 50 cm. wysoką. Cała grota wyłożona jest białym marmurem, bo inaczej pobożni pielgrzymi, mimo surowego zakazu, wykruszyliby ją na pamiątkę dla siebie i innych.

„Po prawej, to jest po północnej stronie, jest ława kamienna, na której Najświętsze Ciało Zbawiciela oczekiwało zmartwychwstania. Ławy tej jednak

nie można dziś widzieć, gdyż od wieków pokryta jest płytą marmurową i bardzo rzadko odkrywano ją. Nad tą ławą odprawiają się Msze św.

„W Grobie Pańskim palą się 43 lampy srebrne, a mianowicie: 13 od Łacinników, 13 od Greków, i 4 od Koptów.

„Grób Pański jest obecnie w posiadaniu trzech wyznań, t. j. Łacinników i schizmatyckich Greków i Ormian.

„Wszyscy katolicy mają wolny przystęp do Grobu Pańskiego, a Ojcowie Franciszkanie, prawowici jego stróże, odprawiają na nim codziennie trzy Msze św.

„Dałby Bóg, — pisze ks. Miś, — żeby Grób Zbawiciela stał się zarodem zjednoczenia wszystkich chrześcijan pod jednym najwyższym pasterzem."

Juljusz Słowacki, znakomity poeta polski, odbył pielgrzymkę do Ziemi św. Tak o swoim pobycie tam pisze w liście do matki te słowa:

„W Jeruzalem stanąłem d. 13 stycznia 1837 r.

„Z dnia 14 na 15 stycznia miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... Na wspomnienie tej nocy łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nademną płonęło 43 lamp. Miałem biblją, którą czytałem do 11-tej w nocy. O pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili votum odmawiać co dnia pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali w kamień, a potem przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził wszystkich. Różne wiary, każda mająca swoję mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. O drugiej w nocy ksiądz rodak (Maksymiljan Ryłło) wyszedł ze mszą, a ja, klęcząc na tem miejscu, gdzie Anioł biały powiedział Magdalenie: „Niema go tu, zmartwychwstał!", słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami".

# Skon.

I skonał Zbawiciel... Pod krzyżem poczesna
Drużyna została. Z nią Matka Bolesna
Została.

Zostali pod Krzyżem, choć Mistrz już nie żyje,
Zostali, — bo w sercach ich wiary moc bije.
Zostali, bo wierzą: — nim trzykroć się zmieni
Dzień z nocą — powstanie i w świetle promieni
Chwalebnie żyć będzie i święty znak Krzyża
Nad światem zawiesi.

Godzina się zbliża.
I pieśń już rozbrzmiewa żałobna i smutna.
Nikodem z Józefem zwinęli już w płótna
Chrystusa zmarłego. — Tak starym przykładem
Złożyli do grobu...

Lecz chociaż jest w grobie, pod ciężkim był głazem,
To wiara Weń przecie nie zgasła z Nim razem,
Wszak wierzą Marya i ucznie. Nim trzeci
Poranek wieżyce oświeci,
Nim serce zbolałe zapomni swej straty,
Nim wiosna rozwinie lilje i kwiaty,
Nim księżyc na niebie przybierze kształt słońca,
Nim Piłat do Rzymu spiesznego pchnie gońca,
Nim stratę Jezusa kapłani — książęta
Za słuszną ogłoszą. Nim skończą się święta —
Ten Chrystus, co teraz legł w grobie —
Powstanie i pełen triumfu po globie,
Zwycięski liść będzie, — że łez ich strumienie
Zamienią się w radość, w wesele — cierpienie
Ze Krzyża znak święty, jak słońce na niebie,
Wciąż świecić im będzie w życiowej potrzebie,
Ze Chrystus trzeciego dnia zmartwychpowstanie,
Na niebie i ziemi rozpocznie — władanie!

**Jerzy Bystrzycki.**

---

Dwie rzeczy przejmują mnie czcią: nademną — w noc pogodną — gwiaździste niebo, — a we mnie — zawsze — sumienie...

**Kant.**

---

# Czas i praca.

Co skłoniło duńczyków do łączenia się w tak liczne towarzystwa?

Chyba nic łatwiejszego nad odpowiedź na to pytanie. Każde dziecko, już cokolwiek roztropniejsze, gdybyśmy zadali mu to pytanie, trochę pomyślawszy nad niem, zpewnością odpowiedziałoby rezolutnie bez omyłki tak:

— Wspólna chęć pomagania sobie wzajemnie w każdej trudniejszej robocie.

Tak!

Jednak nie dość mieć wspólną chęć pomagania sobie wzajemnie.

Już obecnie zechciejmy drobiazgowo rozpoznać początek zakładania stowarzyszenia i zarazem warunki, zapewniające mu powodzenie.

Otóż zanim w ludziach zjawi się chęć pomagania sobie wzajemnie, pierwej musi w nich zabłysnąć myśl nowa o wartości i potrzebie korzystania z pomocy drugich.

Znane przysłowie stare mówi, że „gromada—to wielki człowiek".

Wielki—w jakiem znaczeniu? Czy w sile, czy w rozumie?

I w jednem i w drugiem Bo oba czynniki zawsze są niezbędne w każdej pracy zarobkowej.

Nikt chyba nie jest tak zarozumiały, ażeby zdobył się na zdanie o sobie, że sam umie wszystko, a pomoc obca jest mu zgoła niepotrzebna. Takiego mniemania nikt nigdy nie będzie o sobie, jeśli ma bodaj odrobinę rozumu zdrowego!

Nadto jeszcze przypomnijmy tu zdanie bardzo mądre, które niegdyś powiedziałby! nasz poeta, Mickiewicz:

**„Dobra rada częstokroć lepiej, niż grosz się nada".**

W każdej robocie, nawet bardzo zwyczajnej, pospolitej, — **dobra rada** nierzadko okazuje się niezmiernie pomocną.

Naprzykład, dojenie krowy, albo karmienie jej, uchodzi powszechnie za robotę nadzwyczaj łatwą...

A jednak dziś osobna nauka o hodowli bydła — już podała najlepsze wskazówki niezbędne, jak trzeba doić i karmić krowę,—żywicielkę rodziny wiejskiej,— ażeby dawała mleka dużo.

Dziś o tych prawdach już wiedzą wszyscy gospodarze światlejsi. A tu przypominamy je po to jedynie, żeby tak zwykłemi przykładami wyjaśnić, jak do powodzenia w każdej robocie jest niezbędna dobra rada.

Ale na nią nie zdobędzie się każdy człowiek bez pomocy innych. Bo dobra rada najczęściej pochodzi bądź od nauki, bądź od poszczególnych ludzi światlejszych, posiadających sporo wiedzy.

Im więcej światlejszych i obeznanych z naukami ludzi posiada który naród, tem skłonniejszym się staje do tworzenia u siebie różnych stowarzyszeń.

Czemu? — Bo im głupsi, czyli ciemniejsi są ludzie, tem większą odznaczają się zarozumiałością, nieufnością i niechęcią jedni ku drugim. Tacy ludzie rzadko się jednoczą dla wspólnej roboty i to tylko na krótką chwilę, dajmy na to, dla podniesienia wozu, który przewrócił się na drodze. Oni są jeszcze zagłupi do zrozumienia wartości i potrzeby pomocy wspólnej w każdej robocie zarobkowej.

Dopiero, gdy są ludzie dość światli i zaopatrzeni w spory zasób wiadomości naukowych, już oni nie tylko potrafią zdobyć się na dawania innym dobrej rady, — ale też i sami chętnie, nawet skwapliwie, biorą od innych dla siebie dobre rady.

To znaczy, że im kto jest światlejszy, tem pokorniejszym się staje, tem mniej górnie myśli o sobie, bo widzi lepiej w sobie różne braki i niemoce, nadto dokładniej rozumie niezbędność zasięgania dla siebie u drugich pomocy myślowej, naukowej i pieniężnej.

Im światlejszy jest człowiek, tem mocniej jest przekonany, że bez pomocy wielu ludzi nigdy się nie obejdzie! Owszem, pomoc mu zawsze, a osobliwie w każdej pracy zawodowej, jest poprostu niezbędna.

Duńczycy właśnie dlatego tak chętnie, łatwo i doskonale tworzą u siebie liczne stowarzyszenia, że są bardzo światli.

Mają mnóstwo szkół, wybornie działających,— mają też mnóstwo kół oświatowych, bibljotecznych. Każdy duńczyk nie tylko czytać i pisać potrafi, nie tylko posiada niezbędną wiedzę szkolną i zawodową, — lecz nadto lubi czytać książki powieściowe i — nawet naukowe!.

O pracach oświatowych duńczyków pomówimy za tydzień.

# Nowiny z Polski.

— W Henrykowie pod Warszawą powstała straż ogniowa i w tych dniach urządziła u siebie uroczystość poświęcenia sztandaru swego, nadto podziękowała miejscowemu obywatelowi, p. Leonowi Hajdżonnemu, który ofiarował jej na własność plac, obszaru 7 tysięcy łokci kwadratowych. Dar hojny, ale i straż ogniowa zasłużyła na niego, bo jest przecież instytucją niezmiernie pożyteczną.

— W Glinianach wszczął się pożar, który zniszczył 63 zabudowania. Około 200 osób zostało bez dachu nad głową. Zpewnością tam, w Glinianach straży ogniowej niema!

— A zaś we Włostowicach, pod Puławami, zgoła inaczej stało się z pożarem, który dnia 28 marca pod wieczór wyniknął od pioruna podczas burzy. Ogień objął zabudowania, należące do Błażeja Szczypy i Szczepana Pawłowskiego. I już zdawało się, że straszny żywioł zniszczy wiele innych budynków, gęsto, tuż obok siebie stojących. Ale nie dopuściła do tego dzielna straż ogniowa włostowicka, sprężyście kierowana. Wprędce opanowała ogień. Na pomoc jej przybyły dwie inne straże z sąsiedztwa, ale już mało miały roboty. Ogień zniszczył tylko dwie stodoły i dwie obory. Oto co znaczy straż ogniowa na miejscu. Istotnie jest ona dla każdej wioski i miasteczkach prawdziwem dobrodziejstwem!

— Kraków, prastare i piękne miasto polskie, posiadające tyle pamiątek z czasów dawnych, a przedewszystkiem groby zasłużonych polaków, daje w ostatnich czasach niejeden zły przykład rodakom. Oto niedawno ogłoszono wiadomość bolesną, że aż pięć domów polskich sprzedano tam żydom! Takich sprzedawczyków nazwiska należy opublikować. Niech cały naród potępi ich, jako okrutnych krzywdzicieli swoich!

# Wiadomości polityczne.

— Francuz, Andrzej Fribourg, członek wyższej rady wojskowej i zarazem poseł do parlamentu paryskiego, osobisty przyjaciel Herriota, w rozmowie z politykami polskiemi, wyraził się między innemi tak

„We Francji zdajemy sobie dokładnie sprawę, że rewizje jednej granicy pociągnie niechybnie za sobą rewizje innej granicy i równie niechybnie zakończy się żądaniem rewizji granicy zachodniej Niemiec.

„Dlatego też, broniąc energicznie Herriota, bronimy obrońcę traktatu wersalskiego, bronimy kontynuatora idei wielkiej rewolucji francuskiej, która głosiła hasła niezależności ludów i wyzwolenia ich z pod cudzej opresji. Lecz nie tylko dlatego jesteśmy przyjaciółmi Polski. Wielu pośród nas dobrze rozumie, że przymierze polsko-francuskie nie jest zwykłem przymierzem dwóch wielkich narodów, ale jest czemś więcej, jest wiekową tradycją obu narodów zdawna zaprzyjaźnionych. I Herriot rozumie to może lepiej, niż inni francuzi. Musimy obecnie dążyć do tego, aby i anglicy to zrozumieli. Niestety, anglicy nie zdają sobie sprawy, że kwestja bezpieczeństwa nie może być podzielona na kilka kwestyj bezpieczeństwa, istnieje bowiem jedna tylko idea bezpieczeństwa, obchodząca całą Europę. Mam nadzieje, że anglicy wreszcie zrozumieją, iż bezpieczeństwo Anglji związane jest z bezpieczeństwem Francji, — jak bezpieczeństwo Francji związane jest z bezpieczeństwem Polski."

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 12 kwietnia 1925 r. № 15.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



## Na Zmartwychwstanie Pańskie.

Alleluja! Zmartwychwstał Odkupiciel świata,
Co na miłości Zakon swój utwierdził Boży,
Co kazał w każdym bliźnim znać i kochać brata,
Nieść z nim brzemię, sprowadzać z błędnych go rozdroży,
Nakarmić, gdy łaknący, przyodziać, gdy nagi,
Dodać w smutku pociechy, w zwątpieniu odwagi.

O, niechże On i w duszy naszej zmartwychwstanie!
Niechaj w dzień ten wesoły, co nam nastał ninie,
Umocni w nas Zakonu Swego panowanie,
Byśmy żyli, jak bracia w poczciwej rodzinie,
Gdzie z jednym wszyscy smutni, lub wszyscy weseli
I gdzie każdy rad z drugim chleb i serce dzieli.
Byśmy, jako ci, których Bóg dostatkiem darzy
Dziś gości na wspaniałe spraszając święcone,
Pomną przytem o głodzie wdów, sierot, nędzarzy

I hojnie opatrują szpital i ochronę;
Tak zawsze bodaj zbytków swych nieśli okruchy
Tym, co łzami i potem chleb swój święcą suchy.
Lecz karmiąc głodne ciało, miejmy też na względzie,
Że nie samym jedynie chlebem człek tu żywie,
I duchowy z nim pokarm rozdawajmy wszędzie;
A gdy się wszelka dusza, co go łaknie chciwie,
Nasyci, Zmartwychwstanie Pańskie wnet poczuje,
I wielkim wtedy chórem zabrzmią Alleluje.

*

Alleluja! niech opłynie
Hymn radosny ziemię całą,
Wszystkie serca, jak świątynie,
Niechaj zabrzmią Bożą chwałą!

Bo wesoły dzień nam świta:
Pocieszenie wszelkiej duszy,
Z grobu — życia kwiat wykwita
I śmierć berło swoje kruszy.

Odkupienie! Zmartwychwstanie!
O niebieska błoga wieść!
O nasz Zbawco! o nasz Panie!
Alleluja! pokłon, cześć!

**Adam Pług.**

---

Wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom „Orła Białego" z okazji Świąt Zmartwychwstania Chrystusa Pana — życzenia wesołego Alleluja składa

REDAKCJA.

# Nowy minister oświaty.

Urzędownie już została ogłoszona wiadomość o mianowaniu Stanisława Grabskiego ministrem oświaty.

Naród oswoił się z częstemi zmianami ministrów — i, zdaje się, nie wiele sobie z nich co robi. Zmiana ministra ma niby tyle tylko znaczenia, co, dajmy na to, zmiana wójta w niejednej gminie.

— Drugi nie lepszy od pierwszego,—powiadają gminiacy i częstokroć mają rację. Nastało tylko inne nazwisko, a charakter i niedbalstwo o sprawy publiczne prawie bez różnicy.

Ale kogo winić o to, że drugi wójt nie lepszy od pierwszego? Przecież nie wójta, jeno tych, którzy takiego samego ladaco wybrali. Alboż nie mieli ócz? Alboż nowy kandydat na wójta dopiero spadł z chmury tak szybko, że nawet nie mieli czasu rozpoznać jego charakteru?

Nic podobnego! Dobrze wiedzieli, kogo wybierają, — a przeto słusznie mawiają mędrcy: **taki rząd, jaki naród, — taki wójt, jaka gromada!...**

Wrona nie urodzi sokoła, — to darmo!

Ale naród polski chce być lepszym od niektórej gminy kiepskiej, więc poszedł po rozum do własnej głowy i obecnie wybrał sobie na ministra oświaty istotnie bardzo rozumnego męża! Oby tylko Stanisław Grabski miał również tak dobry charakter, jak ma rozum dobry.

Wartość swego charakteru okaże on dopiero w swoich czynach, w robotach ministerskich,—a wartość swej głowy już zdążył zaprezentować całemu narodowi w swoich pracach pisarskich. A takich prac stworzył sporo, więc już one dostatecznie ułatwiają nam rozpoznanie tęgości rozumu jego.

Bardzo dużo ciekawych, pożytecznych i trafnych uwag podał przed dwoma laty w swej książce p. t. „Uwagi o bieżącej historycznej chwili Polski." (Warszawa, 1923 rok). Lecz teraz obchodzi nas inna książka jego, dopiero w roku bieżącym, 1925 ogłoszona, a więc najświeższa, pod nagłówkiem „Z zadadnień polityki narodowo-państwowej". W niej właśnie Stanisław Grabski, jak gdyby przewidując, że wprędce zostanie powołany na ministra oświaty, zawarł cały swój program doskonały do kierowania pracami szkolnemi i oświatowemi w całej Polsce.

Zpewnością nie przewidywał tego, że zostanie ministrem oświaty. Tylko, jako sam długoletni profesor uniwersytetu lwowskiego, doświadczony i bardzo biegły wychowawca młodzieży, podał od siebie w swej pracy pisarskiej owoc własnego doświadczenia i długich rozmyślań o sposobach udoskonalania umysłu i serca w młodem pokoleniu polskiem. Chciał tą swoją pracą pisarską przysłużyć się tym, którzy kiedykolwiek staną na czele szkolnictwa polskiego. Widocznie atoli spodobało się narodowi naszemu innego być zdania. Gdy naród bowiem przeniknął Grabskiego program szkolny i oświatowy, uznał za właściwsze jemu samemu powierzyć przewodnictwo nad szkołami i pracami oświatowemi w państwie Polskiem.

Doskonale! W niedalekiej przyszłości przekonamy się wszyscy jak Stanisław Grabski, już jako minister, potrafi wykonać swój program.

Tu jednak godzi się nadmienić, że naród polski nie może li tylko przypatrywać się pracy swego ministra oświaty, lecz **musi z nim ustawicznie współpracować...**

Czy naród potrafi nieść pomoc swemu ministrowi w jego działaniach szkolnych i oświatowych nie znając zgoła jego myśli przewodniej, zamiarów wychowawczych?

Rozumie się, nie! A przeto trzeba nam wszystkim zapoznać się bodaj z głównemi myślami przewodniemi St. Grabskiego, wyrażonemi tak jasno, dobitnie i serdecznie w jego książce, świeżo ogłoszonej

Naprzód powołuje się St. Grabski na te słowa Staszica: „Upadają państwa potężne, — **giną tylko nikczemne narody".**

A więc łatwo nam domyślać się trzeba, że jeśli my, jako naród, upaść, czyli zginąć nie chcemy haniebnie, musimy najpilniej ustrzedz się

**znikczemnienia!**

Nie dość chcieć, — jeszcze nadto trzeba módz.

A tylko wówczas naród bronić się zdoła przed znikczemnieniem, gdy będzie miał dużo dobrej woli i wielką wolność, czyli niepodległość zupełną.

Niepodległym zaś jest wtedy tylko, kiedy, mie

szka na swej ziemi, ma swoje państwo niezależne i w tem swojem państwie rządzi się sam najzupełniej swobodnie podług ideałów i praw, przez siebie dobrowolnie i doskonale ułożonych i następnie z biegiem lat uzupełnianych, polepszanych zgodnie z potrzebami swego ducha i życia.

Naród polski obecnie posiadł taką niepodległość i samodzielność w swojem państwie.

Jedynie zauważyć się daje w narodzie naszym brak jednolitego uświadomienia powszechnego o potrzebie wychowania swego ducha podług jednej, głównej myśli przewodniej!

My, jako naród polski, chcemy żyć zawsze i najpomyślniej!

Musimy być wolni, mocni, zdrowi, zasobni, uzdolnieni należycie i dobrzy moralnie!

Musimy pracować bardzo pilnie, pożytecznie i zawsze doskonale!

Musimy zapewnić sobie współżycie z sąsiedniemi narodami bezpieczne, dostojne i niezależne, jako równi z równemi!..

Ale w jaki sposób możemy posiąsc te wszystkie warunki?

Oczywiście, nie da się to urzeczywistnić odrazu, napoczekaniu!

Na to bowiem trzeba poświęcić ogromnie dużo pracy długiej, mozolnej według pewnych wskazówek i prawideł, ujętych w jedną ideę przewodnią dla całego narodu.

A kto ma podać narodowi taką ideę?

To pytanie przykuwa do siebie całą uwagę naszą. Albowiem od rodzaju odpowiedzi na nie zależy przyszły los narodu naszego.

Toć z życiem narodu dzieje się to samo, co z życiem każdego człowieka. Los jego przecież zawisł od wyboru drogi, po której ma kroczyć w ciągu dalszego życia swego!

Niekiedy bywa tak, że człowiek sam sobie najtrafniejszy uczynił wybór... Dzieje się też niekiedy tak, że tylko dziwny przypadek, czyli tak zwana chwila szczęśliwa, nastręczyła mu drogę życia bardzo pomyślną. Ale i to się zdarza nierzadko, że dopiero ktoś postronny wskazał mu drogę najodpowiedniejszą, na której gdy on utrzymać się potrafi, już niezawodnie dojdzie do pomyślności wielkiej!

Otóż wybór drogi na dalsze życie narodu wolnego, posiadającego swe państwo niepodległe, musi być dokonany po bardzo starannem rozpoznaniu całej jego przeszłości, następnie właściwości jego ducha, a więc zalet i wad, zdolności i talentów, oraz warunków zewnętrznych, wśród których przyszło mu obecnie przebywać.

Zatem, kto najdokładniej poznał niedomagania i braki swego narodu, a przytem podał najtrafniejsze na nie środki zaradcze, ten już przez to samo stał się przewodnikiem narodu na drodze nowej, wiodącej go do losu pomyślniejszego!..

Zdaje się, naród nasz najdotkliwszej niedomogi dotychczas doświadcza z powodu wielkiej luki w swojem myśleniu o sobie.

Oto poprostu jeszcze jakoś nie umie zdać sobie sprawy, czem jest w swojem państwie, jakie ma względem niego powinności...

Gdy sam sobie da odpowiedź na te pytania, już w niej znajdzie dla siebie wskazówki, co mu czynić wypada dla zgotowania sobie losu lepszego.

Tak, doprawdy, może to komu wyda się dziwnem, a jednak istotnie, jeszcze bardzo dużo rodaków naszych jakgdyby **nie śmie uważać narodu swego za jedynego gospodarza Polski.**

Jeszcze bowiem niemało rodaków mniema, że Polska jest niby domem zajezdnym, w którym wszyscy, nawet obcy, nawet wrogowie, mogą w niej mieszkać na równych prawach, więc mogą czynić co im się żywnie podoba bez oglądania się na nic i na nikogo!

Czy tak?

Jako żywo, nie!

Owszem, każdy człowiek mieszkać **może** w Polsce, ale **musi** poddać się jej prawom, które głównie naród polski, jako gospodarz, uchwalił, ogłosił i bronić je zawsze gotowy całą mocą swoją!..

Naród polski wprawdzie przyznał pewne prawa ulgowe i obcym ludziom, bądź czasowo, bądź stale przebywającym w Polsce, lecz jedynie w takich rozmiarach, iżby ci obcy ludzie nie mogli żadnej szkody wyrządzić i Polsce i narodowi polskiemu, jako jej prawowitemu gospodarzowi!

Zawsze przeto jedynie naród polski włada państwem Polskiem — i uważa je nietylko za gniazdo swoje i za puklerz, którym osłania swoję niepodległość, niezawisłość i samodzielność, — ale nadto jeszcze ono daje mu możność stworzyć swój własny rząd.

Gdy naród ma swój rząd, już przez niego zaspokaja własne potrzeby najważniejsze: ekonomiczne, prawne, oświatowe i kulturalne.

Rozróżniamy wprawdzie niekiedy w myśleniu swojem trzy osobne czynniki: naród, rząd i państwo. Ale właściwie te trzy czynniki tworzą jedną całość niepodzielną. Jedno bez drugiego istnieć nie może. Toć przecież niema państwa bez rządu, a rządu bez narodu. Jeżeli wszakże chodzi komu o to, co z tych trzech najważniejsze, już zapewne nie dostanie innej odpowiedzi, jak tylko tę, że naród jest początkiem rządu i państwa.

Bez narodu — nie będzie i rządu i państwa.

Prawda!

Jużci bywa w życiu narodu niekiedy tak, że on nie może mieć swego rządu jawnego i państwa. Takiej udręki i naród nasz doznawał w ciągu półtora stulecia niewoli swojej!... Wtedy zaledwo mógł obronić swojego ducha polskiego, bo nie raz nawet w szkole, nawet na ulicy, a niekiedy, o zgrozo, nawet w świątyni nie wolno mu było głośno odezwać się swoją mową ojczystą!...

Jednak, ściśle się wyrażając, naród żywotny, nawet gdy jest w niewoli, a dba o zachowanie swego ducha w czerstwem zdrowiu, nawet o rozwój swej kultury narodowej i o wyzwolenie siebie z pod przemocy,—ani na chwile nie jest pozbawiony swego rządu tajnego. Taki rząd w narodzie sprawuje dobrowolnie i samorzutnie starszyzna jego, ku której

stale zwrócony bywa słuch i wzrok narodu... Co ta starszyzna powie, zawyrokuje, to naród przyjmuje jako nakaz do wykonania. W taki sposób w narodzie niewolnym ustawicznie trwa rząd, który trzyma go w jedności, w czujności i poszanowaniu najdroższych skarbów duchowej spuścizny i kultury ojczystej.

Tak było u nas podczas długiej niewoli. Zawsze mieliśmy swój cichy, tajny rząd, w którym niejako skupiło się sumienie całego narodu, jego nadzieje i troski, jego zabiegi o wywalczenie sobie zupełnej niepodległości.

Bez takiego rządu naród nie mógłby przetrwać niewoli bezpiecznie, to jest bez szkody dla swoich spraw najżywotniejszych.

Naród więc zawsze musi mieć swój rząd, jeśli chce utrzymać w sobie bodaj tylko jedność narodową.

A gdy naród nie potrafi zdobyć się nawet na rząd tajny, —już wskutek tego rozluźnia się, rozpada na grupy, czyli partje, wreszcie przestaje istnieć, bo jego poszczególne partje niebawem wchodzą do pokrewnych partji innych narodów i tam ostatecznie wynaradawiają się!

To rzecz pewna, że im w cięższych warunkach znajduje się naród, tem trudniejsze prace musi spełniać własny rząd dla dobra swego narodu.

Tak nasz naród zaraz po wojnie, gdy odzyskał niepodległość, niebawem ujrzał się niemal w rozpaczliwem położeniu! Mnóstwo gospodarstw było bądź całkowicie zrujnowanych, bądź znacznie podniszczonych; pieniądze obce w kraju obieg miały, stąd ciągle rosła drożyzna; szkół było bardzo mało, a ciemnota przeogromna; przytem wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni, jak żydzi, komuniści i bandyci wiele szkód przeróżnych i utrapień nam nigdy nie szczędzili.

Rząd nasz stopniowo, w miarę możności, porał się dzielnie z trudnościami. Gospodarstwa już bodaj całkowicie zostały podźwignięte, pieniądz polski, wprowadzony w całem państwie, stał się tak mocny, że drożyzna musiała zczeznąć, ilość szkół niezmiernie prędko się powiększa, a i wrogowie wobec rosnącej potęgi Polski przycichają.

Jedna tylko jeszcze niemoc nas trapi i bardzo niepokoi.

Nawet jakoś nieprzyjemnie mówić o niej, bo i dość trudno znaleźć odpowiednie dla niej miano.

Nie można jej nazwać ciemnotą, choć jest z nią w ścisłej łączności. Niepodobna też nazwać zepsuciem moralnem, jakkolwiek niekiedy bywa do niego dość podobną.

Jest to osłabienie ducha w narodzie z powodu ciemnoty, jeszcze u nas dość powszechnej i znacznego obniżenia obyczajności, jako następstwa długiej woli i działań partji wichrzycielskich, bałamutnych.

Wreszcie nazwijmy to **moralnem zwątleniem ducha w narodzie polskim.**

Bo, istotnie, w ostatnich czasach ujawniło się w bardzo wielu rodakach naszych duże zwątlenie moralne, kulturalne, obyczajowe, myślowe, a więc i ideowe. Przecież to widoczne w życiu codziennem niemal na każdym kroku.

Niejeden z nas, patrząc na to wszystko, powiada:

— Dawniej tego się nie dostrzegało u nas, na co dziś patrzymy bodaj ustawicznie! Źle! Już gorzej być nie może!

Źle gdzie i w czem?

Czy źle w dostatkach? w pracy? w zdrowiu? — Nie. Tylko coś popsuło się w człowieku, w duszy jego.

Trzeba tę duszę zreformować, naprawić!

Wracamy więc do tego zdania, które powiedział Masaryk: **„Nie wierzę w odrodzenie narodów, bez moralnego odrodzenia każdego poszczególnego człowieka“**

Niejeden rodak, zastanawiając się nad powszechnem zwątleniem moralnem duszy polskiej, dochodzi do mniemania, że nas nie wzmocni duchowo sama li tylko oświata, wiedza!

Teraz warto dowiedzieć się, jak zapatruje się nasz nowy minister oświaty, Stanisław Grabski, na to zwątlenie moralne duszy polskiej — i jakich nie radzi użyć środków zaradczych.

Zaczyna swoje wskazania od uwagi podstawowej, bo powiada tak:

Naród polski jest gospodarzem, władcą państwa Polskiego. I z tego stanowiska wypływają nietylko prawa polaków do Polski, ale i obowiązki wobec Polski. Pierwszym obowiązkiem władającego narodu jest dobrze rządzić swem państwem. Nie władać niem tylko, — ale **rządzić;** nie narzucać tylko przymusem swą wolę, — ale **kierować dążeniami ogółu ludności!**

A jeśli — mówi dalej Grabski — my sami nie potrafimy sprostać tej nowej naszej powinności, jako gospodarzów Polski, — to przynajmniej weźmy się gorliwie do wychowania należycie naszych dzieci, aby one umiały wypełnić obowiązek gospodarza Polski.

Polska — woła Grabski — musi być państwem potężnem, musi być wstanie podjąć i zwycięsko przeprowadzić w razie potrzeby walkę zarówno z Niemcami, jak z Rosją, mimo ich liczebnej przewagi.

O tem pamiętać ciągle musimy. Nie wolno nam zmarnować czasu, jaki dla ustalenia podstaw mocarstwowych potęgi Polski jest nam dany dzięki obecnej słabości Niemiec i Rosji.

Ale nie osięga państwo **potęgi** jedynie ustawami, choćby najlepszemi i urządzeniami administracyjnemi, choćby najdoskonalszemi.

Stwarza **ją** wielki, powszechny, konsekwentny i rozumny **wysiłek narodu.**

**By Polska była potężna, musi ogół polaków chcieć jej potęgi całą siłą swej duszy!**

I nie wystarczy ku temu zapał patrjotyczny, wołanie najgoręstsze, że Polska ma być potężna.

**Trzeba potęgę jej tworzyć, pomnażać moralne i materjalne siły polskie, podnosić wpływ i znaczenie polskiej cywilizacji w świecie międzynarodowym nieustanną pracą wedle wytkniętego na dziesięciolecia planu.**

Do takiej pracy jednak — twierdzi S. Grabski — ogromna większość narodu **nie jest odpowiednio wychowana.**

Dotychczas dopiero umiemy lepiej umierać za Ojczyznę, niż żyć dla niej. Obecnie musimy tamtego nie zapomnieć, ale też nauczyć się również doskonale

żyć dla Ojczyzny. To nie łaska, lecz obowiązek! Bo wszakże każdemu z nas źle dziać się musi, gdy Ojczyzna nasza popadnie w niedolę, a popadnie tylko z winy naszej, jeżeli nie nauczymy się żyć dla niej dobrze, pożytecznie.

I dlatego tak radzi Grabski. Polityka mocarstwowa państwa Polskiego nie jest szeregiem wielkich porywów narodu tylko w pewnych chwilach osobliwych, **lecz nieustannym codziennym jego wysiłkiem ku podnoszeniu swej siły wewnętrznej i swego znaczenia w świecie międzynarodowym.**

Do takiego wysiłku zdolne są tylko **silne, zdecydowane i wytrwałe charaktery rodaków.** Tych nam dziś brak najbardziej!

W tym też kierunku najgłębiej musi sięgnąć reforma wychowania.

Konieczna jest jak najlepsza znajomość **przeszłości narodu.** Ale również konieczna jest znajomość **jego teraźniejszości.** Wtedy tylko potrafimy należycie pracować **dla jego przyszłości.**

Ażeby praca ta była naprawdę owocna, musimy pozbyć się pewnej wady rozpowszechnionej i upodobanej: bawienia się ładnemi słówkami, ględzeniem górnolotnie i ogólnikowo, w którem jest bardzo dużo wyrazów, a sensu za grosz!

Wszędzie u nas pełno ludzi niby bardzo zdolnych, mądrych, gadatliwych, którym się zdaje, że wszystko znają. Prawda, znają, ale tylko po łebkach, powierzchownie. I to jeno, co im najmniej potrzebne, lecz za to nie potrafią tego, co znać obowiązani.

— Musimy — dowodzi Grabski — z gruntu odmienić hierarchję wartości intelektualnych. Musimy ustalić w powszechnej świadomości, że dobra znajomość szewctwa i stolarstwa jest bardziej szacowna od powierzchownego mędrkowania, filozofowania.

I ta zmiana hierarchi wiedzy i zawodów — powinna wyrazić się w reformie całego ustroju szkolnego. **Szkolnictwo zawodowe musi zająć równe miejsce z ogólno - kształcącem szkolnictwem.** Musi ustać pchanie dzieci przez wszystkich rodziców, których stać na to, a często i przez tych, których naprawdę na to nie stać, do gimnazjów, — przeznaczanie zaś do szkół zawodowych, nawet do szkół realnych tylko mniej zdolnych.

By temu kres położyć — radzi Grabski — trzeba nietylko **powiększyć znacznie liczbę szkół zawodowych, ale i cały szereg szkół ogólno-kształcących przekształcić na zawodowe!**

Przedewszystkiem jednak trzeba, żeby szkoła powszechna **rozwijała raczej ambicje, zamiłowania i uzdolnienia fachowe, niż literackie, by pobudzała nie mniej od zainteresowania książką, zainteresowanie techniką pracy.**

A równocześnie należy podnieść znacznie stopę wymagań w niższych klasach szkoły ogólno-kształcącej, by dzieci o mniejszych skłonnościach umysłowych nie marnowały w niej zdrowia i czasu przez lat 7, lecz odrazu po roku, lub dwuch latach przechodziły do szkół zawodowych. Wtedy będziemy mieli więcej dobrych rzemieślników i kupców, — a mniej niedouczonego o zrujnowanych nerwach proletarjatu inteligentnego.

Nie przeprowadzą tego jednak same władze szkolne. Niezbędna jest w tym kierunku reforma dążeń i poglądów ogółu społeczeństwa. Muszą się zmienić ambicje rodziców. Dopomóc do tego jest obowiązkiem tych wszystkich, którzy mają wpływ na szeroki ogół wiejski i miasteczkowy.

Resztę bardzo ciekawych uwag Stanisława Grabskiego podamy za tydzień w osobnym artykule.

---

Charakter, to siła skupienia, której ani obalić, ani rozbić nie można.

**Emerson.**

---

# Bitwa pod Racławicami.

Miło i pożytecznie jest wspomnieć o wydarzeniach, związanych z wspaniałemi porywami naszego narodu, broniącego niepodległości Ojczyzny.

Tadeusz Kościuszko wyszedł z Krakowa d. 1 kwietnia 1794 roku (131 lat temu), mając zaledwie 4.000 wojska.

Z taką siłą rozpoczynał święte boje o wyzwolenie Polski, którą wróg wojskami swemi zalewał, chcąc ją już całkowicie zagarnąć pod swoje panowanie.

Dnia 3 kwietnia — pisze historyk polski, Korzon, serdeczny wielbiciel Kościuszki, o którym napisał wielką księgę,— mała armja posunęła się o milę dalej — do Koniuszy. Tu Jan Śląski przyprowadził rekruta dymowego, czyli chłopów ze wsi okolicznych 2.000 głów. Uzbrojenie ich składało się nie z broni palnej, ale częścią z pik, a powiększej części z kos, osadzonych na sztorc.

Tormasow, dowódca wojsk rosyjskich, miał pod sobą znacznie większe siły, aniżeli Kościuszko. Dwa wojska: polskie i rosyjskie, stanęły naprzeciw siebie pod wsią parafjalną, Racławicami, już rano dnia 4 kwietnia.

Obie strony długo przypatrywały się nieruchomie. Nareszcie zniecierpliwił się Tormasow i zdecydował się na uderzenie zaczepne.

Atak zaczął się o godzinie 3-ej po południu. Bitwa zaraz po ataku rozpoczęła się i trwała pięć godzin, bo do 8-ej wieczór. Kościuszko dowodził, a gdzie potrzeba wymagała, sam swoich prowadził do boju. Tak gdy powziął zamiar odebrania moskalom armat, zaraz poskoczył po za pagórek do gromady chłopów, Krakusów, i zawołał:

— Zabrać mi, chłopcy, te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód, wiara!

Ruszyli natychmiast pędem „z krzykiem przerażającym" i biegnąc, nawoływali się wciąż: „Szymku, Bartku, Maćku, — a dalej!" Towarzyszył im konno Kościuszko, zagrzewając słowy i gestami. Zdobyli naprzód trzy armaty 12-funtowe; potem razem uderzyli na grenadjerów rosyjskich, w czem dopomógł im pół-bataljon swemi bagnetami. Wkrótce Krakusy tyle kosami swemi położyli trupów, że zapełniły one rów wielki i długi, ciągnący się wzdłuż lasu. Zabrali jeszcze 5 armat cięższego i 3 lżejszego kalibru.

Z właściwą sobie skromnością Kościuszko określił to natarcie następnemi słowy w raporcie swoim: „Święte hasło narodu i wolności wzruszyło duszę i dzielność walecznego żołnierza, o los Ojczyzny i wolność swoję walczącego. Poszliśmy z frontu naszego z milicją, dniem pierwej z rekruta dymowego do obozu przybyłą, z dwiema kompanjami 3-go i z dwiema 6-go regimentu na nieprzyjaciela i nie daliśmy więcej czasu baterjom jego, tylko dwa z kartaczami wyzionąć na nas ognie, bo wraz piki, kosy i bagnety złamały piechotę rosyjską, opanowały armaty i zniosły tę kolumnę tak, że w ucieczce broń i patrontarze rzucał nieprzyjaciel."

Szło do ataku 320, padło podczas biegu tylko 13-tu chłopów. Pierwszy skoczył na baterję i czapką swą przykrył zapał armaty Wojtek Bartos, gospodarz ze wsi Rzędowic. Kościuszko awansował go za to na chorążego, nazwał Wojciechem Głowackim, a gromadę towarzyszów jego, rekrutów-kosynierów, zaszczycił tytułem: Regimentu Grenadjerów Krakowskich.

W bitwie pod Racławicami poległo naszych 100, —a rosjan zabitych razem z rannemi obliczono aż 2.000! Najcenniejszą zdobyczą było 12 dział wielkiego i mniejszego kalibru z zaprzęgami i amunicją.

O zmroku wieczornym, gdy już nie pozostało ani jednego oddziału nieprzyjacielskiego na pobojowisku, zgromadzeni dokoła zwycięskiego wodza wojownicy nasi powtórzyli wzniesiony przez niego okrzyk: „Vivat naród! Vivat wolność!" dodając od siebie: „Vivat Kościuszko!" On też wzajemnie dał chlubne przed narodem świadectwo „niezmordowanej waleczności" żołnierza, pogardzie życia ochotników z młodzieży „pierwszy raz bitwę widzącej",— a dla uczczenia Krakusów przywdział ich sukmanę zamiast munduru. Przemilczał tylko o swojej zasłudze.

Zwycięstwo racławickie — pisze Korzon — lubo nie zniszczyło nieprzyjaciela, miało ogromną doniosłość moralną i tę stronę Kościuszko wyzyskał z największą możliwie energją. Starał się on mianowicie rozszerzyć powstanie na cały obszar kraju, dać mu środki materjalne i pociągnąć masy ludowe.

# KOŚCIUSZKO.

Kościuszkowską szablicę z pordzewiałej stali
na racławickiem polu chłopi wyorali.
Prosta była; nie zdobił turkus rękojeści,
ni żeden herb nie mącił jej wojackiej treści.
Lekko zgięta u pióra i napis wyryty
biegł samym środkiem klingi, krwawą rdzą pokryty:
„Vivat Naród!" — a była tak zgrabna w ujęciu,
że pląsać się zdawała, czy w sztychu, czy w cięciu.
Taka szabla, przywarłszy do żołnierskiej dłoni,
odtąd na całe życie przyrastała do niej
i tylko chyba kula, zawodząc piosenkę,
w nagłym rozkurczu od niej odrywała rękę.

Marzyłem o tej szabli, odkąd ją ujrzałem....

Ta jasna broń wolności objęła mi szałem
serce i nie dawała odetchnąć spokojnie,

sycąc duszę odmłodu myślami o wojnie.

On, Naczelnik narodu, ze słodkim uśmiechem
stał przed oczyma ciągle, — a dalekiem echem
moskiewskie z pod Racławic scichały mi działa,
gdy kanonierów chłopska kosa wycinała.

Hej, na naszem polu
chwasty i kąkole!
Puśćwa, chłopcy, kosy:
wybijem Moskole!

Wybijem Moskole,
zabierzem harmaty!
Będzie nasz Naczelnik,
jako król, bogaty!

Jako król, bogaty,
jako król, dostojny!
Wybijem psubraty —
i nie będzie wojny!

O, Ty, jak szabla szczery, prosty i kochany —

Z ocalonego dworu poczerniałej ściany,
z przyciesi chaty wiejskiej patrzysz uśmiechnięty,
jak narodu całego orędownik święty!...
Nie trwałeś przy buńczucznej karabeli chrzęście,
ale chłopu broń dałeś w namulone pięście
i mieszczańskiego syna zmieniłeś w żołnierza,
jak dwa ziarna w różańcu swobody pacierza!

—Vivat Naród! — Z wolnemi wolni! — Twoje słowo
potęgę w sobie miało i moc piorunową!
Nie popuścił już broni żołnierz kościuszkowski,
ale, z kraju wygnany, szedł do ziemi włoskiej
i ztamtąd wroga gromić wracał do swej ziemi,
jako równy wśród równych i wolny z wolnemi!

We łzach stoi kraj kochany,
we łzach Polska cała!
Bijwa, bijwa w tarabany,
by się roześmiała!

Przyśliśwa tu na swą ziemię,
do dom powrócili.
Niech się wróci pieskie plemię.
a będziewa bili!

Marsz, marsz, kamraty
od chaty do chaty!
Polski wojak na swej ziemi,
jako król, bogaty!...

— — — — — — — — — — — —

Cóż my dziś, Twe prawnuki, Ojcze Naczelniku?—

Na szańcu oto stoim śród wrogów bezliku!...
Błogosław nam oręże — i orły i bronie, —
byśmy mężnie obstali w narodu osłonie
i nie zawiedli wiary i wytrwali w wierze,
jak Twoi Kościuszkowscy wolności żołnierze!

**Antoni Bogusławski.**

Słodko umrzeć, by była w całości ojczyzna;
słodko też mozolić się dla niej, każdy mi to przyzna.

**Minasowicz**

# Nawet dzieci, panny i kobiety!...

Tak, doprawdy, w tych czasach upijają się nawet dzieci, panny i kobiety...

Straszne czasy!

Należałoby te słowa zapisać krwią serdeczną, tak są bolesne!

Musimy głośno wyznać prawdę gorzką, obwieścić ją całemu światu, bo wobec zła groźnego milczeć nie wolno, owszem, trzeba je napiętnować mocno, dobitnie!

A to złe przecież rozzuchwala się, rośnie i jakgdyby doznaje przyzwolenia znacznego od opinji ogółu naszego!

To już hańba! Nie bierzmy jej na siebie — i dlatego czemprędzej jawnie skarćmy zło i wszystkich, dobrze myślących, powołajmy do walki z tym występkiem okropnym.

Dobrze myślących!.. W społeczeństwie naszem jest ich zpewnością bardzo dużo. Ale nie tajmy tego, że pijaństwo od bardzo dawna zalicza się do występków niby uprzywilejowanych.

Jest ono złem... tolerowanem!.. A więc nierzadko ogół patrzy na nie dość pobłażliwie... I ta właśnie pobłażliwość nieraz czyni pijaństwo bardzo niebezpiecznem, bo w pewnych momentach życia społecznego, przy warunkach sprzyjających, rośnie ono do potęgi, staje się już jak gdyby zaraźliwą chorobą ducha, grożącą całemu ogółowi ruiną moralną, zagładą...

Przeto nieraz pobłażliwość bywa naganna, bo osłania do czasu cichy rozwój nader niebezpiecznego nałogu, który zczasem będzie sprawcą wielu występków i — zbrodni.

Tak zdrożną pobłażliwością, zdaje się, obecnie, grzeszy nasze społeczeństwo wobec wzmagającego się ciągle u nas pijaństwa, bo ono już objęło nawet dzieci, panny i niewiasty, co dawniej, przed wojną, trafiało się niezmiernie rzadko i chyba tylko gdzieś w jakimś zakątku zdziczałym, niedostępnym dla wpływów lepszych.

Źle się dzieje!

Społeczeństwo nasze stopniowo zatraca szlachetną wrażliwość, staje się jakoby coraz pobłażliwszem dla wzmagającego się u nas pijaństwa, zaczyna je bagatelizować, lekceważyć, jako niby nic nie znaczącą zabawkę!..

Takie w powszechnem usposobieniu wielkie pobłażanie dla wielkiego pijaństwa trzeba chyba przypisać wzmagającej się w duszy polskiej chorobie moralnej, czyli rosnącemu znieczuleniu duchowemu. Można je przyrównać do snu coraz twardszego, w który zapadł gospodarz domu; — a złodzieje skwapliwie korzystają z tak dla nich pomyślnej sposobności! Spiesznie okradają śpiocha, wszystko cenniejsze wynosząc z jego domu.

A potem, gdy się gospodarz obudził i dostrzegł u siebie wielkie spustoszenie, wyrządzone mu przez złoczyńców, wpadł w rozpacz i jął żałośnie narzekać na tych swoich sąsiadów, co zdala, bojaźliwie, a może i złośliwie, przypatrywali się robocie złodziejskiej. Wszakżeż mogli byli albo sami jej zapobiedz, albo przynajmniej gospodarza obudzić. Nie uczynili tego sąsiedzi, chociaż mogli byli... A więc? — Stali się współwinowajcami, nawet niejako spólnikami złoczyńców!...

Mając to na uwadze, dziś spiesznie budźmy nasze społeczeństwo, wołając, że grozi mu od rosnącego pijaństwa.. straszna klęska, zaiste, szkodliwsza od wojny!

Bo podczas wojny cały naród czuwa, widzi wroga, nie brata się z nim, nie pobłaża mu, ale, owszem, uzbraja przeciw niemu olbrzymie zastępy obrońców i każe im dzielnie przepędzić wroga za granicę ojczyzny!

A tymczasem naród nasz wobec rozpowszechniającego się w kraju pijaństwa, zamiast widzieć w niem zło, przerażać się niem i odrazu gwałtownie zapobiedz mu, — usypia, jak ów gospodarz niedbały, który zostawił u siebie drzwi i okna otwarte, bez żadnej straży, a przytem jeszcze otaczają go sąsiedzi nieżyczliwi, nawet skłonni do skrytego spólnictwa ze złodziejami...

Czy naród nasz wcale nie zdaje sobie sprawy ze swego spólnictwa z rosnącym u siebie nałogiem pijaństwa? A przecież to jego spólnictwo jest całkiem oczywiste!

I czy naród nie przypomina sobie reguły chrześcijańskiej, która mówi tak:

Kto, patrząc na złe, jak ono w jego obecności rozrasta się i działa na zgubę wielu, — nie sprzeciwia się jemu, nie czyni żadnej tamy, już przez takie swoje zachowywanie się bierne, staje się uczestnikiem złego i przyjmuje na siebie odpowiedzialność ciężką za następstwa, wynikające z tegoż zła!

Nawet wypada rzec więcej zgoła bez przesady. Oto samo społeczeństwo jest nawet **głównym sprawcą** rosnącego u siebie pijaństwa.

Ależ to prawda! Przecież tylko ziemia zaniedbana rodzi chwasty... Tak samo tylko w rodzinie lichej moralnie powstają występki coraz częstsze i szkodliwsze... A im więcej naród ma u siebie takich rodzin, tem więcej i częściej dzieją się u niego straszne rzeczy!

Nie byłoby więc u nas pijaństwa, gdyby **całe** nasze społeczeństwo dzielnie i usilnie zaraz złe wyrywało z korzeniem! A że tego nie czyni, bo nie chce, bo na złe patrzy pobłażliwie, nawet wyrozumiale, więc,... jaka gleba, takie chwasty.

Na potwierdzenie tak słusznej uwagi mamy na podorędziu dowód przekonywający.

Nasza rodaczka, Jadwiga Warnkówna, w r. 1908 podróżując po Szwecji tylko dla poznania i krainy i ludności tamtejszej, takiego tam zdarzenia była świadkiem, o którem opowiedziała w swojej książce ciekawej p. n. „Wśród skogów Szwecji i fiordów Norwegji“:

„Na jednej z pomniejszych stacji wchodzi do naszego wagonu jakiś młodzieniec kompletnie pijany. Słania się na nogach, bełkocze jakieś niewyraźne słowa i, szukając naprózno miejsca, co chwila upada na którego z pasażerów, a nawet i pasażerki.

Trzeba było widzieć wtedy pomieszanie wszystkich obecnych. Wiedzieli, że jesteśmy polkami, że przyjechałyśmy zdaleka, aby poznać ich kraj, **wstydzili się więc wszyscy za swego współziomka i zaręczali, że to się prawie nie zdarza, aby się do tego stopnia zapominać i w stanie nietrzeźwym iść pomiędzy ludzi.** Zajęło się też zaraz kilka osób, a zwłaszcza kilka kobiet owym młodzieńcem i na najbliższym przystanku wyprowadzono go z wagonu i umieszczono na stacji w osobnym pokoju. „Położyliśmy go tam, aby się wyspał i dopóki nie wytrzeźwieje, nie wypuści go zawiadowca",— powiedziała jedna z naszych towarzyszek, powróciwszy do wagonu.

Wypadek ten poruszył umysły zgromadzonych, w następstwie czego dowiedziałyśmy się, że ruch antyalkoholiczny (trzeźwości zupełnej) rozwija się w Szwecji bardzo. Zapoczątkował go pastor Wiesselyren już w r. 1830. Wznowiony przed kilkunastu laty przez króla Oskara, **zmienił całkowicie dawne nawyknienia ogółu.** W roku 1895 uchwalono prawo, mocą którego handel detaliczny alkoholem został wzbroniony osobom prywatnym. Sprzedawać go mogą tylko pewne stowarzyszenia, które uzyskany dochód przeznaczają na cele dobroczynne. Od południa w sobotę aż do poniedziałku muszą być sklepy z wódką zamknięte. Każdy burmistrz ma prawo zakazać zupełnie sprzedaży podczas jarmarków, kiermaszy, podczas wyborów i poboru do wojska.

W niektórych okolicach **na żądanie mieszkańców** zupełnie jest zakazana sprzedaż alkoholu, np. w miejscowościach nad jeziorem Silian, czego same doświadczyłyśmy w Orsie. Nie mogłyśmy (ja i moje towarzyszki, polki) nigdzie tam dostać koniaku i kazano go nam szukać w aptece...

**Takie usiłowania społeczeństwa wydają coraz lepsze rezultaty, pijaków jest już niezmiernie mało**, a w następstwie tego: mniej biedy, mniej waśni i mniej chorób".

A więc w Szwecji społeczeństwo miejscowe **usiłuje** walczyć z pijaństwem — i jednak z dobrym skutkiem, bo już jest tam pijaków **niezmiernie mało!**

To znaczy, że trzeba tylko chcieć, a już trzeźwość można mieć?—O, tak! Każda praca rozumna, usilna i zbiorowa musi wydać plon! Tylko trzeba działać! Nie wolno mieć rąk założonych bezczynnie wobec groźnego niebezpieczeństwa, jakiem istotnie jest pijaństwo, rozpowszechniające się nawet wśród dzieci, panien i niewiast...

Dawniej w takich rozmiarach pijaństwa u nas jeszcze nigdy nie było!

Obecnie już dzieci nawet upić się potrafią. Tu i owdzie, może nie często, gromadki chłopców w wieku około 12 do 14 lat, gdzieś na stronie, między krzakami, lub w oddalonym budynku gospodarczym, urządzają składkowe pijatyki. Piją aż do zawrotu głowy, aż do całkowitej nieprzytomności!

Młodzieniaszkowie nieco starsi, poczynając od lat 16-tu i wyżej, już niemal nie kryją się z pijatyką swoją przed starszemi osobami. A co komu do nich? Uważają się za niezależnych, wolno im czynić, co zechcą! Potrafią zamknąć usta starszym. Zresztą, starsi może nawet nie probują karcić, bo sami chętnieby przyłączyli się do kompanji młodej, gdyby ich zechciała poczęstować swemi trunkami.

Panienki młode również nie stronią od kieliszka. Niejedna już lubi przebrać miarkę albo nie umie wymówić się, gdy nalegają goście podczas zabawy... Zdarza się nawet spotkać niejedną młodą dziewczynę w karczmie, zapijającą trunki w gronie mężczyzn.

Wreszcie spotykamy dość często na zabawach i w karczmach niewiasty starsze i młodsze zbyt już rozpromienione nadużyciem trunków! Niektóra już traci przytomność. Inna zachowuje się wstrętnie zwyczajnie, jak pijana kobieta, wyzuta ze wstydu...

Prawda, źle się dzieje u nas!

Już nie o to chodzi, że trunki szkodzą zdrowiu narażają naród na duże wydatki z powodu przestępstw, popełnionych przez młodych i starszych trunkowców, bo musi utrzymywać więcej więzień, szpitali, przytułków i więcej dawać zapomóg, wsparć...

To są straty jedynie materjalne!

A my tu obecnie nadmieńmy o stratach groźniejszych i boleśniejszych, bo duchowych, moralnych.

W tych istotach bowiem, nadużywających trunków, musi stopniowo kurczyć się rozum, zanikać szlachetność, a natomiast ciągle górę brać zdziczenie.

Nałóg pijaństwa — to straszna choroba moralna, ona, jak skryta gorączka, pożera w duszy nałogowca lepsze jej cząstki, zostawia pustkę, nudę, zdziczenie — i złe skłonności, gotujące nieuniknione występki, zakończone okropną hańbą!

A chyba społeczeństwo nie powie, że jest bezsilne wobec rosnącego pijaństwa.

Zapewne, trudno uleczyć pijaka, niemal niepodobna skłonić go do porzucenia nałogu swego I w tem właśnie mamy dowód oczywisty, jakie nałóg pijacki spustoszenie sprawia w duszy ludzkiej gdy ją już zdoła opanować! Tak z niej wysysa rozum, ambicję, wolę, serce, że już ona z lichszemi swemi popędami całkowicie oddaje się pod jego komendę, posłusznie czyni wszystko, co on każe!..

I nie o to chodzi nam w tej chwili, żeby leczyć już gotowych pijaków. Ale o to, żeby nie pomnażać ich liczby w narodzie!

Wiedzmyż o tem, że każdy nowy pijak, — to jedna więcej wina narodu! Źle czuwa nad swemi rodakami!

Nie usprawiedliwi się wymówką, że przecież trudno mu czuwać ciągle nad każdym rodakiem.

Może czuwać, a więc powinien!

Może. Bo jeżeli mogli szwedzi bodaj całkowicie zwalczyć u siebie pijaństwo, — również i polacy mogą dokazać tego samego.

A tam, w Szwecji, nie jednostki tylko walczą z pijaństwem, — lecz całe społeczeństwo. Owszem jednostki podają wnioski, nawołują, ostrzegają, budzą a dopiero,—jak się wyraziła Warnkówna: **„usiłowa-**

**nia społeczeństwa wydają coraz lepsze rezultaty, bo już w Szwecji pijaków jest niezmiernie mało!"..**

Tak właśnie i my tu, u siebie, w Polsce, spólnie pracujmy nad wykorzenieniem pijaństwa, a nasze społeczne usiłowania napewno również zostaną uwieńczone najpomyślniejszemi skutkami.

Społeczeństwo polskie dziś jest nie mniej światłe od szwedzkiego, ale — to rzecz pewna i to sami sobie wytknąć musimy — mniej przejęte własną odpowiedzialnością moralną za rozrost pijaństwa u siebie, — a więc mniej sumienne, mniej ambitne wobec cudzoziemców, a przeto wobec całego świata, patrzącego ciągle na obyczajność narodu polskiego,— wreszcie mniej przewidujące, mniej poddające się swoim powinnościom chrześcijańskim i obywatelskim.

Niejeden nasz rodak mniema błędnie, że sam w sobie może nie pobłażać pijakom, ale nie potrzebuje wglądać w cudze sprawy jawne. Jest nawet takiego zdania, że niech każdy robi wszystko, co mu się żywnie podoba, byleby on sam był w porządku.

Nie! I ty, rodaku, tak myślący, nie jesteś w porządku, gdy obok ciebie twój ziomek nadużywa trunków. To znak bowiem niemylny, że nie tworzysz jednej z wszystkiemi rodakami swemi publicznej opinji moralnej, nakazującej każdemu poszczególnemu rodakowi zachować trzeźwość, obyczajność, powściągliwość!

Gdy społeczeństwo taką opinją jest spojone, już niechybnie „wstydzi się" za każdego swego pijaka, jak to uczynili szwedzi wobec naszych rodaczek, —nawet nie tylko wstydzi się, ale zamyka go w osobnym pokoju i oddaje pod opiekę trzeźwych, — jak to również uczynili szwedzi — i, co więcej, woła: gwałtu, źle się dzieje"! gdy zobaczy u siebie bodaj jednego pijaka, wałęsającego się publicznie.

Alboż ty, rodaku, będziesz bezczynnie patrzył, kiedy twój sąsiad w nocy idzie do stodoły z palącą się świecą gołą?— O! nie, narobisz wtedy takiego hałasu umyślnie, ażeby i sąsiadów obudzić i w ten sposób skłonić ich do pomagania tobie w skarceniu lekkomyślnego sąsiada, który lada chwila was wszystkich może „puścić z dymem—i uczynić dziadami"...

A to samo przecież, tylko w innym rodzaju, czyni każdy rodak, gdy jest pijany.

**Pijaństwo bowiem jest zaraźliwe!..**

Jeden pijak napewno pociągnie za sobą wielu znajomych na drogę zgubnego nałogu...

Zatem, gdy my, poszczególni rodacy, zachowamy się bezradnie, obojętnie, milcząco wobec jednego pijaka, — już tem samem **przyczyniamy się u siebie do rozrostu pijaństwa.**

Im więcej pijaków posiada społeczeństwo które, tem słabsze jest ono moralnie — i tem smutniejsza jego przyszłość, bo wszakże pijaństwo, jako moralna choroba publiczna, nigdy nie trwa w jednej mierze, czyli na jednym poziomie, ale bądź gaśnie stopniowo, bądź coraz rozrasta się potężnieje, to zależne jest od zachowywania się wobec niego społeczeństwa miejscowego.

Słowem, po ilości pijaków bardzo łatwo i niemylnie rozpoznajemy stan moralny społeczeństwa.

Oto, naprzykład, jakie wnioski nasuwać się nam muszą, gdy czytamy taką wiadomość bolesną w „Zorzy" z dnia 12 kwietnia r. b. (№ 15): „Jedno z pism wileńskich —słowa „Zorzy"— stwierdza, że 87 procent dzieci w szkołach (wileńskich) zna smak alkoholu, **a 25 procent upija się.** Dalej: 2 procent używa wódki codziennie, a 9 procent raz na tydzień. I jeszcze ciekawe liczby: 88 procent dzieci pijących **dostaje wódkę od rodziców,** a 12 procent kupuje ją z własnych funduszów... Skutki te są wręcz straszne!" — Tak kończy swoją notatkę „Zorza". A my dodajmy od siebie uwagę, że przecież nawet inaczej być nie może! Bo jakież następstwa muszą wyniknąć z pijaństwa, stopniowo rosnącego? — Tylko najgorsze.

Ale bo już samo pijaństwo jest nie dopiero początkiem zepsucia moralnego, jeno skutkiem jego...

Toć na to mamy dowód mocny choćby w wykazie wileńskim, gdzie wyszczególniono, że 88 procent dzieci (szkolnych) **„dostaje wódkę od rodziców"...** Czy rodzice moralnie uczciwi zechcą swe dzieci wdrażać do picia trunków, zawsze niebezpiecznych?

Nie mówmy, że **głupi dają!** Nie! Oni wiedzą, co czynią! Dają dzieciom swoim wódkę, bo sami już, wskutek rozmiłowania się w trunkach, zatracili w sobie siłę moralną, więc zgasili w sobie lepsze myśli, szlachetniejsze uczucia i zaczęli już lekceważyć głos własnego sumienia!.. Sami zepsuci moralnie, — zarażają tą straszną chorobą moralną swoje potomstwo.

Niechże zatem wie społeczeństwo o tem, że rozrost pijaństwa u niego jest już przestrogą i wskazówką, jak szybko postępuje jego upadek moralny. Pijaństwo jest tylko uzewnętrznieniem zgnilizny moralnej, toczącej dusze wielu rodaków. Jest ono jakoby wysypką zewnętrzną rosnącej gorączki moralnej. I właśnie dlatego jest tak zaraźliwe, jak tyfus plamisty. Bo gotowy pijak zawsze znajdzie dokoła siebie niemało osób słabszych moralnie, mniej odpornych na pokusy — i one, wabione przez pijaka, idą za nim do szynkowni, na biesiadę pijacką — i tam raz, drugi zakosztowawszy trunków, już przy słabej swej woli i przy wątluchnej moralności, nabywają nałogu pijackiego, — który niebawem całkiem je ubozy moralnie. I znowu one same zczasem pociągają swoje otoczenie do pijatyki. W taki sposób stopniowo i ustawicznie rośnie w społeczeństwie pijaństwo okropne.

Wracamy więc do tego cośmy nadmienili na początku: jaka gleba, takie ziele, — jaki stan moralny narodu, takie jego obyczaje...

Pijaństwo musimy wykorzenić u siebie. Tak! Ale stać się to może tylko w ten sposób, gdy przedewszystkiem najusilniej przy pomocy oświaty uszlachetnimy duszę polską.

Nie wystarczy samo li tylko ograniczenie sprzedaży trunków, bo to jest dopiero chwilowe usunięcie pokusy.

Nadto trzeba wzmacniać moralnie duszę, ażeby nawet widok trunku nie budził w niej chęci ku niemu

Nie dość więc uczyć się, oświecać tylko umysł

Jeszcze nadto trzeba w każdej duszy polskiej rozniecać, potęgować uczucia najlepsze, piękne, miłe Bogu i ludziom!

Dopiero wówczas naród polski stanie się moralnie krzepki, więc, oczywiście, trzeźwy, pracowity i mądry. A w ten sposób niebawem wysoko podniesie swoję pomyślność, a Ojczyznę uczynić zaszczytnie sławną na świat cały!

Postarajmy się zachować pogodę umysłu, uśmiechnięty wyraz twarzy, głos łagodny. Słodki uśmiech, ujmująca mowa, ufny nastrój duszy, są to najwięksi zdobywcy na świecie, a kto ma je po swej stronie, panuje nad ludźmi.

**Hubbard.**

# NOWINY Z POLSKI.

**Piszą do nas z Bychawy:**

Z powodu powszechnego zastoju w naszej Bychawie w niektórych warsztatach rzemieślniczych dał się zauważyć brak pracy. Atoli w szewckiej profesji przybyło roboty zawiele, bo szewcy zaczęli robić buty w niedziele. Oto byłem dyżurny przez kilka soboty i sam widziałem, że mieli zadużo roboty. Cały tydzień do Kiwy, do Symuchy, do Judki dla zabawy chodzili trochę napić się wódki.

Klijent na robotę poczeka! — Pal go licho, codzień łazi i męczy człowieka! A chcąc dla niego wykonać dokładnie robotę, trzebaż ją rozpoczynać w sobotę. A że do roboty niema ludzi tak wiele, to we czterech dwie pary butów trzeba kończyć w niedzielę. Po sobocie pół do piątej na niedzielę tak było, — tak się raźno i tak szybko robiło!

Klijent przyszedł po buciki nieśmiele, a domyślił się, że pożytku z tej roboty niewiele, bo spełniły ją polskie ręce w niedziele! Dama z szykiem ubrała się w atłasy, spacerując po ulicy, pogubiła obcasy. Tenże majster ucieszony, że zarobek miał obfity, już od rana do wieczora był w niedzielę upity.

A ja mówię, że pożytku z tej roboty nie wiele, kto pracuje, nie świętuje w niedzielę!

Bądź polakiem prawym, szczerym od rania, a w niedziele módl się godnie, słuchaj pilnie kazania!

Jak interes ludziom idzie, co tam żarty, niema święta puszczać młyna, niech się miele, choć godzi na dziesiąta. A właściciel młynarza naciska, żeby płacił drugą ratę, jaki to jest nielitośny, chce narazić go na stratę!

Oj, nie tak się dawniej działo! Takich majstrów dziś zamało! Ten i ów chciał się w niedzielę zbogacić. Ale stąd się to stało, że nie miał czem swej raty zapłacić. I smutny koniec wyniknął z tego, bo młyn przeszedł w ręce drugiego.

Nie bierzmy z żydów przykładu, a prędzej przyjdziemy do ładu. Bo ci, co pracują w niedzielę, to są najwięksi Boga i ludzi nieprzyjaciele. Pamiętajmy na trzecie przykazanie, a nic się nam złego nie stanie.

Stały czytelnik **M. Mazur.**

Dnia 4 kwietnia, więc w sobotę przed Niedzielą Palmową, Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisław Wojciechowski, udał się rano o godz. 8-ej w otoczeniu swej świty do kaplicy w Łazienkach. Tam, powitany przez księdza biskupa Galla, ks. kanonika Kalinowskiego i ks. prałata Tokarzewskiego, przystąpił do spowiedzi wielkanocnej, a następnie podczas uroczystej Mszy św. wspólnie z żołnierzami przyjął Komunię świętą. Po nabożeństwie ks. biskup udzielił żołnierzom bierzmowania, Ojcem dla nich był P. Prezydent.

— Dziwna jest łatwowierność i chciwość u ludzi nawet światlejszych i zamożniejszych. Oto szczczególniej w Warszawie od pewnego czasu pojawili się bardzo zręczni oszuści, sprzedający na ulicy, niby okazyjnie, tanio, brylanty jakoby prawdziwe, a istotnie fałszywe. Doprawdy, aż zdumienie ogarnia, gdy się czyta dość często popełniane takie oszustwo z powodzeniem! Łapią się na te fałszywe brylanty ludzie niby nie głupi, przezorni, zamożni. A jednak i tacy dają się w pole wyprowadzić zwykłym wydrwigroszom żydowskim.

Bo właśnie tylko żydzi trudnią się tem oszustwem. A jak rzadko jeszcze u nas ludzie czytają gazety, świadczy właśnie częstość powtarzanych sprzedaży brylantów fałszywych.

W tych dniach znowu powtórzyło się takie oszustwo, którem dała się otumanić żydówka warszawska.

Marzeniem kupcowej, Estery Bronsztajn, — pisze „Kurjer Warszawski,“ —było zdobyć szpilkę do włosów z prawdziwym brylantem. Z tem zwierzała się często swoim sąsiadom, w kamienicy przy ulicy Freta № 16 i prosiła, aby nastręczyli jej jakieś okazyjne kupno. Na taki sprawunek zebrała 300 złotych z różnych oszczędności. O zamiarach Bronsztajnowej dowiedzieli się oszuści brylantowi i urządzili na nią zasadzkę. Dnia 6 kwietnia, w poniedziałek, szła kupcowa ulicą Długą, wtem zauważyła, że jakiś biedak sprzedaje dwu żydkom akurat taką szpilkę z brylantem, o jakiej marzyła. Sprzedawca, widząc zainteresowanie kupcowej, oświadczył, że wolałby jej sprzedać cenną szpilkę taniej, niż zawodowym spekulantom. Złakomiona taką zachętą kupcowa, udała się ze sprzedawcą do bramy, wypłaciła zaoszczędzone 300 zł. i z cennym nabytkiem pospieszyła do domu.

Tu dopiero nasunęły się jej wątpliwości i obawy, więc postanowiła sprawdzić u złotnika. Pokazała mu nabytą szpilkę, a on upewnił odrazu, że kupiła nie brylant, ale jeno szkiełko oszlifowane! Zrozpaczona kupcowa dostała spazmów, wreszcie w przystępie rozpaczy chciała rzucić się pod tramwaj. Dopiero krewni uratowali. Obecnie Bronsztajnowa strzeżona jest przez domowników, żeby nie popełniła nowego, większego głupstwa!

# WIADOMOŚCI POLITYCZNE,

— We Francji przewidywana jest zmiana ministrów. Politycy spodziewają się ustąpienia Herriota.

— Dotychczas jeszcze w państwie niemieckiem niewybrano prezydenta.

— Po świętach przyjedzie do Warszawy Benesz, minister czeski, na narady polityczne. Zabawi parę dni.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł., na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr. Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 19 kwietnia 1925 r. № 16.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Papież Pius Jedenasty.

Dziś miłościwie ze Stolicy Piotrowej władający całym światem katolickim, jako Głowa widzialna Kościoła Chrystusowego, Ojciec święty, Pius Jedenasty, pochodzi z rodziny Rattich, a na chrzcie św. otrzymał im. Achilles.

Urodził się dnia 31 maja 1857 roku w mieście Desio, w północnych Włoszech, na ziemi Lombardzkiej, która wydała tyle i tak świetnych umysłów! Ojciec jego, — pisze ksiądz Jan Gnatowskim w pięknej swej książce „Z Polski do Rzymu"—Franciszek Ratti, był wybitnym przemysłowcem i właścicielem przędzalni jedwabiu, matka, Teresa Galli Rodzinę i otoczenie don Achillesa Ratti cechował wysoki poziom kultury, a obyczaje panowały w niej patrjarchalne. Stryj jego był dziekanem w Asso. Jego to wpływowi przedewszystkiem zawdzięczał młodociany Ratti wykwintość form, gruntowną pobożność, niemniej jak zamiłowanie do ksiąg i kwiatów.

Drugą postacią, z którą splata sie jego wczesna młodość, był don Ginseppe Polonteri, wikarjusz miejscowy i zarazem katecheta w szkołach ludowych. Była to postać niepospolitej miary w nader skromnej zewnętrznej powłoce. Latami już starszy kapłan, pobożny, pełen pokory i żarliwości, umiał zdobywać serca powierzonej sobie młodzieży i rozniecać w niej iskrę świętego zapału, którym sam płonął. Pamięć jego pozostała żywą u jego uczniów, w których imieniu w pełnych wzruszenia słowach oddał hołd jego pamięci, w dniu pogrzebu, młody jeszcze wówczas kapłan, don Achilles Ratti.

Te dwie czcigodne postacie kapłanów, pełnych ducha bożego: dziekana, jako stryja, — i wikarjusza Polonteriego, jako katechety, rozświetlają blaskiem swej cnoty chłopięce lata przyszłego papieża. Wpływowi ich w wydatnej mierze przypisać zapewne należy, narówni z dobroczynnem oddziaływaniem świętobliwej matki, wczesny rozkwit wielu cnót i zdolności w młodej duszy Achillesa. Duszę tę niosła coraz

większa łaska Boża do podnóża ołtarzy, otwierając przed nią naroścież wrota kapłańskiego powołania. Pobożny uczeń zczasem przekształcił się w kapłana, w którego sercu zapłonął ogień miłości Bożej, nie mający zgasnąć nigdy.

Studja gimnazjalne i licealne, oraz trzy pierwsze kursa teologji — słowa ks. Gnatowskiego — odbył kleryk Ratti w Medjolańskich seminarjach diecezjalnych. Jako alumn kursu 4-go teologji przeznaczony został, dzięki wyjątkowym zdolnościom i wytrwałej pracy, na profesora klas wyższych w kollegjum św. Marcina, a równocześnie wykładał matematykę w gimnazjum św. Piotra. Następnie przeniesiono go do seminarjum lombardzkiego w Rzymie, gdzie oddał się wyższym studjom teologicznym na uniwersytecie gregorjańskim pod kierunkiem profesorów z zakonu Ojców Jezuitów. Owocem tych studjów był trzykrotny doktorat: filozofji, prawa i teologji. Wielki uczony lat późniejszych przygotowywał sobie na przyszłe czasy granitowy fundament wiedzy.

Wyświęcony na kapłana w Rzymie 1879 roku, odprawił jedną z pierwszych Mszy przy grobowcu św. Piotra. Po krótkim wikarjacie w Barni powołany został na profesora dogmatyki i homiletyki w większem seminarjum w Medjolanie.

Odtąd już przez długi szereg lat oddaje się ksiądz Ratti pracom naukowym: naucza, pisuje książki i zarządza wielką bibljoteką papieską, zawszeć jednak ma jeszcze dość czasu na spełnianie posług kapłańskich tym wiernym, którzy po nie udają się do niego, jako kapelana pewnych zgromadzeń zakonnych.

Stolica Apostolska, wcześnie oceniwszy należycie w księdzu Rattim wielką wiedzę i charakter piękny, coraz powierzała mu trudniejsze prace i obdarzała go zaszczytnemi godnościami,—wreszcie w bardzo ważnym momencie dziejowym, w roku 1919, kiedy zmartwychwstała Polska już powinna była ponownie, po przerwie stodwudziestosześcioletniej, mieć u siebie stałego przedstawiciela, czyli nuncjusza papieskiego, ówczesny Ojciec św., Benedykt Pietnasty, na to niezmiernie kłopotliwe stanowisko właśnie najtrafniej przeznaczył księdza Achillesa Rattiego, którego też niebawem uczynił arcybiskupem.

W Rzymie otrzymał ksiądz Ratti nominacje na arcybiskupa, ale dopiero w Polsce, przez biskupów polskich, został pokonsekrowany.

Przybył ks. Ratti w r. 1919 do Polski jako mąż Boży, przynoszący dobrą nowinę i pokój, jakiego ziemia dać nie może. Przybył jako apostoł, pełen prostoty, daleki od wszelkich manewrów i podejść politycznego życia, przybył, jako dobry ojciec pełen miłości dla opuszczonej przez wiek cały dziatwy, otwierając przed nią ramiona i duszę, którą gotów złożyć w ofierze.

Od pierwszej chwili pobytu w naszym kraju,— dalej opowiada ks. Gnatowski, — nuncjusz apostolski, ks. arcybiskup Ratti, okazał się w obcowaniu ze wszystkiemi niezmiernie przystępny, serdeczny, zawsze pogodny i łatwy w obejściu, gotów oddać przysługę każdemu, choćby w najtrudniejszem położeniu i w taki sposób zdobywał wszystkie serca. Kler patrzał nań jak w tęczę, powtarzając szczegóły z jego budującego życia i pełnego miłości traktowania. Lud garnął się naprzód głównie z ciekawości, ale później z coraz większą czcią i przywiązaniem. Niejeden też raz udało się nuncjuszowi oddać poważną przysługę wyższym urzędom naszym, jakkolwiek nigdy nie zboczył ani o włos z linji ścisłej bezstronności wobec walczących z sobą politycznych prądów. Widziano go wciąż tam, gdzie była praca religijna i społeczna, a niemniej i tam, gdzie wyciągała błagalne dłonie potrzeba i nędza. Szpitale, schronienia, ochrony i szkoły nawiedzał pilnie i wspomagał szczodrze.

Pociągała go ku temu gorąca miłość bliźniego, stanowiąca tło jego charakteru, jak również i przenikliwość doświadczonego mędrca. Ks. nuncjusz Ratti rozumiał dobrze, że nie można przychodzić z próżnemi rękami do podrujnowanego społeczeństwa. A i to też rozumiał, że wysłannik papieski nie może ograniczyć sie wywieraniem wpływu na politykę i zyskaniem sobie ufności u władz rządowych; nadto chciał zbliżyć się do ludu i lud pozyskać dla papieża rozdzielając dobrodziejstwa, obficie nadsyłane na jego ręce. Toć za jego wstawiennictwem poczęły przychodzić z Rzymu do Polski bardzo znaczne zasiłki w pieniądzach i w naturze.

Papież, Benedykt Pietnasty, przysyłał miljony na pomoc dla ubogiej dziatwy, bądź miejscowej bądź wracającej z wygnania. Przychodziły do Warszawy całe wagony płótna, kołder. Nuncjusz skarby owe polecił biskupom rozdzielić w swoich djecezjach ale część, przeznaczoną dla Warszawy, postanowił sam rozdać pomiędzy niektóre zakłady i w tym celu objeżdżał je przez tydzień, wchodząc z pełnemi dłońmi pomiędzy dziecięce rzesze, ciesząc się niemi, gdy je spotykał pozdrawiające go swym szczebiotem, a gdy czasem, jak u Felicjanek na Woli, powitało jego przyjście blisko tysiąc małego biedactwa w białych koszulkach, oczy zrosiły mu się łzami i wzruszenie nie pozwoliło mu przemówić ni słowa

Objeżdżał też chętnie zakłady Czerwonego Krzyża, zorganizowane w różnych punktach Warszawy przyjmowany uroczyście i serdecznie, zostawiając wszędzie słowa pociechy i błogosławieństwa dla chorych, lekarzy i pielęgniarek. Między innemi był też i na obsługiwanym przez kleryków szpitalnym okręcie pod nazwą „Łokietek."

Nie zamykając oczu — nadmienia jeszcze ks Gnatowski — na wady społeczeństwa polskiego, ks. nuncjusz Ratti umiłował je za niektóre bardzo piękne cnoty, jak pobożność, miłość ojczyzny, ofiarność...

Zbliżał się chętnie do cierpiącego ludu. I lubił wpatrywać się w jego pobożność. Często i chętnie odwiedzał kościoły, kiedy w nich odprawiała się msza, lub nieszpory, albo śpiewano bądź kolendę, bądź gorzkie żale. Ukryty w kącie świątyni patrzał z rozczuleniem na tłum klęczący i rozmodlony. Rzewna nuta naszych pieśni kościelnych przejmowała go do głębi, a widok ludu, cisnącego się do ołtarzy, napełniał go otuchą o przyszłość kraju, w którym tak gorąco umieją się modlić. Przewodniczył też chętnie modłom tym, celebrując i bierzmując, zarówno

w kościołach warszawskich, jak i na prowincji.

Zwiedzając okolice ziemi Łowickiej chwalił tamtejsze piękne stroje ludowe. Nawet niektóre ubiory przesłał na pamiątkę do muzeum entograficznego w Watykanie. Podobały mu się też bardzo dzielne banderje, urządzone z młodzieży wiejskiej na koniach, otaczające biskupów, wizytujących parafje w swoich djecezjach, na co nieraz miał sposobność patrzeć ks. nuncjusz Ratti, albowiem chcąc poznać warunki, istniejące w djecezjach polskich, odwiedził wiele siedzib biskupich i wiele miast prowincjonalnych, przypatrując się bystro wszystkiemu.

Ze szczególną miłością i czcią pielgrzymował do cudownych przybytków Najświętszej Marji Panny, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie, — niemniej, jak do czcigodnych grobowców świętych Patronów Polskich: Wojciecha i Stanisława.

Niejednokrotnie też korzystając z należnego mu prawa, jako przedstawiciel Ojca św. przewodniczył naradom biskupów polskich, zawsze mając na uwadze ścisłą jedność z Głową Kościoła Katolickiego.

I znowuż nadarzyła się nieszczęśliwa w Polsce sposobność do okazania, jaki hart ducha i przywiązania do narodu polskiego posiada ks. nuncjusz Ratti. Bo oto bolszewicy wtargnęli do kraju naszego i, zdawało się, zwycięsko podążają ku Warszawie, pewni, że ona wnet dostanie się w ich ręce. Przerażenie wobec nadciągającego wroga ogarnęło mnóstwo ludzi, tchórzliwie usposobionych, więc wielu poprostu uciekało z Warszawy.

Ale ks nuncjusz Ratti ani myślał opuścić swego stanowiska w Warszawie. Pozostał, patrząc okiem spokojnem na dzicz moskiewską, zbliżającą się pod mury stolicy polskiej z żagwią w dłoni i groźbą zagłady dla cywilizacji narodu i wiary. Przerażonej ludności warszawskiej — wspomina ks. Gnatowski — przybywało ducha, gdy widziała między sobą przedstawiciela papieskiego, dzielącego jej niebezpieczeństwa i trudne przeżycia, umacniającego wszystkich własną ufnością w tę Opatrzność Bożą, której wielkiem dziełem stał się cud nad Wisłą.

Przedtem niejednokrotnie ks. nuncjusz Ratti nazywał siebie chętnie biskupem polskim, — a teraz, po najściu bolszewickiem, słusznie posiadł prawo do nazwy polskiego obywatela, tak wiernie i śmiało spełniwszy obywatelską powinność wobec przybranej ojczyzny.

Istotnie, ks. nunc. Ratti umiłował Polskę, którą już uważał za drugą ojczyznę swoję i której pragnął poświęcić swój żywot cały. Miłość ta wiodła go między lud, robiła go łatwym w obcowaniu, zarówno z wielkiemi, jak i z maluczkiemi, których spotykał na swej drodze. Można było o nim powiedzieć, że w całej Polsce, jak długa i szeroka, nie miał nikogo przeciw sobie — i nawet ludzie, od wiary dalecy i duchowieństwu niechętni, skłaniali przed nim głowy.

Nie należy jednak myśleć, — czyni tu ważne napomknienie ks. Jan Gnatowski, — że ks. nuncjusz Ratti zaw'dzięczał swoje u wszystkich uznanie i przychylność jakoby pobłażliwości i ustępliwości, która, byle nikogo nie zrazić, gotowa na wszystko przystać i wszystkiemu przytakiwać! Nie! Był on wyrozumiały i skłonny do ustępstw w sprawach drobnych, — atoli okazywał się stałym i nieugiętym ilekroć chodziło o jego obowiązki i zasadę. Potrafił przy zasadzie tej i przy prawie tym trwać nietylko przeciw obcym i wrogom, ale i przeciw najbliższym, najdostojniejszym, którym umiał przypomnieć, że w łodzi, unoszącej kościół polski ku nowym jego przeznaczeniom, ster należał się przedstawicielowi Stolicy św., a więc należał się wyłącznie jemu jednemu.

I w stosunku do społeczeństwa polskiego nie dał się również zaślepić, — zawsze potrafił odróżnić złe, choćby najpowabniej osłonięte, od istotnego dobra, które niekiedy było twarde, mozolne, ale, jako dobro, powinno być uszanowane i przyjęte.

Dlatego też starał się poznać wszystkich, starał się rozproszyć wszędzie uprzedzenia i złą wolę, poznawał gruntownie język polski, pogłębiał znajomość naszych dziejów i piśmiennictwa i zespalał się coraz to ściślejszemi węzłami ze społeczeństwem, do którego przybył.

Życie prowadził klasztorne, proste i regularne nad podziw! Wstawał o 5-ej rano. Odznaczał się wielką pobożnością, pracowitością i zabiegliwością w pełnieniu swoich powinności trudnych niezmiernie, gdy się weźmie pod uwagę tak znaną powszechnie natarczywość bardzo wielu ludzi niewyrozumiałych i nawet częstokroć niesprawiedliwych. A jednak i te trudności umiał pokonywać z niezwykłą słodyczą i wyrozumiałością. Wszelakoż nigdy nie dał się podejść, przenikliwością swoją bowiem zawsze zdołał zawczasu poznać wilka w owczej skórze!...

Praca w Polsce na trudnem stanowisku przedstawiciela Stolicy Apostolskiej dała ks. Rattiemu wielką sposobność do rozwinięcia w sobie zdolności niezwykłych i zarazem stała się dla niego doskonałą placówką do gruntownego rozpoznania życia wielu narodów, ich interesów politycznych i kultralnych. Tak poznał dzieje i kłopoty narodu polskiego, przeniknął chytre plany i podstępy niemców, wglądnął głęboko w straszne zamiary bolszewików, zdołał też rozpoznać złą wolę i uprzedzenia litwinów, zbliżył się bardzo przychylnie do Łotwy, a nawet i do Finlandji.

Tak Opatrzność stopniowo w dość krótkim czasie, bo niespełna w ciągu lat trzech przygotowała ks. Rattiego do najtrudniejszego i najmozolniejszego sterowaniu całym Kościołem Katolickim.

Oczywiście, nie przewidywał ks. Ratti takiego swego przeznaczenia. Przylgnął do Polski. Zżył się serdecznie z narodem polskim i najpracowiciej spełniał swe powinności przedstawiciela Ojca św. Aż w połowie roku 1921 papież, Benedykt XV zamianował ks. Rattiego kardynałem i arcybiskupem medjolańskim. Wskutek tego musiał już ks. Ratti opuścić Polskę. Pożegnał ją najserdeczniej, jak z ducha i serca polak najlepszy. Przyrzekł narodowi naszemu pamiętać o nim zawsze i modlić się za Polskę —i dotrzymuje stale przyrzeczenia swego.

Krótko przebywał w Medjolanie jako kardynał-arcybiskup, bo już niebawem w początku następnego roku 1922 Bóg powołał do siebie Benedykta XV, —a dokonane zaraz wybory dnia 6 lutego zaprowadziły ks. kardynała Rattiego na osierocony szczyt

Stolicy Apostolskiej. I już z tego szczytu, ukoronowany, jako Papież Pius Jedenasty, poraz pierwszy pobłogosławił całemu światu.

Jakim był nuncjuszem ksiądz Ratti w Polsce, takim, jako Pius Jedenasty, stał się Ojcem świętym dla całego Kościoła Chrystusowego i dla wszystkich wiernych. Nic się w nim nie zmieniło, owszem jeszcze udoskonaliły się bardziej cnoty i zdolności jego pod działaniem obfitszej łaski Bożej, przeznaczonej dla Głowy Kościoła.

Wkrótce przy sposobności Papież, Pius XI, zaznaczył w swej odezwie, że — jak pisze ks. Nikodem Cieszyński w „Rocznikach Katolickich" z roku 1923 — dalej pragnie snuć program swego poprzednika Benedykta XV, który, w najcięższych bodaj czasach tak kierował nawą Kościoła, iż zyskał nie tylko uznanie u dobrych, ale nawet podziw u przeciwników." A tem więcej to potrzebne, że wszędzie „ostały się dawne przyczyny boleści, a nawet nowe zło i nowe niebezpieczeństwo się do nich przyłączyło". Dlatego należy stać na straży interesów Kościoła i nasamprzód gdy chodzić będzie o Palestynę, będzie trzeba je zabezpieczyć przed żydami i niewiernemi, a także najrozmaitszemi sektami.

Dla roztoczenia opieki — słowa ks. Cieszyńskiego — wogóle nad Wschodem posyła papież nuncjusza apostolskiego z Rumunji do Konstantynopola i wyraża życzenie, by schizmatycy wrócili „na łono Ojcowskiego Kościoła", z którego Wschód niegdyś brał moc i zachętę do świętości i uczoności.

Prawdziwą troską zasępione czoło Ojca św., kiedy spogląda ku Rosji i rozważa, jak tam ludzie, a zwłaszcza kobiety i dzieci, giną z chorób zaraźliwych i głodu. Chcąc im ulżyć Pius XI prowadził dalej dzieło, które mu Benedykt XV „niejako testamentem był przekazał", a nawet wędle większych potrzeb jeszcze je rozszerzył, wzywając wiernych do ofiarności na zaopatrzenie ludu rosyjskiego w artykuły spożywcze, odzież, lekarstwa. A w tem kierował się wezwaniem, jakie poszło niegdyś do Piotra: „Paś baranki moje, paś owieczki moje", boć przecież słowa te „stosują się do wszystkich tych, którzy należą już do owczarni i tych, którzy dla niej przeznaczeni, aż stanie się jedna owczarnia i jeden Pasterz".

Dąży gorliwie do tej jedności Pius XI, chce zgromadzić przy sobie wszystkich ludzi, jako wyznawców i miłośników Chrystusa Pana.

Skorzystał też obecnie skwapliwie ze zbawiennego zwyczaju, który co 25 lat zwołuje wiernych do Rzymu, ażeby u stóp Namiestnika Chrystusowego odświeżali w sobie uczucia wiary, miłości i nadziei chrześcijańskiej.

Skorzystał z tego zwyczaju zbawiennego Pius XI i rok bieżący 1925 uczynił „Rokiem Jubileuszowym", więc pociąga ku sobie nieprzeliczone zastępy wiernych pielgrzymów ze wszystkich krańców świata. A zpewnością wśród tych zastępów nie będzie brakowało polaków. Owszem, będzie ich tam niezmiernie dużo! Podążą do Rzymu wiedzeni podwójną pobudką: wiary katolickiej i wdzięczności polskiej.

Niech nas, polaków, będzie u stóp Piusa XI jaknajwięcej dla okazania mu mocnego zespolenia z Kościołem Katolickim i Stolicą Apostolską, — oraz dla wyrażenia niezapomnianej miłości, jaką rozniecił w nas ku sobie wówczas, kiedy, jako nuncjusz apostolski, przebywał i pracował usilnie, a dobroczynnie na polskiej ziemi!

---

**Religja jest najlepszą przewodniczką w życiu, najmilszą towarzyszką w szczęściu i pocieszycielką w nieszczęściu.**

**Seume.**

---

## Wiara, Nadzieja i Miłość.

Wiara to gwiazda przewodnia
Co świeci w mrokach żywota;
Ona wśród troski codziennej
W sercu jak jasność lśni złota
I choćbyś codzień wypijał
Goryczy i żółci czarę, —
Nic cię nie złamie, nie zegnie,
Dopóki w piersiach masz wiarę!

Nadzieja — gwiazda druga,
Dziwnie promienna i wzniosła;
Życie, jak łódka jest kruche,
Ster — wiara, nadzieja wiosła.
Przejdą cierpienia i smutki,
Jak mgły się w końcu rozwieją,
Jeśli masz prawdę za godło,
A naprzód idziesz — z nadzieją.

Zaś trzecią gwiazdą — to miłość,
Wierna dwuch pierwszych siostrzyca;
W niej czynów wielkich podnieta
I czystych uczuć skarbnica
Więc piastuj miłość w swem łonie
I kochaj ludzi jak braci,
O szczęście innych się staraj,
Bóg ci twem własnem odpłaci.

O, trzy największe to cnoty!
Nadzieja — miłość — i wiara!
Z niemi trud każdy rozkoszą
I lekką każda ofiara.
Bóg je zaszczepił w człowieku,
By mu dać szczęście na ziemi —
Te trzy siostrzyce byt ludzki
Przeplótły nićmi złotemi!

O, żyjmy, bracia, pobożnie
W nadziei — wierze — miłości!
Niech każda z gwiazd tych świetlanych
Do końca świata nam gości:
Niech nikt się życia nie lęka
I nie drży przed śmierci marą,
Bo błogo żyć i umierać
Z nadzieją — miłością — wiarą!

**Artur Oppmann.**

---

**Łatwiej jest miasta w powietrzu wybudować niż państwo założyć bez religji.**

**Plutarch.**

---

# KONKORDAT.

Niedawno, bo w lutym r. b. został zawarty tak zwany konkordat między Stolicą Apostolską i rządem polskim. Wyraz konkordat pochodzi od słowa łaciń-

skiego: concordare, co po polsku znaczy zgadzać się z kim, żyć w jedności, w porozumieniu.

Stąd wyraz ten stał się dogodnym dla oznaczenia ugody, wiążącej papieża z rządem państwa katolickiego.

Przeto konkordat jest to ugoda w najważniejszych sprawach kościelnych, zawarta pomiędzy papieżem, jako głową Kościoła, a prezydentem państwa jako świeckim jego zwierzchnikiem. Konkordat jest koniecznie potrzebny na to, żeby sprawy kościelne wewnętrz państwa mogły być rozstrzygane przez Stolicę Apostolską w zupełnej zgodzie i porozumieniu z rządem tego państwa.

Dlatego też Rzeczpospolita Polska po odzyskaniu niepodległości przystąpiła do uporządkowania najważniejszych swych spraw kościelnych i w tym celu wysłała do Rzymu posła swego, Stanisława Grabskiego, który porozumiał się szczegółowo ze Stolicą Apostolską i oto dnia 10 lutego r. b. pomiędzy Ojcem Świętym, Piusem Jedenastym, jako głową Kościoła Katolickiego, a Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisławem Wojciechowskim, jako naczelnym zwierzchnikiem świeckim Polski, spisano ugodę w sprawach kościelnych, zwaną konkordat.

Układy ze Stolicą Apostolską rozpoczęły się dnia 1 października 1924 roku, a skończyły się 10 lutego, trwały więc niezwykle krótko, bo tylko 4 miesiące, gdy naprzykład układy o konkordat pomiędzy Bawarją i Stolicą Świętą ciągnęły się aż 4 lata. Tak szybkie przeprowadzenie układów zawdzięczamy przedewszystkiem temu, że Ojciec Święty, Pius Jedenasty, ma dla Ojczyzny naszej miłość szczególną i uważa ją za przedmurze chrześcijaństwa i oświaty. Setki miejsc świętych i cudownych są na świecie, a jednak na stole u Ojca Świętego stoi stale obraz naszej Matki Boski Częstochowskiej, jako wyraz uczuć jego dla Polski.

Konkordat składa się z 27 artykułów.

Artykuł 1-szy i 2-gi stwierdzają naczelną zasadę konkordatu: całkowitą wewnętrzną wolność Kościoła.

Artykuł 1-szy brzmi: „Kościół katolicki bez różnicy obrządków, korzystać będzie w Rzeczypospolitej Polskiej z zupełnej wolności. Państwo zapewnia Kościołowi swobodne wykonywanie jego władzy duchownej i jego sądownictwa, jak również swobodny zarząd sprawami jego i majątkiem, zgodnie z prawami bożemi i prawem kościelnem".

Artykuł 2-gi mówi: „Biskupi, duchowieństwo i wierni będą swobodnie i bezpośrednio znosić się ze Stolicą Świętą. W wykonywaniu swych czynności biskupi swobodnie i bezpośrednio znosić się będą ze swem duchowieństwem i swemi wiernemi, oraz ogłaszać swe zalecenie, nakazy i listy pasterskie".

Wybór arcybiskupów i biskupów—stosownie do artykułu 11-go — należy do Stolicy Apostolskiej. Ojciec Święty jednak zgadza się przed mianowaniem arcybiskupów i biskupów zwracać się do prezydenta Polski, aby upewnić się, że prezydent nie jest im przeciwny. Wynika z tego, że bez zgody prezydenta Polski nikt w Polsce biskupem, ani arcybiskupem być nie może. Nowi biskupi, mianowani przez papieża, przed rozpoczęciem działalności muszą złożyć na ręce prezydenta Rzeczypospolitej przysięgę wierności prawom konstytucji i troski o dobro Polski.

Mianowania na inne urzędy i godności kościelne dokonywa właściwa władza kościelna, więc proboszczów, naprzykład, mianuje biskup, ale przedtem w myśl artykułu 19-go ma obowiązek zapytać ministra oświaty i wyznań o zgodę. Minister może nie zgodzić się na mianowanie proboszcza, jeżeli uważa, że działalność jego byłaby sprzeczna z bezpieczeństwem państwa. Gdyby pomiędzy biskupem a ministrem nie mogło dojść do zgody, wówczas sprawę rozstrzygnie sąd: z dwuch kapłanów, wyznaczonych przez Ojca Świętego, oraz z dwuch urzędników, — wskazanych przez prezydenta Polski.

Nauka wiary św. we wszystkich szkołach jest obowiązkowa, a nauczycielami jej **mogą być tylko te osoby, które otrzymają od biskupa upoważnienie do nauczania.**

Teraz djecezje tak będą urządzone, że granicą djecezji kresowych będzie granica naszego państwa. A przeto ani nasz biskup nie będzie rządził parafjami, będącemi w obcem państwie, ani też biskup, przebywający w obcem państwie, nie będzie mógł rządzić parafjami, będącemi w Polsce. A to właśnie dotychczas, niestety, działo się na pograniczu od strony Niemiec.

Cały obszar Polski będzie podzielony na 5 prowincji kościelnych obrządku łacińskiego. Na czele każdej prowincji stoi arcybiskup. Z tego widać, że Polska będzie miała odtąd 5 arcybiskupów: 1) gnieźnieńsko-poznański, 2) warszawski, 3) wileński, 4) lwowski, 5) krakowski, — i 15 biskupów-ordynarjuszów, nie licząc biskupów pomocnych.

Prócz tego dla wiernych obrządku grecko-rusińskiego będzie osobny arcybiskup we Lwowie, oraz biskupi w Przemyślu i Stanisławowie, dla wiernych obrządku ormiańskiego we Lwowie.

Konkordat również zapoczątkował uporządkowawanie spraw majątkowych Kościoła w Polsce. Wreszcie omówił stałe wynagrodzenie dla duchowieństwa.

W sprawach najważniejszych, lub najkłopotliwszych, konkordat podał wskazówki, zasady i zobowiązania wyraźne, mając na widoku dobro rzetelne stron obu, tak, że już wszelkie okazje do nieporozumienia są na przyszłość wykluczone. Konkordat bowiem zabezpiecza wszystkie prawa Kościoła Katolickiego w Polsce — i zarazem żadnej niedogodzy nie wyrządza Polsce. Jest więc konkordat dziełem ojcowskiej troskliwości Papieża, — szczerej woli dobrej Narodu polskiego, zawsze po synowsku wiernego Stolicy Apostolskiej!

W Sejmie warszawskim konkordat został trzykrotnie odczytany i na sesji d. 27 marca większością głosów przyjęty, jakkolwiek niektórzy wrogowie Kościoła jawnie mu byli przeciwni. Teraz tylko jeszcze musi nastąpić podpisanie tegoż konkordatu przez Ojca Świętego i przez Prezydenta Polski. Co gdy zostanie dokonane, już zacznie konkordat obowiązywać w Polsce.

---

Tylko na drzewo, okryte owocem, padają kije i kamienie...

Przysłowie perskie.

## Marzenia Matki

Chłopcze, matka twoja marzy. Przedziwne obrazy
Snują się przed jej wzrokiem przy pracy codziennej.
Słoneczne, pełne blasku, piękniejsze sto razy,
Niźli twory poetów fantazji promiennej.
Marzy o twej przyszłości — o tej pięknej chwili,
Kiedy syn jej wśród spółczesnych w pierwszym stanie
[illegible] [rzędzie.
Ją siły już opuszczą, wiek ku ziemi schyli,
On jej chlubą, jej szczęściem, jej podporą będzie.
Siwizna włos jej srebrzy, oczy blask straciły,
Lecz serce wciąż radosna napełnia otucha,
Że kiedyś dzielnym mężem będzie syn jej miły,
Zjedna sobie serca ludzkie mocą swego ducha.
Tak marzy matka twoja, a gwiazda oddalona
Nadziei blaskiem dni jej życia opromienia.
Wszak jej syn każdą zaporę złamie i pokona
Raczej, niżby miał rozwiać matki swej marzenia.

**Nixon Waterman.**

---

Wielkie, na cały świat głośne triumfy, osiągnięte zostały zwykle dopiero po dwuch, trzech, a niekiedy nawet po pięćdziesięciu chybionych próbach.

**Jan Morley.**

---

## Pielgrzymka młodzieży polskiej w Rzymie.

Ksiądz kardynał Kakowski, arcybiskup warszawski, udał się przed świętami Wielkanocnemi z pielgrzymką młodzieży polskiej do Rzymu i tam, dnia 11 kwietnia, to jest w Wielką Sobotę, zostali oni wszyscy razem, więc młodzież, profesorowie, starszyzna i duchowieństwo, przyjęci w dużej sali Watykanu przez Ojca Świętego.

O tem uroczystem, rzewnem i sercem naszym miłem przyjęciu tak opowiada „Kurjer Warszawski":

Papież obchodził szeregi młodzieży, udzielając błogosławieństwa i wypytując o wiele miejscowości polskich. Zatrzymawszy się przy grupie profesorów, specjalnie im życzył powodzenia w odpowiedzialnej pracy. Przy grupie osób z Bygdoszczy, Papież powtórzył kilka razy: „Bydgoszcz, Bydgoszcz, pamiętam, przejeżdżałem tamtędy". Gdy Papież podszedł do syna Prezydenta Polski, Wojciechowskiego, zapytał go o zdrowie ojca i udzielił mu błogosławieństwa dla rodziców, rodziny i dla całej Polski. Przy grupie dziennikarzy polskich, bo i oni stali obok młodzieży, Papież odezwał się wesoło: „Witam was piąta potęgo światowa!"

Po obejściu zgromadzonych, Papież siadł na tronie i wygłosił przemówienie, które zaczął po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!", na co mu chóralnie wszyscy odpowiedzieli. Rozległy się następnie wielokrotne okrzyki: „Niech żyje Papież". Po uciszeniu się zgromadzonych Ojciec św. mówił dalej, zaznaczając, iż żałuje, że nie może całej mowy wypowiedzieć po polsku. Przemówienie Papieża cechowała niezwykła serdeczność i rozrzewnienie. Pod względem formy było ono bardzo piękne i wzniosłe.

Oto streszczenie mowy Ojca św.:

Widok wasz — rzekł Papież — napełnia mnie szczególniejszą radością; przypominacie mi Polskę. Przypominacie mi waszą i naszą ojczyznę, gdyż i ja poniekąd jestem w prawie powiedzieć, że posiadam obywatelstwo polskie, gdyż tam otrzymałem konsekrację na biskupa i to mnie wiąże wspólnotą intelektualną z ojczyzną waszą i naszą. Dzięki temu posłuchanie obecne nie jest takie, jak wiele innych, jakie tu w tym Roku Świętym się odbędą.

Przybędą tu pielgrzymki liczne i różne, które całem sercem będę witał, wasza jednak pielgrzymka budzi we mnie te wszystkie czułe i serdeczne wspomnienia, jakie wywiozłem z Polski, tej Polski, która ma jako wieczne hasło — zasadę: „Polonia semper fidelis" — „Polska zawsze wierna"!

Przybyliście pierwsi z Polski, wy, co stanowicie przyszłość narodów — młodzież i wy, co ich prowadzicie, — nauczyciele i nauczycielki. Widzę tu prawników, wysokich urzędników, widzę waszą organizację i ład i to mnie napełnia radością i wiarą, że Polska odrodzona będzie się stale doskonalić w organizacji, utrwalając swój dobrobyt i odzyskaną wolność.

Polskę z Rzymem łączą świetne, żywotne i pełne chwały stosunki. Wiara dała Polsce moc przetrwania najcięższych chwil, wiara była często jej głównym puklerzem. Chciałbym, abyście, powróciwszy z tej pierwszej waszej pielgrzymki i podróży do Rzymu, poczuli się wzmocnieni w wierze Kościoła rzymsko-katolickiego; chciałbym, abyście tę wiarę wzmocnioną i silniejszą przekazali tym, którzy nie mogli tu przyjechać.

Tę moją wolę wraz z błogosławieństwem daję wam, abyście, wierni tej wierze, szli w dalsze życie dla dobra swego i dla waszej pięknej a rozległej ojczyzny; chciałbym, abyście wierni pamięci waszych ojców, którzy z wezwaniem: „Polonia semper fidelis" żyli i walczyli w obronie tego hasła, wrócili do Polski i aby wasza młodzieńcza wiara — o, dzieci moje,— szła z wami po całej Polsce, aby była i w Warszawie i w Wilnie i we Lwowie, w Grodnie, Krakowie, Lublinie i w całej, całej Polsce!

Do was się specjalnie zwracam, nauczyciele i nauczycielki, którzy towarzyszycie tej młodzieży, którzy kształtujecie jej duszę i serca, spełniając wasz wzniosły zawód, wam polecam tę młodzież, waszej pieczy ją oddaję i aby wyrazić wam wszystkim, którzyście przybyli, moje specjalne uczucia, jakie wasz widok we mnie wywołuje, przypominając mi moją Polskę — uczucia te wyrażam w błogosławieństwie, jakie wam z najserdeczniejszą radością daję.

Po tem przemówieniu, tłumaczonem przez kardynała Kakowskiego, Papież udzielił zgromadzonym błogosławieństwa dla nich samych, dla rodzin, dla ich pragnień i poczynań, dla wszystkich dobrych synów Kościoła, którzy są w Polsce i dla Polski całej.

Kiedy Papież wstał, opuszczając tron, powtórzyły się okrzyki na cześć Papieża, a następnie odśpiewano chóralnie: „Boże, coś Polskę".

---

Piękne sumienie stać przy przyjacielu,—a jeszcze piękniejsze zostawać przy prawdzie.

**Jan Kochanowski.**

# Wskazania ministra oświaty.

Gdy Stanisław Grabski, — ten sam, który bardzo przyczynił się do ułożenia w Rzymię konkordatu naszego z Stolicą Apostolską, a obecnie nasz minister oświaty i wyznań, — gdy, powiadamy, Stanisław Grabski wykłada w swej najświeższej książce: „Zagadnień polityki narodowo-państwowej“ (Warszawa 1925 r.), **jakie powinno być wychowanie młodzieży polskiej**, zaraz wskazania swoje popierą dowodami przekonywającemi, dlaczego ono powinno być takiem, a nie innem.

Oto, naprzykład, mówi Grabski tak:

Chodzi mi w tej chwili o to tylko, byśmy jasno zdawali sobie sprawę, że **przyczyną kurczenia się granic Rzeczypospolitej Polskiej**, które zaczęło się już za synów Kazimierza Jagiellończyka, a skończyło się rozbiorami, **był przedewszystkiem brak silnych rządów, umiejących swą wolę narzucać masie szlacheckiej, a owszem rządy były chwiejne,—bo w mężach rządzących przeważały niezdecydowane, połowiczne charaktery**, wśród których **wyjątkowo** trafiali się ludzie **stali, niezmiennie wierni własnemu sumieniu!..**

Gdy zdamy sobie z tego w pełni sprawę — dowodzi Grabski — już dostatecznie zrozumiemy **całe, rozstrzygające dla przyszłości Polski znaczenie wychowania charakterów!..**

**Polska może stać się potężną tylko siłą charakterów swych obywateli, szczególnie w warstwie rządzącej.**

Zapewne, — dalej wyznaje Grabski, — gdy porównamy Polskę obecną z Polską 18-go wieku, nawet doby Sejmu Czteroletniego, — musimy stwierdzić, że niewola nie osłabiła, lecz znacznie wzmocniła w bardzo wielu polakach siłę charakteru, co np. dało się zauważyć w tych, którzy w ostatnich czasach walczyli o wolność Polski zarówno z bronią w ręku, jak i siłą swej nieustępliwości w obronie praw świętych narodu do całkowitej niepodległości!

Gdy np. nietylko za powstania Kościuszkowskiego, ale i w 1830 roku Rosja była w stosunku do nas granitowo silna, a myśmy byli miękcy jak wosk, —dziś przewyższamy ją o wiele swoją siłą woli!

Nie wystarcza jednak przewaga charakterów polskich nad rosyjskiemi.

**Musimy siłą woli i wytrwałością dorównać zachodnim sąsiadom, a nawet ich przewyższyć. A do tego nam jeszcze naogół w Polsce daleko!**

Dotychczas u nas ludzie mocnych przekonań, nie odstępujący od nich „dla świętego spokoju“, umiejący przeciwstawiać się nastrojom opinji, nieustępliwi w przeprowadzeniu tego, **co uważają za konieczne dla Polski i bezwzględni w zwalczaniu szkodliwej dla państwa roboty** — są, niestety, naogół nie lubiani! Zarówno w życiu politycznem, jak i wszelkiego rodzaju stowarzyszeniach—kierownicze stanowiska powierzane bywają najchętniej ludziom chwiejnym, niezdecydowanym, nie stojącym twardo przy swem zdaniu, a więc takim, któremi ci i owi postronni z ukrycia mogą podług swoich upodobań i widoków kierować, jak chorągiewką na dachu!...

Jeżeli przeto chcemy Polsce **zapewnić rozwój mocarstwowy**, — twierdzi Grabski — musimy wychować nowe pokolenie w miłości wszystkich polaków bez różnicy partji, ale zarazem i w nieugiętej wytrwałości w przeprowadzaniu tego, co uważa za słuszne i nie odstępowaniu od **nakazów swego obywatelskiego sumienia dla żadnych względów**, nietylko gwoli dogodzenia własnej wygodzie, ale i choćby dla przypodobania się swoim przyjaciołom.

A osiągniemy to wówczas tylko, gdy w podstawie wychowania młodzieży polskiej **będziemy mieli na celu kształcenie:**

1) wyraźnych zdecydowanych **zamiłowań** zarówno w pracy, jak i w nauce.

2) **wytrwałości** w raz obranym kierunku pracy.

3) **wewnętrznej szczerości przekonań**, by czyny były w zgodzie z wygłaszanemi zasadami.

4) **ostrożności** wobec czyichkolwiek słów pięknych, gdy są czcze, bo nie poparte czynami pięknemi.

5) **silnej koleżeńskiej opinji**, bezwzględnej w zwalczaniu wszelkiego zła i wszelkiej małoduszności.

6) **prawdziwego ducha religijnego**— i wreszcie:

7) **głębokiego poczucia**, ze nie Polska istnieje dla polaków,—ale polacy dla Polski. Zatem nie o to dbać jedynie mamy, żeby Polska dogadzała naszym sobkoskim zachciankom i interesom! Nie naginajmy Polski do swoich widoków i rachub! Ale niech każdy z nas sumiennie spełnia **wszystkie** swoje powinności obywatelskie i **nadto jeszcze chętnie czyni** ofiarę z siebie, gdy to okaże się **niezbędnem dla dobra Polski!**

Nie Polska nam, polakom, ale my Polsce, jako ojczyznie naszej, **zawsze służyć mamy**. I właśnie dlatego każdy z nas **musi mieć charakter nietylko piękny, ale i silny!**

---

Dwie rzeczy człowieka uszlachetniają: obyczaje a rozum. Obyczaje z cnót pochodzą, a rozum z nauk i doświadczenia; obiedwie rzeczy w sobie mieć, rzecz nieprzepłacona człowiekowi. Ale jeśli przy jednej tylko masz zostać, raczej przy cnocie niż przy nauce zostań; bo nauka bez cnoty jako miecz u szalonego —i sobie i ludziom on szkodzi; cnota choć dobrze sama będzie, chwalebna jest i pożyteczna.

**Jan Kochanowski.**

---

# Czas i praca.

Duńczycy dążą do pozyskania coraz gruntowniejszej, doskonalszej oświaty. Nie żałują na to pracy, ofiar, a nawet poświęcenia się, bo rozpowszechnianie jej uważają za posłannictwo szlachetne dla dobra całego narodu. Ale wchłaniają w siebie oświatę nie dla dogodzenia pyszę, lub troskom materjalnym

Owszem i duńczycy, jako zwykli ludzie, całkowicie podobni do innych, narazie z własnego popędu

sobkowskiego mniemali, że nauka-oświata powinna tylko przysparzać im chleba, dostatku, bogactwa materjalnego. Lecz niektórzy duńczycy inny mieli pogląd na zadania nauki-oświaty. Oto — ich zdaniem — ona powinna władze i zalety duszy ludzkiej doskonalić tak, iżby one ciągle stawały się coraz pożyteczniejsze w pracach — i coraz lepsze w pożyciu z gromadą swoją.

A przeto ci niektórzy duńczycy rozumieli posłannictwo nauki-oświaty tak, iż ona powinna nie jedynie oświecać umysły, lecz **wychowywać człowieka**, uzdalniać go do życia **moralnie dobrego** w ojczyźnie, rodzinie i społeczeństwie. I te właśnie poglądy swoje potrafili oni w znacznym stopniu w swojej ojczyźnie urzeczywistnić z wielką dla całego narodu duńskiego korzyścią materjalną i moralną!

Nasz rodak, Jan Lutosławski, podjął wdzięczną pracę zbadania na miejscu, w Danji, wysiłków oświatowych i wychowawczych niektórych duńczyków gorliwszych, jako obywateli i przyjaciół, oddanych całą duszą swemu narodowi. I zebrane tam uwagi swoje o tych wysiłkach, oraz wiadomości potrzebne, podał w ciekawym artykule, umieszczonym w zbiorowej książce p. n. „Stosunki rolnicze w Danji", z którego tu warto bodaj kilka podać wzmianek.

Tembardziej warto, że Lutosławski zaraz na wstępie upewnia, jak prace oświatowe przyczyniły się do podniesienia dobrobytu duńczyków! Owszem, nawet wyznaje, że prace oświatowe w Danji są **powszechnie umiłowane** — i to wszystko, co w dziedzinie oświaty na miejscu poznał, słusznie poczytywane bywa za chwałę tego kraju — i za przykład, **godny najszerszego naśladowania.**

Najciekawszą i najpożyteczniejszą instytucją oświatowo-wychowawczą w Danji jest „wyższa szkoła ludowa".

Twórcą tych szkół w Danji jest Grundtvig, urodzony w r. 1783, a zmarły w r. 1872. Długie życie swoje (prawie lat 90) całkowicie tej sprawie poświęcił, choć jest w Danji również bardzo popularny, jako dziejopisarz, a więcej jeszcze, jako autor pieśni religijnych.

Dążeniem Grundtviga — słowa Lutosławskiego, było pogłębienie w szerokich warstwach narodu duńskiego **zasad moralności chrześcijańskiej na tle wzmożonego poczucia** narodowego. I szkolnictwo powinno spocząć na podstawach narodowych, oraz chrześcijańskich. Wszelakoż pierwiastek narodowy nie powinien przeważać do tego stopnia, ażby przygłuszał **ideały człowieka!**

Ideały ogólno-ludzkie zawsze muszą być celem. Ponieważ jednak przejawiają się zazwyczaj w potrzebach narodowych, przeto przedewszystkiem w działaniach narodowych ideały ludzkie już powinny się urzeczywistniać.

Jak szkoła oświatowa w Danji usilnie zmierza do wypielęgnowania w młodzieży zalet moralnych, — o tem będzie mowa za tydzień.

# WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

— Prezes ministrów francuskich Herriot już podał się do dymisji, bo większość senatorów odmówiła mu swego zaufania, a w sejmie mało co więcej nad połowę posłów oświadczyło się za nim przychylnie. Zrozumiał nareszcie Herriot, że nie dogodzi narodowi swemu, więc ustąpił. A kto po nim obejmie przewodniczenie rządowi francuskiemu, jeszcze dotychczas niewiadomo. Jednak ta nagła dymisja Herriota daje światu dużo do myślenia o zamiarach francuzów. Oto francuzi mają za złe Herriotowi, że jako głowa rządu francuskiego, zbyt ustępliwym był względem Niemiec i bolszewików. Chyba należy spodziewać się, że może nawet wprędce naród francuski powierzy rządy tylko tym mężom swoim, którzy twardo stać będą przy wersalskiej ugodzie pokojowej.

— Dnia 26 kwietnia odbędą się w Niemczech wybory na prezydenta państwa niemieckiego. Kandydatów jest kilku. Który z nich otrzyma najwięcej głosów, niepodobna odgadnąć. Ale rozchodzą się wieści, że dawny jenerał niemiecki, Hindenburg, chce być prezydentem i podobno ma dużo zwolenników. Lecz inne państwa są tym jego zamiarem obrażone, bo przecież wiedzą, że Hindenburg jest stronnikiem dawnego cesarza Wilhelma i że nawet dość jawnie radby zpowrotem wprowadzić Wilhelma na tron niemiecki! Na to nie mogłyby zgodzić się mocarstwa sąsiednie.

# NOWINY Z POLSKI.

— W tych dniach w Warszawie Adam Kleczko, pobudzony piękną pogodą, ciepłem wiosennem, nagle stracił ochotę do pracy, a poczuł w sobie tęsknotę do pól zielonych, więc, wziąwszy do kieszeni butelczynę „pocieszycielki", pomknął za miasto, hen daleko, w pola, na pagórki, gdzie około południa, gdy słońce nieco mocniej przygrzało, Kleczko usiadł dla wypoczynku i orzeźwienia się pocieszycielką. Zaledwo wyjął z kieszeni butelczynę nieszczęsną, już koło niego znalazło się dwuch takich samych, jak on widocznie miłośników świeżego powietrza i ładnej pogody. Usiedli obok niego, wdali się w rozmowę przyjemną i wesołą, a przytem okazało się, że i ich stać było na butelczyny, bo także wydobyli z kieszeni spory zasób trunku! Zaczęły się poczęstunki, przepijania jednych do drugich. Trwała ta uciecha dość długo, Kleczko przebrał miarkę, stracił przytomność i wnet usnął twardo. Na to tylko czekali przygodni towarzysze, bo sami niezbyt wiele pili, a głównie fetowali Kleczkę. Chodziło im o to, żeby go pozbawić przytomności. Gdy już upewnili się, że Kleczko nic nie wie o Bożym świecie, ograbili go niemal doszczętnie i poszli skąd przyszli, przez nikogo nie widziani i nieśledzeni.

Na tym świecie jednak wszystko ma swój koniec, więc i sen Kleczki minął, a nastało przebudzenie — straszne! Odrazu przekonał się, że jest okradziony. Rozglądał się dokoła siebie po polu, — ale żywego ducha nie było. Smutny, ograbiony powlókł się do miasta, zawiadomił policję o swej stracie i prosił, by pomogła mu znaleźć złodziei.

Najdotkliwiej jednak ubodły Kleczkę naigrawania znajomych. Bo oni zamiast ulitować się nad nim, jeszcze drwili z niego boleśnie, mówiąc mu oczywiście prawdę: Nie trzeba było wdawać się ze złodziejami — i nie pić wódki! Zmądrzał po kosztownem doświadczeniu! Niechże i nas ta cudza szkoda nauczy ważnej prawdy: nie pij wódki, a unikniesz towarzystwa złych ludzi.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 26 kwietnia 1925 r. № 17.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Ksiądz Stanisław Konarski.

Hieronim Konarski urodził się 30 września 1700 roku w Żarczycach, koło Jędrzejowa, w województwie sandomierskiem, w domu senatorskim, lecz niebogatym. Ojciec wkrótce został kasztelanem. Matka pochodziła z Tarłów.

Ukończywszy szkołę księży Pijarów w Piotrkowie, Hieronim, jako 15-letni młodzieniec, osierociały, wstąpił śladem dwuch starszych braci do nowicjatu pijarskiego w Podolińcu na Spiszu. Przyjąwszy zakonne imię Stanisław, — którem go odtąd nazywać będziemy, — przepędził tamże lat siedem: dwa, jako kleryk, pięć, jako braciszek i nauczyciel poetyki i wymowy. Wybitne jego zdolności zwróciły nań wcześnie uwagę starszyzny zakonnej, toteż prowincjał przeniósł go w r. 1722 do wyższej szkoły warszawskiej, gdzie w ciągu trzechletniego pobytu zyskał rozgłos biegłego poety łacińskiego. Biskup poznański, Tarło, brat matki Stanisława, wysłał zdolnego siostrzeńca swego do Rzymu, aby tam uzupełnił wykształcenie w najlepszych zakładach naukowych, prowadzonych przez księży Pijarów.

Cztery lata przebywając w Rzymie, tam, w szkole wyższej posiadł nauk wiele, dotychczas mu znanych niedostatecznie. Nadto jeszcze sposób prowadzenia szkół tamtejszych inny, aniżeli polskich, obudził w nim myśli bardzo dla narodu w przyszłości szczęśliwe. Bo oto rozważając wpływ szkoły na urabianie umysłu, serca i charakteru w uczniach, Konarski sam w sobie chwycił się myśli nowej: czyby nie należało w Polsce „dokonać reformy (odmiany, naprawy) oświaty narodowej".

Ta nowa myśl już nigdy nie zgasła w ks. Stanisławie. Owszem, wprędce stała się wyrazistą, uzupełnioną wielu wiadomościami i doświadczeniami. Przekonywa ona dowodnie, że ks. Konarski miał w sobie wielką zdatność na wychowawcę, ale też i gorące umiłowanie swego narodu, gdyż pragnął przez udoskonalenie sposobu nauczania — wzmocnić ducha w narodzie, uzdolnić go do pomyślniejszej egzystencji. Bo bystrem okiem dostrzegł wiele złego w swoich rodakach. Przewidywał boleśnie, że złe wady, szybko w narodzie rosnąc, — mogą doprowadzić go do strasznej hańby i zguby!

Ukończywszy szkoły w Rzymie, wyjechał stamtąd 1729 roku, kiedy już miał lat 29. Jednak nie zaraz podąża do kraju ojczystego. Pragnie bowiem jeszcze zbadać stan wychowania i oświaty w różnych państwach i w tym celu udał się do Francji, Niemczech, Austrji, nawet zwiedził weneckie zakłady naukowe. Półtora roku zeszło mu na tych wędrówkach, z których przywiózł do Polski mnóstwo nieoszacowanych spostrzeżeń, uwag i wskazówek!

Tak długo a mozolnie przygotowywał się do spełnienia prac wychwawczych, które uczyniły go mężem niezmiernie pożytecznym dla narodu polskiego.

Wróciwszy z zagranicy ks. Stanisław narazie rzucił się do najpilniejszych zajęć politycznych. Między innemi zgromadził całe ustawodawstwo polskie w jeden zbiór, zwany „Volumina legum.“ Potem napisał książkę p. n. „O skutecznym rad sposobie,“ w której podał rodakom myśli rozumne, jak trzeba rządzić państwem, — oraz wytknął w narodzie polskim zgubne wady polityczne i moralne.

Ale głównem jego zadaniem była poprawa sposobu wychowania młodzieży, w której słusznie widział przyszłość narodu.

Przygotowawszy sobie kilku nauczycieli pośród zdolniejszych pijarów, mając przytem sporo książek, odpowiednich do nauczania młodzieży, otworzył nową szkołę średnią dla dzieci rodzin najzamożniejszych. Uczynił to w tej myśli, że kiedyś te dzieci, gdy już dojdą do lat starszych, zpewnością wstąpią do służby publicznej, wejdą do urzędów wyższych, odpowiedzialnych! Trzebaż przeto zawczasu przygotować ich tak, iżby umieli i chcieli być najlepszemi obywatelami, pracującemi nadewszystko dla dobra ojczyzny!

Szkoła jego, zwana Kollegjum, założona w Warszawie, przy ulicy Długiej, prowadzona była bardzo surowo. Ustanowiony został nad młodzieżą dozór najstaranniejszy każdej chwili dnia i nocy. Nie wolno było dzieciom opuszczać lekcji, wychodzić z konwiktu (t. j. z domu szkolnego, gdzie wszyscy uczniowie razem mieszkali pod nadzorem księży pijarów) wieczorem, nawet wyjeżdżać na święta, lub na wakacje. Przez siedem lat, — pisze Stanisław Kot, profesor uniwersytetu jagiellońskiego, — a jeśli kto korzystał z kursów prawniczych, to i dłużej, trzymał konwikt wychowanka w najściślejszej opiece i oddziaływał nań wszelkiemi środkami moralnemi i umysłowemi, aby zeń wychować człowieka i obywatela w myśl ideałów, zamiarów Konarskiego.

Przy tak ścisłym nadzorze musiała się zmniejszać ilość przewinień. Jeśli się jednak zdarzają i muszą być karane, ostrzegą ks. Konarski. aby nigdy nie karać w gniewie, oraz strzedz się kar cielesnych. Nawet jest tego zdania, aby za żadną przewinę, choćby ciężką, nie uciekać się do bicia, o ile upór, zuchwałośc, złośliwa krnąbność nie uczyni przewiny godną takiej kary.

Jakie ideały przyświecały pracy ks. Konarskiego nad wychowaniem młodzieży polskiej, poucza nas najdokładniej jego „Mowa o kształtowaniu uczciwego człowieka i dobrego obywatela“,—którą wygłosił wobec wielu osób znakomitych w r. 1754,—a w której wypowiedział, do jakiego celu zmierza w swe edukacji młodzieży szkolnej.

Temi słowy ks. Konarski zakończył swoję mowę.

„Może się dziwicie, że nie napomknąłem w swej mowie ani jednem słowem o nauce języków, ani wymowy, o sztukach i naukach ścisłych, ani też o tem wszystkiem, co należy do dobrej edukacji fizycznej,..“ lecz chyba ani na chwilę nie powątpiewacie, iż **więcej zależy państwu na uczciwych ludziach i dobrych obywatelach,** aniżeli na wielkich mówcach, poetach, matematykach i filozofach: w tych ostatnich widzimy bardzo piękne, zaiste, i konieczne ozdoby wychowania, w **kształceniu** zaś **młodzi... na ludzi uczciwych i dzielnych obywateli ku chwale boskiej, a chlubie i podporze ojczyzny, widzimy całkowity i naczelny cel wychowania!“...**

Ks. Konarski — nadmienia profesor Kot—był głęboko religijny i przytem uważał religję za najskuteczniejszy środek umocnienia człowieka pod względem moralnym, toteż nadawał wychowaniu podstawę religijną, „od samej bowiem tylko religji—uzasadniał —wszystko jest zależne i nic rozum ludzki, nic wszelka filozofja, etyka i polityka nie posiada tak skutecznego do prowadzenia ducha ludzkiego ku cnocie, a odstraszenia od występków, jak siła religji“.

Po religijności główne miejsce w rzędzie cnót uczciwego człowieka przyznawał ks. Konarski sprawiedliwości ze względu na życie społeczne, najbardziej znów wychowawczą doniosłość przypisywał cnocie posłuszeństwa.

Wychowanie dobrego obywatela było wówczas już często roztrząsane przez wychowawców francuskich, angielskich, niemieckich, jednakże ks. Konarski wydobył z siebie w tej mierze więcej, aniżeli zawdzięczał obcym wzorom. W czemże streszczać sie mogły w ówczesnej Francji, Włoszech lub Niemczech cnoty obywatelskie? — W ślepem posłuszeństwie rozkazom monarchy.

Inaczej było w Polsce, której los zależał od stopnia posiadanych w każdym poszczególnym obywatelu takich cnót, jak: miłość ojczyzny, sumienność w urzędach, ofiarność na potrzeby kraju, bezinteresowność, poszanowanie praw obowiązujących.

Ks. Konarskim w jego pracy wychowawcze głównie kierował wzgląd na ojczyznę, **pragnienie poprawienia jej losu przez lepsze wychowanie młodzieży na dobrych obywateli.** Toteż gdy dotyka tej sprawy, wymowa jego zapala się, a pojęcie dobrego obywatela wypełnia się szczegółami wyraźnie pożytecznemi.

Wierność, szacunek i posłuszeństwo władzom i prawom ojczystym, chętna i całkowita uległość urzędom — to winna być, jego zdaniem, cecha zasadnicza dobrego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Za nią idzie długi szereg cnót szczegółowych: spełnianie obowiązków względem rodziców, przodków i służby; sumienność w wypłacaniu najemników, rzemieślników i sług; punktualność w spłacaniu długów, wierność w dotrzymaniu kontraktów i ugód sądowych, unikanie długów, staranność w zarządzie majątkiem własnym i powiekszanie ojcowizny, pilność w nadzorze pracowników i sprawdzanie rachunków,

liczenie się z dochodami w wydatkach wszelkich, sumienne wypłacanie danin i podatków państwowych, gotowość bronienia ojczyzny, religji własnym orężem i mieniem, **wystrzeganie się gwałtów, rabunków i rozpusty na wojnie, unikanie gry, pieniactwa i pijaństwa — oto najważniejsze z długiej listy szczegółowych warunków, które stawia ks. Konarski dobremu polakowi!..**

Żaden z polityków, — słowa prof. Kota,—ubolewających nad moralnym rozkładem i upadkiem umysłowym ówczesnego społeczeństwa polskiego (zwłaszcza w drugiej połowie 18 stulecia), nie próbował szukać zaradzenia złemu na drodze wychowania. Brak im było nietylko potrzebnej do tego energji, ale przedewszystkiem brak było zrozumienia, jak potężna być może rola szkoły i wychowania w życiu społecznem i narodowem.

— Dajcie mi w ręce wychowanie ludzkości, a przemienię świat! — Tak raz wyraził się wielki filozof niemiecki, Leibnitz.

Ks. Konarski tę prawdę doskonale odczuł u nas, w Polsce, pierwszy i na okres całego jeszcze pokolenia jedyny!

„Odwieczne doświadczenie — mówi ks. Konarski — oczywiściej jeszcze, aniżeli świadectwa wszystkich mędrców poucza nas, że całkowite szczęście każdej społeczności polega na tych dwuch węgłach: **na roztropności tych, co rządzą i na starannem wychowaniu młodzieży... Owszem, dobre wychowanie zazwyczaj zdolne jest poprawić nawet niektóre wady przyrodzone".**

Zgodnie z takiem przekonaniem sam ks. Konarski część swego wysiłku poświęcił na wyuczanie roztropności tych, którzy wówczas rządzili Polską, — drugą część swego wysiłku obrócił na urządzenie starannego wychowania młodzieży pod względem zarówno religijno-moralnym, jak i społeczno-politycznym.

Nauczycielom takich udziel ł wskazówek:

„Niech jaknajczęściej, bezustannie wsączają w chłopców miłość ojczyzny, poszanowanie jej i najwyższe ku niej przywiązanie, tak, aby już od dzieciństwa zaczęli pojmować, co to jest ta miłość ojczyzny, tak usilnie im zalecana, jak słodkie jest do niej przywiązanie, co winni są ojczyźnie, co zawsze dla ojczyzny czynić powinni, jak pilnie kształcić się na dobrych obywateli."

A zaś uczniom swej szkoły takie daje przepisy;

„Aby często tę, dla której zrodzeni są, sobie na pamięć przywodzili — ojczyznę, onej miłością z młodych lat pałać poczynali, a jej nadziei o sobie powziętej odpowiadając, dobrowolnie do pięknych obyczajów i do godnego wielkich ojczyzny synów sposobili się życia naukami, tudzież aby na pożytecznych Polski formowali się obrońców i podpory"...

Tak pieknych i rozumnych przepisów wówczas nie znało żadne inne ustawodawstwo szkolne w chrześcijańskiej Europie.

Aby pouczanie nie kończyło się wraz z szkołą —nadmienia profesor Kot — zalecał ks. Konarski jaknajusilniej **wyrobienie w młodzieży zamiłowania do czytania książek,** któreby stać się powinno sposobem doskonałym dalszego nabywania wiedzy i uzupełniania wychowania obywatelskiego i moralnego.

„Między największemi tutejszej edukacji pożytkami ten się jeden kładzie, — pisze ks. Konarski,— żeby młodzi uczyli się i wzwyczajali w czytanie prywatne (po za lekcjami obowiązkowemi) dobrych książek i żeby do czytania onychże ochoty i skłonności nabrali, nie do ladajakich książek, jakich jest podły rodzaj Romanse, albo insze bezbożne i cnocie i religji przeciwne książki, których przez sumienie czytać się nie godzi, które wiarę i obyczaje psują, ale książek moralnych, politycznych i historycznych, do literatury i wszelkich nauk należących".

Każdy też profesor obowiązany był podawać wychowankom obszerne wskazówki o dobrych książkach w zakresie swojej specjalności, bibljoteka szkolna musiała być w nie zaopatrzona, każdy młodzieniec zachęcany i do czytywania i do nabywania sobie na własność, zwłaszcza pisarzów historycznych— i zdawania sprawy, przy stole, z ciekawszych książek przeczytanych.

Jak ks. Konarski nie pomijał żadnej sposobności, dogodnej do wpojenia nietylko w młodzież, ale i w starszych wiadomości o pilniejszych potrzebach ojczyzny i o wadach polaków, narażających ją na wielkie szkody, świadczy między innemi popis szkolny, urządzony w Kollegjum roku 1757, na którym studenci wygłosili wobec wielu osób, zaproszonych na tę uroczystość, ułożoną przez ks. Konarskiego „Rozmowę o uszczęśliwieniu własnej Ojczyzny", zawierającą w dziesięciu mowach zupełny program reform politycznych Rzeczypospolitej Polskiej. Kolejno każdy mówca uzasadnił konieczność poprawy w dziedzinie, która się jemu najważniejszą wydawała. Była tam więc mowa o ulepszeniu i przestrzeganiu praw państwowych, — o poprawie powszechnej edukacji, — o powiększeniu wojska, — o podniesieniu gospodarswa publiczego, — o zaludnieniu kraju, — o ochronie ludu, — o ożywieniu handlu i przemysłu, — o reformie waluty, — o podniesieniu gospodarki w prywatnych majątkach, — o poprawie wymiaru sprawiedliwości, — o uporządkowaniu administracji, — o zgubności liberum veto (niepozwalam), — o konieczności reformy sejmowania, wreszcie o szanowaniu religji.

Już choćby tak krótkie wzmianki o mowach, wygłaszanych przez młodzież szkolną, dają nam pewność, że ks. Konarski umiał uczniów swoich nakłonić do wglądania w różne potrzeby ojczyzny i zarazem przyspobić ich do zaspokojenia tych potrzeb po obywatelsku: uczciwie i pilnie! - Tak w swej szkole przygotował duży zastęp młodzieży, która, doszedłszy wieku dojrzałego, już za czasów Stanisława Augusta, podejmowało się pracy nad odrodzeniem Rzeczypospolitej Polskiej. Przytem godzi się nadmienić, że dwaj właśnie najwybitniejsi tego odrodzenia przywódcy, współtwórcy Konstytucji 3 maja, bracia: Ignacy i Stanisław Potoccy, byli wychowankami kollegjum ks. Konarskiego.

Ks. Stanisław Konarski — pisze o nim inny profesor uniwersytetu, Ignacy Chrzanowski, — był „piękną duszą" w całem znaczeniu tego wyrazu: głęboki rozum łączył ze szlachetnem uczuciem, szlache-

tnemu uczuciu towaszyszyły zawsze szlachetne czyny, a ich głównem źródłem i celem była gorąca i rozumna miłość kraju, któremu oddał na służbę wszystkie zasoby swego umysłu, serca i żelaznej woli. **A poczytywał tę służbę za prosty obowiązek człowieka-obywatela.**

Czy to nie szczyt skromności? — pyta profesor Chrzanowski. — Był zaś takim ks. Konarski nie tylko w słowach, lecz i w życiu. On, pochodzący ze starożytnej i znakomitej rodziny, trzymał na wodzy odziedziczoną po przodkach ambicję, nie piął się do zaszczytów, trzykrotnie nie przyjął ofiarowanego mu biskupstwa, nie miał innej dążności prócz tej: **żeby wiernie służyć ojczyznie: żeby wychować dla jej dobra jaknajwięcej obywateli uczciwych i pożytecznych!..** I — żeby za to wszystko **„nikt mu nic nie był winien"...**

I to własne jego wyrażenie daje każdemu rodakowi do zrozumienia, jak rzetelną posiadał ks. Konarski dzielność moralną w charakterze swoim. Był wielkim miłośnikiem ojczyzny i bardzo mądrym wychowawcą młodzieży. Rozumiał, gdzie tkwi najgroźniejsze zło, trapiące naród i zapowiadające mu zgubę haniebną: **w braku dostatecznej siły moralnej!**

Otóż, dostrzegłszy to zło, ks. Konarski, doskonale przygotował się do walki z niem. Naprzód nabył sam dla siebie niezbędną wiedzę i moralną moc potężną w swoim charakterze. A potem dopiero zabrał się do wychowywania młodzieży polskiej w dobrze urządzonej szkole własnej. Jeszcze starczyło mu życia dużo na to, ażeby swoje zamiary wykonać chwalebnie i skutecznie. Żył bowiem 73 lata! Spory zastęp uczniów dobrych wyszedł z pod jego wychowawczej pracy. A ci jego wychowankowie wprędce zajęli różne urzędy i stanowiska społeczne, oraz narodowe w Polsce. Wszędzie odznaczyli się rozumem i uczciwem spełnianiem swoich obowiązków publicznych. Przyczynili się do stworzenia niejednej pracy wspaniałej i przeogromnie pożytecznej, jak Komisja Edukacji Narodowej, a potem Konstytucja Trzeciego Maja.

Zamało było tych dawnych uczniów ks. Konarskiego na to, żeby ocalić Polskę od najazdu na nią trzech jej sąsiadów drapieżnych, bo na to było już zapóźno, — ale już dosyć dużo ich było na to, żeby zapoczątkować narodowe dzieła najlepsze, które wobec świata całege zaświadczyły, że, jakkolwiek państwo polskie zostało zdruzgotane przemocą sąsiadów, jednak naród polski nie poddał swego ducha wrogom, żyć będzie ciągle i pracować nad udoskonaleniem siebie moralnem i umysłowem, aż doczeka tej chwili, kiedy sam z pomocą sprawiedliwości Bożej Polskę swoję wyzwoli z kajdan niewoli!

Do wywołania w duszy narodu polskiego takiego postanowienia, takiej mocy woli i takiego rozmachu do pracy długiej, mozolnej i mądrej nad ocaleniem siebie, a wydobyciem Polski, jako państwa, z jarzma napastników, — w bardzo znacznym stopniu przyczynił się ks. Konarski swemi pracami wychowawczemi.

Pomyślnem dokonaniem tak trudnej roboty ks. Konarski zdobył u swego narodu zasługi wielkie. Wszelakoż dla siebie za nie żadnej nie pragnął nagrody, więc „żeby nikt mu nic nie był winien...."

Narazie można w tem wyznaniu dostrzedz odrobinę dumy szlachetnej i przeświadczenie o swoich zdolnościach i zaletach. Lecz tylko narazie,— bo po dłuższej nieco rozwadze nic innego nie okaże się w tem wyznaniu, jak **bezinteresowność** obywatelska.

Spełnił pracę pożyteczna, na jaką go stać było —i jaką **powinien był spełnić!** Ponadto nic więcej!..

Wszakże każdy obowiązany czynić dobrze wszystkim, a szczególnie tym, których miłuje i od których wiele doznał dobrodziejstw. A któż nam więcej wyświadczył przysług, jeśli nie naród nasz własny?— Czyniąc jemu dobrze, tylko oddajemy to, co otrzymaliśmy od niego!.

Czy przeto godzi się za dobre uczynki nasze wymagać od narodu jakichciś osobliwszych nagród, wdzięczności szumnej, czołobitnej i wielosłownej?

Otóż niepożądanie takich nagród jest chwalebną bezinteresownością i niezawodnym znakiem dobrego wychowania moralnego.

Rozumie sie, kto mało dobrego czyni, lub zgoła nic, ten i bezinteresowności mieć chyba nie może. Ale im kto większe świadczy przysługi swemu narodowi, a przytem odznacza się prawdziwą bezinteresownością, ten, zaiste, ozdobił swój charakter przepiękną dzielnością moralną!

Takim mistrzem był ks. Konarski. Mógł przeto skromnie o sobie powiedzieć, że nie pragnie, by mu ktokolwiek był co winien wdzięczności...

Poprzestawał na nagrodzie nieba i własnego sumienia, które mówiło mu tylko to, co sam naród mniemał o nim, a co historja narodu polskiego wyraziła w tych zaszczytnych i radosnych dla ducha ks Konarskiego słowach:

**„mąż dla Polski opatrznościowy".**

Tak profesor Kallenbach streścił głos historji Polski o zasługach dla narodu księdza Stanisława Konarskiego.

Przekonał bowiem swój naród o wpływie, jaki ma na ustalenie jego losu pomyślnego staranne wychowanie moralne młodzieży, podał do tego sposoby niezawodne, a nawet wyjaśnienie, co jest ważniejszem w wychowaniu: nauka, rozum, serce, czy też dzielny charakter moralny?

I temu ostatniemu przyznał pierwszeństwo w troskach rodziny i szkoły o dobre wychowanie dzieci...

Za te zasługi naród cały po wszystkie czasy mile wspominać będzie ks. Konarskiego!

Oczywiście, taki dać narodowi swemu pożytek — to już to jedno przeświadczenie stanowi wielką nagrodę moralną, uszczęśliwiającą dobrego polaka!..

---

Rychlej się uczeń u tego mistrza nauczy, na którego robotę patrzy, niźli u tego, który o robocie mówi.

Ks. Piotr Skarga.

# Kto silniejszy?

Hej, na górze wyniosłej zamek sterczy wysoki,
Stopy myją mu fale, głowę czeszą obłoki.
Nad nim złota chorągiew igra z wiatrem powiewna,
A w tym zamku król wielki, a w tym zamku królewna.
„Hej, rycerze, kto siłę z was największą okaże,
Temu konia bachmata i rynsztunek dam w darze,
I sokoła z kapturem i puhary złocone
I połowę królestwa i mą córkę za żonę!"
A więc jeden poskoczył i ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła, wyrwał z twardym korzeniem.
Za nim drugi poskoczył i nie długo się bawił,
I na miejscu wyrwanej drugą skałę postawił...
Król sędziwy wyrzecze: „Siła w obu was równa,
Więc którego z was zechce, niech rozsądzi królewna
Jak malina dzieweczka schylą modre oczęta:
„Burzyć, ojcze, rzecz sporna, lecz budować—rzecz święta.
Komu oddać mą rękę, ja nie waham się chwili,
Lecz twe słowo monarsze niechaj wagę przechyli!"
Król z łzą w oku spogląda na obydwuch rycerzy,
„Który skałę postawił, temu dank mój należy...
Tyś, witeziu, silniejszy, niż najwięksi mocarze,
A więc tobie bachmata i rynsztunek dam w darze...
I sokoła z kapturem i puhary złocone
I połowę królestwa i mą córkę za żonę".

**Bolesław Czerwieński.**

---

Co rozumem i pilnością i cnotą stanęło, to się nierozumem i niedbałością i złością ludzką obala.

**Ks. Piotr Skarga.**

---

# Dobrowolni nędzarze.

Czy są między nami nędzarze **dobrowolni?**

To chyba jakaś omyłka? — Przecież nikt nie chce dobrowolnie skazać siebie na nędzę!

Niby tak, — a jednak, doprawdy, mamy wpośród siebie mnóstwo nędzarzy dobrowolnych i — nawet liczba ich powiększa się ciągle.

Jak się to dzieje?

Najzwyczajniej w świecie — przy pomocy pożarów...

A no tak! Pożar czyni ludzi nędzarzami... A że ludzie chcą pożarów, niejako lubią je, pożądają, nawet je wywołują, więc, oczywiście, słusznie powiadamy, że pogorzelcy stają się nędzarzami dobrowolnie...

Czy tak?

Ależ to nasze twierdzenie chyba jest tylko żartem nieprzyjemnem?

Bynajmniej! Obstajemy przy swojem zdaniu, że pogorzelcy są tylko **dobrowolnemi nędzarzami.**

Bywają nieszczęścia nieprzewidywane, nieuniknione, niezależne od woli tego, który ich doznaje, np. wojna, piorun, morderstwo, przypadkowe kalectwo z powodu, dajmy na to, pośliźnięcia...

Ale bywają też innego rodzaju nieszczęścia... przewidywane, nawet łatwe do uniknięcia, a wynikające zazwyczaj z marnotrawstwa, pijaństwa, rozpusty, **nieostrożności, niedbalstwa, bezmyślności, lekkomyślności i mazgajstwa...**

Otóż bacznie wpatrując się w początki wielu pożarów i dalszy rozwój ognia, swobodnie ogarniające go coraz więcej zabudowań, doprawdy, trzeba to żywiołowe nieszczęście zaliczyć niemal przeważnie do rzędu nieszczęść dobrowolnych, pochodzących nietylko z naszego niedbalstwa, ale i z bardzo nagannej lekkomyślności.

Musi ogół polski **stać się surowym sędzią** nad poszczególnemi pogorzelcami, jako **dobrowolnemi nędzarzami.**

Ogół polski ma nietylko prawo, ale i obowiązek być sędzią bardzo surowym!

Bo pogorzelcy wyciągają ręce błagalne o pomoc, o ratunek!

Bo wreszcie straty olbrzymie niezmiernie **ubożą cały naród.**

Gdy, dajmy na to, spaliły się Ryki, to już straty mieszkańców Ryk muszą wpłynąć niekorzystnie na interesy materjalne i moralne całego narodu. Bo weźmy pod uwagę tylko jałmużny, nadsyłane z całego kraju tamtejszym pogorzelcom. A przecież te jałmużny to nie drobnostka! Tam utoną setki tysięcy złotych! Skąd one się wezmą? Kto je nadsyłać będzie? czy sami tylko bogacze?

Nie. Mnóstwo rodzin niezamożnych podzieli się z pogorzelcami ostatnim grosikiem swoim, ujmie sobie od **potrzeb niezbędnych,** a poratuje nędzarza... dobrowolnego!

To jedna już olbrzymia strata społeczeństwa.

A druga jest w spalonych budynkach, sprzętach domowych, inwentarzu, plonach.

Ten majątek spalony — to majątek nietylko pogorzelców, ale i całego narodu. Cały naród stał się uboższym o tyle, ile warte były rzeczy spalone i ile one przynosiły pożytku.

Już ich niema, już po nich popiół został. A kiedy one istniały w niezłym stanie, to pomagały mieszkańcom płacić podatki na potrzeby kraju i społeczeństwa, pomagały czynić różne ofiary, pomoce, pomnażały pracę powszechną, podnosiły powszechny dostatek, zadowolenie, pomyślność.

A trzecia strata — to z powodu pożaru, który zniszczył wiele rzeczy pożytecznych, trzeba dać pogorzelcom obfitość nowych materjałów na budynki, inwentarz i inne sprzęty. A przecież materjały, dane pogorzelcom, przydałyby się ludziom młodym i dzielnym, dopiero stającym do pracy, pragnącym zapomogi, zdolnym do wytworzenia nowych warsztatów.

Warto jeszcze wspomnieć o czwartej stracie... moralnej, którą ogół ponosi z powodu każdego pożaru. Tę stratę moralną można tak wyrazić:

Gdy ogół ogranicza się **tylko** na ubolewaniu nad nowem nieszczęściem i na udzielaniu jałmużny pogorzelcom, mniemając, że już w ten sposób spełnił **cały swój obowiązek** względem pogorzelców, to sam niejako w dalszym ciągu utrzymuje łatwość powtarzania się takich nieszczęść...

A więc ogół również moralnie przyczynia się do wybuchu częstych pożarów?

Chyba.

Bo zechciejmyż na chwilę przypatrzeć się odpowiedzialności moralnej pogorzelców.

Czy oni są odpowiedzialni przed swoim ogółem, do którego kieszeni i serca znają drogę i im się zdaje,

że mają prawo żądać pomocy, rychłej i wielkiej?

Owszem, jeśli w nieszczęściu mają prawo do pomocy ogółu, — to w równym stopniu i ogół ma prawo rozpoznać odpowiedzialność moralną pogorzelców za wynikłe nieszczęście.

Gdyby wszyscy mieszkańcy, zwłaszcza przebywający w budynkach drewnianych, zgóry wiedzieli, że społeczeństwo wprawdzie jest litościwe i ofiarne, ale zarazem surowe i skrzętnie bada stopień winy pogorzelców, to, niewątpliwie, byliby ostrożniejsi i bardziej dbali o założenie u siebie własnej doskonałej, a więc nie bylejakiej, straży ogniowej...

Dużą zachętą do opieszałości bywa cicha, skryta nadzieja, że... jednak „jakoś to będzie", ogół litościwy zrobi składkę, sypnie sporo grosza i po krótkiem biadowaniu pogorzelcowi będzie lepiej po ogniu, niż—przed nim było!..

I, doprawdy, nieraz tak się działo, szczególnie bardzo zaradnemu pogorzelcowi. Wiedział, gdzie, jak i o co prosić. Dostał drzewa, słomy, ziarna, odzieży, artykułów spożywczych — i wreszcie dość grosza na zapomogę, a taką obfitość wszystkiego, że wnet stał się właścicielem budynków okazałych, wygoił rany straszne — i, pocichu, kto wie czy nawet nie błogosławił pożaru, który mu „dobrze zrobił", czyli, jakoby sprawdziło się na nim stare przysłowie, dość zagadkowe: „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło!"

Zresztą, przypuśćmy, co jest bardzo prawdopodobnem, że tak pomyślny obrót rzeczy przytrafia się niezmiernie rzadko, a zazwyczaj każdego pożaru skutki dla pogorzelców bywają okropne, — to jednak społeczeństwo całe, chcąc być sprawiedliwem bezstronnie, rzetelnie, musi wyrazić w swojej opinji o pogorzelcach wyrok dla nich nader surowy.

Najsłuszniej!

Tak!

**Wszyscy pogorzelcy to nędzarze dobrowolni!**

Czy nie zasurową wyrażamy opinję?

Nie!

Pożary przecież wynikają najczęściej z nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Nieostrożność taka, to niedbalstwo, to lekkomyślność, to dobrowolne marnotrawstwo własnego mienia! Prawda, trudnoż stać nad każdym, pilnować go i przestrzegać, by nie był nieostrożnym dobrowolnie! Zgoda, ale są sposoby na wszystko!

Gospodarze przed złodziejami mają zamki, kłódki, psów i nawet nocne zaprowadzili u siebie po wsiach straże. A więc pilnują swego mienia dość starannie. Na to mają pomysły i sposoby. A przecież złodziej przeważnie mniejszą wyrządza szkodę ludziom i narazie tylko kilku mieszkańcom. I jednak, mimo to, wszyscy się solidaryzują, czyli jednoczą i zobowiązują się do wspólnej obrony przed napaścią złodziejów.

A czemuż dotychczas nie ujawnia się wśród gromad ludzkich powszechna, wszędzie, solidarność, związek do walki ze strasznym niszczycielem ogniem? — Czemuż? Czy taka walka trudniejsza, niźli ze złodziejem?

Nie, tylko trudno ludziom zdobyć się na nowy pomysł — i na pierwsze zapoczątkowanie dzieła nowego u siebie. O, tak, jest w ludziach leń duchowy i fizyczny, ten, tak zwany pospolicie **niechciej!** Jest ospałość, lekkomyślność, mazgajstwo, odkładanie dobrej roboty z dnia na dzień!

Tak, to wszystko prawda! Do nowości ludzie mają dziwną niechęć. Trudno ich ku niej ruszyć z miejsca. Zawsze znajdą wymówkę. A w tym razie, kiedy ktoś przekonywa o potrzebie założenia we wsi, lub miasteczku, straży ogniowej, najczęściej posypie się mnóstwo uwag przeciwnych i nawet mocno niechętnych — w tym rodzaju:

— A co mi to potem? Ja się pożaru nie boję. Niech ten straż zakłada, komu strach przed ogniem spać nie daje. Bo ja, dzięki Bogu, śpię dobrze i nie myślę o ogniu!

Skąd u niego ta pewność? Kto go tak ubezpieczył? — Ot, gada, aby gadać! Ale, jest w tem gadaniu jego dużo złej woli, złośliwości, nieuczynności i głupoty dobrowolnej, bo nie chce mu się myśleć, zastanawiać nad tem, co mówi. A dopiero kiedy bieda zajrzy w oczy naprawdę, kiedy pożar w mgnieniu oka zniszczy mu dobytek, wówczas lamentuje i krzyczy w niebogłosy: „Ludzie, ratujta! kto w Boga wierzy, ratujta mnie nieszczęsnego!"

Aha, wtedy, w nieszczęściu, kiedy ono **spadło na niego,** dopiero przypomniał sobie przykazanie miłości bliźniego. Żąda wówczas od ludzi, by go ratowali. Ale kiedy trzeba, żeby i on przyczyniał się do stworzenia ratunku dla dobra wszystkich,—wtedy nic nie myśli o przykazaniu miłości bliźniego.

O, tak, sobek uznaje przykazanie miłości bliźniego, lecz tylko w tym sensie, żeby inni według tego przykazania spieszyli mu z ratunkiem. Ale on sam, jako sobek, wcale nie myśli stosować się do tego przykazania.

— Ja co innego — myśli i mówi sobek — a wy co innego! Przykazanie jest dla wygody mojej, a nie dla waszej. Wy mnie służcie, bo was przykazanie boskie do tego nakłania, — ale mnie ono... nie obowiązuje!

Straszne, zuchwałe rozumowanie! Ale nawet nierzadko można się z niem spotkać u ludzi.

Inny znowu ucieka się do wybiegów zręcznych, byle uniknąć udziału w stworzeniu i utrzymywaniu straży ogniowej, więc mówi tak:

— Ja sam na strażaka nie pójdę, bo nie mam na to czasu, ale i chłopca swego nie dam, bo mi ciągle w domu potrzebny; zresztą chodzi mi i o to, żeby się nierozłachał, bo jak tylko nawyknie do uczęszczania na różne próby i ćwiczenia, to już go żadna siła nie zatrzyma w domu, ciągle znajdzie wymówkę i każdego wieczora wymknie się z domu. Młodego trzeba pilnować, więc go nie dam do straży. Wreszcie na co się zda straż ogniowa? To tylko zabawka dla próżniaków i parada dla galantów, lubiących się stroić w mundury i czapki błyszczące! Co ma się spalić, to się spali, choćby sto straży zbiegło się do ognia! Mnie na straż nie weźmiecie, — nie głupim. Kto się chce bawić w straż, to niech się bawi, ja mu nie zabraniam, — ale ja i mój chłopak nie

pójdziemy do was i grosza nie dam na tę zabawkę próżniaków! To sobie z głowy wybijcie!

I tak myślących ojców mamy, niestety, bardzo dużo!

Prawda, oni ciemni, nie wiedzą, co mówią. Jak tu ich ukarać, gdy ich pożar nawiedzi i uczyni nędzarzami?

Zapozwoleniem! Nie uniewinniajmy zbytnio takich gadułów! Oni wiedzą, co mówią! To nie głupi ludzie. Tylko złośliwi i bardzo sobkowaci!

Toć gdy dotknie ich budynków pożar, a straż wtedy pospieszy im na ratunek, czy oni tę straż od pędzą od ognia?

Chyba nie! Więc oni li tylko po sobkosku traktują sprawę: wy dla mnie, — alę ja nie dla was!

Co z takim sobkiem uczynić?

**Musi być ukarany!**

Ale jak?

Jest zdanie bardzo stare, które tak uczy: **„pracuj, a Bóg ci dopomoże!**

Byłoby przeto zuchwalstwem mówić tak: **„leń się, próżnuj, a Bóg ci i w takim razie dopomoże!“...**

Nie! Rozumiemy przecież doskonale, że Bóg nie chce dopomagać dobrowolnym próżniakom, niechciejom! — „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“ — „Co posiejesz to zbierzesz“.

Jeśli więc Pan Bóg i życie nie sprzyja próżniakom, niedbaluchom, — to czy godzi się społeczeństwu naprzekór Bogu okazywać szczodrobliwą hojność tym dobrowolnym ospaluchom?

Mickiewicz w „Dziadach“ straszne włożył w usta Widma wyroki:

„Sprawiedliwe zrządzenie boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nie pomoże“...

A czy jest człowiekiem, szanującym prawa Boże i społeczne ten, który dobrowolnie pielęgnuje w sobie sobkostwo, nie chce należeć do społeczności i nic dla jej dobra nie myśli uczynić, a jedynie przypomina sobie tę społeczność wówczas dopiero, kiedy sam od niej pomocy żąda?

Nawet niepodobna uwierzyć w to, iżby którykolwiek sobek naprawdę był tego zdania, że, istotnie, straż ogniowa na niewiele się przyda. Bo wszakże, to jeszcze nie dowód, że tu i owdzie, choć straże ogniowe działały, jednak pożar rozszalał się potężnie i zniszczył mnóstwo budynków!

Toć straż straży nie równa. Bywają straże rozmaite. Złe i dobre, pilne i niedbałe, nieporządnie zorganizowane i nieudolnie prowadzone, — oraz doskonale zjednoczone, a wspaniałe kierowane.

Prawda. Każdy to przecież łatwo rozpozna i porówna. Do tego nie trzeba uczoności, wystarczy mieć rozum zwyczajny. A sobkom go nie brakuje, gdy jeno chcą sobie dogodzić. Wiedzą oni, kogo i o co prosić, gdy ich bieda nawiedza. Tylko to źle, że są głusi, ślepi i niby głupi, gdy od nich kto żąda pomocy.

Dla takich sobków nie wolno być pobłażliwym! Ale o tem — potem. A teraz rozprawmy się ze strażami ogniowemi, bo, istotnie, są między niemi lada jakie, wcale nie zasługujące na pochwałę!

Najpewniej będzie, gdy prawda życiowa do nas przemówi.

W Rykach, miasteczku, położonem w starostwie garwolińskiem, wszczął się pożar zapoczątkowany przez małe dzieci, bawiące się zapałkami, dnia 14-go kwietnia o godzinie 2-ej po południu. Trwał tylko półtorej godziny i w tak krótkim czasie potrafił zniszczyć 257 domostw, 9 świń, 12 krów, 15 kóz i jednego konia!

Straży ogniowych przybyło na ratunek kilka. Ale widocznie była też straż miejscowa, choć o niej korespondenci piszą jakoś niewyraźnie. Widocznie mają coś w myślach swoich o niej niebardzo pochlebnego, lecz tają! Niedomówienia w takich razach o tak niezbędnej organizacji są chyba wykroczeniem nagannem. Otóż w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 17 kwiet. (№ 107) czytamy takie szczegóły, które tu **dosłownie** powtarzamy: „...**nie doszłoby do katastrofy, gdyby ratunek był inny,...** w godzinę, czy półtorej spłonęło prawie wszystko. **Głównie z tego powodu, że pierwszym ratunkiem zajęła się miejscowa straż ochotnicza...**

„Ale straż ochotnicza w pożarach szerszych **jest prawie do niczego.**“ — Tak pisze korespondent „Kurjera Warszawskiego,“ niejaki Stanisław Biernacki. — Każdy z jej uczestników płonie, kto się sam nie pali, temu goreje ciotka, teść, brat, lub szwagier. Każdy ciągnie w swoję stronę, których jest sto, bo płonie pół miasta i ze sto domów. Akcja się rozstrzela, miasto pali się, jak siarka, a pomocnicze oddziały z okolic nadciągają, tłukąc się po złych drogach, — już po wszystkiem.

„Ale gdyby nawet Ryki — piszę Biernacki — miały (u siebie) straż fachową (płatnych strażaków), nie amatorską (ochotniczą), **to i wtedy klęska** byłaby ciężka do opanowania z powodu braku wody narzędzi i lokalu straży, która wraz z narzędziami mieści się w drewnianej budzie, cudem tylko ocalałe od pożaru.... A pożar gaszono błotem...“

Tyle zdań podaliśmy z korespondencji S. Biernackiego.

A teraz przedewszystkiem wyrażamy żal do niego, bo... bałamutnie stan rzeczy przedstawił, bardzo bagatelizując znaczenie i... odpowiedzialność straży ogniowej.

Wszystko jedno, jaka jest straż, czy ochotnicza, czy najemna (fachowa), każda z nich tworzy jednakową drużynę spoistą, karną, zaprzysiężoną, obowiązaną przy swoim sztandarze stać wiernie, mężnie i ofiarnie, choćby przyszło nawet narazić się na kalectwo, lub utratę życia... A kto z druhów umyka z szeregów, biegnie samopas, jak mu się podoba, — to taki druh jest nie tylko najlichszym strażakiem, ale i — zdrajcą, bo haniebnie przeniewierza się przysiędze, sztandarowi i honorowi straży.

Licha ta drużyna, która ma takich strażaków. Zierzchność związku straży ogniowych powinnaby na mocy korespondencji S. Biernackiego przeprowadzić najściślejsze śledztwo w Rykach, sprawdzić stopień

winy tamtejszej straży i ukarać surowo winowajców.

Bo przecież jak w wojsku nawet ochotnikom nie wolno umykać i podług swej woli podczas wojny bronić ciotek, wujków — i szwagrów, tak i strażakom — ochotnikom nie wolno wydalać się z szeregów dla ratowania nawet rodzonego ojca! Bo taki każdy występek równa się zdradzie, podeptaniu świętości powołania strażaka!

Ale jest jeszcze inna straszna plama na straży ogniowej w Rykach, ujawniona przez S. Biernąckiego.

Oto niezupełnie ściśle wyraził się, pisząc, że „pożar gaszono błotem", bo przecież sam w tej samej korespondencji („Kurjer Warszawski" z dn. 17 kwietnia Nr. 107, strona 4-a) napisał tak:

„— Czy tu co w śródmieściu ocalało? — pytam

**„— Tak, jedna restauracja. Właściciel obiecał strażakom-ochotnikom 50 butelek wódki i— udało się!...**

„Po chwili—wyznaje dalej S. Biernacki — mam sposobność oglądać ową knajpę ocaloną. Ma osmolone futryny i odrzwia, zakopcony dach, część szyb wybitych i zdjęty szyld, ale wnętrze „funkcjonuje" (jest czynne). Ponieważ innego tego rodzaju zakładu w Rykach nierna, muszę sam skorzystać z jego gościnności, tembardziej, że pobyt mój w Rykach przeciąga się kilka godzin

„Jakoż zakład funkcjonuje (restauracja czynna) i ma specjalne powodzenie (natłoczona). Badam grubą i niemłodą gospodynię o zasłyszany szczegół (o obiecanej strażakom wódce) przy ratunku. Gospodyni odpowiada niechętnie, ale wyraźnie: „Tak, tak, **trzeba umieć być wdzięcznym. Teraz nic niema darmo"...**

Aha, wylazło szydło z worka!

Za obiecaną wódkę straż ochotnicza potrafiła ocalić w środku miasteczka, w morzu płomieni, restaurację. Na taki ratunek, **zapłacony wódką,** znaleźli się strażacy i woda się znalazła! A dla ratowania innych domostw—już nie było strażaków, rozbiegli się do familjantów i wody już nie było, jeno „błoto".

Teraz, po tem wyznaniu okropnem korespondenta, już dostatecznie rozumiemy znaczenie jego słów, na początku podanych, tej osnowy: **„Spłonęło prawie wszystko. Głównie z tego powodu, że pierwszym ratunkiem zajęła się miejscowa straż ochotnicza".**

Takie świadectwo okropne dla straży ogniowej w Rykach, napisane przez naocznego świadka, staje się dokumentem, potwierdzającym nasze żądanie, zwrócone do Związku św. Florjana w Warszawie, by najsurowsze przeprowadził zbadanie winy miejscowej straży i publicznie ukarał występnych!

Zatem bywają straże rozmaite! Ale przecież wszystkie powinny być jednakowo najlepsze moralnie i fachowo! Tego żąda od straży przykazanie boskie i społeczne, dobro ojczyzny i świętość przysięgi strażackiej!

Jednak musimy tu stwierdzić smutną prawdę. **„jacy mieszkańcy — taka straż ogniowa".**

Podług stawu — grobla! Wrona nie urodzi sokoła! Jeśli gromada kiepska,—już ona nie zdobędzie się na straż dobrą! A więc miejscowa gromada jest odpowiedzialna za obyczaje swojej straży ogniowej!

Ryki niedbały o zaprowadzenie porządku w swojej straży ochotniczej, nie wglądały, jak ona się ćwiczy i jak szanuje swój sztandar i swoje przepisy! a dziś, kiedy spaliły się do szczętu, to wołają do narodu o ratunek, o litość i ofiary obfite?

Azali mieszkańcy Ryk nie są **dobrowolnemi nędzarzami?** Azali nie mogli uniknąć tej klęski, a przynajmniej rozmiary jej bardzo umniejszyć? Mogliby, gdyby lepiej dbali o utrzymanie swej straży w należytych karbach. A że tego nie uczynili, — są współwinowajcami.

Taki wyrok o Rykach musi wydać opinja społeczna, która powinna być bardzo surową tam, gdzie trzeba szanować i oszczędzać dobro poszczególnych osób i całego narodu!

Teraz już wniosek sam nastręcza się słuszny:

Naród nasz musi zażądać od mieszkańców każdej okolicy, ażeby **wszędzie istniała straż ogniowa nie byle jaka, ale doskonale sprawna, uczciwa i wierna przysiędze.** I tylko taka okolica, nawiedzona pożarem, stanie się godną pomocy ze strony całego społeczeństwa, gdy przeprowadzone badanie stwierdzi, że wszyscy, a więc zarówno ogół miejscowy, jak i straż jego, najusilniej i najchwalebniej byli przygotowani do walki z żywiołem i tę walkę do końca prowadzili bez żadnego zarzutu! A gdy badanie wykaże błędy, niedbalstwo, lekkomyślność — złą wolę, — to społeczeństwo surowej udzieli nagany i wszelkiej pomocy odmówi!

Pobłażliwość ślepa, leniwa, równa się niedołęstwu, otaczającemu opieką występek, nagradzającą niedbaluchów, filutów, wyzyskiwaczy, — słowem „nędzarzy dobrowolnych".

Kto takich nędzarzy nagradza, sam staje się nędzarzem moralnym!

## WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

— Dnia 20 kwietnia o godzinie 4 i pół po południu przybył do Warszawy Edward Benesz, minister spraw zagranicznych państwa Czechosłowackiego, nie tyle w odwiedziny do rządu polskiego, jak raczej gwoli porozumienia się w niektórych ważniejszych sprawach politycznych i handlowych. Jednak przy tej sposobności zarówno minister Benesz, jak i nasz rząd omówili gruntowniej potrzebę nawiązania ściślej łączności w zabezpieczeniu swoich krain przed wspólnemi wrogami. Dlatego Niemcy i Anglja są bardzo przejęte pobytem Benesza w Warszawie. Więcej o nim powiemy za tydzień.

— We Francji prezes ministrów Herriot podał się do dymisji. Po nim stanął na czele nowego rządu Pęlewe. Głównemi pomocnikami jego są: Brjan i Kajjo.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 10 maja 1925 r. № 10.

# ORZEŁ BIAŁY.

TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

## Lecz zaklinam,—niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec!

Taki zew do rodaków po wszystkie czasy w swoim testamencie zostawił znakomity poeta polski, Juljusz Słowacki.

Może gorzej działo się w narodzie naszym za czasów Juljusza Słowackiego, aniżeli dzisiaj. Wtedy niejednego polaka, wpatrzonego w duże wady narodu swego: w kłótliwość, gnuśność, lekkomyślność i wielką skłonność do zniechęcania się dla byle przyczyny,—niezawodnie ogarniało zwątpienie, nawet rozpacz, że naród z takiemi przywarami zginąć musi niechybnie, już niemasz dla niego żadnego ratunku!

Słowacki nie tak beznadziejnie patrzał na swój naród. Słusznie rozumiał, że przywary te można i trzeba uleczyć przy pomocy oświaty. Przeto w testamencie swoim **zaklina** żyjących rodaków, ażeby nie tracili nadziei! Naród— zdaniem Słowackiego—łatwo pozbędzie się przywar swoich, jeżeli posiadać będzie wiele oświaty.

Więc woła poeta do wszystkich polaków światlejszych, a nie pozbawionych dobrej woli i życzliwości ku swoim:

**nieście przed narodem oświaty kaganiec!**

Ale takiej oświaty, któraby nauczyła rodaków korzystniej zapracować na chleb obfitszy i zarazem uczyniła ich lepszemi moralnie, więc uleczyła z wad szkaradnych i szkodliwych.

Dlatego w końcu testamentu swego tak mówi Słowacki:




„....zostanie po mnie ta siła fatalna, co mi żywemu na nic,... tylko czoło zdobi; lecz po śmierci mojej was będzie gniotła niewidzialna, aż was, zjadacze chleba, — w aniołów przerobi!"

Takiej przeto Słowacki życzył narodowi swemu oświaty, któraby dała mu i chleba dużo i duszę jego ozdobiła zaletami anielskiemi.

Obecnie, wspominając o takim nakazie poety, nie pocieszajmy się mniemaniem, że naród nasz od czasów Słowackiego już jakoby znaczne uczynił postępy w oświacie i uanieleniu swej duszy!..

Niestety!

Dziś wśród siebie mamy jeszcze niezmiernie dużo rodaków, zgoła nie umiejących ani czytać, ani pisać. A takich jest między nami pono bez mała 50 procent!

To znaczy, że jeszcze połowa ludnosci polskiej nie umie czytać!!!

Już chyba gorzej być nie może?

Owszem, jest jeszcze gorzej, bo skrzętni badacze nawet wśród tych, co niegdyś nauczyli się byli czytać i pisać, narachowali bez mała połowę takich, którzy **zapomnieli** tej sztuki!.. A zapomnieli tylko dlatego, że po wyjściu ze szkółki, wcale do ręki nie brali książki, nawet do nabożeństwa!

Taka to była ich nauka, pożal się, Boże! Chodzili przez dwie lub trzy zimy do szkoły. Potem ojcowie nadal ich nie posyłali, bo byli w domu potrzebni do różnej roboty. Nic tedy dziwnego, że dzieciak prędko w lecie zapomniał, czego nauczył się w zimie. Potem w domu nikt go nie napędzał do książki, bo jej w rodzinie nikt nie posiadał, a ojciec jakoś nie spieszył się kupić ją małemu na odpuście, lub na targu. Tak zeszło parę latek — i dzieciak, odwykłszy od czytania i pisania, naprawdę już zatracił ten jedyny swój nabytek szkolny! Znowuż został ciemny, jak tabaka w rogu!

I zdaje się, badacze ilości bezczytelnych w naszym narodzie nie mylą się w swoim rachunku. Takich zatraceńców bowiem mamy ogromnie dużo! Wprawdzie jest jeszcze niemało takich, którzy, owszem, nie zapomnieli czytać, pisać, rachować. Ale jak oni czytają i piszą?... Doprawdy,.. uszy bolą słuchać, bo tak się jąkają i przekręcają wyrazy. A jak oni piszą? — Jak kura patykiem!..

I nawet nic sobie z tego nie robią, bo im się zdaje, że przecież to im do niczego nie potrzebne. Alboż oni będą nauczycielami, lub pisarzami? — Nie. A wiec na swoje potrzeby to im wystarczy, co nabyli. Lepiej nie potrzebują. A komu się nie podoba ich czytanie i pisanie, to niech nie słucha i nie patrzy!

— Owa! — wołają wzgardliwie tacy niedouczkowie — wielkie rzeczy czytać i pisać ładnie! To nam chleba nie da! Bylebyśmy mieli dużo pieniędzy w kieszeni i ładne stroje na sobie, już to nam wystarczy i więcej nie pożądamy!

Istotnie, duży zastęp naszych rodaków i rodaczek ma to przeświadczenie, że sztuka czytania i pisania, doprawdy, niewiadomo do czego potrzebna? Tak się oni doskonale obywają bez książek, gazet i pióra,—a, dzięki Bogu, mają co zjeść, nawet do syta i lepsze smakołyki, niż ci, co uchodzą za światłych i ciągle coś czytają! Mają też w co się ubrać i nawet wspaniale, modnie, elegancko! Zpewnością ładniejsze mają stroje i złote ozdoby, aniżeli wielu tych, którzy długo lubią wlepiać swe oczy w książki, a chodzą w butach koszlawych i porządnej czapczyny nie mają na swej głowie, niby oświeconej. Więc doprawdy, jakaż stąd szkoda, że zlekceważyli czytanie i pisanie, bo nawet żadnej książki, prócz kalendarza, nie mają u siebie, a w kałamarzu zdawna wysechł atrament, nakryty warstwą kurzu i pleśni.

Słowem, jeszcze wiele miljonów mamy takich rodaków i rodaczek, którzy, jakkolwiek są czytelni, całkowicie obywają się bez książki i pióra. A gdy kto mówi im co o potędze nauki, oświaty, może mu przytakują, lecz napewno zdanie to jest dla nich bez żadnego sensu!..

Po nich kolej przychodzi na **cząsteczkowych** czytelników.

Takie miano przysługuje mnóstwu tych, co wprawdzie nawet bardzo lubią czytać, ale tylko romanse, powiastki i żarty, albo **jedynie swoję gazetę!**

Pożeraczy romansów, tak zwanych tłustych zmysłowych, albo miłostkowych, jest wśród rzeszy czytelników pono dużo miljonów! Nic innego nie chcą oni czytać. Polują na książki drażliwe, łechtające ich zmysłowość, lub upodobania w straszliwych przygodach i morderstwach!...

Każdą inną książkę i artykuł, zwłaszcza traktujące o sprawach poważnych: społecznych, narodowych, lub naukowych, odrzucają nieledwie z pogardą, lub nawet z szyderstwem, jako coś dla nich bardzo nudnego i wcale niepotrzebnego!

Przypatrzmy się też nieco uważniej miłośnikom tylko jednej **swojej** gazety.

Są oni, chyba z nielicznym wyjątkiem, najpewniejsi, że **ich gazeta** jest niewątpliwie jedynem w całym świecie najlepszem źródłem prawdy, wiedzy i sprawiedliwości... Wszystkie inne gazety i inne książki, nie chwalone, lub nawet impetycznie i złośliwie ganione przez **ich gazetę**, są godne potępienia i, jako liche piśmidła, powinny być wyszydzone i—podeptane!

Tacy zwolennicy **tylko swojej gazety** są ze swej wyłączności podobni do pewnego araba, który niegdyś, przed wiekami, natknąwszy się na wielką i wspaniałą bibljotekę, tak zawyrokował: trzeba ją spalić, bo jeżeli ma książki tylko podobne do Koranu (księgi religijnej machometan), to są niepotrzebne, gdyż nam Koran powinien wystarczyć za wszystkie dobre i podobne do niego książki, — a jeżeli w tej bibljotece znajdują się książki tylko przeciwne Koranowi, to już tembardziej muszą być spalone, jako dla nas szkodliwe i obrzydliwe.

Wyrok araba został spełniony: spalono wielką, obfitą bibljotekę. Tak zniszczono mnogą liczbę ksiąg poważnych, pożytecznych, naukowych.

Tak jeden nierozumny okrutnik zniszczył wielki skarb duchowy! Zapewne, w tym skarbie znajdowało sie, być może, również i plew nie mało. Ale od czegóż w ludziach rozum i zdolność odróżniania złego od dobrego, prawdy od fałszu?

Plewy muszą zbutwieć, sam czas je zniszczy! A co dobre, piękne, prawdą przeniknięte, to nigdy nie zginie, bo w sobie ma siłe taką, że wszelką niechęć, obojętność, lub nawet przeciwność przezwycięży i na wierzch wypłynie! Dowody na to mamy w piśmiennictwie każdego narodu. Dość wspomnieć

niade, bardzo starą książkę grecką, istniejącą już parę tysięcy lat,—a, dziś jeszcze przez miłośników szlachetnego piękna czytywane z wielkiem ukontentowaniem. I są księgarze, którzy tę książkę ciągle ponownie drukują, bo zawsze coraz to znajdują na nią chętnych nabywców!.

Dziwnie przeto wyglądają ci nasi niektórzy zwolennicy tylko jednej **swojej gazety.**

Podobni są do zaciekłych sekciarzy, którzy wrogo, nienawistnie odnoszą się do wszystkich innych ludzi, nie należących do ich sekty.

Narazie wydać się może tak wrogie usposobienie prawie niepodobnem do wiary. Bo czy są dziś jeszcze między nami tacy wstręciarze?

Niestety, są! To partyjnicy nasi... Niektórzy z nich tak dalece bywają zawzięci, uprzedzeni i zagniewani (niewiadomo za co?), że, doprawdy, gotowi podrzeć, podeptać każdą inną, nie ich gazetę!..

Kto winniejszy: czy gazeta partyjna, czy też jej czytelnicy zawzięci?

Pytanie bardzo ciekawe i — bardzo właściwe. Chodzi o podział odpowiedzialności. Kto, mianowicie, winniejszy: czy zły pisarz, czy zły czytelnik? Nie byłoby złego czytelnika, gdyby nie było złego pisarza. Ale rodzi się pytanie słuszne: alboż potrafi zły pisarz kogokolwiek przymusić do czytania jego złej gazety, lub złej książki?..

Nie. Jeżeli dobry pisarz nikogo nie zdoła skłonić do czytania jego pracy dobrej, — to podobnież i zły nie ma mocy nikogo zmusić do czytania i zasmakowania w jego złych pismach.

Kto zatem bierze do ręki złą gazetę i czyta ją chętnie, wytrwale, to znak, że dobrowolnie gustuje w złem i świadomie staje się jego zwolennikiem. I w taki sposób już przeszedł na stronę planów występnych, nawet współuczestniczy w działaniach nagannych i zgubnych.

Oczywiście, ten, co pisuje złe książki, lub złe artykuły gazetowe, dopuszcza się bardzo groźnego występku, — ale zpewnością ci, co chętnie biorą jego pisma złe do ręki, są winniejsi... Albowiem oni wówczas nietylko stają się miłośnikami złego, lecz nawet popieraczami, dodają mu siły, przyczyniają się do rozrostu jego wpływów i potęgi!..

Zły pisarz nie byłby groźny, gdyby nie doznawał pomocy od swoich czytelników... Złego pisarza można porównać z iskrą ognia, albo z rzeką wzbierającą. Przestanie być iskra niebezpieczną, gdy ją czujni ludzie wporę stłumią. I rzeka nie zagrozi wylewem, gdy będzie należycie w karby ujęta brzegami obwałowanemi.

Zalejcie nabój armatni, a wnet moc swoję straci.

Nie tyle zły pisarz jest niebezpieczny, ile gromada niepoczciwa, dająca rozrost i potęgę pismom złego autora!

Warto wspomnieć o tem, ażeby przecież w wielu czytelnikach złych gazet i książek obudziły się wyrzuty sumienia...

Jak złe pisma wyrządzają szkody wielkie,—tak dobre stają się prawdziwem dobrodziejstwem, błogosławionem tysiąckrotnie!

To właśnie najlepiej świadczy o olbrzymiej potędze oświaty.

Więc co to jest oświata?

Z powyższych uwag sama już nasuwa się odpowiedź:

Jestto **działanie ludzkiego ducha twórczego na rzeszę ludzką przy pomocy słowa drukowanego, pisanego i mówionego, a nawet malowanego i rzeźbionego,** bo przecież i malowidło i rysunek i rzeźba także nieraz wiele mówią do każdej osoby, która na nie patrzy, a następnie o nich myśli i poddaje się ich wpływom...

Oświata, istotnie, jest potęgą olbrzymią i niezbędną każdemu człowiekowi bez wyjątku!

Ale niechże nikt nie wyobraża jej sobie jako coś niby gotowego do przyswojenia odrazu, na poczekaniu!

Oświata — to nie jedna nauka tylko, nie jedna książka, lub gazeta. Nawet niepodobna jej nabyć tylko od jednego człowieka, choćby najmędrszego i najdoskonalszego. Jak również niesposób posiąść ją w ciągu tylko jednego roku... Owszem, zamało lat parę i nawet kilkanaście. Bo przecież całe życie trzeba ją nabywać.

O niej myśli każdy rozumny człowiek, kiedy powtarza znane zdanie stare: **„całe życie uczyć się trzeba“.**

Ma to być tak rozumiane, że całe życie każdy musi się oświecać...

Oświata tedy nie ma granic. Rozrasta się, potężnieje ustawicznie.

I gdy o niej pomyślimy dłużej w skupieniu, już najwierniej wyrazimy się o niej tak:

Co wszyscy ludzie mają w swej duszy najlepszego, jako wiedzę, obyczaje, zalety i sposoby obcowania z wszelkiem stworzeniem, — to wszystko każdy z nas powinien dla siebie nabywać w ciągu całego życia swego. I to właśnie nabywanie ustawiczne nazywamy: oświecaniem siebie. Zatem oświata rośnie ciągle w każdej istocie ludzkiej, poczynając od jej dzieciństwa, a ustaje z chwilą jej śmierci.

Oświata więc jest to samo, co uczenie się od wszystkich bez wyjątku każdej rzeczy dobrej... A więc nawet od naszych przeciwników, jeśli co dobrego mają w sobie, a my jeszcze tego nie posiadamy!

Uwagi powyższe zpewnością sprawić muszą przykrość niejednemu rodakowi i rodaczce, pogrążonym w błogiem mniemaniu o sobie, że już są dostatecznie oświeceni, bo przecież przeczytali sporo książek, — należą do pewnej partji, która, górnie myśląc o sobie, inne gromady ludzkie stara się ośmierzyć przezwiskami szyderczemi...

Tacy już niby „skończeni“ powinniby wspomnieć o wierszu Asnyka, w którym jest bodziec dla nich może przykry tej osnowy:

**Trzeba z żywemi naprzód iść,**
**Po życie sięgać nowe...**
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.
Wy nie cofniecie życia fal
Nic skargi nie pomogą —

Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Te słowa poety dają niejednemu z nas bodziec silny, bo każą iść naprzód, iść ciągle, więc każą ustawicznie pracować nad oświecaniem siebie!

Z żywemi naprzód iść!

Nie pójdzie z żywemi ten, kto trzyma się tylko jednej gazety partyjnej i czyta tylko te książki, które zaleciła mu partja. Bo w taki sposób on idzie nie z żywemi naprzód, ale stoi w miejscu przy jednej tylko gromadzie partyjnej, która usiłuje świat zatrzymać, lub przerobić go na swoje kopyto.

Do takich woła Asnyk:

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą. —
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą!

Świat pójdzie swoją drogą, wytkniętą nie przez tę, lub ową partję, lecz przez Bożą prawdę, przez powszechną miłość braterską i przez pracę twórczą, rozumnie pokierowaną światłem wiedzy rzetelnej.

Świat idzie naprzód, prawda, lecz nigdy nie zrywa z przeszłością, bo z przeszłości zawsze czerpie dla siebie przeogromną obfitość wiedzy i przykładów.

Jak każda roślina wydobywa na swój pożytek wielką strawę z ziemi, z otoczenia swego (klimatu) i z góry — od słońca, podobnież czynić musi każdy człowiek żyjący. I on przecież, nawet nieraz bezwiednie, bierze dla siebie ustawicznie mnóstwo pokarmu duchowego zarówno z przeszłości całej, jak i od wszystkich współczesnych i od Stwórcy, jako słońca swego!

Nawet najzdolniejsi ludzie nie inaczej doskonalili swoję duszę, jak tylko przy pomocy przeszłości, współczesnych i Boga.

Toć Słowacki, znakomity poeta, nie wstydzi się wyznać skromnie w swoim Testamencie:

**Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami.**
**Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętnym.**

Dalej tak pisze:

...płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany, lecz **świetnościami dawnych moich przodków świetny.**

Brał tedy od przodków, to jest z przeszłości, wszystko, co tam znalazł świetnego. **I, obcując ze szlachetnemi,** przejmował od nich najlepsze zalety i myśli.

A o Bogu tak się wyraża Mickiewicz w swoich wierszach:

Z Tobą ja mówię, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha.
Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha.
Panie, jam blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!...

Jeśli najzdolniejsi brali obficie dla siebie z tych trzech źródeł, — to i ty, bracie, który chyba nie zechcesz mniej skromnie myśleć o sobie, żadnem z nich nie pogardzisz!

Czerp z przeszłości, szczególniej swego narodu, ustawicznie i jaknajwięcej.

Bierz z duszy współczesnych wszystko najlepsze.

Bierz i od Boga, często z Nim obcując myślą i sercem...

Tylko w taki sposób rośnie w człowieku doskonała oświata.

Nie należy jednak rozumieć, że oświata tylko umysł doskonali, lub tylko uzdolnia do pracy zarobkowej, do tworzenia majątku.

Ona przecież, gdy z dobrych źródeł pochodzi, przyczynia się znakomicie do udoskonalenia zarówno rozumu i serca, jak woli i sumienia...

Nie godzi się też udzielać oświaty w sposób szorstki, złośliwy, lub niechętnie, zazdrośnie, z pobudek niepoczciwych.

Trzeba nieść ją ludziom bardzo życzliwie, nawet miłościwie, jak matka swojej rodzinie...

O pewnej osobie pisze Ludwik Krzywicki, że powodowana tylko taką życzliwością, radośnie podawała ludziom do czytania dobre książki w tej nadziei, iż „czytanie lepszych rzeczy prowadzi do lepszych myśli, lepsze zaś myśli skłonią niezawodnie do lepszego postępowania“...

Oświata przeto zmierza do tego, co Słowacki nadmienił w końcu swego Testamentu:

„aż was, zjadacze chleba,—**w aniołów przerobi!**“

Niech więc żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec!..

---

Za prawdziwą oświatą idą: uczucia honoru, przyzwoitości, trzymanie swych żądz w pewnych karbach, szanowanie cudzych praw; idzie obyczajność, która wszystko dobre ułatwia, idzie moralność, która wielką jest pomocą prawdziwej religji, a wszystko to jest spójnią społecznego porządku i podwaliną szczęścia kraju

Józef Gołuchowski.

---

# Nie tędy....

Znam ja człowieka, co w każdej godzinie
O pokrzywdzeniu ludu mowy głosi,
Ostrzem języka cudze błędy kosi,
Nie myśląc nawet o pracy, o czynie..

Sądzi, że bieda tak sobie wyginie,
Że ją wnet gromem mocnych słów poznosi. —
Rad swej zasłudze, hardo głowę nosi,
Jakby już stąpał w niezwiędłym wawrzynie.

O, nie prowadzi ta droga do celu! —
Zła nie usuniesz wielkim choćby krzykiem,—
Jeśliś nam życzliw, miły przyjacielu,

Bądź nam ku **Dobru** świątłym przewodnikiem.
Kiedy nie mówcą, lecz bedziesz nam wzorem,
Wszystko odmiennym potoczy się torem!

**Ferdynand Kuraś.**

# Czego chcą oni?

Komuniści, których jeszcze inaczej świat słusznie nazywa wywrotowcami, nasyceni naukami bolszewików rosyjsko-żydowskich, w początkach swego istnienia zachowywali się niby dość spokojnie. Tylko niby. Bo inaczej być nie mogło. Toć oni dopiero uczyli się, nabywali swoję wiedzę od mistrzów rosyjsko-żydowskich. Dopiero terminowali, czyli praktykowali. Mistrze wpajali w nich swoje poglądy, wskazówki i plany niszczycielskie.

Gdy pojętni uczniowie już dostatecznie ugruntowali w sobie nauki komunistyczne, czyli wywrotowe i zdali egzamin dostatecznie, wówczas mistrzowie utworzyli z nich organizacje w różnych krajach. W każdej organizacji jest zarząd, więc rozkazodawcy i posłusznicy, czyli podwładni wykonawcy. A nad wszystkiemi temi organizacjami stoi główna komenda centralna, oczywiście, w Rosji. I stąd idą rozkazy do wszystkich organizacji komunistycznych w różnych krainach, gdzie już komuniści zdołali je utworzyć i uporządkować.

Już widocznie poszczególne organizacje komunistyczne w Bułgarji i w Polsce nabyły dosyć nauki i wprawy, bo... zaczęły działać, rozumie się, zawsze pod komendą tylko Bolszewji rosyjsko-żydowskiej.

Już wybiła godzina roboty komunistycznej. Już organizacje wywrotowe na dany znak rozpoczęły swoje działania zbrodniczo-niszczycielskie.

Zaczęły od urządzenia zamachu na króla bułgarskiego, Borysa. Stało się to 14 kwietnia r. b. Król samochodem wyjechał za miasto, Sofję. Nagle wyskoczyło z krzaków 56 ludzi, rzucili w samochód 3 bomby i poczęli strzelać gwałtownie z rewolwerów. Król szczęśliwie ocalał. Jednak kilka osób z jego otoczenia zostało zabitych.

Tego samego dnia wieczorem już w mieście Sofji, na ulicy, ci sami wywrotowcy-komuniści zabili swego przeciwnika, jenerała i zarazem posła na sejm bułgarski, Gieorgjewa. Pogrzeb miał się odbyć 16 kwietnia bardzo uroczyście. Mnóstwo osób zgromadziło się w głównej cerkwi na nabożeństwo.

I w chwili, kiedy rozpoczęła się ceremonja religijna w cerkwi, nastąpił straszny wybuch maszyny piekielnej, ustawionej przez komunistów umyślnie w cerkwi po to, żeby zabić uczestników pogrzebu, a szczególniej dostojników państwowych. Znaczna część murów cerkwi spadła na ludzi, będących w świątyni. Przeszło 150 osób postradało życie, — a około czterystu odniosło rany.

Dobrze myślący bułgarzy bez trudu mogli odgadnąć zamiary komunistów: oto chodziło im o zniszczenie rządu bułgarskiego — i zaraz potem o wywołanie w całej Bułgarji rewolucji, więc wojny domowej, z której przedewszystkiem skorzystałaby Rosja bolszewicka. Gdyby Bułgarja nagle została pozbawiona rządu, — rewolucja stałaby się straszną, bo przewrotowcy, doskonale zorganizowani, odrazu ujęliby w swoje ręce władzę nad wszystkiemi instytucjami państwowemi.

Na szczęście dla Bułgarji zamach komunistów nie udał się, — rząd odrazu przystąpił do śledztwa i wyszukiwania nietylko winnych, ale i wogóle komunistów. Wprędce wyłowił ich bardzo dużo—i zaczyna ich wytępiać, oraz uchwalać przeciwko nim prawa surowe.

Nareszcie, po szkodzie strasznej, bułgarzy dowiedzieli się o co chodzi komunistom: oto chcą oni —ni mniej, ni więcej—tylko udoskonalić i uszczęśliwić świat przy pomocy morderstw i wybuchów maszyny piekielnej!...

Możnaby mniemać, że na takie pomysły zdobyć się potrafią tylko szaleńcy, obłąkani, którzy uciekli ze szpitala warjatów..

Niestety, nietylko warjaci dopuszczają się morderstw, — bo również krwi żądni są rozmyślni okrutnicy, którzy wyrwali z duszy swej umiłowanie Boga i ludzi prawdy i dobra...

Tacy są komuniści.

I u nas w Polsce zawiele pobłażliwości znaleźli dla siebie komuniści. Dlatego skorzystali z dogodnych warunków i wnet rozmnożyli się w wielu okolicach. Narazie cicho siedzieli, bo uczyli się, organizowali i czekali pory stosownej. W zimie przecież niepodobna robić rewolucję, bo zimno, bo mróz dokuczy. Teraz wiosna. Pora dogodna. Już też dają znać o sobie komuniści. Zaczęli wykonywać upodobaną robotę: zabijać masowo i okrutnie szalenie, jak gdyby po szatańsku!

Niedawno pod Rogowem zepsuli szyny i wskutek tego wykoleił się pociąg osobowy.

Następnie 30 kwietnia w nocy na wysokim nasypie kolejowym pod Starogardem rozkręcili szyny i z tego powodu pociąg pospieszny wyskoczył, a kilka wagonów osobowych zostało zdruzgotanych. W tym wypadku 26 osób śmierć okropną znalazło, a wiele doznało ran i kalectwa...

Czy to wszystko potrzebne do uszczęśliwienia komunistów?

O co im chodzi? Chcą karmić duszę swoję mękami i śmiercią, kalectwem wielu osób, nic im niewinnych.

Czy to są szaleńcy?

Komuniści nie chcą tak nazywać siebie. — Ale przecież tylko na takie zasługują piętno.

Zbrodniarze! Jakkolwiek usiłują rozmaitemi bredniami niby wyjaśnić, dlaczego muszą zabijać. Kto ich przymusza? To są tylko wybiegi, osłaniające skryte zamiary rabusiów - morderców

Azali nikomu nie wiadomo, co czynią niektórzy podpalacze?

Oto wszczynają pożar po to tylko, żeby nieszczęśliwych mieszkańców okraść, bo gdy, zaskoczeni pożogą, domownicy kręcą się prawie nieprzytomni i wynoszą rzeczy na miejsce niby bezpieczne, wtedy złoczyńcy-podpalacze rabują je bez miłosierdzia!..

Bywało i tak, że w kościele, albo w teatrze, kiedy był natłoczony publicznością, jakiś złodziej okrutny krzyknął nagle: „pali się"! Na krzyk ten, tłum nierozważny naoślep rzuca się do wyjścia, dusi się, umiera. A pożaru wcale niema! Tylko wówczas zbrodniarz, korzystając z zamętu okrada nieszczęśliwych ludzi i potem wymyka się zręcznie.

O to samo chodzi obecnie komunistom. Chcą wywołać i w Polsce trwogę, przerażenie, upadek ducha, potem niesnaski, wzajemne oskarżanie się, wreszcie rewolucję.—A gdzie się dwuch bije, tam trzeci korzysta. Wówczas więc przyjdzie po łupy ów zbrodniarz podpalacz, wybuchowiec i rozkręcacz szyn kolejowych. Obejmie władzę nad znękanym narodem.

Komuniści chcą wywołać zamieszki, pozbawić nas głowy, zgody, porządku i bezpieczeństwa, a potem, objąwszy nad nami władzę, zdusić nas na korzyść Rosji i Niemiec.

Już w tych dniach komuniści w kilku różnych stronach, niemal jednocześnie, starali się zgotować nam straszne nieszczęście.

W przeddzień 3 maja w Warszawie, w mieszkaniu, gdzie znajduje się redakcja „Woli Ludu", niejaki Trojanowski, wywrotowiec, pracował nad urządzeniem maszyny wybuchowej i wskutek własnej nieostrożności spowodował przedwczesne spalenie się części materji wybuchowej, która go nietylko pokaleczyła ale i zdradziła. Policja zaraz aresztowała zbrodniarza i przeprowadziwszy dokładnie śledztwo, wykryła uplanowany zamach komunistów na wyższe władze nasze.

Tak wywrotowcy chcieli nas pozbawić głowy, rządu i porządku. — W tym samym prawie czasie w lubelskiem, pod Minkowicami, już przygotowali na szynach przeszkodę z kamieni, o którą byłby rozbił się pociąg pospieszny, gdyby szczęśliwy przypadek nie uprzedził o niej służby kolejowej. Tak podróżni zostali ocaleni od zguby okropnej.

I znowuż nadeszła wiadomość z Łodzi, że pociąg osobowy między stacjami Andrzejowem a Gałkowem już wieczorem późnym napotkał na moście kolejowym duży stos kamieni, ułożony przez zbrodniarzy komunistów. Na szczęście duże światło, padające od dwuch doskonałych lamp, wiszących na przodku parowozu, ułatwiło maszyniście dostrzedz oną przeszkodę zawczasu, tak, że jeszcze w porę zdołał pociąg zatrzymać przed mostem i w taki sposób wszyscy podróżni uniknęli strasznej śmierci, albo kalectwa.

I któż dybał na ich życie, a szczęście ich rodzin, pozostających w domu? — Komuniści. A co ci podróżni im zawinili? — Nic! Więc o co chodzi tym zbrodniarzom? — Oni to tylko narzędzia zbrodnicze, jak gdyby stado psów, szczutych przez główną komendę, siedzącą w Bolszewji moskiewskiej. Komuniści moskiewscy, żydowscy i niemieccy radziby wywołać zarówno w Bułgarji, jak i w Polsce rewolucję czyli wojnę domową, a potem wtrącić się do ich walki i wszystkich pokonawszy łatwo, wziąć za czuprynę, nagiąć do ziemi, nałożyć obrożę i trzymać w niewoli, jak już to uczynili w Rosji, gdzie głód i krwawe czerezwyczajki wpędzają znękane tłumy do mogiły.

Taki jest raj komunistyczny w Rosji.

Podobny chcieliby dla wygody swoich komendantów urządzić i u nas w Polsce zbrodniarze-komuniści, posłuszni swoim naczelnikom, jak miecz w ręku kata.

Inaczej ich nazwać niepodobna, tylko katami, mordującemi ludzi niewinnych.

I oto jeszcze otrzymaliśmy świeżą wiadomość, że ci kaci sposobili nowy zamach na pociąg w okolicy Wilna. Umieścili maszynę wybuchową pod mostem kolejowym. Lecz przezorny dozorca drogowy zawczasu ją dostrzegł i dał znak maszyniście, który pociąg zatrzymał i po usunięciu maszyny, dalej puścił się w drogę, dziękując Bogu i dróżnikowi za ocalenie setek ludzkich istnień i szczęście wielu rodzin, które byłyby osierocone.

Pokazuje się, że teraz już komuniści przygotowali się do zbrodniczej roboty i chcą wywołać w wielu stronach naszej ojczyzny nieszczęścia, udręki.

Chcą nas gnębić, mordować! Nie dajmy się! Czuwajmy wszyscy. Trzeba rozglądać się u siebie dokoła i—każdą osobę obcą, podejrzaną, zawczasu obezwładniać i oddawać w ręce władzom bezpieczeństw.

Baczność, Rodacy! Szczęście narodu, to szczęście nasze. Wolność Ojczyzny, to wolność nasza. Nie damy się. Wszyscy społem złe pokonamy!

---

.....Równej kary godni,
Co zbrodnię popełniają i co bronią zbrodni.

Osiński

---

Kto nie karze występków, ten ośmiela do ich popełniania.

Seneka

---

Chociaż chłosta na niecnotę leniwo się wlecze,
To pewna, że występek przed nią nie ucieczе.

Osiński

---

# List z Bychawy.

Uroczystość narodowo-religijna dnia 3 maja odbyła się u nas, w Bychawie, nawet bardzo wspaniale przy pogodzie zupełnie ładnej. Już z samego rana wyszli na miasto kwestarki i kwestarze z 6 puszkami dla zbierania ofiar na dar narodowy gwoli szerzenia w kraju oświaty przy pomocy Macierzy Szkolnej. Urządzeniem kwesty bardzo gorliwie zajęli się: p. J. Panecki, sekretarz gminy i p. S. Barszczewski, miejscowy komendant policji państwowej. Zbiórka udała się pomyślnie.

Na sumę przybyło mnóstwo osób. Rozumie się, dziatwa nasza kochana ze wszystkich szkół w należytym porządku i z chorągiewkami w ręku zgromadziła się wcześnie. Stawiła się też nasza dzielna straż ze swoim naczelnikiem, p. Janem Żmindą, na czele. Chorąży jej, p. Jan Luterek, trzymał suty sztandar. Wszyscy druhowie od dołu do góry ubrani w nowy b. ładny i kosztowny strój, przedstawili się nader okazale. A gdy w doskonałym ordynku zdążali do kościoła, do taktu przygrywała im raźno kapela miejscowa pod kierunkiem p. Kwiatkowskiego, mieszczanina bychawskiego.

Nabożeństwo uroczyste w kościele, zielenią

przyozdobionym wspaniale przez miejscową nerbaciarnię, odprawił ks. Jan Walczak, a słowo Boże bardzo pięknie wygłosił tutejszy wikarjusz, ks. Michał Jabłoński.

Zaraz po nabożeństwie uszykował się w doskonałym porządku pochód narodowy pod przewodnictwem p. Michała Pidka, kierownika 7-o klasowej szkoły powszechnej w Bychawie.

Wszystka dziatwa szkolna szła naprzód. Każdy radośnie patrzał na nią. To nasza pociecha i przyszłość lepsza! Daj Boże!..

Za dziatwą niesiono piękny sztandar narodowy, zwykle przechowywany w kościele, — dalej postępowało Koło młodzieży ze swoim sztandarem, za niem szła orkiestra, potem straż pożarna, duchowieństwo, przedstawiciele różnych urzędów i wreszcie wielka liczba rodaków i rodaczek.

W drodze do krzyża narodowego pochód zatrzymał się przed domem „Jedności“, gdzie na 1-em piętrze z balkonu do zgromadzonej na ulicy publiczności przemówił p Jan Chmurzyński, nauczyciel w Gałęzowie. Mówił pouczająco o znaczeniu konstytucji. Podziękowano mu za mowę oklaskami. I zaraz przy tym domu chór kościelny pod kierunkiem p. Onuszkiewicza zaśpiewał bardzo ładnie parę pieśni.

Teraz pochód podążył do krzyża. Tam wygłosił okolicznościowe przemówienie p. Ludwik Orszula, nauczyciel w Zaraszowie. Dobrze powiedziedział i za to mu również oklaskami podziękowano. Następnie kilka dziewcząt szkolnych udatnie wygłosiło deklamacje bardzo miłe, a wreszcie chór sprawnie wykonał odpowiednie pieśni i zakończył je Rotą.

Tam jeszcze przy krzyżu straż ogniowa dziarsko przedefilowała przed publicznością. Nagrodzono ją oklaskami i serdecznemi okrzykami, bo, istotnie, bardzo na to zasługuje. Sprawuje się niezmiernie dobrze, pracowicie, gorliwie. To nasza opieka i ratunek dzielny na wypadek, nie daj Boże, nieszczęścia!

Po ukończeniu ostatniego śpiewu — cały pochód ruszył z powrotem do kościoła.

Pogoda stale sprzyjała. Nastrój był uroczysty. Wszyscy zadowoleni, bo przecież zgromadzili się na tę uroczystość narodowo-religijną po to, ażeby uczcić Matkę Najświętszą, jako Królowę Korony Polskiej, uczcić też akt narodowy 3 maja 1791 roku.

Wszyscyśmy spełnili swój obowiązek narodowy. Ożywiliśmy w sobie jedność obywatelską, miłość ojczyzny i narodu, oraz gotowość bronienia życia i wolności naszej ukochanej Polski!

Niebo nam błogosławiło łagodnem i pogodnem słońcem.

Gdyśmy rozchodzili się do domów,—zpewnością jedni drugim życzyliśmy sobie doczekać szczęśliwie takiej samej uroczystości w roku następnym!

Daj Boże!

Wieczorem tego samego dnia odbyło się przedstawienie teatralne w domu ludowym na korzyść miejscowej straży ogniowej.

Gdy już publiczność, licznie zgromadzona, zajęła swoje miejsca, na scenę wyszedł p. Sitarczuk, nauczyciel szkoły miejscowej i wygłosił odczyt o Konstytucji 3 maja.

następnie zostały odegrane dwie sztuki teatralne: „Skazaniec“ w 1-ej odsłonie i „Pan Pegaziński“ w 2-ch odsłonach. Przygotowaniem tych przedstawień bardzo pracowicie i starannie zajęła się p. Zofja Tużnikowa, nauczycielka szkoły tutejszej. Istotnie, obie sztuki odegrano bardzo dobrze. A p. Łojko, miejscowy nauczyciel, grając w „Skazańcu“ jenerała rosyjskiego, wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Jednak i inne osoby, biorące udział w przedstawieniu, grały doskonale. Jestto zespół już bardzo obyty ze sceną i zręcznie radzący sobie w każdej roli trudnej, a wdzięcznej.

Na zakończenie teatru chór kościelny, jak zawsze pod sprawnym kierunkiem p. Onuszkiewicza, zdatnego nauczyciela śpiewu, wykonał kilka pieśni miłych, a naostatku odśpiewał hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Publiczność, najzupełniej zadowolona, opuściła salę teatralną. A i straż ogniowa wdzięczna wszystkim, bo czysty dochód z przedstawienia zasilił jej kasę na potrzeby najpilniejsze. Straż nasza bardzo warta najofiarniejszego poparcia od naszego ogółu. Dank jej od wszystkich za wierne i pilne spełnianie swoich powinności strażackich!

Jeszcze godzi się coś-niecoś nadmienić o miejscowej Kasie kredytowej. Istnieje ona bez mała lat dwadzieścia. I w ciągu tak długiej egzystencji swojej, doprawdy, bardzo wiele oddała usług niezmiernie pożytecznych ludności miejscowej i okolicznej w szerokim promieniu, bo na obszarze czterech gmin sąsiednich. Ile ona pożyczek wydała, ilu poratowała rolników i rękodzielników, nieraz przyciśniętych potrzebami nader dokuczliwemi! A przecież zawsze pobierała procenty bardzo umiarkowane — i nawet częstokroć udzielała pożyczek na raty, więc na dogodnych warunkach spłacalności długu.

Nadto przez długi szereg lat pośredniczyła w sprowadzaniu narzędzi rolniczych. Przez nią mnóstwo rolników okolicznych w sposób bardzo łatwy, bo ratami, zaopatrzyło się w najpotrzebniejsze narzędzia, a więc w sieczkarnie, żniwiarki, młocarnie, pługi, brony sprężynowe, kultywatory, siewniki.

Stale Kasa kredytowa w Bychawie najżyczliwiej wchodziła w potrzeby okolicznej ludności niezamożnej, pracowitej i zabiegliwej. Starała się nieść jej pomoc, poratowanie! I, prawdziwie, podźwignęła bardzo wielu. Broniła ich przed chciwością lichwiarzy.

Wspominamy o tych licznych dobrodziejstwach Kasy bychawskiej zgoła bez żadnej pretensji. Bo przecież kto był sprawcą tych wszystkich dobrodziejstw? — Nikt inny, tylko ogół sam sobie!

Jego były pieniądze — i jego rządy On sam na ogólnem zabraniu wybierał sobie przedstawicieli, zarząd i radę. A ci rządzili Kasą zawsze tylko w imieniu ogółu i tylko podług statutu, zatwierdzonego przez ogół, a pod nadzorem komisji rewizyjnej i lustratorów specjalnie przez odpowiednie urzędy przysyłanych bądź z Warszawy, bądź z Lublina.

Zatem Kasa Kredytowa w Bychawie była i jest zawsze w porządku, ma bardzo wielkie zasługi, ale nic sobie, jeno ogółowi całemu je przypisuje słusznie

Otóż napomykamy teraz o tem wszystkiem

tylko dla tego, że obecnie wprawdzie bardzo przykre dokonało się zarządzenie w Kasie bychawskiej, ale tylko takie, jakie również w bardzo wielu innych Kasach podobnych musiało być spełnione

Mianowicie: na mocy rozporządzenia rządu wszystkie Kasy, a więc i nasza, musiały wyrzec się wypłacenia wkładów przedwojennych, których swego czasu w naszej Kasie było kilkaset tysięcy rubli!

Wiadomość taka, niby piorun, uderzyła w serca wszystkich właścicieli tych wkładów. Boleść i rozpacz zgoła zrozumiałe. I narazie poszkodowani rozgoryczeni jęli swemi żalami obrzucać Kasę. I prawie niepodobna za złe poczytać im tego żalu. Kogo boli, ten musi bodaj jęknąć. Ale po niejakim czasie nastąpiło u wielu poszkodowanych uspokojenie, rozwaga i—zrozumienie przyczyny nieszczęścia nieuniknionego.

Poprostu niepodobna było ustrzedz się straty.

Toć przecież Kasa jest własnością ogółu. Ogół wkładał pieniądze—i ogół je zabierał jako pożyczkę. A więc wkłady przedwojenne są nie w Kasie, lecz u ogółu. Stąd wypadałoby, ażeby ogół sam sobie nakazał zwrot do Kasy swojej tych przedwojennych wkładów rublowych. I niewątpliwie ogół sam powziąłby taką uchwałę, ale jest trudność niepokonana w tem, że wszakże ogół już swoje pożyczki, z tych wkładów czerpane, dawno oddał do swej Kasy, ale oddał wtedy, kiedy jeszcze za każdego rubla liczono niewiele koron, a potem niewiele marek. Więc ogół już nic nie dłużny Kasie. Oddał te wkłady, ale oddał nie rublami, jeno markami, więc w sumie nieznacznej.

Tak oto strata tych wkładów powstała nie stąd, że ogół pożyczek nie oddał, jedynie tylko z tego powodu jest strata, że już za czasów okupacji austryjackiej kasy musiały zamieniać ruble na marki—i za każdego rubla liczyć niewiele marek.

Nie Kasa przeto i nie ogół są sprawcami przepadku wszystkich wkładów przedwojennych, ale jedynie zmiana rubli na marki, zarządzona już obowiązkowo przez władze nie polskie, więc nam obce i zgoła nieczułe na potrzeby nasze.

Dlatego obszerniej omówiliśmy przykre wydarzenie Kasowe, ażeby ustaliło się i upowszechniło wśród nas jedno jasne i sprawiedliwe pojęcie o niem. Ogół nie może mieć żalu do Kasy, bo w takim razie miałby żal sam do siebi. Toć przecież, powtarzamy, Kasa jest własnością ogółu i tylko ogół nią zawiaduje. Niechżeż więc ogół sam nie traci zaufania do siebie, niech ma i nadal wiarę w siebie taką, jaką miał dotychczas — i na tem wychodził bardzo dobrze, bo wszakże przez swoję Kasę wyświadczył sam sobie mnóstwo dobrodziejstw prawdziwych.

I nadal bardzo wiele świadczyć sam sobie usług będzie w stanie przy pomocy swej Kasy Kredytowej, jeżeli teraz ponownie wnosić będzie do niej swoje wkłady złotowe.

To się stać musi bezwarunkowo!

Społeczeństwo bez własnej Kasy Kredytowej istnieć nie zdoła! Bo niezbędną podstawą pracy gospodarczej jest łatwy, tani, prędki kredyt. Bez niego nie posunie się naprzód każde gospodarstwo i każdy warsztat.

Owszem, ogół wie o tem doskonale. Bo przychodzi ciągle do swej Kasy po pożyczki i teraz nawet. Wziąłby miljony, gdyby tylko dała mu Kasa. Ależ ona dałaby mu chętnie, gdyby miała. A skąd ma wziąć te miljony? Ogół tu wyraża swe pragnienie, żeby banki warszawskie i lubelskie dały wkłady do naszej Kasy.

Rozumie się, dają, nawet spore sumy. Jednak banki nie podołają zaopatrywać wszystkie Kasy w całej Polsce. Takich Kas jest mnóstwo. Dlatego powinno i miejscowe społeczństwo poczuwać się do lokowania w swej Kasie własnych oszczędności. Lękać się o nie przecież nie potrzebuje. Bo jeżeli banki powierzają swoje duże sumy Kasie społecznej, to również i społeczeństwo powinno ufnie składać w niej swój grosik zaoszczędzony. A komuż ogół niesie do Kasy swojej pieniądze własne? Tylko sobie. Bo Kasa należy do ogółu. I sam ogół nią kieruje. Niechżeż więc sam ogół zaufa sobie wzupełności.

Zresztą nasz ogół sam dostatecznie tę sprawę rozumie i gotowy jest do składania w Kasie swej własnych oszczędności. Tylko ta jedna istnieje trudność, że — nie ma co zanieść, bo jest bardzo ubogi!...

Oczywiście, nikt nie powie, że nasz ogół jest bogaty, bo w takim razie nie potrzebowałby pożyczek, lecz owszem, innym by udzielał. Tak. Ale znajdzie się i w naszym ogóle może nawet niemało takich osób, które posiadają gotówkę, pocichu ją dają żydom na procent wysoki. Wolą żydów wspierać, aniżeli swoich

Szkoda. To czyn nieobywatelski!

Oby zawstydzili się i — przenieśli swoje kapitały do polskiej Kasy Kredytowej. Chyba poczują się do takiego obowiązku obywatelskiego,

Tak dadzą z siebie przykład dobry.

Mamy jeszcze innych kapitalistów drobnych. Mają oni niedużo pieniędzy wolnych, ale mają. A dowodem tego jest to, że te drobne swoje kapitały wydają dotychczas na... papierosy i wódeczkę.

Otóż gdyby porzucili papieroski i zaniechali trunków — wówczas swoje drobne oszczędności mogliby lokować w swojej Kasie. I po pewnym czasie z tych drobiazgów utworzyłaby się sumka bardzo pokaźna!

Kasa bychawska chętnie przyjmie nawet najmniejszą, groszową oszczędność, zapłaci od niej procent i zobowiąże się do zwrotu wkładu w każdym czasie, na każde zażądanie!

A już teraz wszelkie wkłady nigdy nikomu nie przepadną, bo przecież Polska nigdy nie dostanie się w moc wrogów. Polska nasza jest wolna, niepodległa po wszystkie wieki, aż do końca świata. Bo raczej my wszycy polacy co do jednego zginiemy, niż mielibyśmy patrzeć na ojczyznę naszą w niewoli!

I dlatego my wszyscy polacy z głębi serca mocno ślubujemy temi słowami poety:

Ojczyzno moja miła,
O Polsko! kraju mój!
Potężna w tobie siła,
Żywota wieczny zdrój!
Za wolność twą i chwałę,
Radosny wznosim śpiew:
Oddamy życie całe,
Przelejem wszystką krew!

**Cena prenumeraty:** Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł, na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.





100 dni Odpustu za każde pobożne wymówienie ustanowił Papież Pius X.

# Matka Boska Częstochowska.

Kto tak ciemny, kto tak głuchy,
Kto ma w sobie noc tak czarną,
By nie dojrzał, jak się duchy
Procesjami tutaj garną?
Jak królujesz nad duchami,
Święta Panno nad Pannami?

Nie dosięgnie ludzkie oko
Tajemnicy Twego cudu!
Podnies onaś tak wysoko
Czarem wpomnień, wiarą ludu,
Ze tam, gdzie lśni Twa potęga,
Już rozumu grot nie sięga.

Złoty obłok Cię zasłania,
Za obłokiem jakby słońce...
Iść w te blaski duch się wzbrania
I śle tylko modłów gońce:
Bo modlitwa tylko zdoła
Myślom skrzydła dać anioła.

Gdyby zebrać w jedno łoże
Łzy, co płyną Tobie w dani,
Wielkie bólów ludzkich morze
Zgasiłoby żar otchłani
I Bóg może łzami temi
Zmyłby grzechy z całej ziemi.

Gdyby skupić wszystkie blaski,
Wszystkie dobra i pociechy,
Które rozsiał dar Twej łaski
I na trony i na strzechy,
Światła tegoby starczyło,
By dzień zatlić — pod mogiłą.

Tu namiętność, ówdzie nędza
Falom życia szaleć każą;
Częstochowska szał rozpędza
Miłościwą Swoją twarzą:
Na świat cisza idzie od Niej,
Wtedy ludzkość kroczy zgodniej.

Gdy najgroźniej kipi morze,
Wśród skał skrytych i wśród zgliszczy,
Biała wieża na klasztorze
Jak latarnia morska błyszczy,

Lud z niej czerpie swą nadzieję,
Więc go potop nie zaleje.

Iluż to już pokoleniom
Jesteś lekiem, rosą, manną!
Ilu smutkom, ilu cieniom
Gwiazdą stajesz się zaranną!
Przez posępny ciąg stuleci
Twój, jak słońce, Obraz świeci.

Obciążonaś srebrem, złotem,
Sukienkami perłowemi,
Lecz najdroższym Twym klejnotem:
Miłość całej polskiej ziemi;
Jak szeroka i jak długa,
Jest — poddanka Twa i sługa.

Twój jest obraz jak zwierciadło,
Promienisty, choć w ukryciu;
Światło Boże, gdy nań padło,
Nam odsyłasz je w odbiciu;
By zaś trafić do bram nieba,
Światła, światła nam potrzeba...

Myśmy zawsze, bój czy trwoga,
Triumf, pokój, czy męczeństwo,
Nieśli serca Matce Boga,
Najgorętsze nabożeństwo.

. . . . .

Niechaj stąd znikną obrazy,
Dzieła zdziczenia, strachu i złości —
Tam, gdzie króluje Panna bez zmazy,
Pokój niech gości.

Niechaj na uzdę mężni pochwycą
Wojennych pożóg moc piorunową —
Spraw to swą łaską, Bogarodzico!
Polski Królowo!

**Wiktor Gomulicki.**

# Uroczystości 3 maja.

Polskie święto narodowe dnia 3 maja zespoliło się z świętem religijnem Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej, bo wszakże te dwa święta są nieobce, ani przeciwne sobie, — pochodzą z jednej wiary Chrystusowej i rodzą się z jednego serca polskiego.

„Chrześcijanin—pisze ksiądz biskup Pelczar—nietylko może, ale i **powinien** miłować ojczyznę, bo **Bóg tę miłość wlał w serca, a Chrystus Pan nietylko jej nie usunął, ale ją słowem i przykładem uzacnił.** Czytaj Ewangelję, a przekonasz się, jak On **„lud swój“** miłował. W ślady za Mistrzem idą Święci. Chociaż ich miłość całą ludzkość, a mianowicie cały Kościół ogarnia, nie wyklucza jednak przywiązania ku braciom i tej ziemi, która ich wydała. Ztąd **spełniają wiernie obowiązki względem ojczyzny:** uczestniczą w jej losach, niosą jej pomoc w cierpieniach, pokutą odwracają chłostę Bożą, a modlitwą sprowadzają błogosławieństwo, — często stają się zbawcami swojego narodu. Nawet po śmierci nie przestają się wstawiać za braćmi swojemi, ztąd nader mądrze dał Kościół każdemu narodowi świętych jego synów za niebieskich Patronów“.

Święto religijne i narodowe z jednego źródła boskiego wynikają i są niezbędne: religijne dla poszanowania i umocnienia w wyznawcach praw wiary i ożywienia miłości ku Bogu, — a narodowe ma skłonić rodaków do lepszego poznania obowiązków obywatelskich, do wzmożenia w nich miłości ojczyzny i narodu, oraz większy rozniecać w nich zapał do ofiarnej gotowości nawet przelania krwi własnej w obronie ojczyzny i narodu, gdyby im kiedykolwiek zagroziło wielkie niebezpieczeństwo ze strony wrogów..

Te względy skłoniły polaków za zgodą Stolicy Apostolskiej do ustanowienia raz w rok święta narodowo-religijnego. Wszyscy z upodobaniem wybrali miły każdemu sercu polskiemu dzień trzeci maja, pamiętny w dziejach Polski tem, że właśnie 3 maja 1791 roku naród polski mocą swej woli zaczął działać naprawdę samodzielnie dla utrwalenia swego bytu niepodległego.

Przytem zdarzenie to chwalebne stało się w maju, więc miesiącu Najświętrzej Marji, Królowej Polski. Oto odrazu nasuwa się myśl szczęśliwa: skojarzyć z sobą dwa, drogie polakom święta: uczcić pamiętną wolę narodu — i uwielbić Tę, która szczególnie umiłowała nasz naród i otacza go zawsze swoją opieką cudowną.

Już w tym roku, pierwszy raz obchodzone święto religijno-narodowe, stało się dla narodu pobudką i sposobnością do nabycia niejednej wiadomości pożytecznej z dziedziny historji Polski, oraz wyrażenia swego hołdu Matce Boskiej i miłość ojczyzny.

Hołd Marji Najświętszej bardzo uroczyście naród polski złożył 3 maja w Częstochowie.

Już bardzo rano przybyły do Częstochowy pociągi ze Lwowa, Krakowa i z Warszawy, przywożąc mnóstwo—tysiące polaków i polek ze wszystkich stron Polski. Wszyscy oni tu przybyli umyślnie dla złożenia hołdu Matce Boskiej, jako Królowej Korony Polskiej.

Olbrzymi tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich dzielnic rozległej ojczyzny! Nie braknie nikogo... Delegacje za delegacjami w zwartym szeregu stoją w szyku pochodowym na Nowym Rynku. Szumią chorągwie, błyszczą kaski i chełmy, lśnią starodawne kontusze i barwne stroje ludowe, oraz mundury sokolskie i odświętna odzież pospolita, dzisiejsza... Rozradowanie duszy ujawnia się na wszystkich twarzach. Tylko cokolwiek niepokoi niebo zasępione, pochmurne... Ale deszcz jeszcze nie pada.

Wreszcie na dany znak rusza pochód ku Jasnej Górze, ku temu wsławionemu tylu cudami miejscu, ku tej odwieków tylu ostoi, ku temu wiary świętej i Ducha Bożego siedlisku, do którego żadna siła nieprzyjacielska przystępu niema...

Wszyscy zebrani jak żywy, barwny wieniec, otoczyli wały klasztoru. Przepiękny i rozrzewniający stał się wtedy widok. Naród polski przytulił się do miejsca świętego, umiłowanego przez Marję! Tu przyszedł wyrazić Jej cześć, miłość, wdzięczność, ale —i... błaganie.

Bo jeszcze wiele złego dzieje się w Polsce, bo jeszcze niejedna rana w narodzie nie zagojona!..

—Matko, pociesz! Matko, ratuj!.. Matko, wstaw się za nami!..

Takie z wielu serc polskich błagalne prośby, a może i jęki ciche, tkliwe... szły ku Miłościwej Marji Najświętszej.

Ksiądz biskup Zdzitowiecki odprawił sumę, a ojciec Przezdziecki, paulin, wygłosił naukę, która

duszom słuchaczy dała to przeświadczenie, że nie naprózno tu przybyli.

„Zaiste, to jest miejsce, gdzie Moc Boża cuda czyni"...

W końcu nabożeństwa dostojny celebrans udzielił wszystkim błogostawieństwa papieskiego. I zaraz potem rozebrzmiał hymn: „Boże, coś Polskę"... zaśpiewany przez wszystkich...

Wstąpiła w serca polskie otucha, pokrzepienie.

**Opieka Boża nigdy nie opuści nas!**

Następnie w sztandary wbite zostały gwoździe, ofiarowane i pobłogosławione przez Ojca św.

Ukontentowane tłumy wróciły w porządku na Nowy Rynek, gdzie wysłuchały kilku mów pouczających, a potem niebawem rozjechały się w różne strony Polski, podążając do domostw swoich.

Jasna Góra pożegnała je błogiem zapewnieniem pomyślności:

**Tylko wytrwajcie w dobrem aż do końca!...**

---

I stolica Polski, Warszawa, dała piękny przykład, jak należy obchodzić podwójne święto religijno-narodowe.

O g. 10-ej rano w katedrze uroczyste nabożeństwo odprawił ksiądz biskup Gall. Na tem nabożeństwie obecny był Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, oraz mnóstwo starszyzny krajowej i zagranicznej.

Również odbyły się nabożeństwa solenne we wszystkich kościołach, szczelnie zapełnionych przez ludność warszawską, słynną ze szczerej pobożności.

I w ogrodzie botanicznym kapłan katolicki odprawił mszę św. nie w kościele, ale na ołtarzu, chwilowo urządzonym na starych już murach, zapoczątkowanych ongi, w r. 1791, przez naszych pradziadów, pragnących tam właśnie zbudować kościół na pamiątkę ogłoszenia Konstytucji 3 maja.

Nie zdążyli oni wykonać swego zamiaru, lecz my, ich prawnukowie, czcimy zarówno ich przedsięwzięcie, jak i te mury, już wówczas poświęcone, jako kamień węgielny pod przyszłą świątynię — pamiątkę świętego porywu woli narodu polskiego! Dlatego rokrocznie 3 maja na tem miejscu bywa wznoszony ołtarz chwilowy i na nim odprawia się msza św. zwykle w obecności mnóstwa rodaków i rodaczek. Ten porządek, zaprowadzony od chwili ogłoszenia niepodległości Polski, trwać będzie dotąd, aż potomni spełnią pobożne zamiary twórców Konstytucji 3 maja 1791 r.

I w tym roku właśnie młodzież uniwersytetu warszawskiego uprosiła ks. dziekana Bukowskiego o odprawienie mszy św. na starych murach w ogrodzie botanicznym, której wysłuchał wielki zastęp studentów i studentek.

Po mszy św. ks. prałat Szlagowski wygłosił mowę, z której przytaczamy tu jej zakończenie:

„Święto zdwojone, narodowe i religijne będziemy odtąd obchodzili Trzeciego Maja, święto nawskroś duchowe, pokojowe, jak są nasze cele i nasze ideały rodzime.

„Trzeci maja, święto konstytucji wiekopomnej, będzie odtąd i świętem Królowej Korony Polskiej, Pani naszej miłościwej, a zwycięskiej, która nam dała i odrodzenie i cud wielki nad Wisłą.

„A zdwoił nam to święto i powiązał polską naszą uroczystość z Królową Polską, Marją, Papież, Pius XI, który tak ufał w zwycięską opiekę Marji nad Polską, że swego czasu (1920 r.) w zagrożonej stolicy przetrwał aż do końca. Dał nam tę podniosłą uroczystość Papież, który z sakrą biskupią, otrzymaną w Warszawie z rąk arcybiskupa warszawskiego, wziął, rzec można, i duszę polską, przepojoną miłością i zrozumieniem naszych ideałów. On w stolicy Polski święto Trzeciego Maja zaraz z nami obchodził, a pamiętnego roku 1920 pod krzyżem Traugutta, gdyśmy uroczyste ślubowanie składali ojczyźnie naszej i on wraz z nami, rękę ku niebu podniósłszy, wyraz za wyrazem w naszej rodzimej mowie powtarzał, a teraz ideały nasze religijne z narodowemi wiążąc, święto Królowej Korony Polskiej Trzeciego Maja nadał.

„Tem rozporządzeniem woła do duszy narodu: Krzyż niewoli skończył się dla Polski, rozpoczęła się korona chwały. Trzeci Maja niech wam odtąd przypomina liturgją swoją nie znalezienie krzyża w dziejach waszych porozbiorowych, lecz uchwalebnienie dziejowe Królowej Korony Polskiej.

„Kościół uroczyście przez swego Nieomylnego Pasterza uznał to szczytne dla nas miano Bogarodzicy, jako Królowej Polskiej, a jednocześnie Polska bierze nowe na siebie zobowiązania względem swej Królowej i Pani.

„Wielka Boga-Człowieka Rodzico Dziewico, przyrzekamy i przysięgamy Tobie wobec Boga w Trójcy Św. jedynego wierność i posłuszeństwo, jako prawowitej i odwiecznej Pani naszej.

„Prócz Chrystusa nie będziem mieli żadnych panów ponad Ciebie, ani będziem znali haseł i kierunków przeciwnych Tobie ani będziemy wchodzili w przymierze z wrogami Twoimi i Syna Twego.

„Tak nam, Panie Boże, dopomóż! Amen".

Podczas tego nabożeństwa piękne pieśni wykonał chór akademicki.

Na tem nabożeństwie obecny był rektor uniwersytetu, doktór Krzyształowicz i członkowie senatu uniwersyteckiego.

---

Po nabożeństwie, odprawionem w katedrze św. Jana, Pan Prezydent ze swoim orszakiem wrócił do swego pałacu w Belwederze i tu na wielkim placu przed pałacem Pan Prezydent, otoczony starszyzną, rozdawał złote medale wielu polakom w nagrodę za ich znaczne zasługi, oddane ojczyźnie.

W szeregu tych zasłużonych byli rodacy, należący do różnych stanów i zawodów, a więc byli uczeni, artyści, rzemieślnicy, górnicy robotnicy, rolnicy i nawet rybacy, nasi kochani Kaszubi z nad morza Bałtyckiego. I oni w swoich strojach nadmorskich stanęli, jako nasi rodacy, ramię przy ramieniu, obok rodaków z innych stron Polski. I ich kilkunastu za

służyło, jako dobrzy obywatele polscy, na odznaczenie medalem złotym. Im więc również wręczył Pan Prezydent medale. Radość była tam ogromna. Na twarzach wszystkich wesele i rozrzewnienie. A dokoła mnóstwo publiczności patrzało na tę piękną ceremonję nagradzania zasłużonych i każdemu bardzo się to podobało, że właśnie ten dzień, tak uroczysty dla narodu, został obrany na publiczne niejako w oczach całego narodu, podziękowanie i nagrodzenie tych rodaków, którzy Polsce ukochanej oddali niejedną ważniejszą przysługę.

Cześć im wszystkim serdeczna! Niech żyją długie lata i niech jeszcze wiele dobrego przysporzą naszej ojczyźnie!

---

Po tej uroczystości wszyscy z Belwederu z Panem Prezydentem na czele udali się po za Warszawę na pole Mokotowskie, gdzie właśnie w jego obecności, jako Głowy Państwa i wszystkiej starszyzny, oraz licznie zgromadzonej publiczności, miała odbyć się wspaniała rewja wojskowa.

Jakoż o godzinie 11-ej Pan Prezydent objechał na polu wszystkie zgromadzone oddziały wojska, a następnie usiadł na wzniesieniu, ozdobnie urządzonem dla niego. Przy nim zasiadło mnóstwo starszyzny krajowej i zagranicznej.

Dopiero wtedy na dany znak przez głównego dowódcę parady, jenerała Konarzewskiego, kolejno wszystkie oddziały, ustawione na onem polu Mokotowskiem, przemaszerowały uroczyście i wspaniale przed całem zgromadzeniem dostojnem i przed publicznością, której olbrzymie tłumy przybyły ze stolicy umyślnie dla widzenia tej parady.

Naprzód szła szkoła podchorążych, następnie pułki piechoty: 21-y, 30-y i 36-y, a za niemi chluba armji: kadeci.

Za piechotą przeciągnęli saperzy i artylerja.

Przedstawiły się dwa pułki artylerji: 8-y i 18-y, następnie pułk artylerji ciężkiej i pułk artylerji najcięższej.

Teraz przyszła kolej na jazdę. Pięknie również zaprezentowały się: pułk ułanów w galopie, dalej szwadrony szwoleżerów, strzelców konnych, potem jeszcze ułanów dwa pułki: 7-y i 11, wreszcie konna artylerja, a za nią samochody pancerne, a zaś w górze cały rój skrzydlatych samolotów wojskowych.

Ta armja polska zaprezentowała się widzom bardzo wspaniale. Wszyscy patrzący byli zachwyceni postawą, dzielnością i wyglądem iście rycerskim naszego wojska. Nawet dało się zauważyć, że i starszyzna zagraniczna, która stale przy naszym rządzie przebywa, jako posłowie mocarstw obcych, a obecna na tej paradzie rozmyślnie dla przypatrzenia się wojsku polskiemu, jak ono się prezentuje, — była w zupełności zadowolona z postawy i wyćwiczenia wojska polskiego i nie skąpiła mu pochwał swoich.

Pan Prezydent i starszyzna polska podziękowali za piękną paradę jenerałowi Konarzewskiemu, a publiczność serdecznemi okrzykami i klaskaniem wielekrotnie wyrażała wojsku i jego starszyznie swoje uznanie, zachwyt i ukontentowanie.

Zaiste, radość przepełnia serce polskie, kiedy widzi swe wojsko w stanie doskonałym, bo przecież to wojsko jest chlubą narodu i fundamentem niepodległości ojczyzny naszej.

Serdeczna cześć należy się armji naszej!

Ona powinna być oczkiem w głowie każdego polaka!

Później pan minister do spraw wojskowych, jenerał Sikorski, w osobnem orędziu do wojska ogłosił takie słowa swoje, które tu, jako miły i ważny dokument powtarzamy. Niech je pozna cały naród.

„Żołnierze! — Tak zaczyna minister Sikorski — Uroczystość wojskowa w dniu święta narodowego wykazała zarówno w stolicy, jak innych garnizonach należytą postawę i sprawność wojska, porządny i dbały wygląd zewnętrzny, nienaganne wyszkolenie. Dowiodła ona (uroczystość), że praca planowa, konsekwentna, niezmordowana i ofiarna, prowadzona w wojsku naszem, daje pełne owoce dzięki ochocie dobrej woli, duchowi rycerskiemu żołnierzy, a rekruta w kilka miesięcy robi żołnierzem, jakim Polska może pochwalić się przed światem.

„Dumny jestem, że mogę Wam podać do wiadomości żywe zadowolenie i uznanie naszego najwyższego zwierzchnika, Prezydenta Rzeczypospolitej, któremu dał wyraz, odbywając przegląd wojsk na polu Mokotowskiem w Warszawie, oraz liczne pochwały, jakie słyszałem od przedstawicieli innych narodów, od przedstawicieli naszego rządu, sejmu i społeczeństwa.

„Za godne zaprezentowanie naszego wojska w dniu 3 maja wyrażam dowódcom wszelkich szczebli, oficerom i szeregowym pochwałę w imieniu służby.

„Wiem, że nie dla pochwał i nagród pracuje wojsko. W ciężkich nieraz warunkach łamie ono trudności twardą wolą, umocnioną przez patrjotyzm i poczucie honoru. Wiem, że nie pracujecie dla pokazu, że strzępy czasu tylko poświęcacie wyszkoleniu formalnemu, że poza osiągniętą i okazaną sprawnością formalną kryją się wyższe jeszcze wartości (zalety) bojowe.

„To też w chwili, kiedy oczy polaków, świadomych powagi położenia Rzeczypospolitej, zwracają się ku wojsku, **dziękuję Wam za pokazanie narodowi, że wojsko jest, że czuwa, że pracuje, że nie zawiedzie ufności, że potrafi w potrzebie osłonić ojczyznę!**

Minister spraw wojskowych
**Sikorski** — jenerał dywizji

---

Warszawa, jako stolica dała całej Polsce piękny przykład, jak należy obchodzić podwójne święto polskie: religijno-narodowe.

Zaraz po południu w Warszawie tu i owdzie wygłoszono publiczne mowy wobec bardzo wielu słuchaczy. I tak: w sali ratuszowej profesor Jan Kochanowski mówił o związku zachodzącym pomiędzy świętem Królowej Korony Polskiej a obchodem kon-

stytucji 3 maja, wykazując w zarysie historycznym trwającą od wieków w narodzie polskim cześć dla Matki Boskiej, przejawiającą się stale we wszystkich momentach dziejów naszych. Pięknie też mówił ksiądz poseł Nowakowski o znaczeniu święta Królowej Korony Polskiej, jako Patronki narodu w Rzeczypospolitej.

Również stronnictwo chrześcijańskiej demokracji i stowarzyszenie robotników chrześcijańskich wspólnie urządziły w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa szereg przemówień pożytecznych. Tadeusz Błażejewicz, poseł, w mowie swojej zaznaczył, że jakkolwiek reformy konstytucji 3-go maja 1791 r. nie udało się wprowadzić w życie, to jednak rozbudziła ona (kostytucja) siły moralne i duchowe w narodzie, co ułatwiło mu przetrwanie ciężkich chwil porozbiorowych. Mówca zaznaczył również, że konstytucja 3-go maja przeprowadziła znaczne reformy społeczne i dlatego dzień ten obchodzimy jako święto pracy robotnika i pracownika polskiego.

Następny mówca, doktór Józef Zawadzki, wykazywał znaczenie konstytucji dla rozwoju mieszczaństwa. A ksiądz senator Albrecht zaznaczył wdzięczność, którą winien mieć naród polski dla Stolicy Apostolskiej za ustanowienie święta Królowej Korony Polskiej, Patronki całego kraju.

Przemówienia te były przeplatane deklamacjami, śpiewem i muzyką orkiestry salezjańskiej pod kierunkiem księdza Hlondy.

---

Postarano się też dnia tego, tak uroczystego, o dostarczenie miłych i szlachetnych rozrywek nawet najuboższym mieszkańcom stolicy, więc wszystkie teatry, sale koncertowe i kinematografy w całej Warszawie dawały widowiska i koncerty bezpłatne. Rozumie się, na kilka dni przedtem szkoły, urzędy, zakłady handlowe i przemysłowe otrzymały bilety bezpłatne i one rozdały u siebie w stosownej ilości młodzieży i pracownikom, którzy już posiadając bilety, wchodzili bez tłoczenia się do teatrów i sal koncertowych. Nawet w większych salach szkolnych urządzono deklamacje, śpiewy, muzykę i przedstawienia teatralne. Słowem, polska ludność warszawska dnia 3 maja weseliła się szczerze i pięknie, a powinna była się weselić, bo przecież obchodziła święto swojej Ojczyzny wolnej, mocnej i skrzętnie starającej się udoskonalić u siebie wszelkie gospodarstwa tak, iżby stąd narodowi przybywało ciągle dostatku, pomyślności i bezpieczeństwa.

---

Ależ niedość modlić się, uczyć, patrzeć i weselić w święto religijno-narodowe, bo jeszcze należy spełnić uczynek dobry dla całego narodu. Jakiż uczynek dobry najwłaściwiej w dniu takim każdy rodak powinienby spełnić? — Oto godziło się w tym dniu przyczynić się ofiarkami, choćby najskromniejszemi do zasilenia funduszu na rozpowszechnianie oświaty w narodzie całym. U nas w Polsce, oświatę szerzy pracowicie znana wszystkim oświatowa organizacja społeczna pod nazwą: „Polska Macierz Szkolna", która jednak nie może zbyt wiele robić tylko z powodu szczupłych funduszów swoich. Powinienby naród częściej przypominać sobie o swej „Macierzy Szkolnej" — i zatem częściej wspomagać ją swemi ofiarkami. I właśnie wielu rodakom przyszła myśl szczęśliwa: w dniu 3 maja w całym kraju, a więc i na ulicach stolicy, urządzić powszechną zbiórkę, jako **„dar narodowy"** na potrzeby „Polskiej Macierzy Szkolnej".

Ludność warszawska bardzo lubi „Macierz Szkolną", chętnie jej swój grosik ofiarny niesie. W dniu 3 maja na ulicach Warszawy aż 267 puszek obnoszono, w które swoje ofiarki składała publiczność, wierna swemu hasłu: „Złóż grosz na Macierz Szkolną".

„Macierz" nietylko puszki nadstawiała, bo jeszcze urządziła w sporym ogrodzie „Bagateli" zabawę dla dzieci, z której czysty dochód zasilił jej fundusze.

Inne znowu „Towarzystwo Rozrywek Godziwych" zorganizowało w tym dniu 3 maja, po południu wielką zabawę dla dzieci. Niestety, duża część programu nie mogła być wykonana z powodu deszczu. Ale gdy deszcz przestał padać, przynajmniej niektóre zabawy udały się; między innemi blizko 500 dzieci umieszczono na dwunastu samochodach i obwożono niektóremi ulicami, gdzie publiczność radośnie witała je, obdarzając kwiatami i cukierkami.

A w szkole na Stawkach po zabawie dziecięcej rozpoczął się o godzinie 6-ej koncert, składający się ze śpiewów i muzyki. Tam dziatwa rozbawiona i wdzięczna wykrzyknęła: „Niech żyje 3-ci Maj"! I tam też udało się Towarzystwu Rozrywek Godziwych nawiązać stałe porozumienie i niejako zbratanie się z nauczycielami szkół powszechnych w Warszawie gwoli „szerzeniu wśród ludu godziwych rozrywek i ćwiczeń fizycznych".

---

I mieszczaństwo warszawskie za przykładem Krakowa na ten dzień 3-ci maja wprowadziło po raz pierwszy u siebie na ulicach Warszawy zabawę pod nazwą „Lajkonik Zwierzyniecki". Przy dźwiękach tatarskiej kapeli, w asystencji świetnego orszaku, skocznie i zabawnie przebiegał niektóremi ulicami „konik", otoczony mnóstwem rozciekawionych osób, zwłaszcza młodzieży. Zabawa ta udała się i zapewne zachęci miejscowych organizatorów do urządzenia rokrocznie podobnej zabawy, tylko, być może, cokolwiek wyraźniej przystosowanej do charakteru święta narodowego. Bo przecież tatarszczyzna nic wspólnego nie ma z dniem 3 maja 1791 roku. Pożądanem byłoby przypominać w tym dniu ludności polskiej podstępność prusaków i przebiegłość, oraz natarczywość moskali, tak po szelmosku i spiesznie działających przy obaleniu Konstytucji i ćwiartowaniu Polski!...

---

Wreszcie wieczorem Pan Prezydent urządził w Zamku zabawę dla starszyzny krajowej i zagranicznej. W pięknych salach zamkowych zebrało się mnóstwo osób, zajmujących najwyższe stanowiska w rządzie, urzędach, wojsku i społeczeństwie. Gospodarzem zabawy był Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

On zawsze z narodem. Wspólnie modlił się, wspólnie nagradzał medalami zasłużonych, wspólnie radował się widokiem dzielnej armji polskiej, wreszcie wspólnie weselił się w dniu tak uroczystym dla Polski niepodległej i niezwyciężonej! On też bardzo dopomógł do zbiórki daru narodowego dla Polskiej Macierzy Szkolnej, bo napisał odezwę, którą wszędzie rozpowszechniono, a która zachęca rodaków do ofiarowania swego grosika na szerzenie oświaty w całej Polsce. Odezwa Pana Prezydenta brzmi tak:

„Nie żałujcie ofiar na cele oświatowe!

„W dniu święta narodowego słyszycie okrzyki: Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska! W wyrazach tych streszczają się życzenia obywateli, ażeby Polska nietylko żyła, ale i promieniowała nazewnątrz potęgą swojego zdrowia i kultury. Potęgę taką wytwarza polepszenie umysłów i serc obywateli przez dobre kształcenie ich w szkole i po za szkołą. Jest to obowiązkiem nietylko rządu i samorządów. Do pomocy stanąć powinny towarzystwa oświatowe, opierające swoję działalność na dobrowolnej ofiarności. Na wszystkich polach trzeba rozwijać potęgę Polski pod przewodem światła nauczycieli. Nie żałujcie więc ofiar na cele oświatowe. Stokrotnie zwrócą się one w nowych zastępach oświeconych mężów i niewiast — dobrych obywateli.

S. Wojciechowski".

Z powodu święta narodowego 3 maja, jak zwyczaj każe, niektóre rządy mocarstw, zaprzyjaźnionych z Polską, nadesłały swe życzenia na ręce Pana Prezydenta, jako Głowy Państwa Polskiego.

Przytaczamy tu bodaj dwa życzenia: Francji i Belgji.

Otóż pan prezydent Francji, Dumergue, przysłał takie życzenia:

„Jest mi szczególnie miło wyrazić Waszej Dostojności z powodu święta narodowego moje najżywsze powinszowanie, które łącznie z gorącemi życzeniami przesyłam w imieniu Francji dla Polski, przyjaciółki i aljantki".

„A król belgijski, Albert, taką nadesłał Panu Prezydentowi depeszę 3 maja:

„Pragnę ponowić dzisiaj Waszej Dostojności w imieniu mojem i Belgji życzenia serdeczne i gorące pomyślności dla Polski".

---

Nietylko w Częstochowie i Warszawie, lecz wszędzie, w całej Polsce, jak długa i szeroka, w każdem mieście i miasteczku, w każdej wsi kościelnej, słowem, wszędzie tam, gdzie są polacy, którzy myślą i czują po polsku, więc w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Lublinie, Kielcach, Łodzi, Radomiu, Płocku, Bełżycach, Piaskach, Puławach Bychawie Frampolu, Krzczonowie i tak dalej,... i tak dalej,. wszędzie dnia 3 maja obchodzone były uroczystośc religijno-narodowe w sposób jednakowy: zbiorowo wspaniale, serdecznie i radośnie! Wszędzie były nabożeństwa, kazania, przystosowane do uroczystości, pochody, mowy narodowe, śpiewy, deklamacje, muzyka. Wszędzie nastrój poważny, ożywiony radością z odzyskanej niepodległości, przejęty nadzieją pokrzepiającą i gotowością do dalszych prac owocnych i ofiar braterskich.

Wszędzie polacy skupiali się dokoła chorągwi Najświętszej Matki, Królowej Korony Polskiej i dokoła sztandaru Orła Białego.

Te dwa widome znaki uzewnętrzniały gorującą w sercach polskich miłość ku Marji i ku wspólnej ojczyznie — Polsce!

Ma przeto dla nas, polaków, uroczystość 3 maja przeogromne znaczenie narodowe.

Jest ten dzień świętem, bo tego koniecznie wymaga dusza polska dla dobra własnego. Musimy w tym dniu niejako najuroczyściej oświadczyć sobie, że przecież jesteśmy jednen naród, **nierozerwalnie** związany wielkim interesem bytu wspólnego. Jedna ziemia nas utula, jako wspólne gniazdo nasze, jedna siła nas wszystkich osłania przed wrogiem, jedna władza ustawicznie czuwa nad naszem bezpieczeństwem i zawiaduje powszechnym u nas porządkiem prawnym. Jedne wspólne dzieje w bardzo długim, wielowiekowym ciągu jednakowo przejmują nas bądź dumą i radością, bądź bólem, wstydem i oburzeniem!...

Wreszcie jedna mowa ojczysta wynika w sposób samorzutny z duszy naszej na znak, że sam Stwórca zjednoczył nas w jedną olbrzymią rodzinę, jako naród jeden. Już ta nasza mowa polska, droga sercom polskim, przekonywa najlepiej, jak Bóg chce, abyśmy wszycy polacy wzajemnie się miłowali, jako bracia, więc jako dzieci, pochodzące od jednej matki — ojczyzny!

Jedną do rozumów naszych bierzemy naukę i przestrogi, jedne też układamy plany rozbudowy naszego Państwa Polskiego i polepszenia losu Narodu całego. Jeden też do serc naszych bierzemy zapał, ochotę do pracy i ofiarności gwoli pomnożenia powszechnej pomyślności narodu, oraz przysporzenia chwały Ojczyźnie, tak długo poniżanej i lekceważonej przez wrogów niegodziwych!

Trzebaż nam bardzo pilnie pracować, bo, jak mówi Siemieński

Szczęście wspólne — nie motylek,
Wieki rośnie, aby trwać.

I Syrokomla pięknie zachęca nas temi słowami

Co sieją ze łzami, żąć będą w radości,
Wszak uczył Pan ziemi i nieba.
Więc siejmy, oh! siejmy, w jesieni i z wiosną
W czyn wielki wcielajmy myśl szczytną
Aż kwiaty nadziei na niwie rozkwitną
I w owoc szczęścia wyrosną!..

A zaś Wolski tak wręcz nakazuje, całkiem słusznie:

Do wielkiego dzieła
Trzeba lat!
A choć trzebaby stuleci,
Pracuj, by twych synów dzieci
Mogły zebrać plon!

Po staremu więc a szczerze
Myśl i czuj!
Gdy kto bluźni twojej wierze
W twarz mu pluj!
Z rozwiniętym idź sztandarem,
Szczęście bowiem nie jest darem,
**Lecz nagrodą prac!..**

Ale żeby wspólna praca niechybnie zdążała do coraz pewniejszego i większego powodzenia, musi wynikać z powszechnej zgody bratniej.

Do takiej zgody nawołuje i gorąco jej życzy swoim rodakom serdeczny pieśniarz, Syrokomla:

..., Gdyby nie ta wiara wspólnego kościoła,
Co rozproszone dzieci do swych stołów woła,
Gdyby nie silna wiara, która nas kojarzy,
Jużby bracia braterskich zapomnieli twarzy...
Lecz nadto silny węzeł dolę naszą splata,
Po miłości ku matce rozpozna brat brata;
A jeśli jaki rodak zawita z daleka,
Pewny go chleb gościnny, pewny uścisk czeka,
Nie rozerwą uścisku choć największe siły,
Nie rozerwą tych granic, co wieki spoiły!
Jeden cel przed nami stoi...
Wspólność mamy w sercu,
Niech myśl myśli, ramieniu ramię da poparcie,
Odnówmy zapomniane braterskie przymierze
I odżyjmy w nadziei, miłości i wierze!...

Niech wszystkie dusze polskie ożywia jeden zapał ofiarny, jedna nadzieja i wiara, a wnet staniemy się zamożni, zdrowi moralnie, a politycznie silni i niezwyciężeni!

Oby w woli naszej nazawsze utrwaliły się słowa pieśniarza, Rodoć-Biernackiego:

Jeszcze krew się tam nie ścięła,
Gdzie uderza serce!
Jeden uścisk bratniej zgody
Rany nam zagoi.
Nasza wolność, duma, męstwo,
Jak opoka stoi,
Zagrzmi i dla nas zwycięstwo,
Bracia! bracia moi!
Hej! dłoń w dłoni! hej dokoła,
W górę serca, w górę czoła!

# To go raduje i krzepi.

Na wojnie

Wszystkom stracił—ni krzty z mego mienia!
I to szczęście, za którem tak gonią,
I tę radość, co się w łzy przemienia,
Wszystkom stracił... Z próżną idę dłonią
Tą ścieżyną z cierni i kamienia,
Kędy wspomnień smętne dzwony dzwonią,
Kędy wspomnień roje tańce wiodą
Nad mą duszą zapłakaną młodą.
Wszystkom stracił, — ostał chwast kąkoli
I zbłąkane wspomnienia z tych wiosen,
Kiedy śniłem o szczęściu i doli
Przy płakaniu brzóz, przy szumie sosen....
Wszystko przeszło pomału, powoli,
Jak matczyna niegdyś pieśń u kroser
Przy okienku, gdzie ptaszę świergoli
O tem, co już nie wróci — a boli..
Lecz jednegom nie zgubił w podróży,
Na wędrówce wśród obcych mi ludzi,
Gdzie pić tylko tę gorycz mam z kruży,
O, tę gorycz, co ziębi i chłodzi!..
Ja mam wiarę — tu w piersi mej płuży,
Co nie mami i nigdy nie łudzi,
Ja mam wiarę — a słodką, jak granic,
Wiarę silną w mej Polski — Polski zmartwychwstanie—
wieczne Jej trwanie!.

**Władysław Szymański.**

---

Tylko odważnych miłuje fortuna. Niewieściem wahaniem nie zwycięża się nigdy nikogo i nie stwarza się dzieł wielkich.

T. Jeske-Choiński.

---

# NOWINY Z POLSKI.

W całej Polsce znajduje się 3.260.046 gospodarstw rolnych. W tem najwięcej gospodarstw o powierzchni nie przewyższające 8 morgów. Takich gospodarstw narachowano roku zeszłego w Polsce 2.110,187. Ogromnie dużo karłowatych gospodarstw znajduje się w Małopolsce, w Poznańskiem i na Pomorzu.

Do 4 morgów powierzchni gospodarstw na Pomorzu znajdowało się 89.736, — w województwie poznańskiem 173.442, — w województwie lwowskiem 394.347, — w województwie tarnopolskiem 251.476, —w województwie stanisławowskiem 236.961.

Najmniej takich drobnych, czteromorgowych gospodarstw, liczy byłe Królestwo Polskie (dawniej pod zaborem rosyjskim), bo tylko 270.553.

— Według rachunków urzędowych, świeżo ogłoszonych, obecnie w Polsce ilość krów i świń jest większa, niż przed wojną. Tylko owiec jest mniej.

| | | |
|---|---|---|
| Bydła rogatego było przed wojną sztuk | 8389.362 | a teraz 8.684.000 |
| Świń „ „ | 5.237.632 | „ 5.687.000 |
| Owiec „ „ | 4.283.158 | „ 2.396.000. |

Obecnie kur w całej Polsce jest około 30 miljonów.

Ta ostatnia liczba nasuwa pytanie: ile jaj kurzych nabywają żydzi? Handel jajami niemal całkowicie znajduje się w ich rękach! To smutne! Gospodarstwa polskie pracują na dochody żydowskie

—W tak dużem mieście, jak Warszawa, przytrafiają się najrozmaitsze wydarzenia: smutne i—wesołe Ale i w tych, wesołych, doprawdy, więcej bywa po-

wodów do smutku, niż do wesołości. Oto bardzo niedawno młodzieniec dwudziestoletni, niejaki Franciszek Dębski, podchmielony, w biały dzień poszedł do Saskiego ogrodu, który jest w środku Warszawy i przeznaczony do spaceru dla wszystkich mieszkańców, — i tam, zbliżywszy się do sadzawki, wobec bardzo wielu osób spacerujących, zdjął surdut i kamizelkę — i wszedł do wody. Narazie zdawało się patrzącym, że pijany młodzik chce się utopić. Ale niebawem zauważono, że Dębski z wesołą miną, brnąc w wodzie, przeszedł (bo sadzawka płytka) na brzeg drugi i tam zaczął otrząsać z siebie wodę. Jednak niezdążył się sam ubrać, bo nadeszła policja i Dębskiego odstawiła do aresztu. Tam zapytany, po co wszedł do wody, odpowiedział po błazeńsku, że chciał przekonać się, czy go w łydkę ugryzą karpie. Ta przygoda dla Dębskiego skończyła się niewesoło, bo zamiast karpi w wodzie, znalazł w policji —kozę! Ale i baczny czytelnik, zapewne, w tej niby zabawnej przygodzie, znajdzie smutną przestrogę: Oto nieprawda co głoszą obrońcy trunków, że one jakoby pomagają do poprawienia humoru, że stają się pocieszeniem, radością w szarem życiu ubogiego człeka! A no, macie dowód, jaką i komu gotują zabawę trunki. Gawiedź, stojąc nad brzegiem stawu, istotnie, ubawiła się warjackiem brodzeniem w wodzie pijanego młodzika. Ale czy on tym własnym postępkiem dzikim sprawił sobie radość szlachetną, — a u ogółu zjednał sobie dobrą sławę?— o tem chyba każdy, przy zdrowych zmysłach będąc, jedno ma zdanie: że pijatyka zawsze tylko do hańby prowadzi.

— W Warszawie przy ulicy Wroniej (№ 31) od pewnego czasu mieszka Władysław Kinferd, robotnik, stale pracujący w szpitalu św. Łazarza. Ma on już drugą żonę, która, jako macocha, bardzo uprzedziła się do Leonarda, chłopca, z pierwszego małżeństwa. Ten pasierb ma dopiero lat dziesięć i uczęszcza do szkoły powszechnej. Macocha ustawicznie przeciw niemu kusiła ojca, a ojciec, zły i nierozumny człowiek, ulegając niegodziwej kobiecie, często i okrutnie bił, katował nieszczęśliwe dziecko. Niedawno, bo w tych dniach, ojciec tak się rozezłości, że nietylko strasznie zbił chłopca, ale nawet w przystępie pasji, porwał go za kołnierz i wyrzucił oknem z czwartego piętra na bruk. Ludzie zbiegli się, podnieśli z bruku nieszczęśliwe dziecko, już nieprzytomne. Nadjechała karetka pogotowia i odwiozła Leonarda do szpitala. A tymczasem ojciec po nagłym gniewie oprzytomniawszy, jął policję oszukiwać, że chłopiec niesforny wyglądał oknem, zanadto się przechylił i spadł z własnej winy, jako zbyt nieostrożny i nieposłuszny. Policja narazie uwierzyła, bo czy podobna byłoby przypuszczać, że rodzony ojciec swoje dziecko własnemi rękami zabije?

I mniemał wyrodny ojciec, że uda mu się swój czyn zbrodniczy utaić. Inaczej Bóg zrządził! Oto ten chłopczyna, z czwartego piętra zrzucony, po krótkim czasie w szpitalu odzyskał przytomność—i tam zeznał wszystko, co się z nim działo w mieszkaniu ojca. Prawda na jaw wyszła—i występny ojciec już jest w więzieniu, a niebawem stanie przed sądem i odbierze karę zasłużoną.

Oto jakich zbrodni dopuszcza się ojciec o złem sercu i — zła kobieta, jako macocha!

— A teraz zobaczmy, co czyni człowiek obcy, mający serce poczciwe: Dnia 9 maja o godzinie 4-ej po południu, w Warszawie, Stefan Kocoń, syn ukogich rodziców, szesnaście lat mający, uczeń szkoły rzemieślniczej imienia Konarskiego, poszedł wykąpać sią w Wiśle, od strony Pelcowizny. Chłopiec natrafił na głębię i znikł z powierzchni wody. Na ratunek pospieszył ślusarz, Henryk Kozłowski, który wskoczył do Wisły i po upływie 20 minut wydobył Koconia, lecz mimo usilnych zabiegów lekarza Pogotowia, chłopca nie zdołano uratować.

Dzielny Kozłowski rzucił się na ratnnek zgoła obcego mu chłopca. Szukał go w wodzie 20 minut, bo prędki nurt wody daleko przeniósł topielca. Zadługo słaby i lekkomyślny chłopiec przebywał w wodzie, opił się jej tak, że życie postradał. Ale bądź co bądź Kozłowski uczynił wszystko, co mógł był dobry chrześcijanin uczynić. Spełnił bohaterską przysługę. Wysilił się na najstaranniejszy ratunek. Nawet rodzony brat nic więcej ponadto nie mógłby zrobić.

Obcy w nieszczęściu ratował. Zresztą niezupełnie obcy, bo kto ma serce ożywione miłością chrześcijańską, uważa ludzi wszystkich za bliźnich swoich—i gdy nawiedzi ich jaka niedola, spieszy im z życzliwą i usilną pomocą.

A kto ma w sobie kamienne serce, kto wyzuł się z uczuć szlachetnych,— ten nawet dla najbliższych swoich domowników stanie się okrutnym katem— mordercą!

## WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

— Dnia 8 maja Ojciec Święty, Pius XI, ostatecznie własnoręcznym podpisem zatwierdził konkordat, czyli umowę w sprawach kościelnych, niedawno zawartą z rządem polskim.

— Hindenburg, prezydent państwa Niemieckiego, dnia 12 maja bardzo uroczyście przyjechał do Berlina. Setki tysięcy publiczności niemieckiej wyległy na ulice stolicy Niemiec. Wszyscy bardzo głośno objawiali swoję radość, witali hucznie i śpiewali hymn narodowy niemiecki.

Następnie Hindenburg złożył przysięgę, że będzie wiernie troszczył się o dobro państwa podług uchwalonej konstytucji.

— Do Genewy zjechali się przedstawiciele 45-ciu państw na narady w sprawie handlu bronią, strzeliwem i wszelkim sprzętem wojennym, oraz przygotować nową umowę międzypaństwową w tej sprawie.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 24 maja 1925 r. № 21.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.




# ANIOŁ PAŃSKI.

Och! jasno, zielono, — a wieczór tak cichy,
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące.

Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chróściele na łące.

Tam trzody ku wodzie hasają doliną
I szemrze mącona rzeczułka.

I wstają mgły białe nad ciemną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościoła:
Anioł Pański...

O! dzwonek—skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa.

A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny,
To wszystko się modli i śpiewa.

I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł Pański!...

**Kornel Ujejski.**

xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

# Kultura chrześcijańska.

Zpewnością nigdy nie brakło na świecie narzekaczy. Bo chyba w naturze ludzkiej tkwi większa skłonność do ganienia, aniżeli do chwalenia.

A w dzisiejszych czasach ta skłonność bodaj dosięgła szczytu w swej gadatliwości cierpkiej, nawet ponurej.

Z wielu twarzy nie schodzi cień złośliwości, gniewu, zawiści, pogardy...

Bardzo wiele ust nigdy nie przestaje użalać się, urągać, potępiać, przyganiać...

— Wszędzie źle, — woła wielki tłum skwaszony, obrażony, rozgniewany... — wszystko licha warte, wszyscy najgorsi!..

— Już gorzej być nie może, niż jest obecnie!...

Umysł ludzki poddaje się takiej opinji powszechnej i — napełnia się smutkiem, przerażeniem. Jeszcze chwila, a już gotowy mniemać, że trzeba ginąć bez ratunku, bo złe wzięło górę i musi zdusić wszelkie życie.

Czy tak?

Nie.

Gadatliwość złośliwa, przyganiająca, nierzadko pochodzi od osób niepoczciwych, pragnących rozniecić w swojej gromadzie niezadowolenie, nawet niechęć do sprawy godziwej i niezbędnej...

Kto postronny, a sprawieliwy jest świadkiem takiej przygany i dostrzega, iż tłum łatwo jej się poddaje,—musi z przykrością wyznać, że, istotnie, bardzo dużo ludzi ma duszę podobną do placu targowego, na którym każdy mocniejszy i przebieglejszy może swój kramik ustawić i zwabić do siebie mnóstwo gapiów, gotowych kupić rzeczy, nie mające żadnej wartości.

Łatwo stwierdzić, że nie brak ludzi na wskroś złych, spodlałych,—ale pono najwięcej jest takich, którzy, doprawdy, są źli tylko dlatego, że nikt im nie pomaga stale i umiejętnie doskonalić ich umysłu i serca, a natomiast niemal ustawicznie podlegają wpływom ludzi przewrotnych, rozniecających najgorsze uczucia i poddających niedorzeczne myśli.

Ach, tak! Bardzo dużo ludzi nic nie wie o kulturze duchowej.

Wprawdzie niekiedy ci i owi lubią posługiwać się ładnym wyrazem: kultura, kiedy mówią, dajmy na to, o dobrym rolniku, który w swojem gospodarstwie zaprowadził wysoką kulturę,—albo kiedy kogoś chwalą, przyznając mu, że jest „człowiekiem bardzo kulturalnym..." Lecz dla wielu ten wyraz kultura jest jeszcze zgoła niejasny.

Kultura,—wyraz łaciński, przyswojony mowie polskiej, oznacza uprawianie, ulepszanie czegoś, lub kogoś... Kultura tedy bywa materjalna i duchowa. Bo można ulepszać wszelkie roboty, jak gospodarstwo rolne, rzemiosło, handel,—i również można doskonalić ducha ludzkiego, więc umysł, serce, uczucia, charakter, obyczaje.

Nawet właściwie rzec trzeba, że tylko jedna jest kultura — duchowa. Bo przecież chcąc ulepszyć którąkolwiek robotę, pierwej trzeba—odpowiednio ulepszyć, czyli udoskonalić pracownika.

Im lepszy pracownik, — tem lepsze wykona roboty—i im lepszy człowiek, tem lepsze ma obyczaje.

Uprawa zdolności i skłonności duchowych człowieka jest możliwa i niezbędna. Możliwa, bo patrzymy na to codziennie, jak niejeden bardzo łatwo poddaje się wpływom obcym, które nim kierują dowolnie, jak wiatr chorągiewką na dachu. I gdy te wpływy są złe, — on, ulegając im niewolniczo, sam staje się złym. A gdy dobre, — on, znowuż od nich ślepo zależny, jest chwilowo najlepszy.

To dowód, że dusza ludzka nadaje się do uprawy. Dobry czy zły człowiek, byle umiał narzucać sie, kusić, skłaniać, — już niechybnie bardzo dużo ludzi pociągnie za sobą!..

To prawda. Ale taki sposób wpływania stałby sie dla duszy ludzkiej raczej zapowiedzią kleski, aniżeli dobrodziejstwa. Bo przecież całkowicie byłaby zdana na igraszkę losów. Więc jeżeli los pomyślny umieściłby ją w gromadzie dobrej, już sama ulegając wpływom dobrym, bezwiednie stałaby sie dobrą. Ale gdyby los nieszczesny skazał ją na przebywanie wpośród złego otoczenia, już ona, idąc za jego podszeptami, byłaby niepoczciwa.

Takie przygodne wpływy losowe na duszę ludzką chyba nikogo nie mogą zadowolnić.

Zaiste, dola każdego człowieka ciągle byłaby niepewna, chwiejna, gdyby on zawszę był całkowicie zależny duchowo od swego otoczenia.

Na szczęście tak nie jest! Wprawdzie mówi stare zdanie: „z kim przestajesz, takim sie stajesz." — ale dał Bóg duszy ludzkiej olbrzymią obronę przed obcemi wpływami, bo dał gorace pragnienie samodzielności i wielkie zdolności do jej nabycia.

Kto dba o wypielęgnowanie w sobie uczciwej samodzielności duchowei, ten wprawdzie chętniej przebywa wśród ludzi dobrych, lecz rozumie, że to nie zawsze od niego zależy, bo nieraz, wbrew swoim chęciom, musi najczęściej obracać się między ludźmi nieszczególnemi.

Czy wskutek tego musi i on stać sie lichym?

Nie! Na to musu niema! Przeto człowiek, nawet otoczony ustawicznie łotrzykami, sam zdoła ocalić swoję duszę, stać sie może nawskroś najlepszym moralnie, jeżeli zdobędzie się na samodzielność duchową.

Taka samodzielność — to dobrowolny wybór ideałów moralnych, dobrowolna praca nad doskonaleniem, czyli uprawą własnych zdolności duchowych.

Człowiek nie jest maszyną, która musi bezwiednie poddać się maszyniście. I nie jest drewnem, rzuconem na rzekę, która musi ponieść go tam, dokąd sama zmuszona jest płynąć bystro.

Człowiek otrzymał z rąk swego Stwórcy nieoszacowany skarb duchowy, jedyne źródło swego dostojeństwa moralnego i zasługi:— **samodzielność...**

Wcześnie budzi się w człowieku samodzielność: nietylko rozróżnia złe od dobrego, ale sam wzmacnia w sobie dobre upodobania, obiera dla siebie ideał moralny i postanawia sam siebie stopniowo upodabniać do tego ideału.

Dzięki swej samodzielności człowiek staje się „kowalem własnego szczęścia", — „panem swego losu", — obiera sobie drogę, po której chce iść naprzód aż do urzeczywistnienia swego ideału.

Wolna wola — to jeszcze nie to samo, co samodzielność duchowa i moralna. Bo przecież i niewolnik i łatwowierny i chwiejny ulegacz różnym wpływom obcym, także mają wolną wolę.

Samodzielność duchowa nie nagle się zjawia. Dojrzewa powolnie, doskonali się i pogłębia bardzo długo mozolną pracą duchową...

Kto chce posiąść piękną samodzielność duchową, musi przedewszystkiem zdać sobie sprawę, że, jako człowiek, a więc istota rozumna, ponosi sam tylko odpowiedzialność przed Bogiem, światem i trybunałem własnego sumienia za wszelkie postępki swoje. Nigdy przeto nie może usprawiedliwić siebie wymówką, choćby najzręczniejszą, że ten lub ów go namówił, skusił, nauczył, obiecał, otumanił, podjudził...

Nie!

Masz rozum. Potrafisz odróżnić złe od dobrego.

Masz własne łaknienie prawdy i dobra.

Masz zdolność umiłowania prawdy i dobra.

Masz sumienie które ciebie pobudza ku dobremu, ostrzega przed złem i nakazuje spełniać powinności.

Masz wreszcie wolną wolę, — możesz czynić wszystko wedle własnego upodobania...

Prawda. Jesteś zaopatrzony we wszelkie zdolności, sposoby, moce do poznania, ukochania, wykonywania i wytrwałego trzymania się prawdy, oraz dobra.

Nikt, nawet najpotężniejszy mocarz, nie jest w stanie zmusić ciebie nazywać złe dobrem, a białe czarnem. A jeżeli ulegasz cudzym namowom, jeżeli lekkomyślnie, próżniaczo, chytrze, z wyrachowania, poddajesz się obcym wpływom, to wszystko świadczy o twojej winie: oto dobrowolnie zrzekasz się samodzielności, stajesz się duchowym niewolnikiem różnych przygodnych hersztów, prowodyrów, agitatorów, namawiaczy, albo łapaczy,.. stajesz się ich popychadłem, narzędziem...

Wprawdzie niejeden taki niewolnik usidłany, próbuje wmówić w siebie, że przecież uczynił wybór samodzielnie, poddając się cudzym namowom, podbechtaniom. Jednak w gruncie rzeczy, kiedykolwiek, gdy już nareszcie zacznie rozważać swoje postępki poniewczasie, (co powinien był uczynić zaraz, kiedy go dopiero namawiono...) wyznaje cierpko sam przed sobą: „dałem się złapać," — „a to mnie urządzili!.."

Bywa tak nierzadko!

Nigdy nie trudno sprawdzić, kiedy kto działa samodzilnie, albo niewolniczo.

Naprzykład, nauczyciel w szkole kazał uczniom napisać wypracowanie o maszynie parowej. Uczniowie o niej uczyli się z książek odpowiednich i z natury, bo nieraz sami przy pomocy nauczyciela oglądali ją bardzo szczegółowo. Już tedy znają, rozumieją maszynę, więc niech każdy sam z siebie napisze o niej swoje uwagi. Otóż niejeden uczeń samodzielny potrafi uczynić to na własną rękę bez zarzutu. Ale bywa między uczniami i takich niemało ospaluchów, nawet niedbaluchów, którym „nie chce się myśleć samodzielnie". Tacy idą do swoich kolegów, zaglądają do ich kajetów i stamtąd przepisują całe ustępy, a podają je nauczycielowi, jako niby własną pracę.

To są wykradacze, niewolnicy, żyjący cudzą głową i cudzą pracą. Pełno ich nie tylko na ławie szkolnej, — ale i w życiu. Toć taki niewolnik duchowy zaczyna nim być w szkole, a potem po drodze życia pchają go, lub ciągną inni... I tak mu życie schodzi w niewoli duchowej u innych. Bo albo sam nie chce myśleć, gdyż ma w sobie wielkiego lenia. Albo woli brać od innych gotowe zdania, poglądy, teorje, zasady, bo to dogadza jego interesom, chce w taki sposób najlepiej zarobić, pójść w górę, zdobyć władzę, znaczenie.

Tak czy tak, — zawsze postępuje niesamodzielnie, jest tylko niewolnikiem i niby jest mu z tem dobrze, bo albo niepotrzebuje głowy swej fatygować, —albo płacą mu niezgorzej za to, że innym ślepo ulega, że jest ich narzędziem...

Jednak, to rzecz godną uwagi, że ludzie, nawet najgorsi, nigdy nie odważą się pochwalić niewoli duchowej. Nikt nie chce przyznać się do niesamodzielności duchowej. Widocznie ona nikomu nie przynosi zaszczytu.

Rozumie się, bo Bóg dał człowiekowi rozum, serce, sumienie, wolną wolę, oraz wiele innych zalet duchowych nie na to, żeby sam niemi pomiatał, żeby z ich usług nie korzystał należycie, gwoli podniesieniu swojej wartości duchowej i moralnej—i do zdobycia zasług osobistych!

Zatem każdy człowiek obowiązany być samodzielnym duchowo, a staje się nim wówczas, kiedy zawsze idzie wiernie i szczerze za głosem swego rozumu, serca i sumienia.

Kto, nie poddając się pobocznym namowom, słucha swego rozumu, serca i sumienia, ten zpewnością stale pożąda dla siebie prawdy i dobra. A bynajmniej nie bierze je od tych lub owych ludzi, lecz z tych źródeł, gdzie tkwią one niezawodnie z woli Bożej!..

Kto stara się być samodzielnym duchowo i moralnie, ten pracą własnego rozumu sam szuka ich pilnie, a, znalazłszy, miłuje serdecznie i wykonywa je wiernie bez oglądania się na ludzkie względy i sądy.

Ale przecież nawet najsamodzielniejszy człowiek —zechciejmy raz jeszcze na tem zatrzymać uwagę swoję—nie może sam z własnego rozumu i serca wysnuć prawd i dobra, bo tam ich niema.

Musi ich szukać nie w sobie, ale gdzieindziej.

Owszem, musi szukać starannie i pilnie. Jednak niewątpliwe znalezienie ich zależy nie tylko od pilności i staranności. Bo nadto jeszcze trzeba rozum swój długo i umiejętnie doskonalić, tak, żeby wiedział, gdzie szukać dobra i prawdy—i jak je rozpoznać bez omyłki.

Otóż, chcąc samodzielnie posiąść dla siebie prawdę i dobro, trzeba przedewszystkiem udoskonalić swój rozum, serce i sumienie. Takie doskonalenie

trwa długo. A nazywamy je rozmaicie: uprawą, wychowaniem, oświatą, kulturą. Nazwy różne, lecz usiłowanie jedno: chodzi o to, żeby rozum, serce, sumienie, charakter uprawić, uzdolnić, przygotować należycie do poznania **prawdy i dobra,** do pokochania ich mocno i stale — i do przestrzegania ich niezmiennie w ciągu całego życia!

I znowuż nastręcza się słuszne zastrzeżenie: rozum rozumowi nie równy! To samo da się rzec o sercu, sumieniu i charakterze.

Wszyscy wiemy o tem, bo te różnice sami dostrzegamy ciągle dokoła siebie u ludzi bardzo wielu!

O tem, że rozumy bywają lichsze i lepsze,—chyba wie każdy, bo nawet niejeden sam przyznaje sie, że dawniej był dość głupi, dopiero zczasem zmądrzał, a dziś zna jeszcze ogromnie dużo ludzi ciemnych, zamało rozumnych... Wyznanie bolesne, ale prawdziwe...

Czy więc słaby rozum potrafi sam dla siebie nagromadzić zapas prawd, niezbędnych do życia codziennego?

Nie. Musi przeto szukać pomocy u innych. A u kogo? U tych, którzy niezaprzeczenie zasługują na zaufanie. Ale czy trafi na takich ten, kto ma rozum jeszcze niedostatecznie rozwinięty?

Trafi, byleby łaknął dla siebie dobra i prawdy...

Tu zauważmy, że zwykle żaden człowiek nie doskonali tylko swego rozumu, a dopiero potem kolejno pielęgnuje swoje serce, sumienie, charakter.

Nie. Wprawdzie najczęściej zdarza się słyszeć jedynie pochwały dla rozumu i przekonywanie, że właśnie najpilniej dbać należy o udoskonalenie głowy, bo „głowa tęga, to grunt!" — a serce, sumienie i charakter — „to wszystko w życiu, w robieniu interesów korzystnych zazwyczaj nie pomaga, ale zawadza"....

Takiemi uwagami szyderczemi, wygłaszanemi w przystępie złego humoru, rozdrażnienia, przejmować się nie warto.

Życie ludzkie właśnie, przeciwnie, wymaga od każdego człowieka starannej kultury duchowej, to jest: nietylko zdolnej i otwartej głowy, ale również i serca uszlachetnionego i sumienia delikatnego i charakteru dzielnego.

Człowiek — to stworzenie społeczne. Musi żyć w gromadzie i dostosować się do jej wymagań. A przecież społeczeństwo ma swoje ideały moralne, ma zasady uświęcone, ma teorje i opinje, powszechnie szanowane i uznane za dobre.

Jednak społeczeństwo ma również swoję naukę moralną i obyczaje.

Owszem, społeczeństwo uznaje naukę, wiedzę, oświatę, bo one przecież doskonalą pracę ekonomiczną, ratują zdrowie, dostarczają mnóstwo wygód niezbednych, rozrywek miłych i krzepiących, a przytem doskonale pomagają nam zrozumieć świat cały, urządzenie jego wspaniałe, iako dzieło Stwórcy,—lecz nadto jest mocno przeświadczone społeczeństwo o niezbędności u siebie dobrych obyczajów moralnych, zgodnych z powszechnemi prawami moralnemi.

Jeżeli społeczeństwo chce mieć powodzenie w pracy, dostatek, bezpieczeństwo, zadowolenie szlachetne, miłą pogodę i zapewnioną przyszłość pomyślną, — musi te wszystkie dobra swoje oprzeć na bardzo trwałym fundamencie!

A takim fundamentem jest nie jedynie głowa mocna i uczona, — nie jedynie serce złote, — nie jedynie sumienie czułe, — ale nadewszystko.

**piękne zalety moralne, tak utrwalone w duszy człowieka, że tam stały się trwałym charakterem, nieugiętym i niezwyciężonym, jak skała. której nie obalą huragany największe!...**

Taki charakter powinien mieć każdy człowiek.

Dochodzi się do niego stopniowo, nie jedynie własną li pracą, ale — zawsze przy pomocy swego społeczeństwa. To znaczy, że poszczególny młodzieniec już bardzo wcześnie doznaje w tym kierunku zachęty i poparcia od swego otoczenia bliższego i dalszego.

Taką pomoc różnorodną nazywamy wychowaniem i samowychowaniem kulturalnem.

Każdemu musi pomagać rodzina, szkoła, koledzy, przyjaciele, społeczeństwo całe!

Zaprawdę, szczęśliwy ten, kto wcześnie zrozumiał znaczenie takiej pomocy i skwapliwie z niej korzysta dla siebie ustawicznie, w ciagu całego życia!

Bo przecież całe życie, aż do grobowej deski, nie tylko uczyć się,—ale i wychowywać siebie musimy, a przedewszystkiem musimy mieć czujną straż nad zaletami swego charakteru!

Nieraz daje się słyszeć taką pochwałe

Nasze społeczeństwo jest bardzo kulturalne, bo ma u siebie tyle bogactw kulturalnych! Toć kościoły, szkoły, bibljoteki, muzea, nauka, oświata, uczeni, artyści, piśmiennictwo — to wszystko wszakże stanowi wielkie bogactwo kulturalne! A do kogoż ono należy? — Do społeczeństwa. Zatem to społeczeństwo jest bardzo kulturalne...

A jednak, niestety, niepodobna przyjąć takiego wniosku... Bo, owszem, to wszystko razem, cośmy wyżej wyszczególnili, tworzy, istotnie, bogactwo kulturalne, ale ono samo jeszcze nie daje kultury duchowej swemu właścicielowi. Ktoś przecież może mieć u siebie nawet olbrzymią bibljoteke, a być skończonym głupcem... Tak ktoś może posiadać wielki stos pieniędzy i—mimo to—być wielkim biedakiem. Alboż nie zdarzają się tacy skąpcy, jako nędzni stróże własnego skarbu?

Jak pieniądze, tak również i bogactwa kulturalne są jedynie narzędziami kultury, ale same one jeszcze nie dają kultury.

Dopiero człowiek sam dla siebie przy ich pomocy bierze kulture, to jest: udoskonala swój umysł, serce, sumienie i niezbędne zalety charakteru.

Zatem społeczeństwo kulturalne, razem ze swemi bogactwami kulturalnemi, a więc z kościołami, szkołami, muzeami, bibljotekami, sztukami pięknemi, piśmiennictwem, uczonemi, artystami — może być zgoła bezsilne wobec poszczególnego człowieka, który **nie chce** dla siebie korzystać z pomocy tych skarbów kulturalnych!

I, doprawdy, tak właśnie dzieje się nierzadko! Bardzo dużo ludzi nie chce brać dla siebie wiele

z tych skarbów kulturalnych. Owszem, biorą, niechętnie, ostrożnie, ospale, coś-nie coś dla siebie, ale w bardzo małej ilości, więc na oko, powierzchownie niby stają się kulturalni, ogładzeni, światli, dzielni. Jednak tylko powierzchownie! Można ich porównać z filarem sosnowym, pomalowanym na marmur, lub oblepionym papierem złoconym! Farba i papier leciuchno osłaniają pospolitą sosnę! Farba nie uczyni sosny marmurem, — a papierek złocony nie zamieni jej w złoto.

Tak bogaty ojciec nie uczyni synalka swego kulturalnym, chociaż nie pożałuje dla niego grosza na najlepszych nauczycieli, na mnóstwo książek, atlasów wszelkich i innych pomocy naukowych, — gdy synalek próżniak nie chce sam czerpać z tych pomocy dla siebie kultury duchowej!

A bywa nierzadko przeciwnie: oto bardzo ubogi młodzieniaszek, żadnych funduszów nie posiadając, dochodzi do wielkiej kultury duchowej tylko dzięki swej pracy bardzo usilnej! Umie z każdej rzeczy dobrej ciągnąć dla siebie korzyści znaczne. Odwiedza kościół chętnie, drzwi szkoły otworzyła mu pomoc społeczeństwa, darząc go, jako pilnego ucznia, zapomogą stałą, pożycza książki z czytelni bezpłatnej, bywa też w muzeum i na wystawach dzieł pięknych, słucha odczytów naukowych i robi na nich notatki, wchłania w siebie wiedzę, piękno i dobre przykłady! Naukami ciągle zbogaca swój umysł, serce uszlachetnia, sumienie czyni coraz czujniejszem, a charakter swój ustawicznie doskonali, umacnia...

Tak staje się sam nawskroś kulturalnym człowiekiem! Niemasz u niego pozorów! Posiada wiedzę gruntowną, pobożność szczerą, obyczaje piękne, sumienie czułe — i charakter silny!

To już nie sosna malowana, lub złocona, lecz dąb rzetelny, lub marmur prawdziwy!

Taką kulturę zdobywa się **tylko samodzielnością!**

Nikt jej gotowej nie kupi nawet za tak wielką bryłę złota, jak kopiec Kościuszki, — ani wygra na loterji, — ani dostanie w podarunku od najmiłosierniejszego dobrodzieja!

Tylko **własną pracą** mozolną, ustawicznie i planowo wykonywaną, człowiek uprawia i doskonali w sobie swój umysł, serce, sumienie i charakter.

Sam, — więc **samodzielnie!** Sam musi ciągle każdą odrobinę bogactwa kulturalnego przyswoić sobie, uczynić swoją własnością. Każdy szczegół kulturalny musi niejako wsiąknąć w jego duszę, wniknąć w jego myśli, w uczucia, w sumienie, w zalety charakteru. Sam musi nauczyć się myśleć logicznie, badawczo, starannie i krytycznie, — sam musi szukać prawdy i stosować się do niej, — sam musi ukochać dobro i spełniać je ustawicznie, — sam musi utrwalić w sobie dobre i piękne obyczaje, — wreszcie sam musi przyswoić sobie wiele zalet charakteru i uczynić je tak mocnemi, żeby nawet największe przeciwności, albo pokusy, namowy, nie zdołały ich zagłuszyć, lub zwyciężyć!..

Kultura duchowa — to zdobycz niezmiernie cenna, ale bardzo mozolna!....

To dzieło całego życia!

Ale ono musi być spełnione. To powinność każdego człowieka!

Bo przecież każdy obowiązany pracować całe życie. Ale na co? — Czy tylko na chleb? Czy tylko jak wół, albo jak maszyna? Czy tylko zewnętrznie i dla dobra innych, a nie wewnętrznie, duchowo i nic dla siebie?

Najpiękniejszem dziełem w świecie całym jest — człowiek, ale doskonały, więc wykształcony i uszlachetniony kulturą duchową.

Bo przytem wyznać musimy, że człowiek gdy jest w stanie surowym, — to istota okrutna, straszniejsza od bardzo wielu zwierząt dzikich...

Kto go zdoła ujarzmić, uszlachetnić, zmienić w istotę najlepszą, najpiękniejszą moralnie?

Tylko społeczeństwo, które u siebie już zgromadziło dużo bogactw kulturalnych.

Bo wprawdzie człowiek w stanie surowym jest bezsprzecznie istotą straszną,.. jednak ma w swej naturze utajone zdolności na... anioła...

Nic w tem niema przesady. Historja przechowuje wspomnienia o czasach okropnych, kiedy ludzie ludzi mordowali i to im, oraz ich bóstwom, sprawiało uciechę. Stopniowo atoli dokonywa się wielka zmiana w poglądach, obyczajach i upodobaniach. Zawsze są ci sami ludzie, nie aniołowie. Ta sama w nich natura porywcza, dzika, straszna! Ale już obok niej nie śpi, czuwa zespół zdolności anioła... Już te zdolności potrafią być tak potężne, mocne i sprawne, że dają sobie radę w walce z popędami dzikiemi, okrutnemi, umieją je zwyciężyć, uciszyć, ujarzmić. Nawet te anielskie zdolności już zdobywają się na wielkie ofiary, tworzą dzieła miłosierdzia, przysługi braterskiej, ratunku dla upośledzonych, bezsilnych, opuszczonych...

Nie mniemajmy, że to wszystko stało się odrazu, bądź wskutek jakiegoś niewytłumaczonego przypadku, bądź z powodu ślepego losu.

Nie! To jest ustawiczny, długi w ciągu wielu tysięcy lat trwający postęp duchowy. To są owoce trwałe pracy kulturalnej wielu-wielu pokoleń. Tylko dzięki tej pracy rośnie nauka, oświata i doskonalą się sposoby wychowania człowieka!

Godzi się się tu wtrącić ciekawą i pokrzepiającą uwagę, że nigdy nie brak ludzi własną pracą pomnażających bogactwa kulturalne w swoim kraju. Każde pokolenie do prac poprzednich dodaje od siebie nowe prace, nieraz doskonalsze i w taki sposób nie tylko rośnie zasób, ale i doskonali się bogactwo kulturalne w każdem społeczeństwie. Zatem i my, polacy, mamy u siebie olbrzymie skarby kultury duchowej. Mamy bardzo dużo kościołów, szkół, książek, uczonych i artystów. I nawet ciągle przybywa ich coraz więcej.

Ale nie dość wyliczać je i chlubić się niemi. Trzeba, żeby wszyscy rodacy bez wyjątku korzystali z nich **bardzo pracowicie.**

Tylko własną pracą samodzielną każdy zdoła przy pomocy bogactwa kultury duchowej oświecić swój umysł, uszlachetnić serce, obudzić sumienie i udoskonalić charakter.

Kultura duchowa — to uprawa, czyli **doskonale-**

nie wszystkich władz i zalet duszy ludzkiej, nie chwilowe tylko, ale stałe, ustawiczne,—i nie cząstkowe, lecz powszechne.

Oto niejeden i niejedna mniema, że gdy przeczyta trochę książek i okryje się kosztowniejszemi szatkami, już posiada—kulturę.

Albo znowu ktoś inny chwytnął wiązkę ładnych wyrazów i już głosi je jako hasła nowe, potępiające wszystko i wszystkich, nawołujące do wojny, rewolucji, buntu... Niejednego hasła podobne tak odurzyły, iż ma się za cudownego człowieka, który potrafi odrazu uszczęśliwić wszystkich...

Złudzenie!

Jeżeli poszczególny człowiek nie zdoła jednym nakazem odrazu przerobić siebie: uczynić rozumnym, szlachetnym, pracowitym, obowiązkowym,.. to czy podobna mniemać, że gromadka wywrotowców potrafi swojemi hasłami skłonić wszystkich ludzi choćby tylko do sumiennego wypełniania swoich obowiązków rodzinnych i zarobkowych?

Czy ludzie posiadają takie zaklęcie, któreby, dajmy na to, próżniaków odrazu uczyniło pracowitemi,—pijaków trzeźwemi,—a głupców rozumnemi?

Nie!

Kto naprawdę chce wykształcić swój umysł, uszlachetnić serce, sumienie uczynić czujnem, a charakter moralnie doskonalszym,—ten musi mozolić się bardzo długo i ciągle korzystać z skarbów kultury duchowej! I nigdy nie powie sobie: już dosyć umiem, już mogę zaniechać dalszej pracy!

Nigdy! — Ciągle trzeba pobudzać siebie cichym nakazem: „Naprzód! naprzód! Nigdy nie ustawać w doskonaleniu swego umysłu, serca i charakteru"!

Wreszcie nastręcza się nieuniknione pytanie: na co ta praca tak długa i mozolna? jakie i dla kogo z niej wynikają korzyści?

Pytanie potrzebne, bo ściśle związane z ideałem moralnym, do którego chce się upodobnić człowiek, doskonalący siebie kulturalnie.

Zanim ktokolwiek zdąży znaleźć właściwą odpowiedź na to pytanie, już otoczy go mnóstwo przedstawicieli różnych teorji, haseł, stronnictw i partji.

Każdy zawoła do niego: stawaj się doskonałym tylko dla mego stronnictwa!... tylko dla mej partji!... dla mego obozu!..

Każdy taki łapacz chce zwabionego uwięzić w swojej gromadzie, uczynić go jej własnością, narzędziem, numerem...

Partja, stronnictwo, obóz, teorja, hasło, czynią człowieka niewolnikiem, tłumią w nim rozwój władz i zdolności duchowych, poprostu jak gdyby go okaleczają...

Jeden tylko ideał chrześcijański najzupełniej raduje duszę ludzką, bo każe jej doskonalić się moralnie całe życie, ale zarazem wskazuje jej reguły, do których powinna się stosować i cele, — ku którym musi zdążać.

„Bądźcie doskonałemi — mówi Chrystus—jako wasz Ojciec w niebiesiech doskonałym jest".

Podaje wiele prawideł moralnych, jak: miłosierdzie, łaknienie sprawiedliwości, zgodę, cierpliwość, skromność, pokorę, wreszcie miłość nietylko przyjaciół, ale nawet nieprzyjaciół! Zaleca miłość nie słowną, ale i uczynkową, bo mówi Zbawiciel wyraźnie: „dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści".

I cele wskazuje: nie dla chleba tylko pracować macie, bo nie samym chlebem żyje człowiek. Co pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, gdy na duszy swej dozna szkody?.. Miłujcie się wzajemnie... Cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili —i wy im czyńcie!

Przeto ideał chrześcijański podaje najlepsze sposoby człowiekowi, jak, podług czego i na co ma doskonalić duszę swoję:

ustawicznie, więc całe życie podług odwiecznych i ewangelicznych praw moralnych, — a po to, żeby wytrwale pilnował się prawdy i czynił wszystkim dobrze.

Za to nie ludzie, lecz Ojciec w niebiesiech nagrodzi go miłościwie.

Ideał chrześcijański zacheca człowieka, by doskonalił siebie moralnie, ale i jednocześnie pobudza go do świadczenia współbraciom ustawicznie wiele dobrego!

I jeszcze na jedno warto zwrócić uwagę: oto ideał chrześcijański całkowicie gasi w duszy ludzkiej nienawiść ku bliźnim, wyrywa żądło zemsty...

Pod wpływem tego ideału człowiek, pracując nad doskonaleniem siebie, staje się coraz zdolniejszym do umiłowania wszystkich ludzi bez wyjątku, do pracy usilnej dla dobra wszystkich i przysporzenia im przez nią szczęścia trwałego.

Tak więc kultura, dokonywana podług ideału chrześcijańskiego, zczasem spełni to, co Słowacki zapowiedział rodakom:

Aż was, zjadacze chleba, — w aniołów przerobi.

# Mam wiarę.

Mam wiarę, mam, że zduszę ból, co jęczy
Wśród czarnej nocy serca człowieczego,
Rozpalę w niem promienne blaski tęczy
I wniosę cisz pogodną pieśnią do niego

Mam wiarę, mam, że smutne ludzkie twarze
Rozjaśnię radosnem tchnieniem duszy mojej,
Wwiodę mój lud przed jasne ołtarze,
Gdzie łzy obeschną, ból serc się ukoi

Mam wiarę, mam, że złamię ludzką nędzę,
Bo o tem mi marzenia w snach mówiły,
Że ujrzę lud mój w szczęściu i potędze. —
Marzenia me! — o siły wam, o siły!

**K. Woyczyński**

Kto się uczy myśleć, ten się uczy odróżniać prawdę od błędów, a w tem jest najwyższy rozum człowieka.

Józef Supiński.

# Samoobrona.

Zróbmy smutny i straszny obrachunek.

Niedawno, bo w czwartek, dnia 21 maja „Głos Lubelski“ wydrukował te słowa:

„Groza pożarów, rozpościerająca się już **od dłuższego czasu** nad ziemiami naszego województwa lubelskiego nie ustaje ani na chwilę. **Codzień płoną setki siedzib ludzkich, codzień powódź ognia i dymów ogarnia nasze wioski i miasteczka.**

Jeszcze nie przebrzmiało echo wczorajszych pożarów, a już nadchodzą wieści o nowych, niemniej strasznych, niszczycielskich, zamieniających kraj w perzynę“!...

To są wieści Hijobowe. Klęska! Trwa ona **od dłuższego czasu**, jak się wyraził „Głos Lubelski“. Zresztą wiemy o tem wszyscy i skądinąd, bo przecież spotykamy się z takiemi wieściami smutnemi nietylko w gazetach lubelskich, lecz i w warszawskich i innych.

Wszędzie pożary częste w całym kraju!

I co my na to?

Każdy pożar — to strata dla całego narodu,— a dla pogorzelców nieszczęście...

Ubywa tyle budynków, które były w dobrym stanie i jeszcze bardzo długo służyć mogły! Tyle trzeba rozdać materjałów nowych, które tak przydałyby się na rozbudowę miast i wiosek! Toć ileż ludzi musi tłoczyć się dzisiaj w ciasniutkich domostwach? A oto jeszcze do tych stłoczonych przybywają wielkie rzesze pogorzelców.

Czy tylko tyle strat i nieszczęścia?

Przypatrzcie się teraz nędzy pogorzelców. To nędza nietylko materjalna, ale i moralna i chorobowa! Liczne rodziny zostały bez dachu, chleba, odzieży i warsztatu pracy. Trapi je głód, niezgoda, brud, zły przykład dla dzieci, zostawionych bez opieki, bo niejedna rodzina musi iść w rozprószkę!

Gdy uprzytomniamy sobie niedolę pogorzelców i gdy nadmieniamy, że obecnie mamy w takim stanie pogorzelców nie tysiące, ale dziesiątki tysięcy, a może nawet setki tysięcy,.. to przerażenie dławi serce i straszne myśli nasuwa...

Przecież my tyle ludzi nie uratujemy przed nędzą, chorobami, rozpaczą, nawet zniedołężnieniem i uniezdolnieniem się do jakiej-takiej pracy. W taki sposób mnóstwo tych pogorzelców stanie się dotkliwym i kosztownym ciężarem narodu.

Nietylko ciężarem, ale i — wyrzutem strasznym, a tak bardzo zasłużonym...

Słuchajcie, bracia: **wyrzutym zasłużonym!..**

Tak!

Bo zechciejcież zbadać **przyczyny** tych licznych pożarów i **okoliczności,** w których te pożary urosły do rozmiarów olbrzymich... Zechciejcież to wszystko zbadać, a niechybnie przekonacie się, że dziś tym klęskom **jesteśmy winni wszyscy, cały naród polski!**

O, tak!

Dziwne oskarżenie, prawda?

Może dziwne, ale—sprawiedliwe, bo zasłużone.

„Jakto? Przecież myśmy tych budynków nie podpalili, aniśmy przy tych pożarach byli więc nie mogliśmy gasić ognia i wynosić rzeczy pogorzelców?

Rozumie się, nie byliśmy tam osobiście, lecz **tam było i pomagało pożarom nasze powszechne niedbalstwo i niedołęstwo i nieczułość nasza na dobro współbraci naszych.**

Sami nie byliśmy przy ogniu, więc nie daliśmy początku i nie dmuchaliśmy na niego.“ Tak. Ale uczyniły to wszystko **wady nasze. A więc jesteśmy winni!**

Przedewszystkiem zauważmy, że przeogromna jest nasza beztroska o dobro wszystkich.

„Co mnie obchodzi mój sąsiad, — byle mnie dobrze było“.

Tak mówi mnóstwo sobków, — a mówi niedorzecznie, bo przecież gdy sąsiad robi co mu się żywnie podoba, więc gdy czyni źle, — to złe musi niebawem spaść na bliższych i dalszych mieszkańców, którzy nie chcieli troszczyć się o jego dobro. Zapłacił im krzywdą za ich obojętność o jego powodzenie.

Musi być przymus w życiu społecznem, bo inaczej nie ostoi się społeczeństwo! Jeżeli każdemu będzie wolno robić, co mu się tylko spodoba, — to nikt nigdy nie będzie bezpieczny w pracy, w domu, na ulicy, w dzień i nocy, gdyż każdy głupiec, niedbaluch, psotnik w każdym momencie odrazu zdoła wszystkich unieszczęśliwić. On jeden wszystkim zaszkodził. Ale wszyscy w tem zawinili właśnie, bo dawali temu psotnikowi całkowitą swobodę działania szkodliwie. Dawał swobodę, bo go nawet wychowali i utrwalili w nim mniemanie, że wszystko mu wolno czynić, nawet psocić i krzywdzić wszystkich.

Gdzież jest taki kraj drugi, jak nasz, gdzieby wolno było palić papierosy dzieciakom wyrostkom i starym w stodołach, oborach, przy słomie?

Albo popatrzmy, jak w dalszym ciągu rozbudowuje się wieś nasza? Na jednym kawałku rodzinnym we wsi dawniej stał jeden dom ojcowski. A dziś rodzina rozdzieliła się na kilka rodzin i — wszyscy **muszą** budować swe domy tak ciasno, że dom od domu o kilka sążni oddalony albo nawet stykają się ścianami.

Czy to mus? Jeżeli nie mogą gdzieindziej, niech budują się obok siebie, ale niech dają ściany murowane i nakrycia dachów ogniotrwałe. Prawda, jestto kosztowniejsze, ale zawsze tańsze niż pożar, który bardzo drogo kosztuje i zabiera wszystko!

Czy ta kalkulacja zatrudna do przewidzenia? Nie. Tylko nam się nie chce mówić o tem sąsiadom. — „A, niechtam! Nie będę się wtrącał do niego. Przecież on nie dziecko! Wie, co robi“— Może wie, a może nie wie. Zresztą czas już powiedzieć sobie prawdę. Bo tu nawet sobek rozumny dostrzeże, iż dana sąsiadowi swoboda w złem, wcześniej albo później napewno zaszkodzi tym wszystkim, którzy mu ją zapewnili!

Tak co posiejecie, — to niechybnie zbierzecie.

Zadużo daliśmy swobody mieszkańcom —i dlatego oni nie tylko sami się palą, — ale jeszcze palą mnóstwo innych swoich sąsiadów niedbaluchów

i niby nieśmiałych do zganienia cudzej nieostrożności, lub lekkomyślności.

Nie chcieliście w porę przestrzedz, — teraz wszyscy cierpicie straszną klęskę.

„A możeśmy przestrzegali, — tylko nas nie słuchano“! — No, no, żarty na stronę. Gromada, gdy się szanuje, to potrafi tak mówić i nakazywać, żeby wszyscy uczestnicy **musieli uszanować jej nakazy.** A kto nie chce jej słuchać, ona potrafi go tak skłonić, że na przyszłość odechce mu się raz na zawsze nieposłuszeństwa.

Na wszystko i wszystkich są sposoby, byleby tylko były chęci dobre i rozumne!

Jeszcze z powodu studzien wartoby wiele uczynić wyrzutów gorzkich. Wprawdzie tu i owdzie niejedna wieś i miasteczko mają wymówkę w niepodobieństwie wykopania u siebie studni, bo jakoby wody niema. Już próbowali kopać, sięgnęli w głąb wielką i—wody nie znaleźli.

Trudno spierać się o to, jakkolwiek niektórzy śmielsi mieszkańcy zczasem potrafili zrobić dla siebie studnię nawet tam, gdzie jakoby pierwej wcale nie spodziewano się znaleźć wody.

Podobno dla chcącego niema nic trudnego. Ale tylko dla chcącego. A u nas tych „chcących“ jakoś ciągle jeszcze bardzo brakuje!.. I dlatego wsie i miesteczka, doprawdy, zamało studzien mają!

A studnia—to niezbędny warunek do zagaszenia w porę zaczątku pożaru.

Kto ma się zająć powiększeniem ilości studzien i uporządkowaniem istniejących?

Pierwsza uwaga, jaką to pytanie nasunie gromadzie, będzie ta:

— A no, wydatek nowy nas czeka! Skąd brać tyle pieniędzy na wszystko!

Gromada musi stęknąć,—ale musi wydać, bo bez studni nie będzie wody, a bez—wody ogień swobodnie pochłonie budynki, inwentarz, chleb i odzienie.

Co wolisz więc stracić, szanowna gromado: czy trochę pieniędzy na studnię, czy cały swój dobytek i stać się dziadem żebraczym?

— A niech Bóg broni! Trudno. Już niech co chce będzie, byle uniknąć pożaru. Trzeba robić studnię. Niema innej rady... Ale może u nas nie będzie ognia?... Toć przecież niesposób, ażeby koniecznie paliło się wszędzie!

Owszem, prawda, nie jest to konieczne, nikt tego nie pragnie,—ale kto nas upewni, że do nas nigdy ogień nie zawita? Kto zaręczy, że dziś... za chwilę... nie wybuchnie u naszego sąsiada?

Wszystko możliwe. Najlepiej wychodzi ten, kto zdoła uniknąć pożaru. Ale nigdy nie wiadomo kto z nas będzie tym szczęśliwcem! Przeto niema innego sposobu, tylko trzeba być dostatecznie przygotowanym do ugaszenia go natychmiast, jak tylko się pojawi. A więc trzeba mieć studnię pod ręką.

Strzegącego się Pan Bóg strzeże! To znaczy: pracuj,—a Bóg ci dopomoże. Bo to na jedno wychodzi. Pracą stwórzcie u siebie studnię. Bo ona ogromnie ułatwi ugaszenie pożaru. Lecz nadmieńmy, że nie sama woda gasi,—tylko straż ogniowa.

O niej przeto wypada pomówić, ale—dopiero za tydzień.

## NOWINY Z POLSKI.

— W województwie śląskiem w r. 1924 było szkół powszechnych 641 — z tego na Górnym Śląsku 501, a na Cieszyńskim 140, przyczem polskich było 563, niemieckich 78. Ogółem do tych szkół powszechnych uczęszczało 190,604 dzieci. Nauczycieli w tych szkołach było 3.487; na jednego nauczyciela przypadało na Górnym Ślązku 60 dzieci, a na Cieszyńskim 40.

— W Łodzi dnia 18 maja sąd wojskowy skazał plutonowego, Henryka Świątka z 18-go pułku piechoty na rok więzienia i degradację za kradzież tajnych rozkazów i sprzedaż ich Kupermanowi, który wydał je państwu ościennemu.

— Sejmik łódzki postanowił w roku bieżącym wybudować 7-klasową szkołę powszechną w Czarnocińcu w powiecie łódzkim.

— Stanisław Burak udał się do konsulatu amerykańskiego w Warszawie po wizę na wyjazd do Ameryki. Jeszcze nie zdążył wejść do biura konsula, gdy go na schodach zaczepił jakiś mężczyzna lepiej ubrany i niby od niechcenia zagadnął po co idzie do konsula. Burak szczerze wyjawił swoje zamiary. Na to ów mężczyzna odpowiedział, że sam jest sekretarzem konsula, więc może mu Burak zaraz pokazać swoje papiery, czy ma je w porządku. Burak usłuchał i ufnie oddał onemu niby sekretarzowi swoje papiery, w których były też pieniądze w sumie 170 dolarów. Nieznajomy udał że pilnie rozpoznaje papiery, potem oddał je Burakowi i kazał zaczekać na siebie, aż wróci z miasta. Długo czekał na próżno. Wreszcie sam zajrzał do papierów i tam już pieniędzy swoich nie znalazł. Okazuje się, że ów nieznajomy był złodziejem. Tylko czatował na biednych emigrantów łatwowiernych. Bardzo dużo jest złych ludzi. Ale też bardzo dużo łatwowiernych.

## WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

Anglja coraz większy okazuje swój gniew na rządy bolszewickie w Rosji. Nawet politycy przewidują możliwość zerwania stosunków politycznych między Angja i Rosją.

— Już i banki główne w Anglii, Francji i Niemczech nie chcą załatwiać większych interesów pieniężnych z bolszewikami. Gniewy te pochodzą stąd, że komuniści, podżegani przez sowiety rosyjskie, wszczynaia w wielu krainach zaburzenia i bunty szkodliwe. Rosja bolszewicka zdąża do wywołania wszędzie wojny domowej. Już zasłużyła na gniew, upomnienie, a wreszcie — i karę powszechną od tych, którzy miłują wiarę, zgodę i pracę.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2.** — — — — — — **Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 31 maja 1925 r. № 22.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



**Taki był straszny widok po walce powstańców z moskalami w r. 1863. Obraz ten wykonał znakomity malarz polski, Artur Grottger.**

# Dla Twego szczęścia, Narodzie!

Straszny obraz Grottgera, dający widok pobojowiska wkrótce po stoczonej walce polskich powstańców z moskalami w r. 1863, może z powodu swej grozy wyda się komu nieprawdopodobnym.

A jednak artysta-malarz nic od siebie nie dodał okropniejszego nad rzeczywistość straszną. Mamy dowody na to w historji powstania.

Przytoczmy tu, jako przykład, opowiadanie uczestnika powstania styczniowego, niejakiego Władysława Zapałowskiego, który w swoich „Pamiętnikach" (2 tomy, wydane r. 1913 w Wilnie, bardzo zajmujące, warte przeczytania) między innemi przedstawił pobojowisko bardzo podobne do obrazu Grottgera.

Opowiadanie to podajemy tu w całości bez żadnej zmiany:

„Na kilka dni przed walką, którą opowiem—słowa Zapałowskiego — byłem w Radomiu w celu zobaczenia się z naczelnikiem miasta, p. Nowodworskim. Tam mi doniesiono, że rosjanie wybierają się na drugi dzień w Iłżeckie lasy na oddział Łady.

Wyjechałem natychmiast z Radomia, a dowiedziawszy się w Iłży od ks. T..., gdzie oddział powstańców obozuje, bez straty czasu tam się udałem. Spotkałem oddział w drodze,szli do Kunowa. Ładzie opowiedziałem o planach nieprzyjaciela. Postanowił zatem, nie czekając, przejść przez Kunów i udać się w lasy Świętokrzyskie, tem bardziej, że musiał unikać większego starcia, mając oddział powstańców jeszcze źle zorganizowany, mało broni, a co gorsza mniej jeszcze amunicji.

Trzeba i to wiedzieć, że o broń i amunicję bardzo było nam trudno,—kupowaliśmy ją na wagę złota, a pomimo to oszukiwano nas, przysyłając auszusy. Przytem trudna i niebezpieczna dostawa. To też ludzi mieliśmy dużo, ale nie było czem uzbroić. Zamiast broni palnej używano kos,— broń ta jednak przy dalekonośnych sztucerach nieprzyjaciól okazała się niepraktyczną. Czyniono potem zarzuty—napadano i psy wieszano na biednych naczelnikach partji, że źle się biją, że unikają starcia i darmo objadają okolicę... Ale obwiniający nie wiedzieli, że ci naczelnicy, ma się rozumieć, nie wszyscy, mając dwustu powstańców, mieli często na cały oddział dwadzieścia kiepskich dubeltówek, kilkanaście sztucerów bez bagnetów, a czasem półkurczy. Wszystko to trzeba było reperować. I czy tą bronią mogli się oprzeć silnemu, regularnemu i dobrze uzbrojonemu wojsku rosyjskiemu?....

Podano mi konia i razem z Ładą jechaliśmy naprzód oddziału, tworząc różne plany i projekta,— gwarząc co to dalej będzie, gdyż z zagranicy różne pocieszające wieści dochodziły, pełne otuchy i nadziei...

Namówiłem Ładę, że o trzy wiorsty od Kunowa zatrzymał się w Janiku, w osadzie podleśnego rządowego, ja zaś z podleśnym pojechałem bryczką do Kunowa zasięgnąć języka. Głównie, czy oddział mieć będzie bezpieczną drogę, aby mógł przedostać się w lasy Świętokrzyskie.

Przyjeżdżamy na most, który jest na kanale rzeki Kamionny i oddziela miasteczko od szosy, idącej z Wąchocka do Sandomierza. Od spotkanych przy moście pastuchów dowiadujemy się, że o nieprzyjacielu ani słychu. Zajeżdżamy zatem śmiało na plebanję. Jakież było nasze zdziwienie i przestrach, gdy na podwórzu ujrzeliśmy kozaków, ale nas nie spostrzegli, tak, że podleśny miał czas spiesznie wrócić nazad i dać znać Ładzie.

Łada zawiadomiony przez podleśnego natychmiast wyruszył z całym oddziałem i w innem miejscu próbował przejść szosę i dostać się w lasy Świętokrzyskie.

Zamiaru jednak w żaden sposób nie mógł wykonać, gdyż łańcuch wojsk rosyjskich rozciągnięty był na kilkunastuwiorstowej długości. Czas prędko schodził i nie pozostawało już nic, jak cofnąć się w głąb lasu, w znaną mu miejscowość niedostępną i otoczoną ze wszystkich stron bagnem. O północy dopiero zajął nowe stanowisko.

Nieprzyjaciel jednak dobrych miał przewodników i szpiegów... Wytropił Ładę i równo z brzaskiem dnia, korzystając z przymrozku, otoczył obóz powstańców, ukrytych w lesie, i rozpoczął ogień z ręcznej broni.

Łada, słysząc strzały, zrozumiał, że jest odkryty i otoczony. Pozostał mu jedyny środek ratunku: albo zginąć, albo całą siłą uderzyć w jeden punkt nieprzyjacielski i przedrzeć się....

Wybrał drugi sposób,—tembardziej, że mając mało nabojów, nie długo mógłby utrzymać się w obozie.

Czas jednak dość długi odstrzeliwał się, wyczekując sposobnej chwili. Pragnął bowiem przekonać się, gdzie są najsłabsze siły. Tymczasem ogniwa łańcucha wojsk rosyjskich coraz ciaśniej i bliżej zaczęły otaczać obóz powstańców. Wtedy z okrzykiem: „Bracia, za mną," rzucili się naprzód ze śpiewem „Boga Rodzico..."

Łada na przedzie z karabinem w ręku, za nim cały oddział ruszył do ataku. Naraz zakotłowało się jak w garnku. Tu już strzały ucichły, porwano się za bary, bój wszczął się straszny. Każdy tu bronił swego życia.... Komenda ustała...

Łada z kilkudziesięciu towarzyszami przebił się i ujść zdołał od dalszej pogoni. Reszta oddziału została na pobojowisku...

Miasta u nas wszystkie trzymały z powstaniem i z tych głównie młodzież zapełniała oddziały. Kunów jednak najwięcej wyróżniał się swym zapałem.

Gdy wieść się rozeszła naprzód o bójce, a później gdy pastuchy przybiegli i opowiadać zaczęli, że dużo trupów i rannych leży w lesie, kilkanaście zaraz wozów pospieszyło z obywatelami miasta szukać rannych, a pośpiech był potrzebny, bo silne przymrozki jesienne mogły dobić nieszczęśliwych, w których może tlała jeszcze jaka iskierka życia.

Byłem na ten czas w Kunowie i pojechałem z byłym burmistrzem, Jakubem Kuczyńskim.

Niedaleko trzeba było jechać. O sześć wiorst od Kunowa w lesie znaleźliśmy pobojowisko, zlane krwią i pokryte trupami. Śnieg w wigilję katastrofy przyprószył ziemię.

Plac boju, otoczony gęstym lasem, a który przed paru godzinami był miejscem zawziętej walki — straszny przedstawiał widok.

Zebraliśmy zaraz czterdzieści kilka trupów nagich, porozrzucanych w różnych pozycjach po ziemi. Ten miał głowę przerąbaną pałaszem, a mózg z krwią zakrzepły zakrył twarz, — tu znów szczęka odcięta wisiała, tworząc jak gdyby drugą jamę ustną, przejmując trwogą patrzących. Tu znów twarzą obrócony do nieba, rozkrzyżowany wznak. Oczy straszne, otwarte... usta wykrzywione od strasznych męczarń konwulsyjnych konań...

Stanęliśmy, jak wryci na miejscu, — oddech zamarł w piersi..."

Teraz, gdy porównamy oba obrazy, narysowany przez Grottgera i opisany przez Zapałowskiego, — znajdziemy w nich podobieństwo ogromne! Widocznie obadwaj oni patrzeli na jednę i tę samą rzeczywistość straszną! Patrzeli nie suchemi oczami, nie zimnem sercem, lecz tak, że „oddech zamarł im w piersi", „stanęli jak wryci", — bo uderzył ich widok przerażający!.. Rozpacz załamała ręce, a zgroza, osłupienie, żal i niemy ból duszy oblekły ich twarze niezmiernym smutkiem, skurczem, wyrzutem, skargą i niemal buntem dotkliwym, bo bezsilnym przeciw strasznej niesprawiedliwości i dzikości wrogów narodu!.

Tę część lasu polskiego, gdzie stoczono bitwę rozpaczliwą — i gdzie legły pokotem liczne trupy dzielnych powstańców naszych, słusznie wyobrażamy sobie jako ołtarz ojczyzny, na którym najgorliwsi polacy złożyli swoję ofiarę najcenniejszą, — bo ofiarę serca, katuszy i życia własnego...

Czy może który rodak zdobyć się jeszcze na cenniejszą ofiarę dla szczęścia swego narodu?

Ci nasi rodacy, którzy tam polegli, jako waleczni, nieustraszeni, pełni poświęcenia, — oddali siebie całkowicie, bez żadnych zastrzeżeń i wymagań... narodowi swemu...

Wyrzekli się młodości, zdrowia, rodziny i szczęścia doczesnego... Tylko nie wyrzekli się Boga, bo szli do bojów z kapłanem i krzyżem na czele..! Tylko nie wyrzekli się wiary, bo mieli w pamięci słowa Chrystusa: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni"... Tylko nie wyrzekli się ojczyzny, a ona w niewoli, woła do nich, jak matka, o pomoc!... Tylko nie wyrzekli się swego narodu, który jęczy, dręczony przez okrutnych wrogów...

Przejęci serdecznie niedolą ojczyzny i narodu, chwycili za broń! W tym zapale ofiarnym złożyli wierne ślubowanie Bogu i Narodowi:

Za Twoję, Boże, sprawiedliwość — i za Twoję, Narodzie, krzywdę — umieramy, a zwyciężymy!... Krew nasza nie przepadnie,... ona stanie się posiewem wolności Narodu, — niepodległości Ojczyzny... Więc swoje życie i swoje szczęście osobiste oddajemy:

**dla Twego szczęścia, Narodzie!..**

My umrzemy w mękach okropnych, abyś Ty żył wolny, mocny i szczęśliwy!...

Tak przemawia do nas ten obraz pobojowiska okropny, a tak dla nas drogi, tak święty i tak zaszczytny, jak świętą jest miłość, a zaszczytną serdeczna ofiara dla szczęścia własnego Narodu!...

Więc my, żyjący polacy, jesteśmy kochani przez bardzo wielu braci naszych. Oni pragną dla nas szczęścia, wolności i chwały... Nietylko pragną, ale nawet gotowi są każdej chwili za broń chwycić i walczyć, cierpieć i umrzeć w obronie naszej!..

Nietylko gotowi dopiero, ale już bardzo wielu z nich spełniło swoję ofiarę wielką i świętą!.. Toć oni wywalczyli nam wolność! Szli i szli bez końca do walki jak bohaterowie, jak męczennicy za wielką sprawę wolności ojczyzny i za szczęście swego narodu.

Tyluśmy mieli tych bohaterów i męczenników: tysiące, miljony!.. Szli do boju mężnie i ofiarnie. Szli na śmierć okropną bez trwogi. Szli, prowadzeni miłością narodu, pragnieniem wywalczenia mu wolności, szczęścia i chwały! Nigdy nie cofali się! A przecież szli jak gdyby maluchni i słabo uzbrojeni przeciw Goljatowi okrutnemu, mściwemu bez miłosierdzia! Szli naprzód jednak bez wahania, jakkolwiek zawczasu wiedzieli, jakie męczarnie czekają na nich: męczarnie na pobojowisku, w kazamatkach, w lochach więzień ponurych, na Syberji, w katordze na szubienicy...

Wszyscy oni w cierpliwem znoszeniu męczeństwa za szczęscie narodu własnego, byli wytrzymals nawet od okrucieństwa wrogów...

Wrogowie nasi wysilali się na zadawanie mąk strasznych, na pełne grozy sposoby przerażenia i odwodzenia polaków od dalszych walk o wolność i niepodległość narodu,... I nigdy nie zdołali polskiej duszy nieustraszonej zniechęcić, obezsilnić, upodlić.. Nie mogli zalać w niej ognia miłości narodu, ostudzić zapału do walki bohaterskiej i — ofiary całkowitej.

Każda taka dusza polska wołała do wrogów narodu:

„Wy nas nie zgnębicie, nie pokonacie, ani unicestwicie!.. Nigdy nie zginiemy, bo gdy jedni z nas odejdą, umęczeni przez was, — zaraz ich miejsce zajmą inni, również gotowi z jednakim zapałem i zaparciem się siebie walczyć. I tak działać będziemy bez przerwy, idąc do boju z wami aż musi Naród nasz odzyskać niepodległość, stać się mocnym, szczęśliwym i szanowanym przez świat cały!"...

Tak mówiły wielkie zastępy naszych rodaków bohaterskich, ofiarnych, którzy w ciągu bardzo długiej niewoli walczyli z wrogami naszemi, znosili od nich straszne katusze, ale nigdy nie trwożyli się, nie cofali,.. ciągle szli naprzód, ustawicznie wrogów niepokoili, aż wreszcie doczekali tej chwili pomyślnej kiedy pokonali go calkowicie i już zdjęli okowy z Narodu ocalonego!

Tak wytrwale cierpieli i walczyli po bohatersku rodacy nasi dla uszczęśliwienia nas!..

A my? I my, żyjący, również jesteśmy gotowi walczyć i umrzeć dla szczęścia narodu!

Atoli czy szczęście zdołamy narodowi swemu zapewnić jedynie naszą walką bohaterską i śmiercią męczeńską?

Nietylko! Bo również niezawodnie możemy

mu przysporzyć istotnego dobra, pomyślności i szczęścia własną pracą mądrą, pomysłową i niezmiernie ofiarną.

Jest więc czas, kiedy dla ocalenia swego narodu wszyscy musimy być gotowi do walki bohaterskiej, nie lękać się męczarni i śmierci....

To znowu bywa czas, kiedy rozum i serce mówią nam: wysilajcie się na doskonałe pomysły i plany — i najpracowiciej, najmozolniej wykonywajcie je, nie oglądając się ani na nagrodę, ani na podziękę, jedynie kontentując się cichem sumienia swego świadectwem, żeście uczynili wszystko, co w waszej było mocy dla pomnożenia i utrwalenia szczęścia swego Narodu!...

Kiedy trzeba, bądźmy gotowi umrzeć na placu boju! A znowu kiedy trzeba, bądźmy gotowi zapracować się ofiarnie, zawsze

**dla Twego szczęścia, Narodzie!..**

Tak mówi polska dusza, miłująca Ojczyznę i Naród.

Obecnie Naród dla swego szczęścia wymaga od każdego z nas wielkiej i ofiarnej pracy: w zakładaniu wielu czytelni publicznych, straży ogniowych, szkół powszechnych i zawodowych, w budowaniu dróg bitych i żelaznych, w tworzeniu handlu i przemysłu polskiego!..

Tyle bowiem potrzeb jeszcze dziś trapi nasz naród! Tylu przecież jeszcze mamy u siebie analfabetów! Tylu łaknących dobrej książki i gazety do czytania w chwilach wolnych! Tyle miast i wiosek pali się rokrocznie bez ratunku, bo strażych ogniowych nie mają! Tyle dróg strasznych, niemożliwych do przebycia w ciągu większej części roku i wskutek tego znaczne obszary kraju naszego nie mogą podźwignąć u siebie rolnictwa, ogrodnictwa, mleczarstwa, przemysłu i handlu... Wielkie prowincje upośledzone, jakgdyby deskami odgrodzone od świata pracy ekonomicznej i oświatowej tylko z powodu swoich dróg szkaradnych!... I tylu jeszcze mamy u siebie kupców i przemysłowców obcych, a wrogich Polsce! A tymczasem nasi rodacy, pozbawieni pracy, muszą, jako wyrobnicy, udawać się w obce strony za chlebem, bo u siebie, w ojczyźnie, jeszcze nie potrafią trudniejszych, zawodowych prac wykonać! Nagwałt tedy dla naszej młodzieży jaknajwięcej należy otwierać szkół zawodowych w całej Polsce!

Tyle przeto obywatelskiej pracy mądrej trzeba ofiarnie spełnić dla szczęścia narodu naszego, ażeby on przez nią stał się światlejszy, uczeńszy, bezpieczniejszy, pracowitszy, zamożniejszy, mocniejszy i—nareszcie dostatecznie szanowany przez wrogów i przez niektóre narody dumne, które dotychczas jeszcze lekceważą go boleśnie i krzywdząco...

Naród nasz my, wszyscy polacy, musimy uczynić szczęśliwym! Musimy, bo go miłujemy, bo on nasz rodzony, własny! Miłujemy go tak, jak owi powstańcy, którzy dla wywalczenia mu szczęścia, ochotnie ponieśli śmierć męczeńską w bojach z jego wrogami!

Ci powstańcy, sposobiąc się do spełnienia swej ofiary, nie potrzebowali zachęty, lub prośby od narodu dla siebie, nie pożądali nagrody, odznaczeń, zrozumienia, żadnych nie wnosili pretensji, grymasów, —szli sami z zapałem, z ogniem w sercu, z gotowością na wszelkie męki! Już zawczasu wyrzekli się swego zdrowia, szczęścia i życia, całkowicie ofiarowali siebie dla szczęścia swego Narodu, nic wzamian za to nie żądając od niego...

A my? Wobec tych bohaterów - męczenników jacy jesteśmy ubożuchni moralnie! Zapewne do nas można zastosować te słowa Mickiewicza:

Bez serca, bez ducha — to szkieletów ludy!
To samoluby!

Ciągle targujemy się z narodem! Lubimy mówić: „nie warto pracować dla ogółu," — „nie warto poświęcać się, bo na tem nikt się nie pozna, nie oceni, nie poszanuje,.." „nie warto, bo to wszystko napróżno."

Kłócimy się, podejrzewamy wzajemnie i szukamy przedewszystkiem zadowolenia swoich słabostek i rachub... A jakoś o szczęściu narodu myślimy złośliwie, albo nawet szyderczo...

Takie niemoce zaczęły żreć duszę polską. Te niemoce— to zaraza straszna, zaszczepiona umyślnie przez wrogów naszych. Oni chcą nas zgubić w sposób iście szatański. Nie mogąc pokonać nas bronią i szablą,—chwycili się zatrucia duszy naszej zarazą niezgody, sobkostwa, szyderstwa, lekceważenia powinności obywatelskiej! Usiłują przebiegle ostudzić w nas świętą miłość narodu, stłumić zapał bohaterski do ofiarowania siebie dla szczęścia narodu.

Musimy dusze nasze bronić przed tą okropną zarazą moralną. Dla ocalenia siebie przed nią, dobrze jest bodaj duchowo odbyć pielgrzymkę do takich ołtarzy Ojczyzny, jak to pobojowisko w lesie, przedstawione ręką znakomitego artysty naszego, Grottgera.

Popatrzmy z czcią serdeczną na ten ołtarz i wsłuchajmy się w ciche wyrzuty, skierowane ku nam od tych naszych bohaterów-męczenników!

Oni siebie ofiarowali dla uszczęśliwienia narodu!

A dziś między nami podobno nawet niemało jest takich rodaków, którzy radziby przyczynić się do unieszczęśliwienia swego narodu!...

Nikczemni. Jednak nie dopną swego celu zbrodniczego. Bo zostaną obezwładnieni i pokonani przez tych rodaków, którzy serdecznie miłują swój naród! A takich jeszcze, dzięki Bogu, naród nasz ma niezmiernie dużo — wiele miljonów!.. Owszem, liczba ich ciągle rośnie! Trzeba jednak, żeby w nich również ustawicznie rosła miłość i ofiarność dla szczęścia narodu!

Zatem dobrze jest coraz wspomnieć o tych mnogich bohaterach - męczennikach, którzy całkowicie poświęcili się dla szczęścia narodu!...

Wspominajmy o nich często — i powtarzajmy słowa Mickiewicza, jako hasło wszystkich polaków gorliwych:

**Razem, młodzi przyjaciele!..**
**W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele...**

Ale jeszcze nastręcza się natarczywe pytanie: A czy ci bohaterowie męczennicy, cierpiąc dla narodu, mówili sami o sobie, że są szczęśliwi?

Godzi się domyślać, że tak. Domysł swój opieramy na słusznem przypuszczeniu: przecież dobrowolnie, ochoczo i nawet z zapałem szli z bronią w ręku na wroga ojczyzny: chcieli cierpieć i umrzeć dla szczęścia narodu! Widzieli przeto swoje szczęście w tem, że mogą poświęceniem siebie zdobyć wolność, a więc uszczęśliwić swój naród!..

Cierpienia, mozoły, utrudzenia nic a nic nie umniejszają szczęścia spodziewanego, lub już doznawanego. Owszem, one nawet nadają mu urok, moc i trwałość wielką....

Przecież ojciec, matka, żołnierz, pracownik najchętniej znoszą wszelkie udręki, gdy bardzo umiłowali tych, dla których się poświęcili i dla których pragną szczęścia.

Oni w uszczęśliwieniu ich spodziewają się znaleźć swoje szczęście! Nawet w swoich staraniach, wysiłkach, ofiarach, czynionych dla uszczęśliwienia innych,sami doznają błogiej otuchy, zachęty; szczęścia, co właśnie tem mocniej skłania ich do wytrwania w ciężkim znoju, w niedoli bolesnej, aż zwyciężą i cel swój osięgną!

Radosna prawda tkwi w tym powszechnym nakazie chrześcijańskim: **bądź dobry!**

Bo wszakże dobry czyni innym dobrze i w ten sposób niezawodnie przyczynia się do ich uszczęśliwienia. Dość mu o tem niekiedy pomyśleć, a już doznaje cichej radości, która dodaje mu otuchy, gasi smutek, zniechęcenie...

Dobry i szczęście, to jak gdyby przyczyna i skutek,—ogień i ciepło.

Przeto ścisły istnieje związek między nakazem chrześcijańskim i hasłem Mickiewicza:

W szczęściu wszystkiego narodu—są wszystkich rodaków cele.

Tak każdy polak dobry szczęście swoje widzi w szczęściu swego Narodu.

Zresztą nietylko widzi. Bo każdy gorliwy polak, spełniając wszelką powinność obywatelską, ma jeden przed sobą wytknięty cel chwalebny: uczynić dobrze

**dla Twego szczęścia, Narodzie!**

# Mój zmarły przyjacielu!

Mój zmarły przyjacielu,
zabity kulą wrażą!
zostało nas niewielu:
jednym już brzozy gwarzą,
a inni znów odstali —
nie mieli serc ze stali.

Myślałem: jakże tobie
samotno tam i ciemno
w żołnierskim twoim grobie, —
gdy stajesz wraz przedemną
w wieczornym mroku blady,
na piersiach krwawe ślady.

Na twej zapadłej twarzy
śmiertelne widać znoje,
lecz wzrok się ogniem żarzy,
choć milczą usta twoje,
wżdy mówią twoje rany
i mundur poszarpany.

Mówią mi dziwne rzeczy,
sny sercu dziwne roją,
którym gdzieś ktoś złorzeczy
i które śnić się boją
patrzące z lękiem sowy
w brzask dzienny, purpurowy.

Mowią mi o Wolności
i głoszą Zmartwychwstanie,
za które młode kości
złożyłeś ty w kurhanie,
za które jeszcze rzeką
krew, pot i łzy pocieką....

Na dworze świt jesieni
padł na pobojowisko —
i nikniesz w ciemnej sieni,
daleko a tak blizko....
wtem sieni drzwi zadrżały —
za oknem słychać strzały.

Tam biją się żołnierze
moi, brzmi głos komendy:
tam, bracie mój, pobieżę —
tam, w okop wraży kędy
honoru głos mnie woła,
jak skrzydeł szum anioła....

Niechaj się gdzieś tam karły
w puch bezczynności tulą, -
my, przyjacielu zmarły,
zabity wrażą kulą,
wytrwamy do ostatka,
aż śmierć utuli, matka!

... Aż zjawi się, — co we śnie
śniliśmy długie lata, —
aż Polska z hańby wskrześnie
promienna i skrzydlata
jak niegdyś Chryst z mogiły —
i świat odrodzi zgniły!..

**Józef Relidzyński.**

---

Bez pragnienia człowiek byłby bezczynnym i martwym; bez rozsądku czyniłby źle i dobrze bez różnicy; — bez cnoty byłby myślącym głazem wśród zaludnionego świata.

**Józef Supiński.**

---

# Znaczenie morza.

Na całej kuli ziemskiej — pisze profesor Franciszek Bujak — morze zajmuje 72 procent powierzchni, a ląd zaledwie 28 procent. Nawet największe obszary lądu przedstawiają się jak wyspy wobec ogromu morza, które je ze wszystkich stron oblewa.

Morze najbardziej zbliża ludzi i tworzy najsilniejszy między niemi łącznik. Morze jest najbardziej uczęszczanym przez ludzi gościńcem, bo jest najtańszym po wszystkie czasy środkiem komunikacji. Były nawet okresy dziejów, kiedy podróż morska była nietylko tańsza, ale i szybsza od podróży lądowej.

Droga morska ma jeszcze tę cudowną, a dla dróg lądowych niedoścignioną własność, że prowadzi we wszystkich kierunkach i bezpośrednio na cały świat. Otwierając dostęp wszędzie, zachęca do bezpośrednich i stałych stosunków z najodleglejszemi stronami świata, a nawet nagli do tworzenia osad zamorskich (tak zwanych kolonji) i zdobywania panowania na dalekich obszarach, ważnych pod względem handlowym.

Historja zarówno starożytna, jak średniowieczna i nowożytna przekonywa, że ludy, osiedlone nad morzami, wprędce stawały się biegłe w naukach, zaradne, zamożne i mocne.

Wpływ morza na ludy nadmorskie jest bardzo widoczny i wielce korzystny.

Morze — tak pisze uczony prof. Bujak — daje im szeroki oddech piersi, jasne spojrzenie i nieograniczony niczem horyzont dla myśli i czynów zarówno ich kupców, jak polityków, jak wreszcie i uczonych. Morze zbliża ich, styka z całym światem, łatwo sobie przyswajają wszystko z czem się zetkną, czy to surowce, czy postępy techniki, czy nowe idee.

Równocześnie świadomość swojej wartości i zaufania do swych sił wyrabia w nich poczucie swej wyższości i przywiązanie do swej kultury i urządzeń, słowem silny patrjotyzm, tak charakterystyczny dla greków, jak i dla anglików. Do cech narodowych dołączają się rysy realizmu, t. j. postępowości i światowości w charakterach narodów żeglarskich. Życie ich jest szybsze i bogatsze, a twórczość znaczenie większa, niż społeczeństw kontynentalnych (lądowych).

Tak w dawnych czasach fenicjanie, lud liczebnie drobny, gdy osiedlili się nad morzem Śródziemnem, rychło zasłynęli jako bardzo ruchliwi, przedsiębierczy kupcy i żeglarze. Już niebawem opanowali całe morze Śródziemne, wszędzie było ich pełno. Parci duchem przedsiębiorczym, przekroczyli obręb morza Śródziemnego, dotarli do Anglji, poszukując cyny — i do wybrzeży niemieckich, szukając bursztynu, opłynęli Afrykę i odkryli złotodajne kraje Ofir i Punt na wschodnich wybrzeżach tej części świata (dorzecze Zambezi).

Albo przypatrzmy się działalności kupieckiej i żeglarskiej greków, którzy na tysiąc sto lat przed Chrystusem osiedlili się na wysepkach egejskich i na wybrzeżach Azji Mniejszej, a w ciągu ósmego wieku przed Chrystusem docierają do wszystkich zakątków morza Śródziemnego, zakładają liczne kolonje i wreszcie swoją zabiegliwością prześcigają fenicjan.

Następnie zjawili się rzymianie, bardziej jeszcze zabiegliwi, a politycznie przebiegli—i im udało się zczasem ująć w swe ręce władzę nad Grecją, oraz nad wszystkiemi brzegami morza Śródziemnego.

Życie gospodarcze i umysłowe rzymian skupiało się na wybrzeżach morskich, które były gęsto zaludnione, gdy przestrzenie dalej od morza położone były dosyć puste. Stolica państwa rzymskiego, sam Rzym, był wprawdzie miastem lądowem, ale położony nad dużą rzeką, korzystał z niej w dosyć znacznej mierze dla niezmiernie rozległych stosunków handlowych, których główną podstawą był wielki port morski, Ostia, u ujścia Tybru.

Wszystkie późniejsze stolice państwa rzymskiego leżały nad morzem. Tak Salona (dziś Split, Spalatto) na wybrzeżach dalmackich, stolica cesarza Djoklecjana i Nikomedja nad Propontydą (dziś morze Marmara), którą wkrótce na stałe zastąpiło pobliskie Bizancjum, przemianowane na Konstantynopol na cześć cesarza Konstantyna Wielkiego. Kiedy pod koniec państwa zachodnio-rzymskiego Rzym przestał być stolicą Italji, to stanowisko to przypadło Rawennie, położonej nad morzem Adrjatyckiem.

Prawie wszystkie większe miasta państwa rzymskiego były portami morskiemi. Największem po Rzymie miastem była Aleksandrja, stanowiąca nietylko główny port Egiptu, ale i główne ognisko handlu między morzem Śródziemnem, a oceanem Indyjskim, handlu, sięgającego aż do wysp Sundajskich, a nawet pośrednio do Chin.

Po Aleksandrji najważniejszym portem we wschodniej części morza Śródziemnego była wyspa Delos, leżąca w połowie drogi między Efezem i Rodos, a Atenami i Koryntem.Ześrodkował się tu handel morza Czarnego i Egejskiego z resztą państwa rzymskiego (głównym towarem byli niewolnicy). Po tych dwóch portach wymienić należy w głębi morza Adrjatyckiego Akwileję, której rolę objęła w średnich wiekach Wenecja, a w ostatniem przed Chrystusem stuleciu Tryjest, dalej Syrakuzy na Sycylji, Neapol w Kampanji, Marsylję u ujścia Rodanu, Gdes (dziś Kadyks) poza cieśniną Gibraltaru i starą Kartaginę w Afryce.

Ze znaczeniem tych miast nadmorskich nie mogą się równać miasta lądowe, jak Damaszek i Palmira w Syrji, Sirmjum i Carnuntum nad Dunajem, Medjolan nad Padem, Lugdun (Lion) nad Rodanem, lub wreszcie Colonia Agrippina (Kolonja) nad Renem.

Jedność polityczna i kulturalna morza Śródziemnego, tak doniosła dla szybkiego rozszerzenia się chrześcijaństwa, rozpadła się po kilku wiekach istnienia pod naporem barbarzyńców ze wschodu (ludy mongolskie) i z północy (ludy germańskie) i nie powtórzyła się już więcej.

Jakie korzyści arabowie ciągnęli z morza, o tem za tydzień.

---

Nie ten jest prawdziwie mężnym, kto męstwo okazuje we własnej obronie, ale ten, kto je okazuje w obronie drugich.

Legatowicz.

---

# Cześć Wam, Strażacy!

Woda do zagaszenia pożaru—niezbędna.

Ale na to szklanka wody nie wystarczy. Musi być jej obfitość—i to pod ręką, bardzo blisko budynków.

A więc studnia powinna być bodaj w każdym powórku!

— Ach jaka to wygoda wielka:—studnia przy domu!—Tak woła gospodyni, uśmiechając się przymilająco do męża, bo w ten sposób chce dać mu do zrozumienia, że jeśli ma zasłużyć u swej żony na pochwałę, powinien czemprędzej urządzić u siebie studnię—i to nie byle jaką, ale z rurą żelazną i pompą, chodzącą lekko, tak, żeby nawet dziecko łatwo mogło naczerpać wody do cebrzyka.

— O, jeszcze czego!—odpowiada mąż, udając nadąsanego. — Przy łatwem pompowaniu dzieciaki będą ciagle chlapały się w wodzie, narobią mi błota i wreszcie popsują studnię!..

Jednak myśl o studni podobała się gospodarzowi... On doskonale rozumie jej wieloraki pożytek w gospodarstwie. Co za wygoda studnia pod rę-

ką,—woda na poczekaniu w każdej potrzebie. A tych potrzeb coniemiara! Bez wody nikt się nie obejdzie. Każde żyjące stworzenie co raz to jej pożąda. A jak ona przyda się na wypadek, nie daj Boże, pożaru!..

Mając studnię pod bokiem, już w mgnieniu oka można zalać początek pożaru!

Prawda! Jednak najczęściej tak bywa, że sami domownicy nie dadzą sobie rady z gaszeniem ognia, bo zazwyczaj tracą przytomność, przerażenie ich ogarnia i mąci im myśli. Nie wiedzą, co czynią, tylko podnoszą krzyk wielki—straszny!

A gdy go usłyszą sąsiedzi, wnet domyślają się, że coś złego stać się musiało u kogoś, więc wybiegają czemprędzej na ulicę i — spieszą z pomocą. Wszczyna się zbiegowisko, zgiełk, krzyk, lament, nawoływania, jęki i ciężkie a głośne oddechy, zwyczajnie, jak w nieszczęściu, gdy ono spadnie na ludzi nagle. Wtedy niemal wszyscy tracą rozwagę, a wielu jednocześnie przystępuje do gaszenia pożaru i rozumie się, każdy po swojemu. Wszyscy mówią razem, wydają rozkazy najsprzeczniejsze, spierają się, kłócą, wymyślają sobie. Harmider okropny,—a ogień jak gdyby naprzekór im, coraz śmielej w górę bucha i rozszerza swe skrzydła straszne, niszczycielskie! I gdy jeszcze napotka na swej drodze takich swoich sprzymierzeńców, jak: słomę, wióry, konopie, zapas nafty na górce i deski, jak pieprz suche, — oho, już natenczas tak się ogniste jego języki rozhulają, że resztę przytomności odbiera ludności, drepcącej dokoła niego!

Wtedy wielu opuszcza ręce, poprostu patrzą na ogień w niemem osłupieniu! Wielu odchodzi na stronę przerażonych, mając jakiś ból głuchy w sercu i żal rozpaczliwy, jak w nieszczęściu ostatecznem. A reszta tłumu na widok rosnącego pożaru ucieka ku swoim domostwom niby dla ratowania swego mienia.

I znowu dzieje się z niemi to samo: bo w przystępie trwogi poprostu głupieją, więc nie wiedzą, co czynią i najczęściej ratują to, co ma wartość małą, a niszczą, lub zostawiają na miejscu sprzęty cenniejsze.

A ogień czasu nie traci,—korzysta z powszechnego ogłupienia, zamętu i kłótni bezczynnych,- ciągle rośnie i rozprzestrzenia się bodaj tak szybko. jak kurzawa, gnana wichrem.

Już dzieje się klęska! Już mieszkańcy wybuchają przeraźliwym szlochem i jękiem, bydło ryczy, dzieci wydają pisk, ściskający najtwardsze serca!— A ogień w orszaku kłębów wielkiego dymu, trzasku iskier i huku, zapadających się belek, — jak gdyby zadowolony hyhocze przejmującym przeciągiem, lub parskaniem: tak obejmuje swe panowanie nad całą wioską!

Starsi bladzi, wystraszeni, zgnębieni, załamując ręce już przepowiadają dla swoich zagród zagładę.

— Zginęliśmy! Niema dla nas ratunku. Wszystko stracone! Ogień zniszczy nam wieś całą. Tylko patrzeć, jak przerzuci się na resztę domów. A wicher mu pomaga, jak namówiony!...

W tem nagle do uszu nieszczęsnej ludności doleciał głos trąbki, naprzód dość cichy, potem coraz wyraźniejszy, przybliżający się ku wiosce, stojącej w płomieniach.

Dzieci, ciekawe, skąd głos trąbki pochodzi, wybiegły za wieś popatrzeć na drogę. Niebawem spiesznie wróciły do starszych z wiadomością, że strażacy co koń wyskoczy jadą z ratunkiem!...

Jakoż za moment wpadło ich kilka oddziałów ze wsi sąsiednich. Prawie razem wszyscy spotkali się na jednej drodze i dlatego jenocześnie przystąpili do gaszenia pożaru.

Zuchy! Było ich około osiemdziesięciu. Mieli z sobą cztery sikawki, dziesięć beczek i wiele innych narzędzi niezbędnych. Zaraz nad niemi objął komendę wytrawny naczelnik, zarządził składnie, co każdy ma robić i w mig wszyscy stanęli na swych pozycjach.

Zaczęła się teraz dopiero prawdziwa walka z ogniem. Płomienie, oblewane wodą z sikawek, zasyczały złośliwie, jak żmije! Jednak wprędce musiały spokornieć, przycichnąć i — przygasać...

Już może z godzinę trwało zmaganie się strażaków z ogniem, kiedy któryś starzec widocznie tutejszy, zdala przypatrujący się działaniom straży, nagle krzyknął: „Jezus Marja!" i runął na ziemię...

Zaraz dokoła niego zrobił się zamęt, płacz i nawoływanie do ratunku. Wszystkim się zdawało, że starzec już umarł niespodziewanie. Jednak ktoś z tłumu, przytomniejszy, zaczął odpowiednio cucić leżącego — i po niejakim czasie starzec, westchnąwszy kilka razy, oczy otworzył, uniósł się sam i nawet usiadł na murawie. Wtedy ktoś z tłumu, ciekawy, zadał mu takie pytanie!

— Macieju, co wam było, żeście tak nagle zachorowali?

— Co miało być? — odparł pomału i przyciszonym głosem — zwyczajnie, żałość mnie zdjęła wielka! Już myślałem, że wszystka nasza wioska pójdzie z dymem. Ale kiedym popatrzył na tych naszych dobrodziejów strażaków, jak oni otoczyli płomienie, jak jęli je gasić hyżo, a tak przemyślnie, zaraz wstąpiła we mnie nadzieja, że, ehe! nie zginiemy do szczętu!.. I wtedy ogarnęła mnie rzewliwość niby radosna, ale zaraz boleśnie ścisnęła mi serce, więc nagle osłabłem, same nogi zgięły mi się, przed oczami zrobiło się ciemno — i już nie wiem co dalej stało się ze mną!

Gdy Maciej odpoczął nieco, napił się wody zimnej, wtedy powstał, zbliżył się do większej gromadki, zapatrzonej na pracujących strażaków—i tak się do wszystkich odezwał głośno:

— Nie dziwujcie się, żem stary omdlał z radości i zdumienia! Nigdy przecież oczy moje nie widziały takiego zjawiska! Tyle lat żyję na świecie. Bóg mnie chronił od ognia. Dopiero teraz przekonałem się, jaka to okropna klęska i jaka to siła—płomień. Jednak Wszechmocny Bóg potężniejszy od swego stworzenia! I na ogień dał ludziom sposoby! Uważnie przypatrywałem się tym strażakom dzielnym. I przyszło mi na myśl, że pierwszy pomysł do urządzenia straży ogniowej pochodzi nie od rozumu, ale od chrześcijańskiego serca, które miłuje swoich bliźnich i chce ich ratować w nieszczęściu!

Toć przecie sam rozum nie zdobyłby się na takie przedsięwzięcie. Chyba tak! Rozum zdawna

ludzie mają wszyscy. Ale nie wszyscy mają serce, przejęte miłością chrześcijańską... Kto pierwszy wpadł na myśl stworzenia straży ogniowej, ten, zaprawdę, odznaczał się gorącą miłością bliźniego, ten pojął wielką szkodę, jaką pożar ludziom wyrządza — i zapragnął ją od nich odwrócić.

I to mu się udało, gdy straż ogniową założył. Jednak nie wiele stąd byłoby pociechy dla ludzi, gdyby taki miłośnik bliźniego był tylko jeden na świecie.

Jeden może straż stworzyć, ale jeden jej nie zapełni, ani poprowadzi, ani rozpowszechni wszędzie! Takich miłośników uczynnych i ofiarnych musi być mnóstwo!..

I to ogromną daje mi pociechę, radość niezmierną, że właśnie jest ich bardzo dużo! Do straży ogniowej widocznie garną się prawdziwie miłością bliźniego przejęci rodacy ofiarni, uczynni, gotowi do wszelkich mozołów i udręczeń!

Oto popatrzcie teraz — woła Maciej, wskazując licznych strażaków, zmęczonych gaszeniem ognia —na tych naszych dobroczyńców! Przybyli do nas zdaleka z wielkim pośpiechem. Obcy nam oni, nieznani! A jak gorliwie ratują! Toć rodzony brat może nie oddałby nam takiej przysługi!.. Ratują bezpłatnie, nie proszeni, nie wołani! Ratują znakomicie, umiejętnie, sprawnie — i spojrzyjcie, czego oni tu już dokonali!.. Ogień dogasa!.. Więcej, niż połowa wsi naszej ocalona!.. A gdyby ich tu nie było, już do tej pory nikt z nas nie miałby dachu nad swoją głową!..

Bogu i tym strażakom zawdzięczamy ocalenie tylu zagród naszych!...

Ach, złóżmy Bogu Najwyższemu dzięki, że tylu ludziom dał tak poczciwe serce!...

Słowa te wymawiając rzewliwie, stary Maciej pobożnie zdjął czapkę i schylił głowę na znak czci przed majestatem Boskim i ofiarnością serca bratniego!

Gromada za przykładem starca również to samo uczyniła.

Gdyż już pożar stłumiono, jeno jeszcze na wielkich belkach pełzały płomyki, a w wielu miejscach długie resztki zrębów zwęglone czerwieniły się, jak brzeżek nieba zaraz po zachodzie słońca, Maciej, a za nim gromada miejscowej ludności, podszedł do strażaków i głośno a ładnie w imieniu całej wioski im podziękował.

Gdy skończył, gromada podjęła jeden okrzyk:

— Cześć wam, strażacy!

Za chwilę paru gospodarzy z tego końca wsi, który ocalał od pożaru, podeszło do naczelnika straży ogniowej i jęło go prosić, by pozwolił im ugościć wszystkich strażaków bodaj mlekiem, chlebem i miodem.

— Co mamy w spiżarni, to wszystko wam na posiłek z serca dajemy! — rzekł jeden z ocalonych. —Waszej pracy ofiarnej a mozolnej zawdzięczamy to, że mienie nasze zostało nie dotknięte pożarem.

— Cześć wam, strażacy! — Znowu gromada gromko wyraziła swoje podziękowanie strażakom za trudy.

Strażacy usiadłszy, gdzie kto mógł, pożywali chleb i popijali mlekiem. Gwarzyli wesoło, a radość rozlała się na ich twarzach. Byli zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku strażackiego pomyślnie. Prędko uporali się z ogniem. Ratunek szedł porządnie i mądrze uplanowany. Udało im się kawał wsi oszczędzić — i widzieli w zachowaniu się całej gromady, że jest im wdzięczna i umie ocenić ich przysługę i dzielność.

Niejedna tutejsza niewiasta, krająć im chleb z bochenka i podając życzliwie, patrzała na nich jakgdyby zazdrośnie. Z jej wzroku można było wyczytać żal i urazę do swego męża, czemu on nie jest takim, jak oni strażakiem?

I niejedno dziewcze hoże ładnemi swemi ślepkami zerkało na dorodnych strażaków, a niechybnie myślało, że radeby pokochać i wyjść tylko za takiego młodzieńca, który potrafi tak jak ci świetnie, zgrabnie i pomyślnie uwijać się przy gaszeniu tego strasznego krzywdziciela—ognia!

Za to tutejsi młodzieńcy kryli się po za gromadą... Było im dziwnie nieswojo! Stracili śmiałość. spokornieli! Czuli bowiem wyrzuty w duszy! Oto gdzieindziej młodzi potrafili stać się strażakami znakomitemi, pięknie uczynnemi po chrześcijańsku—i nawet zdaleka pośpieszyli z ratunkiem do was! A wy młodzi, tutejsi, bąki zbijacie, podpieracie płoty i ściany, głupstwami zapełniacie wszystkie swoje chwile wolne zamiast zjednoczyć się w straż ogniową i wyćwiczyć na doskonałych strażaków! Toć gdybyście sami byli strażakami, niechybnie nie byłoby nawet takiego pożaru, bo przecież na miejscu, mając pod ręką kilka studzien, zaraz zdołalibyście stłumić początki ognia! W tym sensie mówiło im sumienie własne... I nic nie mogli wymyśleć na swoję obronę, dlatego wstydliwie schodzili na stronę, trzymali się zdala od strażaków, ucieszonych skończoną pracą!

Usługiwali im starsi gospodarze, niewiasty, dziewczęta i dzieci.

Nareszcie zagrała trąbka naczelnika na znak do wyjazdu. Strażacy zgrabnie, karnie i szybko stanęli na swoich miejscach. I gdy drugą komendę wydał naczelnik, — odrazu wszyscy ruszyli w drogę, żegnani najserdeczniej przez całą gromadę tutejszą.

Długo—długo stała gromada, zapatrzona w oddalające się oddziały straży ogniowej.

Żegnała ich, jako najlepszych przyjaciół swoich nietylko wzrokiem i sercem wdzięcznem, ale i częstemi okrzykami, które długo dochodziły do uszu strażaków, zapewniając ich, że istotnie zasłużyli sobie swoją wielką ofiarą i pracą braterską na cześć serdeczną!

Więc raz jeszcze: **Cześć wam, strażacy!**

**Cena prenumeraty:** Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

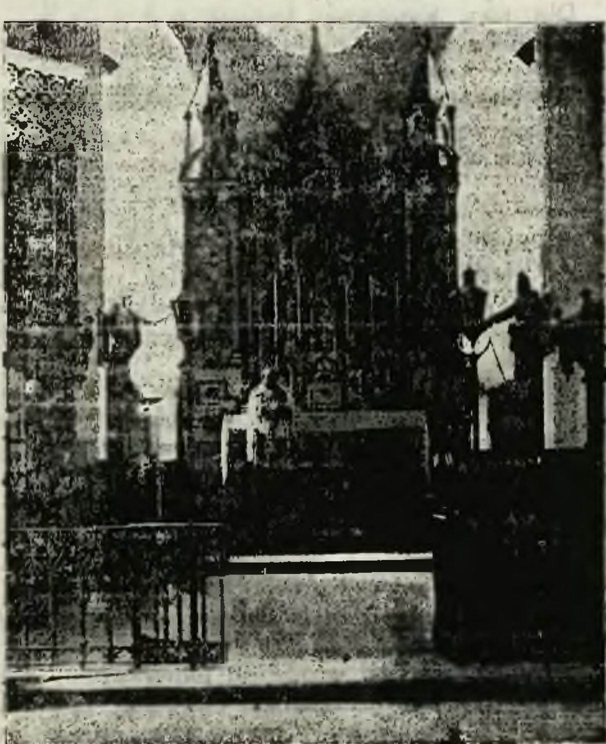
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 7 czerwca 1925 r. № 23.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Przed Twe ołtarze zanosim błaganie!

Obrazek, powyżej umieszczony, przedstawia ołtarz kościoła w Kiełczewicach, wsi dużej, położonej na wzgórzystym brzegu rzeki Bystrzycy, w starostwie lubelskiem.

Przed dwudziestu zgórą laty pożar zniszczył kościół murowany o sklepieniu drewnianem Zostały z niego zaledwo zręby, jednak gdy parafjanie przystąpili do odbudowy świątyni, wypadło i te zręby rozebrać, tak były uszkodzone. Zatem na miejscu spalonego kościoła niebawem stanął nowy, murowany, dość obszerny i okazały, a wewnątrz nawet bardzo miły.

Budową i wykonaniem urządzeń wewnętrznych zajął się niezmiernie gorliwie ówczesny proboszcz parafji Kiełczewice, niezapomniany ksiądz Władysław Bieniecki. On wzniósł świątynię, on ołtarze nowe umieścił, on postarał się o nowe konfesjonały, organy, chorągwie, żyrandol, kielichy i monstrancję, ornaty, posadzkę dał terrakotową o ładnym rysunku. Następnie dokończył plebanji, bo za poprzednika budowa jej była rozpoczęta; również budynki gospodarcze postawił. I o sad owocowy przy plebanji dbał pilnie i wzgórza przy kościele zadrzewił.

Dobremu proboszczowi bardzo ofiarnie i chętnie dopomagali parafjanie dobrzy, których parafja Kiełczewicka ma niemało! Zawsze z pomocą na potrzeby kościoła bardzo wielu miejscowych parafjan spieszyło swemu proboszczowi.

Na taką pochwałę zasłużyli nietylko parafjanie parafji Kiełczewice, bo trzeba przecież radośnie zauważyć, że w całej Polsce naród polski, jako katolicki, jest religijny, do wiary ojców swoich mocno przywiązany i na potrzeby kościołów nie skąpi grosza, owszem, bywa ofiarny, a nawet hojny. Świadczą o tem nietylko Kiełczewice, ale niemal wszystkie parafje w Polsce—i polskie kościoły w Ameryce....

Jak polacy kochają kościół i jak są dla niego ofiarni, może nas przekonać jeszcze jeden więcej przykład świeży. Oto czytamy w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 17 maja r. b. wiadomość z Kowla tej treści: „Na odbytem w tych dniach w Kowlu zebraniu pracowników miejscowego węzła kolejowego w sprawie przyczyniania się do budowy wznoszonego tam kościoła katolickiego, uchwalono, że wszyscy urzędnicy i inni pracownicy kolejowi po skończeniu swoich zajęć fachowych pomagać będą bezpłatnie przy budowie, co przyśpieszy budowę kościoła“.

Ci pracownicy, rozumiejąc znaczenie kościoła dla duszy polskiej i katolickiej, postanowili nawet własną pracą ofiarną pomagać przy budowie niezbędnej i pożądanej tam świątyni.

W każdem większem osiedlu ludzkiem widzimy nieraz bardzo wspaniałe budynki szkolne, teatralne, oświatowe, kulturalne, jak: gimnazja, uniwersytety, politechniki, bibljoteki, muzea, stałe wystawy rzeźb i obrazów, teatry, filharmonje, domy ludowe (np. bardzo okazałe, jak w Brukselli).

Budynki te są niezbędne. Tam dusza ludzka, łaknąca nauki, oświaty, piękna, utajonego w muzyce, śpiewie, malarstwie, rzeźbie, oraz rozrywki szlachetnej i zabawy miłej, lub spędzenia chwil wolnych w towarzystwie liczniejszem swoich znajomych, albo rodaków, — znajduje dla siebie dostateczne zaspokojenie własnych potrzeb umysłowych i moralnych.

Atoli jeszcze z natury swej dusza ludzka pożąda bodaj w pewnych momentach zbliżenia się ku Bogu! Chce w skupieniu, niejako zdala od świata i jakgdyby u stóp Wszechmocnego Stwórcy, rozważać prawdy religijne, rozstrząsać własne sumienie wobec praw moralnych, zatapiać się w modlitwie serca, wielbiącego potęgę, mądrość i dobroć Ojca, który jest w Niebiesiech...

Z Tobą ja mówię, co królujesz w niebie
A razem gościsz w domku mego ducha.
Z Tobą ja mówię! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu!

Tak modlił się Mickiewicz, który był bardzo pobożny i zawsze najzacniejszy,.. czcigodny... wzór dla wszystkiego narodu polskiego...

Dalej tak otwiera swą duszę przed Bogiem:

Tyś król — o cuda! — i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany —
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam, zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa, panu zaprzedany.
Jak Ty na krzyżu — Twój pan, Twoje dziecie
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy —
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos, przeraźliwszy, niźli jęk cierpienia,
Głos, wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi — głos złego sumienia —
Sędzio straszliwy, Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał!..

Modlitwa, — to osobny, ważny i wielki czyn duszy ludzkiej.

„Modlitwa — pisze ks. biskup Pelczar — płynie z istoty człowieka i z koniecznych jego potrzeb Człowiek jest stworzeniem Bożem, a więc winien uczcić swojego Stwórcę; jest dzieckiem Bożem, a więc winien okazywać miłość swojemu Ojcu; potrzebuje łask Bożych, a więc winien o nie prosić; odbiera dary Boże, a więc winien za nie dziękować. Wszystko to spełnia modlitwa, a więc modlitwa jest hołdem stworzenia dla Stwórcy, prośbą nędzarza u drzwi królewskich, jękiem winowajcy przed tronem Sędziego, tęsknotą wygnańca za ojczyzną, pieszczotą dziecięcia na łonie Ojca“.

Ludzie modlą się osobno, w samotności, albo też lubią modlić się razem, zbiorowo — i właśnie dlatego wspólnemi wysiłkami i ofiarami budują domy modlitwy — kościoły.

Dla nas, katolików, kościół jest nie tylko domem modlitwy, — ale zarazem świątynią, przybytkiem Boga, utajonego w Sakramencie Ołtarza!

Dla wyrażenia czci Bogu i uczynienia Najświętszemu Sakramentowi pomieszczenia najpiękniejszego, katolicy wszędzie starają się zbudować kościoły najokazalsze. Nawet tu i owdzie, gdzie to było możliwe, talenta, bogactwa i praca, na największe zdobyły się wysiłki, wzniosły istotnie przecudne kościoły, które stanowią główną ozdobę wielu miast i zarazem stwierdzają żywą wiarę i najtkliwszą cześć duszy ludzkiej dla swego Ojca w Niebiesiech, obecnego też w Eucharystji.

Dla polaków kościół ma znaczenie wielkie i urok niezmierny! Pociąga ich ku sobie bardzo! Kochają go, łakną i budują chętnie, ofiarnie, a zdobią zawsze miłościwie.

Jest on przybytkiem Boga, najmilszem miejscem dla rozmyślań o prawdach Bożych i dla modlitwy.

A polakom jedno i drugie bardzo potrzebne.

Naród polski pobożny,—jednak długo był nieszczęśliwy, naprzód z winy własnej, a potem jeszcze przyczyniali mu niedoli wrogowie jego.

W kościele nie szczędzono mu nauk, upomnienia i zachęty do poprawy. Tam u stóp ołtarza roztrząsał swoje sumienie, pobudzał się do zmiany życia swego na lepsze, modlił się do Boga o zmiłowanie, ratunek i błogosławieństwo.

W ciągu długiej niewoli modlił się cicho i głośno. Wiele pieśni jego — to modlitwy piękne, rzewne, serdeczne, przepojone bólem, rozpaczą!

Z dymem pożarów z kurzem krwi bratnej
Do Ciebie, Panie bije ten głos!

Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos:
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sięga ku Tobie błagalna dłoń.

Naród, który tak się modli, niezawodnie zostanie wysłuchany.

Pełen takiej nadziei Kuraś woła:

I nadejdzie, wierzymy, czas,
Że Bóg wybawi nas
I jakby z śmierci uśpienia
Głos Wskrzesiciela-Anioła
Z rozkazu Jego zawoła:
„Wstańcie, czas waszego odetchnienia!
Ziemia i niebo przeminie,
Słowo Boże nie zaginie;
Przez wiarę Polska zbawiona!"

A jak wielką wiarą zawsze ożywiony był naród polski, świadczy choćby ten wiersz Lucjana Siemieńskiego:

„Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku...
**Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,**
**Ile dziś nisko, o tyle wysoko**
**Staniem w narodów świeczniku!"**

Jednak polakom wiadomo, że na ratunek Boży trzeba zasłużyć nie samą li tylko modlitwą.

Różne przecież bywają modlitwy ludzkie, a każdej musi towarzyszyć odpowiedni czyn:

Błagalnej — posłuszeństwo prawom moralnym. A więc, człowieku, dostąpisz przebaczenia i błogosławieństwa Nieba, jeżeli odtąd już uczciwie wypełniać będziesz wszelkie powinności swoje...

Dziękczynnej — godne i pilne korzystanie z darów otrzymanych....

Twórczej, czyli pożądającej polepszenia doli,— praca mozolna, mądra i wytrwała....

A więc zawsze:

**módl się i pracuj!...**

W każdym człowieku tają się różne talenty, zdolności, moc twórcza...

Wydobyć je z głębi swej duszy, wypielęgnować i zużytkować najpożyteczniej może każdy, byle sam chciał nad tem popracować usilnie...

Dobra modlitwa zapewnia każdemu pomoc Bożą.

„Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono." Tak zapewnia Chrystus, lecz nadto ostrzega: „Nie dawajcie psom świętego, ani mieććie pereł waszych przed wieprze, by ich snadź nie podeptali nogami swemi i, obróciwszy się, aby was nie rostargali..."

Przeto niezawodnie Bóg pomocy użycza, ale tylko tym, którzy dobrze i na dobre ją obrócą!..

Każdy musi jaknajstaranniej przygotować się do otrzymania pomocy Bożej: a więc nie dość posiąść dużo wiedzy i uzdolnienia fachowego, a przytem sprytu, zręczności, bo nadto jeszcze jest niezbędne udoskonalenie umysłu, serca i sumienia,—oraz pracowitość usilna, wytrwała!

Naród polski sam tej prawdy doświadczył na sobie. Nie darmo przecież odzyskał utraconą niepodległość. Długo, ciężko i krwawo zapracował na nią!.. Tak stał się godnym wielkiego szczęścia: zmartwychwstania Polski,—uwolnienia się naraz od trzech potężnych ciemiężców! Cud prawdziwy, — lecz bądź co bądź rzetelnie zapracowany!...

A teraz wypada nam, polakom, zbiorowo zapewnić narodowi swemu trwały, chwalebny i pomyślny byt niezależny!... W jaki sposób? Czy tylko modlitwą?

Nietylko, — bo również i pracą najlepszą!...

Módlcie się — i pracujcie!...

Zawsze niezmiennie to hasło chrześcijańskie obowiązuje zarówno każdego poszczególnego człowieka, jak i naród cały.

Po odzyskaniu przeto niepodległości, teraz trzeba nam wszystkim zabrać się do bardzo mądrej, ale i bardzo mozolnej pracy umysłowej, moralnej, obywatelskiej i ekonomicznej We wszystkich dziedzinach musimy odznaczać się nadzwyczajną pracowitością, większą od pracowitości anglików, francuzów i niemców. Tylko w takim razie modlitwa nasza zdoła nam zjednać pomoc Nieba.

Bo jeżeli Chrystus ostrzega ludzi, mówiąc: „nie dawajcie psom świętości, ani mieććie pereł waszych przed wieprze", — to czy sam zechce spieszyć z pomocą świętą ludziom niegodnym, bo próżniakom, pijakom, sobkom, krętaczom, łgarzom, mającym tylko swoje korzyści na widoku?... Czy takim Chrystus kiedykolwiek pomoże, choć go o to nawet natarczywie i niby żarliwie prosić nie przestają?...

Nie!

Otóż tylko serce czyste wspólnie z czystemi rękami, bardzo pracowitemi, potrafią zdobyć pomyślność trwałą i piękną!

Kto chce pracować dobrze i pomyślnie, sam być musi dobry nietylko zawodowo, ale i moralnie...

I tylko dobremu Bóg błogosławi.

Zatem, jeżeli chcemy istotnie przyczynić się do szczęścia narodu naszego, módlmy się tak:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
dobrym pracom naszym, dla szczęścia narodu podjętym, pobłogosław, Panie!..

---

Od jednego cięcia nie upadnie wielkie drzewo; tak też i wielkiego dzieła nie dokonasz odrazu, ale długą i wytrwałą pracą.

Müller.

# Znaczenie morza.

Arabowie — tak poucza profesor Bujak — potrafili około 700 roku po Chrystusie opanować żeglugę na morzu Śródziemnem i oceanie Indyjskim.

W dziewiątem stuleciu dotarli przez Saharę do Timbuktu nad Nigrem, odkryli Afrykę środkową, oraz wschodnie wybrzeża Afryki aż po Safala. Arabowie, jako kupcy, niemal całą Europę ogarnęli aż do Uralu. I w Azji handel ich zapanował na dużych obszarach, bo aż po Jenisiej i Mandżurję na północy, a po Malakkę i wyspy Sundajskie na południu.

Kupcy arabscy, odbywając dalekie drogi w różnych stronach świata, bardzo przyczyniali się do rozrostu nauk w swojej krainie ojczystej, bo zewsząd sprowadzali księgi i wynalazki obce. Tak w Chinach nauczyli się fabrykować papier — i posługiwać się igłą magnetyczną.

Arabowie, opanowawszy morza, znakomicie rozwinęli swój handel. A znowu handel wielki dał im olbrzymie dostatki. Przy dostatkach zaś mogli dźwignąć u siebie nauki i sztuki piękne. Arabowie przeto zasłynęli jako kupcy, przemysłowcy, uczeni, artyści i — wojacy.

Przewaga ich jednak na morzu Śródziemnem krotko trwała. Potem, jako dzielni żeglarze i kupcy zasłynęli włosi, portugalczycy i hiszpanie. Wreszcie przodownictwo w żegludze i handlu przenosi się z morza Śródziemnego w strony północne Europy — do holendrów, niemców, anglików, duńczyków i szwedów.

Ostatecznie już tylko dwa narody w Europie współzawodniczyły między sobą na morzach: anglicy i niemcy.

Anglikom nawet groziło niebezpieczeństwo ze strony niemców, którzy, istotnie, szybko powiększali u siebie liczbę swoich okrętów kupieckich i wojennych. I zapewne niebawem niemcy zdołaliby mieć tyle okrętów, ile naliczyliby ich u anglików. Ale wybuchła wojna europejska w r. 1914—i zakończyła się dla niemców porażką, a zarazem utratą wielu okrętów wojennych. Dziś wskutek tego niemcy już przestali być niebezpiecznemi dla anglików współzawodnikami na morzu.

Jednak na miejsce niemców zjawia się inny, poważny bardzo współzawodnik Anglji — państwo Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, które obecnie posiada wielką ilość okrętów kupieckich i wojennych.

Tak kończy swoje uwagi o znaczeniu morza profesor Bujak:

Żegluga morska stała się koniecznością życia społeczeństw cywilizowanych. Każde państwo stara się o zapewnienie sobie dostępu do morza, o zabezpieczenie sobie możności żeglugi, handlu i stosunków bezpośrednich ze wszystkiemi innemi państwami, bo bez handlu i żeglugi jest każde społeczeństwo kulturalnym kaleką i jak kaleka ma we współzawodnictwie z innemi społeczeństwami gorsze widoki: nieuniknionym jego losem jest zależność i ubóstwo.

W takiem położeniu kaleki wśród społeczeństw był od wieków naród polski. Jak niedołężny kaleka dawał on się obsługiwać obcym, zamiast wszystkie swoje potrzeby zaspakajać i wszystkie zadania spełniać samodzielnie. Jesteśmy obsługiwani na polu handlu i żeglugi, ale nie my jesteśmy panami, przeciwnie, panami są ci, co nas obsługują, bo biorą sobie za to sowitą zapłatę, a spełniają swoje obowiązki względem nas w sposób niedbały i niezgodny z naszym interesem.

Dawna Polska historyczna jest najbardziej jaskrawym przykładem, jak fatalne są skutki zaniedbania żeglugi morskiej. Oby odrodzona Polska nie popełniła tego samego błędu!

Traktat wersalski zawiódł nasze nadzieje, nie uwzględnił naszych słusznych praw do ujścia Wisły tworząc, jako państewko niemieckie, „Wolne Miasto Gdańsk“ z obszernem terytorjum naokoło. Wskutek tego staje przed nami nowe konkretne zadanie: zdobycie tego ujścia Wisły przez masowy napływ polskiej ludności do Gdańska i spolszczenia go sposobem unji do Rzeczypospolitej Polskiej. Musimy z największym wysiłkiem dążyć do silnego usadowienia się w delcie wiślanej i jej okolicach pod względem gospodarczym i ludnościowym. „Polski kurytarz“ do morza musi się przemienić w skrzydło gmachu Rzeczypospolitej, jeżeli ten gmach ma być naprawdę silny i trwały.

# BOLESŁAW CHROBRY

## CZYLI WIELKI.

Wychowan w dzielnych wojowników gronie,
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,
Koroną przodków okrył młode skronie
Bolesław Chrobry.

Ledwie jął rządzić, alić Czech szkodliwy
Puszcza swe hordy po Lecha krainie,
Zamienia grody i obfite niwy
W głuche pustynie!

Jak lew zraniony skrwawioną źrenicę
Tocząc, rzuca się na zwierzę zuchwałe,
Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę
I państwo całe.

W dzielnym zawodzie chciwy dalej sławy
Kiedy ukarał tego, co przewinił,
Miśnię, Luzatów i żyzne Morawy
Swemi uczynił.

W ten czas Jarosław Ruś żyzną wydziera,
Już gnębi Kijów okrutna przewaga,
Wygnan Swiatopełk u nóg bohatera
Pomocy błaga.

Bolesław, równie mężny, jak wspaniały,
Zbiera rycerstwo i w szyki sprawuje,
Już się nad wojskiem wznosząc orzeł biały
Drogę wskazuje.

Pędzi, pytając, gdzie nieprzyjaciele
Widzi za Bugiem hufce ich skupione,
Rzuca się z koniem na rycerstwa czele
W nurty spienione.

Szabla Polaków, tylekroć doznana,
Na hardych karkach przeważnie ciążyła.
Poległy krocie — rzeka krwią wezbrana
Brzegi zbroczyła.

Już obległ Kijów, już baszty szerokie
Tłucze taranem, z kusz opoki ciska:
Padły świątynie i gmachy wysokie
W smutne zwaliska.

Wchodzi bohater w rozstąpione mury
Wśród radosnego wokoła żołnierza,
A miecz zwycięski podnosząc do góry,
W bramę uderza.

Na pamięć, gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec odnosili łupy,
Bije na Dnieprze i w Ossie i Sali
Żelazne słupy.

Spoczął, a sławny dzieły tak świetnemi,
Przyjmując w Gnieźnie Ottona cesarza
Dziwi przepychem i skarby drogiemi
Hojnie obdarza.

Był to król dobry, w boju tylko srogi,
Był sprawiedliwy i karał swawolę,
Pod nim bezpiecznie i kmiotek ubogi
Orał swe pole.

Nie dziw, że kiedy poległ w ojcow grobie,
Zdziaławszy tyle dla szczęścia i chwały,
Nieutulony i w ciężkiej żałobie
Płakał lud cały.

**J. Ursyn Niemcewicz.**

# Wspomnienia O BOLESŁAWIE CHROBRYM.

Był Bolesław Chrobry — pisze Ludwik Posadzy — wzrostu miernego, twarzy przystojnej, otyły, zarastał czarno i gesto, usposobienia popędliwego, lecz łatwy do przebłagania. Należy do rzędu największych wojowników i polityków polskich.

O nim znakomity historyk polski, Jan Długosz, tak się był wyraził: Bolesław Chrobry pierwszy jakby duszę żywotną wlał i wszczepił w naród polski.

On stał się istotnym twórcą Państwa Polskiego, on pod to państwo położył fundamenty i dał plan, jak ma być nadal budowane.

Z różnemi narodami walcząc, na każdego używał innej taktyki bojowej. Niemców wycieczkami i podjazdami i zwlekaniem trapił, na Ruś otwartym, stanowczym bojem uderzał; tam piechotą, tu jazdą najwięcej dokazywał. Stąd u Słowian zyskał wyłącznie sobie tylko służące imię Chrobrego, walecznego. Jego miecz szanowano, jako dar cudowny i jak relikwję chowano, jego słupy żelazne wbiły się mocno w pamięć narodu i są głównemi punktami mapy Polski. Długo powtarzano jego słowa, jako wskazówki sztuki wojennej i zasady prawodawstwa.

Syn barbarzyńcy, Mieszka, wychowany między ludem prostym, Bolesław objął myślą całą Europę, poznał dokładnie siły, słabości i zawiłe stosunki cesarstwa niemieckiego, kierował ruchami pogan nadełbiańskich i nadodrzańskich, uwikłał w sidła intryg Czechy, plątał samego cesarza i jego radę, rozrywał Ruś, podburzał Pieczyngów, wiązał się z Austrją, utrzymywał stosunki z Włochami, miał stronników w Niemczech, szukał nawet przymierza z Konstantynopolem.

Przedstawia nam Chrobry typ tej wielkiej bujności polskiej natury, którą pojedyńczo znajdujemy w późniejszych narodowych postaciach. W Kazimierzu Wielkim, w Zygmuntach, w Batorym, w Janie Sobieskim powracają nam pojedyńczo rysy tego olbrzyma, tej najpopularniejszej postaci.

Wojenne Bolesława Chrobrego panowanie stało się wielką tradycją narodową, a idea narodowa, raz tak silnie przez Chrobrego przekazana narodowi polskiemu, już nigdy nie zgasła w wielkiej Piastów ziemi.

— Tak dzielnie genjusze panują nad światem: Teraźniejszość hołd składa przed ich majestatem! —wołamy w uniesieniu z poetą, przypatrując się dziełom naszego pierwszego króla.

W trzydziesto-czteroletniem panowaniu (992 do 1025 roku) jest Chrobry podobny do człowieka, który dom buduje. Ruszając się ciągle po obszernym kraju, od Dniepru aż do Łaby, od Bałtyku aż po Dunaj, zdaje się odmierzać plac pod budowę. Owe potężne słupy żelazne, bite w Dnieprze, w Ossie i w Sali, to niejako te koły, któremi murarz oznacza miejsca, gdzie wzniosą się wkrótce węgły budowy. A gdy już fundamenty założył, mury dźwignął i państwo ubezpieczył, powiedział sobie: trzeba jeszcze dać całej budowie zakończenie i dom poświęcić, trzeba się ukoronować. Tak murarze, związawszy kozły na nowym gmachu, wywieszają na szczycie koronę w kwiaty i wstęgi przybraną, aby ogłosić swój triumf.

Obraca Chrobry ten swój potężny budynek frontem na zachód: ku słońcu kultury chrześcijańskiej.

Ale przystańmy na chwilę — pisze Posadzy — i przypatrzmy się niektórym szczegółom budowania Chrobrego. Przecież z gruzów stary jego gmach odrestaurować pragniemy: Styl dziś inny po dziewięciu wiekach, ale zasady budownictwa te same i kłopoty właściciela domu podobne. Zpewnością skorzystamy!

Czuł ten król przedewszystkiem, że ma zbudować Polskę chrześcijańską, stąd tyle troskliwości o kościół: fundowanie biskupstw, zakładanie klasztorów, posyłanie do Włoch po apostołów i wysokie wyniesienie kapłana, przed którym, jako król, nie śmie usiąść. Księdzem, czyli księciem go nazwał.

Jak Chrobry ze starem pogaństwem, tak my dziś z pogaństwem nowoczesnem w Polsce walczyć musimy, a wielu żołnierzy Chrystusowych wraca dziś na pozycje, które im jeszcze Chobry powyznaczał!...

Czuł Bolesław, że powinien Polskę słowiańską stworzyć, stąd taka zacięta jego walka z niemcami. Od tego dumnego, chciwego, a okrutnego sąsiada, szła przez wieki potrójna plaga na słowian: wynarodowienie, polityczne jarzmo i zdzierstwo. Kronikarz niemiecki, Thietmar, pisze, że było przysłowiem na wojnie: „Poszli nędznie w rozsypkę, jak rodzina słowiańska, którą na targu rozszarpują"...

Nazwany jest Chrobry królem słowiańskim. Pragnie wszystkich słowian połączyć do walki z niemcami. Niestety, czesi na wieki całe oddali się niem-

com w niewolę. Ludy między Odrą i Łabą nie chcąc porzucić pogaństwa, musiały ginąć bądź od miecza niemieckiego, bądź od szabli polskiej. Lutycy albo walczyli w szeregach niemieckich, albo ukazywali drogę hufcom cesarza do Polski, a rusini wysyłali posłów do Niemiec, ofiarując się im na sprzymierzeńców przeciw Polsce. Bolesław przeto wojować musiał sam — długo, uporczywie. Wojował i żelazem i złotem, był naprzemian to lwem, to lisem, stał się mścicielem wiekowych krzywd słowiańskich. Nazwany jest też przez Thietmara pokolei: słowianinem okrutnym, bezczelnikiem, lisem, gadem jadowitym, lwem ryczącym, wrogiem i prześladowcą niemców.

Zadanie dziejowe: połączenie Lecha, Czecha i Rusa jako trzech braci rodzonych, jak zaprzątało Chrobrego, tak nas dziś również musi bardzo interesować. Niebezpieczeństwo niemieckie jak budowie Chrobrego zagrażało, tak i dziś naszej zagraża. Miecz Chrobrego, wyszczerbiony w Kijowie, niech będzie przestrogą. Połączyć braci słowiańskich musi wspólny interes w służbie jednej idei chrześcijańskiej, którą musimy w znojnym trudzie wypracować.

W czasie, gdy Niemcy zamieniają się znowu w jedną wielką armatę, obsługiwaną przez cały naród, gdy bolszewicy grożą, powinniśmy jaknajprędzej zaostrzyć szczerby, które miecz Chrobrego dostał od walki z Czechem i Rusem. Bracia powinni się porozumieć.

Rozumiał Bolesław, że powinien stworzyć Polskę opartą o morze, stąd tak usilnie zabiegał o podbicie i nawrócenie Pomorzan i Prusów. Gdy św. Wojciech wahał się, czy ma apostołować wśród Lutyków, czy Prusów, nakłonił go król do Prusów. Nieomylny rozum polityczny ukazywał mu ważność tej nadmorskiej (nad Bałtykiem) krainy dla Polski.

Gdy dzisiaj bezustannie Gdynia i Gdańsk,— Gdańsk i Gdynia rozbrzmiewają po gazetach, to pamiętajmy, że to hasło już Chrobry wydał, gdy biskupstwo kołobrzeskie zakładał i apostołów słał w tamtą stronę nad brzegi morza Bałtyckiego.

Tak pewne zadania państwowe, jak gwiazdy stałe, nigdy nie znikają z horyzontu narodowego. Tak pokolenie za pokoleniem ogląda przy świetle tych gwiazd dalszą drogę swego przeznaczenia. Genjusze te gwiazdy przed oczami narodu zapalają.

Rozumiał Bolesław, że tę Polskę chrześcijańską, słowiańską, o morze opartą, trzeba w ciało ubrać, odosobnić od obcych żywiołów i uporządkować wewnątrz, bo porządek jest duszą każdego gospodarstwa. Wojskowość, sądownictwo, obronę granic, opodatkowanie mądrze i sprawiedliwie urządził, jak ojciec dzieciom każdemu wedle sił i wieku odpowiednią pracę naznaczył, tak rozdzielał Chrobry powinności i ciężary obywatelskie. Chrobry panował jak ojciec — mówią nasi kronikarze.

---

Jeżeli chcesz mieć powodzenie, uczyń druhem serdecznym — wytrwałość, doświadczenie — doradcą, ostrożność —siostrą starszą, a nadzieję uczyń swym dobrym duchem.

**Addison.**

---

# ZACZNIJMY W TYM ROKU JUBILEUSZOWYM!

Takie hasło **musi** wyjść obecnie z ust wszystkich rolników polskich:

**Zacznijmy w tym Roku Jubileuszowym handel polski ziemiopłodami polskiemi!**

Rok bieżący 1925, jak wiemy wszyscy, jest Rokiem Jubileuszowym, zapewniającym szczególniejsze błogosławieństwo apostolskie tym katolikom, którzy wiernie wykonają warunki, podane przez Ojca św. Papieża, Piusa XI.

W liczbie tych warunków są też zalecane, mówiąc ogólnie, uczynki dobre. A przecież uczynkami dobremi są nietylko jałmużny, zapomogi, łatwe i tanie pożyczki, rady pożyteczne, ratowanie chorych, obrona pokrzywdzonych, a bezradnych, mądre i szlachetne upomnienie, w porę i trafnie udzielone, — lecz również stworzenie nowej pracy, dającej niezawodne dość znaczne korzyści dużej liczbie pracowników niezamożnych, potrzebujących dla swoich rodzin dochodów pokaźniejszych.

Rolników mamy w Polsce mnóstwo — i zpewnością wśród nich niezmiernie dużo jest takich, których niemal ustawicznie trapi znaczny niedostatek.

Gdy się mówi o ubóstwie wielu naszych rolników, nieraz można usłyszeć złośliwą, lub zgoła niedorzeczną uwagę tej - mniej - więcej - treści:

— E, nie warto ubolewać nad niemi. Nie warci są tego! Bo to przeważnie próżniacy, mało, lub wcale nie dbają o polepszenie swej gospodarki. Zagranicą, — panie, — już dawno poczynione zostały wielkie zmiany w uprawie roli, w hodowli inwentarza, — a u nas ugrzęźli rolnicy w swoim przestarzałym sposobie i wskutek tego biedę klepią z własnej winy!

Na takie zarzuty ogólnikowe zgodzić się niepodobna. Prawda, niejedno w sposobach dzisiejszej gospodarki u wielu małorolników dałoby się wytknąć, jako błąd szkodliwy, obniżający dochody, — lecz i to prawda, że na dużej przestrzeni kraju naszego małorolnicy pozbawieni są odpowiedniej wiedzy i pomocy fachowej.

W innych krajach rolniczych, jak Danja, Holandja, Czechy, jest już zdawna mnóstwo szkół i bibljotek fachowych, nadto istnieje wielka liczba rozmaitych stowarzyszeń, mających na celu wspólne, umiejętne i korzystne wykonywanie pewnych robót gospodarczych, hodowlanych i handlowych.

A u nas jeszcze, za wyjątkiem Ponańskiego, zbyt mało posiadamy dla małorolników szkół fachowych, a znacznie mniej stowarzyszeń niezbędnych.

Wprawdzie już tu i owdzie małorolnicy bywają zachęcani do nabywania wiedzy fachowej przynajmniej przez częste czytywanie książek odpowiednich —i do tworzenia stowarzyszeń rolniczych, przemysłowych i handlowych... Jednak, jakoś dużo naszych małorolników, doprawdy, lekceważy sobie podawane zachęty, jak gdyby jeszcze sami nie potrafili ocenić ich pożyteczności.

Czyżby nie potrafili? — O, nie są oni tak słabo myślący! Tylko nie dowierzają sobie i innym,— a przytem przewidują, że i czytywanie książek fachowych i stowarzyszenie założone niechybnie obarczyłoby ich niejedną robotą, może nawet mozolną i stałą. Takie przewidywanie właśnie najbardziej ich przeraża, więc nie pilno im i do książek i do stowarzyszeń.

A szkoda stąd wielka, nawet olbrzymia rośnie w każdej ubogiej rodzinie małorolnej. Nie zdają sobie sprawy gospodarze, że tylko z powodu braku wiedzy fachowej i stowarzyszeń dużo mniejsze dochody przynosi im gospodarka własna.

Gdyby pomyśleli o tem **ile tracą tylko z powodu braku wiedzy fachowej i braku stowarzyszeń odpowiednich** zpewnością rozgniewaliby się sami na siebie — i czemprędzej postaraliby się usunąć te **braki krzywdzące...**

Niektórzy rodacy zbyt popędliwi, zaraz surowo potępiają opieszałość małorolników, którzy „już dawno **powinni mieć** u siebie i obfite bibljoteki fachowe i stowarzyszenia odpowiednie, doskonale zagospodarowane“...

A znowu inni nasi rodacy grzeszą przeciwną ostatecznością. bo bronią niedbaluchów wymówką bardzo niedorzeczną, że jakoby „u nas nie mogą powstać stowarzyszenia rolnicze, hodowlane i handlowe, bo my, polacy, nie jesteśmy zdolni do prac zbiorowych!..“

Skąd wzięła się u nich taka opinja, ubliżająca nam, polakom?. Napewno tylko nasi wrogowie wmówili w nich mniemanie o naszem jakoby niedołęstwie wrodzonem.

Trafiają sie, niestety, i między nami tacy głupcy, w których nasi wrogowie zdołają wmówić nawet najlichszą bajkę. A gdy wrogom uda się to wmówić, już się cieszą niezmiernie, bo przecież pragną, byśmy wszyscy zawsze byli niedołężni, a za to oni, jako niby bardzo dołężni, oraliby nami, jako swemi wołami roboczemi!..

Lecz i wśród obcych nam nie mało jest ludzi sprawiedliwych, którzy o naszych zdolnościach ekonomicznych mają nie takie zdanie, jak wrogowie nasi.

Zapoznajmy się z opinją o nas choćby tylko jednego uczonego anglika, Wolffa. Tem chętniej powołujemy się na niego, jako anglika, bo wiadomo powszechnie, że wogóle anglicy znani są z pewnej, niczem nieusprawiedliwionej ku nam nieprzychylności. Otóż Wolff, sławny ekonomista angielski, taką wobec całego świata głośno wyraził o nas opinję: „Polacy w Prusach (w Wielkopolsce, zagrabionej przez prusaków podczas trzech rozbiorów,) wykazali — słowa Wolffa — **bardzo znamienną zdolność do kooperatywy** (do współdzielczości, a więc do pracy w stowarzyszeniach,) **we wszystkich formach**, szczególniej atoli do kredytu kooperatywnego... **Świetność polskich banków**, podniesiona przez szczególny dobór zawodów ich członków, spowodowała ich rozwój i siłe spoistą w ogromnym rozpędzie... Jakość tych banków niech osądzona będzie rosnącym potokiem wzrastających depozytów, które im się udało zebrać; dowodzą one, że **banki te zdobyły zaufanie u ogółu swego i umieją utrzymać skrupulatnie czystość w interesach... Spółki polskie**, sądzone z tego punktu **zdziałały cuda!“...**

Tak bardzo chlubne zdanie uczony anglik wygłosił o polakach, pracujących we własnych stowarzyszeniach ekonomicznych.

Przeto my, polacy, jesteśmy zdolni do prac zbiorowych nie tylko w stowarzyszeniach pieniężnych, bo również i w innych, np. w handlowych. I na to obfite, a mocno przekonywające dowody znajdujemy w tej samej Wielkopolsce, tak dokładnie przez Wolffa poznanej i — sprawiedliwie osądzonej.

Zwróćmy obecnie uwagę na istniejące tam dość liczne „Rolniki“, jako stowarzyszenia handlowe.

O „Rolnikach“ i innych spółkach ekonomicznych w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich napisał obszerną książkę Bronisław Załuski, były asystent szkoły głównej gospodarstwa wiejskiego w Warszawie (wydrukowana w Warszawie 1921 roku).

Przytoczmy tu z tej książki wiązankę ciekawych wiadomości i uwag, z których, doprawdy, musimy wysnuć wnioski nietylko pocieszające, ale i—pouczające wielu naszych rodaków, dość jeszcze ospałych, lub nawet nieufnych...

„Rolniki“ — pisze profesor Załuski — powstawać zaczęły dopiero od roku 1901. Za zadanie postawiły sobie pośrednictwo w zakupie i sprzedaży wszelkich produktów zarówno wytwarzanych przez gospodarstwa, jak i zużytkowanych przez nie. Pragnęły przez to uchronić rolników od praktykowanej dotychczas lichwy tak w cenie im ofiarowanej, jak również w cenie żądanej za dostarczane im nawozy sztuczne, nasiona, pasze i t. p., często w lichych gatunkach, lub falsyfikatach.

Dzisiaj ceny, jakie „Rolnik“ płaci, są miarodajne dla wszystkich kupców prywatnych, gdyż równają się cenom giełdowym. Instytucje te („Rolniki“) cieszą się zupełnem zaufaniem gospodarzy i **przyczyniły się niewątpliwie do zwiększenia rentowności** (dochodowości) **nietylko gospodarstw włościańskich, ale i większych posiadłości.**

„Rolniki“ wprędce rozpowszechniły się i niemal wszystkie doznały pokaźnego powodzenia. A bynajmniej niech nikt nie mniema, że tam, w Wielkopolsce, otrzymywały jakieś poparcie, zachętę, lub choćby tylko ułatwienie bądź ze strony rządu, bądź od jakichciś dobrodziejów bogatych.

Nic podobnego nie było! Owszem, zarówno rząd niemiecki, jak i mnóstwo kupców prywatnych, a i dużo nszych rodaków, lubiących zawsze każdej robocie społecznej, choćby najlepszej, czynić przeszkody, utrudnienia, — sprzeciwiali się nawet usilnie i niebezpiecznie, mimo to „Rolniki“ przezwyciężyły wszelkie przeszkody i poprostu wspaniale rozwinęły swoję działalność kupiecką.

Społeczeństwo polskie tam, dzięki tym „Rolnikom“ osięgnęło nietylko świetne korzyści ekonomiczne, ale i—nader pożyteczne rezultaty narodowe.

Jeżeli zatem rodacy nasi mogli stworzyć „Rolniki“ w Poznańskiem i tam z nich czerpać dla siebie wielorakie dobro,—to podobnież i gdzieindziej, w innych stronach Polski, takie same Rolniki rodacy nasi z rów-

nem powodzeniem zakładać mogą—i—**powinni!...**

**Tylko trzeba chcieć!**

Do zakładania „Rolników" wszędzie, w całej Polsce, jako do tworzenia czynów dobrych, niech nas i ta okoliczność zachęci, że obecny Rok Jubileuszowy bardzo zaleca czynić dobrze wszystkim, a osobliwie swoim rodakom niezamożnym, potrzebującym pomocy braterskiej.

A więc do czynu!

Tylko trzeba chcieć, a wszystkie dobre i korzystne dzieła można mieć!..

Dalsze uwagi za tydzień.

---

Wybieraj zawsze drogę najlepszą, choćby była najtrudniejszą. Zwyczaj uczyni ją łatwą i przyjemną.

Pitagoras

---

# NOWINY Z POLSKI.

— Dnia 7 czerwca, w niedzielę, odbędzie się w Lublinie wielka uroczystość dziewięćsetnej rocznicy koronacji króla polskiego, Bolesława Chrobrego. Na tę uroczystość spodziewany jest wielki napływ rodaków naszych z całej w szerokim promieniu okolicy Lublina. Król ten zasługuje na szczególniejszy hołd od całego narodu. Jako wódz był waleczny i przemyślny, umiał uśmierzyć należycie wszystkich sąsiadów Polski, a osobliwie niemców, zawsze przewrotnych i łakomych na cudze, — swemu zaś wojsku dał ducha dobrego i przeświadczenie mocne, bo polacy istotnie mają w sobie nieustraszony zapał i taki impet wytrwały w boju, że żaden wróg nie wytrzyma, pierzchnąć musi! Ale i politykiem był nielada mądrym i zabiegliwym! Dał sobie radę z niemcami, z czechami i z rusinami, na wszystkie strony! A przytem jak doskonałym być musiał gospodarzem kraju, świadczy żal powszechny i długi po śmierci jego. Zresztą o doskonałości jego, jako króla-gospodarza, wodza i polityka najlepiej mówi historja, która dowodami przekonała naród polski, że w Bolesławie Chrobrym miał króla jednego z najdzielniejszych, więc czcić go i uczyć się od niego zawsze powinien, jeśli chce mieć Polskę mocną, szczęśliwą i szanowaną przez wszystkich sąsiadów!

— Straszny wypadek zdarzył się we wsi Rutkach, w starostwie kozienickim (województwo kieleckie). Oto dnia 30 maja, więc w Sobotę Zieloną, przed Zesłaniem Ducha św., nauczyciel miejscowy z czternastoma dziewczynkami siadł do łódki na stawie obok młyna, bo chciał z niemi udać się po tatarak dla przyozdobienia szkoły. Już kawałek drogi odpłynęli od brzegu — i wtedy łódka, zbyt mała, pod ciężarem tylu osób nagle zaczęła się zanurzać w wodę. Gdyby dzieci siedziały spokojnie, a nauczyciel przytomny czemprędzej nawrócił do brzegu, być może zdołaliby się wszyscy ocalić, ale, niestety, dziatwa, przerażona napływem wody do łódki, jęła niespokojnie rzucać się, kręcić, co spowodowało szybszy dopływ wody do środka łódki — i niebawem wszyscy pogrążyli się w stawie głębokim. Zanim przybyła pomoc z dworu pobliskiego — już było zapóźno. Wszystka dziatwa razem z nauczycielem śmierć okropną znalazła na dnie stawu. Można sobie wyobrazić, jaki smutek i rozpacz ogarnęły wielu mieszkańców wioski!...

— Dnia 29 maja w Krakowie umarł ksiądz Michał Pęckowski, profesor historji Kościoła w uniwersytecie jagiellońskim.

— Niedawno przybył na krótko do Warszawy po dzwony, zabrane w r. 1915 przez moskali, niejaki Teofil Puchalski, mający, jak sam powiada, lat 134. Pochodzi z pod Bielska nad Bugiem. Jest jeszcze zdrowy i tak rześki, że nawet zatrudnia się różnemi sprawami gromadzkiemi. Toć najlepszy dowód, że jeszcze do Warszawy przyjechał upomnieć się o dzwony dla swojej parafji!.. Starzec dzielny!

Dnia 25 kwietnia w klasztorze Ojców Kapucynów w Nowem Mieście nad Pilicą zakończył życie ś. p. Ojciec Rafał Mazurkiewicz, który urodził się dnia 6 lipca 1846 roku w Warszawie. Do nowicjatu wstąpił w Lubartowie w r. 1861. Nauki filozoficzne odbywał w klasztorze warszawskim, ale gdy nastąpiło skasowanie zakonów, w nocy na 28 my listopada 1864 roku razem z innemi Kapucynami został przez moskali wywieziony do Zakroczymia. Nauki teologiczne przeszedł w klasztorze zakroczymskim. Święcenia kapłańskie otrzymał 1869 roku w Lublinie z rąk bi kupa Baranowskiego. Należał do „familji zakonnej w Zakroczymiu. Pomimo, że moskale dręczyli Ojców różnemi komisjami i zakazami, jednak Ojciec Rafał razem z innemi oddawał się pracy duchowej bardzo gorliwie. Przesiadywał w konfesjonale od rana do wieczora. A znowu w chwilach wolnych i wieczorami brał pióro do ręki i rzucał myśli na papier, a prace jego drukiem ogłaszane znane są w całej Polsce. Jubileusz życia zakonnego obchodził w Nowem Mieście 1911 roku.

Przedewszystkiem ukochał lud wiejski i dla niego mozolnie pracował, dla niego pisał książki.

Ś. p. Ojciec Rafał był nietylko dobrym zakonnikiem, ale też dobrym, gorącym polakiem. Niechaj o tem powie rok 1863, kiedy to Ojciec Rafał, jako młody kleryk, razem z powstańcami wyciągał błagalne dłonie do Pana Zastępów i śpiewał: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!" Poczciwy starzec doczekał się tego, o co wtedy ze łzami błagał. Zeszłego roku w dniu 3-im maja z okien seminarjum duchownego w Warszawie przyglądał się pochodowi narodowemu, który kroczył Krakowskiem Przedmieściem. Rozpłakał się wtedy, jak dziecko. — O ludu, —wołał Ojciec Rafał — o polacy, czy rozumiecie ten nadmiar szczęścia, że macie wskrzeszoną piękną Ojczyznę!

W ostatnich dniach Ojciec Rafał znów płakał, gdy się dowiedział, że tyle wrogich partji czycha na zgubę Ojczyzny naszej!

Na pogrzeb ś. p. Ojca Rafała, dnia 28 kwietnia przybyły niezliczone tłumy ludu wiejskiego i miejskiego z najdalszych okolic. Kazanie wygłosił ksiądz dziekan Dębowski z Potworowa. Po nabożeństwie Bracia zakonni skromną trumnę złożyli w katakumbach pod klasztorem. Tam umieścili zwłoki ś. p. Ojca Rafała obok zwłok ś. p. Ojca Honorata i ś. p. Ojca Prokopa, tak bardzo zasłużonych i całej Polsce znanych mężów Bożych. Cześć ich pamięci!

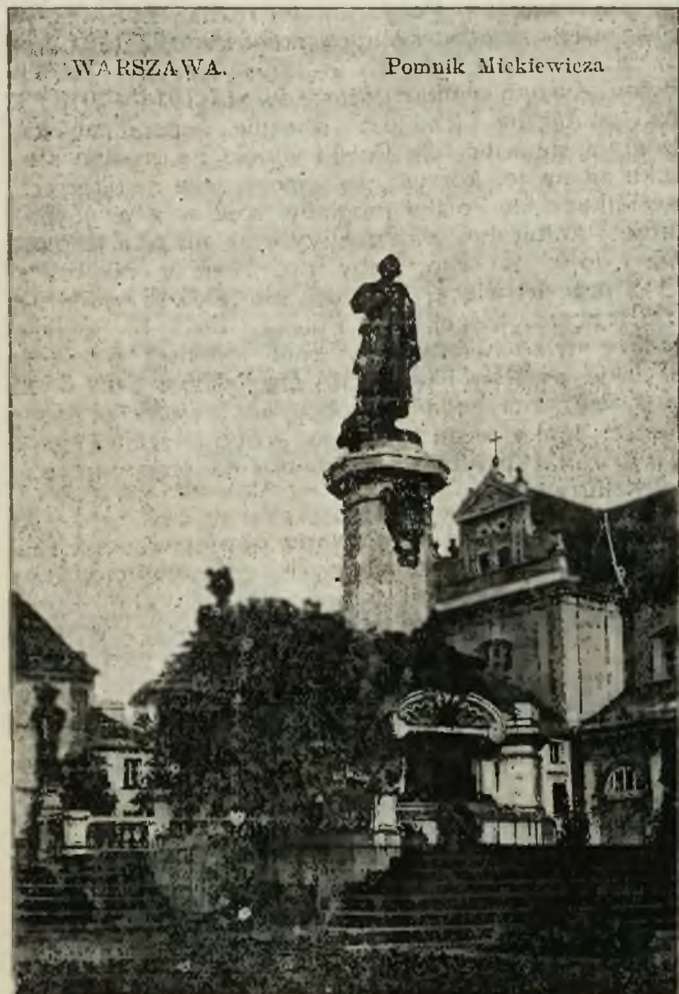
**Cena prenumeraty:** Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr. Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.


# ADAM MICKIEWICZ.

LUDOWI POLSKIEMU.

A czy wiecie, bracia moi,
Co za pomnik tutaj stoi?
— Pieśniarz to jest nad narodem
Co tak puścił pieśni swoje,
Ze płynęły mlekiem, miodem,
Jako życia zdroje.

Pieśniarz to jest tego nieba,
Gdzie skowronek szary śpiewa,
Tego pola, tego chleba,
Co je w plon odziewa.

Pieśniarz to jest, co swe życie
W smutkach strawił na obczyźnie,
Co gorące serca bicie
Oddał swej ojczyźnie.

Pieśniarz to jest nad pieśniarze,
Co z tej ziemi świętość zrobił,
A jej pola, jak ołtarze,
Kwieciem przyozdobił.

Pieśniarz to jest, przyjaciele!
Kochał wiele, cierpiał wiele,
A za całą chciał pociechę
Zajść pod waszą strzechę.

A nie innej chciał radości,
Tylko do was przybyć w gości,
Tylko pieśnią was weselić,
A duszą podzielić.

Otwórzcież mu wasze wrota!
Niech jak zorza wejdzie złota
Między waszych domostw ściany,
Sercem powitany.

Otwórzcież mu wasze sioła!
Niech go ojcem lud obwoła,
Niech duch jego się rozświeci
Nad głowami dzieci.

Bo pieśń nie jest marną rzeczą...
Ona świętym krzykiem duszy...

Ona piersią tą człowieczą,
Jako grzmot, poruszy!
Po wiosennym w polu grzmocie
Łan, jak zajrzeć, stoi w złocie,
A jak trzcina rosną kłosy
Pod perłami rosy....

Tak ci serce ludzkie w pieśni
Orzeźwieje, a ożyje....
Zbędzie starej swojej pleśni
I znów górnie bije!

Bo jest wielką rzeczą — słowo!
Bóg niem stworzył świat z niczego,
A mąż boży dziś na nowo
Stwarza ducha twego.

Gdzie jest słowo, tam jest siła,
A gdzie duch jest, tam i mowa...
Choćby ziemia chorą była,
Zdrowia jej dochowa!

Ona nie jest marnem echem,
Co rozebrzmi łzami, śmiechem....
Ale jest, jak chrzestne znamię:
Biada, kto je złamie!

Nasza mowa, piękna mowa!
W niej praojce czcili Boga...
W niej się dusza narodowa
Chroni, kiedy trwoga.

Nasza mowa, piękna mowa!
Matka szepce w niej pacierze....
Kto ją w sercu, w ustach chowa,
Z braćmi ma przymierze!

I choćby też gdzie za światem
Zeszli się między obcemi,
W słowie brat się pozna z bratem,
W mowie swojej ziemi!"

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

A czy wiecie, bracia moi,
Co za pomnik tutaj stoi?

— Arka to jest narodowa,
Co się w niej nadzieja chowa!
Arka to jest i skarbnica,
A w niej jutra tajemnica!

Bo nie tylko był pieśniarzem
Ten którego czcimy ducha,
Lecz prorokiem przed ołtarzem,
Gdzie Bóg płaczu ludów słucha.

Co powiedział, to się stało,
Albo jeszcze nam się stanie....
.... Ziemia polska, jak to ciało,
Z grobu zmartwychwstanie.

Jako Łazarz w swej mogile
Obudził się na głos Pana,
Tak się dźwignie w ducha sile,
Polska pobratana!

Co powiedział, to się iści,
Albo jeszcze ziścić może...
I nie będzie nienawiści
Ni w chacie, ni w dworze.

Tylko jedna siła żywa,
Siła ręki, siła ducha,
Która wspólnie więzy zrywa
Wspólnego łańcucha.

Tylko jedno pożądanie
Wspólnej pracy i wolności...
— Co powiedział to się stanie,
Błyśnie dzień jedności.

I otworzą się mogiły
I doczeka Polska cudu;
I zbudzą się ludu siły,
Zbudzi dusza ludu!

**M. Konopnicka.**

# POLSKA.

Polska posiada obecnie — pisze profesor Fr. Bujak — 386.600 kilometrów kwadratowych obszaru i 27.200,000 ludności. Chociaż obszar ten jest o połowę mniejszy od obszaru Polski przedrozbiorowej, to jednak Polska jest i dzisiaj dużym organizmem politycznym i gospodarczym. Państwo polskie zajmuje pod względem obszaru i zaludnienia szóste miejsce między państwami europejskiemi. Co do zaludnienia i siły politycznej idzie Polska po:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| Rosji europejskiej, | liczącej | ludności | 95 | miljonów |
| Niemczech | „ | „ | 59 | „ |
| Anglji europejskiej | „ | „ | 45 | „ |
| Francji europejskiej | „ | „ | 39 | „ |
| Włoszech | „ | „ | 35 | „ |

Trzeba przytem pamiętać, że Rosja i Francja, a zwłaszcza Anglja, posiadają rozległe i ludne obszary pozaeuropejskie, więc górują ogromnie nad Polską, oraz że Polska leży między Rosją a Niemcami, dwoma najludnjejszemi państwami europejskiemi, z których każde z osobna więcej niż dwukrotnie przewyższa ją ludnością. Oba te państwa są wrogo usposobione względem Polski, bo jej rozbiór był niegdyś źródłem ich stanowiska mocarstwowego, a jej odrodzenie obecnie mogło się dokonać jedynie po ich pogromie w tym wielkim pożarze świata (1914—1918 r.). Siła polityczna ich jest obecnie sparaliżowana, otwierają się więc dla Polski widoki na zmianę stosunku sił na jej korzyść, to znaczy, że w najbliższych dziesiątkach lat Polska mogłaby róść w siły gospodarcze i kulturalne znacznie szybciej, niż oba te państwa i dojść do tego, żeby np. Niemcy nie miały o 115 procent więcej ludności, ale tylko przypuśćmy o 50 procent więcej, niż Polska. Jest to jednak możliwe tylko wtedy, gdy ogół ludności polskiej, wszystkie warstwy i wszystkie stronnictwa będą o to się starały i nie będą nic robiły, coby stało na przeszkodzie spokojnemu rozwojowi gospodarczemu i jaknajszybszemu przyrostowi ludności naszego państwa i jej kultury.

Polska stanowi dużą zwartą powierzchnię o linjach granicznych nieregularnych, przypominających do pewnego stopnia pięciobok. Jednolity ten blok, oparty podstawą o Karpaty, a dosięgający Bałtyku, obejmuje całe dorzecze Wisły, sięgając na zachodzie w dorzecze Odry a na wschodzie w dorzecze Dniestru, Dniepru i Niemna. Z wszystkiemi temi dorzeczami łączy się Wisła niskiemi wododziałami, stanowiącemi dobre warunki dla dróg wodnych, bieg Wisły stanowi więc niejako kręgosłup tego organizmu polityczno-gospodarczego, któremu, trzeba to przyznać, brak dobrych granic naturalnych od wschodu, północy i zachodu, lecz na niżu europejskim od Belgji aż po Ural takich dobrych granic żadne obecne państwo nie ma, ani żadne dawniejsze państwo nigdy nie miało.

„O ile prosta linja granicy polsko - rosyjskiej od Dźwiny do Dniestru (około 1000 kilometrów)—pisze profesor Bujak — ma pewne zalety dla obrony, o tyle niemiecka granica zachodnio-północna (1350 kilometrów) nie może uchodzić za korzystną: zachodnia z powodu zatoki Ślązka pruskiego, wchodzącego głęboko między Polskę a Czechosłowację, północna z powodu, iż Prusy Wschodnie odpychają Polskę od Bałtyku. Wskutek tego nasz dostęp do morza stanowi wąski korytarz, nadwerężony nadto jeszcze przez oddzielenie samego miejsca Wisły, które jest jedynym naszym naturalnym portem, jako wolnego Miasta Gdańska.

Litwa Kowieńska (długość granicy 380 kilometrów) wrogo usposobiona względem Polski i dlatego najbardziej zbliżona do Niemiec i Rosji odcina od morza polską Litwę i Białoruś, leżące w górnem dorzeczu Niemna. Powiększa to odsunięcie naszego państwa od Bałtyku i narzuca mu charakter państwa wyłącznie kontynentalnego, gdy ze swego położenia powinno ono być **państwem bałtyckiem**, bo do Bałtyku płyną wody Odry z Wartą, Wisły i Niemna, ku niemu pochylając nasz widnokrąg gospodarczy.

Odwrócenie od morza uzależnia nasze stosunki prawie wyłącznie od bezpośrednich sąsiadów lądowych i oddala nas od reszty świata. Stanowi to niebezpieczeństwo dla naszego pełnego rozwoju w duchu nowoczesnej kultury, w której jednym z zasadniczych składników jest dostęp do morza, żegluga i handel morski. Co więcej, w naszem geograficznem położeniu dostęp do morza jest zabezpieczeniem naszej niezawisłości gospodarczej, a nawet niepodległości politycznej, bez niego grozi nam niezdolność do współzawodnictwa, brak tchu gospodarczego, a nawet jakgdyby uduszenie przez sąsiadów.

Musimy to zrozumieć i położyć nacisk na rozwój naszych związków z wybrzeżem morskiem, a przez morze z całym światem. Spolszczenie silnie zniemczonego Pomorza, zadomowienie się w Gdańsku i przywiedzenie go do zgodnej współpracy i współżycia z Polską, a nawet obudzenie uczuć narodowych w mazurach Pruskich i wciągnięcie w żywe stosunki gospodarcze z nami Królewca i całych Prus Wschodnich musi należeć do najważniejszych **i bezwzględnie przez wszystkich polaków uznanych punktów naszego programu państwowego i narodowego.**

Dopiero **oparta silnie o morze** Bałtyckie i o **bezpośrednie z całym światem, a zwłaszcza z najważniejszemi potęgami gospodarczemi,** może Polska z powodzeniem stać się **samodzielnym pośrednikiem** między wysoko uprzemysłowioną zachodnio-północną, a wschodnio-południową Europą, oraz bliższą i środkową Azją, mogącemi dostarczać surowców i środków żywności. Takie pośrednictwo należy się Polsce istotnie z racji położenia geograficznego, przedewszystkiem między Niemcami i Czechosłowacją, a Rosją, Ukrainą i Rumunją.

# Zasługi Bolesława Chrobrego.

Słusznie i z wielką dla siebie korzyścią naród polski obecnie uroczyście uczcił dziewięćsetną rocznicę koronacji Bolesława Chrobrego, pierwszego króla polskiego.

Cała Polska już od kilku miesięcy często myśli i mówi o tym bohaterze polskim.

Dzieje panowania jego (od 992 r. do 1025 r.) napełniają każde serce polskie dumą szlachetną— i nadto bogacą rozum polski obfitą nauką obywatelską o tem, jak trzeba przemyślnie i usilnie troszczyć się o dobro narodu i co mu najpotrzebniejsze, jeśli chce zapewnić sobie byt pomyślny i niezależny!

Za pokrzepienie serc polskich dumą — i za bogatą naukę dla wszystkich głów polskich należy się Bolesławowi cześć i hołd od całego narodu polskiego—i tego mu nie poskąpił, obchodząc teraz wspaniale, radośnie dziewięćsetną rocznicę jego koronacji,

Chcąc pożyteczniej wniknąć w zamiary i działania Bolesława Chrobrego, warto poznać warunki, wśród których obracał się jego rodzic, Mieszko I, panujący w Polsce, jako książe, od r. 960 do 992 roku.

Przytem zauważmy, że w r. 962 papież uznał Ottona I-go, władcę Niemiec, za następcę Cezara rzymskiego i ukoronował koroną cesarzy rzymskich. Rzymska wiara chrześcijańska oddana była — pisze historyk Wacław Sobieski — w ręce niemców, jako apostołów, jako jej głównych protektorów. Szerzyli ją niemcy wśród słowian przemocą, z mieczem w ręku, mordując pogan. Krzyż w ich ręku był symbolem nie miłosierdzia i braterstwa, ale siły i gwałtu. Przed wiarą Chrystusową szedł strach. Niemiecki margraf (dowódca) Gero, zaprosiwszy w r. 939 około trzydziestu książąt słowiańskich, upoił ich i w nocy kazał wymordować, a w Rzymie, przed Stolicą Apostolską, udawał apostoła miłości Chrystusowej.

Snadno mógł Mieszko przewidywać, jakiego sam i własne jego państewko muszą doznać losu od takich krzewicieli wiary chrześcijańskiej! Niebawem ukorzył się przed mocą tej wiary, ale nie chciał przyjąć jej z rąk niemieckich. Odgadywał bowiem przenikliwie zamysły niemców: oni, udzielając mu chrztu św., staliby się dla niego i jego ludu nauczycielami wiary i jednocześnie władcami!

Gdyby z ich rąk on i lud jego przyjęli religję Chrystusową, musieliby im za nią oddać raz nazawsze niepodległość swoję.

Uląkł się tego — nasz książe Mieszko i gdzieindziej poszukał dla siebie i swoich pomocy do otrzymania chrztu św. Udał się po to do księcia czeskiego, Bolesława — i wprędce otrzymał córkę jego, Dobrówkę, za żonę, która też wprowadziła go przez chrzest św. do Kościoła rzymskiego w r. 966.

Mieszko był bardzo zręcznym politykiem, ale wodzem nieszczęśliwym. Nie potrafił dać należytej odprawy swoim sąsiadom, często napastującym jego krainę. Niemcy zdołali mu niejednokrotnie zaszkodzić w bojach, czesi zaś nawet zabrali mu Chrobację Białą,—a wielki książe kijowski, Włodzimierz, zagarnął w r. 981 Przemyśl, Czerwień i pobliskie grody.

Za to starał się politycznie zapewnić sobie pomoc i powagę przez nawiązanie ściślejszego przymierza z królem węgierskim, Gejzą, oraz monarchami: szwedzkim, norweskim i duńskim.

I od niemców politycznie bronił się bardzo pomyślnie. Bo kiedy cesarz Otton I-y umarł, wnet o berło cesarskie naraz dwuch następców zaczęło się ubiegać: syn nieboszczyka, oraz książe bawarski, Henryk. Wówczas Mieszko jął popierać Henryka w tej nadziei, że, za pomoc okazaną, Henryk odwdzięczy się Mieszkowi dużemi ustępstwami, bo przecież obowiązany był Mieszko płacić cesarzowi niemieckiemu pewne daniny, jako ciągle od niego zależny politycznie, co Mieszka krępowało i—poniżało....

Mieszko chciał się uwolnić od tej zależności i właśnie dlatego popierał Henryka, lecz, niestety, Henryk przegrał, a syn Ottona I-go objął panowanie, jako Otton II-gi,—ale Otton II-gi krótko cieszył się władzą, bo wnet go śmierć zaskoczyła.

A po jego śmierci Henryk bawarski ponownie usiłował zdobyć tron cesarski i znowuż Mieszko próbował trzymać jego stronę. I tym razem jednak nie powiodła się im obu wyprawa. Henryk musiał ustąpić, a synek małoletni zmarłego cesarza, jako zwycięzca dostał rządy w swoje ręce, przyjąwszy imię Ottona III-go.

Tak wprawdzie bez powodzenia Mieszko I-y parokrotnie popierał Henryka bawarskiego, jako **swego kandydata** na tron cesarski, mamy w tem jednak dowód, że Mieszko, jako polityk zabiegliwy, takiej nawet chwytał się sposobności, aby tylko z siebie i swego państwa polskiego zdjąć nieznośną i szkodliwą zawisłość od Niemiec.

Atoli czego nie zdołał dokonać ojciec, to wzupełności i nawet bardzo pomyślnie spełnił syn jego, Bolesław Wielki, zwany w historji Chrobrym, bo wielką odznaczał się walecznością.

Po śmierci ojca, Bolesław Chrobry przedewszystkiem odjął władzę braciom swoim, między których Mieszko na krótko przed swoim zgonem podzielił był państwo polskie.

Tak nanowo zjednoczywszy Polskę, Bolesław, mąż genjalny, obrócił swe oczy ku morzu Bałtyckiemu, rozumiejąc, że musi swojej Polsce otworzyć szeroki, bezpośredni i własny dostęp do morza, które ją połączy z całym światem, da jej dogodny sposób do korzystnego zbywania wszelkich swoich produktów i sprowadzania towarów, potrzebnych ze stron obcych a dalekich!

Chcąc ten plan swój wykonać, Bolesławowi pierwej wypadało pokonać i włączyć do Polski ludy, zamieszkujące Pomorze i Prusy. Zaraz też wyprawa wojenna udała mu się pomyślnie. Ale pomorzanie i prusacy byli poganami. Nie chciał ich oddać apostolstwu niemieckiemu, bo niemcom niedowierzał, więc żadnej od nich nie żądał posługi, gdyż przewidywał trafnie, że niemcy, nawróciwszy pomorzan i prusaków, zaraz ich samych i ich ziemię zagarnęliby w swoje drapieżne ręce. A przecież Polsce te obszary nadmorskie były niezbędne, bo tylko przez nie Polska łączyła się bezpośrednio z drogą morską, wiodącą w różne strony całego świata.

Przeto Bolesław posyła tam, na Pomorze i do Prus, apostołów swoich, szczególniej św. Wojciecha, który, prawdziwie jak wielki święty misjonarz, ofiarował siebie niepodzielnie na służbę Bożą dla zjednania Kościołowi Jego jaknajwięcej wyznawców. Gorliwie nauczając ludność pogańską, wielu nawrócił, ale sam zginął śmiercią męczeńską.

Bolesław wdzięczny, wykupił ciało św. męczennika, dając za nie prusakom tyle złota, ile ono ważyło. Następnie złożył je w kościele w Gnieźnie, jako swej stolicy.

Nienapróżno poległ za wiarę św. Wojciech. On zginął śmiercią męczeńską, ale za to Pomorze i Prusy zostały nawrócone i przyłączone do Polski. Chrobry, król polski, zaopiekował się rozpowszechnieniem wiary chrześcijańskiej w swojej krainie. Bóg błogosławił jego zamysłom. — Polska stała się opiekunką Kościoła Chrystusowego — i już pozyskała w nagrodę stałe zetknięcie się, jak ze swoją własnością — z morzem Bałtyckiem!

Gdy już ten zamysł swój Bolesław Chrobry urzeczywistnił, — uderzył na Czechów i odebrał im Chrobację Białą z Krakowem, Ślązk z Wrocławiem i ziemie słowaków zakarpackich.

Świetne zwycięstwa religijne, polityczne i wojenne Bolesława Chrobrego uczyniły wnet imię jego głośnem w całej Europie. Szczególniejszą na niego uwagę zwrócił papież Sylwester II-gi i cesarz niemiecki, Otton III-ci.

Cesarzowi podobał się młody monarcha polski, odgadł w nim męża, zdolnego do czynów wielkich. Zaczął się z nim liczyć i szukać jego przyjaźni....

Znalazł Otton III-ci dogodną okazję do zawiązania bliższej znajomości z Bolesławem Chrobrym.

Oto cesarz w roku 1000-ym postanowił odbyć pielgrzymkę religijną do grobu św. męczennika Wojciecha w Gnieźnie.

Bolesław z niezmiernym przepychem i nader gościnnie podejmował w Gnieźnie cesarza i bardzo liczny orszak jego.

Rostoczył przed gośćmi swemi olbrzymie bogactwa własne. Rozdał cesarzowi i wielu dostojnikom jego mnóstwo podarków cennych. Okazał się dla nich nietylko hojnym, ale nawet jak gdyby rozrzutnym! A czynił to rozmyślnie, żeby przedstawić się im jako gospodarz doskonały, władający krainą ogromną i bardzo bogatą!

Dopiął swego, bo olśnił niemców, a nadewszystko cesarza tak sobie ujął, że cesarz w przystępie niejako zachwytu i uznania, zdjął ze swej głowy koronę i na chwilę przyozdobił nią głowę Bolesława na znak wielkiego poszanowania i życzliwości swej dla niego, nadto nazwał go swoim **przyjacielem i sprzymierzeńcem**, obdarował go włócznią św. Maurycego i gwoździem krzyża świętego.

Taka szczodrobliwość i poufałość cesarza pochodziły tylko stąd, że Bolesław Chrobry już **przekonał wszystkich czynami swemi**, jak jest zaradny, pilny i potężny! Nawet zdawało się, że daje wszystkim zawczasu do zrozumienia, iż niebawem jeszcze więcej spełni czynów wielkich!

Po tych odwiedzinach Otton III-ci już **musiał**

**dać** Bolesławowi **znaczne ustępstwa**. A głównie uwolnił Kościół w Polsce od władzy arcybiskupa niemieckiego w Magdeburgu. Taka niezależność w sprawach kościelnych była bardzo na rękę Bolesławowi, bo już mógł swobodnie podług swego życzenia i swoich widoków dźwigać w Polsce życie religijne przez wznoszenie nowych kościołów i ustanowienie biskupstw w różnych punktach państwa rozległego. A więc wnet założył arcybiskupstwo w Gnieźnie, a biskupstwa: w Kołobrzegu, w Krakowie, w Wrocławiu, a potem i w Płocku, na Mazowszu, jak o tem świadczy historyk Szajnocha.

A inny historyk polski, Józef Szujski, podaje za ówczesnym kronikarzem sąd pochlebny o Bolesławie, że był nietylko walecznym, jako wódz, — mądrym, jako polityk, — sprawiedliwym, jako król, — gościnnym, jako gospodarz, ale i pobożnym, jako chrześcijanin i gorliwy fundator kościołów, klasztorów i biskupstw.

Juz to było wielkie zwycięstwo i olbrzymi tryumf Bolesława Chrobrego, gdy cesarz niemiecki Otton III-ci **musiał** zwolnić Kościół w Polsce z pod władzy duchowieństwa niemieckiego.

**Musiał**, bo wszakże był niejako zmuszony do tego przez rozum, charakter i nadzwyczajną zabiegliwość Bolesława Chrobrego. Toć władca polski nigdy nie tracił czasu, nie marudził, nie zwlekał, nie namyślał się zbyt długo, mało mówił—a dużo czynił!

Szybko tedy rosło państwo Polskie w potęgę, bogactwo i znaczenie.

Bolesław Chrobry sam silny duchem czynił Polskę również silną, potężną! Jaki mistrz, — takie dzieło. Jaki wódz, — taka armja. — Jaki gospodarz, — takie gospodarstwo. **Jaki naród — takie państwo!...** Jaki pan, — taki kram!...

My, polacy, zawsze pamiętajmy o tem! I dziś, patrząc w swoje państwo, w niem, jak w zwierciedle, oglądajmy oblicze ducha swego!...

Ale wróćmy do naszego dzielnego i nigdy niezapomnianego (i oby dziś naśladowanego przez cały naród polski) Bolesława Chrobrego!

Mocą swego rozumu i charakteru **tworzył** państwo Polskie wielkie, silne, zasobne i dobrzę gospodarujące: miało ono u siebie skarb pełny, wojska bardzo wiele, sprawiedliwość czynna, pilną i niepobłażliwą i zupełny posłuch dla swojej władzy. Był gospodarz dobry—i była dostateczna karność w jego domownikach!

Widział to świat, — i dlatego rosło w nim poszanowanie dla Polski, jako mocarstwa. Tem mniej nie mógł tego nie widzieć Otton III-ci i dlatego musiał być coraz łaskawszym i ustępliwszym dla Bolesława i jego Polski.

Tak więc świat szanował i szanuje tylko **mądrość, ale silną i zabiegliwą!...**

Te trzy moce ducha muszą być zawsze razem, bo tylko one razem działając, wykonają każdą robotę pomyślnie i doskonale.

Bolesław Chrobry niezaprzeczenie miał mądrość wielką — i dlatego historja zwie go Wielkim. Miał też w sobie, w swoim charakterze, nielada siłe, tęgość twórczą, zwycięską i z tego powodu przywarł do niego przydomek: Chrobry! Ale i znacznej zabiegliwości nigdy w nim nie brakło, — zabiegliwości chyżej, nawet gwałtownej i dlatego w tak krótkim przeciągu czasu, bo tylko 34-y lata gospodarując w Polsce, zdążył wielu ważnych i olbrzymich dzieł dokonać: uczynił swoję Polske rozległą, silną, rządną, bogatą i szanowaną!

I dlatego właśnie przezorny Otton III-ci i jego doradcy liczyli się z Bolesławem Chrobrym, bo już widzieli w nim bądź pożądanego dla nich sprzymierzeńca potężnego, — bądź przciwnika **bardzo niebezpiecznego.**

I tym ostatnim, istotnie, okazał się Bolesław szczególniej dla niemców. Bo gdy umarł cesarz Otton III-ci w r. 1002, zaraz Bolesław skorzystał z chwilowego w cesarstwie bezkrólewia i na czele swego wojska, przekroczywszy rzekę Odrę, opanował Łyżyczan i zagarnął Miśnię, — już jako marchję (prowincję), którą niemcy utworzyli —jak pisze historyk Władysław Smoleński — pomiędzy Łabą i Salą z podbitych ziem serbskich. Gdy mu na zjeździe w Merseburgu nowy cesarz, Henryk II-gi, przyznał tylko ziemie Łużyczan i Mileczan, Miśnię zaś oddał komu innemu, Bolesław przygotował się do wojny z niemcami, której wybuch przyśpieszyły wypadki czeskie. Oto szukał w Polsce poparcia wypędzony przez czechów książe Bolesław Rudy, którego miejsce zajął protegowany przez niemców Jaromir. Bolesław Chrobry Jaromira wypędził, później zaś, korzystając z zamieszek, całe Czechy wcielił w skład Polski. Stało się to hasłem do wojny z cesarzem Henrykiem 2-gim, który nie chciał pozwolić na taki rozrost Polski i na usunięcie Czech z pod wpływu niemieckiego.

Czternaście lat Bolesław Chrobry prowadził wojnę z niemcami (od 1004 do 1018 roku) i wykazał w niej wiele zręczności, przebiegłości i męstwa. Broniąc przepraw przez rzeki, szukając osłony w puszczach, przeciągał zwykle pochód niemców do zimy, a podczas niej trapionych głodem i chłodem nużył zaczepkami i zmuszał do odwrotu. Oddziały drobniejsze wciągał w zasadzki, brał w niewolę, lub tępił. Zanim cesarz skłonił sprzymierzeńców do nowej wyprawy, Bolesław, trzymając ziemie oporne w swem posiadaniu, rozpoczynał działać zaczepnie, przygraniczne prowincje niemieckie pustoszył, ludzi ich przejmował trwogą.

Dla zgnębienia cesarza — opowiada Smolenski — potrafił Bolesław używać i samych niemców. Jego bowiem sprzymierzeńców podżegał do buntu; a osobistości, mające na dworze cesarskim wpływ, ujmował sobie skrytemi darowiznami, przekupstwem... Nadto, ponieważ do wypraw na Polskę powoływał Henryk II-gi nawet pogan słowiańskich, więc Bolesław, przypominając duchowieństwu niemieckiemu swoje zasługi około głoszenia ewangelji na Pomorzu i w Prusach, zohydzał w oczach tegoż duchowieństwa cesarza, jako wroga wiary chrześcijańskiej!

Nic tedy dziwnego, że z powodu wielkich korzyści, jakie Bolesław osiągał w walce z cesarzem niemieckim mieczem i intrygą, budził ku sobie nienawiść i gniew patrjotów niemieckich. Współczesny

kronikarz, biskup merseburski, Dytmar (Tietmar), nazywa go lwem ryczącym, lisem przebiegłym i chytrym, wężem jadowitym, niegodziwcem okrutnym.

Oczywiście, nie mogli go niemcy chwalić, bo on przecież ani umyślał zasługiwać na ich pochwały! Owszem, byłby chwalony doczasu, gdyby im sprzyjał, a potem byłby pogardliwie podeptany butem niemieckim, gdyby przez nich został zwyciężony, a lud jego w niewolę wzięty!... Nienawidzili go całą pasją doznanego zawodu, bo chcieli ciągle iść naprzód ku wschodowi, chcieli ustawicznie zagarniać pod swoją władze coraz więcej ziemi słowiańskiej! A tu oto stawał im na drodze, jako zawada niezwyciężona, mocny wróg, Bolesław Chrobry, który nietylko zatrzymał ich pochód zaborczy, ale nawet ośmiela się odbierać im ziemie i ludy słowiańskie, które oni zdążyli przywłaszczyć sobie i uznać je jako swoję własność prawowitą, bo zdobytą ich mieczem!..

Bolesław Chrobry podjął tę wojnę przewlekłą bynajmniej nie jedynie w celach zaborczych, lub z łakomstwa na cudze ziemie. Nie! Tylko chciał słowian, pobratymców swoich, uciemiężonych w niewoli niemieckiej, wyswobodzić i zjednoczyć z Polską, — jako ojczyzną, wspólną wszystkim słowianom!... Niestety, nie zdołał w tej wojnie całkowicie wykonać swego planu, tak zbawiennego dla słowian. Zaledwo mógł do Polski przyłączyć Łużyczan, Mileczan i Morawian. Bo już pilno mu było zakończyć wojnę z niemcami, — gdyż inna sprawa, niemniej dla niego ważna, wołała go w inną stronę — do Kijowa!... Zawarł przeto Bolesław Chrobry pokój z cesarzem w Budziszynie 1018 roku — i zaraz z wojskami swemi przerzucił się na wschód, bo go tam wzywał na pomoc książe ruski, Świętopełk...

Zdobywszy Kijów — pisze Smoleński — i osadziwszy na tronie ruskim swego zięcia, Świętopełka, wkroczył po jedenastomiesięcznym pobycie nad Dnieprem, do Chrobacji Czerwonej, którą zagarnął i z łupem wielkim wrócił do kraju.

Wyprawa na Ruś — nadmienia historyk Szujski — była ostatnią Chrobrego wyprawą. Ostatnie lata jego panowania przeszły w spokoju, zapewne na wewnętrznem urządzaniu państwa.

Wreszcie upatrzył Bolesław Chrobry odpowiednią chwilę — i już — nie pytając nikogo o pozwolenie, ani cesarza, ani nawet papieża, — jako prawdziwie niepodległy mocarz wielkiej niepodległej Polski, kazał ukoronować siebie w Gnieźnie 1025 roku przez arcybiskupa gnieźnieńskiego w obecności dostojników duchownych i świeckich.

Stanął wobec narodu swego i wobec świata całego jako król samodzielny państwa, od nikogo niezależnego!

Po koronacji wkrótce umarł, zdaje się 17 czerwca 1025 roku.

Powszechna żałoba po jego śmierci, o której kronikarz, Gallus, wyraźnie opowiada, żałoba, rok cały trwająca, wśród której nie było ślubów, biesiad, szat jasnych, kwiatów we włosach dziewic, świadczy, jak naród umiał uczcić swego bohatera.

Ale sąsiadujący słowianie, a przynajmniej nie wszyscy współcześni, potrafili należycie zrozumieć ideały i charakter Bolesława Chrobrego.

Niechże przynajmniej dzisiejsze pokolenie polskie najstaranniej i serdecznie przejmie się myślami i działaniami politycznemi mądrego Bolesława Chrobrego, bo one i dziś jeszcze mają dla nas urok i świeżość nauki niezmiernie pożytecznej!

Toć Bolesław narodowi swemu, a więc i nam, zostawił w spuściznie pierwszorzędnej wagi wskazania: trzy polityczne, a dwa moralne:

— Polska musi mieć dostateczny, dogodny dostęp do morza Bałtyckiego!...

— Niemcy są najniebezpieczniejszemi wrogami naszemi! Nigdy im dowierzać i folgować nie możemy!...

— Starać się o zbliżenie i zjednoczenie ze słowianami, ale tylko na prawach równych, więc bezpiecznie dla swej odrębności narodowej.

— Stać mocno, niezłomnie przy Kościele Katolickim, ale w jedności z Rzymem.

— Utrzymać u siebie doskonałą jedność narodową, ożywioną mocną wiarą we własne siły, bo żadna potęga ziemska nie zdoła nas pokonać!..

Dowiódł tego Bolesław Chrobry. On pierwszy otworzył Polsce drogę do morza Bałtyckiego, bo Pomorze i Prusy, więc i Gdańsk przy ujściu Wisły uczynił polskiemi i chrześcijańskiemi.

On zgromadził ludy słowiańskie pod swoje opiekuńcze skrzydła, jak kokosz kurczęta, — lecz, niestety, niektóre ludy słowiańskie, jak czesi, nie chciały go zrozumieć, wolały sprzyjać niemcom i — w nagrodę zostały przez nich ujarzmione i nawet w znacznej części wynarodowione...

Zjednoczył swój naród pomyślnie w potężne panstwo, natchnął go wiarą we własne siły, przekonał go, że nigdy nie będzie mu strasznym żaden wróg, nawet tak mocny i chytry, jak niemiec! Bo i na niego znalazł sposoby skuteczne!... Nietylko nie dał mu się pokonać, ale, owszem, odparł go od granic polskich i—nawet wydarł mu niektóre słowiańskie ziemie zabrane!..

Imię Bolesława Chrobrego niech po wszystkie czasy wspaniale jaśnieje w naszej przeszłości, jako gwiazda chwalebna, — a jego czyny i wskazania mądre niech będą przykładem, nauką i bodźcem dla nas, jego potomków, jako puścizna droga!

Dziś wszyscy powinniśmy wiernie i pilnie stosować się do testamentu Bolesława Chrobrego, a więc —powinniśmy dążyć do odzyskania ziem polskich nad morzem Bałtyckiem, — do dzielnej obrony Polski przed zaborczemi i bezczelnemi niemcami — i do współżycia przyjaznego na równych prawach ze wszystkiemi braćmi słowianami.

Cześć serdeczna Bolesławowi Chrobremu, jako znakomitemu bohaterowi narodu polskiego! — Cześć mu!...

# Oni mogli, — a my nie?

Pisząc powyższe zdanie: „oni mogli, — a my nie?“ mam na myśli „Rolniki“, **pomyślnie działają-**

ce w Wielkopolsce. Tam los ich już jest najpewniejszy. Nie upadną! Owszem, są niezbędne i niesłychanie pożyteczne. Jest im dobrze i ogółowi z niemi dobrze.

A przecież był czas, kiedy ich tam wcale nie było. I właśnie wówczas, kiedy ich jeszcze nie było, rolnicy polscy czuli się nie dobrze, doznawali dużo krzywd od prywatnych kupców wyzyskiwaczy. Doznawane stale krzywdy od kupców pobudzały tam, w Wielkopolsce, rolników i ich przyjaciół do znalezienia takiego sposobu, któryby zażegnał skutecznie zło trapiące.

I znaleźli, tworząc „Rolniki", to jest spółki wielu rolników, zjednoczonych dla spólnej sprzedaży własnych produktów i nabywania niezbędnych artykułów gospodarczych.

Do pomyślnego zapoczątkowania „Rolnika" głównie przyczynił się ksiądz Wawrzyniak, który założył 28 maja 1900 roku spółkę surowcową w Mogilnie pod firmą „Rolnik" i osobiście zajął się jej kierownictwem, zastrzegając, że ta spółka ma być narazie tylko stacją doświadczalną dla podobnych organizacji, projektowanych na przyszłość, o ile próba da wynik pomyślny.

Wyszedłszy ze sfery włościańskiej — pisze profesor Załuski — i patrząc, jak uprawiano lichwę przy zakupie produktów pastewnych, nasion, czy nawozów sztucznych, gdzie i ceną i lichą jakością towaru szczególniej rolnik drobny był wyzyskiwany i również jak przy sprzedaży płodów rolnych obniżano zarobek przez zbyt nizką cenę, ksiądz Wawrzyniak, przejęty doniosłością sprawy, poświęcił się jej niepodzielnie i mimo wielkich trudności zaszczepił tę nową organizację z taką skutecznością, że dziś po niewielu latach przyszłość „Rolników" jest zapewniona!

Przy rozpoczęciu swej działalności „Rolnik" miał wielkie trudności. Bo przedewszystkiem niepewność, czy interes pójdzie, a z tego powodu powściągliwość i niedowierzanie osób, od których zainteresowania rozwój spółki zależał, nadto brak funduszów i ograniczony kredyt dla instytucji nowej — a nadto agitacja przeciwników szerzyła najgorsza opinję dla tej nowej pracy, która przecież zapowiadała bankructwo wszystkim miejscowym kupcom - wyzyskiwaczom!.. Tyle przeto trudności i przeszkód musiał bardzo rozumnie i wytrwale pokonywać zaraz w początkach zarząd „Rolnika". Jednak ksiądz Wawrzyniak, trzymając się ściśle wytkniętego programu, przestrzegając z bezwzględną surowością ustaw i prawnych przepisów, zdobył zaufanie, a widoczny rozkwit rozmnażających się dość szybko tych spółek, wprędce przekonał, że przyszłość „Rolnika" to przyszłość okolicznego rolnictwa. Dziś zaś interes wszystkich „Rolników" stał się interesem polskiego rolnictwa całej Wielkopolski.

Następnie obok „Rolników" powstały banki ludowe, czyli kasy pożyczkowo - oszczędnościowe. Instytucje te jeszcze inaczej są nazwane: spółkami zarobkowemi. Potem utworzony został związek spółek zarobkowych — i on bardzo przyczynił się do wzmożenia działalności pomyślnej zarówno „Rolników", jak i banków ludowych.

Gdy już w całej Wielkopolsce rozpowszechniły się „Rolniki" i banki — i gdy już zaczęły one działać energicznie, dzielnie, wnet nastąpiła wielka zmiana w ustroju i stanie tamtejszego społeczeństwa polskiego.

Oto jak o tej zmianie opowiada profesor Załuski:

W Poznańskiem, jak zresztą w każdej innej części Polski, wszędzie: w każdem mieście i miasteczku, a nawet w wielu większych wsiach, zwłaszcza kościelnych, mnóstwo mieszkało żydów.

Naprzykład, w Kępnie było ich 57 procent, w Swarzędziu 55 pr., w Wrześni 45 pr., w Kórniku 43 pr., w Rogoźnie 37 pr., w Szamotułach 35 pr.— i w wielu jeszcze innych miasteczkach przeszło 30 procent.

Liczby te pochodzą z roku 1848. Polak z byłego Królestwa, lub z tak zwanej Galicji, gdy wpatrzy się w liczby powyższe, powie odrazu, że w Poznańskiem nawet w roku 1848 było mniej żydów, aniżeli w innych częściach Polski. Prawda, bo wszystkie miasteczka Królestwa Polskiego i Galicji miały i dziś jeszcze mają 70, 80, nawet 90 procent żydów!..

Tak więc miasteczka poznańskie wówczas mniej ich miały u siebie. Ale trzeba nadmienić, że tam obok żydów sporo jeszcze niemców mieszkało—i nawet stopniowo coraz więcej ich osiedlało się na stałe, bo przecież niemcy mieli ten zamiar wyraźny i stanowczy, by polaków całkiem usunąć, wykorzenić, zatrzeć po nich ślady, nawet z czasem krainę polską przerobić na niemiecką.

Otóż tam, w całej Wielkopolsce, rodacy nasi doskonale sobie zdawali sprawę, że czeka ich zagłada, wysiedlenie, lub wynarodowienie, bo niemcy tylko do tego dążą, w coraz większej liczbie napływają do miast, miasteczek i wsi polskich, domy i grunta polskie wykupują, handel, przemysł i rzemiosła ujmują w swoje ręca, a żydzi miejscowi w tem im dopomagają bardzo rażno i przebiegle, — bo przecież wiadomo, że żydzi zawsze byli i są naszemi przeciwnikami, że zwykle sprzymierzają się z mocniejszemi wrogami naszemi.

Tak nad głowami rodaków naszych w Poznańskiem rosła chmura straszna, która groziła im zgubą całkowitą: żydzi i niemcy podali sobie ręce poto żeby **polaków zubożyć, wycieńczyć nędzą i w taki sposób zmusić ich do** opuszczenia ojczyzny i wywędrowania z torbą i kijem żebraczym w obce i dalekie strony!

A w ich ojczystem gnieździe rozsiedliby się niemcy i żydzi, — i, oczywiście, gniazdo polskie, nazwaliby ojczyzną niemiecką. Tak miała zginąć Wielkopolska.

Ale tamtejsi rodacy nas nie dali się! Strach przed zgubą pobudził ich **do wytężonej pracy** rozumnej i do związania się **w jedność potężną!**

**Praca i jedność** stały się tam bronią niezbędną w walce ekonomicznej z wrogami!

Zaraz jednak nadmieńmy, że nie byle jaka praca i jedność!

Bo walka ekonomiczna częstokroć bywa nawet niebezpieczniejszą od walki na bagnety!..

W walce ekonomicznej, czyli zarobkowej, a więc w walce handlowej, przemysłowej i rzemieślniczej

zwycięża nie silniejszy w rękach i nogach, — ale pracowitszy, zabiegliwszy, pilniejszy i—posłuszniejszy!

To dla nas jest niezmiernie pocieszającem, jak właśnie rodacy nasi w Wielkopolsce (w zaborze niemieckim) dowiedli światu, ze gdy nastraszyła ich zachłanność niemiecka i żydowska, potrafili zdobyć się na powyższe cnoty niezbędne — i nietylko nie dali się zgubić, ale pokonali żydów i niemców tak zręcznie i skutecznie, iż mówcy nie mogli żadnego uczynić polakom zarzutu, a żydzi, już niemając co robić w Wielkopolsce, **wynieśli się z niej w inne strony!..**

Wynieśli się prawie całkowicie, bo tam, gdzie było ich około roku 1850 prawie 50 procent, to jest pól-na-pół z ludnością polską i niemiecką,—już około roku 1910-go, więc kiedy rozpowszechniły się „Rolniki" i banki ludowe, było ich zaledwo jeden procent, a w niektórych miejscowościach nawet całkowicie ustąpili!

Polak z byłego Królestwa, lub z byłej Galicji, czytając o tak pomyślnych wynikach zabiegliwości ekonomicznej rodaków naszych w Wielkopolsce, narazie gotów powątpiewać, czy to prawda? a może to tylko złudzenie? Bo czy to prawda, żeby polacy potrafili obywać się bez żydów?—albo żeby żydzi aż nic nie mogli zarobić u polaków?

— No, no, to bardzo dziwne, nawet nie do wiary! — Tak wołacie rodacy, czytając wiadomości tak ciekawe!

A jednak to prawda niezawodna!

„Rolniki" w Wielkopolsce tak się rozmnożyły i tak pomyślnie działają, że niemal wszystek handel ziemiopłodami i artykułami niezbędnemi polskim rolnikom ujęły one tam w swoje ręce.

Zatem rolnicy polscy obsługiwani są wyłącznie przez swoje, polskie stowarzyszenia handlowe. A zaś banki ludowe tyle gromadzą u siebie oszczędności polskich, że są w stanie udzielać łatwych i tanich pożyczek przemysłowcom i rzemieślnikom polskim, którzy, tak popierani, tem pomyślniej powiększają swoje przedsiębiorstwa i warsztaty. W ten sposób tylko dzięki wielkiej **zabiegliwości, pilności i posłuszeństwu** rodaków, praca ekonomiczna wzmogła się znacznie, przez nią podniosła się zamożność całego tamtejszego społeczeństwa polskiego, tak, że i niemcy i żydzi nie dali sobie z niem rady, musieli bądź stamtąd umykać, bądź znacznie spotulnieć i zaniechać współzawodniczej walki z polakami, bo przekonali się, że polacy są od nich ekonomicznie mocniejsi...

„Rolniki" i banki ludowe w Wielkopolsce są przeto dowodem oczywistym i bardzo pocieszającym, że tamtejsi rodacy nasi **potrafili** ekonomicznie, a wiec pra ą zarobkową: kupiecką, przemysłową i rzemieślniczą **pokonać niemców i żydów!..**

Polacy tam potrafili, a w innych częściach Polski to nie potrafią?

Owszem, potrafią wszędzie, byle tylko chcieli wszędzie tak zabiegliwie, pilnie i posłusznie pracować, jak to czynili w Wielkopolsce od tego momentu, kiedy przkonali się, że niemcy i żydzi zmówili się zgubić ich doszczętnie przez zubożenie i wykupienie od nich ziemi, domów, sklepów i warsztatów.

Wtedy tam polacy podali sobie jedno hasło: „Nie dajmy się!"

I posłuszni temu hasłu, zabrali się do pracy usilnej, wytrwałej.... Zwyciężyli!

Oni tam mogli,—a my tu nie?...

## NOWINY Z POLSKI.

Wystawa „Wsi polskiej" odbędzie się w Liskowie od 18 czerwca do 5 lipca r. b. Ciekawa i bardzo pouczająca wystawa, godna zwiedzenia przez miłośników kultury polskiej. Lisków, wieś, leży w ziemi kaliskiej. Dojazd do niej koleją do stacji Opatówek, a dalej końmi, lub samochodem, które na gości wystawowych czekać będą stale w ciągu wszystkich dni trwania wystawy.

W Liskowie miejscowy ksiądz kanonik Wacław Bliziński wiele rozmaitych instytucji założył, niezbędnych dla wsi polskiej. Niech te instytucje tam zobaczy każdy, kto pragnie takie same w swojej wiosce założyć. Oby takich gości w Liskowie znalazło się tylu, ile wsi posiada Polska, a niebawem ojczyzna nasza zostałaby zaliczona do rzędu najlepszych krain w świecie całym, a lud jej do najkulturalniejszych!

Czy to niemożliwe? Owszem, stać się to może i powinno. Bo jeśli Lisków mógł się na nie zdobyć w ciągu lat 25 chyba nie najlżejszych bo przecież w ciągu tego dwudziestopięciolecia mieliśmy kilkanaście lat jeszcze niewoli rosyjskiej, potem cztery lata wojny strasznej, a następne lata bardzo kłopotliwe, ciężkie, niepomyślne z różnych powodów, od nas i nie od nas zależnych,—to chyba już nikt nie zdoła się od podobnych zabiegów wymówić jakiemikolwiek trudnościami, przeszkodami

A więc jedźmy do Liskowa. Zobaczymy tam bardzo pożyteczne i niezbędne instytucje, a następnie niech każdy z nas weźmie się u siebie, w swojej wsi do tworzenia podobnych, tak, żebyśmy za drugie 25 lat mogli już w każdej wsi widzieć u siebie to wszystko, co obecnie nam Lisków na swej wystawie pokaże!

— W Bychawie 7 czerwca obchodzono uroczyście 900-tną rocznicę koronacji Bolesława Chrobrego. Na nabożeństwie były obecne szkoły z nauczycielstwem. Odpowiednią naukę wygłosił ks. M. Jabłoński. Wieczorem w domu ludomym miejscowa młodzież odegrała dwie sztuki teatralne bardzo udatnie. Trzeba przyznać, że zespól amatorów i amatorek zasługuje na pochwałę i zachęte do urządzania częstych przedstawień. Teatr bowiem, dając sztuki ładne, bardzo przyczynia się do rozbudzenia w duszy ludzkiej najlepszych myśli i upodobań. Teatr dobry—to wielkiej wagi czynnik duchowy—i narodowy. Niemcy doskonale rozumieją znaczenie teatru i dlatego wszędzie starają się przy pomocy swego teatru działać kształcąco na swoich rodaków. A my, polacy, zdaje się jak gdyby lekceważymy, bagatelizujemy znaczenie kulturalne teatru, Szkoda!

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 21 czerwca 1925 r. № 25.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



KRÓL POLSKI, STEFAN BATORY.

# UCZ SIĘ, CHŁOPCZE!

Siadł król Batory na swej stolicy,
W sławy i blasku potędze;
Miecz mu połyskał w dzielnej prawicy,
Dłoń drugą oparł na księdze.

Przed królem stało małe pacholę,
Uśmiech miał w oczach swywolny,
Alę myśl jakaś jasną na czole,
A był to biedny żak szkolny.

Choć ubiór jego nie lśnił szkarłatem,
Bo nosił świtkę siermiężną,
Nie drżał on trwożnie przed majestatem,
Choć stał z pokorą należną.

A król i mędrzec w jednej osobie,
Los chłopca mając na względzie:
„Ucz się! — doń rzecze — a ja to zrobię,
Ze będziesz w pierwszych stał rzędzie!"

Bo wiedział król ten, że nie garść złota
Darzy znaczeniem i władzą,
Ale nauką, prawość i cnota
Na szczyty sławy prowadzą.

I choć król dawno spoczął już w grobie,
Dotąd brzmi jego orędzie:
„Ucz się, pacholę, a mówię tobie,
Ze będziesz w pierwszych stał rzędzie".

Władysław Bełza.

# Godzien pochwały i naśladowania!

Dzieje własnego narodu każdy obywatel znać obowiązany.

—Nawet obowiązany? A to dlaczego?

Takie pytania zpewnością gotowy zadać niejeden obywatel polski.

Podobno najczęściej zwykliśmy brać do ręki książkę, tylko ciekawością powodowani. Łakniemy nowości, — a lękamy sie nudy.

Nudna książka, — to męka dla umysłu, pragnącego rozrywki, ale i zadowolenia.

Uczeń — co innego! On musi czytać taką książkę, jaką mu zaleca szkoła. Musi z niej uczyć się lekcji, więc do kart książki szkolnej przylgnęła uwaga ucznia po to tylko, żeby z nich zaczerpnąć wiadomości niezbędnych. A posiąść je chce i musi uczeń, bo one dadzą mu dobry stopień na cenzurze szkolnej i — tytuł wykształconego, — światłego młodzieńca.

Uczeń przeto uważa książkę szkolną, jako przedmiot, który ułatwia mu nabycie nauki — wiedzy niezbędnej. Poważa książkę szkolną, bo — poważa naukę, którą posiąść chce i obowiązany.

A po za szkołą każda inna książka, nieszkolna, chyba jedno tylko ma przeznaczenie: dać rozrywkę swemu czytelnikowi.

Nic więcej?... Tylko rozrywkę?

Takiemi pytaniami nagabnięty czytelnik—jednak po namyśle zpewnością już musi zauważyć, że przynajmniej niektóre książki dają coś więcej, aniżeli rozrywkę,.. Dają szereg wiadomości nowych, — nasuwają nowe poglądy, — nowe myśli o rzeczach,... osobach,... narodach i... życiu...

Niejedna książka, uważnie przeczytana, nawet wielką czyni zmiane w duszy czytelnika. Po niej on już inaczej patrzy na świat.

Mała książka, a zmiana w nim wielka!

Gdy czytelnikowi taka wymknie się uwaga o książce przeczytanej, już wówczas zaczyna mieć zdanie właściwe o przeznaczeniu niejednej książki. Ona mu daje nie tylko rozrywkę, ale i — naukę, więc daje dobre myśli, budzi szlachetne uczucia... i nawet skłania do zacnych postępków, a uczynków pożytecznych...

Tyle ciśnie się uwag wogóle o zadaniu książki, gdy czytamy historję panowania króla Stefana Batorego.

Bo przecież trzeba powiedzieć sobie, że historja — to nauka ciekawa i pożyteczna. A komuż ma dać pożytek? Oczywiście, wszystkim, a szczególniej —rodakom.

Historja, jako nauka, ma urok wielki. Myśli nasze przenosi w dawne czasy, przedstawia nam charaktery ludzi rozmaitych, obyczaje narodów, postępki ich i — następstwa dobre albo złe. Jakie czyny, — takie skutki.

Każda historja najmocniej przekonywa o wartości zalet i wad ludzkich.

Jakie znaczenie ma charakter człowieka, co warta jest praca ludzka, jakie skutki muszą wynikać z dobrych, a jakie ze złych postępków bądź poszczególnego człowieka, bądź gromady, niezawodnie przekonywa historja.

Historja daje naukę niezawodną, bo wszakże historja to nic innego, jak spisane przez naocznych świadków doświadczenie, przeżywane przez całe narody lub poszczególne osoby, zajmujące ważniejsze stanowiska.

A co może być ciekawszego i pożyteczniejszego nad doświadczenie narodów, a osobliwie własnego narodu?

Cudze doświadczenie — to prawda niemylna!

Zatem historja — to prawda oczywista, żywa, niejako namacalna, wołająca do wszystkich:

**uczcie się ode mnie!**

Kto chce korzystać z cudzego doświadczenia, kto chce z przykładów obcych przekonać się, jakie następstwa **muszą** wynikać z dobrych, a jakie ze złych postępków, — niech czyta historję narodów, a szczególniej historję swego narodu!

Historja właśnie dlatego ma niezmierny powab, bo daje umysłowi istotne zadowolenie i niejako nasycenie, gdyż daje mu jako pokarm prawdę, czyli mądrość życiową.

Z tego powodu już zdawna utrwaliło się zdanie powszechne, że

**historja jest nauczycielką życia.**

Bo przecież historja — powtarzamy — to nic innego, jak tylko doświadczenie narodów. A nic tak nie uczy doskonale, jak doświadczenie cudze i własne..

Ach, tak każdemu bez wyjątku niezbędna jest nauka życiowa!... Tyle przestróg, tyle zachęty, tyle niezawodnych wskazówek podaje nam każda historja!

Nam, polakom, potrzebne są rady historji. Dziś bowiem wszyscy pracujemy nad utrwaleniem pomyślnego bytu narodu i państwa swego.

Oczywiście, mamy bardzo dużo przygodnych nauczycieli pracy obywatelskiej.

Każdy z nich jest — zapewne szczerze — najmocniej przekonany, że podaje nam najlepsze i niezawodne prawdy...

I niejeden z nas poddaje się im bardzo chętnie i ufnie, prawie ślepo!..

A jednak najpewniejszą miarą do oszacowania wartości każdego nauczyciela pracy obywatelskiej może być tylko stare doświadczenie, przekazane nam przez historję, jako świadka najlepszego.

Historja więc uczy obywateli, co czynić powinni, — kogo słuchać mają, a od kogo stronić, jako od fałszywego przyjaciela.

Gdy rozważamy tę uwagę zaraz przychodzą nam na pamięć słowa króla Batorego, które był wyrzekł niegdyś do narodu polskiego:

„Celem Rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodowe — i oto staram się usilnie, **nie zważając na głosy złośliwe**“.

W tem zdaniu króla Batorego tkwią dwie prawdy

— Tylko te uczynki obywatelskie są chwalebne, które przyczyniają się do istotnego dobra narodowego...

— Bywają też i tacy obywatele, którym chodzi o coś innego, nie zaś o dobro powszechne — i na takich obywateli nie godzi się zważać...

Dzieje panowania Batorego przekonały wszystkich, że on rzetelnie troszczył się o dobro swego narodu i od tej troski nigdy nie dał się odwieść złośliwym i szkódnym wrogom Polski.

Takie o nim wydała świadectwo prawdomówna historja.

Zasłużył sobie przeto u wszystkich polaków na zaszczytną pochwałę i — naśladowanie!..

Batory objął panowanie w Polsce w warunkach dla siebie bardzo nieprzyjaznych. I rzec można, że jak długo był królem polskim, - cały czas doznawał na każdym kroku mnóstwo przeciwności wielkich, złośliwych, drażniących... a jednak, mimo to wszystko, stał przy swoich planach, urzeczywistniał je **pilnie, pracowicie i — pomyślnie...**

Po śmierci Zygmunta Augusta (7 lipca 1572 roku) — ostatniego króla polskiego z rodu Jagiellonów, - szlachta i magnaci po dość długich i burzliwych naradach powołali na tron polski cudzoziemca, francuza, Henryka Walezego, brata Karola 9-go, króla francuskiego.

Henryk przybył do Polski 18 lutego 1574 roku, lecz już w nocy z 18-go na 19-ty czerwca tegoż roku, więc po czteromiesięcznem panowaniu nieudolnem, uciekł z Polski do Francji,—bo tam objąć miał tron francuski po swym bracie, Karolu, który zmarł w tym czasie.

Po ustąpieniu Henryka Walezego jeszcze wieksze spory wszczęły się między szlachtą i magnatami o nowego kandydata na króla polskiego.

Trzech kandydatów brano pod uwagę: Maksymiljana, cesarza niemieckiego, — Iwana Groźnego, cara moskiewskiego — i Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego. Najmniej zwolenników miał Iwan Groźny, bo stawiał wymagania zatrudne do przyjecia i nawet sam zbyt wyniośle odnosił się do polaków. Toć mniemał o sobie, że jest bodaj pól-bogiem na ziemi...

Wybory były nieporządnie prowadzone. Część szlachty głosowała na Maksymiljana, — a część na Batorego. Nawet wskutek nieładu niemal jednocześnie obadwaj zostali obwołani na króla polskiego.

Naraz było dwuch królów. Ale ten tylko zdołał się utrzymać, kto wcześniej ujmie w swe ręce władzę.

Tak zabiegliwym, przezornym i stanowczym okazał się Stefan Batory. On ubiegł Maksymiljana, zbyt powolnego, wahającego się i nawet marudzącego cesarza.

Już 23 kwietnia 1576 roku Stefan Batory, jako król polski, w orszaku mnóstwa panów, rycerzy i wojska odbył uroczysty wjazd do Krakowa, jako stolicy Polski. Wprędce cały naród uznał go za króla swego i złożył mu hołd powinny.

Jeden tylko Gdańsk, zdawna do Polski należący, oświadczył sie za Maksymiljanem i przekornie odmawiał posłuszeństwa Batoremu. Srodze rozgniewało to króla. Kilkakrotnie przez umyślnych wysłanników swoich Batory upominał i ostrzegał gdańszczan, że jeśli trwać będą w uporze, on na nich znajdzie sposoby, zmusi do uległości, a za opór — ukarze.

Nic to nie pomagało: zuchwale odmawiali!

Godzi się tu nadmienić, że stary i bogaty Gdańsk był zamieszkany bodaj przeważnie przez ludność niemiecką, która wprawdzie doskonale rozumiała, że żyje i zamożnieje głównie bogactwami Polski, — ale upodobaniami, językiem, wiarą i obyczajami raczej lgnęła do cesarstwa niemieckiego, nie zaś do Polski.. A właśnie cesarz Maksymiljan, również wybrany na króla polskiego, lecz ociągający się z przyjazdem swoim do Polski, — rozmyślnie przez swoich zwolenników kusił gdańszczan do odmówienia swego posłuszeństwa królowi Batoremu.

Stale zatem Gdańsk trwał przy Maksymiljanie i dlatego bram swoich nie chciał otworzyć Batoremu. Atoli dzielny król nie zamierzał bawić się z gdańszczanami w targi! Śmiały, mądry i stanowczy — po ostatnim terminie, wyznaczonym gdańszczanom i jednak przez nich zlekceważonym, wyruszył z wojskiem na podbój Gdańska.

Bronili się gdańszczanie długo i bardzo przemyślnie, mniemając, że uda im się zapewnić sobie znaczną niezależność od Polski. Ależ nawet — jak pisze historyk Śliwiński — „żądali wówczas zupełnej niepodległości i zerwania wszelkich związków z Rzecząpospolitą Polską"...

Batory, król bardzo swiatły, zdolny, rozumiejący potrzeby państwa Polskiego i znaczenie Gdańska, jako bramy do morza Bałtyckiego, nic a nic nie folgował gdańszczanom.

Postanowił złamać ich opór — i dopiął swego celu 12 grudnia 1577 roku. Gdańsk musiał się poddać i złożyć przysięgę wobec komisarzy króla Batorego. Tak Gdańsk znowu stał się nieodłączną cząstką Polski, jej wylotem na morze Bałtyckie.

Zaledwo Batory skończył wojnę z Gdańskiem, już nową wypadało mu zacząć z potężniejszym wrogiem Polski, bo z Iwanem Groźnym, który pożądliwem okiem spoglądał na Inflany, leżące nad Bałtykiem, — zamierzając zagarnąć je całe w swoje ręce drapieżne.

Wielka wojna — pisze Śliwiński — pomiędzy Polską a Moskwą stała się nieuniknioną.

A wywołał ją i uczynił niezbędną sam Iwan Groźny swoją napastliwością zachłanną.

On zaczął. On ciągle groził Polsce wielkiem niebezpieczeństwem, bo nawet zagładą. On sięgał po Inflanty, należące do Polski — i dużą część ich zajął wojskami swemi. On rościł pretensję do Litwy naszej, dając wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że on powinien być jej władcą. On pożądliwie patrzył na Ruś czerwoną, chcąc i ją przywłaszczyć sobie.

A nawet — jak pisze historyk Szujski — bezpośrednio po zajęciu Inflant polskich, porozumiewał się Iwan przez posła swego Kwasznina z cesarzem niemieckim Rudolfem, **projektując wspólną wojnę w celu obalenia i podziału między siebie Polski.**

Iwan Groźny był pierwszym carem moskiewskim, który **stworzył wielki program polityki państwowej dla swych następców, a w tym programie umieścił zagładę Rzeczypospolitej i założenie na jej gruzach nowych podwalin pod potęgę moskiewskiego caratu.**

Gdy Stefan Batory został królem polskim chciał być nim naprawdę, a więc poświęcił się całkowicie

dla Polski, jej losem tak się przejął, że postanowił uczynić ją istotnie bezpieczną, mocną, gospodarną, mądrą i szczęśliwą!

Ale dopóty Polska nie stanie się taką—tak rozumiał król Stefan—dopóki nie poskromi groźnego wroga swego, Iwana. A nie poskromi go inaczej, jak tylko wojną, — ale wojną, prowadzoną doskonale, więc umiejętnie, walecznie, ofiarnie i wytrwale, aż do najzupełniejszego pokonania wroga, tak, iżby raz na zawsze odechciało mu się wojować z Polską, — tak, iżby gruntownie zrozumiał i uszanował prawa Polski do własnych ziem i do niepodległości!

Taką wojnę zwycięską postanowił król Batory prowadzić z Iwanem. Postanowił — i stać go było na prowadzenie jej pomyślne, zwycięskie i triumfalne, bo był nietylko mądry, stanowczy i wytrwały, ale też był sam doskonałym, doświadczonym i szczęśliwym wodzem. Znał się na wszystkich potrzebach wojskowych. Nie tylko potrafił dawać rozkazy, ale też umiał sam dopilnować i nawet doradzić, co i jak ma być wykonane.

Niezmiernie był przenikliwy. Musiał o wszystkiem wiedzieć, co się dzieje w Polsce i po za jej granicami. Dlatego dostatecznie były mu wiadome wszystkie zamysły Iwana Groźnego.

Więc gdy wydawał polecenia do przygotowań wojennych przeciwko Moskwie, takie kazał ogłosić przed narodem swoim wyjaśnienia i przestrogi.

„Przetoż — dowodził król Stefan w instrukcji dla sejmu w styczniu 1578 roku—przed wszystkiemi innemi rzeczami na tym sejmie słusznie naprzód o daniu ratunku ziemi inflanckiej (należącej do Polski), a o postanowieniu wspólnej obrony z księstwem litewskiem (również do Polski należącem) ma się stanowić i obmyślować. Widzi to każdy, jako na tem wiele należy, aby moskiewski nieprzyjaciel tamtych zamków, które pobrał i za małego czasu przedłużeniem nie umocnił, gdyż z nich ma prostą a krótką drogę do Wilna, ma także i do Prus (wówczas jeszcze polskich).—Trzeba się i na to oglądać, iż Moskiewski z dawnych wieków i przodków swoich mieni się mieć prawo na ziemię pruską, wywodząc, jakoby przodkowie jego Gdańsk, Malborg, Chojnice i inne miasta pruskie założyć mieli... Na ziemie ruskie (zdawna zjednoczone z Polską) takie też prawo aż po Wisłę wywodzi“...

Nie można wątpić, że gdyby się ten tyran w Inflantach utrzymał, to wnet o ziemię litewską, pruską i inne posiadłości Rzeczypospolitej kusić się zacznie.

„Niechaj teraz tego żaden nie rozumie — dalej król objaśnia — aby się księstwo litewskie jako przedtem bez ziemie inflanckiej obejść i bezpieczne być miało“.

Dalej nadmienił król, jakie znaczenie mają Inflanty, gdy należą do Rzeczypospolitej, bo przecież przystanie inflanckie od strony morza ułatwiają Polsce żeglugę kupiecką.

Ustałyby — pisze król w swojej odezwie do narodu — po wielkiej części kupiectwa i handle cudzoziemskie, które natenczas do portów naszych bezpiecznie przychodząc, wielki pożytek Polsce czynią. Gdyby przeto nieprzyjaciel (Iwan Groźny) opanował morze na tak szerokiej przestrzeni (inflanckiej i pruskiej), jużby zaszkodził Polsce i nawet innym krainom chrześcijańskim. Zatem samej ziemi inflanckiej, prowincji zacnej, która w sobie ma mocne zamki obronne, miasta gęste, porty osobliwe, pożytki tak z żyzności ziemi, jako też z wielu innych rzeczy rozmaitych, słusznie Polska wszystka bronić powinna, zwłaszcza, gdyż ją pod obronę wzięła“...

Tak szczegółowo i korzystnie król Stefan przekonywał swój naród o potrzebie wielkiej wojny z Iwanem Groźnym.

Chodziło Batoremu o zaznajomienie polaków z planami politycznemi Iwana.

Niech wszyscy polacy dowiedzą sie, jakie wisi nad niemi niebezpieczeństwo ze strony Moskwy, która zamyśla pokolei zabrać im Inflanty, Litwę, Prusy, Ruś Czerwoną, a potem i Mazowsze i Wielkopolskę i Śląsk...

To nie strachy, wymyślone przez króla dla przerażenia polaków i pobudzenia ich do prowadzenia wojny, której jakoby zachciewa się królowi! Nie! To już prawda okropna, bo już Iwan śle swe wojska w stronę północną do Inflant i tam jego wojska zajmują miasta i zamki. A więc Iwan już zaczął wojnę, już urzeczywistnia swe zamiary zaborcze!

Wielki czas pochód jego wojsk zatrzymać— i więcej nawet uczynić trzeba, bo należy wzamian wkroczyć do państwa moskiewskiego, tam zająć fortece w dogodnych punktach i w ten sposób zabezpieczyć raz na zawsze Polskę przed Moskwą i odjąć jej ochotę do ponawiania najazdów.

Taki plan polityczny i wojenny ułożywszy sobie, król Batory, wnet przystąpił do przygotowań wojskowych.

Sam kierował przygotowaniami wojskowemi. Ze wskazówek, poleceń, sprawdzań i pouczeń, jakie dawał swojej starszyznie wojskowej, można było domyślać się, że król Stefan jest prawdziwym mistrzem wojskowym—i snuć domysły trafne, że on potrafi swoje plany śmiało wykonać, wroga pokonać, a — Polsce zapewnić długie bezpieczeństwo!

Przygotowania trwały bardzo długo — około półtora roku.

W lipcu 1579 roku król Batory już gotowe wojsko sam poprowadził na wojnę. Miał zgromadzonych ludzi zaledwo 50 tysięcy, gdy Iwan Groźny mógł był wyprowadzić w pole setki tysięcy wojowników, a krew ludzką mniej cenił, niż wodę....

Dnia 12 lipca 1579 r. wydał król do wojsk swych odezwę, która była zarazem odezwą, zwróconą do całego świata, by wszędzie poznano przyczyny i cele wojny, do której król Batory był zmuszony.

W mocnych a dosadnych słowach — pisze historyk Śliwiński — napiętnował król Batory złe postępowanie Iwana Groźnego, wielkiego kniazia moskiewskiego, który udając miłośnika zgody i pokoju, wpadł niespodzianie, zdradziecko do Inflant polskich, **spustoszył je ogniem i mieczem, mordując jeńców, rabując spokojną ludność, pastwiąc się nawet nad kobietami.**

Wspomniał też w tej odezwie król Stefan o pre-

tensjach cara do panowania na Litwie i w Prusach, wyliczył jego niegodne wybiegi i wykręty, napiętnował podstępy i okrucieństwa. Dalej zapowiadał król Stefan, że rozpoczyna wojnę, by zatamować rozlew krwi, odebrać opanowane miasta i wymusić na Iwanie sprawiedliwy pokój. Wyrażał wiarę, że wszyscy monarchowie chrześcijańscy przyznają mu słuszność, a Bóg wszechmogący pobłogosławi wyprawie.

Ziściła się nadzieja króla.

Pociągnął z wojskiem swem pod Połock, miasto i zarazem silną fortecę, który przed laty należał do Polski, ale moskale go zabrali, więc teraz Batory postanowił go odebrać. W początkach sierpnia 1579 r. cała armja polska stanęła pod Połockiem. Oblężenie trwało prawie do końca sierpnia pod kierunkiem króla.

Dzielne wojska z wielkim trudem, ale i z nadzwyczajną odwagą zdobyły Połock.

Znowu więc Polska odzyskała swój Połock, ważną twierdzę, panującą nad Dźwiną, oraz drogami, wiodącemi do Inflant i do Moskwy.

Po wzięciu Połocka Batory postanowił zdobyć okoliczne zamki warowne: Turowlę, Sokół, Niszczerdę i Suszę.

Szczęście wojenne, uśmiechnąwszy się pod Połockiem, nie przestało sprzyjać walecznemu wojsku. W krótkim czasie wszystkie zamki powyższe zostały zdobyte.

Wojna przeciągnęła się do następnego roku 1580. I znowu król Batory z nielicznem, ale znakomitem wojskiem podążył ku wrogowi, wstąpił na jego ziemię i — zdobywszy kolejno najważniejsze miasta, zatrzymał się przed potężną fortecą Wielkiemi Łukami, która po dość długiem, lecz pomyślnem oblężeniu dostała się również w jego ręce.

I jeszcze rok trzeci wypadło królowi Stefanowi prowadzić wojnę z Moskwą.

Wprawdzie w trzecim roku wojny naszym wojskom nie udawało się zdobywanie Pskowa, fortecy wielkiej i bardzo gorliwie bronionej, ale bądź-co-bądź wytrwali wodzowie i król potrafiliby chwilowe niepowodzenie zakończyć pomyślnym triumfem. Jednak inne przeciwności skłaniały króla Batorego do zawarcia rozejmu, czyli chwilowego pokoju z Iwanem. Zawarł go 15 stycznia 1582 r.

Iwan skwapliwie zgodę podpisał, a w umowie zawartej zrzekł się na korzyć Polski całych Inflant i ziemi połockiej z miastem Połockiem. Nadto Polska zatrzymała przy sobie zdobyte: Wieliż, Jezierzyszcze i Uświałę.

O ile w początkach pierwszego roku wojny Iwan był pewnym siebie, nawet pisywał do króla Batorego listy niegrzeczne, poprostu zuchwałe, obelżywe i swoim posłom nakazywał zachowywać się wobec króla wyniośle, pyszałkowato, — to już w drugim, a bardziej jeszcze w trzecim roku wojny, kiedy wojska polskie posuwały się zwycięsko coraz bliżej miasta Moskwy — i nawet rozgłaszały, że muszą całe księstwo moskiewskie pokonać, — car pokorniał, truchlał i już sam stawał się grzeczniejszym w listach swoich, a posłom swoim nakazał zachowywać się uprzejmie i nawet błagać króla o zgodę.

Prawda, Iwana zdjęła trwoga wielka, bo przekonał się, że wojska jego, jakkolwiek liczne, nie ostoją się przed wojskami polskiemi. Przewidywał, że wojnę przegra niechybnie. Szukał więc sposobu do zakończenia wojny, ale jaknajpomyślniej dla siebie.

Iwan był okrutnym dla swoich poddanych, tchórzem wobec wrogów, a chytrym, przebiegłym w nieszczęściu. Stchórzył przed potężnym i zwycięskim Batorym, ale nie chciał ztracić swego państwa i swej władzy.

Nie brakło mu pomysłów nadzwyczajnych. Głośno prosił króla o pokój, — a skrycie, po za jego plecami, uciekał się do przeróżnych wybiegów, ażeby możliwie dogodne dla siebie wyjednać warunki zgody.

Królowi Batoremu donoszono o wszystkich niepoczciwych Iwana fałszerstwach, wzruszał na nie ramionami, nic a nic nie dowierzał mu, jednak przystał na zawarcie jakiej-takiej ugody, uważając ją za chwilową, bo przecież obiecywał sobie, może nawet wkrótce, wznowić wojnę z Moskwą, a potem uderzyć na innego wroga Polski — na Turcję!

Śmiałe król Batory snuł plany wojenne, polityczne i administracyjne. Był znakomitym gospodarzem swego państwa, wodzem dla swej armji—i przenikliwym politykiem w stosunku do różnych państw bliższych i dalszych.

Umiał pokonywać wrogów obcych, — a dał tego dowody w wojnie domowej z Gdańskiem, a potem w trzyletniej wojnie z nieprzyjaznym sąsiadem—Iwanem Groźnym.

Lecz również potrafił bardzo zręcznie i pomyślnie zwyciężać przeciwników, których miał w narodzie swoim nawet bardzo dużo. Niektórzy magnaci byli tego mniemania, że mogą lekceważyć prawa, że wolno im czynić wszystko, co jeno zechcą. Król narazie ich upomniał, — a gdy to nie pomogło, polecił ukarać surowo, kilku nawet skazał na ścięcie. Kto zaś był cnotliwy, pracowity i gorliwy w służbie obywatelskiej, a przytem zdolny i uczony, — takiego nagradzał hojnie i powierzał mu trudniejsze urzędy państwowe.

Szlachta odwykła od szabli, bo za poprzednich królów rzadkie bywały wojny. Przeto, gdy król Batory wzywał szlachtę do składania większych opłat na wojnę z Gdańskiem, a potem na wojnę moskiewską, narazie dawała małe pomoce, a następnie coraz większe. Umiał bowiem przekonać o potrzebie wojny z wrogami Polski — i zagrzać do ofiarności obywatelskiej.

Oczywiście, szło mu to z wielkim trudem, bo nieraz przeciwnicy jego pobudzali szlachtę, kusili ją do szemrania, do odmowy. Niekiedy, istotnie, król musiał wysłuchać przykrych, gorzkich mów w sejmie od niektórych posłów i senatorów, jednak w tych wszystkich najboleśniejszych nawet przeciwnościach wykazał, zaprawdę, wiele pięknych zalet charakteru!

Oto nawet najdotkliwsze przeciwności nigdy nie zdołały go odwieść od spełnienia powinności głowy państwa, pierwszego obywatela kraju. Rozumiał swoje obowiązki, chciał i umiał je najpilniej wykonywać.

Widział grożące Polsce niebezpieczeństwo od

wrogów. Uznał za potrzebne uderzyć na nich, pokonać — i tak zabezpieczyć byt swemu krajowi.

Zauważył w narodzie duże lekceważenie praw i obowiązków obywatelskich, zaraz podjął udoskonalenie sądownictwa, przytem sam niejednokrotnie karał zuchwalszych i w ten sposób wzmocnił we wszystkich poszanowanie praw obowiązujących.

Król Batory miłował nauki, więc usiłował je rozpowszechniać w Polsce; ofiarnie popierał zakon jezuitów, który zatrudniał się wychowaniem młodzieży; nawet dopomógł temu zakonowi założyć w Wilnie (7 lipca 1578 r.) akademję, podobną do akademji krakowskiej; czynił też wysiłki, by sprowadzić do Krakowa z zagranicy kilku słynnych uczonych; dopomógł jezuitom otworzyć szkoły na Rusi i w Inflantach. Oddany takim zabiegom, zjednał sobie w świecie sławę przyjaciela nauk i opiekuna ludzi uczonych.

I w Polsce stopniowo rosło zaufanie do króla; już naród miał pewność, że król Batory wart poparcia wielkiego, bo przecież chce tylko dobra dla swego państwa, zresztą nie tylko chce, lecz nawet potrafi je obmyśleć i urzeczywistnić, gdy mu naród nie poskąpi dostatecznej pomocy!

Owszem, szlachta, zapoznawszy się z śmiałemi, a tak dla Polski korzystnemi planami Batorego: nowej wojny z Moskwą, a potem z Turcją, — już nabierała wielkiej ochoty do składania ofiar, bo spodziewała się z wypraw wojennych dla siebie obfitych pożytków, a dla Polski sławy i poszanowania od świata całego, — gdy w tem niespodziewanie uderzyła wszystkich, jak grom, wieść o nagłej śmierci króla 12 grudnia 1586 roku w Grodnie, gdzie przebywał chwilowo.

Przez tę śmierć przedwczesną, — bo wówczas Batory miał dopiero lat 53, — naród polski stracił króla jednego z najlepszych!

Był on — pisze Śliwiński — twórcą takich planów, jak wyprawy na Moskwę, był wskrzesicielem sławy rycerstwa polskiego i wychowawcą wojskowym całego pokolenia, które już po jego śmierci zasłynęło zwycięstwami, co podziw świata budziły.

Jest jeszcze i ta zasługa Batorego, że umiał w narodzie polskim rozniecić święty płomień zapału i skłonić go do czynu. On pierwszy w narodzie dostrzegł w całej rozciągłości niebezpieczeństwo, idące ku Polsce od Moskwy i, nie ustraszywszy się potęgi cara, poniósł miecz zwycięski w jego posiadłości.

Rosja — słowa Karamzina, historyka rosyjskiego — nienawidziła Batorego, ale darzyła go szacunkiem, gdyż on, będąc wrogiem rosjan, dopełniał tylko powinności, jaką monarsze wskazuje dobro kraju własnego.

Tę powinność rozumiał król Stefan.

Bez idei marnieją ludzie, narody i państwa.

Batory, rozpalając na szarem niebie polskiem gwiazdę wielkiej idei politycznej nie był fantastą, lecz politykiem wyrachowanym, obliczającym zimno, a bez omyłki widoki powodzenia.

Ani mądry jego poprzednik, Zygmunt August, — ani jego małoduszny następca, Zygmunt 3-ci, nie potrafili odegrać tej olbrzymiej roli, do jakiej czuł się powołanym Stefan Batory.

Naród polski za króla Zygmunta Augusta lękał się potęgi moskiewskiej, ale nie chciał z nią walczyć. A Iwan Groźny czuł swą nad Zygmuntem Augustem przewagę i aż po Wisłę wyciągał krwawe i drapieżne szpony. Dopiero Batory poskromił zapędy moskiewskiego tyrana.

Król Stefan zdusił samowolę magnatów, a król Zygmunt 3-ci rozpętał ją nanowo. I mimo sprzyjających okoliczności nie wznowił planu Batorego w stosunku do Moskwy.

Ale idee polityczne wielkiego króla żyły w pamięci ludzkiej, zwłaszcza wśród tych, co należeli do jego powierników. A jednym z tych powierników był Stanisław Żółkiewski, rycerz, cieszący się tak ze względu na swą głowę, jak szablę, wielkiem uznaniem króla Batorego i kanclerza Zamojskiego. Żółkiewski później skorzystał z zawieruchy, szalejącej na ziemi moskiewskiej i, odniósłszy świetne nad moskalami zwycięstwo, wkroczył do stolicy carskiej, zasiadł na Kremlinie i rządził Moskwą, a lud moskiewski bił mu czołem i słuchał jego rozkazów.

W miarę tego, jak bladła gwiazda Rzeczypospolitej, jak bezład rozprzęgał jej życie, jak coraz groźniejsze niebezpieczeństwa waliły się na jej rozkołatane ściany, wspomnienie dzielnego króla Batorego stawało się coraz droższem narodowi, pozbawionemu wielkich przywódców.

Istotnie, Batory był wielkim jako król, bo wielkich czynów dokonał. Ale w charakterze swoim miał piękne zalety, jako mąż cichy, skromny i pracowity.

Jeszcze za Śliwińskim powtórzmy kilka uwag o naszym królu Stefanie:

Prostota, największa ozdoba ludzi wielkich, była wybitną cechą Batorego. Nigdy nie unikał trudów najuciążliwszego pochodu wojskowego i nie szukał wygód. Jako nocne schronisko wystarczał mu polowy namiocik, w którym nie było ni ławki, ni stolika. Dzieląc dolę żołnierską, zadowalał się prostą strawą, a gdy w dzień pragnął odpocząć, kładł się do snu na gołej ziemi, lub co najwyżej pozwalał usłać sobie posłanie z chrustu, przysypanego listowiem. Widziano nieraz króla, jak wydobywał z torby zimne mięsiwo, czasem zwykłą żołnierską wędzonkę i jadłem swojem dzielił się pokoleżeńsku z towarzyszami broni. W czasie bitwy nie narażał się bez potrzeby, ale nie unikał niebezpieczeństw i nieraz śród gradu pocisków zachowywał się całkowicie spokojnie. Kochał się w czynach rycerskich, cenił męstwo i odwagę, a mieszczan i chłopów za zasługi na placu boju wynosił do godności szlacheckiej. Lubił ludzi uczonych, sam słynął, jako mąż światły i wykształcony. Wolne chwile poświęcał polowaniu lub książkom. W pracy był zapamiętały, w wymowie zwięzły i prosty. Nie lubił słów szumnych, nienawidził gadulstwa polaków. W instrukcjach na sejmiki prosił nawet szlachtę, by nie wybierała posłów-gadułów, bo ci byli i wówczas plagą na sesjach sejmowych i na wszelkich innych naradach... Nadto, jak ognia wystrzegał się samochwalstwa i próżności...

I takie jeszcze historyk Śliwiński dał o królu Stefanie świadectwo:

Służył „Polsce" całem sercem, nie żałując sił, zdrowia i mienia swego. Nie było w tem przesady, gdy zapewniał, że „dla dobra sławnej Polski i wielkiego księstwa litewskiego" chętnie „krew swą przeleje i życie swe położy".

Dziesięcioletnie panowanie Batorego świadczy, że on sam, poprzestając na małem, nie szczędził siebie, by Polskę uczynić silną i sławną.

Takie wiadomości o królu Stefanie i jego pomocnikach dzielnych zpewnością w niejednym czytelniku rozniecają trwałą radość, otuchę i podnietę do naśladowania.

Historja przeto, mówiąc o dobrych czynach mężów zasłużonych, już sama niejako wyraża im pochwałę, a czytelników swoich zachęca do wstępowania w ich ślady..

---

Natośmy wielkość poznali, aby wiedzieć, jak my mali.

Kazimierz Brodziński.

---

Człowiek tyle wart, ile jego czyny, ile godzien wiary.

Stanisław Tarnowski.

---

# Do młodej przyjaciółki.

Jesteś córką Narodu, co przeżywa chwile,
Jakich jeszcze nie znały nasze krwawe dzieje:
Spadło na nas klęsk tyle, spadło nieszczęść tyle,
Że dziw jeszcze, jak Naród nasz dotąd istnieje...
Istnieje! I chce istnieć! Drgnęła jego dusza,
Pręży się tytanicznie, zbiera swoje siły,
Bo oto nasz grobowy kamień się porusza
I Polska nasza święta powstaje z mogiły.
Więc trzeba Ją powitać godnie i dostojnie,
Więc trzeba tron zbudować godny Jej imienia;
Jeśli trzeba krwi naszej — dać Jej krwi tej hojnie,
A jeśli trzeba pracy, — dać dłonie z kamienia.
Więc kiedy sen nasz złoty, złoty sen się ziszcza,
Trzeba nam odbudować nasze wsie i dwory,
W nowe mury zamienić naszych świątyń zgliszcza,
Oddać rodzącej glebie bitewne ugory...
Trzeba wrócić na łono ojczyzny te rzesze
Wygnańcze, by nie marły tam z nędzy i głodu,
Trzeba wrócić w całości naszej polskiej strzesze
Tragiczne, biedne dzieci polskiego Narodu.
Nawał pracy z dniem każdym bardziej się ogromni,
Coraz nowy jej zakres bieg życia wyłania,
A podołać jej musim, by o nas potomni
Nie rzekli, żeśmy swego nie godni zadania...
**Pracy podołać można, tylko duszę czystą**
**Mieć trzeba, którą krzywda bliźniej duszy boli,**
**Trzeba wytrwale kroczyć w tę przyszłość świe-**
**[tlistą,**
**Trzeba mieć dobroć serca i niezłomność woli!**

**H. Rogowski.**

---

Ludzie nie dowierzają sobie i boją się ze zdaniem swojem wyrwać. Aż dopiero gdy i stąd i zowąd usłyszą: jakie to piękne! jakie to dobre! wtenczas i oni mówią: a prawda!

Józef Korzeniowski.

---

# Z pielgrzymki do Rzymu.

Obecnie w tym roku jubileuszowym — pisze ksiądz biskup Nowowiejski, pasterz djecezji płockiej —Rzym stał się celem podróży katolików wszystkich państw i narodów. Pociągi za pociągami i okręty przywożą ich tam z północy i południa, zachodu i wschodu. Kogo tam nie widać: białych i czarnych, żółtych i czerwonych. A wszystkich tak mnogo w kościołach, że trudno się nieraz między niemi przecisnąć. Kto był w naszej Częstochowie w czasie pielgrzymki i widział tam tłumy gęste pobożnych, może mieć wyobrażenie, jakie tłumy z całego świata przybywają w tym roku świętym do Rzymu. W tych tłumach są ludzie wszystkich stanów, bogaci i biedni, pięknie przybrani i ubogo, przedstawiciele najwyższych warstw społeczeństwa i ludzie prości, uczeni i nieuczeni. Wszystkich tych ludzi widzieliśmy skupionych z modlitwą na ustach w szeregach długich wstępujących przez drzwi święte do bazyliki i przystępujących do spowiedzi i Komunji św.

Między temi byli także nasi bracia z Polski, około paru tysięcy w kilku pielgrzymkach i gromadkach z biskupami i kapłanami na czele, a nawet i bez nich. Niepodobna tu nie wymienić kilkunastu osób z Podlasia, **które prawdziwie o chlebie i wodzie przybyły do Rzymu** i nie żądały tam nic innego, jak dachu nad głową, aby dalej tym pokarmem suchym, przywiezionym z Ojczyzny, żywić się podczas owych pobożnych ćwiczeń. Niepodobna także nie wspomnieć **o dwuch młodzieńcach z Śląska, co piechotą do Stolicy chrześcijaństwa przyszli**, jak niepodobna zapomnieć o tych, którzy z Ameryki Południowej wyjeżdzając dla zdobycia odpustu Roku Świętego, aby opędzić wysokie koszta podróży okretem, sprzedali mały swój domek, całą nieruchomość swoją.

Rok prawie już upływa, — nadmienia ks. biskup Nowowiejski — jak Ojciec św. zapowiedział ten jubileusz wielki, co 25 lat obchodzony i wezwał cały świat katolicki do siebie. Albowiem celem bezpośrednim tych pielgrzymek do Rzymu ma być nietylko odpuszczenie win i kar za nie należnych, ale także zbliżenie się do Ojca całego chrześcijaństwa. Więc te tłumy, te tysiace biegły do stóp Jego, aby Go poznać, usłyszeć z Jego ust słowa prawdy i otrzymać na dalsze życie błogosławieństwo. Z niemym podziwem stoję wobec tej miłości, jaką poruszeni ci ludzie idą do Tego, który dla nas jest zastępcą Chrystusa i następcą świętego Piotra, namiestnikiem Jego. I Ojciec św. wszystkich przyjmuje, dziś tych, jutro innych. Już o godzinie pół do ósmej rano odprawia Mszę św., na którą są dopuszczone pielgrzymki coraz to nowe, po kilkaset lub parę tysięcy

głów liczące, które w różnorodnych językach narodowe swe pieśni pobożne śpiewają. Od dziesiątej rano Papież udziela posłuchań specjalnych biskupom i tym ze świeckich osób, które tego potrzebują. Od południa w rozmaitych salach Watykanu gromadzą się znowu pielgrzymki rozmaitych narodowości, do których Pius XI kolejno przybywa, wszystkich po kolei obchodzi, rozdaje medaliki i potem przemawia w języku możliwie dostępnym; gdy zaś pielgrzymi nie rozumieją języka Ojca św., jeden z biskupów obecnych tłumaczy Jego słowa. Gdy tak wszystkie pielgrzymki obejdzie i wszystkim udzieli uroczystego błogosławieństwa, powraca do swoich prywatnych komnat, aby pod wieczór znów dawać prywatne i publiczne posłuchania.

W ten sposób wszyscy nasi bracia z Polski w Rzymie dostępowali odpustu jubileuszowego i Ojca św. słyszeli błogosławiącego. A On, chociaż dla wszystkich dzieci swoich duchowych miał słowa dobroci niesłychanej na ustach, to dla nas, polaków, słowa te zamieniły się w słodycz nieporównaną. Witał nas Pius XI naszem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", słuchał naszych pieśni i mówił: „Bardzo dobrze", powtarzał, że Polska jest dlań jakby drugą Ojczyzną, bo tam ważne lata w życiu przebywał i w Warszawie otrzymał konsekrację biskupią, patrzył na nasze bóle i na nasze zwyciestwa, błogosławił naszemu odrodzeniu państwowemu. Gdy jeden z biskupów polskich tłumaczył mowę Ojca św., przytakiwał słowom jego i mówił: „rozumiem!"

Tu mi właśnie należy spełnić to zadanie, — pisze ks. biskup Nowowiejski — jakie mi Ojciec św. zalecił. Widziałem Ojca św. kilka razy: nietylko podczas audjencji (posłuchań) publicznych, ale i na osobnej. Więc mi mówił: „powiedz wszystkim swoim kapłanom i wiernym, że im wszystkim błogosławię, błogosławię starym i młodym, błogosławię niemowlętom w kolebkach i chorym w łóżkach, błogosławię tym wszystkim, którzy nie mogli do mnie przybyć, błogosławię tak całej Polsce. „Niech żyje Polska!" — powtarzał.

Miłość Papieża Piusa XI ku Polsce tam, w Rzymie, podziwiają, imię Polski staje się głośniejszem, niż dotąd, polacy doznają szacunku i nawet są powodem zazdrości szlachetnej. Niech nas ta miłość Ojca św. pobudza do tem mocniejszej i serdeczniejszej z Nim jedności.

Na tę jedność i współpracownictwo z biskupami i kapłanami zwracał uwagę Pius XI-ty. Nie dość katolikom tylko przystępować do Sakramentów św. i być katolikami w ścianach swoich domów, ale pod przewodnictwem swego duchowieństwa należy uczestniczyć czynnie w każdej sprawie katolickiej, należeć do stowarzyszeń, mających na celu obronę zasad katolickich i rozwój ich w życiu publicznem. Godzi się naśladować inne narody katolickie, jak szlachetny naród belgów, którzy umieją w państwie swem przeprowadzać i utrzymywać zasady katolickie. Ojciec św. przypomina nam, jak ważną rzeczą jest pielęgnowanie życia rodzinnego według zasad Chrystusowych: ojciec przykładny, matka, bojąca się Boga, dzieci posłuszne i ożywione miłością wzajemną, a wszystko ulegające przykazaniom Bożym. Papież stawia nam za przykład wiele rodzin włoskich, z których nierzadko wychodzą święci i święte.

Gdy zaś o świętości mowa, to należy mi — pisze ks. biskup Nowowiejski — powiedzieć kilka słów o beatyfikacjach i kanonizacjach, jakie się teraz odbywają w Rzymie. Pius XI właśnie te uroczystości wspaniałe pozostawił na rok święty, aby przybywającym do Rzymu pątnikom przedstawić przykłady tych przodków, którzy przed nami żyjąc, swojemi cnotami heroicznemi zasłużyli sobie na miano błogosławionych i świętych. Pan Bóg w każdym poszczególnym wypadku daje cudami swojemi poznać, że chce, aby Jego umiłowane i kochające Go heroicznie dusze wyniesione zostały na ołtarze.

Kościół bada te cuda i gdy okażą się prawdziwe, uroczyście, podczas nabożeństwa, przez Namiestnika Chrystusowego ogłasza najprzód beatyfikacje błogosławionych, a potem, gdy cuda nowe upoważniają do tego, kanonizuje świętych. Jaka to radość w Kościele, gdy nowi święci przybywają!

W tym roku takie beatyfikacje i kanonizacje wciąż się odbywają. Co niedziela to inna beatyfikacją lub kanonizacja. Nabożeństwo celebruje sam Namiestnik Chrystusowy w otoczeniu kilkudziesieciu kardynałów, może setki biskupów i rzeszy kapłanów. Największa radość przejmuje każdego, gdy Papież imieniem Zastępcy Chrystusowego ogłasza imię nowego błogosławionego lub świętego.

Właśnie podczas mego pobytu w Rzymie — słowa ks. biskupa Nowowiejskiego — odbyła się uroczysta beatyfikacja 32-ch zakonnic francuskich, umęczonych za wierność Bogu, a uroczyste kanonizacje ogłosiły jako świętych: Teresę od Dzieciątka Jezus, karmelitankę francuską — i Piotra Kanizjusza, doktora Kościoła i kapłana, znanego w Polsce, bo bywał na synodach polskich w 16 wieku, broniąc zasad Kościoła świętego.

# NOWINY Z POLSKI.

— Dnia 28 i 29 czerwca r. b. odbędzie się w Lublinie zjazd przedstawicieli Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, należących do Związku Lubelskiego. Program bardzo urozmaicony. Zbiórka przybyłych przedstawicieli naznaczona na godzinę pół do ósmej rano w niedzielę (d. 28) na dziedzińcu męskiego seminarjum nauczycielskiego w Lublinie (obok kościoła po-Bernardyńskiego) naprzeciwko wieży wodociągowej. Nabożeństwo uroczyste o godz. pół do dziesiątej odprawi J. Eks. Ks. Biskup. Potem wspólna fotografja i pochód. A o godzinie pół do pierwszej rozpoczęcie narad w sali teatru „Corso".

Zpewnością na ten piąty z rzędu Zjazd Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej przybędzie bardzo liczny zastęp przedstawicieli. Niechżeż każde Stowarzyszenie wyśle bodaj kilku swoich delegowanych.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

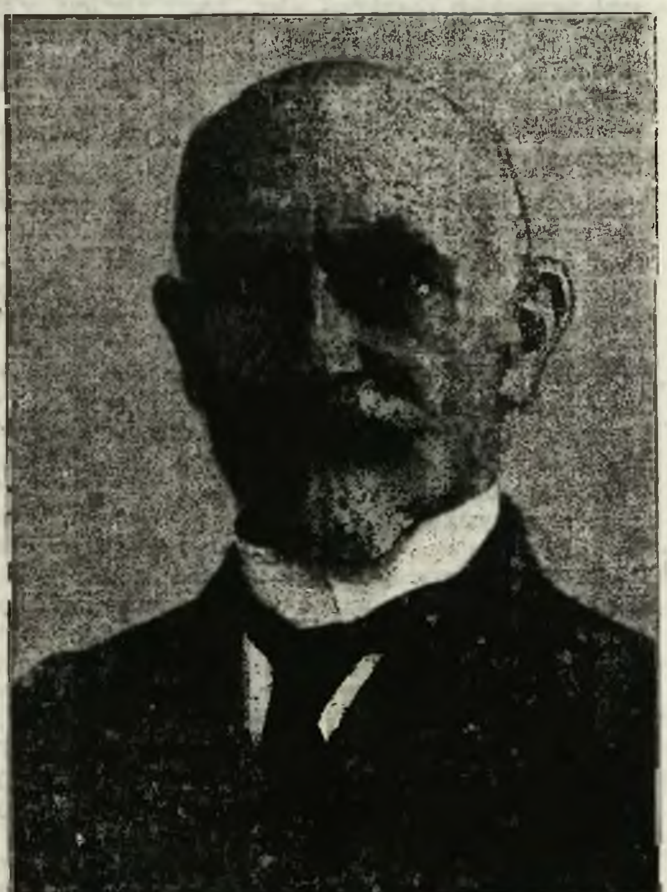
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 28 czerwca 1925 r. № 26.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ STANISŁAW WOJCIECHOWSKI.

Urodził się w Kaliszu 15 marca 1865 roku, — ma więc obecnie lat 60. Gimnazjum ukończył w mieście rodzinnem, następnie udał się do Warszawy i tam zapisał się w uniwersytecie na wydział matematyczny, bo szczególniejsze miał zamiłowanie w matematyce. Niestety, studjów uniwersyteckich nie dały mu ukończyć władze rosyjskie, które baczną zwróciły uwagę na młodziutkiego Wojciechowskiego, nader gorliwie oddanego w gronie kolegów swoich pracom narodowym.

Istotnie, od lat najwcześniejszych ożywiała go zawsze wielka miłość ojczyzny, serdeczne łaknienie zdjęcia z niej okόw niewoli, mocna wola pracowania dla jej dobra usilnie i bardzo ofiarnie... Taki charakter wypielęgnował w nim dom rodzinny, o którym rzewnie i miłościwie wspomniał 2 czerwca 1923 roku, kiedy, już jako Prezydent Polski, odwiedził Kalisz, swe miasto rodzinne. Właśnie wówczas w mowie swej do ludności Kalisza tak się był odezwał:

„Tutaj mój ojciec, jak świętą relikwię, przechowywał rogatywkę powstańczą; matka moja uczyła mnie kochać i poświęcać się dla ojczyzny, opowiadając o strasznych chwilach powstania; tutaj na cmentarzu spoczywa ciotka moja, co ślubowała pozostać panną do śmierci, gdy moskale zamordowali jej narzeczonego w powstaniu. Tutaj w gimnazjum kształcili mego ducha tacy zacni ludzie, jak prefekt, ks. Szafnicki i nauczyciel języka polskiego, Stefan z Opa-

tówka, brat Agatona Gilera, który podczas powstania był członkiem rządu narodowego. Tutaj uczyłem się miłości ojczyzny, wiary w lepszą jej przyszłość i wyrabiało się we mnie silne przekonanie, że **Polska niepodległą być musi!"**

Tak usposobionego młodzieńca szpiegowie rosyjscy mając na oku, już byliby wprędce oddali w ręce żandarmerji, a ci niechybnie zgotowaliby mu zgubę w lochach cytadeli, lub w niezdrowych pustkowiach syberyjskich. Przewidując taki swój los okropny, bo go znajomi pocichu ostrzegali, potajemnie w r. 1891 przedostał się zagranicę i tam długo doznawał gorzkiej niedoli jako tułacz ubogi.

Jednak i tam ani na chwilę nie wyrzekł się swoich ideałów moralnych. Bo wszakże wówczas wszędzie, bodaj we wszystkich krainach, polacy, a szczególniej młodzież polska, zmuszeni wskutek prześladowań bądź moskiewskich, bądź niemieckich do przebywania na obczyznie, wiele czynili przysług dla dobra ukochanej ojczyzny. Kto bowiem posiada dobrą wolę, ten wszędzie, nawet w obcych stronach, zdala od ojczyzny, potrafi stać się pożytecznym swemu narodowi, nawet w znacznym stopniu. Dowodu na to sam z własnego życia dostarcza nam Stanisław Wojciechowski. Nigdy nie brakło mu **dobrej woli, szczerze troskliwej o lepszą przyszłość Polski.**

Czy atoli dobra wola i szczera troska już same zdołają zapewnić Polsce jutro weselsze?

Oto jeszcze nadto niezbędny samodzielny rozum doskonalszy, bogaty w wiedzę i — obfite doświadczenie...

Już bardzo wcześnie wiedział Wojciechowski o tem, że dobremi chęciami piekło wybrukowane,— tak dużo ich i tam się znachodzi!... Więc dobre chęci nie wybawią nawet od piekła, bo i ci, co tam się dostali, a przynajmniej wśród nich bardzo wielu, zpewnością za życia swego na ziemi zawsze na później odkładając wykonanie swoich dobrych chęci, trwali ciągle w gnuśności i złych nałogach...

Dobre chęci muszą być natychmiast w czyn zamionione!

A co czynić, żeby Polskę ocalić?

W młodzieńczych latach Stanisław Wojciechowski rozumiał, że Polska potrzebowała niepodległości, a naród polski pomyślności!

Niepodległość musi być zdobyta bardzo ofiarną walką z jej wrogami potężnemi. A pomyślność narodu może być osiągnięta tylko nauką, pracą i—uczciwością moralną!

Do tych wszystkich sposobów czynnie przykładał rękę młody Stanisław Wojciechowski, przebywając długie lata na tułaczce. Stykał się tam z polakami, sposobiącemi się do walki orężnej za ojczyznę,—ale bywał i tam, gdzie osięga się coraz więcej wiedzy niezbędnej: karmił swój umysł naukami, doskonalił swój rozum praktyczny i samodzielny rozpoznawaniem życia narodów światłych i zamożnych, ustawicznie też pracował pożytecznie na swoje utrzymanie i zarazem zapoznawał się z różnemi robotami społecznemi, które potem, po powrocie do kraju, rozpowszechniał w swoim narodzie, przytem jednak nigdy nie przeoczał bardzo ważnego obowiązku doskonalenia moralnych zalet w swoim charakterze, gdyż wcześnie przejął się tem przeświadczeniem, że uczciwość moralna, szlachetne a mocne trwanie przy tem wszystkiem co dobre, najpewniej prowadzi poszczególnych ludzi i narody całe do zdobycia pomyślności stałej i zaszczytnej!...

Zagranicą, a osobliwie w Anglji, ugruntował w sobie taki pogląd na życie: trzeba być bardzo światłym, pracowitym, samodzielnym, ale i — **bardzo uczciwym!**

Takiego poglądu już stale trzyma się Stanisław Wojciechowski całe życie aż dotychczas...

Gdy po wojnie japońsko-rosyjskiej nastały u nas w Królestwie Polskiem tak zwane czasy wolnościowe, Stanisław Wojciechowski skorzystał z ulgi i wrócił do kraju. I wtedy nie szukał dla siebie dogody, lecz oddał się całkowicie

**na służbę narodowi.**

A gdy wejrzał bacznie w potrzeby narodu polskiego, zauważył, że trapi go nietylko niewola polityczna,—ale też nędza moralna i ekonomiczna!...

Jeżeli naród pożąda niepodległości, a w wolności swej chce cieszyć się stałą pomyślnością, musi być moralnie dobrym i zamożnym!

A rzucały się wówczas Wojciechowskiemu w oczy straszne bolączki narodu: oto cały handel był w rękach obcych, nawet wrogich, niezmierna lichwa żarła niemal wszystkich rodaków, więc przez nią byli w niewoli u żydowskich lichwiarzy, — wreszcie widoczna była powszechna niezaradność, lenistwo duchowe, tępota moralna, duże krętactwo i pocieszanie siebie głupiuchnemi nadziejami, że przecież kiedyś samo przyjdzie darowane: „jakoś to będzie lepiej!.."

Zaraz rzucił się Stanisław Wojciechowski na olbrzymie przedsięwzięcie: postanowił stworzyć handel polski, ale na uczciwych fundamentach — i wyrwać rodaków z rąk lichwiarzy żydowskich.

A postanowił był i jedno i drugie wykonać w sposób najlepszy, bo siłami całego społeczeństwa polskiego.

Tak zapoczątkował u nas tak zwane stowarzyszenia spożywców i kasy pożyczkowo-oszczędnościowe.

Gdy przy jego pomocy już wiele w Królestwie powstało stowarzyszeń spożywców, stworzył dla nich związek i hurtownię w Warszawie.

Te wszystkie stowarzyszenia utorowały drogę handlowi polskiemu, bo przy nich wnet w miasteczkach i wioskach polacy otwierali swoje sklepy prywatne. A znowu kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, rozwijając się bardzo pomyślnie w całym kraju, wszędzie wyzwoliły ludność polską z rąk lichwiarzy żydowskich, dopomogły rolnikom i rzemieślnikom naszym udoskonalić swoje warsztaty, zaopatrzyć je w lepsze narzędzia, sprowadzać materjały z pierwszych źródeł,—wreszcie nasunęły myśl stworzenia spółdzielni wytwórczych i związków zawodowych, a szczególniej tak zwanych kółek rolniczych.

Dzięki usilnej zabiegliwości Stanisława Wojciechowskiego naród nasz w Królestwie Polskiem posiadł mnóstwo stowarzyszeń spożywców, kas kredy-

towych, hurtowni, spółdzielni wytwórczych i kółek rolniczych, — a przez nie zdobył większą zamożność, zaradność, samodzielność — i braterstwo, a więc uczciwość społeczną.

Już w młodym wieku ideałem Stanisława Wojciechowskiego był nie sam li tylko chleb dla ciała, lecz i strawa dla ducha ludzkiego. Bo przecież „nie samym chlebem żyje człowiek". Przez zakładanie stowarzyszeń ekonomicznych dążył on do doskonalenia moralnego rodaków, chciał w nich wzmocnić umysł, serce i wolę.

Co do tego podzielał zdanie polskiego ekonomisty, Józefa Supińskiego, bo w swej książce: „Kooperacja w rozwoju historycznym" przytoczył te słowa jego: „Wiek nasz jest wiekiem chrześcijańskiego braterstwa, jest wiekiem stowarzyszeń, które niosą przytułek opuszczonym, chleb zgłodniałym, poprawę zepsutym, zapomogę początkującym, opiekę osieroconym, naukę zaniedbanym; one podnoszą godność jednostek potęgą gromady zjednoczonej, one połączonemi siłami wznoszą olbrzymie dzieła dla dobra powszechnego, one niweczą to, co jest kłamstwem, lub pogwałceniem praw Bożych".

Stanisław Wojciechowski umiłował stowarzyszenia ekonomiczne, bo widzi w nich niezawodny środek do polepszenia bytu narodu polskiego i zarazem doskonały sposób do spotęgowania w rodakach pięknych a niezbędnych zalet duchowych.

Muszą przecież polacy wydobyć się z niedostatku i z zależności od obcych handlarzy. Niech więc zakładają stowarzyszenia spożywcze i pieniężne. Ale niechże nie będzie dla nich pieniądz i chleb jedynym celem wszelkich zabiegów. Owszem, niech się jednoczą wszyscy dla prowadzenia handlu spółkowego, dla składania oszczędności i pożyczania pieniędzy potrzebującym, — lecz niechżeż ci wszyscy pomagają sobie wzajemnie z życzliwości braterskiej, a dużą część zysków, osiąganych w swoich spółkach, obracają na pomoce dla nieszczęśliwych — i na zaspokajanie potrzeb duchowych i moralnych wszystkich stowarzyszonych.

Bo wszakże główny cel stowarzyszeń spółdzielczych jest doskonalenie moralne każdego poszczególnego uczestnika, gdyż tylko przez polepszenie moralne każdej jednostki — staje się doskonalszem całe społeczeństwo! I znowuż o ile są uczciwsze jednostki, — o tyle pomyślniej i pożyteczniej działa stowarzyszenie spółdzielcze.

Zatem Wojciechowski po powrocie z tułaczki do kraju dążył na wzór Anglji i Danji do podniesienia w narodzie swoim zamożności i moralności.

**Tylko uczciwa i umiejętna praca daje chlubną zamożność.**

A gdy jeszcze ta praca dokonywa się zbiorowo z pobudek szlachetnej braterskości gwoli pomagania sobie wzajemnie, — już wtedy naród cały staje się zamożny, uczciwy i razem szczęśliwy.

Wnikając bacznie w zamiary Stanisława Wojciechowskiego, którym się oddawał od wczesnej młodości swojej, łatwo możemy rozpoznać stale przyświecający mu ideał mickiewiczowski:

**w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.**

Taki ideał dość często jako hasło swego życia lubił Stanisław Wojciechowski przy każdej sposobności powtarzać.

Tak wiąc za przykładem Mickiewicza chce on swój naród uszczęśliwić. Chce go jednak przedewszystkiem uczynić zamożnym, bo przecież w nędzy trudno być szczęśliwym. Ale chce by naród zdążał do zamożności w sposób tylko uczciwy, umiejętny i pracowity... Przeto zachęca swój naród do zakładania stowarzyszeń - ekonomicznych, — ułatwia mu tworzenie ich i zarazem poucza, przekonywa, że one mają mu dać coś więcej jeszcze, nie samą li tylko zamożność materjalną, bo nadto rozgrzać w nim serce życzliwością braterską, dopomódz w nabywaniu oświaty, w uszlachetnianiu ducha swego.

Stowarzyszenia spółdzielcze bardzo są przeciwne każdemu sobkowi. Stąd wniosek oczywisty, że też przeciwne są każdej partyjności, każdemu stronnictwu. Bo przecież stowarzyszenie spółdzielcze usiłuje czynić dobrze wszystkim, chce uszczęśliwić wszystkich ludzi bez wyjątku nie podług widzimisię pewnej partji lub stronnictwa, ale podług prawdy i dobra moralnego, powszechnie szanowanych w całym świecie chrześcijańskim...

Nic dziwnego zatem, że Stanisław Wojciechowski bardzo ukochał stowarzyszenia spółdzielcze i przy ich pomocy usilnie starał się urzeczywistnić ideał mickiewiczowski: „naród swój uszczęśliwić i nim cały świat zadziwić"... A przynajmniej w znacznym stopniu przyczynił się do tego, bo już dzięki jego zabiegom w Polsce bardzo dużo powstało stowarzyszeń spółdzielczych. Może nie wszystkie one spełniają swoje zadanie moralne, — lecz to już nie pochodzi z winy Wojciechowskiego. On dał plan dobry,—a niektórzy wykonawcy nie potrafili zastosować się do niego. Tak niejedna książka jest bardzo dobra,— tylko niejeden jej czytelnik, słaby w czytaniu, straszliwie przekręca jej wyrazy niektóre, stąd z ust jego wychodzą okropne dziwolągi, zgoła niepodobne do jej treści istotnej!...

Zaprawdę, szczęśliwy jest Stanisław Wojciechowski! Bóg błogosławi jego poczciwym zamiarom uszczęśliwiania narodu polskiego. — Bo oto stopniowo, w dalszem jego życiu, przybywa mu coraz więcej sposobności do tem skuteczniejszego urzeczywistniania swego ideału mickiewiczowskiego.

Wprawdzie podczas wojny doznał w swoich pracach społeczno-narodowych przeszkód wiele i nawet przerwy, — ale za to, gdy Polska odzyskała niepodległość, zaraz naród oczy swe obrócił na Stanisława Wojciechowskiego, jako jednego z najdzielniejszych obywateli swoich — i jął mu powierzać różne prace coraz trudniejsze i ważniejsze. Wreszcie został mianowany ministrem spraw wewnętrznych. Bóg go jednak przeznaczył do wykonania prac jeszcze trudniejszych, bo oto w grudniu 1922 roku nadspodziewanie wybrano go na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, — Pierwszego Obywatela w Państwie,—Reprezentanta Polski wobec całego świata. Od tej chwili Stanisław Wojciechowski jest jakgdyby żywym symbolem naszej Ojczyzny, przedstawicielem Jej majestatu, dostojeństwa, godności i powagi.

Wszyscy czcimy Prezydenta, bo w Nim uosabia się chwała Polski — i potęga Narodu. W Nim niejako streszcza się rozum, serce i wola Narodu całego. Słusznie więc tak przemawia do Narodu całego w pierwszem orędziu swojem, kiedy już został obwołany Prezydentem:

„Rzeczpospolita swoją dostojność i moc czerpie przedewszystkiem z cnót i pracy swoich obywateli. Proszę Boga Wszechmogącego i Ciebie, Narodzie Polski, abyśmy zdołali usunąć z uczuć i czynów naszych zło długoletniej niewoli i wojny, godnie wykonać testament naszych przodków — zbudować jedną niepodzielną Rzeczpospolitą, silną miłością i pracą swoich obywateli pod opieką praw, przez nich ustanowionych.

„Wszyscy — mówi dalej — miejmy w pamięci słowa Adama Mickiewicza: „O ile polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze".

„W imieniu Rzeczypospolitej wołam do Was, Obywatele: skłaniajcie się do **zgody w sprawach dobra powszechnego, — zgoda** jest pierwszym warunkiem wiernego wykonania ustawy konstytucyjnej, **uzdrowienia życia gospodarczego i wychowania obywateli, godnych imienia polskiego"**.

Kiedy już jest Prezydentem całej Rzeczypospolitej, ma niezaprzeczoną i olbrzymią możność przyczyniania się do uszczęśliwiania w sposób różnorodny rodaków swoich. Ustawowo ma władzę określoną, ale moralna jego moc jest jakgdyby nieograniczona!. Wszędzie wgląda, wszystko widzi, wszystko go interesuje, do każdej sprawy dobrej rękę swoją pomocną przykłada. Na każdy zew poczciwy nachyla swe ucho, otwiera serce, zachęca, poucza, albo upomina, karci, albo nagradza i wspiera, odpowiednio do wartości i natury poczynań obywatelskich, narodowych i państwowych.

**Zawsze jest Pierwszy i Najmocniejszy w Polsce!**

Oczy wszystkich polaków zwrócone są na niego. Patrzymy na niego z otuchą i nadzieją. Nie tylko my, — bo i świat cały widzi w nim niejako wartość i poziom Polski. I on sam wie o tem doskonale! Dlatego zawsze jest w całem zachowaniu swojem nastrojony na wysoką nutę duchową. Zawsze z siebie daje Narodowi swemu przykład najlepszy!

W każdą niedzielę i święto, nawet w każdą uroczystość narodową — on jest przed ołtarzem Bożym w skupieniu na modlitwie serdecznej, prosząc Ojca Niebieskiego o błogosławieństwo dla Polski, a o pomoc dla siebie, aby najpomyślniej zdołał służyć narodowi swemu!

Wnika troskliwie we wszelkie potrzeby polaków. Zpewnością on najserdeczniej boleje nad każdą niedolą, nieszczęściem, niedostatkiem, brakiem swoich rodaków. Zpewnością on pierwszy niesie im pomoc stosowną. Umie być wszędzie wporę tam, gdzie jego obecność jest niezbędna i umie zawsze zastosować się do tej ludności, którą odwiedza, a która potrzebuje jego widoku i słów jego.

Odwiedza kościoły, szpitale, szkoły, ochronki, fabryki, widuje się też bardzo często z ukochanem wojskiem polskiem, które jest prawdziwie chlubą i dumą narodu!

Oto kiedyś zwiedza Pomorze nasze. I tam w Starogardzie 23 kwietnia 1923 roku mówi tak do tamtejszych mieszkańców, którzy wyszli ku niemu na powitanie:

„Im głębiej wjeżdżam w ziemię pomorską, tem bardziej się przekonywam, jak cennych obywatel posiada tu Rzeczpospolita. Na każdym kroku widzę, że długoletnia niewola w najmniejszym stopniu nie stępiła gorących uczuć tego ludu, w sercu i duchu polskiego. Jest on od wieków najbardziej zagrożony. Błędnie patrząc w przyszłość polityczną Polski nieraz oddawaliśmy nasz skarb największy — morze Bałtyckie w zastaw. Czem jest morze dla niezawisłości naszej, czem jest Ziemia Pomorska, prowadząca do wybrzeży? Są one zabezpieczeniem wolności naszych stosunków gospodarczych ze światem. Musimy dbać o to, aby Ziemia Pomorska, prowadząca do morza Bałtyckiego, jaknajbardziej została umocniona, wzbogacona i aby promieniowała nietylko siłą gospodarczą, męstwem żołnierza, lecz i kulturą polską, tak, aby każdy cudzoziemiec, przejeżdżając przez tę ziemię, wiedział, co może czynić Rzeczpospolita.

„Zdobyliśmy okno do morza, a pracą naszego pokolenia i pokoleń następnych musimy to okno zamienić w drzwi, tak, aby nie ciasno nam było. Dokonać tego można nietylko siłą oręża, lecz przedewszystkiem pracą wytrwałą, bo tryumfy orężne często zawodzą, **a wytrwała praca i duch dobry są niezwyciężone!** Wszak jakie to siły niemieckie chciały was zmieść z tej ziemi, a jednak nie zmogły!... Sprawiła to nasze zwycięstwo siła ducha i pracy ludu polskiego, który siedzi na tej ziemi! W przekonaniu, że stoję wśród najwierniejszych obywateli wśród najpatrjotyczniejszej ludności, która sprawiła, że uzyskaliśmy ten dostęp do morza Bałtyckiego, — utrwalam się coraz bardziej. W granicach, zakreślonych konstytucją, będę dbać o to, aby ziemia ta była należycie wzmocniona. Nie jest to jednak praca kilku lat, ani jednego pokolenia. Mamy tutaj w całej pełni rozwinąć kulturę polską. Naszą ambicją, naszą dumą narodową jest okazać, co może polska kultura. Jest ona wyższą od innych tem, że zawiera w sobie najcenniejsze wartości moralne.

Byłem też w Gródku i tam miałem dowód, co może praca fizyczna i umysłowa polaków. Tam ujawniła się zdolność inżynierów polskich i wielka pracowitość i sumienność robotnika polskiego. Pracą wytrwałą doprowadziliśmy do tego, iż ci, którzy dziś chylą głowy przed naszą siłą, schylą je jeszcze niżej przed naszą kulturą.

Warto zapoznać się z wieloma przemówieniami Prezydenta, bo jego poglądy, zdania i sądy o najrozmaitszych działaniach rodaków, dają nam wszystkim pożądane wyjaśnienie: czem jest Prezydent dla Polski, czem Stanisław Wojciechowski dla narodu—i co już polacy uczynili dla Ojczyzny, — a co jeszcze muszą spełnić, jeżeli chcą zapewnić swemu narodowi **byt niepodległy i pomyślny.**

Odwiedza Prezydent Kościerzynę na Pomorzu

i tam głośno tak oświadcza: „Że lud pomorski, mimo iż pozostawał pod silnym wpływem najbardziej zmaterjalizowanej kultury niemieckiej jednak ocalił swoją duszę w całej jej czystości, zawdzięcza to swoim pasterzom, jakich miał w duchowieństwie. Gdy Polska powstawała, nie miała własnej gotowej formy państwowej. Rozumiem, że ciężkie chwile, jakie nas czekały, przetrwaliśmy jedynie dzięki tym zaletom moralnym, jakie posiadał naród polski

„Jako człowiek, który większość życia swego strawił na studjach społecznych, muszę powiedzieć, że jedną z największych bolączek cywilizacji jest jej zmaterjalizowanie. Mistrzami w wytwarzaniu tych pozorów cywilizacji byli niemcy. Była to jednak tylko zewnętrzna politura, która nie dotykała serca i ducha — i dlatego nie mogła dotknąć was. Mogła ona wywołać w sercach tylko niechęć i bunt przeciw czci dla siły materjalnej.

„Przecież wszystkie dzieła o przebiegu ostatniej wojny wykazują, że materjalny człowiek pobity został przez moralnego człowieka. Francja, w przeciwieństwie do Niemiec, wielokrotnie technicznie słabsza, okazała się potężną duchem i w trzech latach zrobiła to, do czego Niemcy szykowały się przez lat trzydzieści... **Dzieje wojny utwierdzają mnie w przekonaniu, że najwyższem bogactwem narodu są jego cnoty, że do utrzymania jego powagi w świecie, do utrzymania ładu i porządku potrzebne są przedewszystkiem zalety moralne!...**

„Jestem Prezydentem Rzeczypospolitej, który obowiązany jest obejmować całość i wyrażać uczucia całego narodu.

„W walce, która przez wielu — bo od czasów krzyżactwa—toczyła się tutaj, na Pomorzu, wielką zasługą okryli się duchowni pasterze tego ludu. Dzisiaj (26 kwietnia 1923 r.) w uznaniu zasług tych tylko, o których doszły mnie wieści, wiozę ze sobą krzyże nagrody dla czterech kapłanów na Pomorzu. Gdy szukałem inteligencji, okazało się, że ten lud, od wieków gnębiony przez niemców, miał jedyną inteligencję w swoich pasterzach, jedynym czynnikiem pielęgnowania ducha narodowego i religji było tutaj duchowieństwo. Dzisiaj na rynku wyraziłem publicznie uznanie dla tego ludu w okrzyku: Niech żyją wierni Polsce Kaszubi! Tutaj chcę podnieść zasługi duchowieństwa katolickiego, które dopomogło ludowi pielęgnować mowę i wiarę ojców, dziadów i pradziadów i które położyło przez to wielką zasługę nietylko dla Kościoła, ale i dla Polski.

Kiedyindziej, w Kartuzach, tak przemówił:

„W czasie mojej podróży niejednokrotnie podkreślałem znaczenie Pomorza dla Polski. Jednak są jeszcze ludzie nierozważni, którzy, mimo doświadczeń ostatniej wojny, sądzą, że przy pomocy zbrojnego odwetu zyskać coś mogą. Tym wszystkim muszę stanowczo powiedzieć, że **Polska nikomu nie pozwoli odebrać sobie ani jednej piędzi ziemi.** Marzenia o zmianie obecnych granic Państwa Polskiego w przyszłości, w drodze zbrojnego najazdu na nas, należą do dziedziny urojeń.

„Lud Kaszubski, pracowity i wierzący, zerwał już węzły polityczne, uzależniające go od Niemców, pozostały jednak węzły zależności gospodarczej od Gdańska.... Obecnie ustala się opinja w Polsce, iż zarząd Gdańska nie pragnie współpracy z nami, lecz tylko wyzysku gospodarczego Polski na korzyść swego kupiectwa i przemysłu i równocześnie stara się na każdym kroku podkopywać powagę Państwa Polskiego i przeszkadzać mu wszędzie tam, gdzie nadarza się ku temu sposobność. Wyzyskiwanie pracy polskiej i surowców polskich musi ustać. Należy odciąć Gdańskowi te wszystkie soki żywotne, które bierze z Polski i to na tak długo, póki w Gdańsku nie weźmie góry inny trwały kierunek, który uzna Polskę za wielkie mocarstwo, mające w Gdańsku nietylko prawa pisane, ale prawa przyrodzone (pochodzące stąd, że Gdańsk leży nad ujściem Wisły, która przecież jest naszą rzeką; gdy więc cała Wisła nasza, — przeto i Gdańsk naszym być powinien!)

„Celem mojego tu (na Pomorzu) pobytu jest nietylko bliższe poznanie najbardziej wiernej i patrjotycznej ludności, ale przedewszystkiem **zachęcenie jej do wytrwałej i usilnej pracy dla uniezależnienia tej ziemi w zakresie gospodarczym.** Póki Gdańsk jest taki, jak obecnie (bardzo niechętny dla Polski), nie możemy wzbogacać go przez kupowanie i sprzedawanie za jego pośrednictwem

„Naszą niezależność polityczną musimy uzupełnić niezależnością gospodarczą i pozostawić Polskę przyszłym pokoleniom bez serwitutów przeszłości. Ten serwitut, jaki płacimy Gdańskowi, musi być usunięty. **Musimy uniezależnić się gospodarczo od sąsiadów,** czy to z prawej czy z lewej strony, **a wówczas sąsiedzi inaczej na nas patrzeć będą, uznając, że jesteśmy potęgą, z którą zawsze liczyć się trzeba i uchylać czoła przed pracą polskiego narodu i jego kulturą".**

A w Gdyni, na Pomorzy, w przemówieniu swojem, zwrócił się nie jedynie do Kaszubów, lecz do całego narodu: „Trzeba bowiem — słowa jego — ażeby cały Naród Polski zrozumiał, jakie znaczenie ma wolny dostęp do morza, zabezpieczony pełnem posiadaniem jego wybrzeży. Tutaj jest zapewnienie wolnego oddechu dla piersi całego narodu, dla całkowitej niezależności naszego gospodarstwa narodowego i jego rozkwitu. Tutaj Polska nie ma granic. Stąd polskie okręty mogą swobodnie płynąć w świat szeroki, dokąd tylko zechce je poprowadzić polski żeglarz w służbie dla Ojczyzny, stąd owoce naszej pracy możemy wywozić bezpośrednio do wszystkich krajów, a wzamian możemy przywozić wszystkie potrzebne nam produkty i surowce bez opłacania zysku obcym pośrednikom.

„Z tego wybrzeża musimy zrobić swobodną bramę dla swobodnego łączenia się z całym światem i dać tej bramie opiekę zbrojnego ramienia całego Narodu Polskiego.

„Tem dumniej podnoszę głos polski wobec tych przestworzy morskich, że wznawiamy teraz tradycję Chrobrego, Piastów i mądrych Jagiellonów. Rozumieli oni lepiej, niż nierozważni ich potomni, że Polska musi oprzeć się o morze, że ziemia Pomorska nigdy nie może być oddawana w zastaw komukol-

wiek. Czterysta lat temu Anna Jagiellonka mówiła: „Wolnością morską Państwo ku górze się wznosi, tak i my mamy ku górze się wznosić". — Tak ma być teraz. Polska, doświadczona w rozbiorach i niewoli, odrodzona w wojnie o prawa narodu, wznosić się będzie ku górze pracą obecnego pokolenia i potomnych. Polska ma stać się wielkiem mocarstwem i flota jej ma swobodnie pływać po morzach.

„Tem śmielej to głoszę, że nasze ambicje wielkomocarstwowe nie idą w kierunku zaborów, nie są wymierzone ku krzywdzie słabszych, że nasza dążność gospodarcza nie ma na celu żerowania na innych narodach, lecz tylko osiągnięcie pełnej samodzielności gospodarczej Narodu Polskiego.

„Jako pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej, który dostąpił szczęścia reprezentowania Majestatu Odrodzonej Polski na morzu, wzywam tu obecnych przedstawicieli sejmu i senatu, rządu, wojska, duchowieństwa i instytucji społecznych, ażeby razem ze mną powtórzyli ślubowanie z głębi serca narodu: **„Żaden wróg nie rozerwie związku Polski z tą ziemią i morzem. Tak nam dopomóż, Bóg!"...**

Jeszcze na Pomorzu, bo w Pucku, tak rzekł: „Dziś zgoda jest nam bardziej potrzebna, aniżeli w okresie niewoli. **Obowiązkiem moim jest ciągle przypominać, że zgoda jest podstawowym warunkiem spełnienia powinności, nałożonej przez Opatrzność na naród polski...** Tylko zgoda doprowadzi do rozkwitu Rzeczypospolitej. Osięgnąć to można przez wytwarzanie silnej opinji publicznej, która zgodę wprost nakazywać będzie wszystkim.

A w Wejcherowie zaznaczył Prezydent wyraźnie tak: „Obowiązkiem każdego polaka jest przedewszystkiem służba dla Ojczyzny i dopiero po zadośćuczynieniu jej potrzebom może on sobie pozwolić na piękne uczynki dla obcych.

Następnie w Łodzi miał sposobność zauważyć, że głównem bogactwem Polski jest praca. „W okresię niewoli bogactwo to wywoziliśmy do obcych, nie mogąc zużytkować go na miejscu dla siebie. Łódź dała dowód, że bogactwo to może być zużyte na miejscu. Za to cześć Łodzi. że umiała zużytkować siłę ludzką i produkt jej w formie martwego towaru wysłać zagranicę zamiast wysyłać robotnika".

W Kościanie zaś tak powiedział: „Przed nami leży olbrzmie zadanie zbudowania państwa polskiego. Wróg zachodni (niemiec) pomimo olbrzymiego rozkwitu materjalnego został rozbity, **bo zanadto wierzył w siły materjalne, nie doceniał potęgi sił moralnych.** Dlatego obok wysiłków dla stworzenia materjalnej potęgi Państwa Polskiego, powinniśmy nie mniej gorliwie rozwijać naszą kulturę i ducha.— **Rozum i siły fizyczne bez wiary niewiele znaczą. Ostaliśmy się dzięki pielęgnowaniu miłości ojczyzny i przestrzeganiu praw Bożych"..**

Zaledwo cząstkę rozpoznaliśmy trosk Pana Prezydenta Polski, Stanisława Wojciechowskiego.

Już blisko półtrzecia roku ogarnia on całą Polskę sercem i myślą, wszędzię wnika w najpilniejsze potrzeby państwa i narodu;.. podnosi zalety, gdy je gdzie dostrzeże, napomyka o wadach, jeśli gdzie wpadną mu w oko, atoli wszędzie zaleca zgodę, pracę, naukę, miłość ojczyzny, oraz wiarę religijną, która tak niezawodnie pielęgnuje w duszy zalety moralne.

Zdaje się zbyt długo omawiamy troski naszego Prezydenta. A jednak, doprawdy, żal się z nim rozstać, — tyle bowiem rozsiewa on po kraju uwag przestróg i wskazań godnych poznania i przejęcia się niemi na dalsze życie nasze!

No jeszcze choćby tylko wsłuchajmy się w to co powiedział w Radomiu i w Lublinie dwa lata temu niespełna.

W Radomiu tak rzekł: „Liczmy przedewszystkiem na własne siły. Stare przysłowie: pomagaj sam sobie, a Bóg ci dopomoże, — sprawdziło się jeszcze raz w 1920 roku. Pamiętajmyż, że Polska, jako wielka rzecz, powstaje z wielkich ludzi, silnych fizycznie i duchowo. Niewola niszczyła nasze siły i upadlała charaktery, teraz trzeba je wzmacniać i podnosić, potęgować wiarę w siebie i wielką misję historyczną Polski. **Nie jesteśmy byle czem!** Umieszczeni pomiędzy wschodem i zachodem mamy rozwijać czynność na obydwie strony, nie być tylko przedmurzem cywilizacji zachodniej, ale i w stosunku do wschodnich sąsiadów grać rolę czynną, promieniować, rozwijać cenne pierwiastki naszej głębokiej kultury chrześcijańskiej, być państwem wzbudzającem szacunek nietylko dla swojej siły, ale i dla swojej kultury, szanującej prawa narodów i wolność obywateli.

„Wszystko to wymaga pielęgnowania w sobie szlachetnych ambicji i wychowywania obywateli, godnych Polski. Dlatego daję wam jedno hasło: **starajcie się być zawsze polakami w całem znaczeniu tego wyrazu i bądźcie dumni z tego, że jesteście polakami. Świadomość potrzeby pielęgnowania ducha polskiego musi żywo tętnić w wolnych obywatelach wolnej Polski!**

W Lublinie zaś wyszły z ust jego te słowa „Wytworzenie silnej spójni moralnej między rodakami jest jedną z najpoważniejszych prac w budowaniu przyszłości Rzeczypospolitej. Wszak nie jest to tajemnicą dla żadnego z was, że przetrwaliśmy te pierwsze lata, kiedy z zachodu i wschodu groziło nam niebezpieczeństwo rozkładu, tylko dzięki naszym zaletom moralnym, tym zaletom, które pielęgnowaliśmy dotychczas w domu rodzinnym. Dzisiaj dożyliśmy tej chwili radosnej, że możemy te zalety moralne pielęgnować publicznie w uczelniach. Z tem większą pewnością mogę patrzeć w przyszłość".

Wreszcie w ratuszu lubelskim powiedział: „Przedewszystkiem coraz częściej powtarzam i odczuwam tego potrzebę, żebyśmy zawsze pamiętali o tem, że jesteśmy polakami, a polak to nie byle co! O tem w czasach upadku i niewoli zapomnieliśmy i zaczęliśmy się upodobniać do innych, umizgać do innych dbać o innych i robić z Polski niemal dom zajezdny w którym każdy jest gospodarzem. Dziś, kiedyśmy nareszcie odzyskali niepodległość, — **nasze prawo jednego gospodarza musimy** silnie zaakcentować. Jeżeli ja was do tego wzywam, ja, który, jak wynika z całej mojej przeszłości, jestem najbardziej wierny idei demokratycznej, to robię to w tem głębokiem przekonaniu, że **polski gospodarz nikomu krzywdy nie uczyni, ale pod warunkiem, że on będzie**

w niej gospodarował, on będzie rządził, on będzie kierował. I dlatego pielęgnujcie to prawo. **Wzywam do tego, abyście w sobie najsilniej rozwinęli szlachetną dumę polaka,** bo to jest potrzebne dla naszego mocarstwowego stanowiska"...

To wszystko tak słuszne i niezbędne mógł głośno i dobitnie powiedzieć narodowi całemu tylko jego Prezydent. Weźmy do serca i rozumu wszystkie jego nawoływania, wskazania, które razem zebrane stanowią jakgdyby program dla każdego polaka.

Stanisław Wojciechowski doskonale pojął zadanie Prezydenta Polski. Często odwiedza każdą cząstkę rozległej Ojczyzny, każdy jej zakątek, bo przecież on wie, że jest dla wszystkich, dla całego narodu, że musi zobaczyć się ze wszystkiemi i każdemu coś ważnego powiedzieć, doradzić, nakazać... Więc słuchajmy go wszyscy, — bo godzien tego!

O nim rzec można, że kocha wojsko, kocha młodzież, kocha robotników, kocha inteligentów, kocha wszystkich polaków bez wyjątku, więc kocha wieś i miasto, — kocha Naród cały!

Cześć mu serdeczna, wdzięczność za trudy, ponoszone dla chwały i szczęścia Polski!

Niech mu Bóg błogosławi, — a serca polskie pragną dla niego długich lat życia wśród nas i dla szczęścia naszego, bo przecież on poświęcił się całkowicie dla szczęścia naszego, zgodnie z ukochanem hasłem Mickiewicza, które mu stale na drodze życia przewodniczy:

**„w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele"!...**

---

Człowiek wtedy zadanie spełni całkowicie,
Gdy prawdą a odwagą przechodzi przez życie,
Gdy mu losy ojczyzny są zawsze drogiemi,
Gdy głosi miłość bratnią wśród synów tej ziemi,
Gdy naszą niwę polską oczyszcza z kąkoli,
Gdy nie słowem, lecz czynem współczuje niedoli,
Gdy zdobytych miljonów, zaszczytów, wawrzynów
Nie plami krzywda ludzka z szeregiem złych czynów,
Gdy pracuje wiernie, gdy się szczerze modli,
Gdy się przed silniejszemi służalstwem nie podli,
Gdy swe dzieci uzbraja w hart duszy i ciała,
By krajowi służyła ta drużyna mała.
I wreszcie żegnając świat ostatniem tchnieniem,
Będzie mógł odejść z czystem, jak kryształ sumieniem.

Juljan Wieniawski

---

# Pomnik
# dla Bolesława Chrobrego.

W № 24 „Przeglądu Katolickiego" z dnia 21 czerwca r. b. umieszczono odezwę tej treści:

W dniu Narodzenia Pańskiego ubiegłego roku (1924) upłynęło lat dziewięćset od wiekopomnego dziejowego zdarzenia, koronacji Bolesława Chrobrego. W kościele pierwszej Metropolji polskiej, w czcigodnej katedrze Gnieźnieńskiej, przy grobie Biskupa i Męczennika, św. Wojciecha, serdecznego przyjaciela swego, uwieńczył pierwszy z Piastów bohaterską głowę swą koroną królewską.

Celem uroczystego obchodu tego historycznego wspomnienia, powołany przez obywateli miasta Gniezna komitet, wydał już był na sam dzień rocznicy odezwę z zapowiedzią urządzenia w dogodniejszym czasie ogólnonarodowego obchodu i upamiętnienia drogiej sercu każdego polaka rocznicy postawienia przed katedrą Gnieźnieńską, z którą Chrobrego tyle łączyło wspomnień, pomnika godnego twórcy państwowości polskiej.

Uroczystosc, nad którą patronat przyjęli łaskawie Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i Ksiądz Prymas, odbędzie się w Gnieźnie w początku września roku bieżącego.

Z postawieniem pomnika dla Chrobrego złączone jest nieodzowne odnowienie zewnętrznego widoku upośledzonej przez rządy zaborcze (niemieckie) katedry Gnieznieńskiej, na który to cel komitet nie rozporządza również koniecznemi środkami. Wychodząc z założenia, że pomnik stawiany w starej Piastów stolicy i kolebce narodu polskiego, pierwszemu królowi polskiemu, wielkiemu, a bohaterskiemu budowniczemu Polski historycznej, pod którego berłem zgromadziły się wszystkie szczepy lechickie, powinien powstać groszem ofiarnym wszystkich synów Ojczyzny odrodzonej, zwraca się komitet, ufny w skuteczny oddźwięk wezwania, pochodzącego ze starego Gniezna, do najszerszych kół społeczeństwa z prośbą gorącą a usilną o przysyłanie ofiar pod adresem Konsystorza Arcybiskupiego w Gnieznie na konto № 205.015 w Pocztowej Kasie Oszczędności w Poznaniu.

Na czele komitetu budowy pomnika dla Bolesława Chrobrego stoją: Ks. Biskup Antoni Laubitz, generał Taczak i starosta Łyskowski

---

Postanowienie zbudowania pomnika Bolesława Chrobrego w Gnieznie przed katedrą uważamy za bardzo właściwe i najgodniejsze hojnego poparcia przez cały naród polski w najkrótszym czasie, — bo nawet zaraz!...

Miejsce na pomnik najodpowiedniejsze, bo w Gnieźnie, stolicy Polski Chrobrego, — więc tam, gdzie nasz bohater uczynił był główne gniazdo dla swoich rządów pracowitych i twórczych!

Tam, w Gnieznie, zpewnością Bolesław Chrobry układał swoje plany zbudowania Polski wielkiej i samodzielnej! Tam snuł pomysły o utworzeniu królestwa... Stamtąd też niezawodnie słał posłów swoich do Rzymu, do Papieża, z prośbą o poświecenie korony polskiej. Tam wreszcie, w Gnieznie swojem ukochanem, mającem grób św. Wojciecha, uzyskawszy już upragnione błogosławieństwo papieskie, został ukoronowany w katedrze gnieźnieńskiej przez miejscowego arcybiskupa w otoczeniu licznego duchowieństwa i dworzan.

Uroczystość ta odbyła się najprawdopodobniej w dzień Bożego Narodzenia 1024 roku, więc przed dziewięciuset laty.!.

To tak dawno się stało! Stare dzieje! A jednak obecnie ochoczo i z czcią wielką wygrzebujemy to wydarzenie, jako czyn wspaniały i niesłychanie korzystny nawet w czasach dzisiejszych!..

Wygrzebujemy go nie po to jedynie, ażeby, jako szperacze, uważnie i uczenie przypatrzeć się tej uroczystości, rozpoznać ją całkowicie we wszystkich szczegółach i zadowolnić swe serce polskie, że oto już w tak odległych czasach Polska była państwem potężnem i miała swego króla,—lecz po to nadewszystko, żeby dzisiejsze pokolenie polskie, zaznajomiwszy się dokładnie z polityką Bolesława Chrobrego, ugruntowało się w tem przeświadczeniu mocnem, że i dziś jeszcze Polska, a więc i naród polski, znajduje się w takiem samem położeniu politycznem, w jakiem ongi była za czasów Bolesława Chrobrego. On dopiero tworzył Polskę, utrwalał byt jej, jako państwa niezawisłego, — a my obecnie wydobyliśmy ją z niewoli i odnawiamy, wzmacniamy...

Za Bolesława Chrobrego Polska miała w swoich sąsiadach, niemcach, najgroźniejszego wroga swego. —A i my, dziś, to samo musimy powiedzieć o tych samych sąsiadach, niemcach, patrzących na Polskę, jak jastrząb na ptaszynę!...

Bolesław Chrobry doskonale zdawał sobie sprawę, co mu czynić wypada, żeby Polsce zapewnić bezpieczeństwo trwałe i właściwe. Ułożył sobie plan polityczny i stać go było na pomyślne wykonanie całkowicie! Był mądry, bardzo zaradny i pracowity, —ale też był bardzo waleczny — chrobry!.-.

Trudności na swej drodze politycznej napotykał mnóstwo i nielada, bo przecież niemiec, wróg potężny, mściwy i przebiegły, ustawicznie starał sie mu przeszkadzać różnemi sposobami. Niemiec chciał zagarnąć ziemie polskie i inne, szczepów słowiańskich, sąsiadujące z Polską, — a Bolesław nie dawał.

Jak tu zaprzeczyć mocniejszemu przebieglejszemu? Tylko trzeba być od niego zaradniejszym, umieć korzystać z każdej sposobności, nie zasypiać dogodnych okazji, a więc ustawicznie czuwać, wypatrywać i zawsze być gotowym do skoku! Takie właśnie zalety posiadał Bolesław Chrobry.

Umiał i chciał korzystać z mądrości swojej i z mnogich zalet swoich. Nagromadził duże bogactwa, zorganizował znakomite oddziały wojsk walecznych,—wreszcie potrafił zjednać sobie w miarę potrzeby sprzymierzeńców, a nadto zręcznie upatrywał dogodne dla siebie chwile; przy tem wszystkiem odznaczał się nadzwyczajną wytrwałością!

Udało mu się zaprosić cesarza Ottona III-go do Gniezna, ugościć bardzo wspaniale, obdarować najhojniej, co tak przyjaźnie usposobiło dla niego cesarza, iż tenże tam zaraz uwieńczył go własną koroną.

Historyk, Marcin Dragan, dowiódł, że ta koronacja Bolesława Chrobrego, dokonana przez cesarza Ottona III-go w r. 1000-ym, była aktem politycznym, więc już uczyniła Bolesława królem samodzielnym, niezawisłym, przyjacielem cesarza. Ale jeszcze należało dopełnić koronacji religijnej i tego mogło było podjąć się tylko duchowieństwo, oczywiście za pozwoleniem Papieża.

Bolesław niewątpliwie byłby uzyskał zgodę na to Papieża, lecz, niestety, wprędce umarł cesarz Otto III-ci (1002 roku), — a następca jego, Henryk II-gi, wrogo odnoszący się do Bolesława, był stale przeciwny takiej koronacji. Nie tylko cesarz pałał nienawiścią ku Bolesławowi, lecz niemal wszyscy niemcy jednako byli zdecydowanemi jego wrogami, gdyż on jeden ich nie dopuszczał do zagarnięcia ziem polskich i innych słowiańskich. Był dla nich zawadą groźną, niebezpieczną! Nie lękał się, wojował z niemi częstokroć bardzo pomyślnie i — co najszkodliwsze dla nich — dążył do utrwalenia niepodległości państwa swego. Tego mu nie chcieli przebaczyć i w tem dążeniu czynili mu trudności nadzwyczajne, prawie niepokonane!..

A jednak Bolesław dał sobie z niemi wszystkiemi radę!.. Wojował szczęśliwie, Polskę rozszerzył znakomicie aż do morza Bałtyckiego, odebrał niemcom duże przestrzenie ziemi słowiańskiej, zapewnił państwu swemu zupełną niezawisłość od niemców i — wreszcie, skorzystawszy ze śmierci Henryka II-go, wyjednał u Papieża, Jana 19-go, błogosławieństwo i zgodę na swoją uroczystą koronację religijną w katedrze gnieźnieńskiej przez arcybiskupa miejscowego.

Dopiął swego! Nietylko uniezależnił swe Państwo od niemców, ale uczynił siebie ukoronowanym mocarzem, któremu Papież pobłogosławił koronę i świat musiał uznać go za równego władcom panującym.

Sprawił niemcom zawód gorzki, — zadrwił z ich apetytu jastrzębiego!...

To wszystko stało się przed dziewięciuset laty!

A dziś?

U niemców ten sam, co i wówczas, apetyt jastrzębi, wilczy na cudze...

Ale i u nas, w Polsce, ten sam, co u Bolesława Chrobrego duch bohaterski, ta sama mądrość, waleczność, zaradność i przenikliwość rosnąca, czujna i coraz wytrwalsza!...

Nie damy się, jak ong nie dał się Bolesław Chrobry.

I właśnie dlatego niezbędny jest pomnik jego w Gnieznie, przed katedrą, w tem samem miejscu, gdzie przed dziewięciuset laty uroczysty odniósł tryumf nad zawiedzionemi i pokonanemi niemcami!

Pomnik Bolesława Chrobrego w Gnieznie patrzeć będzie ku Niemcom, jak gdyby na czatach... Tak ten pomnik stanie się symbolem ducha narodu polskiego, — da zapowiedź wszystkim niemcom, że i obecnie naród polski zawsze wiernie trzymać się będzie polityki swego bohatera; więc:

**odbierze swoje ziemie ojczyste, które jeszcze są w łapach wrogów, nie odda wrogom ani piędzi swej ziemi, już posiadanej, umocni swoją niepodległość jak skałę przed falami niemieckiemi i moskiewskiemi;—wreszcie już uzyskał błogosławieństwo Papieża dla swej kultury chrześcijańskiej, którą w dalszym ciągu najstaranniej pielęgnować będzie podług nauki Chrystusa.**

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 5 lipca 1925 r. № 27.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# MODLITWA.

Kiedy Heljasz, podany gonitwie  
Upadł na puszczy, wołając:  
„O dosyć, Panie! Oto już nie mogę,  
Weź duszę moją, skończ już moją trwogę!“  
Zemdlał boleścią. Lecz Anioł mu rzecze:  
„Jeszcześ nie odbył pracy swej, człowiecze“.  
I dał mu pokarm na drogę.

Jeśli i ze mną, niegodnym, o Panie,  
Taka jest wola Twoja? Niech się stanie,  
Niechaj Ci jeszcze zły sługa Twój służy:  
Tylko umocnij kroki drżące, chore,  
Tylko mi zeszlij na pokarm w podróży:  
Cierpliwość, miłość, pokorę.

S. Witwicki.

# Czy oni troszczą się o nas?

Takie pytanie może sama sobie zadaje młodzież, spoglądając w stronę osób starszych. A starsi, rozumiejąc je jako wyrzut, lub jako powątpiewanie, ku nim wymierzone, zapewne gotowi są obrazić się, bo wszakże im się zdaje, że właśnie troszczą się o jej los dostatecznie.

— Czy dostatecznie?

A pytanie to pochodzi już od sumienia, które coś-nie-coś może ma do wyrzucenia starszym i chyba nawet słusznie...

Wprawdzie starsi mają się za wielkich dobrodziejów względem swej młodzieży i w tem ich mniemaniu jest bardzo dużo prawdy. Jednak i żal młodzieży bądź-co-bądź nie jest jej pozbawiony...

Tak, bo jeno wsłuchajmy się, co młodzież nam powie!

— Owszem, rozumiemy, — tak dowodzą, — że od starszych mamy przynajmniej to, co nam jest w życiu codziennem **najniezbędniejsze**... Ale to najniezbędniejsze zwykle odnosi się do potrzeb ciała i zarobku, albo do zdobycia w przyszłości lepszych korzyści materjalnych.

— O, tak, starsi nie żałują nam chleba, szmat i zachęty do pchania się po większe dochody, — tak dalej utyskują młodzi, — lecz jakoś nie domyślają się starsi, że przecież młodzieży coś więcej trzeba, nawet należy się od starszych.

Śmiałe wymagania młodzieży budzą w niejednym człowieku starszym zaciekawienie: jakie swoje potrzeby niezaspokojone mają młodzi na myśli?

Tu dopiero daje znać o sobie **tęsknota**, rozpierająca duszę młodą.

Młodzież nie potrafi swej tęsknoty jasno i w całości wynurzyć. I nic dziwnego! Jeszcze nie jest w stanie rozpoznać wszystkich swoich potrzeb duchowych i życiowych, bo przecież dopiero wstępuje w życie – i jeszcze nie zna siebie...

Owszem, dostrzega wiele w sobie i dla siebie niedostatków, czuje one, lecz najczęściej nie potrafi nazwać je właściwie...

Taki stan duchowy młodzieży mówi nam o potrzebie ścisłego i trwałego przymierza młodych ze starszemi.

Wprawdzie niektórzy młodzi lubią niekiedy, upojeni swoją młodzieńczością, mówić z zapałem: **my i starzy** — to dwa światy obce sobie i nieraz wzajemnie patrzące na siebie wrogo!... Owszem, może niekiedy młodzi mają powody aż nawet do urazy i żalu, lecz chyba jedynie z tej przyczyny, że starsi zamało troszczą się o dobro istotne młodzieży swojej...

A co nazwiemy istotnem dobrem, najpożądańszem dla młodzieży?

Jedno tylko jest takie dobro, a niem jest **piękny ideał moralny.**

Nierzadko dziś można spotkać się z wyrazem ideał, a jednak jest on jeszcze dla wielu słabo zrozumiany. A warto się z nim oswoić, jak ze swoją własnością. Bo to rzecz niezawodna, że, istotnie, każdy człowiek dopóty sam o swej wartości moralnej mało, lub nic nie wie, a tem mniej wiedzą postronni, dopóki nie posiada dla siebie na stałe ukochanego ideału moralnego.

Tak jest on każdemu niezbędny, jak niezbędny jest plan dla budowanego domu... Im okazalszy i dogodniejszy chcemy dom zbudować, tem doskonalszy mistrz musi na niego przygotować plan. To chyba wszystkim wiadome.

A czy życie ludzkie nie wymaga planu? I kiedyż mamy mu plan dobry i piękny zgotować? Czy dopiero w końcu życia? Nie, możliwie najwcześniej, a więc w młodości!

Zaiste, bardzo szczęśliwy młodzieniec, który wcześnie postarał się o plan taki dla siebie. Oczywiście, nie jedynie sam sobie go ułożył, lecz przyszli mu w tem z wielką pomocą starsi jego sprzymierzeńcy. Atoli godzi się zauważyć, że oni mu planu gotowego nie narzucili. — Nie! — Owszem, oni tylko doradzali, wskazywali, zachęcali i wyjaśniali znaczenie każdej cząstki planu. A on z ich przysług chętnie i pilnie korzystał, sam sobie z różnych cząstek tworząc plan moralny i zaraz podług niego budując w sobie piękne zalety moralne charakteru własnego.

Przeto ideał moralny—jest nic innego, jak tylko stały poszczególnego młodzieńca plan dla zbudowania i utrzymania w należytej dzielności własnego charakteru moralnego!

Jest mniemanie powszechne, że bardzo dużo ludzi obywa się całe życie bez ideału, a więc i bez charakteru stałego. Czy to prawda?

Chyba tak. Wprawdzie i oni mają niektóre wady i niektóre zalety stałe, — lecz najczęściej bywają tak dalece zmienni, chwiejni, że nigdy niepodobna przewidzieć, co uczynią za chwilę: źle, czy dobrze i jak się zachowają względem wydarzeń pewnych, które napotkają na drodze swego życia....

Mimochodem warto zauważyć, że jednak w życiu mrowia ludzkiego trafiają się rozmaite ideały, czyli plany życia, bo nieraz nieszczególnie uczciwe, a niektóre nawet całkiem niepoczciwe! Ktoś np. powziął dla siebie plan stały: żyć tak zręcznie, żeby nigdy nie dostać się w ręce policji, więc nieraz dopuszcza się różnych figlów brzydkich i nawet występków ciężkich, lecz zawsze tak cicho i przebiegle, że zazwyczaj policja nic o nich dowiedzieć się nie może... Taki sposób życia niektórzy nazywają nie ideałem, lecz metodą, albo systemem bezpiecznym, osłaniającym szelmoskie popędy, wyrządzające wielu ludziom znaczne szkody!

Ktoś znowu ma inny system: robić, jak się uda, byle dojść do fortuny! — Ktoś inny trzyma się systemu również bardzo szpetnego: oto bywa różny rozmyślnie: pracowity, kiedy kto patrzy na niego,—pobożny tylko dla oka ludzkiego, — płaszczy się przed możnemi, a pyszałek nadęty wobec ubogich i zależnych od niego, — cichy, słodki na ulicy i dla obcych, a u siebie w domu tyran, złośnik, dokucznik nieznośny!...

Takie i tym podobne upodobania stałe zwykle nazywają się: systemem, metodą, lub nawet polityką.

dyplomacją.... A zaś miano: „ideał" słusznie przysługuje tylko planowi moralnemu, podług którego ktoś pielęgnuje w sobie upodobane zalety charakteru swego.

Czy każdy człowiek zna siebie? - Nie każdy. Chcąc poznać siebie gruntownie, dobrze jest pierwej uporządkowć swój własny ideał, czyli plan moralny.

Czy każdy wie o tem, że ma stały plan dla swego postępowania codziennego? — Nie. U wielu istnieje nieład wielki w głowie i w sercu. Oni nie wiedzą, które myśli i uczucia są ich własnością, a które tylko chwilowem upodobaniem, lub polityką czasową, zmienną.

Takich właśnie bywa wszędzie najwięcej. Takim nigdy, niestety, niepodobna zaufać, bo zazwyczaj zawodzą, nie tylko nie dotrzymują danego przyrzeczenia, lecz nawet potrafią coraz to zmieniać swe zdanie, wypierają się tego, co powiedzieli przed chwilą, gotowi z przyjaciół stać się napoczekaniu wrogami, pochlebiają mocniejszym, dają się ująć poczęstunkiem lub pogróżką, — słowem, dusze ich, jak piasek lotny, nigdy nie mogą stać się fundamentem pod budynek trwały i piękny.

Od czego więc zależy stały, dobry i mocny ład moralny w duszy ludzkiej? — Tylko od **ukochanego ideału moralnego**, podług którego człowiek już wypielęgnował w swej duszy wszystkie zalety charakteru i tak je ugruntował krzepko, że żadna siła ludzka nie zdoła je zniweczyć, złamać, lub bodaj tylko zachwiać, osłabić...

Taki nigdy nie zdradzi, nie zawiedzie, nie zmieni danej obietnicy.

Taki człowiek — to prawdziwy skarb moralny! Kto chce stopniowo uczynić siebie takim skarbem,— musi przedewszystkiem ułożyć **dla siebie** ideał moralny i umiłować go serdecznie, mocno, niezmiennie. I zaraz musi przystąpić do wypielęgnowania w swoim charakterze wszystkich zalet, wskazanych przez własny ideał ukochany.

Mówimy: ułożyć **dla siebie** ideał moralny.

Zastrzeżenie potrzebne, bo bywają i tacy, którzy przyswoili sobie ideał moralny tylko dla przypodobania się ludziom. On im służy za pozór, za ozdobę, a w swej duszy nie mają zalet odpowiednich... Tacy ludzie to brylanty fałszywe.

Raz jeszcze przeto wypada nadmienić, że kto chce mieć w swoim charakterze istotną moc moralną, jako skarb wielki, **musi podług pięknego ideału moralnego naprawdę wypielęgnować w sobie zalety bardzo czyste i silne.**

Każdy piękny ideał moralny zawiera w sobie: **prawdę, dobro i wiedzę.**

A zalety charakteru zawsze muszą być wierne tym trzem wymaganiom ideału.

Żaden ideał nie będzie doskonały moralnie, jeżeli on w czemkolwiek sprzeciwi się prawdzie, dobru i wiedzy. A i zalety charakteru nie będą miały w sobie dostojeństwa cnót moralnych, gdy one kiedykolwiek wrogo wystąpią przeciwko prawdzie, dobru i wiedzy...

Dlatego ideał moralny musi być budowany bardzo starannie podług prawideł chrześcijańskich. A i zalety chrakteru niezmiennie muszą stosować się do własnego ideału moralnego.

Jeszcze zda się umieścić tu jedną uwagę:

Podług umiłowanego ideału moralnego nie zawsze uda się poznać istotną wartość poszczególnego człowieka, bo niejedn umie ładnie mówić o swoich dobrych chęciach, olśniewa, niejako odurza słowami swemi.

A tylko uczynki nigdy nie zawodzą.

„Po uczynkach poznacie je"...

Co wart plan najpiękniejszy, jeśli służy tylko na pokaz, a nikt nie buduje podług niego, albo zresztą buduje, lecz nie tak, jak plan zaleca?

Równo zatem troszczyć się trzeba o sporządzenie pięknego planu, czyli ideału moralnego—i o wypielęgnowanie podług niego wszystkich zalet moralnych mocnych i trwałych...

Młodzież, owszem, jest nawet bardzo skłonna do umiłowania pięknego ideału moralnego. Ale skąd ma go wziąć? Z palca przecież nie wyssie?

Otóż tu przysługa starszych jest poprostu niezbędna.

Piękny ideał moralny nie tkwi w powietrzu i zjawił się nie dziś dopiero. On istnieje tak dawno, jak dawny jest ideał Chrystusowy, bo przez niego został uzupełniony i udoskonalony. A piękność jego, pożyteczność i uszczęśliwianie, jakie sprawia w życiu poszczególnych ludzi i narodów, — każdemu chyba rzucają się w oczy, więc i młodzieży...

Jednak nie dość, że dzieje narodów ciągle mówią wiele o pięknym ideale moralnym, — bo jeszcze żywi muszą go zachwalić i młodzież skłonić do umiłowania go i doskonalenia swego charakteru podług niego.

Taka zachęta powinna być bardzo częsta, serdeczna i wielce umiejętna...

Zdawać się może komu narazie, że nic łatwiejszego, jak zachwalać piękny ideał moralny i zachęcać młodzież do ulegania jemu. Ale rzeczywistość przekonywa, że to właśnie jest bardzo trudne. Oto starsi częstokroć bywają niecierpliwi, trochę gburowaci, złośliwi, radziby jedynie rozkazywać, zrzędzić, pokpiwać, albo nudzić gadulstwem dość niezręcznem.

Chyba każdy przyzna, że u nas jeszcze niema zwyczaju publicznie i powszechnie namawiać do dobrego — i właśnie dlatego tak bardzo mało mamy u siebie w kraju towarzystw trzeźwości, czytelni, kół młodzieży, kół oszczędności, kół niepalaczy tytoniu..

Starsi zasłaniają się wymówką, że po co nawoływać i namawiać młodzież do wszystkiego, co dobre i prawdziwe. „Alboż tego ona sama nie dostrzega? Owszem, **ona powinna sama** to widzieć i tem się przejmować. Przecież nie dla nas, starszych, ma być młodzież dobra i rozumna, tylko dla swej korzyści. A jeśli nie chce garnąć się do dobrego, jeśli sama nie zastanawia się nad tem, co prawdziwe i dobre, to już niech sama sobie winę przypiszę, gdy wprędce w życiu swojem dozna licznych niepowodzeń i nawet nieszczęć, których uniknęłaby niezawodnie, gdyby sama dla siebie poszukała pięknego ideału moralnego i podług niego wypielęgnowała

w sobie wszystkie zalety charakteru"... Wcale nierzadko takiemi wymówkami bronią starsi swej nieuczynności. Bardzo naganne niedbalstwo!

Każdy człowiek bez wyjątku w ciągu całego życia swego potrzebuje zachęty do dobrego. A jeżeli ona potrzebna jest starszemu, to już chyba tembardziej niezbędna młodemu. Nawet niezbędniejsza młodemu, bo młody, mniej doświadczony, mniej ostrożny i mniej wytrwały, łatwiej zniechęca się i właśnie dlatego coraz powinien być życzliwie i umiejętnie pobudzany do wytrwania w dobrem...

Przytem wiadomo dobrze każdemu, jak młodzież często bywa narażana na przeróżne pokusy, króre jak gdyby pułapki i ponęty ciągną ją do złego... Czy to nie jest otwarta droga do bliskiego nieszczęścia, które czyha na młodzież nieopatrzną? — Starsi łatwo dostrzegają smutne złego następstwa, bo patrzą rozważnie w przyszłość niedaleką, czemuż więc wszyscy nie pouczają młodzieży przychylnie, miłościwie?

Młodzież bardziej powoduje się sercem, aniżeli rozumem, bo serce ma tkliwe, skwapliwe i nawet jak gdyby bardzo rącze, a za to rozum jeszcze nader wątły, zamało oswojony z rzeczywistością... Łaknie więc dla siebie od starszych dużo serca, dużo szczerej życzliwości, prawdziwie przyjacielskiej!.... Dlatego tak łatwo można ująć sobie młodzież, okazując jej przychylność. Czemuż przeto starsi tak skąpią jej swego serca? Czy na taką dla niej hojność zdobyć się nie potrafią, albo nie chcą?...

Młodzież bywa zazwyczaj wrażliwa na to wszystko, co dobre, co piękne i co jest prawdą! Trzeba tylko prostotnie, a szczerze zwracać jej uwagę na piękno, dobro i prawdę, a ona stopniowo sama polubi je i zechce postępkami swemi upodabniać się do nich...

Jeszcze i to wiadome jest chyba wszystkim, a osobliwie starszym, że najwięcej niebezpieczeństw grozi młodzieży, bo niech tylko wezmą w niej górę złe popędy, a już niemal napewno **musi** doznać losu nieszczęsnego...

Jeżeli różne dybią na nią złe okazje, jeżeli niemal na każdym kroku spotyka się z przeróżnemi wabikami, namowami i zachętami do złego,—to czy to wszystko, doskonale znane starszym, nie powinnoby ich skłonić do bardzo serdecznej obrony młodzieży, ciągle wystawianej na liczne i groźne niebezpieczeństwa?

Jeżeli złe nigdy nie próżnuje, nawet bardzo pilnie pracuje gwoli pociągnięcia ku sobie młodzieży wszystkiej, — to już to samo dostatecznie przekonywa starszych, — gdy mają w sobie ukochanie dobra, — jak usilnie powinni ją ratować.,.

A przecież starszym z własnego doświadczenia wiadomo, jak okropne skutki muszą wyniknąć zwłaszcza z niektórych występków, tak narazie mile zalecanych młodzieży przez niektórych przyjaciół złego!.. Powinniby starsi ratować młodzież szczególniej od tego, co ich samych, kiedy byli młodzi, bądź sparzyło strasznie, bądź mocno przeraziło widokiem swoim... A więc powinni ją zachęcać do unikania próżniactwa, kart, kieliszka, tytoniu, złej kompanji, sprośnych i głupkowatych znajomych...

Do pracowitej troski o dobro młodzieży jeszcze starszych skłania miłość chrześcijańska. Ta miłość wszakże powinna ożywiać każde serce ludzkie! I dzięki jej tyle już spełniono uczynków pięknych i ciągle nadal są spełniane: jałmużny ubogim, pomoc chorym, opieka nad sierotami, obrona bezsilnym i napastowanym... Każdy, potrzebujący poratowania, ma prawo do serca, pałającego miłością chrześcijańską. Wszyscy też, istotnie, pukają do niego nie napróżno!... Tak, wszyscy, tylko prócz młodzieży... Tak przynajmniej dzieje się u nas jeszcze w bardzo wielu miejscowościach,..

A właśnie młodzież bardzo potrzebuje pomocy chrześcijańskiej. Tak ona jej potrzebuje, jak niwa w porze wiosennej wymaga od rolnika uprawy i siewu, — od słońca promieni ciepłych, pomocnych, — a od deszczu pożądanego orzeźwienia!... Kto ma być dla młodzieży tem, czem dla niwy jest rolnik, słońce i deszcz majowy? Oczywiście — starsi!

Ale u nas częstokroć starsi zgoła nie poczuwają się do spieszenia z taką pomocą chrześcijańską młodzieży swojej. Nawet niejeden starszy, nagabywany, czemu jest obojętny na los młodzieży miejscowej,—tak odpowiada stanowczo, jak gdyby miał słuszność:

— Alboż młodzi są jeszcze dziećmi małemi? Może potrzebują niańki? Ani myślę narażać się na ich grymasy i figle. Nie chcą słuchać, drwią z dawanej im uwagi poczciwej, szydzą z każdego, szaleją tak, że, doprawdy, trudno wytrzymać z niemi! Już im nikt nie da rady, nie poprawi!...

Po tych uwagach, oczywiście, w wielu razach całkiem prawdziwych, należy również słusznie zapytać: a starsi nie potrafią zasłużyć na takie same zarzuty? Alboż wśród starszych ludzi mało mamy nieposłusznych, uparciuchów, pijaków, hulaków, rozpustników niepoprawnych?... A kiedyż ci starsi grzesznicy wpadli w swoje nałogi występne?...

Jeszcze zamłodu!

W młodzieńczych latach zawsze łatwej pozbyć się dopiero zapoczątkowanego występku. Wprawdzie niejeden młodzieniec narazie bardzo niechętnie przyjmuje od starszych czynione mu poczciwe rady, zachęty... Ale jeśli starsi tem się bynajmniej nie zniechęcają, owszem, coraz umiejętniej ponawiają swoje serdeczne upomnienia i przestrogi, zpewnością zczasem on im poddaje się, ulega i oto „wychodzi na porządnego człowieka".

Czy dziś niejeden starszy nie powie o sobie tego, że tylko pewnej osobie przychylnej, która go wporę nawróciła z drogi występnej, zawdzięcza swoje ocalenie? A i to także prawda, że dziś może nawet sporo ludzi starszych, rozpamiętując swoję niedolę obecną, pocichu serdecznie żałuje: czemu w młodości swojej nie napotkali kogo troskliwego, którýby życzliwie sprowadził ich z manowców na drogę poczciwą. Niestety, nie spotkali takiego przyjaciela—i oto dziś gorzko opłakują swoję niedolę, w którą wpadli tylko wskutek swoich występków i niedorzeczności. Zapóźno **sami poznali swoje błędy. A gdyby ktoś dobry i troskliwy wcześnie umiał skłonić ich do porzucenia nieprawości, — uniknęliby klęski, która im zgotowała zgubę.**

Zatem samo życie i doświadczenie przekonywają wszystkich mocno i niezawodnie o potrzebie wspomagania młodzieży radą i opieką przyjacielską przez ludzi starszych, którzy przecież życie i doświadczenie może nawet aż nadto gruntownie poznali....

Ale chodzi o radę i opiekę starszych dla młodzieży nie tej tylko, która już lgnie do złego, bo i dla tej, która ma w sobie dużo poczciwego zapału i serdecznie garnie się do dobrego. A takiej młodzieży mamy bardzo dużo! Ona jednak sama li tylko własnemi siłami zpewnością nie zdoła pokonać wielu trudności, nie nabędzie pożądanej wiedzy, nie udoskonali swego umysłu i serca, jeśli nie dozna wielkiej pomocy od starszych, życzliwie dla niej usposobionych...

Starsi powinni taką młodzież zachęcać do wytrwania w dobrem, ułatwiać jej wzmacnianie woli, uszlachetnianie ambicji, nabywanie nauk potrzebnych... Nawet i o to muszą się zatroszczyć, ażeby młodzież umiłowała własny ideał moralny — i podług niego sama wypielęgnowała w sobie pożadane zalety charakteru. Tylko w taki sposób ta młodzież stanie się moralnie doskonalszą, pożyteczniejszą i, być może, szczęśliwszą.

A tyle pomyślnych rezultatów zawdzięczać będzie nie tylko własnej-pracy, ale też w znacznym stopniu i życzliwej, ofiarnej pomocy starszych przyjaciół swoich...

Szczęśliwy ten młodzieniec, który na swej drodze spotkał wielu takich przyjaciół starszych. I ci przyjaciele w szczęściu młodzieńca swego znajdą dla siebie uszczęśliwienie,. bo wszakże ich wysiłki dobre nie będą stracone, każda praca dobra wcześniej lub później musi wydać plon korzystny.

Niechże przeto starsi nie patrzą obojętnie na swoję młodzież, która zawsze pomocy ich bardzo potrzebuje!

Czy wszyscy starsi patrzą obojętnie? — Nikt tego nie twierdzi, ale to pewna, że ogromna większość starszych zgoła wcale nie interesuje się losem swej młodzieży.

Czy chcecie dowodów na to? Jest ich mnóstwo. Weźmy pod uwagę tylko kilka: oto wielki jest u nas brak szkół zawodowych i niemniej wielki brak rozrywek szlachetnych.

Za to mamy niezmiernie dużo takich starszych, co ciekawie wglądają w złe postępki młodzieży naszej tylko po to, ażeby z niej pokpiwać, obmawiać ją, nawet jak gdyby radować się z jej nieszczęścia.

Słowem, nasza młodzież jeszcze bardzo mało liczy pośród starszych swoich przyjaciół, a natomiast ogromnie wielu przeciwników, lub nieczulców.

I za co, spotyka naszą młodzież taka niechęć, albo nieczułość? W czem zawiniła?.. Wprawdzie z ust starszych spadają na nią potoki oskarżeń o najrozmaitsze zdrożności, występki, niecnoty. Ale godzi się zapytać: skąd pochodzą one?

Tylko, oczywiście, z jej natury młodzieńczej, w której wzięły górę popędy szkodliwe. A czemuż wzięły górę? Czy nie można było temu zapobiedz? Czy na to nie ma sposobów? Owszem, są,—ale kto miał się tem zająć? Czy tylko sama młodzież nieopatrzna, lekkomyślna, prawie nie zastanawiająca sie nad zgubnemi następstwami własnych postępków nagannych?

Starsi nie powinni zniechęcać się do swej młodzieży. Co więcej, nie powinni tchórzyć, albo poddawać się lenistwu i opieszałości wobec wad, rosnących w młodzieży. Nie wolno im lekceważyć zła, które stopniowo opanowywa duszę młodzieży i gotuje jej smutną dolę!.. Toć każdy starszy wprawdzie przestał być młodzieńcem, ale nie przestał być człowiekiem, któremu nie powinno być obojętne to wszystko, co się odnosi do ludzi, a młodzi to także ludzie, bardzo zasługujący na pomoc starszych choćby dlatego, że są jeszcze bezsilni i nie zdołają sami sobi bez pomocy starszych poradzić w sprawach zarobkowych i moralnych!...

Pomoc starszych materjalna i moralna jest młodzieży naszej ustawicznie niezbędna!

Czy takiej pomocy dopiero młodzież dzisiejsza pożąda, — a dawniejsza potrafiła się bez niej obywać? Nie. Zawsze tak było, jest i będzie, że młodzieży swojej muszą starsi ustawicznie pomocy udzielać.

A więc ci, co dziś są starsi, dawniej, kiedy jeszcze byli młodsi, również pożądali wielorakiej pomocy i, być może, nawet obficie otrzymywali ją od starszych swoich.

Jeżeli przeto w młodości swojej byli wspomagani, niechże teraz, kiedy są starsi, odwdzięczają się za tamtą pomoc w sposób szlachetny: pomagając młodzieży swojej.

Za pomoc otrzymaną starsi powinni odpłacać młodszym pomocą swoją.

Taki jest stały w życiu ludzkiem porządek wdzięczności

A jeżeli komu zdaje się, że on nic nikomu nie zawdzięcza, bo wszystko, co posiadł, sam musiał zdobyć ciężką, wytrwałą pracą, a nikt mu nic nie dał „nawet na owinięcie palca," — to jednak i takiemu trzeba wytknąć, że grubo się myli. No, chyba udowodni, że chował się w lesie i nic nie umie! A jeżeli wychowywał się wśród ludzi i umie bardzo dużo, to, utrzymując, że nic od nikogo nie dostał, grzeszy wielkiem samochwalstwem i nawet niewdzięcznością!..

Prawda! Bo już pomińmy dziecięce jego lata, kiedy starsi, musieli go nosić na ręku, uczyć jeść, chodzić i mówić,—o czem wszyscy wiedzą,—a przejdźmy do tych czasów pacholęcych i młodzieńczych, kiedy już zaczął się uczyć... Oto chwali się, dajmy na to, że bardzo dużo wiedzy zdobył sam tylko własną pracą. Jednak niechże pozwoli, że go zapytamy, a skąd sam czerpał wiedzę? Czy sam sobie ją ugotował z mchu leśnego i piasku nadrzecznego? Gdzietam! On ją czerpał w szkołach i z książek, które powstały tylko dzięki pracy mnóstwa ludzi starszych, ofiarnie mozolących się gwoli niesieniu pomocy młodzieży, jeszcze bezsilnej, bezradnej, pożądającej pomocy starszych.

Zawsze tedy wracamy do jednej prawdy zasadniczej: że każdemu bez wyjątku młodzieńcowi niezbędna jest pomoc starszych, pomoc nie dorywcza, nie byle jaka, ale pomoc doskonała, umiejętna, ser-

deczna i całkowita zarówno w potrzebach materjalnych, jak i w moralnych.

Niechżeż każdy człowiek starszy wsłucha się w głos sumienia własnego, które taki daje mu nakaz wyraźny: Bądź uczynny dla młodzieży naszej, bo ona jest przyszłością narodu! Życzysz swemu narodowi szczęścia? Ale młodzież to ludzie, którzy dopiero żyć zaczęli. Czy na nich w dalszej drodze życia czeka szczęście gotowe? — Nie. — Oni je muszą zdobywać niezmiernie ciężką i trudną pracą, wykonywaną nietylko umiejętnie, ale i uczciwie!.. Owszem, zdobędą dostatek i pomyślność tylko o tyle, o ile będą dostatecznie wykształceni fachowo i moralnie udoskonaleni podług własnego ideału moralnego.

Dlatego każdy młodzieniec musi być dwojako przygotowany do życia dalszego staranną pomocą starszych: fachowo i moralnie.

Młodzież rozumna wie o takiej potrzebie swojej, przeto spoglądając na swoich starszych, zadaje sobie pytanie: czy oni naprawdę troszczą się o nasze szczęście?

A znowu starsi, słysząc to pytanie, zpewnością nie polenią się i odtąd już pilnie będą pomagali młodzieży, wzajemnie zachęcając się tem hasłem: niech młodzież przy naszej pomocy stanie się dobrą i pożyteczną, a niechybnie zdobędzie dla siebie i narodu całego dostatek i szczęście...

---

Życie ludzkie podobne jest do życia rośliny:
Myśl pączkiem, słowo kwiatem, a owocem czyny.

Franciszek Morawski.

---

# W kole młodzieży.

Hej, radością oczy błysną,
I wieniec czoło okrasi,
I wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi.

Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłonę,
Otwórzmy myśli i chęci —
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale kto jest w naszem gronie,
Pomnij na przysięgę swoją,
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu, czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka cnota!

**Adam Mickiewicz.**

---

Z niezłomną wolą, z sercem niezgasłem,
Wśród półwiekowej zawiei,
Jam życie przeszła pod świętem hasłem:
Wiary, miłości, nadziei.

Seweryna Duchińska.

---

# A jednak musimy!...

Takie postanowienie: a jednak musimy!... pochodzi nie z chwilowego zapału, lecz z długiego namysłu i do żywego zadraśniętej ambicji narodowej..

Mam w tej chwili na myśli handel zbożem polskiem. Nigdy nie mogę pogodzić się z tem, że handel zbożem naszem całkowicie jest w rękach żydowskich. Dlaczego tak jest — i czy tak być powinno? Czy nam, polakom, nie wstyd, że na pracy rolnika polskiego, pracy tak znojnej i tak męczącej swoją niepewnością, grubo zarabia kupiec żydowski? Zauważmy jeszcze drugą hańbę bolesną, że oto handel zbożem, trzymany mocno i zręcznie przez żydów oddaje wszystkich naszych rolników w zależność żydowską, niemal niewolniczą!..

Nie ukrywajmy tej prawdy, która nam przed całym światem nie robi sławy chlubnej!.. Bo przecież świat, ciągle mając jednę i tę samą wiadomość że polacy zaledwo potrafią zboże uprawiać, ale sprzedać je już nie potrafią, — musi mieć o nas opinję bardzo niezaszczytną tej treści:

— Widocznie polacy albo są wielce niedołężni albo nazdwyczajnie leniwi, bo czy kto gdzie słyszał żeby cała ludność rolnicza w kraju swoje plony oddawała na sprzedaż obcym kupcom? Trzeba być wielkim niedołęgą, albo tak ciemnym i tak nie ambitnym, żeby potulnie pogodzić się z tym stanem rzeczy, podobnym do obroży niewolniczej!

Zpewnością tylko takie mniemanie ma świat cały o rolnikach polskich. A oni co na to?

Dotychczas prawie nic nie robią dla zmiany tego stanu na lepsze.

Gdy się kto odezwie, zachęcając rolników do ujęcia handlu zbożem w swoje ręce polskie, na to rolnicy, owszem, odpowiadają przychylnie, lecz w ich odpowiedzi, niestety, brzmi niewesoła nuta bezsilności, niezaradności, a właściwie... niechciejstwa.

Bo wszakże trudno w to uwierzyć, iżby niepodobieństwem było dla polaków zająć się handlem zbożowym. Bo co czynią żydzi,—to samo również potrafią wykonać polacy. Słyną w całym świecie polacy ze swoich zdolności do prac przeróżnych, nawet najtrudniejszych, więc nikt w to nie uwierzy, że polacy tylko jakoby do handlu zbożowego są niezdolni!

Jako żywo, tak nie jest! A przeto inna być musi przyczyna tego zjawiska dla nas, doprawdy, hańbiącego, że dotychczas ciągle tylko żydzi handlują zbożem polskiem.

Jakaż jest istotna przyczyna? Czy może brak pieniędzy? — brak ludzi? — albo może wreszcie tak wszyscy jesteśmy bogaci, że sami takiego zatrudnienia dla siebie nie potrzebujemy, więc niech tam i żydkowie tutejsi pożywią się przy naszem zbożu?—Ależ nic z tego nie może stanowić wymówki dla nas, bo i pieniądze znalazłyby się na taki handel, — i ludzi mamy poddostatkiem zdolnych i łaknących pracy pożytecznej, — i sami jesteśmy zbyt ubodzy, więc zarobek z handlu zbożowego przydałby się bardzo wielu rodakom naszym...

Przeto, jakaż jest przyczyna jedynie prawdziwa?

Tylko jedna — istotna — **niechciej wielki!...**

Zawsze to jedno powtarzać będziemy, bo musimy, gdyż to tylko jest prawda oczywista.

Zresztą po co to dopiero rozgłaszać dzisiaj, kiedy o tem wszyscy wiemy oddawna. Każdy z nas zawsze jedno powie szczerze i otwarcie, że **gdybyśmy jeno chcieli, już byśmy cały handel zbożem w swoich rękach mieli...**

A nie mamy go dotychczas tylko dlatego, że **nie chcemy,** bo, doprawdy **wielki niechciej** panoszy się jeszcze w duszy naszej!

To prawda gorzka, ale niejeden rodak już ma gotową wymówkę taką.

— A no, chyba tak jest, jak powiadacie Trochę nam się nie chciało — i jucha ten Abramek dużo w tem zawinił, bo zawsze przybiegał do nas po zboże, a tak mełł swoim językiem chwacko, tak otumaniał i wscibiał gotówkę, że się człek dawał skusić, gdyż, prawdą, a Bogiem, gotówkę wscibiał w porę, kiedy była bardzo potrzebna, — przytem, godzi się wyznać, że i strach mnie zdejmał na myśl, co ja sam pocznę ze swojem zbożem, komu je sprzedam i kiedy? Może wreszcie znalazłoby się wśród nas kilku takich, coby potrafili poszukać innych nabywców, nie żydów, na zboże nasze, ale, wiadomo, jaki to bywa zwyczaj u ludzi naszych, jak zaczną namyślać się, mówić, a przytem spierać się i kłócić,—tak ja, przywodząc sobie to wszystko na pamięć—pomyślałem, że jakkolwiek to jest rzecz dobra i nawet potrzebna, iżby ten handel zbożowy przeszedł całkiem w ręce nasze, ale teraz trzeba jeszcze trochę żelżyć, poczekać na czasy lepsze, dogodniejsze. No i na takie uwagi moje zgadzali się sasiedzi... Odkładaliśmy na potem... I to **potem** przechodziło z roku na rok... I tak schodzi. Wiadomo, że to jest niedobrze i nawet nieładnie, nie pasuje nam, rolnikom, w czasach dzisiejszych, kiedy coraz więcej nauki idzie do głowy, być tak zależnym od kupca żyda, który zpewnością wielce szachruje i z nas dla siebie ciągnie korzyści... Jużby się zdało teraz ten handel uczynić tylko naszym, polskim... Ale jak? — radźcie, chłopcy!.. Bo ja sam już nie wiem co więcej o tem powiedzieć...

Tak częstokroć kończą się przygodne narady o ujęciu w swoje ręce handlu zbożem naszem...

Ten handel może w każdej chwili stać się naszym, — tylko trzeba zacząć rozumnie i dzielnie. A na takie zalety stać nas przecież!

Załóżmy spółki rolne podług statutu Związku spółdzielni rolniczych (Warszawa, Mazowiecka, 9). Następnie wejdźmy w porozumienie z intendenturą wojskową, która **musi** z naszych spółek rolnych nabywać zboże polskie na potrzeby wojska polskiego.

Nie tajmy tego, że o intendenturze polskiej krążą wieści mętne, odbierajace naszym rolnikom zaufanie do tego urzędu polskiego. Może być, że niektórzy urzędnicy woleliby z żydami handlować—lecz zpewnością wielu innych urzędników intendentury musi przychylnie odnosić się do postanowienia rolników naszych, — postanowienia właściwego i bardzo na czasie. Bo kiedyż mamy zapoczątkować handel polski zbożem polskiem? — Tylko teraz, kiedy już lada dzień będziemy mieli, daj Boże, nowe zboże obfite. Warto jeszcze zbiorowo wnieść podanie do samego Pana Ministra Spraw Wojskowych o zamiarach rolników polskich, a on obmyśli ułatwienia dla nich, jak mają swój handel nowy rozpocząć od obsługiwania wojska polskiego.

Więc do dzieła!

Musimy zacząć w tym roku!

# LIST Z BYCHAWY.

Dnia 26 czerwca r. b., w niedzielę, odbyło się w Bychawie zakończenie roku szkolnego miejscowej szkoły powszechnej Rano tego dnia o g. 9-ej uroczyste nabożeństwo odprawił ks. prefekt Jabłońsk A po południu o 6-ej godzinie w domu ludowym urządzono popis dziatwy szkolnej i doręczenie jej cenzurek. Na zakończenie tej uroczystości nauczycielstwo sprawiło zarówno bardzo liczne dziatwie jak i publiczności zapełniającej po brzegi salę domu ludowego, niezmiernie miłą niespodziankę, bo dało przedstawienie teatralne, odegrane wyłącznie przez uczniów i uczennice szkoły powszechnej.

Wystawiono sztukę p. n. „Baśń Królowej Róży" w trzech odsłonach, napisaną przez M. G. Dąbrowską. Treść sztuki ciekawa, niezwykła i bardzo powabna. A już prawdziwą jej ozdobą były ubrania dzieci grających, bo każde z nich miało piękny strój, podobny do kwiatu, którego było przedstawicielem.

Ile dzieci występowało na scenie, — a było ich przeszło trzydzieścioro, — tyle widzieliśmy przeróżnych kwiatów, więc była róża, fijołek, lilja, bratek, konwalja i t. d. Każde dziecko, jak kwiat uroczy, ubrane stosownie, będąc w ciągłym ruchu na scenie, sprawiało ustawiczną mieszaninę kolorów i postaci. Przyznać trzeba, że dzieci grały wybornie, przygotowane było bardzo starannie, role umiały i w tańcach, pełnych wdzięku i ruchu, nawet nader zręcznego, znać było wielkie wyćwiczenie, bo żadnej nie popełniły omyłki.

Publiczność i dziatwa na widown były bardzo zadowolone, serdecznie dziękowały oklaskami,—a nadto osobną żywią wdzięczność dla głównego organizatora tej zabawy, kierownika szkoły miejscowej, p. Michała Pidka, który, istotnie, włożył ogrom pracy w całe urządzenie tego przedstawienia bardzo miłego. Na długo pozostanie ono w pamięci publiczności. Jest nawet pragnienie powtórzenia tej sztuki. Dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze.

A w poniedziałek, w uroczystość świętych Apostołów, Piotra i Pawła, grono mieszkańców Bychawy naradzało się o potrzebie założenia w Bychawie koła Polskiej Macierzy Szkolnej — i po omówieniu korzyści, jakie koło da miejscowemu społeczeństwu, postanowiło zwrócić się do głównego zarządu P. M. S. o zatwierdzenie koła w Bychawie. Narazie zapisało się 30 osób, to jest tyle, ile doradza instrukcja.

Założyciele Koła w Bychawie już podanie swoje przesłali do zarządu warszawskiego; pilno im zabrać

się do pracy oświatowej, która tak jest pożądaną, zwłaszcza dla młodzieży.

Przedewszystkiem na sercu każdemu leży potrzeba utworzenia wielkiej czytelni, ciągle zasilanej coraz nowemi książkami. Mamy nadzieję, że już za tydzień urzeczywistnimy swoje pragnienia gorące,— ujrzymy w Bychawie czytelnię Koła P. M. S. zaopatrzoną w bardzo wiele książek pożytecznych i ciekawych. Daj Boże!

W piątek, d. 3 lipca, pochowaliśmy na cmentarzu w Bychawie skromną mieszkankę wsi Zaraszów, Marjannę Baranowę, wdowę po ś. p. Andrzeju Baranie, małorolniku tejże wsi. Bardzo zasłużyła sobie ś. p. M. Baranowa na pochwałę publiczną. Odznaczała się zawsze wielką czystością obyczajów chrześcijańskich, była wzorową żoną i gospodynią, bardzo uczynną i ofiarną. Dla kościoła parafjalnego wiele złożyła ofiar cichych, a dla rodziny swojej była serdeczną dobrodziejką. Miała umysł czujny, myślący, wnikliwy i samodzielny, o wielu sprawach wydawała swój sąd rozumny i trafny. Lubiła czytać wiele książek religijnych, bo była niezmiernie pobożna. A w pobożności swej i ofiarności znajdowała dla siebie jedyne ukojenie w nieszczęściu, które ją od dłuższego czasu nawiedziło i było dla niej bardzo dotkliwem: oto doznała wewnętrznego kalectwa — i ono już jej nie opuściło, nawet było przyczyną jej śmierci przedwczesnej: w sile wieku zeszła z tego świata zaraz po operacji, dokonanej w Lublinie. Wdzięczna rodzina ciało jej sprowadziła do Bychawy i pochowała w grobie murowanym obok zwłok jej męża na cmentarzu parafjalnym. Zgasła bardzo zacna niewiasta! Spełniła wiele uczynków dobrych, które na długo pamięć o niej zapisały w sercach chrześcijańskich.

Światłość wiekuistą racz jej dać, Panie!

# Pan Prezydent na Pomorzu.

Pan Prezydent znowu w tym roku odwiedził nasze Pomorze, tak nam, polakom, drogie z wielu względów, bo tam mieszka lud, bardzo kochający Polskę i bo tam lud, moralnie bardzo uczciwy, strzeże wiernie a mocno dla dobra całej Polski wolnego dostępu do morza Bałtyckiego. Otóż Pan Prezydent bardzo miłuje lud pomorski, rad go przy każdej sposobności odwiedzić. A teraz nadarzyła się do tego okazja ważna, bo właśnie w Grudziądzu, w końcu czerwca, została urządzona wystawa różnych ciekawych rzeczy pomorskich. Na tę wystawę udał się P. Prezydent w otoczeniu wielu osób dostojnych i tam, w Grudziądzu, 26 czerwca, z okazji otwarcia wystawy, tak przemówił do licznie zebranych rodaków:

„Znając — słowa P. Prezydenta — wasze zamiłowanie pracy i umiejętność organizowania się, nie wątpiłem, że ta pierwsza wystawa pomorska, która miała zobrazować wasze wysiłki, oraz rozwój lotnictwa i przemysłu, wypadnie dobrze. Muszę jednakże przyznać, że oczekiwania moje znacznie zostały przekroczone przez rzeczywistość, jaką mi daliście. Istotnie, należy tę wystawę nazwać nietylko pierwszą, ale i pierwszorzędną. Chciałbym, aby jaknajwięcej obywateli Rzeczypospolitej, którzy w tym czasie zwiedzają Polskę, skierowało swe kroki tutaj, do Grudziądza, w celu poznania, jak cenną dzielnicą jest Pomorze, jak Pomorze dzielnie pracuje i organizuje się umiejętnie.

„Wiem o waszym niepokoju, jak u was tu, na Pomorzu, wywołały pogłoski o rewizji naszych granic zachodnich. Widzę, że ten niepokój nie zmniejszył waszej chęci i zdolności do pracy, lecz, przeciwnie, zdwoił jedną z największych waszych zalet, t. j. energję. Aczkolwiek podkreślacie tę wielką zaletę waszą, że liczycie przedewszystkiem na siebie samych, to muszę jednakże przypomnieć, że sprawa Pomorza nie jest wyłącznie sprawą tylko waszą. Sprawa Pomorza jest sprawą Polski całej, sprawą jej istnienia i żaden rząd, żaden sejm, żaden prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nie dopuści do tego, aby przedstawiciele Polski zasiadali do stołu, mając za przedmiot obrad rewizję naszych granic.

„Nie jest to tylko moje osobiste przekonanie. Chcę was utrwalić w przekonaniu, że takie jest uczucie całej Polski. Te nieszczęsne chwile dalekiej przeszłości naszej, kiedy lekceważyliśmy sprawę morskiego wybrzeża, już się nigdy nie powtórzą. Dziś jest to tak powszechnie zrozumiane, że w kołach odpowiedzialnych pogłoski te niepokoju nie wywołują. Niepokój może górować tylko w sercach ludzi, którzy żyją dniem dzisiejszym, lecz każdy, kto patrzy w przyszłość, nie może mieć żadnej wątpliwości, iż Polska jest niepodzielna, a Pomorze jest jej nieodłączną częścią i wszyscy polacy staną jak jeden mąż w obronie całości Rzeczypospolitej, oraz przynależności Pomorza do Polski.

„To przekonanie niech wzmocni tych, którzy oddawali się zwątpieniu i zapewni im spokój duchowy przy pracy. Nikt w Polsce nie będzie handlował ziemią polską, tembardziej, gdy ona prowadzi do morza.

„Zachęcając was nadal do takiego ufnego traktowania sprawy, ażeby na zdwojone wysiłki wroga odpowiadać zdwojoną pracą, — jeszcze raz wznoszę okrzyk: Niech żyje, niech rozwija się Pomorze na chwałę Polski!".

Mowę Pana Prezydenta wysłuchano w skupieniu i podziękowano za nią serdecznie.

' Obrachunek urzędowy w Rzymie osób, przybywających do Stolicy Apostolskiej dla dostąpienia odpustu jubileuszowego, podaje takie liczby: W pielgrzymkach zagranicznych od stycznia do maja przybyło sto tysięcy osób: z Francji 26 tysięcy, z Niemiec 24 t. z Polski 7 t. z Anglji 6 t. z Ameryki 5 t. z Serbji 4 i pół. t. a z Hiszpanji, Belgji i Węgier po 3 t. z Portugalji i Austrji po 2 t., a z Norwegji, Szwecji i Danji razem 2 t. Z Włoch najwięcej bo 250 tysięcy.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 12 lipca 1925 r. № 28.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Rodacy, odzyskaliśmy jedno, teraz odzyskajmy — drugie!

„Trzeba koniecznie z powstaniem naszem podnieść upadły charakter narodu".
Słowa **Staszica** w „Przestrogach dla Polski".

Nad wszelkie nadzieje nasze, my żyjący dziś, polacy, po wojnie ujrzeliśmy się zjednoczeni w Polsce zjednoczonej, — Polsce, podobnej do tej, jaka była przed rozbiorami!...

Trzy, sąsiadujące z Polską mocarstwa, porozumiawszy się między sobą, zgodziły się na jedno, żeby podzielić się Polską, jako wielką i bogatą ziemią bez właściciela....

Te trzy mocarstwa: Rosja, Prusy i Austrja, istotnie tak odnosiły się w osiemnastem stuleciu do Polski, jakgdyby ona nie miała nad sobą doskonałego, prawnie działającego gospodarza. Naród polski wówczas był w oczach tych mocarstw tylko ludnością dość lichą, niesforną, niedołężną i jakgdyby zniechęconą do życia, z którą każdy postronny może uczynić wszystko, co mu się żywnie spodoba...

Takie mając zdanie o narodzie polskim, trzy rządy mocarstw sąsiednich, postanowiły podzielić się Polską — i swój zamiar do skutku przywiodły nad swoje spodziewanie bardzo łatwo, bo niemal bez krwi rozlewu!..

Odtąd już nie istniała Polska, bo, na trzy prowincje podzielona, stała się własnością trzech mocarstw, które przyłączywszy je do swoich posiadłości, nadały tym swoim cześciom polskim osobne nazwy na



KSIĄDZ STANISŁAW STASZIC.

znak, że już Polska przepadła, a natomiast powstały z niej: Galicja, jako własność Austrji, — Księstwo Poznańskie, całkowicie należące do Prus, — a Prywislinje już na wieki wieków połączone z matuszką Rosją...

A i z ludnością polską zamierzały uczynić to samo, co z jej ziemią: nierozdzielnie zespolić ją z narodami swemi, czyli wynarodowić, a więc przeistoczyć w niemców, moskali i austrjaków.

Wprawdzie bardzo długo, bo blisko 150 lat, usilnie pracowały nad tem, — jednak bez wielkiego powodzenia...

Czemu?

Na to pytanie ks. Staszic tak odpowiada: „Paść może i naród wielki, — zniszczeć nie może, tylko nikczemny"...

Wszelakoż każdy polak, zastanawiając się dziś nad rozbiorami Polski, nie może zgodzić się na to, że wówczas jej sąsiedzi użyli przemocy względem narodu polskiego. Nie przemocą bowiem, lecz jedynie wyzyskiem posługiwały się trzy mocarstwa zaborcze, bo one przecież tylko wyzyskały na swoję korzyść wady haniebne szczególnie tych ówczesnych polaków, którzy wtedy trzymali w swojem ręku losy państwa polskiego.

O tych wadach tak pisze ks. Staszic: „Szlachcic z nieustraszonego (jakim był w dawnych czasach) stał się na wszystko lękliwym; z wyniosłego podłym; z urodzonego do wolności, już dojrzałym do najcięższej niewoli. Bez wyobrażenia sprawiedliwości, największa nieprawość w nim krwi nie burzy. Czyli to gwałt prawu, czyli posłuszeństwo prawu, równy w jego umyśle skutek sprawują. Krzywoprzysiestwo popełnić już mu z łatwością przychodzi. Sława narodu, miłość ojczyzny nie zapala go do ofiar. Nie ma stałości ducha. Na wszystko się zastrasza. **Już nie czuje, iż milsza śmierć, niż niewola podła"...**

Wady okropne! Już gorszych nad nie chyba niema!

Wrogie mocarstwa skorzystały z tych wad szlachty rządzącej Polską — i snadno Polskę rozebrały, a na cały naród polski nałożyły jarzmo niewoli sromotnej. Już świat mógł mniemać wtedy, że naród polski nigdy się nie podźwignie, bo czy podobna jednemu wyrwać się z pazurów aż trzech zaborców potężnych?

I znowuż powtórzmy zdanie Staszica: „Paść może i naród wielki, — zniszczeć nie może, tylko nikczemny".

Padł naród polski, jakkolwiek był wielki,—prawda, — lecz nie mógł zginąć, bo wszakże nie cały jeszcze był nikczemny.

Ale nas obecnie interesuje z wielu ważnych powodów pytania: dlaczego Polska w osiemnastem stuleciu została rozebrana, a naród dostał się do niewoli?

Jakaż była przyczyna główna tego upadku strasznego, którego następstwa dziś jeszcze tkwią w duszach naszych?

Nad tem pytaniem w różnych czasach zastanawiało się dużo polaków najuczeńszych. Jeden z nich, profesor Józef Kallenbach, takie podał uwagi: „Na zgubę Rzeczypospolitej Polskiej (w osiemnastem stuleciu) złożyły się dwie przemożne przyczyny: zewnętrzna, jawna, dla obcych i swoich widoczna zachłanność zaborcza sąsiadów, dążących łakomie do rozszarpania olbrzymich przestrzeni Polski, Rusi i Litwy (stanowiących razem jedno państwo Rzeczypospolitej Polskiej); **ale obok tych przyczyn zewnętrznych działały i współdziałały przyczyny wewnętrzne:** w narodzie polskim anarchia (bezrząd), sobkostwo, bezmyślne ambicje, **które ośmieliły i rozzuchwaliły chciwych zaborców,** — sąsiadujących z Polską.

„Z genjalną zwięzłością wyraził to Sienkiewicz w „Legjonach" w słowach Księdza do Marka Kwiatkowskiego: „Ach! próżnobyś mi mówił, że lepsi stworzyli Konstytucję 3 Maja, gdy znalazło się dość gorszych, by ją obalić!" Nie tylko zaś „dość gorszych" —ale, niestety! **złych zawiele!** Naprzekór garstce dzielnych szermierzy wyzwolenia narodu (twórców Konstytucji 3 Maja) stawały tłumy ciemnej, drobnej a posłusznej szlachty na każde skinienie swoich wielmożów — panów — magnatów.

„Każ nam, Panie, — wołały te tłumy szlachty, zapatrzone w swoich panów-magnatów — rozegnać sejmik, na skinienie twoje wszystko tak pierzchnie, jak przed słońcem cienie. Będą zmykać przed nami twoi przeciwnicy i urzędy!... Każ cudzy dom najechać, lub twego sąsiada kędy kijami obić... **Niechaj się cała gruzem kraina przywali, fraszka wszystko, byle twoim, Panie, zachciankom, pomysłom i ambicyjkom dogodzić!...**

„Fraszka Bóg, Król, Ojczyzna, byleś miał pieniądze! — To gospodarz, co gwałtem kmiece łzy połyka!" Tak w tych czasach, kiedy Polska ginęła, wołał niejeden, lecz bardzo-a-bardzo wielu polaków tylko z imienia. Sprzedawali siebie, więc, nic dziwnego, że sprzedawali naród, ojczyznę zaborczym, drapieżnym sąsiadom!

„Zdradliwi sąsiedzi, z naszych wad zyskując **i szydząc,** płacą pensję wielu obywatelom, niewartym nazwiska polaków, którzy, gotowi spełnić każde ich polecenie, rozmyślnie budzą niezgodę w sejmikach i sejmach, przeszkadzają w wykonaniu uchwał pożytecznych dla kraju.

„Staszic z oburzeniem uczciwego człowieka pisał: „Poniński (zdrajca, który jawnie zaprzedał się Rosji) wydziera Polsce ostatniego cnotliwego polaka, Rejtana, — niecnota rzuca potwarz na cnotę. Cóż to? ani tu jeszcze nie znalazł się w całej Polsce choć jeden przynajmniej taki obywatel, który jeżeli nie ojczyzny, to przynajmniej cnoty mszcząc się, nie utopił miecza w tak czarnem sercu? nie!"

„Odpowiedział Poniński polskiemu narodowi w głos: „Sejm nic stanowić nie może, **bo ja tak chcę i tego nie podpiszę!"**

„Tego byłem naocznym świadkiem — tak zeznaje ks. Staszic i dalej tak oświadcza: Czyż ten naród nasz ma charakter moralny, jeżeli jeden człowiek (Poniński) potrafił wypełnić tyle zbrodni (jawnej zdrady, wysługiwania się Rosji, przeszkadzającej dobrym polakom ratować ginącą ojczyznę) bezkarnie, bo ogół szlachty zachowywał się obojętnie, albo nawet dopomagał, przytakiwał zdrajcy. Jeżeli taki publiczny złoczyńca nie zginął, ale bawił się w kraju, żył lat piętnaście poważany, zasiadał w senacie, król Stanisław

August przybrał go do boku swojego za ministra. Owszem, urzędami handlował, sprawiedliwość sprzedawał i jeszcze **głośno kazał wszystkim powiadać, że u niego wszystko jest na sprzedaż.“**

Taki człowiek był na usługach Rosji, jej rozkazy wypełniał, przeszkadzając lepszym polakom, pragnącym ocalić Polske.

Niestety, wówczas dobrych polaków była zaledwo garstka, a źli, tacy jak Poniński, znajdowali w ogóle szlacheckim mnóstwo jawnych i cichych sprzymierzeńców. Każdy z nich coś zarobić chciał na ginącej ojczyźnie, więc cisnęli się do posłów moskiewskich, którzy do czasu hojnie rozdawali pieniądze zdrajcom — polakom!.. W rzędzie takich zdrajców był też, o zgrozo, — i król polski, Stanisław August! Bardzo często otrzymywał on nawet znaczne sumy od carowej Katarzyny, lub z rąk jej posła, przebywającego w Warszawie.

Jak okropny był wówczas zanik uczciwości w bardzo wielu polakach, zajmujących nawet najwyższe urzędy państwowe, świadczy między innemi to, że o marszałku Gurowskim mówi jawnie Saldern, poseł rosyjski, iż można mu jedną ręką dać worek dukatów, a drugą uderzyć w policzek... Kanclerz państwa, Młodziejowski, brał od wrogów Polski łapówki, okradał ojczyznę!.. A tacy wielcy panowie, magnaci, bogacze nadzwyczajni, jak Branicki i Szczęsny Potocki, ubiegali się o łaski dla siebie u carowej Katarzyny, schlebiali jej, spełniali jej nakazy, które przecież zmierzały do zguby Polski.

Szlachta patrzyła na jawne działania zdrajców, wiedziała o tem, że oni brali pieniądze rosyjskie i pruskie. Czy tylko wiedziała? Owszem, nawet pomagała bądź przytakiwaniem, bądź milczeniem obojętnem, tchórzostwem podłem! Dlatego całkiem trafnie tak się o ówczesnych szlachcicach wyraził Staszic: **„Zatracili narodowy charakter.** Szlachcic z nieustraszonego stał się na wszystko lękliwym, z wyniosłego podłym, z urodzonego do wolności, **już dojrzałym do najcięższej niewoli... Sława narodu i miłość ojczyzny nie zapala go do ofiar. Niema trwałości ducha!..“**

Teraz nasuwa się niezbędna uwaga, niesłychanie ważna i właściwa: Oto do upadku Polski głównie przykładali ręce **polacy nieuczciwi, pozbawieni wszelkich zalet moralnych...** Nie ubóstwo bowiem i nie ciemnota jedynie skłaniały bardzo wielu polaków do usługiwania wrogom ojczyzny, jawnie przystępującym do dzielenia między siebie Polski i narodu polskiego...

Wszakże ci wrogowie nie zdobyli Polski mieczem, jeno nabyli ją za srebrniki, wypłacone dość hojnie polskim Judaszom!

Znalazło się wśród szlachty i panów polskich, niestety, bardzo dużo Judaszów, którzy, jako moralnie nikczemni, spełnili wolę wrogów, oddali im za otrzymane srebrniki ojczyznę i cały naród polski w niewolę!..

Przeto głównemi sprawcami długotrwałego nieszczęścia narodu polskiego był duży zastęp tych polaków, zepsutych moralnie, którzy wówczas, w 18-em stuleciu, rządzili Polską.

Tak jeszcze o tych powodach upadku Polski pisze inny profesor uniwersytetu krakowskiego, znakomity znawca dziejów Polski, Ignacy Chrzanowski:

„Wolno zapytać — pisze prof. Chrzanowski — dlaczego to sąsiedzi (w 18-em stuleciu) rzucili się na Polskę? Czy dlatego, że byli zachłanni? Nie, ale i dlatego jeszcze, że Polska była słaba Słyszy się często: Polska była sama jedna a wrogów miała trzech, więc upadłaby i tak, chociażby nawet była silna.

„Nieprawda; gdyby Polska, która przecie była (w 18-em stuleciu) nie jakiemś tam drobniutkiem państewkiem, tylko wielkiem państwem, miała siłę, to nie byłaby sama jedna, bo miałaby sprzymierzeńców silna bowiem Polska byłaby potrzebna innym państwom, a słaba Polska nie była im potrzebna. Jeżeli ten bieg myśli jest logiczny, to pytanie, jaka była przyczyna upadku Polski, wolno będzie ująć tak: dlaczego Polska była słaba a raczej dlaczego silną być przestała?

„ Zanim odpowiemy na to pytanie, zauważmy że **ludzie są sprawcami swego losu oni sami ponoszą przeważną odpowiedzialność za przeszłość i teraźniejszość i że oni sami budują sobie przyszłość.**

„Otóż, jeśli na pytanie, dlaczego Polska (w 18-em stuleciu) silną być przestała, zechcemy odpowiedzieć ze stanowiska moralnej odpowiedzialność każdego człowieka za swoje postępki, — to odpowiedź będzie brzmiała tak: dlatego, że **polacy nie umieli i nie chcieli zbudować silnej Polski,** czyli, co na jedno wychodzi: **upadek Polski jest w swojej pierwotnej, istotnej i najgłębszej przyczynie własną winą polaków....**

„A od czego zależy umienie i chcenie?“ — pyta dalej prof. Chrzanowski i tak sam odpowiada:

— **„Od charakteru** (to jest od moralnych zalet charakteru), który, rozumie się, jak w poszczególnym człowieku, tak i w całym narodzie, ma swoje cechy przyrodzone, ale którego całokształt bądź-cobądź **zależy w ogromnej mierze od wolnej i świadomej pracy nad sobą bądź jednostki, bądź narodu...**

„Otóż uczeni badacze głównej przyczyny upadku Polski (w 18-em stuleciu) wyrazili swój pogląd tak: „czynnikiem decydującym o strasznych losach narodu i polski był **brak w rządzących polakach silnej i rozumnej woli do utrzymania swego państwa w niepodległości.** A kiedy wreszcie ta wola obudziła się podczas Sejmu Wielkiego i nawet potrafiła stworzyć Konstytucję 3 Maja — już było zapóźno“!...

Jeżeli przeto naród chce zapewnić sobie i swej ojczyźnie trwałą niepodległość, musi zacząć od siebie, więc **musi udoskonalić swój charakter moralny.**

Już o tem wyraźnie pouczał rodaków sławny pisarz polski, Modrzewski (1503—1572 roku), który wówczas (w 16-em stuleciu) dostrzegał w narodzie rosnące wady i, chcąc „naprawić Rzeczpospolitą“ zalecał zacząć **naprawę** nie od praw, nie od skarbu i nie od wojska, lecz — **od obyczajów!“.**

„Zawdzięcza zaś Modrzewski ten swój pogląd nie tyle filozofji starożytnej, ile własnemu zdrowemu rozsądkowi i — **nauce chrześcijańskiej**, bo przecie **jednym z największych czynów chrześcijaństwa w historji kultury jest wysunięcie na samo jej czoło pierwiastku moralnego, oraz utrwalenie w duszach ludzkich wiary w wolną wolę i poczucie odpowiedzialności za własne czyny...**

„A czy nie tę samą myśl, co Modrzewski, wypowiedział Mickiewicz w słowach do rodaków: „Każdy z was **w duszy swej** (a więc w charakterze moralnym) ma ziarno przyszłych praw i rozległość granic ojczyzny".

Jaki charakter moralny ma naród, — taki byt zgotuje sobie.

„Czy nie ta sama myśl przyświecała obydwum mądrym i szlachetnym nauczycielom narodu polskiego w końcu 19-go stulecia, Szczepanowskiemu i Witkiewiczowi?

Tą samą myślą przewodnią w całem życiu swojem i w wielu pracach swoich, podjętych li tylko dla dobra narodu polskiego, zawsze rządził się ksiądz Stanisław Staszic.

„W Pile, miasteczku, położonem w województwie poznańskiem — pisze dr. Marjan Rejter — urodził się w początku listopada 1755 roku mieszczaninowi i burmistrzowi miasta, Wawrzyńcowi Staszicowi i żonie jego, Katarzynie z Mędlickich, syn, któremu na chrzcie św. dano imię Stanisław. Wątłe i drobne dziecię, najmłodsze z rodzeństwa, wychowane w bojaźni bożej i miłości ludzi, patrzyło w zaraniu dzieciestwa swego na krzywdy, spadające bezprzerwnym ciągiem na wzgardzony stan mieszczański. Mieszczanin, pozbawiony praw politycznych i społecznych w tym czasie, nie zawsze mógł się obronić wobec przewagi szlachty. I dziad Staszica, również burmistrzem miasta Piły będący przed laty, nie jedną zniósł przykrość od starosty grodowego, Cieńskiego, szlachcica, który, zabrawszy najlepsze cząstki majątku miejskiego za swoje, przez długie lata ciężył twarda i samowolną ręką nad mieszczanami. Jednak dziad Stanisława „wytrwały przy swojego urzędu obowiązkach i przy bronieniu dobrej sprawy"— jak się o tem wyraził sam ks. Staszic w swoim „Dzienniku z podróży" — zdołał pomyślnie odzyskać własność, wydartą miastu.

Wzorem miłości ojczyzny i gorliwości w pracy dla jej dobra, był mu ojciec, który „wybierany na burmistrza przez lat dziesięć, aż do pierwszego rozbioru Polski (w 1772 r.), kiedy miasto Piła dostało się pod rząd pruski", jakkolwiek żywo zapewne czuł wielką niesprawiedliwość ówczesnej konstytucji polskiej (zgoła lekceważącej mieszczan), przecież miasta, jako polak, bronił i nowym panom (prusakom) oddać go nie chciał. Okrutny prusak więził i męczył go przez kilka miesięcy, „aby przymusić miasto do zapłacenia jednorazowej kontrybucji znacznej". Widok straszny, którego nigdy chyba zapomnieć nie można, przejścia pod panowanie rządu obcego, widok zrywania orłów polskich, by w ich miejsce zawiesić herby pruskie, niezatarte zostawił ślady na umyśle młodego Stanisława, mającego wówczas lat 17. Urodzony na swobodzie, w ojczyźnie wolnej, stawał się poddanym obcym; nowi władcy (prusacy) brutalnie niszczyli pamiątki przeszłości polskiej — i za to ku nim zapałał młodzieniec taką nienawiścią, że nawet przy końcu życia w narodzie niemieckim upatrywał głównego i najniebezpieczniejszego wroga ojczyzny.

Matka Stanisława „nadzwyczajnie do swych dzieci przywiązana" bardzo pobożna, wychowała go w tkliwości i pobożności. Przeznaczyła go nawet do stanu duchownego i od dziecięctwa ubierała w sukienkę duchowną. „Przez wzajemną miłość ku tej najlepszej z matek, rosnąc, wchodził Stanisław w jej uczucia, we wszystkie, nieustannie mu wskzywane życzenia, by zachował stan duchowny, w którym go Bogu poświęciła". Zczasem też spełnił jej gorące pragnienie — i przyjął święcenia kapłańskie.

Ale przedtem jeszcze, będąc młodzieniaszkiem usłuchał rady swego ojca i udał się za granicę do wyższej szkoły.

„Nie mając jeszcze skończonych lat osiemnastu — opowiada o Staszicu ksiądz Józef Kruszyński — udał się do Lipska, następnie Getyngi, gdzie bawił krótko, a stąd przybył do Paryża, gdzie przez dwa lata słuchał wykładów w College de Nawarre i w College de France. Następnie zwiedził Niemcy, Szwajcarje, Francję, Anglję, Holandje, później, już w wieku dojrzałym,—Włochy, a kraj ojczysty, Polskę, poznał i zjeździł tak dokładnie i z taką miłością, jak nikt za jego czasów.

Ulubionym przedmiotem jego studjów były nauki przyrodnicze: fizyka, historja naturalna i umiłowana ponad wszystko geologja (nauka o budowie i tworzeniu się skorupy ziemskiej, — ziemorodztwo) Ale to mu nie wystarczało: z niemniejszym zapałem oddawał się filozofji, naukom politycznym i społecznym, historji rodzaju ludzkiego w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, a więc historji umysłowości i cywilizacji, religji i obyczajów, państw i społeczeństw. Słowem, Staszic to jeden z największych uczonych polskich; mało kto u nas wziął tak gorąco do serca zasadę starożytną: „Jestem człowiekiem i obchodzi mnie wszystko, co ludzkie."

Usposobienie duchowe, zalety umysłu i serca Staszica łatwe są do rozeznania już w młodzieńczych latach jego, bo zawsze szczery, otwarty, prawdomówny i serdeczny dla wszystkich, a zwłaszcza dla upośledzonych, nieszczęśliwych. Był zazwyczaj bardzo wrażliwy na każdą niedolę i niesprawiedliwość. Bolało go to niezmiernie, że ówczesne prawa i zwyczaje polskie miały w pogardzie mieszczan i lud wieśniaczy, poczytując ich niemal za istoty podlejsze, nie godne szacunku, dostępu do współżycia i współpracy z stanem szlacheckim. Ludowi wiejskiemu działo się najgorzej, a mieszczanom może cokolwiek lepiej, ale nie wiele, bo i oni mieli wstęp zamknięty do wyższych godności duchownych, wojskowych i państwowych.

Tylko z tego powodu, że pochodził z rodziny mieszczańskiej, a więc jako nieszlachcic, Stanisław Staszic nie mógł po powrocie z zagranicy znaleźć dla siebie podług swego wykształcenia wysokiego odpowiedniego zajęcia. Jednak dzięki swoim pięk-

nym zaletom umysłowym i moralnym zwrócił na siebie uwagę niektórych dostojników i ci polecili go Andrzejowi Zamojskiemu, ówczesnemu kanclerzowi państwa, bardzo bogatemu magnatowi. Ten chętnie przyjął na swój dwór księdza Staszica i uczynił go nauczycielem, oraz wychowawcą dwuch swoich synów: Aleksandra i Stanisława. Było to w roku 1779, —miał przeto wówczas lat 24.

W r. 1788 otrzymał probostwo w Turobinie lubelskim i rektorat w Czernięcinie. Przy prawach proboszcza pozostawał do r 1791.

W r. 1782, więc kiedy ks. Staszic miał lat 27, otrzymał w akademji zamojskiej stopień doktora obojga praw. Tytuł ten-nadmienia ks. Kruszyński—nadawał Staszicowi przystęp do tych przywilejów, których udzielało szlachectwo.

W tych czasach napisał dwie niesłychanie ważne książki: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego". Ta książka została wydrukowana 1785 roku, a więc na trzy lata przed rozpoczęciem wielkiego sejmu (1788 roku), — a druga p. n. „Przestrogi dla Polski", wyszła w druku już podczas wielkiego sejmu, bo 1790 roku.

Kto przeczyta uważnie te dwie książki, już gruntownie pozna wielki rozum i gorące serce Staszica. Dają te dwie książki zdrowy, ludzki pogląd na groźne ówczesne położenie polityczne Polski, na wrogie zakusy jej sąsiadów drapieżnych, na występne działania magnatów polskich, na sobkoskie i nieobywatelskie postępki szlachty, słuchającej niewolniczo raczej magnatów, niż wołania ginącej matki-ojczyzny, na straszną poprostu nędzę ludu wiejskiego, z wszelkich wyzutego praw ludzkich, na ogromną niedolę mieszczan, zdanych na łaskę panów i starostów, na wielkie krzywdy, wyrządzane całemu narodowi przez żydów, na najpilniejsze Ojczyzny potrzeby ekonomiczne, prawne, moralne i narodowe.

W tych dwuch książkach Staszica zawiera się cała nauka obywatelska. Z niej ma się nauczyć każdy polak, jak powinien kochać ojczyznę, jak jej służyć, jak szanować swoich rodaków i jak pracować pożytecznie dla uszczęśliwienia narodu swego. Słowem, w tych dwuch dziełach swoich dał Staszic wizerunek **ducha polskiego.**

**Taki duch polski musi być w każdym polaku** i dopiero wtedy naród polski będzie rządził się rozumnie i pomyślnie, a więc stanie się niepodległy, silny, bogaty i sławny, a Polska szanowana przez świat cały!..

Już jednak, — wyznajmy, — dziś nie brak nam niektórych ważniejszych zalet narodowych, bośmy przecie potrafili odzyskać **całą Polskę,** więc to, co nasi pradziadowie zaprzepaścili tak bardzo nagannie! Ale widocznie jeszcze nie wszystkie posiedliśmy **zalety narodowe,** bo jeszcze obecnie naród nasz trapią niektóre **ciężkie niedomagania,** nawet bardzo groźne!.. Musimy więc rozpoznać pilnie, jakie zalety narodowe są nam jeszcze niezbędne, abyśmy wszyscy polacy stanowili jeden zwięzły, spoisty, jak wielka bryła marmuru, naród potężny, niezwyciężony i zdolny do wykonania wszelkich robót, bodaj najtrudniejszych!

Oto jak przemawia Staszic do rodaków swoich: „Zakrzewiajcie **wzajemną miłość!** Dajcie wszystkim rodakom równie uczuć, że, **gdy się wspólnie trzymać będą, Polska zostanie wolną, mocną i sławną!** Powtarzajcie rodakom często to wielkie cnotliwego rzymianina zdanie: **Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest prawem najwyższem..."**

Narazie zdawać się może komu, że Staszic zaleca tylko miłość wzajemną. Prawda, on mówi o niej wyraźnie. Ale zaraz ostrzega, by nikt nie pocieszał się fałszywem, bo tylko językowem zapewnieniem, że miłuje rodaków.

Nie o słowną miłość wzajemną mu chodzi, bo zaraz dodaje: **„gdy się (wszyscy rodacy) wspólnie trzymać będą, Polska zostanie wolną, mocną i sławną!".**

Otóż pożądana miłość wzajemna musi być prawdziwa i dzielna tak, żeby nas wszystkich **wspólnie trzymała w jedności, żeby czyniła z nas wszystkich bez wyjątku** jeden wielki naród potężny i zdolny do zgodnych działań dla zapewnienia sobie niepodległego bytu pomyślnego.

To jest naszem **prawem najwyższem!**

Jeżeli jest takie prawo,— to znak, że taki jest **obowiązek najwyższy,** leżący na każdym rodaku. Bo na co jest prawo każde?—Tylko na to, żeby rodacy wiernie stosowali się do niego Jakie prawo—taki obowiązek!

Jest prawo najwyższe **jedności narodowej,**— zatem jest obowiązany przez to prawo każdy rodak do trzymania się oburącz narodu swego tak, żeby z nim spoistą, nierozerwalną stanowił całość! Zpewnością każdy rodak utrzyma się w takiej całości z narodem swoim, gdy wszyscy związani będą miłością wzajemną.

Gdy wszyscy rodacy ożywieni są wzajemną miłością, już oni ustawicznie społem troszczą się niezawodnie w swoich pracach codziennych o to, żeby całemu narodowi z ich prac i zabiegów ciągle przybywało korzyści, bezpieczeństwa **i chwały!..**

Tak **naród musi znać swoje potrzeby wszystkie.** Jedne wprawdzie są najważniejsze, inne mniej ważne, atoli żadna z nich nie może być pominięta lub zlekceważona, bo, jak w maszynie nawet małej śrubki nie powinno brakować, tak narodowi każda potrzeba, choćby podrzędniejsza, do bytu jego pomyślnego również **jest niezbędna,** a przeto ma być jednakowo pilnie zaspokojona.

Wiadomość dokładna o tych wszystkich potrzebach narodu zawiera się w programie narodowym. I właśnie **ten program całkowity musi przyswoić sobie każdy rodak** po to, żeby ustawicznie w codziennych działaniach swoich dostosowywał się do niego wiernie i starannie!

A nigdy nie zaniedba się w tem każdy rodak, gdy go do narodu swego pociągać będzie tkliwość serdeczna, chęć gorąca trzymania z nim jedności i wielka żarliwość o jego dobro i pomyślność!..

Rodak przeto **musi** nie tylko znać program stałych potrzeb narodu swego, ale nadto **mieć w swoim charakterze wszystkie zalety moralne, niezbędne do życzliwego zaspokojenia onych potrzeb.**

Gdy je każdy rodak ma w swoim charakterze w stopniu dostatecznym, wtedy rzec można, że już w nim żyje czynny duch polski, duch narodowy! Już jest bowiem w mocnej jedności z narodem, jest zdrową, pracowitą i pożyteczną cząstką narodu swego!

Takiego ducha polskiego każdy z nas musi dziś odzyskać!

Rodacy, odzyskaliśmy dopiero jedno: — Polskę niemal całą, która niegdyś przez niegodziwych sąsiadów została na trzy rozćwiartowana części!.. Teraz odzyskajmy drugie, także przecież niezbędne: to **ducha polskiego**, którego znowu zaprzepaścili byli panowie i szlachta w przeważnej części, gdy w nich w ciągu 17-go i 18-go stulecia coraz bardziej podupadały obyczaje chrześcijańskie, a górę brały wady okropne, przeciwne prawom moralnym i dobru ojczyzny!

Ducha polskiego wizerunek podał ks. Staszic w swoich książkach rodakom w tej porze, kiedy już największe groziło niebezpieczeństwo narodowi całemu i ojczyźnie.

„Na szczęście — pisze prof. Chrzanowski—głos jego wówczas nie był głosem wołającego na puszczy. Nawet nie ulega najmniejszej wątpliwości, że **jego pisma utorowały drogę uchwałom sejmu czteroletniego**, które są niezupełnem, niestety, ale **częściowem urzeczywistnieniem jego mądrych i szlachetnych projektów reformy.** Ale bo też umiał Staszic przemawiać nietylko do rozumu, lecz i do wyobraźni, do serca, do sumienia: słowem, umiał **wstrząsnąć całą duszą polską**—tak potężnie, jak nikt w całej literaturze niepodległej Polski, nie wyłączając samego księdza Skargi!

„Aby oddziałać na wyobraźnię czytelnika, Staszic maluje mu obrazy, których treścią jest to okropna nędza chłopa polskiego, to dokonany pod bagnetami rosyjskiemi wybór Stanisława Augusta na króla polskiego, narzuconego polakom przez carycę Katarzynę, to przeklętej pamięci sejm roku 1773 (potwierdzający pierwszy rozbiór Polski) pod laską zdrajcy Ponińskiego, krótko mówiąc—wszystkie nieszczęścia i grzechy Polski...“

Tak dzielnie upominał i pouczał ks. Staszic rodaków swoich, jaki mają ułożyć program o potrzebach i pracach dla ocalenia narodu i utrwalenia bytu niepodległego Polski — i zarazem podawał im wizerunek duszy polskiej, ażeby **wszyscy rodacy** podług tego wizerunku **czemprędzej** w swoim charakterze wypielęgnowali niezbędne zalety moralne...

Niestety, rodacy program jego zaledwo częściowo zdołali wykonać, uchwalając nową, doskonalszą Konstytucją 3-go maja,—lecz dusza polska wzmocniła się tylko w garstce rodaków i ci rzucili się na najezdników, chcąc bronić niepodległości ojczyzny i honoru całego narodu polskiego. Oczywiście, garstka polaków przegrała, bo znaczna większość magnatów i szlachty bądź opuściła ręce, bądź trzymała z wrogami Polski.

Naród i Polskę skuły kajdany niewoli, — lecz duszy polskiej nie zdołało jarzmo udusić!

Żyje dusza polska w narodzie polskim. Tyle w niej narazie zalet, że przynajmniej zdołała przy pomocy Bożej i narodów życzliwych odzyskać swoję ojczyznę, lecz jeśli chce w niej zaprowadzić ład dobry i pomyślny podług programu doskonalszego, musi sama w sobie wypielęgnować mocne zalety moralne, dostosowane do programu narodowego.

Jaki program narodowy, czyli plan urządzenia życia narodowego w Polsce niepodległej,—takie muszą być zalety w każdej duszy polskiej.

Program odrodzenia Polski i wizerunek dobrej duszy polskiej bardzo wyraźnie i pięknie przedstawił w swoich pismach i w swoich przykładach wielu nigdy niezapomniany ksiądz Stanisław Staszic.

Warto je nietylko poznać, lecz i w niektórych szczegółach dziś jeszcze naśladować i urzeczywistnić!. Stąd pochodzi pobudka do urządzenia uroczystego obchodu setnej rocznicy śmierci ks. Stanisława Staszica, która przypada 20 stycznia 1926 roku. O tej uroczystości wie już bardzo wielu rodaków i oni sposobią się do niej.

I chyba nikt nie zaprzeczy, że przecież ks. Stanisław Staszic **bardzo zasłużył** na serdeczną cześć u całego narodu polskiego za wielkie ukochanie Polski i za nauki, **zawsze pożyteczne wszystkim rodakom.**

Ale i narodowi polskiemu bardzo przyda się wspomnienie o ks. Stanisławie Staszicu.

Prawda, wielka to chluba dla narodu polskiego poszczycić się tak dzielnym mężem, jakim był Staszic, bo widocznie w narodzie polskim tkwią lepsze zdolności, kiedy potrafił wpośród siebie wychować takiego nauczyciela, pisarza i działacza! Lecz i to prawda, że na to Bóg dał światło - żeby ludzie nie zabłądzili.

Opatrzność Boża prawdziwie czuwa nad narodem polskim, pragnie go uratować od zguby, dając mu światło w postaci najświatlejszych i najszlachetniejszych mężów.

Że naród polsk. wporę zawrócił z zgubnej drogi — mamy dowód w uchwałach sejmu wielkiego —i w serdecznem wsłuchaniu się w głosy przestrog Staszica. Podczas długiej niewoli polacy, jak w gwiazdę, wpatrywali się w wskazówki i przykłady Staszica. Dziś głośno mówią o potrzebie odzyskanie duszy polskiej podług wizerunku, podanego przez niego...

A wizerunek duszy polskiej, zalecany przez Staszica, wymaga od rodaków, ażeby przedewszystkiem wypielęgnowali w sobie te zalety moralne: miłość Boga, ojczyzny i narodu, — miłość prawdy i dobra, pracowitość, oszczędność, trzeźwość, posłuszeństwo prawom wszystkim, ofiarność ogromną i pilne nabywanie wiedzy, niezbędnej do korzystania z olbrzymich bogactw Polski.

Czy mamy nadmienić, że sam Staszic posiada w swoim charakterze te wszystkie zalety piękne duszy polskiej?

O, tak, on je posiadał i ujawniał je ciągle nietylko w swoich pismach, lecz i w swojem postępowaniu i w swoich czynach.

Kochał naród, więc mówił mu prawdę, nieraz bardzo cierpką. Pragnął uratować naród doskonale więc podawał mu rady zbawienne, zachęcał do pracy pożytecznej i dlatego nigdy nie szczędził mu wskazówek mądrych i naukowych. Przyczynił się do

założenia szkół wielu, między innemi: lekarskiej i górniczej. Bardzo surowo karcił szlachtę i panów za niesprawiedliwe i niepoczciwe gnębienie ludu. Nie poprzestawał na słowach, bo dał z siebie przykład, jak należy dolę ludu polepszyć: oto za własne pieniądze, zapracowane nauczycielstwem, kupił dobra Hrubieszów i z onych stworzył „Towarzystwo hrubieszowskie dla polepszenia bytu polskiej ludności rolniczej. Nadto wiele pożytecznych zakładów wspierał swemi darowiznami.

Był wielkim dobroczyńcą. Jednak nie tem zasłużył sobie na przeogromną miłość i nieśmiertelną pamięć u narodu polskiego. Oto on na wieczne czasy zdobył sobie serca narodu własnem sercem, niesłychanie miłującem Polskę i naród polski.

Oto w pewnym momencie woła do narodu rozpaczliwie: „Widzę straszne nieszczęście nad głowami waszemi... A gdy kocham Polskę, a gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się polakiem, **jakby ten kraj uratować, myślę ustawicznie!"...**

„Myślą przewodnią pism Staszica jest — pisze prof Chrzanowski—zupełnie to samo, co wypowie później Mickiewicz w tych mądrych i ślicznych słowach „Ody do młodości": „Razem, młodzi przyjaciele! **„W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele".**

To jest: nikomu nie wolno uganiać się za swojem osobistem szczęściem, o ile ono jest sprzeczne ze szczęściem całego społeczeństwa; albo inaczej: każdy rodak powinien poczytywać za szczęście dla siebie **tylko to, co jest szczęściem dla całego narodu,** — a za nieszczęście **to wszystko, co jest dla narodu nieszczęściem.** Bo „społeczność— mówi Staszic—jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele", a nietylko członkami, ale i **własnością,** a stąd „zostać obywatelem jest **wyzuć się,** czyli oddać swoję wolę i swoję moc osobistą całemu społeczeństwu" — **i uwierzyć,** że na tem właśnie polega największe i jedyne prawdziwe szczęście rodaka, do którego on dążyć może i powinien"...

Naukę te może kto nazwie zbyt twardą, bo dziś jeszcze niejeden polak żywi to mniemanie, że nie on narodowi, lecz, odwrotnie, naród jemu służyć powinien i troszczyć się tylko o jego szczęście!.. Niestety, tak właśnie dużo polaków myślało za czasów Staszica i dlatego oni razem z resztą ludności niewinnej dostali się w ręce wrogów, którzy chyba wprędce przekonali tych źle myślących polaków, że nauka Staszica jest twarda dla sobków głupiuchnych, ale zbawcza dla tych wszystkich rodaków, którzy w szczęściu wszystkiego narodu widzą swoje cele.. Gdy bowiem wszyscy rodacy służą narodowi wiernie, ofiarnie i serdecznie, wówczas naród jest zjednoczony, mocny, nawet potężny siłą i ofiarnością wszystkich swoich rodaków. Taki naród nie zginie, bo przecież musieliby zginąć wszyscy rodacy co do jednego! A niemasz takiego wroga, któryby dał rade **wszystkim przeciwnikom.** Toć i niemcy dlatego przepadli, że w wojsku ich było mniej żołnierzy, aniżeli **wszystkich francuzów,** bo przecież **cały** naród francuski, co do jednego, gotował się do boju z **niemcami:** wolał umrzeć zaszczytnie na polu walki, aniżeli żyć haniebnie w niewoli u niemca. Francuzi tedy dziś widzieli swoje szczęście w szczęściu całego narodu swego, a więc stosowali się do tej nauki, którą niegdyś ksiądz Staszic zalecał swoim rodakom. I gdyby wówczas wszyscy rodacy poszli za jego radami, zpewnością Polska nigdy nie utraciłaby niepodległości.

Obecnie przeto, my wszyscy, polacy, ostrzeżeni dostatecznie doświadczeniem, weźmy do serca te słowa Staszica:

„Trzeba koniecznie z powstaniem naszem **podnieść upadły charakter narodu".**

A więc teraz, kiedy już odzyskaliśmy Polskę niepodległą, odzyskajmy piękną duszę polską, bogatą w niezbędne zalety moralne!...

Staszic rzekł niegdyś: „Paść może i naród wielki, zniszczeć nie może, tylko nikczemny"....

A ponieważ my wszyscy, polacy, pracując nad ozdobieniem swego charakteru cnotami moralnemi, unikiemy znikczemnienia, więc, oczywiście, jako naród polski nigdy nie zginiemy!...

Ta jest jedyna droga chlubna i niezawodna dla narodu do utrwalenia swego bytu niepodległego.

Wskazał ja narodowi swemu ksiądz Stanisław Staszic, „jedna z najpiękniejszych postaci, — pisze profesor Chrzanowski, — jakie wydała Polska przez wszystkie wieki swojego istnienia, jedno z najszlachetniejszych i najgorętszych serc, jakie kiedykolwiek na ziemi polskiej biły, jeden z najlepszych i najzasłużeńszych jej synów, godny stanąć obok Modrzewskiego Skargi i Konarskiego: Modrzewskiemu nie ustępował szlachetnem sercem, Skardze—patrjotyzmem, Konarskiemu—mądrością, a zwłaszcza siłą woli. Rozległością zaś i wszechstronnością wiedzy, oraz jej namiętnem, gorączkowem łaknieniem nie dorównał Staszicowi nikt w dawnej i nikt we współczesnej mu Polsce, a w Polsce późniejszej—bardzo niewielu".

Gdy taki mąż wielki rozumem, sercem, nauką, pięknemi pismami i czynami pożytecznemi zgasł w Warszawie o godzinie 3-ej po południu dnia 20 stycznia 1826 roku,—poruszyło się całe miasto. Kilka dni potem—pisze dr. Rejter — podczas pogrzebu kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców wyległo na ulice miasta, sklepy pozamykano, wśród tłumów duchowieństwa świeckiego i zakonnego, przy śpiewach chóru teatralnego, ruszono ku Bielanom, bo zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, tam go pochowano na cmentarzu kościelnym. Pomnik skromny stoi nad jego mogiłą.

Zakończmy te wiadomości o księdzu Staszicu słowami poety Gorczyńskiego:

Oby twe życie zawsze było dla nas wzorem,
Obyśmy, postępując twoim ciągle torem,
Aż do tchu ostatniego, do ostatniej chwili,
Tak, jak ty, kraj kochali, jak ty mu służyli.

---

I w mojej starej glowie się nie mieści,
Że ma kraj zbawić ten, kto się pozbył cześci.
Naród szlachetny
Nie ginie i nie umiera!

Adam Asnyk.

# PRZEKLĘCI.

Przeklęty, kto widział wielkie dzieła boże,
A pokłon oddaje w służebnej pokorze
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, kto mężem, a swemu bliźniemu
Za urząd, za strawę, za lepsze odzienie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, kto naród spokojny najeżdża
I w nim się jak brzydka jaszczurka zagnieżdża,
I czystą myśl jego zaraża oddechem.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, kto z głupim pogląda uśmiechem
I gnuśny rozkoszą w bezczynności leży,
Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, kto zdradnie swych braci odstąpi
I smutnym w niedoli łez i pieśni skąpi,
A wrogom zachłannym cześć i chwałę śpiewa.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia.
I wodzi swój naród w manowców zakręty.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, przeklęty, po trzykroć przeklęty!
Kto wroga oszczędzi, kto wroga ochroni,
Gdy nad nim miecz zemsty w miecz sądu zadzwoni.
— I wyrzekł lud wszystek: Amen.

**K. Ujejski.**

---

Potęgą własnych nie gardź sił,
Lecz nie mów: cuda stworzę!
Bo ten, co wielkim w czynach był,
Największym jest w pokorze.
A bohaterskich wieńców wart,
Choć go nie sławią chwalce,
Ten, co zachował duszy hart
W codziennej życia walce.

Czesław Jankowski.

---

# Pan Prezydent w Liskowie.

„Wystawa wsi polskiej w Liskowie", trwająca od 18 czerwca do 5 lipca, udała się świetnie. Mnóstwo osób ze wszystkich stron Polski rozległej podążało ku niej skwapliwie dla przekonania się naocznie, co wieś polska może pokazać godnego widzenia. I zpewnością nikt z przybyszów nie pożałował swego trudu i kosztu, zobaczył bowiem wiele pięknych rzeczy, wykonanych rękami młodszych i starszych mieszkańców wsi polskiej. Lisków jeszcze pochwalić się może wieloma zakładami bardzo pożytecznemi, jak szpitalem, kąpielami, domem ludowym, strażą ogniową, stowarzyszeniem spożywców, towarzystwem rolniczem, kasą pożyczkową, orkiestrą, szkołą 7-o klasową, spółką rolną, utrzymującą młyn parowy, szkołą rzemieślniczą, posiadającą kilka warsztatów: ślusarski, stolarski, zabawkarski, tkacki i nawet szczotkarski, nadto jeszcze Lisków ma swój teatr, kinematograf i wielki przytułek dla sierot, w którym znalazło opiekę, posiłek i wychowanie kilkaset drobnych istot osieroconych.

Już od dawna, bo od lat 25-ciu, słynie w całej Polsce Lisków, nic przeto dziwnego, że teraz, kiedy wieść się rozeszła o wystawie w tej wsi urządzonej, mnóstwo polaków zapragnęło naocznie przekonać się o tych wszystkich dziełach wielkiego pożytku, istniejących w Liskowie, a wykonanych głównie pomysłem, staraniem i poparciem jednej osoby dzielnej, prawdziwie opatrznościowej dla Liskowa, miejscowego księdza kanonika Wacława Blizińskiego.

On teraz zapragnął z tych wszystkich dzieł i prac Liskowa urządzić wystawę, pokazać rodakom, co przy dobrej woli i ofiarności zdziałać dla siebie potrafi wieś polska. Wystawa taka ma na celu nie jedynie otrzymanie pochwały od świata, ale chce wszystkich przekonać, że nasz lud polski jest zdolny, ofiarny i gotowy do wykonania dzieł najpożyteczniejszych, tylko potrzebuje zachęty, planu i poparcia.

Otrzymał to wszystko od swego księdza Kanonika i oto urządził u siebie piękną, kulturalną wieś polską, która zpewnością może być godnie porównana z najlepszemi wsiami zagranicznemi, bądź duńskiemi, bądź holenderskiemi, czy czeskiemi!

Oczywiście, ksiądz kanonik Bliziński miał zawsze w pracach swoich kulturalnych wielu zacnych i ofiarnych pomocników, zawsze gotowych przyczyniać się do stworzenia zakładów pożytecznych. I teraz przy urządzeniu wystawy w Liskowie wielką pomoc okazał starosta kaliski, p. Stefański, który też był prezesem komitetu wystawy.

Jak licznie była zwiedzana wystawa niech zaświadczy choćby ten szczegół, że noclegów przygotowano dla 3000 gości, ale okazało się zamało, bo np. w niedzielę 28 czerwca nocowało w Liskowie 5000 przybyszów. Trzy teatry były czynne i kinematograf. Orkiestra miejscowa bardzo często przygrywała.

Wystawę w Liskowie obiecał zwiedzić Pan Prezydent i spełnił obietnicę dnia 29 czerwca. Przybył rano o 9 ej w towarzystwie kilku dostojników. Przy bramie tryumfalnej powitał go ks. kanonik Bliziński stosownem przemówieniem i podał tacę z chlebem i solą. Potem był na plebanji, a stąd udał się do kościoła, gdzie J. E. ksiądz biskup Owczarek odprawił mszę św. Dopiero po nabożeństwie P. Prezydent zwiedził całą wystawę, wszędzie był przez wielkie tłumy ludności witany serdecznie, nawet z zapałem!

W zakładzie sierocym pięknie i rzewnie do Pana Prezydenta przemawiały biedne dziatki małe. Tam w zakładzie sierocym zatrzymał się P. Prezydent dłuższą chwilę i nawet przyjął posiłek. A już o godzinie pół do czwartej opuścił Lisków, żegnany przez wszystkich bardzo głośno: „Niech żyje Pan Prezydent".

Dnia 5 lipca wystawa została zamknięta. Spełniła swoje zadanie pomyślnie. Każdy, kto ją zwiedził, osiągnął dla siebie dużo nauki i zpewnością doznał w sercu swojem pokrzepienia, że jednak, dzięki Bogu, idziemy naprzód ku jutru lepszemu, bo taki Lisków da bodźca bardzo wielu wsiom polskim do urządzenia u siebie tego wszystkiego, co Lisków uczynił. A więc, rodacy, do pracy!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 19 lipca 1925 r. № 29.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WARSZAWIE.

# MY I — ONI.

W Polsce znajduje się kilka miljonów żydów. Mają oni pewną ilość swoich posłów w sejmie polskim w Warszawie. Ci posłowie żydowscy tworzą sami z siebie tak zwane poselskie Koło żydowskie, które odbywa częstokroć osobne posiedzenia swoje dla naradzania się nad różnemi sprawami swojemi i nieswojemi, a mającemi jakąkolwiek styczność z losem żydów tutejszych.

Żydzi też dzielą się na rozmaite partje, czyli stronnictwa, które nieraz między sobą toczą spory, kłótnie bardzo wrzaskliwe i gwałtowne, jednak wszystkie one podają sobie ręce zgodnie w pewnych sprawach najważniejszych, gdy idzie o zabezpieczenie, lub polepszenie bytu wszystkich żydów w Polsce.

Otóż w ostatnich czasach zarówno całe społeczeństwo żydowskie, jak i jego Koło poselskie w sejmie warszawskim, uznały za niezbędne przedstawić rządowi Państwa Polskiego **swoje własne wymagania,—** jako **żądania**, pochodzące od wszystkich żydów, mieszkających w Polsce.

Dziś my znowu, jako naród polski, uznając siebie za gospodarzy Polski, musimy gruntownie poznać i zrozumieć żądania tutejszego społeczeństwa żydowskiego **i— wyprowadzić z tych żądań wnioski dla siebie słuszne i niezbędne...**

Ale zacznijmy od początku.

Dnia 4 lipca zjawiła się u Grabskiego, prezesa ministrów, delegacja Koła żydowskiego i prezes tegoż Koła, dr. Reich, tak przemówił: „Panie Premjerze! Reprezentanci rządu odbyli szereg rokowań z przedstawicielami Koła żydowskiego, które doprowadziły do porozumienia. W konsekwencji tego wyrażam nadzieję, że zaspokojone zostaną zgodnie z Konstytucją żądania ludności żydowskiej w dziedzinie religijnej, kulturalnej, **politycznej, gospodarczej** i że **ułatwiona będzie** społeczeństwu żydowskiemu współpraca dla dobra i rozkwitu **państwa, które wszystkim odłamom ludności, a także mniejszościom narodowym, w państwie** zamieszkałym, da możność zaspokojenia ich słusznych żądań.

„**Koło żydowskie** stało zawsze i stoi teraz na stanowisku państwowowości polskiej, nienaruszalności granic Rzeczypospolitej. W myśl tych zasad prowadzić będzie nadal **swą politykę demokratyczną.** Przejęte temi zasadami ma zaszczyt Koło żydowskie przedłożyć następującą deklarację:

„Koło żydowskie, stojąc trwale na stanowisku nienaruszalności granic i mocarstwowych interesów **państwa polskiego,** oraz uznając potrzebę jego wewnętrznej konsolidacji (pogodzenia), stwierdza, że zgodnie z temi zasadami **prowadzić będzie na terenie sejmowym** politykę ogólną, jak również **swą politykę narodową w obronie praw i interesów żydowskich".**

W odpowiedzi na przemówienie dr. Reicha, prezesa Koła żydowskiego, tak rzekł premjer Grabski:

„Oświadczenie panów przyjmuje z pełnem zadowoleniem. Z mojej strony moge panów zapewnić jedynie, że rząd **oczekiwać będzie ustalenia się polityki** stronnictw żydowskich w duchu uzgodnienia ich z mocarstwowym interesem Rzeczypospolitej, z zewnętrzną konsolidacją państwa, oraz finansowo-gospodarczą odbudową kraju, że ze swej strony rząd będzie udzielał większą uwagę potrzebom ludności żydowskiej oświatowym, kulturalnym i gospodarczym.

Dalej tak jeszcze mówił prezes Grabski:

„Zagadnienie żydowskie zarówno samo przez sie, jak i w szczególności pod względem układania się stosunków pomiędzy społeczeństwem polskiem a żydowskiem jest niezwykle pogmatwane i dlatego dobrze jest, że dla rozwoju tego zagadnienia **obie strony (żydzi i rząd polski) owiane dobrą chęcią,** zrobiły pierwszy krok, który, mam nadzieję, będzie początkiem nowej ery. Zwolna doszło sie do przekonania, że **nie do utrzymania jest stan, w którym jeden odłam ludności ciągnie korzyści z państwa z uszczerbkiem dla drugiego odłamu. Pożądanem natomiast jest, by wszyscy razem pracowali nad umocnieniem państwa, które też wszystkim na równi ma służyć.** W myśl powyższego rząd w najbliższym czasie opracuje szereg rozporządzeń, majacych stanowić pierwszy krok w kierunku zaspokojenia potrzeb żydowskich w dziedzinie kulturalnej, politycznej i gospodarczej".

Na tem zakończyło sie urzedowe posłuchanie delegacji żydowskiej u prezesa ministrów.

Wreszcie rząd Państwa Polskiego przystąpił do ułożenia planu, czyli programu, podług którego maja poszczególni ministrowie „zaspakajać—jak sie wyraził prezes Grabski—potrzeby żydowskie w dziedzinie kulturalnej, politycznej i gospodarczej".

Otóż dnia 11 lipca sekcja Komitetu Politycznego Rady Ministrów uchwaliła przedstawić Radzie Ministrów szereg wniosków w sprawach żydowskich. Podajemy tu tylko niektóre:

„Rada Ministrów zleca ministrowi wyznań religijnych i oświaty publicznej przygotowanie projektu ustawy o używaniu języka hebrajskiego i żydowskiego w obradach gmin wyznaniowych żydowskich, podobnież do przepisów o używaniu języka rusińskiego i białoruskiego w obradach ciał samorządowych.

„Rada Ministrów wyraża zasadniczą zgodę na to, aby we właściwej drodze dopuszczono język hebrajski i żydowski do zgromadzeń publicznych,— „wprowadzi w pewnej ilości szkół państwowych powszechnych w miejscowościach z znacznym procentem ludności żydowskiej święcenie soboty i naukę przedmiotów judaistycznych w liczbie 10 godzin tygodniowo,—„wyda zarządzenie, aby uczęszczanie (dzieci żydowskich) do hederów, które czynią zadość przepisom szkolnym państwowym, było uważane za spełnienie obowiązku szkolnego.

—„przyzna zapomogi rządowe szczególnie zasługującym na to szkołom zawodowym żydowskim,

—„przyzna prawo publiczne pewnej ilości szkół powszechnych, średnich i seminarjów z językiem wykładowym hebrajskim lub żydowskim, zasługujących na to poziomem nauki zgodnie z ogólno obowiązującemi przepisami,

—„zezwoli dzieciom żydowskim w szkołach publicznych państwowych na zwolnienie ich od obowiązku pisania w soboty,

—„ułatwi dzieciom żydowskim w soboty, — i żołnierzom żydom w godzinach pozasłużbowych chodzenie na nabożeństwo swego wyznania,

—„ułatwi wypłatę strawnego żołnierzom wyznania mojżeszowego, chcącym zaopatrywać się w wikt poza koszarami".

Gazety żydowskie jeszcze podają pogłoski o niektórych innych pozwoleniach i pomocach rządu polskiego, jakoby bardzo korzystnych dla żydów. Oczywiście, nie warto zaprzątać się pogłoskami. Poprzestańmy na ogłoszeniach rządowych, które, wyrażając się ogólnie, zostały przez społeczeństwo polskie przyjęte nieprzychylnie.

Naprzykład, Prezes Związku Ludowo--Narodowego, poseł Głąbiński, oświadczył między innemi tak: „Społeczeństwo polskie z wielu ważnych i uzasadnionych powodów żywi nieufność do mieszkańców żydowskich w kraju, więc też—z wielką nieufnością i niedowierzaniem patrzy na działanie Rządu w sprawie żydowskiej i nie rozumie, dlaczego obywatele polscy, żydzi, traktowani są przez Rząd w sposób wyjątkowy, jak gdyby reprezentanci państwa samodzielnego."

Rozpatrzmy gruntownie tę sprawę, dla nas, polaków, niezmiernie ważną.

Rząd Państwa Polskiego, wydając pewne uchwały, korzystne dla ludności żydowskiej, zpewnością spełnił swój obowiązek, gdyż miał na widoku interesy całego Państwa i politykę wszechświatową, ale także kierował się zasadą mądrą, którą tak można wyrazić:

— „jeszcze daję tobie, ażebyś ty dał Państwu"

Na żydów tutejszych spadało i dotychczas jeszcze spada mnóstwo zarzutów, nawet bardzo ciężkich i—brzydkich, wytykających im wiele udowodnionych czynów występnych, zdziałanych na szkodę Polski i narodu polskiego!.. Nic żydzi na swoją obronę powiedzieć nie mogą. Bo gdyby nawet od Państwa Polskiego i narodu polskiego doznawali tylko krzywdy, to i w takim razie nie godzi się złem za złe odpłacać...

Zasada moralna, chrześcijańska, powiada: kto

na ciebie kamieniem,—to ty na niego chlebem i tylko w taki sposób złe zwyciężysz.

Ach, prawda, żydzi nie chcą rządzić się taką zasadą chrześcijańską, bo oni wszakże są niechrześcijanie i nawet wrogo odnoszą się do religji chrześcijańskiej. Zresztą, chyba oni i za dobre zwykli częstokroć złem odpłacać. Takie przypuszczenie nasuwa się z tego powodu, że od Polski i narodu polskiego niezmiernie dużo dobrodziejstw doznawali w ciągu wielu stuleci.

Toć nawet ks. Staszic wyrzucał szlachcie polskiej, że żydom woli być pomocną, aniżeli ludowi polskiemu, jakkolwiek żydzi są szkodliwi, a lud nieszczęsny, bardzo pożyteczny, bo jest żywicielem wszystkich.

Oto jak ks. Staszic pisze o żydach w swojej książce p. n. „Przestrogi dla Polski", wydanej 4 stycznia 1790 roku, a więc przed stu trzydziestu pięciu laty:

„Żydzi są pijawkami rolnika. Z nich żaden nie przykłada się do powiększenia urodzajów krajowych, ani, prócz małej liczby rzemieślników, ten ród ludzi nie dopomaga do odnowy i do kształtowania tychże urodzajów. Wszyscy żydzi tylko z innych stanów pracowitych żyją.

„Żydzi są naszego kraju letnią i zimową szarańczą. Te obydwa stworzeń gatunki przyspieszają bieg pieniędzy; łatwią bogactw odmianę; ubożą ludzi pracowitych; najżyzniejsze pola niszczą, wsie napełniają nędzą, a powietrze zarażają zgnilizną. Żydostwo nasze wsie uboży, a nasze miasta smrodem napycha.

„Chociaż w Polsce odbierze stan rolniczy sprawiedliwość, a stan miejski bezpieczeństwo i wolność, przecież z trudnością rolnictwo i miasta powstawać będą, dopokąd w reku żydów **szynk trunków** zostanie. Dopokąd żydzi w miastach będą czynić stan oddzielny, od urzędu miasta niezawisły, ale swój osobny urząd i swoich własnych sędziów mający, czyli w jednem mieście drugie miasto czyniący, tak długo nasz chłop ze swojej nędzy z trudnością dźwigać się będzie i od nałogu nie odswoi się, jak długo ród żydowski przez wychowanie do oszukiwania sposobiący się, będzie władać tą trucizną, przez którą, gdy zechce, może kilku miljonom ludzi głowę zawracać, a na kilka godzin przytomność im odebrawszy, rozporządzać majątkiem polskiego rolnika, jak mu się podoba.

„Zakon żydowski, jak niegdyś zakon naszych Templarjuszów i Krzyżaków, w żadnym czasie pracować nie chciał, tylko pielgrzymować, włóczyć się, modlić i cudze ziemie łupić.

„Ustawa zakonu żydowskiego nie sposobi ludzi do wielkiej, a dzisiaj społeczeństwom potrzebnej pracy. **Dlatego między narodem pracowitym nigdzie ród żydowski utrzymać się nie może. Tylko w złych rządach, tylko w tych krajach, gdzie próżniacy mają obronę i trzymają pierwszeństwo bezrządne, tylko tam żydzi obfitują, gnieżdżą się i mnożą".**

Zdania powyższe powtórzone zostały bez żadnej zmiany z „Przestróg" ks. Staszica, przedrukowanych przez księgarza M. Arcta 1916 roku. „Strona 142-143

A dalej tak pisze prawdomówny ks. Staszic:

„Czego pan swoim poddanym bez obrazy sumienia wydrzeć nie mógł, to im przez oszukanie żydowskie ze spokojnością tegoż sumienia wydzierał

„Powtarza ustawicznie każdy szlachcic, — ciągnie dalej ks. Staszic—że chłop polski jest nadto głupi, niepracowity, leniwy; dlatego nie można mu dawać sprawiedliwości, ani wolności. A nie czuje, albo czuć tego żaden szlachcic nie chce, że to on sam tego przyczyną; że chłop polski jest takim samym człowiekiem, jakim jest chłop niemiecki, chłop o granicę w Śląsku, w Prusach, w Saksonji. Czemuż tamten jest oświecony, pracowity i krajowi użyteczny? Nie jest to chłopa polskiego natury przyczyna, ale nierząd panującej w Polsce szlachty.

„Nie odmieni się nasz chłop w Polsce, — woła ks. Staszic—dopokąd nie odmieni się szlachta

„Wyrzeka szlachcic, że chłop polski straszny pijak, a każdy szlachcic w swojej wsi, w swojem miasteczku po pięć, po sześć karczem wystawia, właśnie gdyby jakie sidła dla łowienia chłopa owego. W tych karczmach osadza, dobiera **najbieglejszych żydów**, którzyby mu jak najwięcej zapłacili, to jest, **którzyby umieli jak najsztuczniej zwodzić i rozpajać chłopów.**

„Niebaczny dziedzicu!—ostrzega ks. Staszic—nie na pijaństwie, nie na ubożeniu poddanego zasadzaj powiększenie twoich dochodów. Bo to oszukanie, to obdarcie chłopa z ostatniego grosza przez żydów narusza jego gospodarstwo. Tak zamiast bogacenia, kraj niszczy i twój upadek gotuje.. Każdy złoty, którym żyd twoją propinację podwyższa, jest ten złoty, którym cię uboży.

„Tak jest: Prócz nierządnej naszego rolnika niewoli, żydzi są drugą wielką jego niepracowitości, głupstwa, pijaństwa i nędzy przyczyną. **Tylko sami chłopi muszą odziewać i żywić kilkakroć sto tysięcy żydostwa.** (Tyle było wówczas, w końcu 18-go stulecia, żydów w Polsce). Ten brzydki ród żydowski ostatni z gęby kęs chleba wyłudziwszy chłopu, kradnie go z pieniędzy, pozbawia go wszelkiego przemysłu, zdrowia i samego rozumu.

„Ten lud żydowski—ciągle słowa ks. Staszica—ma obyczajność, sposób życia i moralność z moralnością naszej religji niezgodną. **Więc żyd z swoją moralnością zawsze będzie niebezpiecznym i fałszywym.**

„Żydom oddawać szafunek tak strasznego w swoich skutkach trunku, jest powierzać majątek rolnika ludziom bez wiary, na chrześcijan zawziętym i podawać tymże w ręce narzędzie, z którym mogliby bezkarnie używać majątku rolnika.

„Zna dobrze żydostwo—słowa ks. Staszica—jak zyskowną dla nich być może własność trunku takiego, jak sposobowi ich myślenia arcy-dogadza.

„Rząd dobry—wnioskuje ks. Staszic — **wyciąga rozum,** aby żadną miarą szynk gorzałki nie był pozwolony żydom. Niechaj żydzi mają od rządu krajowego równą z każdym mieszkańcem zarobków łatwość, oprócz jednego szynku trunków, który, jeżeli mamy w Polsce zamiar polepszyć rolnictwo, najzdro-

wiej żydom być zakazanym powinien w całej Polsce, po wszystkich wsiach i miastach".

Jeszcze dalej taką smutną prawdę ks. Staszic wytyka w roku 1790 szlachcie:

„Ze wszystkich w Polsce mieszkańców, jednowładczej szlachcie podległych, **największe swobody i prawa szlachta pozwalała żydom.** A rolnikowi chrześcijaninowi (wieśniakowi poddanemu) **sprawiedliwości dotychczas zapewnić nie chce!**

„Zgoła żaden gatunek ludzi, w jakimkolwiek miejscu znajdujący się **nie powinien mieć osobnych praw, urzędów i sędziów;** tylko prawom magistratów miasta podlegać musi. Przeciwnie (u nas, w Polsce, dzieje się), **żydzi w każdem miejscu osobne mają swoje prawa, osobny swój magistrat i sędziów.** Tym nierządem stało się, że szlachta **wszędzie tylko osobistym pożytkiem wiedziona,** a o swojej wolności grubych przesądów pełna, jedną połowę kraju, jedną połowę najbogatszych miast **już uwięziła w jarzmie obcych despotów** (bo dopuściła do pierwszego rozbioru Polski w r. 1772), — **a resztę** kraju, jeszcze wolną, **napełnia żydostwem.**

„Tym nierządem stało się—pisze dalej ks. Staszic, — że jeszcze nie zatracona przez nierząd reszta narodu polskiego pozostała w tej części Polski, której pierwszy rozbiór nie zagarnął, **już odmienia się w naród żydowski.** Jedna część polaków niewolą partykularną (pańszczyzną) utłumiona, druga po wszystkich prawie królewszczyznach przez chciwych starostów, a jeszcze więcej od żydów jest poniżona. Przeto niema w rzeczywistym narodzie polskim tego dzielności ducha, który widzimy w innych krajach. **Niema w naszych miastach żadnej publiczności, tylko żydowska. Obojętny mieszczanin polski na wszystkie cudzoziemskie** (od mocarstw sąsiednich) **krzywdy i gwałty, wyrządzone Polsce, gdyż nieprzezorny rząd szlachty odjął mu zupełne przywiązanie do kraju.**

„Niechajże więc — woła jeszcze ks. Staszic — odtąd szlachta stara się **powiększyć naród polaków** (przez nadanie zupełnej wolności wieśniakom i mieszczanom), **a** nie naród żydowski. **Niechaj żydzi nie mają opiekunów w wojewodach, w podwojewodach, starostach i t. d.** Lecz niechaj żydzi tak, jak lutrzy, kalwini i t. d., w miastach polskich mieszkając, podlegają prawom, magistratom i sędziom miejskim.

„Dwa przeto prawa—radzi ks. Staszic—względem żydów są koniecznie potrzebne, aby żydzi nie szkodzili powstaniu rolnictwa i miast wzrostowi:

„Pierwsze: **Aby żaden żyd w całej Polsce nie mógł szynkować trunków.**

„Drugie: Aby żydzi w miastach, również jako innych religji mieszkańcy, podlegali zupełnie magistratowi i rządowi miasta, **nie mogąc mieć żadnych osobnych urzędników.**

„Dalej, dla zupełniejszego wykorzenienia w nich ducha zgromadzenia i stanu (odrębnego), należy, aby ich wychowanie było poddane Komisji Edukacyjnej, któraby im wyznaczyła nauczycielów, przepisała moralność i inne książki elementarne".

Tyle przytoczyliśmy uwag ks. Staszica, podanych narodowi polskiemu jeszcze przed 135-u laty. Wszystkie one świadczą, jak już wtedy żydzi byli szkodliwi Polsce i jednak, mimo to, wielkiemi byli obdarzeni wolnościami.

Chłopa i mieszczanina szlachcic, rządzący Polską, trzymał w twardem poddaństwie, a żydowi dawał ulgi, przywileje i znaczne pierwszeństwo we wszelkich interesach pieniężnych. A jak za te dobra żyd zapłacił Polsce i narodowi polskiemu?

A no, historja mówi prawdę: ona stwierdza że żydzi stale uważają siebie za bardzo przezorny naród, obcy Polsce, — obcy, bo przecież przekonywa o tem oświadczenie prezesa Koła żydowskiego, posła Reicha, który w deklaracji Koła swego tak między innemi nadmienił:

„Koło żydowskie **prowadzić będzie** politykę ogólną, jak również **swą politykę narodową w obronie praw i interesów żydowskich".**

Nie teraz dopiero żydzi uważają siebie za naród odrębny i nawet bardzo starożytny! Takie zdanie mieli o sobie zawsze—i całkiem słusznie. Komu zdawało się, że żydzi to nie naród, jeno plemię tułacze, ten mylił się grubo. Jeżeli zaś dawniej obcym nie mówili o sobie, jako o narodzie, to wynikało tylko z warunków ekonomicznych i politycznych, jakie ich otaczały w Polsce w ciągu czasu bardzo długiego.

W dawnych czasach było ich w Polsce liczebnie bardzo niedużo. Przedewszystkiem musieli zarabiać na swoje utrzymanie i na opłacanie się tym urzędnikom, którzy pozwalali im trzymać się gromady swojej. Za wszelką cenę żydzi chcieli żyć tylko zbiorowo, bo rozumieli, że dopóki mieszkać będą społem i będzie ich dużo, już potrafią zabezpieczyć swoję odrębność religijną i narodową. Te starania były dla nich najważniejsze. I, rzec trzeba, zawsze umieli wyjednać sobie zgodę urzędów na zabezpieczenie swej niezależności religijnej i narodowej.

Prawda, wyjednywanie dla siebie takiej zgody u obcych urzędników kosztowało ich zwykle bardzo drogo, ale przecież płacili nie ze swojej kieszeni,.. bo sami sobie te wydatki swoje odbierali z czubem od ludności polskiej, której, jako kupcy, dostarczali wszelkich towarów i której wprędce potrafili stać się niezbędni.

My, polacy, musimy jedną prawdę niebezpieczną mieć zawsze w pamięci:

Oto żydzi u nas, w Polsce, znaleźli dla siebie jak gdyby grunt najodpowiedniejszy. Nigdzie im nie jest tak dobrze, tak pomyślnie, jak u nas!

Od czasów Staszica nie upłynęło przecież lat bardzo wiele, bo dopiero 135... Cztery pokolenia zaledwo minęły,—a patrzcież, jak rozrósł się wśród nas naród żydowski!

Ks. Staszic doradzał szlachcie, żeby „żydzi w miastach, równie jako innych religji mieszkańcy, podlegali zupełnie magistratowi i rządowi miasta, nie mogąc mieć żadnych osobnych urzędników (swoich)."

I jeszcze nadmienił: „dla zupełniejszego wykorzenienia w nich ducha zgromadzenia i stanu (odrę-

bnego), należy, aby ich wychowanie było poddane Komisji Edukacyjnej, którąby im **wyznaczyła** nauczycielów, **przepisała moralność** i inne książki elementarne".

Słusznie ks. Staszic rozumiał, że gdyby młodzież żydowska była wychowywaną tylko w szkołach polskich i podług prawideł moralności chrześcijańskiej, zczasem w zupełności zespoliłaby się z społeczeństwem polskiem.

Już atoli na takie reformy nie było czasu, bo niebawem Targowiczanie obalili Konstytucję 3 maja, a wkrótce potem nastąpiły dwa ostatnie rozbiory Polski—i naród polski utracił niepodległość!..

Jednak dla żydów upadek Polski stał się wydarzeniem nawet bardzo pomyślnem, bo już tem łatwiej mogli wyzyskiwać polaków, pozbawionych wolności, zrujnowanych wojnami i prześladowanych okrutnie przez trzy rządy zaborcze.

Wiadomo, naród w nieszczęściu upada na duchu, staje się niedbalućh em, łatwowiernym i—nawet ospalszym. A gdy mu jeszcze niewola zabrania ratować się wspólnie, skąpi oświaty i jak gdyby zachęca do popełniania różnych podłości: bo do wyrzeczenia się wiary, ojczyzny i uczciwości,—naród, w takiem położeniu przebywając bardzo długo, zpewnością podupada umysłowo, moralnie i materjalnie.

„Na pochyłe drzewo i kozy skaczą". Gorzej dzieje się z biedakiem, nękanym przez mocniejszego, bo on, umęczony przeciwnościami, nietylko traci ochotę do pracy i życia, ale nawet czepia się go owad paskudny i ssie resztę siły, pozostałej w mdłem ciele.

Takiego właśnie losu doświadczył naród polski podczas długiej niewoli. Trzy rządy męczyły go niemiłosiernie, chcąc albo uśmiercić, albo wynarodowić, —a żydzi, jak ten owad, ssali z niego fortunę i przerabiali ją na swoje bogactwa.

Urosły też tu w rękach żydów olbrzymie majętności. Podczas niewoli naszej powodziło się im świetnie! Przecież to wszystko, co mają, nie przysłano im z Ameryki, ani spadło z obłoków.

**Na polakach dorobili się wielkich skarbów!**

Nikt tego nie zaprzeczy. Zresztą i żydzi rozumni muszą to potwierdzić.

Prawda. A jak—powtórzmy raz jeszcze to pytanie—żydzi za to wszystko **odpłacają się polakom?**

Nie mówmy o wdzięczności. Bo ten wyraz byłby tu nie na miejscu. Nie byliśmy przecież dla żydów dobroczyńcami, nic im nie dawaliśmy darmo. Zgoda.

Jednak to prawda, że **tylko polacy** dawali im u siebie zarobki **bardzo korzystne.** Żydom wyraz **bojkot** jest niemiły i groźny. Dlaczego? Bo gdyby polacy nagle **potrafili** zerwać wszystkie stosunki kupieckie i przemysłowe z żydami tutejszemi, dopiero namacalnie przekonaliby się żydzi, jakiem źródłem bogactw była dla nich fortuna i praca polaków.

Bodaj krótką chwilę wpatrzmy się w spójnię, jaka łączy uczciwego i szlachetnego pracownika z właścicielem fabryki, który mu daje u siebie zarobek pokaźny od dłuższego czasu. Czy łączy ich tylko wspólny interes zawodowy? Nie. Bo jeszcze żywią ku sobie przychylność, życzliwość, nawet stałą chęć okazywania sobie wzajemnie różnych usług przyjacielskich. Szlachetny i uczciwy pracownik nigdy nie zaszkodzi swemu fabrykantowi, — a i rozumny fabrykant nigdy nie pokrzywdzi swego pracownika.

A czy taka sama przyjaźń łączy dwa narody: polski i żydowski, mieszkające razem na jednej ziemi polskiej?

Nie.—Czemu?—Bo żydzi nie chcą utrzymać stosunków przyjaznych z polakami. Żydzi lękają się naszej kultury, nie chcą zatracić swej odrębności żydowskiej. Przeto trzymają się od nas zdaleka. A przytem żydzi mają w swoim charakterze kilka wad brzydkich:

Oto najmilszym jest dla nich pieniądz: uniżają się przed mocniejszym, a kopią słabego; dotąd umizgają się, dopóki spodziewają się zysku.—a kto chwieje się, słabnie,—już napewno popchną go i leżącego, na pożegnanie, wyszydzą!..

Bardzo często my, polacy, doświadczaliśmy od żydów takiej zmienności i srogości.

Niejednego rodaka naszego takie postępowanie żydów fałszywe i złośliwe oburza niezmiernie i dlatego odpłaca się im wzgardą, — ale znowu niektórzy rodacy powód takiego postępowania żydów upatrują, całkiem trafnie, w osobliwszem ich wychowaniu. Otóż wychowanie od wczesnych lat usposabia niemal każdego żyda tak, żeby miał jeden cel główny przed sobą: **zarobić!**

Kto daje mu zarobek, ten dla niego **dobry**, więc on przed nim skacze, — ale kto nie puszcza go do swej kieszeni, już on wrogo patrzy na niego, nawet gotów zemścić się w sposób szkaradny!

Żyd chce i musi zarobić! On nie idzie, ale gorączkowo, natarczywie biegnie do zarobku. Umie wszelkie przeszkody pokonać, ominąć, opłacić, byle tylko dla siebie mógł zdobyć zarobek pożądany!

O, tak, żydzi są nadzwyczajnie pilni, zabiegliwi, pracowici i nawet nieraz uciekają się do podstępów dla pomyślnego załatwienia swoich interesów korzystnych.

A my, polacy co musimy powiedzieć o sobie? —Bądźmy szczerzy, bo wypada nam wpatrzeć się w prawdę bardzo gorzką!

Już raz nadmieniliśmy, że żydzi mają w Polsce dla siebie nader pomyślne warunki, powodzi im się znakomicie, robią interesy korzystne, dorabiają się fortuny, nawet wielkiej,—a my jak gdyby podupadamy... Czemu to przypisać?

Widocznie są w nas wady wielkie, ale jakie? Chyba je znamy wszyscy?

Przedewszystkiem rzuca się w oczy lenistwo duże i powszechne. Żydzi są od nas pracowitsi i pilniejsi. Nie od dzisiaj dopiero. Już ks. Staszic surowo wytknął swoim rodakom prawdę, pisząc te słowa: „Między **narodem pracowitym** nigdzie ród żydowski utrzymać się nie może. Tylko w złych rządach, **tylko w tych krajach, gdzie próżniacy mają obronę i trzymają pierwszeństwo bezrządne, tylko tam żydzi obfitują, gnieżdżą się i mnożą".**

Te słowa jego dostatecznie chyba przekonywają

nas, że istotnie powszechne rozleniwienie polskie daje żydom łatwy dostęp do pracy i kieszeni naszych. Sami nie chcemy sprzedawać swoich wyrobów, posługujemy się ciągle i zawsze żydami, którzy za tę fatygę swoją sami siebie wynagradzają, oczywiście, z kieszeni naszej. Nadto nie chce się nam myśleć i rachować. I w tem wyręczamy się żydami, a oni na tem lenistwie naszej głowy grubo zarabiają!...

Jednak, niestety, jeszcze inną powinnibyśmy wytknąć wadę w swoim charakterze polskim. I ta wada jest nawet groźniejsza, niż lenistwo i lekkomyślność.

A jest nią **bardzo powszechna u nas obojętność na dobro narodu naszego.**

Niejeden żyd ma w sobie, być może, tylko same wady szpetne, ale napewno ma jedną zaletę wielką:

**żywą i mocną gorliwość o dobro narodu żydowskiego!**

Żaden żyd nawet nie zawaha się dać zawsze pierwszeństwo żydowi, gdy idzie o zarobek, o przysługę, pomoc!

Każdy żyd szczerze, gorąco i pilnie interesuje się wszystkiemi sprawami, bądź pomyślnemi, bądź niebezpiecznemi dla narodu żydowskiego. W miarę możności chętnie składa na jego potrzeby ofiary — i spieszy mu z radą, lub poparciem.

Tymczasem nasi rodacy jakże często w czynach i słowach okazują najzupełniejsze lekceważenie dobra narodu polskiego!

Nawet bardzo dużo rodaków mniema, że narodowi swemu żadnej nie wyrządzają szkody, gdy dla swej korzyści popierają kupców i rzemieślników żydowskich zamiast polskich.

Nie myślą więc i nie rozumieją, jakiej dopuszczają się krzywdy i niewdzięczności względem swego narodu!

Nieraz niektórzy polacy oburzają się na żydów za to, że oni okazali niewdzięczność, bo w pewnych momentach działali na szkodę Polski. A przecież żydzi mogliby słusznie wielu naszym rodakom uczynić taki sam zarzut, gdyby zechcieli szyderczo zapytać ich: czemu kupujecie w sklepach żydowskich, mając sklepy polskie?—czemu oddajecie zamówienia rzemieślnikom żydowskim, zamiast polskim? — czemu wydzierżawiacie sady żydom zamiast swoim rodakom?—czemu sprzedajecie zboże żydom, zamiast tworzyć swoje spółki handlowe?—czemu sprzedajecie swe domy i ziemię żydom? czy mało macie wśród swoich rodaków nabywców chętnych?

Rozumie się, żaden żyd głośno nie zada pytania takiego polakowi,—ale niezawodnie bardzo dużo żydów roztropnych, patrząc na polaków, cisnących się do ich sklepów, w skrytości serca swego pogardliwie i brzydko myślą o nich, słusznie pomawiając o podłą nieczułość na dobro własnego narodu!

Żaden przecież rodak nie obroni się wymówka, że u żydów taniej i dogodniej nabywać! Bo to nieprawda! Zazwyczaj wiedzie go do sklepów żydowskich albo nałóg bezmyślny, nabyty zdawna, — albo złego serca niechęć ku swoim rodakom. Bo i tak bywa, niestety, nawet nierzadko. Jeden rodak na drugiego pogląda wrogo, nienawistnie, choć wcale się nie znają, — ot tak „z dobra-dziwu", jak zwykli mówić niektórzy; podejrzewają się wzajemnie o Bóg wie jakie złośliwości zgoła niesłusznie, ale im się zdaje, że słusznie i tylko dlatego wzajemnie stronią od siebie; — „na złość" nie kupują w polskim sklepie i nie popierają rzemieślnika polskiego! Wolą wspomódz żyda, niż „swego"! A dlaczego tak czynią?— Głośno nie odpowiedzą, jeno sami, przed sobą wyznają, że czynią to z złośliwej niecheci ku swoim!...

Doprawdy, nie lubimy swoich! — To nie bajka! Wrogowie sieją między nami taką nienawiść, z której wyrasta niezgoda i ta właśnie jest bardzo na rękę różnym wrogom naszym sąsiedzkim i domowym.

Nasza niezgoda również bardzo podoba się żydom tutejszym. Czemuż miałaby się im niepodobać? Toć niezgoda nas osłabia. A im słabsi będziemy,— tem łatwiej pokonają nas żydzi.

Zgoda między nami mogłaby wyniknąć tylko z wzajemnej życzliwości i troski o wspólne dobro. A znowu gdybyśmy wszyscy byli ożywieni wzajemną życzliwością, to zaraz układalibyśmy wspólne plany: jak u nas w Polsce podnieść handel polski, jak zaopatrzyć banki polskie w gotówkę obfitą dla popierania rolników, rzemieślników i kupców polskich, jak rozpowszechnić przemysł polski, żeby jaknajwięcej robotników polskich zatrudnić pracą zarobkową i w taki sposób zatrzymać ich w kraju, ażeby nie jechali zagranicę szukać chleba i dorabiać obcych, a może nawet wrogów ojczyzny!

Takie plany snując, my, rodacy, życzliwie wszyscy dla siebie usposobieni wzajemnie, zpewnością rychło przystąpilibyśmy do ich urzeczywistnienia. Zatem wspólnie popieralibyśmy swój handel, przemysł i rzemiosła, a i rolnicy nasi zgodnie, życzliwie wiązaliby się w różne stowarzyszenia i spółki, nawet wprędce stworzyliby polski handel zbożem.

Czy takie błogie skutki polskiej zgody życzliwej podobałyby się żydom tutejszym?

Nie.

Oczywiście, rozumni i sprawiedliwi żydzi pocichu, w skrytości swego ducha, musieliby nas polaków pochwalić za tak zgodną i wspólną troskę o powszechne dobro narodu polskiego i nawet musieliby nas za to uszanować!.. Ale żydzi tutejsi nie chcą myśleć o takiej zgodzie naszej, bo gdyby ona u nas nastała i utrwaliła się,—oni, żydzi, niemal wszyscy, musieliby spakować swoje manatki i wyruszyć do Palestyny,

Bo nasza zgoda,—to początek ich upadku..

Albo—albo! Albo żydzi będą tu w Polsce mocno trzymali w swojem ręku cały handel, drobny i wielki przemysł, oraz banki, — a my, polacy, w takim razie stopniowo musimy podupadać i, podzieleni na drobne gromady, pałające ku sobie wzajemną nienawiścią, stać się podnóżkiem żydów, ich czeladzia, robotnikami i parobkami, co równa się ostatecznej niewoli polskiej u żydów,—albo my, polacy, tu u siebie wolni w wolnej ojczyźnie, nareszcie spojeni życzliwością i troską o powszechne dobro całego narodu, stworzymy polski handel, przemysł, i banki,— a wówczas żydzi, pokonani przez nas ekonomicznie,

sami będą zmuszeni ustąpić z kraju, jako zbyteczni, niepotrzebni...

Teraz zechciejmy zwrócić swoję uwagę na jedno zdanie w deklaracji sejmowego Koła żydowskiego. Brzmi to zdanie tak: „Koło żydowskie **prowadzić będzie** politykę ogólną, jak również **swą politykę narodową w obronie praw i interesów żydowskich“.**

Chwalebnie postąpiło Koło żydowskie, gdy zapowiedziało niemal uroczyście, że nadal „będzie prowadzić politykę ogólną i **swoję politykę narodową w obronie praw i interesów żydowskich“.**

Taką **zapowiedź i obietnicę** sejmowe Koło żydowskie podało publicznie narazie tylko do wiadomości Rządu Państwa Polskiego. Lecz, oczywiście, paśrednio i naród polski musiał dowiedzieć się o tej **obietnicy,** a jest ona dla narodu polskiego niesłychanie ważna, więc wypada mu rozpatrzeć starannie wszystkie szczegóły, jakie w niej się mieszczą.

Otóż Koło żydowskie ma troszczyć sie o to żeby żydzi tutejsi i nadal stanowili naród odrębny, mający **swoje prawa i swoje interesy.**

No, tak, żydzi byli u nas, w Polsce, dotychczas bardzo odrębni i nikt im ani myśli tego zaprzeczyć. Są i niech będą zawsze narodem osobnym i, daj Boże, bardzo szczęśliwym!

Lecz druga część obietnicy jest dla nas ciekawsza, bo mówi o **obronie interesów żydowskich. Jakie interesy żydowskie** ma na myśli Koło żyżydowskie i **przed kim chce je bronić?**

Kto tu, w Polsce, nastaje na interesy żydowskie?

Tylko my, polacy! A w jaki sposób zagrażamy interesom żydowskim?

Toć przecież my żydom nic nie odbieramy. Więc chyba zbyteczna obrona? Raczej żydzi nam odbierają — i właśnie dlatego naród polski, idąc za przykładem Koła żydowskiego, powinien również ogłosić Rządowi Państwa Polskiego deklarację swoję, że **„będzie prowadzić swoję politykę narodową w obronie praw i interesów polskich“.**

Prawda, jak to ogłoszenie jest z naszej strony **bardzo właściwe i nawet niezbędne?..**

Rozumiemy wybornie zamiary Koła żydowskiego, że ono bardzo szczerze życzy swoim rodakom, żydom tutejszym, iżby oni wszyscy bez wyjątku zawsze **byli potrzebni** polakom, nawet żeby coraz bardziej stawali się potrzebniejsi polakom i za to od nich w nagrodę otrzymali coraz więcej praw korzystnych, a potem nawet, żeby również w nagrodę, polacy podzielili się z niemi swoją Polską, wreszcie, żeby przez wdzięczność dla żydów za ich wielkie usługi coraz to niezbędniejsze, polacy całą Polskę im odstąpili, a sami wynieśli się, dajmy na to, do.... Paranv!.

Już jeżeli trzeba aż bronić praw i interesów żydowskich“,—to tak pomyślnie, żeby te prawa i interesy rosły, a nie malały, żeby stopniowo ogarnęły całą Polskę i w zupełności usunęły z powierzchni ziemi tych, przed któremi trzeba je bronić...

Owszem, my, jako naród polski, jesteśmy zupełnie tego samego zdania, co i Koło żydowskie,—tylko, rozumie się, w tem znaczeniu, że Koło postanowiło „bronić praw i interesów żydowskich“,—a naród polski postanawia również bronić praw i interesów, lecz nie żydowskich, jeno polskich.

I jak my, polacy, oraz świat cały, zpewnością pochwalamy chwalebną Koła żydowskiego troskliwość o dobro swoich rodaków, — podobnież i żydzi wszyscy, jak i świat cały, pochwalą naród polski za to, że sam również bardzo gorliwie chce troszczyć się o dobro wszystkich rodaków swoich.

Chwalimy dwie troski. I niech każdy zostanie przy swojej trosce.— Niech jeden i drugi ją wykonywa bardzo pilnie! Przeto, jak Koło żydowskie zpewnością bardzo miłuje swoich rodaków i pragnie przysporzyć im pomyślności,— tak samo i naród polski musi serdecznie ukochać wszystkich polaków i gorąco zabiegać o ich uszczęśliwienie rzetelne, stosując się zawsze do miłego i oddawna już polskiego hasła:

**W szczęściu wszystkiego narodu polskiego są wszystkich poszczególnych polaków cele!**

A więc po co mamy wyręczać się żydami w bardzo wielu robotach pożytecznych? Alboż my, polacy, sami sobie tych robót nie potrafimy wykonać? Alboż my, polacy, nie mamy u siebie ludzi zdolnych, mądrych, biegłych i chętnych do pracy? Alboż nie mamy wśród siebie mnóstwo ludzi bez żadnej roboty, głodujących niezmiernie z powodu braku zarobku? A co mamy uczynić z młodzieżą polską? Co damy jej do roboty? Czy mamy wszystkich swoich rodaków skazać na wysiedlenie za granicę, w obce i dalekie strony za chlebem albo może oddać ich żydom na parobków?

Wszakżeż my jesteśmy tego zdania i chyba bardzo sprawiedliwie, że jeżeli dla żydów wystarcza u nas, w Polsce, dużo pracy pożytecznej, to tembardziej powinno jej wystarczyć dla polaków, prawowitych dzieci tej ziemi polskiej. Toć ta ziemia **jeszcze nazywa się polską, a my jeszcze nazywamy się polacy,** więc mamy prawo święte nie tylko do niej, ale i do utrzymania się i pracowania **na niej!**

Prawda?

Sejmowe Koło żydowskie uznało za bardzo potrzebne złożyć Rządowi Państwa Polskiego deklarację o swoich zamiarach, świadczących o bardzo chwalebnej tegoż Koła trosce o swoich rodaków.

Jeżeli ta deklaracja była potrzebna Rządowi —to, być może, Koło żydowskie również uzna za potrzebne wziąć pod swoją uwagę deklarację narodu polskiego, chyba także bardzo chwalebną, w której naród polski oświadcza uroczyście, zbiorowo i serdecznie, że najusilniej zawsze troszczyć się będzie o obronę praw i interesów polskich.

Czy deklaracja nasza będzie niemiła żydom? Zapewne nie. Bo i Koło żydowskie ogłosiło swoję chyba w tem przeświadczeniu, że ich deklaracja także będzie nam bardzo miła i bardzo pożyteczna....

Prawda?

Koło żydowskie obowiązane dogadzać swoim, —a my, jako naród, swoim w tem wszystkiem, co sprzyja ich pomyślności i szczęściu.

wy swoim, a my swoim!

Żyjmy i działajmy jenakowo. wy podług swoich praw i obowiązków,— a my również podług własnych praw i obowiązków.

Jak wy dajecie zawsze i wszędzie pierwszeństwo swoim rodakom,—tak podobnież i my chcemy, nawet powinniśmy, **zawsze i wszędzie** dawać pierwszeństwo swoim rodakom.

Jak wy usilnie zabiegacia o zakładanie swoich czytelni, szkółek i szkół zawodowych dla swojej młodzieży, — tak również i my bardzo pilnie, ofiarnie i żarliwie musimy tworzyć czytelnie, szkoły i warsztaty rzemieślnicze dla swojej ukochanej młodzieży polskiej.

Jak wy łakniecie bodaj wszystek handel, przemysł i bankowość w Polsce oddać tylko w ręce swoich rodaków, — tak samo i my, naród polski, chcemy i powinniśmy wszystek handel, przemysł, rzemiosła i bankowość powierzyć tylko swoim własnym rodakom.

Jak wy pożądacie nabywać ziemię polską i domy polskie na swoję własność, — tak i my również obiecujemy i ślubujemy ziemię ojczystą i swoje domy rodzinne oddawać tylko w ręce polskie.

Jak was boli serce, gdy patrzycie na swoich biedaków bez roboty,— również i nas nie mniej boli serce, gdy wsłuchujemy sie w ciche jęki swoich rodaków, łaknących pracy zarobkowej.

Jak wam żal tych swoich rodaków, którzy muszą was opuścić i przenieść się daleko za morza dla chleba,—tak podobnież i nasze serca rani widok licznych rzesz polskich, wysiedlających sie zagranice, bo w ojczyznie swojej zarobku nie maja, jakkolwiek w tej naszej ukochanej ojczyznie bardzo dużo obcych przebywa i tyje!

Dla tych obcych jest dużo miejsca i dużo roboty,—a dla naszych brakuje!

Czy nas myśl ta nie boli? Azali tylko wy macie serce dla swoich, — a my to mamy kamienie w piersiach dla swoich rodaków? — Nie! — I naród polski ma serce również gorące, ale i bardzo.... smutne!.. A smutne dlatego, że doznawał niezmiernie długo wiele i strasznych krzywd od licznych wrogów swoich, którym nigdy nic złego nie wyrządził!... Jedno to tylko ci wrogowie mieli i maja mu za złe, że posiada wielka i piekną ojczyzne, obfitującą w bogactwa ponetne i że sam ma dużo w sobie uczciwości szlachetnej, zanadto wyrozumiałej lub nawet zbyt pobłażliwej dla swoich wrogów!...

Jeżeli wy obiecujecie **„bronić** praw i interesów żydowskich", oczywiście, głównie **przed nami,** — to zgódźcie sie i na to, że my, jako naród polski, również, idąc za waszym wzorem, zawsze i wszędzie będziemy statecznie i wiernie bronili praw i interesów polskich,—a bronili głównie **przed wami!**

Prawda, że przecież taka konsekwencja musi nieuchronnie wynikać **z waszej gorliwości o waszych rodaków.**

Wy uważacie to za swój obowiązek święty—i my również za święty i chwalebny

Jeżeli zjawiła się deklaracja żydowska,—to zaraz obok niej musiała powstać i polska.

Jedna drugą wywołała zgoła naturalnie, jak każda przyczyna wywołuje swój skutek.

Prawda?—Jeżeli wy chcecie, żeby wasi rodacy byli bardzo pracowici, zabiegliwi, zamożni, nawet szczęśliwi,—to i nas również ożywia podobniuteńkie pragnienie, bo wszakże rozumiemy, że im pracowitsi będą rodacy nasi,—tem lepiej dla nich, bo wskutek swej pracowitości usilnej staną się zamożniejsi, więc i mocniejsi; a gdy będą mocniejsi, już będą bezpieczniejsi i — niezależni. A gdy będą niezależni, już wtedy napewno łatwo im przyjdzie uszczęśliwienie własnego serca polskiego tryumfującego w Polsce niepodległej, mającej u siebie tylko jednego gospodarza swego—naród polski!

A jeśli ktoś pożąda, żebyśmy, jako naród, byli leniwi, ospali, niezaradni i ciągle wyręczali się we wszelkich robotach obcym narodem, — to ten najoczywiściej dybie na naszą zgubę. Na to, rozumie się, nigdy nie zezwolimy, będziemy się najusilniej bronili, ale nie pięścią i nie kijem!

Jedynie tem gorliwiej i skwapliwiej będziemy wszędzie zakładali szkoły zawodowe, bibljoteki, kursy oświatowe w tym celu, żeby wszyscy nasi rodacy ciągle stawali się coraz zdolniejsi i bieglejsi **we wszystkich pracach pożytecznych.**

W taki sposób niezawodnie wpręące wszyscy rodacy nasi będą potrafili wszelkie swoje roboty niezbędne sami sobie wykonywać bez wyręczania sie obcemi narodami.

Tak przeto naród polski, rozważając swoje potrzeby i troskliwy o własne szczęście, uformował sam sobie deklarację i światu ją ogłosił w tym sensie:

My wszyscy polacy, jako naród polski, zamieszkały w swej ojczyznie polskiej, zgodnie z zasadami kultury chrześcijańskiej będziemy zawsze i wszędzie prowadzili **politykę narodową polską w obronie praw i interesów polskich.**

Tak nam dopomóż, Bóg!

---

Nauką i pieniędzmi drudzy cię bogacą,
Mądrość musisz sam z siebie własną zdobyć pracą

Adam Mickiewicz

---

Rozumu, nieugiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli.
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

Adam Asnyk.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 26 lipca 1925 r. № 30.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



J. E. KSIĄDZ KARDYNAŁ
ALEKSANDER KAKOWSKI
ARCYBISKUP WARSZAWSKI.

# Powinniśmy uczyć się całe życie!

Zwykle mówi się różnie: trzeba,—musimy,—powinniśmy uczyć się całe życie!

Ale chyba każdy wyraz ma cokolwiek inne znaczenie:

**Trzeba** uczyć się! Tak mówimy, kiedy swobodnie, bez żadnego przymusu, przytakujemy komu, potwierdzając jego zdanie, że, istotnie, „trzeba się uczyć całe życie"!

**Musimy** uczyć się! Już w innem usposobieniu i pod naciskiem innych okoliczności tak powiadamy. Oto doznaliśmy niepowodzeń, spadła na nas przykra niespodzianka,—i z tych powodów sami siebie upominamy, mówiąc dobitnie i smutnie: A, no, to się już więcej razy nie powtórzy, musimy się uczyć całe życie!

Wreszcie niekiedy wyrażamy się tak:

— **Powinniśmy** uczyć się całe życie.

I ten sposób mówienia jest chyba najwłaściwszy.

Tak zwykł mówić ten, kto gruntowniej poznał wymagania życia i—wielką niemoc duchową każdego człowieka.

Kto chce możliwie najpomyślniej iść drogą życia aż do końca,—ten po namyśle głębszym zpewnością rzeknie stanowczo:

— O, tak, **powinniśmy** uczyć się całe życie swoje!

W ten sposób człowiek rozumny i dbający o samodzielne polepszenie swego losu, wyznaje szczerze i skromnie, że **obowiązany** uczyć się całe życie!

Niestety, ten ważny **obowiązek** bywa bagatelizowany przez bardzo wiele ludzi z różnych powodów.

Jedni mówią tak: już umiem wszystko, co mi niezbędne w życiu—i to mi wystarczy na całe życie.

Inny trochę żartobliwie oświadcza tak: Czy ja się uczę,—nikt się nie zdoła dowiedzieć, bo przecież nikt mnie nie kontroluje, ani też egzaminów corocznie składać nie potrzebuję, bo już dawno ukończyłem szkołę.

Jest i takich niemało, którym nawet na myśl nie przychodzi potrzeba uczenia się całe życie. Nie uczą się—i nawet obraziliby się, gdyby im kto napomknął o niezbędności uczenia się aż do śmierci!...

— A to na co? — odparliby napewno oburzeni.

I, doprawdy, bywa tak nierzadko, że w liczniejszem gronie znajomych niepodobna wszcząć rozmowy poważniejszej o pierwszorzędnych potrzebach życia, bo niemal każdy z obecnych nie ma o nich dokładniejszego pojęcia, nie wie co o nich powiedzieć ciekawego i pożytecznego, — zresztą nawet nie ma ochoty zastanawiać się nad tem, bo nie lubi myśleć, nie chce zatrudniać swej głowy nudnemi sprawami,—on nie chce się uczyć, lecz jedynie łaknie rozrywki, zabawki wesołej, przyjemnej, lekkiej!...

Niejeden tak zachowuje się całe życie!

Spełnia swoje prace zarobkowe w taki sposób, jak go niegdyś nauczono, kiedy był jeszcze młodziutki,—a teraz, kiedy już jest starszym i potrafi zarabiać na kawałek chleba, wszelka nauka jest mu zbyteczną. Po pracy zaś potrzebuje tylko odpoczynku, rozrywki i beztroski!...

— Ach, jak miło nic nie myśleć! — woła niejeden pracownik, ufatygowany zarobkiem...

Smutne, ale i bardzo niebezpieczne jest życie takich ludzi.

Bo czy kto chce, czy nie chce, **musi** jednak dowiedzieć się o tej prawdzie, że:

**całe życie ludzkie — to szkoła!**

Wszyscy ludzie przeto aż do skonu swego są uczniami, więc ciągle uczyć się powinni!

I temu, kto uczyć się nie chce, życie wystawia stopień zły, który najpewniej okaże się w nieszczególnem powodzeniu niedbalucha...

A gdy takich niedbaluchów, czyli nieuków jest bardzo dużo i wszyscy oni razem należą do jednego społeczeństwa, to co o takiem społeczeństwie rzec musimy?—Chyba tylko to, że jest ono ciemne, nieopatrzne, nieradne, więc wskutek tego skazane na częste i nieuniknione niepowodzenia.. A inne społeczeństwo światlejsze, więc uczeńsze, zabiegliwsze, mieszkające obok niego, zpewnością je prześcignie w różnych ważniejszych sprawach życiowych, wyzyska i nawet jakgdyby je pokona, więc uczyni swoim niewolnikiem..

Tak ginie niejedno społeczeństwo tylko wskutek swego niedbalstwa, niezaradności. A to niedbalstwo i niezaradność jego pochodzą stąd, że owe społeczeństwo, niestety, nie chce uczyć się całe życie swoje!...

Zatem nieuctwo najczęściej bywa przyczyną niewoli, niedostatku, niepowodzeń i klęski bądź poszczególnej osoby, bądź całego narodu!

Ta prawda jest tak oczywista, że nawet prostaczek w pewnych momentach, bodaj z ubolewaniem, potwierdzić ją musi!...

A jednak, dziwny upór i niechęć opanowały niejednego człowieka tak dalece, że najsrożej gniewa się, gdy mu kto ośmieli się napomknąć choćby najoględniej o obowiązku uczenia się całe życie!

Drażliwym bywa zbytnio stąd, bo mniema, że już **umie wszystko,** już jest najdoskonalszy, wszędzię i zawsze poradzić sobie potrafi, a więc od nikogo żadnej nauki brać nie potrzebuje!..

— I ty mnie nie ucz!... Ja zpewnością więcej umiem, niźli ty!..—Tak zwykł odpowiadać niejeden zarozumialec.

I zazwyczaj nie ma racji.

Niesłuszna obraza wynika tylko z nieporozumienia... Obrażony jest, dajmy na to, światły, inteligentny, zdolny i biegły w swoim zawodzie. Jako światły, umie dużo. Jako inteligentny potrafi rozumieć dużo spraw zawiłych. Jako zdolny i biegły pracownik cieszy się powszechnem uznaniem i to mu sprawia zadowolenie, ale też zarazem doznaje jak gdyby sytości duchowej, mówiąc sam sobie pocichu: „Czegóż mi więcej trzeba? Mam powodzenie, uznanie i zadowolenie. Już przeto wolny jestem od obowiązku uczenia się nadal"!..

A jednak myli się,—nawet bardzo!

Owszem, każdy mu przyzna, że jest on, dajmy na to, światły, uczony, inteligentny, zdolny i biegły w swoim fachu. Ale nawet w bardzo dawnych czasach również bywali ludzie to samo, co i on myślący o sobie. A jednak, gdy porówna swoję wiedzę z ich wiedzą, zauważy łatwo różnicę znaczną, rozumie się, na swoję korzyść.

W każdym zawodzie dokonał się postęp wielki! Dzisiejsi lekarze, prawnicy, aptekarze, nauczyciele, rolnicy, tkacze, nawet szewcy i t. d. umieją dużo więcej, aniżeli tacy sami fachowcy, żyjący przed stu laty. Dlaczego umieją więcej? I skąd się wzięło to **więcej?**

Słusznie mówimy, że każda nauka rośnie ustawicznie. A rośnie w jaki sposób? Tylko pracą poszczególnych fachowców. Pracownik pilniejszy i zdolniejszy sam od siebie dodaje swoje pomysły, uzupełnienia, udoskonalenia w swoich robotach fachowych. Od niego uczą się liczni jego towarzysze i następcy. Bardzo dużo bywa w każdym zawodzie takich udoskonalaczy. I tylko w ten sposób dzieje się postęp nieustanny.

Prawda! Oto jak rośnie np. nauka medycyny przekonywają bardzo liczne czasopisma lekarskie, w których pracowitsi i światlejsi lekarze podają do wiadomości wszystkich lekarzy swoje doświadczenia, badania, dostrzeżenia, odkrycia i pomysły. Jeden lekarz długo rozpoznaje np. gruźlicę i szuka na nią lekarstw skuteczniejszych,—inny znowu podjął badanie strasznej choroby raka i już coś-nie-coś nowego może o niej powiedzieć swoim kolegom.

Tak rośnie każda gałąź wiedzy. Nie można rzec, że w dawnych czasach fachowcy nic nie umieli, a dopiero dziś wszyscy już są doskonali. Nie. I dawniej fachowcy dużo umieli, — lecz to pewna, że dziś umieją znacznie więcej, ale **to więcej** zawdzięczają nie sobie jedynie, lecz również swoim poprzednikom i swoim współczesnym. Jednak i następcy zpewnością będą jeszcze więcej umieli niż dzisiejsi,

a to więcej posiędą dzięki nie swojej li tylko pracy własnej, ale również, nawet w większym stopniu, pracy swoich towarzyszów.

Jeszcze inne przykłady zdołają nas o tem przekonać.

Porównajmy dzisiejsze parowozy i maszyny do szycia z dawnemi takiemi maszynami,—albo dzisiejsze narzędzia rolnicze z dawnemi, — albo dawne balony z dzisiejszemi samolotami, — albo dzisiejsze oświetlenie elektryczne z dawnem naftowem, lub łojowem, albo olejnem.

Wszędzie postęp. A co to znaczy postęp? To jest nic innego, jak tylko to, że ludzie jedni drugich uczą.

O, tak, jedni od drugich uczą się, ale jak długo? czy tylko do pewnych lat, a potem już nie potrzebują się uczyć? — Bynajmniej! Uczyć się powinni całe życie!

Bo nauka rośnie, rośnie ustawicznie, w każdej pracy postęp dokonywa się zawsze i nigdy wzmagać się nie przestaje! Tak, że żaden pracownik nigdy nie będzie mógł powiedzić o sobie: już umiem wszystko i—więcej od nikogo uczyć się nie mam potrzeby!

Tyle uwag wypada mieć w pamięci o każdej nauce zawodowej. Zatem każdy fachowiec musi trzymać o sobie bardzo skromnie i nigdy aż do skonu nie powinien ustawać w pracy nad doskonaleniem siebie, korzystając z nauk swoich poprzedników i współczesnych towarzyszów po fachu.

Teraz, gdy zechcemy wysnuć wniosek logiczny z wszystkich uwag powyższych, odrazu zjawi się w nas myśl bardzo radosna, oto:

**ludzie jedni dla drugich nie powinni być wrogami, bo przecież jedni drugich usługi potrzebują ustawicznie!..**

Słowem, wszystkich ludzi bez wyjątku w całym świecie wiąże jedna olbrzymia **solidarność**, czyli **zależność wzajemna**.

Zawsze i wszędzie jedni drugich usługi, pomocy rozmaitej wymagają... Nie mówimy tylko o pomocy handlowej, zarobkowej, pieniężnej, lub obronnej, lecz również, a nawet przedewszystkiem o pomocy naukowej!

Każdy człowiek, jeśli tylko chce, uczy się nieustannie od bardzo wielu ludzi, przebywających w rozmaitych stronach świata.

Oto, dajmy na to, lekarz polski, jeśli pragnie nadal doskonalić się w swoim fachu, bardzo często czytuje lekarskie czasopisma angielskie, francuskie, niemieckie, włoskie, nawet tureckie, bo wszakże każdy naród światlejszy posiada u siebie lekarzy pracowitszych, pilniejszych, zamiłowanych w swoim fachu, pragnących badać różne choroby i przyczyny chorób, po to, żeby znaleźć na nie ratunek niezawodny. O rezultatach swoich badań piszą artykuły, drukowane w czasopismach lekarskich, — które rozsyłane są do różnych krain. Tam lekarze ciekawi i miłujący swoję pracę, a pragnący w niej się doskonalić, czytają nowe uwagi, pomysły i wskazówki. I znowuż od siebie czynią uwagi swoje o przeczytanych pomysłach i spostrzeżeniach. Albo godzą się na nie, albo je dopełniają swemi uwagami, poczynionemi na skutek własnych doświadczeń. W taki sposób lekarze w całym świecie porozumiewają się wspólnie i nadto ustawicznie uczą się wzajemnie. Tak dokonywa się nieustanny postęp nauki lekarskiej.

W taki sam sposób spełnia się postęp w każdej dziedzinie pracy ludzkiej, a więc w rzemiosłach przeróżnych, w przemysłach, kupiectwach i t. d.

Wszelakoż ludzie uczą się wzajemnie i ustawicznie nie jedynie w różnych pracach zawodowych, bo podobnież uczą się wzajemnie i we wszystkich pracach duchowych, a więc:

— w pracach umysłowych, budując wspólnemi siłami dalszy ciąg nauk rozmaitych i poszukując prawd naukowych;

— w pracach uczuciowych, mając na widoku piękno, szlachetność, sprawiedliwość i wychowanie dzieci;..

— w pracach moralnych, gwoli doskonaleni wszystkich zalet moralnych w każdym człowieku.

Łatwiej dają się ludzie przekonać o potrzebie doskonalenia swoich zdolności i umiejętności fachowych, aniżeli—zalet moralnych, bo ambicje fachowe częściej bywają podniecane i rozdmuchiwane przez rodziców, przez współzawodnictwo i wreszcie przez pożądanie obfitszych i wyższych zarobków, a natomiast ambicje moralne jak gdyby nawet są zlekceważone w życiu codziennem...

A jednak od zalet moralnych głównie zależy powodzenie w pracach zawodowych, pogoda ducha dobra sława, przyjaźń ludzka i — wogóle dola pomyślna...

Wreszcie, dajmy na to, że już ktośkolwiek da się przekonać o potrzebie doskonalenia swej duszy więc: umysłu, serca i charaktery...

Jak on ma zabrać się do tej pracy? Czy sam sobie najzupełniej wystarczy bez pomocy postronnej?

Nie. Pomoc postronna jest mu niezbędna ustawicznie.

A w jaki sposób wspiera go ta pomoc?

Przedewszystkiem przez nauczanie.

Niezmiernie interesującą jest ta cicha, a ustawiczna praca duszy ludzkiej, dokonywana niemal bezwiednie, niedostrzegalnie.

Nikt na nią jak gdyby wcale nie zwraca uwagi. Mówimy: dusza rośnie, jak chce sama. Nikt się nią nie zaprząta. Co z niej urośnie: anioł, czy szatan, nikt zawczasu tego nie zdołał przewidzieć — i nikt jakoby nie jest w stanie temu zapobiedz!...

Czy to prawda? — Nie. — W duszy ludzkiej ruch jest nieustanny: zalety umysłu, serca i charakteru bądź marnieją, nikczemnieją, — bądź mocnieją i szlachetnieją. To wszystko zależy od troski człowieka o siebie samego i — od rodzaju pomocy nieustannej, jakiej mu udziela codziennie otoczenie jego.

— Powiedz mi, kto cię uczy, a powiem ci, jaką masz duszę: świetlaną, czy mroczną.

Tak mówi mądrość życiowa i wcale się nie myli.

Prawda! Dlatego niekiedy można usłyszeć taką uwagę: Szczęśliwy, kto na swej drodze życia spotkał nauczyciel dobrych, bo oni go zpewnością uczynią dobrym!.

— Jakto, czy tak szczęśliwym człowiek stać się może tylko przypadkowo, o ile na swej drodze spotka ludzi dobrych, którzy uczyć go zechcą? A jeżeli **nie spotka** takich ludzi, to już **musi** stać się złym i nieszczęśliwym?

— Nie!

Człowiek przecież ma wolną wolę, jest więc odpowiedzialny za siebie. Głównie od niego zależy wartość moralna jego własnej duszy. Nie powinien przeto oglądać się tylko na przypadek: czy on mu pozwoli spodkać ludzi dobrych na drodze życia, lecz sam może i powinien zawsze dobierać sobie **nauki dobre,** które ustawicznie pomagać mu będą w doskonaleniu zalet jego umysłu, serca i charakteru.

Tak więc poszczególny człowiek sam jakoby pierwszy rozpoczyna swoją pracę pielęgnowania zalet własnego umysłu, serca i charakteru. Nie tylko rozpoczyna, ale sam też prowadzi ją bez przerwy aż do końca życia swego! Prowadzi ją sam i sam też dobiera sobie pomoce odpowiednie podług zamiarów swoich.

Tak staje się sam dla siebie „kowalem własnego szczęścia"—i „głównym sprawcą swej pomyślności i swoich niepowodzeń"...

Godzi się jednak wtrącić tu ważną uwagę, że losem jego interesuje się, być może, nawet niemało ludzi, dla których on jest synem, bratem, krewnym, przyjacielem, rodakiem, bliźnim...

Ci wszyscy miłują go prawdziwie, troszczą się o jego dobro, układają plany, w czem i jak mu dopomagać mają, ażeby sam w dalszem życiu swojem doznał dobrej doli i był ogółowi swemu pożyteczny!..

On o tej trosce ich i pracy dla niego pomocnej nic może nie wie, ale oni o nim myślą od najwcześniejszych lat jego życia, kiedy był jeszcze maleńką dzieciną. Otoczyli go wtedy już opieką i udzielają mu ciągle pomocy rozmaitej... On im zawdzięcza wczesne rozbudzenie swego umysłu i serca. Oni go wychowują, nadają właściwy kierunek jego myślom i uczuciom.

Wreszcie udało im się w pewnym momencie obudzić w nim, jako dopiero młodzieniaszku, **ochotę do świadomego korzystania z ich rozmaitej pomocy,** udzielanej mu głównie po to, żeby doskonalił w sobie umysł, serce i charakter

**podług wzoru dobrego polaka-katolika!**

Już przeto rozważnie i planowo korzysta z ich pomocy.

Oni go wychowują, ale już i on **samodzielnie** coraz usilniej **wychowuje siebie,** bo już świadomie rządzi sobą, sam nakazuje sobie spełniać pewne czyny, to znowu sam powstrzymuje się od pewnych postępków, które uznał za szpetne...

Już ma zupełną władzę nad sobą... Już lęka się o swoją przyszłość. Rozumie swoją odpowiedzialność za dalsze losy swoje... „Jak sobie pościelesz, — tak się wyśpisz"... „Co posiejesz, — to zbierzesz"...

Pilnie pracuje nad doskonaleniem swej duszy, —ale w tej pracy zawsze dużej pomocy doznaje od mnóstwa ludzi: swoich i obcych, blizkich i dalekich, żyjących i... zmarłych już temu bardzo dawno!..

Jest więc niemal bezustannie otoczony **tłumem przyjaciół niewidzialnych**, od których uczy się wielu rzeczy niesłychanie pożytecznych, a uczy się całe życie, aż do skonu swego!..

Co to wszystko znaczy? Bo jakkolwiek to wszystko jest dla nas jasne i prawdziwe, — jednak zarazem wydaje się jak gdyby zagadkowem.

Otóż dla rozwikłania tej zagadki zadajmy sobie pytanie takie:

W jaki sposób podawana bywa potrzebującemu pomoc ludzka, z której on zawsze zdoła uczyć się nawet całe życie swoje?

A no, **ludzka pomoc** obfita i dobroczynna najłatwiej dostaje się łaknącemu jej za pośrednictwem... **książki!..**

**Dobra książka** bowiem niesie każdemu człowiekowi pożądaną pomoc od niezliczonego tłumu żywych i umarłych przyjaciół jego.

On zaś gdy z niej, rzetelnie ucząc się całe życie, bierze dla siebie wskazówki i podług nich doskonali w sobie wszystkie swoje zalety duchowe, zpewnością zczasem duszy swej nada wysoką wartość moralną!..! A więc dobra książka, czyli ustawiczna dobra pomoc ludzka, wyświadcza mu przysługę nieoszacowaną! On jej w dużym stopniu zawdzięcza swój błogi stan duchowy: wielką moc moralną i zadowolenie szczęśliwe, wynikające z obyczajów uszlachetnionych...

Główną przecież troską każdego z nas przedewszystkiem ma być znaczne udoskonalenie wszystkich władz duszy swojej.

Owszem, niezbędna jest nam wszystkim umiejętność wielka zarobkowania na dostateczny chleb powszedni.

Ale nie samym chlebem żyje każdy człowiek!..

Musi więc wypielęgnować w sobie gorące i stateczne umiłowanie Boga i ludzi,... oraz prawd dobra i piękna!..

A przytem godzi mu się umieć jaknajlepiej obcować z ludźmi, ażeby zawsze cieszył się ich życzliwością, nawet przyjaźnią.

Dobrze jest, gdy potrafi zdrowie swoje pielęgnować starannie i skutecznie....

Dobrze jest, gdy chce i umie spełniać wiele pożytecznych posług ojczyźnie, narodowi swemu i bliźnim...

Dobrze jest, gdy stale, całe życie, nabywa wiedzę dla swego fachu potrzebną i nadto z nauki powszechnej czerpie zawsze tyle wiadomości, ile ich mieć powinien każdy człowiek światły, w łaknieniu wiedzy nigdy nienasycony.

Wreszcie, dobrze jest, gdy sam dla siebie pragnie szczęścia i potrafi je zawsze zgodnie z prawami moralnemi stopniowo osięgac...

Ale to wszystko zdoła sam napewno pomyślnie i w dużym stopniu urzeczywistnić, gdy nigdy nie zaniecha brać dla siebie naukę od mnóstwa ludzi i pilnie, a zgodnie z jej wskazówkami, będzie doskonalił swój umysł, serce i charakter.

Po naukę niezbędną nie potrzebuje chodzić do ludzi żywych i umarłych. Oni sami ją dostarczyli mu w ogromnej obfitości,--a dostarczyli w książkach swoich.

Najcenniejszej pomocy ludzie ludziom udzielają w książkach swoich.

— W książkach dobrych ludzie ludziom dają największe skarby, bogactwa nieoszacowane!

**Książka—to przecudny czyn człowieka!**

Książka—to dowód najlepszy, że w człowieku jest nietylko rozum, ale i serce. Bo wprawdzie to, co w książce jest, pochodzi głównie z rozumu pisarza, ale do napisania książki głównie skłoniło go własne serce, miłujące ludzi, pragnące ich dobrą książką oświecić, wesprzeć radą i nauką, pocieszyć, rozweselić.

**Dobra książka — to otwarty list wieczny przyjaciela, napisany do wszystkich ludzi!**

Zdaje się, nawet zbyteczne są pochwały dla książki dobrej. A jeśli kto ją chwali, — to właściwie tylko wyraża swoją wdzięczność dla jej pisarza. Bo sama książka przecież, jako przedmiot martwy, nie zdoła przejąć się pochwałami czytelnika.

Tylko czuły czytelnik nie może ukryć swego zachwytu, czci i podzięki dla pisarza książki dobrej, uważa ją bowiem za piękny i dobry czyn jego, którym po wszystkie czasy on swoją książką wspomagać, ratować, doskonalić będzie jak najwięcej swoich przyjaciół nieznanych!

Kto lubi czytać, —ten **kocha książkę,** bo rozumie doskonale, jak potężną pomoc dobra książka daje czytelnikowi swemu. Ale nigdy nie godzi się zapominać, że nie książce, lecz jej pisarzowi czytelnik zawdzięcza pomoc przeogromną! Pisarz jest dobroczyńcą, on, napisawszy książkę dobrą, spełnił czyn, błogosławiony po wszystkie czasy!

Czytelnik, po przeczytaniu książki dobrej, odkłada ją na stronę — i bodaj na chwilę myślą i sercem składa cześć jej pisarzowi, szczerze dziękując za doznany ratunek, pomoc, pokrzepienie...

Są takie książki, które, jak lekarstwo cudowne, niemal odrazu duchowo uzdrawiają czytelnika. Są takie, o których czytelnik nigdy nie zapomni w ciągu całego życia swego, coraz wspominając o nich mile, wdzięcznie!... Ale są i takie, — i takich najwięcej, — o których czytelnik mało, lub wcale nie myśli, a które jednak częstokroć nawet są pożyteczniejsze od mile wspominanych....

Zresztą o wartości książki nie czytelnik poszczególny wyrokuje, ale zgodność jej treści z prawdą i dobrem powszechnem...

Dobry pisarz układa książkę nie po to, żeby zasłużył na pochwały, uwielbienia i podzięki u swoich czytelników... Niejeden pisarz zpewnością nawet o tem ani pomyślał!.. Napisał książkę jako przyjaciel ludzi, spełnił dla ich dobra czyn pożyteczny, przyszedł im z pomocą niezbedną, dał im jedną więcej pożądaną nauke, wskazówke, zachętę, umocnienie, nakaz, wiare, nadzieje, zapał... Tak bodaj odrobine przyczynił się do udoskonalenia umysłu, serca, charakteru czytelników swoich.

Dobra książka — powtarzamy — to czyn bardzo dobry!

A jednak, u nas, w Polsce, jeszcze... lekceważony, poniewierany i... nawet... niepożądany...

„Książka chleba nie da", — „za nas orać, pracować nie będzie",.. — „chyba jedynie dobra dla próżniaków i — bogaczów"....

Poeta polski, Biernacki (Rodoć), napisał wiersz zartobliwy p. n. „Czy sąsiad czasem czyta?"—W tym wierszu spotykamy takie zdania, które, zapewne nieraz w życiu może nawet i w czasach dzisiejszych, zdarza się słyszeć:

„Czy sąsiad czasem czyta?
— Nie czytam i kwita.
Powiedz mi, sąsiad, po co?
Na djabła mi czytanie?
Tylko łeb, panie,
Te piśmidła klekocą.
Ja zresztą z książką w łapie,
W kilka minut już chrapię.

— Tak, nie przeczę, zapewne,
I ja też nieraz ziewnę
Trudna bo na to rada;
Tylko, że dzić te łyki,
Te, te.... dzienniki
Krzyczą: „Szlachta upada!
Co gdzie szlachcic, to głupi!
Żadnej książki nie kupi".

— Niech sobie plotą baśnie;
Nie kupię! aha, właśnie!
A mnie na co bibuły?
Niechaj się morałami
Częstują sami.
Dla szlachty—artykuły:
To baran, okowita,
Sterta pszenicy, żyta....

Co mi książka pomoże?
Zasieje, czy zaorze?
Na książce się nie jedzie,
Ale na dobrej szkapie.
Te z rozumem konszachty
To nie rzecz szlachty"...

Poeta zażartował z szlachty, bo dawniej bywało wśród niej zpewnością niemało takich przeciwników książki. Jednak, niestety, i dziś jeszcze wśród mieszczan i wieśniaków znachodzi się takich samych przeciwników co niemiara! Aż serce boli, myśląc o tem!

I, doprawdy, dziwne u nas dzieją się rzeczy Oto jest obecnie wielki pęd powszechny do oświaty, do zakładania szkół i szkółek nawet po wsiach niedużych. Wszyscy rodacy zgodnie chórem wołają: „Oświaty, oświaty nam na gwałt potrzeba. Tylko ona poratuje nas"!.

I mimo to—wielkie mnóstwo rodaków patrzy na książki prawie jak na zbytek, lub na przedmiot niepotrzebny, bez którego obywać się można, wcale przez to nie narażając się na szkody...

Takie lekceważenie dobrej książki pochodzi tylko z niezrozumienia jej przeznaczenia.

Każda książka dobra—to dobry czyn człowieka, podjęty po to, żeby pomódz ludziom, łaknącym bądź nauki, bądź udoskonalenia siebie, bądź tylko rozrywki miłej..

Ale chyba każdy człowiek roztropny czegoś więcej żąda od książki, nie samej li tylko rozrywki? —Prawda?—O, tak!—wołamy wszyscy. Książki **powinny** dawać nam wiedze, a nadto **powinny** doskonalić w nas umysł, serce i charakter!...

Tylko, uwaga! Czy dobrze wyrażamy się, mówiąc: **powinny książki?**

Chyba należy oświadczyć tak: **człowiek powinien** przy pomocy książek uczyć się i doskonalić. Takie zdanie będzie dopiero właściwe, prawda?

— O, tak! Człowiek powinien sam sobie dobierać **książki odpowiednie** podług własnych zamiarów, co przy ich pomocy pragnie dla siebie osięgnąć: wiedzę, udoskonalenie, czy tylko rozrywkę.

Te rozważania prowadzą nas teraz do sprawy niesłychanie ważnej, a, wyznajmy, dotychczas przeoczanej z ogromną dla nas wszystkich szkodą!

Toć mnóstwo rodaków naszych, doprawdy, patrzy dotychczas na książke, jako na przedmiot, mający dać im **tylko rozrywkę**.

I tylko po to jedynie szukają dla siebie **takiej** książki.

Chcą od niej rozrywki, zabawki, rozweselenia. A myśl o nabywaniu nauki przy pomocy czytania książki, przejmuje ich trwogą, bo nie chcą męczyć swej głowy i narażać sie na nude.

Musimy czemprędzej ostrzedz siebie o niebezpieczeństwie, grożącem nam od zapatrywania się naszego na takie tylko przeznaczenie książki. Bo przecież nam jest potrzebna nie tylko rozrywka!...

Toć gdy każdy z nas wpatruje się w swoje potrzeby,.. chyba aż doznaje przerażenia, bo tyle dostrzega w sobie niedostatków, braków!..

Chyba każdy z nas sam przed sobą będzie bardzo szczery...

Na rozrywkę trzeba zasłużyć pracą rzetelną. A my czy dostatecznie pracujemy **nad sobą?**

— No, chyba nikt nam nie uczyni zarzutu, że nie pracujemy fachowo na swoje utrzymanie.

O, zapewne, każdy zarobkuje, jak może i **jak umie...** Ale czy każdy z nas jest takim, jakim być powinien i czy umie to wszystko, co umieć powinien?

To pytanie jest bardzo trudne podwójnie: bo nikt nie rad ganić siebie — i — jaką miarą ma on mierzyć siebie?

Rozumie się, przykro jest czynić sobie wyrzuty, — ale i niebezpieczne jest samochwalstwo niesprawiedliwe, bo wtedy człowiek sam siebie oszukuje, a oszukaństwo, to krzywda straszna,! Kto rozumny i ambitny, ten chętnie zgani siebie, gdy zasłużył na to, bo pragnie sam siebie **poprawić,** uczynić lepszym. A wcale nie trudno każdemu zauważyć w sobie braki, gdy porówna siebie z lepszemi i rozumniejszemi ludźmi.

Oni mogli stać się lepsi i uszeńsi, a ty nie możesz, czy nie chcesz?

Okropna dzieje się krzywda rodakom, zwłaszcza młodszym, z tego powodu, że sami zgoła nie wglądają w stan swej duszy, nic nie myślą o swoich brakach duchowych.

Czemu nie myślą? — Bo... tak jakoś schodzi... Różne przyczyny składają się na to. Ale między niemi najważniejszą jest chyba wspólne niedbalstwo nasze...

Raz już nareszcie skończmy z tem niedbalstwem, bo nam ono dotychczas wyrządza szkody olbrzymie!

Nam nie bawić się książką, ale przy jej pomocy uczyć się nagwałt potrzeba!—Uczyć się całe życie!...

Bo, zauważmy, budujemy szkoły wszędzie po to, by dzieci nasze miały gdzie uczyć się porządnie pod kierunkiem nauczycieli. Zatem uznajemy wszyscy potrzebę nauki dla dzieci i młodzieży.

Czy tylko im nauka potrzebna? A kto ma nabywać te nauki, które rosną niemal bezustannie?

Każda nauka rozrasta się ustawicznie.

Uczeń w szkole zaledwo początki nauki nabywa po to, żeby po wyjściu umiał sam douczać się ciągle, całe życie swoje, przy pomocy książek odpowiednich.

Jeżeli uczen w szkole istotnie zasmakował w naukach i wdrożył się do nabywania wiedzy, już napewno on całe życie nie rozstanie się z książkami. Ale jeżeli który leniuszek z trudem wielkim i niechętnie przechodzi z klasy do klasy i tęsknie wyczekuje chwili opuszczenia szkoły niemiłej raz na zawsze,— taki uczeń, gdy już nareszcie dostanie do ręki szkolne świadectwo ostateczne, radośnie żegna się z książkami na zawsze, rzuca je w kąt i odtąd nigdy do nich nie zagląda, bo ma w sobie niedorzeczne mniemanie, że już umie wszystko,.. że „już uczyć się nie potrzebuje"..

O takiej niedorzeczności ucznia wspomina Smiles, pisarz angielski, w jednej z swoich książek niezmiernie pożytecznych. Oto opowiada on, jak pewien student po ukończeniu uniwersytetu poszedł pożegnać się z profesorami. I gdy jednemu z profesorów oświadczył na wstępie, że przyszedł pożegnać się, bo **już ukończył nauki,** wówczas usłyszał z ust profesora taką uwagę:

— No, no, to pan już ukończył nauki, — a ja dopiero zacząłem się uczyć....

Młodzieńca zawstydziła ta uwaga, bo zrozumiał wtedy, że każdy, nawet uczony profesor uniwersytetu, całe życie uczyć się powinien.

Nauki nie mają granic. Szkoła po to, by nauczyła młodzieniaszka, jak ma sam uczyć się dalej, całe życie swoje!

No już zgoda na to, że wszyscy, ciągle, aż do skonu swego uczyć się mamy. Ale czego? Chyba tylko tego, co każdy uzna za najpotrzebniejsze dla siebie.

Tak ważnej sprawy nie zbywajmy byle słówkiem.

Narazie każdemu wydaje się najpotrzebniejszą nauka w jakikolwiek sposób związana z jego fachem.

Taka odpowiedź wyrządziłaby krzywdę nietylko fachowcowi, ale i—człowiekowi. Bo przecież każdy fachowiec jest — człowiekiem. Czy nauka niezbędna tylko fachowcom, a ludziom nie?

Nie żartujmy. Różne prace zawodowe wymagają ciągle wskazówek rosnącej nauki. Za przykład może posłużyć rolnictwo, jako fach. Dawniej rolnicy nic nie wiedzieli o chemji, bakterjologji, fizyce, mechanice i t. d. Zczasem te nauki zaczęły inte-

resować się rolnictwem i coraz więcej udzielać mu wskazówek, pomocy, przysług niesłychanie korzystnych!.. Dziś rolnicy bez tych nauk obywać się nie potrafią, owszem, błogosławią je, gdyż one olbrzymio podniosły dochody z gospodarstwa rolnego.

Dziś chyba każdy rolnik wie o tem i skwapliwie zapoznaje się z temi naukami, czytając odpowiednie książki i gazety, słuchając pogadanek i nawet uczęszczając na kursy rolnicze.

Jednak nie wolno troszczyć się tylko o fachowca, a zaniedbać człowieka.

Musimy zgodzić się na to, że jaki człowiek, taki fachowiec, a nie odwrotnie.

Kto więc chce udoskonalić się fachowo, musi zarazem udoskonalić siebie, jako człowieka.

Zrozumienie tej zależności wcale nie jest trudne... Bo wszakże chcąc nabyć wiedzę fachową, np. rolnikowi niezbędną, wypada pierwej odpowiednio uzdolnić swój umysł, rozwinąć i udoskonalić władzę myślenia i rozumowania, wreszcie nabyć nauki pomocnicze, czyli początkowe, prowadzące do zrozumienia chemji, fizyki, mechaniki i t. d.

Nadto, żeby fachowiec, dajmy na to rolnik, nie tylko umiał, ale i chciał korzystnie i pożytecznie swój fach wykonywać,—powinien wypielęgnować i uszlachetnić swe serce, to jest wszystkie swoje uczucia dobre,

A więc powinien miłować Boga i dlatego chętnie szanować wszystkie Jego prawa,—powinien miłować ludzi i dlatego zawsze być im pomocny, a nigdy szkodliwy,—powinien miłować pracę, prawdę, sprawiedliwość, stąd on w swoim fachu stawać się będzie coraz doskonalszy, a dla ludzi coraz pożyteczniejszy i pożądańszy, bo on im w taki sposób napewno przysporzy zadowolenia i pomyślności..

Wrzeszcie fachowiec, jeżeli chce zawsze być człowiekiem uczciwym, szanowanym i nikomu, nawet sobie, zawodu nie sprawić, powinien bardzo starannie i dostatecznie wypielęgnować w sobie niezbędne zalety moralne charakteru swego, jak: wytrwałość, akuratność, poszanowanie siebie, grzeczność, cierpliwość, sprawiedliwość, odwagę, ofiarność, wyrozumiałość, litość i t. d...

A chyba wszyscy wiemy, że zalet umysłu i charakteru nikt nie nabędzie odrazu, nie kupi ich w sklepie, ani dostanie w podarunku. Lecz musi je każdy **sam** w sobie wypielęgnować, — a w jaki sposób?— Oto przez naśladowanie dobrych przykładów żywych — i przez pilne czytanie **odpowiednich** książek dobrych....

Gdy czytamy odpowiednie książki dobre, **już korzystamy z pomocy** tych naszych przyjaciół nieznanych, którzy je dla nas właśnie napisali.

Narazie dość nieufnie zatrzymujemy w myślach swoich uwagę, że jakoby przy pomocy książek dobrych zdołamy napewno **udoskonalić** swój umysł, serce i charakter....

Bo jak się to stać może przez samo tylko czytywanie?

A jednak tak się dzieje istotnie! Bo dobre książki powabnie, mocno, nawet zniewalająco podają nam pewne prawdy ważne, do których powinniśmy stosować się zawsze;... zagrzewają zręcznie a skutecznie do naśladowania przykładów pięknych;... budzą i pogłębiają sumienie, łaknące sprawiedliwości, prawdy, uczciwości;... rozniecają cześć i uwielbianie dla Boga, — życzliwość dla ludzi, ofiarność, miłosierdzie dla nieszczęśliwych; — uciszają złe popędy, uczą wzgardy dla nikczemnych, a wdzięczności i pochwały dla tych, którzy umieli szlachetnie spełnić świętą powinność swoję; nadto znakomicie uzdolniają umysł do rozpoznawania wszelkich spraw zawilszych — i do myślenia prawidłowo, rozumnie, a zczasem nawet i mądrze, zawsze jednak zgodnie z odwiecznemi zasadami dobra i prawdy.

Dobre książki — to skarb nieoszacowany!

Bogactwo materjalne daje nam możność nabycia dla siebie wszystkiego, co ludzie wystawiają na sprzedaż.

Lecz za największe nawet bogactwa nikt nie zdoła kupić gotowej mądrości, dobroci, miłości Boga, ludzi, prawdy.

Tylko dobre książki otwierają drogę do tych skarbów. Kto więc miłuje dobre-książki, a chętnie i często je czytuje,—napewno stopniowo coraz obfitszych skarbów duchowych stanie się posiadaczem szczęśliwym...

Poniekąd wszyscy jesteśmy tego zdania, że niemal każdego człowieka zaciekawia świat cały. Obchodzi go wszystko: świat, ludzie, ojczyzna, naród, niebo i ziemia, bogactwo i nędza... Uwagę jego w różne strony pociągają sprawy najsprzeczniejsze. A której z nich ma dać pierwszeństwo i dla czego? Narazie tylko domyślamy się, że musi być na to jakiś stały i usprawiedliwiony ład, podług którego każdy winien zaspokajać swoję ciekawość.

Ład jest niezbędny i dobroczynny, bo bez niego nikt nawet z czytywania książek najlepszych niewiele wydobędzie dla siebie pożytku.

Otóż pierwszeństwo ma własna dusza. Przedewszystkiem musi być zapoczątkowane doskonalenie swoich zalet umysłu, serca i charakteru. To jest fundament własnej pomyślości duchowej. Ta praca trwa całe życie, nigdy nie może być zaniechana, lub zepchnięta na szary koniec!..

Również pierwszorzędnego znaczenia są troski o poznanie Boga, Jego opieki i woli, — o zdobywanie wiedzy fachowej,—o znajomość dziejów ojczystych w związku z dziejami wszystkich narodów, —o zrozumienie powinności obywatelskich i sposobów doskonalszego służenia ojczyźnie i narodowi swemu.

Potem dopiero godzi się pomnażać swoje zasoby wiedzy ogólnej, wreszcie czytywać książki rozrywkowe.

Zawsze przeto powinniśmy być wierni hasłu Pascala: „zacne przed nadobnem,—użyteczne przed przyjemnem," co, zdaje się, Józef Supiński, tak wyraził: „naprzód obowiązek,—a potem przyjemność"...

Taka kolejność w czytywaniu książek dobrych jest chyba najwłaściwsza, ale, niestety, nie przez wszystkich przestrzegana.

Bardzo dużo ludzi w wyborze dla siebie książek do czytania idzie stale za głosem jednej swojej na-

miętności górującej w ten sposób pielęgnują w sobie szkodliwą jednostronność.

To są ludzie niebezpieczni, bo jednostronni

Jedni z nich pochłaniają tylko romanse i powieści. Dla nich wszystkie inne książki są „nudne", „nieciekawe", „obojętne", nawet „zbyteczne".

Inni znowu uwielbiają tylko książki swojej partji, swego socjalizmu, swego komunizmu, lub jakiegoś innego swego „poglądu, przekonania"... I tacy stronnicy patrzą zwykle z pogardą na każdą inną książkę, mówiąc o niej szyderczo: „to nie nasza" — „to głupstwo", „szkoda na nią czasu"!...

Każdy człowiek jednostronny — to kaleka duchowy.

Doprawdy, nagannej nieoględności dopuszczają się tak liczni u nas partyjnicy! Toć żaden z nich zpewnością nie odważyłby się powierzyć swego procesu sędziemu, znanemu ze stronniczości, bo już zgóry byłby pewnym, jaki wyrok w jego sprawie ów sędzia wyda.

A wszakże każdy partyjnik ciągle bywa takim sędzią jednostronnym w sprawach wielkiej wagi: bo w sprawach religijnych, państwowych, narodowych, społecznych i wychowawczych

Nikt jednak nie urodził się jednostronnym! Dopiero **wpływy otoczenia** uczyniły go takim, naraziły na okropne kalectwo duchowe! A w jaki sposób? Głównie przez podawane mu do czytania tylko niektóre książki i gazety.

Już wszyscy zdawna znają stare przysłowie: „jaka mać — taka nać", — „jakie drzewo, taki klin, —jaki ojciec, — taki syn". A bywają też rodzice duchowi... Ci ostatni nieraz nawet posiadają wpływy mocniejsze, bo rodzicom prawowitym odbierają dzieci!...

Alboż nie dzieje się tak, że dzieci już inne mają poglądy, wierzenia, zdania i upodobania? Gdybyż tylko lepsze! Ale, niestety, częstokroć złe, wrogie, przewrotne! A skąd je wzięły? — Tylko z książek, które im usłużne otoczenie podawało często i długo...

Jakie książki, — taki duch!

Zaiste, szczęśliwy ten, komu pomyślne okoliczności stale dawały do ręki obfitość książek dobrych, które w nim zczasem zdołały wypielęgnować wszystkie zalety niezbędne!..

Dotychczas u nas **przeważnie** przypadek, ślepy los, rozdaje książki rodakom naszym, zwłaszcza pokoleniu młodemu...

Książki nie wolno nam uznawać tylko za zbytek, lub dodatek jedynie, bez wielkiego znaczenie!

Książka — to dźwignia, to pokarm duchowy, to przewodnik, dostawca nowych myśli, pożądań, planów i żądz!..

My wszyscy tyle mamy zwykle każdodziennie czasu wolnego! Tak często nudzimy się, przebywamy niekiedy w towarzystwach mało pożytecznych, lub może nawet szkodliwych!...

Wtedy dobra książka, łatwo i często otrzymywana, jakżeż wielkiem stałaby się dobrodziejstwem!

Niewola skonczyła się! Przed nami, polakami, rozległa droga życia! Nasza Matka, Ojczyzna, posiada mnóstwo bogactw, ale i mnóstwo potrzeb niezaspokojonych! A tymczasem, my, Jej dzieci,—jeszcze na Jej łonie drzemiemy duchowo. Jakoś bardzo jesteśmy ospali!... Wielki czas ocknąć się i — zacząć myśleć porządnie, zaprowadzić lepszy ład w głowach i sercach naszych, a i w charakterze naszym duże braki... załatwić pomyślnie.

Wszystko to możliwe przy dobrej woli

Ale pokarmu duchowego nikt z palca nie wyssie.

Trzeba wziąć książki do ręki, trzeba czytać dużo, uczyć się całe życie!

Dobrych książek nie brak u nas. Olbrzymia wstęga złotych książek wzywa nas! To praca wielka mnóstwa naszych najlepszych przyjaciół zmarłych i żyjących. Ciągle gotowi wspierać nas swemi naukami, radami, zachętami, przestrogami...

Zbliżmy się ku nim! Nawiążmy z niemi stałe porozumienie. Zawrzyjmy z niemi przymierze, nawet przyjaźń serdeczną! Szczęśliwi będziemy, gdy w gronie ich wybierzemy dla siebie najlepszych!

„Kto z kim przestaje, takim się staje"

Przedewszystkiem musimy zabrać się do założenia czytelni. Wszędzie ona być powinna, nietylko w każdem miasteczku, ale i w każdej wiosce szkolnej.

To czyn jeden z najpilniejszych!

Ale też odrazu należy opracować katalog doradczy dla czytelników, którzy podług niego kolejno zaopatrywaliby się w książki, pożyczane w czytelni swojej.

Sprawa niezmiernie ważna i raz jeszcze powtórzmy—najpilniejsza!

Dobrze też stanie się, gdy wszystkie czytelnie między sobą utworzą jeden związek wielki dla załatwiania wszelkich spraw swoich wspólnie,.. a przedewszystkiem dla zaopatrywania się zbiorowo w coraz więcej książek dawnych i świeżych.

Tyle mamy bogactw w ziemi ojczystej, a korzystają z nich przeważnie obcy, i... wrogowie nasi

Również wielkie mamy bogactwa duchowe w piśmiennictwie polskiem, tyle polskich książek dobrych kurze przysypały, — a tymczasem mnogie rzesze rodaków naszych głodują duchowo, zapominają sztuki czytania, której niegdyś w szkółce nabyły, a zapominają tylko z tego powodu, że książek pod ręką nie miały,--albo karmione bywają słowem zatrutem, hojnie i natarczywie rzucanem przez wrogów naszych.

To nie tylko hańba nasza, ale i nieszczęście nasze!

Dopóki tak źle dziać się u nas będzie?

Wszędzie, we wszystkich krainach, ludzie nawołują się do oświaty pod hasłem: „Każdy powinien uczyć się całe życie"!...

A my, nie słysząc tego nawoływania, drzemiemy.

Nareszcie ocknijmy się—i do roboty wezmy się wszyscy wraz!...

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

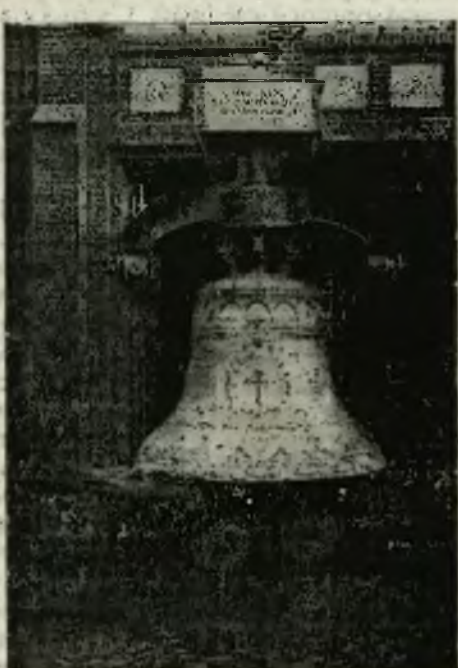
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym", Bychawa.

Rok I. Lublin, 2 sierpnia 1925 r. № 31.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# DZWON.

Rozkołysany dzwon cudnej roboty
Chwiał się w powietrzu, a w słońca promieniu
Błyskał, choć z bronzu, jak gdyby był złoty,
A na spiż czerniał, gdy znalazł się w cieniu;

Niezmordowanie powtarzał obroty;
Podziw się szerzył wśród patrzących ludzi,
Że dzwon tak wielki, a jednak nie budzi
Żadnych porywów, marzeń, ni tęsknoty.

Próżno słuch prężą: w powietrzu się trzyma
Jeno wark głuchy, zresztą żadna nuta
Skłóconej sfery dźwiękiem nie przewierca.

— Co to jest? — Czemu nie słychać olbrzyma?
Lśniąca powłoka misternie wykuta
Była, lecz wewnątrz brakowało serca.

G. Daniłowski.

# MĄDRZY BĄDŹMY PRZED SZKODĄ!

Nowy chleb już mamy w stodołach!

Dzięki Bogu!

Z wielkim trudem został zdobyty! Prawda! Alboż każde dobro łatwo nam przychodzi? — Zawsze na chleb powszedni w pocie czoła pracować trzeba. Wszyscy wiemy o tem i przy każdej sposobności lubimy o tem wspominać.

I należałoby spodziewać się, że każdy owoc naszej pracy mozolnej potrafimy i chcemy uszanować bardzo starannie. Gdzietam! Sami utyskujemy na mozolność naszej pracy zawodowej, powtarzamy każdemu, kto chce, lub nie chce nas słuchać, że każdy kawałek chleba i każdą rzecz nabytą, musimy dobrze pokropić własnym potem, — a jednak niebawem, doprawdy, sami te wszystkie swoje nabytki, tak drogo opłacone, bardzo lekceważymy, poprostu lekkomyślnie narażamy na zmarnowanie.

Tak jest! — Nikt temu nie zaprzeczy!

Bo gdzie składamy zboże i inne owoce swej pracy ciężkiej? — Rozumie się, zazwyczaj w budynkach drewnianych, bo na inne nas niestać!

No, zgoda, niech będą drewniane, kiedy inne być nie mogą,—ale jak szanujemy te budynki i owoce naszej pracy, w nich przechowane?

Pożal się, Boże! Szanujemy jak najgorzej. Nawet gorzej nie można! Prawie sami je podpalamy, bo na to wychodzi. Nietylko je podpalamy, ale nawet chcemy, żeby się do cna spaliły.

Jako żywo, tak! Bo tylko zachciejmy zauważyć, jak obchodzimy się z ogniem w budynkach swoich, —dalej, czy mamy w pogotowiu sposoby do gaszenia wszczynającego się ognia strasznego — i wreszcie, jak zachowujemy się podczas pożaru, gdy nas nawiedzi, zazwyczaj z naszej winy własnej?

Na wszystkie te pytania wypadnie dać odpowiedź, świadczącą o naszem usposobieniu duchowem jak najgorzej!

Prawda!

Że bardzo powszechny jest u nas zwyczaj obchodzenia się z ogniem nadzwyczaj lekkomyślnie, chyba dostatecznie nas o tem przekonać mogą tak częste pożary! Niema tygodnia, —ależ, nawet, niema tego dnia, żeby gazety nie obwieszczały światu o nowym pożarze, który tę lub inną miejscowość w kraju naszym nawiedził i, rozumie się, zniszczył mniejwięcej sporo budynków!.. A jakąż tam nieszczęścia tego przyczynę dochodzenie policyjne wykryło? Oto niemal każdą wiadomość o nowym pożarze kończy zwykła wzmianka krótka, tak znana wszystkim czytelnikom i tak przez nich zgóry nawet przewidywana, a prawie zawsze jednakowo wyrażana w ten sposób:

„Przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z ogniem"...

Tak krótko i węzłowato gazety podają światu wiadomość o — bardzo szpetnej wadzie naszej: **o wielkiem lekceważeniu własnej pracy!**

Ta szpetna wada jest u nas, niestety, prawie powszechna!

Ciężko pracujemy, — a lekko trwonimy owoce swej pracy mozolnej!

Ale zechciejmyż zauważyć nareszcie, że każde ogłoszenie w gazecie o nowym pożarze, jest nie tylko wiadomością dla nasycenia ciekawości ludzkiej, lecz nadto stanowi ono jedno więcej świadectwo:

**o wielkiej lekkomyślności polaków!**

A zauważmy, że takie świadectwo drukowane czytają nie tylko polacy! Bo gazety nasze częstokroć biorą do rąk i obcokrajowcy — i oni do swoich krain przesyłają nowe wieści, z polskich gazet zaczerpnięte.

Jaką więc opinję obce narody muszą wyrobić sobie o naszym narodzie, gdy często dochodzą ich wieści o nowych pożarach, niemal codziennie nawiedzających nasze siedziby?

Oczywiście — opinję brzydką.

Brzydką, ale zasłużoną! Bo czy niedbaluchy warci są lepszej?

Jednak brzydka o nas opinja w obcych krajach wyrządza nam, polakom, bardzo duże szkody. Bo zechciejmy tylko przypomnieć sobie stare nasze przysłowie, które tak powiadaa:

„Kto swego grosza nie szanuje, ten szeląga nie wart".

Stąd dla nas wszystkich wniosek niewesoły: Kto siebie i swego nie szanuje, ten nie dozna szacunku i zaufania u świata.

A przecież my wszyscy bez obcej pomocy obywać się nie zdołamy! Bo nigdzie, w całym świecie, niema takiego człowieka i narodu, któryby nie potrzebował pomocy od ludzi.

Zawsze i wszędzie ludzie potrzebują pomocy Boskiej, a potem ludzkiej. Ale Bóg i ludzie chętnie i skwapliwie dopomagają ludziom pracowitym, zabiegliwym i **starannie szanującym swoję pracę!**

**A niedbaluchom pomagają niechętnie, skąpo i ociągliwie...**

Każdy niedbaluch przeto traci u świata nietylko szacunek, ale i **zaufanie!**

Dobrze to rozważmy i zapamiętajmy!

Kto lekkomyślnie naraża swe mienie i swoję pracę na zniszczenie przez pożar. — ten chyba zasługuje na miano niedbalucha. A ponieważ u nas bardzo często bywają pożary, wynikające „z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem", więc jaki stąd musimy wysnuć wniosek? — Ten chyba tylko, że mamy wśród siebie jeszcze bardzo dużo niedbaluchów.

I oto z winy tych gęstych niedbaluchów spada na nasz naród niesława od świata całego. Stąd nic dziwnego, że obce narody światlejsze o naszym narodzie odzywają się lekceważąco i odnoszą się do niego dość nieufnie. Bo czy podobna zaufać temu, który swej krwawicy nie ma w poszanowaniu?

„Kto swego grosza nie szanuje ten szeląga nie wart!"

Taki wyrok głosi rozum i sumienie powszechne!

Gorszy jeszcze sąd o nas wypadnie, gdy wska-

żemy jedną więcej winę naszą: oto nietylko lekceważymy swe mienie, narażając je łatwo na strawienie przez żywioł okropny, ale nawet jesteśmy tak niedbali, że najczęściej nie posiadamy pod ręką środków, odpowiednich do gaszenia ognia!

Toć wcale nie rzadko gazety, podając smutne wieści o świeżych pożarach, nic nie wspominają o działaniu straży ogniowej, a nie wspominają z tej tylko przyczyny, że tam ona jeszcze nie istnieje!

O, tak, ileż w kraju jeszcze mamy wsi, nawet wielkich, — a znamy je wszyscy doskonale, — które dotychczas nie zatroszczyły sie o założenie u siebie i dla siebie straży ogniowej!.. Zresztą nawet jeszcze niemało mamy miasteczek, całkiem pozbawionych drużyny pożarnej!..

Dlaczego te liczne miejscowości nie pomyślały o stworzeniu dla siebie stałego ratunku na wypadek ognia?—Czy zawarły z losem przymierze, iż nigdy do nich nie zawita pożar zachłanny? — Nie, bo to nie jest w mocy ludzkiej.

A może tam wszyscy mają budynki ogniotrwałe? Bynajmniej. Właśnie tam najwięcej jest budynków drewnianych, słomą krytych i stojących gęsto, blizko siebie!.. Niech się tylko jeden zapali, — a przytem niechże wiatr sprzyja,— a już wtedy napewno conajmniej pół wsi, lub pół miasteczka obróci się w perzynę!

Więc może tam wszyscy mieszkańcy odznaczają się wielką cnotą ostrożności czujnej i stałej, że nikt nigdy ognia nie zaprószy?

I to nie, gdyż tam, jak wszędzie w kraju, mamy jeszcze mnóstwo rodaków bardzo lekkomyślnych, więc ciągle i wszędzie nadzwyczajnie nieostrożnych, niedbałych i—**nieczułych!**

Przeto jeszcze, niestety, jesteśmy zasobni w jedną więcej wadę szpetną, bo w **straszną nieczułość** na niedolę, jaka spada na współbraci i rodaków naszych!..

Ta nieczułość wyraża się tak pospolicie:

— A co mnie sąsiad mój obchodzi? Niech się pali, byle mnie to złe ominęło!

Lecz chyba taką wadę rzadko spotykamy u nas? Niestety, przeciwnie, — dość często! Oto świeży dowód publiczny, bo w „Głosie Lubelskim" ogłoszony d. 27 lipca r. b. (№ 204), tej treści: „W dniu 25 lipca r. b. we wsi Dąbrówce, pod Lubartowem, **z nieznanych dotąd przyczyn** wybuchł pożar u jednego z miejscowych gospodarzy w czasie młocki zboża... Gęsto buchające płomienie ściągnęły przed płonącą zagrodą **całą niemal ludność wioski**, która **ze spokojem przyglądała się pożarowi, nie spiesząc z pomocą.** Jedynie dzięki przypadkowemu pobytowi w Dąbrówce p. Zamojskiemu, który zajął się gaszeniem pożaru, **udało się coś-niecoś uratować"...**

Przedewszystkiem nastręcza się uwaga, że gdyby tam ratunek był skory i większy, zpewnością udałoby się znacznie więcej mienia ocalić...

Ale nawet zbyteczna jest powoływać się na ten dowód najświeższy, żeby aż przekonywać ogół polski o bardzo u nas powszechnej nieczułości, bo wszakże z nią wszyscy spotykamy się niemal zawsze i — wszędzie!...

Niech jeno gdziekolwiek pożar wybuchnie, tam wnet zbiegnie się dużo ludzi dla nasycenia swoich ócz cudzem nieszczęściem. Nasi ludzie jak gdyby lubią paść swe oczy widokiem szalejącego ognia — i uszy rozpaczliwym krzykiem nieszczęsnych pogorzelców A rzadko który z widzów sam chętnie ruszy na ratunek. Trzeba go ciągnąć, pchać, przymuszać, ażeby stanął bodaj tylko do pompowania, albo żeby dał konie do wożenia wody.

Doprawdy, nic w tem niema przesady!

Mnóstwo rodaków potrafi stać bezczynnie przed cudzym pożarem i zabawiać się niekiedy nawet żarcikami, patrząc na bezradność i słuchając biadania pogorzelców nieszczęsnych.

I tak jeszcze bywa, że gdy, dajmy na to, w miasteczku trąbka, lub dzwon da znak na trwogę, że „pali się",—wnet z ulic umykają wszystkie furmanki w stronę przeciwną, lękając sie o swoje konie żeby nie użyto ich do wożenia wody..

Taka nieczułość, niemal wszędzie spotykana, wyrządza ogółowi duże i różne szkody, bo

przyczynia się do rozszerzenia się pożaru i pomnożenia nędzy pogorzelców;

daje zły przykład, stopniowo zachęcając wszystkich do bezczynności i lekceważenia cudzej niedoli;

wreszcie, daje światu o nas wszystkich świadectwo najgorsze!..

Gdy nieczuli patrzą obojętnie na cudzy pożar, zamiast gorliwie spieszyć z ratunkiem, już w ten sposób zawczasu sami siebie niezawodnie pozbawiają pomocy ludzkiej, gdy ich kiedykolwiek spotka jakaś niedola...

Nieczułość bowiem, jak wogóle każdy postępek naganny, działa zaraźliwie, czyli odpowiednio wychowuje swoje otoczenie

— On nie biegnie na ratunek, to i my. Tak mówią sąsiedzi.

Zimne serce studzi dokoła siebie zapał. Ale ten zimny sobek, nieczulec, nawet nie zdaje sobie sprawy, jaką przez swoję nieuczynność wyrządza sobie i innym krzywdę...

Bo przedewszystkiem jemu w podobny sposób odpłacą się ludzie..

Każdy, patrząc na cudzy pożar, powinienby przypomnieć sobie stare zdanie rzymskie: „co dziś jego, jutro ciebie spotkać może".

— Czyń przeto dziś innym to, co chcesz, aby tobie inni jutro uczynili, kiedy spadnie na ciebie nieszczęście...

A czy jest ktokolwiek wśród żyjących taki, kto odważyłby się rzec o sobie, że go nigdy nic złego nie spotka?....

Niema, to prawda! Atoli nieczulec przez swoję nieuczynność wobec nieszczęścia cudzego nie tylko sobie gotuje szkodę w niedalekiej przyszłości, — lecz on już obecnie innym straszne wyrządza krzywdy...

Tak, zaiste, jedynie bezczynnością swoją już krzywdzi okropnie!

Zdoła nas o tem przekonać każdy pożar, gdy rozszerza się z winy sąsiadów obojętnych i bezczynnych.

Uważniej wpatrzmy się w gromadę, obojętnie przyglądającą się pożarowi, a wprędce dostrzeżemy w niej jak gdyby przodowników nieczułych. Oni jej dają z siebie przykład, nawet zachętę do bezczynności. Może półgłosem wydają krótkie nakazy takie **do bliżej stojących:**

— Głupiś, nie chodź! — Co ci do tego!—Albożto twoja szkoda? — Niech się pali. — Wielkie rzeczy! niech pozna, co to jest bieda!...

Gromada duża stoi w miejscu, niemal bez ruchu, bo trzyma ją jeden-drugi prowodyr o sercu kamiennem... Tacy prowodyrowie dają z siebie przykład straszny! Oni studzą serca gromady, niewolniczo im poddanej i zapatrzonej w nich, jako w swoje wzory!...

Wszyscy stoją bezczynnie, a tymczas pożar wzmaga się, ogarnia coraz więcej budynków... A oni ciągle stoją zapatrzeni, dopóki spokojni o swoje...

Ruszają z miejsca dopiero wówczas, kiedy mienie ich zagrożone! Wtedy biegną przerażeni, każdy broni swego — i, rozumie się, wszyscy przegrywają, stając się odrazu nędzarzami.

Oto wszyscy, krzywdząc pierwszych pogorzelców swoją bezczynnościa, zarazem sami siebie też pokrzywdzili, bo za ich przykładem już nikt ich nie ratował...

Wszakże kto głównie przyczynił się do powszechnego nieszczęścia? Kto był pierwszym sprawcą klęski?

Tylko jeden-drugi nieczułec twardy, na których zapatrywała się gromada... Oni swoją lodowatością trzymali ją na miejscu,—a ogień, mając dość czasu, szerzył się i niszczył mienie ludzi nieszczęsnych!

Czy jedynie ogień niszczył całą ich chudobę? Nie!

Ogień przecież miał wielkich sprzymierzeńców swoich w tych właśnie nieczulcach - przodownikach i w gromadzie, idącej ślepo za ich przykładem!...

Gdyby przodownicy dali hasło do ratunku, niechybnie rzuciłaby się gromada posłuszna i stłumiłaby pożar zaraz w zaczątku co, oczywiście, zapobiegłoby nędzy wszystkich!...

Zatem: **ta nędza—to dzieło lodowatych prowodyrów i gromady niewolniczej!...**

Nie można mówić, że tylko ogień był sprawcą sputoszenia! Owszem, ogień zniszczył, lecz **za ich... pozwoleniem!..**

Oni przecież dali mu swoję zgodę i — czas!...

Toć chyba wiadomo powszechnie, że bądź-cobądź w znacznej mierze ogień ludziom ulegać musi!...

Nawet bardzo często tak bywa, że ludzie mają przewagę nad ogniem... On jest im posłuszny, spełnia ich nakazy:—gaśnie, kiedy ich taka wola, — płonie i szaleje, wyrządzając straszne spustoszenie, kiedy mu na to oni pozwalają!...

Zwłaszcza pożar, kiedy dopiero wybucha, jest, jak małe dziecko, posłuszny zarówno złym, jak i dobrym ludziom.

Gdy źli mu pozwalają, — szerzy się gwałtownie i niszczy wiele, jak np. w Dąbrówce pod Lubartowem.

Ale gdy dobrzy nakażą mu mocno i w porę zgasnąć,—ulega im posłusznie i—niemal natychmiast znika, jak psotnik bojaźliwy.

I na to mamy pod ręką dowód doskonały, a daje go nam ogłoszenie, zamieszczone w „Gazecie Świątecznej" z dnia 15 marca r. b. (№ 2302), tej treści:

„Nad ranem 20 lutego (1925 r.) jakiś złoczyńca podpalił stertę słomy przy stodole, w której znajdowało się nie wymłócone jeszcze zboże jare. **W mgnieniu oka sąsiedzi, pozrywawszy się ze snu, przybiegli do pożaru** i jedni porywając słomę od ścian budynków, a drudzy zalewając tę, która się już paliła, **ugasili pożar,**

„**Gdyby nie wola dobra, nie praca wytwała sąsiadów, nowe zabudowania i nowy, niewykończony dom mieszkalny, stałyby się pastwą płomieni!**

„Powodowany uczuciem wdzięczności, składam **tym zacnym ludziom** za pośrednictwem „Gazety Świątecznej" serdeczne podziękowanie.

Stanisław Borkowski, gospodarz rolny we wsi Zberożu, gminie Chojnowie pod Przasnyszem."

A więc ludzie potrafią stłumić ogień niebezpieczny...

Ale jacy ludzie?—Tylko ci, co mają dobrą wolę, którzy chętnie gotowi pracować wytrwale nad ugaszeniem pożaru, którzy nie lenią się nawet w porze zimowej (w lutym) zerwać się z ciepłej pościel i w mgnieniu oka pospieszyć na ratunek sąsiadowi.

Jak szybko przybiegli, świadczy to, że przecież zajęła się słoma, — materjał najłatwiej i najszybciej płonący, — i jednak zdążyli **zacni** sąsiedzi w porę zapobiedz klęsce okropnej!

Cześć im za to!

Skąd atoli wzięła się w nich tak dobra wola, wytrwałość i ochota do spiesznego ratowania?

Skąd?

Oczywiście, tylko z serca, czułego na każdą niedolę współbraci.

Ci zacni sąsiedzi, posiadając życzliwość serdeczną, czemprędzej pospieszyli z ratunkiem. A dali ratunek nie byle jaki! Bronili,— jak się mówi—skutecznie, aż do całkowitego zwycięstwa!

Doprawdy, dzielni ludzie!

A co ich takiemi uczyniło?

I znowu tę samą wypadnie dać odpowiedź: serce szlachetne, bo ożywione miłością iście chrześcijańską!

Człowiek o takiem sercu nie szczędzi swego trudu, grosza i czasu, **gotowy nawet poświęcić siebie dla ocalenia bliźnich,** którym grozi klęska straszna, — więc **gotowy** bronić nie tylko sąsiada upodobanego, lecz wogóle każdego bliźniego, nad którym zawisło nieszczęście srogie...

Serce chrześcijańskie zdobywa się na pomysły najszczęśliwsze, kiedy troszczy się o dobro współbraci.

I tylko takiemu sercu straż ogniowa zawdzięcza swój początek.

Oto tylko serce chrześcijańskie stworzyło straż ogniową, kiedy, ubolewając nad straszną niedolą pogorzelców, szukało sposobu najlepszego do

odwrócenia od ludzi klęski pożogi. Znalazło sposób najlepszy i najpewniejszy

**straż ogniową!**

O tak, zaiste, straż ogniowa to dzieło chrześcijańskiej miłości bliźniego!

A pożar — to wielka klęska, która spada na ludzi znienacka, **niszczy** im dach nad głowami, żywność, odzież, sprzęty i narzędzia pracy, nawet warsztaty, a co najgorsze, nierzadko spokój, szczęście, zdrowie i życie...,

Z tych powodów pożar uznać trzeba za wroga bardzo groźnego!

A on tak upodobał sobie krainę naszą, — więc ustawicznie szerzy przeogromne w różnych jej okolicach spustoszenia!...

Jakto, ogień upodobał sobie? Więc tylko ogniowi mamy przypisać winę całkowitą tylu szkód, wyrządzanych nam wszędzie i prawie codziennie?

A my niewinni?

Owszem, bardzo winni!

Ogień bowiem, jako pożar, wynika najczęściej z winy naszej. Rzadko pochodzi z podpalenia, albo z przypadku,—najczęściej z lekkomyślności, niedbalstwa, nieostrożności mieszkańców...

Różne nazwy, a wina jedna!

Ale musimy wyznać, że nad te wady szpetne najszkodliwsza i najniebezpieczniejsza jest — nieczułość, górująca jeszcze w bardzo wielu rodakach naszych!

Tej nieczułości, — tak u nas jeszcze bardzo powszechnej,— głównie przypisać musimy rozszerzanie się do wielkich rozmiarów mnóstwa pożarów, często u nas wynikających z lekkomyślności naszej!

Lekkomyślność pożar wszczyna, — a nieczułość nasza czyni z tego pożaru odrazu klęskę, wtrącającą setki rodzin w nędzę ostatnią!

Oto skutki opłakane dwuch wielkich wad naszych. Jednak lekkomyślność nasza nie byłaby dla nas w skutkach swoich tak zgubną gdyby nie pomagała jej okrutna i szpetna jej siostrzyca—nieczułość.

Pożar w Dąbrówce pokazał, jak wielkie szkody potrafi wyrządzić nieczułość gromady.

A znowu pożar w Zberożu przekonał, że miłość chrześcijańska i sąsiedzka nawet zbrodnicze podpalenie sterty słomy umie uczynić prawie nieszkodliwem.

Tam, w Dąbrówce, nieczułość,—a tu, w Zberożu, miłość chrześcijańska, pełna ofiarności i zapału wytrwałego.

Co uczyniła nieczułość w Dąbrówce, a co sprawiła miłość chrześcijańska w Zberożu?

To nas tembardziej utwierdza w przekonaniu, że tylko miłość chrześcijańska stworzyła straż ogniowa. A tylko nieczułość serc twardych, obojętnych dla ludzi, stroni od straży ogniowej, nie dba o nią, nawet nie zatroszczy się o urządzeniu jej wszędzie u nas, w każdym zakątku kraju, bo wszakże wszędzie u nas jest ona niezbędna, bo wszędzie mamy budynki łatwo palne—i, niestety, wszędzie aż za dużo lekkoduchów, płochych i niedorzecznych w swywoli, jak gdyby małe dzieci!...

Wszędzie nas stać na rozniecanie pożaru,—a nie stać nas na ugaszenie go w porę!...

Stać nas na wadę lekkomyślności i nieostrożności,—a nie stać nas na cnotę miłości chrześcijańskiej troskliwej o rzetelne i wielkie dobro bliźnich naszych

Stać nas na zmarnowanie olbrzymich bogactw, trawionych przez częste pożary! — A nie stać nas na drobne ofiary groszowe, niezbędne do założenia i utrzymania straży ogniowej.

Ba! jesteśmy wielcy bogacze! Toć stać nas na spalenie całych wsi i miasteczek, jak Ryki, — a nawet na spalenie całych miast powiatowych, jak Janów Lubelski! Niech świat wie, jacy my bogacze — i **marnotrawcy!**.

No, no, niech świat się do nas nie wtrąca! To, co u nas pali się, to nasze! Niech się pali, zbudujemy nowe, alboż nas nie stać na to? Mamy lasy, mamy tyle rąk do pracy! No, co jeszcze mamy?

A pieniądze na te nowe dachy gdzie?

Acha, teraz dopiero opuszczamy głowy smutne, kiedy trzeba sięgnąć do kieszonki pustej.

A jeszcze niżej opuszczamy głowy, kiedy słyszymy płacz, jęk, skomlenie tysięcy nędzarzy nagłych, wtrąconych przez pożary w otchłań niedostatku!

Te wielkie rzesze nędzarzy błagają o ratunek, —a my, sami mając niewiele, zeledwo odrobinę dać im możemy. To im nie wystarcza, więc giną z nędzy.

Co to wszystko znaczy?

Nam się zdawało, że my bogacze, więc możemy obojętnie patrzeć na pożary, bo gdy jedno się pali, to drugie wnet zbudujemy, — a tu tymczasem okazuje się co innego? Oto przybywa nam codziennie coraz więcej nędzarzy — pogorzelców i my nie możemy ich wesprzeć, przyodziać, zasilić gotówką na nowe budynki?

Więc my nie jesteśmy bogacze?—O, tak,—nawet ciągle podupadamy, ubożejemy... Do coraz większego ubóstwa spychają nas pożary. Bo każdy nowy pożar, — to nowy zastęp zrujnowanych rodzin Wczoraj one były jeszcze dostatnie, zadowolone, pracujące,—a dziś, po wczorajszym pożarze, już są ostatni biedacy, pozbawieni wszystkiego.

Gdy tak dalej potrwają pożary, to stopniowo cały naród zamieni się w pogorzelców nędzarzy — i wówczas do kogo udamy się po jałmużnę?

Czy do świata? — A przecież przed chwilą któryś rodak wołał tak ufnie, że stać nas na pożary a światu nic do tego, bo pali sie nasze, a nie cudze!..

Nie o świat nam chodzi! Świat od siebie nic nowego nam nie powie, - owszem, może to tylko rzec, co my sami mamy w swoim rozumie i sumieniu.

Własny rozum i sumienie powinny nam wystarczyć!

Ale, niestety, dotychczas jeszcze mnóstwo rodaków naszych nie chce poddać się radom tych dobrodziejów przebywających jak kopciuszki w ich duszach!

O, prawda, głos rozumu jest niemiły dla ucha lekkoduchów, —a głos sumienia dla nieczułych.

No, trudno! Nie wolno nam oglądać się na upodobania lekkoduchów i nieczułych, bo oni wprędce kraj cały doprowadziliby do ruiny. Gdybyśmy nadal ulegali lekkoduchom i nieczulcom, wnet cały naród stałby się nędzarzem wskutek pożarów codzien-

nych. Tego dnia niema, żeby tu i tam pożar nie strawił mniej-więcej budynków.

Czytajcie gazety,—a przekonacie się, że to prawda straszna!

Ocknijmy się! Dziś tamtych spotkała niedola, —a jutro już może nas!..

Pożar,—to złodziej, który zabiera, **a nie oddaje.** Pożar—to marnotrawca okrutny, bo **zabiera i niszczy,** w popiół zamienia rzeczy najcenniejsze, najpożyteczniejsze, niezbędne!

Rolnik cały rok musiał pracować na plony,—a oto zjawił się nagle ogień i w jednej chwili z jego plonów uczynił popiół!

Rękodzielnik cokolwiek się dorobił, zaopatrzył się w żywność na zimę, w przyodziewek, w opał i w materjały potrzebne do fachu jego,—ale w nocy przyszedł pożar, wypędził go z własnego domku, zniszczył mu odrazu całe mienie — i kazał iść do ludzi żebrać... jałmużny!

On jeszcze wczoraj był zadowolony, syty, nawet wesoły, otoczony gromadką swoich dzieci, radujących się jego opieką dostateczną, — a oto masz, zjawiły się ogniste języki i nagle pożarły całe szczęście jego, wtrąciły w rozpacz, nędzę, bezsilność!

Jestże w świecie gorsza niedola, nad niedolę pogorzelcy-tułacza?

I czy niema w świecie serca, któreby ulitowało się nad tą niedolą?

Czy to serce poczciwe ma czekać, aż szczęśliwy stanie się nieszczęśliwym? Chyba raczej serce poczciwe powinnoby **przewidywać nieszczęście** i oddalać je od szczęśliwego? — O, tak, prawda, powinno zapobiegać!

**Powinno i może!**

Serce chrześcijańskie nie jest bezsilne wobec pożaru-szkodnika.

Przekonali nas o tem zacni mieszkańcy Zberoża.

Ależ nawet lepsze mamy dowody o potędze i pomysłowości serca chrześcijańskiego.

Toć ono stworzyło straż ogniową, która doskonale potrafi pomyślną stoczyć walkę z każdym pożarem!

**Straż ogniowa—to święta służba z pobudki miłości chrześcijańskiej broniąca pomyślności ludzkiej przed najsroższym jej wrogiem—pożarem!**

Każdy strażak stanął pod sztandarem miłości chrześcijańskiej, ślubował uczynnie okazywać swoję miłość bliźniego, sam dobrowolnie zobowiązał się **zawsze i wszędzie bronić ludzi od pożaru!**

Każdy strażak—to serdeczny przyjaciel, to wielki dobroczyńca i hojny ofiarodawca!

Rodacy, kogo wolicie spotkać na swej drodze: czy dawcę jałmużny, który **czeka na was,** aż staniecie się nędzarzami z powodu pożaru,—czy strażaka, który **nie dopuści do was nędzy,** bo ugasi w porę ogień, usiłujący uczynić was nędzarzami?

**Chcecie być mądrzy przed szkodą?**

Zgoda! Nikt ani na chwilę się nie zawaha! Każdy woli strażaka uściskać, jako szlachetnego dobroczyńcę, niż tego poczciwcę-groszodawcę, który ulituje się nad nim, ale wówczas dopiero, kiedy go pożar okrył nie pokrzywdzi!

— Czy wolisz, rodaku, serdecznie, wesoło, wyprostowany zdrowo, podziękować wdzięcznie strażakowi ukochanemu za ocalenie ciebie od ognia,— czy też jako skulony, zgięty, znękany i wyzuty z mienia nędzny pogorzelec wyrazić nieśmiało swoję podziękę tej osobie, która ci za swój próg wyniesie drobną jałmużnę i poda ją tobie niechętnie wyniośle, a może nawet z pogardą, mówiąc pocichu — O, ty, dziadu-niedołęgo! Alboż nie mogłeś sam ugasić ognia? Albożnie stać cię było na utrzymanie straży ogniowej w swojej wiosce, lub miasteczku? Stać cię było na częste fundy w restauracj i na tytonie, — a żałowałeś grosza na potrzeby straży? Nie chciało się tobie fatygować na ćwiczenia strażackie, bo niby żal ci było czasu i butów, kobieta cię odwodziła od założenia straży, jakoby zgoła nie potrzebnej, — a dziś, jako nędzarz-żebrak, chodzisz niemal boso od wsi do wsi i na to już masz czasu dosyć, kobieta twoja teraz już posyła ciebie byś tu i tam wyprosił chleba, odzieży, zapomogi na byle baraczyne, lub lepiankę!.. Dziś potrafisz prosić o wsparcie,—a kiedy byłeś dostatnim obywatelem,— to nie chciało sie tobie prosić współbraci o wspólne założenie straży ogniowej u siebie? Czemu nie troszczyłeś się o to? Czy duma twoja ci na to nie pozwalała? Nie! Inne były powody. Oto wielki sobek panował w tobie, serce miałeś kamienne a głowę śpiącą. Zdawało się tobie, że sam sobie zawsze dasze radę, od nikogo nic nie potrzebujesz i nikomu też nic nie dasz... Aż oto nagle spadło na ciebie okropne nieszczęście, zabrało ci wszystko, uczyniło nędzarzem — i dziś,.. z bólem serca wyciągasz rękę... po... jałmużnę!... Okropne poniżenie!., A nędza jak gdyby zasłużona!.. Bo przecież można było jej uniknąć! Trzebaż było tylko obudzić w sobie miłość chrześcijańską i zatroszczyć się o obronę bliźnich przed ogniem... Gdy bowiem ty będziesz bronił innych, — inni obronią ciebie... Miłuj innych,—a inni zpewnością umiłują ciebie... Musi być w nas wszystkich polakach jedna wielka miłość braterska, przepojona duchem chrześcijańskim!.. Gdy każdy polak troszczył się będzie o dobro, pomyślność wszystkich swoich rodaków, napewno już wszędzie, w każdej wioseczce nawet, będzie sporo strażaków, zawsze gotowych do walki z ogniem! Bo tylko miłość braterska i chrześcijańska zachęca, zwłaszcza młodzież, do zaciągania się w szeregi drużyny pożarnej! Zaszczytna to służba chrześcijańska i obywatelska! Jest-że jaka inna służba nad nią chwalebniejsza? — Nie. Bo i służba wojskowa nie większą ma od niej wartość moralną w oczach narodu... Żołnierz kocha ojczyznę — i broni ją przed wrogami—ludźmi, —a strażak kocha naród i broni go przed straszną ruiną, wynikającą z pożaru. Żołnierz czuwa nad bezpieczeństwem kraju i wolnością narodu, — a strażak czuwa nad pomyślnym dostatkiem wszystkich swoich rodaków!... Obadwa jedno tylko mają na celu: — istotne, trwałe szczęście swego narodu!... Czemuż ty, nędzarzu-pogorzelco, tak byłeś niedbały, sobkowaty i nieczuły dla innych, że nie pomyślałeś za-

wczasu o założeniu w swej wiosce straży ogniowej? Dziś jesteś mądry, — ale po szkodzie!.. Oby twoja niedola otworzyła oczy wielu naszym rodakom, którzy jeszcze, dzięki Bogu, mają dostatek w swojem posiadaniu, ale bardzo niepewny, bo lada chwila pożar może go zniszczyć, gdyż jeszcze u siebie nie mają straży pożarnej,—niechby przeto czemprędzej stworzyli ją u siebie i w taki sposób stali się bezpieczni i mądrzy... **przed szkodą!**

— Czy to jednak naprawdę zda się na co?

Takie pytanie dość często zadają sobie rodacy niektórzy w rozmowach swoich. I dalej utrzymują oni tak:

— Co ma wisieć, — nie utonie, a co ma się spalić, tego nawet nie zaleje rzeka!

Oczywiście na podobne bzdury nawet nie warto odpowiadać, bo kto plecie takie niedorzeczności, zpewnością zamało ma oleju w głowie do zrozumienia przecudnego przeznaczenia miłości chrześcijańskiej..

Niemasz takiego człowieka, któryby nie potrzebował pomocy ludzkiej. A czy tej pomocy potrzebuje tylko do wygarniania zupy z misy, a pieczonej baraniny z półmiska, lub wytaczania piwa z antałka?

Rozumie się, że nie!... Dalej, czy dlatego, żeby budynki ludzkie nie płonęły, mają je mieszkańcy wznosić tylko z kamienia i cegły? Bynajmniej! Więc mogą je stawiać z drzewa i narażać się na nieuniknioną nędzę,... gdy je kiedykolwiek strawi pożar niespodziewany?

Dlaczego ma je koniecznie ogień zniszczyć? Czy jest mus nieunikniony? To ludzie mądrzy i zabiegliwi potrafili zabezpieczyć się przed zimnem i niepogodą, budując dla siebie domy,— potrafili nawet światło lampki, lub latarki zasłonić przed wiatrem, osłaniając je dowcipnie wymyślonem szkiełkiem, — a nie potrafiliby domu drewnianego uchronić przed ogniem?

Czego jeden człowiek nie dokaże, to już napewno uda się gromadzie. Ale wtedy gromada musi mieć jeden cel przed sobą, działać zgodnie, chętnie, życzliwie, a więc musi być ożywiona miłością braterską, chrześcijańskiem pragnieniem ratowania się wspólnie dla dobra wszystkich!..

I tak oto miłość braterska wymyśliła straż ogniową, czyli zjednoczyła gromadę po to, żeby ona na każdy zew biegła na ratunek nie z próżnemi rękami, lecz z sikawkami, toporami, bosakami i z doskonałą komendą, umiejącą skierować strażaków do szybkiej i skutecznej walki z szalonym żywiołem..

Zatem straż ogniowa napewno potrafi zaraz w początku stłumić ogień.

Czy każda straż?

Nie każda, bo czyni strażaka nie kask, mundur i pasek ładny, lecz miłość braterska, chrześcijański duch ofiarny, życzliwy i troskliwy o dobro wszystkich współbraci!.. Gdy dużo takich strażaków liczy która drużyna pożarna,— zpewnością ona każdy ogień szybko ugasić potrafi i w ten sposób zarazem ogromne wyświadcza dobrodziejstwo tym mieszkańcom, których ogień nawiedził.

Jeden z takich pogorzelców ładne podziękowanie wyraził w „Gazecie Świąteczne," z dnia 2 sierpnia r. b. (№ 2322). Tak oto napisał: „Straciłem w ogniu tylko cały zapas żywności; z ubrania i sprzętów dużo wyratowali mi **dzielni strażacy,** za co im składam stokrotne „Bóg zapłać!" Żeście wszyscy (strażacy) **dużo dobrego zrobili** mnie i sąsiadom moim i dużoście się napracowali, to przyjmijcie od nas serdeczne ze łzami w oczach podziękowanie. Nie uważajcie na tych, co to **wam** przy ratowaniu **naubliżali; serdeczne łzy nasze niech wam będą nagrodą za waszą pracę i mozoły.** Dużo nas tu jest (w Sarnowie, wsi kościelnej, w powiecie mławskim, nawiedzonem dnia 13 czerwca r. b. przez ogień) takich, którzy pomocy waszej, trudu i potu waszego do śmierci wam nie zapomną"...

Oto zapłata sercem za serce.. Najmilsza nagroda! Zacni strażacy zasłużyli na nią.

A na jakie wspomnienie zapracowali strażacy w Rykach?

Tam pożar wybuchł 14-go kwietnia r. b.— i oto już 3 dni potem, 17 kwietnia, taką o tym pożarze umieszczono uwagę w „Kurjerze Warszawskim": Pożar w Rykach zniszczył 257 domostw... jednak **„nie doszłoby do katastrofy, gdyby ratunek był inny,..** w godzinę, czy półtorej spopnęło prawie wszystko. **Głównie z tego powodu, że pierwszym ratunkiem zajęła się miejscowa straż ochotnicza".**

Zatem straż miejscowa w Rykach ratowała niestarannie, opieszale, nawet niewłaściwie i tylko wskutek tego — tyle zgorzało mienia ludzkiego.

„We wsi Przanówku pod Brzezinami, w województwie łódzkiem, wybuchł dnia 20 czerwca r. b. pożar w zagrodzie sołtysa Dorna. Na pomoc przybyły straże ochotnicze, pierwsza z Gałkowa, druga aż o kilka wiorst z Brzezin. **Nie zdołały one uratować płonących już budynków, lecz skutecznie powstrzymały dalsze szerzenie się ognia.**'

Zapewne tylko dlatego nie zdołały, że przybyły zdala, a na miejscu, w Przanówku, straży nie było...

„Dnia 2 czerwca gminę Piątek nawiedziły dwa pożary od uderzenia piorunów. We wsi Balkowie spaliły się zabudowania trzech gospodarzy. Na ratunek przybyła straż ogniowa ochotnicza z Janowic i **gdyby nie nadzwyczajna jej pomoc, spłonęłaby pewnie połowa wsi.** Smutno jednak, że nikt z sąsiadów nie pospieszył na ratunek z końmi, chociaż w Balkówce **64 gospodarzy ma po parze koni.** Straż ogniowa janowicka ma bardzo sprawnych druhów i pod kierunkiem założyciela swego, a zarazem naczelnika, J. Łoskowskiego, **dzielnie się z zadania swego wywiązuję.** Gospodarze janowiccy i z okolicznych wiosek opodatkowali się dobrowolnie na potrzebę swej straży po 20 groszy od morga.—Drugi pożar od pioruna nawiedził majątek Janków. Spłonęła tam obora, **a pozostałe budynki uratowała straż ogniowa jankowska,** składająca się z samych młodych druhów. **Niektórzy z nich wykazali tyle odwagi,** że chyba zarząd straży wystąpi do związku Florjańskiego o przyznanie im odznak zasługi..." (Gaz. Świąt. 12 lipca r. b.).

Dnia 20 lipca r. b. w nocy z powodu **nieostrożności** powstał pożar w oborze Zająca (w Poracze

wie, powiat garwolińskí). Spłonęło 2 domy mieszkalne, 16 stodół, 10 obór, koń i krowa. Na ratunek przybyło 11 straży ogniowych. Ratunek był dzielny, zapobiegł szerzeniu się ognia. „Głos Lubelski", 23 lipca r. b.)

Podobnych wydarzeń mamy bardzo dużo!

Najczęściej straż ogniowa albo zaraz gasi pożar, albo wprędce umiejscowia go, — to zależy od odległości. Im bliżej miejsca, gdzie wszczął się pożar, przebywa straż ogniowa, —tem wcześniej ugasić go zdoła.

Bardzo rzadkie bywają takie trafunki, jak w Rykach, żeby straż odznaczała się opieszałością, lub nawet nieudolnością.

A już mnóstwo istnieje u nas w Polsce straży wzorowych, które bardzo gorliwie, ofiarnie, nawet z wielkiem zaparciem się siebie, zdążają do ognia i tam dokazują cudów odwagi i zręczności w walce z okrutnym żywiołem! I tylko takiej pracy, częstokroć bohaterskiej, udało się w wielu okolicach wporę stłumić pożary, zapowiadające się bardzo groźnie!..

Już przeto dostatecznie mocno w wielu rodakach utrwaliło się gruntowne przekonanie o niezbędności straży ogniowej w każdem siedlisku ludzkiem.

A czemu jeszcze dotychczas mamy w Polsce zamało straży pożarnych?—Czy tylko dlatego, że jesteśmy zaubodzy na pokrycie kosztów utrzymania wielu drużyn ogniowych?

Nie. Bo co nas drożej kosztuje: pożar, czy straż ogniowa?—Odpowiedź łatwa i bardzo smutna... Już dziś dużo pogorzelców, załamując ręce nad ruinami swego mienia, niezawodnie w głośnem ubolewaniu nieraz wyrażało żal, że dlaczego dawniej nie dawali składki na założenie i utrzymanie straży ogniowej!...

— Gdybyśmy straż mieli swoję u siebie, zpewnością nie bylibyśmy dziś nędzarzami!...

Napewno tak biada mnóstwo pogorzelców! Zmądrzeli poniewczasie!

Ale przecież nie obawa przed kosztami powstrzymuje mnóstwo rodaków naszych od zakładania u siebie straży ogniowych. Bo te koszta nie mogą być duże!—I rodacy nasi wiedzą o tem doskonale!...

O, zgoła inna jest tego przyczyna,—bardzo szpetna i zawstydzająca nas przed światem całym!..

A tą przyczyną jest nic innego, jak tylko twarda nieczułość na dobro powszechne, a niedbałość o swoje!..

— A mnie co obchodzi mój sąsiad?—On może nawet pragnie, żebym się spalił.. Tylko lęka się o siebie, bo to samo spotkałoby i jego... Zresztą nie chcę prosić sąsiadów o założenie straży, bo pomyśleliby, że się boję ognia, albo że zależy mi na ich pomocy, jak na łasce. Nie żądam cudzej łaski. Sam nie dam — i nic nie chcę od nikogo. A kto się lęka pożaru, niech sobie straż zafunduje, bo mnie jest niepotrzebna! Jeszcze czego! Alboż mało mamy różnych wyciągów!.. Ja mam nadzieję, że się nie spalę.

Tak mówi bardzo dużo rodaków — no, i palą się bez ratunku! A potem chodzą, jak nędzarze, po proszonem! — Tak się najczęściej kończy zuchwała lekkomyślność i nieczułość.

Lekkomyślność tedy, jako codzienna u nas nieostrożność i niedbałość powszechna, wszczyna pożary częste,—a nieczułość nie chce je gasić, więc nic dziwnego, że w całej Polsce tu i tam ogień wyrządza szkody niezmierne, uboży naród ciągle, podkopuje byt jego i pozbawia go zaufania u świata.

Świat przecież doskonale rozumie, dlaczego w Polsce bywają tak częste pożary wielkie i szkodliwe.

Polska pali się nie dlatego, że drewniana, lecz tylko z tego powodu, że

**naród polski jest zamało uczciwy moralnie. Zarzut ciężki, lecz prawdziwy!**

Lekkomyślność, u nas niemal powszechna, pochodzi z wielkiego nieposzanowania własnej i cudzej pracy.

A nieczułość — z twardego serca sobkoskiego, zamało, lub wcale nie przejętego miłością chrześcijańską.

O, zapewne, mnostwo rodaków naszych nawet bardzo lubi myśleć o miłości chrześcijańskiej, lecz chcą **z niej tylko dla siebie ciągnąć korzyści.** Słowem, chcą, by współbracia **im służyli** a nie oni współbraciom!...

Owszem, bardzo dużo jest takich rodaków, którzy chętnie przyjmują ratunek od każdej straży ogniowej,—ale gdy wypadnie grosikiem, lub jaką inną ofiarką pospieszyć z pomocą straży, — już wielu rodaków okazuje minę kwaśną i wymawiają się różnemi kłopotami swemi.

Nieczuli oczekują dla siebie pomocy od innych, —lecz sami żadnej nikomu nie chcą okazać.

Jak nazwać taki stan duchowy, bardzo u nas powszechny?

Zapewne może kto zechce nazwać to tylko **ciemnotą**...

Nie,—to nie ciemnota, jeno szpetna nieuczciwość, czyli niemoralność.

**Bo i ciemnota skąd bierze swój początek?**

**Tylko z lenistwa duchowego!**

Leń nie chce się uczyć. A leń—to wielka niecnota dobrowolna, wada haniebna!

Taki leń dobrowolny nawet z własnej szkody nie chce wydobyć dla siebie nauki.

Jeżeli przeto chcemy zapobiedz pożarom w Polsce, przedewszystkiem rozgrzejmy swoje serca miłością chrześcijańską, a więc... wszyscy stańmy się lepsi moralnie, a wówczas napewno każdy rodak już będzie mądry przed szkodą, bo nie poleni się wydobyć dla siebie wystarczającą naukę z smutnej przeszłości, pełnej pożarów, — będzie więc zawsze ostrożnie obchodził się z ogniem i — zaraz przyczyni się do założenia u siebie straży ogniowej, do której wejdą rodacy najżyczliwsi...

Taka czujność narodu nad Polską raz na zawsze zabezpieczy Ją od ognia i od złej sławy u świata.

Tak nam dopomóż, Bóg!

**Cena prenumeraty:** Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

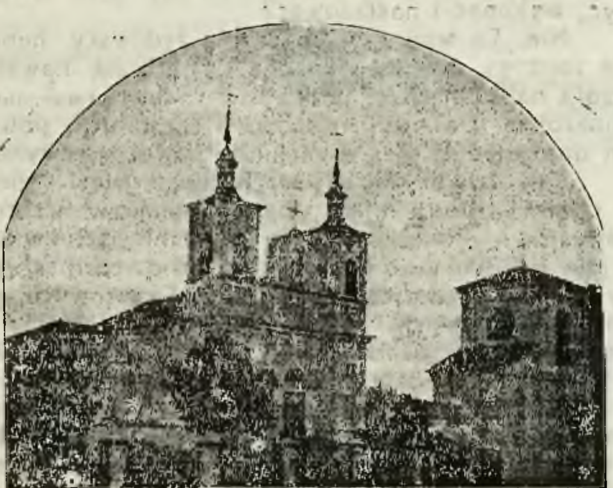
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa

Rok I. Lublin, 9 sierpnia 1925 r. № 32.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Kościół w Dubience.

Dubienka nad Bugiem. Król polski Zygmunt Trzeci pod dniem 10 lutego 1588 roku wyraża: Gdy przełożył nam Jan Sienieński, kasztelan lwowski, starosta horodelski i czorsztyński, że w dobrach naszych w starostwie horodelskiem znajduje się miejsce, sposobne do założenia miasta, my więc dla powiększenia dochodu skarbu naszego i doprowadzenia starostwa do lepszego stanu, zakładamy na gruncie wsi Dębno w województwie bełzkim, nad rzeką Bug, miasto Dembno zwać się mające, polecając temu kasztelanowi, aby przestrzeń miasta, rynku i ulic, pastwiska i łąk wymierzył. Osiadających obdarzamy prawem magdeburskiem, ustanawiamy targ w piątek, jarmarki zaś na św. Wojciech i św. Marcin.—Tenże monarcha, podczas pobytu w Wiślicy, stanowi 22 stycznia 1592 r.: Gdy przełożono nam w imieniu mieszczan, iż w założonem z woli naszej mieście Dubno zaprowadzony targ w piątek jest niedogodny, przenosimy przeto takowy na sobotę.

Na sejmie zaś w Warszawie pozwolił żydom pod d. 28 maja 1593 roku mieć bóżnicę, prowadzić handel, kupować skóry, łój, wosk, wełnę i innym zajmować się przemysłem; w większych i mniejszych częściach sprzedawać mięso w jatkach, po domach, trudnić się oraz wyszynkiem trunków.

Przywilej 31 grudnia 1596 roku w Warszawie dany mieć chce: Gdy nam w imieniu miasta Dembno doniesiono, że na wzniesienie domów i obwarowanie niemałą wyłożyli mieszczanie sumę pieniędzy; chcąc przeto przyjść im w pomoc, aby tem łatwiej zasoby swoje powiększyli, nam i Rzeczypospolitej chętniej usługi swoje poświęcić mogli: dozwalamy im bez opłaty palić i szynkować gorzałkę.

Potem król Zygmunt Trzeci 28 czerwca 1598 r. wydał taki przywilej: Gdy miasto na wzniesienie budowli i obwarowań znaczny musiało ponieść wydatek, uznaliśmy przeto potrzebę nadania mu dochodu z gorzałki, woskobojni, wagi, postrzygalni i od miar zboża, pod warunkiem: aby przychody te na użytek publiczny i obwarowanie były obracane, a liczbę z nich magistrat corocznie przed starostą horodelskim czynił. Dozwalamy oraz wolnego rybołóstwa w rzece i jeziorach na gruncie miejskim znajdujących się, pastwisk w lasach, wrębu na budowę i potrzeby domowe.

Przegląd urzędowy w r. 1665 wylicza cechy, istniejące w mieście: bednarski, kołodziejski i garncarski.

Król polski, August Drugi, potwierdzając prawa, dane poprzednio, zwie miejsce to Dębno, albo Dubienka.

Przegląd urzędowy, w r. 1765 sporządzony, podaje wykaz ulic, zamieszkanych przez żydów wyłącznie. Takich ulic, mających swe nazwy, było tam wówczas cztery. Domów żydowskich było: 34 większych, 14 mniejszych, kramnic 41, piwnych burtaków 5. Chrześcijanie zaś posiadali sześć ulic, a domów 148 i stodół 37. Nadto istniały wówczas w Dubience nad Bugiem szpichlerze do zsypywania zboża, które odstawiano w świat.

Miasto Dubienka i wieś Kładniów nad samym portem, skąd statki najbezpieczniej mają swój wjazd i wyjazd. Do tej przystani dowożą towary z Ukrainy, Wołynia i Podola. A że w Uściługu statków nie budują, to z Dubienki i Kładniowa zbudowane statki do góry do Uściługa holują. U tych portów statków corok po kilkaset zbudują, a od każdego płacą lądowego po czerwonym złotym".

Takie wiadomości o Dubience podało sprawozdanie polskie w r. 1765.

Dwa razy ostatni król polski, Stanisław August, odwiedzał Dubienkę: w r. 1781—i w r. 1787.

W r. 1792 pod Dubienką walczyły z moskalami wojska polskie.

Kościół parafjalny w Dubience zbudowany został w roku 1588 przez Jana Siemieńskiego, wojewodę podolskiego i starostę horodelskiego.

Miasto Dubienkę z kilkumilową przestrzenią kraju po lewej stronie Bugu zagarnęła Austrja w roku 1795.

**Michał Baliński.**

# Pytanie i—odpowiedź.

Rodacy, czy was, bodaj chwilami, nie oburza to, że zbożem polskiem handlują niemal wyłącznie kupcy żydowscy?

— Owszem, oburza to każdego, ale...

— Ale co?

— No, to, prawda, być nie powinno, ale czy w czasach dzisiejszych, zaraz, napoczekaniu da się to urządzić inaczej?

Takie rozmowy nieraz prowadzimy z powodu tej niewłaściwości, doprawdy, nas wszystkich bardzo kompromitującej w oczach Europy.

Bo co obcy o nas, polakach, muszą pomyśleć, gdy wezmą pod uwagę to, że w handlu zbożem naszem ciągle wyręczamy się żydami?

— Chyba w tem nic nadzwyczajnego niema, bo wszakże wszędzie, w całym świecie, wcale nierzadko bywa tak, że producent oddaje produkty swe na sprzedaż kupcom, a dopiero ci rozwożą je w różne strony świata...

— To nie nowina, wszyscy wiemy o tem. Lecz narody światłe i dbałe o dobro swoje nigdy nie pozwoliłyby na to, na co my pozwalamy u siebie!

Każdy naród mądry i szanujący siebie zabroniłby rodakom oddawać swe produkty do sprzedaży kupcom obcym, mówiąc im tak:

— Po co tuczycie obcych swoją pracą, alboż mało macie swoich współbraci, zdolnych do prowadzenia handlu waszemi produktami, a łaknących zarobku uczciwego?

A po drugie, każdy naród, przezorny i pragnący powiększyć swój dostatek, zmierza do tego, żeby jego rodacy, producenci, możliwie najmniej posługiwali się kupcami, nawet swemi, a za to sami organizowali się w spółki handlowe dla zbytu własnych plonów i wyrobów.

Taki ideał ekonomiczny mają anglicy, duńczycy, holendry, czesi, niemcy.

A nam, polakom, czy godzi się pomiatać niem?

A u nas, niestety, sami rolnicy zawsze swoje zboża wtykają żydom na sprzedaż, jak gdyby bądź sami, bądź ich rodacy nie byli zdolni do kupiectwa.

Czy to nas nie zawstydza? — I czemuż tak się dzieje?

Rolnicy nasi zwykli usprawiedliwiać się jedną wymówką, bardzo niedorzeczną, że kupcy żydowscy, prowadzący u nas handel zbożowy, zdawna tworzą jedną organizację wielką, mają pieniądze, mnóstwo swoich ludzi wykwalifikowanych i stałe drogi zbytu, czyli rynki,—a my tego wszystkiego nie posiadamy!..

Czy atoli taka wymówka zdoła usprawiedliwić rolników naszych? — Bynajmniej!

Racja! Bo coby rzekł ojciec synowi, który czas długi był na praktyce u kowala, a nie nauczył się zrobić choćby podkowy i okuć konia?

Napewno prostotnie sfukałby synala niedołęgę:

— A coś ty, taki-owaki, porabiał w kuźni? Tyle lat przebywałeś przy kowalu i dziś nie potrafisz czynić takiego samego rzemiosła, jak on? Toć trzeba być albo ostatnim osłem, albo ostatnim próżniakiem, lub niedołęgą?

— Ojcze kochany, nie gniewaj się na mnie, nie miej mi tego za złe, — probuje synalek-nieuk bronić się przed zagniewanym tatą, — bo kowal już jest stary majster, bardzo wydoskonalony w swoim fachu, ma kuźnię i statki, ma swoich stałych gości,— czy więc godzi mi się dorównać takiemu mistrzowi?...

Ojciec, wysłuchawszy takiej obrony synalka, długo patrzył na niego w milczeniu i kiwał głową na znak zdumienia i ubolewania. A wreszcie zmartwiony tata machnął ręką, splunął i, zakląwszy po staropolsku, zawołał proroczo:

— Oj ty, niedołęgo i niecnoto, jeśli nie masz zdolności i odwagi spełniać takiej samej pracy, jak stary kowal,—to czy wiesz, co cię czeka niechybnie? —Oto to, że będziesz u starego kowala całe życie tylko parobkiem. I jeśli cię ta wróżba nie przeraża, —toś kiep bez odrobiny ambicji!..

A czy jest co takiego w działaniach kupców żydowskich, czegoby rodacy nasi nie potrafili powtórzyć, wykonać i naśladować?

Nie. To wszystko, co czynią żydowscy handlarze zbożowi, nie jest filozofją. A zresztą nawet filozofji najtrudniejszej uczyli się rodacy nasi niejednokrotnie u obcych mistrzów i częstokroć potrafili im dorównać w niej, a niekiedy nawet przewyższyć.

Tak bywa nieraz w każdej gałęzi wiedzy i sztuki! Alboż mało mamy polaków uczonych i artystów? Podobnież bywa i w rzemiosłach i w przemyśle i w handlu. Mamy i w tych dziedzinach pracy ludzkiej mnóstwo znakomitych, wzorowych pracowników polskich, których wytwory i zabiegi, pokazane na wystawach wielkich, uzyskały najwyższe odznaczenia: medale i listy pochwalne!

Świat jest mocno przekonany, że, mówiąc ogólnie, polacy są bardzo zdolni, potrafią, kiedy chcą, i w pracach fachowych nie dać się zakasować anglikom, francuzom i niemcom, wiec, tem mniej, nie daliby się prześcignąć żydom, gdyby jeno chcieli!

Lecz to właśnie bardzo smutne, że... nie chcą, że jak gdyby ociągają się do handlu, leń ich opanował, żydzi im jakoś dogodzili, więc wyręczają się niemi w tak ważnej sprawie, jak w handlu płodami rolnemi!

Ta nasza opieszałość bardzo na rękę żydom. Usługują w sprzedaży zbóż polskich, bo za te usługi zbierają dla siebie zyski olbrzymie! Na dowód wspomnijmy o bogaczach małomiasteczkowych. Toć wśród nich pierwszeństwo zwykle przysługuje tylko kupcom zbożowym. Oni to prawdziwi bogacze, arystokracja w rzeszy żydów małomiasteczkowych. A jeszcze nadaje im znaczenie wielkie i ta okoliczność, że przy tych bogatych głównych kupcach zbożowych żywi się spora liczba drobnych handlarczyków, agentów, czy skupywaczy małych ilości zboża po wsiach

i z furmanek, zdążających ze zbożem na targ do miasteczka.

Jeśli my, jako naród, jesteśmy zdolni do nabywania każdej wiedzy i do wykonywania każdej pracy, choćby najzawilszej i najmozolniejszej, — to, oczywiście, i w handlu każdym, a więc i w zbożowym, potrafimy być biegli i zręczni.

I chyba nikt o tem nie powątpiewa.

Zresztą, gdyby nawet komuś wydało się to nie bardzo pewnem, zdołają go wnet przekonać rodacy nasi w Wielkopolsce.

Tam oni przed laty trzydziestu stanowczo chwycili się nawet handlu zbożowego, bo tak im uczynić doradzała troska o zabezpieczenie swej narodowości przed rosnącą w Wielkopolsce potęgą niemców, trzymających się za ręce z żydami. Tam bowiem niemcy i żydzi usiłowali w sposób zręczny doprowadzić polaków do nędzy, bo trafnie rozumieli, że biedaków najłatwiej zmogą i precz z polskiej ziemi wyrzucą, a dopiero na ich miejscu sami już staną się gospodarzami jedynemi!...

Atoli nadspodziewanie zawiodły ich rachuby! Polacy tam pokazali, co potrafią! Nie dali się! Przewidywali o co chodzi wrogom — i wnet cały handel, a więc i zbożowy, mocno, szybko i stanowczo ujęli w swoje ręce tak skutecznie, że w niedługim czasie żydzi niemal wszyscy wynieśli się z miast i miasteczek polskich w Poznańskiem i na Pomorzu.

Jaki tam dziś miły, czysty, schludny wygląd posiadają miasta nasze! Aż raduje się dusza polska, widząc tam wszędzie na każdym kroku tylko rodaków swoich: i w domach i w sklepach i w bankach i w magazynach, dużych a zasobnych!...

Tam rodacy nasi dowiedli, jak doskonale i bardzo pomyślnie umieją prowadzić wszelkie swoje prace gospodarcze, handlowe i przemysłowe.

Nie szło im to jednak w początkach zbyt łatwo! Napotykali ogrom przeszkód ze strony żydów i niemców. Żydzi wnet pojęli, czem im grozi zbudzona w polakach zabiegliwość pozbycia się we wszystkiem usłużności żydowskiej. Z tego powodu żydzi, nawet bardzo zaniepokojeni o swój byt, chwytali się wszelkich sposobów, byle przeszkodzić rodakom naszym, stawiającym dopiero pierwsze kroki w handlu i przemyśle.

Bez trudu żydzi podjudzali tam przeciwko rodakom naszym niemców, którzy wówczas jeszcze byli panami Wielkopolski i Pomorza. Jakkolwiek niemcy mieli te same zamiary, co żydzi, więc bardzo pragnęli odjąć polakom ochotę do handlu i przemysłu,—jednak nie zdołali, bo ówczesna konstytucja pruska dawała wszystkim obywatelom państwa pruskiego zupełną wolność pracy i organizowania się we wszelkie stowarzyszenia ekonomiczne. Rodacy nasi przeto, korzystając z równych praw, bardzo przezornie i mądrze uspokajali niemców, że chwytają się wszelkiej pracy uczciwej jedynie z troski o polepszenie swego bytu materjalnego.

Tak dalece rodacy nasi byli tam ostrożni, że zawsze na naradach w stowarzyszeniach i w mowach swoich, nawet w statutach nigdy nie wspominali o popieraniu swoich interesów narodowych. Owszem, w swoich stowarzyszeniach pozwalali mieć udział niemcom, jako chrześcijanom. Niemcy narazie nawet chętnie garnęli się do polskich stowarzyszeń handlowych i przemysłowych, bo zazwyczaj były one prowadzone bardzo uczciwie i umiejętnie, a rozwijały się pomyślnie, dając obfite korzyści swoim uczestnikom. Lecz po pewnym czasie niemcy, kuszeni przez niektórych zagorzałych polakozerców, wycofywali się z naszych stowarzyszeń, co, oczywiście tylko na dobre nam wychodziło, bo obecność niemców, bądź-co-bądź, zbytnio krępowała rodaków naszych.

Wprędce tam żydzi i niemcy zdumieni byli, widząc, jak polacy, dotychczas uchodzący za naród niby bardzo niedołężny, nieradny i próżniaczy, żywo zakrzątneli się i w bardzo krótkim czasie, bo w ciągu lat kilkunastu, już potrafili skupić w swoich rękach rzemiosła, przemysł i handel!

Żydzi już tam nie mieli co robić, przeto wynieśli się do Niemiec,—a niemcy, choć zżymali się ze złości, jednak musieli bezsilnie patrzeć na pomyślną gospodarkę polską i ograniczać się tylko do popierania swoich. A tak przedtem byli pewni, że wspólnie z żydami **zjedzą polaków!**

Zawiedli się grubo! Nie zjedli! Owszem, stało się przeciwnie, bo wnet wybuchła wojna — i niemcy z ziemi odwiecznie polskiej poszli precz za żydami do Niemiec.

Tak to szczęśliwie dla nas sprawdziło się stare przysłowie:

**Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada!**

A teraz przypomnijmy sobie, że w nas wszystkich polakach jest zdolność jednaka!

Przeto, co udało się naszym w Wielkopolsce i na Pomorzu, —to samo zpewnością udać się musi nam w całej Polsce!

**Musi — i uda się niezawodnie!**

Zacznijmy tylko handlować własnem zbożem.

Już początki zrobione są tu i owdzie w Kongresówce, nawet dość pokaźne i pomyślne. Ale zdaje się napotkały one jakąś zaporę bardzo wielką, — bo rozwój tych początków **zatrzymał się** i dalej kroku zrobić jak gdyby nie może...

O, tak, zagrodziła mu drogę jakaś potęga niby niewidzialna, tajemnicza!...

No, nie zdoła się ona utaić, bo przecież wszyscy łatwo domyślamy sie, jak jej na imię.

Ta potęga żydowskiego kupiectwa czyni u nas to samo, co ongi czynić usiłowała w Poznańskiem i na Pomorzu. Ale jak jej tam przed laty, tak tu obecnie przeszkadzanie nam w kupieckiej pracy uczciwej i pożytecznej udać się **nie może!**

Jak tam daliśmy sobie radę, tak i tu niechybnie powodzenie pomyślne będzie po stronie naszej!

Oczywiście, kupcy żydowscy całkiem praktycznie i trafnie oceniają grożące im niebezpieczeństwo.

Oto najzupełniej wyraźnie żydzi tutejsi rozumieją, że gdy nam, polakom, uda sie ująć w swoje ręce cały handel zbożowy, to oni już tu, w Polsce popasać nie mogą, bo odjęty im będzie olbrzym i znaczny kawał chleba, zostanie tu zatkane dla nich obfite źródło złotodajne!

Słusznie przewidują dla siebie zmierzch powodzenia swego w Polsce.

Ale nie mogą przecież z tego powodu czynić nam żadnych wyrzutów!

Alboż my obowiązani biedować, byle żydom u nas z krzywdą naszą działo się lepiej?

Prawda?

Każdy przedewszystkiem o siebie troszczyć się powinien, rozumie sie, nie wyrządzając krzywdy innym.

A my wszakże nie pokrzywdzimy żydów, gdy ujmiemy w swoje ręce **cały handel zbożem polskiem.**

Toć zboże jest polskie, więc to praca polska, a przeto praca polska powinna przedewszystkiem polakom dawać zarobki i utrzymanie. Do takiego pierwszeństwa w pracach polskich polacy chyba mają prawo większe, niż wszystkie inne narody?

Prawda? A przecież żydzi sami o sobie powiadają, całkiem słusznie, że są narodem osobnym? Nie mogą mieć przeto żadnej do nas pretensji! My wcale nie sięgamy po ich prace. Niech oni **swemi pracami** podtrzymują siebie i swoich. A my znowu **swemi**—swoich i siebie!

To wszystko jest najzupełniej sprawiedliwe!

**Zatem, zbożem polskiem muszą handlować tylko polacy!**

Narazie jeszcze czas jakiś doznawać będziemy przeszkód ze strony żydów. Ale, napewno, damy sobie z niemi rade!

Niektórzy rodacy zbyt przesadnie wyobrażają sobie potęgę kupiectwa żydowskiego!

Nie jest ono tak straszne, jak je malują nasi tchórze i próżniacy, a marnotrawcy!

Jeśli żydzi nie potrafili pokonać naszych rodakow w Wielkopolsce, gdzie naszych rodaków było nie dużo, a niemców było sporo i byli silni, bo popierani przez swój rząd niemiecki i trzymali się z żydami za ręce,—to już z największą pewnością żydzi w Polsce wolnej nie dadzą nam rady, bo jest nas dużo, a rząd polski musi sprawiedliwie popierać pracę polską dla dobra narodu polskiego.

Żydzi nie mają pieniędzy swoich.

Oni obracają pieniędzmi głównych kupców zbożowych, siedzących w wielkich miastach polskich. A ci główni kupcy żydowscy otrzymują duże sumy pieniędzy z intendentury polskiej.

Przecież Państwo Polskie żywi swoję armję wielką tylko za gotówkę! Nic nie bierze dla swego wojska na kredyt.

Otóż intendentura polska daje głównym kupcom żydowskim olbrzymie sumy na zakup zboża dla armji. Ci kupcy znowu swoim żydkom rozsyłają pieniądze w różne strony całej Polski. I ci żydkowie, jako drobni kupcy zbożowi, nabywają, jak się uda, drożej lub taniej, małe partje zboża, potem je zsypują w pewnych magazynach swoich, a stąd wagonami już wielkie partje dostarczają do miejsc wskazanych.

Żydowskie kupiectwo zbożowe wprawdzie posiada starą organizację, która, jak jedna sieć wielka, okrywa całą Polskę, lecz, wyznać trzeba, niczem nadzwyczajnem nie odznacza się ta organizacja, coby aż musiało budzić w nas trwogę i przestrzegać nas, żebyśmy sie na nią nie porywali, bo jej jakoby nie zmożemy!..

Bynajmniej! Wcale niestraszna!

Tylko dotąd ostoi się ona w Polsce, dopok nasza intendentura z jej usług korzysta i zasila ją swemi sumami olbrzymiemi.

Ale niech jeno intendentura polska przestanie obdarzać ją swemi zamówieniami, — odrazu wielki pająk uschnie, zawieszony na swej niby misternej siatce martwej!...

I to się stać musi!

Do tego **muszą** dążyć wszyscy rolnicy polscy w sposób łatwy i prosty.

Oto powinni uczynić to samo, co żydzi dotychczas czynili u nas, — a więc:

Stworzyć w każdej okolicy wiele drobnych „Rolników“, połączyć je w związki prowincjonalne, a znowu te spoić z jedną centralą wielką, znajdującą sie w stolicy Polski.

Polska centrala zbożowa stale otrzymywać będzie od głównej intendentury polskiej zamówienia na zboże, oraz pieniądze. Te zamówienia i zarazem pieniądze każdorazowo przekaże centrala swoim związkom prowincjonalnym, które znów natychmiast obstalunkami i pieniędzmi obdarzą wszystkie „Rolniki“ swoje..

Tak niebawem zamówienie, dane w Warszawie, jak echo odbije się w całem Państwie i w czasie najkrótszym zostanie załatwione pomyślnie, doskonale.

Niewątpliwie zawodu nigdy nie dozna intendentura, zarówno w terminie dostawy, jak w dobroci plonów,bo „Rolniki“ polskie będą u siebie stosowały duńskie sposoby rewidowania i wysyłki.

Każdy udziałowiec „Rolnika“ będzie miał swój numer na worku. Natychmiastowy zsyp z worka zaraz okaże wartość dostarczonego plonu!

Nie taimy tego, zgodnie z rzeczywistością smutną, że mamy wśród większych i mniejszych rolników sporo ludzi o niskim poziomie moralnym — i tacy dostawcy zechcą nieraz dopuszczać się różnych sztuczek brzydkich. Jednak niezawodnie znajdzie się dostateczna ilość osób uczciwych, które, pracując w zarządach „Rolników“, potrafią zawsze w porę zapobiedz nadużyciu i należycie ukarać winowajców. Jeśli bowiem złoczyńcy umieją niekiedy przebiegle knuć plany oszustwa,—to i uczciwi kierownicy niemniej przemyślnie zdołają zawczasu wykryć występek, następnie surowo skarcić szkodnika.

Ale już z góry można z całą pewnością oświadczyć, że wszelkie dostawy „Rolników“ naszych będą o wiele przewyższały dobrocią i punktualnością dotychczasowe dostawy żydowskie. Pod tym względem nikt z polaków nie zechce powątpiewać.

A nawet dostawy nasze tym dwom wymaganiom będą coraz lepiej odpowiadały, — bo przecież w polskich pracownikach rolnych stopniowo uczciwość stawać się będzie coraz doskonalszą.

A jeśli dziś jest ona w bardzo wielu naszych rolnikach dość wątła, w znacznym stopniu przypisać to

trzeba niedobrym wpływom kupców żydowskich, którzy nieraz umyślnie od naszych rodaków nabywają zboża lichszej jakości, albo nawet w ich oczach lepsze ziarno mieszają z różnem paskudztwem...

Nic przeto dziwnego, że szacherki kupców żydowskich obniżają uczciwość w niejednym rodaku naszym, już i tak skądinąd chwiejnym...

Gdy atoli handel zbożowy z rąk żydowskich przejdzie we władanie Związku „Rolników“ polskich, jako organizacji społecznej, który roztoczy bardzo czujny nadzór nad poszczególnemi „Rolnikami“, a znowu te nad swemi udziałowcami, — niewątpliwie stanie się niemal odrazu znaczne, bodaj tylko powierzchowne, polepszenie uczciwości w dostawcach polskich, bo każdy z nich snadno domyśli się, że gdyby kiedykolwiek popełnił szalbierstwo, niechybnie ono wykryć się musi, a wówczas będzie on skompromitowany wobec całego ogółu i nadto surowo ukarany podwójnie: bo raz za oszustwo, a potem usunięty z grona „Rolnika“, więc wskutek tego sam wyzuje się z prawa zbywania w sposób łatwy i korzystny produktów swoich.

Taka czujność Związku, oraz opinji stowarzyszonych uczestników każdego „Rolnika“, stopniowo musi wzmacniać i uszlachetniać uczciwość w każdym dostawcy.

Przedewszystkiem bowiem Związek, jako dostawca produktów rolnych dla armji Państwa, budzi i pogłebia w każdym udziałowcu przeświadczenie, że każdy z nich osobiście **odpowiedzialny jest moralnie za dobroć całej dostawy,** bo przecież każdy z nich imiennie i stale uczestniczy oraz współpracuje w tej organizacji olbrzymiej, która zobowiązała się dostarczyć armji swoje plony **w dobrym stanie i bez zawodu w terminie oznaczonym.**

Przeto cały Związek „Rolników“ **czcią swoją, czyli honorem** odpowiada za dobroć każdej dostawy swojej!

Nic tak mocno nie zniewala człowieka do przestrzegania doskonalszej uczciwości, jak świadomość, że on występkiem swoim nie tylko siebie, ale też pohańbi imię wszystkich bez wyjątku uczestników organizacji, do której należy.

— Sam pilnuj siebie i jednocześnie pilnuj swoich towarzyszów, ażeby nikt z was nigdy nie dopuścił sie przeniewierzenia, które niechybnie splami was wszystkich i pozbawi zaufania u świata!

Takie jest hasło każdej organizacji społecznej.

Z tego powodu Związek „Rolników“ polskich musi zawsze wykryć każde oszustwo i ukarać je stosownie, bo w przeciwnym razie sam okazałby się albo nagannie pobłażliwym na złe, krzywdzące mnóstwo osób, — albo wielkim niedołęgą, więc przez to samo niezdolnym do podejmowania się dostawy produktów rolnych na potrzeby całej armji polskiej. A przecież powinienby Związek dostawę taką załatwiać o wiele lepiej od żydów.

Żydowskich kupców zbożowych nic nie obchodzi świat, naród polski i — nawet wojsko. Nikt ich nie zna prócz intendentury. Przed nikim, nawet przed intendenturą, nie biorą na siebie odpowiedzialności moralnej,—a zaś od odpowiedzialności sądowej mogą nieraz wykupić się łapówką, o czem nikt nigdy się nie dowie, a do dawania prezentów tacy kupcy bywają pohopni.

I właśnie dlatego kupcy żydowscy mogą wiele krzywd wyrządzić wykpić się zręcznie od wszelkiej odpowiedzialności...

Naród polski nigdy się o tem nie dowie, a jednak sam wiele ucierpi z powodu oszustw w dostawach dla wojska polskiego, popełnianych przez żydowskich kupców zbożowych.

Bo wszakże złe jest zaraźliwe. Tak kupiec zbożowy, gdy oszukuje w dostawach, musi mieć dużo pomocników do spełnienia tego oszustwa. A używa pomocy nietylko swoich wspólników, lecz i rolników i nieraz urzędników różnych.

Tak zły kupiec demoralizuje, czyli psuje moralnie naraz wiele osób. Gdy kupiec dopuszcza się często oszustwa—i gdy takich kupców jest dużo,—to, oczywiście, już łatwo domyślać się, jak duża część społeczeństwa stopniowo słabnie moralnie, a od niej złe szerzy się na cały naród... I oto wskutek tego naród staje się dość lichy, mało ambitny, nie bardzo pracowity, nieufny, zniechęcony—i prawie lekceważony przez obcych, spoglądających na niego niemal z oburzeniem za to, że dozwala u siebie złym gospodarować bezkarnie!

Każdy zły kupiec szkodzi armji, a bardziej jeszcze narodowi.

Naród musi być moralnie doskonalszy!

Tylko od moralności własnej może zaczerpnąć niezbędnej siły do zgotowania sobie doli lepszej.

**A gdy utraci moralność, już niech się spodziewa niechybnej zguby swojej!...**

To jest prawda, niestety, stwierdzona dziejami wielu narodów nieszczęśliwych!...

I nam, polakom, nigdy o niej zapomnieć nie wolno!

Mamy bardzo dużo wrogów i szkódników! A wśród nich są ci najniebezpieczniejsi, którzy usiłują ducha naszego pozbawić uczciwości moralnej.

Wprawdzie dość trudno publicznie uwydatnić szkodliwe działania żydowskich kupców zbożowych, bo przecież oni są bardzo przezorni i chytrzy, nigdy nie zechcą jawnie zdradzać siebie i swoich szacherek, ale my, polacy wszyscy, tak jesteśmy mocno przeświadczeni o gotowości bardzo wielu żydowskich kupców zbożowych do popełniania nadużyć handlowych, że raczej trafnie pomawiamy ich o dopuszczanie się nadużyć, aniżeli o sumienne wywiązanie się z podjętej dostawy.

Co my temu winni, że wogóle żydzi na tak nieszczególną sławę zasłużyli sobie u naszego narodu?

Jak się to stało, słusznie, czy niesłusznie, dociekać tego w tej chwili nie warto, ale obecnie mieć to na uwadzę wypada!

Słowem, milczenie o tem byłoby nie tylko tchórzostwem, lecz czemś gorszem jeszcze, bo lekceważeniem istotnego dobra narodu ojczystego.

Każdy rodak, miłujący swój naród serdecznie, musi szukać sposobów, zapewniających mu szczęście trwałe i chwalebne!

Te właśnie pobudki każą nam stwierdzić, że

żydowscy kupcy zbożowi nigdy nie przyczynią się do uszczęśliwienia narodu polskiego.

Zatem nie im, lecz tylko społecznym organizacjom rolników polskich wypada powierzać dostawy plonów rolnych na potrzeby wojska polskiego.

Z tych dostaw napewno zawsze wspaniale wywiązywać się będzie Związek „Rolników" polskich, bo to wszakże swoja, nawskroś polska, organizacja społeczna!

Swój swemu służy najlepiej!

Co więcej, sam producent swoje plony dostarczy bezpośrednio swemu wojsku, — a dostarczy co do jakości i co do terminu doskonale, tak, że nigdy nie zasłuży na żadną wymówkę.

A skąd taka pewność?

Przedewszystkiem stąd, że u polskich rolników obudzi się sumienie, a więc i poczucie odpowiedzialności moralnej za czyny własne. Z tego poczucia wynika zastanowienie i wstyd, bo czy godzi się własne wojsko oszukiwać, dając mu kiepskie ziarno, dostawę niedbałą, wadliwie przygotowaną i oczyszczoną?

Ale nawet gdyby którykolwiek rolnik był o tyle niesumienny, nieszlachetny i nawet głupkowaty, że skrycie planowałby w swej brudnej duszy sfałszowanie własnej dostawy i chytre wścibienie jej Związkowi tak zręcznie, żeby Związek niby nie poznał się na tem i zapłacił mu, jak za dobry towar, —napewno i taki plan szelmoski udać się mu nie może, bo Związek „Rolników" wnet go pochwyci na gorącym uczynku.

Już bowiem duńczycy potrafili znakomicie udoskonalić sposoby sprawdzania dobroci dostarczonych towarów. Te sposoby pozna Związek polski i zastosuje w Polsce tak pomyślnie, jak w Danji.

I tylko dlatego duńczycy zdobyli wielkie zaufanie w Anglji, dokąd wysyłają mnóstwo produktów swoich w najlepszym gatunku i otrzymują za nie ceny wysokie. Nic dziwnego! Duńczycy są dziś bardzo uczciwi i rozumni, wiedzą wybornie, że odbiorca da się tylko raz oszukać, bo raz sparzony, już nie wróci do oszusta!

Wojsko jest w gorszem położeniu, gdy mu posługują kupcy prywatni, a osobliwie obcy, którym jedynie chodzi o swoje grube zarobki na dostawach...

Duńczycy w wielu swoich działaniach ekonomicznych potrafią obywać sie bez kupców prywatnych, bo nie chcą im powierzać dobrej sławy swego narodu!.. Sami tam producenci zorganizowali spółki handlowe. Nad niemi związki czuwają pilnie, a umiejętnie rewidują każdą dostawę i gdyby nawet komu przyszła ochota dopuścić się oszustwa, — figiel mu się nie uda, bo go zaraz czujny związek przyłapie i tak ukarze, iż raz na zawsze wyrzeknie się szelmostwa.

Każdego duńczyka do przestrzegania uczciwości skłoniło własne przeświadczenie gruntowne, że trzeba być uczciwym, bo przecież wymaga tego nawet troska o własne dobro i o dobro całego narodu!..

Naprzykład, duńczycy zbiorowo przez swoje związki handlowe wysyłają do Anglji masło, jaja i mięso wieprzowe. Za te towary otrzymują w Anglji najwyższe ceny, bo towary są istotnie najlepsze, pierwszego gatunku.

Ale niechby, dajmy na to, któremuś cichemu oszustowi udało się raz ukradkiem wścibić do ogólnej dostawy swój towar lichszy, a wziąć za niego zapłatę, jak za dobry. To jedno powodzenie już zachęciło go do powtórzenia oszustwa. I, dajmy na to, teraz również udała mu się sztuka łotrowska.

Oho, już oszust mocniej! Już dopuszcza się częściej swego występku, bo jakoś słaby jest nadzór! Oszust zwierza się z powodzeniem swojem naprzód przed familjantami, a potem i przed sąsiadami. Złe stopniowo rośnie i rozpowszechnia się, ale niedługo, bo oto anglicy niebawem zmiarkowali, że dostawy stają się coraz lichsze. Gdy raz, drugi i trzeci przekonali się, że dostawy są coraz gorsze, odrazu zrywają umowę z duńczykami. Tak więc z powodu jednego oszusta i zarazem z powodu niedbalstwa związku cały naród duński traci korzystny zarobek i — dobre imię!

Stąd do przestrzegania uczciwości skłania duńczyków zarówno poszanowanie praw Bożych, bo są religijni, — jak również dbałość o korzystniejsze dla siebie zarobki i o zasłużenie u świata na imię dobre, bo są zabiegliwi, rozumni i szlachetnie ambitni.

Na straży tego dobra moralnego, materjalnego i narodowego w Danji stoi doskonalszy zarząd związkowy. On wypracował niezawodny sposób rewidowania wszelkich produktów, dostarczanych przez udziałowców i następnie przez związki handlowe wysyłanych w obce i dalekie strony...

Żaden dostawca duński nie oszuka, bo zgóry wie, że to mu się nie uda, a nadto wie, że gdyby to mu się nawet udało,—odrazu wyrządziłby i sobie i narodowi całemu szkodę niepowetowaną, bo czujni odbiorcy zarazby zerwali umowę, korzystną i chlubną dla duńczyków.

Tak więc Bóg ustanowił prawa moralne po to, żeby one nie oszustom, ale wszystkim ludziom uczciwym zapewniły dobrobyt, wygodę i pomyślność duchową!

Dlatego i my, polacy, powinniśmy naśladować duńczyków naprzód w handlu zbożem polskiem a potem w handlu nabiałem, bydłem i końmi...

Zacznijmy od dostawy zboża polskiego na potrzeby swego wojska dzielnego i ukochanego przez naród cały.

Bo wojsko polskie — to nasze dzieci i bracia!

A co się udało duńczykom, to i nam się uda, bo jak tam lepsi duńczycy, wszedłszy do zarządu związku, umieli czuwać i skłaniać udziałowców do umacniania się w uczciwości, tak i nasz zarząd Związku „Rolników" niezawodnie wdroży wszystkich udziałowców polskich do stałego poszanowania praw moralnych i szlachetnej dbałości o dobre imię narodu polskiego.

Dostawy do wojska polskiego plonów rolnych zwykle przynosiły znaczne zyski żydowskim kupcom zbożowym. Teraz, gdy Związek „Rolników" podejmie się dostawy,—to wszystkie te korzyści materjalne odrazu staną się pokaźnym dochodem tylko naszych rolników.

Te korzyści staną się nagrodą stałej uczciwości wszystkich producentów, dostarczających swe plony rolne przy pomocy „Rolników“ na potrzeby wojska polskiego.

Uczciwość zawsze i wszędzie jest obowiązkiem każdego pracownika.

Miałażby tylko rolników nie obowiązywać?

Nikt nie ma takiego mniemania!

Owszem, dziś bardzo dużo rolników głośno wyraża swoje ubolewanie, czemu handel zbożem polskiem dotychczas prowadzą tylko kupcy żydowscy?

Czy polacy nie potrafią? Czy mniej są uczciwi od żydów?

Na te pytania dała dostateczną odpowiedź wieloletnia praktyka „Rolników“ w Wielkopolsce.

Na umiejętność i uczciwość, nawet wielką, zpewnością **stopniowo** zdobędą się wszyscy rolnicy polscy.

Niech tylko władze wojskowe zechcą dostawę plonów rolnych, na wyżywienie wojska niezbędnych, powierzyć Związkowi „Rolników“ polskich.

Związek nie zawiedzie! Potrafi dostarczyć wszystkich produktów w dobrym gatunku i nigdy nie chybi w terminie!

Owszem, nie skrywamy tego, że poziom moralny u wielu rolników jest—jak się to mówi—niezadowalniający. Ale w dużym stopniu pochodzi to z braku bodźca do pracy i z powodu wmawiania w ogół, że nie potrafi uczciwie wywiązać się z włożonych na niego obowiązków.

Doprawdy, jest źle u nas tylko dlatego, że ogół sam nie chce, choć może, być lepszym. Ale niech władze wojskowe sprobują odwołać się do sumienia, uczciwości i honoru ogółu rolników, a najniezawodniej ten ogół zerwie się do czynu! Wszyscy rolnicy wnet zjednoczą się w „Rolniki“—i punktualnie usypią górę z produktów rolnych na potrzeby swego wojska!

Tylko trzeba naszym rolnikom zaufać, a z głębi ich ducha zacnego wydobędą się na wierzch najlepsze zalety moralne i fachowe.

Zarząd Związku „Rolników“ zdoła nadać stały porządek działaniom handlowym poszczególnych „Rolników“.

A z tych działań wynikną wprędce zbawienne następstwa dla całego narodu polskiego i dla Państwa Polskiego.

Bo wreszcie rodacy uwierzą we własne siły swoje, nąbędą przeświadczenia, że są pożyteczni dla swego wojska i kraju, -- i z teorji przejdą do praktyki, okazując światu, że naprawdę są gospodarzami w Polsce, że nie są kalecy lub niedołęgi, nie potrzebują wyręczać się obcemi w handlu zbożem i w dostawach dla swego wojska, nadto, nakoniec, sami przekonają sie, co wyjdzie im na dobre, że każdy pracownik najlepsze i najpewniejsze dla siebie osiągnie korzyści, należąc do właściwej organizacji społecznej.

Stowarzyszenie — to potęga!

Rolników mamy w kraju najwięcej, — a jednak wszystkie niemal ziemiopłody i wogóle wytwory gospodarstwa wiejskiego dostają się na sprzedaż w ręce kupców żydowskich.

A dzieje się to tylko dlatego, że rolnicy nasi dotychczas jeszcze (za wyjątkiem Wielkopolski) nie stworzyli swoich stowarzyszeń ekonomicznych.

Zboża, okopowizny, nabiał, drób, bydło, konie, warzywa, owoce, miody,—wszystkie te towary gospodarstwa wiejskiego, — zbywane są częstokroć przez pośredników obcych, bardzo wyzyskujących niezaradnego rolnika polskiego.

Gdy powstaną „Rolniki“ wszędzie, w całym kraju,—i gdy one zjednoczą się w jeden wielki związek, —tylko narazie zaprzątną się dostawami produktów na potrzeby wojska, ale napewno wnet podejmą się i wielu innych zatrudnień, bardzo korzystnych dla każdego gospodarza.

Następstwa takiej działalności „Rolników“ będą błogosławione, bo stanowczo wzmoże się zamożność bardzo wielu rodzin rolniczych, przybędzie sporo nowej pracy dla licznej rzeszy ubogich rodaków, wojsko będzie zadowolone z dostaw, a władze unikną kłopotów, na które dziś często bywają narażone z powodu kupców żydowskich, a znowu cały naród przez te nowe zabiegi stanie się mocniejszy i bezpieczniejszy, nawet w świecie zyska poważanie, bo przecież świat szanuje i potrzebuje przyjaźni tylko silnych i zamożnych narodów, a słabemi i ubogiemi gardzi...

Kiedyż więc nastanie dla nas tak błoga zmiana?

Kiedy?

Na to pytanie łakniemy wszyscy jednej odpowiedzi:

**Im wcześniej, — tem lepiej dla całego narodu polskiego!**

A od kogo zależy przyspieszenie?

Tylko od rolników naszych.

Niech istniejąca w Warszawie „Centrala Spółek Rolnych“ wyjedna u władzy wojskowej zamówienie na dostawę produktów rolnych, następnie rozda zamówienie poszczególnym „Spółkom Rolnym“,—a już zostanie zrobiony początek. Ten początek przekona, że rolnicy polscy nie zrobią zawodu.

Ufać im można — i — należy!

A więc w imię Boże do nowej pracy!

---

Żyjcie pełni nadziei w zwycięstwo prawdy.

F. H. Duchiński.

---

Patrzcie na orła, co swych skrzydeł końcem
Przemaga falę powietrza upartą
I leci w niebo witać się ze słońcem
Żrenicą jasną, dumną, bo otwartą!
Nam, jak ten orzeł, żyć i walczyć trzeba:
Całym rozmachem wewnętrznej potęg
Łamać przeszkody i wzniosłym duchem
Porwać za sobą świat w słoneczne kręgi,
A serca ludzkie otwierać dla nieba!

G. Daniłowski

---

W pracy szczęście, ale wtedy tylko, gdy ta praca z miłości pochodzi.

Wojciech Dzieduszycki.

# Polscy żeglarze u Ojca św.

Wojskowy okręt polski, pod nazwą „Lwow", popłynął do Włoch. Żeglarze nasi, obsługujący ten okręt, korzystając z kilkudniowego pobytu we Włoszech, udali się do Rzymu i tam zapragnęli przedstawić się Ojcu św. Jakoż przedstawiciel Polski, jako ambasador, stale przebywający przy Stolicy Apostolskiej, wyjednał u Papieża, Piusa XI, łaskawe posłuchanie. Stawili się wszyscy żeglarze nasi ze starszyzną swoją i sztandarem na czele przed Papieżem, Piusem XI, który, jak zwykle, tak i teraz z wielką życzliwością, nawet serdecznością, przemówił do nich dwukrotnie, rozmawiał niemal z każdym uprzejmie, wypytywał ciekawie o różne sprawy Polski, dla której żywi szczególniejsze uczucie umiłowania i wielką troskę o jej pomyślność i chwałę.

Wreszcie Papież pobłogosławił sztandar naszych żeglarzy, a zauważył na tym sztandarze napis łaciński: „Semper fidelis", co znaczy po polsku: „Zawsze wierny".

Czytając ten napis Ojciec św., uśmiechnął się zadowolony i tak zapytał obecnych rodaków naszych:

— Ale czemu zawsze fidelis (wierny)?

I zaraz sam na to pytanie swoje tak odpowiedział:

— Bądźcie zawsze wierni swym obowiązkom, dobrym intencjom, wierze i ojczyźnie.

Odwiedziny te u Ojca św. mocne zrobiły wrażenie na żeglarzach naszych; całe życie pamiętać je będą. Ależ i dla wszystkich polaków są one miłe i pożyteczne, bo świadczą, że Ojciec św. zawsze jednakowo pamięta, miłuje i błogosławi Naród Polski.

A wszakże dla Polski pomoc moralna Papieża, jako Ojca całego chrześcijaństwa, zawsze ma niezmiernie wielkie znaczenie!

# LIST Z BYCHAWY.

Pomału, ale posuwamy się naprzód.

Nasze Koło Polskiej Macierzy Szkolnej urządziło wybory do zarządu. Powołano pięć osób, jako czynnych członków, a dwie na zastępców. Już odbył zarząd pierwsze posiedzenie swoje i na niem postanowił przystąpić niebawem do wykonania trzech prac niezbędnych w Bychawie:

1. stworzyć czytelnię, bardzo zasobną w mnóstwo książek ciekawych i pożytecznych;
2. urządzać stałe pogadanki i czytania głośne przy pomocy przezroczy,
3. założyć w Bychawie szkołę krawiecką dla chłopców.

Oczywiście, prace te zarząd Macierzy powinien wykonać jaknajspieszniej!

Już miejscowe koło młodzieży zapragnęło przyjść Macierzy z pomocą i w tym celu urządziło d. 19 lipca w domu ludowym bardzo pracowite i piękne przedstawienie teatralne, z którego dochód oddało na potrzeby Macierzy.

Szlachetna intencja, — a i praca była, istotnie, nader starannie wykonana.

W przedstawieniu brała udział miejscowa młodzież, uczęszczająca do szkół lubelskich i do szkoły bychawskiej. Teraz wakacje, wszystka bawi u rodziców, więc zapragnęła sprawić tutejszym mieszkańcom, a i swoim rodzinom bardzo miłą rozrywkę, nawet uciechę, no—i wspomódz dochodem tak sympatyczną instytucję, jak Polska Macierz Szkolna.

Zamiar swój młodzież zacna spełniła ochoczo serdecznie i z wielką troską o stronę piękną sztuki. Bo też podjęła się zagrać sztukę trudną, ale bardzo powabną: „Kopciuszka", napisaną przez Gensównę.

Sztuka wprawdzie niedługa, lecz urozmaicona i wymagająca wielu zachodów. Składa się z siedmiu aktów krótkich, jednak niemal wszystkie osoby grające ubiory mają na sobie ozdobne, bardzo pracowicie przygotowane. A dekoracje wymagały dużych zabiegów.

Całość wypadła znakomicie!

Młodzież grała zupełnie poprawnie, nawet wybornie. Publiczność darzyła wszystkich grających gorącemi oklaskami, na które bardzo zasłużyli!

W końcu przedstawienia cztery pary dziewczek, pięknie ubranych, wykonały tańce zamaszyście. Taniec składał się z wielu figur, nader wdzięcznych.

Tancerki, doprawdy, wykazały wielki zapał, zręczność i sprawność.

Rozumie się, tańce są bardzo miłą rozrywką i ozdobą, ale raz jeszcze godzi się przedewszystkiem za wykonanie piękne „Kopciuszka" serdecznie podziękować grającej młodzieży naszej ukochanej — i dwóm cichym a skromnym organizatorkom przedstawienia: Leokadji Luterkównie i Janinie Wesołowskiej. Obie włożyły w przygotowanie przedstawienia wielki swój mozół, umiejętność, oraz zrozumienie czaru sztuki.

Godzi się wyrazić tym pracownicom cichym serdeczną podziękę i uznanie, — ale też uczynić im wymowkę: czemu częściej nie urządzają przestawień teatralnych, które widocznie potrafiłyby zorganizować doskonale, a które przecież stanowią jedno z najmilszych i najpożyteczniejszych rozrywek świątecznych. Dziękujemy za już, a bardzo prosimy o jeszcze!

# Z KUJAW.

Miasteczko Lubraniec ma u siebie stowarzyszenie okolicznych rolników pod zwykłą nazwą „Rolnik". Kierownikiem jego jest p. Bogumił Panasiewicz. „Rolnik" prowadzi handel zbożem, paszą, żelastwem i narzędziami, niezbędnemi dla gospodarzy. Opodal stoi młyn, zbudowany przez rolników. Młyn ten jest wielki, przerabia 3 wagony zboża dziennie. Istnieje też w Lubrańcu wielka parowa maślarnia współdzielcza, założona przez tegoż p. B. Panasiewicza jeszcze w r. 1911. Ma 3 działy. Przerabia ona rocznie mleka przeszło miljon litrów!—Jest też pod Lubrańcem w Marysinku szkoła rolnicza dla dziewcząt wiejskich, założona przez małżonków Grodzickich, obywateli miejscowych, którzy też na potrzeby tej szkoły nadto ofiarowali 16 morgów ziemi.

Takich Lubrańców miejmy w Polsce bardzo dużo, a zakwitnie w niej dostatek i pomyślność!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 16 sierpnia 1925 r. № 33.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Obrazek ten daje nam pojęcie o tem, jakie przeszkody wojsko musi pokonywać podczas wojny. Artylerja wspina się na szczyt stromej góry. Żołnierze i konie narażeni są na wielki mozół i niebezpieczeństwo. Z takim trudem wypada bronić Ojczyzny, kiedy źli ludzie, jako jej wrogowie, czynią napaść zdradziecką. Żołnierze, wierne dzieci Matki-Ojczyzny, wtedy poświęcają siebie i, gotowi na wszelkie niebezpieczeństwa,—wolą raczej umrzeć, aniżeli wpuścić wroga do kraju! A naród cały swoim żołnierzom ukochanym błogosławi serdecznie, bo rozumie doskonale, że od ich męztwa i ofiarności zależy jego bezpieczeństwo i niepodległość.

Zawsze przeto serdeczna cześć od całego narodu należy się naszym zacnym Żołnierzom, obrońcom Ojczyzny!

# To jest niezbędne!

Gdyby kogo zagadnięto, co uważa dla siebie za niebędne, może narazie wyszczególniłby dwie-trzy rzeczy. Bo nagle zaskoczony takiem pytaniem, tylko tyle w tej chwili miał na myśli.

Ale gdy zacznie dłużej zastanawiać się nad tem wszystkiem, co jest mu naprawdę w życiu codziennem niezbędne, aż za głowę się weźmie ze zdumienia, że tak dużo przydałoby mu się rzeczy!

Sam jednak upatruje w tej niezbędności kolejność. Niektóre bowiem rzeczy są niezbędniejsze od innych, również niezbędnych.

Oto każdy jednako oświadczy, że przedewszystkiem niezbędne jest—zdrowie.

Prawda! Ale zaraz po zdrowiu przyznajemy pierwszeństwo — pożywieniu.

O, tak! A po pożywieniu—odzież. A po odzieży—dach nad głową niezbędny.

Teraz jużby wypadało wyszczególnić pracę, jako również bardzo niezbędną.

Chyba jeszcze nie. Bo przed pracą niezbędna siła do pracy. A tę siłę ma nie każdy, choć jest zdrowy. Naprzykład dziecko małe. Ono wprawdzie zdrowe, lecz jeszcze zasłabe do pracy zarobkowej!

Wreszcie uznajemy, że każdemu, kto ma siłę, niezbędna praca.

Czy tylko siła potrzebna, nic więcej?

Owszem, jeszcze niezbędna umiejętność fachowa. Kto posiada doskonalszą biegłość fachową, ten wykona pracę lepiej, a więc pożyteczniej dla innych, a korzystniej dla siebie.

Jednak, zdaje się, obok umiejętności fachowej coś jeszcze niezbędnie posiadać należy przed pracą.

Bo przecież bywa tak, nawet nierzadko, że ktoś jest fachowo bardzo zdatny, ale przytem niedbaluch, albo niesumienny,... złośliwy... Taki mógłby wykonać swoję robotę doskonale, lecz nie chce! Rozmyślnie partaczy, robi, aby zbyć, aby złapać pieniądze, albo aby swoją fuszerką zaszkodzić komu.

Tak bywa. Zatem, prócz umiejętności fachowej jeszcze niezbędna uczciwość, nabyta wychowaniem starannem.

Już niezbędnych rzeczy szereg długi urósł,— bo aż osiem:

Zdrowie, pożywienie, odzież, dach, siła, zdatność fachowa, uczciwość i praca...

Czy na tem koniec?

Bynajmniej! Bo oto już jawi się pytanie:

Co chce człowiek osiągnąć pracą swoją? Jeśli podjął się pracy, widocznie coś chce z jej pomocą zdobyć, jako niezbędne dla siebie.

Czy ludzie pracują tylko dla chleba? Nie. Jest mnóstwo takich pracowników, którzy pragną pracą swoją jeszcze przysporzyć dobra rodzinie, społeczeństwu, narodowi, ojczyźnie.

Chcą być pożyteczni. Chcą czynić przysługi współbraciom swoim. Uważają taką usłużność swoję za niezbędną powinność, za święty obowiązek własny. I gdyby tej niezbędności nie spełnili, poczytywaliby siebie za bardzo nieszczęśliwych.

A skąd wzięła się w ich świadomości i ta jeszcze niezbędność?

Tylko dobre wychowanie rozniecilo ją w nich i nawet bardzo wypielęgnowało.

Rozróżnić przeto wypada:
wychowanie moralne,
wychowanie obywatelskie—i—
wychowanie fachowe.

Kto zabiera się do pracy, jako niezbędnej czynności, powinien przedewszystkiem posiąść te trzy wychowania, również niezbędne!

A kto ma dać pracę łaknącemu jej?

Czy sam sobie każdy dać ją zdoła? Czy w swoim warsztacie? Czy w obcej fabryce?

Zależy to od okoliczności.

Nie to jest niezbędne: gdzie i u kogo, ale to jedynie, żeby praca odpowiadała upodobaniom i zamiarom pracownika.

On za niezbędne dla siebie uważa to jeno, żeby spełniał pracę umiłowaną — i żeby przez nią osięgał cele upragnione.

Człowiek tęskni do pracy swojej. Upodobał ją sobie, czuje się szczęśliwym, gdy jej oddać się może całą duszą!

Ale nadto ma na widoku conajmniej dwa cele, związane ściśle z jego pracą: korzyść swoję — i pożytek dla ogółu.

Byłby smutny, zgnebiony myślą swoją, gdyby przekonał sie, że jego praca nikomu nieprzydatna. On chce być bodaj małej gromadce pożyteczny! Chce stać się ludziom przez swoję pracę niezbędnym.

To mu do szczęścia niezbędne.

Jednak chce z pracy swojej czerpać i dla siebie korzyści. Im obfitsze, tem lepiej. Ale conajmniej te korzyści muszą zaspokoić cały szereg jego niezbędności.

Toć on z swojej pracy niezbędnej i pożytecznej musi mieć dla siebie dochód dostateczny...

Na jeden dochód z pracy patrzy dużo potrzeb pracownika.

Oto musi on wystarczyć na kupno chleba i odzieży, na wynagrodzenie dachu nad głową, na dalszą naukę, — bo przecież każdy całe życie uczyć się musi,—na rozrywki, na odpoczynek, na czarną godzinę, na stare lata, wreszcie na godzinę śmierci.

Do tych potrzeb jeszcze dodać należy utrzymanie i wychowanie własnego potomstwa, oraz przygotowanie go do pracy uczciwej i pożytecznej.

Te wszystkie niezbędne wymagania zaspokoić musi jeden dochód z pracy każdego pracownika.

W jaki sposób stać się to może?

Tylko jeden jest na to sposób niezawodny:

**oszczędność.**

Z zarobku swego każdy pracownik **musi część pieniędzy odłożyć, czyli zaoszczędzić** na przewidywane, ale niezbędne wydatki.

Jeżeli nie zaoszczędził, a zjawi się przewidywana potrzeba, odrazu wpada w kłopot wielki: grozi mu niechybna niedola, utrapienie, a niekiedy nawet nędza!

A czemuż nie zaoszczędził? Czy tylko dlatego

że nie mógł? Niestety, zdarza się częstokroć tak, że **nie chciał**, choć mógł i powinien był!

— Nie chciał oszczędzać, kiedy mógł, a oto teraz spadło na niego nieszczęście i nie ma się czem ratować. Sam sobie winien! — Tak nieraz znajomi opowiadają o niektórym pracowniku.

Ale gdyby i tych znajomych zapytać, czy przynajmniej oni są lepsi od niego, czy robią jakiekolwiek oszczędności, — napewno, stropieni, odparliby nieśmiało, że i oni nie mogli, bo tak jakoś schodziło, nie było z czego, lub miewali wydatki wielkie, niespodziewane!

Otóż najczęściej okazuje się, że powszechnie wszystkim znana jest oszczędność, nawet mówią o niej, że niezbędna, lecz, ogólnie wyrażając się, niezmiernie mało jest takich pracowników, którzy stale robią oszczędności, powodowani przezorną troską o przyszłe swoje potrzeby niezbędne.

Czemuż oszczędność bywa tak często lekceważona, jakkolwiek każdy rozumny musi uznać ją za niezbędną?

Owszem, rozumnych jest bardzo dużo,— a oszczędnych jest bardzo mało.

Dlaczego tak się dzieje? Czy oszczędność—to sztuka niezmiernie trudna?

Słusznie nazwaliśmy oszczędność sztuką. I ona istotnie jest bardzo trudna, lecz tylko dla tych, którzy jej nie nauczyli się jeszcze. Natomiast bardzo łatwo udaje się tym, którzy do niej zostali wdrożeni starannie.

A w jaki sposób można tę sztukę, wielce niezbędną, posiąść?

Tylko przez odpowiednie wychowanie, które musi wypielęgnować niezbędne zalety charakteru.

Nikt nie nabędzie sztuki oszczędności ani przez upomnienia, dawane mu w formie choćby najpiękniejszej i najmocniej przekonywającej, ani przez bolesne cięgi losu, ani przez czytywanie książek i artykułów, zachęcających do robienia oszczędności.

Słowem, nikt nie jest w mocy dać komukolwiek sztukę oszczczędzania, jako, dajmy na to, podarek piękny.

Ach, jakby to było dobrze, gdyby np. ojciec mógł ofiarować w podarunku synowi swemu gotową sztukę oszczędzania! Jużby w ten sposób niezawodnie obronił syna przed nędzą, w którą on kiedyś wpadnie po śmierci ojca, jakkolwiek odziedziczy po nim znaczny majątek, ale roztrwoni go szybko wskutek własnego marnotrawstwa!...

Niestety, sztuki oszczędzania nikt gotowej nie nabędzie, bo to przecież niemożliwe!

Toć taka sztuka to nic innego, jak tylko kilka wypielęgnowanych zalet charakteru, działających razem podług wskazówek doskonalszego rozumu, — więc:

odwaga
silna wola,
panowanie nad sobą,
umiłowanie niezależności,
ambicja szlachetna, skłaniająca do pomagania samemu sobie, do powiększenia własnej fortuny, wreszcie do nabycia możności wspierania hojnie współbraci swoich.

Niepodobna odrazu dowiedzieć się, czy ktoś stał się już zdolnym i w jakim stopniu do robienia oszczędności. Przekonają o tem dopiero częste jego postępki codzienne.

Ktoś, dajmy na to, zachęcony przez kolegów swoich do składki na urządzenie zabawy dość kosztownej, skromnie lecz stanowczo odmawia, mówiąc wyraźnie i odważnie, że wydatek taki uznaje za zbyteczny.

Potem ten sam młodzieniec doznaje jak gdyby pokusy na widok ładnego ubrania u swego przyjaciela. Budzi się w nim chętka kupienia dla siebie podobnego stroju. Lecz wnet opamiętał się, przyszła rozwaga. Wszakże ma odświętne ubranie jeszcze w dobrym stanie. Po co więc wydawać na drugie? Czy dlatego, żeby zadowolnić swoję próżnostkę, lub żeby napaść cudze oczy? Czy sprawa taka warta wydatku większego?

Odbywa się w duszy tego młodzieńca jak gdyby walka między łaknieniem olśnienia ludzi nowem ubraniem swojem, a radą rozumu, ganiącą taką chętkę do zrobienia zbytku.

Patrzmy, co uczyni ów młodzieniec

Spokojnie i nawet z zadowoleniem zaniechał sprawunku.

To nas utwierdza w mniemaniu, że ów młodzieniec jest nietylko rozumny, ale potrafi rady swego rozumu wykonać, a więc ma w sobie odwage, bo mówi prawdę swoim towarzyszom, nie wstydzi się przyznać do oszczędności, — ma też silną wolę, potrafi spełnić wskazówki rozumne, wreszcie odznacza się panowaniem nad sobą, bo niedorzeczna chętka naśladowania cudzych strojów nie wzięła w nim góry, oparł się jej łatwo i niejako odrazu!

To wszystko świadczy, że niezbędne zalety charakteru są w nim już dość krzepkie, a więc starannie wypielęgnowane stałą i długą czujnością!...

Jednak jeszcze brak nam jednej wiadomości niezbędnej do wydania sądu o moralnej wartości jego sztuki oszczędzania.

Oto chcemy dowiedzieć się: z jakich pobudek, w jakim celu jest on oszczędny?

Może dlatego, że kocha pieniądze, że chce mieć ich jaknajwięcej? Może łaknie zczasem posiąść sławę bogacza i patrzeć wyniośle, jak przed nim, jako bogaczem, tłumy pokorne rozstępować się będą, nadskakiwać i umizgać się służalczo?

A może dlatego, że chce na własność nabyć dla siebie warsztat pracy? A może chce zabezpieczyć sobie ratunek, gdy go spotka jaka przygoda nieszczęśliwa? Wreszcie może chce zgromadzić więcej grosza dla swego brata młodszego, którego radby posłać do szkoły?

Sztuka oszczędzania jest niezbędna, lecz powinna być ozdobiona stałym zamiarem zawsze szlachetnym.

Tylko w takim razie sztuka oszczędzania staje się piękną i niezbędną zaletą duszy ludzkiej.

Atoli nietrudno zauważyć u niejednego dziwną sprzeczność w poglądach na znaczenie pieniędzy i na wartość sztuki oszczędzania.

Oto są tacy, którzy poprostu uwielbiają pieniądze, uważając je za rzecz najważniejszą w życiu człowieka. A jednak ci sami wstręt czują do oszczędności, poczytując ją niemal za brzydką wadę, albo za cechę zimnej duszy, rozmiłowanej jedynie w rachunkach i niezdolnej do wspaniałomyślności.

Tacy mylą się fatalnie! Bo przecież pieniądze nigdy nie są rzeczą najważniejszą. Owszem, są tylko niezbędne. Lecz nie one jedynie, bo również mnóstwo innych rzeczy wszyscy uważamy słusznie za bardzo niezbędne, jak chleb, wodę, ogień, powietrze, naukę, rozum, serce, pracę i t. d.!

Pieniądze w życiu ludzkiem są jedynie narzędziem do osiągania zamierzonych celów.

Krótko a dobitnie wyraził się o nich anglik, Dean Swift, tak:

**Trzeba mieć pieniądze w głowie, a nie w sercu.**

A jednak spotyka się i takiego wśród ludzi, który właśnie pieniądze swoje ma w sercu, bo umiłował je nadewszystko, jako sknera. Lubuje się ich widokiem, weseli się myślą, że je posiada i że przybywa mu ich coraz więcej, ale na nic je nie wyda, woli głodować, nędzny wieść żywot, jak żebrak ostatni!

Oczywiście i ciułanie pieniędzy, robione przez sknerę, czyli skąpca, także nazwiemy sztuką oszczędzania, lecz jego celu nikt nie pochwali, bo chodzi mu tylko jak gdyby o rozkoszowanie się posiadanemi pieniędzmi. Sknera jest niejako żywą skrzynią do chowania robionych oszczędności. Tylko tem, niczem więcej! Przyjdą inni, może najgorsi ludzie, wyjmą z tej skrzyni, już martwej, gotową sumę i roztrwonią ją szybko a haniebnie!..

Tak bywa podobno nierzadko!

Wartość moralna, ekonomiczna, społeczna i narodowa oszczędności całkowicie zależy od celu, dla którego została przedsiębrana. Bo rozmaite pobudki skłaniają ludzi do robienia oszczędności.

Jeden zbiera, żeby mógł pojechać do Częstochowy, lub do Ziemi Świętej. Inny skąpi sobie, żeby mógł uciułać na kupno ziemi, albo warsztatu. Jeszcze inny oszczędza, bo chce stać się członkiem stowarzyszenia spółdzielczego. A znowu ktoś inny odkłada pieniądze na dar narodowy, lub na pożyczkę państwową.

Kogoś owładła jedna myśl na długie lata i pod jej naciskiem stale odmawia sobie wiele, byle tylko na jej spełnienie zdołał oszczędzić jaknajwięcej pieniędzy.

Ktoś inny nie lubi oszczędzać, nawet „nie lubi długo trzymać pieniędzy". Tak mówią znajomi o niejednym...

Owszem, on lubi pieniądze, chętnie je bierze, choćby jaknajwięcej, lecz w głowie jego coraz nowe zjawiają się myśli i pobudzają do robienia sprawunków. Zaprzątnięty mnóstwem upodobań chwilowych, zawsze gotowy kupić choćby świat cały. Co zobaczy,—już go bierze chętka do nabycia. Nie zastanawia się nad tem, czy to mu potrzebne! Nowość go bawi.

Kupcy znają tę słabostkę powszechną i dlatego w swoich oknach sklepowych wystawiają mnóstwo przeróżnych towarów, które widokiem swoim wabią ciekawych i kuszą do nabywania. Niejeden, zobaczywszy jakąś rzecz powabną w oknie sklepowym, już odrazu nabrał chęci gorącej, biegnie do sklepu i nabywa,—a po chwili przekonywa się, że jest mu mało, lub wcale niepotrzebna! Jednak doświadczenie takie nie uleczy go z raptownej gorączki. Wpada w nią często, ilekroć ma w kieszonce trochę pieniędzy. Bywa tak, że niejeden, znając taką słabostkę swoję, umyślnie pieniędzy przy sobie nie nosi, żeby nie wydawać je na rzeczy niepotrzebne!

O, bardzo dużo jest ludzi lekkomyślnych, jak się to mówi: bez zastanowienia! W głowach im się pali! Chwiejni, ulegają ciągle chwilowym podnietom. Gotowi wydać wszystkie pieniądze swoje, ciężko zapracowane, na byle głupstwo, na sprawunek zbyteczny i przepłacony! A potem cała rodzina nie ma pieniędzy na rzeczy najniezbędniejsze! Stąd w domu swary, smutek i—niedola! Wreszcie handlarzowi ulicznemu za bezcen sprzedaje wczorajszy sprawunek kosztowny!

Benjamin Franklin, sławny mędrzec amerykański, opowiada w swoim Pamiętniku, że kiedy był małym chłopcem dostał od ojca drobną sumkę pieniędzy—i z nią udał się na targ, gdzie wpadła mu w oczy piszczałka. Oddał za nią kupcowi wszystkie pieniądze i wrócił do domu bardzo uradowany nowym nabytkiem. Ale wnet obstąpili go bracia i siostry, zapytując, ile za nią zapłacił. Odparł dobrodusznie, że oddał wszystko co miał przy sobie. Rodzeństwo wybuchnęło śmiechem, przekonywając go, że ogarnęła go gorączka i przepłacił grubo!

Dał się przekonać — i tak zapamiętał tę gorzką naukę, że już całe życie była mu ona zawsze przestrogą. I gdy kiedykolwiek powziął zamiar zrobienia jakiegoś kupna, pierwej starannie zastanowił się nad tem, mówiąc sobie: **nie przepłać piszczałki!..**

Zaprawdę, nieszczęsny jest ten, którego trzeba porównać z domem zajazdnym. Coraz to inna myśl, inne upodobanie w nim gości. W ciągu dnia jednego miewa dziesięć zamiarów i postanowień, a każde odmienne i chwilę tylko górujące, bo wnet gaśnie, ustępując miejsca innemu

I tak ciągle, codziennie, aż do śmierci!

U takiego kieszeń zawsze dziurawa, a więc i pusta!

Nieszczęsny on, ale i rodzina przy nim bardzo nieszczęśliwa.

A gdy takich nieszczęsnych trwonicieli mnóstwo znajduje sie w którem społeczeństwie, to co wypadnie rzec o tem społeczeństwie? A no, to samo co i o każdym poszczególnym trwonicielu, że jest nieszczęsne, że byt ma niewesoły, nawet niepewny. Bo lada chwila mogą je kupić i wysiedlić przebiegli pieniężnicy...

Czy nie w taki sposób u nas żydzi wysiedlil dziedziców z bardzo wielu dworów?

Pan miał wielki majątek, fortune olbrzymia!. Pola, lasy, łąki, młyny, folwarki, stada bydła, owiec koni! Zdawało się, że tyle mienia wystarczy całej rodzinie dziedzica na zawsze!

Gdzietam! Wszyscy oni ciągle kupowali piszczałki, zadrogo za nie płacąc! A gdy zabrakło dochodów z majątku, żydzi pożyczali. Długi rosły, procentów przybywało — i oto przyszedł moment, iż trwoniciele musieli ustąpić przed żydem oszczędnym stale zasobnym w grosiwo!

Taki koniec musi spotkac kazdego trwoniciela.

A jest ich w naszem społeczeństwie jeszcze bardzo dużo!

To są dojutrki! Bo myślą tylko o dniu dzisiejszym. Dziś wydają wszystkie pieniądze! Ludzie prawie bezmyślni! Nie zdają sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwa narażają siebie i tych, których los mają w swojem ręku! Niech jutro spadnie na nich jaka zła przygoda,— a już są bezsilni nędzarze!

Czy taka przygoda im się nie przydarzy? Czy kto ich upewnił?—Nikt. A jednak ciągle żyją lekkomyślnie z dnia na dzień! Kiedykolwiek niechybnie przyjdzie i dla nich jutro okropne... A będą zpewnością nieprzygotowani.

Niedola straszna czeka bardzo wielu tych, którzy dziś wesoło, nieopatrznie szafują groszem zbywającym!

Gdybyście dziś znali tę swoję straszną godzinę przyszłą,... sama myśl o niej zdjęłaby was trwogą okropną i skłoniła do oszczędności!

Oto niejeden, dziś zdrowiuteńki, zgoła nie myśli o tem, że kiedyś zachoruje obłożnie. Na ratunek nie znajdzie w swojej kieszeni dostatecznej sumy pieniędzy.

Dziś tylko pociesza się myślą, że... jakoś to będzie! Zresztą nawet myśl taką odsuwa od siebie, jako niewesołą zapowiedź. Bo już zawczasu domyśla się, że gdy kiedykolwiek zachoruje ciężko, sprawi kłopot wielki swojej rodzinie, będzie leżeć bez żadnej pomocy, albo odwiozą go do szpitala na koszt gminy.

Niejeden taki lekkoduch nawet nie przypuszcza, że gdyby miał zaoszczędzony fundusz dostateczny, napewno jeszcze, nawet wkrótce, odzyskałby zdrowie, bo dziś medycyna rozporządza wieloma środkami skutecznemi na niektóre choroby, uchodzące dawniej za bardzo niebezpieczne. Lecz takich chorych trzeba leczyć szybko i umiejętnie, nie szczędząc pieniędzy na właściwe lekarstwa.

I to też prawda, że niejeden ani pomyśli o zabezpieczeniu sobie kęsa chleba na stare lata. Pociesza się gadką: „jakoś to będzie", — albo liczy na pomoc dzieci! Ładnie mu się ta pomoc przysłuży! Łykać będzie łzy gorzkie! Bo tak zwykle każda łaska dogadza!

Najlepiej nie oglądać się na nią, lecz samemu, póki siły pozwalają zarabiając, trzeba odkładać oszczędności i za nie zczasem nabyć dla siebie jakieś niezawodne i nieponiżające utrzymanie bodaj najskromniejsze na stare lata!

— Dobreby to było!—powiada ten i ów, nieco zakłopotany myślą o swej starości, — ale z czego oszczędzać, kiedy, doprawdy, i tego, co się zarobi, nie wystarcza na wszystkie potrzeby nasze?

— No, no, pomału i bez wykrętów przypatrzmy się własnym rozchodom,—a napewno uderzymy się w piersi i słusznie powiemy: nasza wina! nawet nasza wielka wina!

Bo w tych rozchodach naszych nieraz trafiają się pozycje... zawstydzające.

Alboż kto podejmie się usprawiedliwić poczciwie swoje wydatki na tytoń, trunki, karty i hulanki z dziewczętami i kobietami lekkich obyczajów?

Nigdy!

Niechby palacze i trunkowcy porachowali, jakie fortuny porobili szynkarze, gorzelnicy, browarnicy, oraz fabrykanci wyrobów tytoniowych!

A w jaki sposób urosły te fortuny? Kto się na nie składa codziennie?

Napewno palacze i trunkowcy juz mają gotową obronę w znanej a tak pospolitej wymówce, że przecież na takie tylko przyjemność zdobyć się mogą, bo na inne, kosztowniejsze, ich nie stać, a wszakże te „przyjemności nie są nawet szkodliwe, byle były umiarkowanie używane"...

Naprzód zapytajmy, czy godzi się tytoń i trunki nazwać bądź „rozrywką", bądź „przyjemnością"? To raz, — a po wtóre: czy palacze i trunkowcy przeważnie potrafią byc umiarkowani — i co oni nazywają umiarkowaniem?

Zpewnością odpowiedziami swemi na te pytania nie obronią siebie. A gorzej jeszcze przedstawi się ich sprawa, gdy zechcą napomykać niewyraźnie, ogólnikowo, że każdy z nich bardzo mało wydaje na swoje „przyjemności". bo przecież są zabiedni, ażeby mogli tracić wiele na tytoń i trunki.

Czy można im dać wiarę?

Nie.

Liczby same mówią dobitnie i odrazu zawstydzają niby „niewinnych biedaków".

Oto jak się przedstawiają sumy, wydane przez biedaków na palenie i picie.

Dajmy na to, nasz znajomy, bardzo skromny, przepala i przepija tylko 4 złote tygodniowo.

Rok ma 52 tygodnie,—a więc nasz biedak traci rocznie na „przyjemność" tylko 208 złotych. Dodajmy do tego procent maleńki, taki, jaki otrzymałby w Kasie pożyczkowej, gdyby tę sumę w niej umieścił: 12 złotych, to jużby po roku miał straty 220 złotych.

A jak się ta strata, rokrocznie powtarzana, przedstawia po latach dziesięciu?

Niech powie sam rachunek, najskromniej zrobiony. Oto tylko:

**2.200** złotych!

Tak biedak **stracił cztery morgi ziemi dobrej,** licząc po 600 złotych za morgę!

Stracił nieznacznie, wesoło, usprawiedliwiając siebie gładką wymówką, że bardzo mało wydaje na siebie, bo jest ubogi, a przecież nie może odmówić sobie tak niewinnej zabawki, która niby prawie żadnej nie wyrządza mu szkody!...

Gdy palacz i trunkowiec jest młody, np. 25 letni, a oto nagle, mając dobre natchnienie, porzucił palenie i trunki, pieniądze zaś, 4 zł., wydawane na nie, co tydzień zaczął stale odnosić do Kasy oszczędności,—to po latach dwudziestu z tej kasy otrzymałby razem z procentami mniej więcej dziewięć tysięcy

złotych, to jest taką sumę, za którą w 45-ym roku swego życia już byłby w stanie kupić sobie na własność domek z ogródkiem!

Takie daje wyniki skromna oszczędność ubogiego pracownika, który zamiast palić i pić,—odnosi do kasy regularnie co tydzień 4 złote—w przeciągu 20 lat!

Oszczędność nie zawiedzie. To potęga olbrzymia, która staje się wielkim sprzymierzeńcem pracownika ubogiego. On sam dla siebie jest dobrodziejem, sam jak gdyby napewno wygrywa dobry los na loterji życiowej.

Każdy sam sobie zapewnia taką wygranę, byleby tylko był stale wierny swemu postanowieniu i regularnie do kasy odnosił swoje oszczędności drobne.

Tak niejedna młoda dziewczyna lubuje się w przeróżnych chusteczkach, wstążeczkach, bluzkach, fartuszkach i innych tym podobnych fatałaszkach. Wydaje na te nabytki rocznie, dajmy na to, tylko 50 złotych. Gdyby te pieniądze oszczędziła,—jużby po 5 latach dały jej z procentami sumę pokaźną, bo 300 złotych! Za tę sumę nabyłaby maszynę do szycia i krowę. Jużby teraz mogła pilną pracą utrzymać siebie i matkę staruszkę.

A gałganki prędko niszczeją, idą do śmietnika, stamtąd szmaciarz przenosi je do fabryki papieru—i wreszcie, kiedyś, na papierze, z jej bluzek zrobionym, jakiś frant złośliwy napisze do niej list bezimienny, w którym nazwie ją głupiuchną kozą, biedną a kosztowną lalką, błędnie mniemającą, że ładnemi gałgankami oszuka ludzi!

Co więc korzystniejsze dla biedaka, tytoń i trunki? czy oszczędność?

A uboga dziewczyna co uzna za większe dla siebie dobrodziejstwo: gałganki ładne, lecz nietrwałe?—czy oszczędność niezawodną?

Każdy chyba bez namysłu zawoła:

**— Doprawdy, oszczędność jest niezbędna!**

Wszyscy, a zwłaszcza niezamożni, powinni oszczędzać.

A jak skłonić ich do tego?

Przez nakaz?—Kto mocen to uczynić?—Nikt.—A gdyby nawet kto nakazał im oszczędzać, — nie usłuchają, mówiąc: „A komu co do naszych zarobków? Niechże nikogo głowa nie boli o przyszłą niedolę naszą! Co będzie potem? — nie wiemy! A choćby nawet spotkała nas jaka bieda, napewno do tych dobrodziejów językowych nie pójdziemy!"

Tak potrafią odpowiadać ci, którym wielką usługę oddałaby ich własna oszczędność.

Co robić? „Na upartego niema lekarstwa". Tak mówi przysłowie. Dopiero później, kiedy naprawdę weźmie ich w kleszcze swoje nędza, zaczną sami siebie przeklinać, czemu nie poszli za dobrą radą! Kiedy ich ostatnia żre nędza, wszyscy odwrócili się od nich, nawet ci, którym niegdyś tak hojnie fundowali i po pijanemu ściskali się, całowali i poprzysięgali wzajemnie kochać się aż do śmierci!

A no, kochali się aż do... ostatniego grosza w kalecie. A gdy w niej zostały pustki,—wnet i trunkowi przyjaciele umknęli...

A właśnie wtedy nie uciekłaby od nich oszczędność. To najwierniejsza towarzyszka! Nie zdradzi. Kto ją wkładkami swemi, wpłacanemi regularnie do Kasy oszczędności, zapewni sobie,—najniezawodniej zjawi się z pomocą najmilszą, bo własną w godzinie ciężkiej niedoli.

O, wtedy jakżeż błogosławiona jest oszczędność własna! Wtedy dopiero człek ubogi przekonywa się, że przedewszystkiem trzeba być dla samego siebie przyjacielem wiernym i mądrym!

A potem dopiero od innych pożądać dla siebie przyjaźni, ale bez ich łaski i bez obciążania swoim kłopotem, lub nędzą...

Najmilej jest pragnąć dla siebie tylko ludzkie życzliwości, — a nigdy jałmużny!...

Od tej ostateczności okropnej obroni niezawodnie i pięknie tylko własna oszczędność.

A jednak, doprawdy, niejednemu tak trudno zdobyć się na nią!

Może, a nie chce! Sam rozumie, że powinien a odkłada na później.

— Jeszcze mam czas!...

Czas ucieka! Niedostrzeżone widmo nędzy i kłopotów bolesnych zbliża się ciągle...

Okrutnym wrogiem staje się człowiek sam dla siebie!

Ach, istotnie, najwinniejsi bywają rodzice i nauczyciele! Oni powinni odpowiednio wychować dzieci, budząc w nich i zawczasu pielęgnując zdolność oszczędzania...

**Nieoszacowana zdolność.**

**Ona jest niezbędna!**

Rodzice i nauczyciele wiedzą o tem, nawet chyba wiedzą, w jaki sposób najpewniej uda się im obudzić i wypielęgnować w dziecku tę zdolność oszczędzania.

Już dziecko, nauczone przez nich, ma zrozumieć niezbędność oszczędności.

Niech ono wie, że oszczędność to nie jest umiłowanie grosza, lecz jedynie umiejętne, przezorne odkładanie części dochodów swoich na potrzeby które niezawodnie zjawią się później.

Każdy musi umieć oszczędzać — i nadto **musi wiedzieć na co oszczędza!**

Umiejętność oszczędzania **zależy od panowania nad sobą,** by jakieś uboczne upodobania nie wzięły góry i nie skłaniały do robienia wydatków niepotrzebnych,— **i od mocnej woli,** która **wiernie stale,** a więc **wytrwale zawsze** spełniać potrafi raz powzięte postanowienie!

A **wiadomość** o przeznaczeniu robionej oszczędności najściślej **łączy się z ambicją i rozbudzoną przedsiębiorczością.**

Oto bowiem każdy musi odznaczać się czujną i szlachetną ambicją, czyli dumą piękną, która niejako tak się wyraża:

— Nigdy nie chcę być dla kogokolwie ciężarem! Nigdy nie będę oglądał się na cudzą łaskę. Sam sobie chcę i powinienem wzupełności wystarczać. I sam muszę unikać niedostatku! Na to mi Bóg dał rozum i wolną wolę. A wychowanie uzdolniło mnie do pracy pożytecznej i do robienia oszczędności przezornej!

Ach, szlachetna ambicja—to przepiękna zaleta godności ludzkiej!

Ambicja czuwa pilnie, by człowiek nigdy nie oglądał się na pomoc obcą w tych czynnościach i zabiegach swoich, które sam własnemi siłami może i powinien załatwić.

Zbyteczne domaganie się pomocy obcej we wszystkich kłopotach osobistych i gospodarczych jest u nas, niestety, jeszcze bardzo rozpowszechnione! I wielu nawet nie doznaje zawstydzenia, wyciągając rękę po pomoc, kiedy, doprawdy, ona jest im niepotrzebna, bo sami sobie mogą i powinni wystarczyć.

Dawniej, kiedy władze rządowe udzielały drzewa na budowę i zapomóg pieniężnych dla prawdziwie potrzebujących, niejednokrotnie sięgali po nie ci, którym taka pomoc była zbyteczna. Brali drzewo—i ono u nich na podwórku gniło! Brali pieniądze, — a swoje oddawali żydom na procenta lichwiarskie!

Jeszcze bardzo często spotykamy się u nas z przeróżnem żebractwem! Jedni ciągle oglądają się na pomoc rządową, choc mogą sami sobie doskonale zaradzić. To znowu inni oblegają zamożnych, zarzucając ich prośbami o pomoc, chociaż sami powinniby jąć się pracy i ona dostarczyłaby im wystarczających środków na utrzymanie!

Zresztą o braku ambicji szlachetnej w bardzo wielu rodakach świadczy najmocniej to, że oni jeszcze zgoła nie robią oszczędności, choć mogą i powinni, — a nie robią tylko z powodu rachowania na pomoc swoich i obcych, kiedy spadnie na nich jakaś niedola!

To są ludzie bez wstydu, a więc i bez ambicji! Dziś stać ich na tytoń, trunki, hulanki i próżniactwo! Gdy dostaną zarobek do ręki,—wnet go nieopatrznie i brzydko roztrwaniają, — a potem, kiedy nastanie czarna godzina, bezwstydnie jęczą, narzekając na swoję niedolę i kłamiąc, że nigdy nie byli w stanie zrobić oszczędności, bodaj niewielkiej!

Żebracy — i zarazem kłamcy!

Prawdziwego biedaka trzeba szukać, bo sam wstydzi się prosić o pomoc w nieszczęściu. A bezwstydny wyłudzigrosz udaje nieszczęśliwego, żeby haniebnie wyzyskać ludzkie miłosierdzie!

Taki np. dowód smutny znajdujemy w liście czytelnika „Gazety Świątecznej" (№ 2322 z d. 2 sierpnia r. b.).

Oto co on pisze: Po pożarze „na wezwanie księdza proboszcza dużo wsi przysłało pogorzelcom ziemniaków i innych nawet rzeczy. Ale, jak to zawsze bywa, ten, co naprawdę nic niema (ale posiada ambicję), nie śmie oczu podnieść, gdy tymczasem śmielszy biega od wsi do wsi, a nawet jeździ i zbiera datki. Podobno są i tacy, co udają tylko pogorzelców i żebrzą w okolicy"...

Kto ma ambicję, nie rad, w potrzebie nawet, korzystać z pomocy obcej, woli mieć mniej, byle własną pracą zdobyte i taki chętnie robi oszczędności.

Jednak prócz ambicji każdy mieć powinien w sobie dużo przedsiębiorczości, czyli zabiegliwości ruchliwej, pomysłowej, tak, żeby zawsze gotowy był czynić ulepszenia w swej pracy zawodowej i żeby umiał w razie potrzeby znaleźć dla siebie nową pracę nietylko pożyteczną, ale i korzystną!

Otóż to rzecz pewna, że kto odznacza się taką przedsiębiorczością ruchliwą i pomysłową, ten zazwyczaj stale lubi robić oszczędności, nawet dość znaczne. A robi je po to, ażeby mieć w pogotowiu możliwie dużo pieniędzy własnych, kiedy mu raptem nastręczy się jakieś kupno dobre, lub interes korzystny..

Tylko dusze leniwe, ospałe robią oszczędności dla zapewnienia sobie „spokojnej resztki życia".

Taka oszczędność — bardzo trąci sobkostwem!

Najpożądańsza oszczędność robiona z pobudki przedsiębiorczości śmiałej, twórczej i uczynnej!...

Taką przedsiębiorczością odznaczają się zydzi.

Niektórzy rodacy błędne mają o żydach mniemanie. Toć nierzadko tak się oni wyrażają o żydach: „A, żydzi podejmują się różnych przedsiębiorstw i handlów, **bo mają dużo pieniędzy"!**

Czy tylko dlatego? Czy pieniądze dopiero czynią żydów przedsiębierczemi, czy może dzieje się odwrotnie, że żydzi przedsiębierczy sposobią dla siebie pieniądze duże?

Które z tych zdań jest prawdziwe?

Rozumie się, że to ostatnie

O, tak, żydzi potrafią gromadzić pieniądze trzema sposobami: własną pracą, oszczędnością i pożyczkami.

Fundamentem obfitości pieniędzy żydowskich jest pracowitość żydów.

Zechciejmyż, rodacy, zrozumieć, na miły Bóg,— niby tajemnicze źródło, skąd płynie obfitość pieniędzy dla żydów!

Pomyślcie, czy świat dawałby stale wielkie pożyczki próżniakom? A przecież żydzi zawsze mnóstwo otrzymują pożyczek dla siebie nietylko w bankach zagranicznych, lecz nawet w bankach polskich!.. Ależ oni pożyczają wielkie sumy i u naszych małorolników!..

To nie bajka!

Prawda! Wszyscy wiemy o tem! Wszyscy najchętniej pożyczają żydom swoje pieniądze, bo wiedzą, że żydzi pracowicie i bardzo przedsiębiorczo potrafią obracać kapitałami w handlach i przemysłach. I jeszcze z tem większą ufnością wierzyciele odnoszą się do żydów, że żydzi są bardzo oszczędni, więc posiadają obfitość własnej gotówki, która ciągle rośnie właśnie wskutek oszczędności ustawicznej.

Przeto żydzi dlatego, że są pracowici i przedsiębierczy robią ciągle znaczne oszczędności, które zaraz puszczają w ruch w swoich handlach i przedsiębiorstwach, powiększając je przez to ciągle.

A znowu dlatego, że są pracowici, przedsiębierczy i oszczędni, cieszą się wielkiem zaufaniem wszystkich banków i stamtąd też czerpią dla siebie ogromne pożyczki, które, oczywiście, zaraz wkładają w przeróżne swoje interesy zyskowne.

Raz więc jeszcza zadajmy sobie pytanie: czy pieniądze dopiero uczyniły żydów przedsiębierczemi, czy raczej żydzi przedsiębierczy sami potrafią ciągle pomnażać swoje kapitały własną pracą i oszczędnością, oraz wielkiemi u całego świata pożyczkami do-

godnemi? Odpowiedź gotowa! I my powinniśmy zawsze mieć na uwadze tę prawdę życiową. Dlatego wszyscy usilnie doskonalmy w sobie pracowitość, oraz przedsiębierczość ruchliwą, odważną, twórczą i uczynną. Ale nadto jeszcze musimy stać się dla dobra swego i swoich przedsięwzięć bardzo oszczędni.

Tak więc oszczędność nasza wynikać będzie z pobudek właściwych: bo z chęci gromadzenia coraz większych funduszów własnych na prowadzenie i powiększanie swoich interesów pożytecznych i korzystnych.

A te przedsiębiorstwa swoje po to zechcemy prowadzić pomyślnie, żeby i sobie i ogółowi swemu zapewnić własnemi siłami, bez obcej pomocy, dostatek niezbędny!

Przecudne znaczenie oszczędności dopiero wówczas ukże się nam w całej pełni, kiedy zauważymy, że ona utrwala owoce pracy, wciąż przybywające!

Kowal zarobił — i wszystko spożytkował. Już on sam żadnego nie ma śladu z wczorajszej pracy swojej! Dzień stracony. Kowal niejako stoi w miejscu.

Ale gdy on oszczędza część owoców swej pracy, już przez to zbogaca siebie w środki, przydatne do polepszenia swego bytu.

Ktoś ma tylko łopatę do pracy, jest więc jedynie kopaczem, dlatego niezawsze trafia mu się zarobek. Ale wziął się na sposób. Gdy miał zarobek, część jego zaoszczędzał dotąd, aż za uzbieraną sumę nabył grabie, oskard, drąg żelazny. Już przybyło mu więcej roboty, częstsze i lepiej płatne otrzymywał zarobki. Jednak jeszcze w dalszym ciągu oszczędza, bo zamierza kupić taczki, gdyż zauważył, że ludzie częściej szukają robotnika z taczkami. Następnie zamierzył nabyć wózek o dwuch kołach do wożenia śmieci ulicznych, za co jeszcze więcej zarobić może. Gdy doszedł i do tego zczasem przy pomocy swej oszczędności, już potem uplanował sobie oszczędzać na kupno wozu i do spółki z drugim, posiadającym konia, zajmować się sprzedażą piasku, wożeniem cegieł, kamieni. A gdy i takie zarobki, już obfitsze, pozwoliły mu robić oszczędności większe, zamyślił nabyć konia, żeby być jedynym właścicielem furmanki. I to mu się udało urzeczywistnić. A wtedy pomyślał sobie, że musi jeszcze kupić drugą furmankę dla swego synka, mającego dopiero lat 13-cie, ale już chwackiego do roboty. We dwuch zarobią więcej, to im pozwoli czynić większe oszczędności, za które obiecuje sobie, mówiąc pocichu przed żoną, nabyć kawałek ziemi od znajomego gospodarza. Na tym kawałku ziemi postawi domek frontem do ulicy — i, rozumie się, zczasem założy w nim sklepik dla córeczki, która nieźle uczy się w szkole. Będzie z niej dobra kupcowa!

Tylko w taki sposób rosną wszystkie fortuny!

Kto żyje dłużej na świecie, sam przekonywa się, jak w jego oczach rozrastają się znajome mu sklepy, warsztaty i gospodarstwa rolne. A rozrostu ich sposób zawsze jest tylko jeden: oszczędność!

Kupiec ma narazie kramik maleńki. Wprawdzie trochę pożycza pieniędzy, ale tylko trochę. Owszem, ludzie pożyczyliby mu nawet dużo pieniędzy. Ale nie chce, bo musiałby stać się u nich parobkiem, pracować dla nich na procenty! Woli sam biedować, byle jaknajwięcej oszczędzać i — oszczędności swoje ciągle wkładać w swój sklep, jako towary. I tak oto czyniąc ciągle większe oszczędności, doszedł po pewnym czasie nawet do sporego sklepu, zasobnego w dużo towarów rozmaitych!

Tylko tak powstają wielkie magazyny

Oto takie jest przeznaczenie oszczędnosci!

Widzimy, jak jest niezbędna praca. Lecz nie ona jedna. Bo i wół jest pracowity. Ale on całe życie będzie tylko wołem. Mamy jednak i ludzi dużo, niestety, nawet wśród naszych rodaków, takich robotników, jak woły. Tylko na robotę zdobyć się potrafią. A przecież prócz ochoty i zdolności do pracy, musi człowiek mieć w sobie jeszcze lepszą iskrę, jako wielki dar Boży, a czyniącą go doskonalszym pracownikiem nad wszystkie stworzenia.

Tą iskrą jest — myśl ruchliwa, przedsiębiercza, pomysłowa, twórcza! Tylko dzięki tej iskrze duchowej człowiek umiał z patyka zczasem zrobić pług parowy, — a z klocka, rzuconego nad strumykiem, dla przechodzenia na drugą stronę, zbudować wspaniały most, wiszący nad rzeką szeroką!...

Jak to się stało?

Pomału, prawda, ale wykonała to wszystko tylko ta myśl ruchliwa, pomysłowa i przedsiębiercza!

Dawniej przecież, oczywiście, w starych czasach, człowiek tylko patykiem, czy drążkiem zaostrzonym wzruszał rolę do uprawy pod zasiew. Zczasem wymyślił pług drewniany, potem żelazny, a wreszcie potrafił zbudować parowy!

Tak słusznie klocek wydał się człowiekowi nawet w zamierzchłych czasach, zbyt niewygodnym do przechodzenia nad strumykiem. Zrobił z niego bal. Potem zbudował mostki, wreszcie mosty. Wydłużały się one, ale ciągle jeszcze drewniane. Nastepnie jął budować mosty żelazne tak misterne, tak niemal cudowne, że, doprawdy, podziwiać trzeba, jak one moga utrzymać się w powietrzu i dźwigać na sobie olbrzymie cieżary, bo nawet przebiegające pociągi osobowe i towarowe!

I znowu zapytajmy: jak się to stało?

Najzwyczajniej w świecie: tylko pracą, ale nie tą wołowa, lecz połaczoną z iskrą Bożą, więc z myślą twórczą, pomysłową, przedsiebiercza i bardzo śmiałą, która wciaż trzyma się jednego hasła Bożego: Narzód, ciągle naprzód!

Jest to postęp w pracy ludzkiej. Ten postęp możliwy tylko przy pomocy myśli twórczej, pomysłowej i odważnej.

Czy tylko ona jedna niezbędna?—Nie.

Bo jeszcze nadto niezbędna oszczędność.

Spójrzmy na wielką fabrykę żelazną. Toć ona taką nie była od stworzenia świata. Prawda. Rosła i doskonaliła sie stopniowo. Pomysły brał fabrykant od zdolnych inżynierów i majstrów, — ale skąd czerpał środki na stworzenie tak olbrzymich warsztatów, maszyn, narzędzi i materjałów?

Tylko z oszczedności, robionych ustawicznie. Część owoców pracy swej fabryki stale odkładał tylko na to, żeby coraz je z powrotem wkładać w swoję fabrykę. I ilekroć włożył w nią swoje oszczedności, tyle razy fabryka się poszerzała, przybywało w niej coraz więcej maszyn, narzędzi, materjałów.

Znalazł w sobie człowiek sposoby na wszystko dla swego dobra.

Stać go na prace bardzo mozolną, na pomysły wspaniałe!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 23 sierpnia 1925 r. № 34.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Tak podczas wojny wojsko niejednokrotnie musiało podkradać się, żeby niepostrzeżone mogło ze wszystkich stron znienacka uderzyć na nieprzyjaciela.

## Ofiarowanie siebie Ojczyźnie.

Na skrwawione ojców cienie,
Co za ciebie, Polsko, marli,
Na tyranów pohańbienie,
Którzy cię rozdarli,
W mojej wodzie, w moim chlebie,
Zaprzysięgam siebie!

Na ten pacierz, co szeptałem
Usty dziecięcemi,
Na to wszystko, co kochałem
Na ojczystej ziemi,
W twoje ręce, Polsko, w imię ciebie
Zaprzysięgam siebie!

Na stargane twe kajdany,
Na twe miecze grzmiące,
Ne dawniejszy dzień zdeptany
I jutrzejsze słońce,
Na ten sądny grom na niebie
Zaprzysięgam siebie!

Na najdroższych przypomnienie,
Którzy śpią w mogiłach,
Na mej piersi każde tchnienie,
Każdą kroplę w żyłach —
I na grób mój w twojej glebie
Zaprzysięgam siebie!

**Artur Oppman.**

# JAKIEMI DROGAMI?

Komuś, ogarniającemu wzrokiem swoim plac wystawy powszechnej, zapełniony przeróżnemi maszynami i towarami, wyrywa się okrzyk zdumienia, całkiem usprawiedliwiony:

— Tyle tu — woła — nagromadzono dzieł ręki ludzkiej! Wszystko to wykonane przemyślnie, pożytecznie i z wdziękiem!.. Mamy w tem wszystkiem oczywiste dowody potęgi rozumu i zdolności człowieka!.. Stać go na tworzenie wielu dzieł, nadających życiu ludzkiemu więcej pomyślności.

O, tak.

Nawet ciągły dokonywa się postęp w twórczej pracy człowieka.

Niema takiej roboty, którejby on nie udoskonalał ustawicznie. — I niema takiej potrzeby uczciwej, którejby on swemi zdolnościami nie umiał coraz lepiej zadowolnić.

Zdaje się nawet, że w ostatnich czasach jakgdyby szybszym krokiem postęp naprzód podąża!

Wszędzie, w wielu robotach, czynione są bodaj ciągle zmiany i ulepszenia!

Dziś słuszniej, niż kiedykolwiek, można powiedzieć, że gdyby obecnie z grobów swoich wstali ci, co przed pięćdziesięcioma laty zmarli, napewno nie poznaliby okolicy rodzinnej!..

Co w dawnych czasach wydawało się niewykonalnem, przechodzącem siły człowieka, dziś już jest urzeczywistnione, — a nawet już pomysły jego snują coraz śmielsze plany, które, bardzo być może, zostaną wykonane nawet wprędce!...

W tej chwili wspomnijmy o pięknej i dowcipnej balladzie Mickiewicza: „Pani Twardowska".

Oto Twardowski takie rozkazy daje djabłu:

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, biesie, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie!
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie!
Skręć mi przytem biczyk z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać.
Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy—
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł bieguna,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa—
Patrzy, aż i gmach już gotów".

Dawniej mniemano, że takie dziwy tylko siła nieczysta zdziałać potrafi, — a dziś przecież ludzie zwyczajni gotowi są podjąć się wykonania rzeczy przemyślniejszych!

Mefistofil uczynił Twardowskiemu konia z płótna, a bicz z piasku. Dziś ludzie robią lepsze konie z tkaniny, żelaza i drzewa, które nawet unoszą się w górę i latają wysoko, jak ptaki!

A zamiast bicza na konia, — robią z piasku rzeczy pożyteczniejsze, bo szyby, szklanki, dzbanki, a nawet bicze paciorków szklanych!

Oczywiście, ballada o Twardowskim — to żart poety. Ale w tym żarcie tkwi pojęcie ludzi dawnych, którzy jeszcze niedostatecznie rozpoznali tające się w duszy ludzkiej przeogromne zdolności twórcze, jako dar Boży.

Nie godzi się tego daru nieoszacowanego lekceważyć, zaniedbywać, lub tylko jednostronnie spożytkować.

A warto nadmienić, że daru tego Bóg nikomu nie poskąpił. Znachodzi się w każdym człeku.

Tylko, niestety, jest on w bardzo wielu zaniedbany! A właśnie wymaga staranniejszej pielęgnacji!

Dobrze o tem wiedzieć.

Tylko tem wytłumaczyć można dziwne, u nas, w Polsce, zjawisko, że mamy u siebie w kraju obfitość cennych materjałów — surowców, z których nawet olbrzymie bogactwa zdałoby się stworzyć, — ale nam, polakom, jakoby to się nie udaje! Zato obce narody łapczywie opanowują te materjały polskie i z nich tworzą dla siebie fortuny potężne. Obcy z polskich bogactw czerpią dla siebie nie chleb, ale bułkę, ciastko i cukierek,—a dzieci tej szczodrej Matki-Polski głodują, wysługują się obcym za lichą zapłatę i gorzkie poniżanie!..

Bogactwa polskiej ziemi — to nie piasek i nie płótno! Obcy potrafią z nich „skręcić" prawdziwe bicze tylko na nas, a dla siebie — dostatek, radość i przewagę nad nami.

W taki sposób nasze bogactwa stają się dla nas powodem klęski ogromnej!...

A dlaczego tak się dzieje? Czy nie posiadamy takich samych zdolności duchowych, jak te obce narody, które tak gwałtownie pchają się do naszej Polski?

Nikt nie ośmieli się tak mniemać, bo przecież głośno świat cały chwali polaków zdolności wielkie do nauk, sztuk pięknych i pracy przemysłowej.

Owszem, wszyscy polacy są zdolni, lecz nie wszyscy równo dbają o ich wypielęgnowanie należyte.

Niedawno w tygodniku „Wola Ludu" (z dnia 9 sierpnia r. b.) podano trafne spostrzeżenie, że u nas „te z narzędzi rolniczych najbardziej się rozpowszechniają, które ułatwiają pracę, które zdejmują ciężar z pleców rolnika. Prawie wcale, albo zupełnie mało rozpowszechniają się maszyny i narzędzia rolnicze, dzięki którym doprawiamy lepiej role, ulepszamy wartość nasion i t. p.

„Że mam rację, — pisze redaktor „Woli Ludu," —twierdząc, iż postęp rolniczy przeważnie jest powierzchowny, tego dowodem są wsie, gdzie kierat, młocarnie ma prawie każdy gospodarz, ale że na całą wieś niema tryjera, czy nawet żmijki. Do rzadkości należą wały, nawet siewniki, czy planety.

„Przedewszystkiem rolnik posuwa się po linji najmniejszego oporu i myśli o tem, żeby było jemu lżej, żeby pracę swych mięśni zwalić na maszyne, zupełnie słusznie mojem zdaniem, ale czas już dzi-

siaj zrobić drugi krok do postępu, którym jest zapoznanie się i stosowanie racjonalniejszej uprawy roli, hodowli zwierząt, ulepszenia nasion, stosowania umiejętnego, bo na poletkach wypróbowanego, nawozów sztucznych i t. d."

Nasi małorolnicy miłując ziemię, z wielkiem upodobaniem oddają się pracy na roli, ale dotychczas bodaj przeważnie są tego zdania, że nauka książkowa i szkolna nic nie ma wspólnego z gospodarką wiejską, bo chyba nikt nie orze podług wskazówek, zaczerpniętych z książki...

Jeden z starszych małorolników, dobry gospodarz, a człek rozumny i uczciwy, wynurzając się przed swoim znajomym takiej mu o swoim synie udzielił wiadomości:

— Przed laty — mówił — pozwoliłem memu synowi przebywać na sześciomiesięcznych kursach rolniczych w X. Gdy stamtąd wrócił zadowolony i zdaje się bardzo syty na duchu, pewny siebie, że już do gruntu naukowo zbadał wszystkie tajniki gospodarki na roli — i że teraz potrafi sam prowadzić tę gospodarkę zgoła odmiennie podług nowoczesnych odkryć i wynalazków, — zgodziłem się chętnie, by samodzielnie na mojej ziemi pokazał, co umie.

Próba trwała nawet niedługo. Mój syn po pewnym czasie zaniechał nowości — i wrócił do mego sposobu dawnego.

Najdziwniejsze to w opowiadaniu tego ojca, że z rejterady swego syna wysnuł dla siebie przeświadczenie, jakoby nauka do gospodarki na roli wtrącać się nie powinna, bo nic dobrego jej nie doradzi.

A chyba wypadało dojść do innego wniosku, że syn jego, jako za słabo przygotowany, niedostatecznie skorzystał z kursów, zatrudnych dla niego...

Tak podobno niektórzy ludzie bronią siebie przed nauką, dla nich zatrudną.

Gdy nie chcą, lub nie mogą jej zrozumieć, odrazu mają na pogotowiu dla siebie obronę honorową:

— Niepotrzebna! Damy sobie bez niej radę! Moi ojcowie nic nie umieli, — a jednak dorobili się fortuny, to dowód najpewniejszy, że ona za nas i dla nas nic nie zrobi!

Tak wmawia w siebie, że w pracy na roli zdolności duchowe żadnego nie biorą udziału.

Nic tedy dziwnego, że umysł bardzo wielu rolników działając słabo, mniema, iż ziemia dla siebie nic nie wymaga prócz nawozu, orki i ziarna, ale za to samemu rolnikowi przydadzą się ulgi duże w pracy na roli.

Dlatego oczami chętnie od innych przykład bierze, zaopatrując się w dogodniejsze pługi, kultywatory, brony sprężynowe, żniwiarki, kieraty i młocarnie.

Wcale zaś nie łaknie dla siebie wałów, siewników, nawozów sztucznych i instruktorów hodowlanych, lub rewidentów obory, chlewni, kurnika.

A to na co?

Korzyści z tych zabiegów słabomyślący rolnik nie potrafi rozpoznać i dlatego, żeby siebie nie obrażać, wręcz oświadcza, że tylko jemu przyda się pomoc wszelka, — a ziemi niepotrzebna! Ona i tak urodzi w roku urodzajnym, a w nieurodzajnym nawet najlepsze nawozy będą bezsilne.

Słuszne jest zdanie, które tak upewnia:

— Rodacy nasi są nawet bardzo zdolni. Przekonywa o tem choćby ten szczegół, że wielu z nich mało ma nauki, coś-niecoś zaledwo chwytnęli, a jednak jak oni z tej odrobiny wiedzy posiadanej umieją znaczne wydobywać korzyści! Jacyż oni byliby dzielni pracownicy, niemal pierwszorzędni w świecie, gdyby im okoliczności pozwoliły były posiąść staranniejsze i dłuższe przygotowanie szkolne!

Niestety, dziś jeszcze przeogromna ilość rodaków prawie nic szkole nie zawdzięcza, bo do niej bardzo krótko, lub wcale nie uczęszczała! A co umie, — nabyła z otoczenia swego trochę oczami, trochę uszami, trochę z domysłu własnego, wreszcie trochę z samouctwa, jeśli nazwiemy samouctwem przeczytanie kilkunastu broszurek i niezawsze pilne zaglądanie do swojej gazetki partyjnej!..

Stąd mnóstwo rodaków naszych posługuje się głównie swoim „zdrowym rozumem chłopskim".

Oczywiście, nikt nie zaprzeczy, że zdrowy rozum — to siła nader chwalebna, lecz i jemu się trafia popełniać omyłki, gdy... zbytnio zaufa sobie.

Co Mickiewicz powiedział o sobie:

„chcąc mnie poznać, **nie ze mną, lecz we mnie być trzeba**"

da się zastosować i do nauki.

Zatem, chcąc ocenić wartość i znaczenie nauki, — **nie dość patrzeć na** budynek szkolny, **na** księgarnię i nawet **na** ludzi uczonych, — lecz przedewszystkiem trzeba stopniowo **poddawać swoję duszę wpływom** szkoły, książek i ludzi uczonych.

Te wpływy **czynią znaczne zmiany** w duszy człowieka.

Zapewne, zdaje się komu, że wchłonięte przez niego cząstki wiedzy i oświaty, dokonały w nim zmiany cudownej, bo uczyniły go wszystkowiedzem, istotą doskonałą, lub jakimciś mocarzem bajecznym!..

Niestety, jest to tylko złudzenie.

Owszem, wiedza daje człowiekowi mniej lub więcej wiadomości naukowych, z których wiele zczasem tonie w niepamięci.

I bynajmniej nie jest głównem przeznaczeniem nauki — tkwić jedynie w pamięci człowieka i być tylko jego doradcą w każdej pracy zawodowej, lub w każdej rozmowie z znajomemi. Zapewne i taka usługa jest niezbędna i pożądana, ale nie jedyna i nie najważniejsza.

Najcenniejsze usługi nauki są te, że:

doskonali umysł, czyniąc go coraz bieglejszym w myśleniu;

oddziaływa na serce, wolę i sumienie;

roznieca umiłowanie wiedzy;

daje sposoby, jak trzeba uczyć się całe życie;

przekonywa o niezbędności kształcenia charakteru moralnego;

wpaja pokorę, bo przedstawia ogrom tajemnic niezbadanych;

daje cichą rozkosz, płynącą z poznania potęgi Boga, ujawnionej w każdym nawet kwiatku, albo ptaszęciu...

Gdyby atoli komukolwiek chodziło o wyszczególnienie najpożyteczniejszej przysługi, jaką mu nauki wyświadczą, gdy je posiędzie, — to wypadałoby nadmienić o uzdolnieniu pojętności, czyli inteligencji.

Wyraz: **inteligencja** nawet dość często bywa używany w rozmowie polskiej. Pochodzi od słowa łacińskiego: **intelligere**. co po polsku znaczy: rozumieć, poznawać, pojmować.

Otóż zdolność rozumienia, pojmowania chyba należy uważać za bardzo ważną, a nawet niezbędną. Im kto doskonalszą posiada pojętność, tem lepiej umie radzić sobie i w pracy zawodowej i wogóle w każdym przypadku.

Nauki wiodą umysł człowieka w różne strony świata, zapoznają go z ciekawemi rzeczami i wydarzeniami, oraz wyjaśniają wiele zjawisk zawiłych.

Nauki jak gdyby rozszerzają umysł, czynią go coraz bystrzejszym, rozleglejszym i przenikliwszym.

Przy pomocy nauk poznanych umysł ludzki sięga wstecz w czasy najdawniejsze i nawet potrafi wyprzedzić wiele zdarzeń, przewidując trafnie, co musi kiedyś nastąpić...

Jeszcze dzięki naukom nabytym umysł ludzki staje się bardzo ruchliwy, pomysłowy, coraz pojętniejszy i mędrszy...

Nauki uzbrajają umysł, bo czynią go silnym w rozumowaniu, śmiałym w poszukiwaniu prawdy, wiernym w obstawaniu przy prawdach poznanych, bezpiecznym i niezachwianym, bo przeświadczonym o stałym porządku świata Bożego.

Tak pod wpływem nauk nabytych umysł ludzki czyni się coraz doskonalszym gospodarzem swej duszy:

myśli sprawnie, dużo i trafnie;

zaprowadza ład we wszystkich władzach swej duszy, a więc:

serce uszlachetnia,

sumieniu nadaje coraz większą czujność,

pilnie pielęgnuje niezbędne zalety charakteru, jak uczciwość, pracowitość, sprawiedliwość, uczynność, ofiarność i t. d.

Godzi się rozpowszechniać wiadomości o dobrodziejstwach, płynących z nauk dla ludzi.

Wszyscy o tem wiedzieć powinni, bo trafia się różnie! Jedni, doprawdy, lekceważą wiedzę, jako zabawkę dla próżniaków, albo nawet jako wroga, przeciwko Bogu i sercu ludzkiemu!

Moglibyśmy tu przytoczyć mnóstwo nazwisk ludzi uczonych, którzy odznaczali sie w ciągu całego życia swego wielką religijnością. Ale chociaż jednego z najgłośniejszych uczonych musimy tu wyszczególnić. Jest nim francuz, Ludwik Posteur (zmarł 1895r.).

„Posteur zaczął działalność naukową w 1848 roku. Wszechświatową sławę pozyskało imię jego — pisze ks. Karol Kneller — gdy wykazał w 1877r., że przyczyną niektórych chorób są organizmy mikroskopijne: bakterje, bacylle, wibrjony, oraz gdy dowiódł, że pod pewnemi warunkami bacylle te mogą być użyte za środek uzdrawiający.

Jemu świat zawdzięcza lekarstwo na straszną wściekliznę.

„Naukę o lekarstwach pchnął na tory zupełnie nowe, a o znaczeniu odkryć jego dla przemysłu świadczy zdanie Huxleya, że odkrycia Posteura wynagrodziły Francji stratę, poniesioną przez wypłacenie Niemcom pięciu miljardów franków konstytucji wojennej w r. 1871 po wojnie francusko-pruskiej.

„Jeżeli znaczenie naukowe Posteura—pisze dalej ks. Kneller — nie ulega wątpliwości, to pewnem jest również, że do ostatnich chwil życia przystępował do Sakramentów. Wyzionął ducha, trzymając w rękach mały krzyżyk mosiężny. Ostatnie słowa jego były wyznaniem naszej wiary i nadziei.

„Opowiadają o nim, że gdy jeden z uczniów zwrócił się do niego z zapytaniem: Jak mógł zachować wiarę po tylu studjach naukowych i rozmyślaniach? – Posteur odpowiedział: „Właśnie dlatego, że tak wiele studjowałem i rozmyślałem, pozostałem wierzącym".

„Wiarę w Boga i w Ewangelję wyznał otwarcie przed członkami Adkademji francuskiej przy wstąpieniu do tej instycji".

Nauki nie odwodzą od Boga, przeciwnie, utrwalają w człowieku wiarę i cześć gorącą dla Wszechmocnego Stwórcy świata!

Nauki też nie ostudzają serca. Przekonywa o tem tak mocny dowód, jak ksiądz Stanisław Staszic, który był, zaiste, wielkim uczonym, lecz również mężem gorącego serca! Kochał Polskę, wysilając się na najpożyteczniejsze dla niej usługi — i nadto serdecznie miłował lud polski, ofiarując dla polepszenia jego doli znaczny swój majątek w hrubieszowskiem.

Niektórzy znowu tylko dlatego cenią nauki, że one temu, kto je posiadł, zapewniają lepszy kęs chleba i wyższe stanowisko w społeczeństwie.

I taki nierzadko się trafia, któremu nabyta nauka słabą głowinę odurza! Zadziera brodę do góry stroni od gromady, nie troszczy się o jej dobro, do żadnych nie poczuwa się względem niej obowiązków obywatelskich i społecznych.

Nikt wszakże z tych powodów nie zechce obwiniać nauki. To nie jej wina, tylko tych osób, które ją sobie przywłaszczają w zamiarach niepoczciwych.

A kto miłuje dobro i prawdę, ten niezawodnie bardzo skwapliwie nabywa nauki w zamiarach najlepszych, nigdy się do nauk nie leni i nigdy nie powie sobie „dosyć", — „już umiem wszystko, więcej mi nie trzeba!"

Owszem, nauki dają człowiekowi sposoby niezawodne, jak ma korzystniej pracować na swoje utrzymanie. Ale ta ich przysługa nie jest jedyna. Bo niosą mu one inne jeszcze, stokroć ważniejsze i pożyteczniejsze!

Toć, jak nadmieniliśmy wyżej, bardzo przyczyniają się do rozwoju pojętności, roztropności i ruchliwości jego umysłu.

Nadto umysł, wspomagany naukami, raźniej i sprawniej pracuje nad pielęgnowaniem serca, sumienia i charakteru. To wszystko razem czyni człowieka doskonalszym duchowo i moralnie.

Wiadomo powszechnie, że człowiek, staranniej wykształcony, a więc duchowo uzdolniony—i moralnie lepszy, słusznie uchodzi za doskonalszego pracownika i obywatela.

Takiego świat ceni zawsze i daje mu pierwszeństwo przed innemi! A że taki pracownik i obywatel większą doskonałość swoję głównie zawdzięcza naukom nabytym, przeto, nic dziwnego, świat wielbi nauki i gorąco zaleca je rozpowszechniać przy pomocy oświaty!..

Nauki już są bardzo zasobne- i ciągle rozrastają się dzięki mozolnej i ofiarnej pracy wielkiej rzeszy ludzi uczonych.

Uczeni sami posiadają rozległą wiedzę, lecz nie poprzestają na tem, co już zdołali nabyć bo ustawicznie, całe życie swoje, śledzą pilnie rozwój nauk upodobanych i własnemi pracami w miare możności i sił swoich przyczyniają sie jeszcze do ich rozwoju.

Są i tacy ludzie, których świat nazywa wykształconemi. Ci nie zaliczają sie do rzędu uczonych. Wykształcony człowiek nabył w młodości swojej wiedzę w wyższym zakładzie naukowym, lub sam długo pracował nad sobą tak zwanym sposobem samouczkowym.

Są jeszcze inni, zwani tylko oświeconemi, lub światłemi ludźmi. Ci również posiedli sporo wiedzy bądź przy pomocy szkół niższych, bądź sposobem samouczkowym, lecz mniej mieli na to czasu i możności.

Bądź-co-bądź jednak każdy człowiek ambitny, pragnący stać sie zdolniejszym duchowo i lepszym moralnie, nawet łapczywie i pracowicie garnie się do nauk, bo zdaje sobie sprawe, że tylko przy ich pomocy zdoła osięgnąć pożądane uzdolnienie i udoskonalenie...

Rozumny i pracowity człowiek, mając taką ambicję, nigdy nie powie sobie: „już dosyć umiem,—więcej mi nauk nie trzeba!“... Uczy się ciągle, całe życie swoje!

Ale jak?—Sposobem samouczkowym!

A ucząc się, zarazem też wychowuje siebie, czyli doskonali ducha swego i doskonali swoje obyczaje,—a więc zalety charakteru swego!

Tak przynajmniej być powinno, — ale czy tak bywa zawsze?

Niestety!

Czemu?

Prawda wyjaśni.

Należy mniemać, że kto chce zdobywać nauki, to chyba głównie po to, ażeby przy ich pomocy stawał się coraz zdolniejszy w swoim fachu i ażeby ciągle kształcił swój umysł, a przez niego doskolił swego ducha, więc serce, sumienie i charakter...

Gdzież on ma szukać tych nauk?

Oddaje mu w tem usługę nieoszacowaną powszechna oświata, która jest zawsze na każde jego zawołanie.

Oto wszystkie nauki rozdrobione bywają w książkach, gazetach, odczytach i kursach.

Kto przeto chce uczyć się prawdziwie, udaje się po nauki do odpowiednich książek i gazet, oraz uczęszcza na stosowne odczyty i kursy.

Jak zwykli czynić niektórzy łaknący, niby oświaty?

Wiadomo, ciągle tak, jak gdyby oświata miała jedno tylko zadanie: usługiwać ich gustom i rachubom.

Zazwyczaj tedy grymaśnie wygarniają z obfitości oświaty jedynie pewne upodobane książki, gazety, odczyty i kursy, — a inne, jako im wcale nie do smaku, odrzucają pogardliwie, lub obojętnie.

Tak właśnie czynią oni, jak ci małorolnicy, zganieni przez „Wolę Ludu“, co to wybierają z narzędzi rolniczych te tylko, które ujmują im mozołu w robotach gospodarskich, a zgoła nie pożądają tych, które skutecznie przyczyniają się do lepszej uprawy roli. Nie dbają o ziemię, tylko o sobka! Niech ziemia mniej rodzi, to głupstwo, byle oni lżej robotę swoję mogli wykonać! O, to grunt! Leniuszek będzie zadowolony!

Jeszcze wpatrzmy się w olbrzymią rzeszę, spragnioną oświaty.

Tam każdy szczerze woła:

— Oświaty, oświaty nam dajcie...

Otwórzmy im bibljotekę.

Długi sznur ludzi podąża ku niej.

Każdy sięga po jaką książkę?

Jeden chce historyczną, inny religijną, jeszcze inny prosi o powieść, lub romans, a znowu ktoś inny o ciekawe opisy podróży, albo przyrodniczą, albo jaką pouczającą o jego fachu bo jest dajmy na to, malarzem, albo stolarzem, albo tkaczem.

Czas upływa. Już bardzo wielu zdołało przeczytać dużo książek! Zbliżmy się ku nim, zagadnijmy ich o to, jakie korzyści odnieśli z przeczytanych książek.

Niemal wszyscy objawiają swoje zadowolenie. Każdy uradowany, ożywiony, owszem chce i nadal czytać, przerzuca stosy książek, ciekawie szuka w katalogu tytułów obiecujących, wybiera—i z wybraną książką biegnie do domu. A po paru dniach znowu przybywa do bibljoteki i znowu gorączkowo szuka jakiej książki powabnej.

Jakie naprawdę korzyści duchowe zdobywa liczna rzesza czytelników?

Jeden pocichu pragnie zostać bogaczem i ciągle podróżować po szerokim i ładnym świecie.

Inny nabrał ochoty zakochać się w pannie pięknej i przez to narazić się na przygody awanturnicze, stać się bohaterem w swojej okolicy.

Jeszcze inny wpadł w otchłań wątpliwości religijnych, ciągle o tem myśli i mówi.

A jeszcze inny nabrał wielkiego upodobania do krytykowania obecnych porządków społecznych i prawnych. Za przykładem umiłowanych książek radby rzucić się w wir rewolucji. zamieszek, głosić pewne hasła, burzyć, wojować, nienawidzieć.

A znowu ktoś inny całkiem spokojnie idzie za radami swoich książek upodobanych i ciuła pieniądze, powiększa swój sklep, jedna sobie coraz więcej gości, umie im przypodobać się, zaskarbia sobie zaufanie — i kontent ciągle, bo rośnie mu fortuna a przed znajomemi zwierza się, że takie polepszenie

zawdzięcza książkom, w których znalazł dla siebie doskonałe rady i przykłady...

Czy tylko takie plony mają wydawać nauki, a więc i oświata, która te nauki powinnaby rozpowszechniać w narodzie całym?

Nie!

A co rzec wypada o najrozmaitszych ludziach, łaknących oświaty i nawet garnących się do niej skwapliwie?

Oto ten i ów jest bardzo zdolnym pracownikiem, lecz—trunkowcem szkodliwym dla swej rodziny i kolegów. Inny odznacza się gburowatością. Jeszcze inny szydzi z praw Bożych. A znowu ktoś wielbi tylko syty brzuszek i — kieszeń wypchaną! Za temi dostrzegamy cały szereg ludzi mniej lub więcej występnych i nawet nie wypierają się tego. Owszem, bronią wad swoich, mówiąc, że **nie mogą** być lepsi, muszą złe broić, bo taka ich natura, takie ich nerwy, pchają ich do tego różne okoliczności. Oni na to nic nie poradzą! Nie są w stanie powstrzymać się od złego!

Czy istotnie tak być musi? Niema na to żadnego ratunku?

Czy nauki rosną, potężnieją tylko po to, żeby stwierdzić swoję bezsilność wobec zła, ustawicznie rosnącego i wyrządzającego przeogromne krzywdy mnóstwu ludziom bądź niewinnym, bądź bezbronnym?

Czy zadaniem wszystkich nauk jest tylko to, żeby tworzyć ludziom wygody materjalne, lekarstwa na różne choroby, przyczyniać się do odkryć i wynalazków technicznych, gwoli dogodzenia sobkom?

Ale po tych pytaniach dochodzi nas głos życia codziennego, który odsłania straszne bóle dusz bardzo wielu!

Oto bogacz dorobił się ogromnej fortuny i niby drwi sobie ze wszystkiego, — a jednak nie ma on ani jednej nocy spokojnej! Sumienie go dręczy. Doznaje częstej zgryzoty. Posiadane skarby nie są w stanie uczynić go zadowolonym!

Ktoś słynie jako znakomity fachowiec, ma duże powodzenie, mnóstwo osób chętnie daje mu swoje zamówienia. Ale niemal wszyscy znajomi dość wyraźnie lekceważą go, nawet nie lubią go za to, że jest fałszywy, przekupny, zdradliwy. On to widzi codziennie — i to mu, rozumie sie. przyjemności nie sprawia, radby zjednać sobie przyjaźń wielu, ale **nie chce** w sposób uczciwy zapracować na nią!

O innym dość powszechnie krążą wieści, że pohańbił biedną dziewczynę—i w oczach znajomych udaje zucha, ale na twarzy jego przebija się niepokój, udręka.

Bardzo dużo na gościńcu życia snuje się czytelników światłych. Są oni niemal wszyscy zdolni fachowcy, lubiani koledzy, syci, weseli, śpiewający, niektórzy z nich nawet zamożni.

A jednak, gdy na nich patrzymy, mimowolnie wyrywa się z piersi naszych okrzyk narazie dziwny:

— Jak mało wśród nich **ludzi!**

Tak! Są między niemi fachowcy, bogacze, biedacy, mędrkujący, bawiący się, robigrosze, sobkowie, rozpustnicy, trunkowcy,—ale żaden z nich nie chce być **człowiekiem!**

Człowieka przecież nie może obchodzić tylko jedna sprawa jakaś, dajmy na to: trunek, krętactwo, rozpusta, grosz, robota...

Człowiek nie chce żyć tylko jedną cząstką swej duszy, czy swego ciała!

On jest w posiadaniu całej duszy swojej, przeto **chce i musi** równo starannie i pilnie pielęgnować w niej wszystkie władze i zalety!

Czy dobrym byłby ten gospodarz, który całkowicie oddałby się uprawie jednego zagona, a resztę zagonów pozostawiłbym odłogiem?

A, doprawdy, wśród ludzi bardzo dużo mamy takich niedbaluchów! Oni nader pilnie oddają się bądź naukom, bądź pracy zarobkowej, bądź tworzeniu fortuny,—ale niemal nic nie chcą wiedzieć o potrzebie doskonalenia swego umysłu, serca, sumienia i charakteru.

... Gotowi są szydzić z tej potrzeby, kpić, jak gdyby z pomysłu zabawnego!

Toć oni są ludzie,—a jednak nie znają wymagań rozumu, serca, sumienia i zalet moralnych!

Są tacy—i jest ich nawet mnóstwo. Spotykamy się z niemi niezmiernie często!

Musimy przeto przypomnieć stare prawdy święte—i stanąć w ich obronie dla dobra duszy ludzkiej i całego społeczeństwa.

Kto bowiem nie dba o pielęgnowanie swego rozumu, serca, sumienia i charakteru,—ten krzywdzi duszę swoję, — ale też jednocześnie krzywdzi swoje społeczeństwo, bo napewno względem niego dopuszcza się wielu występków, mając brzydki charakter, złe serce i zahukane sumienie!

Ależ tak! Nikt nie zechce utrzymywać, że kto ma dobre serce, — już będzie dobry.

Albo kto ma dobry rozum, już napewno będzie zawsze dobry.

Jedna dobra cząstka duszy ludzkiej jeszcze całej duszy nie czyni dobrą.

Musimy o tem wiedzieć, żeby nie troszczyć sie tylko o cząstkę, lecz o całą duszę!

Każdy niech ma to zawsze na uwadze, że jest nietylko fachowcem, ale też jest członkiem rodziny, Kościoła, społeczeństwa, narodu i rodzaju ludzkiego!

Tak słuszne uwagi powyższe każą chyba każdemu teraz pilniej dbać o doskonalenie przedewszystkiem swego umysłu. Bo gdy on będzie lepszym gospodarzem duszy, niezawodnie gorliwie zatroszczy się o doskonalenie wszystkich jej władz i zalet.

A jakim sposobem najpewniej uda się udoskonalenie swego umysłu? Czy jedynie czytywaniem powieści, albo książek fachowych i gazet partyjnych? Albo nabywaniem wiedzy przyrodniczej, lub historycznej?

Dla dania odpowiedzi właściwej na te pytania wsłuchajmy sie bacznie w tęsknotę serca człowieczego

Ono pragnie całą mocą swoją ukochać dobro wieczne, górujące ponad wszystkiemi sprawami codziennemi.

Dlatego ufnie zwraca się do swego rozumu doskonalszego z zachętą:

— Idźmy zawsze razem! Ty mi wskazuj dobro wieczne, — a ja ukocham je mocno, wiernie i stale!

**Dobro wieczne musi być gwiazdą przewodnią w życiu każdego człowieka!**

Do takiego dobra **niezmiennie** musi stosować się cała dusza człowiecza!

Nie w pewnych tylko chwilach ma być człowiek dobrym, — lecz zawsze i wszędzie.

Takie jest hasło moralne.

Gdzie napewno tkwi to dobro wieczne?

W odwiecznych prawach moralnych, tak pięknie, jasno, prostotnie podanych w nauce Chrystusa.

Nawet dziecku są one znane. Każda, najsłabsza pamięć, zachować je zdoła.

Owszem, świat cały wielbi to dobro wieczne i rozumie, że ono powinno górować ponad wszystkiemi sprawami ludzkiemi.

Ale świat nie zawsze o tem wyraźnie mówi

Bo przecież częstokroć dają się słyszeć krótkie i przeróżne hasła tej treści:

— Dobra głowa — to grunt!

— Mocna wola — to dopiero fundament!

— Dzielny charakter — napewno toruje drogę do pomyślności!

— Czyste i delikatne sumienie — to wielka ozdoba!

Wyszczególniając którekolwiek z tych haseł, zaraz godzi się zapytać: czy ono jest dostateczne?

Kiedyż nam wolno głowę, lub serce nazwać dobrem? Albo: czy każda mocna wola jest dobra? A znowu po czem poznać charakter dzielny?

Czy głowę, pełną nauki, oświaty już nazwiemy dobrą?

Nie. Bo nauki są tylko narzędziami. One bardzo rozwijają umysł i dają mu sposoby do tworzenia mnóstwa robót albo pożytecznych, albo szkodliwych.

Czy serce nazwiemy dobrem tylko dlatego, że ono czyni różne przysługi ludziom? A jeżeli te przysługi są jeno pozornie dobre, np. gdy udzielana jałmużna przyczynia się tylko do próżniactwa i innych występków?

A mocną wolę czy nazwiemy dobrą, gdy nią odznacza się złoczyńca wytrwały?

Niepodobna człowiekowi posługiwać się tylko jednem hasłem, lecz wszystkie razem wypada mu w duszy swej zjednoczyć, bo one go równo wszystkie i zawsze obowiązują!

Głowa, nauki i myśli pięknych pełna, — serce, całkowicie opanowane ukochaniem dobra wiecznego, —mocna wola, wierna temu dobru, — sumienie, zawsze czyste, — w charakterze wiele zalet lepszych i wypróbowanych, — oto dopiero cały człowiek dobry i światły!

W tych dniach „Kurjer Warszawski" (z d. 20 sierpnia) podał taką wiadomość z Ameryki Północnej:

Tam w mieściePittsburgu uczeszczał do uniwersytetu polak, Żaba. Przedtem ukończył on w Krakowie akademję górniczą, ale chciał jeszcze posiąść wiadomości naukowe o sposobach dobywania nafty, słowem, chciał zostać inżynierem naftowym. I dlatego udał się do Pittsburga, bo tamtejszy uniwersytet właśnie wykłada taką naukę i udziela dyplomu inżyniera naftowego.

... Lecz Żaba podjął zamiar na swoje siły kieszonkowe zbyt trudny, bo poprostu żadnych nie posiadał funduszów. Jednak siła woli, umiłowanie wiedzy, rozsądek i uczciwość znalazły sposób doskonały Oto Żaba podjął się być stróżem w tamtejszym konsulacie polskim. Za to otrzymał mieszkanie i trochę gotówki. A zaś w jadłodajni posługiwał w kuchni i za to znowu otrzymywał obiady. Tak pomagając sobie w sposób uczciwy i pożyteczny, Żaba ukończył nauki — i został inżynierem naftowym!

Przykład bardzo piękny, lecz zaledwo na krótką chwilę. Trzeba bowiem zapytać, a co ów Żaba uczyni potem? Na co użyje nauki mocnej woli, pracowitości i wytrwałości?

Na dobre, czy na złe? Czy dla dogodzenia sobkowi swemu? czy dla swej rodziny? — a może dla narodu swego?

Już dziś moglibyśmy na te pytania odpowiedzieć, gdybyśmy nawskroś poznali całą duszę inżyniera Żaby.

Bardzo często spotykamy się z niedorzecznemi, nawet szkodliwemi pochwałami i zachwytami.

Prawda, u nas, w Polsce, nauki i oświata, rozpowszechniająca nauki, cieszą się wielkiem poważaniem. Toć nierzadko można usłyszeć takie pochwały:

— O, mój syn uczy się dobrze! Ukończył akademję. Ma ładną przyszłość przed sobą, pójdzie wysoko!

To znowu o kimś innym tak mówią ludzie

— E, ten, to mądry człowiek, uczony, napewno zrobi majątek, bo przytem sprytu ma dużo.

I zwykle ludziska jedną tylko zaletę widzą i — przeceniają!

A przecież nigdy nie wolno zapominać o jedynej mierze, którą trzeba zawsze przykładać do każdego bez wyjątku człowieka, — a tą jedyną miarą jest:

**dobro wieczne**, czyli **powszechne prawo moralne!**

Owszem, niech każdy uczy się, niech ciągle nabywa wiedzę — oświatę, ale niechżeż przytem wie i stosuje się do tego, że ma on wiedzą swoją doskonalić swój umysł przedewszystkiem po to, ażeby, już posiadając umysł coraz doskonalszy, sam potrafił przy jego pomocy tem skuteczniej doskonalić swoje serce, wolę, sumienie, charakter.

Te uwagi, niesłychanie ważne, często rozważane, stopniowo rozwijają w nas przeświadczenie o głównem zadaniu każdego człowieka, które da się tak wyrazić:

Każdy musi całe życie uczyć się i doskonalić moralnie, lecz nie po to jedynie, żeby jemu tylko działo się coraz lepiej. O, nie! Ale po to, żeby on umiał i chciał coraz pożyteczniej służyć swemu narodowi!

Tak więc mądrym być trzeba,—ale nie dla siebie jedynie!

I dobrym być trzeba, — ale przecież nie tylko dla swego sobka!

Tak sumienie upomina, mając zawsze na uwadze dobro powszechne, zalecane przez prawa moralne!

Jeden z uczeńszych amerykanów profesor Henderson, tak powiedział: „Zadaniem szkoły jest wychowanie, rozwijanie i doskonalenie ludzkiego ducha,—przeobrażanie i rozświetlanie duszy ludzkiej. To się dokonywa poniekąd przez naukę, lecz nauka winna być zawsze traktowana jako środek, nie jako cel".

Ten sam profesor Henderson kiedyindziej tak oświadczył:

„Możemy powiedzieć, że w swej nadziemskiej szczodrobliwości Bóg zlecił człowiekowi zadanie tworzenia świata lepszego. Nie można sobie wyobrazić wznioślejszego posłannictwa, ale chcąc je godnie spełnić, człowiek musi z poczuciem głębokiej pokory i nieustannej odwagi przejąć się zasadą ludzkiej odpowiedzialności".

I jeszcze w związku z tem tak on nadmienił: „Zawsze zwalczałem i zwalczać będę bluźnierczą zasadę, iż mamy młodzież wychowywać **dla takiego świata, jaki jest, nie dla takiego, jakim być powinien! Świat bowiem jest tem, czem my go uczynimy dziś,**—a na Opatrzność, lub na los zwalanie odpowiedzialności za wszystkie świętokradztwa i barbarzyństwa naszego współczesnego życia społecznego i przemysłowego, jest tylko lichym wykrętem dusz upadłych i straconych."

Dalej prof. Hendersom mówi:

„Występki różnią ludzi, cnoty ich jednoczą. Chcąc żyć życiem samolubnem, człek ubiega się o to, co się sprzeciwia zamiarom innych ludzi. Im bardziej jednak jest sprawiedliwym i cnotliwym, tem goręcej pragnie tego, czego i oni pragną".

Owszem i u nas, w Polsce, jest mniemanie powszeche, że naukę trzeba poczytywać za środek, a nie za cel. Jednak—za środek tylko do polepszenia swego bytu, — do powiększania tylko swoich dochodów!..

Nauka więc ma służyć tylko sobkowi?

No i jeszcze powinna przyczyniać się do doskonalenia narzedzi pracy i samej pracy fachowej.

Ale żeby nauka była niezbędną do udoskonalenia duszy ludzkiej, wszystkich jej władz i zalet,— o tem wielu naszych rodaków światłych i nie światłych nic nie chce wiedzieć.

Bo gdyby takie udoskonalenie uznali oni za obowiązkowe, to już zarazem wypadłoby im popracować nad „przeobrażeniem" własnej duszy, a potem gorliwie pracować dla dobra narodu, co oczywiście, stałoby się bardzo niemiłem sobkowi...

Rozumie się, wszyscy wiedzą, że bardzo wielu rodaków naszych, tylko dzięki nabytym naukom, byt swój polepszyło, lub porobiło majątki... Nic w tem złego. Ale ci sami dorobkiewicze, choć nabyli dużo wiedzy, rażą świat niejedną swoją wadą szpetną, która dziwnie wygląda przy większej ich nauce.

Jak to wytłumaczyć?

Zawsze wracamy do jednego prawidła. A wracamy chętnie, bo przez częste powtarzanie prawd jednych i tych samych, przyswajamy je sobie nazawsze i, oczywiście, stają się one dla nas zrozumialsze.

Otóż nabywane nauki powinny wychowywać, czyli doskonalić człowieka.

Im więcej nauk on posiędzie, tem doskonalszym powinien być moralnie i duchowo.

A im doskonalszym się stanie duchowo i moralnie,—tem więcej korzyści materjalnych i moralnych przyniesie sobie i narodowi swemu.

Jeżeli teraz uznamy, że człowiek obowiązany jest uczyć się ciągle, — to zarazem uznamy i to, że obowiązany być coraz lepszym i pożyteczniejszym.

Człowiek oświecony jest dobry dzięki pracy nad sobą przy pomocy nauki nabytej.

Dobry, a więc usilnie stara się uczciwie zapracować na chleb, nikogo nie pokrzywdzić — i nawet wielkie świadczyć przysługi swemu narodowi.

Światły człowiek dostatecznie rozumie, że Polska ma olbrzymie bogactwa w ziemi, w lasach i wodach, — a lud miejski i wiejski jeszcze dotychczas jest bardzo ciemny i wskutek tego bezradny, niedbały i wyzyskiwany przez obcych.

Kto z bogactw Polski korzysta?

Obcy.

Czemu lud nasz jeszcze w znacznej większości jest ciemny?

Czy nie mamy w Polsce ludzi światłych?

Owszem, mamy, nawet bardzo dużo!

A co oni czynią dla oświecania rodaków ciemnych—i zarazem dla przygotowania ich tak, żeby oni, a nie obcy czerpali korzyści z bogactw polskich?

Jeszcze, doprawdy, zamałe oddają usługi!

Nawet trudno oprzeć się przypuszczeniu, że gdyby wszyscy polacy światlejsi, dzięki nabytym naukom, zechcieli uczynić swoje sumienie czulszem, a serce tkliwszem, — napewno już u siebie w kraju nie mielibyśmy ani jednego analfabety i z bogactw polskich ani jeden żyd i niemiec nie ciągnęliby dla siebie pożytków.

Czy nie w taki sposób czesi i duńczycy zapewnili sobie powszechną, stałą i zaszczytną pomyślność?

Kto u nich rozpowszechniał i udoskonalił oświatę?

Tylko światlejsi rodacy!

Kto u nich głównie przyczynił się do udoskonalenia i rozpowszechnienia tylko wśród rodaków— z pominięciem obcych przybyszów—swojskiego przemysłu i handlu?

Tylko światlejsi rodacy!

Nauki nabywane, nie sobkom, lecz przedewszystkiem narodowi służyć powinny! Toć naród łoży na szkoły i na rozwój nauk!.. Przeto nawet obowiązek wdzięczności doradza światlejszym, by bardzo usilnie, mozolnie i ofiarnie nieśli wiele usług dobrych narodowi swemu!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 30 sierpnia 1925 r. № 35.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Odsłonięcie pomnika Księcia Józefa.

Spowity w szare płótna posąg Wodza konny
Czeka. Skroś wiek niewoli gra trębacz z Jabłonny,
Cwałem konia ułańskim rozdzwonił stulecie,
Na Plac Saski błysk szabli i błysk pieśni miecie,
Rozpędzony, jak burza, stu lat krwią ciekąca,
Wydarł się z ciemni grobów — i leci do słońca!
Gra coraz głośniej, głośniej swobody zaklęciem
I przypadł na Plac Saski: wstrzymał konia przed księciem.

Trąbka gra... Jeszcze płótna na pomniku wiszą,
Prócz brzmień trąbki ułańskiej cały świat jest ciszą,
W dali tłum, lud warszawski, jako płomień bystry,
Pod posągiem Rząd Państwa, wodze i ministry
I Foch, wielki gość z Francji, ten, co wskrzesił prawo
Narodów, Wódz francuski, dziś z polską buławą,
Symbol chwały dwóch armji zwycięstwami dzwonnej—
A wśród nich pieśń triumfu gra trębacz z Jabłonny...

Chwila... I wszystkie dusze w czekaniu zamarły...
Chwila... I wszystkie serca na ścieżę się otwarły...
Spada płótno, szarpnięte, jak od orlich szponów:
O, książe!... I buchła pieśń legjonów,
Wzwyż śmiga, wkrąg miasto oblata,
Leci na pola bitew wszystkich krajów świata,
Uderza w sto sztandarów orlemi skrzydłami
I znów wraca do Księcia: Wodzu! Jesteś z nami!

A on patrzy z pomika władny i spokojny,
Genjusz honoru— nie mniejszy, niż ów genjusz wojny
Miecz wzniósł w górę i, zda się, w cztery strony świata
Zakreślił błyskawicę polskiego bułata;
Konia ściąga i chociaż pioruny ma w oku,
Piorun na wodzy trzyma, nie rwie się do skoku,
Lecz całą wziął Ojczyznę w swe oczy sokole —
I końskiemi kopyty zadeptał niewolę!

*Warszawa. Pomnik Ks. Józefa Poniatowskiego.*



A na placu szał szczęścia. Przed posągu spiżem
Chyli się las chorągwi, zdobnych męstwa krzyżem,
Zbroczone krwią, ubrane w nieśmiertelną chwałę,
Zniżają po raz pierwszy swoje orły białe:
Polacy i francuzi, zbratani żelazem,
Z dłońmi u czapek, Wodza salutują razem
I jednako dziś gra im ze stu lat topieli
Echo piosenki: „Myśmy za was krew swą leli".

Grom! z Saskiego ogrodu huknął strzał armatni.
To Zieleńce! Strzał: Raszyn! trzeci: to ostatni
Z pod Lipska odzew Księcia! Czwarty: Listopada
Rewolucja!... Strzał: Grochów! Strzał: to naga szpada
Sowińskiego na Woli!... I znów grom: Powstanie!
I burza: grom po gromie wali: Zmartwychwstanie!
Stulecie kipi ogniem, jak płomieni strefa—
A nad całem stuleciem — Duch Księcia Józefa!..

I we świat polskiej ziemi wolnością koronnej
Gra sygnał srebrnej trąbki trębacza z Jabłonnej...

**Artur Oppman.**

# SIŁA NARODU.

Naród—to nic innego, jak mnóstwo osób bardzo do siebie podobnych z ciała i ducha.

Te wszystkie osoby wiąże w jeden naród wspólne pochodzenie od przodków, najściślej zbratanych z sobą,—wspólna mowa,—wspólne obyczaje,—wspólna historja długa, sięgająca początków narodu, — wreszcie wspólna troska o dalszą wspólną przyszłość bezpieczną i pomyślną.

Słuszne jest zdanie: jacy rodacy, — taki naród.

Jeśli rodacy są zdrowi,—to naród zdrowy.

Jeśli rodacy cherlawi,—to naród wątły.

Jeśli rodacy pracowici, zabiegliwi,—to oczywiście i o narodzie całym nikt inaczej nie powie, tylko, że jest pracowity, zaradny.

Jeśli rodacy ubodzy, niedbali, gnuśni,—to zpewnością i świat cały takie o narodzie mieć będzie mniemanie.

Niewątpliwie każdy rodak, gdy jest rozumny i ambitny, chce być pracowity, zaradny, zamożny i **silny!**

To ostatnie uważa nawet za bardzo potrzebne. Owszem, lubi być uczynny: wygodzić sąsiadom różnemi posługami, a biedaków poratować pożyczką, albo jałmużną, lecz wpada w gniew wielki, gdy mu kto obcy w gospodarce wyrządza psotę! Takiemu nie pobłaża! Sam dla siebie jest surowy, nigdy nie pozwoli sobie wyrządzić sąsiadowi choćby drobną szkodę. Ale też jest surowy dla każdego szkódnika.

Nikomu nie pobłaża! Jest sprawiedliwy—i potrafi upomnieć się o sprawiedliwość dla siebie. A gdy potrzeba, to i sam umie wymierzyć sprawiedliwość.

Biada temu, kto wpadnie w jego ręce! Jest krzepki nielada! Mało kto zmierzyć się z nim zdoła! Nikt nawet nie probuje tego, bo wszyscy wiedzą, że mocny, odważny i do skarcenia słusznego skwapliwy!

Dobry jest dla dobrych, — ale srogi dla złych i zawsze da sobie z niemi radę, bo w ręku mocny!

Nikomu w cudzą kasze nie napluje, — ale też sam w swoję nikomu napluć nie pozwoli!

Gdy w którymkolwiek narodzie takich rodaków jest mnóstwo, więcej, niż połowa, — napewno już zgóry można rzec o nim, że zawsze zdobędzie się na wielką siłę, nigdy nie da siebie pokrzywdzić, potrafi dotkliwie skarcić każdego śmiałka, któryby próbował dokuczyć mu jakąkolwiek szkodą.

Zawsze przeto jacy rodacy, — taki naród.

„Na pochyłe drzewo — nawet kozy skaczą"!

Taka niedola spotyka człowieka bezsilnego— i tegoż samego losu doznaje naród słaby, nierządny.

Czy nie mamy na to dowodów w każdej wsi i w każdej ulicy miasteczka? Niejednej wdowie, albo niedołężnemu gospodarzowi zawsze sąsiedzi wyrządzają szkody,—ale niewieście, mocnej w języku, albo gospodarzowi, znanemu z popędliwości i siły, — nikt nie śmie się narazić. Każdy woli takich omijać bodaj o tysiąc kroków.

Zawsze przeto korzystniej być silnym, aniżeli wątłym!

Siła zawsze przyda się nietylko poszczególnej osobie, ale i gromadzie, wiosce, miastu i narodowi całemu!

Gdy wioska duża, a silnej i dzielnej straży nie ma, to napewno, gdy ją pożar nawiedzi — niema cała dozna klęski strasznej.

A naród nasz w 18-em stuleciu dlaczego dostał się do niewoli? Był przecież ludny, zamożny i nawet niegłupi!

Oto głównie dlatego uległ przemocy, że nie miał siły niezbędnej!

Stać go było na nią, bo miał bardzo dużo ludzi zdrowych, silnych i znanych z waleczności,—ale niedorzecznie skąpił na wojsko! Już w chwili wielkiego niebezpieczenstwa, kiedy sąsiednie mocarstwa część Polski nawet zagarnęły, a na resztę sposobiły się napaść lada moment, szlachta dla obrony tej reszty ojczyzny niby ofiarnie uchwaliła fundusz na wystawienie stu tysięcznej armji,—ale gdy przyszło dać gotówkę, zdybyła się zaledwo na 30 tysięcy żołnierza. Taka garstka wojska polskiego wprawdzie umiała bardzo walecznie wojować, lecz przed przeważającemi siłami armji nieprzyjacielskich bądź-co-bądź uledz musiała.

Słaby naród został pobity przez mocnych sąsiadów.

Taki los zawsze niechybnie czeka tych, którzy **nie chcą być silni.**

A czy siła zależy tylko od woli?

O, tak, — od rozumu i od woli!

Ogień jest silny, — nawet silniejszy od człowieka. A jednak człowiek, **chcąc go ujarzmić**, znalazł sposoby skuteczne!

A zwierzęta dzikie, jak koń stepowy, lew, lampart, wilk, słoń i okrutny a podstępny tygrys, — czy wszystkie one nie są mocniejsze od człowieka?

Prawda! I jednak człowiek, chcąc je zwyciężyć, zaprządz do pracy, lub zamknąć w klatce, potrafił swoje zamiary zuchwałe całkowicie wykonać!..

A para wodna, lub elektryczność mocniejsze od człowieka?

Tak. One potrafią ciągnąć wiele wagonów towarowych, lub osobowych, — zdolne są poruszać olbrzymie maszyny! A kto im rozkazał tak pracować? Człowiek, który dzięki swemu rozumowi i woli swej stał się od nich mocniejszym!

Również człowiek potrafił zaprządz do pracy na korzyść swoję takie potęgi, jak wiatry i wody, nawet wodospady ogromne, jak Niagara w Ameryce.

Rozum i wola są w stanie stopniowo uczynić człowieka istotą bardzo silną.

Nawet, gdy jest tak nikły, jak Dawid, — potrafi zdobyć się na wielką siłę i łatwo pokonać takiego olbrzyma, jak Goljat.

Czy nie był Dawidem naród japoński wobec Rosji tak wielkiej, jak Goljat? I mimo to Japonja położyła Rosję na obie łopatki.

Podania o smokach, w dawnych czasach trapiących mnóstwo ludzi, budzą otuchę, dając przeświadczenie, że człowiek, gdy chce zwyciężyć nawet takiego potwora, jak smok, znajdzie przy pomocy swego rozumu sposoby niezawodne, tak, że w pewnym momencie okaże się silniejszym i — utnie łeb szkódnej szkaradzie!

„Tylko trzeba chcieć, — a na usługi swoje wielkie siły można mieć"!..

Naród nasz, bardzo nękany długą niewolą, prześladowany i strzeżony aż przez trzy mocarstwa, tysiąckrotnie od niego mocniejsze, umiał pielęgnować w sobie siłę wielką! Umiał, bo chciał, bo kochał wolność i stać go było na wiele rozumu. Trzymał w sobie siły w pogotowiu, bo spodziewał się, że i dla niego wybije godzina sprawiedliwości, a wówczas uderzy całą siłą na wrogów i — wyswobodzi Polskę z grobu.

Tak się stało, jak przewidywał!

Wybuchła wojna światowa. Naród polski wnet pojął, że albo teraz, albo nigdy już nie zdoła odzyskać utraconej wolności. Czy miał po nią rękę wyciągać jak żebrak?

Nie! Musiał obok innych narodów walczących stanąć do boju i w walkach groźnych wykazać wszystkie zalety niezbędne, jak odwagę, bitność i siłę znaczną!

Istotnie, w krótkim czasie, już w początkach wojny, rodacy nasi zdobyli się na dużą siłę wojskową, która stopniowo rosła, potężniała, tak, że pod koniec wojny armja polska przedstawiała siłę pokaźną! Walczące narody pragnęły mieć ją po swojej stronie!

A gdy wreszcie wojna się skończyła i w Paryżu warunki pokoju spisywano, mocarstwa zwycięskie nie zapomniały wówczas o narodzie polskim, bo nie mogły, gdyż on godnie, z bronią w ręku, upomniał się o swoje prawa i zostały mu one przyznane!

Tak więc naród polski nie żebraniną swoją, lub cudzą łaską, ale własną bronią rozbił drzwi grobu i sam wyprowadził z niego Ojczyznę!

Każdy naród powinien wiedzieć, jakie dla niego znaczenie ma siła, kiedy nastręczy się potrzeba wywalczyć swoję wolność, albo kiedy wypadnie mu pogrozić swoim sąsiadom napastliwym, żeby siedzieli cicho, jeśli nie chcą dostać cięgów porządnych!..

Bardzo więc przydała się narodowi naszemu znaczna siła własna do odzyskania niepodległości.

Na tem wszelakoż nie może on poprzestać, niestety! Bo i nadal ma niemal dokoła swej ojczyzny wrogów niebezpiecznych, silnych a podstępnych, którzy tylko przyczaili się i ciągle upatrują chwili sposobniej dla siebie, żeby znowu znienacka uderzyć na Polskę.

Takie przewidywania czynią naród ostrożnym, czujnym i — gotowym.

Podczas wojny naród nasz musiał być silny do odzyskania wolności. A obecnie musi być nawet coraz silniejszym gwoli dostatecznego zabezpieczenia swej niepodległości!

A jaka siła do tego potrzebna?

Czy siła głowy? woli? kieszeni? pięści?

Wszystkie one są niezmiernie przydatne na wroga niebezpiecznego. Ale jeszcze nadto niezbędne jest wojsko wielkie, znakomicie wyćwiczone i uzbrojone najlepiej podług ostatnich wynalazków.

Owszem, naród musi mieć tęgą głowę, żeby nie dał się oszukać wrogom przebiegłym.

Musi mieć mocną wolę. Bo przy mocnej woli jest odwaga, wytrwałość i pracowitość. Naród, mając takie zalety, nie ulęknie się wrogów, choćby ich cała chmara usiłowała go oblegać!

Musi mieć mocną kieszeń, a więc pełną i niejako bez dna, gotową na wielkie wydatki niezbędne! Bo narodowi zamożnemu zawsze łatwo o pewność siebie, o dumę szlachetną,—no i o załatwianie wszelkich sprawunków pilnych, a potrzebnych do obrony własnej niepodległości. Trudno biedakowi swoję piosnkę śpiewać, siedząc na wózku cudzym. Prawda? O, tak! I dlatego naród, który chce być wolnym, musi mieć kieszeń, nawet bardzo zasobną!

Wreszcie musi mieć i pięść krzepką, któraby w potrzebie potrafiła uderzyć skutecznie. Bo przecież bywają wrogowie brutalni, którym niekiedy zachciewa się pokpiwać, lekceważyć, albo nawet ubliżać polakowi.. Wtedy pięść mocna odda przysługę wyborną, bo gdy ją na swoim karku, albo policzku poczuje wróg obmierzły,—to już jemu i innym, podobnym do niego, odechce się raz na zawsze wchodzić w drogę polakowi.

Lecz ponadto musi naród mieć w pogotowiu własną armję olbrzymią i groźną! Bo różnie bywa w życiu! Gdyby na świecie byli ludzie tylko dobrzy,—zpewnością nigdy między niemi nie wybuchłaby wojna, bo choćby się nawet kiedykolwiek pospierali, znaleźliby sposoby uczciwe do przywrócenia zgody podług wskazówek sprawiedliwości.

Niestety, — jest na świecie dużo ludzi złych, przewrotnych, na cudze łakomych i tak dalece niegodziwych, że radziby nawet obce narody opanować i zabrać do niewoli!

Na takich złych ludzi, gdy jest ich wielu gdy nawet tworzą osobny naród chciwy, napastliwy, pożądający cudzego, —sama pięść mocna nie wystarczy.

Od takiego narodu, poprostu zbójeckiego, naród polski musi odgrodzić się własną armją, tak doskonale utrzymaną, żeby nigdy nie śmiał nawet zamarzyć o przywłaszczeniu sobie bodaj łokcia ziem

polskiej, lub pochwycenia bodaj jednego polaka!

Dobra armja—to najpewniejsza obrona niepodległości narodu!

Zresztą armja doskonała wiele innych usług ważnych i niezbędnych oddaje swemu narodowi. Przedewszystkiem zapewnia mu u świata całego należne poważanie.

Bo przecież to prawda, że świat szanuje tylko silnych,—a... lekceważy słabych...

Nadto naród, mając armję potężną, niezawodnie zapewnia sobie pokój i nawet przyjaźń, oraz przymierze z wieloma narodami. A taka przyjaźń przyda się mu i w sprawach ekonomicznych. Toć narodowi, posiadającemu sprawną armję, inne narody ufniej pożyczają pieniądze, bo są niejako zgóry pewne, że naród, dbały o własną siłę, napewno też troszczy się o pracę i zarobki, więc w terminie długi swoje regulować będzie!

Naród nasz, mając te wszystkie potrzeby na uwadze, zaraz, jak tylko odzyskał władzę w swojej Polsce, naprzód zabrał się do utworzenia własnego wojska i postawienia go co do ilości i co do stanu na takiej stopie, jakiej wymaga wielkość Państwa i grożące mu niebezpieczeństwo ze strony wrogów licznych i bardzo zawziętych na Polskę!

Ci wrogowie, a szczególnie dwaj: niemcy i moskale, dlatego tak zagniewani są na naród polski i nie chcą mu przebaczyć, — że przecież oni bodaj głównie z krzywdy Polski urośli, utyli tem, co Polsce zabrali, gdy się nią podzielili między siebie, — a teraz: po ostatniej wojnie europejskiej, na mocy traktatu wersalskiego, zmuszeni byli oddać wyzwolonemu narodowi polskiemu ziemie polskie, dawniej zagrabione!

Oczywiście, wrogowie rozstali się niechętnie z swoją zdobyczą nieprawą! Dziś przeto nie chcą darować polakom tego, że odzyskali wolność i odebrali im swoję ojczyznę!.. Radziby znowu rzucić się na polaków, przerobić ich na swoich niewolników, a ojczyznę ich ponownie rozszarpać i wcielić do swoich posiadłości, jako prowincję zdobytą, czyli jako kraj zabrany!..

Lecz naród polski już nie da się pokonać!

Raz tylko wrogom Polski udała się taka sztuka, przed 153 laty, licząc od pierwszego jej rozbioru w r. 1772-im. Wtedy szlachta, rządząca Polską, była bądź niedołężna, bądź zepsuta moralnie i dlatego niemal bez żadnej walki, wprost przerażona i otumaniona przebiegłością i brutalnością moskali i prusaków, oddała im na pastwę Polskę i naród cały w niewolę.

Dziś już to się wrogom naszym nie uda!

Dziś Polską rządzi cały naród polski. A naród jest młodzieńczy. Kocha wolność i niepodległość. Nikomu nie da sobie jej wyrwać! Raczej umrze, a nigdy nie zgodzi się być niewolnikiem!

Jako waleczny, odważny, śmiały i pełen zapału najlepszego, potrafi z siebie uczynić armję wielką i nieustraszoną!

To wcale nie przechwałki, ale prawdy, zdawna znane światu, bo licznemi dowodami potwierdzone. Dość powołać się na te waleczne pułki polskie, służące pod Napoleonem Pierwszym! Cesarz francuzów zawsze ufał im i nigdy się nie zawiódł! Książe Józef Poniatowski z resztką armji polskiej wytrwa przy nim do ostatka — i wolał zginąć, jak bohater walczący w obronie Ojczyzny i honoru polaków, aniżeli żywym dostać się do niewoli.

Dlatego on zawsze będzie żył w pamięci narodu, jako ukochany ideał polaka walecznego.

Takim chce być każdy polak bez wyjątku! Gotów raczej umrzeć, niż pohańbić się żebraniem u wrogów darowania życia i oddaniem się im w niewolę

**Tacy polacy nigdy nie zaprzepaszczą Polski!**

Takie zdanie dziś musi górować w całym narodzie polskim.

Obrona ojczyzny i wolności narodu—to główna powinność wojska polskiego.

A wojsko — to siła narodu!

Wojsko musi być dzielne, niezwyciężone. A takiem uczyni je dobry duch żołnierza.

Gdy żołnierz kocha swój naród, gdy ożywia go szlachetne poszanowanie własnej godności polaka — już jest w nim duch najlepszy! Zawsze wierny powinności żołnierza, gotowy zwyciężyć albo zginąć, ale nigdy nie wypuści z ręki swej sztandaru narodowego!

Z nim triumfować, jako zwycięzca, — albo nim poledz chwalebnie, jako obrońca, poświęcający swe życie w obronie nietykalności sztandaru Ojczyzny!

Tylko takie hasło przystoi każdemu żołnierzowi polskiemu.

Naród polski patrzy z wiarą i czcią na swoich żołnierzy ukochanych.

Ukochani podwójnie: jako Dzieci Narodu—i jako Obrońcy najświętszych skarbów Narodu:

**Ziemi Ojczystej i Niepodległości.**

Z tych powodów naród cały z nadzwyczajną uwagą wpatrywał się i wsłuchiwał w manewry armji swojej, które niedawno odbywały się w dwuch miejscowościach: pod Brodami i pod Toruniem.

Te manewry stanowiły egzamin naszego wojska. Przedtem uczyły się bardzo pilnie i długo pod kierunkiem najlepszych jenerałów i oficerów. I gdy już wyćwiczyły się dostatecznie, wypadło im pokazać, co potrafią.

Wojsko nasze wiedziało, że występ jego podczas manewrów—to czyn wojskowy, któremu przypatrywać się będzie nietylko naród polski, ale, doprawdy, świat cały!

Tak było, istotnie. Bo na manewry przybyło mnóstwo osób z całej Polski — i z całego świata. Było tam dużo starszyzny naszej, — ale też sporo starszyzny obcej, wiec francuzów, anglików, włochów, rumunów, turków, hiszpanów i innych.

Wszyscy z wielkiem zainteresowaniem, stojąc na upatrzonych wzgórzach, przypatrywali się wiele godzin codziennie wojskowym działaniom wojsk naszych.

Pierwsza cześć manewrów odbyła się pod Brodami (na Wołyniu). Początek 11-go sierpnia. Trwały trzy dni. Wzięła w nich udział głównie konnica.

Mianowicie, do strony „czerwonych“, atakują-

cych, należały: 4 brygady konnicy (9 pułków), jeden bataljon strzelców, 3 dywizjony artylerji konnej i bronie pomocnicze;—do „niebieskich“, broniących okolicy Brodów, należały: 1 brygada konnicy (3 pułki), z dwoma szwadronami K. O. P., bataljonem strzelców, dywizjonen artylerji konnej, 3 plutonami samochodów pancernych, bataljonem ciężkich karabinów maszynowych i broniami pomocniczemi.

Na manewry te z Warszawy cztery pociągi specjalne zawiozły ministra spraw wojskowych, szefa sztabu jeneralnego, oficerów sztabowych, gości zagranicznych, korespondentów do gazet polskich, oraz wiele osób wojskowych, pragnących dla praktyki przypatrywać się pierwszym manewrom polskim.

Ale jeszcze przed wyjazdem z Warszawy na Wołyń, jenerał Sikorski, jako minister spraw wojskowych, zaprosił do siebie na obiad wszystkich gości zagranicznych, którzy ze swoich krain specjalnie przybyli do Polski oglądać te manewry. Otóż podczas obiadu minister Sikorski tak przemówił do gości zagranicznych po francusku.

„Panowie! Mam zaszczyt powitać panów w imieniu rządu i armji polskiej i podziękować, żeście zaszczycili swą obecnością pierwsze nasze manewry wojskowe.

Jako dowódca sił zbrojnych państwa, witam w osobach panów przedstawicieli sprzymierzonych, względnie zaprzyjaźnionych z nami wojsk, jak i reprezentantów tych wielkich armji, które przez wiekopomne zwycięstwo 1918 r. przyczyniły się do odrodzenia niepodległego Państwa Polskiego.

„Żołnierz polski rad jest, że może wobec was okazać owoce swej usilnej pracy, ja zaś ze swej strony z bezwględną szczerością pragnę ujawnić obecny rozwój i stan wyszkolenia naszej armji. Ustalając swój, tak miarodajny i kompetenty sąd w tej dziedzinie, zechciejcie, panowie, uwzględnić fakt, że armja nasza organizowała się w swych początkach w warunkach najtrudniejszych, bo w ogniu narzuconej nam wojny, że, pozatem, Polska, która powstała po tak długiej niewoli i po tylu ofiarach, poniesionych w czasie wojny światowej, zdaną była prawie wyłącznie tylko na swe siły własne. Stan obecny armji polskiej, którą panowie zobaczycie, jest właściwie rezultatem trzechletniej normalnej pracy pokojowej.

„**Wszystkim narodom, a przedewszystkiem polskiemu, nie wolno zapominać doświadczeń historycznych, a te nam mówią, że aby być bezpiecznym, trzeba być przedewszystkiem silnym.** Byłbym rad, abyście, panowiej w czasie swego pobytu wśród nas, stwierdzić mogli, że **siła Polski** od czasu odrodzenia Państwa Polskiego **okrzepła, że służy i broni nietylko wielkości własnej ojczyzny, ale i wielkości całej ludzkości.** W ręce pańskie, panie jenerale Gouraud, który jesteś tak pieknym symbolem cnót żołnierskich, wznoszę serdeczny toast na cześć zebranych tutaj, a tak znakomitych wojskowych. Bądźcie nam, panowie, miłemi gośćmi w Polsce“.

Na mowę ministra Sikorskiego odpowiedział francuski jenerał Gouraud temi słowy:

„Panie ministrze! Mnie, przedstawicielowi armji francuskiej, przypadł w udziale zaszyt odpowiedzenia panu w imieniu tak wybitnych jenerałów i oficerów armji cudzoziemskich, których pan zgromadził tu w tak serdecznem kole. Dziękujemy panu, panie ministrze, za słowa powitania, jako też za serdeczną i szczodrą gościnność, którą nam rząd polski okazuje. Będziemy obecni przy pierwszych wielkich manewrach armji polskiej. Mogę zapewnić pana, że każdy z nas weźmie w nich udział z największem zainteresowaniem i najżywszą sympatją. Sam fakt, że armja polska będzie wykonywała wielkie manewry, świadczy już o ogromie pracy, jaka w tej dziedzinie została spełniona. W ciągu paru lat musieliście panowie odbudować swój kraj, a przedewszystkiem połączyć poszczególne dzielnice, rozdarte jednym z najniesprawiedliwszych aktów, jakie zna historja. Musieliście dać Polsce prawa, administrację, środki do życia i rozwoju, tworzyć armję wraz z jej uzbrojeniem, regulaminami i zaopatrzeniem, z oficerów, pochodzących z rozmaitych armji, z legjonów, pułków, które służyły we Francji, trzeba było stworzyć jednolity korpus oficerów polskich, których piękną postawą już jesteśmy zdumieni, a których będziemy mieli przyjemność ujrzeć wśród ich żołnierzy. Te nadzwyczajne wyniki są bezsprzecznie największą zasługą zarówno sejmu, jak mężów stanu, którzy potrafili je urzeczywistnić. Lecz nie dałyby się one osięgnąć, gdyby w ciągu 130 lat straszliwej niewoli, w jakiej Polska była pogrążona, nie żarzył się w sercach jej dzieci ogień czystej miłości ojczyzny aby wreszcie wybuchnąć płomieniem przy wyzwalającym powiewie wielkiej wojny. Wznosząc kielich w pańskie ręce, panie ministrze, piję za armję polską, za jej oficerów i żołnierzy!“

Pociągi z starszyzną polską i gośćmi zagranicznemi przybyły rano 11-go sierpnia na stację Rudnia Poczajowska, będącą między Dubnem Brodami.

Wśród starszyzny polskiej byli, prócz ministra Sikorskiego i szefa sztabu jeneralnego, jenerała Stanisława Hallera, następujący jenerałowie, jako inspektorowie armji: Józef Haller, Żeligowski, Szeptycki, Rydz-Śmigły i Osiński, dalej, jenerałowie, jako dowódcy Romer, Berbecki, Malczewski, Fara i Rybak, nadto sporo jenerałów dywizji i brygady, oraz wyższych oficerów ministerjum spraw wojskowych i sztabu jeneralnego.

Wszystkich jenerałów przybyło 40-tu. Gości zaproszonych było kilkadziesiąt osób. Razem osób około 200-tu, licząc w tem i starszyznę polską i gości polskich, którzy z różnych stron kraju przybyli na manewry, wiedzeni ciekawością, jak się poraz pierwszy publicznie wojsko polskie popisze.

Wszystkich gości na stacji Rudnia Poczajowska powitała serdecznie i uroczyście ludność miejscowa zbudowawszy umyślnie dla nich bramy triumfalne.

Do przybyłych pierwszy przemówił wojewoda wołyński, Dębski, zaznaczając, że na pełnej pamiątek historycznych ziemi wołyńskiej, która była miejscem tylu walk z najeźdźcami w obronie Polski i cywilizacji, wita gorąco w osobie ministra wojny, Si-

korskiego, symbol niezłomnej obrony granic polskich przed najeźdźcami. Ludność Wołynia nietylko ceni nasze wojsko, którego zachowanie się jest na każdym kroku wysoce poprawne, ale czuje ku niemu serdeczną i głęboką życzliwość, widząc w dzielnej postawie naszego żołnierza najpewniejszą rękojmię trwałego pokoju. Na zakończenie swej mowy wojewoda wołyński dodał te słowa: Witamy cię, panie ministrze i naszych dostojnych gości, staropolskiem: „Gość w dom,—Bóg w dom".

Po tem przemówieniu wójt gminy miejscowej, p. Podolski, podał p. ministrowi na tacy chleb i sól, przypominając w krótkiem, ale pełnem wzruszenia przemówieniu półtorawiekową niewolę Wołynia i nierozerwalny związek jego ludności z historją i kulturą polską.

Gości zagranicznych powitał p. Jan Tarnowski z Kozina, zaznaczając w swej mowie, wygłoszonej po francusku, że obecne manewry są dowodem, iż Polska w niezłomnem dążeniu do pokoju i jego utrwalenia, **jest jednak każdej chwili gotowa bronić się przed wszelkim zamachem na swoję granicę, niepodległość i godność.**

Wreszcie zabrał głos jeden z rolników miejscowych, składając p. ministrowi serdeczną podziękę ludności za jego zasługi w odparciu napadu bolszewickiego w 1920 r. i wyrażając nadzieję, że praca jego i energja potrafią również i na przyszłość zapobiedz temu, aby wróg nie wrócił na tę ziemię. Przytem zauważył mówca, że obecnie wojska nasze bardzo dobrze zachowują się wobec miejscowej ludności cywilnej.

Odpowiadając wszystkim wówczas p. minister Sikorski tak rzekł: „Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim za te piękne słowa, którémi panowie zaznaczaliście swoję solidarność z armją narodową,—tem serdeczniej dziękuję, że jest to wyrazem tej wspólnoty, jaka łączy społeczeństwo cywilne z armją umundurowaną i proszę p. wojewodę, aby zechciał być wobec ludności Wołynia wyrazicielem uczuć życzliwości wojska polskiego. Armja narodowa wyraża ziemi wołyńskiej braterskie pozdrowienie! Armja nasza ma jedno na widoku zadanie swoje: bronić Państwa Polskiego i umożliwić pracę spokojną wszystkim obywatelom polskim. Jestem rad, że obecne manewry zdolne są dać wszystkim rodakom zapewnienie, iż mając żołnierzy dobrze uzbrojonych i dobrze wyćwiczonych, mogą spokojnie i bezpiecznie pracować na swojej ziemi".

Po tych powitaniach starszyzna, oraz goście zagraniczni i krajowi pomieścili się w stu samochodach i ruszyli w okolicę dla przypatrywania się manewrom.

Część wojska polskiego, zwana „czerwonemi" następowała ku Radziwiłłowi i Brodom, — a druga część wojska naszego, zwana „niebieską", zastępowała jej drogę.

Ta walka z różnem powodzeniem trwała trzy dni, bo od 11-go do 13-go sierpienia.

Częścią „czerwoną" dowodził jenerał Romel, a częścią „niebieską" jenerał Thullie.

W trzecim dniu manewrów niebiescy, otrzymawszy posiłki, mianowicie: dwa pułki piechoty i czołgi, zdołali przełamać linję czerwonych i w taki sposób już brali górę. I w tym właśnie momencie, kiedy niebiescy zwyciężali czerwonych, dano znak, że manewry już zakończone.

Gdy manewry zostały skończone starszyzna i goście dnia 13-go sierpnia o godzinie 1-ej po połud przybyli do Brodów. Tam ludność przed bramą triumfalną powitała ministra Sikorskiego, jenerałów i gości. Pierwszy przemówił marszałek powiatu, Wolnik potem burmistrz, Morgenstern, następnie ks. dziekan Krausa, po nim dziekan grecko-katolicki, ks. Demczyński, wreszcie do gości zagranicznych zwrócił się z mową po francusku, a potem po angielsku doktór Mazurek.

Najwięcej pochwał wyrażano ministrowi spraw wojskowych, jenerałowi Sikorskiemu, który skromnie a serdecznie podziękował ludności miejscowej za je słowa życzliwe i wiarę w siłę i dzielność armji polskiej.

Następnie przemówił do zebranych mieszkańców miasta Brody jenerał francuski Gouraud. Jego mowę francuską zaraz tłumaczył po polsku jeden z oficerów polskich.

„Miło mi,—mówił zacny jenerał Gouraud, — że znajduję się w mieście, które w czasach trudnych i krwawych (1920 r.) odznaczyło się patrjotyzmem. Pan minister spraw wojskowych (jen. Sikorski) opowiadał mi, jak podczas najazdu bolszewickiego (1920 r.) dwu robotników polskich wdarło się na maszynę bolszewickiego pociągu pancernego i zabiwszy jednego maszynistę, a drugiego obezwładniwszy, uchroniło miasto Brody od najazdu! Wysłuchałem tego opowiadania ze wzruszeniem. Jest to przykład bohaterstwa dla całej ludności. Pan burmistrz przypomniał w swem przemówieniu stare, ale bardzo mądre zdanie: „Si vis pacem, para bellum", co znaczy „Jeśli chcesz mieć pokój, sposób się do wojny". Sądzę, że mogę mówić w imieniu wszystkich przedstawicieli armji sprzymierzonych, którzy się tutaj znajdują. Trzy dni manewrów, w których braliśmy udział, wskazują, że armja polska, więc te wszystkie jej części: piechota, kawalerja, lotnictwo i bronie specjalne nie przygotowują się do wojny zaczepnej, ale do wojny obronnej, dla utrwalenia niepodległości gdyby taka była potrzebną. Miałem już podczas wojny ostatniej zaszczyt posiadać pod swemi rozkazami pułki polskie. Na manewrach ostatniah widziałem wiele z tych postaci energicznych, a w oczach każdego żołnierza polskiego widzę ten sam błysk szczerości i widzę w nich dowód, że armja polska jest dobrze zorganizowana i doskonale prowadzona".

Następnie goście udali się do sali Sokoła, gdzie odbył się obiad, wydany przez szefa sztabu, jenerała Stanisława Hallera.

A po obiedzie o g. 4-ej wszyscy udali się na miejsce, upatrzone przy gościńcu, skąd przypatrywali się przemarszowi uroczystemu wojska, biorącego udział w manewrach.

Przemarsz trwał trzy godziny, bo przeciągnęło 15 tysięcy wojska! Postawa wszystkich była popro-

stu wspaniała, znamionowała dzielnego w żołnierzach ducha polskiego.

Goście i reszta publiczności byli tym widokiem zachwyceni!

Mając takich obrońców, Polska nie zginie!

Nie zginie! Bo ci obrońcy — to siła Narodu polskiego!

A w Narodzie polskim — takich obrońców jest tylu, ilu jest polaków, zdolnych do władania bronią. Wszyscy oni tacy dzielni! Jaki Naród — taka armja!

Już wieczorem 13-go sierpnia starszyzna i goście zpowrotem wyjechali również czterema pociągami do Warszawy — tylko na wypoczynek kilkudniowy, bo 18-go sierpnia znowu odbędą się manewry w innej stronie Polski, na zachodzie, w okolicach Torunia.

Jakoż 18-go sierpnia rano już przybyły do Kowalewa pomorskiego te same cztery pociągi ze starszyzną i gośćmi zagranicznemi.

Na dworcu kolejowym przybyłych powitał wojewoda pomorski, p. Wachowiak. W mowie swej zaznaczył, że ziemia pomorska, która jest odwieczną ziemią polską, liczącą dziś 85 proc. polaków, dumna jest z tego, że może powitać swoją armję narodową, armję, która nie jest armją podboju, lecz armją dla utrwalenia spokoju.

Zaraz rano rozpoczęły się manewry. Jedna część armji polskiej, zwana „czerwoną", następowała, dążąc do opanowania twierdzy toruńskiej, — a druga część armji naszej, zwana „niebieską", podjęła się nie dopuścić „czerwonych" do Torunia.

Starszyzna i goście zagraniczni z punktów dogodnych często przypatrywali się działaniom wojsk walczących.

W manewrach pomorskich częścią czerwoną dowodził jenerał brygady Zarzycki, — a częścią niebieską dowodzi jenerał brygady Thomme. Ogólne zaś kierownictwo nad obu częściami należało do jenerała dywizji, Skierskiego.

W tych manewrach udział brała głównie piechota, a najmniej konnica. W manewrach wołyńskich działała przeważnie konnica, — piechota tylko pomocniczo.

Miejsca obserwacyjne wybrano bardzo dogodne dla starszyzny i gości zagranicznych, oraz krajowych. Mnóstwo osób patrzyło i — podziwiało. Podziw był szczery, bez pochlebstw, sprawiedliwy. Naprzykład jenerał angielski, Ironside, wkrótce zauważył, że piechota polska, ucząca się podług wzorów pruskich, francuskich i rosyjskich, potrafiła jednak nie zatracić swego charakteru narodowego; umiejętnie wyzyskała z obcych szkół wojskowych wskazówki najlepsze i jest już piechotą nawskroś polską, czynną znakomicie, jako wojsko pierwszorzędnego znaczenia!

Podczas przerwy, w południe, dnia 18 sierpnia hrabina Potocka zaprosiła wiele osób wojskowych i zagranicznych do swego domu w Piątkowie na śniadanie. Podczas śniadania jeden z obywateli okolicznych, niejaki Dąbski, tak przemówił do gości:

„Pragniemy pokoju, opartego na traktacie wersalskim, ale sąsiedzi nasi zmuszają nas do czujności. Twierdzą oni, że Pomorze nie jest polskie. Zwiedźcie, panowie, dwory i chaty, a przekonacie się, że wszędzie znajdziecie język polski i zobaczycie staropolskie tradycje. Utrzymujemy armję silną i karną, bo jest to najlepszą dla nas gwarancją trwałego pokoju. Niech wie wojsko polskie, że my, rolnicy na Pomorzu, tak wielcy, jak i mali, tak starzy, jak i młodzi, nietylko w pieśni opiewamy, ale postępowaniem trzeźwem z całym umysłem stwierdzamy słowa: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród, tak nam dopomóż, Bóg!"

Z Piątkowa wszyscy goście i starszyzna udali się samochodami do Torunia, gdzie na rynku, przybranym festonami i bramami triumfalnemi, powitał przybyłych w imieniu miasta prezydent Bolt. „Jesteśmy szczęśliwi — rzekł mówca — że wobec wysokich przedstawicieli państw obcych możemy wyjawić łączność, jaka wiąże armję ze społeczeństwem. Mieszkamy w najważniejszej części Polski, bo nasze Pomorze stanowi jedyny jej dostęp do Bałtyku. Jesteśmy pokojowo usposobieni i nie pragniemy niczego, jak tylko pracą swoją przyczynić się do dobrobytu kraju. Utrzymanie jednak pokoju i bezpieczeństwa naszego zależy w całości od naszej armji. Dlatego z całą szczerością podkreślamy uczucie miłości, jakie dla niej żywimy!" — Poczem, zwracając się do gości, mówca zaznaczył, że naocznie mogą się przekonać o tem, że Toruń jest miastem rdzennie polskiem, a wróciwszy w swoje strony rodzinne, będą mogli rozproszyć fałszywe wieści szerzone o nas przez ludzi złej woli.

Minister Sikorski, dziękując mowcy za powitanie i za życzliwość dla armji, zaznaczył, że wojsko nasze pracuje w ciężkich warunkach, a otuchę czerpie w tem, że może zawsze liczyć na patrjotyzm i współdziałanie całego społeczeństwa. Ta piękna manifestacja jest tem droższa dla wojska, że to miasto Toruń i ta ziemia pomorska ma piękną tradycję aż do ostatnich lat, kiedy walczyła o utrzymanie narodowości. Dlatego wojsko polskie jak największą czuje solidarność ze społeczeństwem tutejszem."

Nazajutrz, d. 19-go sierpnia o godzinie 11-ej zakończono manewry szczęśliwie. Potem starszyzna wojskowa, zebrawszy się w jedno miejsce, drobiazgowo zdawała sprawę o całej działalności poszczególnych oddziałów wojska naszego podczas manewrów wołyńskich i pomorskich. Wkońcu minister Sikorski, jako główny dowódca wszystkich wojsk polskich, krótko i pochlebnie tak się wyraził: „Obie części manewrów: wołyńska i pomorska, wykazały jednolitość metody dowództwa i wyszkolenia żołnierzy. Dorobek ten osiągnięto mimo trudności i specjalnych warunków, w jakich tworzyła się armja polska. Jest to ogromny postęp!"

Niebawem dziennikarz, pisujący sprawozdania z manewrów do „Kurjera Warszawskiego", zagadnął ministra Sikorskiego, czy jest zadowolony z przebiegu i wyniku manewrów, — na to otrzymał w odpowiedzi takie wyjaśnienie: „Stwierdzono dobry stan wyszkolenia. Stwierdzono też, że w wojsku istnieje zapał, ambicja i chęć jaknajlepszego spełnienia rozkazów. Wreszcie rezultat studjów nad doświadczeniami

manewrów zostanie wykorzystany dla uzupełnienia i poprawienia metod.

Dnia 20 sierpnia rano pod Toruniem odbyły się ćwiczenia manewrowe, połączone z ostrem strzelaniem. W ćwiczeniach wzięły udział 2 batal. piechoty, artylerja ciężka, artylerja polowa, samoloty bojowe i obserwacyjne, oraz wojska balonowe. Ćwiczeniami kierował jenerał Zarzycki. Ostre strzelanie wypadło bardzo dobrze.

Po strzelaniu odbył się uroczysty przemarsz wszystkich wojsk manewrowych przez rynek w Toruniu. Całe miasto na przyjęcie wojsk i gości zagranicznych udekorowano zielenią i kwiatami. Wszystkie oddziały wojska, a osobliwie doskonale prezentujące się baterje artylerji, były z wielkim zapałem witane przez gości zagranicznych i przez publiczność bardzo licznie zebraną.

Wreszcie tegoż dnia o godzinie 6-ej po południu minister Sikorski, tam w Toruniu, wydał wielki obiad pożegnalny dla gości zagranicznych, starszyzny wojskowej, oraz wielu rodaków cywilnych, specjalnie zaproszonych. Podczas tego obiadu wygłoszono kilka mów, niezmiernie ważnych. Zabrał głos wojewoda pomorski, Wachowiak. Tak przemówił:

„Panie ministrze! Dostojni i wysocy przedstawiciele panstw zaprzyjaźnionych i sprzymierzonych! Jako gospodarz ziemi Pomorskiej jestem szczęśliwy, że mogę imieniem całego Pomorza jaknajserdeczniej powitać panów w murach tego prastarego grodu, którego świetna historja od wieków jest dokumentem wierności dla ojczyzny polskiej. W tym grodzie urodził się jeden z największych polaków wszystkich wieków, Mikołaj Kopernik. Ten gród był kolebką szeregu najwybitniejszych uczonych i myślicieli polskich. Kiedy Polska po 150-letniej niewoli, mocą traktatu wersalskiego odzyskała swą wolność, nigdzie tak serdecznie i rzewnie nie witano Orła Białego, jak tu, na Pomorzu! Kiedy pierwsze wojska polskie w dniu 18 stycznia 1920 roku wkraczały na Pomorze, radość ludu nie miała granic. Sąd o naszej pracy ostatnich lat na Pomorzu pozostawiamy historji. To jednak wiemy, że programem żelaznym, od którego nie odstępujemy na krok, jest praca, praca i jeszcze raz praca. Owoce tej pracy są widome w każdym zakątku i może się o nich przekonać każdy, kto objektywnie i bez uprzedzenia chce poznać wysiłki rządu i narodu polskiego. Naród nasz osiadły tu na odwieczne słowiańskiej i polskiej ziemi, chce pracować i żyć w pokoju. Nie wyciągamy ręki po cudze mienie, a traktaty i umowy międzynarodowe szanujemy. Naród polski nigdy nie splami historji swej wiarołomstwem i w doli i niedoli stoi przy swoich przyjaciołach, pragnąc tylko sprawiedliwości i pokoju. Ufni w sprawiedliwość i traktaty, nie zboczyliśmy ani kroku z drogi, jaką nam dyktowała godność narodu. Mogę panów zapewnić, że i w przyszłości społeczeństwo na Pomorzu, zahartowane w walce o swój byt narodowy, nigdy nie zboczy z tej drogi, którą sobie wytknęło. Pomorze przyjmuję dziś, obok swych dostojnych gości zagranicznych i krajowych, przedewszystkiem swoją armję narodową. Mówię narodową, bo wojsko to duma każdego polaka. Armja narodowa to kość z kości, to krew z krwi społeczeństwa. Armja nasza to nie wojsko dla podboju, ale wojsko dla obrony ideałów najświętszych sprawiedliwości, całości i nietykalności granic naszego Państwa.

„Panowie widzieli dziś tylko część naszej armji, armji umundurowanej. Za nią stoi armja społeczeństwa. Każde serce polskie, każdy próg polski — to forteca narodowa. Mogę panów zapewnić, że lud pomorski twardy, pracowity i wytrwały za nic ma życie bez wolności. Niech wie cały świat, że my tu, nad Wisłą, chcemy być awangardą (strażą przednią) nietylko cywilizacji, ale wolności Europy, tej Europy, która dla obrony tych samych ideałów potrafiła złożyć wielkie ofiary w czasie ostatniej wojny światowej. Mówiąc to, jestem wyrazicielem myśli miljona polaków, zamieszkujących ziemię pomorska. Uświęconym zwyczajem, imieniem Pomorza wznoszę okrzyk: „Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska i najwyższy przedstawiciel jej majestatu, Pan Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje!"

Na przemówienie wojewody odpowiedział minister Sikorski. Tak między innemi rzekł: „Dziękuję panu w imieniu armji za serdeczne słowa, wypowiedziane przed chwilą imieniem prastarej dzielnicy polskiej. Tysiącletnie dzieje tej ziemi to historja potęgi i bohaterstwa, ale zarazem i historja naszych błędów i nieszczęść. Czerpiąc więc otuchę z wielkiej przeszłości Pomorza, nie możemy zapominać o przestrodze, jaka płynie z niej dla nas. Mówią nam dzieje, że nie zawsze doceniališmy należycie wolny dostęp do morza, narażając przez to Państwo swoje na niepowetowane straty. Tembardziej więc dzisiejszy dostęp do morza, przyznany nam traktatem wersalskim, musi być broniony przez całą potęgę narodu, który posiada poczucie swoich sił i praw. Ponadto związek narodu polskiego z morzem utrwalony być musi nazawsze twórczym wysiłkiem i pracą usilną obecnego pokolenia. Żołnierza polskiego uszczęśliwia ta myśl, że swojem pogotowiem obronnem utrwalił Polsce dostęp do morza, otworzył jej drogę do świata całego".

Jeszcze w dniu 21-ym sierpnia minister Sikorski podejmował w Toruniu na śniadaniu u siebie wszystkich gości zagranicznych, starszyznę wojskową i wielu rodaków cywilnych. Przy stole biesiadnym minister w mowie swojej kolejno podziękował pięknie wszystkim gościom zagranicznym za przybycie do Polski i pilne, a pracowite zainteresowanie się manewrami armji polskiej.

Na słowa podzięki ministra niemal wszyscy goscie odpowiedzieli. Godzi się tu przytoczyć bodaj kilka przemówień. Oto jenerał Lupescu. szef sztabu rumuńskiego, tak się wyraził: „Dobrze pan powiedział, że jestem przyjacielem narodu polskiego. Byłem zawsze zwolennikiem solidarności między narodami, zwłaszcza sprzymierzonemi. Myśmy nie przybyli do Polski teraz, aby zobaczyć waszą armję, bośmy ja już przedtem dobrze znali, ale przybyliśmy na święto rodzinne. Znam opinję wszystkich panów wojskowych, przybyłych z zagranicy na te manewry. Wszyscy wyrażają się z największą pochwałą o wartości, o energji i o wysokim poziomie wyszkolenia żołnierza, o doskonałym korpusie oficerskim, o pełnem zrozumienia swych zadań kierownictwie. Z opinji tych może być dumną armja polska, a wraz z nią zaprzyjaźniona armja rumuńska. Niech żyje Polska!"

Następnie przemawiał przedstawiciel armji włoskiej, jenerał Grazieli: „Panie ministrze! Na miłe słowa odpowiem panu z głębi serca włoskiego, czyli tak, jak żołnierz z kraju Garibaldiego o żołnierzu z ojczyzny Kościuszki. A więc oficerowie moi i ja możemy dziś śmiało powiedzieć, że naród polski może być dumny z tej drogi, którą już przebył w dążeniu ku zmartwychwstaniu narodowemu. Wspaniała postawa waszych pułków kawaleryjskich, które podziwialiśmy pod Brodami, jest dla nas symbolem niepowstrzymanego żywiołowego pochodu waszego narodu ku swej ponownej wielkości i sławnej a trwałej przyszłości. Wasz kraj jest młody, posiada bogactwa przyrody i przemysłu, kraj bogaty w potęgę twórczą nowych sil ludzkich, wciąż się odradzających. Wojna może się doskonalić coraz więcej w swej technice, a jednak człowiek pozostanie w niej silniejszy od wszelkich narzędzi wojny. Kraj wasz, to kraj ożywiony wielkim duchem rycerskim i żołnierskim. Wasz duch rycerski zdaje się otaczać aureolą waszych sławnych sztandarów, których barwy: biała i czerwona symbolizują najlepiej wasze cnoty rycerskie: zapał i wiarę, którym zawdzięczacie wasze wskrzeszenie. Z serca, przepełnionego podziwem i wdzięcznością za tak piękny przykład siły, energji i cnoty pragnę wyrazić swe najszczersze życzenia szczęścia dla Polski, walecznej jej armji — braterski pokłon armji włoskiej. Niech żyje Polska, niech żyje armja polska".

Przedstawiciel armji angielskiej, jenerał Ironside tak przemówił po angielsku: „Uważam, że postep, jaki Polska zrobiła w ciągu 3 lat, jest zdumiewający i składam panu serdeczne powinszowanie. Stwierdzam, że Polska jest już państwem silnem i trwałem i o przyszłość jej można być spokojnym. Miałem sposobność prowadzenia polaków do boju podczas wojny. Był to najlepszy odział, jaki miałem na Murmanie i zawsze zachowam w pamięci, jak wspaniały był duch bojowy, który go ożywiał. Sam, zaiste, nie mogę sobie życzyć lepszego żołnierza w przyszłej wojnie. Wojna będzie zawsze wygrana przez to państwo, którego żołnierz posiada prawdziwego ducha bojowego."

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 6 września 1925 r. № 36.

# ORZEŁ BIAŁY.

TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



## PIES.

Pies tak zżył się z człowiekiem, a człowiek z psem, że, na wsi zwłaszcza, lub w miasteczku, chyba niema takiego domu, w którymby nie trzymano psa.

— Przyda się,—mówią domownicy, — jakoś miło, gdy pies kręci się po podwórzu. A w nocy, gdy zaszczeka, budzi się gospodarz i wdzięczny psu, że daje mu znać o swojem czuwaniu nad gospodarstwem.

Doprawdy, niejeden gospodarz ma bardzo wiele do zawdzięczenia swemu „kundlowi".

Dzieci psa lubią, osobliwie chłopcy. Gospodyni mniej, bo trzeba o nim pamiętać i wynieść mu niekiedy w misce posiłek. A gospodarz bywa, może nawet dość często, zaostry dla swego stróża; kopnie go, aż zaskowyczy, burknie, lub odepchnie szorstko, kiedy się łasi.

Widocznie może dość często psu bywa w życiu niewesoło, kiedy ludzie zdawna już ułożyli takie przysłowie: „psia dola", co ma oznaczać los smutny, ciężki!..

A jednak — pies nigdy nie ugryzie swoich domowników!.. Zawsze wita ich radośnie, przyjaźnie. Choć ktokolwiek z domowników pokrzywdzi go kiedy, on nie pomści się, zaraz urazy zapomina — i czołga się potulnie do nóg swego krzywdziciela..

O, bywają niekiedy ludzie okrutni dla psa!

Bez serca. Straszni dręczyciele! Przykro wyznać, ale niejeden pies szlachetnością swoją przewyższa niejednego człowieka.

Bardzo niedawno, bo 28 sierpnia r. b. „Kurjer Warszawski“ podał wiadomość o przywiązaniu psa do pana swego.

„O wzruszającym przykładzie przywiązania psa do swego pana opowiadają dzienniki angielskie: Przed sześciu laty zmarł w miejscowości Worthly, w hrabstwie Streffieldu (w Anglji), mieszkaniec tamtejszy, posiadający ładnego psa.

Pies ten ruszył za zwłokami swego pana na cmentarz, a gdy zwłoki pochowano, zasiadł na mogile, wyjąc żałośnie. W ciągu jeszcze kilku dni następnych słyszano to wycie. Potem pies uspokoił się, ale nie opuścił mogiły, wszelkie zaś usiłowania odciągnięcia go z niej spełzły na niczem.

I dotychczas, od lat sześciu, wierna psina nie opuszcza mogiły swego pana. Dopiero gdy go głód bardzo przyciśnie oddala się od niej dla spożycia strawy, którą pozostawiają mu w pobliżu litościwi ludzie. Próbowano go też ściągnąć podczas zimowej niepogody do przedsionka kaplicy przedpogrzebowej, gdzie mu urządzono posłanie. Ale nie powiodła się i ta próba. W najgorszą niepogodę wierny pies strzeże grobu pana i szczerzy zęby na każdego człowieka, który chce go ująć.“

Wobec tego przykładu psiej wierności co wypada powiedzieć o niejednym człowieku, ktory doznał bardzo wiele dobrodziejstw od swoich rodziców, a jednak, gdy mu pomarli, bodaj nigdy nie odwiedza ich mogiły?

# Rolnicy, uczyńcie to zaraz!

Boli serce patrząc, jak nasi małorolnicy zwożą swoje zboże do miasteczka i proszą żydów, aby je kupowali!

Obecnie ceny są niskie—i żydzi nawet nie chcą kupować!

Czasy ciężkie dla rolników. Pieniędzy potrzebują, a nie mogą sprzedać swego zboża, bo zastój w handlu zbożowym.

Małorolnicy ubożewają i radziby kogoś potępić, jako sprawcę ich niedoli. Ale kogo? Czy raczej nie powinniby sami sobie czynić wyrzuty?

Tak! Bo czy rolnicy dzieci, albo niedołęgi? A jednak, doprawdy, okazują bezradność wielką.

Nawet niektórzy dopuszczają się niedorzeczności, bo utrzymują, że tylko żydzi potrafią trudnić się handlem zbożowym!

Jak to mniemanie jest niedorzeczne, świadczy Wielkopolska, gdzie „Rolniki“ już od dłuższego czasu zajęły się tym handlem pomyślnie.

U nas, w byłem Królestwie Polskiem, zdawna zbożem handlują tylko żydzi, bo taka była i jest wola rolników naszych. Nikt ich do tego nie przymuszał. Dobrowolnie oddali się żydom w niewolę kieszonkową.

Żydzi stopniowo zorganizowali u siebie ten handel. To nie tajemnica. Jest tam cała hierarchja: U szczytu główny komitet kupców. On przyjmował zamówienia hurtowe, rozsyłał je do swoich agentur gubernialnych, a te do powiatowych i miasteczkowych. Bo i w każdem miasteczku byli i są oddani im drobni agenci-nabywacze.

Mając wszędzie swoje magazyny, poczty, telefony i telegrafy, śmiało podejmowali się olbrzymich dostaw, otrzymywanych z intendentury rosyjskiej i z wielkich młynów parowych. Na zakupno dostawali część sumy z intendentury, lub z młynów, a część z banków „swoich“ na dogodnych warunkach.

Pierwszorzędną zaletą handlu zbożowego musi być **termin** dostawy.

Żydzi, jako doświadczeni kupcy, zawsze pilnują się go akuratnie.

Druga zaleta: dobroć towaru bywa różnie przestrzegana, zależnie od wymagań i usposobienia odbiorcy. Jeśli odbiorca bezwzględny, to otrzyma gatunek najlepszy,—a jeśli z odbiorcą można sobie poradzić, to w zbożu dostarczonym znajduje się wszystko...

Żydowscy kupcy bowiem gotowi na wszystko: potrafią swój towar uczynić rozmaitym, stosownie do życzenia odbiorcy...

Czy więc handel zbożowy jest jakowąś tajemnicą niedocieczoną? Nie. — Czy do prowadzenia tego handlu niezbędna jest zdolność wyjątkowa? Nie.

Nasza intendentura żąda tylko dotrzymania terminu i—dobrego gatunku.

Intendenturze niepodobna wchodzić w ugodę z każdym rolnikiem poszczególnym.

Przeto niezbędna jest organizacja. Powinny u nas powstać „Rolniki“ na wzór wielkopolski. Poszczególne „Rolniki“ muszą należeć do związku, mającego swoją centralę w mieście powiatowem, a znowu centrale powiatowe zjednoczyć się winny w centrali wojewódzkiej, — a zaś centralom wojewódzkim wypada należeć do jednej, głównej centrali, istniejącej w stolicy i stale porozumiewającej się z wyższemi władzami wojskowemi.

W każdej gminie już istnieje kasa pożyczkowa zatem przez nią trzeba wypłacać rolnikom zaliczki na zboże i następnie resztę należności po załatwieniu dostawy.

Sprawa regulowania zapłaty niesłychanie ważna

Pieniądze muszą być powierzone tylko kasom odpowiedzialnym,—a zarząd „Rolnika“ musi składać się tylko z osób miejscowych, powołanych głosowaniem tajnem.

Taka organizacja wielce ułatwiałaby intendenturze zaopatrywanie armji w artykuły spożywcze i rolników polskich wydobyłaby z pod zależności kupców obcych, którzy ich okropnie wyzyskują przez nakładanie cen dowolnych, jak im się podoba, — i przez udzielanie swoich zaliczek, oprocentowanych po lichwiarsku.

**Rolnicy, uczyńcie to zaraz!**

---

Wytrwałość i praca zdolne są zaprowadzić człowieka wszędzie, gdzie tylko miejsce dla siebie wymyśli, choćby to miejsce miało być.... pod samemi gwiazdami.

Zygmunt Kaczkowski.

---

# O NOWY HYMN POLSKI.

Każdy naród posiada swój hymn narodowy, śpiewany w chwilach uroczystych. I my, polacy, podczas długotrwałej niewoli mieliśmy swoje hymny: „Jeszcze Polska nie zginęła", — „Boże, coś Polskę", — i „Z dymem pożarów". Śpiewaliśmy je ukradkiem, ale śpiewaliśmy, jako hymn, czyli błagalną modlitwę narodową.

Obecnie te hymny nie nadają się, bo już, dzięki Bogu, odzyskaliśmy wolność, niepodległość. Trzeba przeto ułożyć hymn nowy, dostosowany do obecnego położenia narodu polskiego. Myślą o tem ci, którym Bóg nie poskąpił daru układania pieśni pięknych. Już niektórzy pieśniarze napisali hymny, ale naród o nich jeszcze nie wyraził swojego zdania.

Czeka, może zjawi się wkrótce najpiękniejszy i najgodniejszy rozpowszechnienia.

I teraz znowu ktoś, umyślnie ukrywający swoje nazwisko, ułożył hymn narodowy, który mógłby być śpiewany na piękną nutę, znaną wszystkim polakom, bo nutę kolendową: „Bóg się rodzi, moc truchleje"...

Ten hymn nowy został ogłoszony w „Głosie Lubelskim" z dnia 31 sierpnia r. b. Podał go do wiadomości niejaki Zdzisław Jąchimecki, prosząc pisma o rozpowszechnienie go, by rodacy mogli o nim wypowiedzieć swoje zdanie.

Hymn ten jest krótki. Podajemy go tu w całości:

Ojców naszych polska glebo,
od Bałtyku po Karpaty,
łask ci zdroje zsyła niebo
i przemienia w kraj bogaty.
W polach, w lasach, w chacie, w dworze,
przy warsztatach, w pracy trudzie,
Polsce naszej sprzyjaj, Boże,
by wpokoju żyli ludzie!

Prowadź ty nas górnym szlakiem,
biały orle na sztandarze;
my gotowi pod twym znakiem
złożyć Polsce życie w darze!
Dla niej pług nasz ziemię orze,
dla niej wszelka kwitnie praca,
Polsce naszej sprzyjaj, Boże,
niech jej słońce los wyzłaca.

Święte Polski są granice,
domów naszych święte progi;
kto nam rzuci rękawicę,
odwet nasz wywoła srogi!
Poznań z Wilnem, Lwów z Krakowem,
jako twierdze dla Warszawy,
dzierżą miecz ramieniem zdrowem,
bronią Polski ziem i sławy!

---

Pracuj, człowiecze, boś do pracy stworzony,— bo przez pracę wynajdziesz prawdę, która cię wybawi.

Florjan Bochwic.

---

# Bogactwa przyrodzone Polski.

Pod względem gleby i bogactw kopalnych południowa część Polski daleko lepiej jest uposażona linja od Częstochowy do Dęblina, a stąd przez Chełm Łuck i Równe do Zdołbunowa rozdziela od niej uboższą część północną Polski.

Część południowa ma nietylko lepsze gleby, ale i pokłady węgla kamiennego, ropy naftowej, soli, rud żelaznych, cynkowych i ołowianych i t. d. i obfitość materjałów budowlanych, gdy część północna ma gleby mniej urodzajne, a z kopalin dotychczas tylko sól, torf i nieco węgla brunatnego. Mimo to część Polski północno-zachodnia jest obecnie naogół lepiej rozwinięta pod względem gospodarczym, dzięki dogodniejszym warunkom komunikacyjnym i dawnym granicom celnym. Tam i rolnictwo wyżej stanęło i przemysł daleko mocniejszy (Łódź—Warszawa), a także handlowy ruch silniejszy.

W przyszłości niewątpliwie musi południowa część Polski zdobyć większą rolę w naszem życiu gospodarczem, ale prawdopodobnie mniejsza odległość od morza Bałtyckiego dopomoże północnej części Polski utrzymać dotychczasową przewagę.

W porównaniu z innemi krajami, Polska posiada istotnie dosyć znaczne bogactwa naturalne, których zużytkowanie pozwoli narodowi polskiemu wydobyć się w krótkim czasie z biedy, **jeżeli będzie wytrwale pracował i dobrze się rządził.**

Bogactwa naturalne, nawet najobfitsze, same nie dadzą żadnemu społeczeństwu dobrobytu bez rozumnego wysiłku z jego strony!

Najcenniejszym darem przyrody w Polsce są znaczne w głębi ziemi pokłady **węgla kamiennego,** wynoszące około 80 do 100 miljardów tonn na przestrzeni 5 do 6 tysięcy kilometrów. Mogą one wystarczyć na długie stulecia usilnego rozwoju gospodarczego kraju, a nawet na wielki wywóz w obce strony, pożądające węgla polskiego.

Nafta, czyli ropa, pokrewna węglowi pochodzeniem organicznem i zastosowaniem i dlatego płynnym węglem nazwana, znajduje się w Polsce w szerokim pasie Karpat od Raby aż po graniczny Czeremosz na przestrzeni 400 kilometrów. Ślady znane w 350 miejscowościach.

Obfitość ropy nie da się oznaczyć tak dokładnie, jak obfitość węgla, ponieważ rozmieszczenie ropnych pokładów nie jest dokładnie znane. W przybliżeniu oceniają znawcy na 300 do 500 miljonów tonn. Jest więc ona w porównaniu z węglem znikoma, chociaż wartość cieplikowa ropy jest 2 do 3 razy większa od wartości węgla.

W związku z ropą w kilku miejscach znajduje się w niewielkiej ilości wosk ziemny (ozokeryt), dalej gaz ziemny, który dopiero od kilku lat jest użytkowany jako środek opałowy.

**Profesor Fr. Bujak.**

Wytrwałość i praca to święte są słowa. - Wszyscy wielcy ludzie mieli wytrwałość i pracowitość, a niektórzy z nich mieli daleko więcej, bo upór niezwyciężony, mieli niczem nieprzełamaną śmiałość i energję, dzięki której, choć stokroć byli przygnieceni do ziemi, stokroć powstawali na nogi i rzucali się do walk z przeciwieństwami.

Zygmunt Kaczkowski.

# KWIATY I LUDZIE.

Już jesień!

Same jawią się w pamięci początkowe słowa pięknej Pola „Pieśni o ziemi naszej:"

„— Wrzesień! Wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa—
Ha i jesień,—

O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełni cześci
I kojącej pełna treści...

W pożegnaniu grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany."

Prawda, polska jesień ma swoje powaby. Bywa piękna, chwilami nawet czarowna,— ale ma też w sobie dużo tonów smętnych.

Zwłaszcza jeden ton, jej tylko właściwy, roznieca w duszy ludzkiej cichy, a dotkliwy i długi żal — to ton pożegnania!..

W jesieni bowiem wiele miłych szczegółów ustępuje, gaśnie, zanika, poczynając od ciepła, a kończąc na ptakach i kwiatach.

A za to coraz bardziej ku nam zbliżają się: zimnota i szarość posępna.

Kiedy już tchnienie jesieni rozpoczyna swoje działanie niszczące, budzi się w duszy ludzkiej cichy żal—i wyrywa się z głębi serca smętne pożegnanie..

— Żegnajcie mili i piękni towarzysze nasi: ptaki i kwiaty!

— Ach, kwiaty, jak nam żal was serdecznie, że już przychodzi czas rozstania się z wami!

Jeszcze trochę, a mróz was uśmierci, potem śnieg, istny grabarz, zasypie!..

Kwiaty, ile w was uroku niech świadczy to, że bardzo dużo ludzi zatrzymuje was u siebie nawet w porze zimowej, dając wam dogodny przytułek w ciepłem i jasnem mieszkaniu. Trzymają was w doniczkach, na oknach, zwróconych ku słońcu, bo przecież wiadomo wszystkim, że wy bardzo lubicie światło! Snadź dobre są uczynki wasze, skoro idziecie ku światłu, bo i Ewangelja powiada, że tylko źli kryją się w ciemnościach, by nie były widziane ich występki,—a natomiast dobrzy garną się do światła, bo nie mają powodu lękać się wzroku ludzkiego!

Kwiaty, was ludzie wszyscy bez wyjątku miłują, zwracają ku wam oczy roześmiane i zachwycone, a ręce wyciągają pożądliwie, pragnąc was posiąść dla radowania się jak najdłużej towarzystwem waszem!

Hej, kwiaty, towarzystwo wasze nie tylko cieszy, ale i uczy ludzi!... Bo zawieracie w sobie prawdę, dobro i piękno!

O, tak, w kwiatach zawsze widzimy tylko prawdę, nic fałszu!

Przedewszystkiem kwiaty mówią nam prawdę o Bogu.

Zapewne, niejeden człowiek niesłyszy takiej mowy kwiatów. Chcąc ją usłyszeć, trzeba mieć cokolwiek większą umiejętność dostrzegania i umysł nieco wnikliwszy.

Uważniej przypatrzmy się którymkolwiek kwiatom, choćby tak pospolitym i rozpowszechnionym astrom, albo georginjom, albo miłym bratkom. U każdego z nich wykwit, czyli korona przepiękna. Kolory najrozmaitsze. Kształty zgrabne, powyginane, pokarbowane misternie.

Niechaj który malarz utalentowany potrafi je podobniusieńko, jak gdyby żywe, przedstawić swemi farbami na papierze, lub płótnie, zaraz otrzyma wielką pochwałę od wszystkich ludzi. Gotowi go nawet nagrodzić medalem złotym.

Tak zostanie uczczony malarz tylko za to, że potrafił aż do złudzenia naśladować żywe kwiaty.

Tylko **naśladował, wymalował**. Ale jego kwiaty na obrazie nie żyją, więc nie rosną, nie pachną, nie zatrzymują na swych listkach pereł rosy porannej,

Jeżeli malarz został nagrodzony za wymalowanie kwiatów, — to jaka podzięka od ludzi należy się Stwórcy żywych kwiatów?

Ale jeszcze wsłuchajmy się w mowę kwiatów, co one dalej głoszą o potędzę swego Stwórcy.

Dzieweczka, miłująca kwiaty, starannie skopała w porze wiosennej grządkę na kwiaty przed oknami swego mieszkania. I potem sama, swoją ręką nasiała i wsadziła w tę grządkę wiele kwiatów rozmaitych. Zaraz jednak z pewnym zdumieniem zauważyła, że nasionka i flance były małe i wcale nie odznaczały się nadzwyczajnością—i to ją także uderzyło, że ziemia grządki jest zwykła, jak wszędzie, tylko szara i pachnie jedynie wilgotnością.

Już jednak po upływie kilku tygodni z drobnych ziarnek nasienia i z flanców parolistkowych wyrosły rozmaite rośliny, mające korony różnokolorowe i rozmaite zapachy.

Skąd się wzięły kolory i zapachy? Kto i w jaki sposób wydobył je tylko z tej samej ziemi?

Odpowiedź jakoby bardzo łatwa: bo przecież korzonki u każdej roślinki to są ci główni mistrze albo przedsiębiercy, którzy sami w ziemi dobierają dla siebie materjały odpowiednie, przerabiają je w swoje

fabryce i z nich wznoszą cały budynek kwiatowy ze wszystkiemi szczegółami, a więc łodygą, listkami, koronami, kolorami i zapachami...

Wyrwijmy z ziemi już gotowy budynek kwiatowy. Przypatrzmy się tym korzonkom czyli majstrom, albo budowniczym. Zaraz potem wyrwijmy jeszcze kilka odmiennych budynków kwiatowych. Porównajmy ich korzonki. Dostrzegamy pewne, nawet znaczne różnice.

Czy te różnice już zawczasu mówią nam co o rozmaitych sposobach budowania rośliny, jej listków, kształtów, kolorów i zapachów?

Nawet powiedzmy, że owszem, mówią! Ale kto te korzonki, jako majstrów, nauczył budowania kwiatów? Kto dał im sposoby wydobywania z tej samej ziemi odpowiednich materjałów do zbudowania takiej a nie innej rośliny, kto dał im wzory do nadawania swojej roślinie takich, a nie innych kształtów, takich ,a nie innych kolorów—i takich, a nie innych zapachów?

W korzonkach są mistrze. Kto ich tam umieścił i kto ich tak doskonale do pracy mistrzowskiej przygotował? Czy człowiek? Czy on mocen jest stworzyć ot tak z byle czego, podług swego widzimisię, korzonki, zdolne do zbudowania jakiejkolwiek rośliny?

Nie.

Owszem, rozmnażać może istniejące. Może zmieniać, przerabiać kształty, barwy, ale tylko korzystając z istniejących mistrzów, utajonych w nasionach, pochodzących od Boga. Nigdy nie jest w stanie człowiek sam stworzyć żadnego nasienia!

Zawsze tedy korzysta tylko z tego, co mu dał Bóg!

Zdawna mędrce powiadali, że świat to jedna księga otwarta! Bóg ją napisał nie zgłoskami, lecz przeróżnemi dziełami swemi. I te dzieła głoszą potęgę swego Stwórcy, zarazem dają ludziom pożytek i naukę.

Między niemi poczesne miejsce zajmują kwiaty, ulubione twory Boże, oddane pod szczególniejszą opiekę słońca.

Patrząc na mnóstwo różnobarwnych kwiatów, rosnących w ogrodzie, prawie niepodobna oderwać od nich oczu. Tak przykuwają do siebie wzrok ludzki, — poprostu zachwycają!

Niemniejsze dziwy znajdują się w ziemi pod temi kwiatami. Tam bowiem mieści się cała fabryka Boża tych tworów ślicznych. Tam pracują Boży robotnicy, umieszczeni w korzonkach, jako główni mistrze. Bóg dał im moc, narzędzia i wzory. Oni wybierają w głębi ziemi dogodne dla siebie materjały i następnie pracowicie a umiejętnie przerabiają je na urocze róże, tulipany, narcyzy i t. p.

Ile gwiazd na niebie, tyle przerozmaitych kwiatów rozsiał Bóg hojnie po świecie całym. Wszędzie są one jako prześliczna okrasa ziemi. Śmieją się barwami swemi do człowieka, a wonią swoją przedziwną wabią go do siebie i wówczas on rozkoszuje się niemi!

Ogrodnik jest tylko wykonawcą woli Bożej. Musi wiernie stosować się do prawdy, którą opowiadają mu kwiaty. One mają swoje wymagania. I człowiek, jeśli chce je mieć u siebie, musi ulegać ich prawdzie, a nigdy im swoich grymasów narzucać nie może!

Kwiaty służą nie ludziom, lecz Bogu! A ludzie jedynie czerpią z nich korzyści obfite.

Oto jedną jeszcze niezmiernie ważną przysługę czynią ludziom, wrażając w nich drugą prawdę, którą tak można streścić:

Jeśli chcecie, ludzie, spełnić swoje zadanie główne, musicie wiernie i zawsze, tak, jak my, stosować się do odwiecznych praw Bożych...

Zapewne, dla niejednego ta prawda kwiatów brzmi nawet bardzo niemile! Bo przecież niejeden radby świat cały raczej do swoich zachcianek nakłonić, aniżeli siebie poddać odwiecznym boskim prawom moralnym.

Raz u sławnego ogrodnika warszawskiego Hozera, ogrodniczek młody pragnął wcześniej wykonać swoję pracę i wymknąć się na miasto do swoich kolegów! Żeby więc wszystkie swoje roboty prędko zakończyć, jął podlewać kwiaty w porze niewłaściwej. Akurat przy tej czynności przyłapał go Hozer. Bardzo rozgniewany na chłopca, wyrzekł te słowa, które oby zawsze przez wszystkich ludzi były zapamiętane:

— Ty się stosuj do kwiatów, bo one nigdy nie posłuchają ciebie!

Kwiat ma swoje prawa, dane mu od Stwórcy! I każdy człowiek, jeżeli chce naprawdę kwiat wypielęgnować, musi najstaranniej zadość uczynić jego prawom, a nie swoim grymasom!

Jakże odmiennie poczyna sobie człowiek niektóry! Chce mieć dużo korzyści, powodzenie, ładne imię u świata, ale chce to wszystko posiąść swojemi sposobami dziwacznemi, nawet szkodliwemi. I gdy mu nie dzieje się tak jako pożąda,—gniewa się na wszystkich. Ale czy słusznie?

Czy może ktokolwiek manowcami podążać do swego celu, który powinien być uczciwy?

Czy kwiaty mogą lekceważyć swoje prawa odwieczne i mimo to doczekać się pięknej korony?

Ależ one nie mogą tego uczynić! Muszą, bo inaczej wnet więdną, lub usychają, marnieją!

Czemu muszą? — Bo one są tylko stworzenia, mają nadane sobie prawa po to, by im wiernie i statecznie ulegały.

A człowiek może? Czy on jest **nad** prawami odwiecznemi, czy **pod** niemi?

Tylko **pod** niemi, zatem i on, jak kwiaty, musi prawa odwieczne szanować!

I znowuż kwiaty usłużnie darzą ludzi ważną prawdą, którą tak bardzo przydałoby się, zwłaszcza młodzieży, przejąć, a która da się tak wyrazić:

Kwiaty są kochane, nawet uwielbiane,—są pożyteczne i pożądane przez wszystkich,—są uważane za dobre, a nieraz za najlepsze dlatego właśnie, że zawsze są kwiatami, nigdy nie przeniewierzają się swoim powinnościom, wiernie trzymają się praw swoich—i raczej gotowe zginąć, niż im się sprzeciwić!

Kwiaty tylko dlatego, że pilnują się praw swoich, są dobre.

— Ach, prawda, dobre!—woła miłośnik kwiatów! Słusznie człek nazywa je dobremi, bo przecież zwykł takiem mianem chwalić każdą rzecz, dogadzającą jego potrzebom.

I gdy rzecz która wiele różnych potrzeb jego zdolna jest zaspokajać, on, niejako wdzięcznością uniesiony, gotowy nazwać ją nietylko dobrą, ale lepszą, lub bodaj najlepszą!

Gdy tedy zważymy mnogość usług przeróżnych, jakie ludziom istotnie oddają kwiaty, to zaprawdę, serce, czcią przejęte dla tych przecudnych dzieł Bożych, rade rzec o nich, że są jedne z najlepszych stworzeń na ziemi.

I myśląc o ich usługach, zaraz jesteśmy zdumieni, jak one niemal ustawicznie towarzyszą człowiekowi od kolebki jego aż do grobu!

Bo, prawdziwie, widzimy, jak matka ubiera kwiatami kołyskę nowonarodzonej dzieciny swojej. Potem często dziecko jej wyciąga rączyny swoje do kwiatów. Oczy mu się iskrzą, gdy je zobaczy, nawet krzykliwie żąda ich dla siebie.

Gdy dziecko umie już chodzić, zawsze okazuje wielkie umiłowanie kwiatów. Lubi chodzić tam, gdzie one rosną... i, niestety, częstokroć zrywa je łapczywie. A starsi, patrząc na to, nie zabraniają, bo również czynią to samo.

Wszyscy lubią kwiaty. Nie kontentują się patrzeniem, ale chcą je mieć w ręku, nosić jako bukiet.

Letnią porą wszędzie spotykamy kwiaty. Każda rodzina, nawet najuboższa, pragnie je mieć u siebie w oknie i na stole.

Do miasta, gdzie ogrodów jest niedużo, dzieci przynoszą kwiaty z pobliskich pól i wiosek, sprzedają je na ulicach przechodniom.

Z jakąż radością mieszczanie podczas wiosny witają fijołki, widziane na ulicznych straganach kwiaciarek!

Te kwiaciarki całe lato rozprzedają przechodniom kwiaty..

Nietylko na ulicznych straganach bywają kwiaty sprzedawane, bo każde większe miasto ma nawet kilka i więcej sklepów, trudniących się niemal jedynie handlem kwiatowym!

Tak ludzie łakną kwiatów, bo je miłują!

Są też wszędzie te dobre kwiaty kochane!

Są w izbie nędzarza, — są i w pałacu bogacza. Są w ręku dziecka, młodzieńca i starca. Są na stole ucznia, na biurku urzędnika, na warsztacie rękodzielnika i na stole biesiadnem!

Są w ręku zacnej dziewicy, — ale też bywają w ręku ladacznicy...

Zdobią niemi sale zabaw, — jednak i święte ołtarze pobożne ręce ubierają kwiatami.

Żywe kwiaty rzuca lud na umiłowanego bohatera swego, kiedy wita go uroczyście na ulicach miasta.

I dziatwa, ubrana w bieli, sypie kwiaty podczas procesji przed Najświętszym Sakramentem.

Kwiaty w upominku zwykli dawać ludzie jedni drugim, czy kiedy witają, czy kiedy żegnają, czy na imieniny, czy podczas wesela — i nawet podczas pogrzebu składać je lubią na trumnie, albo na mogile..

Jestże drugi człowieka towarzysz tak nie odstępny, jak kwiat?

Chyba nie!

Słusznie więc zowią go ludzie dobrym towarzyszem.

Hej! nawet zwać go powinni lepszym, bo zasłużył na to!

Tylko zauważmy, jak mocna dobroć jego!

Toć zawsze ludziom sprzyja on bezinteresownie wiernie i hartownie

Niesie pożytek,nic za to nie żądając. Wiernie spełnia swoje zadanie, bo zawsze prawdziwie zdobi i czaruje barwą i zapachem.

Nigdy nie bierze na siebie odpowiedzialność za złe, lub niewłaściwe spożytkowanie gotowości jego, więc wina spada jedynie na ludzi, którzy jej nadużyli.

A hartowny jest w sobie nad wszelkie siły ludzkie.

Nikt z ludzi, choćby najpotężniejszy, nie zdoła go skłonić do odmiany, zdrady, lub jakiej innej hańby!

Niech go weźmie za towarzysza, dajmy na to, człowiek nawet najgorszy, kwiat nigdy nie zmieni się, zawsze będzie wierny powołaniu swemu!..

Owszem, kwiatu, jako dziełu zawsze dobremu najwłaściwiej przysługuje miejsce tylko dobre i towarzyszenie tylko dobrym ludziom, — lecz gdyby kiedykolwiek los niepomyślny oddał go w moc złych osób, on i u nich nawet będzie zawsze tylko sobą, nigdy nie zatraci swego charakteru, —i, oczywiście dobrzy ludzie, patrząc zdala na niego, będą ubolewali nad nim, jednak i wówczas nie stracą dla niego swej miłości.

Dobroć, łącząc się z pięknością, czyni kwiat tem milszym dla ludzi.

Nawet dobroć i piękność kwiatu, zlewając się w jeden czar, czynią go zawsze pożądanym towarzyszem.

I zazwyczaj człowiek mówi tak:

— Ach, piękny jest kwiat! Każdy go miłuje.

Jednak, wyrażając się ogólnie, piękność kwiatów ma dla ludzi znaczenie inne, niż np. piękność kobiety, albo piękność uroczej okolicy, albo piękność zachodu słońca.

Oto dla nas w piękności kwiatów jak gdyby tai się myśl bardzo szlachetna o pięknie moralnem.

Bo przecież w znaczeniu ludzkiem piękno moralne zwykle ujawnia się zewnętrznie, Naprzykład dziecko niewinne, albo dziewczątko uczciwe ma na swej twarzy odbite piękne myśli anielskie. Nieraz uderza nas czyjeś oblicze szlachetne, w którem odzwierciedla się piękność moralna duszy zacnej.

Otóż w oczach niejednego człowieka i piękność kwiatów odznacza się niejakiem tchnieniem moralnem.

Dlatego tak często patrzymy na kwiaty z pewną czcią, jak gdyby na żyjące istoty, godne poszanowania! Dlatego też umieszczamy je na miejscu widocznem i uroczystem, a nawet stawiamy je w świątyni na ołtarzach!

I jeszcze patrząc na kwiaty, czynimy je symbo-

lem piękna moralnego i wtedy myślimy o uczynieniu duszy tak piękną moralnie, jak nasze kwiaty prześliczne!

Czy człowiek mocen jest, zapatrując się na nie, czynić duszę swoję coraz piękniejszą?

Owszem, zdziałać to może i nawet powinien!

Kwiat jest piękny, np. róża, groszek, astra, lilja, konwalja. Zachwycamy się niemi, lecz powiadamy słusznie: **one muszą być takie.**

Muszą spełnić rozkaz Stwórcy. One przecież nie mogą być inne!

Prawda. One otrzymały od Stwórcy w nasionkach swoich takich mistrzów, sposoby i wzory, że już muszą rosnąć, rozwijać się, zabarwić się i pachnieć podług danych praw i planów.

Powtarzamy raz jeszcze: nie mogą być inne, muszą być piękne.

I mimo to, my, ludzie, wiedząc o tem, kochamy kwiaty, nawet je szanujemy, jako wierne i przecudne dzieła Boże, jako najmilszych towarzyszów naszych i... i jako zawstydzający nas przykład piękny...

O, tak, kwiaty są dla nas wzorem doskonałym w znaczeniu fizycznem i moralnem.

Oto one **stopniowo stają się piękne.**

Jest mistrz w korzonkach. On pracuje, ma wskazany sobie od Stwórcy wzór, czyli ideał, ma plan, czyli metodę, jak ma zmierzać do akuratnego urzeczywistnienia tego wzoru, ma wreszcie sposoby do wykonania całej tej roboty, bo ma ów mistrz utajony w swoich korzonkach jakgdyby wiele rąk i naczynek, któremi w głębi ziemi grzebie się i dobiera tam sobie najodpowiedniejsze materjały, przytem przyzywa na pomoc różnych sprzymierzeńców, jak wodę, powietrze, słońce i nawet drobniuchne robaczki...

Zaprzęga tych wszystkich swoich pomocników do swojej roboty, sam jednak robi najwięcej, kieruje, przerabia, pracuje ustawicznie i mozolnie, wreszcie tylko dzięki tym trudom wydobywa się z ziemi na powierzchnię coraz mocniejszy kwiat! Już ciągle przybywa temu kwiatu więcej listków, a potem jawią się pączki na wykwit, czyli na prześliczne koronki. Nakoniec wystrzelają przecudne koronki, czyli „kwiaty", jak je pospolicie lubimy nazywać.

Już patrzymy z rozkoszą na swój przepiękny kwiat. A nie myślimy wcale o tem, ile mozołów podjął ów cichy, skryty mistrz w korzonkach, ów główny kierownik całej roboty, budującej kwiat piękny.

**Nic łatwo!**

To pierwsza przestroga, jaką nam daje kwiat piękny.

Ale jest ich jeszcze więcej!

Bo zauważmy: Korzonki budują kwiat. Korzonków wiele, ale jeden w nich mistrz, bo wszystkie ich prace jednoczą się, czyli stosują się do jednego planu i wzoru. Wszyscy podporządkowani jednemu kierownikowi, a ten kierownik jak gdyby nigdy nie traci z oka jednej myśli przewodniej: oto ustawicznie zmierza do jednego celu — do wykonania kwiatu pięknego.

Tak mistrz rządzi swemi robotnikami, żeby każda cząstka ich roboty doskonale przyczyniała się do wykonania całości budynku, najściślej podług planu Bożego!...

I każdy człowiek nie inaczej, tylko tak działać musi, jeżeli chce, na podobieństwo kwiatu, sam w swej duszy utrwalić piękno moralne.

Kto chce świadomie stać się pięknym moralnie, już rozumie, że musi przedewszystkiem posiąść w umyśle jak gdyby wizerunek stały, do którego coraz bardziej upodabniać się będzie.

Ten wizerunek, nabyty w myślach, to już jest stały, przewodni na drogę życia moralny ideał piękny, czyli dobry.

Nabytek taki jest niezmiernie ważny.

Kto dobił się jego, już uczynił znaczny krok naprzód w pracy nad udoskonaleniem swej duszy.

Już ma wzór dla siebie, jak korzonki róży mają zawczasu wzór, do którego w robocie swojej zawsze wiernie stosować się będą!

Teraz ustawicznie wypada mu pamiętać o tym wzorze swoim i każdy swój postępek naginać do niego.

Nie o postępki jedynie chodzi.

Trzeba mu sięgnąć w głąb swej duszy, do źródeł postępków swoich, a więc do uczuć, myśli i woli!

Największą baczność wypada mu mieć na swoje myśli i uczucia.

Koniecznie **musi posiąść nad niemi władzę stałą.**

To jest poprostu niezbędne! Bez tego nikt nie zdoła uczynić swej duszy piękną moralnie.

Ale—zawczasu wiedzmy o tem, że to jest sztuka nielada!

Kto potrafi panować nad swemi myślami i uczuciami, — ten już staje się mistrzem, zdolnym uczynić siebie pięknym moralnie, jak kwiat prześliczny!

Panowanie nad sobą, —to mistrzowska siła duszy, kierująca robotą całą budowania w sobie piękna moralnego podług upatrzonego wzoru, czyli ideału.

Trzeba więc ciągle każdą myśl niewłaściwą gasić, a zapalać dobrą. Trzeba mieć zawsze czujną straż nad uczuciami: piękne pielęgnować, wzmacniać, a szpetne i szkodliwe odrazu dławić.

Trzeba wszędzie, w sobie i dokoła siebie, szukać pilnie sprzymierzeńców zdatnych i posługiwać się niemi uważnie w swojej robocie pięknej. A więc, trzeba dobierać sobie towarzystwo ludzi zacnych, zapatrywać się na przykłady piękne, czytywać książki dobre, rozniecać w sobie ambicję szlachetną, która umie wołać rozkazująco: „bądź dobry, stawaj się coraz lepszy!" modlić się często, ale serdecznie do Boga, prosząc o pomoc i błogosławieństwo, budzić też w sobie litość i sprawiedliwość, bo i te uczucia, gdy są mocne, bardzo przyczyniają się do uszlachetnienia charakteru moralnego.

Przy tem wszystkiem niezbędna jest wola mocna, żelazna!

Najlepsze myśli, najzacniejsze uczucia nie wielką mieć będą wartość moralną, gdy przy nich będzie wola słaba, chwiejna, zmienna!

Kto **chce** stać się pięknym moralnie, **musi naprawdę chcieć!**

Musi przeto mieć wolę silną, wytrwałą, niezmienną!

Niech zapatruje się na kwiaty piękne.

One posiadają jak gdyby wolę doskonałą. Każdy kwiat zawsze stały, wierny, niezmienny. Czy róża, czy bez, czy stokrotka — zawsze od początku do końca swego życia jest różą, bzem, stokrotką. Nigdy nie zawiedzie! Zwiędnie, uschnie, ale do końca wytrwa w swoim obowiązku!

Tak człowiek, moralnie piękny, musi, w złej czy w dobrej doli, wytrwać przy swoim ideale moralnym.

Owszem, zdoła wytrwać, gdy posiadać będzie wolę żelazną, nieugiętą!

Taka wola — to czynnik niezbędny! Bez niej człowiek nigdy nie stanie się pięknym moralnie.

Ale ona jedna nie wystarczy. Ona tylko pomaga wypielęgnować zalety piękne i nadaje tym zaletom hart stali, moc skały, niezmienność kwiatu.

Oby tylko człowiek zechciał wzorować się na kwiatach, a zczasem, niezawodnie, stanie się bardzo piękny moralnie!

Dobrze jest, gdy człowiek naśladuje dostojeństwo kwiatu.

Prawda, kwiat jest piękny, ale nigdy nie wyzyskuje swojej piękności na czyjąkolwiek szkodę. Owszem, chce być ozdobą, chce sprawić radość, uciechę, ukojenie, chce przynieść pomoc rzetelną.

Lecz nigdy nie nadyma się, więc nie unosi się pychą, jak gdyby rozumiał, że nie on sam, jeno Bóg mu ułatwił zdobycie piękności.

Nie pieści się, nie grymasi, nie szuka pochwał ludzkich.

Jest skromny, cichy, usłużny. Ale nikomu nie schlebia, nie łasi się, nie kłamie! Spełnia zawsze swoję powinność. Jest nie dla siebie, lecz dla Boga i ludzi. Jednak nie w tem znaczeniu, żeby ludziom miał się oddać w niewolę, żeby na ich skinienie wszystko z siebie miał uczynić, być ciągle tem, czem chcą oni! — Nie!

On nigdy nie zatraca swojej godności kwiatowej!

Róża jest zawsze piękna i dostojna nawet w ręku złoczyńcy.

I ludzie postronni, widząc ją u niego, zpewnością powiedzą, lub tylko pomyślą tak:

— Niecnoto, nie jesteś godzien mieć ją w swej dłoni!

Rozumiemy, że kwiat nie zważa na ludzkie mniemania: zawsze jest sobą, wierny swoim powinnościom — i nigdy nie zazdrości, bo jakikolwiek on jest: duży, czy mały, czarowny, czy tylko ładny, zawsze jest, jako kwiat, piękny, przedziwny, oraz **potrzebny**, a więc **pożyteczny**.

Dla utwierdzenia się w przeświadczeniu o pożyteczności każdego kwiatu spójrzmy na bukiet: im wiecej w nim kwiatów rozmaitych, tem jest piękniejszy!

Są w nim przeróżne kwiaty: obok róż, lewkonji, piwonji, tulipanów i lilji, są stokrotki, niezapominajki, a nawet rumianek! I jednak ludzie, patrząc na cały ten bukiet, wołają zachwyceni:

— Ach, jaki piękny bukiet!

Podobnież odezwać się można o gromadzie, społeczeństwie i narodzie.

Składa się, jak bukiet, z poszczególnych ludzi.

A znowu każdy człowiek posiada jak gdyby kilka wartości odrębnych:

osobną ma wartość fachową,
oświatową,
obywatelską,
moralną.

Jeśli zechcemy mówić o ludziach, jacy oni są pod względem fachowym, oświatowym, obywatelskim i moralnym, to, zgodnie z rzeczywistością, rzec musimy, że bardzo różnią się oni między sobą. Jedni drugim nierówni!

Prawda.

Jeden jest fachowo bieglejszy, a drugi mniej.

Jeden światlejszy, a drugi mniej.

Jeden obywatelem gorliwszym, a inny mniej.

Wszędzie są różnice.

Skąd one pochodzą?

Zazwyczaj z trzech przyczyn, mianowicie z braku: zdolności, warunków życiowych i dobrej woli.

Ta ostatnia przyczyna bywa najszkodliwsza, bo gdzie brak dobrej woli, tam bardzo łatwo o zazdrość, nieprzyjaźń, nienawiść, a wreszcie o niezgodę! A gdzie niezgoda, tam wojna wszystkich przeciwko wszystkim.

Źle!

Gdy ludziom brak dobrej woli, wówczas niepodobni są do kwiatów, a przeto nie mogą z siebie utworzyć pięknego i harmonijnego bukietu!..

Wszelakoż odrazu zjawi się w każdym człowieku wola dobra, gdy jeno zechce on na wzór kwiatu stać się moralnie pięknym!

Wtedy już będzie coraz lepszy moralnie, więc rozumniejszy, uczciwszy, sprawiedliwszy i wyrozumialszy, a nadto coraz skuteczniej panujący nad sobą!

Już też zacznie staranniej dbać o coraz wiekszе swoje uzdolnienie fachowe i o coraz większą dla siebie oświatę.

O, tak, kto chce stać się moralnie pięknym, jako kwiat,—już napewno chce być zarazem coraz doskonalszym w każdej pracy i powinności swojej, więc w swoich zatrudnieniach fachowych, w zabiegach oświatowych, w obowiązkach obywatelskich, w uczynności społecznej, niosącej pomoc uboższym rodakom, no i w pożyciu rodzinnem.

Gdy dużo ludzi, w jednem społeczeństwie żyjących, łaknie dla siebie piękna moralnego, wszyscy oni zpewnością nigdy nie zaznają uczucia zazdrości.

Stale bowiem zjednoczy ich mocno, jak gdyby w bukiet piękny, serdeczna życzliwość wzajemna i współpraca nieustanna dla dobra i szczęścia powszechnego.

Tylko tacy ludzie wiernie pełnią hasło Mickiewicza:

**W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!**

I niewątpliwie, każdy poszczególny człowiek, należący do takiego społeczeństwa, spełniając zawsze pięknie, jak kwiat, powinności swoje, ma jedno ciche pragnienie, które za innym poetą polskim (Syrokomlą) tak wyraża:

Boże, chcesz mnie nagrodzić?
Będę zapłacon obfito,
Gdy na mym grobie dla potomności
Wyrośnie kwiatek i żyto!

Gdy po mnie dla moich rodaków zostanie czyn piękny, jak kwiat, a pożyteczny, jak żyto!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2,** — — — — — — — **Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 13 września 1925 r. № 37.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Pieśń litewskich borów.

Wyszedł raz srogi ukaz do litewskich borów,
Aby nie śmiały szumieć, ni modlić się, ani
Mruczeć inaczej swoich wieczornych nieszporów,
Jak na moskiewską nutę: „Boże cara chrani".

Trwoga padła na puszczę. Stoją ciche drzewa,
Jak wynurzon z wód łona bór zakamieniały,
Ani zwierz się nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa,
Dzięcioł boi się nawet pukać w pień spróchniały.

A strażniki wciąż krzyczą, potrząsając knuty:
„Bór się boi, zagra wedle carskiej nuty".

W tem wstaje wiatr — i leci od zachodniej strony,
Już padł na gonnych sosen wyniosłe korony,
Mruknęły dęby, trzęsie liściami brzezina:
Słuchajmy! pieśń się jakaś wśród puszczy poczyna
I brzmi coraz potężniej między konarami:
„Święty Boże a mocny, zmiłuj się nad nami"!

**Henryk Sienkiewicz.**



# HENRYK SIENKIEWICZ.

Urodził się 5 maja 1846 roku we wsi Woli Okrzejskiej z ojca Józefa, właściciela Grotek, — i matki Stefanji z Cieciszowskich. Na chrzcie świętym, dopełnionym przez księdza Antoniego Gutmana, otrzymał cztery imiona: Henryk, Adam, Aleksander, Pius.

O swoich latach dziecięcych tak napisał Henryk Sienkiewicz:

„W rodzie moim przeważały wojskowe upodobania; przodkowie mego ojca byli przeważnie wojakami; dziadek mój, Józef Sienkiewicz, podpułkownik wojsk polskich, walczył pod Napoleonem... Od dzieciństwa często słyszałem w domu rodzinnym wspomnienia o wojakach; starszy mój brat odziedziczył umiłowanie wojskowości, udał się do Francji, następnie uczestniczył w wojnie francusko - pruskiej i podczas niej poległ...

„Skłonność do pióra i piśmiennictwa mam chyba po matce. Pradziad mojej matki, który przez lat 56 nosił biskupią infułę, pisał i drukował wiele. Moja matka, Stefanja z Cieciszowskich, chętnie pisywała wiersze, — była krewną Lelewela (znakomitego historyka) i Łuszczewskiej (Deotymy, wybitnej poetki polskiej).

„Ojciec mój wszelako był ziemianinem, posiadał majętność swoję w Radomskiem, później gospodarował w Wężyczynie, w okolicach Stanisławowa, a pod koniec, około 1863 roku, sprzedał wieś i przeniósł się do Warszawy. Ja zaś urodziłem się w domu babki mojej, w powiecie łukowskim (w Woli Okrzejskiej) i lata dzieciństwa spędziłem na wsi, jeździłem długo jeszcze na wieś, już po wstąpieniu do realnego gimnazjum w Warszawie, na każde wakacje i dlatego tak dobrze poznałem lud i język ludowy. Pierwsze moje wrażenia wsi i przyrody przywiązały mnie też do ziemi i do ludu, a zamiłowanie piśmiennictwa (literatury) rozwinęły we mnie stare księgi, których pełny kufer znalazłem u babki na strychu i dzięki tym książkom, jako dzieciak jeszcze zapoznałem się najpierw z pisarzami złotego wieku: z Rejem, Kochanowskim, Górnickim, Skargą, Birkowskim, Orzechowskim i innemi. To byli moi pierwsi nauczyciele języka polskiego".

„Ukochanie przeszłości — pisze profesor Chrzanowski — wyniósł Sienkiewicz z domu rodzicielskiego — i od małego dziecka rycerska przeszłość Polski wywierała na niego jakiś przedziwny wpływ. Jak sam opowiadał, był w pierwszej klasie gimnazjalnej, kiedy w katedrze św. Jana w Warszawie nie mógł oderwać wzroku od pomników, portretów, a zwłaszcza posągów rycerzy w zbrojach: „Sam nie wiem, czy od tych rozmaitych pamiątek, od tych portretów, od tych pomników, od tych marmurowych twarzy nie wiał na mnie wówczas wiatr minionych wieków sławy, siły, wolności — i nie nanosił tych ziarn, które długo leżały mi w duszy, zanim wyrosły z nich moje powieści historyczne".

Już przeto od wczesnych lat Sienkiewicz sposobił się do zawodu pisarskiego. Skłaniało go do tego nie tylko zamiłowanie, ale i talent wielki. Pisać do druku zaczął, będąc dopiero młodzieniaszkiem.

W pierwszych jego pracach, jakkolwiek nic nadzwyczajnego nie zawierały, Kraszewski, który je ocenił, dostrzegł talent niepośledni. I ta pochwała przydała się Sienkiewiczowi zaraz w pierwszych początkach zawodu pisarskiego.

Bo Sienkiewicz istotnie po ukończeniu uniwersytetu warszawskiego (w r. 1871) oddał się całkowicie pracy literackiej.

W tym czasie, kiedy Sienkiewicz wstępował w szeregi pracowników pióra, jęła górować w światłej młodzieży polskiej myśl ratowania od zagłady narodu polskiego nowemi sposobami.

Nareszcie młodzi zrozumieli, że naród polski jeśli chce podczas swej niewoli u moskali i niemców zapewnić sobie niezbędną niezależność moralną, umysłową i ekonomiczną, musi bardzo pracowicie doskonalić swoje wychowanie domowe, szerzyć oświatę wśród ludu, chwytać się rzemiosł i handlu, ulepszać rolnictwo i robić duże oszczędności, ażeby własnemi kapitałami dźwigał u siebie pracę zawodowe.

Do tak myślącej młodzieży wykształconej należał młody Sienkiewicz.

W wydanych—pisze K. Wojciechowski — w rok po skończeniu uniwersytetu opowiadaniach p. t. „Humoreski z Teki Worszyły" przedstawił młodego człowieka, szlachcica, Wilka Garbowieckiego, jak krząta się około oświaty, jak pragnąłby nauczyć włościan lepszej uprawy gruntów i rozbudzić wśród sąsiadów przedsiębierczość przemysłową. Ale „nikt nie jest prorokiem między swemi". Ma tedy Wilk do zwalczenia przeszkód zbyt wiele. Otoczenie nie rozumie go, są i tacy, którzy uważają go za człowieka niebezpiecznego. Nie jest to łatwo torować nowe drogi"...

„Równocześnie — pisze dalej profesor Wojciechowski — drukował Sienkiewicz wiele artykułów w pismach codziennych i tygodniowych i razem z Bolesławem Prusem ośmieszał fałszywą arystokracje, wołał o zakładanie spółek, banków, szkó ek, o budowanie dróg, regulowanie rzek, o pracę — od podstaw. Wszelako nie dziennikarski zawód miał się stać właściwem polem młodego pisarza. W Sienkiewiczu ukryty był olbrzymi talent poety, o czem świadczyła już zresztą jedna z młodzieńczych jego powieści, kiedy zaś w roku 1875 ukazała się powieść „Stary sługa", a w rok potem „Hania", głos najszerszego podziwu rozległ się w całej Polsce.

Dnia 19 lutego 1876 roku udał się Sienkiewicz do Ameryki.

Tam — słowa Stanisława Lama — dziwy i cuda nietkniętych puszcz amerykańskich przemawiały do Sienkiewicza mocno a bezpośrednio, bo jako zapalony myśliwy nieraz całe dnie spędzał wśród boru. Jeździł tam, w Ameryce, z miejsca na miejsce, widział wiele ludzi, patrzył na sposób ich życia i—podziwiał zapał, zabiegliwość, pracowitość i zgodne ich współdziałanie społeczne wszystkich dla dobra wszystkich. I wtedy, myśląc o swojem społeczeństwie polskiem, zdawało mu sie, że gdyby wszyscy rodacy zechcieli wypielęgnować w sobie wiele pięknych zalet, zdo-

biących amerykanów, niechybnie sami posiedliby dostatek, siłę i znaczenie u świata!

Przeszło rok czasu bawił w Ameryce.

Roku 1877 pożegnawszy gościnną ziemię Waszyngtona, udał się jeszcze do Francji i Włoch. Wszędzie doskonalił swego ducha, uczył się i gromadził materjały do dalszych swoich prac pisarskich.

Sienkiewicz sposobił się na wielkiego, czyli pierwszorzędnego pisarza. Czuł w sobie Boży talent. Nie chciał go zmarnować, ale też nie chciał go źle użyć. Widział w świecie piękno, prawdę i dobro,— a w sobie zauważył gorące umiłowanie tych darów Bożych.

Zapragnął utrwalić w swoich pracach pisarskich w sposób najwspanialszy piękno, istniejące w całej przyrodzie. Również w taki sam sposób chciał piórem swoim przedstawić czytelnikom prawdę i dobro, wypielęgnowane i wykonane przez mnóstwo ludzi, ożywionych usposobieniem szlachetniejszem.

Mając dopiero lat dziewiętnaście tak napisał raz w liście do swego przyjaciela:

„Jeżeli teraz jeszcze nie mam dosyć siły, to ją mieć muszę, a zdobędę ją przez ciągłą pracę nad sobą, przez ciągłą walkę wewnętrzną, która zahartuje moją wolę i uczyni silnym do walki na śmierć i życie, jaką kiedyś pragnę podjąć w imieniu idealizmu... Chcę... walczyć w imieniu tego, co nazywają idealnem pięknem i dobrem... Proza... życia musi pociągać wiele złego, wiele brudu i głupoty, — dlatego, powtarzam, chcę walczyć przeciwko takiemu życiu".

Tak rozumiał młodziutki Sienkiewicz wzniosłe zadanie pisarza polskiego, który swemi pracami ma karmić duszę polaka po to, by uczynić ją lepszą nietylko umysłowo, lecz i moralnie!

Pragnął podjąć walkę na śmierć i życie w imieniu idealizmu.

Walkę z czem i z kim?

Oczywiście z wielkiem złem i z temi, którzy dopuszczają się złego.

A jak rozumieć wyrażenie: walkę w imieniu idealizmu?

Oto on już pielęgnował w duszy swej przepiękny ideał prawd moralnych, tak przecudnie rozpowszechniony przez Ewangelję Chrystusową!

Ukochał ten ideał prawdy i dobra Chrystusowego. Wchłonął go w siebie tak, że tym ideałem przeniknięte były jego wszystkie myśli i porywy serca.

Sienkiewicz wzupełności oddał się na służbę takiemu ideałowi. I był mu wierny całe życie swoje!

Niósł wytrwale wysoko swój sztandar prawdy Bożej, dobra, które uszlachetnia i uszczęśliwia,—oraz piękna, które krzepi i raduje każdą duszę szlachetniejącą.

Tak prawdziwie stał się pisarzem wielkim, pierwszorzędnym, dlatego świat go wielbi, a naród polski chlubić się nim nigdy nie przestanie!

„Sienkiewicz—pisze prof. Ig. Chrzanowski—nigdy nie był ślepy na smutki życia, ale nie był także głuchy na jego radości, a przedewszystkiem miał głęboką, mocną i żywą wiarę, że pomimo łez i jęków życie ma jednak sens i wartość, że cierpienie jest jego pierwiastkiem nietylko koniecznym, ale i potrzebnym. I to szczęście dla nas, że miał taką wiarę: pomyśleć sobie tylko, czyby to naszym duszom na zdrowie wyszło, gdyby je najpoczytniejszy ze wszystkich pisarzów poił pesymizmem i zwątpieniem zamiast wlewać w nie wiarę w moralną wartość życia dobrego i pracowitego! Niech będzie błogosławiony optymizm Sienkiewicza!"—.

A przecież wiemy, że pesymizm to nic innego, jak „skłonność do wynajdywania we wszystkiem złych stron, widzenia wszystkiego w czarnych kolorach". Takiego pesymizmu nigdy Sienkiewicz nie wszczepiał w dusze czytelników swoich. Natomiast usposabiał je do optymizmu zdrowego, więc wpajał w nie przeświadczenie, że jednak „w świecie jest dużo szczęścia, dużo dobrego i prawdziwej radości".

Jeden miał cel główny przed sobą Sienkiewicz:

**uszczęśliwić swój naród!**

Górowało w duszy Sienkiewicza jedno uczucie:

**ukochanie narodu swego**

i jedna myśl:

**uczynić go dobrym i szczęśliwym!**

A czyby zdołał uczynić go dobrym i szczęśliwym, gdyby karmił go jedynie zwątpieniem, ukazywaniem mu tylko podłości, znikczemnienia i występków, jakoby nadewszystko trjumfujących w świecie?

Toć przecież tak źle nie dzieje się w życiu ludzkiem!

Owszem, było i jest wszędzie dużo złego,—ale niewątpliwie było i jest **więcej** dobrego!

Nawet nie trzeba obszerniej przekonywać o tem. Dość zauważyć, że gdyby więcej było jastrzębi, aniżeli wróbli, jużby niechybnie ród wróbli musiał zaginąć. Tak gdyby więcej było złych, niż dobrych ludzi, jużby stałem była na świecie zjawiskiem wojna powszechna i ustawiczna!

A wszakże tak nie jest, dzięki Bogu.

I gdy który człowiek poszczególny, lub naród odznacza się niespokojnością, burzliwym charakterem i napastliwością już go niezawodnie bądź służba bezpieczeństwa, bądź narody przezorne w imię dobra powszechnego starają się obezwładnić, uśmierzyć...

Powieściami swemi Sienkiewicz te prawdy wszczepiał w dusze rodaków. I to mu się udało!

W tem właśnie tkwi przeogromna jego zasługa!

Smutne były dusze polskie po roku 1863.—Tak pisze prof. Chrzanowski.—Ogarnęło je zwątpienie już nietylko co do przyszłości, ale i co do przeszłości. Nie wierzono już dawnej odpowiedzi na bolesne pytanie: dlaczego?, które sobie głowy i serca polskie od końca 18-go wieku zadawały. Dawniej mówiono sobie: Polska upadła dlatego, że jest narodem wybranym, ofiarą dla odkupienia grzechów i podłości Europy, że zmartwychwstanie i całemu światu zaśpiewa pieśń szczęśliwą. Teraz. (po powstaniu stłumionem 1863 r.) ta wiara ustąpiła miejsca przekonaniu, że wszystko, co się stało, — a więc upadek narodu, — stało się z winy narodu! I chciano poznać te winy, żeby się z nich poprawić, żeby znaleźć drogę ratunku.

„Znajdowano win tyle i tak strasznych, że serca aż zadrżały: jakto? więc ta dawna, święta, ukochana Polska nic nie warta? — Oto pierwsze niebezpieczeństwo domowe: **gmach „przyszłości można budować tylko na fundamencie przeszłości, na niczem więcej**, więc jakże go budować, jeżeli w jego fundamencie niema ani jednej niezepsutej cegły?

„A do takiego wniosku doprowadzały nieraz badania historyczne po roku 1863. Nikt nie przeczy, że one przyniosły nam dużo, bardzo dużo pożytku, że uleczyły nas z przesadnego mniemania o naszej przeszłości; ale, że się posuwały zbyt daleko w jej krytyce, że w pogoni za cieniami nie widziały świateł, że tych samych cieni, co u nas, nie widziały w innych krajach, to także nie ulega wątpliwości".

Istotnie, po upadku powstania ostatniego (1863 r.) opanowało dusze polskie zwątpienie straszne!

Niektórzy historycy wówczas jęli przekonywać rodaków, że dawne dzieje Polski stwierdzają prawdę oczywistą, iż naród polski miał i ma dużo wad szkodliwych, a zamało zalet—i tylko z tego powodu **musiał** utracić wolność. A dziś w żaden sposób nie zdoła się **sam** podźwignąć, Bóg mu zaś nie pomoże, bo nie zasłużył na to, a i świat nie poda ręki, bo zwykł sprzyjać tylko silnym i lepszym!

W taki sposób duszę polską zaczęła nurtować choroba niebezpieczna!

Odjęto duszy naszej wiarę w siebie. Wmówiono w nią, że naród polski zawsze był lichy, nic dobrego nie uczynił, więc nie wart Bożej opieki i szacunku świata!

Takie zwątpienie o sobie i zniechęcenie się do ratowania swej narodowości, jakoby nie godnej zachodów, stopniowo rosnące w duszach polskich i coraz bardziej je rozstrajające, było na rękę wszystkim wrogom naszym.

Skwapliwie też oni od siebie zręcznie a chytrze dodawali podłe pobudki do powiększania w polakach upadku ducha i lekceważenia przeszłości Polski!

Zatruwali dusze polskie swojemi szkołami, urzędnikami i żandarmami!

Szkoły wraże starały się wynarodowić polaków i wmówić w nich przy pomocy sfałszowanej historji, że dzieje Polski wykazują li tylko wady i błędy, ciągle popełniane przez naród polski...

Urzędnicy zaś pogardzali polakami, ażeby poniżyć ich w oczach świata, odjąć im poszanowanie własnej godności, wreszcie nauczyć ich lekceważenia siebie i swoich!..

A znowu żandarmi tępili tajne szkoły polskie, oraz lepsze książki polskie, usiłujące rozniecać w sercach polskich ukochanie narodu swego i pożądanie niepodległości.

Tonął naród polski w mrokach smutku i beznadziejności, — żarł jego duszę jad zniechęcenia, nieufności i niechciejstwa!..

Już jak gdyby nic mu się nie chciało! Zdawał się jakoby na los ślepy... Niech się dzieje, co chce! Bo widocznie już mu sądzono zginąć doszczętnie!

Tak za sprawą wielu polaków i mnóstwa wrogów został polski duch zatruty.

Powiedz orle,—pyta Krasiński — orle mój
Białoskrzydlny, niezmazany,
Skąd tych czarnych myśli rój?
One rosną — gdzie kajdany!
Ach, niewola sączy jad,
Co rozkłada duchów skład!
Niczem Sybir — niczem knuty
I cielesnych tortur król,
Lecz narodu duch zatruty —
To dopiero bólów ból! —

Czy pod działaniem tego jadu miał duch polski zmarnieć na uciechę swych wrogów?

O, nie! Zbyt wielką mocą moralną odznaczał się naród polski, — zbyt wiele dokonał czynów pięknych w długiej przeszłości swojej — i zbyt wiele ma dzielnych, nawet najdzielniejszych synów, którzy jako narzędzia Opatrzności, pracują nad przysposobieniem go do stworzenia własnej przyszłości chwalebnej!

Czy mamy dopiero przekonywać rodaków, że w rzędzie tych najdzielniejszych jedno **z** naczelnych miejsc należy się Sienkiewiczowi, jako mistrzowi narodu swego?

On jeden podjął pracę najtrudniejszą, ale zarazem bardzo wdzięczną, — bo przecież postanowił usunąć z dusz polskich jad wraży, nawet uczynić więcej: zapalić w duszach polskich trzy cnoty święte a niezbędne: wiarę, nadzieję i miłość, mające dźwigać cały naród na szczyty sławy, dostatku i szczęścia.

I jak postanowił, — tak był uczynił!

Dzięki mu za to!

Imię jego nigdy nie będzie zapomniane w Polsce, — nawet w świecie całym!

Gdy Sienkiewicz w dość krótkich odstępach czasu ogłosił w Polsce swoje prace: w r. 1884 „Ogniem i mieczem", — w r. 1886 „Potop", — w r. 1887 „Pan Wołodyjowski" — a w r. 1900 „Krzyżacy", — wywarł niemi na cały naród wrażenie ogromne.

Uderzenie (na dusze) było tak potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła:
Marsz trjumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

„To nie przesada! — woła prof. Chrzanowski — Wszyscyśmy usłyszeli w Trylogji, a i w Krzyżakach Sienkiewicza te cztery słowa (Polska, naród polski kultura chrześcijańska i kultura polska), o których prawdę powiedział Witkiewicz, że są to największe słowa, jakie po utracie niepodległości usta polskie wymówiły.

„Łudził się wróg, a przynajmniej chciał wmówić w świat, że cudowna muzyka tych słów przestała już grać w sercach polskich, myśmy ja sami coraz dalszą i coraz cichszą słyszeli, już konającą „gdzieś na niebios progu", ale kiedy ją nam Sienkiewicz zagrał na sercach, one oddźwiękły równie głośno jak dawniej, tą samą wiarą, tą samą nadzieją, tą samą miłością, równie głęboką, ale bez porównania szerszą: bo dawniej tę pieśń (wiary w niezniszczal

ność Polski, narodu polskiego, kultury chrześcijańskiej i kultury polskiej) śpiewała tylko cząstka narodu, a zaś Trylogja Sienkiewicza (Ogniem i mieczem, Potop i Pan Wołodyjowski) nauczyła tę pieśń śpiewać całe tysiące, a raczej całe miljony ust i serc polskich, które jej dawniej nie znały, a przynajmniej nie rozumiały i jeszcze nie kochały!

„Tak, jeżeli dzisiaj muzyka tej pieśni ukochanej gra już we wszystkich duszach polskich, jest to w ogromnej mierze zasługą Sienkiewicza. Przecież nigdy jeszcze żadna książka polska nie była tak poczytna, jak Trylogja; przecież nie Mickiewicz, tylko Sienkiewicz dożył tego szczęścia, że książki jego „zbłądziły pod strzechy"; przecież to nie bajka, tylko szczera prawda, że wieśniak polski dawał na mszę za duszę Podbipięty, że na Litwie i w Prusach, w Rosji i w Ameryce niejedna dusza polska, która w połowie już zatraciła swoją polskość, odzyskiwała ją w całej pełni — po przeczytaniu Trylogji...

Ongi, około roku 1780 „marzył Kołłątaj, żeby na całym obszarze Polski była jednolita szkoła, któraby, wpajając w umysły uczniów jednakowe pojęcia, a w serca jednakowe uczucia, wytworzyła moralną jedność narodu polskiego. Marzenie to nie mogło się wówczas ziścić, naprzód wskutek arystokratycznego ustroju społeczeństwa i państwa polskiego, a potem wskutek upadku niepodległości...

„Wrogowie nasi czuwali pilnie, żeby Polska, rozdarta przez nich na trzy części, zatraciła jedność duchową, a zmierzali do tego głównie przy pomocy szkół swoich. Jednak tylko w drobnej mierze udała im się ta robota piekielna! I dziś z dużo większem prawem, niż po utracie niepodległości, możemy sobie zaświadczyć, że jesteśmy **jednym** narodem.

„A jeżeli nim jesteśmy, zawdzięczamy to niemało naszej literaturze, która jednoczyła nas w naszych usiłowaniach i celach. Strach pomyśleć, czem bylibyśmy dzisiaj, gdyby nie Woronicz i Niemcewicz, gdyby nie wielcy poeci, gdyby nie Kraszewski. Ale strach pomyśleć także, czem bylibyśmy dzisiaj, po roku 1863, bez Sienkiewicza, bez jego Trylogji.

„Ona nas ożywiła, ona naprawdę pokrzepiła nam serca, ona nietylko wlała w nasze piersi miłość dawnej, rycerskiej Polski, ale rozpaliła też nowe zarzewie buntu przeciwko niewoli. I jeżeli dzisiaj mówimy śmiało i otwarcie o naszem prawie do niepodległości, nieprzedawnionem, jak wszystkie prawa Boże, to zawdzięczamy to nietylko nowym zabiegom politycznym, które przyniosła na swych krwawych falach wojna wszechświatowa, zrodzona nie z czego innego, tylko z tej zbrodni, jaką popełniła Europa w końcu 18-go stulecia (przyczyniając się do rozbiorów Polski), ale także **cudotwórczemu słowu** Sienkiewiewicza, jego Trylogji.

„Jak jeden Bóg tylko zliczył, — dalej dowodzi prof. Chrzanowski — ile ofiar i mąk poniosła, ile łez i krwi wylała Polska w swoich walkach o niepodległość, tak jednemu tylko Bogu wiadomo, ile dusz polskich ten pisarz Polsce przysporzył, **ile ich dla polskości ocalił**, ile ich wyratował z kałuży kosmopolityzmu i z martwego morza niewiary i obojętności, ile ich wyrwał z chciwej i nienasysonej paszczy wroga, który radby połknąć nietylko ciało, ale i duszę Polski!"

Na dowód, jak istotnie prawda mieści się w tych słowach profesora Chrzanowskiego, warto przytoczyć tu piękny przykład, znajdujący się w niesłychanie ciekawej i pouczającej książce ks. M. Tokarzewskiego: „Straż przednia".

Czytamy tam między innem opowiadanie krótkie autora o zdarzeniu, które go spotkało:

„W parafji Rożyńskiej — pisze ks. Tokarzewski — mój znajomy dzielny chłopak zakochał się w dziewczynie prawosławnej i chciał się z nią ożenić, a więc musiałby wziąć ślub w cerkwi, a potem swoje potomstwo wychowywać w religji prawosławnej. Zatem w taki sposób zostałby stracony dla Kościoła Katolickiego i dla Polski. Żadne moje perswazje nie pomagały. A że chłopak ów lubił czytać, więc dałem mu do czytania Trylogję Sienkiewicza. Po miesiącu odniósł książkę i rzekł: **„Nie, ja z moskiewką się nie ożenię!"**...

Takie było ciche, a przepiękne zwycięstwo Sienkiewicza!

Ile on w taki sposób zdobył i nawrócił serc ku Polsce!

I nie jestże to najpiękniejszą nagrodą dla pisarza,—a radością i dumą dla narodu polskiego?

Widocznie Polska — to rzecz święta i najdroższą, kiedy potrafi zjednać sobie serca synów najlepszych i nawet tych, których przedtem uwikłała była w sieć swoję miłość kobiety!

Sienkiewicz żarliwie miłował Polskę i swój naród ojczysty!

Świadczą o tem bohaterowie w powieściach jego.

Żył i pracował dla szczęścia i chwały ojczyzny i rodaków.

Bolał nad ich niedolą, lecz rąk nie opuszczał. Nieraz mocno rozpacz kąsała jego serce, jednak nie poddał się jej, bo otuchę umiał znaleźć dla siebie i dla narodu w balsamie religji, w podniosłych radach miłości chrześcijańskiej i w niezachwianej pewności, że naród polski musi otrzymać wyrok pomyślny sprawiedliwości boskiej!..

Uznawał niezbędność siły i pragnął widzieć ją w rodakach swoich, lecz nie poczytywał jej za największą zaletę, bo rozumiał, że i nad nią musi panować miłość chrześcijańska, litość, wyrozumiałość i szlachetna, w imię Chrystusowego ideału, gotowość przebaczania nawet okrutnym wrogom swoim.

Przytem wszystkiem odznaczał się Sienkiewicz rozumem niepospolitym, przenikliwością nadzwyczajną i niezmiernie miłą, ujmującą powściągliwością.

Dobrze wiedział, którzy wrogowie są najgroźniejsi dla Polski i jakiemi oni zwykli posługiwać się sposobami dla zgotowania narodowi polskiemu zguby okropnej!

„Bezduszne i nieludzkie — pisze Sienkiewicz, mając na myśli niemców, — jest takie prawo, które, nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swoje legowisko, zabrania (w Prusach) polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową".

I dalej takie odsłania zamysły wrogów, szczególnie meskali: „Ponieważ zbrodni potrzeba ciemności, więc przez długie i długie lata trzymano nasz lud jakby w podziemiu z obawy, aby, ujrzawszy światło, nie ujrzał zarazem wszelkich popełnionych nad jego ojczyzną niegodziwości; hamowano oświate, by łatwiej wszczepić nienawiść i by łatwiej poważniony i ślepy naród przywieść do ostatecznego upadku i zniszczenia“.

Sienkiewiczowi zawsze chodziło o wydobycie narodu swego z więzów niewoli. Ale jak się to stać może i powinno?

Tylko siłą przy warunkach sprzyjających.

Bo przecież trzy mocarstwa, trzymające w swej mocy naród polski, dobrowolnie go nie uczynią niepodległym.

Tylko w wirze wojny powszechnej, podjętej dla pokonania drapieżców, łakomych na cudze, wielbicieli pięści i pragnących pięścią swoją potężną miażdżyć słabszych i w taki sposób wydarłszy im ich własność, przywłaszczać ją sobie, jako łup, — tylko w tym wirze wojny powszechnej, prowadzonej w imię sprawiedliwości, naród polski zdoła powrócić na łono wolnej Ojczyzny.

Siła przeto jest niezbędna dla pokonania wrogów - rabusiów! Lecz Sienkiewicz zawsze uważał ją tylko za narzędzie.

Trzeba wrogów pokonać, bo źli, drapieżcy, gnębiciele nie powinni mieć władzy nad narodem polskim, który nic im nie zawinił, nigdy nie wdzierał się w ich posiadłości, nie sięgał po ich własność, — jedynie pragnął żyć na swojej ziemi ojczystej i pielęgnować duszę swoję wolną podług praw bożych!

Niech tedy każdy naród poprzestaje na swojem i broni swego! Naród, jako pracowity gospodarz, powinien na śmierć i życie osłaniać swe gniazdo ojczyste przed wrogiem!

To ma być wiadome wszystkim! Bo każdy rodak miłuje swoję ojczyznę. Ona jest podstawą jego wolności, niezawisłości! Gdy ojczyzna należy do wroga, to i naród już razem z ojczyzną dostał się w moc tego wroga-zwycięzcy,

Każdemu rodakowi najdroższa wolność własna i wolność swoich, przeto zawsze najusilniej gotowy bronić swej ziemi, bo stając w jej obronie, zarazem broni siebie, swojej wolności.

Jak do swej izby nie wpuści wroga, — tak samo nie wpuści go do swej ojczyzny. Bo ojczyzna to niejako jedna wielka izba, w której mieszka cały naród, jako jedna wielka rodzina polska. Pułapem dla tej izby-ojczyzny jest niebo, a na tem niebie króluje Bóg, jako Sedzia sprawiedliwy!

Nie można wpuścić wroga do swej ojczyzny. Ale też samemu nie godzi się wdzierać, jako wróg, do cudzej ojczyzny.

Słowem. kto chce, by jego ojczyznę szanowano, musi szanować cudzą. „Nie czyń innym tego, czego nie chcesz, aby tobie czyniono“. Ta reguła ewangeliczna głosi powszechną sprawiedliwość boską, do której ma się stosować zarówno każdy człowiek poszczególny, jak i każdy naród, a więc i każde państwo.

„Państwo — pisze Sienkiewicz — ma prawo dążyć do potęgi, ale musi poczuwać się do obowiązków wszechludzkich... Siła powinna mieć duszę wielką i moralną.. Należy umiłować ojczyznę nadewszystko i należy myśleć przedewszystkiem o jej szczęściu, ale jednocześnie pierwszym obowiązkiem prawdziwego patrjoty jest czuwać nad tem, by idea jego ojczyzny nie tylko nie stanęła w przeciwieństwie do szczęścia ludzkości, lecz by się stała jedną z jego podstaw; tylko w tych warunkach istnienie i rozwój ojczyzny staną się sprawą, na której całej ludzkości zależy; innemi słowy: hasłem wszystkich patrjotów powinno być: **przez ojczyznę do ludzkości**, nie zaś: **dla ojczyzny przez ludzkość“.**

I jeszcze tak napisał Sienkiewicz:

„Wieki chrześcijańskiej kultury, jak również zdrowy rozum, mówią głośno, że ta kultura, którą żyje ludzkość od dwóch tysięcy lat, jest... siłą większą i bardziej nieprzepartą od bagnetów i że hetmanem nieprzeliczonych zastępów winna być sprawiedliwość“.

„Czy na te słowa — pisze prof. Chrzanowski — nie zadrżałyby z radości serca Mickiewicza i Krasińskiego? czy nie powiedziałyby mu: tyś z nas?

„Ale bo też on był z nich, był spadkobiercą ich ideałów nie tylko narodowych, ale i ogólnoludzkich, ich miłości nietylko Orła Białego, ale i Krzyża. I dlatego on był powołany, on jedyny, do tego, żeby jako ich spadkobierca, hetmanić duszom polskim. I dlatego, kiedy się rozległa wieść żałobna o jego śmierci (15 listopada 1916 roku), to serca polskie zajęczały podobnym jękiem, jaki się wyrwał z piersi poety 17-go wieku na wieść o śmierci Chodkiewicza w obozie chocimskim:

Hetmanie mój złoty!
Przeczże, przecz zostawujesz zaczęte roboty?

„Bo nie w słodkim odpoczynku, — pisze dalej Chrzanowski — tylko przy ciężkiej robocie zastała Sienkiewicza śmierć, — przy jakiej, to wiemy wszyscy. On, który uratował tyle dusz polskich, zapragnął podczas wojny ratować życie polskie. Zaraz w początkach wojny wyjechał do Szwajcarji i tam korzystając ze swojej wszechświatowej sławy, zorganizował polski komitet do zbierania funduszów na potrzeby rodaków w ojczyznie zrujnowanych wojną I tej pracy oddał się całkowicie i niepodzielnie, pomimo, że z różnych stron kraju chciano go wciągnąć do różnych stronnictw politycznych Chciał być dla wszystkich rodaków, a nie dla pewnego tylko stronnictwa

Słusznie, bo był duchowym hetmanem całego narodu polskiego, a nie pewnej tylko jego cząstki.

Samorzutnie z racji mocy ducha swego stał się wówczas wobec całego świata przedstawicielem narodu swego. A więc ból narodu, — stawał się bólem jego, potrzeby narodu stawały się jego potrzebami i krzywdy narodu stawały się jego krzywdam

Mógł za Mickiewiczem powiedzieć

W pośrodku was, jak ojciec wśród rodziny stoję,
Wy wszystkie moje!

Ja kocham cały naród!
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić!..

Jak dobry ojciec zwykł zawsze stawać w obronie swych dzieci, gdy im dzieje się jakakolwiek krzywda, — tak Sienkiewicz ustawicznie dawał na wszystko baczność i gdy kiedy narodowi jego skądkolwiek zagrażało niebezpieczeństwo, natychmiast spieszył z ratunkiem.

Oczywiście, bronił piórem swojem. A potrafił niem służyć, bo miał talent, rozum wielki i serce gorące, a przytem odwagę i gniew święty.

Trudnoż przytaczać tu w całości wszystkie jego głosy, odezwy, obrony.

W r. 1899 napisał z powodu jubileuszu Puszkina, poety rosyjskiego, list otwarty do księcia Uchtomskiego, redaktora dziennika rosyjskiego: „Sankt-pieterburgskija Wiedomosti". A napisał nie po to, żeby oddać hołd Puszkinowi, lecz, żeby okazać litość i pomoc dzieciom ludu rosyjskiego, mrącym poprostu z głodu, lub z chorób, wywołanych głodem, który wtedy nawiedził Rosję.

„Niedola tych dzieci wzruszyła mnie i nasunęła mi myśl, że najlepszym sposobem uczczenia waszego poety (Puszkina), który był przyjacielem naszego Mickiewicza, jest przyjść z pomocą choćby skromnym datkiem tym, którzy cierpią i wyciągają ręce o pomoc".

Chcąc pokaźnie poratować głodne dzieci rosyjskie, Sienkiewicz taką dał propozycję księciu Uchtomskiemu: Oto księgarze rosyjscy wiele powieści Sienkiewicza, przełożywszy na język rosyjski, wydają swoim nakładem i na nich zarabiają nieźle, nic nie płacąc autorowi. Zatem na pracy polskiego pisarza zarabiają, Sienkiewicz jednak nic dla siebie od nich nie żąda, tylko chce, by jakąś cząstkę czystego zysku z rozsprzedanych powieści jego oddali na głodne dzieci rosyjskie. A sam od siebie dał przy tym liście na ten cel 50 rb.

Dla nas, polaków, najciekawsze jest zakończenie tego listu. Tak tam pisze Sienkiewicz do Uchtomskiego:

„Pragnę zaznaczyć bardzo wyraźnie, że nie czynię tej ofiary w imię żadnej polityki, ani żadnej ugody (z rządem rosyjskim), gdyż w stosunkach (między narodem polskim i rządem rosyjskim), w których **chodzi przedewszystkiem o sprawiedliwość, nie może być o czem innem mowy**. Postępek mój (ofiara na głodne dzieci rosyjskie) jedynie wypływa z chęci uczczenia waszego poety i z poczucia, że należę do narodu polskiego, który **od wieków nosił wysoko sztandar kultury chrześcijańskiej i chodził zawsze wskazanemi przez nią drogami**".

Te słowa napisał Sienkiewicz w r. 1899, a więc w tym czasie, kiedy rząd rosyjski jeszcze bardzo uciskał naród polski

Sześć lat potem, bo 1905 roku Sienkiewicz ogłosił w rosyjskim dzienniku „Ruś" swój list otwarty w sprawie szkół polskich.

Powód do napisania tego listu wynikał stąd, że ta część narodu, zależna od Rosji, żądała dla swoich dzieci szkoły nie rosyjskiej, lecz polskiej. A zaś rząd rosyjski nie zgadzał się na to, mówiąc, że szkoła polska wychowywałaby dzieci polskie na wrogów dla państwa rosyjskiego.

Sienkiewicz innego był zdania. On własnie w swoim liście, wydrukowanym w gazecie rosyjskiej po to, żeby go przeczytało jaknajwięcej rosjan, dowodzi, iż dzieje się przeciwnie, bo szkoła rosyjska roznieca w dzieciach polskich wielką, lubo skrytą do czasu, nienawiść ku Rosji!

W r. 1909 zabrał głos Sienkiewicz w innej sprawie, serdecznie obchodzącej cały naród polski, bo w sprawie ustawy o wywłaszczeniu polaków z ich ziemi ojczystej w Poznańskiem i na Pomorzu, — wtedy wydanej przez sejm pruski w roku 1908-ym

Swoje zdanie o tej ustawie Sienkiewicz tak wyraził: Zarówno rząd, jak i sejm pruski, postanowiwszy przymusowo wywłaszczyć polaków z ich własnej ziemi po to, żeby tę ziemię, odebraną polakom, sprzedać niemcom na dogodnych warunkach i w taki sposób krainę polską przerobić na niemiecką,—dopuścili się czynu przeciwnego zasadom moralnym, poprostu **popełnili nietylko zbrodnię, lecz i niezmierny błąd polityczny,** przez który wyrządzili szkodę ludzkości i **krzywdę własnemu narodowi** (niemieckiemu).

O, tak, krzywdę i hańbę! Bo przecież czyn niesprawiedliwy wczesniej, lub później musi ściągnąć na jego sprawców i na tych, którzy z niego korzystają złe następstwa. Alboż nie tak i nawet szybko ziściło się przewidywanie Sienkiewicza?

Toć wytknął prusakom zły ich czyn w r. 1909, — a już w r. 1914 wybuchła wojna — i cztery lata potem, bo 1918 r., musieli oddać polakom ziemię, zabraną przemocą, musieli z niej ustąpić jako rabusie, pokonani i potępieni przez wszystkich ludzi uczciwych, szanujących prawa moralne.

Niestety, Sienkiewicz nie doczekał tego trjumfu boskiej sprawiedliwości, bo umarł 1916 roku, lecz świat i rodacy żyjący mają w sprawdzeniu się przewidywań Sienkiewicza jeden dowód więcej, że praw moralnych bezkarnie nikomu, nawet najsilniejszym, deptać nie wolno..!

Moc Boska osiedliła polaków na wyznaczonej im ziemi. Niechżeż moc ludzka z tej odwiecznej siedziby nie wyrzuca ich gwałtem albo podstępnie, po szachrajsku!. I kto dopuści się na nich takiego bezprawia, niewątpliwie kiedykolwiek doczeka się tego, że gniew Boży, gniew sprawiedliwości odwiecznej i gniew sumienia chrześcijańskiego wyrzuca go precz jako złoczyńcę!

W r. 1915 już mieszkając w Szwajcarji w Vevey, Sienkiewicz troskliwą myślą wracał do Polski i dostrzegał tam dużo nędzy i głodu z powodu działań wojennych. Bo przecież Polska przez wojnę została otoczona ze wszech stron okopami bojowemi. I na jej ziemiach coraz gwałtowniejsze odbywały się boje, które niszczyły wsie i miasta, oraz odbierały mnóstwu ludziom pracę, jedyną ich żywicielkę!

Zdjęła go litość wielka nad rzeszą rodaków, cierpiących głód w ojczyźnie. Kto ich poratuje? A prze-

cież cierpią. za winy cudze, za winy wrogów: niemców i moskali, którzy wywołali wojnę!

Nieszczęśliwi polacy zasłużyli przeto na pomoc świata całego! Dawniej nieraz polacy, kiedy im się działo lepiej posyłali nawet obfite ofiary pieniężne w różne strony świata, wszędzie tam, gdzie jakiś wielki przypadek, jak pożar olbrzymi, trzęsienie ziemi, nieurodzaj, lub wylew rzeki, pozbawił mnóstwo ludzi chleba i dachu!

Teraz więc, kiedy w Polsce bardzo dużo polaków znalazło się w strasznym niedostatku z powodu wojny niszczycielskiej, powinny im przyść z pomocą przynajmniej te strony świata, które wcale, lub tylko w drobnej mierze doznały straty.

Tak zaraz w początku roku 1915 Sienkiewicz utworzył komitet gwoli zbierania ofiar dla polaków, cierpiących głód w ojczyznie. Sam stanął na czele tego komitetu i 1 lutego napisał odezwę do „Ludów cywilizowanych". W tej odezwie tak się między innemi wyraził:

„Miecz wytoczył w nieszczęsnej Polsce rzeki krwi, gdyż synowie jej zmuszeni są walczyć w trzech wrogich sobie wojskach (rosyjskiem, niemieckiem i austrjackiem). Pożoga zniszczyła miasta i wsie. Ustała praca ludzka — i nad olbrzymią krainą od Niemna do Karpat, roztoczył skrzydła upior głodu. Robotnik nie pracuje, gdyż niemasz już w Polsce fabryki; pługi rdzewieją bezczynnie, albowiem wieśniakowi zabrako inwentarza i ziarna na zasiew; kupiec w większości miast nie sprzedaje towaru, ponieważ nikt nie ma go za co nabyć. Starcom i kobietom brak wśród srogiej zimy dachu nad głową. Rozszerzyły się choroby (zwłaszcza tyfus plamisty); pogasły domowe ogniska, a gdy dzieci wyciągają wychudłe ręce do matek z prośbą o kawałek chleba, — matki odpowiadają im tylko łzami!.. I takich zgłodniałych i łaknących pomocy, słuchajcie ludy chrześcijańskie! —są miljony i miljony!

„Lecz czy Polska ma prawo do waszej pomocy? —Ma je w imię miłości bliźniego każdy naród, a tembardziej polski, który po rozdarciu ojczyzny nie ugiął się pod przemocą, nie zaparł się swego imienia i wykazał tak wielką siłę życia, że zatrata musiała się cofnąć przed nią!... Ma je ze względu na swą przeszłość dziejową, albowiem przez długie wieki był przedmurzem chrześcijaństwa w walce z turkami,—tarczą cywilizacji i obroną uciśnionych. Imiona Sobieskiego, Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego tkwią w pamięci ludzkiej i pozostaną w niej na wieki. Gdziekolwiek wrzała walka o wolność, płynęła krew nasza; gdziekolwiek klęski żywiołowe wtrącały w nędze ludzi, płynął i nasz grosz. W cywilizacyjnym dorobku nie brakło naszych imion, naszej pracy, naszej myśli, naszej siły twórczej!... Więc w imię tego udziału w życiu ludzkości, w imię praw, jakie ów udział daje, w imię nauki Chrystusowej, w imię cierpień dawnych i obecnych, zwracam się do was, cywilizowane narody i wzywam dla mojego narodu—waszej pomocy. Niech dźwigają się z gruzów polskie miasta i wsie. Niech chłopu polskiemu nie zbraknie sił do ujęcia pługa, ni ziarna na obsianie gleby; niech serce polskie dozna innych uczuć prócz bólu, niech głos polski przestanie być tylko jękiem powszechnym. Niech matki polskie potrafią dać dzieciom coś więcej prócz łez!.. Chleba i dachu dla polskiego ludu, by mógł doczekać się wiosny odrodzenia!"

Na krótko przed śmiercią, bo już w 1916 roku, napisał Sienkiewicz artykuł, przeznaczony dla Ameryki, o literaturze polskiej. Chodziło mu oto, żeby amerykanie dokładniej poznali, jakich krzywd naród polski doznawał, będąc w niewoli u trzech mocarstw potężnych—i mimo to, dzięki mocy swego ducha dzielnego, nie zatracił swej odrębności narodowej, owszem, potrafił nawet stworzyć własną literaturę bogatą i niesłychanie pożyteczną, której wiele dzieł, (a między niemi i przez Sienkiewicza napisanych), przyswoiły sobie liczne narody europejskie i inne...

Przytoczmy tu z tego artykułu zdań bodaj kilka:

„Upłynęło niedawno 124 lata, jak państwo polskie, w chwili, kiedy było zajęte reformą wewnętrzną (w czasie Sejmu Wielkiego 1788-1791 roku) zostało napadnięte przez trzech rozbójniczych sąsiadów i powalone.—Ziemię polską rozćwiartowano na trzy części, a na pierś narodu stoczono olbrzymie głazy niewoli. Rozpoczął się wiek nieznanych w naszych dziejach prześladowań i męczeństwa, albowiem rozbójnicy karali, jak za zbrodnię, naród polski za to, że nie chciał wyrzec się polskości!.. Naród polski streszcza się w swej literaturze i żyje przez nią, gdyż inaczej żyć nie może. Jest ona, jak pochodnia, która rozświeca ciemności niewoli—i jak wielki dzwon, który nie pozwala usnąć sumieniu nietylko polskiemu, ale i sumieniu innych ludów. Próżno ci, którym chodzi przedewszystkiem o spokój, zatykają sobie uszy. Dzwon polskiej literatury powtarza im nieubłaganie, że rozbój, dokonany nad Polską, jest niesłychaną w dziejach zbrodnią i że dopóty ludzkość chorzeć będzie, dopóki nie stanie się zadość sprawiedliwości. Takiemi wielkiemi dzwonnikami byli Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Po nich słabsze ręce uchwyciły za sznur narodowej dzwonnicy—literatury, ale i te pracują, jak mogą, by nie umilkły te dźwięki, które głoszą na cztery strony świata:

**Jeszcze Polska nie zginęła!**

W tych czterech słowach streszcza się cała literatura polska".

Gdy te słowa przeznaczył dla świata 1916 roku, wkrótce zgasł,—lecz niebawem, bo zaledwo po dwuch latach, świat, jak echo, powtarza ostatnie jego słowa:

**nie zginęła!** —

i do nich dodał od siebie:

**zmartwychwstała!..**

Sienkiewicz po ogłoszeniu swej Trylogji i Quo vadis? duchowo stał się pierwszym w Polsce, jako jej hetman! Ale i po świecie całym wtedy już rozgłośne było imię jego. Wszyscy uznali go za męża wielkiego serca i umysłu genjalnego. Sam też rozumiał swoję wartość duchową i moralną. Dlatego chętnie i skwapliwie udzielał swemu narodowi rad i wskazówek w sprawach ważnych i pilnych,—a i do świata całego niekiedy odzywał się, gdy zauważył, że w taki sposób wyjedna pomoc, ratunek, poparcie dla swego narodu!...

Jakie znaczenie miał u świata, niech przekona takie zdarzenie: Podczas wojny 1915 r. w Kanadzie traktowano polaków poddanych austrjackich i niemieckich bardzo źle. Napisał o tem do Sienkiewicza jeden z polskich zakonników, przebywający w Kanadzie. Natychmiast Sienkiewicz posłał do Kanady swój list otwarty w obronie swoich rodaków. List ten wydrukowały gazety kanadyjskie i odrazu był skutek pomyślny, bo wnet rząd tamtejszy stał się przychylnym dla wszystkich polaków tamtejszych. Nawet w szkołach swoich, do których uczęszczały dzieci polskie, zaczął uczyć języka polskiego przy pomocy nauczycieli polaków, umyślnie przyjętych.

„Człowiekiem wiecznym—pisze profesor Chrzanowski—dla Polski był, jest i będzie Sienkiewicz: on czuł się i był członkiem swego Kościoła i synem swego narodu. W jego sercu paliła się ściśnięta w jedno ognisko cała nasza przeszłość religijna i polityczna, przeszłość wielka, wolna, niepodległa i promienie z tego ogniska serdecznego oświecały i ogrzewały i, da Bóg, oświecać i ogrzewać będą dusze polskie.

„Nasza miłość, wdzięczność i cześć dla Sienkiewicza płoną jasnym i gorącym płomieniem, bo nad niego nikt od czasów Mickiewicza nie wpajał w nasze serca mocniej i głębiej miłości ojczyzny i wiary, że się nasze marzenia narodowe ziścić muszą:

Wszelki czyn święty
Na wieki wieków pamiętany będzie.

**A czyn Sienkiewicza był święty!"**.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 20 września 1925 r. № 38.

# ORZEŁ BIAŁY.

TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Ci z wielkim mozołem i niebezpieczeństwem, ale idą naprzód ku zwycięstwu!

## Kto Ciebie chciał, ten wierzył...

1.

O Polsko, Polsko, Polsko,
kto Ciebie chciał, ten wierzył,
że dobry Bóg się z Tobą
w te krwawe dni sprzymierzył.

Kto Ciebie chciał?... Nie pytaj,
czy chcących było wielu —
żołnierskie policz groby
od Brześcia do Wawelu,

junakom zajrzyj w oczy
aż tam pod Białowieżą
i wiedz, że tacy sami
w żołnierskich grobach leżą.

Że ledwie polska szabla
u naszych bram zadzwoni,
ci, którzy nie wierzyli,
uwierzą, tak, jak oni....

I staną pod Twym znakiem
w żołnierskiej szarej zbroi,
ci wczoraj niewierzący,
dziś już mściciele Twoi.

2.

O, Polsko, Polsko, Polsko,
łuny się w koło szerzą,
na gruzach twierdz zdobytych
zwęglone trupy leżą.

Lecz patrz, — już dzień Twój świta —
ktoś w ogniu dział i w dymie
krwią własną na sztandarach
Twe święte kreśli imię.

Ktoś krew swą żyzną rosą
na Twoje rzuca piaski...
— Niech będzie cześć i chwała
żołnierzom z Bożej łaskii—

Edward Słoński.

# SZYBA MATOWA I SKRZYPCE NIE NASTROJONE.

Wybierałem się do Lublina. Mój znajomy, dowiedziawszy się o tem, poprosił mnie o kupno butelki wina dla chorej żony jego. Doradziły mu sąsiadki, że wino pomoże.

Rozumie się, usłużyć trzeba, więc, będąc w Lublinie, wstąpiłem do znanego składu win i, jak mi mój znajomy powiedział, zażądałem wina dla chorej.

Kiedy subjekt poszedł do piwnicy po ono wino, ja miałem sporo czasu na rozglądanie się po dużym sklepie, którego niemal trzy ściany, od posadzki do sufitu, obstawione są półkami, a na każdej z nich umieszczone są w kilka rzędów szczelnie rozmaite butelki z trunkami.

Patrząc na tysiące butelek, wśród których były tanie, ale też były i bardzo kosztowne, przyszła mi na myśl taka uwaga:

Te wszystkie trunki, znajdujące się na tych półkach, napewno warte są conajmniej kilkadziesiąt tysięcy złotych. I one tu stać długo nie będą. Wnet je wykupią ludzie!

Ile razy do roku powtórzy się zapełnianie półek nowemi butelkami, tyle razy za nie nowych kilkadziesiąt tysięcy złotych wpłynie do kieszeni kupca.

Kupiec w taki sposób zdobywa dochód pokaźny.

— A co dostaje się nabywcom?

— Trunki.

— A jaki z trunków pożytek mają nabywcy? Czy one gaszą pragnienie, albo karmią głodnych?

— Nie.

— Więc może dają mądrość? wiedzę? szczęście? zdrowie? siłę? uczciwość? zalety moralne? zgodę domową?

— Ależ one i tego nie dają!

— Jaka z nich korzyść? To ciekawe!

Istotnie, to nawet bardzo ciekawe!

Ale daremnie oczekujemy od trunkowców wyjaśnienia, jaki pożytek oni mają z napitków, bo, doprawdy, żaden z nich nie potrafi dać odpowiedzi zadowalniającej rozum i sumienie.

Zresztą zazwyczaj zwolennicy trunków nie lubią być nagabywani takiem badaniem.

—Co komu do tego,—wołają trochę rozjątrzeni —jakiego sensu szukamy w trunkach.... Pijemy, bo tak się nam podoba — i basta!...

Po takiej odprawie, danej ciekawskim, trunkowcy rozbawieni żartują i nawet drwią z tych wszystkich, którzy śmią lekceważyć trunki i potępiać je, jako niby zabójcze!

— Może komu szkodzą, ale nam nie. — Tak upewniają wielbiciele kufla i kieliszka.

I co na to mogą powiedzieć przeciwnicy trunków?

Doprawdy, mamy przed sobą jakoby zagadkę nie rozwikłaną.

Jedni chwalą, a inni ganią trunki.

Jedni widzą w nich moc kojącą jak gdyby źródło radości, wesela, ratunku, bez którego życie rodzaju ludzkiego byłoby szare, smutne, bez żadnego uroku...

A znowu inni utrzymują, że w nich tkwi trucizna, siła szatańska, początek wielu klęsk, chorób, nieszczęścia...

Która strona ma rację?

Każda z nich głośno i mocno obstaje przy swojem zdaniu, mówiąc, że **tylko ona ma słuszność!**

Oczywiście, jedna z nich myli się, a która? I w jaki sposób zdołamy przekonać ją o jej omyłce?

Przecież obie strony nie mogą mieć równej racji. A jednak chwilami niejeden ma takie złudzenie, że i trunkowcy mówią dorzecznie— i przeciwnicy dowodzą trafnie.

Trunkowcy np. powiadają, że gdyby napitki były tak szkodliwe, jak to głoszą abstynenci (nie pijący), to jużby ród ludzki zmarniał. Dalej, dowodzą, że jednak piją dużo, nieraz nawet bardzo dużo nietylko ludzie ubodzy i ciemni, ale i bogacze, światli i... uczeni! Tacy chyba wiedzą doskonale, co szkodzi, a co pomaga, — zatem, jeśli oni chętnie i obficie piją, to znak niemylny, że trunki są nieszkodliwe!.. Przytem nierzadko bywa tak, że niektórzy mówią co innego — i czynią co innego. A więc głośno potępiają trunki, — a pocichu, w towarzystwie swoich znajomych, bawią się wyśmienicie, zapijając trunki aż do utraty przytomności... Jeżeli i tacy przepadają za trunkami, to chyba czynią to nie dla zaszkodzenia sobie, — a przeto i oni postępowaniem swojem przekonywają, że może mieli rację, potępiając trunki, — ale także napewno mają rację pijąc je, jako smaczne i rozweselające... Stąd wniosek wynika jasny dla każdego, że jakkolwiek trunki mają niby sporo wrogów, ciskających na nie gromy, — to jednak gdy zobaczą butelczynę odkorkowaną, a jeszcze tembardziej gdy doleci ich zapach miłej wódeczki, albo likieru, czy koniaku, — już zapominają o swoim gniewie, o potępianiu ich — i pożądliwie sięgają po kieliszek płynu lubego... Nie zawadzi— mówią— wypić jeden, drugi, trzeci kieliszek, byle umiarkowanie i byle w dobrej kompanji! To tak wszędzie się praktykuje, na wszystkich biesiadach, nawet najwspanialszych, wyprawianych dla najwyzszych dostojników państwa! Zresztą i Mickiewicz, nasz wielki poeta, ułożył wierszyk wdzięczny dla swoich przyjaciół i w tym wierszyku wyraźnie woła:

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz!
**Niechaj ta czara złota**
**Nie próżno wabi nas!**

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega wkoło!
**Chwytaj i do dna chyl**
**Zwiastunkę słodkich chwil.**

Po co tu obce mowy?
**Polski pijemy miód;**
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ródl...

Zatem — kończą swe rozumowanie trunkowcy —nie wiele mieści się prawdy w napaściach na na-

pitki. Widocznie trunki nie są szkodliwe, bo niemal wszyscy lgną do nich: młodzi i starzy, ubodzy i bogaci, ciemni i światli, a nawet i ci nie wylewają za kołnierz, którzy w pewnych momentach potrafią przeciwko nim gardłować głośno, hałaśliwie i gadatliwie!...

Teraz godziłoby się zapytać, czy zwolennicy trunków już wszystko powiedzieli na obronę kufla i kieliszka?

— O tak, chyba wszystko!

Jeśli tedy zwolennicy mogli najgorliwiej obstawać za trunkami, — to niechżeż i przeciwnikom wolno będzie przytoczyć wszystkie dowody na potwierdzenie swego zdania, potępiającego trunki, jako prawdziwych, lecz przyczajonych wrogów szczęścia ludzkiego.

Od czego mają zacząć?

Powinniby przedewszystkiem z dumą powołać się na dziesiątki tysięce książek i artykułów, napisanych bodaj przeważnie przez ludzi światłych i uczonych, stwierdzających w sposób rozumny i naukowy ogromną szkodliwość wszystkich trunków, zawierających w sobie alkohol.

A czy zwolennicy trunków napisali choćby tylko jedną książkę, lub artykuł, przekonywający o pożyteczności napitków?

Nie!

Owszem, ułożyli **pieśni pochwalające,** lecz pochwała to jeszcze nie dowód o pożyteczności, a choćby nawet tylko o nieszkodliwości trunków.

Toć każdy zwykł chwalić to, co lubi. A czy każdy **lubi tylko rzeczy i osoby dobre?**

Nie.

Zatem pochwała ma inne znaczenie: jest ona tylko świadectwem czyjegoś upodobania.

Tak niejedna matka zachwyca się własnem dzieckiem, chwali je bez miary, widzi w niem wszystko najlepsze. Tymczasem sąsiadki wręcz przeciwnie mówią o tem dziecku, że jest złe, szkódne, „z piekła rodem!...

Oto jak wyglądają pochwały ludzkie! Po większej części przejmować się niemi niepodobna. Ładne są z pozoru, a wewnątrz pełne fałszu, lub omyłek...

Rozum i sumienie żądają dowodów doskonałych, niewątpliwych, tak mocnych, żeby ich żaden wybieg, krętactwo nie były w stanie podważyć.

A właśnie mnóstwo takich dowodów o szkodliwości trunków dostarczają światu: nauka rzetelna i doświadczenie codzienne.

Potężnych argumentów dostarczają nauki.

One najoczywiściej wykazują mnóstwo szkód strasznych, pochodzących z używania trunków. Jak atrament czyni plamę na białem płótnie, tak spożytkowany trunek **napewno** szkodliwy ślad zostawia w duszy i ciele trunkowca.

Narazie on nic o tem nie wie. Nie dostrzega w sobie szkodliwego na przyszłość działania trunków. Ale czy on musi koniecznie widzieć w sobie tę szkodę?

Owszem, powinien. A jeżeli powinien, to i może. Może, jeśli staranniej wykształci swój rozum i wypielęgnuje sumienie czujne.

Każdy człowiek nieustannie podlega wpływom rozmaitym. Oto matka w domu swoim najczęściej narażona bywa na wpływy przeciwne. Wpada dziecko z płaczem do domu i narzeka przed matką na dziecko sąsiada, skarżąc, że ono je wybiło bez żadnego powodu. Matka narazie bardzo przejmuje się żalami swego dziecka i pod wpływem jego płaczu gotowa w tej chwili wybiedz na podwórze i wszcząć straszną kłótnie z sąsiadem.

Lecz rozumna matka zastanawia się: czy jej wypada tylko pod naciskiem skargi dziecka swego już wydać wyrok potępienia na człowieka obcego, nie wysłuchawszy wcale jego obrony? Waha się, rozważa szybko i dopiero po ochłonięciu wychodzi na podwórko. I tam z ust sąsiada, oraz innych świadków zdarzenia, godnych wiary, dowiaduje się całkiem nowej wiadomości, że nie dziecko sąsiada, ale jej własne dziecko jest winniejsze! Dziecko jej wszakże, bardzo sprytne, umyślnie z krzykiem pobiegło do swej matki ze skargą kłamliwą, ażeby matkę zawczasu przerobić na swoję korzyć, wmówiwszy w nią, że ono jest niewinne, a tylko tamte napadło po zbójecku!

Matka rozumna, panująca nad sobą, po cierpliwem wysłuchaniu stron obu, wydała wyrok sprawiedliwy i surowy, karząc swe dziecko za to, że samo wywołało zatarg, skrzywdziło dziecko sąsiada i jeszcze kłamliwem oskarżeniem usiłowało matkę swoję w błąd wprowadzić.

Czy nie tak czynią trunki, gdy są używane?

Oto wkradają się w łaski trunkowca, jednają sobie względy jego, jak gdyby wmawiając, że one są niewinne, że bardzo a bardzo są mu pomocne, oddają mu wielkie usługi, a ci wszyscy, którzy przed nim skarżą na nie i potępiają je, jako niby szkódników, poprostu „łżą, jak najęci!"...

I komuż trunkowiec daje wiarę: czy trunkowi, czy postronnym świadkom?

Niestety, zazwyczaj trunkowiec bywa zaślepionym sędzią niesprawiedliwym! Słucha tylko jednej strony, bo tylko trunków, a nie dowierza, lub nawet pokpiwa z tych, którzy mówią mu o podstępności i szkodliwości trunków, działających zabójczo, lubo powolnie!...

Trunkowiec zakochany jest w trunkach, jak ślepa i głupia matka, która, rozmiłowana w swoich dzieciaczkach—łobuzach, wierzy w nie całkowicie i to wszystko, co one, obełgując ją, kładą w jej uszy, poczytuje za „prawdę świętą"...

— Ach, moje dzieci, — woła ta matka zaślepiona — moje robaczki kochane, one nikomu nic złego nie robią!.. Tylko sąsiedzi gałgany, ciągle je prześladują i krzywdzą!..

W podobny sposób trunkowiec pieszcząc swój kieliszek i wpatrując się z lubością w ukochany swój trunek, przemawia tak do niego bodaj pocichu:

— Luby mój napitku! Ty mi tak dogadzasz chetnie, a ludzie podli starają się oczernić ciebie przede mną. Lecz ja im nie wierzę! O, nie!...

A jednak on naprawdę jest niesprawiedliwy dla siebie, przeto sam dobrowolnie przyczynia się do tego, że trunki wyrządzają mu krzywdę okropną, czyli, sam siebie udręcza i wyniszcza, bo to na jedno wychodzi. Toć przecież trunki nóg nie mają, same do niego nie pójdą, same przemocą nie wciekną mu do gardła.

Jeśli je sam bierze do ręki i pije ochoczo, a nawet wesoło, trącając się kieliszkiem lub kuflem z kompanją na dowód wspólności z nią w umiłowaniu trunków,—to znak niezawodny, że dobrowolnie poddaje swoję duszę i ciało pod wpływy trunków.

A czy on wie i skąd, jakie są wpływy napitków na ciało i duszę ludzką?

Kto mu o tych wpływach mówi: trunki? kompanja wesoła? czy też nauka i doświadczenie powszechne?

O, trunkowiec bardzo zagalopował się w stronniczości swojej! Słucha tylko potuchy trunków i swoich kamratów! A oni, rzecz prosta, trzymają go mocno w swojej zależności. Jest on więc u nich tylko niewolnikiem — i zdaje się o tem nic nie wie.

Takie być muszą skutki jednostronności!

A chyba trunkowiec, jako-tako roztropny, powinien wiedzieć, że każda jednostronność zazwyczaj bywa szkodliwa. I on sam jej, w kimkolwiek jest ona, nie pochwali! Tak nieraz oburza się na partyjników, na zarządy w stowarzyszeniach, na sędziów, na nauczycieli, na plotkarzy i na świadków, gdy oni kiedykolwiek dopuszczą się oczywistej niesprawiedliwości! A on sam czy lepszy od nich?

Toć on słucha tylko namowy trunków i trunkowców, a zatyka uszy na głos nauki i doświadczenia powszechnego!

Czy taką jednostronność, poprostu niedorzeczną, godzi się pochwalić? Ależ chyba i sam trunkowiec w przystępie chwilowej rozwagi, która go niekiedy nawiedza, zgani ją niezawodnie!

Warto przeto posłuchać nauki i doświadczenia powszechnego, co one mówią o wpływie trunków na duszę i ciało ludzkie.

Nauka — to nielada potega! To ciągle rosnąca zdobycz rozumu wielu pokoleń, pracującego mozolnie i wytrwale nad poznaniem cząstek świata i wydobyciem z nich pożytków dla dobra wszystkich ludzi!

Rozum ludzki ustawicznie też czyni doświadczenia podług wskazówek nauki gwoli korzystania z niej i dla dalszego jej rozwoju.

Co każe nauka, to czyni człowiek i nadal człowiek pracuje nad pomnażaniem nauki.

Więc każdy człowiek rozumny nigdy nie lekceważy wskazówek nauki i nadto stara się wysiłkiem swoim przyczyniać się do zbogacenia nauki.

Z podziwem dowiadujemy się codziennie o nowych wynalazkach, udogodnieniach i odkryciach. Niema prawie dnia tego, żeby nie doszły nas wieści o jakiej nowej zdobyczy naukowej, lub doświadczeniu...

W sztuce leczenia przybywa coraz więcej wiedzy o chorobach — i coraz więcej nowych lekarstw skutecznych...

W przemyśle wynalazki rosną i doskonalą się niemal codziennie!

W wychowaniu domowem i szkolnem jawią się nowe i coraz lepsze wskazówki, oparte na świeżych wynikach nauki o duszy ludzkiej i na doświadczeniach, czynionych przez najbieglejszych wychowawców i badaczów usposobienia dziecka!

To wszystko prawda!

Nauka i doświadczenie nieustannie czynią w każdej dziedzinie życia ludzkiego zmianę na lepsze!

A czy jedynie w dziedzinie trunkowej są one bezsilne? Może one, owszem, ulepszają trunki, a działanie ich na duszę i ciało czynią mniej szkodliwem?

O, zapewne, fabrykanci trunków, korzystając z wskazówek nauki, potrafią nadać swoim wyrobom smak lepszy, moc większą i urozmaicić je... Ale szkodliwego działania trunków na duszę i ciało żadna nauka, choćby najprzedziwniejsza, nie zdoła złagodzić, albo odmienić na dobre!

Czy trunkowiec nic o tem nie chce wiedzieć? Czy on, doprawdy, śmie lekceważyć głos nauki i doświadczenia?

Jeżeli tak, to on już tem samem daje o sobie świadectwo, że jest.... nierozumny.... że rozmyślnie zamyka oczy wobec prawdy oczywistej i że... chce by go własna głupota zgubiła!...

Czy tak być powinno?

Szkoda człowieka!

Jednak uratować się może, byle narazie chciał poznać głosy nauki o działaniu trunków i zechciał o tem wszystkiem podumać!..

Najwięksi wrogowie trunkowca, to są doradcy jego. Bo oni zawsze na wszystkie potrzeby jego duchowe i materjalne dają mu jedyny sposób, jakoby najskuteczniejszy:

**trunek!**

— Pij wódkę! — wołają do niego, kiedy jest chory, lub zdrowy, smutny lub wesoły, głodny lub syty, zły lub udobruchany, zakłopotany lub zadowolony, szczęśliwy lub nieszczęśliwy....

— Pij! — To jedyna ich rada...

Lecz niewątpliwie nigdy oni mu nie spowiedzą:

**czytaj, ucz się, badaj, poznaj, co trunki robią z ciebie!..**

Dla czego oni mu tego nigdy nie powiedzą?

Bo wszakże w taki sposób najpewniej potępiliby sami siebie...

Nauka bowiem straszne rzeczy opowiada o działaniu trunków.

Rozumie się, nie sposób tutaj przytaczać wszystkie wyroki nauki o trunkach. Ale bodaj coś-niecoś należy nam poznać.

Weźmy te wyroki nauki z pierwszych rąk, żeby uniknąć podejrzenia o przesadę, — a więc z rąk ludzi specjalnie wykształconych. Takiemi są przedewszystkiem lekarze.

Otóż doktór A. Puławski poucza wyraźnie, że **alkohol,** znajdujący się w każdym trunku,

jest trucizną **dla krwi i serca;**

**wątroba** jest bardzo czułą na jad alkoholowy;

rzadko który pijak ma **nerki** zdrowe;

gdy alkohol ze krwi dostaje się do **płuc,** czło-

wiek choruje na tak zwaną **rozedmę płuc**, przy której ma się duszność, ciężki oddech, nieustanny kaszel, a w następstwie suchoty.

Pijacy nietylko sobie na zdrowiu szkodzą, ale przekazują swoje choroby dzieciom.

Człowiek pijany łatwiej podlega zmarznięciu, niż trzeźwy.

Trunki nie wzmacniają ani nie rozgrzewają, jak utrzymują nieświadomi rzeczy.

**Używanie trunków prowadzi do pijaństwa, a pijaństwo jest zbrodnią względem siebie i bliźnich**, z którą walczyć należy do upadłego, bo ogarnia ona całe społeczeństwo, wdziera się do chaty nędzarza i do pałacu bogacza, wyrządzając nieobliczone straty całej ludzkości.

I jeszcze przypomina dr. Puławski:

Kilka lat (podczas wojny) przymusowej wstrzemięźliwości nauczyło nas, że bez wódki można się obejść, że jeżeli nam wówczas brak spirytusu uczuwać się dał dotkliwie, to chyba spirytusu do palenia w maszynkach kuchennych, a nie do picia.

Nadto najważniejszą rzeczą jest **zapobieganie**, ażeby ludzie nie stawali się pijakami, a nawet, żeby się do trunków **nie przyzwyczajali**, bo pijakiem właściwie jest nietylko ten, co się upija do nieprzytomności, wyprawia różne brewerje, ale każdy, kto jest tak do wódki przyzwyczajony, że się bez niej obejść nie może, który czuje się źle gdy swojego kieliszka wódki nie wypije. W takim człowieku spirytus już zrobił swoje, już mu grozić mogą różne choroby, zależne od tej trucizny, jeżeli się w porę nie opamięta i nie wyrzeknie wódki. Ażeby się do tego stanu nie doprowadzić, najlepszem lekarstwem jest zaprzestać picia wódki, wyrzec się jej zupełnie!..

Tyle doktór Puławski z nauki wysnuł uwag prawdziwych o zgubnem działaniu trunków i rad, jak uniknąć go najpewniej...

Doktór Matti Helenius, finlandczyk, pisze tak w swojej książce „Przeciw alkoholowi“:

Wódka nie zawiera żadnej innej materji prócz wody, którą można mieć z pierwszej lepszej studni i ogromnej ilości trucizny-alkoholu. Wobec tego musimy uważać wódkę za materję bardzo szkodliwą.

Za litr mleka, które jest znakomitem pożywieniem, płacimy zwykle w drobnym handlu 20 halerzy; za litr piwa, które tak mało zawiera prawdziwego pożywienia, a za dużo trucizny, płacimy około 40 halerzy, a nawet więcej; wódka zaś, która składa się tylko z wody i trucizny, kosztuje nas 6 razy więcej niż mleko, bo blizko 1 koronę 20 halerzy za litr.

Przeto każdy kupujący napoje wyskokowe, mniemając, jakoby one były bardzo pożywne, popełnia omyłkę wielką i nader szkodliwą...

Alkohol działa hamująco na trawienie i często-kroć wywołuje ostry katar żołądka, znany jako stan niezdrowia „po przepiciu“.

Jakże wielu ludzi — woła doktór M. Helenius —zepsuło na zawsze swój żołądek używaniem napojów alkoholowych!

Szczególnie szkodzi alkohol sercu.

Nikt z nas — kończy ten doktór — nie powinien zatruwać się piwem, winem, lub wódką, zwłaszcza teraz, kiedy wiemy, jaką trucizną jest alkohol.

Doktór Gantkowski z Poznania w ciekawej książce „O alkoholu“ takie między innemi podał prawdy naukowe o działaniu trunków:

Alkohol trawieniu nie pomaga, tylko przeszkadza, jest więc szkodliwą używką. Ale skąd pochodzi to poczucie siły i swobody umysłu po użyciu gorących trunków? Toć wiadomo, że człowiek, pracujący fizycznie, nabiera po użyciu alkoholu przed ciężką pracą jakoby sił nowych i więcej wytrzymałości.

Działanie to, rzekomo dodatnie, pochodzi stąd, że alkohol ma także przy zetknięciu się z błoną śluzową żołądka właściwość wnikania do krwiobiegu i, krążac we krwi, dostaje się do mózgu. Mózg, jest to — używając porównania prostego — jakoby stacja centralna naszego całego narządu nerwowego, naszego czucia, woli i samowiedzy. Tam to odczuwamy wrażenie ze świata zawnętrznego, a więc ból, zmęczenie, — i stamtąd wychodzą z naszą wolą jako by telegramy do mięśni przy pomocy naszych nerwów, niby drutów telegraficznych, by wywołać kurczenie się mięśni, albo ich rozciąganie, umożliwiając poruszenia i wysiłki naszego ciała.

Otóż alkohol osłabia wrażliwość tkanek mózgowych i tem poprostu samowiedzę zmniejsza, czyli człowieka oszukuje. Dlatego też stroskany —po użyciu alkoholu — zapomina o troskach swoich, zmęczonemu zdaje się, że nie jest zmęczonym, osłabionemu zdaje się, że mu siły wróciły, ale jest to tylko ułudą, otumanieniem naszych władz umysłowych. Jest raczej rzeczą, dziś zupełnie naukową udowodnioną, że ludzie, zmuszeni do wielkich wysiłków fizycznych, tylko wtenczas je wytrzymują, gdy alkoholu **nie używają**. I tak Nansen sławny podróżnik do bieguna północnego, gdzie trwa zima wieczna, zakazał swej drużynie dzielnej używania jakichkolwiek trunków gorących, bo wyprawa ta, jedna z najtrudniejszych, na jaką się ludzie zdobyli, wymagała wielkiej wytrzymałości ciała i ducha.. I przyznaje Nansen, opisując swą podróż do bieguna, że zdrowie i sprawność ciała swej drużyny zawdzięcza tylko wstrzemięźliwości i zupełnemu wstrzymaniu się od napojów alkoholowych.

Niemniej chwalą dowódzcy wytrzymałość żołnierzy trzeźwych na wszelkie wysiłki cielesne i zaznaczają, że najwięcej mdleją i padają wskutek porażenia słonecznego ci żołnierze, którzy używają stale, albo też nadużywają trunków...

Doktór Antoni Rząd tak poucza w swojej książce p. t. „Czas życia krótki, kropnijmy wódki“:

Serce człowieka dorosłego uderza na minutę około 60 razy. Ale jeżeli mózg tego człowieka zostanie podniecony przez alkohol, wtedy serce zaczyna pracować szybciej, uderza na minutę 80 do 100 razy i więcej. W każdą minutę zmuszamy zatem serce przez spożycie spirytusu pracować ciężej, w każdą minutę bez potrzeby wywołujemy ze strony tego narządu 20 do 40 uderzeń więcej, niż to jest do życia potrzebne. Jak kosiarz, któryby chciał codziennie półtora raza pracować więcej, niż normalny zdrowy człowiek pracować może, musi siły swoje zmarnować przedwcześnie, jak maszyna, którą obracają ze zdwo-

joną szybkością, musi w czasie krótszym stać się do użytku nie zdatną, tak też i serce pijaka pod wpływem podrażnienia przez alkohol pracując bezustannie ze wzmożoną siłą, wyczerpuje się przed czasem, starzeje się, bankrutuje.

Kości, mięśnie jeszczeby chciały pracować, nogi chciałyby i mogłyby chodzić, nawet zmarnowane kiszki i żołądek dawałyby sobie radę z trawieniem, ale serce od tej wspólnej pracy już się usuwa, przestaje krew pompować, wytwarzają się zastoje, sinica, obrzęki, wodna puchlina i organizm nieraz w młodym wieku gnie!“...

Tyle podaliśmy głosów ludzi uczonych, specjalistów, mogących najdokładniej wyjaśnić złe działanie trunków (alkoholu) na ciało ludzkie.

A na co zdadzą się te wiadomości?

Niezbyteczne pytanie, bo, być może, narazie niejeden wcale nie domyśla się powodu rozgłaszania wiadomości naukowych o trunkach. Ale gdy każdy zauważy, jak bardzo wiele ludzi, doprawdy, w potocznem życiu słyszy niemal ciągle tylko pochwałę trunków, które jakoby są nieszkodliwe, a nawet zwykle pomocne i pożądane, — to już chcąc obalić rozpowszechniony sąd fałszywy niby o dobroci i pomocności trunków, należy powołać się na głos nauki, jako rzetelnej prawdy!

Nauka lekarska wyraznie, dobitnie, bez cienia wątpliwości wyrokuje o wielkiej szkodliwości działania trunków na zdrowie ludzkie.

Wszyscy o tem wiedzieć powinni.

Nawet takie wiadomości naukowe godziłoby się zawczasu podawać dzieciom w szkole powszechnej, ażeby każdy wiedział, jaką truciznę zawierają w sobie wszystkie trunki alkoholowe!

Zapewne, niejeden lekkoduch nie zważa na wszelkie wiadomości najpewniejsze. Dla niego niema prawdy! On idzie tylko za głosem swoich pożądań. Takiego uratować niepodobna!

Za to ludziom rozważnym, dbałym o dobro swoje, bardzo przyda się przestroga nauki prawdziwej.

Oni, jako rozumni, cenią nauke, znają jej potęgę wielką, przeto, gdy już dowiedzieli się od niej o szkodliwości trunków, niechybnie nigdy ich do ust nie wezmą!

Już tak zdarza się nierzadko, że gdziekolwiek na zabawie trunkowiec podchodzi do znajomka i namawia go do kieliszka: wysila się na zachęty dowcipne i powabne. Nic to jednak nie pomaga, bo znajomek, pewny siebie, tylko się uśmiecha i stanowczo na wszelkie namowy odpowiada jednem: nie!

— Więc kogo słuchasz, — woła rozdrażniony trunkowiec — czy mnie, twego przyjaciela, czy książek, które bzdurzą koszałki-opałki?

— Owszem, — odpowiada znajomek, — wierzę tobie, żeś ty mój przyjaciel prawdziwy, ale nie uczony. Mam ja jednak więcej, prócz ciebie, przyjaciół! Tamci są uczeni, specjaliści, więc powinienem raczej tamtych, niżli ciebie usłuchać.

Bo powiedz, — ciągnie dalej ów znajomek, — gdy zachoruję, kogo do siebie przywołam na ratunek: ciebie, czy uczonego lekarza?

— Ha, no prawda, że lekarza, bo on zna się na chorobach.

— A więc sam przyznajesz, że lekarz, jako uczony specjalista, najlepiej doradzić potrafi, co szkodzi, a co pomaga zdrowiu. Dozwól przeto, że dowiedziawszy się od lekarzy o szkodliwości trunków, pójdę za ich radą, a twojej zachęty nie usłucham, bo zachęcasz mnie do... zaszkodzenia sobie... Jeśliś mój przyjaciel, to chyba życzysz mi dobra tylko, a nie krzywdy. A jednak teraz sam rozważ, coby sprawiła mi twoja zachęta, gdybym jej usłuchał? Ty mi radzisz: pij, — a uczeni lekarze ostrzegają: nie pij bo zaczniesz rujnować swe zdrowie! Kto mówi prawdę: ty, czy - uczeni? I ty mój przyjaciel i oni też moi przyjaciele, choć mi nie znani! Lecz ty nie uczony, — a oni uczeni! Już teraz na twej twarzy widzę, że mi przyznajesz rację. O, tak, słuchajmy rady nauki o trunkach tak wiernie, jak już słuchamy jej rad i wskazówek w bardzo wielu pracach i postępkach naszych! Budujemy szkoły chętnie i ofiarnie po to tylko, żeby dzieci nasze nabywały nauki jak najwięcej!.. I powiedzże mój przyjacielu, dlaczego tak łakniemy dla dzieci naszych nauki? Czy po to, żeby jej w dalszem życiu swojem nie słuchały? żeby lekceważyły jej przestrogi? - Ty jesteś rolnik, prawda, mój przyjacielu? A czy ty nie szperasz w książkach rolniczych po to, żeby tam w nich zasięgnąć rady, jakiemi nawozami uprawić rolę, jaką paszą i w jaki sposób nakarmić swój inwentarz, jak ratować swoje bydle w nagłym wypadku? To ty dla swojej korzyści dochodowej szanujesz rady uczonych, podane w książkach, a kiedy idzie o dogodzenie dzikiej pożądliwości pijackiej, to ty rozzuchwalasz się i książkę naukową o szkodliwości trunków, napisaną przez uczonych lekarzy, śmiesz nazwać bzdurstwem? A, nieładnie być tak niesprawiedliwym i nieostrożnym! Albo słuchajmy przestróg nauki, — lecz już we wszystkiem. Albo nie słuchajmy jej zawsze i we wszystkiem, więc wróćmy do pogaństwa, barbarzyństwa i ciemnoty! Ty, jako mój przyjaciel, zachęcałeś mnie do picia trunków bardzo szkodliwych! Ale i ja jestem twoim przyjacielem i odwzajemniam się tobie zachętą do słuchania wskazówek nauki... Która zachęta jest lepsza: moja, czy twoja? Więc kto z nas lepszym jest przyjacielem: ja, czy ty? No, pojednajmy się, bądźmy i nadal szczeremi przyjaciółmi dla siebie, uściskajmy się po bratersku i dla przypieczętowania naszej zgody wiernej aż do śmierci napijmy się mleka, albo herbatki wyśmienitej!

Teraz zostawmy w spokoju tak gwarzących przyjaciół, bo nam wrócić wypada do dalszego wątku sprawy tak bardzo ważnej!

Oto nauka ostrzega o szkodliwości działania trunków nie tylko na zdrowie ciała ludzkiego, bo nadto jeszcze trunki częstokroć pobudzają ludzi do popełnienia występków, a nawet i zbrodni...

Oto jak przerażające wiadomości podał uczony profesor, Br. Duchowicz, w książce swojej: „Napoje alkoholowe i ich wpływ na duszę i ciało ludzkie“. Czytamy tam takie szczegóły prawdziwe

„Nowsza statystyka, prowadzona od początku 19-go stulecia, wykazuje, że między alkoholizmem

a zbrodniami istnieje związek ścisły. Tak np. angielska komisja parlamentarna w r. 1834 przyszła do przekonania, że alkohol w 4|5 wypadkach jest przyczyną zbrodni.

„Prezes komisji więziennej w Szkocji, Mr. Hardy, obliczył, że 90 procent. wszystkich tamtejszych więźniów aresztowano za zbrodnie i przestępstwa, pozostające w związku z alkoholem, a największa powaga w kwestjach więziennych doktór Krohne, w Berlinie wypowiedział na podstawie 20-to letniej praktyki zdanie, że 70 procent. wszystkich zbrodni i przestępstw w państwie niemieckiem pozostaje w związku przyczynowym z alkoholem."

Statystyk Vischer oblicza, że w Holandji ilość zbrodni, popełnionych pod wpływem alkoholu dochodzi conajmniej 75 do 80 procent. ogólnej ilczby zbrodni.

W Danji z pośród 86.817 przestępstw miało ponad 75 procent. związek z pijaństwem. Liczbę 75 procent. można przyjąć jako przeciętną w rozmaitych krajach, chociaż w niektórych jest ona wyższa, np. w Ameryce wedle Harrisa wynosi 85 procent!"...

Tak jest wszędzie, w całym świecie, a więc i u nas w Polsce.

Alkohol jest głównym sprawcą niemal wszelkich zbrodni na świecie, słuszne przeto jest zdanie sędziego w najwyższym trybunale angielskim, lorda Coleridge'a, że gdyby się udało uczynić Anglję trzeźwą, możnaby zamknąć 9|10 więzień.

Moglibyśmy podobnych przykładów przytoczyć mnostwo. Lecz już i te dostatecznie nas upewniają, jak przeogromny wpływ maja trunki nie tylko na ciało, bo i na duszę!

Toć one najczęściej stają się **głównemi pomocnikami zbrodniarzy...**

Ładna spółka:

**trunek i zbrodniarz!**

Zauważmy jednak, że trunek staje się pomocnikiem zbrodniarza wcale **nie przypadkowo!**

Bo, owszem, trunek z natury swojej bardzo nadaje się na takiego pomocnika, gdyż działaniem swojem przyćmiewa w ludziach rozum, osłabia wolę, a natomiast ogniem swoim rozpala utajone w głębokościach ludzi najgorsze popędy, jak brutalność, mściwość, okrucieństwo i wreszcie szał zbójecki krwiżądny!...

Pod wpływem użytych trunków człowiek staje się poprostu strasznym!..

Człowiek pijany to niemal dzika bestja, tak wtedy zdolny bywa do popełnienia wszelkich występków i zbrodni....

Doświadczenie powszechne mówi o tem na kartach historji starej i nowej, mówi też i dzisiaj niemal codziennie w gazetach... Aż straszno czytać.

Bardzo dużo ludzi ma takie usposobienie, że dotąd są spokojni, pracowici i łagodni dopóki trzeźwi... Ale gdy napiją się,.. już nagle stają się inni, niepodobni do ludzi. Kto żyje, musi ustąpić im z drogi, bo gotowi na wszystko: co znajdą pod ręką, tem biją, kaleczą, nawet zabiją!

I chyba nikt nie zechce rzec w obronie trunków, że one tak nie każdego człowieka usposabiają dziko...

Zgoda, nie każdego. Ale czy zgóry może kto ręczyć za siebie, że trunki nigdy nie uczynią z niego dzikiej bestji?

Bezpieczniej nie próbować. Bo tylko ten może być pewny siebie, kto wcale nie używa trunków.

A kto dziś pije, nawet bardzo umiarkowanie, ten — napewno może kiedykolwiek pod wpływem trunków dopuścić się wielkiego głupstwa, występku, a nawet zbrodni!...

Bo raz jeszcze powtórzmy, że w trunkach tai się zły ogień, który kiedykolwiek zdoła w naturze ludzkiej podpalić straszne popędy!...

Trunek też, istotnie, w życiu ludzkiem bywa zazwyczaj sprawcą złego, a sprzymierzeńcem i pomocnikiem złych ludzi... Krótko mówiąc, używają go niecni ludzie do zamroczenia umysłu, a rozbudzenia brzydkich skłonności.

W tem świadectwie prawdziwem ujawnia się cała szelmoska wartość trunków!..

Kto je lubi, temu grozi każdej chwili wielkie niebezpieczeństwo!

Nie tylko niebezpieczeństwo, bo i — hańba...

Któż bowiem nie wie o tem, że jest w mowie ludzkiej znany wyrzut: „ty pijaku?...

To nie pochwała, lecz wzgarda...

Jak bardzo podupadł ten człowiek, który, zasłużywszy na takie piętno, nie wzdrygnie się, nie rozgniewa na siebie i nie porzuci natychmiast szpetnego upodobania w trunkach!

Jeśli tego nie uczyni, to znak, że w nim już zamarła ambicja szlachetna, czyli poszanowanie godności ludzkiej!.. Zgubiony!..

Ambicja szlachetna — to nieoszacowany skarb moralny!

Dopóki ona żywa i mocna w człowieku, dopóty on trzyma się dzielnie drogi uczciwej, a jeśli nawet niekiedy i on z niej zboczy, czemprędzej nawraca i nad każdem odstępstwem swojem sam ubolewa serdecznie!..

Ambicja szlachetna zwykle wyraża się w jednem cichem, a serdecznem postanowieniu **człowieka**:

**chcę i muszę być dobrym**

zgodnie z powszechnem prawem moralnem!

Kto nie zatracił takiej ambicji, a już w sposób niebezpieczny nawyka do trunków, ten jeszcze może być ocalony, gdy kto w porę zdoła go mocno i zręcznie pobudzić do nawrotu na drogę uczciwą...

Tak właśnie została uratowana w dziecięcym wieku św. Monika, matka św. Augustyna.

O tem wydarzeniu tak opowiada św. Augustyn w swoich „Wyznaniach":

„Według tego, co mi matka moja opowiadała, skłonność do pijaństwa wśliznęła się nieznacznie do jej serca. Bo gdy wysłaną była od rodziców, jako dziewczyna skromna i nie pijąca, do natoczenia wina z kufy, nim nalała je do flaszy, zwykła była kosztować z początku tylko kilka kropel, gdyż nie czyniła tego z namiętnej chuci, ale z dziecinnej swawoli co dla zabawy igra z niebezpieczeństwem i łacno od starszych przekraczaną bywa. Ale ponieważ kto

nie zważa na drobne przewinienia, wpada powoli w większe, tak i ona, począwszy od kilku kropel, a przydając później coraz więcej, przyszła do tego, że całe kielichy chciwie spełniała.

„Staruszka służąca, która razem z nią zwykła była nalewać wino, poróżniwszy się pewnego razu z panienką swoją, sam na sam, z gorzkiem szyderstwem, nazwała ją pijaczką. Dojęła tem do żywego, **uczuła całą szpetność swego postępowania i zarzekła dopuszczać się tego więcej!..“**

Prawda, staruszka oddała wielką przysługę młodziutkiej dzieweczce, lecz też zarazem wielkiej sama dopuściła się winy, bo bądź-co-bądź bardzo późno użyła sposobu dotkliwego i chyba nie w zamiarze ocalenia dzieweczki, która, na szczęście swoje, mocną posiadała ambicję szlachetną i właśnie dzięki jej odrazu otrząsnęła się z groźnego nałogu...

Inne wydarzenie przytaczamy tu z bardzo ciekawej, świeżo, bo dopiero w tym roku, wydanej książki: „Straż przednia“ przez księdza Marjana Tokarzewskiego:

„W parafji Szarogrodzkiej — pisze ks. T. — do tercjarstwa został przyjęty nałogowy pijak, kowal z Szostakówki. Nie pomagały ani prośby, ani groźby. Cały majątek przepił, żonę bił, dzieci z głodu mu umierały.

Na sesji tercjarskiej zażądałem, żeby mu, jako niepoprawnemu, dającemu publiczne zgorszenie, zatwardziałemu grzesznikowi, naznaczyć publiczną karę w kościele.

Wniosek mój został przyjęty.

Na środku kościoła stał katafalik, a około niego całun.

Powiedziałem kazanie o śmierci duszy przez grzech.

Potem, stanąwszy koło katafalku, ogłosiłem zebranym, że obecny tu w kościele kowal z Szostakówki umarł, nie żyje.

Kazałem mu leżeć krzyżem koło katafalku, a obecnym śpiewać litanję do Wszystkich Świętych, żeby Bóg „wskrzesił duszę jego“.

Nabożeństwo odbywało się przy drzwiach zamkniętych w obecność tylko tercjarzy-profesów.

Płacz, lament niezwykły przerywał śpiew litanji.

W pięć lat potem, będąc już na innej parafji, jechałem do Kamieńca.

W drodze spotkał mnie jakiś dostatnio ubrany wieśniak i zapytał, czy to ja byłem wikarjuszem w Szarogrodzie. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, upadł na kolana i zaczął z płaczem nogi całować.

Pytam: „Kto jesteś“?

— Ojcze, to ja, kowal z Szostakówki, którego ojciec żywcem grzebał. Proszę patrzeć, jaki ja jestem bogaty, jak ubrany! A jaką ja mam kuźnię teraz! — zakończył trjumfująco!“..

To wydarzenie daje dowód, że nawet w niejednym „pijaku wielkim“ drzemie ambicja szlachetna i czeka, nieraz bardzo długo, na takiego szczęśliwca, któryby umiał i chciał w porę i w sposób zręczny, ale szczery i życzliwy, obudzić ją i skłonić do pozbycia się nałogu szpetnego.

Oby każdy człowiek posiadał mocną ambicję piękną!..

W niej płonie chwalebne a gorące łaknienie dobra!..

Lecz sama li tylko ambicja, najpoczciwsza nawet, jeszcze nie czyni moralnie dobrym człowieka.

Przy ładnej ambicji niejeden człowiek jest mało dobry, niekiedy nawet szkodliwy, bo ma głowę dość kiepską, niedorzeczną, a w charakterze swoim zamało zalet niezbędnych, lub ma ich sporo, lecz rozczochrane, jak stara szczotka, więc nie zespolone w jedną całość harmonijną.... Brak mu przytem pięknego ideału moralnego...

Teraz musimy dobitnie oświadczyć, że kto chce być dobry, musi najusilniej starać się o ciągły rozwój swego rozumu aż do szczytu mądrości;

musi usnuć dla siebie, na życie całe, wzniosły ideał moralny —

i conajmniej tyle wypielęgnować w sobie zalet moralnych i tak je zjednoczyć, ażeby wspólnie a zgodnie czynne były podług swego ideału przewodniego.

Takiej pracy duchowej człowieka ambitnego strasznym wrogiem są trunki.

Zgóry bez omyłki rzec można, że który młodzieniec lubi zabawiać się trunkami, nawet choćby nie upijał się niemi często, — zpewnością nie nabędzie potrzebnej mądrości, nie wypielęgnuje w swoim charakterze zalet moralnych o sile wielkiej i wreszcie nie ułoży dla siebie ideału pięknego, jako gwiażdy przewodniej na drogę życia.

Trunki bowiem nałożą pęta na myśli jego, nawet uczynią je tak mętnemi, jak szyba matowa,.. a w duszy jego sprawią nieład, rozdźwięk, podobny do skrzypców rozstrojonych...

Kto chce rzetelnie uszlachetnić swoję duszę musi raz na zawsze rozstać się z trunkami.

Józefa Chociszewskiego słowa godzi się zawsze pamiętać:

„Trudno nawet marzyć o lepszej doli, zanim nie wyrzeczemy się pijaństwa.“

Pijakowi tak niepodobna posiąść pomyślności, jak niepodobna zagrać pięknej melodji na skrzypcach rozstrojonych!

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 27 września 1925 r. № 39.

# ORZEŁ BIAŁY.

TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



**Zdąża kapłan z Najświętszym Sakramentem i z pociechą do tego, który, być może, wprędce ten świat opuści... A na jaki wyrok u Boga zasłużył?...**

## Wierzę.

Przeciwko burzom i wichrom żywota,
Co gaszą w ludziach święte ognie ducha,
Przeciw zwątpieniu, które myślą miota,
Jak wiotką brzozą śnieżna zawierucha,
Przeciw szyderstwu, co tchnieniem lodowem
Przenika duszę w różnej atmosferze,
Bronię się jednem uczuciem i słowem:
Wierzę!
Wierzę, — talizman niezłamanej mocy,
Którym mnie matka uzbroiła święta,
Gwiazdą mi świecił w najciemniejszej nocy,
I dawał siłę zrywać z duszy pęta.
Ilekroć fale wątłą łodzią chwieją,
Od skał mnie bronił grożących rozbiciem,
Był moją siłą, miłością, nadzieją —
I życiem!

W cóż wierzysz jeszcze?
W co? — świat mej wiary wielki i szeroki:
Dobro i piękno, prawda i wieczność,
A szczytem jego — błękit głęboki,
A jego cechą — pogodna słoneczność,
Wszystko, co pięknem, czystem jest i białem,
Co tchnie miłością, słodyczą, ofiarą,
Wszystko to duszy mojem ideałem,
Wierzę

Wierzę w te światła, co ręką matczyną
W dni mych zaraniu w sercu zapalone,
W pomroku życia wciąż błyszczą, nie giną,
Błyszczą i grzeją, a wciąż w ową stronę
Kierują myśli, gdzie w lazurach świeci
Miljon gwiazd wiecznych, a ich mleczna droga:
Wiedzie do Ojca wszystkich ziemskich dzieci:
Do Boga!

Wierzę, że wieki przeminą, jak mary
I pokolenia całe w proch się rozwieją:
Sto razy świat się przeobrazi stary,
I tyleż razy zwyczajną koleją
Mądrość zawiedzie — i śmierć hojną dłonią
Miljony mogił porozsiewa wszędzie,
Światy się znużą wieczystą pogonią, -
A On wciąż będzie!

Wierzę, że dobro, piękno i świat wspaniały
W Nim bierze swego istnienia początek,
I że ludzkości wszystkie ideały
To Jego myśli doskonały wątek.
Że jest ogniskiem, do którego płyną
Duchy strudzone żywota ogrójcem,
A ludzkość cała jest jedną rodziną
A On jej ojcem!

Wierzę i w ludzi, że na dnie ich duszy,
Jak na dnie morza, czyste perły drzemią,
Ze, gdy je ręka miłości poruszy,
Odblaskiem nieba zaświecą nad ziemią;
Ze więcej słabych, chorych, niż zbrodniarzy,
Ze choć najmocniej szaleństwo opęta,
Jeszcze gdzieś w głębi duszy się rozżarzy —
Iskierka święta.

Wierzę więc w przyszłość tej wielkiej rodziny,
Bo chociaż niebo skryje chmur nawała,
Choć grom szaleństwa rozwali w ruiny
Wszystko, co ludzkość czciła i kochała:
Znowu na niebie błyśnie jutrznia złota
I tem piękniejsze po nocy świtanie,
Przeminie burza, która światem miota,
Prawda zostanie.

Wierzę, że idziem po postępu drodze,
Chociaż ta droga wiedzie nad otchłanią...
A czem jest krwawy cierń w pielgrzyma nodze
Tem doświadczenia, co nam duszę ranią.
W mrokach błądzimy, czując strach i żałość,
Co krok — to rany i zawody świeże,
Lecz, że w niebiesiech czeka doskonałość —
Wierzę!

**Stanisław Grudziński.**

# KTO JA, WRÓG TWÓJ, CZY PRZYJACIEL?

Takie pytanie, zdaje mi się, powinnoby drzewo zadać niejednemu z rodaków moich!

Mój Boże! — wołam nieraz, jadąc, lub idąc drogą, — czemuż u nas jeszcze tak mało jest dróg zadrzewionych?

Co za dziwna niechęć opanowała bardzo wielu rodaków moich, że tak niemal wrogo odnoszą się do każdej drzewiny, jak gdyby ona żadnej, lub małą oddawała ludziom przysługę.

A przecież drzewinę, doprawdy, bez żadnej przesady trzeba zaliczyć do rzędu najszacowniejszych darów Bożych!

O, tak, mało na świecie jest takich tworów, z którychby ludzie dla siebie czerpali tyle pożytków, ile ich mają z drzewiny!..

Zaiste, ona jest nie wrogiem, lecz nawet wielkim przyjacielem człowieka!

A jak on jej odwdzięcza się za to?

Pożal się, Boże!

Jak szpetne nieposzanowanie okazujemy u siebie drzewinom, o tem przekonać się można w wielu okolicach, gdzie niektóre osoby, lepiej myślące, usiłowały niejednokrotnie zadrzewić drogi nawet przy pomocy dziatwy szkolnej, — i jednak napróżno!... Bo może rok jeszcze nie upłynął, a już prawie żadna drzewinka tam nie rosła!.. Co się z niemi stało?.. Byli tacy szkódnicy, którzy je wyrwali,... złamali,.. lub uszkodzili tak, że uschnąć musiały!..

Znaczna większość mieszkańców okolicy takim występkiem wcale się nie przejmuje. Prawie nikogo to nie boli i nikt nie poszukuje sprawców złego.

— Bo też jest czem zaprzątać sobie głowę! Drzewina przecież to nic nadzwyczajnego! Bez niej można się ob....

Niejeden już w mowie swojej rozpędził się zadaleko i gotowy był nawet zakrzyknąć, że bez drzewiny może się obywać, ale przy ostatniem słowie zawahał się, bo jeszcze w porę zauważył, jak wielkie przez to dopuściłby się niedorzeczności. Toć żaden człowiek dnia jednego nie potrafi spędzić bez pomocy drzewa! Owszem, ono wszędzie i zawsze jest mu poprostu niezbędne!...

Nawet niema w życiu człowieka takiej dziedziny pracy, potrzeby, upodobania, zwyczaju, gdzieby drzewo nie uczestniczyło jako jego sprzymierzeniec znakomity i nie zastępiony!

Oto choć pobieżnie rozglądnijmy się naprzód w dziedzinie religijnej.

Ewangelja św. nierzadko mówi o drzewie.

Chrystusa Pana Marja Najświętsza ułożyła jako Dziecinę w żłobku drewnianym.

A potem P. Jezus, jako Pacholę, pomaga św. Józefowi w pracy ciesielskiej, a więc przy obróbce drzewa. Matka Boska zaś przy kołowrotku drewnianym siedzi i przędzie. Tak nam Świętą Rodzinę przedstawiają na obrazach religijnych artyści malarze.

W dalszem życiu Zbawiciel, nauczając rzeszę, tak do niej przemówił:

„Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy do was przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilcy drapieżni: Z owoców ich poznacie je. Izali zbierają z ciernia jagody winne, albo z ostu figi?

„Tak wszelkie drzewo dobre, owoce dobre rodzi, a złe drzewo, owoce złe rodzi. Nie może drzewo dobre owoców złych rodzić; ani drzewo złe owoców dobrych rodzić.

„Wszelkie drzewo, które nie rodzi owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone... A prze-

to z owoców ich poznacie je"... (ś. Mat. 7. 15-20).

Innym razem P. Jezus użył drewnianej łódki. Bo tak mówi św. Mateusz: „A gdy On wstąpił w łódkę, weszli za nim uczniowie jego. A oto wzruszenie wielkie stało się na morzu, tak, iż się łódka wałmi okrywała, a On spał. I przystąpili do Niego uczniowie Jego i obudzili Go, mówiąc: Panie, zachowaj nas, giniemy! I rzekł im Jezus: Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary? Tedy wstawszy, rozkazał wiatrom i morzu i stało się uciszenie wielkie. A ludzie się dziwowali, mówiąc: Jakiż jest Ten, że Mu i wiatry i morze są posłuszne?"

I dalej płynęli, umieszczeni w łodzi kruchej.

Kiedyindziej „gdy wychodzili z Betanji — pisze św. Marek — Zbawiciel łaknął. A ujrzawszy z daleka figę, mającą liście, przyszedł jeśliby snadź co na niej nalazł.

„A przyszedłszy do niej, nic nie nalazł oprócz liścia, bo nie był czas figom. A odpowiadając rzekł jej: Niech już więcej na wieki nie je owocu nikt z ciebie. A słyszeli uczniowie Jego.

„Rano idąc mimo, ujrzeli figę z korzenia uschłą. A Piotr wspomniawszy, rzekł Mu: Rabbi, oto figa, którąś przeklął, uschła. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł im: Miejcie wiarę Bożą".

To znowu pisze ś. Łukasz tak: „I stało się gdy rzesze nalegały Nań, aby słuchały słowa Bożego, a On stał podle jeziora Genezaret. I ujrzał dwie łodzi stojące przy jeziorze, a rybitwi wyszli i płókali sieci. A wszedłszy w jedną łódź, która była Symonowa, prosił go, aby maluczko odjechał od ziemie. A siadłszy, uczył rzeszę z łodzi.

„A gdy przestał mówić, rzekł do Symona: Zajedź na głębią, a zapuśćcie sieci wasze na połów. A Symon, odpowiedziawszy, rzekł Mu: Nauczycielu, przez całą noc pracując, niceśmy nie ułowili, wszakże na słowo Twe zapuszczę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie i rwała się sieć ich. I skinęli na towarzysze, co byli w drugiej łodzi, aby przybyli i ratowali je. I przybyli i napełnili obie łódce, tak, iż się mało nie zanurzały.

„Co widząc Symon Piotr, upadł u kolan Jezusowych, mówiąc: Wynidź odemnie, bom jest człowiek grzeszny, Panie. Albowiem go było zdumienie ogarnęło i wszystkie, co przy Nim byli, z połowu ryb, który pojmali. Także też Jakuba i Jana, syny Zebedeuszowe, którzy byli towarzysze Symonowi. I rzekł Jezus do Symona: Nie bój się, odtąd już ludzie łowić będziesz.

„A wyciągnąwszy łodzi na ziemię, wszystko opuściwszy, szli za Nim".

Jeszcze tak pisze ś. Łukasz: „I stało się dnia jednego, a On siedział, ucząc. A oto mężowie niosący na łóżku człowieka, który był ruszony powietrzem: i szukali Go wnieść i postawić przed Nim. A nie nalazłszy którąby stroną go wnieśli przez rzeszą, wstąpili na dach i przez dachówki spuścili go z łóżkiem w pośrzodek przed Jezusa. Który wiarę ujrzawszy, rzekł: Człowiecze, odpuszczają się tobie grzechy twoje.

„I poczęli myślić Doktorowie i Farizeuszowie, mówiąc: któż jest Ten, co mówi bluźnierstwa? któż może odpuścić grzechy, jedno sam Bóg? — A Jezus poznawszy myśli ich, odpowiadając, rzekł do nich: Cóż myślicie w sercach waszych? Cóż jest łacniejszego rzec: Odpuszczają się tobie grzechy: czyli rzec: wstań, a chodź? Lecz abyście wiedzieli, iż syn człowieczy ma władzę na ziemi odpuszczać grzechy (rzekł ruszonemu powietrzem): Tobie mówię, wstań, a weź łóżko twoje, a idź do domu twego.

„A natychmiast wstawszy przed nimi, wziął łoże, na którem leżał i szedł do domu swego, wielbiąc Boga. I zdumienie zięło wszystkich i wielbili Boga.

W innem miejscu Ewangelji pisze tak ś. Łukasz:

„A niektóry z Farizeuszów prosił Go, aby z niemi jadł. I wszedłszy w dom Farizeuszów, siadł do stołu. A oto niewiasta, która była w mieście grzesznica, skoro sie dowiedziała, iż siedział u stołu w domu Farizeuszowym, przyniosła alabastr olejku: I stanąwszy z tyłu u nóg Jego, poczęła łzami polewać nogi Jego, a włosami głowy swojej ucierała i całowała nogi Jego i olejkiem mazała.

„A widząc Farizeusz, który Go był wezwał, rzekł sam w sobie, mówiąc: By Ten był prorokiem, wżdyćby wiedział, która i jaka jest niewiasta, co się Go dotyka: bo jest grzesznica. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł do niego: Symonie, mam ci coś powiedzieć. A on rzekł: Mistrzu, powiedz.

„Dwu dłużników miał niektóry lichwiarz: jeden dłużen był pięćset groszy, a drugi pięćdziesiąt. A gdy oni nie mieli czem płacić, darował obiema: któryż tedy więcej go miłuje? A Symon odpowiedziawszy rzekł: Mniemam, iż ten, któremu więcej darował. A On mu powiedział: Dobrześ rozsądził. I obróciwszy się do niewiasty, rzekł Symonowi: Widzisz tę niewiastę? Wszedłem do domu twego, nie dałeś wody na nogi moje, a ta łzami polała nogi moje i włosami swemi otarła. Nie dałeś mi pocałowania, a ta jakoż weszła nie przestała całować nóg moich: Nie pomazałeś oliwą głowy mojej, a ta olejkiem nogi moje pomazała. Przeto powiadam ci: odpuszczają się jej wiele grzechów, iż wielce umiłowała. A komu mniej odpuszczają, mniej miłuje.

„I rzekł do niej: Odpuszczają się tobie grzechy. I poczęli, którzy spół u stołu siedzieli, mówić między sobą: któż jest Ten, który i grzechy odpuszcza? I rzekł do niewiasty: Wiara twoja zbawiła cię, idź w pokoju".

Jeszcze czytamy w Ewangelji ś. Łukasza o takiem zdarzeniu:

„A wszedłszy, szedł przez Jerycho. A oto mąż imieniem Zacheusz, który był przedniejszym celnikiem, a on bogatym: i starał się, aby widział Jezusa, coby zacz był, a nie mógł przed rzeszą, bo był mały wzrostem. A bieżawszy naprzód, wstąpił na drzewo płonnej figi, aby Go ujrzał, bo tamtędy iść miał.

„A gdy przyszedł na miejsce, pojrzawszy wzgórę Jezus ujrzał go i rzekł do niego: Zacheuszu, zstąp prędko, abowiem dziś potrzeba mi mieszkać w domu twoim. I prędko zstąpił i przyjął Go z radością".

W Ewangelji św. Jana znowu czytamy:

„A Piłat wywiódł przed ratusz Jezusa i siadł na stolicy sądowej, na miejscu, które zową Lithostro-

tos, a pożydowsku Gabbatha. A był dzień przygotowania Paschy, godzina jakoby szósta i rzekł żydom: Oto król wasz. A oni wołali: Strać, strać, ukrzyżuj Go. Rzekł im Piłat: Króla waszego ukrzyżuję? Odpowiedzieli najwyżsi kapłani: Nie mamy króla, jedno cesarza. Wtenczas tedy podał Go im, żeby był ukrzyżowan. I wzięli Jezusa i wywiedli. A niosąc krzyż sobie wyszedł na ono miejsce, które zwano Trupiej głowy, a po żydowsku Golgotha: Gdzie Go ukrzyżowali, a z Nim drugich dwu ztąd i zowąd, a w pośrodku Jezusa"...

Drzewo często usługiwało Chrystusowi Panu. Ale ostatnią Mu oddało przysługę najsmutniejszą, bo stało się dla Niego pościelą śmiertelną, ołtarzem bolesnej Ofiary krwawej!

Odtąd w krzyżu wszyscy widzimy godło wiary chrześcijańskiej, znak zbawienia, nawet niejako księgę nauki Chrystusa.

„W krzyżu zbawienie, — woła Tomasz a Kempis — w krzyżu życie, w krzyżu obrona od nieprzyjaciół; w krzyżu źródło niebieskiej słodyczy, w krzyżu moc ducha, w krzyżu wesele serca, w krzyżu szczyt cnoty, w krzyżu doskonałość i świętość. Niemasz dla duszy zbawienia, ani nadziei wiecznego żywota po za krzyżem. Weź więc krzyż swój i idź za Chrystusem, a zajdziesz do żywota wiecznego!"...

Tak też Asnyk rozumiał krzyż, pisząc swój wiersz piękny „Pod stopy krzyża":

„Dużo cierpiałem—wyznaje poeta—lecz koniec sie zbliża
Z uspokojeniem po przebytej męce—
Pójdę, o Chryste, do stóp Twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp Twych położy!

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości:
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem niewierny,
Tak mi się wydał znowu jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
„Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
„We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
„Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
„Wszystko przemija, prawda nie przeminie!".

Więc posłuchałem słodkiego wezwania —
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem,
I drogi życia przeszedłem cierniste....
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!".

Przeto krzyż i Chrystus niejako zespolają się w jedno. Bo krzyż — to Chrystus cierpiący i umierający bardzo boleśnie na krzyżu dla uszlachetnienia, udoskonalenia i uszczęśliwienia świata.

Chrystus ogłosił światu prawdę i dobro, ale też i obronił je przed złemi ludźmi, zapewnił im triumf, zwycięstwo. Na to podjął mękę i śmierć krzyżową.

W krzyżu tedy prawda i dobro, — moc i zwycięstwo!

Dawniej, przed Chrystusem, krzyż był znakiem hańby, bo na nim uśmiercano zbrodniarzy. A dopiero dzięki Chrystusowi Panu krzyż stał się znamieniem potęgi zwycięskiej, w imię Boga utrwalającej w świecie rozrost prawdy i dobra!

Dziś w krzyżu wszyscy chrześcijanie czytają, jak w księdze otwartej, pobudkę do walki z złem, do wytrwania w dobrem i przykład doskonały, dający zachętę, żeby w obronie prawdy i dobra, gdy zajdzie potrzeba, ochotnie gotowi byli ponieść nawet śmierć męczeńską....

Dlatego zdobi krzyż pierś żołnierza - bohatera i każdego innego męża zasłużonego na dowód, że każdy z nich wytrwał w dobrem, choć miał do pokonania wiele przeciwności znacznych!

I nad mogiłami stoją krzyże na straży, jako znaki niezawodne, że pod niemi legli wierni czciciele krzyża Chrystusowego.

A i na wieżach kościelnych wysoko lśnią krzyże, ustawicznie wołające do świata, by zawsze i wszędzie przestrzegał prawdy i dobra chrześcijańskiego, jako głównych nakazów Bożych...

Tak Chrystus chwalebną ofiarą swoją uzacnił krzyż drewniany, z którego uczynił ołtarz, kazalnicę i księgę, budującą dusze, łaknące prawdy Bożej

Krzyż tedy jest godło wiary, nadziei i miłości doskonałej, świętej...

Krzyż mówi zawsze do każdego człowieka:

— Raczej bądź gotowy umrzeć, aniżeli poddać się złemu!

Stąd wdzięcznie pieśń religijna takiemi słowami krzyż wielbi:

„Krzyżu święty nadewszystko, drzewo przenajszlachetniejsze"...

Otóż w taki sposób okazał Bóg, jak bardzo miłuje drzewo, swe dzieło niezmiernie pożyteczne— i zarazem przestrzegł ludzi, by zawsze mieli je w poszanowaniu i nigdy na złe nie obrócili, jak to niegdyś uczynili byli Adam i Ewa, pierwsi rodzice, w raju, o czem tak pisze ks. Antoni Putiatycki:

„Pan Bóg pierwszym ludziom zakazał, aby z drzewa wiadomości złego i dobrego nie jedli i zagroził im, mówiąc: którego dnia będziecie jeść z niego, śmiercią umrzecie... Ale pierwsi rodzice nas nie byli posłuszni Panu Bogu, albowiem jedli owoc z tego drzewa, z którego im Pan Bóg jeść zakazał"

„Raj — pisze Jan Milton, sławny poeta angielski, — to był ogród, który Bóg założył na wschód Edenu, a ten swe granice miał od Auranu aż do Seleucji wieżyc, przez greckich królów zbudowanych Dawno przed niemi tu Edenu dzieci zamieszkiwały w kraju Telassara. Na tej rozkosznej ziemi Bóg

utworzył jeszcze piękniejszy ogród. W żyznej glebie najszlachetniejsze gatunki drzew rosły, nęcące oczy, smak i powonienie. W pośród nich stało wielkie Drzewo Życia, pełne owoców i roślinnego złota, ambrozyjskiego smaku; obok życia śmierć nasza, rosło drzewo Wiadomości: wiadomość dobra drogo okupiona, bo wiadomością złego.

„W południowym Edenie rzeka płynęła szeroka i, nie zmieniając kierunku, pod górą lesistą nikła: Bóg rzucił tę górę jako podstawę swojego ogrodu po nad prądami wód, by nasycały grunt równomiernie wilgocią, a w górze wytryskiwały, jako świeże źródła i ponikami licznemi zraszały ogród, a potem złączóne, z urwiska spadały z drugiej strony góry w rzekę, opuszczającą podziemię, tworzącą odtąd ogromne cztery rzeki, w różne strony płynące, przez różne królestwa i okolice, których tu wymieniać niema potrzeby.

„Wolę opowiedzieć, jeżeli sztuka wyrazić to zdoła, — jak szafirowe to źródło ruczaje lało po perłach i po piasku złotym....

„Szczęśliwa ustroń sielska, rozmaitych widoków pełna: w gajach jedne drzewa sączą żywice balsamicznej woni, na innych świecą złocistą łupiną owoce smaku wytwornego... Owdzie trawniki, równiny, odłogi pełne trzód, miękką szczypiących murawę, indziej palmowe wzgórze; tam dolinę przerzyna strumień, kryje go moc kwiatów rozlicznej barwy; tam róże bez ciernia. Gdzieindziej grotty, dające chłód miły, na nich winorośl rozciąga swe wici bujne a zdobne w grona purpurowe. Z pagórków szemrząc spływają potoki i rozpraszają wody, albo toną w jeziorze, które za zwierciadło służy wieńczonym w mirty brzegom kędzierzawym.

„Brzmią ptaszząt chóry; wiosenne podmuchy woń pól i gajów niosą, szmerem liści wtórują“....

Tak przecudną krainę Adam i Ewa opuścić musieli, bo sprzeciwili się rozkazaniu Bożemu, idąc za podszeptami szatana.

Oto dali się uwieść obietnicami oszukańczemi i wtedy dobrowolnie użyli wbrew zakazowi Boskiemu owoców drzewa jednego na zgubę własną i potomków swoich.

Nie drzewo było przyczyną ich nieszczęścia, lecz oni sami zgotowali je sobie.

Poszli za głosem złego ducha, nie stoczyli z nim walki, nie pragnęli zwycięstwa dobra nad złem, — ulegli sami ochotnie, złe więc osiągnęło nad niemi górę.

Po upływie długiego czasu znowu trafia się cudowne zdarzenie walki z złem.

Stoczył ją Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus.

Stoczył zwycięsko!

I znowu drzewo usłużyło, lecz tym razem bardzo szczęśliwie.

Tam, w Raju, pierwsi ludzie użyli drzewa na złe.

Tu, na Golgocie, Zbawiciel użył drzewa przy spełnianiu swej Ofiary krwawej na ołtarz, który odtąd po wszystkie czasy stał się powszechnie czczonym symbolem Boskiej wiary, nadziei i miłości.

Tak Chrystus uczynił drzewo „przenajszlachetniejszem“.

Tak nauczył wszystkich ludzi, jak mają miłować, szanować i zawsze tylko na dobre używać każdego drzewa!...

Zaiste, za przykładem Pana Jezusa powinni ludzie zwrócić baczną uwagę na drzewo, jako dar Boży przepiękny i niesłychanie pożyteczny!

Usługę jego napotykamy na każdym kroku.

Jak nędzny byłby żywot człowieka bez drzewa!

Smutno wygląda pustynia. Piasek i niebo.

Wiele dni idą kupcy, patrząc tylko na pole piaszczyste, zda się, bez kresu! Aż nagle ukazuje się im w dali nieduża gromadka drzew wyniosłych. To oaza! Tam znajdują upragniony odpoczynek, chłód i wodę. Z jaką radością wzrokiem swoim obejmują drzewa, jak cieszą się wtedy ich widokiem i wówczas, doprawdy, przekonywają się, jak wielkim one są darem Bożym i nieoszacowanym przyjacielem człowieka!

„Wielkie, pięknie rozrosłe drzewa, — pisze profesor Józef Tretiak, — choć utracą liście, imponują jeszcze posępną nagością potężnych kształtów, rysunkiem swoich konarów i całej sieci swych gałęzi. Okryte liściem dają schonienie człowiekowi od deszczu i słońca, kołyszą go przyjemnie szumem swych gałęzi. Spoglądając na takie drzewo, człowiek czuje się małym wobec niego, nietylko dlatego, że widzi jego wielkość, piętrzącą się nad sobą, ale i dlatego, że wie o jego trwałości. Czemże jest wiek ludzki w porównaniu z wiekiem drzew, co po kilkaset lat żyją, nie żądając żadnej od ludzi pomocy, żądając tylko, aby im ludzie niczem nie szkodzili!.. Pokolenie ludzkie wzrasta i dojrzewa pod cieniem wielkich drzew i schodzi ze świata, widząc je równie czerstwemi, silnemi i potężnemi, jak wówczas, kiedy patrzało na nie dziecinnemi oczyma.

„Oto są źródła tych wrażeń, jakie drzewa, szczególnie wielkie drzewa, wywierają na duszę ludzką. Z tych źródeł wypłynęła niegdyś u słowian i litwinów, podobnie jak u innych ludów, cześć religijna dla drzew pewnych, szczególnie imponujących swoją wspaniałością, z tych źródeł płynie i nasze nowożytne zamiłowanie w drzewach; z tych źródeł i to natchnienie, które stare, wielkie drzewa ojczyste wywoływały w poetach naszych“.

I Mickiewicz kochał drzewa. Tak o nich mówi w „Panu Tadeuszu“:

„.... ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzyną, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się — tu mech sinobrody.
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody—
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste niskie chmury —
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchowym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem..
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,

Że tam, nad głową, morze wiszące szalało.

„Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu:
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości".

W innem miejscu tak opowiata poeta:

„.... Wokoło ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna, jak menada z zielonemi berły,
Ubranemi, jak w grona, w orzechowe perły.
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce.
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym, [grabem.
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki,
Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,
Tam matrony topole—i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark gar- [baty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów. przodków swoich, skamieniałych tru- [pach"...

Mickiewicz kochał i tęsknił za ojczystemi drzewami, bo woła tak:

„Drzewa moje ojczyste, jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy—
Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie,
Wy, koło których niegdyś pełzałem, jak dziecie?...
Czy żyje wielki Baublis (dąb), w którego ogromie,
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam, na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?
Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły, jak [ptakom.
Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła!"....

Ludzie miłują piękno, serdecznie lgną do niego, radzi nawet bardzo często na nie poglądać. Bo też widok piękny sprawia duszy ludzkiej krzepiące ukojenie, ożywia ją, uszlachetnia, budzi w niej myśli dobre i piękne... Piękno zewnętrzne odbija się w duszy człowieka, jak w zwierciadle...

Dlatego ludzie tak lubią patrzeć na drzewa małe i wielkie!

Istotnie, drzewa odznaczają się urokiem, wdziękiem czarownym, przecudnym; pociągają ku sobie wzrok ludzki, przykuwają go na długo!.. Kto z nas nie miał w życiu swojem takich momentów zachwytu?

Wtedy podziwialiśmy ich piękność i zarazem niezawodnie nasuwaly się nam myśli o Tym, który je stworzył i nadał ich drobniuchnym nasionkom własności przedziwne, że one nigdy nie pomylą się, więc zawsze wiernie wydadzą na świat takie same okazy, podobniuteńkie do swoich ojców i dziadów!.. Tyle te nasionka drzew mają w sobie potęgi, jakkolwiek są madziudzie, że całkiem łatwo, bez żadnego hałasu, nawet i bez szmeru, potrafią pompować z ziemi kruszynki, oraz wilgoć i ulepiać z nich stopniowo potężne pnie i konary, — i nadać im nieraz przepiękne kształty, podobne do wachlarzy, koronek pióropuszów!...

W życiu i w piękności drzew, zaiste, objawiają się cuda Boże!

Piękność atoli nie jest jedyną i główną drzew zaletą!

Niestety, nie zawsze to, co piękne, zasługuje na pochwałę!.. Ktoś, lub coś jest piękne — i mimo to szpetne moralnie... Ktoś, lub coś jest piękne,— a jednak warte nagany...

To się trafia wśród ludzi i wśród dzieł ludzkich

Nie da się to wszakże do drzew zastosować Bo niektóre z nich są bardzo piękne, nawet prześliczne, — np. palmy, świerki, brzozy, sosny.... ale zpewnością wszystkie pożyteczne!..

Służą ludziom najwierniej i niepodzielnie, zaspokajając wszelkie i przeróżne ich potrzeby!

Ludzie mają potrzeb tysiące. Jedne są najważniejsze, inne błahe. A jednak i najważniejszym i najbłahszym drzewo zawsze czyni zadość usłużnie

Gdy kiedykolwiek rozważamy, które potrzeby są najważniejsze: ogień, czy dach nad głową,—chyba bez wielkiego namysłu przyznamy ogniu pierwszeństwo.

Ogień przecież jest najpotrzebniejszy,—pierwej i częściej, niżli dach nad głową. Bez dachu bardzo wielu obywało się i obywa, a bez ognia nikt i nigdzie! Dlatego w dawnych czasach, kiedy jeszcze zapałek nie fabrykowano, a sposób wywoływania ognia przez tarcie drew bywał bardzo mozolny, ludzie oddali płomienie pod opiekę kapłanów i kapłanek. Oni obowiązani byli dzień i noc czuwac nad tlejącym ogniem na ołtarzach, aby nigdy nie zgasł...

Tak między innemi u litwinów, jeszcze w czasach pogańskich,— pisze Antoni Prochaska — ognia strzegł żniczius to jest ofiarnik (stąd urobiono nazwę: znicz).

Drzewo jest jak gdyby spiżarnią słońca, albo skarbonką oszczędności, bo drzewo zamyka w sobie ciepło promieni słonecznych i oddaje potem to ciepło ludziom w postaci ognia, gotującego im strawę, lub grzejącego zziębniętych... Toć i węgiel kamienny tylko drzewu zawdzięczamy... W ziemi warstwy lasów leżąc długie wieki, skamieniały na węgiel bru-

natny, wcześniejszy — i czarny, późniejszy, lecz wcale nie zatraciły swego ciepła słonecznego...

Ach, z jaką uciechą człowiek, skostniały od zimna, lub głodny, jak wilk, wita ogień buzujący się na kominie! Tylko jemu zawdzięcza lube ciepło, przywracające zdrowie, ochotę i zdolność do pracy,—oraz gorącą strawę, pokrzepiającą ciało, zwątlałe od głodu!..

Taki to dobrodziej człowieka — drzewo.

Nie wiadomo od czego zacząć, doprawdy, chcąc wyliczyć wszystkie usługi drzewa. A nawet chyba niepodobna je wszystkie wyszczególnić. Bo tyle ich jest! Na wołowej skórze opisu nie uda się pomieścić.

Sprobujmy bodaj o niektórych wspomnieć: Niech nas koleje życia ludzkiego prowadzą...

Niemowlęciu potrzebna kołyska, potem grzechotka, zabawki... Przedewszystkiem drzewo te wszystkie potrzeby dzieciny zaspokaja doskonale i tanio. Nawet kijek służy mu za konia, a dwa drewienka za skrzypce! A wózek, łopatka i grabie, jakąż sprawiają mu radość.

Takim przyjacielem dziecka jest drzewo. Powinnoby dziecko bardzo wcześnie dowiedzieć się o tem, a już od najmłodszych lat nauczyłoby się kochać i szanować drzewo, jako wielki dar Boży!

Dziecko, już będąc nieco starszem, zapoznaje się z mieszkaniem swojem i z wszelkiemi, znajdującemi się w niem, sprzętami.

Mieszkanie, zbudowane z drzewa. Podłoga to nie zbytek, ale korzyść wieloraka, szczególnie dla zdrowia i schludności! Bardzo niedogodne są te mieszkania, gdzie brak podłogi drewnianej, a zastępuje je klepisko. Tam bowiem podczas słoty na świecie, —jest błoto, kiedy pogoda — kurz znaczny, a w porze zimowej zimno aż przykro i niebezpiecznie domownikom rano stąpać bosemi nogami... Biedni ludzie, którzy w mieszkaniu bez podłogi drewnianej przebywać muszą!

Ciekawe dzizcko wnet się przekonywa, że w jego mieszkaniu jest najwięcej sprzętów drewnianych: łóżka, stoły, ławy, skrzynie, szafy, krzesełka i nawet kanapa wykonane są przecież tylko z drzewa. Obrazy na ścianach wiszą w ramach malowanych, lecz także drewnianych. Nawet zegar, tak dogodny i niezbędny, w drewnianej szafce oszklonej jest zabezpieczony od kurzu i wilgoci... A drzwi i okna, tak ważne części domu, czy godzi się je pominąć milczeniem, a wszakże i one są drewniane.

Jednak ciekawe dziecko, idąc w ślad za matką, zagląda do kuchni i tam również dostrzega niemało „statków“ drewnianych, jak: kubły, szafle, szkopek, nieckę, balję, stolnicę, wałki, sito, solniczkę, beczułkę na wodę, dzieżę, ceber, szatkownicę, kijanki, nawet miotłę do zamiatania, łopatę do wsadzania w piec chleba, stołeczek do dojenia krowy, koromysło....

Wobec tylu naczyń, gospodyni w domowem gospodarstwie niezbędnych, nasuwa się dziecku mniemanie słuszne, że drzewo, zaprawdę, na każdym kroku niesie ludziom pomoc znakomitą!

Podziw i niejako cześć dla drzewa wzmagają się w dziecku w miarę, jak ono coraz więcej gromadzi wiadomości o różnych pracach i czynnościach ludzi.

Z kuchni wychodzi dziecko na podworze, a potem do zabudowań gospodarskich. Narzędzia rolnicze w dużej części są drewniane, jak niektóre pługi brony, siewniki, żniwiarki, sieczkarnie, młynki, młocarnie, wozy, sanie, skrzynie do wożenia kartofli, drabiny w stajni i oborze, żłoby...

A studnia w podwórzu, zali nie ma cembrowiny drewnianej i żórawia takiegoż do wydobycia wody? A koryta przy studni, a płoty, nie dopuszczające inwentarza żywego w pole i ogrody, by tam nie wyrządzał szkody, czy także nie są drewniane?

Wreszcie matka prowadzi swoję dziecinę do świątyni. Rozgląda się dziecko bardzo ciekawie. Kościołek zbudowany z drzewa modrzewiowego. Takaż opodal dzwonnica! W kościele piękne ołtarze, ambona, chrzcielnica, konfesjonały i ławki podobnież zrobione z drzewa i pomalowane. A na chórze organy z piszczałkami swemi takoż przeważnie drewniane. I chorągwie mają swe laski z drzewa gładko wyrobione. A feretrony, a katafal, a trumna do nabożeństw żałobnych używana, a kołatki wielkotygodniowe, czy nie są drewniane?

Zatem i służbie Bożej drzewina poczciwa tak gorliwie i szczodrze sprzyja, jak żadne inne stworzenie! Nieraz nawet człowieka zawstydza! Bo weźmy jeszcze pod uwagę i tę przysługę drzewiny, że nawet dostarcza wosku na świece kościelne, rozumie się, przy pomocy pszczółek pracowitych. Alboż tak nie dzieje się rokrocznie w czasie kwitnienia lipy i akacji?

Gdy nadeszła pora oddać dziecko do szkoły, ono i tam z niemałem zdumieniem przekonało się, że drzewo nieoszacowano potrafiło stać się również niesłychanie usłużnem człowiekowi i w jego zabiegach o zdobywanie i rozpowszechnianie wiedzy i oświaty!

Wszedłszy do izby szkolnej, zaraz uderza go widok najważniejszych sprzętów: spory krzyż drewniany na ścianie, pod nim tak zwana katederka, również drewniana gdzie zwykle zasiada nauczyciel i stąd obejmuje wzrokiem całą izbę szkolną, stąd też wykłada lekcję; obok niego stoi na dużych łapkach drewnianych takaż tablica czarna do pisania na niej kredą rachunków i zdań naukowych. Na ścianach dużo obrazów, objętych ramkami drewnianemi — i wielkie mapy: Polski i Europy, mające na obu końcach wałki drewniane, dla nadania mapom należytej sztywności. A na środku izby szkolnej ustawione są szeregiem ławki z małemi pulpitami. Na ławkach zasiadają uczniowie, a na pulpitach mają rozłożone książki, oraz kajety i kałamarze. Obok kajetów leżą ołówki, rączki do pisania i piórniki, także drewniane!

Dziecko, ogarniając wzrokiem w lubej szkole swojej tyle naraz przedmiotów drewnianych, doznaje uczucia serdecznej wdzięczności dla drzewa ukochanego, które, doprawdy, tak jest zawsze usłużne ludziom, tak dba o wszelkie ich potrzeby, jak gdyby ono bardzo a bardzo miłowało nietylko ludzi starszych, ale nawet i dzieci małe!.. A jak one mu za to się odpłacają?... Nieraz bardzo szpetnie, bo, dziko swywoląc, łamią je, kaleczą, uszkadzają!...

Po ukończeniu szkoły chłopiec wspólnie z rodzicami zastanawia się nad wyborem dla siebie zawodu, któremu odda się całe życie.

Tyle jest przeróżnych rodzajów pracy zarobkowej!

Ogrodnictwo. Bardzo miłe zajęcie. Ma w niem człowiek do czynienia z warzywami, kwiatami i drzewinami! Ogrodnikowi drzewo daje pracę i chleb!

Może zechce być leśnikiem? Lasów pilnować i lasy hodować? Znowuż tu drzewo utrzymuje człowieka!

Cieśla, stolarz i bednarz jedynie drzewu zawdzięczają pracę! Ba, czy tylko oni? A kołodzieje? a tokarze drewniani? a snycerze, wyrzynający figurki drewniane? a kopytnicy, wyrabiający kopyta dla szewców? a fabrykanci ołówków? a fabrykanci papieru drzewnego i waty drzewnej? a fabrykanci łódek i okrętów? a fabrykanci wagonów? a czy dałyby sobie radę koleje bez podkładów drewnianych, których tyle potrzebują ułożyć pod szynami na całej linji? a szczotkarze? a rysownicy, rozpinający swe papiery na drewnianych deskach? a urzędnicy, co uczyniliby bez stołów, półek i krzeseł? a drukarze bez kaszt i rygałów z drzewa zrobionych? a piekarze bez skrzyń, łopat i szczap opałowych?

W której pracy drzewa niema? Wszędzie jest ono, bodaj jako najdrobniejsza cząstka, ale zawsze niezbędna. Bo i kowal i ślusarz i kamieniarz i murarz i brukarz i kupiec i adwokat i malarz, słowem wszyscy bez wyjątku korzystają z mniejszej lub większej, ale zawsze koniecznej pomocy drzewa! Bo młotek i kielnia, bo waserwaga i pilnik, bo pędzelek i linja, bo stół i półka w sklepie, bo metr, czy łokieć—wszystko to z drzewem najściślejsze ma przymierze!

A wreszcie czy wszystkie fabryki i warsztaty, używające ognia, mogłyby istnieć bez pierwszorzędnej pomocy węgla? A węgiel skąd pochodzi? Tylko z drzewa!

Ludzie na całym świecie utrzymują między sobą łączność w pracach zarobkowych, kupieckich i interesach pieniężnych. Wzajemnie potrzebują siebie. A porozumienie między niemi ogromnie ułatwia drzewo... Bo czy telegraf i telefon mogłyby istnieć bez słupów drewnianych? A znowu czy ludzie i towary zdołaliby odbywać dalekie wędrówki, spotykając na swej drodze rzeki i morza? Drzewo pomogło im pokonać te przeszkody, dając materjał na mosty, promy i okręty. I towaru bez pomocy drzewa nie dałoby się przesyłać w dalekie strony. Ale dopiero skrzynie i beczki czynią to możliwem.

Po pracy, oczywiście, należy się ludziom rozrywka, zabawa. A znowu rozrywka i zabawa bez muzyki nie da się pomyśleć, a muzyka bez drzewa!..

Pierwsze skrzypce—instrument przecudny! Kto umie grać na nich, porywa zasłuchane dusze w świat czarowny, przepiękny!.. Przy wyliczaniu innych instrumentów nie zapomnijmy o wiolonczeli, basetli, klarnecie i flecie. A czy wolno zapomnieć o fortepianie? Nie pomińmy też fujarki pastuszej!

Tak drzewo spieszy na pomoc duszy ludzkiej, pragnącej muzyką wyrazić swoje uczucia i myśli tęskne, radosne i piękne...

Jako zabawa dość jest rozpowszechniona, ale nie wszędzie,—kręgielina. Całe urządzenie wykonane jest tylko z drzewa. A za to gimnastyka jest znana wszędzie i szczególnie przez młodzież bardzo umiłowana. I ona jednak niemal wszystkie części ma drewniane. Tak więc drzewo nie opuszcza człowieka i podczas zabawy.

Ale może jest ono mniej usłużne, kiedy człowieka nawiedzi choroba?—Gdzietam. I choremu bowiem stara się dopomódz, a nawet przynieść mu stały ratunek.

Czyżby?—Doprawdy!—Chory chce się wygrzać na słońcu,—siada na ławce! O swojej sile chodzić nie może, już ma podpórkę niezawodną w lasce. Boli go, dajmy na to, noga,—zaraz ma jedyną pomoc w kuli drewnianej. A jeśli doktór musiał mu odjąć część nogi,—znowuż ratuje go drzewo, dając podpórkę drewnianą, jako nadsztukowanie nogi amputowanej. I jeszcze na tem nie koniec, bo chory, stopniowo wracając do zdrowia, radby zjeść co smacznego, a nie szkodliwego i oto dają mu przy kawałku mięsiny kompot z owoców: jabłek, gruszek, śliwek lub wiśni.

Oto jak różnorodne pomoce najtroskliwsze podaje kochane drzewo ludziom w doli i niedoli!

A starzy jak je błogosławią, gdy przy pomocy nieodstępnego kija jeszcze dość raźno mogą odbywać nawet dłuższe podróże!

Drzewo-to, zaprawdę, przyjaciel człowieka, wierny i nieodstępny! Towarzyszy mu całe życie i nawet nie opuszcza go po śmierci, bo razem z nim idzie do grobu!.. Toć drzewo, jako trumna, obejmuje ciało zmarłego w objęcia swoje, jak gdyby matka najczulsza i wspólnie z nim wraca do ziemi!..

I na tem się nie ogranicza! Bo oto, jako krzyż, odbywa straż na mogile swego przyjaciela, ażeby wyrażać jego wiarę i nadzieję chrześcijańską, — a nadto jeszcze przy tejże mogile stoi jako drzewina i szeptem swoich gałązek i liści odmawia cicha a tęskną modlitwę, błagającą Boga dla niego o światłość wiekuistą!...

Drzewo zawsze i wszędzie jest niezbędne. Ale skąd go brać tyle, ile potrzeba?

Nieuniknione pytanie i dla nas, polaków bardzo ważne. Bo zdaje się, wśród nas mamy zadużo takich, którzy jak gdyby wcale nie rozumieją wartości lasów, mniemając błędnie, że one służyć powinny tylko na opał... Owszem, opał pochłania mnóstwo drzewa, lecz również nie mało używają go liczne fabryki i warsztaty!

Gdyby lasów zabrakło, odrazu straciłaby pracę przeogromna rzesza pracowników i nadto wszyscy ludzie odrazu byliby pozbawieni możności zaopatrywania się w niezbędne sprzęty i inne przedmioty drewniane, służące do codziennego użytku.

Zatem las jest nietylko źródłem dochodu dla jego właściciela, bo zarazem jest jedynym dostawcą materjałów drewnianych, wszystkim bez wzjątku ludziom niezbędnych!

Drzewo jest wszystkim ludziom bezwarunkowo konieczne, a przeto las stanowi bogactwo materjalne całego kraju. Jest on źródłem jedynem, skąd na kraj cały rozchodzą się rozmaite pomoce nieoszacowane dla wszystkiej ludności!

Wobec tego należałoby mniemać, że rodacy, przynajmniej światlejsi, powinni szanować lasy, nawet je powiększać;.. Niestety, zadużo mamy marnotrawców i oni niechybnie wprędce sprzedaliby swoje lasy. Aż rząd musiał ograniczyć swobodę właścicieli, ustanowiwszy prawo ochrony lasów dla dobra całego narodu!

Źle jest, gdy ludzi trzeba przymusem skłaniać do wykonywania czynów dobrych. Tem dziwniejszem wydałoby się przymuszanie ludzi do miłowania i szanowania drzewa, które jest tak nieoszacowanym ich pomocnikiem na każdym kroku!

Jeśli oni go nie miłują, to jedynie z braku rozumienia jego pożyteczności wielkiej. Zresztą drzewo jest nietylko pożyteczne, ale i bardzo piękne.

Warto zrozumieć przyrodę! Za myślą pójdzie serce. Gdy ono ukocha przyrodę, zpewnością zarazem też gorąco uwielbi Boga, jako Stwórcę czarownej i pożytecznej przyrody, w której człowiek jest królem,—a przyjacielem jego wspaniałe i niesłychanie uczynne drzewo!

Za Mickiewiczem tedy każdy rodak najsłuszniej wyznać powinien:

„Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Drzewa moje ojczyste, — **przyjaciele starzy!**"...

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 4 października 1925 r. № 40.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# DWA ANIOŁY.

Dwa anioły spotkały się w locie
Ponad ziemią wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie...
Miał wejrzenie jakby rannych zórz.

Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Łez brylantem świecił jego wzrok —
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok.... —

„Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów —
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

„Tam widziałem w ciemnej nieszczęść nocy
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój
Dwojga istot gorzki ból sieroc
Ich samotny, ciężki życia znój.

„Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą,..
I miłości owiałem je tchem..!
A z dwóch smutków, nad dawną żałobą,
Szczęście rajskim wykwitnęło snem!"

„Ja — rzekł drugi w gwiaździstej koronie —
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie..
I na zawsze koiłem ich ból

„Tam spotkałem, pomiędzy innemi,
Jedną duszę szlachetną, bez plam —
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknością dorównywał nam.

„Lecz dojrzałem, że w żywota męce
Zaczął chwiać się,... rdzy dostrzegłem ślad
I strwożony wyciągnąłem ręce,
By, padając, nie poplamił szat.

„I miłością prowadzony czystą,
Jak najciszej zbliżyłem się doń...
Zarzuciłem zasłonę gwiaździstą....
I na sercu położyłem dłoń.

„W mych objęciach on teraz bezpieczny,
Bo już władzy nie ma nad nim czas —
I zostanie w swej piękności wiecznej
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz".

**Adam Asnyk.**

# Komu? — sobie i swoim!

„Wszyscy stwierdzają, — pisze doktór Antoni Rząd, prezes Banku Spółdzielczego w Warszawie,— że urodzaj w roku 1925 należał do zupełnie dobrych. Wszyscyśmy się cieszyli, że pozwoli on otrząsnąć się z biedy rolnictwu, że przez to ruszy się przemysł, rzemiosło, handel, że całe życie gospodarcze w kraju ożywi się, utrwalając byt państwa i dobrobyt wszystkich obywateli.

„Jednak spotkał nas zawód srogi!

„Nie było w kraju ludzi, ani instytucji, którym można było sprzedać owoce całorocznej pracy, bo nikt nie miał dostatecznej ilości kapitału. Zamiast ożywienia — zastój, zamiast radości — trwoga o przyszłość państwa, które dla obywateli nie ma pracy, które dzieci swoje musi wysyłać po zarobk na obczyznę, narażając się na wyludnienie, na zalew ze strony żywiołów obcych, żywiołów wrogich.

„Zmarniał dorobek całorocznej pracy dlatego, że naród nie posiada dostatecznego kapitału.

„Otóż cały naród polski znalazł się w położeniu młodego dziedzica, któremu dotychczasowi opiekunowie (moskale, niemcy, austrjacy) zwrócili olbrzymią ojcowiznę, wynoszącą 388 tysięcy kilometrów kwadratowych, a w tem około 20 miljonów hektarów ziemi ornej, 8 miljonów hektarów lasu, 4 miljony hektarów łąk, 4 miljony hektarów innych gruntów, 2 miljony hektarów pastwisk, olbrzymie bogactwa kopalniane w postaci węgla, nafty, wosku ziemnego, rudy żelaznej, cynku, soli kuchennej i potasowej. Żyzne pola, dobry klimat, dostęp do morza, 15 tysięcy kilometrów kolei z odpowiednim taborem, bogate przedsiębiorstwa przemysłowe, zdolnych rzemieślników, pracowitych rolników, zadłużenie kraju bardzo nieznaczne — które, zdawało się, pozwolą narodowi z tej ojcowizny stworzyć raj na ziemi.

„Ale narodowi polskiemu, jako młodemu dziedzicowi, nie oddano odpowiedniej sumy gotowizny. Opiekunowie (zaborcy) pozostawili wprawdzie po sobie pieniądz papierowy w postaci papierowych rubli, papierowych koron i marek, ale złoto, które nadawało wartość pozostawionym papierkom, zabrali z sobą. Przez lata całe (podczas wojny i po niej) obracaliśmy temi papierkami, przechowywaliśmy je w swoich bankach lub prywatnie, oddawaliśmy za nie swoją pracę, swój majątek. Przez lata całe nie mogliśmy się spostrzedz, że pieniądz papierowy — to ułuda, to oszukaństwo, które prowadzi nas do powszechnej nędzy. Drogo nas kosztowało doświadczenie, ale nareszcie zrozumieliśmy konieczność zdobycia dobrego, zdrowego pieniądza i pod wpływem tego zrozumienia na miejsce bezwartościowych marek ukazał się od kwietnia 1924 roku nowy pieniądz pod nazwą złotego. Posiada on wartość stałą i jakkolwiek jeszcze dzisiaj w prawdziwem złocie nie jest wypłacony, to jednak z ufnością możemy nań spoglądać, jak na pieniądz rzetelny, pełnowartościowy zdobywający sobie poszanowanie we wszystkich krajach świata i posiadający trwałą nad sobą opiekę w postaci Banku Polskiego. Tym sposobem w gospodarce narodowej zrobiliśmy poważny krok naprzód

„Niedość jednak posiadać w gospodarstwie państwowem pieniądz dobry. Trzeba go posiadać w odpowiedniej ilości.

„Gdy spojrzymy na swoje państwo polskie, to widzimy, że posiada ono pod względem gospodarczym charakter mieszany: jest ono w przeważnej części krajem rolniczym, ale posiada już i poważnie rozwinięty przemysł. Wobec tego da się porównać tylko z krajami, posiadającemi również gospodarkę mieszaną, a więc z Francją, Niemcami, Czechosłowacją i do pewnego stopnia ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej.

„A oto niżej podana tablica mówi, jaka suma pieniędzy (przeciętnie) wypadała na jednego obywatela w różnych krajach w końcu roku 1924 po przeliczeniu na złote:

| | | |
|---|---|---|
| Austrja | 98 | złotych |
| Belgja | 263 | „ |
| Czechosłowacja | 96 | „ |
| Danja | 279 | „ |
| Holandja | 275 | „ |
| Francja | 290 | „ |
| Włochy | 100 | „ |
| Norwegja | 117 | „ |
| Rumunja | 32 | „ |
| Szwecja | 136 | „ |
| Szwajcarja | 234 | „ |
| Stany Zjednoczone | 235 | „ |

„Uwzględniając charakter naszej gospodarki mieszanej (rolniczo-przemysłowej), musimy dojść do wniosku, że i w Polsce na jednego obywatela powinnoby (przeciętnie) wypadać przynajmniej jakieś 100 złotych, a na całość państwa o ludności prawie trzydziestomiljonowej powinniśmy posiadać około 3 miljardów złotych (w obiegu).

„Tymczasem od zmartwychwstania Polski z pieniędzmi zawsze tu kuso.

„Smutne doświadczenia uczą, że musimy wytężyć wszystkie siły, abyśmy posiedli nie tylko pieniądz dobry, pieniądz pełno-wartościowy, żebyśmy do upadku jego wartości—w porównaniu z pieniędzmi innych krajów — nie dopuścili, ale żebyśmy tego kapitału obiegowego zdobyli większą ilość, odpowiadającą rozmiarom naszej gospodarki narodowej, a dochodzącą, jak powiedziałem wyżej, przynajmniej do 3-ch miljardów złotych.

„Ażeby zdać sobie sprawę z tego, jaką drogą możemy dojść do takiej sumy kapitału obiegowego, którahy wystarczyła na wszystkie nasze potrzeby, wrócimy znowu do porównania, któregośmy użyli, kiedyśmy chcieli przedstawić gospodarcze położenie ojczyzny po jej zmartwychwstaniu.

„Porównaliśmy Polskę do młodego dziedzica, ktoremu zwrócono znaczną część ojcowizny (niegdyś zagrabionej), którego jednak nie zaopatrzono w kapitał niezbędny do prowadzenia gospodarki. O ileby młody dziedzic był osobą prywatną, sąsiadującą z innemi osobami prywatnemi, należącemi do tego samego narodu, a posiadającemi kapitał, którego mu brakowało, mógłby zdobyć pieniądz albo przez sprzedanie im części odziedziczonego obszaru, albo przez odstąpienie im innych swoich posiadłości, jak np. lasu, części inwentarza i t. p.; mógłby wreszcie wypuścić dziedzictwo swoje w czasową dzierżawę, albo dopuścić sąsiadów do współgospodarowania za pewnem wynagrodzeniem w naturze (jak to mówią—„na trzeci snopek"), albo zaciągnąć pożyczkę, a naostatek, gdyby wszystkie drogi zawiodły, musiałby wytężyć wszystkie siły własne i zachęcić swoję czeladź i domowników do największego wysiłku w pracy, do największej oszczędności w nabywaniu przedmiotów, nawet niezbędnych w gospodarstwie i musiałby pracować do zapamiętania, odmawiając sobie wszystkiego, bez czego się obejść można, — dopóty, aż się zdobędzie na tyle kapitału, ile go potrzebuje na wprowadzenie ulepszeń, nowych narzędzi, poprawienie budynków, na udoskonalenie całej gospodarki. Za ten trud może kiedyś pozwolić sobie na wygody, rozrywki, a nawet i na zbytek!

„Dziedzic-naród ma przed sobą wstystkie te same środki zdobycia kapitału z wyjątkiem sprzedaży i dzierżawy. W dzierżawę, czyli w przymusową administrację to myśmy już ojczyznę niegdyś oddali i wiemy, jak się na tem wychodzi. Przez półtora wieku kraj nasz wrogowie pustoszyli, a nas, jego prawdziwych właścicieli, wszystkiemi sposobami przerabiali na swoich pachołków, lub też usuwali w obce kraje...

„A komu z rodaków może przyjść do głowy haniebna myśl sprzedaży choćby najdrobniejszej cząstki ojczyzny?

„Każdy naród może wypełnić swoje posłannictwo na ziemi i rozwinąć swoje zdolności i zalety duchowe jedynie w warunkach wolności politycznej i gospodarczej. Tylko własna ojczyzna niepodległa oszczędzi nam przykrości moralnych, da nam uniknąć upokarzającego miana bezdomnych włóczęgów, pozbawionych własnego ogniska narodowego, miana, którem tak hojnie częstowano polaka po całym świecie przez czas długiej niewoli politycznej. Tylko wolna, rządna i w dobre prawa zaopatrzona ojczyzna może uchronić naród polski od potrzeby szukania chleba po za jej granicami, ma nam dać pracę, ma nas wyżywić, odziać i ma uchronić od tułaczki dalsze pokolenia, nasze wnuki i prawnuki.

„My, naród polski, jesteśmy dziś prawemi właścicielami, gospodarzami tej ojczyzny, która stanowi zarazem naszą odzyskaną ojcowiznę. I mielibyśmy rozpocząć swoję nową gospodarkę od ustępowania komuś kawałka ziemi ojczystej? Toć to równałoby się zaprzedaniu własnej wolności, toć zasłużylibyśmy na wieczną pogardę u wszystkich narodów świata, a nikt nigdy nie podałby nam ręki, aby nas ponownie wydobyć z dobrowolnie nałożonych kajdan niewoli. Słowem — tylko wrogowie narodu polskiego poważyliby się kusić go do wyzbycia się jakiegokolwiek zakątka ziemi ojczystej.

„Jednak celem zdobycia kapitału dla gospodarki narodowej możemy stale sprzedawać te części swojego majątku narodowego, które coraz się odradzają. Na pierwszy plan wysuwają się liczne jeszcze lasy i przetwory drzewne. Dalej idą wytwory naszego rolnika, jak zboże, ziemniaki, świnie, bydło. Niektóre bogactwa kopalniane, których narazie zużytkować nie mamy możności, a których potrzebują inne narody, mogą też być źródłem kapitału gotówkowego. Mam na myśli naftę, wosk ziemny, węgiel kamienny, sól kuchenną, sole potasowe i cynk.

„Nie moja rzecz wyliczać tu wszystkie bogactwa, które mogą nam dostarczyć z biegiem czasu kapitału potrzebnego do sprawnej gospodarki narodowej. Ja pozwolę tu sobie przypomnieć tylko zasadę ogólną, która mówi, że im mniej będziemy wysyłali zagranicę tak zwanych surowców (węgiel, drzewo, zboże, bydło i t. d.), a im więcej zdołamy te surowce przerobić u siebie na towary bezpośrednio przeznaczone na zaspokojenie potrzeb ludzkich (mąka zbożowa i kartoflana, spirytus, cukier, konserwy mięsne i wędliny, terpentyna, różne gatunki smoły, zapałki, benzyna, smary, wazelina, świece), tem więcej zarobku zostanie wewnątrz kraju w rękach naszych rodaków, — tem prędzej dojdziemy do zdobycia w niezbędnej ilości pożądanego kapitału obiegowego...

„Tu jednak już wysuwają się trudności, wynikające właśnie z braku kapitału obiegowego. Na to, aby surowce módz przerabiać u siebie w kraju, w swoich fabrykach i warsztatach, zamiast wywozić je zagranicę, — potrzeba dużo gotówki, potrzeba nakładów, a na to nas nie stać!

„Nie pozostaje przeto nic innego, iak dopuścić obcą gotówkę do zysków na naszej ziemi. Zawsze to będzie lepiej, niż wywozić z kraju surowiec i wysyłać jeszcze własne siły robocze do przerobienia tego surowca zagranicą na produkty ostateczne, a potem za te produkty, zpowrotem sprowadzane do nas z zagranicy, płacić złotem, którego się dużo nie posiada i którego ilość chciałoby się w kraju znacznie powiększyć...

„Słowem, wypada uciec się do gospodarki „na trzeci snopek". Z drugiej strony, zagraniczni kapitaliści doskonale zdają sobie z tego sprawę, że każde przedsiębiorstwo, założone za ich pieniądze w naszym kraju, przyczynia się do naszego uniezależnienia gospodarczego, co nie zawsze dogadza ich widokom...

„Zapewne z czasem niechęć kapitału zagranicznego do Polski dałoby się przełamać widokami odpowiednich zysków. Wiadomo, że po skończeniu wojny, zagraniczni przemysłowcy próbowali szczęścia w naszem państwie. Kiedy jednak przyszła nieszczęsna chwiejność marki polskiej i jej ostateczny upadek, wielu z nich potraciło na naszym gruncie znaczne fundusze, podobnie, jak nasi rodacy amerykańscy, którzy zmienili swoje dolary na marki. Od tego czasu zaufanie zagranicznych ludzi do zyskow-

ności przedsiębiorstw w Polsce zostało podkopane na długi przeciąg czasu.

„Brak zaufania do stosunków w Polsce nie otwiera również widoków na pożyczki zagraniczne. Toć zazwyczaj pożyczek udziela się tylko temu, kto daje rękojmię jaknajprędszej i jaknajspokojniejszej spłaty długu. Zaś spłacić dług może ten, kto się dorabia, kto się bogaci, kto pożyczonych pieniędzy używa produkcyjnie, celowo, pożytecznie i rozumnie. I znowu nie moja rzecz oceniać tu nasze poczynania gospodarcze: czyto w zakresie przedsiębiorstw prywatnych, czy samorządowych, czy państwowych. Ośmieliłbym się tylko zaznaczyć, że nie zdobędzie zaufania u ludzi zasobnych w kapitały ten, kto nigdy otwarcie nie okaże poszanowania dla cudzych pieniędzy, kto, — przeciwnie, — na kapitał patrzy z zawiścią, a za ideał stawia sobie równość majątkową wszystkich obywateli. Możemy uczynić wszystkich nędzarzami, ale nawet w nędzy nierówności nie unikniemy.

„Pozostaje zatem dla narodu polskiego, podobnie jak dla każdej osoby prywatnej, — przynajmniej narazie — jedyna droga do zdobycia kapitału:

**praca i oszczędność.**

„Prawo do pracy i do oszczędności musimy wszyscy zapewnić sobie! Inaczej grozi nam zagłada gospodarcza i niewola polityczna!... W tej trosce naszej stanie się dla nas wrogiem każdy ten, kto nam obiecywać będzie, że więcej nad określoną ilość godzin pracować nie będziemy musieli... Oszustem będzie ten, kto nas zapewnia, że znajdzie sposoby do powstrzymania od dłuższej pracy naszych sąsiadów (niemców), którzy po przegranej wojnie w pracy usilnej i długiej szukają słusznie i korzystnie ratunku dla siebie!

„A może nie bez pożytku będzie zapamiętać, że Państwo Polskie w pierwszej połowie roku 1925 kupiło od narodów obcych za 500 miljonów złotych różnych towarów więcej, niż swoich towarów i surowców wywiozło za granicę, a robotnik polski pracuje o 168 godzin rocznie mniej, niż robotnik zachodnio-europejski i amerykański.

„Więcej pracować, więcej towarów i surowców sprzedawać obcym krajom, a natomiast mniej kupować w obcych krajach, szczególniej towarów mało pożytecznych, lub nawet zbytkowych, — oto hasło, do którego stosuje się w tej chwili również Anglja, bogaczka, władająca połową świata!... To samo hasło musi przyświecać nam, nędzarzom, dopiero rozpoczynającym organizowanie swojego ogniska państwowego, w swoim bycie zagrożonego od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.

„Trzy miljardy złotych przez własną pracę i oszczędność musimy zdobyć i mieć je w obiegu u siebie w Polsce!

„To jest zasadnicza i nieunikniona potrzeba narodu polskiego!

---

Warto nakłonić ucha swego przyjaźnie, nawet radośnie, ażeby usłyszeć najlepsze wskazówki, pochodzące od ludzi, nas miłujących!

Przytem warto ucieszyć się myślą, że jednak są wśród ludzi tacy, którzy, doprawdy, szczerze, zawsze i bezinteresownie gotowi nam usłużyć życzliwie i pożytecznie.

„**Dobra rada** częstokroć lepiej, niż grosz się nada".

Te słowa Mickiewicza sprawdzają się ustawicznie w życiu codziennem.

Jednak i to również trafia się wcale nie rzadko, że sporo ludzi macha ręką obojętnie na podawane im najżyczliwej rady dobre, a nawet pozwalają sobie drwić z nich niedorzecznie, jak gdyby opoka z ziarna zdrowego, rzuconego na nią.

Prawda, szkoda ziarna dla opoki, ale też wielka szkoda, gdy niektórzy ludzie zachowują się, jak opoka względem rad dobrych, podających im **ocalenie skuteczne!**

Odrzucają je ślepo, uparcie na swoje nieszczęście, jak tonący odpycha jedyną deskę ratunku!...

— Okropne! A jednak istotnie tak dzieje się bardzo często.

Jak oczy, gdy są słabe, nie potrafią rozeznać przedmiotów cokolwiek dalszych, — tak niejeden umysł zaniedbany, lub leniwy poprostu odrzuca prawdy najważniejsze, bo nie chce zaprzątać się niemi, ani też myśli ulegać im posłusznie.

Takiego właśnie losu najczęściej doznają dwie prawdy, najżyczliwiej podawane ludziom jako rady dobre, nawet niezmiernie korzystne:

**praca i oszczędność.**

Rozumiem, czem jest praca i oszczędność w życiu poszczególnego człowieka. Tylko im on zawdzięcza swój dobrobyt i tylko przez nie staje się on nie ciężarem, lecz błogosławionym współpracownikiem dla dobra swego społeczeństwa.

Godzi się przeto zapytać: dlaczego wszyscy ludzie nie jednakowo czczą te prawdy i niejednakowo stosują się do nich?

Na to pospolicie taką można usłyszeć odpowiedź:

— A bo ludzie mają niejednakowy rozum i niejednakową wolę.

Skąd pochodzą te różnice, nieraz nawet ogromne?

I znowuż daje świat wyjaśnienie takie:

— Jednym natura odmówiła talentów, a inni źle lub niedbale zostali wychowani.

Zdaje się atoli, że jedynie to ostatnie wyjaśnienie wypadnie uznać za słuszne. Bo chyba tylko idjoci są niezdolni do zrozumienia niezbędności pracy i oszczędności.

Praca i oszczędność tak są zespolone z sobą, jak dwoje bliźniąt. Jedno bez drugiego jest tak niezupełne, jak pień żywego drzewa bez gałęzi, albo żywe gałęzie bez liści.

Bo co warta praca bez oszczędności? Albo czy możliwa jest oszczędność bez pracy?

Ale zarówno talent do pracy, jak i talent do oszczędności nie pływają jako dary gotowe po oceanie życia ludzkiego i kto je przyciągnie bosakiem do siebie, ten je posiądzie na własność, przyswoi sobie i chlubnie już całe życie niemi wyróżniać się będzie wśród ludzi.

Niestety, tak się dziać nie może, bo praca i oszczędność — nie są gołąbki gotowe, a więc same nie wpadną do gębki ludzkiej!

Owszem, zdolności do pracy i do oszczędności tkwią w naturze każdego człowieka, ale utajone głęboko, lub nawet jak gdyby przysypane wieloma popędami, przeciwnemi tym zdolnościom...

U jednego człowieka same one, bez niczyjego starania. wydobywają się na wierzch i działają wspaniale. A u innego trzeba je dopiero wydobywać pomału i pielęgnować nadzwyczaj starannie i umiejętnie.

Oczywiście, w tak niesłychanie ważnej sprawie nie godzi się liczyć na przypadek, albowiem każdy człowiek bez wyjątku **musi być** pracowity i oszczędny!

Więc nie czekając aż same zdolności wydobędą się na wierzch, musi czujne wychowanie rozpocząć swoje działanie od lat najwcześniejszych.

O potrzebie wypielęgnowania cnoty pracowitości nawet w dziecku, nikt nie będzie wiódł sporów, bo chyba wszyscy bez wyjątku zgadzają się na tę potrzebę. Za to o rozwijaniu cnoty oszczędności zdania są różne i sprzeczne, ale czy słusznie?

Toć jedno jest zdanie powszechne, że każdy człowiek dorosły powinien być oszczędny. Zapytajmy wszakże: od którego roku życia obowiązuje oszczędność?

Takiem zaskoczeni pytaniem już innej odpowiedzi dać nie możemy, jak tylko tę, że przecie **zawsze nawet dziecko powinno** być oszczędne.

Jeśli i ono powinno, to znak niezawodny, że i w dziecku trzeba zawczasu wypielęgnować cnotę oszczędności.

Ale w jaki sposób: teoretycznie, czy praktycznie?

Co to znaczy: teoretycznie? A no z książeczki.

Jak uczyć oszczędności z książeczki?

Chyba jedynie wierszykami, opowiastkami i bajkami. — Ale czy w taki sposób zdołamy w dziecku wypielęgnować cnotę oszczędności? Nie! Jedno tylko tak się uda nam osiągnąć: przyzwyczaimy dziecko do chwalenia oszczędności!

Takie przyzwyczajenie ma zbyt małą wartość moralną i materjalną, czyli ekonomiczną.

Owszem, takie przyzwyczajenie do powierzchownego chwalenia cnoty oszczędności jest nawet szkodliwe, bo wszczepia łatwe złudzenie: toć ten, kto chwali oszczędność, zaczyna mniemać, że już sam odtąd posiada w sobie gotową cnotę oszczędności. Swoją pochwałę oszczędności utożsamia z nabyciem cnoty oszczędności.

Atoli w praktycznem życiu codziennem sama pochwała całkiem różni się od cnoty oszczędności. Właśnie dzieje się tak najczęściej, że ten, który słowami potrafi najpiękniej mówić o oszczędności, sam w postępowaniu swojem nie potrafi być oszczędny!

Podobno dużo ludzi, otrzymawszy powierzchowne wychowanie domowe i szkolne, zostało wdrożonych **tylko do chwalenia** cnót wielu i wskutek tego uroili sobie, że już są pełni wszelkiej doskonałości: bo przecież **chwalą cnoty!**

Niestety, twarda rzeczywistość drwi sobie z ich powierzchownej doskonałości i ustawicznie naraża na mnóstwo zawodów, udręczeń i klęsk... Tacy bowiem częstokroć bywają do niczego, partaczą swoje obowiązki, doznają zasłużonych niepowodzeń, strat i wreszcie — ruiny! Ale w końcu zamiast siebie tylko obwiniać (i swoich wychowawców), upokorzyć się, uderzyć w piersi i zabrać się do poprawy,—oni jeszcze jednego więcej dopuszczają się głupstwa, bo złorzeczą na świat, ludzi i nawet na Boga! Wszyscy jakoby względem nich zawinili, tylko nie oni!.. Czują się bardzo obrażeni za to, że nikt się nie poznał na ich zdolnościach do... chwalenia cnot wszelkich...

A gdy ktokolwiek odważy się wytknąć im ich niedorzeczne, lub filutowe złudzenia i jakoby cnoty, lecz podobne raczej do uschniętych gałązek, wetkniętych w piasek, — odpowiadają gniewem, narzekaniem i wreszcie tak się tłumaczą:

— Kto przewidywał, że tak będzie?

Czy tylko jedną popełnili omyłkę, że nie przewidywali niepowodzenia? — Bynajmniej! — Brakowało im logiki, bo nigdy nie mieli dla swego życia planu.

Żyli bez planu, oczekiwali pomyślnego żniwa bez siejby, — powodzenia bez pracy, — majątku bez oszczędności, — nagrody bez zasługi!...

Czy takim w życiu powodzić się może? — Owszem, może, lecz tylko dzięki ślepemu trafowi. A na traf ślepy mogą rachować tylko ci, których od wczesnego dziecięctwa wdrażano bajeczkami, opowiastkami i wierszykami tylko do chwalenia cnót pięknych...

Owszem, chwalić je trzeba, bo przecież godzi się chwalić to wszystko, co piękne i dobre, lecz chwalić na to, żeby tembardziej zobowiązać siebie do wypielęgnowania w sobie wzystkich cnót niezbędnych, które powinny zdobić umysł i serce, charakter i wolę!

Wymagań życia nikt nie zadowoli tylko słowami, choćby najpiękniejszemi!...

**Musi** człowiek tym wymaganiom zadosćuczynić **prawdą i pracą,** więc **musi** dostosować do nich **prawdziwe zalety** swoje moralne i ekomiczne; nadto musi zakasać rękawy do pracy i — rachować się z groszem swoim podług własnych planów, któremi ogarnął sam całe życie swoje!

Otóż stwierdzamy niezbędność planu, obejmującego całe życie człowieka.

Plan ten, oczywiście, tylko sam sobie każdy człowiek nakreśla. A im wcześniej to uczyni, tem lepszą wyrządza sobie przysługę.

Odrazu wszelakoż musi w tym planie wysunąć się na czoło cel główny, czyli ideał przewodni—i również odrazu muszą być upatrzone i użyte środki odpowiednie, stale ułatwiające człowiekowi urzeczywistnienie celu, górującego w planie życia!...

Takiemi środkami są między innemi:

**praca i oszczędność.**

O, tak, praca i oszczędność same nigdy niepowinny być dla człowieka celem, jeno tylko środkami, wiodącemi go do celu upatrzonego i **umiłowanego...**

Jaka wartość moralna celu, taka też jest war-

tość moralna pracy i oszczędności. Nie każda praca, nawet bardzo pożyteczna, przynosi zaszczyt pracownikowi.

I podobnież nie każdą oszczędnością może pochwalić się oszczędny.

Toć gdy robotnik pracuje wprawdzie pożytecznie i fachowo biegle, nawet znakomicie, lecz żywi do swej pracy nienawiść, przeklina ją,... patrzymy na niego narazie z ubolewaniem, a potem i... z odrazą...

On nie kocha pracy: bo nie miłuje celu dobrego, który ściśle powinien łączyć się z każdą pracą człowieka....

I znowu ktoś jest bardzo oszczędny, gromadzi pieniądze zaradnie, znać po nim, że lubi tę swoję oszczędność, chwali ją, często myśli o niej i raduje się rosnącemi kapitałami swemi, — a jednak ogół jakoś spogląda na onego oszczędnickiego dość zimno i nawet niekiedy wyraża się o nim cierpko.

Jakąż pretensję ma ogół do niego? O co mu chodzi? Alboż źle czyni, że oszczędza, że przysparza gotówki, tak pożądanej dla kas pożyczkowych?

— Owszem, dobrze, — odpowiada ogół—niech oszczędza, ale niechże nie kocha pieniędzy, niech ukocha pewne cele dobre, szlachetne, piękne i dla ich urzeczywistnienia ciuła fundusze!

Kochamy strzechę rodzinną, kochamy ławę szkolną, drogie są nam okolice, w których ubiegały nam anielskie lata dziecięce, — słowem, przywiązujemy się serdecznie do tych wszystkich ludzi i przedmiotów, które mają ścisły związek z drogiemi nam osobami, z umiłowanemi czynnościami i z dążeniami naszemi...

Jest przysłowie, które tak mówi: „przyjaciel naszego przyjaciela staje się naszym przyjacielem".

To jest nam zawsze miłe, co ułatwia nam osiągnięcie ukochanego celu.

„Naprzód ukochaj cel, a potem czyń".

Tak mówi do człowieka wogóle doświadczenie życiowe.

Gdy syn kocha ojca, napewno też stopniowo polubi naukę, żeby sprawić mu radość swojemi postępami w nauce.

Do studni droga nigdy się nie uprzykrzy.

Nie mówmy tylko ani sobie, ani innym: „pracuj i oszczędzaj", lecz za to rozżarzmy w sercu każdem gorącą, poprostu namiętną miłość ojczyzny, narodu, ludzi, rodziny, spraw dobrych i pięknych, — a wtedy napewno z zapałem, najżarliwiej oddamy się pracy mrówczej i oszczędności chwalebnej.

Leniuch i marnotrawca zawsze odznaczają się sercem tępem, samolubnem,

Któryż ojciec wstaje najraniej? Czy najpracowitszy?—A skąd w nim ochota do pracy? Tajemnicę rozwiążemy, poznawszy jego wielką czułość dla swoich dzieci drobnych, które radby nasycić, okryć i oświecić...

Ubogi uczeń zapracowywał się swemi lekcjami i dawaniem korepetycji, a grosze zarobione ciułał skrzętnie, bo całą duszę jego opanował żar nauki i planu, który sobie usnuł pocichu, a wytknął w nim cel jeden:—zczasem stać się mężem pożytecznym dla swego narodu. Oto przekonał się radośnie, że ma wielką życzliwość dla swoich rodaków, że chce ich podnieść, uszczęśliwić swojemi usługami pożytecznemi...

Ogień gotuje, więc zimną wodę w war zamienia, tak tylko zapał pracuje, mozoli się i gromadzi środki niezbędne.

I właśnie tylko po to woła Mickiewicz:

„Bez serca, bez ducha — to szkieletów ludy!
**Zapał tworzy cudy!"...**

Bez zapału, a więc bez miłości—będą tylko samoluby, sobki, leniuchy i marnotrawcy.

**„Miłość ogniem zionie".**

Miłość nie zna przeszkód, nie lęka się mozołów, gotowa na wszelkie ofiary — byle celu swego dopiąć.

Najszacowniejsze zadanie ludzkie: to w pięknem sercu ludzkiem rozniecić ukochanie spraw dobrych i świętych, nauczyć je kochać mocno i wiernie to wszystko, co godne kochania, a nadewszystko Boga, ojczyznę i naród własny,—kochać tak, żeby dla Nich pracować mozolnie i ofiarnie!

Jak o największą łaskę trzeba prosić ludzi starszych, by nauczyli swe dzieci ukochać sprawy dobre!

Mój Boże, ciągle daje się słyszeć upomnienia i zachętę: „szanuj zdrowie, ucz się, pracuj, oszczędzaj, bo inaczej zmarniejesz, zje cię bieda, nie dochrapiesz się niczego",—a potem dziwią się ludziska, czemu na świecie mamy tylu próżniaków, oszustów, sobków, dbających jedynie o siebie.

Jaki posiew — taki plon

Owszem, zdrowie własne—to skarb wielki; trzeba też pracować i oszczędzać **dla siebie.** Ale jeśli zalecamy dbać **tylko o siebie**, — to czy potem dziwnem stanie się dla nas, gdy samolub w pracy swojej i w oszczędności swojej **tylko sobie służyć zechce?** Toć dziś mamy coraz rosnącą liczbę takich, którzy o jedno tylko się troszczą, by się zbytnio swoją pracą nie utrudzili, a więc nie patrzą na potrzeby swego narodu, wymagające od rodaków więcej godzin pracy, — a oszczędności swe wolą oddawać żydom na procenty lichwiarskie, lub umieszczać je w zagranicznych bankach.

Samolub nawet bardzo pracowity i bardzo oszczędny może być dla swego narodu nie tylko mało pożyteczny, ale nawet stać się niebezpiecznym.

Przeto praca i oszczędność—to broń obosieczna, może uzdrowić,—ale też może i zabić.

Zależy to jedynie od charakteru, a osobliwie od serca tej osoby, która tą bronią włada.

Zawsze tedy wracamy do prawdy naczelnej, o której nigdy nie należy zapominać, że

praca i oszczędność to są tylko narzędzia!

Trzeba więc **odpowiednio** wychować człowieka, ażeby umiał swoją pracowitością i oszczędnością usłużyć dobrze nietylko sobie, ale i swemu narodowi!

A co głównie trzeba w nim wypielęgnować, by stał się zdolnym i skłonnym do takiej usługi? Czy tylko rozum i wolę?

Owszem, powinien mieć wiele nauki, wolę mo-

cną, charakter piekny, ale nadewszystko serce gorące, gotowe ukochać Boga i naród własny!

Bo tylko **„zapał tworzy cudy“**.

A zapał piękny pochodzi jedynie z serca szlachetnego, miłującego **swoich!**

Głównie do swego serca dobrego trzeba dostroić własny plan na życie całe.

W planie człowiek raz na zawsze wyznacza sobie najważniejsze zadania swoje:

ustawicznie doskonalić serce własne,

czcić Boga nadewszystko,

wypielęgnować w sobie szczerą, ale i uczynną miłość ojczyzny i narodu,

uczyć się całe życie,

pracować zawsze pożytecznie,

nieszczęśliwym pomagać,

nigdy nikogo nie pokrzywdzić,

o sprawach najważniejszych mieć zdanie własne,

brzydzić się fałszem,

surowym być dla siebie, wyrozumiałym dla ludzi,

litościwym dla zwierząt,

czułym na piękno przyrody,

grzecznym dla wszystkich,

w nieszczęściu bardzo cierpliwym,

umieć milczeć,

umieć sprawiedliwie i szlachetnie gniewać się na każdą lichotę i niedorzeczność,

wreszcie zawsze zgodnie z własnem sumieniem spełniać swoję powinność i gorąco prosić Boga o moc do wiernego wypełnienia każdej obietnicy dobrej...

Jedna nuta góruje w całym tym planie, a jest nią:

**dobro.**

Ono jest jak gwiazda-ideał, myśl przewodnia!

Lecz dobro nie twoje jedynie, rodaku, ani też dobro ludzi obcych, jeno nadewszystko

**dobro całego narodu naszego!**

Bo wszakże każdy z nas ma, po Bogu, najwięcej do zawdzięczenia narodowi swemu, gdyż tylko on utrzymuje kościół i szkoły, nauki pielęgnuje, bezpieczęstwo i sprawiedliwość wszystkim zapewnia, prawdy i porządku broni, a ojczyznę czci i zasłania przed wrogami!

Dobrze jest plan taki nakreślić sobie jak najwcześniej w latach młodzieńczych.

I, zaprawdę, szczęśliwy ten młodzieniec, który, będąc w przyjaznych warunkach, zdoła **samodzielnie** zawczasu ułożyć sobie plan taki i ciągle doskonaląc własny charakter, a zwłaszcza serce, potrafi **uczciwie i mądrze** stosować się do niego całe życie swoje!

A jakież wobec tego planu ma znaczenie praca i oszczędność?

Duże, bo rodak pracowity i oszczędny nie może być dla narodu cieżarem, lecz, owszem, przeciwnie, jest mu bardzo pomocny. Im umiejętniej i usilniej pracuje, tem więcej przysparza narodowi swemu pożytku, — a znowu im większe i właściwe czyni oszczędności, tem pokaźniejsze świadczy usługi przy pomocy kasy pożyczkowej swoim rodakom pracowitym i przedsiębiorczym, co także narodowi na dobre wychodzi.

Zatem pracowitość i oszczędność to są zalety bardzo cenione przez naród cały. Rodzice więc i nauczyciele powinni je bardzo starannie wypielęgnować w każdem dziecku.

Im wcześniej to uczynią, tem lepiej.

Pomagając dzieciom w układaniu planu na całe życie, rodzice i nauczyciele będą im wyjaśniali dość często, jak doniosłe znaczenie mają te dwie ważne zalety: pracowitość i oszczędność.

I jedną i drugą zaletę dom rodzinny łatwiej zdoła wszczepiać w dziecko swoje, bo ma do tego sposobność niemal na każdym kroku.

A szkole czy trudniej o to samo? — Narazie tak, ale tylko narazie. Bo, zdaje się, naród sam wprędce upomni się oto, by szkoła polska przygotowywała dziecko do życia.

Życie zaś codzienne wymaga od każdego człowieka, by umiał nie tylko czytać, pisać, rachować i rysować, lecz także pracować i oszczędzać, kochać Boga i ludzi, służyć im zarówno pięknemi słowami, jak również i uczynkami pożytecznemi.

A najpewniej potrafią czynić to stale i doskonale te dzieci, które były długo i pilnie przez dom rodzinny, a umiejętnie przez szkołę wdrażane do tego.

Niestety, rodzice niektórzy zbyt mało troszczą się o lepsze przygotowanie swych dzieci do życia dalszego. Lecz za to szkoła nie powinna dopuszczać się takiego niedbalstwa!

Owszem, trzeba obudzić w dziecku umysł, nauczyć je myśleć i wyrażać się pięknie, uzbroić je w książkową naukę niezbędną, — ale, doprawdy, niechże nadto szkoła pilnie wsłucha się w głos życia ludzi starszych, którzy, nauczeni własnem doświadczeniem gorzkiem, użalają się może tylko pocichu, że szkoła nie wypielęgnowała w nich zalet zawsze **bardzo potrzebnych w ciągu całego życia!**

Niech przynajmniej szkoła da narodowi to właśnie, co obecnie on potrzebuje do zapewnienia sobie bytu bezpiecznego i pomyślnego.

Dziś dość często u nas daje się zauważyć lenistwo i marnotrawstwo. Skąd one pochodzą? Czy z ciemnoty? A może z namowy złych ludzi, nienawidzących Polski?—Śmiem dostrzegać inne przyczyny. Bo przecież lenistwem i marnotrawstwem nie dopiero dzisiaj grzeszymy. I dawniej trapiły one nie tylko ciemnych, ale i światłych, nawet światlejszych, bo wielu dziedziców, kupców, rzemieślników wieśniaków i mieszczan.

Bodaj dwie te wady nazwać trzeba jeszcze narodowemi...

Chcąc je wykorzenić gruntownie, a na ich miejsce zaszczepić dwie zalety pierwszorzędne: pracowitość i oszczędność, nauczmy wszystkie dzieci pracy i oszczędności, — i w tym celu urządźmy przy każdej szkole powszechnej

**warsztat i kasę oszczędności.**

W warsztacie szkolnym dzieci pod nadzorem specjalnego nauczyciela w odpowiednich godzinach zapoznawać się będą z różnemi narzędziami pracy, nabędą poszanowania pracy, pomału rozpoznają swoje upodobanie do pewnego rzemiosła, gruntownie

zrozumieją znaczenie pracy w życiu narodu i wreszcie rozbudzi się w nich ukochanie mozołu i pociąg do niego.

Takie warsztaty szkolne — to nie nowość. Już Stany Zjednoczone Ameryki Północnej posługują się niemi. Koszt nieznaczny, a pożytek wielki.

Szkolne zaś kasy oszczędności już w wielu krajach są utrzymywane i wszędzie tam ogół jest z nich zadowolony.

Narazie zpewnością niejednemu ojcu wyda się kasa oszczędności przy szkole bardzo niebezpieczną, bo skądże dziecko będzie czerpało pieniądze dla złożenia ich w kasie szkolnej? Chyba stanie się ona kusicielką do... okradania rodziców?

Już takie i tym podobne zarzuty różni czynili kasie szkolnej przed laty, kiedy ona dopiero zaczęła istnieć w Belgji i u nas, w Poznańskiem. Widocznie zarzuty okazały się dość kruche, bo upadły, a kasy szkolne rozwijają się pomyślnie i nawet szybko przyjęłyby się wszędzie, gdyby nie... brak ludzi chętnych do zarządzania niemi.

To jednak należy nadmienić, że istotnie prowadzenie kasy szkolnej jest bardzo trudne. Kierownik jej musi być niezmiernie czujny; baczny na wszystko, pomagać dzieciom w składaniu prawdziwych oszczędności i zarazem wychowywać dzieci moralnie, a głównie pielęgnować w nich cnotę oszczędności, jako dobrą towarzyszkę cnót innych i współpracowniczkę ich niezbędną.

Dziecko, składające oszczędności, musi mocne posiąść przeświadczenie o tem, że cnota oszczędności jest potrzebna każdemu człowiekowi, — że trudniej stać się oszczędnym w wieku starszym, kiedy uderzają na człowieka liczne, a silne namowy do czynienia wydatków zbytecznych. Dziecku łatwiej przychodzi odłożyć swój grosik, bo wprawdzie musi odmówić sobie cukierka, lub zabawki, ale za to już doznaje zadowolenia podwójnego, bo nawyka do panowania nad sobą i zdobywa **przyzwyczajenie** do robienia oszczędności, które zpewnością w dalszych latach ustrzeże je od wielu strat i nałogów nieszczęsnych.

Niezawodnie bardzo dużo osób nie wpadłoby w nałóg pijaństwa, gdyby od dziecięctwa swego nauczyło się wnosić do kasy swoje oszczędności. Najczęściej przecież do pijaństwa wciąga zła kompanijka. Oszczędny nie da się jej skusić, żal mu będzie grosza na trunki, to raz, a powtóre, jako mający silniejszą wolę, potrafi wręcz odmówić, oświadczając śmiało, że szkoda mu czas tracić w knajpie przy kuflu i kieliszku. Istotnie, wczesne wdrażanie dziecka do składania oszczędności, umacnia w niem wolę, uzdalnia do sprzeciwiania się złym namowom.

Zapewne też często zarządzający kasą szkolną opowiadać będzie dzieciom wypadki stosowne, a prawdziwe, których życie codzienne dostarcza mnóstwo.

Oto bardzo niedawno, bo 29 września r. b. „Kurjer Warszawski“ podał taką wiadomość smutną: „Blacharz z gazowni w Warszawie, Stefan Rudnicki, młody, bo mający dopiero lat 27, po powrocie z hulanki do domu, będąc pijany, rzekł do żony: „Wszystką forsę przepiłem, a teraz koniec ze mną“. Przy tych słowach Rudnicki schwycił butelkę z kwasem solnym i wypił pewną dozę. Desperata w stanie ciężkim przewiozło Pogotowie do szpitala miejscowego“. Czy odzyska zdrowie?—narazie trudno przewidzieć, ale choćby nawet wykpił się od śmierci, to prawie zgóry rzec można, że znowu nieszczęsny nałóg weźmie górę nad nim. A jednak człowiek oszczędny, zwłaszcza od dziecięctwa swego do oszczędzania przyzwyczajony, niewątpliwie takiej zbrodni nie popełni: po wypłacie bowiem zaniesie część zarobku raczej do kasy oszczędności, aniżeli do knajpy!

O takich wypadkach i porównaniach dzieci szkolne wiedzieć powinny.

W innym czasie, nieco dawniej, bo 18 lipca r. b. „Kurjer Warszawski“ ogłosił piękny czyn zbiorowy Związku polskiego nauczycielstwa szkół powszechnych w Warszawie. Oto nauczyciele, należący do tego Związku, dobrowolnie postanowili dla siebie zbudować w Zakopanem szpital na 200 chorych. Na budynek ten wypadnie wydać dużo pieniędzy. Nauczyciele składają ochoczo 1 procent od swojej pensji miesięcznej i już w ciągu 19 miesięcy złożyli na ten cel miljon złotych. Jeszcze kilka miesięcy wpłacać będą, a na dzień 3 listopada spodziewają się całkowicie szpital wykończyć i po poświęceniu oddać do użytku.

Tak piękne i niezbędne dzieło dla dobra chorych nauczycieli stworzyła zbiorowa oszczędność.

Nigdy nie godzi się lekceważyć grosza. Bo grosz — to olbrzymia potęga. Toć największe sumy składają się z groszy.

„Polska — pisze Struszkiewicz—liczy 29 miljonów mieszkańców. Gdyby z tej liczby tylko 20 miljonów osób oszczędzilo rocznie po jednym złotym (a więc tygodniowo po dwa grosze) zebrałby się w ciągu roku kapitał 20 miljonów złotych“

Ileż za to rok rocznie rodacy małym wysiłkiem, drobną oszczędnością, zdołaliby tworzyć dzieł pięknych i pożytecznych!

A komu?—sobie i swoim!

---

Tylko prawdą a pracą naród żyje i dźwiga się; kłamstwo jak opjum truje i usypia. Służmy krajowi, jak kto może, ale pamiętajmy, że skargi lub bezczynne oczekiwania służbą nie są; że jak całego narodu, tak każdego z nas w jego powinności żadna pomoc obca wyręczyć nie może.

Ksiądz Walery Kalinka.

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 11 października 1925 r. № 41.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# Uroczystość w Gnieznie.

Dnia 12 września r. b. Gniezno, prastary gród polski, urządziło u siebie uroczystość niezwykłą: poświęcenie kamienia węgielnego pod pomnik króla Bolesława Chrobrego — i zarazem wystawę rolniczo - przemysłową. Na tę uroczystość przybył Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisław Wojciechowski, z licznym orszakiem starszyzny krajowej.

Rano o 9-ej minut 45 przyjechał Pan Prezydent i zaraz udał się do katedry na nabożeństwo. W katedrze P. Prezydent zajął miejsce opodal wielkiego ołtarza, w prezbiterjum zaś zasiedli najdostojniejsi biskupi: Łukomski, Przeździecki i Plunder. Nabożeństwo celebrował J. Eks. ks. biskup Laubitz. Natchnione kazanie wygłosił ks. kanonik Lisiecki.

Po nabożeństwie udał się P. Prezydent na plac Katedralny, gdzie wznosi się olbrzymich rozmiarów model pomnika Bolesława Chrobrego. U stóp modelu ustawiły się delegacje stowarzyszeń, bractw, powstańców, weteranów i t. d. Sztandary utworzyły zwarty czworobok. Plac i przyległe ulice wypełniły tłumy publiczności. J. Eks. ks. biskup Laubitz wygłosił piękne przemówienie, w którem przedstawił znaczenie Gniezna i ka-

tedry gnieźnieńskiej, jako strażnicy relikwji narodowych. Naród polski spłaca dziś królowi Chrobremu dług wdzięczności i składa mu hołd, bo jest uosobieniem cnót i bohaterstwa.

W zakończeniu J. Eks. ks. Biskup zaznaczył, że dla krótkości czasu nie można było wykończyć pomnika — i wskutek tego odbędzie się dzisiaj tylko położenie kamienia węgielnego, prosił przytem P. Prezydenta, aby zechciał położyć swój podpis na akcie budowy pomnika. Następnie J. Eks. ks. biskup Laubitz wręczył Panu Prezydentowi we wspaniałym futerale medal, wybity na pamiątkę dzisiejszej uroczystości. P. Prezydent obejrzał model pomnika, interesował się jego szczegółami i podpisał akt budowy, który został głośno odczytany. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem hymnu „Boże, coś Polskę".

Po tej uroczystości P. Prezydent, chwilę odpocząwszy w gościnie u prezydenta miasta Gniezna, Barciszewszkiego, — już o pół do pierwszej w południe udał się w licznem towarzystwie ministrów, jenerałów i wyższych urzędników na plac wystawy, gdzie przy bramie ozdobnej stanął i, przecinając wstęgę, zagradzającą drogę, wyrzekł te słowa: „otwieram wystawę rolniczo-przemysłową w Gnieźnie".

Po zwiedzeniu wystawy Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zaprowadzony został na śniadanie, wydane na cześć jego przez miasto Gniezno. Śniadanie odbyło się w wielkiej sali hotelu Europejskiego. Do stołu zasiadło dwieście osób, wśród których byli księża biskupi, ministrowie, wojskowi, wyżsi urzędnicy i inni zaproszeni goście.

Pierwsze miejsce przy stole zajął Pan Prezydent. W końcu śniadania krótko przemówił prezydent miasta, Barciszewski, i wzniósł okrzyk na cześć Głowy Państwa. Okrzyk ten cała sala z zapałem powtórzyła trzykrotnie. Wreszcie wśród powszechnego skupienia i ciszy zabrał głos Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i taką do obecnych wygłosił mowę:

„Zapraszając mnie w marcu r. b. mówiliście, że Gniezno, legendarny gród Lecha, z okazji dziewięćsetnej rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego, chce pokazać swoje wartości gospodarcze i organizacyjne, stwierdzające wielką żywotność narodu polskiego. Przez długie lata żyliście w niewoli; zaborca z wielkim nakładem pracy i środków starał się przerobić was na prusaków, a nasyłaniem kolonistów swoich zmienić charakter tej ziemi. Jeszcze 20 lat temu król pruski, podniecony licznem przybyciem kolonistów swoich, na rynku gnieźnieńskim głosił światu, że Gniezno jest miastem pruskim, chwalił niemczyznę, jako niosącą każdemu kulturę i wolność, a równocześnie przestrzegał polaków przed poddawaniem się wyobraźni i wspomnieniom historycznym. I oto teraz wspomnienia mówią, jak zawodny był tutaj triumf niemczyzny, torującej sobie drogę katowaniem dzieci polskich i rugowaniem odwiecznych gospodarzy tej ziemi. Wreszcie staliście na straży tej kolebki naszej wiary i państwowości, nie daliście zaleconemu wam rozsądkowi działać wbrew sercu, a z chwilą odzyskania niepodległości ze zdwojoną energją wzięliście się do pracy dla zapełnienia luk, wytworzonych przez zaborców. Za to przedewszystkiem wam dziękuję. Świadczyliście i świadczycie, że żadna przemoc i przebiegłość nie jest w stanie złamać narodu polskiego.

„Po odzyskaniu niepodległości głównym obowiązkiem naszym jest dobre zorganizowanie i zagospodarowanie własnego państwa. Dlatego z radością jak w Grudziądzu, tak i tutaj witam owoce waszej pracy w tym kierunku. Widzę, że przykładacie dużo starań dla rozwoju przemysłu, wiele warsztatów i fabryk datuje swoje powstanie od czasu odzyskania niepodległości. W ten sposób znika narzucona przez zaborcę jednostronność gospodarcza, według której ziemia ta miała być spichlerzem dla Niemiec, a produkty przemysłowe sprowadzać z Niemiec. Rozumiecie, że niezależność polityczna musi być wsparta niezależnością gospodarczą. Musimy w coraz większym stopniu zaspakajać swoje potrzeby wytworami własnej pracy i wyzbywać się przyzwyczajeń do cudzoziemczyzny. Wiele jest jeszcze do zrobienia, ażeby rzeczywistość odpowiadała w całości naszym wymaganiom, ale widzę w was wszystkich ambicje twórcze, wiarę w swoje siły, w genjusz narodu polskiego i to utrwala mnie w przekonaniu, że przekażemy Polskę potomnym w pełni rozkwitu i tak silną, że nikt nie będzie śmiał naruszać jej dobra i granic!".

Po przemówieniu Pana Prezydenta orkiestra wojskowa zaintonowała hymn narodowy.

W całem mieście Gnieźnie panował nastój niesłychanie uroczysty. Publiczność gromadziła się tłumnie na ulicach, któremi przejeżdżał Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Wszędzie witano Go okrzykami „Niech żyje". A gdy odjeżdżał tegoż dnia do Poznania, na placu przed dworcem zebrały się liczne stowarzyszenia ze sztandarami, oraz niezliczony zastęp mieszkańców miasta i okolicy.

Gdy pociąg, wiozący Pana Prezydenta, ruszy z dworca gnieźneńskiego w kierunku Poznania o godzinie pół do czwartej po południu, kompanja honorowa sprezentowała broń, orkiestra zagrała hymn narodowy, a zgromadzone tłumy pożegnały Go głośno i serdecznie!

Nazajutrz w Poznaniu Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisław Wojciechowski, w wielkiej sali uniwersytetu miejscowego przemówił do licznie zgromadzonych rzemieślników:

„Cieszę się, — słowa Pana Prezydenta — że tak wiele młodzieży poświęca się u was rzemiosłu. Wielką wagę przywiązuję do tego, nietylko ze względu na dalszy rozwój gospodarczy tej dzielnicy, lecz także ze względu na potrzeby innych dzielnic, w których rzemiosło zostało znacznie zaniedbane, a które cierpią przedewszystkiem na brak pracowników, tak przygotowanych, jak wy to tutaj czynicie. Oczekuję przeto od was rozsyłania udoskonalonych rzemieślników do innych dzielnic Polski. Macie bowiem znaczną ilość rzemieślników, którym tutaj może zabraknąć pracy. Zapraszam was do innych dzielnic

polskich. Sądzę, że w najbliższych latach staniemy się gospodarczo tak mocni, iż tych pracowników, których planowo będziemy wprowadzali do innych dzielnic, będziemy mogli zaopatrzyć w odpowiednie kredyty.

„To są zamiary na przyszłość. I tak, jak wiele naszych planów na przyszłość już się urzeczywistniło, nie wątpię, że i te się urzeczywistnią.

„Na podstawie własnych doświadczen proszę was, abyście nigdy nie tracili dobrej nadziei, wiary w powodzenie. Już niejednokrotnie chory jakoby tak ciężko, że skazany był na śmierć, żył potem długie lata. Przypominam sobie ten okres młodzieńczy, kiedy powtarzałem za innemi, że dla rzemiosł nadchodzi koniec. Teraz z zadowoleniem stwierdzam, że tak bynajmniej nie jest, a rozwój przemysłu nie jest dla rzemiosł zabójczy. Najważniejszą rzeczą jest dobra organizacja i praca. Dlatego zachęcam was do jaknajstaranniejszego wychowania młodzieży rzemieślniczej. Rzemiosło stoi najbliżej rolnictwa. Rzemiosło i rolnictwo — co potwierdzi p. minister skarbu — najmniej sprawiają trudności dla skarbu polskiego. Żegnam was. W górę czoła, — cześć rzemiosłu!".

Następnie Pan Prezydent udał się na ucztę i tam do licznie zebranej publiczności tak przemówił:

„Na zebraniu waszej Izby rzemieślnicze wyraziłem, co myślę o znaczeniu rzemiosła. Mogę was zapewnić, że w miarę wzmagania się skarbu państwa wasze pragnienia będą zaspokojone. A ja będę orędownikiem waszym. Teraz chciałbym razem z wami zastanowić się nad tym momentem dziejowym, jaki obecne pokolenie przeżywa.

„We wspomnieniach naszych o Bolesławie Chrobrym jest dużo tęsknoty do siły. Jak on, dzięki swojej sile i genjuszowi, budował państwo polskie, uniezależniając je przedewszystkiem od obcych i umacniając od zachodu, tak teraz my, aczkolwiek nie jesteśmy w okresie walki zbrojnej, tęsknimy do jego siły, pragniemy wytworzenia jaknajwiększej siły dla poparcia naszej niezależności politycznej niezależnością gospodarczą. Walka ta dla przyszłości Polski jest niemniej ważna, niż te, które przeżywaliśmy kilka lat temu. W tej walce najważniejszym orężem jest kapitał.

„Dokoła siebie wciąż słyszę zagadnienie pozyskania kapitału. Bardzo przyjemnie byłoby i szybko możnaby iść naprzód, gdyby ten kapitał przyszedł z zewnątrz. Ale jest tutaj poważne zastrzeżenie, a strażnikiem tego zastrzeżenia przedewszystkiem muszę być ja, jako Prezydent Rzeczypospolitej. Pomocy z zewnątrz nie wolno w niczem zagrażać naszej samodzielności, dlatego, gdyby się zjawiła propozycja, niosąca nam ulgę przez dostarczenie kapitału, ale połączona z uzależnieniem nas od kogokolwiek z tego tytułu, to ja pierwszy uważam za obowiązek swojego sumienia — szczególnie silnie czuję to kiedy wspominam Bolesława Chrobrego -- powiedzieć stanowczo: „Nie!". Lepiej idźmy wolniej o własnych siłach, ale bez zatracenia swojej niezależności gospodarczej.

„Wspomnienia Bolesława Chrobrego powinny nas ożywiać nietylko dziś, ale przez cały czas odbudowywania i zagospodarowywania własnego państwa Prowadzimy walkę o naszą samodzielność i musimy ten oręż, jakim jest kapitał, — jeżeli nie możemy go pozyskać z zewnątrz na godnych warunkach, — wydobywać z siebie.

„Tutaj żądanie skierowuje się przedewszystkiem do spożywców. Pierwsze, to największe umiarkowanie w spożyciu, a otrzymane stąd oszczędności skierowywać na wzmożenie polskich sił wytwórczych. Drugie żądanie także odnosi się do spożywcy: Pamiętaj, że jesteś odpowiedzialny za naszą samodzielność. Wydając pieniądze, myśl o takiem ich skierowaniu, ażeby wzmacniały naszą produkcję. Każdy, kto świadomie wyrzuca pieniądze na zagranicę, wydaje je ne wyroby obcego pochodzenia, już grzeszy wobec idei naszej niezależności gospodarczej.

„A od producenta żądamy, ażeby w tym okresie trudnym, kiedy brak nam kapitału, gospodarował tak, żeby ulepszenia czynić tylko z nadwyżki dochodów nad wydatkami, nie uszczuplając kapitału obrotowego. Może to opóźnić rozwój naszego przemysłu, ale za to rozwój ten będzie trwały, pewny i zdrowy. Dalej, musimy od producenta wymagać jaknajlepszej organizacji pracy, ażeby osiągnąć jaknajwiększą jej wydajność. Sprawa wydajności pracy stała się teraz przedmiotem osobnej nauki. Dlatego cieszę się, że dużo zwracacie uwagi na zawodowe wyszkolenie swojej młodzieży. W tem widzę zapowiedź świetnego rozwoju naszej wytwórczości w przyszłości.

„Obcowanie nasze pragnę zakończyć życzeniem tem samem, z jakiem zwracają się do mnie liczni obywatele. Gdy przeglądam w Belwederze nadsyłane memorjały, a nawet te upominki, które mi składano, to czuję w nich wszystkich jedną przewodnią myśl, jedno pragnienie, które można wyrazić słowami: Jaknajwięcej wiedzy i jaknajwięcej siły daj nam, Boże! Tego życzę wam, rzemieślnicy".

# ROSNĄ SIŁY NASZE.

Nie darmo przysłowia uchodzą za mądrość narodów. Bo, istotnie, szereg pokoleń swoje spostrzeżenia i uwagi trafne zamyka w krótkich, a jędrnych zdaniach, które z ust do ust przechodzą w jednakiej formie dla łatwiejszego zapamiętania. Taka darowizna mądrości praojców gotowe przysługi oddaje prawnukom.

Liczne przysłowia, nigdzie nie drukowane, tkwią w pamięci starszych ludzi i stamtąd, w miarę potrzeby, przechodzą do młodszych, jako wiadomości conajmniej pożyteczne, a nieraz nawet dobroczynne.

Nam, polakom, warto przypominać sobie dość często rozmaite przysłowia, których nasi przodkowie sporo uzbierali na gościńcu życia i złożyli je w skarbnicy narodowej dla dobra potomnych.

Szczególnie zdałoby się teraz częściej powtarzać te przysłowia:

„na pochyłe drzewo to i kozy skaczą",
„jak cię widzą, tak cię piszą" —
„kto siebie nie szanuje, napewno od świata nie dozna szacunku".

Ale jeszcze inną korzyść z przysłów niechybnie naród nasz bierze. Oto jeśli stać go było na przysłowia, to zpewnością również potrafi zdobywać się na wykonywanie zawartej w nich mądrości.

To jest pociecha prawdziwa — i dowody na to mamy nawet poważne, że tak bywa istotnie.

Oto naród nasz, doprawdy, nie chce być drzewem pochyłem dla wszystkich obcych narodów, a zwłaszcza dla wrogów. Chce się trzymać prosto, a więc być silnym, nieugiętym i zawsze godnym szacunku!

Stanie się takim tylko przy pomocy własnej armji doskonałej.

Im lepsza armja, tem więcej pożytków przynosi narodowi swemu.

O tych pożytkach każdy rodak wiedzieć powinien, bo podobno niejeden opacznemu oddaje się mniemaniu, jakoby, czasu pokoju, armja jest zbyteczna, więc należałoby używać jej do wykonywania robót publicznych, osobliwie ziemnych...

Trafiają się tacy mędrkowie nawet wśród światlejszych rodaków. Przytakiwać im zechcą tylko wrogowie Polski.

Dziś wojskowość — to osobna nauka i sztuka. Szkoła niższa, wyższa i akademja wojskowa uczą nie jedynie władania bronią i maszerowania. Owszem, każdy wojskowy musi odznaczać się wielką biegłością w posługiwaniu się wszelką bronią, nadto dostateczną sprawnością i wytrwałością w ruchach. Ale nadto jeszcze każdy wojskowy musi przyswoić sobie umiejętność robienia planów wojennych i odgadywania zamiarów swego wodza, a nawet i przeciwników.

Wszyscy wojskowi, nie wyłączając stopni najniższych, powinni mieć umysł bystry, przenikliwy, przezorny i bardzo przedsiębierczy, a przytem charakter bogaty w takie przymioty, jak posłuszeństwo, odwaga, ofiarność i zaparcie się siebie.

Przeto im więcej umie każdy wojskowy, tem lepszą staje się armja,—a więc im dłużej i pilniej uczy się każdy wojskowy, — tem obfitsze korzyści napewno z jego usługi mieć będzie naród i ojczyzna.

To jest prawda bardzo oczywista. Dostatecznie przekonywają nas armje obce.

Wprawdzie obecnie polityka mówi o rozbrojeniu, lecz państwa są innego zdania. Każde, dbając o swój byt pomyślny i trwały, przedewszystkiem hojnie zaopatruje wszelkie potrzeby własnej armji.

Czy dałoby się pomyśleć o potędze Anglji bez jej armji, a szczególnie bez jej floty wojennej?

Albo co uczyniły mocarstwa zwycięskie, chcąc niemców obezwładnić? — Zniszczyły im okręty wojenne—i zabroniły trzymać armję liczniejszą.

Rozumie się, niemcy skrycie działają przeciwnie. Okrętów nie budują, bo to rzucałoby się w oczy anglikom, — ale za to spiesznie i bardzo pilnie sposobią dla siebie olbrzymią i doskonałą armię, bo to narazie nie tak widoczne dla obcych.

Niemcy chcą mieć największą i najlepszą armję, bo tylko przy niej będą bezpieczni i groźni...

I nam, polakom, nic innego uczynić nie wypada, jeśli nie chcemy wpaść w straszne ręce wrogów naszych, —jeśli nie chcemy stać się dla nich drzewem pochyłem!

Niemasz dla nas innego wyboru, tylko: albo zginąć w niewoli, albo mieć armję wielką i doskonałą.

Naród nasz wcale nie namyślał się nad tym wyborem, — odrazu zabrał się do wyćwiczenia swoich wojskowych i w tej zabiegliwości nawet nie ogranicza siebie: im doskonalszą stanie się armja polska, — tem korzystniejsze Polska w gronie mocarstw zajmie stanowisko.

A nam wszystkim bardzo chodzi o to.

Owszem, zdawna i powszechnie wiadomo, że polacy słyną z wielkiej odwagi i waleczności. Prawda, te zalety zawsze były i są poprostu niezbędne lecz prócz nich musi armja mieć nawet wysokie wykształcenie wojskowe, gdyż nauka i sztuka wojskowa w całym świecie uczyniły znakomite postępy. Przeto i armja polska musi je posiadać w mierze dostatecznej.

Gdy wreszcie polscy mistrze wojskowi upewnili się, że wojsko polskie już umie dużo i może sprawnością swoją nawet poszczycić się przed całym światem, urządzili w sierpniu r. b. manewry, na które z wielu krain bliższych i dalszych zjechało się sporo zaproszonej starszyzny wojskowej.

Ta starszyzna patrzyła bacznie na próbne działania wojenne wojsk polskich, które przeciągnęły się dni kilka naprzód na kresach wschodnich, pod Brodami, więc na Wołyniu, — a potem na kresach zachodnich, pod Toruniem, więc na Pomorzu.

Manewry wypadły bardzo dobrze. Starszyzna zagraniczna była z nich zadowolona, a polscy mistrze wojskowi nawet wyrazili swemu wojsku pochwałę skromną, lecz wpełni zasłużoną.

I zdawaćby się mogło, że na tem zakończył się owoc manewrów. Gdzietam! To dopiero początek.

Naród polski zdobył się na własnych doskonałych mistrzów wojskowych nie po to jedynie, żeby wybornie przygotowali mu armje, lecz nadto jeszcze po to, żeby sam przy pomocy swej armji, znakomicie wyćwiczonej, nabrał w świecie znaczenia, stał się w oczach świata mocnym, poważanym, a i w potrzebie nawet... groźnym! Bo i to nieraz przyda się narodowi, żeby w jakichciś sporach politycznych z innemi narodami, mógł trochę im pogrozić i dać do zrozumienia, że pogróżka jego to nie żart, bo stać go i na wytrzepanie skóry komu należy!

Otóż dzięki manewrom ostatnim, które naogół podobały się wszystkim, obecnie świat zaczyna się liczyć z Polską, bo dała dowody, że naprawdę rosną jej siły, bo już potrafi w razie potrzeby wystawić własną armję, nawet lepszą od niejednej armji obcej!

A siła to argument nielada wszędzie tam, gdzie narody wiodą między sobą spory i wzajemnie dają sobie dość wyraźnie do zrozumienia: „ustąp mi, bom silniejszy"....

A dziś Polska jest w tem położeniu, że zdoby

wszy się na armję doskonalszą, już nie potrzebuje sama mówić o swej sile, bo inne narody **muszą** nawet obszernie wspominać o niej i wyrażać uznanie swoje dla niej i dla jej mistrzów!

W ostatnich czasach, nawet niedawno, we wrześniu, niemcy pierwszy raz dopiero musieli w swojem piśmie specjalnem „Militär Wochenblatt" obszerne napisać sprawozdanie pochwalne o wojsku polskiem i o doskonalszych metodach jego.

Niemcy mają o sobie mniemanie takie, że są w świecie całym najlepszemi znawcami spraw wojskowych — i jednak oni teraz musieli pochwalić wyszkolenie armji polskiej.

Dobrze wiedzieć i o takiem świadectwie niemieckiem. Ale nie oni jedni ogłosili światu pochwały dla wojska naszego.

Oto w końcu września węgierski dziennik „Pester Lloyd" zamieścił obszerny artykuł o manewrach wojska polskiego. W artykule tym stwierdza autor, że tegoroczne manewry polskie zwróciły uwagę **wszystkich europejskich dowódzców wojskowych.** Znaczenie manewrów polegało nie na ilości wojska, lecz na zadaniach, którym miały odpowiedzieć i okolicznościach, wśrod jakich działały. Ideą manewrów było przedstawić położenie, w jakiem znaleźć się może Polska w przyszłej wojnie. I tak: nagły atak kawaleryjski ze wschodu, oraz szybkie natarcie dla opanowania tak zwanego „korytarza pomorskiego" przez niemców i opanowania drogi na Warszawę. Z tem łączył się cały szereg idei i pytań. Manewry w okolicy Brodów wykazały wielką sprawność kawalerji i lotnictwa, tej kawalerji, której wielkie wojenne znaczenie w polskich warunkach przypisują nawet dzienniki niemieckie. Zaś w okolicy Torunia wykazały swoją zdolność piechota i artylerja. Autor węgierski stwierdza pod koniec swego artykułu, że niemcy nie przypuszczali, iż polacy zdolni są do utworzenia w ciągu kilku zaledwo lat takiej armji. **Im silniejsza jest armja, tem pewniejszy jest wschodnio-europejski pokój".**

Tem zdaniem zakończył węgierski pisarz swój artykuł o powodzeniu manewrów wojska polskiego.

A znowu gazeta francuska „Le Temps" z dnia 27 września r. b. umieściła artykuł, w którym autor francuski pisząc o manewrach polskich dochodzi do wniosków następujących: „Tegoroczne manewry polskie zadziwiły niemców i skłoniły ich do pożądanej rozwagi. Nie wierzyli oni, aby Polska mogła wystawić w przeciągu paru lat podobne siły i musieli stwierdzić, chociaż niechętnie, że oddziały armji polskiej wykonywały swoje poruszenia w zupełnym porządku, czyniąc wrażenia wojska wyszkolonego, łatwo kierowanego przez swoich dowódców i niepodobnego zgoła do armji polskiej z r. 1920. To też manewry te wykazały dobitnie siły zbrojne wskrzeszonej Rzeczypospolitej Polskiej, która zdołała w ten sposób przekonać świat cały o swej woli i zdolności do życia".

Podobnież anglicy wyrazili się w swoich gazetach bardzo przychylnie o armji polskiej, nadmieniając, że dziś ona skutecznie stoi na straży wolności swojej ojczyzny!

Takie uznanie powszechne — to nagroda dla armji i jej mistrzów, a zarazem dowód, że jednak istotnie rosną siły nasze!

A więc: W górę czoła! Cześć wojsku naszemu —i cześć całemu narodowi, który potrafił zdobyć się na własną armję doskonalszą!

# Prawdziwie uczynek dobry.

Różni ludzie nam, polakom, czynią wyrzuty, że mamy w sobie dużo wad szpetnych... Opiekują się nami może z życzliwości, a może jedynie z tego powodu, żeby nas wobec świata poniżyć, ośmieszyć, odebrać dobre imię i narazić na stratę zaufania u ludzi.

Prawda, wady mamy, być może nawet sporo. Ale kto jest bez wady? I zresztą nie o to chodzi, by pocieszać siebie tem oświadczeniem prawdziwem, że wszyscy mają wady, bo takie wypomnienie nikogo chyba nie upoważni do pielęgnowania wad w sobie.

Wszyscy mamy wady, — ale też wszyscy równo jesteśmy obowiązani pozbywać się wad swoich więc doskonalić się moralnie, umysłowo i zawodowo

A o nas, polakach, nikt nie ośmieli się powiedzieć, że jakkolwiek znamy swoje wady, jednak nie chcemy się ich pozbyć! Nie powie tego, bo tak nie jest, bo przecież bardzo dużo rodaków naszych, znając swoje wady, nawet pilnie stara się je wykorzenić z siebie. Czynią postępy! Stopniowo przybywa nam w każdej dziedzinie pracy coraz więcej ludzi lepszych moralnie i zdolniejszych fachowo.

Nawet nie pomylimy się, mówiąc, że my, polacy, mamy sporo zalet, jednak i tym zaletom niektórym dałoby się to i owo zarzucić...

To ciekawe, czyżby i zalety miały swoje wady?

Owszem, poniekąd tak jest, bo zauważmy tylko, czy możemy bez żadnego zastrzeżenia pochwalić naszą pracowitość, zaradność, przedsiębiorczość rzutkość?

Wprawdzie dość słusznie my, polacy, uchodzimy za pracowitych, zabiegliwych, przedsiębierczych... A jednak, doprawdy, te zalety **nie powinny** nas zadowolnić, bo w działaniacb swoich są jakgdyby podobne do człowieka wątłego, powolnego...

Pracujemy, lecz zamało. Zabiegamy — niedostatecznie. A i przedsiębierczość nasza częstokroć zanadto, nawet niepotrzebnie bywa lękliwa....

Oto musimy wyznać, że w wielu naszych zaletach mamy

**zamało, lub zgoła nic zapału!**

Działamy, lecz powolnie, ospale...

Brak nam jakgdyby bodźca, podniety, zachęty... namowy...

Drugie teraz nasuwa się spostrzeżenie chyba również trafne, że u nas w życiu społecznem zamało posługujemy się agitacją, namową, nawoływaniem. Zapewne pochodzi to z błędnego mniemania, że do dobrego nie trzeba zachęcać, tylko do złego.

Takie mniemanie wyrządza naszemu społeczeństwu olbrzymie szkody!

Kupcy wiedzą doskonale, jakie znaczenie mają tak zwane reklamy w gazetach, to jest ogłoszenie, zręcznie ułożone, zachwalające towar i poprostu zachęcające publiczność do nabywania. Tylko przez takie ogłoszenia kupcy stają się sławni, uznani za pierwszorzędnych i najlepszych. Publiczność ciągle o nich czyta w ogłoszeniach, pamieta ich nazwiska, adresy i zalety ich towarów. Kto z polaków nie zna księgarni Gebetnera, mydła Malinowskiego, towarów kolonjalnych Fuksa? Skąd o nich wiemy? Z ogłoszeń częstych w różnych gazetach polskich.

A czemuż mnóstwo rodaków naszych mało, lub nic nie wie o szkodliwości trunków, o niezbędności straży ogniowej, o pożyteczności sadów i drzew przy drodze?

Tylko dlatego, że zamało i zbyt zimno mówi się publicznie o tych, tak niesłychanie ważnych sprawach!

— Tylko dzieci muszą być zachęcane do dobrego, a każdy dorosły człowiek już tyle ma rozumu i tak rozbudzone sumienie, że sam z siebie powinien poczuwać się do wykonania każdej sprawy dobrej. Tak niejeden wręcz dowodzi — i niby ma rację. Bo właściwie tak być powinno, jak powiedział niegdyś Kochanowski:

niech każdy czyni, co każe Duch Boży:
a całość sama się złoży!

Jednak i ten wiersz przekonywa, że trzeba zachęcać do dobrego. Bo kto nie ma w sobie Ducha Bożego, tego należy według Ducha Bożego skłaniać, nawet namawiać do wykonania czynu poczciwego i pożytecznego.

— Każdy powinien być trzeźwy! — tak woła rozum, serce i sumienie.

A czemuż tak dużo ludzi wpada w zgubny nałóg pijaństwa?

Bo często doznają zachęty do kieliszka i kufla, a prawie żadnych nie otrzymują wiadomości gruntownych o szkodliwem działaniu trunków. Wszędzie powinnyby rzucać się w oczy i wpadać w uszy przestrogi, upomnienia serdeczne i nawoływania do trzeźwości...

Również to samo trzeba powtórzyć o straży ogniowej: Czemuż jej niema w każdej wiosce?

Pytanie chyba słuszne. A jakąż na nie dadzą rodacy odpowiedź?

Zakłopotani zasłaniają się wymówką niedorzeczną:

— Nie wiemy dla czego. Tak jakoś schodzi.

Nie to jest główną przyczyną, tylko to, że nikt ich do tego z zapałem, mocno, natarczywie nie zachęcał, nie namawiał.

Ludzi trzeba **pchać** do dobrego.

Nie wystarcza raz powiedzieć. Trzeba tysiąc razy powtarzać jedną zachętę, aż skutek będzie.

Nie można zachęcać spokojnie, chłodno, cicho. Ale wypada z zapałem przekonywać, **zagrzewać** do czynu!

Jeżeli jedna wioska, lub miasteczko zdobyło się na straż ogniową, to dlaczego? czy dla zabawy? z nudów? dla tracenia grosza?

— Nie, — woła wielu, — tylko dla bezpieczeństwa od ognia, dla ratowania majątku wszystkich!

Jeżeli straż ogniowa **jest niezbędną** w tej wsi lub w tem miasteczku, — to czemuż nie jest również niezbędną w każdej innej wsi i miasteczku?

Tylko dlatego, że tamtejsi mieszkańcy nie pomyśleli o tej potrzebie. Nikt ich do tego nie zachęcał serdecznie, mocno, ciągle i dotąd, aż musieliby pójść za namową dobrą i konieczną.

Podobnież to samo słowo w słowo rzec należy o sadach i zadrzewianiu dróg, oraz nieużytków.

Nikt nie powie, że ludność polska nie lubi drzewiny. Owszem, niekiedy rada ją mieć u siebie, — ale doprawdy, częstokroć daje się zauważyć lekceważenie, nieposzanowanie jej. A pochodzi to głównie bodaj z niezrozumienia wartości drzewiny zarówno owocowej, jak i dzikiej.

I znowuż trzeba rodaków namawiać ciągle, serdecznie, natarczywie, z zapałem, mówiąc im dużo o przeróżnych pożytkach, jakie niezawodnie ludziom przynosi każde drzewo.

Zdawiendawna było u nas w zwyczaju mieć przy domu na wsi drzewa owocowe.

Poeta nasz, Wincenty Pol, mówiąc o swoich latach dziecięcych, wspomina też o sadzie:

„Stary dworzec modrzewiowy — pisze poeta — stał na kępie — wkoło wody **były sady** i ogrody, w dali łąki i dąbrowy. Smukłe świerki nad sadami były widne już zdaleka, a za sadem i lipami był tam futor i pasieka.. W niej to miałem przyjaciela w starym naszym pasieczniku i radości tam bez liku w dniach dzieciństwa i wesela. Był to starzec tak życzliwy i jak słońce tak pogodny, jako dziecko tak łagodny, a jak ziemia miłościwy!

**„On mnie szczepić uczył drzewa,** on poznawać uczył zioła, co się zbiera, co się siewa i jak żyje w ulu pszczoła“...

Mamy w tem wspomnieniu poety przykład, jakiemi sposobami w czasach dawnych nasi praojcowie dochodzili do sadów i pasiek. Jedni drugich uczyli. Starszy **pokazywał** młodszemu, nieraz dziecku, jak prowadzić szkółkę drzew owocowych, jak szczepić, jak obcinać wilki, suche i zbyteczne gałązki—i jaką maścią pokrywać świeże skaleczenie drzewiny.

Stare doświadczenie wypróbowane to pierwszy nauczyciel najlepszy, bo niezawody. Toć tylko doświadczenie wieków dostarcza wiadomości każdej nauce, a więc i sztuce ogrodniczej!

Samo doświadczenie, od starszych do młodszych przechodzące, jednak bywa drogą zbyt powolną i niekiedy dość niebezpieczną. Bo zpewnością niejeden młodzik mógł źle, opacznie zrozumieć naukę starszego.

Niezbędną więc jest nauka, która z wiadomości, nabytych doświadczeniem, usuwa to wszystko, co okazało się w dalszej praktyce mętnem, niedokładnem.

Nauka gromadzi tylko to, co istotnie zostało przez doświadczenie długie i rozważne uznane za prawdę doskonałą, niemylną.

W dawnych czasach bywały u nas różne sady, bo różni gospodarze je zaprowadzali. Jak kto umiał, tak robił. A umiał tak, jak go w młodości nauczył starszy. Sztuka ogrodnicza przechodziła z dziada na wnuka, a przechodziła z porządnemi wiadomościami, lecz i z omyłkami.

Nauka ogrodnicza powstała dzięki ludziom zdolnym, światłym, zamiłowanym w ogrodnictwie i jemu oddanym całe życie swoje. Tacy ludzie, mając odpowiednie zdolności, wiedzę i pracę, już ciągle w codziennej swojej praktyce sprawdzali dawne doświadczenia i uzupełniali je swemi postrzeżeniami, a potem to wszystko jeszcze objaśniali sposobem naukowym i wreszcie spisywali i drukowali w książkach ogrodniczych.

Nauka ogrodnicza, już dziś jest bardzo bogata. Nie jedynie naukowe książki ogrodnicze istnieją, bo owszem, świat dziś ma mnóstwo ogrodniczych szkół niższych, wyższych, a nawet i w uniwersytetach wykładane są nauki, związane z umiejętnością ogrodniczą.

Dlatego każdy ogrodnik świały i wykształcony w szkole ogrodniczej ma mnóstwo wiadomości, z doświadczenia pochodzących, lecz przez naukę sprawdzonych i udoskonalonych. Taki ogrodnik poprowadzi każdy sad prawidłowo i korzystnie, zresztą nie tylko sad, bo również ogród warzywny, inspekty, cieplarnię i fabrykę przetworów owocowych.

Gdy kraj nasz mieć będzie bardzo dużo ogrodników wyszkolonych, niechybnie cały pokryje się licznemi sadami, prowadzonemi wzorowo, powstanie mnóstwo gospodarstw warzywnych i inspektowych, oraz dużo cieplarni, hodujących piękne i tanie kwiaty, które w taki sposób rozpowszechnią sie, przyozdobią każde mieszkanie, nawet ubogie, uszlachetnią gusta i rozwiną w narodzie poczucie piękna.

Zatem ogrodnicy wykształceni przyczynią się do pomnożenia w kraju dobra wielorakiego, bo warsztatów pracy: sadów, ogrodów, inspektów, cieplarni i przetwórni owocowych, wzmogą zamożność i—bądź-co-bądź—bodaj odrobinę polepszą obyczaje w swojem społeczeństwie. A wzrost moralności w narodzie choćby tylko odrobinę, ma duże znaczenie, gdyż niezawodnie podnosi pomyślność powszechną: bo już mniej będzie pokrzywdzonych, smutnych, nieszczęśliwych... Dobra i umiejętna praca ma zawsze wpływ korzystny na duszę ludzką.

Naród tedy, gdy zechce być troskliwy o swoje dobro materjalne i moralne, usilnie zaktrzątnie się około zakładania w całym kraju szkół ogrodniczych niższych i wyższych. Wypadnie mu wydatkować na nie sporo pieniędzy, lecz te koszty niebawem odzyska z czubem! Bo ogrodnictwo, doprawdy, należy do rzędu prac **bardzo dochodowych.**

A u nas w Polsce, ma ono widoki niezmiernie pomyślne, bo gleba polska naogół bardzo nadaje sie do hodowli drzew owocowych, ogrodów warzywnych i zagonów kwiatowych dla produkowania nasion i roślin lekarskich.

Ogrodnictwo przeto ma w Polsce przyszłość świetną. Powinniśmy rozwój jego u siebie przyspieszyć przez zakładanie w urodzajniejszych okolicach wielu szkół specjalnych i przez wprowadzenie do szkół powszechnych narazie choćby wykładów praktycznych o tworzeniu szkółek owocowych, o szczepieniu i pielęgnowaniu drzew, oraz kwiatów.

To zachęci ogół do szanowania drzew i urządzania bodaj małych sadów przy każdym domu wiejskim i miasteczkowym.

Owoce są smaczne i zdrowe. Niema człowieka, zaczynając od dziecka, a kończąc na starcu, któryby nie lubił owoców. Wszyscy, szczególnie w porze letniej, zjadamy owoców bardzo wiele, a najwięcej chyba ci, co mają swoje sady.

Gzietam, nietylko ci, bo może nawet znacznie więcej ci, co mają dużo pieniędzy. Toć przeważnie w porze jesiennej olbrzymie transporty owoców dostarczane bywają do miast wielkich. Tam specjalni kupcy zapełniają ogromne piwnice owocami i w ciągu trzech pór roku: głębokiej jesieni, zimy i wiosny—handlują owocami zyskownie.

Miasta zjadają owoców najwięcej!

To rzecz pewna, że dotychczas jeszcze polskie sady nie mogą dostarczyć tyle owoców, ile ich spożywają mieszkańcy tutejsi.

Niedawno w dodatku ilustrowanym „Głosu Lubelskiego“ z dnia 20 września r. b. znaleźliśmy takie, bardzo nas, polaków, zawstydzające wiadomości:

Oto w roku bieżącym **sprowadzono z obcych krain do Polski: świeżych jabłek i gruszek aż za jedenaście miljonów złotych, a owoców suszonych sprowadzono aż za osiemnaście miljonów złotych!**

A wszakże w tym roku drzewa w Polsce bardzo obrodziły!..

Wreszcie nie teraz dopiero zaczęliśmy z obcych stron sprowadzać do siebie owoce. I dawniej działo się to samo. Dla przekonania się o tem zajrzyjmy do „Bilansu handlowego guberni Królestwa Polskiego“, opracowanego przez Wład. Żukowskiego i innych.

Znajdujemy tam takie wiadomości:

W latach od 1894 do 1897 roku — bo te lata opracował Bilans powyższy — sprowadzano z zagranicy (a więc i z Rosji) jarzyny: kapustę, ogórki i cebulę.

„Głównym jednak przedmiotem przywozu jarzyn do Królestwa Polskiego (w tamtych latach) tak z zagranicy, jakoteż z Cesarstwa (Rosyjskiego) jest cebula, której roczny przywóz wynosi od 150 do 200 tysięcy pudów, przytem niemal połowa tego przywozu przypada na Warszawę i Łódź, a druga połowa na inne miasta i miasteczka“.

O sprowadzaniu jabłek tak pisze „Bilans“ powyższy:

| | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| W r. 1894 | wywieźliśmy | do | Rosji | jabłek | swoich | 6 | t. | pud. |
| „ 1895 | „ | | „ | „ | „ | 3 | „ | „ |
| „ 1896 | „ | | „ | „ | „ | 3 | „ | „ |
| „ 1897 | „ | | „ | „ | „ | 3 | „ | „ |

Natomiast sprowadzamy do siebie w tamtych latach **z zagranicy przeciętnie około pięciu tysięcy pudów jabłek** rocznie, a zaś z Cesarstwa Rosyjskiego:

W r. 1894 sprowadziliśmy 68 tysięcy pudów jabłek
„ 1895 „ 84 „ „ „
„ 1896 „ 54 „ „ „
„ 1897 „ 61 „ „ „

„Jeżeli rozważymy — pisze ów Bilans — rok 1896, to okaże się, iż około 6 tysięcy pudów jabłek przychodzi z Krymu; są to owoce wyborowe;—około 11 tysięcy pudów z guberni południowych, około 16 tysięcy pudów z guberni południowo zachodnich, około zaś 20 tysięcy pudów, to jest około 33 procent z Litwy i Białej Rusi.

„Jeżeli się zważy, że Królestwo Polskie **pod względem gleby i klimatu znajduje się chyba w warunkach daleko dogodniejszych** od Litwy i Białej Rusi, to fakt tego przewozu trudno inaczej wytłumaczyć, jak **wielkiem zaniedbaniem owocarstwa w Królestwie Polskiem...**

„Co do wartości — jeszcze słowa Bilansu — to ceny jabłek ogromnie się wahają: od 50 kopiejek do 2 rubli 50 kopiejek i wyżej za pud, stosownie do pory roku i gatunku. Do rachunku zatem przyjęliśmy przeciętną 1 rb. 50 kop. za pud. Podług tego rachunku okazuje się, że Królestwo Polskie **dopłaca około 100 tysięcy rubli za jabłka.** Suma ta niezbyt może wielka, lecz i ona **mogłaby zniknąć przy lepszej uprawie i hodowli sadów owocowych".**

Bilans Żukowskiego oblicza, że w latach od 1894 do 1897 Królestwo za różne owoce, jak: jabłka, winogrona, morele, gruszki, jagody i inne owoce świeże, oraz orzechy, migdały, pomarańcze, cytryny, kawony i melony wydawało rocznie przeciętnie z górą **dwa miljony rubli.**

Oczywiście, nie wszystkie te owoce Królestwo hodować mogło u siebie, bo sprowadzało również takie, które dojrzewają tylko w krainach ciepłych. Ale jeżeli naród polski wówczas nie chciał stać się bankrutem, powinien był mieć więcej dochodów, niż rozchodów. I dlatego powinien był swoich owoców wysyłać i zagranicę i do Cesarstwa Rosyjskiego przynajmniej tyle, żeby pieniędzmi, za nie otrzymanemi, zdołał pokrywać kupno dla siebie owoców z krain południowych i jeszcze żeby z tych dochodów została jakaś nadwyżka na inne potrzeby.

Niestety, tak nie działo się wówczas—i dziś tak nie jest!

Ogólnie mówiąc, naród rozchoduje więcej, aniżeli ma dochodów. Już w roku bieżącym przekonały nas o tem wydatki na owoce świeże i suszone, sprowadzone z obcych krajów. Już wysłaliśmy zagranicę razem za te dwa artykuły dwadzieścia dziewięć miljonów złotych, — a przecież ta suma mogła była zostać w kraju, bo owoce świeże i suszone naród nasz powinien sam dla siebie w ilości wystarczającej i jeszcze obfitość ich na wywóz produkować!

A czemuż tego nie czyni? Czy nie ma gleby urodzajnej? Czy nie chce pracować? Czy brak mu najniezbędniejszych wiadomości ogrodniczych?

Bynajmniej! Ziemia jest w bardzo wielu okolicach odpowiednia pod sady; ludność ostatecznie od pracy nie stroni,—a i wiadomości ogrodnicze początkowe, całkiem przystępnie wyłożone, łacno zdobyć może za 80 groszy, bo tyle właśnie kosztuje znakomita książeczka „Sad przy chacie", napisana wyraźnie przez uczonego ogrodnika, Edmunda Jankowskiego, w której ciekawy czytelnik znajdzie podane sposoby: założenia szkółki drzewek owocowych i szczepienia, oraz wykaz gatunków owoców, godnych rozpowszechnienia.

Czemuż przeto dotychczas mamy zamało sadów a i wśród tych, które są, wiele znajduje się w stanie ogromnego zaniedbania?

Czemu to wszystko przypisać?

I znowu śmiem oświadczyć, że głównym sprawcą lekceważenia u nas ogrodnictwa jest

**brak ustawicznej, usilnej, gorącej zachęty!**

Owszem, gazety niekiedy ogłaszają doskonałe artykuły o sposobach zakładania i pielęgnowania sadów, oraz o pożytkach z nich płynących. Są też popularne książeczki ogrodnicze. Zpewnością mnóstwo rodaków chętnie i często zagląda do nich i nie bez korzyści... Ale te pomoce drukowane, doprawdy, muszą być niedostateczne!

Najlepszą przysługę oddałyby zachęty żywem słowem czynione często z zapałem, natarczywie i zaraz udzielając wyjaśnień, lub nawet odpierając zarzuty!

Dużo rodaków istotnie jeszcze bardzo lekceważy sad przy chacie. Nie mają „pociągu" do drzewiny. Na nią jeszcze patrzą, jak na zabawkę, lub na dodatek dla dzieci i dla kobiety...

— Mały, lub żaden z tego dochód! — Tak mówi niejeden.—Jest to raczej zabawka dla domowników. A jeżeli będzie sadek trochę większy, — to już kłopot nielada dla gospodarza, bo go musi pilnować przed szkódnikami, którzy ciągle zakradają się i wyrządzają różne psoty, nieraz nawet znaczne,—a gdy wypadnie wydzierżawić go żydowi, zapłaci nie wiele, a na straty ciche i duże również narazi, bo sprowadza się do sadu z całą rodziną i wówczas nie obejdzie się bez częstych dla nich dodatków; a to trochę kartofli, a to cebuli, a to grochu, kaszy, jajek, chleba, mleka. Rozrachunek trudny, zysk wątpliwy i kłopotów dużo! A wozić się z owocami do miasta? Nie wiele ich bywa, więc nie opłaci się. Gdy zaś obrodzą drzewiny,—to znowu ceny małe, kupców brak, owoc leży i gnije! Doprawdy, zamały pożytek z sadów!

Tak niejeden gospodarz, zapatrując sie na sad owocowy przy chacie, uwagami swemi trafia do przekonania sąsiadom i ich zniechęca do drzewiny.

Takich niedowiarków potrafi przerobić tylko namowa, zachęta, przykład i rachunek. Lecz to wszystko musi być **w pewnej porze roku bardzo często rozgłaszane** z zapałem, gorąco, serdecznie, życzliwie.

Na tem poprzestać nie można! Bo wnet potem musi nastąpić to, co powiedział Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej do rzemieślników w Poznaniu:

**organizacja pracy.**

A więc: muszą właściciele sadów stworzyć związek dla pielęgnowania pewnych gatunków owoców wyborowych,— dla sprzedaży ich razem i korzystnie.—wreszcie dla przerabiania niektórych gatunków i odpadków we własnej spółkowej przetwórni owocowej!

To wszystko właściciele sadów będą zdolni uczynić, tylko trzeba w nich rozniecić zapał i wiarę w powodzenie dobrej i umiejętnej pracy.

Trzeba w rodakach naszych zapalić ogień woli, żeby naprawdę chcieli!...

Bo trzeba tylko chcieć, a wszystko można mieć!

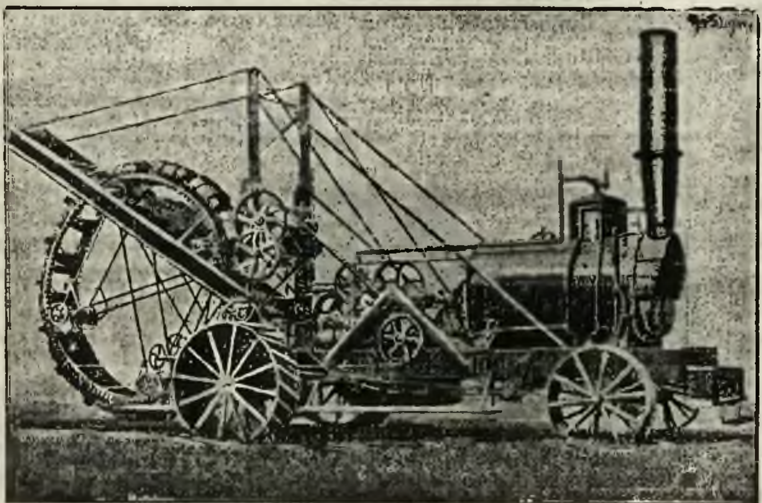
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 18 października 1925 r. № 42.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Przy pomocy takiej maszyny podczas wojny wojska kopały dla siebie okopy wojenne.

# NA WARCIE.

W noc ciemną i śnieżną, samotny, na warcie,
choć sen go wciąż morzy podstępnie, zdradziecko,
straż pełni niezłomnie, straż pełni uparcie
żołnierzyk młodziutki i wątły jak dziecko.

Wiatr wyje i świszcze, jakgdyby szatany
na sabat się zbiegły z daleka i z blizka —
on stoi i czuwa, wpatrzony, wsłuchany,
jakgdyby wrośnięty, karabin swój ściska.

Śnieg w oczy mu sypie płatami mokremi,
ogarnia go słodkie, marzenne znużenie
i smęt go ogarnia — poleskiej smęt ziemi,
lecz czujność niemęskie uczucia wraz żenie.

Stój! Kto idzie? Hasło?... czy wiatr to stepowy,
czy wróg się podkrada?.., żołnierzyk się zmierza...
po latach, po tylu, na ziemi kresowej
straż stoi niezłomna polskiego żołnierza....

**Józef Relidzyński.**

# Myślmy o swej przyszłości!

My, młodzi, mając wiek sposobny do rozpoczęcia pracy zawodowej, myślimy z niepokojem o swej przyszłości. Jaka ona dla nas wypadnie: pomyślna, czy chmurna, pełna utrapień i niepowodzenia?

Ludzie doświadczeni i mądrzy nieraz mówią nam i piszą w swoich książkach, że

**każdy człowiek jest kowalem własnego szczęścia,**
**bo jak sobie pościele, tak się wyśpi,**
**bo, wreszcie, co posieje, to zbierze!**

To pewna, że w wielkim stopniu od samego człowieka zależy przyszła dola jego.

Rozumie się, młodzieniec sam jeszcze nie zdoła przewidzieć wielu przygód, wydarzeń, które go w dalszem życiu niechybnie zaskoczą, lecz może i powinien zawczasu mieć to przeświadczenie, że jednak istnieje w powszechnem życiu ludzkiem stały porządek, który nie zależy od woli ludzkiej, ustanowiony jest bowiem przez Stwórcę — i wszelkie widzimisię ludzkie nigdy nie potrafi mu sprzeciwić się bezkarnie.

W tym stałym, odwiecznym porządku naczelne miejsce przysługuje nakazowi, ustawicznie wołającemu do wszystkich ludzi:

**pracujcie dobrze i pożytecznie!**

Czy nie wystarcza nakazać: pracuj! — ale zaraz trzeba dodać uwagę: **dobrze i pożytecznie?**

Jak rozumieć tę uwagę dodatkową?

**Dobrze,** — więc zgodnie z prawem moralnem i prawidłami fachowemi.

I **pożytecznie,** więc tak, żeby jak najlepiej zaspakajać potrzeby ludzkie...

Nie dość jest nakazać sobie: pracuj. Nadto wypada **nauczyć się** pracować dobrze i pożytecznie.

Już wreszcie młodzieniec dał się przekonać, że tak musi pracować. I nawet sam roztropnie wywnioskował, że o tyle praca jego stanie się pożyteczna o ile będzie dobra.

Ale co ma uczynić młodzieniec, żeby potrafił pracować dobrze?

Sam dopiąć tego bez niczyjej pomocy nie zdoła! Nawet rodzina jego sama nie przygotuje go dostatecznie. Dopiero społeczeństwo całe musi go wspomódz doskonale!

Od rodziców jedna dźwignia zbawcza należy się młodzieńcowi: **wychowanie,** — a od społeczeństwa druga: **przygotowanie fachowe!**

Doprawdy, dziś jeszcze godzi się uczynić gorzki wyrzut wielu rodzicom i całemu ogółowi naszemu, bo zamało troszczą się o młodzież swoję!

Prawda, dość często czytamy w gazetach bądź wyraźne skargi na nas, młodzieńców, bądź tylko ogólnikowe napomknienia o szerzącem się wśród nas zepsuciu moralnem.

Wszystko to słuszne, lecz skąd pochodzi?

Słyszymy też nawoływanie, zwrócone do nas: pracujcie!

Jednak coś więcej, niż rozum własny, bo serce i sumienie zadają nam pytanie: czy powinniśmy tylko pracować?

Gdzietam! Toć jeszcze zewsząd nawołują: pracujcie **dobrze i pożytecznie!**

Zgoda. Czy atoli każdy z nas odrazu bez żadnego przygotowania potrafi pracować dobrze i pożytecznie?

Rozumiemy przecież, że na to, aby każdy umiał dobrze pracować, powinien pierwej być zaopatrzony choćby tylko w kilka zalet: uczciwość, obowiązkowość, szlachetność, piękną ambicję i życzliwość dla bliźnich... A czy w nas kto wypielęgnował te zalety? Czy często je widujemy dokoła siebie? Czy mówią nam o tem wszyscy?

Patrzymy podobno najczęściej na lekceważenie pracy i obowiązków, — na chęci jawne wyłgania się od nich, wreszcie słyszymy złośliwe uwagi, niemal potępienie pracy.

Czy takie wpływy dobrze nas przygotowują do pracy?

A zaś w jaki sposób my, młodzi, mamy posiąść zdatność do pracy pożytecznej? Czy chwytniemy ją z wiatru, albo z palca własnego?

Naukę tańca, pijatyki, zabawy wszelkiej i... polityki łatwiej nam przychodzi nabyć na każdym kroku, aniżeli naukę pracy!

Społeczeństwo umie czynić nam wymówki, nie zawsze zasłużone, bo raczej powinny one być skierowane do osób starszych i za nas odpowiedzialnych, — lecz, jak dotychczas, nie umie, czy nie chce nauczyć nas pracy pożytecznej!

Rodzice nasi ubodzy i zazwyczaj bezradni!

Trzymają nas przy sobie, jeśli posiadają trochę gruntu, a jeśli są bezrolni, lub maluczko mają ziemi, oddają nas bądź na służbę, bądź do terminu.

Sami łatwo dostrzegamy, że przeważnie dzieje się nam krzywda z winy rodziców, a bardziej społeczeństwa.

Niepotrzebnie pozostajemy w domu, a nieraz i w terminie odnosimy więcej szkody, niż korzyści.

Czasami rodzice w rozmowie z nami o tych sprawach zgadzają się na uwagi nasze, lecz wnet wyjaśniają swoję bezsilność, mówiąc frasobliwie:

— A gdzież was umieścić? — do kogo was oddać, wskażcie sami.

I zaczyna się poszukiwanie myślami wspólnemi. Do szkoły rzemieślniczej zdałoby się pójść, ale zadaleko! Tam wypadałoby płacić dużo za stancję i utrzymanie. A skąd wziąć tyle pieniędzy? I z majstrem prywatnym dziś niesposób ugodzić się, bo wymaga bardzo wiele!

Czy tylko dlatego, że jesteśmy ubodzy, nie powinniśmy nauczyć się pracować dobrze i pożytecznie?

I czy nasze ubóstwo ma nam być poczytane za winę?

Kto więc przedewszystkiem może nas podźwignąć skutecznie i zapewnić nam przyszłość chlubną a pomyślną?

Tylko społeczeństwo, gdy ono pomoże nam nabyć umiejętność pracowania dobrze i pożytecznie.

A w jaki sposób najpewniej zdoła nam taką

pomoc okazać? — Gdy założy mnóstwo warsztatów zawodowych przy każdej większej szkole powszechnej.

Wsłuchajmy się w żądanie serdeczne niemal wszystkich ludzi ubogich, — a usłyszymy jedno wołanie błagalne:

— Pracy zarobkowej!

Każdy chce mieć pracę, zapewniającą mu utrzymanie dostateczne!

I gdy zapytamy kogokolwiek:

— Kto jest nieszczęśliwszy, czy ten, co nie ma nauki, czy ten, co pozbawiony pracy zarobkowej? usłyszymy odpowiedź:

— Bez pracy zarobkowej człowiek jest bardzo godzien litości

Nie wynika stąd, że nauka mniej potrzebna. Owszem i ona niezbędna, lecz praca, nawet bez nauki, da chleb, — a nauka bez pracy nie wyżywi.

Toć wszyscy mamy jedno przeświadczenie, że właśnie nauka na to potrzebna, ażeby człowiek przy jej pomocy potrafił lepiej, a więc pożyteczniej, korzystniej pracować dla siebie i dla gromady swojej. Czemuż o tej prawdzie nie myśli społeczeństwo? Daje tylko naukę książkową, a nie daje nauki pracy zarobkowej. A przecież jedna bez drugiej jest dla ludzi niewystarczającą.

Przy każdej szkole większej powinien być conajmniej jeden warsztat zawodowy. Wówczas i sposób wykładania nauk książkowych zastosuje się do wymagań pracy zarobkowej tego warsztatu.

Chodzi bowiem o to, żeby nauki szkolne nie tylko rozwijały umysł i zbogacały pamięć wiadomościami pożytecznemi, lecz nadto pielęgnowały w uczniach przynajmniej te zalety charakteru, których wymaga rzemiosło tego warsztatu.

Toć każdemu fachowcowi potrzebne są pewne zalety charakteru, a więc: sumienność, słowność, grzeczność, przedsiębiorczość, pomysłowość i wytrwałość.

Wprawdzie majster powinienby sam w uczniach swoich wykształcić stosowne zalety charakteru, jednak on mniej nadaje się na wychowawcę, niż nauczyciel szkolny, którego przecież seminarjum nauczycielskie dość długo poucza, jak ma wychowywać dziatwę szkolną. Przytem nauczyciel w szkole rozporządza niemal codziennie wieloma przykładami z historji, z geografji, z piśmiennictwa, na które zapatrywać się zachęca dziatwę i jeszcze jej od siebie do nich dodaje wyjaśnienia, jak może przyswoić sobie zalety pożądane i jakie z tych zalet korzyści w dalszych latach niezawodnie otrzyma.

Majster w warsztacie szkolnym uczy rzemiosła i zarazem wdraża ucznia do najstaranniejszego wykonywania pracy zawodowej, daje mu przeto umiejętność zarabiania pożytecznie na utrzymanie swoje. A znowu nauczyciel szkolny oświeca i wychowywa ucznia tak, iżby on wykonywał swoję pracę dobrze i nawet pomyślnie, z powodzeniem!

Szkołę trzeba złączyć z warsztatem zawodowym, bo w życiu zawsze idzie w parze praca fachowa z zaletami charaktetu.

Im lepsze zalety, tem milszy pracownik i tem większem cieszy się powodzeniem.

Wszyscy nareszcie zwróćmy uwagę na ten związek ścisły!

Naród nasz musi dźwignąć się gospodarczo, a w jaki sposób stać się to może? Czy uczynią to ci pracownicy, którzy znakomicie udoskonalili się każdy w swoim fachu, lecz przytem każdy z nich ma swój charakter nieosobliwy, nawet dość zaniedbany?

Wiemy, co to znaczy! Spotykamy takich pracowników zdolnych, ale niemiłych, bo mają w swoim charakterze niejedną wadę brzydką, odstręczającą od nich ludzi i wskutek tego nie doznają takiego powodzenia, jakie mieć powinni, bo fachowo są nawet bardzo biegli.

W lipcu r. b. „Głos Mieszczański" (№ 30) wydrukował ciekawy artykuł p. t. „Tajemnica sprzedanego kapelusza czyli **naucz się,** polaku, sprzedawać".

Widocznie wiadomości, podane w tym artykule, są prawdziwe, bo nawet wyszczególniona została nazwa ulicy w Krakowie, tylko pominięto nazwisko kupca polskiego, u którego włościanin chciał kupić dla siebie kapelusz. Sklepowy przyjął zimno wchodzącego nabywcę wiejskiego. Pokazał mu kika kapeluszy, mówił mało, niechętnie, podał cenę wysoką i oświadczył, że targować się nie można, bo tu są ceny stałe. Nawet postępowaniem swojem subjekt jak gdyby dawał do zrozumienia wieśniakowi, że nie myśli z nim długo rozmawiać, nie dba o niego. Wreszcie w końcu poradził mu, że „jeśli chce się targować, to niech idzie do żydów".

Wieśniak, zakłopotany i nawet zgorszony tak pogardliwem traktowaniem, jakiego doświadczył od kupca polskiego, poszedł po kapelusz dla siebie do straganu żydowskiego. Toć tak mu doradził ów kupiec polski, do którego wieśniak pierwszy raz w życiu poszedł z namowy swojego proboszcza, zachęcającego parafjan do robienia wszelkich sprawunków **tylko u kupcow polskich!**

Trzeba przecież przedewszystkiem popierać pracowników polskich.

Tak ów wieśniak postanowił czynić od chwili, kiedy usłyszał zachętę swego proboszcza, — a tu masz, zaraz na wstępie, w pierwszym sklepie polskim spotkało go bardzo niemiłe przyjęcie, nawet odprawa szorstka, niegrzeczna!

I za co? — Za to, że ubogi rodak chciał zrobić dla siebie sprawunek u rodaka. Wiodła go do niego myśl poczciwa: dać zarobek swojemu! I za to swój odpłacił się szkaradnie!

Rozmarkocony wieśniak, poczuwszy się obrażonym, poszedł prosto do straganów żydowskrch. I tutaj został przywitany całkiem inaczej!

Oto zaraz na wstępie usłyszał grzeczne słowa i zachętę do kupna:

— Dzień dobry, panie gospodarzu, jak się macie? — Tak witają go kupcy żydowscy. Pokazują mu wiele kapeluszy do wyboru Chwalą swój towar bardzo wymownie i wmawiają w kupującego, że jest mu do twarzy w przymierzonym kapeluszu.

— Wy w nim wyglądacie jak prawdziwy wójt.

Wieśniak długo wybiera, wiele kapeluszy po kolei przymierza, potem targuje się do upadłego! Żydzi wcale nie gniewają się o to. Zacenili drożej,

niż tamten polski kupiec niegrzeczny, który żądał za swe kapelusze po 20 złotych, a żydzi po 25 złotych. Lecz wieśniakowi udało się utargować 6 złotych, bo zapłacił 19, więc taniej tylko o złotówkę, ale jest zadowolony z kupna, bo wybierał długo, trafił na taki kapelusz, który mu przypadł do gustu—i za swoje pieniądze został grzecznie obsłużony do ostatka!

Można słusznie przypuszczać, że kupiec polski, jako kapelusznik, znał się lepiej na swoim fachu, niż żydzi, ale nie posiadał w sobie zalet charakteru, ułatwiających powodzenie w pracy.

Nie wystarcza umieć wykonać robotę fachową nawet doskonale, — lecz nadto jeszcze trzeba umieć sprzedawać ją pomyślnie z obopólnem zadowoleniem!

Doświadczenie życiowe też mówi, że co innego nauka rzemiosła, — a co innego nauka sprzedawania roboty własnej.

Rzemiosła — uczy majster, a do sprzedawania pomyślnie wdraża **wychowanie!**

Znajomość fachu nabywa się w warsztacie,— a umiejętność sprzedawania roboty zależy **tylko od zalet charakteru.**

Zalet charakteru nie wypielęgnuje majster, jeno wychowawca. A wychowawcami powinni być przedewszystkiem rodzice i nauczyciele!

Przeto sztuki sprzedawania pomyślnie pracy **nauczyć się** niepodobna. Nie dość bowiem pamiętać **reguły** kupieckie, **jak** trzeba sprzedawać i **jak** obchodzić się z nabywcami, lecz nadto wypada posiadać w swoim charakterze **gotowe zalety,** dostosowane do reguły kupieckiej.

Już dużo rodaków naszych zdążyło stać się fachowcami nawet znakomitemi, — lecz **jeszcze nie zdążyli** posiąść niezbednych zalet moralnych i ekonomicznych. Dlatego **jeszcze nie potrafią** znaleźć pracy i sprzedać swojej pracy pomyślnie i korzystnie dla stron obu.

Przekonają nas o tem następne wydarzenia

Dnia 24 września r. b. „Głos Lubelski" umieścił wyjaśnienie Biura techniczno-handlowego inżynierów w Lublinie w sprawie zatargu między tem Biurem i Wł. Dąbrowskim, majstrem malarskim. Spór stąd wyniknął, że Biuro oddało dużą robotę malarską żydom, a nie polakom. I z tego powodu obrażony Wł. Dąbrowski ogłosił swoje żale w „Głosie Lubelskim". Na te żale odpowiedziało Biuro przekonywająco.

Bo, mając dużą robotę malarską do wykonania, Biuro zawiadomiło o tem czterech majstrów polskich i dwuch żydowskich. Owszem, Biuro zamierzało oddać robotę tylko rodakom, lecz chciało dowiedzieć się, jaka będzie różnica między ceną polaków i ceną żydów. W odpowiedziach Biuro znalazło wielką różnicę, bo żydzi podejmowali się wykonać tę robotę **o 40 procent taniej!**

Jednak Biuro, chcąc, mimo wszystko, powierzyć swoję robotę temu polakowi, który żądał najtańszej zapłaty w porównaniu z innemi rodakami swemi, ale drożej o 40 proc. od ceny żydów,—zwróciło się do niego, proponując mu wynagrodzenie o 15 procent wyższe od ceny żydów. Taką nadwyżkę Biuro jeszcze dać mogło bez szkody własnej. I mimo to, polski majster malarski odmówił, niezmiennie stawiając żądanie znacznie wyższe od żydowskegoi.

Wobec tego Biuro **zmuszone było** wbrew chęciom swoim powierzyć robotę majstrom żydowskim.

Wydarzenie to jest niesłychanie smutne!

Czemu żydzi mogli tę robotę malarską wykonać taniej? Czy inny chleb jedzą? Czy mniej wydają na swoje utrzymanie?

Nic podobnego! Tylko mnóstwo rodaków naszych mniema, iż **powinni brać więcej.**

Dlaczego **powinni?** Skąd pochodzi taka pretensja?

Czy polacy są chciwsi, zarłoczniejsi, marnotrawniejsi?

Zapewne, każde wymaganie ma swoję przyczynę. Ale czy każda przyczyna jest słuszna?... Wiemy wszyscy, że nie każda.

Domyślać się można, że niektórzy rodacy nasi **chcą** drożej sprzedawać, bo wolą brać więcej, aniżeli mniej.

Czy dlatego, ze chcą brać więcej, już każdy rodak obowiązany uledz ich woli?

Droższe wymagania rodaków właśnie najczęściej bardzo drażnią mnóstwo rodaków naszych, wywołując w nich upór, gniew, zaciętość i stronienie, co jest dla narodu naszego zawsze niezmiernie szkodliwe...

Bo gdy ogół nie może pojąć powodów, dla których rodak żąda większej zapłaty, aniżeli żydzi, już przestaje gniewać się na tych z pośród siebie, co czynią sprawunki i zamówienia przeważnie u żydów, a swoich unikają!

Nigdy nie godzi się nadużywać cudzej cierpliwości i miłości narodowej.

Kto chce być miłowany od rodaków, niech sam również ich miłuje. Kto chce doznawać pomocy od narodu, — niechżeż sam pomaga jemu. I to niech nie czeka aż oni pierwsi zaczną. Sam powinien ich w tem ubiedz, dać dobry przykład!

Trzeba ograniczać swego sobka! Nie wolno mu dogadzać kosztem rodaków.

Nie na to obowiązuje każdego rodaka miłość narodowa, żeby płacił rodakom swoim tyle, ile oni od niego zażądają!

Działaby się ustawicznie wielka krzywda narodowi naszemu, gdyby sprawiedliwość przebywała tylko w sądach! Ona musi być jednako uszanowana przez wszystkich rodaków w życiu codziennem, a więc i w każdej pracy zawodowej.

Musi być sprawiedliwym nabywca, — a więc również kupiec musi jej przestrzegać zawsze i wszędzie. Bo przecież nieraz kupiec bywa nabywcą: sprzedaje swoje towary innym, ale sam te towary musi pierwej nabyć u innych... „Co chcesz, by tobie uczyniono, — uczyń to innym".

Nie tylko sprawiedliwość obowiązuje wszystkich bez wyjątku, — bo również i miłość narodowa. Ma ona ożywiać nasze serca nie tylko w kościele i szkole, nie tylko podczas uroczystości narodowych, lecz podobnież wszędzie: na ulicy i w domu, w warsztacie i w sklepie!

Jeżeli polskiego nabywcę obowiązuje przykazanie narodowe robić sprawunki u kupców polskich,— podobnież jednakowo ono obowiązuje kupców polskich sprzedawać swoje towary polakom w sposób sprawiedliwy i życzliwy!!

Zawsze przeto musi nam wszystkim w życiu codziennem przewodniczyć idea sprawiedliwości, która mówi tak do nas:

„Jeśli chcecie, by wam pomagali rodacy,—również i wy im w każdej potrzebie pospieszajcie z pomocą".

I znowuż mamy świeży dowód bolesny, jak nam trudno w pracy zawodowej ulegać idei sprawiedliwości.

Dnia 2 października r. b. „Głos Lubelski", opublikował wiadomość o wypuszczeniu w dzierżawę żydowi Welczerowi majątku wojskowego pod Zamościem. Władze wojskowe ogłosiły licytację, kto da więcej! Ubiegający się o dzierżawę powinni byli w oznaczonym terminie do biura wojskowego swoje warunki podać w zapieczętowanej kopercie. Tak też uczyniło siedmiu kandydatów na onę dzierżawę. I gdy biuro wojskowe otworzyło koperty, przekonało się, że żyd Welczer zobowiązał się za dzierżawę majątku wojskowego zapłacić przeszło o dwa tysiące złotych więcej, niż polacy!

Skąd pochodzi ta różnica wielka? Czy polscy kandydaci nie umieli zrobić dokładnego obrachunku? Chyba nikt ich o to nie posądzi. Raczej popchnęła ich do podania za niskiej zapłaty chętka niesprawiedliwa wyzyskania majątku rządowego.

— Wziąć jak najwięcej, a że to będzie niesprawiedliwe, mniejsza o to!.. Byle tylko się udało!..

Prawda, dość powszechne jest u nas nieposzanowanie cudzej a zwłaszcza państwowej własności.

— Bo to niczyje, więc łapać, ile się da!..

Żyd nas zawstydził. Dał więcej za dzierżawę, jakkolwiek nikt nie powie, żeby żyd był pochopny do hojności. Dał więcej, bo warto, bo wykalkulował sprawiedliwie, bez nadmiernej chciwości, że i tak jeszcze sporo zarobi.

Jest więc, doprawdy, w wielu rodakach naszych większa chciwość, brzydka i szkodliwa chętka chapać łatwo, lekko i dużo!

A my tak byliśmy skłonni podejrzewać o to tylko żydów!

„Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli"...

Samo życie tedy przekonywa, że nam są niezbędnę zalety charakteru: sprawiedliwość, umiarkowanie, życzliwość i uczynność dla swoich, miłość prawdziwa i głęboka, a wielce rozumna swego narodu i państwa, a więc ojczyzny!

Nie mówmy do narodu-ojczyzny:

— Kocham was o tyle, o ile mi dacie! — Lecz: O tyle was kocham, o ile wam dopomagam!

Jeszcze nie wszyscy rodacy ozdobili swój charakter pięknemi zaletami. Bardzo wielu nawet nic nie wie o ich niezbędności. Toć w życiu codziennem ciągle daje się słyszeć tylko jedno wołanie: pracy, bo praca chleb daje!

Ale godziłoby się zapytać: a co daje pracę?

Czy tylko sama zdatność fachowa? — Nie. Toć mamy bardzo dużo biegłych fachowców, co często-kroć nie mają pracy, gdy znowu żydzi, wcale od nas nie zdatniejsi, łapią nam z przed nosa pracę korzystną.

Coś więcej przeto mieć trzeba, nie li tylko umiejętność fachową!

A co? — Odpowiednie zalety charakteru!

Skąd je wziąć mamy? — To dać powinny: dom i szkoła powszechna, wychowując swe dzieci zgodnie z potrzebami życia codziennego.

Domie rodzinny i szkoło powszechna, dajcie dzieciom swoim to, co im w ciągu całego życia będzie niezbędne **ustawicznie.**

Nie od samej tylko umiejętności fachowej zależy powodzenie i pomyślność w życiu, lecz przedewszystkiem od właściwych a pięknych zalet charakteru!

Gdy więc przeczytaliśmy 22 sierpnia r. b. w „Głosie Lubelskim" (№ 229) wiadomość o założeniu „pierwszej szkoły kupieckiej na Podlasu", która miała być otwarta 1 września w Białej Podlaskiej, a podjęła się przyjmować młodzież w wieku od 14 do 17 lat — i w ciągu roku jednego przygotować ją do pracy zawodowej, — doznaliśmy radości, lecz zarazem i wątpliwości. Bo jeżeli z tej szkoły wychodzić będzie dużo takich kupców, jak ów kapelusznik w Krakowie, — czy przysporzy narodowi pracowników zadowolonych i pożytecznych?

— To dziwne, zaiste, żydzi szkół kupieckich i rzemieślniczych nie mieli, a jednak jacy z nich kupcy i rzemieślnicy! — Taką zapewne niejeden rodak uczyni uwagę po przeczytaniu wiadomości o nowej szkole kupieckiej na Podlasiu, otworzonej, oczywiście, dla naszych rodaków.

Zapozwoleniem! Kto mówi, że żydzi nie mieli szkół kupieckich i rzemieślniczych, ten myli się, bo oni je posiadali zdawiendawna u siebie w każdym domu, ba! nawet w każdej rodzinie! Toć oni wszyscy zawsze trudnili się tylko kupiectwem, rzemiosłem i przemysłem! Ojciec i matka, wujek i ciotka, stryjek i dziadek — wszyscy kładli w głowe małemu bachorkowi nauki o handlu i zaletach, jakie mieć powinien kupiec, jeśli chce zdobyć powodzenie.

Żydzi uczyli i wychowywali swoje pokolenie do życia codziennego, do pracy, do obcowania z ludźmi tak, żeby jednało ich sobie, żeby z niemi współpracowało i obsługiwało ich pożytecznie i pomyślnie.

Nauka i wychowanie żydowskie nie poszły w las! Widocznie żydzi odpowiednio uczyli i wychowywali swoje dzieci skoro one w wieku starszym potrafiły stworzyć u nas handel, otworzyć mnóstwo sklepów— i jakich! — warsztatów, fabryk, wykupić z rąk naszych większe części miast i miasteczek, a i dziś jeszcze prześcigać nas w wielu zatrudnieniach korzystnych!

Ciągle sami siebie tumanimy wymyślaniem złośliwem i szyderczem żydom, nazywając ich szachrajami, próżniakami, pijawkami, pasorzytami. A on głośno i pocichu śmieją się z nas ciągle.

I mają rację! Bo jeśli oni naprawdę nas oszukują i my o tem wiemy, to czemuż sami chodzimy do nich? Więc albo sami chcemy być oszukiwani, albo oni nie zawsze dopuszczają się oszustwa.

Zapewne, nie zawsze. Ale, jak mówi doświadczenie, żydzi nawet często potrafią oszukać na wadzę, miarze i gatunku — mimo to nasi chętnie nawiedzają ich sklepy.

Czemu? Dzieje się to wskutek starego przyzwyczajenia, które stało się u nas nałogiem zadawnionym. Lecz bardziej jeszcze dlatego, że żydzi potrafią nas ku sobie wabić swemi zaletami kupieckiemi! Umieją zaprosić, zachęcić, zachwalić towar, grzecznie przywitać, zapytać o zdrowie, o rodzinę, przypochlebić, wygodzić!

Z takiemi zaletami oni jednak na świat nie przychodzą! Nikt im darmo i odrazu takich zalet nie sprzeda! Tylko wychowanie domowe **musi** je w nich wypielęgnować, bo wszyscy rozumieją, jak te zalety są niezbędne, bo od nich głównie zawisło powodzenie w pracach zarobkowych. Toć z góry można być pewnym, że kupiec nawet najbieglejszy w swoim zawodzie, gdy w charakterze swoim ma wady takie, jak szorstkość, złośliwość, pychę, niegrzeczność, — napewno musi zbankrutować, bo stopniowo wszystkich odstręczy od siebie!

„Więcej much złowi się na kroplę miodu, niż na beczkę octu". Ta prawda, tak powabnie wyrażona przez św. Franciszka Salezego, przyda sie nie tylko zakonnikom, ale również wszystkim bez wyjątku pracownikom zawodowym.

Kto ludziom służyć chce pożytecznie i sam przytem zdobyć dla siebie powodzenie, — **musi** być kroplą miodu, a nie beczką octu!

Kroplą miodu są piękne zalety charakteru, któremi musi odznaczać się każdy pracownik.

Dziwnemu zaślepieniu podlega niejeden nasz rodak. Kocha swe dzieci. Niepokoi się o ich przyszłość. Przemyśla troskliwie, coby uczynić, żeby im kiedyś działo się dobrze! Na różne wpada pomysły, pcha do szkoły, bo nauka potrzebna, oddaje do rzemiosła korzystniejszego, gromadzi oszczędności na zapomogę dla nich, przymila się krewnym i znajomym bogatym i wpływowym, żeby potem przy ich pomocy otworzyć swoim dzieciom drogę do dochodniejszego zarobkowania, — a najmniej, lub nawet wcale nie zważa na zalety ich charakteru.

Oto niejednemu ojcu zdaje się, że piękne zalety charakteru chleba nie dadzą!

— Nauka i praca zawodowa, to grunt! — woła uroczyście i mocno ojciec.

Prawda, młot i kowadło niezbędne są kowalowi, ale on swemu młotu daje rączkę, a kowadłu podstawę również drewnianą, więc dość miękką, łagodną, a jednak mocną!

Taka oprawa miękka, łagodna, nie uwierająca niezbędnie towarzyszyć musi każdemu pracownikowi!

Ostrożnie z ludźmi! Nie w tem znaczeniu jedynie, żeby strzedz się ich, nie dać się im podejść, oszukać, lub obrazić, — ale i w tem także, iżby ich od siebie nie odpychać szpetnemi wadami swego charakteru.

Doprawdy, wierzajcie rodacy, że dacie swemu dziecku skarb wielki, wystarczający mu na całe życie, gdy zaopatrzycie je w naukę, fach i piękne zalety charakteru.

Dopiero gdy młodzieniec nabył sporo nauki, uzdolnił się w upodobanym zawodzie i jest w posiadaniu wypielęgnowanych przez staranne wychowanie domowe zalet charakteru takich, jak sprawiedliwość, stanowczość, odwaga, przedsiębierczość, zaradność, oszczędność, pracowitość, wytrwałość i serdeczna dla swoich życzliwość, oraz grzeczność uprzejma, — już on, będąc nawet bardzo ubogim, da sam sobie radę w dalszem życiu, zdobędzie pracę, powodzenie i przyjaźń ludzką!

Jak piękne hasło.

**pomagaj sam sobie!**

Przy tem dodają drugie podobne:

**umiej z niczego stworzyć dla siebie dorobek!**

Te hasła jednak są prawdziwe i najwłaściwsze

Ale jeśli trzeba iść po drodze życia przebojem to nie w tem znaczeniu, żeby walczyć z ludźmi, **jeno trzeba umieć zjednać sobie pomoc ludzką**

A kto napewno znajdzie dla siebie dużo sprzymierzeńców? Czy ten, który wadami odstręcza od siebie niemal każdego? Nie. Tylko ten, który zaletami swemi umie podbijać ludzi dla siebie

I znowu przytoczmy przykład, wzięty z życia.

W „Gazecie Świątecznej" z d. 2 sierpnia r. b, znajdujemy wiadomość o pożarze, który nawiedził wieś kościelną Sarnowo. Spaliło się wiele budynków, między innemi zgorzał sklepik żyda, Dawidka. Nie ten jeden sklepik był w Sarnowie. I parę innych istniało, lecz polskich. Polskie jednak nie podźwignęły się dla braku funduszów, — a żydowski niemal nazajutrz po pożarze już został otworzony tymczasowo w chlewku. A skąd Dawidek wziął pieniądze na nowy handel? Poratowali go natychmiast żydzi okoliczni. Dali mu pożyczkę bezterminową — i dzięki jej odrazu został ocalony!

Czy żydzi dopomogliby Dawidkowi, gdyby on był ich wrogiem? Nie. On im pomagał, kiedy mógł, — za to oni jemu dziś, kiedy on znalazł się w potrzebie.

Żydzi umieją pracować, umieją też pomagać sobie wzajemnie i zasługują na pomoc swoich.

Mają zalety. Skąd? Głównie dzięki wychowaniu domowemu.

I my, młodzi polacy, dziś przekonaliśmy się o niezbędności zalet charakteru!

Dom polski jeszcze nie wypielęgnuje w młodzieży zalet pożądanych, bo nie przygotowany do tego. Niech szkoła powszechna to uczyni!

Społeczeństwo powinno dla dobra młodzieży i swego zakładać jak najwięcej szkół zawodowych,—a szkoły powszechne powinny zmienić program nauk i wychowania.

Chcemy umieć nie tylko czytać, pisać i rachować, lecz nadto usłużyć wszystkim rodakom pożytecznie, a sobie pomyślnie!

Żyć z ludźmi i dla ludzi, współpracowac z niemi korzystnie i nawet radośnie nie nauczy nas warsztat, kantor i sklep. lecz tylko dom rodzinny i szkoła powszechna!

**Cena prenumeraty:** Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 25 października 1925 r. № 43.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# ZA CO TY WALCZYSZ POLSKI ŻOŁNIERZU?



Za co ty walczysz, za co ty giniesz,
Polski żołnierzu?

Za swojej ziemi wielkość i sławę,
Za jej mogiły święte i krwawe,
Za honor dziadów, za własną bliznę,
Za swoją całą dumną Ojczyznę,
Na której kresach sztandar rozwiniesz,
Polski żołnierzu!

Za co ty walczysz, za co ty giniesz,
Polski żołnierzu?

Za naszą miłość domów rodzinnych,
Za wolność swoją i wolność innych,
Za dni idących dobro i piękno
I za grób własny, na którym klękną,
Gdy ty się w ziarno, lub w kwiat rozpłyniesz,
Polski żołnierzu!

Za co ty walczysz, czego ty bronisz,
Polski żołnierzu?

Matki, co pacierz za ciebie szepce,
Maleńkiej siostry, co śpi w kolebce,
Ojca, co twardą pracą codzienną
Wykuwa Polsce przyszłość bezcenną,
Czci kraju, który piersią osłonisz,
Polski żołnierzu!

Za co ty walczysz, czego ty bronisz
Polski żołnierzu?

Każdego grodu, każdego sioła,
Każdego krzyża, co Polskę woła,
Pamięci ległych na polach bitwy,
Polskiej twej mowy, polskiej modlitwy
I orlej chwały, do której gonisz,
Polski żołnierzu!

Za co ty walczysz, cóż chcesz w nagrodę,
Polski żołnierzu?

Stanąć u armat, błysnąć w pałasze,
Odbić wrogowi, co twe i nasze,
Nad Karpat szczytem, Bałtyku tonią
Wionąć chorągwią z Orłem, z Pogonią,
Zwiastować życie, szczęście, swobodę,
Polski żołnierzu!

Za co ty walczysz, cóż chcesz w nagrodę,
Polski żołnierzu?

Polskę w potędze i w majestacie,
Śmiech w każdym domu, pieśń w każdej chacie,
Wolnych pod stropem wolnego nieba,
A jeśli trzeba,... a jeśli trzeba:
Oddać Ojczyźnie życie swe młode,
Polski żołnierzu.

**Artur Oppman.**

# U NAS, A NIE DLA NAS!

Zawsze i wszędzie mędrcy głoszą, że
**życie — to najlepszy nauczyciel.**

Ale podobno w szkole życia najwięcej bywa nieuków.

Tacy żałują poniewczasie, czyli, zmądrzeli dopiero po — własnej szkodzie...

A jednak życie uczy najzrozumialej, bo przykładami.

Tak niektórzy ludzie są nieuważni, małownikliwi, słabomyślący, że bardzo dla nich pożytecznej nauki, którą życie codzienne dostarcza im w najświeższych przykładach, nie potrafią przyswoić sobie!

Szkoda! Bo przecież nie wolno marudzić, zwlekać z nabywaniem wiedzy praktycznej.

Nigdy też nie wypada rozumieć życie, jako tylko zabawkę, — a tem mniej w latach młodzieńczych.

W młodości właśnie trzeba gromadzić nauki jaknajwięcej!

Sprobujmy teraz przekonać się, jaką naukę dają nam ogłoszenia wydrukowane w gazetach. To także jest głos życia codziennego.

W sześciu numerach „Głosu Lubelskiego" z 14 stycznia, 16 lutego, 16 czerwca, 7 lipca, 14 września i 7 października roku bieżącego znajdujemy wykaz urzędowy firm handlowych i przemysłowych, zapisanych w rejestrze Sądu Okręgowego w Lublinie.

Z tych wykazów dowiadujemy się, jakich zakładów handlowych i przemysłowych przybyło u nas w ostatnich czasach i kto je otworzył.

Wiadomości ciekawe i bardzo pouczające.

Okazuje się, że żydzi założyli w lubelskiem 315 nowych zakładów handlowych i przemysłowych,— a polacy tylko 194, czyli o 121 mniej.

A wszakże żydów w Polsce jest znacznie mniej, aniżeli nas, polaków.

Przy tej sposobności dowiedzmy się, ile żydów jest w całym świecie.

Niedawno, bo 12 paźdz. r. b. „Kurjer Warszawski" podał według najświeższych rachunków, zebranych przez „Univers Izraélite", liczbę żydów na kuli ziemskiej: 14,163,542, to jest mniej więcej 1 procent ludzkości.

Z liczby tej przebywa w Europie 9,232,576 żydów, co wynosi 2.1 procent ludności tej części świata.

W Rosji znajduje się 5,253,324 żydów, z czego przypada na Rosję europejską 2,626,607, a na Ukrainę 1,772,479. W Polsce znajduje się 2,829,456 żydów. W Rumunji 831,344. W Niemczech 575,000. Na Węgrzech 473,310. W Czechosłowacji 354,342. W Austrji 300,000. W Anglji 236,000. We Francji 150,000.

A w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej 3,500,000 żydów!

W Polsce tedy żydów jest nie całe 3 miljony, —a nas, polaków. blisko 30 miljonów i jednak żydzi dotychczas niemal całkowiecie **prawdziwy handel i przemysł** trzymają w swoich rękach. Bo wykaz firm, zarejestrowanych w Lubelskim Sądzie Okręg., zpewnością z małemi zmianami podobny jest do wykazów w innych Sądach w całej Polsce.

Dotychczas rodacy nasi imają się najłatwiejszych handelków, wymagających małego przygotowania fachowego i drobnego kapitaliku. Dlatego właśnie najwięcej zakładamy tak zwanych sklepików spożywczych.

Świeżo otworzono w tym roku 71 takich handelków polskich. A żydzi otworzyli takich tylko 57.

Zróbmy porównanie bodaj niektórych zakładów:

| | Polskie | Żydowskie |
|---|---|---|
| Handel nabiałem, cielętami | — | 5 |
| Starzyzna, ubrania | — | 10 |
| Naczynia kuchenne i stołowe | — | 8 |
| Łokciowizna | 7 | 42 |
| Drobiazgi | 1 | 19 |
| Mięso | 2 | 10 |
| Wędliny | 10 | — |
| Galanterja | 3 | 13 |
| Czapki | 1 | 2 |
| Żalazo | — | 14 |
| Futra | — | 2 |
| Owoce, woda sodowa | 2 | 11 |
| Papier, piśmienne materjały | 1 | 5 |
| Skóry | 1 | 7 |
| Bydło | — | 3 |
| Konie | — | 3 |
| Garbarnie | — | 3 |
| Olejarnie | — | 2 |
| Nafta | 1 | 2 |
| Zboże | 1 | 22 |
| Piekarnie | 4 | 2 |
| Drukarnie | 1 | 1 |
| Sprzedaż wódek | 5 | 3 |
| Drzewo opałowe i węgiel | 1 | 8 |
| Piwiarnie | 4 | 4 |
| Tartak parowy | — | 1 |
| Sklepy tytoniowe | 7 | — |
| Fabryka świec | — | 1 |
| Chustki | — | 2 |
| Drób | — | 1 |
| Mąka | — | 1 |
| Fabryka cykorji | 1 | 1 |
| Gorzelnie | — | 2 |
| Meble | — | 1 |
| Przybory szewckie | — | 1 |
| Kąpiele | — | 1 |
| Odlewnia żelaza | — | 1 |
| Sprzedaż obuwia | 1 | 3 |
| Pierze | — | 1 |
| Narzędzia rolnicze | — | 1 |
| Hotel | — | 1 |
| Wata | — | 1 |
| Bielizna | — | 1 |
| Krawiec | — | 1 |
| Handel leśny | — | 1 |

Uważnie wniknąwszy w wykaz zakładów polskich i żydowskich, ogłoszonych w lubelskim Sądzie Okręgowym, w roku bieżącym, rzuca się nam w oczy przedewszystkiem to, że rodacy nasi prawie wcale nie trudnią się **kupiectwem.**

W rękach naszych jest więcej zakładów bądź

rękodzielniczych, bądź kramarskich i—że tak się wyrazimy—partackich, to jest łatwych dla tych, którzy chwytają się byle jakiego zajęcia, aby tylko cośkolwiek zarobić na utrzymanie, jak: jadłodajnie (sześć), — piwiarnie (cztery),— dystrybucje (siedem) — spożywcze (71),—a najmniej kupieckich, jak: łokciowizna (siedem), skóry (jeden), narzędzia rolnicze (dwa), zboże (jeden), drzewo budulcowe (jeden).

Życie każe odróżniać handelek od kupiectwa, bo istotnie jest między niemi wielka różnica, jak między łaciarzem, a szewcem, albo między grajkiem i muzykantem.

Do kramarstwa, albo handelkowania może każdy przystąpić bez żadnego przygotowania, byle miał trochę grosza, sprytu i biegłości w mowie.

Natomiast kupiectwo jest fachem, jak każda inna praca zawodowa, wymagająca sporego wypraktykowania u doświadczonych mistrzów specjalistów.

Toć nikt nie potrafi odrazu podjąć się, dajmy na to, handlu końmi, bydłem, łokciowizną, skórami, narzędziami rolniczemi, lecz pierwej musi obeznać się z wybranym towarem należycie pod kierunkiem odpowiedniego specjalisty.

Sklepik spożywczy prowadzić zdoła chyba każdy bez wyjątku, aby tylko, oczywiście, umiał rachować i zjednać sobie przyjaźń ludzką. A zbożem, żelazem, skórami — nie każdy! Nie oto chodzi jedynie, by umieć odróżnić pszenicę od jęczmienia,— żelazo od stali, — jucht od chromu, ale trzeba dokładnie zapoznać się z sposobami kupna i sprzedaży swego towaru.

W kupiectwie kupno i sprzedaż stanowią osobną naukę długą i dość trudną.

My, polacy, powinniśmy nad temi szczegółami zastanowić się bardzo starannie.

Już potrafimy narzekać na to, że handel u nas niemal wyłącznie prowadzą żydzi. Warto wszelakoż zauważyć, że samem narzekaniem nie odstręczymy żydów od handlu, a swoich do niego ani zachęcimy, ani przysposobimy!

Kupiectwo — powtarzajmy sobie to jaknajczęściej — jest pracą zawodową taką, jak każdy inny zawód trudny i mozolny!

Jeżeli kowalstwa, ślusarstwa, szewctwa, kołodziejstwa i innych, tym podobnych rękodzieł, nie zdołamy nauczyć się napoczekaniu, — podobnież kupcami nie staniemy się w jednej chwili.

Uwaga ta jest dla nas, niestety, nie zbyteczna! Bo czas ucieka, — a my stoimy w miejscu, ciągle łudząc się mniemaniem zwodniczem, że gdy tak narzekać będziemy na żydów, zagarniających w moc swoję wszystek handel w Polsce, — to kiedyś, pewnego poranku pięknego, młodzież nasza hurmem rzuci się nagle do zakładania sklepów kupieckich.

A no, narzekajmy i — czekajmy, a niechybnie doczekamy się tego, że żydzi, po zagarnięciu handlu i przemysłu w Polsce — zagarną resztę majątków naszych!

Nareszcie utrwalmy w sobie to przeświadczenie mądre, jako zbawczą przestrogę życia, że

**narzekanie i czekanie nigdy nikogo nie przygotowały do trudnej pracy zawodowej!**

Wszelka uczciwa praca pożyteczna to potęga olbrzymia, dźwignia prawdziwa, szczęście i radość człowieka!

Tylko pracy zawdzięczamy byt pomyślny, niezależność, powagę, poszanowanie i przyszłość bezpieczną.

Ale pracy nie byślejakiej — **im staranniejsze przygotowanie, — tem doskonalszy pracownik.**

Ta prawda powinna być złotemi zgłoskami napisana w każdym domu rodzinnym.

Mówią, że dawniej (a może i dziś jeszcze) było u chińczyków prawo, skazujące ojca na karę ciężką, jeżeli nie nauczył dziecka pracy zawodowej.

Chyba i u nas takie prawo musi być ustanowione i obowiązujące pod karą ciężką!

Ciągle umiemy narzekać również i na młodzież naszą, że „strasznie rozleniwiona" dużo czasu traci na zabawki, włóczęgi i czcze gadulstwo.

No, dajmy na to, że to wszystko prawda o młodzieży naszej, — lecz, zapytajmy swego rozsądku, czy już tem narzekaniem złe wykorzenimy?

I oto w tej chwili zaczyna się inna piosenka narzekalna: „Brak nam —biadają rodzice—sposobów do nauczenia dzieci naszych pracy zawodowej. Szkół fachowych zamało mamy w kraju, nie posiadamy też funduszów na wynagrodzenie majstrów, u których dzieci nasze mogłyby się nauczyć roboty, a wyznajmy przy tem, że nawet i majstrów zdatnych niewielka jest u nas liczba!

Na to wszystko rada trudna! Zgoda. Ale czy nam nie wstyd, gdy żydom, — których liczebnie jest mniej w Polsce, aniżeli nas,— i my nawykli dość hardo traktować żydów, — jednak nie brak sposobów do nauczenia się wszelkich prac nawet najtrudniejszych, a my ciągle tylko pojękujemy, jak niedołęgi, albo jak leniuszkowie filuty, skłonni przyczyny wszystkiego złego upatrywać w innych, a nie w sobie!

Gdzież żydzi nauczyli się prac zawodowych?

— W szkole życia! — odpowiadamy.

W dawnych czasach nie znano zawodowych szkół takich, jakie są dzisiaj. Żydzi sposobem samouczkowym zdobywali w życiu codziennem przydatne wiadomości fachowe. Zresztą jedni drugich pouczali. Doświadczeni i biegleisi nie skąpili uwag swoich — początkującym. A nadewszystko ich sklepy, magazyny, kantory bywały główną szkołą pracy dla młodzieży żydowskiej.

I my czyńmy to samo, — nawet więcej! Stać nas na to, bo mamy swoje szkoły powszechne.

Jeżeli — podług prawa chińskiego — ojcowie **obowiązani** nauczyć swe dzieci pracy zawodowej, to również całe społeczeństwo **obowiązane** pomagać w tem ojcom. Bo przecież społeczeństwo to nic innnego, jak zrzeszenie, czyli zjednoczenie się bardzo wielu ojców w jeden związek olbrzymi. Ojcowie powinni wzajemnie wspomagać się w przygotowaniu własnych dzieci do pracy zawodowej. A wspomagać się zdołają doskonale przy pomocy swoich szkół powszechnych. Tylko trzeba te szkoły nagiąć do głównych wymagań życia codziennego.

Dziś szkoły powszechne wołają do dzieci:

— Uczcie się geografji, historji, gramatyki, rachunków!

A teraz nadto jeszcze powinny upominać:

— Uczcie sie pracować pożytecznie!

Oczywiście, samo nawoływanie jeszcze nie nauczy pracy fachowej. Lecz jeśli szkoła uzna za potrzebne skłaniać dziatwę do pracy, to zarazem zacznie **duszę i charakter dzieci** przysposabiać do pracy...

Istotnie, już od wczesnych lat dziecko trzeba duchowo oswajać z pracą, a więc niech w niem zawczasu obudzi się umiłowanie pracy, cześć dla niej, oraz zrozumienie znaczenia pracy w życiu poszczególnego człowieka, rodziny i narodu.

Pożyteczność i dostojeństwo moralne pracownika zależą nietylko od jego znajomości i biegłości fachowej, ale niemniej i od jego moralnych zalet charakteru.

Nadto jeszcze należy umysł dziecka wcześnie uczynić bystrym, spostrzegawczym, wynalazczym i przedsiębierczym.

Niejedno dziecko, mając tak rozbudzony umysł i zapoczątkowane zalety charakteru, zpewnością gdy wejdzie w lata młodzieńcze już całą duszą rwie się do pracy. Uczy się jej szybko, dokładnie i nawet doskonale. Odznacza się samozaradnością i przenikliwością wielką. Prześciga starszych. Nie poprzestaje na naśladowaniu ich, ale zagląda do książek fachowych i sam zdobywa się na śmiałe pomysły, ulepszenia nowe. Tak sam toruje sobie i rodakom swoim świeże drogi do handlu i przemysłu.

Trzeba uczyć młodzież nietylko naśladować starszych pracowników, lecz również doskonalić samodzielnie swoje przyszłe prace zawodowe...

Dziś nie stać nas na założenie naraz wielu szkół zawodowych i mnóstwa sklepów, w których nasza młodzież mogłaby w sposób praktyczny przygotować się do handlu, — a jednak już dziś musimy zachęcać ją, nawet namawiać do imania się handlu!..

Trzeba ją przedewszystkiem duchowo usposobić stosownie. Niezbędne są dla niej do prowadzenia pracy pomyślnie: odwaga, przedsiębierczość, zaradność i ustawiczne uczenie się z napotykanych w życiu przykładów.

Życie uczy doskonale, — tylko trzeba umieć wsłuchać się uważnie w jego wykłady przedziwne.

Czy nie tak żydzi wdrażają młodzież swoję, nawet dzieci, do handlu? Czy nie spotykacie po wsiach wyrostków żydowskich, skupujących zboże, drób, jajka, konopie?

Potrafi nasz niejeden chłopiec już bardzo wcześnie naśladować w złem starszych: w hulance i paleniu papierosów, — a miałżeby mniej być pochopnym i zdolnym do naśladowania w pracy fachowej?

Ależ tak! W niejednym chłopcu, prawie jeszcze dziecku, objawiają się już duże zdolności i ładne zalety do prac trudniejszych. Zauważyć to można w ubogiej rodzinie, którą odumarł ojciec, albo jest chorowity, stary. Mają synka wyrostka, ale jaki z niego robotnik walny! Sam się uczył roboty, podpatrując sąsiadów. Jak on potrafi ładnie zaorać swe pólko, zabronować! Sam zmajstrował grabie, drabinki do wozu, a potem nawet zrobił dla ojca młynek! Później przyszła mu ochota zaopatrzyć swoję gospodarkę w pasiekę — i sam wziął się do zbudowania uli. Pierwsze udały mu się nieszczególnie. Ale następne już tak dokładnie wykonywał, że sąsiedzi podziwiali je i u niego zamawiali chętnie dla siebie!

— Gdzie się on tego wszystkiego nauczył? Takie niejeden sąsiad zadawał sobie pytanie, przemyślając zdumiony, bo przecież od maleńkiego znał tego chłopca i wiedział, że prawdziwie nikt go tych prac nie nauczył starannie.

Chłopiec był zdolny, pojętny i ognisty do pracy! Robota „paliła mu się w rękach“. ...

A takich chłopców i młodzieńców, doprawdy, u nas nie rzadko zdarza się spotykać!

Najczęściej marnieją zdolności, bo nie dano im jednej myśli śmiałej i zbawczej:

— Zacznijcie! Nie trwóżcie się, bo tchórzostwo — to najgorszy doradca, wróg szczęścia, które zazwyczaj w życiu zdobywa się przebojem, wysiłkiem ciężkim i wytrwałym!..

Kto ma dać młodzieży naszej tę myśl śmiałą, jako hasło i bodźca na drogę życia?

Kto? — Rodzice i szkoła powszechna!

Tak! Rodzice i szkoła muszą wziąć się za ręce, bo jeden cel mają na oku: wychować młode pokolenie wedle wymagań nowego życia.

Dziś trzeba człowieka dostroić do potrzeb dzisiejszych!

Oto co pisze niejaki Jan Sołdrowski w „Kurjerze Warszawski“ z dnia 21 października r. b.

„Niech runą — słowa jego — nasze przesądy szlacheckie! Przygotowujmy młodzież nie do gotowych posad, do gniazd lenistwa i rutyny, lecz do tworzenia nowych warsztatów pracy! Gdy nas gniotą różne redukcje (umniejszanie liczby pracowników), jednocześnie cudzoziemcy otwierają u nas nowe przedsiębiorstwa, eksploatują bogactwa kraju obok których my niedołężnie przechodzimy, bo nas nie nauczono z nich korzystać. Niech więc każdy staje się fachowcem bez względu na przesądy kastowe, a stanie się Polska armją 25-miljonową pracowników, którzy zdobędą jej jasną przyszłość. Niech minie Polska dyletantów, znudzonych urzędników i urzędniczek, a niech wstanie Polska fachowych pracowników, którzy wprost od przyrody ojczystej umieją brać bogactwo własną dłonią. Niech każdy dar polskiej przyrody ma swoich fachowych opiekunów, a wtedy nasz pieniądz będzie niewzruszony.

„Dotychczas Polska oddana jest na łup i pastwę fachowców cudzoziemców. Naród żyje w niewoli ekonomicznej. I nic dziwnego. Niemasz bowiem szkół, któreby uczyły „żyć ze światem“. W Niemczech na 63 miljony ludności jest 26.000 szkół zawodowych, a u nas na 30 miljonów jest tychże szkół 829. Co za stosunek! Dlatego Niemcy, mimo przegranej wojny, są potęgą ekonomiczną Europy i nas wyrobami swemi zalewają!

„Więc stwórzmy szkolnictwo narodowe, odpowiednie potrzebom realnego życia, **przygotowujące do pracy**. To będzie początkiem Polski nowoczesnej, fachowej, wtedy niepodległość polityczną ukoronujemy niepodległością ekonomiczną i stworzymy potęgę, która stanie się fundamentem zdrowej kultury duchowej narodu. Reforma zamierzona obecnego ministra do tego zmierza. Główne jej idee stanowią ogromny postęp ku Polsce nowoczesnej. Oby jaknajumiejętniej je urzeczywistniono!"

Tak brzmi głos życia.

Wnikając w jego osnowę, dochodzimy do wniosku, że trzeba nam wszystkim wziąć się do usilnej pracy pożytecznej we wszelkich dziedzinach handlu i przemysłu! Musimy zaniechać wyręczania się obcemi w tem, co sami możemy i powinniśmy wykonać.

Zamało zwracaliśmy dotychczas na to uwagi. Prawie lekceważyliśmy swoje potrzeby najpilniejsze. Jakoś schodziło! Obcy korzystali z bogactw Polski, a my, Jej dzieci, ubożeliśmy i młodzież nasza rozleniwiała się zgubnie!

Dziś, — nieco przypóźno, niepokój nas ogarnia, dręczy pytanie: co stanie się z młodzieżą naszą? co damy jej do roboty, by sama zapracowała na swoje utrzymanie dostateczne? Czy wysyłać ją zagranicę na roboty? Po co? Alboż u siebie, w kraju, nie mamy co robić?

Jest u nas roboty bardzo dużo, — lecz nie dla nas, dla obcych, bo **oni lepiej przygotowani do pracy zawodowej!**

Co tedy mamy uczynić, ażeby każda praca u nas dostała się nie w obce, lecz w nasze ręce? Czy mamy czekać, aż posiądziemy tyle szkół zawodowych, ile ich potrzebujemy niezbędnie?

Owszem, szkół zawodowych powinniśmy mieć jaknajwięcej, — ale „zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje"...

Czas ucieka, niedostatek dokucza, młodzież rozpróżniaczona nudzi się, gorzknie, tęskni do zatrudnienia pożytecznego.

— Więc?

— Nie traćmy czasu! Czyńmy dziś to, co dziś już możemy i powinniśmy uczynić dla polepszenia bytu swojej młodzieży!

Otóż powtórzmy raz jeszcze tę prawdę bolesną, którą nam życie niemal trąbi w uszy:

Młodzież wasza przeważnie jest leniwa, albo ociężała, gnuśna, bo, doprawdy,

**nie nauczono jej kochać pracy!**

Uwaga! Serce nie sługa! Nie można mu **nakazać umiłowania pracy!**

Trzeba serce młodziutkie **wychować** tak, ażeby ono samorzutnie, nic o tem nawet nie wiedząc, ukochało pracę, jako najlepszy sposób urzeczywistnienia swoich zacnych i pięknych zamiarów!...

Nieszczęśliwy ten, któremu okrutnik, ręce i nogi związawszy, opowiada o przepięknych planach życia: co i jak można zrobić, jakie z tych robót wynikają korzyści obfite i wspaniałe, wreszcie woła do skrępowanego: wstań, idź, czyń, a sam szczęśliwość błogą zapewnisz sobie!

Nieszczęśliwemu ust nie zakneblował, więc niemi złorzeczy okrutnikowi, mówiąc:

— Czemu pastwisz się nademną! Skazałeś mnie na bezsilność, — a teraz powabnemi obrazami pobudzasz do pracy! Radbym ją wykonać, ale nie mogę ruszyć ni ręką, ni nogą! Uczyniłeś mnie kaleką nieszczęśliwym!

Dużo naszych młodzieńców podobnych jest do onego kaleki, — tylko z tą różnicą, że chyba nikt ich nie pobudza do pracy powabnemi obrazami korzyści, jakie ona daje w nagrodę tym, którzy ją miłują!

Nasi młodzieńcy są silni i zdrowi

Nie miłują pracy?

Niech dom rodzinny i szkoła powszechna roznieca w ich sercach ukochanie pracy.

Taki jest początek wychowania młodzieży do pracy...

Na miłości pracy, jako fundamencie, trzeba utrwalić umysł ruchliwy, wynalazczy, pomysłowy. Przy nim wypielęgnować zalety charakteru: zaradność, odwagę, wytrwałość, panowanie nad sobą, powściągliwość wielką!

Tak wychowani młodzieńcy nasi staną się obecnie w Polsce jakgdyby pionierami amerykańskiemi.

Młodzieńcy, musicie **sami sobie** stworzyć pracę!

Nie czekajcie, aż wam dadzą, zaproszą, pokażą, nauczą, lecz sami poszukajcie jej, a znajdziecie niezawodnie!

Najmożliwsze to jest w handlu i przemyśle drobnym.

Wyszczególnijmy narazie handle i przemysły takie, które mogą być w każdej chwili rozpoczęte dość łatwo przy niewielkim kapitaliku:

skup jaj i dostawa ich do większych zbiornic,

obnośna rozprzedaż po wsiach i miasteczkach książek i gazet,

drobne szkółki drzewek owocowych,

suszarnie owoców,

hodowla cebuli i ogórków,

plantacje truskawek w pobliżu miast większych,

spółkowy handel zbożem,

skup drobiu i cieląt, oraz bydła na potrzeby miasta,

fabrykacja zabawek dziecinnych,

szczotkarstwo, guzikarstwo i koszykarstwo

jedwabnictwo,

wyrób lasek i szkatułek drewnianych

wyrób cementowych kręgów studziennych i dachówek również cementowych, lecz udoskonalonych tak, aby odznaczały się lekkością i trwałością

cegielnictwo i pszczelnictwo w okolicach odpowiednich,

kaflarstwo również nie jest trudne, a bardzo się przyda, bo kafel łatwiej rozgrzać, aniżeli grube cegły!

łokciowe towary i drobną galanterję korzystnie można na plecach w większym tłomoczku roznosić po wioskach bardziej oddalonych od miasta i zwłaszcza podczas pory błotnistej.

Zdałoby się też tam, gdzie są miasteczka i wsie duże, urządzić hodowlę kwiatów doniczkowych. Zpe-

wnością dużo byłoby nabywców chętnych. Bo chyba każdy miłuje kwiaty i radby je mieć u siebie na oknie w mieszkaniu.

Albo czemu każda wieś nie ma u siebie krawca polskiego? Szwaczek już jest dużo wszędzie, bo kobiety i dziewczyny nie mają zwyczaju nabywać na straganach ubrań dla siebie gotowych. Ale skąd się wziął zwyczaj sprzedawania ubrań gotowych dla mężczyzn? Jest to pomysł krawców żydowskich. Gdy krawcy żydowscy nie mogą osiedlić się w wioskach naszych, to przynajmniej posyłają tam swoje roboty gotowe.

Ubrania na straganach podczas targu lub jarmarku sprzedawane, zwykle wykonane są popartacku. Zapobiedz temu potrafią krawcy polscy. Niech jeno posiada ich poddostatkiem każda wieś duża i miasteczko każde!

Za naukę majster-krawiec polski chyba nie dużej zapłaty zażąda. Młodzieniaszek pojętny w niedługim czasie nauczy się sztuki krawieckiej i niebawem bardzo tanio w domu swojej rodziny założy swój warsztacik. Mieszkańcy miejscowi będą mieli z niego wygodę wielką!

Życie wielokrotnie przekonało, że niejeden młodzieniec zdolny i rzutki, śmiały, przedsiębierczy, otrzymawszy zaledwo małe początki szkolne i prawie bez żadnej zapomogi, sam znalazł dla siebie narazie robotę najzwyklejszą, lecz wprędce utorował sobie drogę do pracy trudniejszej i korzystniejszej. Już nie zatrzymał się w nizinach. Szedł w górę ciągle. Wykierował się bądź na majstra, bądź na kupca, bądź nawet na przemysłowca—właściciela fabryki...

Takich przykładów historja życia codziennego dostarcza tysiące!

Ubóstwo to nie kalectwo nieuleczalne!

Rozsądek, pracowitość, odwaga i szybka zabiegliwość, oraz umiłowanie wiedzy — potrafią w najtrudniejszych okolicznościach znaleźć pracę i zarazem z niej wydobyć bardzo dużo pożytku dla gromady.

Rodakom naszym nie brak wielu talentów. W świecie całym uchodzą za zdolnych pracowników. Tylko podobno zamało mają odwagi i przedsiębierczości. Dziwnej niekiedy doznają nieśmiałości, a wygląda ona tak, jak gdyby wstydzili się pracy!... Nawet nierzadko daje się to zauważyć w tych, którzy podejmują się nowej i mozolnej pracy, a powodzenia są jeszcze niepewni...

Zaczynają lękliwie, poglądają na znajomych i wielce przejmują się ich kpinkami, lub choćby tylko uśmieszkami!

Doprawdy, niejeden rodak tylko dlatego, że lęka się śmiechu ludzkiego, nie chce wziąć się do nowej pracy pożytecznej.

— Może być—powiada taki —że praca ta zczasem opłaciłaby się, ale sąsiedzi śmieliby się ze mnie, drwiliby i to odjęłoby mi spokój, pewność siebie i ochotę!... Niechtam, wolę biedować, niż narażać się na drwinki złośliwe!...

I takich wśród nas nie brakuje, którzy nad własnym pomysłem nowym, lub postronną zachętą do pracy nowej zbyt długo namyślają się, zasięgają rady u wielu osób, dużo mówią o tem i podejrzliwie przewidują mnóstwo trudności, zawodów. Zdolni są sami siebie raczej zniechęcać, aniżeli dodawać sobie wiary, otuchy!

Zadługa rozwaga studzi u nich zapał, zabiera drogi czas — i częstokroć sprawia to, że inni sprzątają im z przed nosa tę robotę korzystną!..

Dopiero gdy się o tem dowiedzą, a pozniej jeszcze sprawdzą, jak ta robota innym dała świetne dochody, wpadają w gniew straszny, rozpaczają, upadają na duchu, doreszty tracą wiarę w siebie i zawczasu stają się — jak się to zwykło mówić — do niczego na całe życie swoje!...

Niedołężni, nieradni i... tchórzliwi!

Życie, zwłaszcza w tych czasach, nakazuje ludziom postarać się o umysł bystry, przedsiębierczy, oraz o charakter śmiały, stanowczy i wytrwały.

A w jaki sposób można zaopatrzyć się w takie zalety?

Nikt ich nie otrzyma w podarunku, ani nie kupi za górę złota!

Tylko jeden jest na nie sposób:

**Wychowanie** domowe i szkolne może, nawet powinno je bardzo starannie wypielęgnować w każdem dziecku polskiem!

A jeżeli komu tak się nieszczęściło, że ani dom rodzinny, ani szkoła nie dały mu tych zalet niezbędnych,—to wreszcie sam je może w sobie nawet doskonale wypielęgnować bardzo długą, cierpliwa i umiejętną pracą, borykając się nieraz boleśnie i ciężko z przeciwnościami i pokusami silnemi!...

Zatem rodzina polska i polska szkoła powszechna obowiązane bardzo starannie i umiejętnie wychować młodzież polską do nowych prac pożytecznych!

Te dwie instytucje są przedewszystkiem odpowiedzialne za niepomyślny byt ekonomiczny narodu polskiego!

Bolejemy chyba wszyscy nad tem, że w Polsce jest bogactw dużo, robót korzystnych mnóstwo ale nie dla nas, polaków, tylko dla obcych!

Obcy u nas tuczą się, zbogacają, byt mają dostatni,—a nasi rodacy ubożeją, lub wędrują za chlebem w dalekie krainy!

Kto temu winien?

Narazie oburza nas niedołęstwo, bezradność tchórzliwość wielu rodaków.

Gniewamy się na nich, ale czy słusznie? Czy można odrazu zmienić swe wady na zalety?

Za temi przeto winowajcami ukryci są inni, większi winowajcy, ci, co powinni byli wychować ich zgodnie z wymaganiami życia...

Życie żąda i uczy! Za głosem jego niech idą rodzice i szkoła powszechna.

Teraz jawi się przed nami prawda niesłychanie ważna tej treści:

Gdy rodzice nasi i polska szkoła powszechna wywiążą się doskonale ze swych obowiązków wychowawczych,—to napewno

**wszystkie bogactwa polskie dostaną się tylko w ręce polskie!**

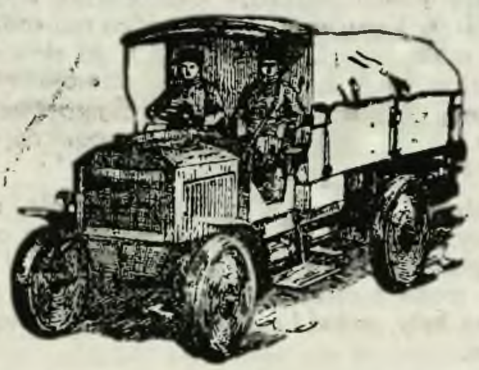
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 1 listopada 1925 r. № 44.



TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



**Takie samochody posiada armja niemiecka do przewożenia naboi.**

# ZIARNKO DO ZIARNKA!

Nadspodziewanie prędko spełniły się nasze pragnienia. W początku października (w № 40) pisaliśmy o potrzebie urządzenia kasy oszczędności przy każdej szkole powszechnej, a oto już dnia 13 październik r. b. „Kurjer Warszawski" ogłosił wiadomość podług „Dziennika urzędowego" (№ 15), że P. Minister oświaty polecił władzom szkolnym założyć przy szkołach kasy oszczędności.

Odezwę P. Minister oświaty w całości podał tygodnik warszawski „Oszczędność" z dnia 18 października r. b. (№ 23—24).

„Jedną z najistotniejszych potrzeb gospodarczych społeczeństwa — pisze P. Minister — jest potrzeba oszczędzania. Potrzebę tę uświadamiają sobie wszystkie warstwy ludności, rozumiejąc, że oszczędność zapewni trwały i pewny byt państwa i jego obywateli.

„Szkoła, której zadaniem jest wychowanie obywateli, zdolnych do życia i pracy twórczej, nie może pozostać objętna na najżywotniejsze potrzeby gospodarcze społeczeństwa. Jej zadaniem jest między innemi wpajanie w młode pokolenie, przyszłych budowniczych Państwa, zrozumienia wartości pieniądza, konieczności oszczędzania, a w związku z tem obracania rozporządzalnych środków pieniężnych na cele, najbardziej odpowiadające interesowi i potrzebom ludności.

„Spełniając swoje zasadnicze zadanie, winna szkoła wziąć czynny udział w organizacji oszczędności. Należy pamiętać o tem, że ci, którzy obecnie kosztem wyrzeczenia się łakoci lub zabawek oszczędzają grosze w dzieciństwie, w przyszłości potrafią zpewnością oszczędzać tysiące i budować rzeczy wielkie. Dlatego też władze szkolne i liczne zastępy nauczycielstwa, świadomego wielkich zadań i celów społecznych, winny baczną uwagę poświęcić sprawie organizacji oszczędności wśród młodzieży szkolnej. W akcji tej niezbędne będzie ścisłe porozumienie z instytucjami społecznemi, w których zakresie działania leży gromadzenie oszczędności, a które cieszą się zaufaniem ludności. Do instytucji tych należą: Pocztowa Kasa Oszczędności, Komunalne Kasy Oszczędności, Gminne Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowe, a przedewszystkiem spółdzielcze kredytowe, jak Kasy Stefczyka, Banki Ludowe i t. p. Niektóre z tych instytucji społecznych mają już pewne doświadczenie w zakresie organizacji Szkolnych Kas Oszczędności. Opracowały instrukcje, przygotowały środki pomocnicze i gotowe są współpracować ze szkołą.

„Dyrekcje i kierownictwo szkół, po porozumieniu się z powyższemi instytucjami i przy ich pomo-

cy, mogą przeto przystąpić zaraz do organizacji Szkolnych Kas Oszczędności.

„Ministerstwo nie wątpi, że liczne szeregi nauczycielstwa szkół wszelkich kategorji, znane ze swej wydatnej pracy społecznej, wezmą i w organizacji Szkolnych Kas Oszczędności żywy udział, a spełniając w zrozumieniu ogólnego obowiązku wychowawczego i ten obowiązek wobec młodzieży, umożliwią urzeczywistnienie wielkiej idei w szkole i społeczeństwie przez organizowanie pogadanek po za szkołą, wykładów, urządzenie uroczystego „dnia oszczędności“ i t. p.

„Obok pracy nad młodzieżą otwiera się da nauczycielstwa wdzięczne pole oddziaływania na szersze sfery społeczeństwa.

„O rozmiarach akcji w tym kierunku na terenie Okręgu szkolnego i o osiągniętych rezultatach zechce Kuratorjum przesłać sprawozdanie do dnia 1 stycznia 1926 roku.

Warszawa, 18 września 1925 r.
Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego
(—) St. Grabski“.

Redakcja tygodnika „Oszczędność“ dodała od siebie do powyższej odezwy te uwagi:

„Niezwykle głębokie i przewidujące ujęcie sprawy przez P. Ministra St. Grabskiego, stanowi mocne wezwanie do Komunalnych Kas Oszczędności i Spółdzielni, aby spełniły swój obowiązek wychowawczy.

„Idea oszczędności przeniknie w społeczeństwo głęboko i trwale jedynie przez młodzież.

„Wrota szkoły dla pracy wymienionych w okólniku instytucji stoją otworem. Hasło: „Oszczędzaj i ucz oszczędzać“ winno znaleźć praktyczne zastosowanie na tym najwdzięczniejszym terenie, jaki stanowi młodzież“.

# Szkolne kasy oszczędności.

Zpewnością niejednego rodaka naszego nawet oburza pomysł nowy o kasie oszczędności przy szkole.

— Ależ tak, — woła ten i ów rodzic — jeszcze tego utrapienia nie mieliśmy, więc dodano je nam dla powiększenia ciężarów.

A jednak, doprawdy, kasy szkolne nic a nic nie sprawią kłopotu rodzicom, owszem, przyczynią się do wypielęgnowania w dzieciach nawet niejednej zalety, bardzo pożytecznej w życiu.

Kasy oszczędności przy szkołach — to nie nowość! Już one oddawna powstały w innych krainach.

Szkoła — pisze Kirszrot - Prawnicki — winna kształcić nietylko umysł, ale i charakter ucznia, najskuteczniejszą nauki tej metodą jest przyzwyczajenie młodzieży do wstrzemięźliwości, do panowania nad sobą, do odmawiania sobie zachceń i zabawek dla rzeczy ważniejszych i trwalszych. Oszczędność jest tedy nietylko środkiem do zdobywania dóbr materjalnych, ale także narzędziem edukacyjnem, pedagogicznem.

Dopiero wychowanie nadaje kształt dziecku. Co szkoła z niego robi, tem na całe życie pozostaje. Dziecko, które od młodości przyzwyczajone jest do oszczędzania, będzie miało siłę i w dojrzałym wieku stawiać opór wszelkiego rodzaju pokusom.

Temi zapewne myślami kierował się belgijczyk, Franciszek Laurent, kiedy w r. 1866 zaproponował komisji edukacyjnej w Gandawie, aby do planu szkolnego wprowadziła naukę oszczędności.

Laurent, profesor prawa cywilnego, autor wielu znakomitych dzieł treści filozoficznej i prawnej, był twórcą i niezmordowanym popieraczem szkolnych kas oszczędności. Za jego inicjatywą powstała pierwsza taka kasa w r. 1866 w Gandawie (Belgji) i jeżeli ona doszła do świetnych rezultatów, a nawet w krótkim czasie nietylko całą Belgję, lecz i inne kraje do naśladownictwa pobudziła, ma ona to w znacznej części do zawdzięczenia zamiłowaniu, z jakiem Laurent dziełu swemu się poświęcał. Stał się on poprostu apostołem oszczędności, ucząc rodziców uczniów i nauczycieli, jak mają tę cnotę pielęgnować.

Kiedy Laurent przychodził do szkoły, nie zadawalniał się wiadomością, ile każdy uczeń w ciągu tygodnia zaoszczędził, lecz badał źródło, z jakiego oszczędność pochodzi, a gdy się dowiedział, że którykolwiek z nich pieniądze kieszonkowe wydał na łakocie, a do kasy wniósł tylko to, co mu rodzice specjalnie na ten cel dali, strofował go słowami: „Toś ty zupełnie taką samą zrobił oszczędność, jak ten posłaniec na rogu ulicy, który mógłby w ten sam sposób jak ty, pieniądze twoich rodziców do kasy przynieść“.

Ażeby ucznia takiego naprowadzić na drogę poprawy, kazał mu do siebie po upływie ośmiu dni list napisać z wykazaniem użytku, jaki w ciągu tygodnia zrobił z otrzymanych od rodziców pieniędzy. Ciekawe były, mówi Laurent, te listy dziesięcioletnich malców.

Nauczycielom i nauczycielkom zalecał Laurent ażeby matkom, przyprowadzającym dzieci swe do szkoły, wykładali znaczenie oszczędności i nakłaniali je, ażeby niedorzecznemi pieszczotami nie wytwarzały w swych dzieciach skłonności do marnotrawstwa

W początkach napotykał Laurent niechęć ze strony rodziców, którzy nietylko dobrego przykładu dzieciom nie dawali, ale nawet odbierali im zaoszczędzone pieniądze, zczasem jednak dzieci nabrały zamiłowania do oszczędności i nawet oddziałały na rodziców, którzy za przykładem dzieci sami oszczędzać zaczynali.

Przykład Laurenta podziałał zachęcająco na wielu przyjaciół dzieci. We Francji sprawę kas szkolnych wziął do serca Malarce, zasłużony pisarz i działacz społeczny. W Niemczech zaś ksiądz Senkel, założyciel i kierownik niemieckiego stowarzyszenia kas oszczędności dla młodzieży, zakrzątnął się około urządzenia szkolnych kas oszczędności. I w Anglji władze szkolne uznały za potrzebne otworzyć przy szkołach kasy oszczędności dla wszystkiej dziatwy.

U nas, w Polsce, kasy oszczędności dla dzieci szkolnych powstały w Poznańskiem nie z obowiązku urzędowego, lecz z zachęty osób, pragnących zaszczepić cnotę oszczędności w dzieciach.

Ksiądz Niesiołowski, proboszcz w Pleszewie, należy do rzędu najgorliwszych zwolenników szkolnych kas oszczędności. Nawet napisał książeczkę p. n. „O kasach oszczędności dla dzieci i młodzieży" (Poznań, rok 1905).

W niej znajdujemy między innemi takie wiadomości ciekawe:

W r. 1877 było we Francji szkolnych kas oszczędności 8033, a po upływie lat 9-u t. j. 1886 już było ich 24,900...

W 1877 roku dzieci 148,372 złożyło oszczędności 2,964,352 franki

W 1885 roku dzieci 491,160 złożyło oszczędności 11,934,268 franków.

W Belgji 1899 roku dzieci 302,444 złożyło 8,116,731 franków.

W Anglji 1899 roku było 10,000 kas szkolnych. Nadto tam kasy pocztowe przyjmują od dzieci najdrobniejsze nawet oszczędności i dlatego nazywają się penny banks (kasy fenigowe).

W Niemczech było 1899 roku różnych kas 2151, do których składało 266,108 dzieci i młodzieży. Oszczędności ich tego roku wynosiły 3,693,760 marek.

Dalej, ks. Niesiołowski czyni w swej książeczce taką uwagę: „U nas, w Polsce, na tem polu (oszczędnościowem) panuje obojętność, idącą w parze z nieświadomością.

Tu i owdzie u nas — pisze ks. N. — spotkać się można z zarzutem, że kasy oszczędności dla dzieci są nieodpowiednie, bo dzieci nie mają własnych pieniędzy. Zdanie takie jest mylne, dużo bowiem dzieci posiada pewne dochody drobne, które niemal zwykle wydają na sprawunki zbyteczne, a nieraz nawet szkodliwe. A na tem właśnie polega oszczędność, że człowiek wystrzega się wydatków na rzeczy niepotrzebne, ograniczając się do koniecznych.

Jeśli dziecko zawczasu nauczy się rozróżniać te dwa pojęcia: wydatek zbyteczny i niezbędny,—to już niezawodnie nauczy się cenić wartość grosza i stanie się oszczędnem.

Dziecko bądź-co-bądź jest właścicielem darowanego pieniądza i jeśli od wczesnych lat przywykło wydawać je stale na łakocie, lub inne rzeczy zbyteczne, a nawet szkodliwe, jak papierosy,—najprawdopodobniej wyrośnie na człowieka rozrzutnego. Uczmy przeto dziecko zawczasu odkładać darowane grosze do skarbonki, lub oddawać do kasy oszczędności, — a jeżeli nie z zupełną pewnością, to z wielkiem prawdopodobieństwem nauczymy je cenić przysługę oszczędności. Nie chodzi tu wcale o to, aby dziecko za wszelką cenę złożyło sobie jaknajwiększą sumę pieniędzy, żebrząc o nie rodziców czy krewnych, bo w takim razie nie dzieci, lecz rodzice byliby oszczędzającemi. Z tego powinni sobie kierownicy kas oszczędności dla dzieci i młodzieży dokładnie zdawać sprawę.

Dalej ks. Niesiołowski powołuje się na Laurenta, jak on nie kontentował się odpowiedziami nauczycieli: że dzieci, owszem, wszystkie mają książeczki oszczędnościowe, ale sam badał niemal każde dziecko i jeśli zauważył w którem pojęcie mylne, wyjaśniał, pouczał, aż zrozumiało i potem już do tego musiało się stosować.

Dzisiaj — wyznaje ks. N. — wszyscy są tego zdania, że Belgja zawdzięcza niebywały wzrost oszczędności głównie zabiegom profesora Laurenta, który zdołał wpoić w dzieci tę cnotę.

Zarzut, że dzieci nie mogą oszczędzac ponieważ same nie zarabiają, jest jeszcze z innego powodu niesłuszny. Jest bowiem u nas spory zastęp dzieci, które są w posiadaniu drobnych kwot pieniężnych przez siebie zapracowanych."

Sam zarządzając w ciągu blisko siedmiu lat kasą oszczędności dla dzieci, ciekawe tutaj pod niejednym względem poczyniłem doświadczenia. Kilku np. chłopców od 11 do 14 lat wkładało sobie w ciągu trzech do czterech lat po dwadzieścia kilka do 40 marek (za czasów niemieckich), uzyskanych ze sprzedaży szufladek, krzyżyków i tym podobnych przedmiotów, wycinanych nożykiem z pudełek od cygar. Dla innych znowu wyrzynanie deseczek cieniutką piłką było środkiem dochodu. Jeden z chłopców, który między 8 a 11 rokiem życia był wielkim urwisem, tak, że rodzicom dużo kłopotu sprawiał, dostawszy w podarunku piłkę do wyrzynania, zmienił się zupełnie. Stał się pracowitym i oszczędnym Zanim w 14 roku życia opuścił szkołę, posiadał książeczkę oszczędności na 34 marki, zapracowane przez siebie za pomocą podarowanej piłki.

W innym wypadku zaoszczędził sobie chłopiec kilkanaście marek ze sprzedaży odpadków żelaznych Często zdarza się, że ojciec rzemieślnik pozwala dzieciom zużywać resztki surowego materjału. Syn stolarza np. wyrabia z darowanych resztek drzewa małe wózki, mebelki dla lalek. Syn szewca małe trzewiczki. Sprzedawane to bywa bardzo tanio, ale nieraz uzbiera się z tych drobiazgów wcale pokaźna sumka.

Znana mi jest rodzina, gdzie ojciec oddaje dzieciom wyplatanie krzesełek. Główny zysk bierze starszy chłopiec, zajmujący się wyplataniem, inni przynoszą i odnoszą krzesełka, zadawalniając się tem, co im ludzie dadzą za fatygę.

Wogóle zadziwia, jak znaczne stosunkowo sumy zbierają dzieci, roznosząc towary i roboty gotowe.

Dziewczęta również zarabiają najczęściej robótkami ręcznemi, choć także i one sporo osiągają pieniędzy za odnoszenie roboty. — Z tego wszystkiego widzimy — pisze dalej ksiądz Niesiołowski, — że dzieci, jeśli nie zawsze, to w bardzo wielu warunkach mogą czynić oszczędności. Większa część dzieci otrzymuje raz po raz od rodziców, lub krewnych drobne sumki, przeznaczone na łakocie, a obok tego nie brak dzieci, które już same sobie coś zarobić potrafią: I w jednym i w drugim wypadku jest możliwe ćwiczenie się w oszczędności.

Dwa rodzaje kas oszczędności dla dzieci (około roku 1905) są najwięcej rozpowszechnione. Jeden polega na tem, że dziecku każdą, choćby najdrobniejszą kwotę pieniężną, zapisuje się do osobnej książeczki. Drugi — wlepianie znaczków. Dziecko nabywa znaczki oszczędności i wlepia je na karty, lub książeczki ku temu przeznaczone. Pierwszy system jest o wiele więcej rozpowszechniony i zaprowadzony głównie przy szkolnych kasach oszczędności.

Ks. Niesiołowski zaleca pierwszy rodzaj. Najpierw dla tego, —dowodzi — że nie pociąga za sobą znacznych wykładów. Wystarczy, że każde dziecko zaopatrzy się w zwykły zeszycik za 5 fenigów. Powtóre jest tu kontrola nad dziećmi oszczędzającemi sciślejsza, aniżeli przy innych systemach. Łatwiej przeto ustrzedz dzieci od błędów, lub wykryć nadużycia... Możnaby natomiast przeciw tego rodzaju kasom podnieść zarzut, że obciążają kierownika zbyt wielką pracą, że są dla dzieci zbyt mało pociągające i że nie dają dziecku sposobności lokowania oszczędzonych groszy każdego czasu w kasie. Trudno bowiem wymagać od skarbnika, obarczonego innemi obowiązkami swemi, aby częściej, niż raz, lub dwa razy w tygodniu odbierał wkładane przez dzieci pieniądze. Dlatego mogą prowadzić tego rodzaju kasy tylko ci, którzy mają regularną i częstą styczność z dziećmi, jak np. nauczyciele.

Sprawozdanie niemieckiego związku kas oszczędności dla młodzieży za rok 1991 wykazuje dla samego Księstwa Poznańskiego 90 miejscowości z 211 szkołami, przy których istnieją kasy oszczędności dla dzieci, oparte na tym właśnie systemie. Mowa tu o tych kasach, które nadesłały sprawozdanie. Bo prócz tego wspomina sprawozdanie o 220 miejscowościach, gdzie założono swego czasu również kasy oszczędności, z których wszakże nie nadeszło sprawozdanie.

Drugi rodzaj oszczędzania przez nalepianie znaczków odbywa się jakgdyby bez kontroli, bo dziecko nabywa znaczki i potem je samo nalepia kiedykolwiek zechce. Jednak ks. Niesiołowski zauważył, że bądź-co-bądz i tu jest nadzór, baczenie na dzieci oszczędzające, tak, że prawie zawsze łatwo daje się wykryć nadużycie, gdyby go kiedy dopuściło się dziecko. Lecz nadużycia zdarzały się bardzo rzadko.

Pieniądze zaoszczędzone wypłaca się każdego czasu na żądanie. Uprasza się wszakże rodziców usilnie, aby nie odbierali oszczędności swych dzieci na własne potrzeby.

Jeszcze warto wyszczególnić wkłady oszczędnościowe, umieszczane w kasie pleszewskiej, zarządzanej przez ks. Niesiołowskiego. Jego kasa nalepiała znaczki.

I tak:

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| W r. 1899 | sprzedano | znaczków | za 1,010 | mk. | 05 | fen. |
| „ 1900 | „ | „ | „ 1.807 | „ | 15 | „ |
| „ 1901 | „ | „ | „ 1.577 | „ | 20 | „ |
| „ 1902 | „ | „ | „ 2.117 | „ | 40 | „ |
| „ 1903 | „ | „ | „ 1.891 | „ | 50 | „ |
| „ 1904 | „ | „ | „ 2.017 | „ | 25 | „ |
| Od czasu | założenia | Kasy | 10.420 | „ | 55 | „ |

Wśród oszczędzających w kasie pleszewskiej przeważały dzieci niżej lat 14, choć nie brakowało starszych. Dzieci zamożniejszych rodziców korzystały z Kasy bardzo rzadko. Najwięcej wśród oszczędzających znajduje się dzieci rzemieślników i robotników z miasta Pleszewa. Dzieci gospodarzy okolicznych bardzo rzadko kupowały znaczki oszczędnościowe. Najwyższa suma zaoszczędzona wynosiła 155 marek 9 fenigów, — a najniższa 10 fenigów.

W roku 1904 nie wyszedł na jaw żaden wypadek nadużycia.

Nowe kasy drobnych oszczędności założono w ciągu roku 1904, w Kunowie, w Szamotułach i w Odolanowie.

Uwagi swoje tak kończy ks. Niesiołowski:

Nie ulega wątpliwości. że w Pleszewie niema pod żadnym względem korzystniejszych do tej sprawy warunków, aniżeli w innych miastach naszego Księstwa Poznańskiego (pisał to w r. 1905 — a więc podczas niewoli pruskiej). Co więc jest możliwem w Pleszewie, — powinno się udać i gdzieindziej.

# SAM SOBIE!

Nareszcie naprawdę zaczynamy poważnie myśleć o oszczędności.

O, tak, naprzód myślmy o niej dużo i często,— a kiedyśkolwiek, nawet wprędce, weźmiemy się do oszczędzania.

Nie mówmy, że tylko czyn—to sprawa główna i jedynie godna uwagi naszej! Bo również myśl jest czynem, a raczej cząstką czynu, — cząstką bardzo ważną, nawet tak ważną, że bez niej żaden czyn się nie uda!

Naprzód myśl dobra, a potem czyn dobry!

Taki jest porządek jedyny, najpewniejszy!

Tembardziej musimy pilnować się tego porządku w sprawie oszczędności.

Otóż, kto chce stać się oszczędnym, przedewszystkiem powinien dokładnie zrozumieć znaczenie oszczędności.

A o niej chyba jeszcze nie każdy rodak ma pojęcie właściwe.

Zpewnością niemało jest takich, którzy myślą o niej niechętnie, odnoszą się do niej dość złośliwie albo gniewnie, jakgdyby ona dla nich była dręczycielką.

A gdy im kto życzliwie doradza, mówiąc:

— Oszczędzajcie! — Już patrzą na niego spodełba, jak na okrutnika.

Skąd pochodzi u wielu ta niechęć do oszczędności?

Tylko z niezrozumienia oszczędności — i —oczywiście z braku stosownego wychowania siebie!...

Oszczędność przecież — to nic innego, jak tylko:

**przewidywanie sprawunków pilniejszych i odkładanie dziś zbywającego grosza na te sprawunki, które wcześniej, lub**

**później załatwić wypadnie, jeśli na nie znajdzie się gotowy grosz odłożony!..**

Więc komuż wyświadcza przysługę oszczędzający?—Przedewszystkiem sobie.

Sam sobie czyni najlepiej ten, kto składa oszczędności.

Opowiada Smiles o takiem zdarzeniu:

Kowal Szmit lubił po obiedzie i po wieczerzy wypić kufel piwa w knajpie. Małżonka jego raz rozżalona na swego męża za jego sobkostwo upomniała się o piwo i dla siebie.

Jakkolwiek dość niechętnie, ale musiał zgodzić się kowal, bo przecież wymaganie żony wydało mu się sprawiedliwem.

— Jeśli ja piwo pić muszę,— rzekł kowal — to i ona, jako moja małżonka, ma prawo wypić piwa taką samą porcję.

Więc podług sprawiedliwości dawał jej codziennie na 2 kufle piwa 20 groszy.

Kowalowa, oczywiście, piwa nie piła, ale, otrzymane od męża grosze, skrycie przed nim, zanosiła do kasy oszczędności.

Po kilku latach uzbierała się z tych groszy sumka pokaźna.

Tak jakoś wypadło, że razu pewnego Szmita opanowała tęsknota za stronami rodzinnemi. Zapragnął choć na kilka dni zwolnić się z fabryki i pojechać w swoje strony dla zobaczenia się z rodzicami, braćmi, familją! Ale wnet zmarkotniał, bo taka wycieczka kosztować będzie sporo, tembardziej, że przecież godziłoby się zabrać z sobą i żonę z dwojgiem dzieci. Toć i żona jego w tej samej stronie ma swoję rodzinę.

Wynurzył przed żoną swoję tęsknotę, ale i smutek, bo w żaden sposób nie uda się miła wycieczka dla braku wolnej gotówki większej.

Ale kowalowej uwaga ta wcale nie zmartwiła, owszem, wesoło oświadczyła, że myśl ta jej bardzo się podobała i już zaczęła układać plany, kiedy i jak wyjechać do swoich.

Ta radość i skwapliwość żony bardziej jeszcze zasmuciły Szmita, więc jął perswadować kobiecie, że jednak muszą wyrzec się uciechy,—bo brak pieniędzy!

A na to wesoła kowalowa odrzekła z uśmiechem:

— Ty nie masz, boś piwo swoje wypił, — a ja mam wszystko piwo zachowane — i ono mnie zawiezie do moich.

— Jak się to stało? — zagadnął kowal zdumiony.

Szmitowa krótko opowiedziała o swoich oszczędnościach i na dowód pokazała książeczkę oszczędnościową, ukrywaną w skrzyni głęboko.

Kowala dziwiło to, że ona umiała odkładać tak w tajemnicy przed nim. Ale teraz pochwalił tę tajemnicę, bo gdyby wiedział, że oszczędza, kto wie, możeby kiedy wyłudził od żony coś-niecoś pieniedzy, —a dziś ta oszczędność bardzo się przydała, bo tylko dzięki jej mogła cała rodzina kowalowa wyjechać w swoje strony na dni kilka i jeszcze przy tej okazji zrobić kilka dla siebie sprawunków pożytecznych!

Tylko w taki sposób nie przepadło piwo kowalowej!

Bywają jednak różne oszczędności, nieraz kończące się bardzo nieszczęśliwie!

Oszczędność przecież nie jest nowym wynalazkiem! Zawsze było i jest mnóstwo ludzi, lubiących oszczędzać. Jest ich jednak dotychczas zamało! Wszyscy bowiem bez wyjątku powinni robić oszczędności, a jeśli jeszcze nie wszyscy je robią, to tylko dla tego, że nie wdrożono ich do tej przezorności chwalebnej i niezbędnej w życiu!

Nie dość atoli nauczyć oszczędzania, bo nadto wypada przyzwyczaić do składania w odpowiedniej kasie oszczędności.

Dotąd wiele osób oszczędnych stroni od kasy. Niejeden czyni oszczędności skrycie, jakgdyby wstydził się tego, że jest oszczędny — i dlatego nie zanosi swoich pieniędzy do kasy, lecz chowa je w kątach ustronnych, albo nosi ciągle przy sobie! I nierzadko nawet zdarzają się trafunki straszne, że wieloletnia, ciężko zapracowana sumka uciułana, staje się pastwą płomieni, łupem złodziei, lub niszczeje od wilgoci, albo robactwa, myszy.

Przytoczmy bodaj dwa najświeższe przypadki.

W tych czasach gazety warszawskie ogłosiły, że ubogiej kucharce, służącej u dyrektora banku w Warszawie, niewykryty złoczyńca skradł z kufra schowaną tam w pończosze sumę pokaźną: pięć tysięcy złotych! Kobiecina dowiedziała się o swem nieszczęściu wówczas, kiedy znowu cały papierek stozłotowy zamierzała dodać do swego skarbu. Szuka na dnie kufra głębokiego swej pończochy wypchanej pieniędzmi — i nie znajduje!

Strapiona uczyniła wielki harmider. Dopiero wtedy domownicy wszyscy dowiedzieli się o jej bogactwie, nabytem własną pracą przy pomocy wytrwałej i długiej oszczędności. Jednak brakowało onej kucharce roztropności, albo dobrej rady. Gdyby jawnie zanosiła swe pieniądze do kasy oszczędności, tam żaden przypadek nie pozbawiłby jej grosika jednego, owszem, nawet rosłaby jej suma przez narastające procenty. A w skrzyni, w pończosze utajone pieniądze, nic nie przynosiły procentu, nie służyły ludziom zabiegliwym, a przytem ciągle były narażone na zgubę. I takiego też doczekały się końca. Złodziej podpatrzył kucharkę, kiedy chowała oszczędności, potem przyszedł niepostrzeżony — i ukradł. Skrzywdził okropnie biedną kobietę.

Niechżeż jej nieszczęście nauczy i przekona wszystkich oszczędnych, żeby swoich groszy nie chowali w kątach, ale jawnie je nieśli do kasy oszczędności.

Toć nikt nie ma powodu wstydzić się swojej cnoty oszczędności. Owszem, może i powinien nią się chlubić! Nie zanosi przecież kradzionych pieniędzy, lecz własne, ciężko zapracowane, lub wogóle uczciwie nabyte. Zanosi je po to, żeby w kasie nie leżały bezużytecznie, lecz stały się pożyczką dla ludzi pracowitych i zabiegliwych. W taki sposób oszczędny korzysta, bo procent otrzymuje od swoich pieniędzy i drugim wygodę czyni, a przytem wcale nie naraża swoich oszczędności na żaden zły przypadek. A tyle dogodności zapewnia sobie każdy

oszczędny rodak, gdy swoje pieniądze składa jawnie w kasie oszczędności.

Nie uczynił tego Michał Czosmak — i nagle stał się nędzarzem, jakkolwiek był w posiadaniu tysiąca dolarów, własną nabytych pracą ciężką w kopalni węgla w Ameryce. Spotkała go okropna przygoda już w drodze do stron rodzinnych tu w Polsce! Jechał pociągiem. A dolary miał przy sobie. W wagonie zapoznał się z przygodnemi podróżnemi, którzy widocznie zmiarkowali, że wiezie pieniądze. Zaczęli więc ci podróżni między sobą grać w karty. Dał się do tej gry wciągnąć Czosmak. Z początku sprzyjało mu powodzenie. Powoli jednak karta się odwróciła i Czosmak, pragnąc się odegrać — czynił stawki coraz wyższe, aż wreszcie spostrzegł, że z tysiąca dolarów nic mu nie pozostało! Spostrzegli to również oszuści-szulerzy i czemprędzej zręcznie wymknęli się z wagonu na najbliższej stacji. Zanim strapiony Czosmak za radą podróżnych zwrócił się z skargą do policji stacyjnej, już oszuści ulotnili się bez śladu!...

Michał Czosmak pochodzi z Czosmy w powiecie biłgorajskim. W swoim czasie udał się do Ameryki na zarobek. Bardzo ciężko pracując, uciułał tysiąc dolarów i już cieszył się nadzieją, że w swej wiosce rodzinnej kupi sobie małą gospodarkę i odtąd już pracować będzie na swojem.

Wyjechał z Ameryki bogaczem, — a przybył do swoich nędzarzem. Nawet nie miał o czem przyjechać do domu, tak go obrali z grosza wszystkiego złoczyńcy.

— Ale po co wdał się z niemi w karty? — Takie pytanie nastręcza się słusznie... Umiał zapracować, a nie umiał zabezpieczyć krwawicy przed złoczyńcami.

Ktoś tu więcej winien. Nie sam Czosmak. Pracy nauczono go jeszcze za młodu, ale nie nauczono go ochraniać pieniędzy przed złemi ludźmi?

— Czy jednak jest na to jaki sposób pewny, żeby można było bezpiecznie przewieźć większą sumę pieniędzy?

— Owszem, można! Zamiast wieźć je z sobą, wyręczyć się należy którymkolwiek bankiem. Bank prześle pieniądze do miejsca wskazanego, da dowód do ręki wysyłającemu, który po przybyciu do domu, sam sobie odbierze swoje pieniądze bądź na poczcie, bądź w odpowiednim banku. Zapewne taka przesyłka coś kosztować będzie, ale zpewnością nie dużo — i, co najważniejsze, ocali pieniądze przed wszelkiemi wypadkami, trafiającemi się ludziom w długiej podróży. A dziś wszędzie mnóstwo uwija się złoczyńców, polujących na pieniądze cudze.

Jeszcze inne korzyści daje cnota oszczędności, bo kto nawykł zastanawiać się przed wydaniem pieniędzy na jakikolwiek sprawunek, ten uniknie zbytecznego, lub szkodliwego wydatku

Oszczędnemu nie o to chodzi jedynie, by składał pieniędzy jaknajwięcej, lecz o to, by wydawał je na najniezbędniejsze sprawunki, a część zbywającą grosza odkładał na późniejsze potrzeby najpilniejsze.

Nawet niepodobna przypuścić, iżby oszczędny człowiek wpadł w nałóg pijaństwa — i odwrotnie, iżby pijak stał się oszczędnym.

Toć żeby nałogowego trunkowca wydobyć z nędzy, pierwej trzeba go skłonić do wyrzeczenia się trunków. Gdy on porzuci pijatykę, wówczas będzie w posiadaniu sporej gotówki i obróci ją na polepszenie swego bytu, a nadto część odłoży na tak zwaną: smutną godzinę. Trzeźwy — już napewno zdążać będzie do dostatku i zasobności.

Mamy piękny przykład prawdziwy w książce księdza Tokarzewskiego.

„Objeżdzając—pisze ks. T.—parafję Smotrycką, na Podolu, zauważyłem kilka wiosek bardzo dużych, w sąsiedztwie parafji Tynneńskiej, wyglądających niezwykle bogato. Ani jednego domu biednego, ani jednego zaniedbanego gospodarstwa! W izbach dostatnio, czysto. Starsi i dzieci, wszyscy odświętnie ubrani.

„Kiedy, po skończonej kolendzie, na zebraniu parafjalnem, wypowiedziałem moje zdziwienie, wstał sędziwy gospodarz i tak powiada: W naszej wiosce jest 200 gospodarstw... Było też jeszcze niegdyś 10 domów żydowskich, w których były sklepiki i wyszynk wódki. Na całą wieś zaledwie kilku gospodarzy miało konie. Reszta była w nędzy.

„Proboszcz z Tynny, ksiądz Liesiecki, zaprowadził u nas przed dwudziestu laty bractwo **trzeźwości**. Odtąd każde dziecko już przy pierwszej spowiedzi i komunji św. składa przyrzeczenie, że do śmierci pić nie będzie trunków. Dziś ani jednego gospodarza niema w całej wsi, któryby używał trunków. A oto Ojciec widzi, że teraz każdy gospodarz ma konie, ma dostatek i... ani jednego żyda we wsi niema".

Jest wiec marnotrawcą ten, kto swoje pieniądze wydaje na sprawunki niepotrzebne, lub szkodliwe,—a oszczędnym ten, kto kupuje rzeczy tylko niezbędne.

Każdy marnotrawca wyrządza szkodę nietylko sobie, lecz i tym, którzy od niego zależą,—natomiast oszczędny sam sobie i swoim nawet znaczne pożytki zapewnia.

Polski ekonomista uczony, Józef Supiński, pisze tak:

**Ludzie oszczędni są dobroczyńcami ludzkości.**

A jest też przysłowie takie:

Statek zbiera, ażeby w potrzebie starczało;
Niestatek marnie traci to, co się zapracowało.

Wreszcie i w tem jest prawda: że „nie ci, którzy dużo zarabiają, lecz ci, którzy oszczędzaja zczasem stają się bogaczami.

I biskupa Krasińskiego zdanie warto też rozpowszechnić: „Zawczasu, zawczasu — mówi—uczmy się oszczędzać, aby można biedę swoją i cudzą odpędzać!

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2.** — — — — — — — **Administracja w Bychawie**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 8 listopada 1925 r. № 45.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Międzyrzecz Podlaski.

To miasto leży przy ujściu Tłuśca do Wielkiej Krzny. A. Chamiec, w nagrodę zasług, otrzymał 1390 roku od króla Jagiełły w darze włości: Międzyrzecz i Stołpno z obowiązkiem, ażeby na każdą wyprawę wojenną samotrzeć stawać, każdy kopją, łukiem i sajdakiem uzbrojony.

Zczasem Międzyrzecz stał się miastem i od króla polskiego w wieku 15-ym otrzymał prawo magdeburskie, podług którego, odtąd już miejskie sprawy swoje załatwiał.

Znaczny zdawna prowadziło handel szczeciną. Jest brukowane i dość porządnie zabudowane. Ludność przeważnie żydowska.

Z taryfy na rok 1775 Międzyrzecz Podlaski liczył domów 424.



Około roku 1477 Jan Nasutowicz, starosta brzeski, właściciel Międzyrzecza, na miejscu starego kościoła wzniósł nowy pod wezwaniem ś. Mikołaja, uposażając hojnie probostwo. Probostwo, czyniące przeszło 60,000 złotych dochodu, najczęściej przez biskupów było dzierżone.

Uczony i pełen cnót ksiądz Grzegorz Piramowicz, były sekretarz Komisji Edukacyjnej, został 1800 roku plebanem w Międzyrzeczu, gdzie zmarł 29 grudnia 1801 roku; pochowany w Kurowie obok swej matki.

August książe Czartoryski, wojewoda ruski, pojąwszy za żonę Zofję z Sieniawskich Denhofowę, wojewodzinę połocką, odziedziczył Międzyrzecz ze czterdziestoma wsiami.

Potem Adam książe Czartoryski, generał ziem podolskich, wyjednał u króla, Stanisława Poniatowskiego, w r. 1789 przywilej, iż do trzech istniejących jarmarków przydany został nowy na św. Jakób.

W ostatnich czasach (przed wojną) Międzyrzec — jak pisze Krynicki — liczył 14.600 mieszkańców. Posiadał kościół i dwie cerkwie, szpital, młyn parowy, kotlarnię i garbarnię. Jest tu stacja kolei warszawsko-terespolskiej. Przy pałacu park piękny. W końcu wieku 18-go, kiedy Międzyrzec stanowił własność księcia Augusta Czartoryskiego, był największem miastem na Podlasiu. W roku 1812 podczas wojny pałac książęcy został zrujnowany.

# KOCHAJ ŻOŁNIERZA!

Kędy obrócisz źrenice lotne
Na swoje ziemie wolne,
Pod nizkim krzyżem stoją samotne
Mogiły polne.
Tyle tych mogił w ostatnie lata
Wyrosło w bitew znoju,
A ty, rodaku, masz w każdej brata,
Co poległ w boju.
On to za ciebie życie dał młode
I za nas wszystkich razem,
A teraz leży w wiosny pogodę
Pod zimnym głazem.
Może i głazu nie ma na grobie,—
I tylko śpiewak polny
Nuci mu piosnkę o mnie i tobie,
O Polsce wolnej.
Leży tam chłopiec blady i krwawy,
Ojczysty piasek go chowa:
Zabity żołnierz: anioł Warszawy,
Wilna i Lwowa.
Taką mogiłkę gdy ujrzysz lichą,
We łzach uklęknij przy niej,
W uścisk obejmij — i módl się cicho,
Tak, jak w świątyni....

**Artur Oppman.**

# Naród poległym bohaterom.

Naród polski jest bardzo wdzięczny tym wszystkim, którzy polegli w obronie ojczyzny.

Prawie od chwili odzyskania niepodległości myślał o sposobie uroczystego wyrażenia swej podzięki i czci rodakom, poległym na licznych polach walki.

Sypały się najrozmaitsze pomysły, plany. Każdy był szczerze obmyślany! Ale zbyt długo namyślać się i wybierać nie wypadało. Pośpiech poniekąd był niezbędny. Wymagało go serce i honor narodu.

Naród łaknął jaknajspieszniej objawić swoję wdzięczność gorącą poległym za wolność ojczyzny. A przytem i honor polski nakazywał światu okazać, że naród serdeczną żywi cześć dla tych, którzy męczeńską śmiercią otworzyli mu wrota do niepodległości.

Dość szybko, ładnie i niezwykle obmyślano plan wyrażenia przez naród uroczystego hołdu poległym obrońcom ojczyzny.

Oto postanowiono z któregokolwiek cmentarza wojennego wydobyć zwłoki poległego żołnierza polskiego, urządzić mu bardzo okazały pogrzeb i pochować go w osobnej przepięknej mogile w stolicy Polski.

Ale z którego cmentarza wojennego? Jest ich tyle w całej Polsce!...

Los miał wybrać cmentarz — i prawdziwie wskazał jeden z najdroższych dla każdego serca polskiego — cmentarz we Lwowie.

Lwów — to ukochany przez cały naród gród zawsze wierny, a bardzo często bohaterski. Tam odbywały się w ostatnich latach boje niezwykle trudne i ważne. Rzec można, że Lwów jest bramą do Polski. Do tej bramy natarczywie, niebezpiecznie szturmowali niejednokrotnie zaciekli wrogowie. I zawsze wierny Lwów bohatersko, z nadzwyczajnym wysiłkiem, — bo nie raz nawet dzieci kilkunastoletnie z bronią w ręku brały udział w walkach, — broniąc, zwyciężał pomyślnie!

A wieści o tych bojach strasznych przyjmował naród cały z czcią i serdecznie.

Teraz więc, kiedy los padł na pobojowisko lwowskie, naród doznał zadowolenia, bo dobrze się stało, że taka nagroda Lwów wierny spotkała.

Gdy już zdecydowano wydobyć zwłoki poległego żołnierza polskiego z pobojowiska lwowskiego, specjalna komisja udała się na cmentarz obrońców Lwowa i tam w jej obecności wyjęto z mogiły trumnę, w której spoczywa szeregowiec wojska polskiego, odziany w bluzę, marynarkę, oraz maciejówkę z orzełkiem. Nazwisko jego nieznane. Zwłoki te włożono do nowej trumny drewnianej, którą niebawem umieszczono w trumnie metalowej, a gdy została zalutowaną—schowano ją w trzeciej trumnie dębowej i zaraz przeniesiono je do kaplicy cmentarnej obrońców Lwowa i tam umieszczono na katafalku pięknie ozdobionym.

---

Na miejscu, skąd wydobyto trumnę ze zwłokami, nasypano kopiec niewielki. Na nim umieszczono tablicę z takim napisem:

„Zwłoki, zabrane 29 października 1925 r., uroczyście przewieziono w dniach 30, 31 października i 1 listopada do Warszawy, gdzie pochowano je w mogile na placu Saskim, jako zwłoki żołnierza nieznanego".

Dokoła tej mogiły brać żołnierska ustawiła pochodnie płonące. Na tablicy krzyż z lampjonów wśród białych aster. Na tę mogiłę opustoszałą złożono wiele kwiecia i zieleni.

W dniu 30-ym października od samego rana tłumy publiczności odwiedzały trumnę ze zwłokami poległego żołnierza polskiego, wystawioną przed kaplicą Obrońców Lwowa, na cmentarzu Łyczakowskim, na wysokim katafalku, przybranym w barwy narodowe, oraz w barwy miasta Lwowa.

Niemal każdy z odwiedzających przyniósł wiązankę kwiatów, lub skromny wieniec świerkowy.

Około godziny 3-ej po połud. przy trumnie zebrały się władze wojskowe, wojewoda, prezydent miasta i cały komitet obchodu.

Na całej przestrzeni od cmentarza do Bazyliki Archikatedralnej stały szeregi młodzieży szkolnej, harcerzy, oraz straży ogniowej.

O godzinie 3-ej trumnę złożono na lawecie działa ciężkiej artylerji, którego boki oraz koła przybrane były różami. Obok wylotu działa z dwu stron umieszczono tarcze z Orłem Białym oraz herbem miasta Lwowa.

Przed zwłokami postępowały olbrzymie zastępy duchowieństwa świeckiego i zakonnego

Przy trumnie kroczyła warta honorowa oficerów, podoficerów i szeregowców, za trumną zaś dwie wdowy, dwie matki i dwie sieroty po poległych, dalej młodzież szkolna i niezliczone tłumy publiczności.

O godzinie 4-ej pochód doszedł do Bazyliki Arcnikatedralnej, gdzie zwłoki ustawiono na olbrzymim katafalku, sięgającym niemal do połowy wysokości nawy głównej.

Katafalk składa się z pięciu kondygnacji. Cały przybrany jest suknem amarantowem. O dolną kondygnację opierają się setki wieńców, o drugą wsparte są karabiny wojskowe, o trzecią szable, a dopiero na najwyższych ustawione są lichtarze ze świecami. Na czterech rogach katafalku stoją starodawne zbroje huzarskie ze skrzydłami.

Cały katafalk przedstawia się wspaniale.

Do godziny 9-ej wieczorem publiczność tłumnie odwiedzała zwłoki.

O godzinie 9-ej zrana w dniu 31 października odbyło się w katedrze lwowskiej uroczyste nabożeństwo żałobne, odprawione przez księdza arcybiskupa Twardowskiego, a słowo boże wygłosił ks. arcybiskup Teodorowicz. Po mszy św. odśpiewano egzekwje przez duchowieństwo trzech obrządków: łacińskiego, grecko-katolickiego i ormiańskiego.

Po nabożeństwie olbrzymi pochód odprowadził zwłoki poległego żołnierza polskiego na dworzec. W pochodzie uczestniczyło wiele oddziałów wojska, młodzież z wszystkich szkół, mnóstwo duchowieństwa, starszyzna i chyba wszyscy mieszkańcy Lwowa. Takie mrowie ludzi wyległo na ulice.

Wszystkie domy były ozdobione chorągwiami i wieńcami. Zbudowano bramy tryumfalne, zapalono wiele pochodni, nawet latarnie uliczne, choć jeszcze było widno, płonęły, osłonięte żałobną krepą.

Władze lwowskie, chcąc najuroczyściej pożegnać zwłoki bohatera polskiego, zarządziły w dniu 31 października przerwę w pracy. Sklepy zamknięto.

Podczas pochodu z katedry do dworca kolejowego artylerja strzelała z armat, fabryki wszystkie dały jednocześnie sygnały z maszyn swoich, orkiestry kolejno grały marsza żałobnego — i wszystkie dzwony w świątyniach odezwały się razem żałośnie.

Na dworcu kolejowym we Lwowie umieszczono zwłoki w sali odpowiednio przybranej. I dopiero nazajutrz, t. j. w niedzielę dnia 1 listopada, rano o godzinie 7 minut 30, przeniesiono trumnę do wagonu.

To ten sam wagon, którym przewieziono, przed rokiem, zwłoki Henryka Sienkiewicza z Piotrowic do Warszawy. W głębi wagonu wielki Orzeł Biały, na środku wagonu katafalk. Na otwartych drzwiach krzyże.

Pociąg specjalny, składający się z kilku wagonów, ruszył z dworca lwowskiego o godzinie 8 minut 45 rano. Pociągiem tym jedzie 56 osób. Wśród nich 2 wdowy, 2 matki i dwoje sierot po poległych, których miejsca pochowania nie ustalono. Jedzie też starszyzna wojskowa.

Wagon-kaplica stale, nawet w drodze, jest otwarty, oświetlony lampkami elektrycznemi.

Pociąg mija stacje: Brzuchowice, Żółkiew, Rawę Ruską, Bełżec, Zwierzyniec, Topolczę. Tu liczna gmina żydowska (prawdopodobnie z Szczebrzeszyna) składa wieniec.

Na stacji Zawada ksiądz żegna zwłoki wodą święconą, następnie duchowny prawosławny śpiewa egzekwje i kończy swe modły po polsku pożegnaniem „wiernego syna, co poległ za ojczyznę".

Do Lublina pociąg żałobny przybył już o zmroku. Dokoła dworca zgromadziły się dziesiątki tysięcy ludności.

Orkiestry kolejno zagrały marsza żałobnego i hymn narodowy.

Od Lublina ku Warszawie pociąg już idzie w mrokach nocy. Ale objawy czci u ludności okolic nie słabną. Wszędzie, na każdej stacji palą się pochodnie smolne, a dalej ogniska wielkie. Prócz orkiestr rozlegają się śpiewy chóralne.

W Pilawie zarządzono sześciogodzinny postój. I dopiero o godzinie 4-ej nad ranem pociąg ruszył dalej.

O godzinie 6-ej rano d. 2 listopada przybył na dworzec główny w Warszawie.

Tu od komendanta żałobnego pociągu, jenerała Marjańskiego, przyjął raport minister spraw wojskowych, jenerał Sikorski i tak przemówił do przybyłych wojskowych i do delegacji lwowskiej

„Oddaję hołd w imieniu armji zwłokom Bezimiennego Bohatera, jako symbolu ofiarnej walki o niepodległość, a następnie o nienaruszalność i potęgę Rzeczypospolitej Polskiej. Delegacjom patrjotycznej ziemi lwowskiej składam gorące życzenia żołnierskie z powodu sprawiedliwego wyroku losu, który wyznaczył sławne i od wieków nasiąkłe krwią polską pobojowisko Lwowa, jako przedmiot specjalnego kultu narodu".

Chociaż to godzina jest wczesna, bo szósta rano, jednak już wszędzie pełno rodaków, pragnących powitać zwłoki polskiego bohatera i odprowadzić je do katedry stołecznej.

Przy dźwiękach hymnu narodowego trumnę z wagonu żałobnego wyniosło na barkach ośmiu sierżantów, ozdobionych krzyżem walecznych. Złożyli ją na lawecie, zaprzężonej w sześć białych koni.

Po przykryciu trumny do połowy amarantowym sztandarem z Orłem Białym, pochód, prowadzony przez ks. prałata Niewiarowskiego w otoczeniu licznego duchowieństwa, ruszył alejami Jerozolimskiemi i Nowym Światem ku katedrze św. Jana. Obok trumny szli członkowie straży pożarnej z zapalonemi kagańcami.

Na czele pochodu kroczyła orkiestra i pluton 30-go pułku piechoty z rozwiniętym sztandarem. Tuż za trumną szli wsparci na kulach dwaj inwalidzi wojenni: Adamkiewicz i Miller, za niemi ministrowie, jenerałowie, wyżsi urzędnicy i przedstawiciele różnych stowarzyszeń.

Gdy pochód stanął przed katedrą, ci sami sierżanci wnieśli trumnę do świątyni. U wejścia do katedry czekał na nią w otoczeniu duchowieństwa biskup polowy J. E. ks. Gall, który odprowadził kondukt żałobny do ustawionego na środku kościoła

katafalku, gdzie trumna spoczęła wśród zieleni i kwiecia, otoczona strażą honorową.

Ściśle, według ceremonjału, o godzinie 10 ej minut 15 przed południem, dźwięki hymnu narodowego dają znać, że do świątyni dla podniesienia uroczystości żałobno-narodowej specjalni chorążowie wnoszą prastare chorągwie i sztandary, przechowywane na zamku. Wprowadził je do świątyni jenerał Dreszer, mając szablę obnażoną. Te chorągwie i sztandary w dwuch prostych linjach umieściły się po obu stronach katafalku.

Całą świątynię zapełnili przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych, sejmu i senatu, posłowie zagraniczni i przeróżnych organizacji delegacje.

Mury starej katedry warszawskiej widziały wiele uroczystości narodowych, ale takiej, jak dziś, nie oglądały.

W świątyni jasno i promiennie, niema ozdób żałobnych. Płoną wszystkie żyrandole, przez szyby kolorowe wdzierają się promienie słońca, barwiąc kolumny kościoła w kolory tęczowe — nadziei.

Na wysokim katafalku trumna dębowa, okryta całunem purpurowym z białym orłem zwycięzkim. Naokoło klomb białych aster — harmonijnie dopełnia barwy narodowe. Przed katafalkiem kobierzec czerwony, na nim szereg krzeseł, przeznaczonych dla matek, sierot, wdów po poległych żołnierzach.

O 11-ej w otoczeniu ministra spraw wojskowych, adjutantów i jenerałów wszedł przez główną nawę Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Zebrani powstali z miejsc. Rozpoczyna się nabożeństwo żałobne, celebrowane przez J. E. kardynała Kakowskiego w asystencji duchowieństwa.

Po nabożeństwie piękną przemowę wygłosił słynny kaznodzieja, ks. prałat Szlagowski.

Po mowie ks. Szlagowskiego kapłani, otoczywszy katafalk, odśpiewali pienia żałobne, potem orkiestra odegrała marsza żałobnego. Przy uroczystych, a przejmujących jego dźwiękach ośmiu podoficerów, ozdobionych krzyżem walecznych, zdjęło trumnę z katafalku i przez szpaler salutujących chorągwi i sztandarów poniosło ją na łoże działowe.

Gdy trumnę wyniesiono z kościoła, wszyscy mężczyzni cywilni zdjęli nakrycia z głowy, wojska sprezentowały broń, orkiestra zagrała hymn narodowy, a dzwony uderzyły w ton pożegnalny.

Laweta armatnia, osłonięta tkaniną białą i amarantową, ozdobiona zielenią, zaprzężona w sześć białych koni, czekała przed drzwiami katedry. Straż ogniowa z zapalonemi pochodniami otaczała lawetę.

Pochód ruszył z katedry o godzinie 12-ej.

Obok trumny, przy obu jej bokach, postępowała wojskowa straż honorowa z obnażonemi szablami. Przed trumną szedł długi orszak duchowieństwa.

A początek pochodu stanowił oddział policji konnej. Za nim kroczyły oddziały piechoty, kawalerji i artylerji. Za niemi niesiono sztandary armji polskiej.

Tuż za trumną szły wdowy, matki i sieroty po poległych i zaginionych bez wieści żołnierzach polskich.

Za niemi postępowali: Pan Prezydent Polski, marszałkowie, sejmu i senatu, ministrowie, starszyzna wojskowa, posłowie sejmu i zagraniczni, wreszcie morze ludzi bez liczby!

Po bokach ulic, któremi idzie pochód, stoją kadeci szkół wojskowych i prezentują broń, dalej ustawione są w długim szeregu sztandary przeróżnych organizacji społecznych i wszystkie one pochylają się przed trumną, gdy ona je mija.

Na chwilę pochód zatrzymał się przed pomnikiem Mickiewicza. U stóp jego zgromadziło się naraz kilka chórów śpiewaczych i razem zaśpiewały kilka pieśni rzewnych.

Przed godziną pierwszą główna część pochodu zdążyła przybyć do przygotowanego grobu na placu Saskim, obok pomnika księcia Józefa Poniatowskiego.

O godzinie 12-ej, minut 50 potężna salwa dwudziestu jeden strzałów armatnich obwieściła moment składania trumny, przykrytej amarantowym sztandarem z orłem białym do grobowca.

Zaraz też w tym grobowcu na przechowanie złożył minister spraw wojskowych, jenerał Sikorski, akt wieczysty tej treści:

„Roku Pańskiego 1925, a siódmego odzyskanej niepodległości, a siódmą rocznicę podjęcia walki o granice zmartwychwstałej Rzeczypospolitej, w dniu 2-im listopada o godzinie 13-ej złożono w tym grobowcu **zwłoki żołnierza polskiego, poległego za ojczyznę w wojnie 1918—1920 r., wydobyte z pobojowiska lwowskiego, ażeby w hołdzie im oddanym wyrazić wieczystą cześć narodu polskiego dla tysięcy żołnierzy, którzy przelali krew z imieniem Polski na ustach.**

„Złożenia zwłok dokonano w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisława Wojciechowskiego, oraz zgromadzonych posłów, senatorów, przedstawicieli władz, wojska, społeczeństwa i niezliczonych tłumów narodu.

„Bohaterowi oddało honory całe wojsko stolicy i pochyliły się przed nim chorągwie i sztandary wojskowe z całej Rzeczypospolitej Polskiej wraz z chorągwiami i sztandarami dawnych wojsk polskich.

„Obok zwłok złożono w grobowcu 14 urn z ziemią z pobojowisk, z pośród których dnia 4 kwietnia 1925 r. wylosowano zwłoki żołnierza polskiego, poległego za ojczyznę, z pobojowiska lwowskiego.

„Grobowiec jest dziełem artysty-rzeźbiarza Stanisława Ostrowskiego".

Akt ten podpisał Pan Prezydent Rzeczypospolitej i minister spraw wojskowych.

Jeszcze na trumnie złożono dwa wieńce metalowe: jeden od wojska lwowskiego, ten jest zrobiony z bronzu, — a drugi srebrny, od ludności ziemi chełmskiej.

Po skończeniu ceremonji zamknięto grobowiec wierzchnią płytą ciężką — i wówczas Pan Prezydent swoją reką zapalił nad grobowcem ognik wieczny, który tam płonąć ma na znak niezmiennej wdzięczności serdecznej narodu dla wszystkich rodaków, poległych w obronie Ojczyzny.

Zaledwo się to stało już wybiła godzina pierwsza i wówczas dano strzał armatni jako hasło do jednominutowego milczenia powszechnego. Na te

chwilę zaległa cisza wielka i uroczysta. Ustał ruch w całym mieście. Wszyscy powinni byli podczas tej minuty oddać myślą i sercem hołd niezliczonym ofiarom krwi i życia za wolność Polski!

Dopiero po tej minucie milczenia wszyscy obecni kolejno odwiedzali grobowiec żołnierza polskiego. Niektórzy składali obok niego wieńce, wiązanki kwiatów, a zpewnością byli i tacy, którzy modlitwą cichą błagali Boga o nagrodę w niebie dla wszystkich miłośników Polski, którzy gwoli wydobycia Jej z grobu niewoli sami przedwcześnie poszli drogą ciernistą do grobów swoich!

---

Grób żołnierza polskiego mieści się przy placu Saskim pod arkadą murowaną, odgradzającą plac od ogrodu Saskiego. Wykonany został z marmurów i kamieni, wydobytych z dawnej cerkwi prawosławnej, którą umyślnie dla zgnębienia duszy polskiej zbudował na placu Saskim, niejako na środku miasta, prześladowca naszego narodu, jenerał gubernator Hurko, a pomocnikiem jego w tem dziele był osławiony dręczyciel dzieci polskich, Apuchtin, ówczesny kurator warszawskiego okręgu naukowego!...

Nie przewidywali ci okrutnicy, że dzieło ich, stworzone w złej intencji, runąć musi. Zdruzgotała je sprawiedliwość Boska i zdrowa dusza polska, miłująca prawdę i ojczyznę.

Zbudowana cerkiew dziś sypie się w gruzy pod młotami polskiemi. A z niej część materjału najcenniejszego polski artysta rzeźbiarz, Stanisław Ostrowski, zużytkował na urządzenie i ozdobienie grobowca dla poległego żołnierza polskiego.

Grobowiec jest bardzo piękny, wspaniały. Wszyscy znawcy, nawet cudzoziemcy, są tego zdania, że pięknością swoją dorównywa grobowcom, wzniesionym przez inne narody dla swoich żołnierzy poległych.

Pochwała ta cieszy serca polskie, pragnące swoich bohaterów poległych umieścić w grobie najpiękniejszym.

Naród polski szczerze kocha swoich żołnierzy, widzi w nich swoją młodzież najdzielniejszą, gotową raczej umrzeć z bronią w ręku, niż wrogom oddać ojczyznę drogą!

# POBUDKA.

Zagrzmijcie im w bębny, zagrajcie im w rogi,
tym, którym Bóg zwolił iść marszem za Bug,
twierdzami uczynić rodzinnych chat progi,
kraj śmiercią osłonić od nieszczęść i trwóg.

Rozkażcie, by działa żegnały ich grzmiące
tych wszystkich, poległych wśród gromów i burz,
rzuconych jak kwiaty na zgliszcza dymiące,
na śniegi sybirskie, na dna obcych mórz.

Nieznani, nieznani — ich imię — miljony,
ich krwawa katorga znów pełni tu straż,
znów tętni wysiłek ich pracy szalonej —
znów żywi — umarłym patrzymy — twarz w twarz

Ich krew nas wciąż woła i oczy nam krwawi
i sprawia, że serca dziś ostre — jak miecz —
i płyną ich duchy, jak stada żórawi,
precz gonią przekleństwo i śmierć gonią precz.

Z tą śmiercią zbratani, tu w sercu stolicy,
składamy na wieki relikwię — tych sił,
co z pieśnią o czynie i Bogurodzicy
wołały, by Naród okrzepnął i żył!

**Edward Ligocki.**

# ŚMIERĆ LEGJONISTY.

Tym, co zginęli dla Tej, co nie zginęła.

....I przynieśli go z raną okrutną
w krwi i błocie i z twarzą, jak płótno —
i przynieśli go w siwym mundurze
w dom rodzinny, w matczyne podwórze;
on z uśmiechem karabin strzaskany
do okrutnej przyciskał w pierś rany.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Do nieszczęścia podobna widziadła
z jękiem matka doń stara przypadła:
—O, mój synu! mój synu jedyny!
jakże gorzkiej dożyłam godziny!
oto snów twych szalonych manowiec!
boli-ż rana cię, piecze? och powiedz!—

— O, nie boli w pierś rana, nie boli,
jako rana krwawiąca niewoli!
o, nie piecze mnie, matko, pierś krwawa,
jako piecze narodu niesława!
rana słodka! nie żałuj ty rany,
bo w niej honor, polski honor skąpany!

Na mogile mej, matko, wczas wiosną
róże, róże szkarłatne wyrosną —
na mogile mej majową nocą
pieśń słowiki słodką zaszczebiocą;
zasię łzy twe anioły poniosą
i gwiazd srebrną zabłysną mi rosą!—

Do krwawego przypadło mu łona
młode dziewcze, cudna narzeczona
i tak żalem serdecznym wybuchnie:
— Nie o takiej marzyłam ja druchnie!
co się ze mną, co ze mną się stanie?
taki ślub nasz i nasze kochanie!—

W ust wsłuchany jej najdroższych echa,
do kochanki się smutno uśmiecha:
—O, nie było kochanie radosne,
coś głuszyło nam szepty miłosne;

niemasz bowiem nijakiej radości,
kiedy radość w Ojczyźnie nie gości!

Jesteś młoda i krasna i słodka,
szczęśliwego serduszko twe spotka;
wżdy nie będzie szczęśliwszy odemnie,
choć mnie grobu pochłoną już ciemnie!
słodkie życie z kochaniem królewny,
słodszy skon dla Ojczyzny bitewny!—

Wszedł do izby wytworny młodzieniec,
lica dziwny mu krasił rumieniec;
rzecze blado:—Choć-em dziś ci obcy,
chociaż z różnych granicznych my kopcy,
mimo wszystko twój zawsze-m przyjaciel,
biedny! czemuż wróg ciebie wziął na cel?—

Mówi ranny, a już coraz ciszej,
coraz trudniej pierś zraniona dyszy,
gasną oczy głębokie i duże:
—O, nie żałuj mnie w tym to mundurze!
o, nie żałuj ty, biedny, żołnierza,
gdy Bóg honor mu Polski powierza!

Tych krwi kropli nie żałuj, co wieńczą,
niby róże, pierś mają młodzieńczą!
wżdy li siebie pożałuj, żeś starzec,
żeś tak umiał się wyrzec i zarzec,
żeś zamienił na łokieć i korzec
miecz rycerski i ojców proporzec!—

I zgasł cicho... umierał szczęśliwym,
że umiera w mundurze tym siwym,
z karabinem strzaskanym u boku,
wpatrzon w słońce Wolności, wśród mroku—
dusza jasna, wybrana, przeczysta:
młody żołnierz, polski legjonista!

**Józef Relidzyński.**

# CZY NIEZNANY?

Już raz w „Orle Białym" rozważaliśmy pytanie, czy słusznie mogiłę żołnierza polskiego nazywamy **„mogiłą żołnierza nieznanego"?**

Dziś jeszcze raz warto zastanowić się nad tem z powodu pięknej uroczystości warszawskiej w dniu 2-im listopada. Ta uroczystość poruszyła cały naród polski. Niemal wszyscy mówiąc o niej, powtarzali tę samą nazwę: „mogiła żołnierza nieznanego", — ale czy słusznie?

I gazety umieściły opisy i wiersze, również posługując się tą samą nazwą.

A jednak chyba jest niewłaściwa.

Spotykamy ją tylko w gazetach i w ustach ludzkich, lecz nie w ziemi.

Gazety i usta omylić się mogą, — ziemia nigdy. Ona zawsze prawdę mówi. Co w niej ukryją ludzie, —to znajdą zapewne zczasem zepsute, zniszczone, lecz — nie sfałszowane. Dowód świeży dostatecznie nas o tem przekona:

Powierzono osobnej komisji znalezienie zwłok poległego **żołnierza polskiego.** A do komisji tej powołano nie lada kogo, bo osoby godne zaufania: ks. arcybiskupa Twardowskiego, wojewodę Garapicha, jenerała Malczewskiego i innych.

Otóż ta komisja przystąpiła do rozkopania na cmentarzu wojskowym we Lwowie trzech grobów, nad któremi umieszczone były napisy: „żołnierz nieznany". Po otwarciu trzech trumien okazało się, że na zwłokach nie znaleziono żadnych widocznych oznak przynależności zmarłych do wojska polskiego. Wskutek tego rozkopano dalsze groby, w których znaleziono już zwłoki **z widocznemi oznakami tej przynależności.** Z tych trzech trumien pani Jadwiga Zarugiewiczowa, której syn poległ pod Zagórzem i tam pochowany jako żołnierz nieznany, wybrała jedną. Po otwarciu tej trumny okazało się, że spoczywa w niej **szeregowiec wojska polskiego**, odziany w bluzkę, marynarkę, oraz maciejówkę z orzełkiem. Ranę otrzymał w głowę — i nogę miał strzaskaną".

Co nam dowód ten mówi?—

Szukano nie nieznanego, lecz polskiego żołnierza!

I znaleziono go! Tylko **nazwisko nieznane.**

A to różnica wielka!

Żołnierz znany, bo polski, więc już wiadomo, że to nasz rodak, do narodu naszego należący, z krwi i kości ojców naszych pochodzi! Jedynie tylko jego nazwisko **rodzinne** nieznane...

Mamy jeszcze dowód w akcie wieczystym, złożonym dnia 2 listopada w uroczystym grobie narodowym. W tym akcie ani razu nie użyto wyrazu „nieznany". Ale, owszem, całkiem wyraźnie napisano tak:

> **„złożono w tym grobowcu zwłoki żołnierza polskiego, poległego za ojczyznę w wojnie 1918 — 1920 roku".**

Jest nam przeto znany doskonale ten żołnierz poległy: **To nasz bohater!** — Mniejsza o jego nazwisko rodzinne. Nam, żyjącym rodakom jego, ono niepotrzebne! Nie nazwiska jego bowiem szukamy, lecz jego **idei, serca i charakteru!...**

**Poległ żołnierz polski,** więc walczył za wspólną ojczyznę naszą, — walczył, bo ją miłował tak, jak my, — walczył, bo chciał obronić ją przed wrogami; nie krył się przed niemi, lecz śmiało szedł przeciwko nim z bronią w ręku, więc poświęcił swoje zdrowie i życie dla szczęścia narodu!

On czynem swoim dowiódł, że **jako polak miłował szczerze i wiernie służył ojczyźnie!**

Rodakom żyjącym dał przykład dobry!

Dla tego na mogile jego nie powinna być nazwa „nieznany". Owszem, ma być dobitnie wyrażone **świadectwo chlubne,** że **tu leży polak,** który już spełnił zaszczytnie swoję powinność obywatelską dla dobra ojczyzny, — a ty rodaku, który czytasz je, bądź gotowy uczynić to samo w każdej chwili, kiedy ojczyzna nasza zażąda od ciebie takiej samej ofiary!

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 15 listopada 1925 r. № 46.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Krzyż przy drodze.

# Co może młodzieniec.

Dnia 15 listopada r. b. w całej Polsce Kościół Katolicki obchodzi uroczystość św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży.

Młodzież obojej płci gromadzi się przed ołtarzem swego Patrona na modlitwę i rozmyślanie...

Każdemu człowiekowi bardzo przyda się częsty namysł, rozwaga. Młodzieńcowi chyba najbardziej. Bo on dopiero zaczął drogę życia. Ciekawy, co go czeka w przyszłości.

Dobrze jest zapytać siebie: a od czego zależy pomyślność?

Zpewnością na to pytanie posypie się mnóstwo odpowiedzi. Każda zawiera w sobie młodzieńczą wiarę i nadzieję.

Owszem, chwalebna jest wiara i nadzieja uczciwa, — ale zaraz wartoby dodać zastrzeżenie: niechże dusza młodzieńcza dostroi się do swej wiary i nadziei dobrej...

Niech młodzieniec ziści to, co Krasiński mówi:

Z wiary waszej wola wasza,
Z woli waszej — czyn wasz będzie!

O to właśnie chodzi!

Wiarę niejeden młodzieniec ma szczerą, gorącą, wielką, — ale... brak mu woli!

A św. Stanisław Kostka wprawdzie młodziutki i jakgdyby wątły, jednak odznaczał się wolą żelazną!

Ta wola jego pokonała mnóstwo przeciwności okropnych.

Przedewszystkiem doznawał udręki od swego brata starszego, Pawła i jego towarzyszów.

Razem przebywali w Wiedniu pod opieką nauczyciela, opłacanego przez ojca. Ów nauczyciel snadź dużo pobłażliwości okazywał Pawełkowi, bo Pawełek wprawdzie razem z Stasiem uczęszczał do szkoły, lecz sporo jeszcze miał czasu wolnego, który obracał na swywolę, zabawy dość dzikie, psotliwe. Pomagali mu w tem rówieśnicy jego, tacy, jak i on, niesforni.

Ileż od nich ucierpiał Staś, stroniący od zabaw hałaśliwych! Nauka i modlitwa, praca i obowiązek, szkoła i kościół—całkowicie pochłonęły jego serce. Nie chciał należeć do zabaw Pawełka, ani też interesował się rozmowami jego, najczęściej niedorzecznemi.

Szlachetna samodzielność Stasia rozdrażniała Pawełka, nawet nieraz doprowadzała go do złości, do wybuchów gniewu dokuczliwego: wtedy łajał, przezywał— i poszturchiwał pobożnego i najzacniejszego braciszka.

Stasia te wybryki szpetne Pawełka nie potrafiły przerazić. Cierpiał, — ale w milczeniu! Nie zmienił swego postępowania, nie poddał się wymaganiom niewłaściwym swego brata starszego.

Niezmiernie był wierny ukochanemu ideałowi swemu.

Oto w młodzieniaszku, niemal dziecku, — już była wola twarda, jak granit!

Od wczesnych lat Staś wypielęgnował w sobie jedną myśl promienną, radosną, najdroższą, która stopniowo stała się główną, najważniejszą dla niego na całe życie, — myśl oddania się na służbę bożą, udoskonalenia swego serca, zostania zakonnikiem.

Wcześnie dowiedział się o tym jego zamiarze ojciec, ambitny i majętny pan polski! Nie podobały się jemu marzenia Stasia. Uznał je za wręcz przeciwne zamysłom swoim. Toć on zawczasu roił sobie dla synów swoich korzystne związki małżeńskie z najbogatszemi rodami — i najwyższe dostojeństwa w państwie.

Owszem, stary Kostka był przywiązany do wiary ojców swoich, — lecz mimo to, nie rad był widzieć któregokolwiek syna swego zakonnikiem.

Gdy o tych myślach ojca wieści doszły Stasia, narazie zatrwożyło się jego serce, przejęte najczulszą miłością ku rodzicom swoim.

Nie chciał zasmucać ojca i matki, lecz tylko złemi postępkami. A czy poświęcenie się Bogu i praca nad udoskonaleniem swego serca — są naganne i wyrzec się ich trzeba dla rozweselenia ojca?

Ojciec napewno zczasem udobrucha się, gdy rozważy, że najmłodszy syn jego obrał dla siebie najlepszą cząstkę duchową.

Nie zmienił przeto postanowienia swego.

W maleńki tłumoczek zebrawszy najniezbędniejsze rzeczy swoje, — kilkunastoletni Staś, wątły panicz, puścił się pieszo z Wiednia do — Rzymu!

Co za siła woli w młodzieniaszku, nawykłym do wygód, dostatku!

Sam dobrowolnie, dla wykonania ukochanej myśli pięknej — wyrzeka się bogactw, zaszczytów i rozkoszy zmysłowych, wystawia się na pośmiewisko brata i rówieśników swoich, naraża na dotkliwe mozoły długiej wędrówki pieszej, — bo przeważnie pieszo ją odbywa,—jednak nie waha się, ochoczo spełnia swój zamiar, jedno mając na widoku: wstąpić do zakonu dla udoskonalenia siebie!

Otworzono mu furtę klasztoru jezuickiego w Rzymie 25 października 1567 roku. Miał wówczas Stanisław Kostka lat 18-cie.

Nie cały rok przebywał w zakonie święty Młodzieniec, bo już 15 sierpnia 1568 roku umarł przede dniem.

W nowicjacie zachowywał się wzorowo, wszystkie prace wykonywał najpilniej, — wcześnie zdołał tak udoskonalić swoję duszę, iż wszyscy, bez wyjątku, z czcią zawołali:

— Stanisław, zaiste, jest święty!

Przepiękny wzór dla wszystkich, a osobliwie dla młodzieży!

Zpewnością po tej uwadze niejeden młodzieniec bodaj pomyśli, — bo nie będzie śmiał odezwać się głośno, — że nie zamierza stać się świętym, więc chyba nie wypada mu naśladować św. Stanisława.

W taki sposób niejeden dopuszcza się omyłki gdyż mniema, że chcąc stać się świętym, trzeba koniecznie wyrzec się wszystkiego, nawet szczęścia.

Owszem, wyrzec się trzeba tego wszystkiego co złe, a w dobrem doskonalić się ustawicznie.

Czy to trudne i niekonieczne?

Toć każdy bez wyjątku **obowiązany** wystrzegać się wszystkiego, co złe, — i nadto obowiązany stawać się coraz lepszym.

Wszak to prawda?

Św. Stanisław Kostka przedewszystkiem kład zwykłe podwaliny moralne pod przyszłą swoję świętość: zaczął od akuratnego wypełniania codziennych powinności swoich.

Nie może stać się lepszym ten, kto nie jest pierwej dobrym. A dobrym jest ten, kto wszystkie swoje obowiązki stara się wykonać pilnie, akuratnie i chętnie.

Czy nazwiemy dobrym tego, który niedbale wykonywa swoje zajęcie codzienne, który lęka się ludzi nieuczciwych, schlebia im, ulega, poddaje się ich namowom?

Tylko ten dobry, kto tak miłuje dobro, że śmiało staje w obronie wszystkiego, co dobre, — odważnie wykonywa dobre uczynki, nie zraża się przeciwnościami, choćby najcięższemi.

Nie ten dobry, który ma w głowie dużo zamiarów najlepszych, — „pełen chęci dobrych",—a ciągle w miejscu stoi, owszem, nawet dopuszcza się niejednego świństwa, — lecz ten, który zdobył się na mocną wolę i każdy swój zamiar poczciwy umie wykonać, choć musi przytem pokonać trudnych przeszkód wiele!

I Stanisław Kostka stał się świętym nie dlatego, że miał najpiękniejsze zamiary, lecz dlatego, że te zamiary potrafił silną wolą wykonać pomyślnie.

Prawda, Pan Bóg mu błogostawił i pomagał. Ale czy tylko jemu?

Owszem, każdemu bez wyjątku Bóg dopomoże. Tylko trzeba mieć piękne myśli i wolę niezłomną!

# MŁODEMU.

Młody, — więc śmiały bądź
i życiu patrzaj w oczy!
Młody, — więc lęku zbądź,
gdy duch się twój omroczy!

Przez nieustanny żmud
duchowe kuj oręże,
byś boży podjął trud,
kiedy urośniesz w męże!

Przejasną zbroję wdziej,
wykutą w ogniu woli, —
pod zbroją serce miej
żalące nędznej doli!

Bierz w rękę złotą wić,
co znaczy: miłość żywą
i w ziemię polską idź,
aż ujrzysz ją szczęśliwą!

Zaś w drugą garść weź miecz
jak ony rycerz z baśni
i zło nim tęp i siecz,
aż wokrąg się rozjaśni!...

**Józef Mirski.**

# Na drogę życia.

Rozpoznając uważnie usposobienie ludzkie, musimy wyznać, że są przeróżne. Nawet odpowiednie według nich przezwiska bywają dawane.

Oto ktoś niemal ciągle trwa w smutku, ma usposobienie dość ponure, zgryźliwe, wszędzie widzi tylko powody do smutku, każdą uwagę swoję kończy złą przepowiednią, narzekaniem, lub westnieniem żałosnem. Sam najczęściej bywa smutny i innych lubi smutkiem swoim nastrajać na ton niewesoły.

Ktoś inny, przeciwnie, — źle czy dobrze mu w życiu, — prawie zawsze wesoły, nawet szalejący bez upamiętania, drwi, pokpiwa, śmieje się z byle czego, ciągle szuka zabawy, hulanki. Dlatego też zasłużył u ludzi na nazwę lekkoducha.

Jeszcze ktoś inny nadewszystko pożąda pieniędzy, bogactwa. Chciwość opanowała go!

Warto jeszcze wyróżnić złośliwca. Łatwo daje się poznać już z połysku wzroku swego. Patrzy wrogo, gniewliwie, a nieraz nawet mściwie. Co ma w oczach, — to i w duszy. Bywa straszny, a najczęściej — niebezpieczny. Nie opuści dnia, by komuś psoty nie wyrządził.

Wreszcie trzeba wspomnieć o niedbaluchu. Żyje z dnia na dzień. Nic go nie obchodzi, niczem się nie przejmuje. Nigdy nie jest ani smutny, ani wesoły. Nie potrafi śmiać się, — ale też i płaczącego nikt go nie widział, chyba kiedy jeszcze był małem dzieckiem. Pracuje, jak wół, oglądając się na poganiacza.

Wyszczególniliśmy tylko kilka usposobień. smutny, szalejący, chciwy, złośnik, niedbaluch, — jednak w życiu codziennem spotykamy ich dużo więcej.

Niejedno usposobienie stało się poprostu kalectwem duchowem, ale chyba — uleczalnem.

— Zmień swoje usposobienie! — Takie życzenie wyrażają znajomi, przyjaciele, lub nawet rodzice, gdy zauważą w młodzieńcu pewne skłonności niedobre, naprzykład do częstego gniewu, zazdrości, lub krętactwa.

Łatwo powiedzieć: „zmień", lecz trudno je urzeczywistnić!

Bo usposobienie — to nie kapota, lub czapka! Ubranie w każdej chwili zmienić można, — usposobienie zaś trzeba długo i pracowicie wykorzeniać.

Przedewszystkiem, czy zgodzi się człowiek rozstać się z zastarzałem usposobieniem swojem?

Nie każdy zdobędzie się na potępienie własnego usposobienia, choćby najgorszego...

Nie każdy lubi słuchać nagany. Żżywa się, niecierpliwi, obraża, gdy mu kto wytyka jego usposobienie szpetne.

Jest więc złe usposobienie szkodliwe i zarazem niebezpieczne!

Nabyć je łatwo, ale pozbyć się go trudno!

Taka przestroga bardzo zda się młodzieńcowi.

Nie dość ostrzedz, warto jeszcze wyjaśnić, że usposobienie stopniowo, nieznacznie i długo tworzy się podług gruntu moralnego w duszy młodzieńca.

Trzeba rzec: jaki podkład moralny, — takie zczasem utrwali się usposobienie duchowe.

Kto został wychowany religijnie i uczciwie, ten nie nabędzie usposobienia złego. I dochodzimy do przekonania, że im gorszem kto odznacza się usposobieniem, — tem lichszy ma napewno grunt moralny w swej duszy.

Czy każdy z nas kiedykolwiek, — wcześniej albo później, — naserjo zrobił sobie plan, podług którego zamierza pielęgnować w swej duszy upodobane usposobienie?

Może kto z nas ani pomyślał o tem! U takiego niedbalucha moralnego usposobienie bezwiednie się tworzy według pokładów moralnych, w głębokości duszy utajonych.

I potem, całe życie, człek niedbały, czyli niesamodzielny, oswoiwszy się z usposobieniem swojem, może dość szpetnem, a może nawet bardzo brzydkiem, wcale nie troszczy się o zmianę jego na lepsze.

Czy usposobienie swoje zmienić można?

Także pytanie!

Owszem, do końca życia człek mocen jest duszę swoję nastroić odpowiednio podług życzenia swego. Ale, oczywiście, uczynić to zdoła tylko ten, kto nawykł być samodzielnym panem swego ducha, kto umie rozkazywać sobie i własne nakazy stopniowo siłą swej woli, wykonywać długo wytrwale.

Kto chce być duchowo samodzielnym, — musi mieć silną wolę

Lecz ona jest tylko narzędziem, jak gdyby władzą wykonawczą

Po nad nią musi górować ukochanie dobra, więc silne, szlachetne uczucie miłości, które wspólnie z dobrym rozumem snuje piękny ideał moralny na drogę życia.

Zdobyć się na te trzy moce: wolę, uczucie i myśl zdoła ten tylko, kto w sobie rozkrzesał wiarę religijną aż do potęgi zawsze obecnej i czujnej!

— Wierzę w Boga! — woła niejeden cichy i skromny pracownik — wierze, iż On jest Stwórcą świata i Dawcą wszystkich praw moralnych, które w trybunale sumienia zawsze wyraźnie dyktują człowiekowi powinności święte!

A gdy żyje wiara, — już też obok niej płonie jej siostrzyca, nadzieja błogosławiona, ciesząca człowieka zapowiedzią błogich skutków każdej jego pracy rozumnej i każdego wysiłku poczciwego.

Nadzieja nie łudzi, nie tumani! Kropla po kropli padając na kamień, musi zczasem uczynić w nim wyżłobienie, jako ślad trwały pracy tak drobnej, jak kropla...

Kto uczy się obcego języka, niech jeno każdego dnia zapamięta jedno więcej słówko, — a już po upływie roku posiadać będzie w użyciu 365 słów z obcej mowy.

Taki musi być skutek każdej pracy dobrej, choćby nawet umiarkowanej, byle wytrwałej, ustawicznej...

Nadzieja przeto nie zwodzi... Szczęśliwy, kto ją ma, kto ją w sobie nawet wzmacnia częstemi przykładami z życia codziennego.

Św. Stanisław Kostka miał mocną wiarę, ale i nadzieję niepłonną, że gdy usilnie pracował nad udoskonaleniem siebie, — już zasłużył na przyjęcie do klasztoru, dlatego z ufnością udał się do Rzymu i tam nadzieja jego ziściła się pomyślnie. Bo przecież zasłużył na to godnie!

Tak gdy kto, może nawet wiele razy każdodziennie, nakazuje sobie cicho a mocno i stanowczo: „bądź dobry, nikogo nie krzywdź, hamuj w sobie złe popędy!"—

niechybnie po pewnym czasie niedługim utrwali w sobie usposobienie powściągliwe, ostrożne, szlachetne..

To jest praca nad doskonaleniem siebie. Taki pracownik często nakłania siebie do czynienia dobrze, wystrzegania się zła.

I taka praca ustawiczna musi wydać plon dobry.

Zatem nadzieja dobrego pracownika nie jest zwodnicza.

Poeta, Lucjan Rydel, tak pisze o powodzeniu pracy dobrej na udoskonaleniem serca:

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba!
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zbliża do nieba.

Potęga jej **w sercu poczęta,**
**Nie mija bezpłodnie i marnie:**
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
Że same do rąk się jej zlecą,
**I serca najdziksze rozbroi,**
**Że same dobrocią zaświecą....**

Ale do pracy dobrej najpewniej pobudza ukochanie dobra, pochodzące z serca gorącego, zdolne go do zapału twórczego i wytrwałego.

Przypomnijmy tu sobie stare zdanie prawdziwe „Wiara bez uczynków — martwa jest!"

To znaczy, że obok wiary i nadziei powinna być miłość!

Miłość prawdziwa, a żarliwa pobudza do uczynków dobrych.

Bardzo dużo jest wierzących i nadziei pełnych, —lecz chyba zamało miłośników dobra... Dlatego tak mało jest pracowników dobrych, gorliwych, wytrwałych..

Bardzo dużo wierzących, lecz serca ich zimne, dlatego są niemal bezczynni, nieużyteczni... i częstokroć szyderczo usposobieni...

Sami bez serca, więc z serca cudzego szydzą.

A jednak i ci wystudzeni bardzo potrzebują pomocy tych, którzy, serdecznie kochając dobro, czynią im ustawicznie wiele dobrego...

„Żniwo wielkie, lecz mało pracowników?...
Bo zamało serc mocnych, gorących, rwących się do [czynu!...
Roboty bardzo dużo.
Brak rąk! — wołają narzekacze
Nie rąk, lecz serc ognistych brakuje!

Złe ludziom tylko dlatego, że mało tych, którzy miłują ludzi...

**Im więcej będzie serc miłościwych, tem mniej będzie pokrzywdzonych przez los i przez ludzi niepoczciwych!**

Kto miłuje dobro i ludzi, czyni im usługi chętnie i spiesznie, wcale nie oglądając się na ich wdzięczność, lub złośliwość.

Toć on kocha dobro i łaknie przysporzyć je ludziom.

Miałżeby więc kiedykolwiek zrażać się niewdzięcznością, albo lichotą cudzą? Gdyby zrażał się,—dałby dowód, że nie kocha dobra, jeno interesownie szuka pożądanej nagrody od ludzi, a gdy jej nie spodziewa się, już traci ochotę do pracy dobrej...

Kto kocha dobro,—tęskni ku niemu, rwie się do czynu i staje się podobnym do słońca wiosennego, które przecież nie zniechęca się widokiem zmarzniętej ziemi, taflami lodu na rzece, zwałami śniegu, leżącego na polach, ale grzeje ciągle coraz dłużej i silniej, aż ziemię pobudzi do pracy twórczej, lody roztopi, rzekę wyzwoli, a śniegi wypłoszy z pól, które wnet się zazielenią i plony wydadzą.

Gdyby słońce wiosenne zraziło się twardością grudy, a zimnotą lodu,—niezawodnie martwota, śmierć wszędzie na wieki utrwaliłyby swe panowanie

Serce miłościwe musi działać na podobieństwo słońca wiosennego: służyć ludziom uczynnie, pilnie, wytrwale, nie oglądając się na ich usposobienie może nawet wrogie, niewdzięczne.

Serce dobre musi zwyciężyć, zatriumfować nad złem.

Takiego triumfu doznał św. Stanisław Kostka.

Zdawać się komu mogło, że umknął przed Pawełkiem niepoczciwym. Nie. W zaciszu klasztornem dokończył swej pracy nad udoskonaleniem i uświęceniem siebie—i niebawem umarł, więc nie wrócił żywy do brata, ale wróciły do Pawełka piękne przykłady św. Stanisława, wspomnienia o dobroci jego serca—i one sprawiły zmianę chwalebną w Pawełku, jak słońce wiosenne na ziemi skrzepniętej dawnemi mrozami.

Serce, ożywione miłością dobra,—musi zwyciężyć!

Niezbędna przeto miłość obok wiary i nadziei.

Te trzy cnoty razem czynią zczasem w duszy ludzkiej usposobienie dobre, pożyteczne i szczęśliwe!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 22 listopada 1925 r. № 47.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



**Kościół w Trzeszczanach.** Wieś Trzeszczany leży w powieciecie hrubieszowskim, województwie lubelskiem, oddalona od Hrubieszowa o 10 kilometrów, przy trakcie, wiodącym do Grabowca, do którego również jest 10 kilometrów. Kościół, widoczny na obrazku, obecnie już nie istnieje. Na miejsce jego zbudowano w tych czasach wielki i wspaniały kościół murowany. Ludność religijna i ofiarna.

# Doktór Jan Sawicki.

Bardzo ciekawe i pouczające są koleje życia doktora Sawickiego.

Urodził się 24 lutego 1831 roku w Szawlach. Ojciec jego, Teodor, był lekarzem w Szawlach, odznaczał się sercem tkliwem, dużą pomoc okazywał ubogim, co zjednało mu powszechną życzliwość i szacunek.

Matka, Izabela z Rymgajłów, całą duszą oddana była dzieciom swoim, których miała jedenaścioro: dziewięciu synów i dwie córki, — szóstem z rzędu był Jan.

Kiedy Jaś liczył dopiero lat 5 życia, oddał go ojciec swemu szwagrowi, bratu żony, Karolowi Rymgajle, posiadającemu wieś Szapkajće, na czas jakiś. Tam przebywał tylko rok jeden.

Już od wczesnych lat Jaś okazywał „charakter zgodny, ładodny i bardzo czuły na każdą radę serdeczną, lub na upomnienie, idące od ludzi, którzy go kochali“.

Wuj Kamil był bardzo dobry dla Jasia, lecz starsza siostra wuja, Julja, stara panna, zawiadująca gospodarstwem, była, jako ciotka, srogą, marudną i często nawet dotkliwie karała malegc siostrzeńca swego, mającego zbyt żywe usposobienie i dużą skłonność do figlów.

Ale już od dzieciństwa ładna zaleta ujawniała się w charakterze Jasia: oto zawsze był koleżeński i nigdy nie lubił skarżyć się na nikogo. Raz zdarzyło się, że do Szapkajć przyjechała w odwiedziny siostra Jasia, cokolwiek od niego starsza.

Było to w zimie. Dziewczynka, bawiąc się koło pieca, w którym drzwiczki były rozpalone do białości prawie, haczykiem otworzyła je i zapewne przypadkowo sparzyła lewą rękę Jasia tak okropnie, że duża część skóry odrazu stała się wielką raną.

Dziewczynka niezmiernie przeraziła się nie tyle może widokiem rany, bo nie miała pojęcia o bólu, ile przewidywaniem kary od ciotki, prawie okrutnej. Jaś, jeszcze dzieciak, bo zaledwo sześcioletni, zapanowawszy nad bólem strasznym, zaraz uspokoił siostrzyczkę zapewnieniem, że całą winę bierze na siebie. Sam wnet udał się do ciotki i opowiedział jej, że się sparzył o pogrzebacz. Kilka tygodni goiła się rana, cierpiał, lecz siostry nie wydał. Kochał siostrę i ona go również bardzo miłowała!

Zaledwo rok przebywał Jasio u wuja. Musiał wrócić do domu, bo ojciec postanowił go zawczasu przygotować do gimnazjum. Gdy zaczął rok siódmy już go ojciec oddał do pierwszej klasy gimnazjalnej w Krożach, lecz wnet z Krożów powrócił do Szawel, albowiem wtedy właśnie rząd rosyjski skasował słynne gimnazjum polskie w Krożach i szkoły polskie w Chwałojniach, a profesorów przeniósł do Szawel i Swisłocza, rozkazując im uczyć wszystkich po moskiewsku.

Tak więc w Szawlach, mieście rodzinnem, Jaś zaczął nauki od pierwszej klasy w tamtejszem gimnazjum. Wówczas jeszcze nie było ograniczeń co do wieku uczniów, stąd wspólnie z Jasiem siedmioletnim zasiadali na ławkach pierwszej klasy uczniowie pod wąsem, mający lat niektórzy 25 i nawet 30...

„Ze wszystkich przedmiotów—pisze doktór Jan w swoim Pamiętniku o tych latach szkolnych — najlepiej polubiłem historję świętą i matematykę, być może dlatego, że nauczyciele tych przedmiotów, ksiądz Kontrym i Wincenty Giedymin, kochali młodzież i przez nią byli bardzo kochani. Wrażliwa moja dusza dziecięca była wtrząśnięta pięknością prawd ewangelicznych, męczeństwem Syna Bożego i bezgranicznem poświęceniem się pierwszych chrześcijan. Zrobiłem się bardzo nabożnym, czytałem żywoty świętych, Naśladowanie Chrystusa, codziennie chodziłem do kościoła na nabożeństwo dla modlitwy, lub służyłem do mszy, a ojciec, widząc takie usposobienie moje, zaczął mawiać, że „Jan zostanie księdzem". Te słowa ojcowskie powiększyły nabożność moją, modliłem się po kilka godzin dziennie, pościłem, spowiadałem się często i już umiałem na pamięć całą liturgję i inne nabożeństwa kościelne.

„Pamięć wprawdzie miałem wielką i ambicję, aby być wszędzie pierwszym i zawsze byłem przodującym w naukach, ale żywość charakteru nie opuszczała mnie nigdy. We wszystkich zabawach, swywolach i ryzykownych przedsięwzięciach byłem zawsze na przodzie, tak, że nieraz nazywano mnie „królem swawolników".

„W piłkę grałem znakomicie, rzucałem kamienie z procy doskonale, nie było drzewa, na którebym wleźć nie potrafił, nie było niebezpieczeństwa, na którebym się nie odważył, pobudzony ambicją, a zarazem wiarą, że bez woli Boga włos mi z głowy nie spadnie".

Mając lat jedenaście już był w czwartej klasie. I wtedy niespodziewanie stała się wielka zmiana w życiu jego. Oto pewnego dnia do ojca jego, jako lekarza, przybył na poradę znajomy stary major moskiewski, słabujący od jakiegoś czasu — i gdy zobaczył Jasia, silnie i dobrze zbudowanego, zapytał ojca, czemu nie odda go do korpusu kadeckiego, „bo z niego byłby doskonały żołnierz". Ojciec objaśnił, że nie ma znajomych w Petersburgu. Na to major, wdzięczny za leczenie, obiecał wyrobić miejsce Jasiowi w korpusie kadeckim. Obietnicy dotrzymał i wprędce, bo już na wiosnę, Jaś Sawicki w r. 1843, kiedy liczył ledwie lat dwanaście, opuścił dom rodzinny na czas bardzo długi.

Został przyjęty do korpusu kadetów w Petersburbu. Szkoła ta była niezmiernie sroga.

„Gdym poraz pierwszy stanął w szeregu,—pisze Jan Sawicki o tych czasach,—dowódca roty, kapitan Pogorzelski, miał do nas następującą przemowę: „Radze wam prowadzić się przyzwoicie, nie swawolić, uczyć się dobrze, bo za najmniejsze uchybienie w tym względzie czekają was rózgi, a że tu nie żartują, ręcze. Ej!—zawołał na dozorcę, —przynieś tu pęk rózeg, aby się wszyscy przekonali, że to nie rózgi matczyne". Zaraz wniesiono pęk rózeg, mających co najmniej 2 łokcie długości!

„W miesiąc potem w czasie musztry chłopcu czternastoletniemu, niejakiemu Hawratowi, dowódca bataljonu, pułkownik Czaplin, dał pięćset rózeg za to, że źle robił bronią... Z placu odniesiono go wprost do szpitala.

„Codziennie mieliśmy cztery lekcje z różnych przedmiotów, każda trwała półtory godziny. Resztę czasu zabierały nam: musztra, gimnastyka, śpiew i lekcja tańca. Wstawaliśmy o 5-ej rano w zimie i latem. O 9-ej wieczór każdy musiał iść spać. Posiłek dawano bardzo skąpy. Dość nadmienić, że tylko raz jeden w ciągu lat kilku wstałem od obiadu syty. A tak stale głód chłopcom dokuczał w korpusie kadetów!

„Dowódcą tego zakładu wojskowego był jenerał-major Mikołaj Puszczyn, człowiek dzikiej srogości! Trudno wyobrazić sobie, jak ten dowódca pastwił się nad biednemi chłopcami, ile rózeg połamał na ich skórze. Zdarzało się, że po niepomyślnych musztrach, odbytych wobec cesarza, lub wielkiego księcia Michała, przyprowadzał korpus młodzieży kadeckiej do maneżu (szkoły konnej jazdy) i po trzydziestu lub czterdziestu kadetów jednocześnie rozciągano na ziemi i sieczono aż do zemdlenia. Puszczyn biegał zwykle między bijącemi posługaczami - żołdakami, krzycząc: „mocniej, mocniej!" Po jednej z takich egzekucji syn jenerała Głowackiego umarł z bólu. Takie tyrańskie obejście się wywałało między starszemi kadetami spisek: postanowili zabić jenerała. Spisek odkryto, najwinniejszych oddano do armji na prostych żołnierzy, obowiązanych służyć lat dwadzieścia pięć! Jednak skarga zrozpaczonego jenerała Głowackiego i wykryty spisek sprawiły to, że cesarz Mikołaj, sam despota i tyran, skarcił Puszczyna i uwolnił ze służby, a jego miejsce zajął jenerał Gresser.

„Uczono nas—ciągnie dalej doktór Jan—dobrze. Najlepsi profesorowie wykładali szkolne przedmioty. Nie było tam wówczas żadnej różnicy między polakami i moskalami, owszem, lubiano nas bardziej, bo wogóle polacy mieli większą ogładę, delikatność, zręczność w ćwiczeniach fizycznych, zdolność do nauki i prowadzili się lepiej... Religję katolicką wykładano nam po moskiewsku. Kapelan, kiądz Stacewicz, przetłumaczył katechizm katolicki na język moskiewski. Popi, nauczyciele religji prawosławnej, lekceważeniem swego obowiązku i niedowiarstwem wszczepiali w młode dusze obojętność do religji i nawet pogardę do obrzędów kościelnych. Odbijało się to i na nas, katolikach, bo przykład bywa zaraźliwy.

„Mówiliśmy zawsze między sobą po moskiewsku, a jeżeli nie zapomniałem ojczystego języka, zawdzięczam to książeczce do nabożeństwa, ułożonej przez Tańską, którą mi ojciec przysłał w nagrodę za pilność w naukach i przykładne postępowanie. Styl tej książki jest tak piękny, wybór modlitw tak dobry, że często czytałem ją i prawie całą umiałem na pamięć.

„Co kilka tygodni najlepszych uczniów posyłano do pałacu cesarskiego dla zabawy z wielkiemi książętami: Mikołajem i Michałem, synami cesarza Mikołaja I-go. Ponieważ uczyłem się bardzo dobrze i co rok otrzymywałem pierwszą nagrodę, często przypadał na mnie ten zaszczyt, który lubiłem jedynie dlatego, że w pałacu dawano dobre rzeczy do jedzenia; co do samej zabawy, to nie była bardzo wesoła, bo książęta nie posiadali dobrego wychowania i lubili bolesne żarty, patrząc na nas jak na zwierzątka, przywiezione dla ich zabawy i rozrywki. Ileż to razy na wiosnę, gdy lód zaledwo roztopniał, bawiąc się w ogrodzie, byłem wepchnięty do sadzawki w całem ubraniu, skąpany w zimnej wodzie, zostawałem w mokrym mundurku aż do powrotu do zakładu; ileż to razy niejeden z nas, odwożony dworską karetką, wiózł do szkoły sińce na twarzy, uderzony śnieżną kulą rzuconą ręką wielkosiążęcą, albo jechał bez czapki, bo ją utopił książe w stawie. Wielki książe Mikołaj wykazywał przy tem zawsze mniej serca i większy brak wychowania, żarty jego bywały zawsze bolesne: takim też pozostał do końca życia swego.

„Posuwając się z klasy do klasy, co rok też awansowałem w stopniach wojskowych: w drugim roku mego pobytu w korpusie zostałem giefrejterem, w trzecim młodszym podoficerem, potem starszym, a nareszcie feldfeblem. W piątym roku nie chciano mnie awansować na feldfebla z powodu łagodnego charakteru mego, dla wypróbowania jednak poruczono mi ten obowiązek tymczasowo w szóstej rocie, dokąd zwykle wstępowali nowoprzybyli uczniowie. Wiedząc, że od tego zależała przyszłość moja, rozwinąłem taką energję, tak byłem czynny i srogi dla chłopców, że po miesiącu próby awansowano mnie na feldfebla. Od tej chwili zmieniłem powoli postępowanie i stałem się znowu tem, czem byłem rzeczywiście!"

W r. 1848 umarł mu ojciec na cholerę. Na pogrzebie nie mógł być. Tylko dowiedziawszy się o ciężkiem położeniu materjalnem rodziny, wyjednał u naczelnika korpusu miejsce dla dwuch swoich braci młodszych, Ludwika i Hugona. W taki sposób zapewnił im korzystną przyszłość wojskową.

Już 26 maja 1849 r., kiedy miał dopiero lat 18 został oficerem lejbgwardji grenadjerskiego pułku. Pułk ten zatrzymał się w Wilkomierzu. Stąd niedaleko do Szawel, więc poprosił o urlop czterodniowy pułkownika swego, Sałosa, dla odwiedzenia matki, której pięć lat nie widział. Warto przytoczyć z Pamiętnika doktora Jana opowiadanie jego o tych odwiedzinach:

„W czasie podróży przez las—pisze—kupiłem młodą wiewiórkę od leśniczego i umieściłem ją w tornistrze oficerskim. Płacąc furmanowi dobry napiwek, pędziłem jak szalony do miasta rodzinnego. Przyjechawszy do rogatki o szóstej zrana, kazałem pocztyljonowi trąbić z całej siły, żeby wjechać do miasta huczniej. Serce mi skakało z radości, że za chwilę obejmę ukochaną matkę i siostry. Był to przecudny poranek wiosenny, ptaszki śpiewały i cała natura zdawała się uśmiechać i wtórować memu nastrojowi. Podjechawszy przed dom, zeskoczyłem z wózka. Na spotkanie wybiegła służąca, która była u nas od lat kilkunastu i pies. Pomimo tak długiego niewidzenia pies poznał mnie odrazu po głosie i, skowycząc z radości, skakał dokoła. Dowiedziawszy się, że matka spoczywa jeszcze, kazałem, aby jej nie budzono, sam wszedłem do pokoju ojcowskiego. Wszystko tam było na dawnych miejscach i biurko, przy którem pracował i fotel malowany i kanapa, przy której tak często klęczałem za karę i półka na tytoń i fajki. Obejrzawszy pokoje, wyjąłem z tornistra wiewiórkę i zacząłem nią bawić się; swawolnica skakała po pokoju, potem schowała się pod biurko ojcowskie. Chcąc ją stamtąd wypędzić, wziąłem cybuch do ręki i położyłem się na ziemi, aby zobaczyć, gdzie siedzi. W tej chwili drzwi się otworzyły i wbiegła matka, której pomimo zakazu mego powiedziano o przyjeździe kochanego Jasia. Zaprezentowałem się więc nie bardzo korzystnie, bo jak dawny swawolnik, którego przed pięciu laty pożegnała. Powitanie nasze było radosne, łzy szczęścia ciekły nam z oczu, uściskom i pytaniom końca nie było. Obie siostry wyrosły na piękne panny, z dumą przypatrywały się zręcznemu oficerowi z gwardji, ubranemu w śliczny mundurek. Boże mój! Jaki byłem wówczas szczęśliwy! Biegałem z pokoju do pokoju, z podwórza do ogrodu, z gołębnika do wozowni, gdzie stał nasz dawny, na żółto malowany kocz, aby się przypatrzeć tym wszystkim miejscom, które były świadkami moich zabaw dziecinnych. Tegoż dnia odwiedziłem wszystkich znajomych w mieście, byłem w kościele, byłem u księdza Kontryma i na cmentarzu, aby pomodlić się na mogile ojca i zapłakać, że nie dożył tej radości, a kochał mnie bardzo. Na drugi dzień wyjechałem do wujów, żeby przedstawić się im wszystkim i zobaczyć te miejsca, które w mej wyobraźni zawsze otoczone były jakiemiś tęczowemi barwami. Wszędzie byłem witany szczerze i serdecznie, wszędzie mi było wesoło, bom był szczęśliwy nad wyraz.

Któż takich dni choć kilka nie miał w życiu swojem? Kto ich nie pamięta, nawet wówczas, gdy mu głowę siwizna zabieli? Na wspomnienie złotych chwil owych, przelotnych, a nigdy nie zapomnianych, łzy cisną się do oczu, bo nigdy już nie wrócą".

Powróciwszy do pułku, Jan, jako oficer, prawie ubóstwa doznawał, bo, nie znając wartości pieniędzy i nie nauczony oszczędności, pensyjkę niewielką prędko wydawał, a resztę dni każdego miesiąca musiał niemal głodować, bo przecież oficerowi nie wypadało podjąć się ubocznie jakiej jeszcze pracy zarobkowej.

Ale przyszła mu myśl bardzo szczęśliwa i dla niego wykonalna: jako zdolny i pracowity porzucił oficerstwo w gwardji, a wstąpił do wojennej akademji generalnego sztabu, która dawała ogromne przywileje tym, co ją ukończyli celująco.

Jak zamierzył, tak uczynił. Mając rok dwudziesty, zdał egzamin i został przyjęty do akademji. Dwa lata, wyrzekłszy się wszelkich rozrywek godziwych, pracował dnie i noce bez wytchnienia prawie, mało czasu poświęcając na sen i posiłek. I dopiął swego. W końcu drugiego roku zdał ostateczny egzamin świetnie. Otrzymał dwie rangi jedną po drugiej i nagrodę. Mając lat 21 już został sztabs-kapitanem— i otrzymał zaraz stanowisko starszego adjutanta sztabu główno-dowodzącego, którym był wówczas następca tronu, Aleksander. Płacę teraz otrzymał dostateczną, mundur miał piękny, ładne mieszkanie skarbowe—i, zdawało się, że już nic mu nie brakowało do szczęścia, bo zyskał poważanie i uśmiechała mu się karjera w dalszem życiu.

Już tak zaszczytne i ważniejsze zająwszy stanowisko, Jan Sawicki miał możność nawiązania znajomości ze znakomitszemi rosjanami. I gdy rozpoznał charaktery wielu rosjan wpływowych, zauważył ze smutkiem, że wśród nich niemało było ludzi zgoła niegodziwych: rozpustników, karciarzy, karjerowiczów, gotowych na wszelkie podłości dla zdobycia pieniędzy i wyższych urzędów...

Dość nadmienić, że senator Sieniawin oddał własną córkę na rozpustę wielkiemu księciu Mikołajowi, mniemając, że w nagrodę za to otrzyma jakie miejsce bardzo dochodne, a gdy się zawiódł z rozpaczy wyskoczył z piętra na bruk i głowę roztrzaskał; Księżna Trubecka upraszała władzę o wysłanie męża w stepy orenburskie, żeby stać się kochanką carską na kilka nocy; księżna Dołgorukaja z największą dumą chwali się ze swej hańby, książe Woroncow żeni się z jedną nałożnicą carską, a Albedinski z drugą.

„Obok tej klasy zepsutej, - słowa Sawickiego - mającej przywileje na rozpustę, bo okrytej promieniam łaski cesarskiej, poznałem się także z wybitnemi profesorami i publicystami rosyjskiemi. Nie wiele też i oni warci. Siły charakteru i przekonań, szczerości i szlachetności, bezinteresowności i niezmienności tam nie znajdziecie. Słynny poeta Niekrasow był rozpustny i brudny w sprawach pieniężnych do najwyższego stopnia; Panajew (założyciel czasopisma „Sowremiennik") był to łotrzyk najbezwstydniejszy; Katkow (redaktor miesięcznika „Ruskij Archiw", wielki wróg polaków)—łajdak, zdolny do największej podłości".

Obracał się Jan Sawicki między takiemi ludźmi niecnotami, bo musiał, bo wypadało mu tak z jego stanowiska, jako wyższy oficer sztabu jeneralnego, ale nie poddał się wpływom tych ludzi zepsutych!

Sam przy tej sposobności wyznaje w swoim Pamiętniku skromnie i prostotnie: „całe życie miałem wstręt do udawanych uczuć i oszukaństwa",

---

Opowiada dr. Jan Sawicki w swoim Pamiętniku o śmierci cara Mikołaja I-go.

Kiedy wojna sewastopolska w r. 1856 stawała się już niepomyślną dla Rosji, car Mikołaj, przewidując dla siebie upokorzenie straszne, gdy mu wypadnie przyjąć wiadomość urzędową, że wojnę przegrał, nie chciał doczekać takiej chwili, postanowił umrzeć. Wezwał lekarza i zamówił u niego dla siebie truciznę. Lekarz wzbraniał się, dopiero gdy następca tronu, Aleksander, potwierdził wolę ojca,—lekarz spełnił rozkaz — i car, wypiwszy truciznę, umarł w strasznych mękach 3 marca 1856 roku

W Rosji całej nikt nie żałował okrutnika.

„Trzy lata potem zmarł jenerał Orłow, przyjaciel cara Mikołaja, naczelnik żandarmerji Przed śmiercią dostał obłąkania: zdawało mu się, że nie jest jenerał-adjutantem, lecz tylko świnią. Kazał zrobić sobie koryto i jadł nie inaczej z niego, jak na czworaku, włożywszy poprzednio mundur i wszystkie rosyjskie i zagraniczne ordery, których miał wiele. Tak umarł spólnik i wykonawca zbrodni Mikołaja I-go".

Nieco dalej tak pisze dr. Sawicki: „Cesarz Aleksander II-gi, jak i jego ojciec, Mikołaj I-y, nie słynęli z męstwa. Mikołaj I-y bał się niezmiernie wszelkich ruchów ludowych. W czasie 14 grudnia 1825 r. do tego stopnia stracił głowę, że chodził blady jak trup, pytając każdego o radę. Gdy w czasie cholery w r. 1834 wybuchł bunt w Petersburgu, car, przebywający wówczas w Peterhofie, nie chciał jechać do stolicy i ciągle nasłuchiwał, czy nie strzelają z armat w Petersburgu. Na drugi dzień, gdy się już wszystko uspokoiło, car wyjechał na plac i krzyknął na lud zebrany: „na kolana!" Tłum zestraszony spełnił rozkaz cesarski.

— Co to znaczy, — wołał — buntujecie się! Wszystkiego tego ci podli polacy was uczą! Na ten raz wam przebaczam, ale na przyszłość srogo karać będę czyny podobne.

Mikołaj nigdy nie przebaczył nikomu, kto go przestraszył, lub kto widział przestrach jego. Byłem sam świadkiem, — słowa Sawickiego — jak pewnego indjanina, który z prośbą w ręku ukląkł przed nim znienacka i nastraszył go swą ciemną i zrozpaczoną twarzą, kazał wrzucić do więzienia, nie chcąc nawet przyjąć prośby jego. Nieszczęśliwy indjanin zmarł w lochu, przesiedziawszy tam lat siedem tylko za to, że nastraszył cara-despotę. Jenerałowi Panajewowi, który był świadkiem przestrachu cara podczas buntu wojennych kolonji w Nowogrodzie, Mikołaj kazał wyjechać do jednej ze wschodnich guberni i tam pozostawać aż do śmierci i nigdy nie pokazywać się w stolicy. Niektórzy zaś otrucie się cara po prze-

granej wojnie sewastopolskiej uważają jako dowód jego męstwa i siły woli. Mnie się jednak to nie zdaje. Car stał się samobójcą dlatego, że się wstydził swoich omyłek politycznych, brak mu przytem było siły woli do walki z przeciwnościami, które go otoczyły po przegranej wojnie.

1857 r. został już podpułkownikiem, mając dopiero lat 27. Polubił służbę wojskową, chciał się w niej udoskonalić i dlatego zamierzył udać się zagranicę, poznać, jak tam załatwiane są wszelkie sprawy wojskowe, a przytem zapragnął przypatrzeć się tym okolicom we Włoszech, gdzie ongi Napoleon I-y staczał boje pomyślne. Nęciły go zadania wojenne, miał w sobie zapał żołnierski. Pieniędzy mu na podróż wystarczyło. Już miał sporo oszczędności własnych. Nauczył się oszczędzać i całe życie nie zapomniał tej nauki.

Wyjechał zagranicę w maju 1857 r., a wrócił dopiero następnego roku. Przedewszystkiem przed wyjazdem odwiedził matkę i rodzeństwo. Potem przez Warszawę, Tatry i Kraków udał się do Wiednia, Szwajcarji, Włoch, Afryki północnej, Hiszpanji, Portugalji, Francji, Anglji, Holandji, Belgji i Prus.

Ta podróż — pisze Sawicki — „rozwinęła mój umysł, pozwoliła ocenić dokładnie braki mego wykształcenia, dała możność poznania kilku wielkich obywateli: polaków, francuzów, włochów i węgrów, rozszerzyła me wiadomości wojskowe i przysposobiła w ten sposób do należytego pełnienia obowiązku naczelnika sztabu".

Gdy z wędrówki przybył do Petersburga, zaraz mianowano go szefem (naczelnikiem) sztabu I-ej kawaleryjskiej dywizji, która stała w kowieńskiej guberni, a kancelarja sztabu znajdowała się w Kownie. Szczęśliwy był traf dla niego, bo właśnie od jakiegoś czasu w Kownie mieszkała jego matka, siostra zamężna i brat starszy, który tam pełnił obowiązki pomocnika prokuratora przy sądzie okręgowym.

Dowódcą dywizji w Kownie był jenerał Burhard, dość niedołężny i słabo znający służbę wojskową. Za to Sawicki z urzędu swego sztabowego usilnie zajął się udoskonaleniem sprawności wszystkich pułków, wchodzących w skład tej dywizji. „Zwrócił przedewszystkiem baczną uwagę na bardziej ludzkie obejście się oficerów z żołnierzami, na polepszenie ich wiktu i utrzymania, śledził starannie, aby nie było nadużyć i krzywdy tym, co się skarżyć nie mogą, starał się też między oficerami zaprowadzić jaknajwiększe koleżeństwo, bywając u nich i przyjmując ich u siebie, rozbudzał w nich zamiłowanie do służby wojskowej i chęć do zajęcia się nią. Sam też tak nauczył się dobrze regulaminu wojskowego kawalerji, że stał się dla wszystkich wojskowych prawie wyrocznią. Wszyscy polubili go i szanowali, bo dał się lubić jako szczery, szlachetny, uczciwy i niezmiernie rozumny. Wkrótce tak udoskonalił dywizję, że gdy car Aleksander 1860 roku odbył jej przegląd w Wilnie, pochwalił dowódcę i nagrodził wszystkich oficerów. A potem oficerowie wyznawali, że główna podzięka za ten postęp należy się przedewszystkiem naczelnikowi sztabu dywizji, Janowi Sawickiemu.

A on umiał zjednać sobie przyjaźń nietylko wojskowych, lecz i u bardzo wielu mieszkańców Kowna, oraz okolicy znalazł dla siebie wielką przychylność.

„Życie moje w Kownie — pisze Sawicki — było bardzo przyjemne. Trzy lata ubiegły, jak chwilka jedna, wszyscy mnie kochali i ja szczerze byłem przywiązany i do wojsk i do obowiązków moich. Przyjaźń moja dla brata, który był w Kownie wiceprokuratorem, wzrastała z dniem każdym, był to bowiem człowiek niezmiernej prawości i szlachetności.

Ileż to razy odbywaliśmy razem spacery za miastem i, rozmawiając o smutnych losach Litwy, spłakani wracaliśmy do domu....

„Czas wolny spędzałem nad książkami, studjując literaturę polską i historję Polski, których dotychczas prawie nie znałem (kształcony w szkole rosyjskiej), albo pracując w ogrodzie i pielęgnując kwiatki, albo odwiedzając znajomych w okolicy. Szwagier mój, Zygmunt Sacewicz, który żył z nami razem, był także zacny i bardzo poczciwy człowiek, kochał żonę swoję, a do nas był przywiązany, jak do braci rodzonych. Dom nasz z jego spokojem, miłością, szacunkiem i wzajemnem przywiązaniem mógł służyć i rzeczywiście służył za przykład szczęśliwego, cnotliwego i poczciwego pożycia. Bogactwa nie było, lecz niedostatku nigdy nie zaznaliśmy, pomagając sobie wzajemnie. Starodawna gościnność tu panowała stale i gości zawsze było pełno, zwłaszcza na imieniny matki, siostry naszej i większe święta.

„Jednego tylko miałem wroga, ale niebezpiecznego. Był nim pułkownik żandarmski, Skwarcow, niegodziwiec taki, że nawet jego brat rodzony wyrzekł się go i nie chciał słyszeć o nim. Otóż Skwarcow mniemał, że ja, przyjechawszy do Kowna, odwiedzę go pierwszy i w taki sposób upoważnię do bywania u mnie, gdzie zbierało się tyle ludzi, — ale omylił się bardzo, bo nie miałem zamiaru wprowadzania do mego domu szpiega. Tego mi nie mógł darować i zemścił się przy pierwszej okoliczności.

Polacy pod panowaniem Mikołaja I-go byli bardzo prześladowani. Gdy po śmierci tego tyrana wstąpił na tron Aleksander II-gi, narazie rozeszły się pogłoski, że nowy car nie będzie tak okrutnym dla polaków, poczyni im znaczne ulgi, da nawet dużą wolność. Tak łudzili się nieszczęśliwi. I rzeczywiście w pierwszych latach panowania Aleksandra w Polsce i na Litwie ludność polska i litewska odprawiała częste modły na intencję wybłagania pomyślności dla ojczyzny, nie raz też urządzała uczty, podczas których wygłaszane bywały mowy patrjotyczne i śmiało i wyraźnie wyrażające niedolę, krzywdy i nadzieje narodu polsko-litewskiego. W Kownie właśnie w tym czasie odbywały się nierzadko takie modły i uczty. Wobec nich podpułkownik Sawicki był w trudnem położeniu, bo, jako polak, miłujący ojczyznę, całem sercem radby uczestniczyć w modłach publicznych i na ucztach narodowych, — ale jako oficer rosyjski mógł się łatwo podać w podejrzenie, że działa wrogo przeciwko rządowi, w którego armji służy.

I tak się stało niebawem. Polacy pewnego razu wyprawili ucztę narodową, na której miły poeta polski, Kondratowicz (Syrokomla), wygłosił swój wiersz polityczny.

W tym wierszu rosjanie dosłyszeli nutę niechęci, urazy do rządu — i tajemnie denuncjowali do wyższej władzy Jana Sawickiego, że on jakoby obecny był na tej uczcie, słyszał ten wiersz, publicznie wygłoszony przez poetę i nie sprzeciwił się, ale, owszem, oklaskiwał go razem z innemi współbiesiadnikami. Denuncjacji tej dopuścili się społem: pułkownik żandarmerji i jenerał Burhardt. Sawicki nic o tem nie wiedział i nawet nie był na uczcie w tej porze, kiedy poeta mówił swój wiersz patrjotyczny. Denuncjanci, nie sprawdziwszy pogłoski, napisali do ministerjum oskarżenie, które miało ten skutek, że nagle Sawicki otrzymał z Petersburga wiadomość, podpisaną przez cara, o przeniesieniu go z Kowna do Kurska!

Jak umiał Sawicki w krótkim czasie zaskarbić sobie niemal u wszystkich życzliwość, a nawet i przyjaźń, świadczył powszechny żal i serdeczne pożegnanie, kiedy już musiał opuścić Kowno. Nawet żołnierze zbiorowo wyrazili mu swoję cześć, a oficerowie i cywilni mieszkańcy odprowadzili go owacyjnie daleko po za miasto.

Dopiero w Petersburgu u ministra dowiedział się Sawicki, że mu się przysłużył jego jenerał dywizji, Burhardt, któremu tyle pomocy wojskowej okazywał i nawet przyczynił się do tego, że przecież otrzymał był nagrodę od cara za dobre wyćwiczenie pułków; ale to było zasługą nie Burhardta, jeno Sawickiego. Teraz więc u ministra Sawicki wytłumaczył się z oskarżenia, jako był prawdziwie niewinny i w nagrodę za to otrzymał godność pułkownika, a gdy go władza zapytała o jenerała Burhardta, czy jest zdatny, dał o nim rzetelne świadectwo, iż jest nieudolny. I oto niebawem sama władza ministerjalna dała całkowitą dymisję jenerałowi Burhardtowi. Jenerał, otrzymawszy nagle uwolnienie ze służby, strasznie rozpaczał. A jednak powinien był w tem wydarzeniu sam sobie powiedzieć, że tylko sprawdziło się na nim stare przysłowie: „kto pod kim dołki kopie,—sam w nie wpada"—i kto okazuje niewdzięczność, sam wprędce dozna powszechnej pogardy!

W Kursku Sawicki, już jako pułkownik, takie samo stanowisko zajmował, jak w Kownie. Ale, nauczony doświadczeniem, unikał zawierania wielu znajomości. Po spełnieniu zwykłych obowiązków swoich, resztę dnia i część nocy spędzał nad książkami. Umiłował nauki przyrodnicze, więc teraz w Kursku przez czytanie wielu dzieł i robienie doświadczeń pogłębiał w sobie tę wiedzę.

I w Kursku również znalazł się wróg, który uczciwego i szlachetnego polaka sekretnie oskarżył przed ministrem spraw wojskowych. Na skutek tego oskarżenia Sawicki, jako „niebłahonadiożnyj", został powołany do Petersburga i przeznaczony „do osobnych poleceń" przy wojennem ministerstwie, a więc zabrany z Kurska, bo tam naraził się panu gubernatorowi.

Gubernator w Kursku, niejaki Den, „ustawicznie mieszał się w sprawy wojsk, rozkwaterowanych w guberni i wymagał dla siebie takich honorów wojskowych, które mu się nie należały. Zarówno dowódca dywizji, jak i Sawicki, jako naczelnik sztabu, nie chcieli zastosować się do wymagań gubernatora, co go tak obraziło, że postanowił zemścić się na dowódcy dywizji i na pułkowniku Sawickim." A w Rosji zawsze było łatwo zaszkodzić każdemu. Dość sekretnie donieść władzy o kim, że jest: „niebłahonadiożnyj", a już do końca życia nic go nie zdołało oczyścić od podejrzeń władzy i zarzutów, częstokroć niedorzecznych aż do śmieszności. „Tak człowiek „niebłahonadioznyj", jeżeli nie ma własnych środków, a żył tylko ze służby rządowej, zginąć może nędznie, a nikt mu ręki nie poda z obawy, żeby i jego również nie podejrzewano o wspólnictwo".

Znowu pułkownik Sawicki udał się do Petersburga i tam z ministrem i jego pomocnikiem miał nieprzyjemną rozmowę, z której wreszcie dowiedział się, że gubernator Den oskarżył go „o nieprzychylne usposobienie do rządu carskiego", bo między innemi na obiedzie galowym u gubernatora pił zdrowie carskie nie szampanem, lecz wodą, bo prawdziwie wina wcale nie używał od dłuższego czasu. Jeszcze inne zarzuty uczynił mu gubernator w swoim „donosie", ale widocznie „obwinienia te nic ważnego nie zawierały", bo minister wstydził się je powtórzyć.

Pułkownik Sawicki skorzystał z podejrzliwości władzy wyższej — i poprosił o dymisję. Uczynił to jednak z innej przyczyny: — z obowiązku narodowego. Bo w tym czasie wybuchło powstanie w Polsce i na Litwie. Sawicki już był nawet otrzymał listowne zaproszenie od rodaków, by rzucił służbę w wojsku rosyjskiem, — a wstąpił do powstańców. Sam, jakkolwiek zawczasu przewidywał niepowodzenie powstania, jednak, jako dzielny polak, rozumiał, że każdy obowiązany, kiedy kraj woła, rzucić wszystko i stanąć w jego obronie, choćby przytem wypadło złożyć swe życie w ofierze.

W tym czasie Sawicki ogłosił drukiem swoję książkę naukową, napisaną po rosyjsku, pod tytułem „Obrazy wszechświata". A gdy już otrzymał pożądaną dymisję, wyrobił sobie paszport zagraniczny i 26 maja 1863 roku opuścił Petersburg, a niebawem i Rosję nazawsze!

Dużo miał przyjaciół wśród rosjan. I ci gromadnie odwieźli go parostatkiem do okrętu szwedzkiego, który miał go zawieźć do Hamburga. Na pożegnanie rzekli mu rosjanie te słowa: „Jedź, Janie, kurować się, szczęść ci Boże, a jak się wyleczysz, dopomóż i nam do odzyskania zdrowia".

Zrozumiał znaczenie tego życzenia Jan Sawicki, bo przecież on z przyjaciółmi moskalami szczerze rozmawiał o swojem postanowieniu przyłączenia się do powstania polskiego, więc oni życzyli mu powodzenia w walce o niepodległość Polski, a gdy ją wyzwoli, niech wraca do Rosji i rosjanom pomoże zmusić cara do dania swobód narodowi rosyjskiemu, ciemiężonemu jego tyranją!

Jan Sawicki, robiąc starania o paszport, podawał policji jako powód podróży swojej zagranicę zamiar leczenia się wodami mineralnemi. Ale widocznie od przyjaciół moskali dowiedziała się policja dość późno o tajnym planie narodowym podróży jego, bo kazała go aresztować. Na szczęście rozkaz spóźnił się o dwie godziny! Kiedy straż policyjna przyszła do mieszkania Sawickiego, żeby go zaaresztować, on

już był na morzu, wolny i szlachetny syn Polski!

Dążył na pole walki. Zgóry przewidywał, że walka zakończy się przegraną, bo naród polski nie był przygotowany należycie do boju z przeważającemi siłami nieprzyjaciół, lecz skoro już wybuchło powstanie,—rozumiał Sawicki, że teraz nie czas na wahanie się, lecz razem z innemi rodakami trzeba iść z bronią w ręku na wroga!

O tym momencie swego postanowienia tak pięknie pisze Sawicki w swoim Pamiętniku: „Będąc najzdolniejszym wojskowo z braci, uważałem, że na mnie wypadł los iść na straconą pikietę i krwią moją spłacić dług ojczyznie. Och, nie łatwe jest poświęcenie się, gdy się nie ma wiary w możność udania się przedsięwzięcia. Żegnałem kraj, żegnałem w myślach matkę, siostry i braci, których już nigdy nie miałem zobaczyć, żegnałem marzenia młodości, idąc na pewną śmierć z przekonaniem, że nie będzie nawet komu odnieść ostatniego pożegnania syna i brata osobom, które tak kochałem i wskazać miejsca, gdzie kości moje leżą! Jakżeż silną jest w człowieku chęć pozostawienia po sobie wspomnienia i jakiejś pamiątki"!...

Po wylądowaniu Sawicki na krótko zatrzymał się w Brukseli dla powzięcia wiadomości, gdzie się znajduje Komitet narodowy, kierujący powstaniem polskiem. Tam polecono mu udać się do Paryża. W Paryżu wprawdzie zastał Rząd Narodowy polski, ale zauważył w niektórych jego członkach albo niedołęztwo, albo niezgodę i stąd odesłano go do Krakowa, a z Krakowa do Lwowa. Stracił sporo pieniędzy swoich i czasu zgoła bez żadnej potrzeby. We Lwowie dowódcy powstania narazie zakłopotali się z powodu Sawickiego, bo mniemali, że on, jako były pułkownik wojsk rosyjskich, zechce otrzymać dowództwo nad oddziałem powstańców, a on zaraz wybawił ich z kłopotu, oświadczywszy, że przyszedł służyć jako prosty żołnierz w piechocie, lub kawalerji.

Wreszcie — pisze Sawicki — „29 czerwca 1863 r. otrzymałem z komitetu powstańczego zawiadomienie, że mam się udać do Wysocka pocztowemi końmi, a stamtąd będę odesłany na pukt zborny. Jutro więc będę w oddziale, a pojutrze może się zetrzemy z nieprzyjacielem, — może to już ostatnia chwila życia, a dokoła mnie ani jednej duszy przyjaznej, któraby rękę wyciągnęła na pożegnanie, ani jednego człowieka, ktoryby się interesował mną, ani jednego, ktoby mógł przesłać moim drogim ostatni ukłon, ostatni uścisk. Boże, z jak miękiej gliny człowiek jest ulepiony i jak mu potrzebna ta wiara w nieśmiertelność duszy...

---

Nie cały rok Sawicki uczestniczył w powstaniu. W początkach był tylko żołnierzem, ale wprędce powierzono mu coraz trudniejsze obowiązki, wreszcie mianowano go pułkownikiem. Umyślnie zmienił swe nazwisko, ażeby własnej rodziny: matki i braci, stale mieszkających pod rządem rosyjskim, nie narażać na prześladowania, więc w wojsku powstańczem zwany był jako pułkownik Struś. Z oddziałami powstańczemi ciągle przechodził z miejsca na miejsce w różnych okolicach Galicji, bywał w wielu bojach, wszędzie odznaczał się odwagą, walecznością i przytomnością umysłu; umiał dawać dobry przykład gorliwości obywatelskiej i trafne rady wojskowe, ale, niestety, nie zawsze starszyzna chciała się do nich zastosować.

Powstanie się nie udało. Było ono jednak niezbędne i bardzo pożyteczne, bo ożywiło w narodzie miłość ojczyzny i tęsknotę do niepodległości, a całemu światu przypomniało o krzywdach, wyrządzonych Polsce! Zatem poświęcenie się pułkownika Sawickiego nie było bezowocne. Cześć mu za to! Jak on podczas powstania swemi działaniami wojskowemi dokuczył władzy austrjackie,, przekonywa to, że te władze obiecały dać 3 tysiące złotych reńskich w nagrodę temu człowiekowi, który Sawickiego wyda w jej ręce. Nikt tego nie uczynił, przeciwnie, było sporo życzliwych, którzy po skończonem powstaniu w maju 1864 roku ulatwili mu za fałszywym paszportem przedostać się zagranicę, narazie do Drezna.

Znalazłszy się na obczyznie, Sawicki, prawie bez środków do życia, bo co miał, jako oszczędność, wywiezioną z Rosji, niemal wszystko wydał na potrzeby powstania, musiał szybko wybierać, co mu wypada uczynić z sobą. Miał lat 33, wykształcenie, siłę woli, dzielność i ambicję, a przytem głowę bardzo zdolną! Postanowił wyjechać do Szwajcarji, bo tam spodziewał się znaleźć dla siebie pracę. Osiadł w mieście Genewie i dopomagał rodakom ubogim, uczestnikom powstania, którzy po powstaniu rozproszyli się w różne strony świata, a wielu z nich przybyło do Genewy. Nie mieli pieniędzy, nie znali żadnej roboty, a co gorsza, nie znali obcej mowy. Sawicki zaopiekował się niemi, wszystkim znalazł zarobek i potem jeszcze nieraz odwiedzał ich w warsztatach i fabrykach. Chcąc zapewnić wszystkim rodakom w Genewie pomoc stałą i skuteczną, podał myśl i przyczynił się do urządzenia tam „stowarzyszenia bratniej pomocy", które wyświadczało wielkie przysługi najbiedniejszym rodakom. W ciągu dwuch lat stowarzyszenie rozdało zapomóg 50 tysięcy franków, a przytem jeszcze bielizny i odzienia sporo. A gdy w Galicji roku 1865 nastał głód wielki,—to stowarzyszenie polskie w Genewie za radą Sawickiego posłało zapomogi 100 franków dla najgłodniejszych braci polaków w Galicji!

Sawicki nie próżnował w Genewie, zarabiał na utrzymanie swoje dawaniem lekcji, rysowaniem planów, pisaniem artykułów do gazet, a nadto jeszcze uczył się ciągle i zajmował się przy pomocy mikroskopu badaniem drobniuchnych żyjątek. Nie miał jednej chwili wolnej, wszystkie były zapełnione pracą. Praca nietylko dawała mu chleb i wyświadczała zbawcze przysługi rodakom, lecz nadto jeszcze stała się lekarstwem dla jego ducha, nękanego chwilami straszną tęsknotą za krajem i rodziną swoją.

„Czasami — pisze o sobie Sawicki — moja tęsknota przechodziła w rodzaj choroby umysłowej Sam jeden w ciszy izby, wydany na łup własnych myśli czułem, że zginę, jeżeli nie wrócę do kraju: oczy zachodziły łzami, ręce drżały, w piersi brakło tchu, czoło było zimne, ale wewnątrz czułem płomienie. Wów-

czas. jak widmo stawały przedemną lata dziecinne i młodzieńcze, matka, rodzina, Kowno ze swoim cmentarzem, na którym spoczywała ukochana siostra moja, ogród nasz, drzewa, powietrze, dźwięki dzwonów. Jakaś siła niepojęta, straszna i gwałtowna ciągnęła mnie ku ziemi. Gdym chciał się modlić, tak, jak to było dawniej, gdym był pobożnem dzieckiem,—zaraz zdawało mi się, że słyszę śpiew dzieci w naszym kościele szawelskim, gdziem niegdyś do mszy służył z taką dumą... A gdym chciał pracować umysłowo, przychodziła mi myśl zniechęcająca: po co i na co to komu się przyda nauka moja"?

Dnia jednego, bardzo tęskniąc, uleczył się myślą szczęśliwą: uzyskać w Szwajcarji prawo obywatelstwa, wyrobić sobie paszport na imię Jana Stelli i, już jako szwajcar, wrócić do kraju,—narazie choćby tylko do Lwowa Jak zamierzył, tak uczynił. Z wielkim trudem wyrobił sobie prawo obywatelskie w Szwajcarji i wreszcie po dwuletnim tam pobycie w jesieni 1865 r. wrócił przez Kraków do Lwowa. Ale, niestety, przez szpiegów został poznany natychmiast i oddany w ręce policji austrjackiej. Przechodził teraz okropne katusze: wtrącono go do więzienia, jak zbrodniarza, a przecież jedynie spełnił powinność dobrego syna ojczyzny i niechybnie oddanoby go w ręce Rosji, tylko uratował go paszport szwajcarski, bo obcego obywatela nie wolno zatrzymywać; postanawiono przeto wydalić go z Austrji, zaraz też pod strażą policji został odwieziony do granicy bawarskiej. I w tej podróży przymusowej do granicy doznawał wiele męczarni: na postojach, lub w drodze trzymano go razem ze złodziejami, policjanci austrjaccy okradali go z pieniędzy. Dwa tygodnie tylko przebywał w obrębie państwa austrjackiego, a w tym czasie pozbawiono go dość pokaźnej sumy, którą zaoszczędził, pracując usilnie dwa lata w Szwajcarji.

Gdy znowu poczuł się wolnym po za granicą Austrji, na ziemi bawarskiej, był już prawie nędzarzem. Zamierzał udać się do Francji i tam znaleźć dla siebie pracę. Dowlókł się do Augsburga, idąc pieszo trzy dni prawie o głodzie. Noc jedną przespał w rowku pod mostem. W Augsburgu zamieszkał w oberży i tam silnie zasłabł. Mocny organizm przezwyciężył chorobę. Po trzech dniach wstał—i, mając w kieszeni całego majątku dwa guldeny, wyszedł na miasto szukać posiłku i pracy. Trzeba było jąć się jakiejkolwiek roboty: wstąpił na jednej z ulic Augsburga do fabryki galwanoplastycznej i tam dostał robotę. Gdy był jeszcze młodziutkim oficerem w Petersburgu, jedynie z ciekawości czas jakiś uczęszczał do wieczornej szkoły galwanoplastyki i nauczył się w niej robienia odlewów, form, złocenia i srebrzenia rzeczy miedzianych. Teraz w tej biedzie przydała mu się ta nauka. Wprędce stał się robotnikiem jednym z najbieglszych. Nawet sam wymyślił nowy a lepszy proszek do czyszczenia metali. Fabrykant już mu płacił dziennie 7 guldenów.

Ale Sawicki nie myślał pozostać w fabryce. On całą duszą kochał inną pracę, — pracę naukową. Jeszcze uczyć się postanowił. Miał wtedy lat 35. Półczwarta miesiąca pracując w fabryce, zaoszczędził około 200 złotych reńskich—i tym kapitalikiem powędrował do Alzacji. Narazie miał różne projekty: chciał nauczyć się jakiego przemysłu: chemicznego, maszynowego, lub bawełnianego, wrócić do Polski i tam stać się pożytecznym dla rozwoju przemysłu krajowego. Ale trudno mu było znaleźć miejsce w odpowiedniej fabryce. Tymczasem zarobkował, pisując korespondencje do lwowskich gazet polskich. Czas uciekał i pieniądze zaoszczędzone już się prawie wyczerpały, choć żył bardzo skromnie, nawet głodując. Wtedy odebrał list od swego przyjaciela, Dolgorukiego, moskala, który mu jednocześnie przysłał w podarku tysiąc franków. Sawicki, lubo bardzo ubogi, natychmiast odesłał pieniądze, nie chcąc nic brać od wroga ojczyzny!

Wreszcie namyślił się zostać, jak ojciec jego—lekarzem Miał już lat 36. Udał się do Sztrasburga i w tamtejszym uniwersytecie zapisał się na medycynę, jakkolwiek niektórzy profesorowie bardzo mu odradzali, przepowiadając, że nie wytrwa, bo podejmuje się pracy nad siły. To go nie przerażało. W marcu 1867 r. mając lat 36 skończonych znowu zasiadł na ławie szkolnej. Nie mogąc kupować książek—przepisywał je dla siebie z pożyczonych. Żył sucharami, nabywanemi u żołnierzy, moczył je w wodzie, bo były twarde. Wreszcie za artykuły, które pisywał do „Gazety Narodowej", wychodzącej we Lwowie, otrzymywał zapłatę skromną, za którą nabywał ciepłe pożywienie, trochę cukru i herbaty. Kładł się spać o 10-ej wieczór, a wstawał o 3-ej rano.

Wówczas Sztrasburg należał do Francji, francuzi bardzo przychylni dla polaków, czynili duże ułatwiania Sawickiemu w pomocach naukowych. Zdolny, pracowity—w naukach szybko postępował,—lecz tylko w utrzymaniu siebie miał ustawicznie wielkie trudności! Poprostu był nędzarzem, a przytem żarła go tęsknota za krajem. Miewał stąd chwilami taką rozpacz, takie zwątpienie, że wtedy płakał jak dziecko, z bólu tarzał się po łóżku i nieraz myślał o samobójstwie, lecz religja i ambicja ją odpychały...

Wreszcie po trzech latach pobytu w uniwersytecie dnia 1 lipca 1870 roku miał Sawicki złożyć ostateczny egzamin na doktora medycyny. Egzamin udał się dobrze. Profesorowie dali mu dyplom doktora medycyny i chirurgji. A jeden z profesorów rzekł wtedy do niego wobec zgromadzonej publiczności: „Pracą swą i moralnością obudziłeś pan w nas szacunek dla Polski, nieszczęśliwego kraju, którego dzieci przychodzą nauką dobijać się u świata zwiększenia współczucia dla swej ojczyzny".

Już miał Sawicki, jako lekarz, wyjechać do Szwajcarji kiedy nagle wybuchła wojna francusko-pruska. Został Sawicki w Sztrasburgu i postanowił pracować w szpitalu Czerwonego Krzyża. Przydał się bardzo. Sześć tygodni nie rozbierał się wcale, ratując rannych, tak było ich wielu, bo prusacy bombardowali miasto.

Po wojnie, pokonawszy mnóstwo trudności, pojechał do Galicji. Osiadł we Lwowie. Dostał miejsce przy szpitalu Wprędce i tu zjednał sobie serca wszystkich.

„W 1875 roku, latem,—pisze doktór Sawicki—Bóg pozwolił mi doznać wielkiego szczęścia. Droga matka moja 76 letnia staruszka, siostra i bratanek mój, Ludwik, syn ś. p. Adolfa, odwiedzili mnie we Lwowie i zabawili cały tydzień. Jak byłem szczęśliwy, trudno mi wypowiedzieć, bo wszystko co jest we mnie dobrego, zawdzięczam naukom mej ukochanej Matki i jej serdecznemu prowadzeniu w wieku dziecięcym"..

W r. 1876 ożenił się,— a w r. 1910 umarł, mając lat 79.

Trudne było życie Jana Sawickiego, a jednak szczęśliwe, bo wytrwał w dobrem! Prawda, był bardzo zdolny, lecz nie zdolnościom jedynie zawdzięczał swoje szczęście.

Był bardzo pracowity. Tak, Miał wolę żelazną,—miał serce złote,—miał dużo nauki i pomysłowości zabiegliwej. I nie to wszystko jeszcze czyni go godnym ukochania i naśladowania. Najcenniejsze były w nim dwie zalety: uczciwość nieposzlakowana i—szlachetność.

Oby każdy polak pilnie wczytał się w jego Pamiętnik i sercem na całe życie przylgnął do wzoru pięknego!

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 29 listopada 1925 r. № 48.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Henryk Sienkiewicz o niemcach.

Każdy polak powinien wiedzieć, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem Polski.

Czy trudno dowiedzieć się o tem?

Tak,— bo chyba w każdym człowieku dużo, może nawet zadużo, bywa łatwowierności, złudzenia, a i to także prawda, że w tym samym człowieku jednocześnie obok łatwowierności bywa nieraz zadużo podejrzliwości, nieufności.

Toć trafia się tak nierzadko, że Paweł jednemu zanadto ufa, — a innemu niedowierza bez żadnej racji.

Kto z nas nie przyłapał samego siebie na takich omyłkach, niestety, poniewczasie? Zapóźno niejeden z nas przekonał się, że komuś niesłusznie bardzo zaufał, albo niedowierzał.

— Przepadło! — mówiliśmy sobie wtedy i postanowiliśmy nadal być ostrożniejsi. Owszem, chwalebne i niezbędne takie postanowienie, ale czy skuteczne? Gdzietam! Sto razy jeszcze potem dopuszczamy się takich samych omyłek.

Czy więc każdy z nas nigdy nie pozbędzie się łatwowierności i podejrzliwości?

Chyba tak. Ale można i trzeba stopniowo pozbywać się tych wad nie tyle szpetnych, ile raczej szkodliwych. A pozbywać się ich można jedynie przez doskonalenie swego rozumu przy pomocy własnego doświadczenia, pilnego wsłuchiwania się w rady ludzi rozumnych i czytywania książek pouczających.

Kto stopniowo w ciągu życia swego staje się coraz mędrszy, ten zpewnością coraz rzadziej dopuści się łatwowierności, lub podejrzliwości krzywdzącej.



I dlatego właśnie tak prawdziwy jest nakaz powszechny:

**„całe życie uczyć się trzeba“!**

Nikt nie może powiedzieć o sobie, że już umie wszystko i nigdy się nie omyli.

Bardzo dużo w życiu spotykamy zwodzicieli, wmawiających w nas kłamliwie, że ten i ów jest na-

szym wrogiem, albo przyjacielem. Ileż razy w taki sposób niejeden z nas bywał w błąd wprowadzany!

Oszukany, poznawszy zbyt późno swoję omyłkę, wpada w zmartwienie, a nawet i zawstydzenie, że dał się otumanić.

Wprawdzie niejednemu trudno wyjść z podziwu, gdy słyszy, że ta i owa dziewczyna zaufała pierwszemu-lepszemu łobuzowi, który jedynie ładnemi słówkami potrafił ją usidlić...

— A głupia! — tak woła oburzony na nią.— Zaufała łotrowi!

Ach, on niby okazuje się mądrym wobec cudzej szkody, ale czy sam nigdy nie dopuszcza się łatwowierności, gdy go filuty omotają swemi słówkami jedwabnemi?

Czy kto wyprze się tego? Czy jest wśród nas choć jeden taki, który nigdy nie zawiódł się na ludziach? Aż przykro pytać, — bo chyba nie znajdziemy takiego!...

Częstokroć niepodobna odrazu przeniknąć filuta, który zręcznie na nas zarzuca sieć swoję. Stąd tyle w życiu spotykamy osób zdradzonych, zawiedzionych, oszukanych!...

— Bądź ostrożny! — Tak ostrzega każdego z nas głos przyjazny.

Czy tylko ostrożnym być trzeba?

Nie tylko, bo życzliwym dla chwiejnych, a surowym i mężnym wobec wrogów jawnych i podstępnych.

Ostrożność — to zaleta bardzo trudna, całkowicie zależy od zdatności rozsądku. Im lepszy rozsądek, — tem doskonalsza ostrożność.

Kto jest bardzo łatwowierny, — niechżeż sam siebie pocichu nazwie głupiuchnym i czemprędzej do należytego porządku doprowadzi swój rozsądek.

Gorzej jest, gdy usłyszy taką nazwę od postronnych i obraża się za nią, zamiast uznać ją za wyrok sprawiedliwy i wziąć stąd pobudkę dla siebie do pilnego nabywania mądrości.

Dopiero przy większej mądrości ustala się niezbędna ostrożność, szczera życzliwość i — męstwo.

Z mądrości, jak z pnia, wydobywają się liczne gałęzie-zalety.

Dlatego ogół zwykł o przezornym wyrażać się krótko: **mądry!**

— Mądry, ostrożny, przenikliwy nie da się w pole wyprowadzić.

O nas, polakach, nieraz można usłyszeć niepochlebne zdanie, że jesteśmy narodem łatwowiernym: podobno byle komu ufamy, — podobno byle kto potrafi nas otumanić, ładnemi pozorami uwieść... Co więcej z powodu swej łatwowierności bywamy chwiejni, niestali: jeden oszust umiał nas wyzyskać,— przychodzi drugi, przeciwny tamtemu,—i dalejże nas niby poczciwie ostrzegać przed tamtym; dziękujemy mu za tę przysługę, odwracamy się od tamtego, a temu znowuż oddajemy się na łup całkowicie ślepo. Tak więc podobno nie jesteśmy w stanie zdobyć się na własną samodzielną przenikliwość, ostrożność, mądrość.

Jeszcze gorzej podobno dzieje się z nami wskutek naszej łatwowierności powszechnej, bo gdy nierozumnie zaufamy oszustowi przebiegłemu, on nietylko nas zwodzi, lecz przytem podjudza jednych przeciwko drugim i wtedy powstają u nas: niezgoda, kłótnie, nawet bratobójstwa! Oszust kontent ręce zaciera, — bo gdzie się dwuch **swoich** kłóci, — tam trzeci, **obcy**, korzysta. A świat, jako świadek, albo się śmieje, albo oburza, mówiąc głośno, bądź pocichu:

— A to głupi naród!

I nawet nie bardzo mozna gniewać się na świat o tak paskudny wyraz, bo świat w tem tylko naśladuje Macieja Dobrzyńskiego z „Pana Tadeusza" Mickiewicza.

Toć kiedy w zaścianku Dobrzyńskim szlachta zgromadziła się dla radzenia o sposobach walki z moskalami, zaraz tam znaleźli się tumaniacze, którzy łatwowierną szlachtę obałamucili różnemi sprawami, aż dowiedli ją do wielkich swarów, co gospodarza domu, Macieja, zwanego Zabokiem, okrutnie rozgniewało, więc:

„Wyszedł na środek izby i podparł się w boki
I, spojrzawszy przed siebie i kiwając głową,
Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
Z przestankiem i przyciskiem: „A, głupi! A, głupi!
A, głupi wy! Na kim się mleło — na was skrupił
To, póki o wskrzeszeniu Polski była rada,
O dobru pospolitem, głupi, u was zwada?
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
Głupi, ani porządku, ani postanowić
Wodza nad wami, głupi! A niech-no kto podda
Osobiste urazy, głupi, — u was zgoda!
Precz stąd!—bo, jakem Maciek, was, do miljonów
Krocset kroci tysięcy fur, beczek, furgonów
Djabłów!!!..."
Ucichli wszyscy, jak rażeni gromem—
Maciek wypędził, drzwi zamknął, zasunął
I, przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł:
[„Głupi"!

Łatwowierność tedy kojarzy się z nierozumem. Zatem jest ona wadą głowy słabej. Kto chce jej pozbyć się, — uczyć się musi! Bo nauka umysł doskonali.

Jeżeli wołamy: „uczyć się trzeba",—to rozumiemy potrzebę nauki nie tylko dla polepszenia naszego bytu materjalnego, lecz i dla umocnienia swego bezpieczeństwa przed wrogami.

Człowiek udoskonalony naukami, potrafi korzystniej pokierować każdą pracą pożyteczną—i tem niezawodniej rozpoznać wrogów swoich i wrogów ojczyzny.

Wróg poznany nie tak jest niebezpieczny, jak wróg skryty...

Do rzędu wrogów Polski bardzo niebezpiecznych zaliczyć trzeba niemców.

Są oni dlatego najniebezpieczniejsi, że odznaczają się przeogromną przewrotnością! Najchętniej uciekają się do wielkiej przebiegłości. Zawsze i wszędzie przedewszystkiem mają na oku własne korzyści. Chcą wywyższyć swój naród, a poniżyć inne narody. Chcą sobie zapewnić bogactwa, potęgę, pierwszeństwo, chwałę — i do tych celów dążąc, nie przebierają w środkach, choćby nawet najgorszych. Gotowi przymilać się, udawać przyjaźń, uprzejmość, — gdy obiecują sobie w taki sposób zdobyć pożądane zys-

ki, — ale też umieją wywrzeć zemstę, dopuścić się nawet najstraszniejszych okrucieństw, jeżeli przewidują, że tak zdołają nastraszyć bojaźliwych i zmusić do posłuszeństwa i wyrzeczenia się swoich skarbów na ich korzyść!...

... W całym świecie niemcy tak postępując, zjednali sobie złą sławę. Wszędzie uchodzą za naród pyszałkowaty, niesprawiedliwy, srogi i łakomy na cudze. Ten naród wierzy nadewszystko w siłę, stąd jest u niego hasło główne:

**„siła przed prawem"!...**

Co zdoła siłą swoją przywłaszczyć sobie, zagrabić innym narodom, to już uważa za swoje i wmawia we wszystkich, że to mu się należy, **ma do tego prawo, bo silniejszy!**

Nie uznaje innego prawa, jak tylko siłę swoję! Jego siła, — to jego prawo! Tyle ma prawa, ile ma siły. Dlatego stara się najpilniej o to, ażeby mógł być silniejszym od wszystkich innych narodów. Gdyby to mu udać się mogło, jużby stopniowo stał się panem świata całego. To jest najgorętsze jego pragnienie. O tem ciągle marzy. Bynajmniej nie tai tego przed światem. Bo nie raz dawniej cesarz jego napomykał dość wyraźnie, że naród niemiecki jest najdoskonalszy i, jako taki, powinien mieć przewagę nad światem!

Takie przechwałki cesarza Wilhelma zwykle bardzo głaskały niemców po sercu. Słowa cesarskie dogadzały pyszałkowatości niemieckiej.

Niemcy ustawicznie zbroili się, dążąc za wszelką cenę do pozyskania siły potężnej.

Zbroili się i jednocześnie polityką swoją podstępną, tumaniącą, bądź jednali sobie państwa silne udawaną przyjaźnią bądź słabszym narodom grozili wrogo, zapowiadając im, że kiedykolwiek zbrojnie napadną na ich ziemię i zagarną ją na własność swoję.

Nikt nie był bezpieczny wobec narodu niemieckiego: bo on silnych oszukiwał wykrętami, fałszem, przebiegłością, — a na dobro słabszych czyhał, jak wilk na jagnie.

I gdyby naród niemiecki miał tyle siły, ile ma w sobie chytrości, łakomstwa i okrucieństwa, stałby się dla całego świata strasznym zagubcą!

Tylko na szczęście dla słabszych narodów nie dał Pan Bóg świni rogów!.. Tak powiada przysłowie, które w zupełności da się zastosować do narodu niemieckiego!

Długo naród niemiecki zręcznie, skrycie i bardzo kosztownie sposobił się do wielkiej wojny w tej nadziei, że kiedykolwiek napadnie na swoich sąsiadów niemal znienacka i wytępi ich doszczętnie, łatwo i od jednego zamachu!

Zawiódł się. Tak zatriumfowała sprawiedliwość boska, która zgotowała nam, polakom, szczęście oddawna upragnione!

Naród polski bardzo wiele gorzkiej prawdy może o niemieckiej nikczemności opowiedzieć, bo przecież długa historja jego pełna jest smutnych szczegółów o łatwowierności polaków i o niezgłębionej przewrotności drapieżnej i srogiej niemców!

A jednak, niestety, jeszcze obecnie mnóstwo polaków jak gdyby nie zna historji swego narodu, tak bowiem dość łatwowiernie nadal odnoszą się do niemców.

Wszyscy musimy nawskroś poznać charakter narodu niemieckiego, utrwalić w sobie gruntownie jasne i niezawodne przeświadczenie, że niemcom nigdy dowierzać nie możemy. Oni byli, są i będą zawsze wrogami Polski.

Jedno mają ciągle na widoku: zgubę naszą! Chcą zagarnąć ziemię polską, bo mówią, że ona cała należeć powinna do nich, gdyż są silniejsi i liczniejsi od nas; jest im już zaciasno w ich ojczyznie, muszą ją poszerzyć, nadsztukować ziemią polską,— a i nas, polaków, chcą wziąć pod swoję rękę, bo, mówią, jest mocniejszą od naszej, — i pod opiekę swej głowy, bo jest uczeńcza i mędrsza od naszej.

Roszczą sobie prawo do panowania nad nami i nad naszą ojczyzną. A kto im dał takie prawo?— Na to pytanie mają odpowiedź gotową: — prawo takie daje im własna ich siła.

Naszą siła, — wołają — to nasze prawo!

Ale inne narody, — a w tej liczbie i nasz naród polski, — takiego prawa, pochodzącego z silnej pięści, nie uznają! Jedno tylko prawo mają za prawo i jemu ulegają, — to prawo Boskie, odwieczne prawo moralne, przez cały świat uznane i szanowane!

Naród niemiecki przeciwny jest takiemu prawu, nie chce być mu posłuszny, bo musiałby się wyrzec fałszu, chytrości, oddać to, co nieuczciwie zagarnął!

Nie chce, lecz będzie musiał poddać się prawu boskiemu. Złe nie zdoła zgasić prawdy i podeptać praw moralnych bezkarnie.

Niemcy nie zwyciężą!

W tę prawdę wszyscy polacy wierzyć muszą i do jej triumfu przyczyniać się powinni usilnie.

Niepodobna poprzestać na tem, że już naród niemiecki w ostatniej wojnie pokonany został raz na zawsze, więc nie podźwignie się i szkodzić nikomu nie będzie!

Nie! Naród niemiecki żyje, a jaki jest charakter jego teraz, czy zmienił się na lepsze, czy pozostał taki sam, jak dawniej? Odpowiedź gotowa. Wojna nie poprawiła charakteru niemców, bo miała co innego na oku: obezwładnić niemców, zmusić ich do przyjęcia warunków pokoju. Mocarstwom zwycięskim chodziło o to, ażeby niemcy przestali być straszni dla świata, a więc zażądały od nich rozbrojenia i niejako wyrzeczenia się raz na zawsze myśli o odwecie wojennym.

Niemcy, mając nóż na gardle, przy podpisywaniu ugody pokojowej niby na wszystkie, podyktowane im warunki, zgodzili się chętnie. Podpisali, co im kazano, ale w myśli mieli co innego. Wojna wytrąciła im broń z ręki, lecz nie przerobiła ich charakteru podstępnego i chciwego na cudze! Oni i nadal zamierzają odzyskać stracone siły, bogactwa i ziemię!

Przeto nigdy im dowierzać nie wolno!

Biada łatwowiernym! — bo chytrzy niemcy niezawodnie zgotowaliby im zgubę...

My, polacy, ani na chwilę nie możemy poddać się złudzeniu, że dzisiejsi niemcy są już niepodobni

do niemców przedwojennych. Dziś oni są tacy sami, jak dawniej, a może nawet dziś gorsi!

Czuj duch!

Żaden polak o tem nie może powątpiewać, bo w tem nic niema przesady. Najświatlejsi, najrozumniejsi polacy jednozgodnie naród swój ostrzegają, by miał się na baczności przed niemcami, bo oni są zawsze jednakowo dla Polski niebezpiecznemi wrogami.

Tak też ostrzegał wielokrotnie Henryk Sienkiewicz.

Napisał on wiele drobnych prac pisarskich o różnych niegodziwych sprawkach niemców, — a najobszerniej o nich napisał w swojej powieści przepięknej p. n. „Krzyżacy".

Powieść tę usnuł on według istotnej prawdy historycznej. Przedstawił tam właściwy charakter niemców. W tej powieści, jak w zwierciedle, odbiły się znamiona duszy niemieckiej.

Taką była ona w dawnych czasach. Taką jest i dzisiaj. Nawet dziś jest niebezpieczniejsza, bo dziś przybyło jej bardzo dużo nauki, a nabywaną naukę obraca przeważnie na szkodę tych **słabszych** narodów, które usiłuje pokonać i zgładzić.

Czy naprawdę słabsze są narody, na które niemcy patrzą wrogo?

Nie! Prawda, poszczególny naród niejeden liczebnie może być wątlejszy od niemców. Ale gdy mniejsze narody zjednoczą się przeciwko jednemu wrogowi silnemu, — pokonaja go niechybnie. Czy nie tak się stało podczas wojny ostatniej? Podobnież stało się tak przed pięciuset laty — w r. 1410 pod Grunwaldem.

O tym boju właśnie opowiada w „Krzyżakach" Sienkiewicz dla pokrzepienia serc polskich, dla wzmożenia w nich wiary, że nie liczba żołnierzy, ale dobry duch narodu potrafi zwyciężyć swego wroga, nawet najprzemyślniej uzbrojonego!

---

Henryk Sienkiewicz w różnych swoich pracach pisarskich dzieląc się z narodem własnemi uwagami i wiadomościami o niemcach, spełnił ważny obowiązek obywatelski, bo przestrzegał naród swój o grożących mu od niemców niebezpieczeństwach.

Niemców, jako wrogów, nigdy lekceważyć nie można! Nie dlatego są oni groźni, że jest ich dużo, przeszło dwakroć więcej, aniżeli nas, polaków, bo liczba nie może być straszna, — lecz głównie z tego powodu, że są nadzwyczajnie przebiegli, zuchwali, bezczelni i okrutni, nigdy nie przebierając w środkach! Dla nich każdy sposób jest dogodny, byle zbliżył ich do upragnionego celu. A że przytem wszystkiem są światli, karni, zabiegliwi, bardzo pracowici, oszczędni i gospodarni, więc zasobni we wszelkie środki,— przeto są tem sposobniejsi do wyrządzania nam szkód olbrzymich.

Na jakież oni brali się sposoby, kiedy jeszcze byli panami Wielkopolski, Pomorza i Górnego Śląska, ażeby nas, polaków, tam zgnębić, zubożyć i wydziedziczyć!

Mało rzec o nich, że byli i są bez serca, bez miłosierdzia! Częstokroć postępowali, jak okrutnicy! Hańbą będzie dla niemców po wszystkie wieki udręczanie polskich dzieci we Wrześni. Tam nauczyciele niemieccy bili, nawet katowali dzieci polskie za to, że nie chciały uczyć się religji po niemiecku, a gdy rodzice tych dzieci skatowanych wyrazili swoje oburzenie głośno, — tylko za to, — sądy pruskie ukarały ich długiem więzieniem.

Z tego powodu tak napisał Henryk Sienkiewicz w „Przedświcie" 1901 roku: „My jedni którzy od czasu, gdy część narodu naszego weszła w skład Prus znamy bliżej to środowisko (niemieckie), — nie powinniśmy się ani dziwić, ani też poprzestać na słowach i załamywaniu rąk.

„Tak jest! Zdziwienie nie byłoby na miejscu. Wszakże ich własny, niemiecki pisarz wypowiedział niegdyś znamienne słowa, iż złudzeniem jest, aby niemoralna polityka mogła nie znieprawić społeczeństwa (niemieckiego) i przyszłych jego pokoleń. Stało się więc, co się stać musiało. Od czasów Fryderyka II-go i jeszcze dawniejszych polityka pruska była nieprzerwanym ciągiem zbrodni, przemocy, podstępów, pokory względem silnych, tyraństwa względem słabszych, kłamstwa, niedotrzymywania umów, łamania słów i obłudy.

„Jest to zdanie nietylko obcych, ale i niemieckich, niepodległych historyków, a zatem cóż dziwnego, że w takich warunkach (w społeczeństwie niemieckiem) nastąpił ogólny rozkład dusz, że zwyrodniało poczucie sprawiedliwości i prawdy, że zanikł zupełnie zmysł moralny, a w ogólnem rozłajdaczeniu (społeczeństwa niemieckiego) szkoła (niemiecka) stała się (dla dzieci polskich) katownią, a spodlałe sądy (niemieckie) powolnem narzędziem dzikich instynktów i przemocy, (górujących w niemcach)!

„Można się pocieszać myślą, że to wszystko nie może trwać (długo).

„Historja świadczy, że budowy (jako państwa), wznoszone tylko na tyranji, złości i głupocie, nie trwały nigdy długo. Rosja, która jęczała pod równie bezecnem jarzmem tatarskiem, zdołała je wkońcu zrzucić. Okrutne władztwo hiszpańskie nie ostało się we Flandrji. Chrześcijanie i kulturalne narody nie mogą długo podlegać barbarzyństwu. **Przyszłość musi przynieść jakąś olbrzymią odmianę!**

„Ale tymczasem — pyta Sienkiewicz — co mamy czynić my (polacy), nad któremi zbrodnia i dzikość (niemiecka) cięży bezpośrednio?

„Wogóle — wytrwać! a w szczególności pomóc do wytrwania tym, którzy się stali bezpośredniemi ofiarami łotrostwa i przemocy (niemieckiej).

„Po skatowaniu dzieci (polskich przez nauczycieli niemieckich), sądy niemieckie skazały na więzienie rodziców, którzy pracowali na ich chleb. Jedną z obwinionych, ubogą matkę siedmiorga drobiazgu, zamknięto na dwa i pół lata (tylko za to, że głośno narzekała na nauczycieli niemieckich, którzy okrutnie znęcali się na jej dziećmi). Czy chodziło również o to, by bohaterskie dzieci (polskie) pomarły z głodu? W społeczeństwie niemieckiem — doprawdy — i to możliwe.

„Więc niech się poruszą serca wszystkich naszych matek! Dajmy chleba dzieciom, przynieśmy tę pociechę skowanym rodzicom, że ich nieszczęsne dzieci nie będą zmuszone żebrać! Prawo Boże, prawo chrześcijańskie nakazuje litość nad dziećmi wszystkim, a cóż dopiero, gdy chodzi o takie dzieci — nam!...

„Dołączam do niniejszego listu 200 koron na chleb dla ofiar"...

Te słowa napisał Sienkiewicz do gazety „Przedświt" roku 1901, to jest wówczas, kiedy cała Polska jeszcze jęczała w niewoli u trzech mocarstw drapieżnych. Napisał powściągliwie, nie mogąc ze względów politycznych wyrazić więcej, lecz każdy czytelnik polski domyślał się łatwo, co musiało dziać się w duszy szlachetnego pisarza, kiedy pisał te słowa, jak straszny ból zakrwawionego serca jego rwał się do pióra, by przez nie jęknąć rozpaczliwie na świat cały, ażeby nareszcie on się dowiedział ile cierpi naród polski i jak okrutnych ma nad sobą — katów!...

Proroczo wtedy nakreślił Sienkiewicz te słowa:

„Można się pocieszyć myślą, że to wszystko nie może trwać (długo)... **Przyszłość musi przynieść jakąś olbrzymią ewolucję** (zmianę)"...

Wprędce ziściła się przepowiednia Sienkiewicza. Od chwili, kiedy pisał słowa powyższe, upłynęło zaledwo lat 18-cie, — a już dosięgła zasłużona kara katów naszych, — spadły kajdany z nóg Orła Białego, uniósł się w górę ponad wyzwoloną Polską i swemi skrzydłami, śnieżnej białości, objął cały naród, dotąd podzielony niewolą na części, zachęcając go, aby zjednoczył się znowu miłością braterską w jedną całość potężną i szczęśliwą!

Już naród polski swobodny—zdąża do pomyślnego jutra. Nie wolno mu jednak ani na chwilę zapomnieć o tem, że niemców niedawna wojna srogo ukarała, lecz nie naprawiła! Oni i teraz, jak poprzednio, tęsknią do starych swoich sposobów łotrowskich. Oni i teraz dręczą różnemi prześladowaniami naszych rodaków, mieszkających tu i owdzie pod ich panowaniem. To znak, że bynajmniej nie pozbyli się w swojej naturze najgorszych popędów katowskich, znowu więc z jednakową zaciekłością pastwiliby się nad naszym narodem, gdyby udało im się ponownie zagarnąć go pod swoję władzę. A śnią o tem, łakną tego bardzo — i uwijają się skrzętnie wśród polityków światowyzh, udając pokrzywdzonych i nieszczęśliwych, oraz wmawiając we wszystkich, że stała im się krzywda, więc świat powinien im dopomódz, aby mogli znowu odzyskać te ziemie, które wróciły do Polski.

Łakomy wilk płacze, że nie może cudzej owcy pożreć!

---

Najwięcej o niemcach napisał Sienkiewicz w swojej powieści „Krzyżacy".

Kto byli Krzyżacy?

Tak o ich początkach opowiada polski historyk, **Wacław Sobieski**:

Księciu mazowieckiemu, Konradowi, wiodącemu ustawicznie boje z prusakami, zamieszkującemi Pomorze nadbałtyckie, księża niemieccy podsunęli myśl, aby zjednał sobie pomoc Zakonu Niemieckiego i nawet na stałe osiedlił go na pograniczu swego księstwa od strony prusaków. Miano na myśli rycerzy-zakonników, przeznaczonych do walki z niewiernemi, a nazwanych następnie Krzyżakami, bo na białym płaszczu mieli wyszyty krzyż czarny. Ten zakon odznaczał się sprężystą karnością, którą wytworzyła zgoda i jedność narodu niemieckiego. I wistocie zakon ten przeniknęła jedność, bo do niego mogli wstępować niemcy, pochodzący z różnych niemieckich ziem i szczepów.

„Część tych Krzyżaków już w r. 1211 osiedliła się na Węgrzech, ale okazała odrazu taką zaborczość, że król węgierski już w r. 1225 ich wyrzucił. Nie przestrzeżony tym przykładem porywczy, a lekkomyślny książe Konrad ułożył się w r. 1226 z niemi, że da im tylko w użytkowanie ziemię chełmińską; ale ci zaraz wyłudzili od cesarza Fryderyka dokument, w którym fałszywie przedstawili, że książe Konrad **nadał im na własność wszystkie ziemie, przez nich zdobyte**. Ponieważ w tym dokumencie dodano, że te ziemie zakonu mają być pod zwierzchnictwem cesarza niemieckiego, więc w ten sposób Krzyżacy mieli stać się niejako strażą przednią cesarstwa niemieckiego na wschodzie Europy, jako przodownicy, torujący drogę niemczyznie! Krzyżacy — sprytni dyplomaci — nie zdradzili się z tajnym planem założenia tu, na pograniczu Mazowsza, swego państwa Krzyżackiego!

„Książe Konrad, niezbyt ufając Krzyżakom, utworzył nadto nowy zakon „rycerzy Chrystusowych" w Dobrzyniu między Płockiem a Włocławkiem, stąd „braćmi dobrzyńskiemi" później nazwanych. Ale i ten zakon również składał się z niemców i niewiele zdziałał.

„Natomiast Krzyżacy zaraz zabrali się do dzieła i śród potoków krwi zaczęli zakładać w użyczonej im przez Konrada ziemi chełmińskiej swe państwo, rozpierając się coraz bardziej i wycinając okrutnie ludność miejscową. Jeden tylko Świątopełk, książe gdańskiego Pomorza, najbliższy sąsiad Krzyżaków, wnet poznał się na „pobożnych przybyszach". Rozpoczął też niebawem wojnę z niemi przy pomocy miejscowych odwiecznych mieszkańców pomorskich, zwanych prusakami.

„Przeciw Świątopełkowi zaczęli Krzyżacy szukać porozumienia z brandenburczykami, chcąc zagarnąć dla siebie leżące między niemi Pomorze gdańskie. Także porozumieli się, a nawet w r. 1237 połączyli się z zakonem niemieckim Braci Mieczowych, który jeszcze w r. 1202 założył arcybiskup ryski u ujścia Dźwiny, w Inflantach.

Podstępem, chytrością i zbrodnią Krzyżacy rozszerzali swe państwo.

Oto sto lat potem za Łokietka brandenburczycy usiłowali zdobyć dla siebie Gdańsk. Obroną Gdańska zajmował się namiestnik, Bogucza, wierny Łokietkowi. Nie mogąc odstraszyć brandenburczyków,

Bogusza wpadł na myśl nieszczęśliwą wezwania na pomoc Krzyżaków: niech oni obronią Gdańsk, a Łokietek później zwróci im koszty wojenne. Wistocie brandenburczycy ustąpili, ale chytrzy Krzyżacy znienacka rzucili się na polskie wojsko, podpalili Gdańsk, wymordowali tysiące polaków — i w taki sposób przywłaszczyli sobie Gdańsk, oraz pobliskie miasta: Tczew i Świecie, wszędzie wypierając rycerstwo polskie. Stało się to roku 1308.

„Aby uprawomocnić ten rozbój, Krzyżacy wykupili od brandenburczyków dokument, w którym cesarz przyznawał im swego czasu Pomorze. Tak tedy na potokach krwi i chytrą zdradą nad ujściem Wisły uścielili sobie gniazdo Krzyżacy. Zaraz też wielki mistrz krzyżacki przeniósł się z Wenecji do Malborga, gdzie zbudowali Krzyżacy dla siebie potężny zamek-warownię, jako główną stolicę swego państwa, obejmującego ziemię, wydartą Polsce. Tak Krzyżacy, którzy przez połączenie się z Kawalerami Mieczowemi sięgali już po ujście Dźwiny, stawali się teraz panami całego wybrzeża — od Pomorza aż po Inflanty. Zagnieździwszy się teraz po lewej i prawej stronie ujścia Wisły, zamknęli Polsce dostęp do morza i to aż do roku 1466. Był to dla Polski cios ciężki!“...

Niespełna dwieście lat upłynęło od czasu, kiedy Krzyżacy usadowili się na skrawku ziemi polskiej, a już w początkach panowania króla Jagiełły stali się dla Polski groźnemi wrogami.

Gwałtownie, przemocą i okrutnie zabiegali o powiększenie swego państwa, oczywiście, kosztem Polski i Litwy. Wynajdywali różne pretensje do przywłaszczenia sobie całych okolic przyległych — i bynajmniej nie czekali, aż spór zostanie rozstrzygnięty sprawiedliwie, lecz sami zbrojnie napadali na upatrzone okolice i tam usadawiali się zuchwale, pilnując się swego hasła:

**siła przed prawem!**

Dobrze jest przy tej sposobności zapamiętać to, że dzisiejsi niemcy odziedziczyli po Krzyżakach, jako swoich przodkach, ten sam charakter i hasło!...

Doprawdy, nic się u nich nie zmieniło,—chyba tylko jeden płaszcz, bo dzisiejsi niemcy już nie odziewają się białym płaszczem z krzyżem czarnym, może dlatego, że **czarnej** duszy krzyżackiej nie odpowiadał płaszcz **biały...**

Właśnie o wielkiem podobieństwie dawnych Krzyżaków do dzisiejszych niemców mówi wiele w swojej powieści Sienkiewicz. A jak trafnie on je przedstawił, bodaj świadczy gniew dzisiejszych niemców tylko o to na naszego pisarza. Kiedy niedawno triumfalnie przenoszono zwłoki Sienkiewicza z Szwajcarji do stolicy Polski, jedni tylko niemcy wydęli wargi wzgardliwie. Nigdy mu oni tego nie wybaczą, że śmiał ich tak paskudnie przedstawić narodowi polskiemu i nawet całemu światu, bo przecież jego powieść „Krzyżacy“ została przetłumaczona na wiele języków, więc cały świat ją czytając, upewnił się, że między charakterami dawnych Krzyżaków i dzisiejszych niemców żadnej niemasz różnicy.

I tylko dlatego napisał ją Sienkiewicz, chciał bowiem przez nią dać swemu narodowi przestrogę, iżby zawsze miał się na baczności, bo stary Krzyżak żyje nadal w duszy dzisiejszego niemca. A jak stary Krzyżak ongi czyhał na Polskę, zamierzając ją pochłonąć,—tak samo bez żadnej zmiany, nawet okrutniej i podstępniej, dzisiejszy niemiec ciągle usiłuje Polskę naprzód osłabić, a potem zagarnąć pod swoją pięść żelazną!

Sienkiewicz znakomicie przedstawił cechy charakteru Krzyżaków i ich przewrotność zbójecką!

Niemal zaraz na wstępie takie czytamy tam wiadomości o Krzyżakach, opowiedziane niby przez Annę Danutę, która z powodu doznanych okrutnych krzywd rodzinnych od Krzyżaków, nienawidziła ich z całej duszy, więc gdy opat benedyktynów w Tyńcu zapytał ją o Mazowsze i jego sprawy, poczęła gorzko skarżyć się na Zakon Krzyżacki, mówiąc:

— Jakoż się ma dziać w księstwie mazowieckiem, mającem takich sąsiadów (Krzyżaków)? Niby jest pokój; mijają się poselstwa i listy, a mimo tego nie można być pewnym dnia i godziny. Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czyli nie rozbudzi się w pętach, albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. **Nie ubezpieczą od zdrady Krzyżackiej przysięgi, pieczęcie i pergaminy.** Nie inaczej przecie zdarzyło się pod Złotoryją, gdy w czasach najgłębszego pokoju porwano księcia naszego w niewolę. Prawili Krzyżacy, że zamek ów groźnym dla nich stać się może. Ależ zamki naprawia się dla obrony, nie dla napadu — i któryż książę nie ma prawa we własnej ziemi ich stawiać, albo przebudowywać? **Nie przejedna Zakonu Krzyżackiego ni słaby, ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują.** Kto im dobrze czyni, temu się złem wypłacą. Jest-że na świecie zakon, któryby w innych królestwach takie dobrodziejstwa otrzymał, jakie oni od polskich książąt otrzymali,— a jakże się wypłacili? **Oto nienawiścią, oto grabieżą ziem, oto wojną i zdradą.** I próżno wyrzekać, próżno samej Stolicy Apostolskiej się na nich skarżyć, gdyż oni w zatwardziałości i pysze żyjąc, nawet Papieża nie słuchają. Przysłali niby teraz poselstwo do Krakowa na spodziewane chrzciny królowej, ale tylko dlatego, że chcą od siebie gniew potężnego króla Jagiełły odwrócić na chwilę. **W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie królestwa i całego plemienia polskiego“.**

Nieco dalej tenże opat na dowód, jaki koniec czeka Krzyżaków i ich potomków, przytacza głos z objawienia św. Brygidy, który tak mówi o Krzyżakach:

„Postanowiłem ich (to jest Krzyżaków) pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na brzegu ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników i nie uczą go przykazań Bożych i odejmując mu Sakramenta Święte, na większe jeszcze męki piekielne go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarciu swej chciwości. Dla tego przyj-

dzie czas, iże wyłamane będą ich zęby i będzie im ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochronieje, aby uznali grzechy swoje".

— Tak Bóg daj! — zawołał Zbyszko, jeden z obecnych, słuchających mowy opata.

Jeszcze przyda się powtórzyć tu słowa bardzo poważnego rycerza polskiego, Pawła z Taczewa, który jednego czasu tak się odezwał o Krzyżakach:

— Dziwna to jest natura krzyżacka. Gdy z Krzyżakiem źle, będzie ci wyrozumiały, jak franciszkanin, pokorny, jak jagnie, i słodki, jak miód,—tak, że lepszego na świecie nie znajdzie. Ale niech jeno poczuje za sobą moc,—nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania. Widać Pan Jezus dał im krzemienie zamiast serc. Przypatrywałem ja się przeróżnym narodom i nieraz widziałem, jako prawy rycerz oszczędzi drugiego, który jest słabszy, mówiąc sobie: „Nie przybędzie mi czci, skoro leżącego potratuję". A Krzyżak wtedy właśnie najzawziętszy. Dzierż-że go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci!

A jak straszne jest opowiadanie przeora dominikanów w Sieradzu o okrucieństwach, spełnionych w tem mieście przez Krzyżaków! Oto co on mówił Zbyszkowi:

— Sprowadził ich tu Wincenty z Szamotuł. Było mi wtedy dwanaście roków i właśniem przybył tu z Cylii, skąd mnie wuj mój, Petzoldt, kustosz, zabrał. Krzyżacy napadli w nocy na miasto (Sieradz) i zaraz je podpalili. Widzieliśmy z murów, jako w rynku mężów, dzieci i niewiasty ścinali mieczami, albo jako niemowlęta rzucali w ogień... Widziałem zabijanych i księży, gdyż w złości swej Krzyżacy nie przepuszczali nikomu. A zdarzyło się, iż ówczesny przeor Mikołaj, z Elbląga rodem będąc, znał komtura Hermana, który wojskiem krzyżackiem przewodził. Wyszedł on tedy (z klasztoru) ze starszemi braćmi zakonnemi do owego lutego rycerza i klęknąwszy przed nim, zaklinał go po niemiecku, aby się chrześcijańskiej krwi ulitował. Któren mu rzekł: „Nie rozumiem"—i dalej rzezać ludzi nakazał. Wtedy to wycięto i zakonników naszych, a z niemi wuja mego, Petzoldta, a zasię przeora Mikołaja koniowi do ogona przywiązali... A nad ranem nie było jednego żywego człowieka w mieście, prócz Krzyżaków i prócz mnie, który się na belce ode dzwonu zataiłem. Bóg ich już pokarał pod Płowcami, **ale oni ciągle na zgubę tego chrześcijańskiego królestwa dybią i póty dybać będą, póki ich całkiem nie zetrze ramię Boskie.**

— Pod Płowcami też—odrzekł Zbyszko—wszyscy prawie mężowie z rodu mego wyginęli; ale ich nie żałuję, skoro Bóg króla Łokietka tak wielkiem zwycięstwem udarował i dwadzieścia tysięcy niemców wygubił.

—Doczekasz ty się jeszcze większej wojny i większych zwycięstw — rzek przeor.

— Amen! — odpowiedział Zbyszko".

Czytając powyższe okropności o Sieradzu, mimowolnie przychodzą nam na myśl wspomnienia o strasznem zniszczeniu Kalisza, którego dopuścili się podczas ostatniej wojny prusacy, nieodrodni potomkowie Krzyżaków!

Dalej Jędrek z Kropiwnicy tak wręcz mówi o Krzyżakach:

— Jest nasz naród okrutnie na Krzyżaków zawzięty, a to z przyczyny nie tyle ich napaści, — bo i my do nich zaglądamy, — ile z przyczyny wielkiej ich zdradliwości, że to, jeśli cię Krzyżak obłapi a z przodu w gębę cię całuje, to z tyłu gotów cię w tym samym czasie nożem żgnąć; któren obyczaj zgoła jest świński i nam, mazurom, przeciwny"....

„Na Mazowszu powtarzano, że „jako tchórz cuchnie, tak Krzyżak łże"...

Zbyszko, jako młody rycerz, stopniowo rozpoznając charakter Krzyżaków, zczasem nabył przeświadczenia, że **„pięści na nich nie dość, ale też trzeba umieć zmódz ich głową".**

Raz w przystępie zdziwienia Zbyszko zagadnął Juranda:

— Ojcze!... Toćby im (Krzyżakom) lepiej było na miłość ludzką, niż na pomstę zarabiać. Po co oni tyle krzywd wszystkim narodom i wszystkim ludziom czynią?

Jurand, takiem pytaniem młodzieńca zaskoczony, odparł:

— Nie wiem!...

A jakby na nie dzisiejsi niemcy odpowiedzieli? Chyba nie po chrześcijańsku? A wszakże dzisiejsi niemcy są chrześcijanie, lecz bodaj tyle warci, co ich przodkowie, Krzyżacy, jako zakonnicy, o których przyjaciel ich, de Fourcy, nareszcie poznawszy się na nich, musiał powiedzieć:

— Niczego nie chcą dotrzymać, — a przecież krzyż noszą i czci więcej od innych przestrzegać winni.

Jak działo się ludności w państwie Krzyżackiem, świadczy opowiadanie chłopa, pokazującego Jurandowi drogę do Szczytna.

„Chłop szedł przy koniu Jurandowym. Po drodze zasuwał kiedy-niekiedy dłoń w kaletę własną, wydostawał z niej garść niemielonego żyta i wsypywał ją sobie do ust, gdy zaś zaspokoił w ten sposób pierwszy głód, począł tłumaczyć, dlaczego je surowe ziarno, chociaż Jurand, zbyt zajęty własnem nieszczęściem i własnemi myślami, nawet tego nie dostrzegł.

— Chwała Bogu i za to—mówił—Ciężkie życie pod naszemi niemieckiemi panami. Ponakładali podatki od mlewa takie, że ubogi człek musi z plewą ziarno gryźć, jak bydlę. A gdzie żarna w chałupie znajdą, tam chłopa skatują, dobytek zagarną, ba! dzieciom i babom nie przepuszczą... Nie boją się oni ni Boga, ni księży, jak i wielborskiego proboszcza, który im to poganiał, na łańcuch wzięli. Oj, ciężko pod niemcem! Co tam człek ziarna między dwoma kamieniami ugniecie, to tę przygarść mąki na świętą niedzielę chowa, a w piątek tak jeść musi jako ptacy. Ale chwała Bogu i za to, bo przyjdzie li przednówek, to i tego nie stanie... Ryby łowić nie wolno,... zwierza bić też... Nie tak, jak na Mazowszu....

„W ten sposób wyrzekał krzyżacki chłop, mówiąc przez pół do siebie, przez pół do Juranda“...

Dalej w powieści „Krzyżacy“ spotykamy rozmowę przebiegłego, jak lis Rotgiera z księciem mazowieckim. Rotgier bezczelnie okłamuje księcia, a widząc, że książe już wierzy w jego wierutne fałsze, „potoczył zwycięskim wzrokiem po sali, pomyślał bowiem (chełpliwie), że w głowach krzyżackich więcej jest obrotności i rozumu, niż w polskich i że to plemię (polskie) zawsze będzie łupem i karmią Zakonu Krzyżackiego, równie jak mucha bywa łupem i karmią pająka.

Wreszcie na zuchwałe wymagania chciwego Rotgiera książe wręcz oświadcza:

— Rany Boskie!... A wżdy, jeśli ten wasz Zakon tutaj siedzi z czyjejże łaski, jeśli nie z łaski przodków moich? Małoż wam jeszcze tych krajów, ziem i miast, które do nas i do naszego narodu niegdyś należały, a które dzisiaj są wasze?

Ależ Krzyżackiej chciwości bogactw, władzy i ziemi nic nigdy nie było w stanie nasycić!

Czy tylko Krzyżackiej chciwości? Azaliż nie odziedziczyli jej prusacy po swoich pradziadach Krzyżakach! Ej! w prusakach chciwośc krzyżacka jeszcze sie wzmogła, urosła tak, że już radziby pod siebie zagarnąć nie tylko Polskę do Wisły, ale i część Francji—i Belgję i Danję! Roją o podbiciu połowicy świata, drugą oddając swej kumie — Anglji.

Wszelakoż nietylko chciwością nadmierną odznaczali się Krzyżacy, bo jeszcze mieli w swoim charakterze szpetnym mściwość potworną, gotową zawsze dopuścić się dla nasycenia siebie nawet najstraszliwszej zbrodni. Znienacka zabijali swoich przyjaciół, gdy odważyli się ganić ich przewrotność, a zbrodniczo kaleczyli tych, którzy wet za wet odpłacali się im za ich napady i udręki.

Taki los spotkał nieszczęsnego Juranda w Szczytnie, zamku krzyżackim, dokąd udał się gwoli wydobycia córki swej, Danusi, pochwyconej podstępnie przez Krzyżaków. Tam okrutny i mściwy komtur Zygfryd de Löwe dopuścił się na Jurandzie zbrodni wielkiej, bo oślepił go, wyrwał mu język i odciął prawą rękę, a następnie wypuścił go na wolność.

Wprawdzie prof. Tad. Zieliński w swoich uwagach o pracach pisarskich Sienkiewicza napomyka, że „wolałby, aby w puściznie literackiej Sienkiewicza nie było kart, poświęconych opisowi oślepienia Juranda.... Oczywiście, takie rzeczy bywały... i, niestety, nie tylko zdarzały się, ale i zdarzają sie do dziś dnia“...

Wie o tem prof. Zieliński, ale wolałby nie czytać w powieści Sienkiewicza opisu o takiej zbrodni. A jednak opis ten tam być musiał, bo zbrodnie takie, niestety, zdarzały się w życiu Krzyżackiem, a potem niemieckiem.

Sienkiewicz w powieści swojej o Krzyżakach zamierzył przedstawić narodowi swemu **prawdziwy charakter** Krzyżaków i ich potomków, niemców dzisiejszych, **musiał** przeto podać wszelkie występki, nawet najgorsze, jakich dopuścili się Krzyżacy, bo mieli charakter brzydki, występny, zdolny do popełnienia zbrodni najwstrętniejszych. A przytem, niezawodnie, chodziło Sienkiewiczowi jeszcze i o to, żeby ostrzedz swoich rodaków, co grozi im ze strony dzisiejszych niemców. A co im grozi obecnie od potomków Krzyżaków? Oto Krzyżacy tak dalece nienawidzili polaków, że nieraz pod wpływem swej nienawiści ku nim, pastwili się okrutnie nad niejednym, gdy go w moc swoję pochwycili: potrafili nawet oślepić, wyrwać język i odciąć rękę...

Takie okaleczanie fizyczne jest obrazem kalectwa duchowego. Krzyżacy narazie usiłowali pobić i wziąć w niewolę naród polski. A potomkowie Krzyżaków, niemcy, gdy już opanowali dużą przestrzeń Polski i wielką część narodu, o co starali się nadewszystko?

W sposób duchowy, ale prawdziwie oślepiali, wyrywali język i odcinali ręce polakom, swoim poddanym.

Dopuszczali się na duszy polskiej takiej samej zbrodni, jakiej dopuścił się Zygfryd na ciele Juranda.

Zygfryd oślepił, a jego potomkowie, niemcy, w swoich szkołach dzieciom polskim podawali fałszywe nauki. Zygfryd wyrwał język, — a jego potomkowie polskim dzieciom wyrywali mowę ojczystą. Zygfryd odciął prawą rękę, a jego potomkowie pozbawili polaków pracy, nawet przymusowo odbierali im ziemię!

Obydwie zbrodnie okrutne i podobne do siebie w zupełności. Jakżeż nie miał Sienkiewicz ostrzegać przed niemi rodaków swoich? Na to przecież swoję powieść „Krzyżacy“ napisał! Zresztą napisał ją nie jedynie dla przestrogi, ale i dla dodania otuchy i dla pouczenia...

Toć Zbyszko, **młody polak**, zauważył, że **„pięści na nich (Krzyżaków—niemców) nie dość, ale trzeba umieć zmódz ich i głową“.**

Nauka ta nam obecnie jest niesłychanie potrzebna! Już nie powieść Sienkiewicza, ale historja nas przekonała, że Krzyżaków-niemców polacy muszą zwyciężyć nie tylko własnym orężem, ale i swoją głową rozumną, światłą.

Prawda, naród nasz pobił Krzyżaków pod Grunwaldem roku 1410,—a pięćset lat potem wiele narodów spólnie z naszym jakgdyby na głowę pobiły niemców (1914—1918) — i co z tego? Oto znów ci sami niemcy, niby pobici, podnoszą znowu zuchwale swoję pięść i głowę, obracając swój wzrok chciwy i mściwy ku Polsce. To nas przekonywa, że

**„pięści na nich nie dość!“**

Owszem, trzeba **mocną pięścią polską** rozbroić ich, ale nadto trzeba tęgą głową polską chytrość i pychę krzyżacką w niemcach wyrwać, lub obezwładnić. Bądźmy nie tylko silni, ale i mędrsi od niemców, prześcigajmy ich w pracowitości, oszczędności, zabiegliwości ekonomicznej i naukowej. A nadewszystko bądźmy moralnie uczciwsi od nich!

Dzisiejsi niemcy odziedziczyli po Krzyżakach, jako swoich przodkach, zły charakter i szpetną ideę: zbogacania siebie krzywdą cudzą.

Czy taka ich idea i metoda, poprostu bandycka, może doznawać powodzenia i poszanowania u świata?—Nie, nigdy!..

Już raz doczekali się tego, że Bóg pokarał ich mieczem Jagiełły, a potem szablą Fosza. I takie kary na nich spadać będą, dopóki uparcie trzymać się będą idei i metod bandyckich. Bo wszakże **złemi sposobami prawdziwe dobro nie da się osięgnąć.**

Niemcy nie chcą tego zrozumieć. Uparcie i zbrodniczo wracają do swej niegodziwości: depczą prawa moralne—i w rezultacie za to otrzymują guzy. Jeśli i my bijemy ich za to,— to, oczywiście, nie naśladujmy ich w niegodziwości.

Bądźmy silni, abyśmy zdołali ich za złe ukarać, — ale bądźmy mędrsi od nich, aby na nas sprawdziło się zdanie niezawodne:

**prawda i dobro muszą osiągnąć zwycięstwo!**

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.

Rok I. Lublin, 6 grudnia 1925 r. № 49.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Ksiądz Piotr Skarga.

Czy w Sandomierzu, gdy szlachta zebrana
Na Jezuitów wykrzykuje veto,
Czy trzeba wstydzić błędy Arjana,
Albo się ścierać z uczonym Helwetą.
Czy to rycerstwo na koń się sadowi,
Czy idzie z wojny z bogatym obłowem,
Czy rokoszanin zagraża królowi,—
Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.
On broni świętych Tajemnic ołtarzy,
Zasłania Kościół od błędnej szarańczy,
W bitnych rycerzach odwagę rozżarzy,
A w senatorach szczepi duch poddańczy.
Dwoi się Skarga — i kędyż go niema,
Gdzie woła Kościół, lub ziemia rodzima?

Mąż wielki sercem, potężny w wyrazy,
Nie dziw, że został filarem Kościoła.

W każdą niedzielę
Król we świątyni bawił za południe.
Tam się lud mnogi na kolana ściele,—
A Ojciec Skarga odzywa się cudnie:
O świętej wierze, o bratniej miłości,
Słowami prawdy i kamień przebodzie,
Panów prowadzi ku braterskiej zgodzie,
Sędziów ku prawom i sprawiedliwości,
W żołnierstwie ducha pobożnego szczepi.
I nie przestaje powtarzać słów Pana,
Aż pojmą głusi, aż obaczą ślepi,
Aż rzewny naród padnie na kolana.
Wtedy Apostoł z promienistą twarzą,
Wesół na sercu schodzi z kazalnicy.
Spieszy do swojej klasztornej celi,
Kędy go czeka praca nieustanna
Kędy go czeka swobodne zacisze,
Kędy się modli i swe księgi pisze.



Skarga dobadywał się zręcznie,
Gdzie jaki dłużnik, co go lichwiarz dręczy,
Kogo nękają bezbożni pieniacze,
Lub jakie bóle komu serce ranią;
Gdzie biedne dziewczę rozpaczliwie płacze,
Stojąc nad grzechu straszliwą otchłanią;
Gdzie brat ku bratu oddycha niezgodą;
Gdzie z sąsiadami poswarki zawiodą:
A żadna z wieści nie była napróżna:
Bo owdzie grosza, tam serca jałmużna,
Rzucona zręczną dłonią Apostoła,
Rozjaśnia serca, rozpogadza czoła...

**Ludwik Kondratowicz.**

# „CÓŻEM DALEJ CZYNIĆ MIAŁ, MÓJ PANIE?“.

Z tem pytaniem zwraca się ksiądz Piotr Skarga do Pana Boga, gdy, mając lat już niemal sześćdziesiąt, uczynił przepiękny obrachunek publiczny z poselstwa swego.

Owszem, jestto obrachunek publiczny, bo napisał go Skarga 1 sierpnia 1595 r. i umieścił na czele swoich „Kazań na niedziele i święta całego roku“.

Poselstwem zaś nazwał swoje powinności kaznodziejskie i pisarskie.

Przytoczmy tu choćby garstkę wyznań z tego obrachunku.

„Myślę,—pisze—jako się sprawię Chrystusowi, Panu i Bogu memu, który mię na tę swoję robotę posłał i talenty swemi, wedle małej siłeczki mojej, nadał i opatrzył, gdy spyta: coś mi zrobił? wiele i jakicheś mi pożytków przyczynił? A ja z czem się postawię, co ukażę? Zawstydziwszy się i przestraszywszy, rzeknę: Panie, posłałeś mię do dworu królewskiego, do Zygmunta trzeciego, pana dwu wielkich królestw, do domu i senatu i rycerstwa i sług i poddanych jego. Nauczałem i upominał pana swego, pomazańca twego, aby ciebie znał, Boga swego, któryś go wyniósł i głową nad tak wielkiemi i szerokiemi narody postawił i w ręce jego dałeś takie państwa i nieprzeliczony poczet ludu twego, któryś twoją krwią odkupił; aby sobie mądrości i rozumu prosić u ciebie i nabywać staraniem pilnem na tak trudne i ciężkie rządzenie umiał; aby się w bojaźni twojej i we wszystkiej pobożności utwierdzał i kochał; służbę świętą twoję i chwałę rozmnażał; kościołom twoim i wierze świętej obronę wszelaką i wysługę czynił; wedle praw twoich panował; sprawiedliwości i karności nie odstępował; miłość uprzejmą ku poddannym i ku prawom ich zachował i pracy żadnej i czynności w obmyślaniu dobra pospolitego i obrony a zachowania w całości Korony wszystkiej nie żałował; aby się w mądrych i bogobojnych kochał i rady ich używał; pochlebstwa się strzegł, w próżnowanie się i w rozkosze nie wdawał; duchowne i świeckie urzędniki i sprawce ramienia swego pobożne i dobre wszędzie stawił i innemi wedle prawa twego i wolej Boskiej twojej drogami chodził. I obiecowałem mu od ciebie, Jezu Chryste, mocną rękę twoją nad nim i powodzenie wszystkiego, coby począł.

„I do rady i senatu jego i do rycerstwa jego i do domu i sług jego i na sejmach i zjazdach odprawiałem, Panie Zbawicielu, poselstwo twoje: upominałem, aby obie matce swoje, Kościół Boży i Ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali; aby ich kacerstwy nie rozróżniali a niezgody między nie nie siali, którą się obiedwie zabijają. Aby wierną radę dawali, na samo się dobre pospolite oglądając, a domy i prywaty swoje dla niego radzi tracąc, gdyby tego potrzeba. Aby pany króle swoje na wzór przodków swoich wiernie czcili i onym posłuszeństwo oddawali i o ich się nieczęść gniewali i szemrania się wszelakiego o nich strzegli; aby uprzejmość i całość serca między sobą zachowali; aby wolnością swoją nie ginęli, a niewolej obcych panów na się nie przywodzili. Wołałem na nie, Panie, aby na niewierność, mężobójstwa, cudzołostwa, kazirodztwa, lichwy, wydzierania, najazdy i inne srogie grzechy, lepsze prawa i prędszą sprawiedliwość naleźli, a zmazaną krwią i krzywdami kościołów i ubogich i uciążeniem poddanych, ziemię swoję oczyściali; aby hardości, zbytków i próżnych utrat, w jedwabiach i winie i rozkoszach zaniechali, a dostatek swój na obronę rzeczypospolitej i ojczyzny miłej, na ubogie i na kościoły obracali. Groziłem im, jakoś rozkazał, gniewem twoim, zgubą i pożarciem ich od nieprzyjaciół i spustoszeniem i przeniesieniem królestwa ich do innych narodów. Ukazowałem, jako pogański miecz nad nimi wisi, który sąsiedzkie zdrowia i majętności pożera: aby się przykłady srogości twej ukarali, a o większych grzechach swoich, które tejże sprawiedliwości nie ujdą, myślili i z nich powstawali.

„Cóżem dalej czynić miał, mój Panie?. Uprzejmiem i z serca nawrócenia i poprawy ich i zbawienia ich pragnął, ty wiesz; i radbym na to zdrowie ważył, abym na dobre ich i ojczyzny ich patrzył. Miłowaciem chciał cześć twoję i pożytki twoje, aby praca i wylanie drogiej krwie twojej na nich nie ginęło.

„Nie wiem, czem się dzieje, iż nie pomaga im poselstwo twoje i wołanie moje; do pokuty rzadki bardzo powstaje; twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać. Chytre ryby od sieci twej uciekając, poimać się nie dają.

„Nie masz dostałych jagód, mało pociechy: łakomstwo, hardość, łupiestwo, zdrada, niestatek wszystkich opanował; niesprawiedliwość i nieprawda górę wzięła; lichwy i złupienie dóbr pospolitych nastąpiło; zginął święty z ziemie i prostego a uprzejmego między ludźmi nie naleźć; jeden drugiego krwie pragnie: mąż brata swego na śmierć łowi. Złość ręku swoich dobrocią zowią; panowie wszystko mówią: daj, daj; sędziowie zapłaty i darów czekają, możni przewodzić myśli swoje chcą. Najlepszy między nimi przedsię kole, jako cierznie z płotu. Jedni nas, fałszywi sami, fałszywemi proroki zowią, choć jawne od ciebie, Pana naszego, świadectwa mamy. Drudzy słuchają, a nie czynią: wiarę mają katolicką, a ręce heretyckie.' Drugim słowo twoje jest za śpiewanie

i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zawiąże: chwałą kazania, a żywota swego nie poprawią.

„Któż winien, Panie? Straszliwe sądy twoje: że mnie może być przyczyną. Albo bojaźnią, albo niedbalstwem, albo nieumiejętnością psuję żniwo twoje. Któż się ciebie nie przelęknie, Panie? Kto się wyliczy i przed tobą usprawiedliwi? Kto się nie przestraszy na liczbie z sługami twemi? Jeśli świecki mędrzec, na złego ucznia patrząc mistrza jego bić i karać kazał: a cóż ty, sprawiedliwszy nad wszystkie ludzie, czynić z nami będziesz, gdy tak złe słuchacze nasze widzisz? Lecz, Panie, przyjm wymówkę posłańca twego, jakoś sam powiedział: jeśli stróż na wieży wołać będzie: oto idzie nieprzyjaciel, a ludzie się nie przestrzegą: sami sobie winni zostaną, a stróż wolny bez karania będzie. Uczyńże mnie wolnym, Panie, bomci wołał na nie i przestrzegał ich i tobiem codzień ofiary za nie czynił i modlitwa moja i pokłon mój nigdy za nie przed tobą nie ustał. Otom i na tych kartach pisanie zostawił, znaki robótki małej mojej. Proszę: i ze mną i z temi, co mię słuchają, nie wchodź w sąd, ale zwyczaju i natury swojej używaj nad nami. Nie dla nas, ale dla samego siebie, jakoś u proroka rzekł, dla chwały wielkiej imienia twego, uczyń z nami przymierze wieczne, a nie przestaj nam dobrze czynić. Daj bojaźń twoję w serca nasze, abyśmy cię nigdy nie odstępowali, a czyniąc nam dobrze, miej pociechę i wesele swoje z nas. Daj nowe serce i nowego ducha: a oddal kamienne, a daj mięsiste serce; a spraw to abyśmy chodzili w rozkazaniu twojem, abyśmy ludem twoim nigdy być nie przestali, a ty Bogiem naszym zawżdy zostawał"...

Takie wynurzenia swoje szczere i prostotne opublikował ks. Skarga. Zawarł w nich program, którego pilnował się w pracach swoich, jako kaznodzieja i nauczyciel narodu.

Miał zdolności wielkie, a rozwinął je i zużytkował pracowitością nadzwyczajną. Nic mu łatwo nie przyszło, bo też każdej roboty swojej nie zbywał lekko i pospiesznie. Całe życie mozolił się wielce, lecz nie naprożno! Z ubogiego stanu mieszczańskiego wybił się na bardzo wysokie stanowisko duchowe w narodzie: stał się niesłychanie pożytecznym pracownikiem w Kościele i Ojczyźnie.

Przyszedł na świat roku 1536 z rodziny mieszczańskiej w Grójcu mazowieckim, szkoły ukończył w Krakowie. Po wyświęceniu na kapłana, został kaznodzieją w kościele Matki Bożej Śnieżnej we Lwowie—i stąd r. 1568, mając lat 32, udał się do Rzymu i tam wstąpił do zakonu ojców jezuitów. Po dwuch latach wrócił do Polski. Wprędce starszyzna zakonna, a i państwowa zauważyła w nim zdatność znakomitą, naukę dużą, pracowitość i zabiegliwość, zda się, niewyczerpane, więc powierzała mu ważniejsze zatrudnienia: oto 1573 r. został wicerektorem, a niebawem nawet rektorem kollegjum (szkoły) wileńskiego. Od roku 1584 już jest przełożonym w klasztorze jezuickim u ś. Barbary w Krakowie. A roku 1588 został kaznodzieją przy królu Zygmuncie III-im. Miał wówczas lat 52. I na tem stanowisku trwał lat 24 — aż do śmierci swej roku 1612. Zeszedł z tego świata, doczekawszy lat sędziwych 76.

W puściźnie po nim zostało dla dobra narodu dzieł kilka wielkiej wartości, a w rzędzie ich najwspanialszem są „Kazania sejmowe", które, zaiste, jako arcydzieło prawdziwe, w piśmiennictwie polskiem istnieć będą tak długo, jak długo żyć będzie naród polski.

Skarga żył w czasach bardzo niespokojnych.

„Nauka Lutra—pisze Konstanty Wojciechowski—szerzyła się i rozlewała w Polsce jak powódź, odstępców przybywało z dniem każdym. Wzgardzili już wiarą przodków możni Oleśniccy, Firlejowie, Stadniccy, Górkowie, a na Litwie uczynił to samo potężny ród Radziwiłłów. Klasztory pozamykano, księża tułaczami, a miejsca ich zajmują tak zwani „ministrowie" (duchowni sekciarscy), sprowadzeni z Niemiec.

„Ale i na tem nie koniec. Za magnatami idzie szlachta. Odstępstwo od wiary katolickiej ogarnia całą Rzeczpospolitą. Obok nowinek Lutra szerzy się nauka „braci czeskich", z Czech wypędzonych; wnet zjawia się nowa sekta „arjanie", wnet jeszcze inna: „kalwini". Różnowiercami przepełniona już izba poselska (sejm) i senat. Zamęt w pojęciach religijnych nie do opisania, nikt już nie wie w co wierzyć, słychać, że ten i ów przeszedł nawet na wiarę żydowską.

„Powódź zaś ta nie tylko nie opada, ale wzbiera coraz groźniej. Młodzież polska spieszy na zagraniczne uniwersytety, obcuje z Lutrem (który zerwał z Kościołem Katolickim 1517 r.), czy Kalwinem, lub ich towarzyszami, a wróciwszy do kraju, sama wstępuje w szeregi różnowiercze. Na sejmie, zebranym 1552 roku w Piotrkowie, wybuchł zatarg niebezpieczny. Przeciw duchowieństwu katolickiemu stanął cały sejm i senat, żądano odebrania biskupom władzy sądowej w rzeczach wiary.

„Rozterkom religijnym towarzyszyło zepsucie obyczajów.

„Przyszło do tego—pisze jeden ze współczesnych—iż bezkarnie teraz bracia — siostry, a stryje — synowice, więc powinowaci powinowate pojmują za żony, są i ci, co po dwie żony mają, są i ci którzy z cudzemi żonami ślub biorą i mieszkają". Na wspomnianym sejmie piotrkowskim skasowano chwilowo sądową władzę duchowieństwa katolickiego w sprawach wiary, nie było więc nikogo, ktoby mógł zapobiedz tym nadużyciom, bo sekty różnowiercze, chcąc zjednać sobie jaknajwięcej zwolenników, schlebiały niegodziwym zachciankom magnatów i szlachty.

Tak więc były to czasy groźne dla wiary katolickiej, a kapłanów brakowało w Polsce. Biskupi sprowadzali księży z Niemiec, z Włoch, nawet z Hiszpanji, lecz jakiż wpływ mogli oni wywierać w Polsce, nie znając mowy polskiej? A tu potrzebne były: praca olbrzymia, zaparcie się siebie, serce gorące i wielkie umiłowanie ojczyzny.

W sam czas Piotr Skarga, już nie młodziutki,—bo liczył wtedy lat 27,—został kapłanem i niemal odrazu stał się mówcą znakomitym. Ale też był do tego bardzo dobrze przygotowany i usposobiony: wychowany bogobojnie, do religji katolickiej gorąco

przywiązany, wykształcony, wielkich zdolności i świat zrający, a przytem skromny!

Arcybiskup lwowski odrazu zaufał młodemu kapłanowi i trafnie powierzył mu kaznodziejstwo.

„Wchodzi na kazalnicę młody kaznodzieja, słowa K. Wojciechowskiego.— W kościele tłum ludu. Są tam katolicy, są i różnowiercy, tych nawet sporo, bo w owych czasach sprawami wiary zajmowali się wszyscy w sposób niezmiernie żywy, szukali dla swych wierzeń dowodów, lub czekali na słowo, przeciwko któremu mogliby wystąpić z zarzutami. W oczach wszystkich, zebranych w świątyni lwowskiej, błysk ciekawości: co kaznodzieja powie i jak powiedzieć potrafi? Jak potrafi? Mówi zrazu spokojnie i prawie cicho, ale wnet, gdy przystępuje do obrony wiary ojców, wzrok poczyna mu pałać, głos potężnieje, a z ust dobywają się słowa, co biją, jak piorun, wstrząsają, druzgocą, wywołują bladość na licach i gwałtowne bicie serc. Ciężkie westchnienia dobywają się z piersi zebranych, pochylają się głowy, a usta szepcą: Boże zmiłuj się, Boże przebacz, Boże odpuść... Już nie widzi tłum nikogo w całej świątyni, tylko tę postać sługi Bożego z rękoma wzniesionemi z błyskawicami we wzroku z przybladłem od uniesienia czołem. A słowa padają coraz potężniejsze,—zda się wstrząsną murami świątyni.

„I dzieje się rzecz dziwna.

„Ci, co tu przyszli szydzić, spieszą po kazaniu do izdebki Skargi, z łkaniem wyznają grzechy, odwracają się precz od nauk różnowierczych i błagają, by przyjęto ich napowrót na łono Kościoła katolickiego. A serce skromnego i pokornego kaznodziei rozpływa się we wdzięczności ku Bogu, że mu użyczył natchnienia, że go obrał za swego sługę, że jemu, niegodnemu, dusze ludzkie dla Siebie łowić pozwolił.

„Nawracali się nietylko protestanci, przyjmowali chrzest nawet żydzi, nawet tatarzy, którzy znaleźli się we Lwowie jako jeńcy wojenni, a potem osiedli tu kupcząc po przedmieściach. Głośnem zaś na całą Polskę stało się nawrócenie żony wielkiego hetmana koronnego i zarazem wojewody ruskiego, Katarzyny z książąt Radziwiłłów Sieniawskiej, Pani ta, właścicielka olbrzymiej fortuny, powróciwszy na łono Kościoła, wychowała dwie córki swe w gorącem przywiązaniu do katolicyzmu. Jedna z nich wyszła później za mąż za hetmana Jana Karola Chodkiewicza, druga za Ostroroga,—obie hojnemi darami przyczyniły się do wzniesienia we Lwowie kościoła ojców jezuitów.

„Niebawem wezwano Skargę do Gorliczyna pod Przeworskiem, gdzie konał potomek wielkiego hetmata, kasztelan Jan Krzysztof Tarnowski, trapiony wątpliwościami religijnemi. Skarga umocnił w wierze umierającego, a rozpaczającej małżonce wskazał źródło prawdziwej pociechy: bogobojność i miłosierdzie.

„Działalność Skargi uradowała serce arcybiskupa lwowskiego. Wnet mianował go kanonikiem i nadto powierzył mu urząd kanclerza kapituły.

„Skarga dawał budujący przykład z życia własnego. Mimo znacznych dochodów żył bardzo skromnie, a co miał, rozdawał ubogim. Ciężko chorych biedaków odwiedzał w domu i ratował w nędzy, codziennym był gościem w szpitalu św. Ducha. Wraz ze zjawieniem się cichej, uśmiechniętej postaci kapłana, spływało na cierpiących ukojenie. Skarga umiał każdego pocieszyć, natchnąć myślą dobrą, pojednać z Bogiem.

„Znali go także więźniowie, nieszczęśliwi skazańcy na śmierć. I o nich pamiętał i im był pocieszycielem. Zatwardziałych w grzechu pobudzał do skruchy, skazanym na ścięcie, stos, czy na szubienicę towarzyszył na miejsce stracenia, tam jeszcze modlił się za nieszczęsnych i miłosierdzie Boże obiecywał, a choć mu sie serce krwawiło, nie opuszczał skazańców do ostatniej chwili.

„A mimo tylu prac, nie brakło Skardze czasu na czytanie pism Ojców Kościoła i dzieł teologicznych, oraz historycznych".

Lat pięć tak pracował we Lwowie — do roku 1568. I wtedy zapragnął dla duszy swej doskonałości większej: — w tym celu wstąpił do zakonu ojców jezuitów. Poświęcił się Bogu, Kościołowi i Ojczyznie.

Ukochał trzy te dziedziny, zjednoczył je w sercu swojem, żył i pracował dla nich wyłącznie. Odtąd już wcale nie należał do siebie.

Już jako zakonnik pracował czas jakiś na Litwie. Tam było mnóstwo kalwinów. Skarga potrafił wielu z nich i to najgłówniejszych powrócić do Kościoła katolickiego. Za nawróconemi Radziwiłłami poszła wszystka ludność, zamieszkująca ich dobra— „i tak niemal połowa Litwy została pracą Skargi pozyskana dla wiary katolickiej. Co więcej, nawracali się nawet „ministrowie", to jest kaznodzieje kalwińscy. Ze był to nie tylko triumf Kościoła, ale i zwycięstwo narodowe o tem zbyteczna mówić. Dziękował też Bogu gorąco Skarga, nietylko jako wierny syn Kościoła, lecz i jako polak, miłujący swą ojczyznę, gotów dla niej zawsze poświęcić siebie. Rozumiał, że przywracając jedność religijną na Litwie, tem samem łączy Litwę z Polską silniejszym węzłem, niż wszelkie pisane traktaty (umowy polityczne).

„Ażeby jednak ducha katolickiego umocnić, a serca rozpalić płomieniem ofiary, założył Skarga w Wilnie, stolicy Litwy, bractwo Najświętszego Sakramentu i miłosierdzia. Obowiązkiem członków bractwa, prócz wspólnych modłów, była opieka nad ubogiemi, udzielanie jałmużny, odwiedzanie nędzarzy i chorych, spieszenie im z pomocą. Zawsze ks. Skarga łączył wiarę z uczynkami dobremi. I znowu teraz Wilno, jak niegdyś Lwów, widziało cichego zakonnika, odwiedzającego dalsze uliczki podmiejskie, gdzie najżyczliwiej ratował słowem i datkiem współbraci nieszczęśliwych.

„Ale ten cichy ksiądz-zakonnik, gdy do uszu jego doszła wieść o swawoli, o pijaństwie, o uciskaniu ludu przez możnych, przemieniał się w piorun i wtedy z kazalnicy padały słowa groźne, zapowiadające gniew Boży! Szemrali na to (jako najbardziej winni) butni dworzanie księcia Radziwiłła Rudego, wojewody wileńskiego, uważanego wówczas za głowę kalwinizmu. Jeden z tych dworzan, niejaki Slepowroński, wracając z hulanki w stanie nietrzeźwym, ujrzawszy Skargę na ulicy, przystąpił do niego, ob-

sypał najwstrętniejszemi obelgami, a wkońcu uderzył go w twarz.

Powstała wrzawa niemała i oburzenie niezmierne na zuchwalca. Nawet książe, dowiedziawszy się o tem, zapłonął gniewem i postanowił srogo ukarać niecnego dworaka. Lecz wówczas pospieszył do księcia Skarga i serdecznie go prosił, by wybaczył zapalczywemu słudze, a prosił tak długo, aż książe ustąpił. Wzruszony, skruszony dworzanin ze łzami w oczach błagał Skargę, by mu nie pamiętał tego, co uczynił w zaślepieniu. Skarga zaś nie okazał mu nawet przez chwilę gniewnego oblicza, owszem, zapewnił, że urazę z serca wyrzucił, a prosił tylko, by przykładnem życiem starał się zatrzeć zgorszenie, które dał wskutek swej popędliwości dzikiej".

Takie wydarzenia przykre kilkakrotnie spotkały Skargę, lecz on zawsze po chrześcijańsku przebaczał występcom. Nie znana mu była mściwość,—zwykle darował urazy swoje, jednak nigdy nie czynił tego z tchórzostwa. Owszem, zazwyczaj w walce z każdem złem odznaczał się niezwykłą odwagą, prawdomównością wielką i dobitną, jakkolwiek przytem nigdy nie posługiwał się sposobami brzydkiemi: dużo miał w sobie szlachetności pięknej, a najwięcej serca: dla ludzi miał wiele życzliwości szczerej i uprzejmej, a tylko dla każdego błędu, grzechu i występku był nieubłaganym przeciwnikiem.

Nie szukał jedynie winowajców, lecz nadewszystko nieszczęśliwych. Tym spieszył z pomocą wszelką. Wielkie pole do świadczenia uczynków dobrych znalazł dla siebie w Krakowie, gdzie z woli swej zwierzchności zakonnej osiadł na stałe przy kościele św. Barbary.

„Społeczeństwo polskie — pisze K. Wojciechowski — nie odznaczało się okrucieństwem, ale nie umiało wczuć się w niedolę ludzi nieszczęśliwych, nie rozumiało, że wzajemne pomaganie sobie należy do obowiązków społecznych. Szlachcic uciskał chłopa nie dlatego, by był z natury złym, ale dlatego, bo mu się zdawało, że tak być musi, że inaczej być nie może, poprostu nie zastanawiał się nigdy nad cudzem cierpieniem, nie rozumiał go. Sąsiad krzywdził sąsiada z lekkiem sercem, bo nie potrafił wmyślić się w warunki i uczucia przeciwnika po doznanej krzywdzie. Natury nie były złe, lecz były twarde. Rozbudzić w tem społeczeństwie zdolność odczuwania cudzego bólu, rozbudzić w niem cnotę miłosierdzia, znaczyło to: podnieść społeczeństwo polskie moralnie, uszlachetnić, uchrześcijanić je prawdziwie. A cóż dopiero, gdyby się powiodło stworzyć organizację, stowarzyszenie, któreby praktykowało cnoty miłosierdzia! Wówczas korzyść byłaby jeszcze większa, bo nietylko spieszyłoby się z pomocą nieszczęśliwym, ale w zbiorowość niekarną wniosłoby się pierwiastek ładu, posłuszeństwa ustawom i zobowiązaniom, więc pierwiastek karności, a dobry czyn wypływałby już nietylko z chwilowego nastroju, lecz z przymusu moralnego, który jest pierwszym sposobem i środkiem wyrabiania woli.

Ks. Skarga zaznajomił się z bractwami miłosierdzia w Rzymie, kiedy tam przebywał dwa lata i gdy wrócił do Polski, zamyślał je tu zaprowadzić. Nawet już w Wilnie początek pomyślny zrobił, — teraz więc w Krakowie wnet do tego dzieła miłosierdzia przystąpił bardzo szczęśliwie.

Do zapoczątkowania dzieła miłosierdzia w Krakowie posłużyła Skardze taka okazja: „Dnia jednego żona pewnego stolarza ubogiego opowiadała z płaczem w kruchcie św. Barbury o swoim mężu. Biedak leży od dłuższego czasu złożony ciężką niemocą, w domu głód, nędza; chyba zamrzeć przyjdzie bez ratunku. Narzekań nieszczęśliwej kobiety słuchali ci, co spieszyli do kościoła. Skarga, widząc, że wzruszyła ich niedola kobieciny wynędzniałej, nie zwlekając, wstąpił na kazalnicę i wygłosił kazanie płomienne zaklinając słuchaczy, by nie zamykali oczu na nieszczęście ludzkie, lecz zaraz przystąpili do zawiązania bractwa, którego celem głównym było „wspierać potajemnie ze wspólnej ofiary, ubogich i chorych, wstydzących się żebrać".

Kazanie to Skarga wygłosił 7 października 1584 roku, a już trzy tygodnie potem, dnia 28 października, bractwo zaczęło istnieć, mając sporo członków i ofiar złożonych. Bractwo to przybrało nazwe taką „Bractwo miłosierdzia Bogarodzicy". Podobne bractwo założył Skarga r. 1589 w Lublinie. W r. 1592 zawiązało się w Krakowie, również za sprawą Skargi „Bractwo św. Łazarza", którego zadaniem było opatrywać ubogich, żebrzących na ulicach miasta. Takież bractwo powstało w tymże roku w Warszawie. Fundusz zebrał Skarga z jałmużn, wypraszanych u króla i panów, a były one tak obfite, że starczyło na założenie, pod opieką bractwa, szpitala św. Łazarza, gdzie pielęgnowano chorych ubogich. Szpital ten dodziśdnia istnieje przy ulicy Książęcej.

Wkrótce potem stworzył w Krakowie bardzo pożyteczny bank, narazie nazwany „Komorą potrzebnych", a później „Bankiem pobożnych".

Celem Banku było „pożyczanie osobom potrzebującym pieniędzy na zastawy ruchomości bez żadnego wynagrodzenia, do pewnego czasu, aby biednych od łakomych lichwiarzów uwolnić, a niszczeniu ich zapobiedz".

„Wiedział Skarga, że jałmużny nie dla wszystkich potrzebujących wystarczy i że nie wszyscy chcieliby ją przyjąć. Wielu zresztą może się znaleźć w chwilowej potrzebie i byle tylko zdołali otrzymać pomoc w czas, zwrócą później chętnie dług, jaki w nieszczęściu muszą zaciągnąć. Niestety, tacy dostają się najczęściej w ręce lichwiarzy, a kto raz znajdzie się w siatce tych pająków, nie łatwo już z niej się wydobędzie. Ażeby takim właśnie, chwilowo pogrążonym w biedzie, dopomódz, założył Skarga „Bank pobożnych".

Już sama nazwa tej instytucji pożyczkowej świadczy, że i ona, jak „Bractwo miłosierdzia", musiała posiadać tylko ofiary, powierzane jej przez osoby przejęte miłosierdziem chrześcijańskiem. Im więcej znajduje się w społeczeństwie chrześcijańskiem osób uczynnych, tem obfitsze napewno wpływać będą ofiary zarówno do „Bractwa miłosierdzia", jak i do „Banku pobożnych".

Chodziło Skardze o rozbudzenie w polskim narodzie uczucia litości dla biedaków i o zachęcanie

bodaj wszystkich do składania ofiar pieniężnych na jałmużny i pożyczki bez procentów. Dlatego Skarga nie rzadko, z odpowiednich sposobności korzystając, głosił bądź kazania o miłosierdziu, bądź poszczególne osoby zamożne zachęcał do składania ofiar; nawet napisał piękne nauki o znaczeniu i potrzebie miłosierdzia.

Te nauki wydał w osobnej książce i dotychczas wielu znajduje w niej dla siebie dużo uwag pożytecznych.

Ks. Skarga w tej swojej książce, wydanej pod nagłówkiem: „Czytania Bractwa Miłosierdzia w Krakowie, przy kościele ś. Barbary, na każdą niedzielę do roku, gdy się na kolekty schodzą, z dodatkiem kazań o miłosierdziu" (wydanie piętnaste),—przekonał, jak dużo nabył z Pisma św. z dzieł Ojców Kościoła i z innych pisarzów wiadomości o miłosierdziu,—i jak wiele sam z własnego doświadczenia nagromadził przykładów bardzo pożytecznych. Chyba każdy katolik, któremu drogi jest nakaz Chrystusowy: błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią"... zechce sam zapoznać sie z tą książką ks. Skargi.

Jednak może nie będzie zbytecznem tu bodaj niektóre uwagi z tej książki przytoczyć. One i dzisiaj wszystkim równo się przydadzą tak, jak wówczas przydały się przed trzystu laty.

„Najprzód—pisze ks. Skarga — powinna i sprawiedliwa rzecz jest przebrakować te żebraki pospolite, a niegodne żadnej jałmużny, a drugie podobno karania jakiego godne, odłączyć. Kto mówi, albo sądzi, iż przebierać między niemi nie potrzeba, ale każdemu, kto w Imię Boże prosi, jałmużnę dawać potrzeba; (bo jeśli on źle bierze, ja dobrem sercem daję dla P. Boga, onego wspomagając) taki niech uważy, iż podwaliną porządnego miłosierdzia jest sprawiedliwość, której gdzie nie masz, tam cnoty miłosierdzia być nie może. Rozumne i porządne miłosierdzie pierwej powinne swoje, domowniki opatruje, (jako mówi Apostoł: kto o swoich a zwłaszcza o domowych, pieczy nie ma, ten wiary się zaparł i gorszym jest niźli poganin); a potem dopiero obce. Dwóch cię prosi o jałmużnę: katolik i heretyk, pewnie pierwej dać się ma jałmużna wiary świętej domownikowi, a potem, jeśli można, heretykowi, dlatego, iż jest człowiekiem. Niech się, mówi Pan, pierwej dzieci najedzą, potem czeladka, a wkońcu i obcym się dostanie. Czyńmy dobrze wszystkim—mówi Apostoł — ale pierwej swoim domownikom wiary świętej.

„Jeszcze i to uważyć się ma, iż to, co się złemu daje, z krzywdą się dobrego, który tego bliższy, dzieje. Źli żebracy i dobrych i godnych chleb pożerają; psi się karmią, jako Pan mówi, a dzieci się morzą, co jest wielką niesprawiedliwością.

„Nakoniec Apostoł próżniakom nie każe jałmużny dawać: **„Kto nie chce robić, niechaj nie je"**. Bo chleba nie wart, kto go, mając zdrowe nogi i ręce, jakąkolwiek uczciwą robotą sobie nie szuka, gdyż Pan Bóg i w raju zakazał próżnować Adamowi,— i do roboty rodzi się człowiek. I Apostołowie, zdrowi będąc, a mając duchowne prace przed sobą, ręką sobie innym na chleb zarabiali.

„Widzę żebraka zdrowego, nie tak starego, ani schorzałego, żeby się jaką robotą zająć nie mógł: a czemu mam grzechu jego uczestnikiem się stawać i lenistwo jego pielęgnować i chlebem go ubogich poczciwych karmić? Niechaj nic nie je, jak uczy Apostoł, gdy robić nie chce; głód go rozumu i roboty nauczy. Wstyd i patrzeć, jak się to hultajstwo mnoży i ludzie się psują. Wiele próżniaków zdrowych, wiele kobiet młodych z dziećmi się po ulicach włóczy, już i cudze dzieci dla wymamienia jałmużny najmują, w nocy przyczyniają się do nierządu, we dnie czas trawią na próżnowaniu, jednych gorszą, a drugim się naprzykrzają; do kościoła drudzy nie zajrzą, do Sakramentów świętych nie chodząc. I tak na ciele i na duszy wielką szkodę ponoszą.

„Pewien, widząc młodego żebraka, jałmużny dać mu nie chciał. Pyta go żebrak: czemu mię mijasz, a dać jałmużny nie chcesz? Ten odpowiedział mu: „Żaden ci większej krzywdy nie wyrządził, jako ten, któryć pierwszy dał jałmużnę. I dobrze powiedział. Bo gdy im zasmakuje ta żebranina, giną na duszy.

„W starym testamencie nie mógł ojciec i matka własnego syna do urzędu zawieść za rozkazaniem Boskiem, które tak opiewa: ten syn nasz uporny jest, krnąbrny, upomnień naszych słuchać nie chce, bawi się złem towarzystwem, z niemi biesiad i zbytków patrzy". Takiego, mówi prawo Boże, ukamienować mają ludzie onego miasta, lub wsi, aby złe wyrzucić z pośrodka ludu i aby się wszystek lud bał. A tego tak gnuśnego hultajstwa i fałszywych żebraków niema czasem i komu upomnieć; gdyż za samo próżnowanie daleko więcej, niż za szalbierstwo i okradadanie ubogich prawdziwych, na karanie zasługują. Jestto powinnością urzędów duchownych i świeckich —i biada im, gdy tego nie uczynią.

„Co Pan mówi: każdemu daj, który prosi, rozumiej: porządnie i słusznie. Bo gdy cię kostera i nieczysty prosi o jałmużnę, z która zaraz idzie do karczmy, byłbyś bardzo nierozsądnym, gdybyś mu ją dał, jako gdyby kto dał miecz w rękę szalonemu. Także się rozumie i ono Pańskie słowo: „O cokolwiek prosić będziecie, da wam Ojciec mój",— rozumiej w Imię Pańskie, to jest: słusznie i porządnie, sprawiedliwości nie obrażając, ani duszy swojej.

„Dla żebraków ubogich i dla schorzałych są fundowane szpitale, które gdyby stały ładem, mniejby było prawdziwych żebraków, niegodne z nich usunąwszy, boby się tam słusznie znajdować nie mieli. Przetoż wielkie miłosierdzie ten czyni, kto szpitalów dogląda, kto je wizytuje i o ich się porządek stara. Co należy najrzód do biskupów, do kapituł, do plebanów, potem do królów i panów i do urzedów świeckich. I gdy tego nie czynią, ciężki za to niedbalstwo i opuszczenie ubogich sąd zdadzą przed Bogiem. Bo tem ich zaniechaniem fundacje na żebraków giną, ubodzy ze szpitalów uciekać muszą na żebranie, świętokradztwo i krzywda Bogu i ubogim się dzieję, a ludzie miłosierni, nadawcy szpitalów, oszukanie dusz swoich cierpią.

**„Ubogie, gdyby w nas mieszkała bojaźń Boża i sprawiedliwość i porządek, opatrzyłoby bardzo dobrze chrześcijaństwo“...**

Ach, jaką obfitość rad, uwag i upomnień zawarł ks. Skarga w tej swojej książce, nawet niedużej!

Doskonale zrozumiał doniosłe znaczenie miłosierdzia w życiu społecznem, — umiał o niem ładnie, sprawiedliwie i surowo napisać,—potrafił też bardzo wiele przysług miłosiernych wyświadczyć rozmaitym biedakom.

„Bractwo miłosierdzia“ i „Bank pobożnych“ zespoliły się później w jedną instytucję miłosierną, a uzupełnił je Skarga jeszcze tak zwaną „Skrzynką św. Mikołaja“, której przeznaczeniem znowu było wyposażanie córek rodzin uczciwych, lecz ubogich.

„Z zebranych datków kupił Skarga dla bractwa dwupiętrową kamienicę przy ulicy Siennej w Krakowie i czuwał stale nad tem, by do założonych przez niego instytucji nie wkradł się ani cień stronniczości, czy nieporządku.

Naostatek miło nadmienić, że te instytucje publicznego miłosierdzia, założone przez ks. Skargę, dotychczas egzystują w Krakowie i działają pomyślnie. Nawet roku 1885, jako w trzechsetną rocznicę założenia „Bractwa miłosierdzia“ i „Banku pobożnych“ zarządy tychże instytucji wydały „Książkę pamiątkową“, w której wyszczególniły wszystkich dobrodziejów i podały wykaz ofiar przez nich złożonych od r. 1584 do roku 1884.

Skarga troszczył się nie jedynie o ubogich. Dostarczał im ofiar na wyżywienie, lub jako pożyczkę na potrzeby niezbędne. Wypraszał jałmużny u możnych—i rozdawał je nędzarzom. Nie było to jedyne jego zajęcie. Jednocześnie zaprzątał się wieloma innemi sprawami: spełniał posługi religijne katolikom, a więc spowiadał i często głosił kazania; przyczyniał się też do nawracania odstępców od wiary ojców, nawet wielki brał udział w wykonaniu unji brzeskiej, jednającej schizmatyków (prawosławnych) z Kościołem rzymsko-katolickim. Gorąco pragnął Skarga wszystkich obywateli Państwa Polskiego (Rzeczypospolitej) mocno zjednoczyć jedną wiarą katolicką. Bo powiadał tak: „...zaleca się w królestwach i domach zgoda i porządek, bez którego, a zwłaszcza posłuszeństwa zwierzchności, upada każda rzeczpospolita, choćby była narazie bardzo mocna. Dlategoż szkodliwszego żadnego jadu na śmierć i upadek królestwa niemasz, jako sekty i heretyctwa, które między ludzie niezgody szczepią i wszystkiego nieposłuszeństwa i swej wolej przyczyną są. Bo heretycy wiarą i religją, którą się jedność ludzka wiąże, na wiele części rozdzierając, zgodę też i jedność społeczną targają. A nikogoż słuchać nie chcąc, ani się sądzić nikomu około różności wiary nie dopuszczając, niezgody sami między sobą mnożą, sekty przeciwne sobie przypuszczają i niejako niezgodę chwalą, pokazując, iż się w swoim upadku kochają... A heretycy i od rozumu samego przyrodzonego odpadli i nie życzą Kościołowi Bożemu żadnej jedności ani rządu, ale takiego zamieszania, jakie sami między sobą mają“.

„Tylko w Kościele katolickim może istnieć, zdaniem Skargi, prawdziwa zgoda w rzeczach religijnych: „Albo się zgadzaj, albo bądź wyklęty i z domu wypadaj“, bo jeden jest sędzia, na którego wyrok zdać się muszą wszyscy. Kościoły dysydenckie (niekatolickie) nie posiadają żadnej centralizacji (spojenia) dysydenci (niekatolicy) „nie mają. ani chcą mieć sędziego o wiarę i Pisma rozumienie, na któregoby się rozsądek zdali;... każdy z nich ma swój upór i hardość rozumu swego, w której drugiemu nie ustąpi“. Że tak było istotnie w Polsce za czasów Skargi, tego dowodzą niezbicie dzieje reformacji religijnej: próby połączenia się różnych wyznań i sekt spełzły na niczem, bo nie było dla nich jednego rozjemcy, któremu by wszystkie równo ufały i ulegały. Więc pod tym względem—pisze prof. Chrzanowski—ma Skarga zupełną słuszność.

„Dowodzi dalej Skarga, że, gdzie niema zgody religijnej, tam i politycznej być nie może: „A gdzie około wiary i rzeczy Boskich zgody niemasz, tam i w rzeczach świeckich i w rządzeniu państwem być nie może“; różnowierstwo jest kością wiecznej niezgody w państwie katolickiem, bo inaczej sądzi o państwie katolik, inaczej niekatolik. Że różnowierstwo było rzeczywiście w Polsce — dowodzi prof. Chrzanowski—kością niezgody, o tem także może coś powiedzieć historja, zwłaszcza historja sejmów: „Różnowiercy grozili zerwaniem sejmu; wszystkich ogarniał szał walk religijnych, zapamiętałość, nie zważająca na dobro ogółu, dbałość tylko o zwycięstwo swej zasady religijnej, zaciekłość o dogmaty.... Praw naprawa poszła w odwłokę, wszystkie wnioski łamały się na sejmach, na których łatwiej było burzyć, niż budować, łatwiej obalać, niż stanowić, **partje religijne** (a obecnie partje polityczne) **rozrywały je i nie poddawały się wymogom państwowym“...**

W całej pełni rozumiał Skarga te szkody, wynikające z różnowierstwa bardzo wielu panów i szlachty, — dlatego, zwłaszcza od chwili, kiedy już został kaznodzieją królewskim, jął usilnie mową i piórem pracować nad pokonaniem herezji i sekciarstwa w Polsce. Prawie w każdem kazaniu swojem musiał dość dużo pouczać o błędach, przeciwnych wierze. Napisał też wiele drobnych i większych dziełek, a niemal wszystkie one mocno i gruntownie wykazywały prawdziwość religji katolickiej, albo matactwa i złe rozumienie wiary u odszczepieńców.

Wprawdzie niezmiernie wielu nawrócił, lecz jeszcze ogromnie dużo było opornych — i ci jawnie i groźnie występowali przeciwko Skardze, miotając na niego najbrzydsze zarzuty, lub obelgi. Za gorliwość jego kaznodziejską i obywatelską płacili mu nienawiścią i pogróżkami.

Gdybyż tylko tylu i tylko za to miał Skarga przeciwników wśród panów i szlachty! Gdzietam Powstało przeciwko niemu bardzo dużo jeszcze za to, że często, surowo i słusznie gromił ich, upominał i zaklinał, by zaniechali niezgody, nieufności, warcholenia... Słusznie karcił, dobrze mówił, cóż z tego, kie-

dy większość posłów i senatorów mało ważyła sobie złote jego słowa.

Chodziło mu o to bardzo, by Rzeczpospolita była szczęśliwa. „Skarga — pisze prof. Chrzanowski — nauczył się wierzyć, że celem „polityki", czyli rządu, a więc króla, senatu i sejmu jest szczęście obywateli, szczęście zaś polega na życiu cnotliwem obywateli". Zresztą sam Skarga wyraźnie oświadcza tak: „To jest największe szczęście każdego królestwa, gdy ma w sobie ludzie, w poczciwości się kochające, wstyd i trzeźwość i mierność miłujące, posłuszne, karne, mądre i mężne, a miłością jeden ku drugiemu zaprawione". Tymczasem w większości swoich rodaków, mających znaczenie w państwie, widział zgoła co innego.

Nikt nie stawia gmachu z błota
I najwyższy rozum — cnota.

Tego pragnął Skarga, — a szlachcie co innego nurtowało w głowie i sercu. „Jednem słowem, chciał Skarga leczyć w panach i szlachcie dusze nie tylko ludzi, ale i polaków; kładł uzdrowienie duszy polskiej za najpierwszy warunek mądrości, potrzebnej do rady; wpajał wiarę, że każde państwo „ziemsko-potężne" powinno być „anielsko-czyste"; uczył:

Że na ziemi być polakiem,
To żyć bosko i szlachetnie.

Czemu Skarga tak żarliwie troszczył się o pomyślny rozkwit Polski? Co mu na tem zależało? Czy spodziewał się stąd jakich korzyści dla siebie? Czy chciał przypodobać się komu? zdobyć nagrodę, pochwałę, lub może zamyślał zostać posłem, senatorem?—Nic z tego. Bo on, jako zakonnik, wyrzekł się wszystkiego,—a jako człowiek szlachetny, mądry i wielkiej zacności brzydził się interesownością i pochlebstwami, pożądaniem zaszczytów. Jedno tylko miał na widoku: **szczęście narodu!**

Kochał ojczyznę i naród, a kochał tak serdecznie, tak mocno, że nosił je ciągle w swem sercu— i pod wpływem tej miłości ułożył szczególnie pięknych osiem Kazań sejmowych.

W jendem z tych kazań poucza o miłości ku ojczyznie. „Obowiązek miłości ojczyzny uzasadnia Skarga nie tylko prawem przyrodzonem, ale i Objawieniem, powołując się na słowa Chrystusa: „To jest przykazanie moje, abyście się społecznie miłowali". Ale nikt przed Skargą nie uczył tak, jak Skarga, **jak** trzeba kochać ojczyznę i jak jej kochać nie wolno.

„Nie wystarcza mu, że miłość ojczyzny winna być „szeroka", że dla niej ponosić trzeba wszystkie ofiary i poświęcenia: „dla zdrowia jej wszystko tracić, gdy tego jest potrzeba,... nie tylko majętności dla miłej braciej i rzeczypospolitej nie żałować, ale i umierać winni jesteśmy". On idzie dalej jeszcze i uczy, że ojczyznie darować trzeba nie tylko „wszystkie pociechy swoje", jak Zorobabel, który wszystko „porzucił i podeptał, aby ojczyznie i braciej swej rzeczypospolitej służył", ale nadto, co jest dla ludzi ofiarą bez żadnego porównania cięższą, — krzywdy: „Odpuszczaj jeden drugiemu, a daruj swoje krzywdy ojczyznie, aby dla niezgody waszej nie ginęła, a w miłości i szczerości braterskiej radzić o niej mogliście". To wspaniałe i mądre zaklęcie, jedno z najwspanialszych w wymowie Skargi, wypłynęło nie tylko z wielkiego serca, ale i ze znajomości społeczeństwa, w którem nie brakło już takich, co mówili: „Co mnie po królestwie i rzeczypospolitej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę?" Tych napiętnował Skarga piętnem złodziejskiego serca i wołał: „Boże, aby się takich, jako monstrów jakich, mało najdowało, którzy srożej, niżeli bestje, nieludzkości i krwie rozlania pełni są".

Niestety, takich było wówczas niemało, nawet coraz więcej w Polsce. Bolał nad tem Skarga. Przypisywał to wadom, już niemal stającym się zaślepieniem, godzącem na całość i niepodległość ojczyzny. Wielu polaków, istotnie, zachowywało się tak, jakgdyby nic ich nie obchodził los kraju i narodu. Swoje sprawy prywatne przekładali nad dobro Rzeczypospolitej. Uważali, że każdemu w Polsce wolno czynić co mu się żywnie podoba. „Polska stoi nierządem!" — wołali To znaczy, że bezrząd, nieład, swywola każdego obywatela żadnej szkody nie przyczyni Polsce, owszem, tem bezpieczniejszą ona będzie, im swywolniej i im bardziej po sobkosku każdy obywatel dbać będzie tylko o siebie!.. Powszechny bezrząd stawał się coraz groźniejszy, władze wyższe były bezsilne, panowie i szlachta nie chcieli płacić podatków i żadnych ofiar składać na potrzeby Rzeczypospolitej, sądy działały opieszale i przekupnie, lud upośledzony poddaństwem, doznawał złego traktowania, a miasta były w upadku. Na domiar złego mało było obywateli, chcących gorliwie i odważnie zapobiegać nieszczęściu, a sejmy rozrywano

Ponad tym tłumem sobków zaślepionych górowała piękna postać kapłana-obywatela, kaznodziei-nauczyciela i proroka, księdza Piotra Skargi. Nauczał rozumnie i ogniście Przemawiał do rozumu, serca i sumienia rodaków Najsłuszniejsze, nawet mądre dawał rady, przestrogi i plany naprawy rządów. Przepiękne były jego pobudki do ukochania ojczyzny, do ratowania jej póki jeszcze pora. A gdy ze smutkiem dostrzegł, że zachęty i nauki nie skutkują, — musiał proroczo stawić przed oczy głuchych rodaków widmo strasznych kar, które spaść miały na cały naród nieszczęsny mający niecnotliwą starszyznę sejmową i senatorską! Wtedy Skarga wyrzekł nad narodem przepowiednie okropną, która ziściła się całkowicie: „Będziecie-mówił-nie tylko bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej szanowano, będą... Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w której byście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkoszy mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga matka? jako tę stracicie, już o drugiej nie myślić! **Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto, iżeście nie służyli P. Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego.** Do takich utrat i przekleństwa pewnie was ta wasza niezgoda i roztyrki społeczne przyprawią. Nie tak rychło i nie tak żałośnie wojną i gwałty postronnych nieprzyjaciół zginąć możecie, jako waszą niezgodą"...

Od chwili, kiedy wygłosił Skarga te słowa straszne, upłynęło zaledwo lat 177, a już sąsiednie mocarstwa spełniły pierwszy rozbiór Polski roku 1772-go!... Dziś, my, znając bolesną historję niewoli narodu naszego, jako skutek nierządu i zaślepienia naszych przodków, głuchych na upomnienia i rady ks. Skargi, co mamy dalej czynić?.. Odpowiedź na to pytanie chyba każdy z nas ma już gotową w swojem sercu i sumieniu:

**Kochać ojczyznę serdecznie i mocno, a służyć je wiernie aż do śmierci podług praw Bożych i moralnych**

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

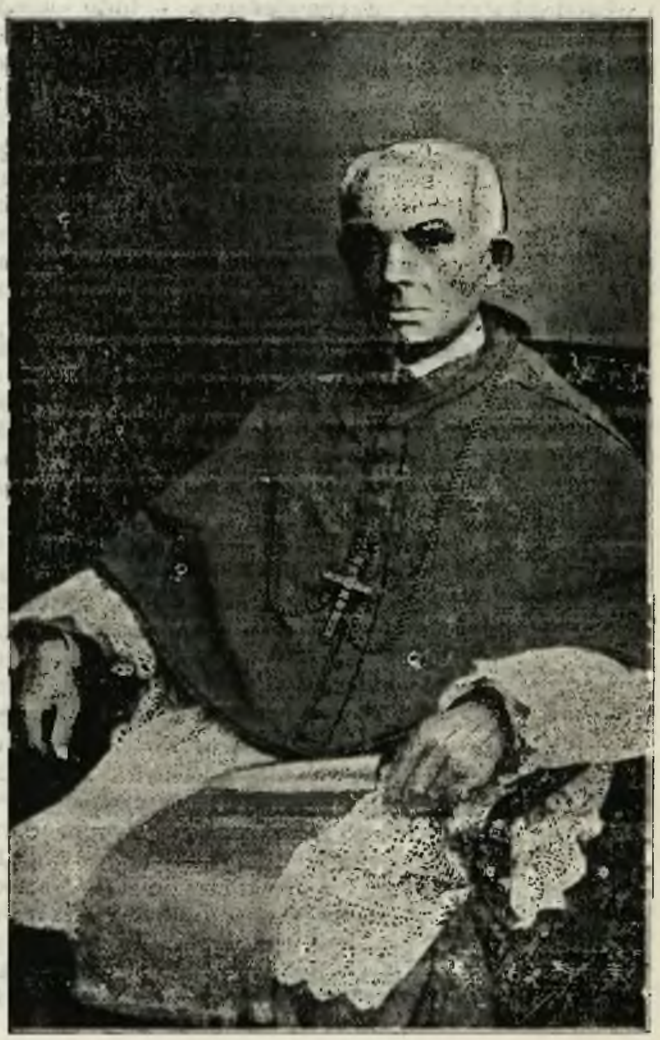
Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 13 grudnia 1925 r. № 50.

# ORZEŁ BIAŁY.

TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

## Ś. P. KSIĄDZ BISKUP
# FRANCISZEK JACZEWSKI.



Urodził się dnia 9 maja 1832 roku we wsi Górki, należącej do parafi Korytnica węgrowska (djecezja podlaska). Gdy miał lat 12, został oddany do szkoły w Siedlcach, gdzie pilnością w pracy, skromnością życia i zdolnościami w naukach stał zawsze pomiędzy pierwszemi z kolegów swoich i odbierał zasłużone pochwały zwierzchności szkolnej.

W r.-1850, kiedy miał lat 18-cie, idąc za głosem Bożym i radami światłemi swego proboszcza, ś. p. Franciszek Jaczewski wstąpił do seminarjum duchownego w Janowie podlaskim, a po dwuch latach przeszedł do akademji duchownej w Warszawie. W roku 1855, mając lat 23, otrzymał święcenia kapłańskie w Lublinie z rąk biskupa Pieńkowskiego,— a w następnym roku 1856 chlubnie ukończył akademję duchowną i niebawem przez władzę djecezjalną wysłany został, jako wikarjusz, do parafji Sokołów. Niedługo tam przebywał, bo już r. 1857 ówczesny biskup podlaski, Szymański, powołał ks. Franciszka na profesora w seminarjum duchownem w Janowie. Po latach kilku, młody, bo dopiero lat 30 liczący ks. Fr. Jaczewski, został mianowany rektorem tegoż seminarjum. Na tem stanowisku chlubnie wytrwał do roku 1868, to jest do chwili, kiedy rząd rosyjski skasował djecezję podlaską, więc i seminarjum duchowne w Janowie zamknął. Ponieważ djecezję podlaską przyłączono do djecezji lubelskiej, więc zwierzchność duchowna djecezji lubelskiej, przyjąwszy do swego seminarjum alumnow podlaskich, zarazem też zaprosiła ks. Jaczewskiego do Lublina

i mianowała go rektorem seminarjum lubelskiego, skąd w niedługim czasie przeszedł na probostwo do Stoczka Łukowskiego, gdzie bardzo gorliwie pracował prze lat blizko 20-a.

Jenak ks. biskup Wnorowski, jako pasterz djecezji lubelskiej, w. r. 1883 już pięćdziesięcioletniego ks. Franciszka Jaczewskiego odwołał ze Stoczka i umieścił w biskupim konsystorzu lubelskim, jako swego pomocnika w zarządzaniu skasowaną przez rząd djecezję podlaską, która wszelakoż podług ustaw kościelnych i nadal nie przestała być osobną djecezją, lecz pod zarządem djecezjalnego biskupa lubelskiego. Niebawem ks. biskup udzielił ks. Franciszkowi zaszczytnej godności kanonika katedry lubelskiej. A już 1885 r., po śmierci ś. p. ks. biskupa Wnorowskiego, kapituła lubelska zaprosiła go na administratora djecezji lubelskiej. Po latach niespełna pięciu, dnia 30 grudnia 1889, papież Leon XIII, uczynił ks. F. Jaczewskiego biskupem tejże djecezji, a 16 maja 1890 roku otrzymał sakrę biskupią, mając lat 58.

„Jak biskup Jaczewski,—pisze ks. prałat Pruszkowski, jako rządca djecezji i jednocześnie jako delegat apostolski, mając powierzoną sobie administrację djecezji podlaskiej, kierował temi dwoma cząstkami Chrystusowej owczarni przez lat 24 (od 1890 do 1914 roku) i jak pracował nad udoskonaleniem i uświątobliwieniem duchowieństwa i ludu, wiedzą o tem kapłani obu djecezji i wierni wszelkich dostojeństw i stanów. Imię biskupa Jaczewskiego znał kraj cały, znała go przedewszystkiem Św. Stolica Apostolska, podziwiała jego ducha i apostolską pracę, a papież, Pius X-ty, całem sercem nazywał go ukochanym bratem swoim. Na wiadomość o zbliżającym się jego jubileuszu pięćdziesięciolecia kapłaństwa (1905 roku), obdarzył go też bardzo wysoką łaską i dostojeństwem, to jest mianował go prałatem domowym i asystentem tronu papieży z dołączeniem błogosławieństwa i życzeń serdecznych.

„Ciężkie były wogóle wtedy z powodu prześladowań rosyjskich czasy dla Kościoła naszego, ale najcięższe dla djecezji lubelskiej i podlaskiej. Seminarjum tutejsze, przeznaczone na potrzeby obu djecezji, nie mając odpowiedniego gmachu, nie mogło dać wiernym dostatecznej liczby kapłanów. Po wielu próbach i po upływie lat wielu nareszcie rząd rosyjski pozwolił ks. biskupowi Jaczewskiemu wybudować gmach nowy i obszerny, ale dał ze skarbu bardzo drobną sumkę, niewystarczającą; zmuszony był przeto zaciągnąć dużą pożyczkę, która go długo niepokoiła; a przytem trapił go ustawiczny brak funduszów na utrzymanie seminarjum i na skromne wynagrodzenie dla księży profesorów seminaryjnych.

Nie dość na tem, bo stokroć dotkliwszych doznawał ks. biskup Jaczewski zmartwień z powodu niemal częstych gróźb i wymagań niesprawiedliwych, a złośliwych ówczesnego rządu moskiewskiego. Urzędnicy rosyjscy, poczynajac od tak zwanego naczelnika straży policyjnej i naczelnika powiatu, a kończąc na dwuch gubernatorach: lubelskim i siedleckim, oraz jenerał gubernatorze warszawskim, którym był bardzo długo osławiony kat polski, Hurko,—wszyscy oni swoje „bumagi" ostre, zuchwałe, a zwykle niesłuszne bardzo często nasyłali ks. b. Jaczewskiemu, domagając się odpowiedzi, wyjaśnienia „na kakom osnowanji„ to a to się stało. I zazwyczaj władze rosyjskie pretensje swoje popierały oświadczeniem, że ten a ten ksiądz jest „wredien prawosławiu", więc trzeba go zabrać z tej parafji, — albo, że takie a takie rozporządzenie ks. biskupa jest „wredno prawosławiu", więc powinno być cofnięte. Kilka razy nawet dla wytłumaczenia się i obrony swoich zarządzeń musiał sam udać się do Hurki, a dwa razy aż do Petersburga. I wówczas gotowy był przyjąć raczej karę wygnania w głąb Rosji, aniżeli zaniechać pracy gorliwej dla dobra Kościoła. Bardzo niepodobały się władzom rosyjskim wizytacje ks. b. Jaczewskiego w parafjach, znajdujących się w stronach „uporstwujuszczych", — to jest tam, gdzie najwięcej było cerkwi i dawnych unitów. Jednak ks. b. Jaczewski nie poddał się żądaniom moskiewskim i na mocy t. z. „manifestu tolerancyjnego", ogłoszonego przez cara Mikołaja II-go, odwiedzał nieszczęsne parafje, które od wielu-wielu lat nie widziały u siebie biskupa — i nadto pilnie popierał sprawę powrotu na łono Kościoła tych byłych unitów, którzy pragnęli wyznawać wiarę rzymsko-katolicką. Bądź co bądź jednak nieustanne udręki, zmartwienia bardzo podkopały zdrowie ks. b. Jaczewskiego i zgon mu przyspieszyły. Niemal w przededniu wojny światowej, która miała przyczynić się do zdjęcia kajdan z narodu polskiego, Pan Bóg powołał go do siebie. Umarł w lipcu 1914 roku, mając lat 72.

Pogrzeb zmarłego dostojnika Kościoła odbył się 28 lipca 1914 r. przy udziale czterech biskupów, kilkudziesięciu prałatów i kanoników, oraz 306 księży parafjalnych z różnych djecezji, — a wiernych zgromadziło się conajmniej 50 tysięcy. Nad mogiłą przemówił ks. kanonik Dębiński. Rzekł on wówczas między innemi tak: „Dwadzieścia cztery lata temu, jako kapelan towarzyszyłem ś. p. biskupowi Franciszkowi w jego pierwszej wizycie pasterskiej w dekacie lubelskim. Do spowiedzi i bierzmowania były tłumy wiernych, nas zaś, kapłanów, oprócz biskupa, było zwykle dwuch, lub trzech, t. j. miejscowy proboszcz, wikarjusz i ja (gdyż władze rosyjskie na liczniejszy udział księży postronnych nie zezwalały). Wobec takiego stanu rzeczy ręce nam opadały! Jakież było nasze zawstydzenie, gdy zaraz pierwszego dnia wizyty biskup już o godzinie 3-ej rano wymknął się nieznacznie z plebanji i zasiadł w konfesjonale, gdzie spowiadał do godziny 9-ej bez przerwy, potem bierzmował, potem odprawiał uroczystą sumę, potem po skromnym posiłku, znów spowiadał i znów bierzmował aż do godziny 9-ej wieczorem. Taką była pierwsza wizyta, takiemi były prawie wszystkie następne przez całe 24 lata jego rządów naszą djecezją, choć już w dalszych latach tego potrzeby nie było (albowiem od czasu manifestu tolerancyjnego wolno było wielu księżom towarzyszyć ks. biskupowi podczas jego wizytacji). Niemniej również pracowitem było życie naszego pasterza w Lublinie, boc przecież każdemu wiadomo, że nie tylko ważniejsze

sprawy sam osobiście załatwiał, ale nawet najbardziej błahe musiały mu być przedstawiane do decyzji. Wschodzące słońce witało go, a zachodzące żegnało przy biurku. A jednak nigdy nie skarżył się na ciężar swoich obowiązków. Spełniał je aż do końca życia chętnie z dobrotliwym i wesołym uśmiechem na ustach, bo w tem widział wolę Bożą. Padł, jak żołnierz na placówce, to też na grobie jego śmiało wyryć można te słowa: Tu spoczywa mąż boży, co wzorowo spełniał obowiązki swego stanu".

Tak zasłużonego biskupa mogiła na cmentarzu lubelskim wprędce doznała zaniedbania ze strony rodziny jego, co bardzo zabolało obecnego Arcypasterza djecezji lubelskiej, Najdostojniejszego ks. Biskupa Fulmana, więc, spełniając życzenie swoje, oraz licznego duchowieństwa, które z rąk ś. p. ks. b. Jaczewskiego doświadczyło wiele dobroci, postanowił, zgodnie z prawem kościelnem, przenieść jego zwłoki z cmentarza grzebalnego do podziemia katedry lubelskiej, gdzie urządził piękne katakumby na miejsce wiecznego spoczynku dla zmarłych biskupów djecezji lubelskiej.

Przeniesienie zwłok ś. p. ks. biskupa Jaczewskiego odbyło się niezmiernie uroczyście 23 listopada 1924 roku. Na ten obrząd przybyło mnóstwo księży z różnych stron obu djecezji: lubelskiej i podlaskiej, a przewodniczyło mu trzech biskupów i dwuch infułatów z miejscowym Najdostojniejszym Arcypasterzem na czele.

W katedrze wówczas wygłosił piękną mowę ks. kanonik Szeleźniak, proboszcz na Bronowicach. Z jego mowy przytaczamy tu bodaj niektóre zdania:

„Pasterzowanie ś. p. biskupa Fr. Jaczewskiego przypada na okres najcięższych prześladowań, jakie Kościół w Polsce przenosił, a zwłaszcza w Lubelszczyznie i na męczeńskiem Podlasiu, gdzie sprawy Kościoła i narodowości wikłały się w sposób niesłychany! Tu trzeba było roztropności i zręczności niepospolitej, by się przeciwstawić chytrości carskich satrapów i przewrotności zapamiętałej schizmy. To też Opatrzność, stawiając ś. p. biskupa Franciszka nad tą najbardziej zagrożoną cząstką swego Kościoła, zaopatrzyła go w odpowiednie dary ducha i niepospolitego charakteru i nadzwyczajnej rozwagi. Obejmując umysłem szersze horyzonty, zastanawiał się, rozważał, zabiegał, decydował zawsze z pożytkiem wiary, Kościoła i dobra narodu. A ile przy tem musiał przecierpieć, znieść upokorzeń, przebyć chwil iście ogrójcowych! Część tylko tego zapisze historja, a wszystko policzy przewodniczący mu na kalwaryjskiej drodze Mistrz ukochany, Jezus Chrystus, którego będąc wiernym naśladowcą ks. biskup Jaczewski, miał też w swej mitrze biskupiej zaiste niemało kolców cierniowych!

„I trzeba się było zdumiewać, skąd ten starzec wątły, schorzały czerpie siły? Dary nieba go wspierały! Siła ducha, płynąca z głębokiej wiary i nadzwyczajne poczucie obowiązku sprawiały, iż przetrwał wszystkich potężnych wrogów swoich. Był to mąż wielkiej skromności i małych dla siebie wymagań. Ze szczupłej pensji swojej biskupiej dużo dokładał na utrzymanie umiłowanego seminarjum, a z funduszów, odziedziczonych po rodzicach, ufundował szkołę w wiosce rodzinnej, nadto dopomógł do budowy nowego gmachu seminaryjnego. Do późnej starości w chwilach wolnych lubiał pisywać do druku.

„Dla podwładnego duchowieństwa był ojcem i bratem. Surowy i wymagający, zaczynając od siebie, zwłaszcza odnośnie do życia nieskazitelnego i pracy gorliwej, zwykle jednak odznaczał się wyrozumiałością szlachetną.

Radości serdecznej doznał niejednokrotnie ś. p. ks. biskup Jaczewski w tych „latach wolnościowych", kiedy już na mocy „manifestu toleracyjnego" niezliczone tłumy wiernych i byłych unitów wszędzie witały go z zapałem, gdy do ich parafji podążał jako uradowany ojciec do prześladowanych dzieci. Nie raz wtedy miewał rozrzewniające chwile szczęścia, płynącego z przeświadczenia że jednak Chrystus zwyciężył, a Kościół Jego św. zatriumfował!

„Lud czcił w nim niezłomne męstwo i siłę charakteru. Na straży Kościoła i ojczyzny odważnie stał ten wierny sługa boży, co aż do śmierci ukochał dobro ludu polskiego. Dosyć wspomnieć, że przedśmierne słowa jego, wypowiedziane do otaczających go kapłanów, tak serdecznie tę troskę wyrażały: „Strzeżcie — mówił — owczarni Chrystusowej"... Jakgdyby przewidywał te, doby dzisiejszej, wichrzenia, więc gasnącym głosem coraz powtarzał swemu otoczeniu: „Strzeżcie owczarni Chrystusowej"...

Ś. p. ks. biskup Jaczewski szczególniej umiłował Listy św. Pawła Apostoła — i domyślać się należy, iż był i gorliwości apostolskiej naśladowcą św. Pawła. Dlatego zpewnością i w ostatniej chwili życia swego ś. p. ks. biskup Jaczewski za swoim wzorem godnie mógł powtórzyć znane słowa tegoż św. Pawła: „Potykaniem dobrem potykałem się, zawodum dokonał, wiarem zachował. Naostatek odłożon mi jest wieniec sprawiedliwości, który mi odda Pan sędzia sprawiedliwy w on dzień: a nietylko mnie, ale i tym, którzy miłują przyjście jego".

---

Źle umrzeć nie może, kto dobrze żyje

Ojczyzna po Panu Bogu i tem wszystkiem, co do Niego należy, wielka jest rzecz i najprzedniejsza —i tę dobrzy obawatele nad rodzice przekładali.

Ks. Andrzej Radowiecki.

---

Ojczyzna, to matka, co tuli do łona
Swe dzieci kochane, ich szczęścia spragniona.
Istnienie im dała, swem mlekiem karmiła,
W miłości też synów jej przyszłość i siła.
Tak! To jest ojczyzna... W tem mieści się słowie
Co serce kochając, przez usta wypowie.
W tem, bracia, powinność,... w tem dla nas świat [cały,
Świat wspomnień, nadziei, poświeceń i chwały!

Kalikst Wolski.

# Ważność wychowania.

Nieraz tak bywa, że rodzice narzekają na dzieci. Narzekania te po wojnie ogromnie się wzmogły. I rzeczywiście są do tego powody" przykłady życiowe mówią nam, że stosunek dzieci małych i dużych do rodziców pozostawia wiele do życzenia. Bo czy syn w dawnych latach odważyłby się podnieść uzbrojoną w siekierę rękę na matkę, albo czy córka zabrałaby ojcom starym ostatnią krowę—żywicielkę ich? Obydwa przytoczone wypadki miały miejsce w sąsiedniej gminie. A przykładów nieposłuszeństwa, odwarkiwania się, pomiatania rodzicami czyż niemal w każdej wiosce nie znajdujemy? Starsze dzieci zapominają o przykazaniu: Czcij ojca twego i matkę twą, małe zaś nie są wychowywane w niem, nic więc dziwnego, że gdy dorosną nie poczują obowiązku spełnienia nakazu Bożego. Często rodzice sami temu winni, nie urabiają bowiem zamłodu w dzieciach dobrych stron charakteru, nie wpajają w nie cnoty, sądząc, że powinność ich względem potomstwa polega tylko na dostarczeniu jedzenia i odzienia. Sądzą też, że to już wszystko, że to już całe wychowanie.

O duszy wcale nie myślą. A przecież człowiek składa się nie tylko z kapoty i żołądka. Wartość jego mierzy się tem, co ma w sercu i głowie. Jedno i drugie najczęściej jest zaniedbane, szczególniej serce.

Rzadki to dzisiaj typ matki, którąby wszystkie swe wolne chwile poświęcała, zamiast na rajcowanie z kumami, swoim dzieciom; którąby wówczas podnosiła ich myśl do Boga, uczyła zachowania się wobec starszych i rówieśników, wpajała usłużność, przestrzegała przed złemi zabawami, uczyła je prawdomówności i pracowitości, brała na serjo kłopoty dzieci, nie oszukiwała dzieci, które przychodzą ze swemi sprawami do matki, lub potrzebami, którąby w ten sposób zyskiwała serca małych swych dzieci, a przytem kształciła je, wlewała ciepło nieraz na całe życie.

Pokażcie mi ojca, który zajęty codzienną pracą, nie zapomina o swych dzieciach i czuwa nad ich krokami po za domem. Czy uczy syna swego poszanowania pracy, oszczędności, czy opowiada mu o dawnych cnotach, czy mówi o uczciwej zabawie, podziwia dobrą książkę, gazetę, czy uczy go dzielności i wpaja poczucie obowiązku w życiu codziennem?

Bardzo mało jest rodzin tak pojmujących wychowanie dzieci. To też zamiast rodziny, wychowują nasze dzieci towarzysze, zły przykład starszych, czyli, jak mówimy, otoczenie albo ulica; wtedy dziecko nic z ciepła rodzinnego nie bierze, a ojciec z matką nie są z niem sercem związani, nie mają wpływu na nie.

Przeto, gdy takie dziecko dorośnie, zdobywa się nieraz w stosunku do swoich rodziców na czyny, krew mrożące w żyłach. Prawda, w wychowaniu ludzi bierze udział także kościół i szkoła. Wobec jednak zaniedbanego wychowania religijnego w domu i gorszącego wpływu otoczenia, oddziaływanie kościoła na duszę dziecka jest paraliżowane. Szkoła także nie może w wielu wypadkach zastąpić domu w wychowaniu, to jest urobieniu charakteru. Często bowiem więcej oddziaływują na dzieci w szkole i poza nią koledzy, koleżanki, —otoczenie, niż nauczyciel. Wskutek także warunków nieodpowiednich, w jakich znajduje się dzisiejsza szkoła, nie może ona należycie roztaczać swych wpływów wychowawczych i wychowawczo uczyć. Przeważnie więc uczy tylko dzieci. A nauka i wychowanie to rzeczy bliskie, ale niejednoznaczne. Można posiadać dużo wiadomości a być człowiekiem złym, to jest źle wychowanym Np. złodziej bardzo mądremi sztukami okrada kasy, sklepy, gospodarstwa. Ale właśnie, że kradnie, winno jest przeważnie złe wychowanie. Istotną więc wartością człowieka są jego zalety charakteru, czyli cnoty, jak np. miłość Boga i ludzi, pracowitość, poczucie obowiązku i t. p. To daje wychowanie, tak zwane cnotliwe.

W dobie największego rozkwitu Polski kwitło w niej życie cnotliwe. O cnocie w owe czasy tak pisarz Kochanowski pisał: „Cnota —skarb wieczny, cnota—klejnot drogi, tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi; nie spali ogień, nie zabierze woda; nad wszystkiem innem panuje przygoda!" Że wszystko może minąć, a bogactwo duszy, charakteru zostać, poucza nas między innemi ostatnia wojna. Niejeden utraci wszystko, lecz dobre imię—cnoty pozostały. Pozosta porządny człowiek. Porządny. Zachwiany jast ten typ człowieka w naszym kraju. Dużo się przyczyn na to złożyło. Lecz taki stan istnieć nie może.

Trzeba wychować dzielnych, uczciwych, miłujących kraj ludzi, ludzi—pełnych cnót. A stać się to może w pierwszym rzędzie przez rodzinę. O znaczeniu jej tak mówi nauczyciel narodu Trentowski: „Tylko w domu rodzicielskim może się udać dobre wychowanie. Bogobojność, łagodność, sprawiedliwość, mądrość rodziców przechodzą na dziecko. A od wychowania dzieci nadzwyczaj wiele zawisło.

Dzieci nasze są przyszłą Polską. Działając na nie, działamy na świat naszych następców. Jak je wychowamy, takiemi się staną, a więc: obrońcami, lub zdrajcami ojczyzny, ludzkości ozdobą lub hańbą. Ozdoba ta lub hańba spadnie w końcu na naszą głowę, bo byliśmy jej krynicą.

Przez wychowanie więc możemy poprawić stosunek dzieci do rodziców, otoczenia, kraju. Przez wychowanie możemy dać krajowi sumiennych pracowników, zaprawionych w poczuciu obowiązku.

Poeta Mickiewicz od polepszenia własnych dusz radził rozpoczynać wszystkie naprawy i reformy, bo najpiękniejsza budowa może runąć, jeżeli będzie posiadała zły fundament. Tym fundamentem dla każdego narodu jest wychowanie w rodzinie.

Piaski, **Fl. Kotliński.**

# JEDENASTOLETNI BOHATER.

W tych dniach jedenastoletni chłopiec, Emil Agathe, otrzymał w Paryżu z rąk mera (wyższego urzędnika) okręgu, w którym mieszkają jego rodzice, medal honorwy i książeczkę kasy oszczędności na złożone tam przez radę miejską na jego imię sto

franków. Na tę nagrodę Emil zasłużył w taki sposób

Niedawno ujrzał on wracając ze szkoły, pożar w domu, w którym mieszka znana mu rodzina, posiadająca dwoje drobnych dzieci.

Chłopiec wiedział przytem, że rodzice dzieci znajdują się przy pracy zdala od domu, a pozostawione w mieszkaniu maleństwa nie potrafią ratować się same.

Ponieważ zaś mieszkanie znajdowało się na dole, wybił więc bez namysłu szybę, otworzył okno i, wskoczywszy do przepełnionego dymem pokoju, wyniósł z niego maleństwa, potem, wskoczywszy powtórnie do mieszkania, usiłował ogień zagasić.

Gdy przybyła na miejsce pożaru straż ogniowa, to zastała chłopca nawpół przytomnego, trzymającego w ręku rurkę gumową, którą był znalazł w pokoju i, przemyślnie przymocowawszy ją do kranu wodociągowego w kuchni, zaczął przy jej pomocy gasić strumieniem wody sprzęty płonące!

Dzielny bohater jedenastoletni! Doprawdy, zasłużył nietylko na nagrodę, ale i na serdeczne życzenia: oby całe życie świecił przykładem w gorliwości o dobro bliźnich! Gdyby wszystkie dzieci takie były, — jak szczęśliwy byłby naród!

Jakie dzieci, — taka przyszłość narodu.

# Wartość wojska podczas pokoju.

Kiedy nieprzyjaciel przekroczy granicę, wówczas wszystkie strwożone serca i przerażone oczy zwracają się ku wojsku narodowemu: „Wszystko dla frontu! Wszyscy na front!“ Oczywiście, „wszystko dla frontu“, bo jeśli wróg zagarnie kraj, to i tak „wszystko“ zabierze i zniszczy, wszelkie dorobki prywatne i społeczne, nasze wolności, prawa, ustwy, skarby kultury i zasoby gospodarcze.

Wiemy coś o tem, my, polacy, którzy przez 155 lat byliśmy pastwą rabunku i ucisku. Wiemy też, że nie ochroniła nas od najazdu i niewoli ani wielka reforma szkolna komisji edukacyjnej, ani święcona po dziś dzień ustawa majowa. — Nie dlatego, że ta ostatnia nie weszła w życie, lecz, że z braku silnego wojska wejść w życie nie mogła. My, co pierwsi w Europie powołaliśmy do życia ministerjum oświaty, jeszcze dziesięć lat temu poddani byliśmy wynaradawiającemu systemowi szkolnemu, narzuconemu nam przez zaborców. Historja nas uczy: niema dla nas oświaty, niema kultury, niema reform społecznych jeśli na straży tych pokojowych prac nie stoi siła orężna.

Historja, jako „mistrzyni życia“, nie szczędziła nam nauk; za niepojętność, lub opieszałość sypała nam plagi. Jeśli nie chcemy się na nie ponownie narazić, nie zapominajmy otrzymanych lekcji i stosujmy do nich swe życie.

Dwieście lat temu rozbroiliśmy się pod przymusem wrogich sąsiadów, bezbieczeństwo własne oparliśmy na cudzej (moskiewskiej) gwarancji: **nie na własnej sile!** Uwierzyliśmy naiwnie, że Polska bezbronna, niegroźna dla sąsiadów. utrzymująca z niemi niby przyjazne stosunki, będzie szanowana i ochraniana przez nich! Wtedy nastąpiło kilkadziesiąt lat jakoby pokojowych, okres niby „szczęśliwości saskiej“, jak mawiano niedorzecznie. A jak owa „szczęśliwość“ wyglądała?

Pożal się, Boże!

Od chwili zmniejszenia liczby wojska, to jest od 1717 roku aż do momentu wskrzeszenia Polski w 1918 roku, — nie było ani chwili, by w Polsce nie stały wojska obce. — Te obce kosztowały nas zawsze nie mniej, lecz więcej, niż byłyby kosztowały własne.

Skarb państwa nie był obciążony wydatkami na wojsko, ale też władza państwa upadła i nie miała żadnej powagi, a granice były otwarte; kraj zdany na samowolę swoich i obcych.

W braku państwowej, zcentralizowanej siły zbrojnej, istniały wojska prywatne, które z własnej szkatuły fundował sobie każdy magnat. Nieuchronnym wynikiem istnienia tych wojsk prywatnych, a zarazem ich racją istnienia były wojny domowe i te nie ustawały ani na chwilę w owym pokojowym okresie szczęśliwości saskiej. Niszczyły one kraj nie mniej lecz więcej, niż wojny zagraniczne. —Istniało również zawsze pospolite ruszenie, które, będąc złożone z wolnych obywateli, czasem chciało się ruszyć a czasem nie chciało, wedle własnego uznania.

Wszystko to dobrze znana i dawno pogrzebana przeszłość i czyż warto o tem wspominać? Warto bo wraz z Polską niepodległą wstały z grobu i wszystkie jej błędy i złudzenia i pokutują wśród nas. Dziś one tylko noszą inne demokratyczniejsze nazwy i formy zewnętrzne. Pospolite ruszenie ma się nazywać milicją ludową; zamiast pułków magnackich mają powstawać i rozwijać się organizacje wojskowe, tworzone przez partje i pozostające na usługach partji, jak niegdyś, z tą jedyną różnicą, że dawniej na czele partji stał jeden magnat lub jedna rodzina magnacka, a dziś możnowładztwo partyjne nowego wytworu. Ale i dziś, — jak zawsze i wszędzie — walki domowe (krajowe) byłyby nieuchronnym wynikiem reformy, znoszącej władzę państwowa tam, gdzie ona ma najlepsze zastosowanie, a dążącej do zastąpienia jaj samopomocą gromad społecznych, raczej partyjnych, co musiałoby wywołać okropne niebezpieczeństwa dla całego narodu i kraju

Dawać obywatelom broń do ręki wolno tylko prawowitej władzy państwowej, postawionej na straży dobra całego kraju, odpowiedzialnej przed całym narodem. Milicja, — czy wojsko, każda siła uzbrojona **musi być karna i bezwzględnie** poddana woli rządu, w przeciwnym razie jest niebezpieczeństwem publicznem. Nawet tresowani w karności niemcy nie uniknęli bratobójczych walk domowych od chwili, kiedy armję próbowali zastąpić bojówkami.

**Wszelkie reformy i wszelkie oszczędności, zmierzające do tego, aby zmniejszyć naszą regularną siłę zbrojną, są groźne, zgubne i kosz-**

**tować nas mogą znacznie drożej, niż pozorny zysk z ich przeprowadzenia**

Tego nas uczy historja nasza, a dzieje innych krajów niczego nas nauczyć nie mogą, bo Polska nie jest innym krajem, niż tym, jakim była za Sasów i Jagiellonów. Wiele się zmieniło, lecz położenie geograficzne się nie zmieniło. I dziś nie mamy na naszych granicach oceanu, jak Stany Zjednoczone — i nie strzegą nas Alpy, jak Szwajcarji. Liga narodów nie może zmienić faktów dokonanych.

Czy mamy ubolewać, że musimy dźwigać ciężar wydatków na utrzymanie wojska? Czy mamy ten wydatek uważać tylko jako zabezpieczenie siebie przed wrogami?

Powszechna służba wojskowa jest sama przez się tak pożyteczna i niezastąpionym czynnikiem w dziele budowy Polski, że gdyby nie była niezbędna dla względów bezpieczeństwa, należałoby ją wprowadzić dla celów równie pilnych i ważnych.

Jest ona przedewszystkiem szkołą tego rodzaju, że bez niej demokratyczna Polska nie mogłaby się utrwalić.

Nikt na to nie zwraca uwagi, że dziś tylko wojsko prowadzi na szeroką skalę walkę z analfabetyzmem dorosłych. Każdy rekrut musi przyswoić sobie elementarną naukę, bez której nie może być sprawnym żołnierzem nowoczesnej armji. Wielu analfabetów wstępuje w szeregi, ale z nich nikt nie wychodzi analfabetą. Nie na tem koniec; uczy się on w wojsku wielu innych rzeczy niezbędnych, których może inna szkoła nie mogłaby go nauczyć. Uczy się porządku, schludności, punktualności i systematyczności, oraz podporządkowania się prawu obowiązującemu. Jego posłuszeństwo bowiem nie jest upokarzającą niewolą, on nie podlega kaprysom przemocy, lecz regulaminom, krępującym i jego i tych, co mu rozkazy wydają. A temu wszystkiemu przyświeca cel wyższy, któremu służyć muszą wszyscy, zacząwszy od jenerała, przed którym frontem staje, a nawet wyżej jeszcze: od Prezydenta, przed którym prezentuje broń. Wszystko, co go otacza, czego sie dotyka, stawia mu ten wyższy cel przed oczy: i Orzeł Biały nad bramą koszar i ten orzełek, który nosi na czapce i mundur, którym go przyodziano i karabin który mu dano do ręki. Wszystko to należy do ojczyzny, tak, jak jego siły i jego życie. W sobie samym widzi podporę ojczyzny i uczy się w tych charakterach szanować siebie. A że tak jest, — to mu wyjaśnią, zanim zostanie powołany do złożenia przysięgi. Proszę przeczytać książeczkę majora Porwita „Nauka o powinnościach żołnierza“, najtreściwszy, najprostszy i najpiękniejszy elementarz nauki obywatelskiej, jaki wydrukowano w Polsce niepodległej. Jest ona podręcznikiem, zaleconym przez władzę

Gdy taki młody żołnierz wróci do cywilnego życia, gdy wróci do swej wioski, już nie będzie tym samym ciemnym, swawolnym młodzieniaszkiem, jakim go wzięto przed dwoma laty. Będzie miał nietylko nowe kulturalne nawyknienia, lecz będzie miał w duszy ideał narodowy, choć tego oczywiście nie zdoła tak nazwać. Wprawdzie znajdzie on, będąc na wolności, dużo przeróżnych nauczycieli politycznych i socjalnych, nawet znajdą się tacy, co mu będą schlebiać, podsycać jego pożądania i ambicje, — ale obawiam się, że nie znajdzie już takich (jak w wojsku), co mu powiedzą prawdę o jego obowiązkach obywatelskich, co budzić w nim i rozwijać będą obywatelskie sumienie i świadomość tego, że on, jego dobro, jego życie nawet — mają wartość i wagę tylko ułamka tej wielomiljonowej nieśmiertelnej istoty, która się zowie narodem i ojczyzną!

Dla zjednoczenia i zmocnienia narodu, dla jego wewnętrznej zwartości, żywotności i odporności powszechna służba wojskowa jest dziś i na długie lata będzie niezbędna w Polsce, tembardziej niezbędna, imbardziej demokratycznym jest jej ustrój, imbardziej Rzeczpospolita ma być republiką ludową.

**I. Moszczeńska.**

# OD REDAKCJI.

Zbliża się koniec roku. Warto uczynić obrachunek nie pieniężny, lecz ideowy.

Nasze rachunki pieniężne z Sz. Czytelnikami są uregulowane, — nic się nam od Nich wszystkich nie należy. Atoli Im od nas należy się pewne wyjaśnienie ideowe.

Naród nasz posiada sporo czasopism dobrych podających wiele wiadomości ciekawych z kraju i ze świata, nowinek politycznych, artykułów dowcipnych i powieści.

Jeszcze bardzo chyba przyda się rodakom naszym zapoznać się z szeregiem nowych myśli o powinnościach obywatelskich. Może zadużo czasu i uwagi swojej rodacy nasi poświęcają rozrywkom i wiadomościom mniej pożytecznym, a za mało tym, które tak są nam niezbędne do życia w dzisiejszych warunkach nowych. Musimy budować swoje Państwo Polskie—i sami sobie musimy zgotować los pomyślny i trwały. Dobrze będzie uczyć się tego ciągle coraz pilniej i doskonalej. Samopomoc jest bardzo chwalebna i przez wszystkich, nam życzliwych, zalecana. Lecz samopomoc o tyle tylko będzie skuteczna, o ile pokieruje nią rozum światlejszy, serce szlachetniejsze i — sumienie czujnie wierne prawom Bożym i moralnym.

A przeto obok samopomocy musi być ustawiczne aż do końca życia wytrwale prowadzone samokształcenie, czyli doskonalenie swego rozumu, serca i sumienia.

W tej pracy nasz „Orzeł Biały“ pragnie być bardzo pomocnym, dając odpowiednie artykuły i wiadomości.

Najserdeczniej prosimy Sz. Czytelników naszych o pisanie do „Orła Białego“ artykułów, korenspondencji i uwag swoich.

---

W roku przyszłym „Orzeł Biały“ wychodzić będzie na tych samych, co dotąd warunkach.

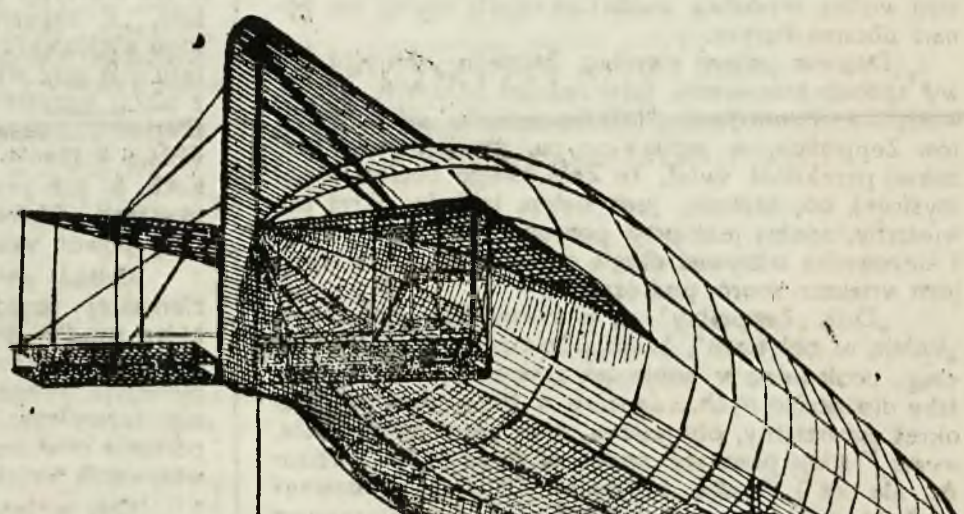
**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym“ Bychawa.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

# Walka człowieka z powietrzem.



Bardzo pouczające są wysiłki człowieka, zmierzające do opanowania ziemi, wody, ognia i powietrza. Praca, wytrwale i rozumnie prowadzona, stopniowo ułatwia mu osięganie celu. Już olbrzymie korzyści, dzięki swej pracy umiejętnej, czerpie z ziemi, wody i ognia. Najoporniejszem dotychczas jest powietrze.

Człowiek zdawna ma w sobie bardzo dużo zazdrości, więc zazdrości nie tylko podobnym sobie istotom, lecz nawet pozazdrościł ptakom; oto pragnie na podobieństwo ptaków latać w przestworzu swobodnie podług swego życzenia. Ale jak spełnić takie życzenie? Toć człowiek nie posiada skrzydeł i tak jest ciężki, że w żaden sposób sam się w górę nie uniesie i tam, w górze fruwać, jak ptak, nie zdoła. Lecz od czego głowa na karku?

Rozum człowieczy jest przemyślny, potrafi robić rozmaite wynalazki, nawet najśmielsze; nigdy nie zraża się niepowodzeniem, bo ma nadzieję, że cierpliwie myśląc i pracując, zdoła dokonać rzeczy zdumiewających! Doświadczenie własne utwierdza go w tej nadziei.

Jest podanie, że Leonardo da Vinci, jeden z najsłynniejszych artystów, urodzony 1452 r. w mia-

steczku Vinci, we Włoszech, był tak genjalnym, że umiał malować piękne obrazy, układać wiersze, grać biegle na różnych instrumentach, był przytem wykształconym inżynierem, budowniczym i mechanikiem. On właśnie podobno zbudował podług własnego pomysłu latawiec mechaniczny, dość podobny do dzisiejszych. Świadczą o tem rysunki, pozostałe po nim. Potomkowie jego jednak nie umieli powtórzyć pracy jego.

Dopiero dwaj francuzi, bracia Montgolfier, właściciele fabryki papieru, wymyślili balon papierowy i puścili się nim w górę 19 września 1783 roku.

Inny francuz, generał Meusnier, w tym czasie zbudował balon podłużny, nie okrągły, i zaopatrzył go w śmigła. Potem inżynier francuski, Henryk Giffard, wpadł na pomysł umieszczenia pod balonem motoru parowego, któryby obracał śmigła i tak zmuszał balon do latania. Inni francuzi, bracia Tissandier umieścili w balonie dynamomaszynę do obracania śmigieł. Jeszcze w r. 1884 dwuch oficerów francuskich: kapitan Krebs i major Renard, już zbudowali balon ze sterem o tyle skutecznym, że mogli sami, jadąc swoim balonem w górze, wrócić do tego miejsca samego, skąd wyruszyli w drogę.

Wreszcie Santos Dumont, również francuz, zbudował balon w formie podłużnej, podobnej do cygara, zaopatrzył go w motor o sile 12 koni i już mógł nim wobec mnóstwa osób ciekawych unosić się ponad ulicami Paryża.

Dopiero potem niemiec, Zeppelin, obmyślił nowy sposób kierowania (sterowania) balonem, zbudowanym z aluminjum. Narazie śmiano sie z zamiarów Zeppelina, a jednak on po długiej pracy mozolnej przekonał świat, że celu swego dopiął najpomyślniej, bo, istotnie, jego balon, jakgyby okręt powietrzny, zdolny jest przy pomocy mocnej maszyny i kierownika odbywać długie podróże, mając w swojem wnętrzu sporo podróżnych.

„Dziś „Zeppeliny" są w Niemczech prawdziwą „koleją w obłokach", kursują bowiem, jak gdyby pociągi, posiadając w sobie tak zwane „kabiny", czyli izby dla podróżnych. Jeszcze w Niemczech zasłynął okręt powietrzny, obmyślany przez majora Persevala, —we Francji powstały podobne okręty braci Lebaudy, ale też i Anglja i Włochy i Austrja niebawem zdobyły się na swoje własne balony maszynowe i kierownicze, wożąc podróżnych.

Bądź co bądź jednak umysł ludzki nie zatrzymał się w swojem dążeniu do najzupełniejszego opanowania powietrza. Człowiek chce fruwać — i basta! Ale jak fruwać? Tak bezpiecznie, szybko i dowolnie jak, dajmy na to, orzeł. Chce być w górze tak pewny siebie i swobodny, jakgdyby u siebie na swojem podwórku. Balon, choćby najdogodniejszy i całkiem opanowany, wydał mu się zbyt kłopotliwym i zadużym budynkiem.

Dopiero niemiec, Otto Lilienthal, powziął myśl zbudowania samolotu podług skrzydeł nietoperza.

Już mając gotowy swój aparat lotniczy w r. 1890, odbywał górne podróże narazie pomyślnie, aż razu pewnego coś się nagle zepsuło w jego statku powietrznym, spadł i — postradał życie.

Amerykanin, Chanute, doskonalszy statek obmyślił, tak zwany dwupłatowiec. Po nim anglicy, bracia Wright, ulepszyli samolot przez nadanie mu odpowiedniego steru. I dopiero oni uczynili samolot ptakiem mechanicznym, spełniającym posłusznie i bezpiecznie wolę człowieka. Dnia 8 sierpnia 1908 roku bracia Wright wzlecieli swoim aparatem w górę i, „ku zdumieniu całego świata, udały im się loty" „Odtąd z właściwą wiekowi naszemu szybkością dokonywają się z dnia na dzień coraz to lepsze udoskonalenia aparatu lotniczego".

Braci Wright prześcignął inżynier francuski, Louis Bleriot, który po licznych, niesłychanie mozolnych próbach, zbudował podług własnego pomysłu jednopłatowiec. „W aparacie Bleriota ziściło się nareszcie wiekowe marzenie rodzaju ludzkiego: **bujania w powietrzu jak ptak.** O doskonałości jego świadczy najwymowniej fakt, iż przeważną część samolotów, jaka dziś na świecie całym istnieje, jest w gruncie rzeczy tylko coraz bardzie wydoskonalonemi „Bleriotami".

Bleriot, przybywszy do Wiednia 1909 roku, popisywał się aparatem swoim w ogrodzie pałacu cesarskiego w Schönbrunnie wobec cesarza Franciszka Józefa i jego dworu. Kiedy samolot począł „rozpędzać się" po trawniku, miało się zupełnie wrażenie że to olbrzymi gołąb lada chwila wzniesie się w obłoki. Z zapartym oddechem wszyscy świadkowie tego wiekopomnego zdarzenia śledzili każdy ruch aparatu. A gdy wkońcu wzniósł się w górę, mimowol z piersi wszystkich wyrwał się okrzyk: „niech żyje Bleriot!"... Jeszcze silniejsze jednak wrażenie wywołało krążenie to szybsze, to powolniejsze w obłokach, a już prawdziwe zdumienie malowało się na twarzach widzów, gdy Bleriot w sposób bardzo zręczny powoli wracał na ziemię.

Odtąd aeroplan stał się na całej niemal kuli ziemskiej przedmiotem bezustannych doświadczeń, które wiodły do coraz lepszych jego udoskonaleń. Imbardziej samoloty stawały się doskonalsze, tem pilniejszą uwagę swoję władze wojskowe zwracały na nie, rozumiejąc, że one niechybnie staną się wielką pomocą podczas wojny. Wprędce ziściły się przewidywania wojskowych.

Gdy wojna okrutna wybuchła 1914 r., odrazu okazało się, jak straszne przysługi wojsku oddały samoloty. Zaraz bowiem użyto ich do wywiadów, do zdejmowania fotografji całych okolic nieprzyjacielskich i, co najgorsze, do rzucania bomb na wrogie oddziały. Gdy ukazały się samoloty strony przeciwnej, natychmiast drobne oddziały pierzchały, kryjąc się przed śmiercionośnemi pociskami z góry.

Dziś już sztuka wojskowa uznała samoloty za osobny oddział bojowy, który podczas wojny będzie miał znaczenie pierwszorzędne. Już niektóre mocarstwa posiadają mnóstwo samolotów wojskowych tworząc z nich jakgdyby osobną wielką armję powietrzną. Gdy taka armja latająca zacznie zgóry rzucać bomby i strzelać z ręcznej broni, a nawet i z armat, — niezawodnie wyrządzi olbrzymie spustoszenie na ziemi.

Tylko nasze Państwo Polskie jeszcza na taką armję latawców uzbrojonych zdobyć się nie może, bo naród nasz jeszcze zamało myśli o pilniejszych i najważniejszych potrzebach Polski. Nie żałujmy ofiar na samoloty wojskowe, bo przecież lepiej być nawet ubogim, ale niepodległym obywatelem wolnej Polski, — niż bogatym niewolnikiem u wroga. Im większe i doskonalsze uzbrojenie otrzyma armja polska, —tem bezpieczniejszym będzie naród pylski.

Jakie uzbrojenie, taka armja, — jaka armja, takie bezpieczeństwo kraju.

Samoloty są dziś bardzo pożyteczne i w pracach ekonomicznych i w sprawach kulturalnych. Mogą nas o tem przekonać poniższe szczegóły:

Naprzykład, poczta kolejowa wiezie do Warszawy listy i gazety, dajmy na to, z Paryża lub Londynu dwa do trzech dni, — gdy tymczasem poczta samolotowa tego samego dnia tę usługę spełnia.

„Między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem istnieje od 1918 roku stała samolotowa linja pocztowa, wynosząca 351 kilometrów. I tę odległość aeroplan przebywa w ciągu 1 godziny 58 minut! Według ostatnich obrachunków w Stanach Zjednoczonych było do obsługi poczty 20 samolotów, które podczas jednego kwartału przeniosły 40 miljonów listów.

Niezmiernie jest wielki ruch lotniczy pocztowy między Londynem i Paryżem. Listy, nadawane w Londynie przed godziną 11-ą rano, — już są doręczone w Paryżu tego samego dnia o godzinie 4-ej po południu. Od 1920 roku istnieje regularna poczta powietrzna między Francją i Afryką północną.

Jeszcze ciekawsze są wiadomości o ruchu pasażerskim. Pierwszeństwo przyznać trzeba Anglji, która codziennie wysyła wiele aeroplanów pasażerskich do Belgji, Niemiec, Danji i Norwegji. Anglja posiada 8 linji komunikacyjnych powietrznych i 120 portów lotniczych, a rząd angielski w roku 1921 i 1922 przeznaczył w budżecie 11 miljonów funtów szterlingów na lotnictwo. Niemniej pokaźnie przedstawia się komunikacja powietrzna we Francji, która na zbudowanie samolotów i utrzymanie ich przeznaczyła 200 miljonów franków. W roku 1921 przewieziono 13.000 podróżnych i 150.000 kilogramów bagażu.

Nawet w Niemczech, pokonanych w wojnie ostatniej, lotnictwo niby „cywilne" rozwinęło się bardzo znacznie. Wprawdzie ugoda pokojowa zażądała od niemców, ażeby oni wojskowych samolotów u siebie i dla siebie nie budowali. I niemcy niby pilnują się tej umowy, nie budują wojskowych samolotów, lecz za to budują samoloty „cywilne" w wielkiej ilości. Jestto wybieg chytry, podstępna sztuczka niemiecka. Przecież samoloty swoje „cywilne" oni, na wypadek wojny, mogą w każdej chwili przerobić na wojskowe i w taki sposób dziś, mając mnóstwo cywilnych samolotów, jutro już, gdyby wojna wybuchła, byliby wstanie utworzyć z nich potężną armję powietrzną. I istotnie, taki zamiar mają niemcy, ciągle poglądając na Polskę! A my, polacy, jakoś dotychczas mało troszczymy się o rozrost lotnictwa naszego!

Zawstydzają nas inne państwa, nawet mniejsze od Polski. Oto Belgja ma swoje 2 linje komunikacji powietrznej; już też Szwajcarja, Szwecja, Hiszpanja, Grecja, a nawet Czechosłowacja bądź już posiadają swoję linję, bądź przystąpiły do zaprowadzenia jej u siebie. A Włochy mają aż 10 linji swoich!

Musimy przeto najusilniej i najofiarniej przyczynić się do zbudowania u siebie wielu samolotów polskich tak, iżby Polska nie tylko ziemię, ale i górę miała skutecznie zabezpieczoną przed „złemi wrogami", czyhającemi na nią.

Dotychczas śpiewamy w Rocie, że bronić będziemy każdego progu polskiego, — musimy teraz dodać w Rocie nową strofkę, że tak samo będziemy bronili nieba nad Polską, ażeby tam nie wdarły się samoloty wraże.

Tak nam dopomóż, Bóg!

---

Wielkie dzieła wielkiem poświęceniem dokonane być tylko mogą.

Karol Libelt.

---

# Z ROZMYŚLAŃ.

Bracia, nie płaczcie nad tym, który lęże
dziś najpiękniejszą śmiercią bohatera,
co na strzaskane upada oręże
skrwawioną piersią i dumnie umiera,
jak termopilscy umierali męże,
a nieśmiertelność gwiezdne mu otwiera
ramiona w pieśni, co wskroś pokolenia
na światło imię jego wypromienia!

Wżdy nad żywemi płaczcie, których serce
jest jak grób ciemny, cuchnący zgnilizną,
co urągają Polsce, bluźnierce,
by małość własną pokryć, co trucizną
śliny, gdzie tylko, tlejący w iskierce,
ogień zobaczą, wraz obficie bryzną,
by ogień zgasić, iże blask przeraża
spojrzenie sowie mrocznego grabarza!

Zaprawdę, bracia, są czasem mogiły
niby ogrody, które promienieją,
jako wiosenne słońce, nic ze zgniłej
nie mają śmierci, lecz dyszą nadzieją,—
żołnierskie groby, co Polskę pokryły...
są zmarli, co się śmiechem życia śmieją:
ku nim, gdy słońce wiosenne zaświeci,—
ku prochom świętym prowadźcie swe dzieci!

Zasię są żywi, o zgnilizny piętnie
grobu na twarzach rumianych; ich usta
pełne są Polski, ale w serca tętnie
ich Polski niemasz i pierś ich jest pusta,
jak trumna, którą omijają skrzętnie,—
przez krew, co dzisiaj z ran żołnierskich chlusta,
tych zapytacie kiedyś, w śnionej chwili:
—kiedy **tamci** ginęli, gdzie **wy**-ście byli?!

**Józef Relidzyński.**

Nie schylaj czoła poczciwego przed majątkiem, ani przed tytułem, ani przed pochodzeniem, — bo czasy pogaństwa, w których kloce i kamienie czczono, minęły; ale skłoń czoło przed zasługą, bo w zasłudze jest obecny duch Boży i błogosławieństwo jego na cię zstąpi.

Karol Libelt.

# CZEGO SZUKAJĄ?

W tych dniach, bo 18 grudnia, gazety warszawskie podały taką wiadomość: Na dworcach kolejowych w Warszawie stale czuwają członkinie, delegowane przez komitet, zapobiegający handlowi kobietami i dziećmi. Jaką usługę oddaje ten komitet, świadczą liczby: w październiku r. b. zaopiekował się 760 dziewczętami, a w listopadzie 1032 dziewczętami.

„Powodem tłumnych przyjazdów dziewcząt do Warszawy jest, niewątpliwie, brak zarobków po wsiach, —przeto garną się one do większych miast w nadziei **otrzymania pracy.** Tymczasem Warszawa, mając miejscowych bezrobotnych bardzo dużo, nie może dostarczyć im ani dachu, ani chleba i wskutek tego większa część przybyłych kobiet chodzi do biur, stręczących robotę i wkońcu, nie znalazłszy dla siebie żadnego zajęcia, musi wracać tam, skąd przybyła, wydawszy pieniądze uciułane".

Wobec tego gazety warszawskie zdobyły się na taką radę: „Należałoby — piszą — **o ile możności wstrzymać** napływ kobiet ze wsi do miasta, gdzie warunki życia są tak obecnie trudne i zarazem przestrzegać młode dziewczęta przed licznemi niebezpieczeństwami, które im grożą. Bez dachu i opieki rodzinnej dziewczęta wiejskie, znalazłszy się na bruku miejskim, wpadają w ręce ludzi okrutnych, którzy, korzystając z ich niedoświadczenia i biedy —nierzadko wtrącają je w otchłań rozpusty.

Tak więc biedne istoty, szukając w mieście pracy uczciwej, znalazły dla siebie hańbę, a dla rodzin swoich zgryzotę, smutek nieskończony.

Kto temu winien? Kto ma ratować te istoty nieszczęsne?

Prawda, pytanie bardzo właściwe. Narazie przychodzi nam na myśl ów komitet, na początku wzmiankowany. Toć prawdziwie spełnia on niesłychane dobrodziejstwo. Wysłanniczki tego komitetu są na dworcu zawsze, ile razy jakikolwiek pociąg osobowy przybywa z prowincji. Czatują pilnie i natychmiast podchodzą do każdej kobiety samotnej, która wysiadła z pociągu, a nieśmiało rozgląda się dokoła siebie; — wdają się z nią w rozmowę, badają szczerze i gdy przekonają się, że przybyszka szuka pracy, nie zna nikogu w mieście, odrazu biorą ją pod swoję opiekę, odprowadzają do swego przytułku i tam już dają jej chwilowe mieszkanie, pożywienie i nawet dopomagają w wyszukaniu pracy. Ratują biedną istotę przed nędzą i zepsuciem. Ale ratunek ten może trwać bardzo krótko i dla niewielu, bo czcigodny komitet rozporządza małym funduszem i małe ma przytulisko. Komitet czyni, co może, spełnia swoje zadanie: broni słabą istotę przed złemi ludźmi. Więcej nad to dać nie jest w stanie. Nie da pracy, bo jej nie ma w swojem rozporządzeniu. Nie tylko nie da, ale i nie nauczy jej, bo jest tylko Komitetem, walczącym z handlarzami żywym towarem, — a nie jest szkołą pracy.

Owszem, taki Komitet jest niezbędny w każdem mieście dużem. Cześć mu i wdzięczność serdeczna należy się od społeczeństwa Lecz oprócz Komitetu—

**powinno społeczeństwo mieć dużo szkół zawodowych dla swojej młodzieży męskiej i żeńskiej.**

Przypatrzmy się tej potrzebie zbliska, a przekonamy się, jak ona jest gwałtowna, — jedna z najważniejszych!

Oddawna rozlega się w kraju głos, wołający o ziemię dla bezrolnych. Prawda, łaknie jej bardzo wielu. I ci pożądliwie spoglądają na folwarki. Sprawa wywłaszczenia pewnej ilości morgów na korzyść bezrolnych tak zaprząta sejm, iż chwilami zdawać się może, jakoby innej potrzeby pilnej, a może nawet pilniejszej, naród nasz nie odczuwa. A jednak, doprawdy, śmiem utrzymywać, że u nas najpilniejszą jest potrzeba nauczenia pracy wszystką młodzież naszą.

Radbym w tej chwili głosowi memu nadać tęgość brzmienia miljona trąb jerychońskich, ażeby usłyszał go cały naród i treść jego wziął pod głęboką rozwagę.

Owszem, w każdej okolicy znajdzie się pewna ilość rodaków, pragnących nabyć ziemię. Ale nikt chyba nie zaprzeczy, że dziś u nas niema takiej rodziny małorolnej i bezrolnej, którąby nie martwiła się o przyszłość swoich dzieci dorastających! Nie każdemu dziecku dostanie się zagon w posiadanie. A reszta dzieci z czego żyć będzie? Wprawdzie rodzice myślą o tem, lecz tylko myślą, a myślą bezradnie, opieszale, nawet leniwie — i wkońcu kłócą się o to między sobą, wzajemnie czyniąc sobie wymówki, które do żadnego ratunku nie prowadzą.

Na tem schodzi czas drogi, dzieci dorastają, wypada im ręce o co zaczepić, ale o co, kiedy naprawdę rodzice nie wiedzą, ku jakiemu zatrudnieniu powinniby skierować swe dzieci!...

Rozpacz ogarnia — z powodu strasznego niedołęstwa naszego! Niektórzy gniewają się na tych ojców i matki, pchających swe dzieci do szkół średnich. Gniew niesłuszny, bo rodzice troszczą się o dobro swoich dzieci, oddając je do szkoły w tej nadziei, że obrali drogę najlepszą. Ale nie rozwiązali pytania, co uczynią ich dzieci po skończeniu szkoły: dokąd pójdą po zarobek?

— Jakoś to będzie! — uspokajają siebie bezmyślnie.

Liczą na to, że ich dzieci po skończeniu szkoły średniej dostaną się do jakiegoś urzędu i już posiędą chleb pewny i wystarczający. A oto masz, dziś wszędzie w kraju słychać, że bardzo wielu urzędników władze usuną, bo jest ich zadużo! To było do

przewidzenia. Narazie jednak władze brały mnóstwo, bo zgłaszało się mnóstwo młodzieży; każdy miał jakie-takie świadectwo, ale żadnej pracy zarobkowej nie umiał, zdolny tylko do pisania i rachunków.

Mamy w Polsce setki szkół średnich. Wszystkie one rokrocznie kilka tysięcy młodzieży wypuszczają niby wykształconej i gotowej, ale do czego? Co ona umie naprawdę? Ambicja w niej wielka, pożądania i nadzieje ogromne, ale... jeszcze nie potrafi zapracować na siebie.

Mamy też, dzięki Bogu, coraz więcej szkół ludowych, czyli powszechnych. Owszem, niech się dzieci polskie uczą, wszystkie bez wyjątku! Nauka książkowa, teoretyczna niezbędna. Lecz, na miły Bóg, każdy człowiek ma nie tylko głowę, bo dał mu P. Bóg także i ręce nie tylko do brania, ale i do dawania pracy pożytecznej.

Otóż o tem najmniej myślimy. Podlegamy dziwnemu zaślepieniu: cenimy, może nawet aż do przesady, naukę książkową, — a niedoceniamy, może nawet aż lekceważymy wogóle pracę, a osobliwie naukę pracy.

Nam się ciągle zdaje, niewiadomo dlaczego, że pracy nie trzeba się uczyć. Ach, jaką nam przez to nasz ogół ciężką krzywdę wyrządza! Mówię: nam, bo my, starsi, doświadczyliśmy tej szkody i goryczy na sobie: żywimy w sobie żal i wyrzut: czemu nasi rodzice poprostu nie dbali należycie o nauczenie nas doskonałej pracy pożytecznej? Pchali nas do szkoły, a potem już umywali ręce, mówiąc: „macie naukę, nie żałowaliśmy na szkoły, teraz już radzcie sami sobie"!

To straszna krzywda młodego pokolenia! Dziś ja patrzę z bólem serca na obecną młodzież i, doprawdy, choć ona mi obca, aleć zawsze blizka, bo rodacy, niemal rozpaczy doznaję na myśl: co z tej młodzieży będzie? No, skończyli szkołę powszechną, lub czteroklasową szkołę średnią — i siedzą u rodziców, trochę pomagając w gospodarce ubogiej, a resztę dnia przewałęsają, zawczasu zaprawiając się do próżniactwa, figlów i psoty. Niejednemu i niejednej uprzyksza się siedzieć w domu „na kupie i słuchać wymówek, że nic nie robi, a żreć potrzebuje", więc puszcza się w świat szukać czego? — niby losu lepszego. Ale gdzie ten los lepszy mieszka? Niejednemu i niejednej zdaje się, że napewno mieszka los dobry w dużem mieście, bo tam, gdzie dużo ludzi, to jeden więcej młody nie zginie.

Złudzenie! Jadą do miasta i tam marnieją! Dziewczęta powiększają szeregi nieszczęsnych nierządnic, — a młodzież wpada w pułapki wywrotowców, narzekających na wszystko i na wszystkich. Rozumie się, łatwo bardzo staje się niezadowolonym ten, który nie potrafi znaleźć pracy, bo go nie nauczono pracy! Nasz ogół poczciwy, ale — niebaczny! Troszczy sie o głowy dzieci i młodzieży, lecz nic a nic o ich ręce i żołądki. Buduje szkoły i patrzy z zadowoleniem na roje młodzików, pyszniących się ładną czapeczką, mundurkiem i wiedzą książkową,— a potem, gdy już powinniby sami na siebie zapracować, — tracą swoję nadętość, miękną, zginają się, a nawet łamią i niektórzy z rozpaczy odbierają sobie życie!

W głowach mają nauki dosyć, tylko ręce ich, niestety, zostały całkiem zaniedbane. A nasza Polska właśnie bardzo pożąda nie tylko głów mądrych, lecz i jaknajwięcej rąk pożytecznych! Do rady Polska głów już ma **podobno** aż zawiele, — tylko rąk do pracy **zpewnością** ma zamało!...

Roboty u nas w Polsce ogromnie dużo! A robotników mądrych, biegłych i uczciwych niezmiernie mało! Siedzę w miasteczku i widzę ze smutkiem, że nie mamy polskich krawców, blacharzy, czapników, szklarzy, nawet zamało mamy szewców i stolarzy. A dziewczęta wszystkie chcą tylko nauczyć się szycia, albo zostać nauczycielkami. A przecież i dla nich możnaby zapoczątkować tkactwo, koszykarstwo, guzikarstwo, introligatorstwo, warzywnictwo i przetwórstwo owocowe.

Dotychczas mamy w Polsce zaledwo 250 szkół zawodowych. Podaję liczbę według „Kalendarza Gospodarskiego i Kółek rolniczych Centralnego Tow. Rol. na rok 1826" (str. 320—343). W tym wykazie znajduje się najwięcej szkół wyższych: rolniczych i handlowych, — a najmniej rzemieślniczych i przemysłowych.

Naród nasz obecnie powinien założyć w całej Polsce jaknajwięcej niższych szkół rzemieślniczych i przemysłowych, nie jedynie w miastach dużych, lecz również i w miasteczkach i w wioskach większych. Gdy stanie się zadość tej potrzebie, wówczas napewno młodzież polska znajdzie dla siebie wszędzie zarobek pożyteczny i uczciwy.

# TYLKO TYLE!

Mówią ludzie że tylko ten jest szczęśliwy, kto zdoła zadowolić swoje pragnienia najgorętsze.

Czy to jest w życiu możliwe?

Chyba tak! Tylko chodzi o to, żeby zawczasu wypielęgnować w sobie takie pragnienia najgorętsze, które dość łatwo dadzą się w dalszym biegu życia zaspokoić.

Bagatela! Tylko tyle! A to właśnie jest najtrudniejsze. Bo naprzekór temu od lat najwcześniejszych nasze otoczenie i my sami rozniecamy w sobie Bóg wie jakie upodobania i pożądania, lecz najtrudniejsze, najkosztowniejsze i najszkodliwsze. Wskutek tego zazwyczaj całe życie jesteśmy kwaśni, niezadowoleni, nieszczęśliwi.

— Nigdy nie mam tego, czego pragnę najgoręciej. — Tak mówi niejeden, rozżalony, niewiadomo na kogo.

Dlaczego nie ma? Bo posiadł pragnienia albo nigdy nie nasycone, albo zakosztowne, nad siły jego.

Mądry ten, kto umie wstawić do swej duszy dobre i łatwe pragnienia, — a nie wpuszcza do niej zgrai pragnień rujnujących, niedorzecznych, nienasytków!...

Dobry początek daje dobre i rozumne wycho-

wanie. A w dalszem życiu sam sobie człowiek, panując nad sobą, pielęgnuje właściwe, piękne i szlachetne pożądania.

Oczywiście, dla zaspokojenia tych pożądań przeważnie potrzebne są pieniądze.

Paweł marzy o nabyciu dla siebie choćby pół morgi gruntu, na którym zbudowałby sobie własny domek z ogródkiem; potrzebne mu na to dwa tysiące złotych. Czy on kiedy może zdobyć się na taki sprawunek serdeczny? Toć on nigdy nie będzie miał takiej sumy! Owszem, może. W jaki sposób? Przy pomocy oszczędności. Gdy bowiem Paweł co tydzień regularnie zaniesie do kasy oszczędności tylko 1 złoty i 99 groszy i tak czynić będzie lat dziesięć, to w końcu roku dziesiątego kasa, doliczając mu procent do składanych pieniędzy, wypłaci dwa tysiące złotych. I wówczas już urzeczywistni swoje marzenie!

A teraz palaczom przypomnijmy rachunek ciekawy:

Gdyby Adam, zamiast wydać na papierosy, zaniosł do kasy codziennie **5 groszy** i tak czynił lat trzydzieści, to w 30-ym roku jego oszczędności, kasa, doliczywszy 12 procent, dałaby mu na rękę pokaźną sumę, bo aż

**5.242 złote i 30 groszy!**

# MIŁOŚĆ I MĄDROŚĆ DLA OJCZYZNY.

Zpewnością wszyscy rodacy miłują ojczyznę, ale bywa i tak chwilami, że w niejednym rodaku miłość ta stygnie, albo górę nad nią biorą inne, przeciwne jej uczucia,.. jak: sobkostwo, bojaźliwość, chciwość i umiłowanie rodziny, żony, lub kochanki. Wtedy odbywa się jakgdyby walka w duszy rodaka, zaskoczonego sprzecznemi uczuciami: miłość ojczyzny wymaga od niego ofiary dla dobra kraju,—a miłość rodziny, kochanki, grosza, lub życia ciągnie go w inną stronę, każe mu, by więcej dbał o swoją rodzinę, o siebie i o swoje korzyści.

Której miłości ma on dać pierwszeństwo i dlaczego? Pytanie bardzo ciekawe i warto zastanowić się nad niem. A pomoc w tem doskonałą da nam nigdy nie zapomniany ksiądz Skarga, który w swoich kazaniach sejmowych tak mówi o znaczeniu, słuszności i niezbędności miłości ojczyzny:

„Dwoje przedniejsze rozkazania, — słowa ks. Skargi, — umierając, P. Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno, abyśmy się spólnie miłowali; drugie, abyśmy pokój między sobą i zgodę świętą zachowali: jedno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźniemu im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada lepiej wszystkich, którzy w mieście jednem są, a pogotowiu jeszcze lepiej wszystkich obywateli królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, albo dla nich co cierpim.

„Przykład tej szerokiej i przestronej miłości postawił nam, uczniom swoim, na sobie P. Zbawiciel i Mistrz nasz, gdy wszystkim i kupom onym wielkim ludzi dobrodziejstwa czynił. Ujrzawszy—mówi Ewangelista — lud wielki, użalił się nad niemi, bo byli strapieni i leżący (w chorobach), jako owce, nie mające pasterza; — i wnet je leczył, karmił i nauczał.

„A jeszcze większą miłość pokazał, gdy zdrowie i żywot swój dał nie za jedno królestwo, ale za wszystkich na świecie ludzi, chcąc, aby każdy, kto weń wierzy, nie ginął, ale miał żywot wieczny.

„Miłujcie ojczyznę tę swoję i Hieruzalem swoje, to jest Koronę tę i Rzeczpospolitą, a mówcie tak z serca z Dawidem: Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki swojej! Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę! O, jakie zaklinanie, którem się wiązać macie, abyście nic sobie tak miłego, tak wesołego nie mieli, jako dobro Jerozolimy swojej, to jest Rzeczypospolitej i ojczyzny swojej, życząc sobie onego w psalmie błogosławieństwa: Błogosław ci Bóg, abyś patrzył na dobre Jerozolimy po wszystkie dni wieku twego!

„Jako najmilszej matki swej miłować i one czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoję! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna? od które imię macie i wszystko, co macie, od niej jest; która gniazdem jest matek wszystkich i powinowactw wszystkich i komorą dóbr waszych wszystkich. Jeruzalem, matka nasza — mówi Apostoł — nad wszystkie matki czci i szanowania godna!

„Rozmyślcie, jakie od tej matki, od Korony i Rzeczypospolitej tej dobrodziejstwa i upominki macie. Ona wam wiary ś. katolickiej, przez którą do wiecznej ojczyzny przychodzicie, dochowała i Chrystusa, zbawienie wasze i jego Ewangelją przyniosła

„Ta matka skupiła wam do jednego ciała Rzeczypospolitej tak szerokie i zacne narody, rozszerzyła państwo swe od morza do morza i sąsiadom was straszliwemi poczyniła, iż oburzyć się na was nie śmieją.

„Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylko matka mało ma...

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote na ćwierć roku 2 złote.

**Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.**

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.

Rok I. Lublin, 27 grudnia 1925 r. № 52.




TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



# BOŻE NARODZENIE.

Wejdźmy cichutko do stajenki betlejemskiej. Niema drzwi i każdy może wejść łatwo. Z początku nic nie widzimy, lecz odrazu obejmuje nas chłód. Latarka św. Józefa pali się niepewnem, błyskotliwem światłem i dopiero po chwili dochodzimy do miejsca, gdzie klęczy Matka Najświętsza; dostrzegamy, że czyni nam znak: „przyjdźcie bliżej, jeszcze bliżej“— i podchodzimy tuż i padamy na kolana przed żłobkiem, bo w nim jest Bóg.

W nędznej szopie urodzony,
Żłób Mu za kolebkę dano,
Patrzcie, czem jest otoczony:
Bydło, pasterze i siano.

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę swą siłą,

Dom nasz i majętność całą
I Twoje wioski z miastami,
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.

---

Szanownym Czytelnikom i Przyjaciołom „Orła Białego“ z okazji Bożego Narodzenia najserdeczniejsze życzenia pomyślności składa

REDAKCJA.

# Ś. p. Władysław Reymont.

Dnia 5 grudnia r. b. w Warszawie „śmierć zabrała Polsce z doczesnego życia Władysława Reymonta, okryła naród żałobą, że ubył ojczyznie pisarz wielki, co swemi książkami pomnażał sławę Polski i krzepił jej moc wewnętrzną.

Tak mówił nad jego zwłokami minister oświaty, p. St. Grabski. I dalej tak ciągnął: „Idziemy złożyć w mogile ciało Władysława Reymonta. Ostatnią wolą jego było, aby był pochowany nie w murowanym grobie, jeno w czystej ziemi, aby nie stawiano nad grobem jego pomnika. Trwalszy wszakże od granitowego ma on i mieć będzie pomnik we wdzięcznej pamięci narodu.

„Wdzięczni mu jesteśmy, że niezwykłego talentu, którym go Bóg obdarzył, użył na dobre, że dał narodowi książki, umacniające wyczucie i zrozumienie piękna i siły życia, skuteczność wysiłku woli ludzkiej, owocności bohaterskiego porywu i wiary, co choć „wszystko zdaje się skończone", woła: „Nie rozpaczajcie!" i choć narazie Polska zepchnięta maciejowickim pogromem w „otchłań długiej beznadziejnej nocy" po stu zgórą latach zapala nowe słońce".

„Wdzięczni mu jesteśmy, że uczy czytelników swych widzieć i kochać Polskę taką, jaka jest naprawdę, nietylko tę wyidealizowaną cierpieniem i ofiarą ziemi chełmskiej, rozmodleniem pątników przed obrazem Matki Boskiej Jasnogórskiej, bohaterstwem kosynierów racławickich, ale zarówno i tę, której celem życia jest praca na roli i powiększenie ojczystego zagonu.

„Wdzięczni mu za to jesteśmy — bo miłość człowieka i ojczyzny, nigdy niezawodząca, — to nie kochanie tylko ideału, któryśmy sobie o człowieku i ojczyznie wytworzyli, to nie kochanie się w Polsce takiej, jaką byśmy chcieli mieć, ale kochanie Polski i służenie Polsce tej i takiej, jaka jest!

„Nadewszystko jednak należy się od nas i od przyszłych pokoleń wdzięczność Reymontowi za to, że książkami swemi „Chłopi" i „Rok 1794" nauczył inteligencję polską czcić i rozumieć wiejski lud polski, chłopa polskiego. Reymont uczy warstwy oświecone narodu zrozumieć rzeczywistość życia chłopskiego, czuć, że istotną podstawą narodu jest praca i dusza ludu polskiego.

„Chłopi" i „Rok 1794" — dzieła Reymonta—to nie tylko literatura piękna, to umocnienie polskiej myśli obywatelskiej, na której opiera się przyszłość narodu i państwa. Bo naprawdę ten tylko naród i to tylko państwo ma w obecnych czasach trwale zapewnioną przyszłość, którego obywatele, stojący na szczytach wiedzy i nauki, rozumieją i odczuwają, jak swoje własne, życie najszerszych mas ludowych, a lud jest świadom swego dziedzictwa, całej przeszłości dziejowej narodu.

„Władysław Reymont powstał z ludu, własną li tylko pracą wzniósł się na najwyższe szczyty cywilizacyjnej twórczości narodu i na te szczyty prowadził, jako nierozdzielną część duszy narodu, troski, nadzieje, pragnienia i bohaterskie porywy ludu polskiego. Za to należy mu się wielka wdzięczność i głęboki hołd serc polskich. Tę wdzięczność i ten hołd składam pamięci Władysława Reymonta imieniem rządu Rzeczypospolitej".

Tak zakończył swą mowę żałobną minister St. Grabski.

---

Ś. p. Władysław Reymont urodził się we wsi Kobiele Wielkie, leżącej w ziemi piotrkowskiej, odległej o 12 kilometrów od Radomska, miasta powiatowego, — dnia 7 maja 1867 roku z ojca Józefa, organisty kościoła miejscowego i małżonki jego, Antoniny z Kupczyńskich. Akt urodzenia spisał ówczesny proboszcz parafji Kobiele Wielkie, ks. Szymon Kupczyński, spokrewniony, jak to wskazuje nazwisko z matką wielkiego pisarza. Rodzicami chrzestnemi byli, jak opiewa akt, tenże ks. Szymon Kupczyński i Melanja Szatkowska, właścicielka dóbr Huta Drewniana.

W tej wsi rodzinnej przeżył Reymont swe dzieciństwo. Tam już, jako jeszcze dziecko, licząc bowiem zaledwie lat dziewięć, zaczął pisać wiersze. Pisał wiersze, gdy go oddano do szkół, pisał je jako aktor w trupach prowincjonalnych i na pierwszej swej posadzie leśniczego w lasach skierniewickich. Już wtedy jednak czuł istotny i nieprzeparty pociąg do pióra. Zrywały się w nim moce twórcze, które wskazywały mu właściwą drogę życia. Mieszkając w chałupie chłopskiej wśród lasów, próbował pisać prozą. Nie szło mu sporo. Przyzwyczaił się już do mowy wiązanej. Jednakże się nie zraził: pisał i darł rękopisy, poczem pisał dalej.

Z lasów skierniewickich przeszedł do służby na kolei wiedeńskiej: został urzędnikiem na małej stacyjce i tam wpadły mu w ręce powieści historyczne Sienkiewicza: „Ogniem i mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski".

„Przez trzy dni nie śpiąc i nie jedząc, — pisze o nim W. Zawistowski — pochłaniał wielką epopeję minionej Polski, jej wielkość rycerską i dziejowe nieszczęścia, odczuwał potęgę słowa władnego wskrzeszać rzeczywistość, o genjusz twórcy wspanialszą od żywej. Uświadomił sobie Reymont kształt swoich pragnień, ujrzał daleki horyzont tej drogi, która była jego drogą. Porzuca więc kancelarję stacyjną, aby wśród upokorzeń, chłodu, głodu i nędzy warszawskiego poddasza aktem nieugiętej woli stawać się pisarzem i artystą. Świt zastawał go już z książką w ręku, poznającego literaturę i wiedzę, późna noc towarzyszyła mu przy stole pracy, kreślącego pierwsze literackie utwory".

Pierwszą pracą jego, wydrukowaną w r. 1893 w Krakowie, był „Obrazek syberyjski". Następne jego utwory: „Sprawiedliwie", — „Pielgrzymka na Jasną Górę", a potem szereg nowel chłopskich i oparte na obserwacji osobistej z czasów pracy na kolei powieści: „Fermenty" i „Komedjantka" — zdobywały mu imię w literaturze, poczucie siły własnej i pęd twórczy.

„Życie jednak w dalszym ciągu poiło go gory-

czą nędzy i zmagań nad siły. Nie opuściły go te dwie siostrzyce w Paryżu, dokąd podążył dla uzupełnienia zdobytego w Warszawie wykształcenia. Paroletnie obcowanie z kulturą łacińską w stolicy świata, bezpośrednie zetknięcie się z bezcennemi skarbami sztuki i wiedzy, pilna praca w zaciszu bibljotek i muzeów uczyniły Reymonta dojrzałym i świadomym swych zadań i środków pisarzem.

We Francji już myślał o napisaniu „Chłopów". Już tam gromadził materjały i plan układał dla tej powieści, a dopiero w Polsce napisał ją całkowicie i doskonale.

W mozolnym trudzie — słowa Zawistowskiego — w nadzwyczajnem natężeniu wszystkich władz twórczych, w bezustannem sięganiu do najgłębszych pokładów artystycznego genjuszu, — wydźwiga Reymont arcydzieło niepospolite, jedyne w literaturze polskiej i w literaturze całego świata — wspaniałą epopeję o „Chłopach". Dokonał w niej swego posłannictwa, które go stawia wśród największych twórców Polski i świata, które mu wyznacza własne, jedyne, odrębne stanowisko nietylko już wśród artystów, ale wśród wielkich mężów swego narodu.

„Chłopi są nietylko największem dziełem Reymonta, nietylko jedną z najwspanialszych kart epiki światowej, ale ponadto królewskim darem, złożonym narodowi — i czynem wielkiego obywatela.

„Jeśli dziś — kończy Zawistowski — stoimy nad grobem wielkiego pisarza w żalu i smutku najgłębszym, jeśli rozpamiętywamy świetne dzieło jego bolesnego żywota, dzieło zaokrąglone szeregiem utworów o tak wysokiej wartości, jak przepiękne opowiadanie „Z ziemi chełmskiej", jak „Ave patria",— „Marzyciel", „Wampir", „Bunt" i inne,—zdajemy sobie wszyscy sprawę, iż zamilkł nietylko wielki pisarz, znakomity artysta i prawy człowiek, że ubył nam rodak o świetnem imieniu, który narodowi sławy hojnie przysporzył, ale że oddajemy ziemi prochy człowieka, który, jak nikt dotąd w Polsce, wypowiedział ziemi tej duszę, życie, świętość".

Nad mogiłą Reymonta przemówił też poseł do sejmu i zarazem prezes stronnictwa Piast, Wincenty Witos, który mowę swoję tak zakończył: „Dziś, wielki mistrzu, żegnając cię z całym narodem polskim, oddając ci tę ostatnią na tej ziemi przysługę, lud ten będzie prosił gorąco Boga, ażeby ci dał po skołatanem życiu wieczne i szczczęśliwe spoczywanie".

Wład. Reymon w swojej powieści „Chłopi" tak przedstawił wigilję Bożego Narodzenia na wsi:

„Wieczór już stał u proga, słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się po niebie krwawemi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, jakby zarzewiem posypane, — ale wieś Lipce głuchła i przycichała, nosili jeszcze wodę ze stawu, rąbali drwa, to ktoś się spieszył saniami, aż koniom śledziony grały, biegali jeszcze przez staw, skrzypiały wrótnie gdzieniegdzie, zrywały się tu i owdzie głosy różne, ale zwolna, wraz z gaśnięciem zórz i z tą popielną sinością, jaka się sypała na świat, ruch zamierał, przycichały obejścia i pustoszały drogi. Dalekie pola zapadały w mrokach, zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w moc swoją, a mróz się podnosił i tak ściskał, że głośniej grały śniegi pod trepami i szyby malowały się w rózgi i kwiaty dziwne!...

„Wieś zginęła w szarych, śnieżystych mrokach jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro, a gęściej, niźli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrojono się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiono w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonem, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinemi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

—Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści że była, tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho ukląknął na śniegu, a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty, pleniący złe jako sakrament

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, skrzyły się po śniegach i świetlistemi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne, a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się płachtą, poprzebijaną srebrnemi gwoździami.

— Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem się stało!—rzekł Roch.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadała na krótko, bo trzeba było o jadle i przykładaniu pomiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to

niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Roch.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całemi, a potem przyszły śledzie w mące obmaczane i smarzone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również omaszczona, a naostatek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprażone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo i mało kiedy, jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie, — tylko Boryna raz po raz rwał się pomagać Jagusi a wyręczać, aż go stara Dominikowa karciła.

— Siedźcie, nic się jej nie stanie, a pierwsze święta na swojem, to niechaj się wkłada!...

Ale Łapa skomlał zcicha, trykał łbem o zady, łasił się, przypochlebiał, by mu prędzej dali, a Bociek, któren miał swoje miejsce w sieni, to często gęsto kuł dziobem w ścianę, to klekotał, aż się kury odzywały na grzędach.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między niemi lażało to święte dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświetlał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamarznięte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy przed ogniem i poradzali zcicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali zwolna...

Aż Roch wyjął z zanadarza książkę, okręconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem o narodzeniu Pana Jezusa.

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wzmagał i rozmadlał i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanję wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnem, w ciszy serc zasłuchanych, w drżeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerszem odczuciu łaski Pańskiej, narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcemi, między żydy paskudne, między heretyki srogie! a w ubóstwie takiem, w taki mróz! O biedoto przenajświętsza, o dziecineczko słodka!... Myśleli i serca biły współczuciem, a dusze się zrywały i niesły we świat, jako ci ptaszkowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek dzieciątka przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków amen!

A Rochc wiąż czytał, aż Józka, że to miętkie dzieuszysko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś, wsparłszy twarz na dłoniach, też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce, że chowała głowę za Jędrzycha, któren z otwartą gembą wpodle słuchał, a tak się wielce dziwował słyszanemu, aż raz po raz szarpał Szymka za kapotę i wykrzykiwał:

— Cie!... słuchasz to Szymek! — ale wnet milknął, karcony srogim wzrokiem matki.

— Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

— Dziw, że to nie zamarzło!

— I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć!

Powiadali rozważając, gdy skończył, a Rochc im na to:

— Bo ino ochwiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to jużby Zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie.

— Rządzi on tu i tak nie mało — szepnęła Jagustynka!

Wreszcie padł rozkaz:

— Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc narodzenia i każde bydlątko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między niemi Pan się narodził. Kto ino bezgrzeszny zagadnie — ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z niemi czujące, więc i opłatkiem trza się z niemi podzielić....

Ruszyli wszyscy do obory, a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały, glamiąc powoli, ale na światło i głosy jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania a odwracać ciężkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować; jeno jutro rano doić nie można, aż wieczorem, straciłyby mleko.

Jagna połamała opłatek na pięć części i, przychylając się nad każdą krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w gembulę na szerokie ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zagadnęła Józka.

— Nie było ich w owym czasie przy Narodzeniu, to nie można



Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr.
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.